



DAN
SIMMONS

OLIMP

Dan Simmons

OLIMP

Przełożył Grzegorz Komerski

Wydawnictwo Mag
Warszawa 2017

*Niniejszą powieść dedykuję Haroldowi Bloomowi, który
– odmawiając współpracy w tej naszej Epoce Urazy –
sprawił mi wielką przyjemność.*

*Skąd Homer miałby to wszystko wiedzieć? Przecież kiedy doszło do tych wydarzeń,
był wielbłądem w Baktarii!*

Lukian, „Sen”

*...prawdziwa i kompletna historia świata musi być historią wiecznej wojny.
Człowiek nigdy nie zazna wytchnienia: ani towarzysze, ani bogowie, ani namiętności nie
dadzą mu spokoju.*

Joseph Conrad, „Uwagi o życiu i listy”

*Nie spisujcie Troi dziejów,
Na ziemi, śmierci pergaminie.
Nie macie gniewem szczęścia,
Co na wolnych ludzi spłynie.
Choć znowu zadał Sfinks gładki
Obce Tebom śmierci zagadki.
Nowe powstaną Ateny
I nowe czasy ozłocą –
Jak zachód słońca niebo –
Splendoru swego mocą;
Przetrwa, gdy minie światłość dnia,
Co ziemia przyjmie, co niebo da.*

Percy Bysshe Shelley, „Hellada”

CZEŚĆ 1

Helena Trojańska budzi się tuż przed świtem, wyrwana ze snu wyciem syren alarmu przeciwlotniczego. Przesuwa po omacku dłoń na drugą stronę łoża, ale Hockenberry, jej obecny kochanek, zniknął. Zapewne wymknął się jeszcze w głuchym środku nocy, zanim zdążyli wstać śludzy. Podobnie kończyła się każda noc ich miłosnych igraszek. Mężczyzna zachowywał się tak, jakby czuł, że dopuszczają się wspólnie czegoś bardzo niegodnego. Bez wątpienia przekrada się właśnie ciasnymi alejkami i zaułkami, uliczkami, na których płonie najmniej pochodni. Helena stwierdza w duchu, że Hockenberry jest człowiekiem jednocześnie dziwnym i smutnym. I nagle przypomina się jej coś innego.

Mój mąż nie żyje.

Parys zginął dziewięć dni temu. Poległ w pojedynku z bezlitosnym Apollem. Odświętny pogrzeb, w którym wezmą udział zarówno Trojanie, jak i Achajowie, rozpocznie się już za trzy godziny. Oczywiście pod warunkiem, że sunący właśnie nad Ilionem boski rydwan nie zniszczy lada moment całego miasta. Minęło już dziewięć dni, a Helena nadal nie potrafi uwierzyć, że Parys odszedł na zawsze. Syn Priama pokonany w boju? Parys martwy? Książę Troi stracony w mroczne groty Hadesu, pozbawiony swej wdzięcznej cielesnej powłoki? Nie do pomyślenia. Przecież to Parys, jej piękny chłopiec, który wykradł ją z domu Menelaosa. To on, unikając pościgu, przemycił ją przez zielone łąki Lacedemonu. To Parys, jej najczulszy kochanek, którego zapalu miłosnego nie ugasiła nawet ta długa, dziesięcioletnia, wyczerpująca wojna. Mężczyzna, którego często w skrytości ducha nazywała „wypasłym koniem, długo trzymanym przy żłobie”[1].

Helena zsuwa się z łożka i wychodzi na taras. Rozsuwając zwiewne firany, zanurza się w zalewającej Ilion łunie przedświtu. Zima jest w pełni i marmur ziębi bose stopy kobiety. Na wciąż ciemnym niebie widać kilkadziesiąt promieni szperaczy. Reflektory dżgają chmury, przeszukują niebiosa, wypatrując bóstwa w latającym dywanie. Stłumione eksplozje plazmowych pocisków wywołują zmarszczki na chroniącej miasto kopule morawieckiego pola siłowego. Nagle z rozstawionych wokół Troi baterii strzelają ku górze liczne snopy spójnego światła – zwarte kolumny błękitu, szmaragdowej zieleni i krwistej czerwieni. Na oczach Heleny potężna eksplozja wstrząsa północnymi dzielnicami miasta. Fala uderzeniowa rozchodzi się echem ponad niebotycznymi wieżami i zdmuchuje z ramion kobiety pukle długich czarnych włosów. W ciągu kilku ostatnich tygodni Olimpijczycy zaczęli bombardować Ilion materialnymi bombami, za pomocą których mają nadzieję przebić rozciągniętą przez morawce tarczę. Pociski ukryte w skonstruowanych z pojedynczych cząstek osłonach teleportują się kwantowo na drugą stronę ochronnego pola. Tak przynajmniej próbowali jej to tłumaczyć Hockenberry i ta zabawna metalowa istota, Mahnmut.

Maszyny jednak Helena Trojańska ma w głębokim poważaniu.

Parys nie żyje. Cóż za niewiarygodna myśl. Helena była gotowa umrzeć wraz z nim w dniu, gdy Achajowie pod wodzą jej byłego męża Menelaosa i jego brata Agamemnona przedrą się wreszcie przez mury Ilionu. Wydawało się to przecież nieuchronne. Tak

przepowiedziała jej przyjaciółka, wieszczka Kasandra. Grecy mieli wymordować w mieście wszystkich mężczyzn i chłopców, a kobiety zgwałcić i uwięzić w niewolę na swoje wyspy. Tak, na taki dzień Helena była w pełni przygotowana – wiedziała, że śmierć zada sobie sama bądź poniesie ją przebita mieczem Menelaosa. Z jakiegoś powodu jednak nie potrafiła uwierzyć, że jej ukochany, ten próżny i bogom podobny Parys, jej opasły koń, piękny wojownik i małżonek, może umrzeć jako pierwszy.

Przez ponad dziewięć lat oblężenia i wspaniałych bitew Helena ufała bogom, że zachowają jej drogiego Parysa przy życiu, że pozostawią go w zdrowiu i w jej sypialni. I tak też dotąd czynili. A teraz go zabili.

Przywołuje wspomnienie ostatniego spotkania ze swym trojańskim mężem. Dziesięć dni wcześniej widziała go, gdy opuszczał miasto, by zetrzeć się na ubitej ziemi z Apollem. Nigdy wcześniej nie wydawał się tak pewny siebie niż wówczas – w wytwornej zbroi z połyskliwego brązu, z zadartą głową i długimi włosami rozwianymi przez wiatr niczym grzywa rumaka; z błyszczącymi bielą zębami. Helena wraz z tysiącami wiwatujących gapiów obserwowała tę scenę z muru ponad Bramą Skajską. Parys kroczył niesiony chyżymi stopami „pyszny swoją pięknnością” jak często śpiewał ulubiony aoida króla Priama. Tamtego dnia jednak chyże nogi zaniósły księcia ku zadanej dłonią wściekłego Apolla śmierci.

I teraz już nie żyje – myśli Helena. Jeśli szeptane pogłoski, które zdołała podsłuchać, nie kłamały, jego ciało zmieniło się w wypalone truchło. Kości ma potrzaskane, a złote idealne oblicze zwęglone do makabrycznie wyszczerzonej czaszki; błękitne oczy stopione na łój. Strzępy poczerńiałego w ogniu ciała odchodzą od nadgryzionych płomieniami policzków niczym... niczym... pierwsze spieczone kawałki ofiarnego mięsa, odrzucane ze świętego ognia jako niegodne bogów.

Helena dygoce na zimnym, niosącym świt wietrze i spogląda na podnoszące się nad dachami Troi słupy dymu.

Trzy pociski przeciwlotnicze, wystrzelone z achajskich umocnień na południu, z rykiem wzbijają się pod niebo. Gonią za wycofującym się już rydwanem. Helena przelotnie zauważa olimpijski pojazd – drobna, przypominająca gwiazdę poranną iskierka, ścigana przez greckie rakiety, za którymi ciągną się siwe smugi. Po chwili, bez uprzedzenia, małe świetlik teleportuje się i poranne niebo jest już puste. Tak, tchórze, umykajcie na swój oblężony Olimp! – myśli Helena Trojańska.

Znów rozlega się wycie syren, ogłasza koniec nalotu. Ulica pod oknami Heleny – pod rezydencją Parysa, położoną tak blisko zniszczonego pałacu Priama – nagle się wypełnia biegnącymi ludźmi. Grupki mężczyzn z wiadrami w rękach pędzą na północny zachód, tam gdzie w zimowym powietrzu wciąż rozwiewają się dymy. Ponad dachami pobrzękują latające maszyny morawców. Do złudzenia przypominają szerszenie pokryte czarnymi chitynowymi pancerzami. Wrażenie dodatkowo wzmagają dziwne kolczaste podwozia i obracające się na wszystkie strony lufy miotaczy.

Część z nich, Helena wie o tym z doświadczenia i nocnych wykładów Hockenberry'ego, zapewni Troi spóźnioną osłonę z powietrza. Inne pomogą gasić pożary. Następnie mieszkańcy miasta wraz z morawcami strawią długie godziny na wyłuskiwaniu spod gruzów zdeformowanych zwłok. Helena zna w Ilionie niemal każdego i zastanawia

się, kto w tej wczesnej godzinie poranka trafił w bezsłoneczną otchłań Hadesu.

Zginęli w dniu pogrzebu Parysa. Mego ukochanego. Mojego głupiego, zdradzonego kochanka.

Helena słyszy pierwsze odgłosy krzątający służących. W drzwiach komnaty staje jej najstarsza służka – kobieta imieniem Aitra, była królowa Aten i matka Tezeusza, wprowadzona przez braci Heleny w akcie zemsty za porwanie siostry.

– Moja pani, czy mam polecić dziewczynom, by przygotowały już kąpiel? – pyta staruszka.

Helena potakuje skinieniem. Jeszcze przez moment wpatruje się w coraz jaśniejsze niebiosa – dym na północnym zachodzie początkowo gęstnieje, a potem zaczyna rzednąć, opanowany przez Trojan i morawieckie maszyny. Jeszcze przez moment ogląda bojowe szerszenie skałowców, które mkną na wschód w beznadziejnej pogoni za nieobecny już rydwanem. Dopiero wtedy odwraca się i wchodzi z powrotem do środka, cicho stąpając bosymi stopami po chłodnej, marmurowej posadzce. Musi się przygotować do uroczystości pogrzebowych Parysa, a także na spotkanie ze swym zdradzonym mężem Menelaosem. Pierwsze takie spotkanie od dziesięciu lat. Będzie to również pierwsza publiczna okazja, przy której zetkną się ze sobą osobiście Hektor, Achilles, Menelaos, Helena i wielu innych Trojan i Greków. Wszystko może się zdarzyć.

Bogowie jedni wiedzą, jak się ten koszmarny dzień zakończy – myśli Helena. W dodatku musi się uśmiechać, ignorując przygnębienie. Ostatnio bogowie pozostają głusi na modlitwy. Ostatnio bogowie nie mają ze śmiertelnikami już nic wspólnego – może tylko śmierć, zagładę i ogromne zniszczenia, jakie sprowadzają na ziemię swymi boskimi rękoma.

Helena Trojańska wchodzi do sypialni. Musi się wykąpać i ubrać stosownie na pogrzeb.

1 Cytaty z Homeryckiej „Iliady” zostały zaczerpnięte z przekładu F.K. Dmochowskiego. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Rudowłosy Menelaos stał bez słowa w swej najlepszej zbroi. Wyprostowany, nieruchomy, władczy i dumny. Zajął miejsce między Odyseuszem i Diomedesem, na czele delegacji achajskich herosów, którzy przybyli do Troi z okazji ceremonii pogrzebowej wyprawionej na cześć człowieka, który skradł mu żonę; na cześć priamowego syna, tej świni, gównojada Parysa. Nie ma minuty, by Menelaos nie myślał o tym, kiedy i jak zabić Helenę.

Nie przewidywał większych kłopotów. Widział ją po drugiej stronie szerokiej alei, niecałe pięćdziesiąt stóp dalej, na środku przestronnego, głównego placu Troi. Stała na niewysokim podium obok starego Priama. Przy odrobinie szczęścia Menelaos zdołałby tam dobiec, nim ktokolwiek miałby choć szansę go powstrzymać. Zresztą nawet gdyby los się do niego nie uśmiechnął i Trojanie zastąpili mu drogę do żony, Menelaos ściałby ich jak łan chwastów.

Menelaos nie był mężem wysokim – nie był takim szlachetnym olbrzymem jak jego nieobecny brat Agamemnon, nie był również nikczemnym gigantem jak Achilles, ten szczył o małym fiucie – dlatego rozumiał, że nie uda mu się wskoczyć na podium z ulicy. Musiałby wbiec po schodach i przebić się przez tłum zebranych tam Trojan, siekąc, rąbiąc i mordując. I bardzo dobrze.

Wiedział, że Helena nie zdoła przed nim uciec. Z podium – tarasu przylegającego do ściany świątyni Zeusa – na plac prowadziły tylko jedne schody. Kobieta mogła co prawda wycofać się w głąb budynku, lecz i tam by ją dopadł i zapędził w kozi róg. Menelaos był pewien, że zdąży ją zgładzić, nim sam padnie pod ciosami dziesiątków rozjuszonych Trojan. Między innymi Hektora, idącego na czele konduktu pogrzebowego, który właśnie ukazał się oczom oczekujących. A potem? Potem mieszkańcy Ilionu i Achajowie zapomną o swoim obłąkańczym konflikcie z bogami i znów zaczną wojować przeciwko sobie. Oczywiście żywot samego Menelaosa dobiegnie wtedy końca. Podobnie przepadnie Odyseusz, Diomedes i być może nawet sam niepokonany Achilles. W końcu na pogrzeb tej świni Parysa przybyło ledwie trzydziestu Greków, a na dziedzińcu, murach i ulicach dzielących Achajów od Bramy Skajskiej tłoczyły się tysiące Trojan.

Gra warta świeczki.

Ta myśl przeszła czaszkę Menelaosa niczym grot włóczni. Gra warta świeczki – śmierć tej niewiernej dziwki warta jest dowolnej ceny. Mimo niepogody – zimowy dzień był chłodny i szary – spod hełmu ściekały mu strużki potu, płynęły po krótkiej ryzej brodzie i skapywały z podbródka, mocząc brązowy napierśnik. Naturalnie już po wielokroć słyszał podobne kapanie, dźwięk uderzających o metal kropel, lecz zawsze dotąd był to odgłos bryzgającej mu na zbroję krwi przeciwników. Dłoń Menelaosa, wcześniej lekko oparta na wysadzonym srebrnymi zdobieniami mieczu, zacisnęła się na rękojeści tak mocno, że stracił czucie w palcach.

Teraz?

Nie, jeszcze nie teraz.

Dlaczego nie teraz? Jeśli nie teraz, to kiedy?

Nie teraz.

Skonfliktowane głosy w obolałej głowie Menelaosa – oba musiały należeć do niego, w końcu bogowie przestali już z nim rozmawiać – doprowadzały go do szału.

Zaczekaj do chwili, gdy Hektor podpali stos. Wtedy ruszysz.

Zamrugał, by strząsnąć perlący się na rzęsach pot. Nie miał pojęcia, który głos odezwał się jako ostatni – ten zachęcający do gwałtownego działania, czy ten tchórzliwy, namawiający do powściągliwości – lecz Menelaos zgodził się z podpowiedzią. Kondukt pogrzebowy dopiero co wkroczył do miasta. Żałobnicy przeszli pod olbrzymią Bramą Skajską. Nieśli ze sobą okryte jedwabnym całunem spalone zwłoki Parysa. Procesja zmierzała główną arterią Ilionu na plac wypełniony szeregami dostojników i herosów. Kobiety – w tym Helena – śledziły wydarzenia z tarasu. Już za kilka krótkich minut Hektor, starszy brat zabitego, podłoży ogień pod stos i uwaga wszystkich obecnych skupi się na płomieniach pożerających i tak zwęglone już ciało. To będzie znakomity moment. Nikt mnie nie zauważy, a potem moje ostrze znajdzie się już o dziesięć cali od zdradzieckiego serca Heleny.

Zgodnie z tradycją uroczystości pogrzebowe członków rodziny królewskiej, takich jak Parys, syn Priama, jeden z książąt Troi, ciągnęły się przez dziewięć dni wypełnionych w większości rozmaitymi okolicznościowymi igrzyskami. Organizowano między innymi wyścigi rydwanów i turnieje zapaśnicze, a całość obchodów wieńczyła zwykle rywalizacja włóczników. W tym wypadku jednak rytualne dziewięć dni, które minęły, odkąd Apollo zmienił Parysa w kupę zwęglonego mięsa, zostały wykorzystane na długi przejazd wozów z drwałami do lasów nadal porastających stoki góry Ida, wiele mil na południowy wschód od Ilionu. Morawce, te małe mechaniczne istoty, wspomogły Trojan swymi szerszeniami i innymi magicznymi przyrządami, w tym polami siłowymi chroniącymi przed ewentualnym atakiem Olimpijczyków. Atakiem, który – rzecz jasna – nastąpił. Drwale jednak sprawili się bez zarzutu.

Odpowiednią ilość drewna zwieziono do Troi dopiero teraz, dziesiątego dnia, i stos mógł wreszcie powstać, mimo że Menelaos wraz z liczną grupą achajskich przyjaciół, w tym stojącym obok Diomedesem, byli zdania, że poświęcanie płomieniom odpychających szczątków Parysa to jawne marnotrawstwo pierwszorzędnego opału. Już od wielu miesięcy zarówno Ilion, jak i ciągnące się całymi milami greckie obozowiska cierpiały na niedostatek paliwa do ognisk. Po dziesięciu latach wojny zarośla i lasy otaczające miasto zostały przetrzebione niemal bez reszty. Pobojowisko jeżyło się suchymi krótkimi pniakami. Nawet chrust skrzętnie wyzbierano już dawno temu. Achajscy niewolnicy gotowali teraz strawę dla swych panów, rozpalając ogień z wysuszonego łajna, co nie poprawiało ani smaku mięsiwa, ani paskudnego nastroju greckich wojowników.

Na czele żałobnej procesji sunęła kolumna trojańskich rydwanów. Kopyta koni zostały obleczone czarnym filcem i zwierzęta stąpały po szerokich płytach miejskiego bruku niemal bezszelestnie. Obok woźniców stali w zaprzęgach najwięksi bohaterowie Ilionu, herosi, którzy przetrwali ponad dziewięć lat pierwszej wojny i osiem

dotychczasowych miesięcy straszliwego konfliktu z bogami. Jako pierwszy jechał Polidorus, jeden z Priamowych synów. Tuż za nim pojawił się inny przyrodni brat Parysa, Mestor. Kolejny rydwan wiozł sojusznika Trojan, Ifeusa. W następnej kolejności nadjechał Laodukus, syn Antenora. Po nich oczekujący ujrzeni podróżujących wysadzanych klejnotami rydwanami starego Antenora – który jak zwykle przedłożył towarzystwo żołnierzy nad zebraną na tarasie starszyznę – kapitana Polifetesę oraz sławetnego Trasmelusa, który zastąpił współwodzącego Likami Sarpedona, zgłodzonego przez Patroklosa wiele miesięcy wcześniej, gdy Trojanie toczyli jeszcze wojnę z Grekami. Za tymi mężami do miasta wtoczył się rydwan Pilartesa – naturalnie nie tego Trojanina, którego zamordował Ajaks Wielki tuż przed wybuchem konfliktu z Olimpijczykami, lecz tego drugiego Pilartesa, który tak często walczył ramię w ramię z Elazosem i Muliusem. Do konduktu dołączyli również Perimus, syn Megasa, oraz Epistor i Melanippus.

Menelaos znał ich wszystkich. Tych wojowników i herosów, tych wrogów. Tysiące razy widział ich wykrzywione, skrwawione twarze pod wykutymi z brązu hełmami, oddalone od niego ledwie na dystans pchnięcia włóczni bądź uderzenia mieczem, dystans oddzielający go od obu głównych, najważniejszych celów – Ilionu i Heleny.

A teraz Helena stoi pięćdziesiąt stóp ode mnie. I nikt nie spodziewa się mojego ataku.

Za zaprzężonymi w stąpające cicho rumaki rydwanami nadeszli słudzy prowadzący zwierzęta przeznaczone na ofiarę. Dziesięć najlepszych wierzchowców Parysa, sforę jego myśliwskich ogarów i stado tłustych owiec. Ostatnia ofiara była szczególnie hojna i kosztowna, ponieważ od chwili rozpoczęcia boskiego oblężenia zapasy zarówno wełny, jak i baraniny kurczyły się coraz bardziej. Menelaos zobaczył też kilka starych wynędzniałych krów o krzywych rogach. Bydła nie przyprowadzono po to, by złożyć wspanialszą ofiarę – w końcu odkąd bogowie stali się wrogami, nie było komu jej poświęcać – ich tłuszcz miał sprawić, by stos zajął się gorętszym i jaśniejszym płomieniem.

Po tym zwierzęcym pochodzie wkroczyły do miasta tysiące trojańskich piechurów, zakutych w zbroje wypolerowane tak starannie, że błyszcząły nawet w ten szary zimowy dzień. Szeregi wojowników ciągnęły się za Bramę Skajską aż po równinę Ilionu. Pośrodku tej cizby sunęły mary Parysa, niesione przez tuzin jego najbardziej umiłowanych towarzyszy broni; ludzi, którzy za Priamowego syna chętnie oddaliby własne życie, lecz teraz musieli ze łzami w oczach nieść jego wielką pośmiertną lektykę.

Ciało Parysa spowijał błękitny całun, już w tej chwili przesłonięty tysiącami uciętych kosmyków włosów – wyraz żałoby podkomendnych i dalszych krewnych księcia. Hektor i członkowie najbliższej rodziny poległego mieli swoje loki dorzucić tuż przed podłożeniem ognia pod stos. Trojanie nie poprosili Achajów, by również poświęcili Parysowi swoje włosy, ale gdyby to uczynili – gdyby taką prośbę przekazał swym ludziom Achilles, główny obecnie sprzymierzeniec Hektora, gdyby co gorsza nadał jej moc rozkazu i polecił Myrmidonom, by dopilnowali jego wykonania – Menelaos osobiście stanąłby na czele buntu.

Brakowało mu towarzystwa Agamemnona. Brat zawsze wiedział, co robić. To

Agamemnon był prawowitym przywódcą Argiwów – nie ten uzurpator Achilles, a już na pewno nie trojański bękart Hektor, który uznał ostatecznie, że może wydawać polecenia wszystkim: Argiwom, Achajom, Myrmidonom i Trojanom. Nie, prawdziwym dowódcą Greków był Agamemnon i gdyby się tu dzisiaj pojawił, to albo odwiódłby Menelaosa od przeprowadzenia zuchwałego zamachu na życie Heleny, albo sam zginąłby u jego boku. Niestety Agamemnon wraz z pięcioma setkami lojalnych wojowników już siedem tygodni wcześniej wsiadł na pokład czarnego okrętu i odpłynął w kierunku greckich wysp, do Sparty. Powrócić mieli najwcześniej za miesiąc, a wyruszyli oficjalnie po to, by zwerbować nowych ochotników do wojny przeciwko bogom, natomiast w rzeczywistości z zamysłem zyskania sprzymierzeńców gotowych poprzeć rebelię wobec władzy Achillesa.

Achilles. Ten zdradziecki potwór właśnie się pojawił. Szedł tuż za szlochającym Hektorem, który kroczył wytrwale przy marach, tuląc w mocarnych dłoniach głowę martwego brata.

Na widok zwłok księcia z piersi zebranych na murach i placu rzesz Trojan wydarł się ogłuszający jęk. Stojące na dachach i blankach kobiety – niskiego pochodzenia, niezwiązane z królewskim rodem ani Heleną – podniosły śpiewny lament. Menelaos poczuł, że przedramiona mimowolnie pokrywa mu gęsia skórka. Kobięce zawroscenie zawsze działało na niego w ten sposób.

Przecież on złamał mi rękę – przypomniał sobie Menelaos, rozniecając swój słabnący gniew niczym przygasające ognisko.

Achilles – półbóg przechodzący teraz przed oczyma achajskich wodzów w ślad za posępnym orszakiem niosącym mary Parysa – złamał Menelaosowi rękę osiem miesięcy temu. Chyżonogi mężobójca uczynił to tego samego dnia, gdy oznajmił Grekom, że Pallas Atena zgładziła jego przyjaciela Patroklosa, i by dopełnić zniewagi, porwała jego ciało na Olimp. Wtedy też Achilles oświadczył, że Achajowie i Trojanie nie będą dłużej walczyć przeciwko sobie, lecz zamkną w obłężeniu świętą górę Olimp.

Agamemnon gorąco zaprotestował – sprzeciwił się wszystkiemu: arogancji Achillesa i jego próbie zagarnięcia władzy króla królów, wodza przybyłych pod Ilion greckich oddziałów. Sprzeciwił się jawnemu bluźnierstwu, jakim było wystąpienie przeciwko bóstwom, bez względu na to, kogo akurat zabiła Atena (a przecież nikt nie miał pewności, że Achilles powiedział prawdę). Najbardziej zaciekle wystąpił jednak przeciwko objęciu przez Achillesa dowództwa nad dziesiątkami tysięcy achajskich żołnierzy.

Achilles udzielił tamtego pamiętnego dnia odpowiedzi krótkiej i prostej – postanowił zmierzyć się z każdym Grekiem, któremu nie przypadła do gustu myśl o zmianie dowództwa i wypowiedzeniu wojny Olimpijczykom. Dodał, że może walczyć w osobnych pojedynkach bądź ze wszystkimi przeciwnikami jednocześnie, a ten, kto ostanie się na placu boju, będzie odtąd kierować poczynaniami Achajów.

Agamemnon i Menelaos, dumni synowie Atrydy, zaatakowali Achillesa włóczniami i mieczami, pod osłoną tarcz. Setki greckich oficerów i tysiące szeregowych włóczników obserwowały starcie w osłupiałym milczeniu.

Menelaos był co prawda zaprawionym w krwawych bojach weteranem, lecz nie

zaliczał się do grona największych herosów wojny trojańskiej. Jego brata z kolei uważano – przynajmniej podczas długich tygodni, które Achilles spędził nadąsany w namiocie – za najbardziej zapalczego i zjadłego z achajskich wojowników. Jego włócznie niemal nigdy nie chybiały celu, miecz rozcinał najgrubsze wraże tarcze niczym jedwabne zasłony i nie okazywał litości, bezwzględnie dobijając wszystkich, nawet najlepiej urodzonych przeciwników. Agamemnon był równie wysoki i potężnie zbudowany jak Achilles, i jak on był półbogiem, lecz jego ciało zbierało wojenne blizny przez dziesięć lat dłużej, a wzrok tego dnia mąciła mu wściekłość godna demona. Achilles tymczasem czekał spokojnie, na jego młodzieńczym obliczu malowało się wręcz coś bliskiego roztargnieniu.

Rozbroił braci, jakby byli małymi dziećmi. Potężnie ciśnięta przez Agamemnona włócznia odbiła się od ciała syna Peleusa i bogini Tetydy, jakby morawce otoczyły go jedną ze swoich energetycznych tarcz. Miecz Agamemnona – który wedle Menelaosa uderzył z siłą, jaka wystarczyłaby do przepołowienia kamiennego bloku – roztrzaskał się na pięknej tarczy Achillesa.

Właśnie wtedy ich rozbroił – dodatkowe włócznie i miecz Menelaosa cisnął do morza. Następnie pchnął obu pokonanych na ubity piach i zdarł z nich zbroje tak łatwo, jak wielki orzeł obdziera ze skóry bezradne ofiary. Chyżonogi mężobójca złamał Menelaosowi lewą rękę – na dźwięk kości pękającej jak wiotka gałązka z kręgu otaczających ich oficerów i wojowników podniósł się stłumiony jęk – po czym, na pozór delikatnie, uderzył otwartą dłonią i strzaskał Agamemnonowi przegrodę nosową. Na koniec zdzielił króla królów kopniakiem w żebra i przycisnął go sandałem do ziemi, spoglądając na jęczącego obok Menelaosa.

Dopiero wówczas Achilles dobył miecza.

– Poddajcie się i przysięgnijcie mi wierność, a obu was potraktuję z należnym Atrydom honorem i uczynię was swymi oficerami i sojusznikami w nadchodzącej wojnie – rzekł. – Zawahajcie się choć na mgnienie, a pošlę wasze psie dusze do Hadesu, zanim wasi przyjaciele zdążą mrugnąć. Waszymi trupami skarmię wygłodniałe sępy, byście nigdy nie otrzymali godnego pogrzebu.

Agamemnon, do wtóru pojękiwać i jęków, niemal wymiotując gorzką złością, skapitulował i przysięgnął mężobójcy wierność. Menelaos, czując ból stłuczonej nogi, popękanych żeber i złamanej ręki, już po sekundzie poszedł za przykładem brata.

Ostatecznie tamtego dnia wystąpiło przeciwko Achillesowi trzydziestu pięciu achajskich wodzów. Przed upływem godziny ulegli wszyscy bez wyjątku. Najmężniejszych Achilles skrócił o głowę, gdy odmówili mu posłuszeństwa, po czym zgodnie z przyrzeczeniem rzucił ich zwłoki ptakom, rybom i psom. Dwudziestu ośmiu jednak złożyło wymaganą przysięgę. Potem już żaden z wielkich achajskich herosów, wojowników dorównujących bitewną sławą Agamemnonowi, nie rzucił Achillesowi wyzwania. Nie uczynił tego Odyseusz ani Diomedes, ani Nestor, Ajaksowie ani Teukros. Wszyscy wysłuchali szczegółów opowieści o śmierci, jaką z rąk Ateny ponieśli Patroklos i mały synek Hektora, Skamandrios, po czym donośnymi głosami zaprzysięgli jeszcze przed zapadnięciem zmroku wypowiedzieć wojnę Olimpijczykom.

Menelaos poczuł w ramieniu tępy ból – mimo drobiazgowych zabiegów osławionego medyka Podaliriosa, syna Asklepiosa, kości nie zrosły się należycie i w takie

jak ten chłodne dni ręka nadal dokuczała – lecz oparł się pokusie i nie rozmasował rwącego miejsca. Mary z ciałem Parysa i kroczący obok nich Achilles z wolna mijali delegację Achajów.

* * *

Obleczone całunem, przysypane ściętymi włosami mary stają przed stosem, pod tarasem przylegającym do świątyni Zeusa. Kolumny wojowników zatrzymują się w miejscu. Milkną zawołania i lamenty stojących na murach kobiet. Nagle robi się tak cicho, że Menelaos wyraźnie słyszy chrapliwe oddechy koni. W pewnym momencie coś plusnęło na kamień. Jeden z rumaków zaczął sikać.

Helenos, stojący obok Priama starzec, naczelny wieszczbiarz i doradca króla Ilionu, wykrzykuje jakąś krótką mowę pogrzebową, której treść ginie w podmuchach wiatru, jaki niespodziewanie zerwał się znad morza. Zimne powiewy skojarzyły się Menelaosowi z lodowatym oddechem poirytowanych bogów. Helenos wręcza Priamowi ceremonialny sztylet. Król, mimo że niemal zupełnie łysy, ma na potylicy jeszcze kilka siwych pasemek, zachowanych być może specjalnie na tak ponure okazje. Władca Troi ucina jedno z nich ostrym jak brzytwa nożem. Niewolnik – osobisty, wieloletni sługa Priama – chwytając opadający kosmyk do złotej misy i podchodzi do Heleny, która przejmując od króla sztylet. Kobieta przez dłuższy moment przygląda się klindze, jakby miała zamiar ją wrazić we własną pierś. Na ten widok Menelaosa przeszywa lęk. Gdyby zabiła się sama, obrabowałaby go ze słodkiej zemsty, od której dzieli go przecież tylko kilka chwil. Wreszcie jednak Helena podnosi sztylet, chwytając w palce kołyszający się z boku głowy pukiel i ucina pęk. Ciemne splątane włosy sypią się do misy, a niewolnik zwraca się ku szalonej Kasandrze, jednej z licznych córek Priama.

Stos rekompensuje wszelkie wysiłki i ryzyko, z jakimi wiązało się zwiezienie drewna aż z odległej Idy. Zapiera dech w piersiach. Ponieważ na placu nie było miejsca na wymagany tradycją stos o boku stu stóp – wtedy nie zmieściłyby się tak gęste tłumy – zbudowano trzy razy mniejszy, lecz wyższy niż zwykle. Najwyżej ułożone polana sięgają poziomu świątynnego tarasu. Na szczyt prowadzą szerokie drewniane stopnie, same w sobie przypominające niewielkie balkony. Boki strzelistej układanki podtrzymują bele z niezwykle wytrzymałego drewna, które wcześniej spajały ściany pałacu Parysa.

Potęźnie zbudowani tragarze wnoszą mary na umieszczoną na samej górze platformę. Hektor czeka już u stóp szerokich stopni.

Teraz umierają zwierzęta. Mężczyźni wprawieni w sztuce rzeźniczej i zaznajomieni z religijnymi wymogami składania ofiar – Czy jest tu właściwie jakaś różnica? – pyta sam siebie Menelaos – szybko i sprawnie podrzynają gardła owcom i bydłu. Krew spływa do odświętnych naczyń, a ludzie tymczasem ściągają skóry i oddzielają tłuszcz, w którego fałdy zostają następnie owinięte zwłoki Parysa. Otulone warstwami łoju wyglądają jak pieczone mięso między pajdami miękkiego chleba.

Ofiarnicy wnoszą oskórowane zwierzęta po stopniach i rozkładają wokół ciała trojańskiego księcia. Z gmachu świątyni wychodzą kobiety – dziewice w ceremonialnych sukniach, o przesłoniętych woalkami twarzach. Niosą amfory z miodem i oliwą. Nie wolno im wejść na stos, więc wręczają naczynia gwardzistom Parysa, którym przypadł

dziś obowiązek niesienia mar. Żołnierze wnoszą je na górę i z wielką pieczołowitością rozstawiają wokół zwłok.

Następnie zostają doprowadzone ulubione wierzchowce poległego księcia. Z dziesiątki Hektor wybiera czwórkę i podrzyna im gardła długim sztyłem swego brata. Porusza się przy tym tak szybko, że nawet owe inteligentne, dumne i świetnie wyszkolone rumaki bojowe nie mają czasu na jakąkolwiek reakcję.

Ciała czterech masywnych koni wrzuca na stos sam Achilles. Wykazując się wielką gorliwością i nadludzką siłą, ciska je jedno po drugim, każdy kolejny zwierzęcy korpus ląduje na piramidzie z pni i belek wyżej niż poprzedni.

Następnie osobisty niewolnik Parysa przywodzi szóstkę ukochanych psów swojego pana. Hektor przechadza się wśród nich, głaszcze je i drapie za uszami. Po chwili przystaje i zapada w zadumę, jakby właśnie przypomniawszy sobie wszystkie chwile, gdy obserwował brata karmiącego ulubieńców okrawkami ze stołu lub gdy Parys zabierał te zwierzęta na łowieckie eskapady w góry bądź położone w głębi ładu mokradła.

Wybiera dwa ogary i daje skinieniem znak, by odprowadzono pozostałe. Czule chwyta zwierzęta za skórę na karku, jakby chciał poczęstować je kością bądź innym łakociem, po czym podrzyna im gardła cięciami tak okrutnymi, że niemal odrąbuje łby. Truchła obu psów wrzuca na stos osobiście – spadają znacznie wyżej niż zwłoki koni, lądują tuż pod marami.

Pora na niespodziankę.

Dziesięciu zakutych w brązowe zbroje Trojan i taka sama liczba identycznie odzianych achajskich włóczników wtacza na plac ciągnięty na sznurach wóz. Na wozie stoi klatka. A w klatce stoi bóg.

Stojąca na tarasie świątyni Zeusa Kasandra obserwowała ceremonię pogrzebową Parysa z narastającym przeczuciem nieuchronnej zguby. Gdy na plac wprowadzono wóz – ciągnięty przez ludzi, nie konie bądź woły – wóz wiozący skazane na zagładę bóstwo, dziewczyna niemal zemdląca.

Helena chwyciła słaniającą się przyjaciółkę za łokieć. Podtrzymała ją.

– Co się stało? – spytała szeptem Greczynka, która pospołu z Parysem sprowadziła na Troję cierpienie i śmierć.

– To szaleństwo – odpowiedziała równie cicho Kasandra, opierając się o marmurową ścianę. Nie wyjaśniła Helenie, czy ma na myśli szaleństwo własne, szaleństwo zamiaru złożenia w ofierze boskiej istoty, szaleństwo tak długiej wojny, czy może szaleństwo stojącego na dziedzińcu Menelaosa, narastające w ciągu ostatniej godziny niczym zesłana przez Zeusa straszliwa burza. Zresztą sama tego nie wiedziała.

Zniewolony Olimpijczyk, uwięziony nie tylko przez wpuszczone w podłogę wozu żelazne pręty, lecz również – i przede wszystkim – przez przejrzyste wrzeczono morawieckiego pola siłowego, nosił imię Dionizos i był dzieckiem Zeusa i Semele. Patronował winu, rozkoszom cielesnym i wszelkim ekstatycznym doznaniom. Kasandra, mimo że od dziecka wiernie służyła Apollinowi – zabójcy Parysa – w przeszłości nieraz jednoczyła się intymnie z Dionizosem. Ten bóg był jak dotąd jedynym pojmanym przez ludzi Olimpijczykiem. Powalił go boski Achilles, czary morawców uniemożliwiły mu ucieczkę za pomocą teleportacji, a do zaprzestania oporu nakłonił go chytry Odyseusz. Niewolące Dionizosa wypożyczone przez morawce pole siłowe mieniło się i falowało wokół sylwetki więźnia niczym rozgrzane sierpniowym słońcem powietrze.

Jak na Olimpijczyka, Dionizos prezentował się raczej mało okazale. Był niski – mierzył sobie ledwie metr osiemdziesiąt wzrostu – blady i pulchny nawet wedle ludzkich standardów, głowę porastała mu zmierzwiona czupryna złotobrazowych loków, a jego rzadka broda przypominała pierwszy chłopięcy zarost.

Wóz znieruchomiał. Hektor otworzył klatkę, sięgnął przez półprzepuszczalne pole siłowe i wywlókł Dionizosa na pierwszy stopień z wiodących na szczyt stosu schodów. Pomógł mu Achilles, chwytając niewysokie bóstwo za kark.

– Bogobójstwo. Obłąd i bogobójstwo – wyszeptała Kasandra.

Helena, Priam, Andromacha i wszyscy pozostali zgromadzeni na tarasie ludzie zignorowali jej słowa. Skupili spojrzenia na kredowobiałym obliczu Olimpijczyka i parze przerastających go, opalonych na brąz śmiertelników.

W kontraście do słabego głosu wieszczbiarza Helenosa, porwanego przez zimne powiewy i zagłuszonego pomrukami tłumu, tubalny okrzyk Hektora przetoczył się ponad zatłoczonym placem i wrócił odbity echem od strzelistych wież i wysokich murów Ilionu. Zapewne dałoby się herosa wyraźnie usłyszeć nawet na wierzchołku góry Ida, oddalonym przecież od Troi o wiele mil na wschód.

– Parysie, bracie mój umiłowany! Przybyliśmy tu, by cię pożegnać. I pożegnamy w taki sposób, że nasze słowa dotrą do ciebie nawet tam, dokąd się udałeś, w przepastnej otchłani Domu Śmierci. Posyłamy ci najśłodszy miód, przednią oliwę, a także twe ulubione wierzchowce i najwierniejsze z psów – ciągnął. – Ja osobiście składam ci w ofierze tego oto Olimpijczyka, syna samego Zeusa, którego tłuszcz nakarmi wygłodniałe płomienie i wspomůže twą duszę w wędrówce do Hadesu.

Hektor dobył miecza. Pole siłowe zamigotało i zniknęło. Teraz Dionizosa pętały już tylko kajdany na kostkach i przegubach.

– Czy mogę coś powiedzieć? – poprosił niski bladolicy bóg. Jego słowa nie poniosły się tak daleko, jak głos księcia.

Hektor się zawahał.

– Pozwólmy bogu przemówić! – zawołał z tarasu wieszczbiarz Helenos, stojący u boku Priama.

– Pozwólmy bogu przemówić! – zawtórował mu Kalchas, wieszczbiarz Achajów ze swego miejsca w pobliżu Menelaosa.

Hektor ściągnął brwi, lecz skinął głową.

– Czas na twe ostatnie słowa, bękarcie Zeusa. Wiedz jednak, iż nawet jeśli spróbujesz wyblagać u swego ojca ratunek, dziś nie przyjdzie ci z pomocą. Nic cię już nie ocali. Staniesz się ochłapem mięsa rzuconym w ogień stosu mego brata.

Dionizos uśmiechnął się, bynajmniej nie boskim uśmiechem. Na jego twarzy odmalował się grymas strwożonego śmiertelnika.

– Trojanie i Achajowie! – zawołał tłustawy, mikry Olimpijczyk o rzadkiej, zmierzwionej brodzie. – Nie możecie, głupcy, zabić nieśmiertelnego bóstwa. Zostałem zrodzony z łona samej śmierci. Za młodu, ja, syn Zeusa, bawiłem się zabawkami, które według przepowiedni są atrybutami przyszłego władcy świata – kośćmi, piłką, bączkiem, złocistymi jabłkami, czuryngą i wełną. Tytani jednak, których mój ojciec pokonał i strącił w czeluść Tartaru, piekła pod piekłem, dziedziny koszmaru położonej pod królestwem umarłych, w którym twój brat Parys unosi się teraz niczym smród zapomnianego pierdnięcia, umazali swe oblicza kredą, nadciągnęli niczym widma zmarłych i zaatakowali mnie. Gołymi, bladymi rękoma rozszarpali me ciało na siedem kawałków, które wrzucili do kotła ustawionego na trójnogu ponad ogniem znacznie gorętszym niż ten, jakim zapłonę dziś ten wasz wątył stosik.

– Skończyłeś? – Hektor uniósł miecz.

– Prawie – rzucił Dionizos bardziej radosnym i mocniejszym niż dotąd głosem, który odbił się od tych samych dalekich murów, przed chwilą słuchających słów Hektora.

– Ugotowali mnie, a następnie piekli na siedmiu rożnach. Woń mego przyrządzanego ciała była tak smakowita, że na ucztę Tytanów przybył osobiście Zeus, mój ojciec, w nadziei, iż doproszą go do stołu. Gdy jednak ujrzał mą dziecięcą główkę na rożnie i moje rączki w bulionie, wysmagał ich piorunami i wtrącił na powrót do Tartaru, gdzie po dziś dzień kulą się w strachu i bóleści.

– Czy to już wszystko? – spytał Hektor.

– Prawie – powtórzył Dionizos. Zadarł głowę i spojrzał na stojącego w asyście dostojników króla Priama. W tej chwili jego głos przypominał ryk dzikiego wołu. –

Niektórzy powiadają jednak, że moje ugotowane członki złożono w ziemi. Zebrać je i zasadzić miała Demeter. W ten właśnie sposób w ludzkie ręce trafiła pierwsza winorośl. Z ognia i ziemi ocalał tylko jeden z moich dziecięcych członków. Pallas Atena przyniosła ten kawałek Zeusowi, a on powierzył ten *kradiaios Dionysos*, Hippię. Tak w Azji nazywają wielką matkę Rheę, która nosiła go na głowie. W ustach ojca słowa *kradiaios Dionysos* były zabawnym żartem, ponieważ w starej mowie *kradia* oznacza „serce”, a *krada* „drzewo figowe”, więc...

– Dość! – zagrział Hektor. – Niekończącą się gadaniną nie przedłużysz swego pieskiego żywota. Skończ przemawiać w dziesięciu lub mniej słowach, albo sam to zakończę.

– Possij mi pałkę! – warknął Dionizos.

Hektor chwycił swój wielki miecz oburącz, zamachnął się, i jednym cięciem pozbawił boga głowy.

Trojanie i Grecy jak jeden mąż wstrzymali oddechy. Stłoczony na placu tłum cofnął się o krok. Bezgłowe ciało Dionizosa jeszcze przez chwilę stało na najniższym stopniu stosu, chwiejne, lecz wyprostowane, po czym runęło na ziemię niczym marionetka z przeciętymi sznurkami. Hektor podniósł ucięty czerep – Dionizos nie zdążył zamknąć ust – chwycił go za kosmyk rzadkiego zarostu i rzucił wysoko na stos. Głowa spadła pomiędzy trupy koni i psów.

Heros zaczął ciąć. Rąbał mieczem z góry, niczym siekierą. Odjął zwłokom Dionizosa ramiona, nogi i genitalia. Każdy kawałek ciskał na inną część pogrzebowego stosu. Uważał przy tym, by nie spadały zbyt blisko mar Parysa – pamiętał, że wraz z innymi będzie musiał potem przeszukać popioły, by odseparować czcigodne kości brata od niktzemnych resztek psów, koni i boga. Na koniec Hektor poszatkował tors Olimpijczyka na dziesiątki mięsistych skrawków. Większość również trafiła na stos, lecz część rzucił ocalałym psom ze sfory Parysa, które uwolnione przez opiekunów biegały po całym dziedzińcu.

Gdy ciosom miecza poddały się już ostatnie okruchy kości i chrząstek, nad tymi żalonymi szczątkami podniosła się czarna chmura – wzbiła się niczym wirujący rój niewidzialnych komarów lub niewielki wir dymu. Buchnęła tak gwałtownie, że nawet Hektor przerwał swe ponure dzieło i cofnął się o krok. Cofnęła się też zebrana na placu ciżba, w tym szeregi trojańskich piechurów i achajscy herosi. Stożące na murach kobiety wszczęły rwetes i pozasłaniały swe twarze dłońmi i woalkami.

Po chwili obłok zniknął. Hektor odrzucił ostatnie różowo-białe fragmenty ciała na stos, po czym kopnął nagie żebra z kręgosłupem między przygotowane zawczasu wiązki chrustu. Następnie książkę ściągnął z siebie zakrwawioną zbroję i przykazał sługom, by ją odnieśli. Niewolnik podsunął mu miskę z wodą i heros obmył z krwi twarz, dłonie i ramiona. Ktoś inny podał czysty ręcznik.

Czysty, ubrany jedynie w tunikę i sandały Hektor wziął do rąk złote naczynie ze świeżo ściętymi kosmykami włosów i wspiął się po szerokich stopniach na szczyt stosu. Zatrzymał się przed spoczywającymi na platformie z drewna i żywicy marami i wysypał loki bliskich bratu osób na okrywający zwłoki całun. W bramie pojawił się goniec – najszybszy biegacz Troi, zwycięzca wszystkich niedawnych zawodów. Dzierżąc w ręku

długą pochodnię, przetruchtał wśród rozstępującego się karnie tłumu wojowników i gapiów i wbiegł na stos, do boku Hektora. Przekazał mu migoczącą żagiew, uklonił się i zszedł tyłem po schodach, kłaniając się na każdym stopniu.

* * *

Menelaos podnosi spojrzenie i widzi zmierzającą nad miasto ciemną chmurę.

– Febus Apollo okrywa miasto całunem – szeptem Odyszeusz.

Z zachodu zrywa się zimny wicher. W tej samej chwili Hektor upuszcza pochodnię na ułożone pod marami, nasączone tłuszczem i żywicą drwa. Polana dymią, lecz nie stają w ogniu.

Menelaos – zawsze bardziej porywczy od swego brata Agamemnona i wielu innych opanowanych greckich zabójców i bohaterów – czuje że serce przyśpiesza mu biegu. Zbliża się chwila działania. Nie przejmuje się faktem, że być może zostało mu ledwie parę minut życia. Najważniejsze, by wrzeszcząca dusza tej dziwki Heleny trafiła do Hadesu jeszcze przed nim. Gdyby on, Menelaos, syn Atreusa, miał w tej sprawie prawo decyzji, kobieta spadłaby do najgłębszego zakątka Tartaru, gdzie dołączyłaby do Tytanów, o których opowiadał przed chwilą ścięty Dionizos, od wieków wyjątych z bólu i błędzących w ciemności.

Hektor przywołuje gestem Achillesa, który przynosi dawnemu wrogowi dwa wypełnione po brzegi puchary, po czym wraca pod stos. Hektor unosi naczynia w dłoniach.

– Wiatry zachodu i północy! – woła książę. – Wściekły Zefirze i zimnopalcy Boreaszu, zadmijcie potężnie i rozpalcie stos Parysa, wokół którego zgromadzili się wszyscy Trojanie, a nawet oddający mu cześć Argiwowie! Przybywaj Boreaszu! Nadleć Zefirze! Wspomóżcie nas swym tchnieniem, a przyrzekam wam szczodre ofiary i hojne libacje!

Stojąca powyżej na tarasie Helena zwraca się szeptem do Andromachy:

– To oblęd. Szaleństwo. Nasz ukochany Hektor przywołuje na pomoc bogów, przeciwko którym toczymy wojnę. Chce, by spopielili ciało boga, którego dopiero co sam zaszlachtował.

Zanim żona Hektora ma szansę odpowiedzieć, ukryta w cieniu Kasandra wybucha śmiechem. Priam i stojący przy władcy starcy obrzucają ją surowymi spojrzeniami.

Kasandra niezrażona milczącą naganą syczy w stronę Heleny i Andromachy.

– Szaleństwo, takk! Od początku mówiłam wam wszystkim, że to zwykłe szaleństwo. Podobnie jak szalony jest plan Menelaosa. Heleno, on chce cię zamordować, już za chwilę. I zrobi to równie krwawo, jak Hektor rozprawił się z Dionizosem.

– O czym ty mówisz, Kasandro? – Helena odpowiada szorstkim szeptem, lecz jej piękne oblicze pokrywa się bielą.

Kasandra odpowiada z uśmiechem.

– Mówię o twojej śmierci, kobieto. Zostały ci tylko minuty. Wciąż żyjesz wyłącznie dlatego, że stos nie chce się zająć.

– Menelaos?

– Twój czcigodny małżonek – śmieje się Kasandra. – Twój czcigodny były mąż.

Ten z twych mężów, którego zwęglone ciało nie gnije teraz na stercie drewnianych pali. Nie słyszysz rwanego oddechu, z jakim gotuje twoją śmierć? Nie czujesz woni jego potu? Nie słyszysz bicia plugawego serca? Ja słyszę.

Andromacha odwraca się tyłem do placu i podchodzi do Kasandry. Chce ją odprowadzić z balkonu, zabrać do wnętrza świątyni, poza zasięg ludzkich oczu i uszu.

Kassandra znów zanosi się śmiechem a w jej dłoni błyska krótki, lecz zabójczo ostry sztylet.

– Dotknij mnie, suko, a potnę cię tak, jak ty pocięłaś tego małego niewolnika, którego zwałaś swym dzieckiem.

– Milcz! – warczy Andromacha. W jej szeroko otwartych oczach pojawia się wściekły błysk.

Priam i członkowie starszyny ponownie odwracają się z karcącymi spojrzeniami. Najwyraźniej słowa kobiet nie doleciały do nich wyraźnie. Wiekowe uszy nie są już tak sprawne jak dawniej, lecz gniewny ton szeptanej rozmowy nie mógł umknąć ich uwadze.

Helenie zaczynają drżeć ręce.

– Kasandro, sama mi powiedziałaś, że wszystkie przepowiednie, które od tylu lat głosiłaś, były fałszywe. Troja wciąż stoi, mimo że prorokowałaś, że upadnie już kilka miesięcy temu. Priam żyje, nie został wcale zamordowany we własnej świątyni Zeusa. Żyją także Achilles i Hektor, a przecież od dawna z uporem twierdziłaś, że padną jeszcze przed klęską Ilionu. Nie ziściły się również twe zapowiedzi, że kobiety zostaną uprowadzone w niewolę. Ty sama nie trafiłaś do domu Agamemnona, gdzie wielki król wraz z tobą i twymi dziećmi miał zginąć z ręki Klitajmestry. A Andromacha...

Kassandra odrzuca głowę do tyłu i dławi się niemym skowytem. Hektor tymczasem wciąż wylicza kolejne ofiary i ilości słodzonego miodem wina, które zamierza ofiarować bogom wiatru w zamian za rozniecenie stosu Parysa. Gdyby ludzie w owych czasach znali już teatr, stojący na dziedzińcu widzowie uznaliby, że dramat obrócił się w farsę.

– To wszystko już odeszło – szepce Kasandra, tnąc ostrym jak brzytwa sztyletem własne przedramię. Krew spływa po jej bladej skórze i kapie na marmur tarasu. Dziewczyna jednak na nią nie patrzy. Nie odrywa spojrzenia od Andromachy i Heleny. – Dawna przyszłość już nie istnieje, siostry. Mojry nas porzuciły. Nasz świat zniknął wraz ze swą przyszłością, zastąpiony przez inny, dziwny kosmos. Klątwa jednak, którą obłożył mnie Apollo, brzemię wieszczki, wciąż pozostaje w mocy, siostry. Za kilka chwil Menelaos wdrze się na taras i wrazi ostrze swego miecza prosto między twoje piękne cycki, Heleno Trojańska. – Dwa ostatnie słowa aż ociekają sarkazmem.

Helena chwyta Kasandrę za ramiona. Andromacha wrywa jej nóż z dłoni. Obie kobiety wspólnie zaciągają dziewczynę między kolumny, w chłód zacienionej antresoli wewnątrz przybytku Zeusa. Przypierają młodą wieszczkę do marmurowej balustrady i zawisają nad nią niczym Furie.

Andromacha przytyka ostrze sztyletu do kredowobiałej szyi Kasandry.

– Przyjaźnimy się od lat, Kasandro – syczy żona Hektora – nie zapominam o tym. Ale jeśli usłyszysz od ciebie choć jedno słowo więcej, ty obłąkana cipo, podetnę ci gardło jak zarzynanej świni.

Na usta Kasandry wypływa promienny uśmiech.

Helena składa dłoń na przegubie Andromachy – trudno stwierdzić, czy chce ją powstrzymać, czy pragnie wziąć osobisty udział w zabójstwie. Druga dłoń pięknej kobiety spoczywa nieruchomo na ramieniu Kasandry.

– Czy Menelaos naprawdę przyjdzie mnie zabić? – szepce do ucha udręczonej wieszczki.

– Dzisiaj spróbuje tego dwukrotnie, i za każdym razem zostanie powstrzymany – odpowiada beznamyślnie Kasandra. Nie patrzy przyjaciółkom w oczy, lecz gdzieś w pustkę. Jej uśmiech zastyga, tężeje.

– Kiedy spróbuje? – pyta Helena. – I kto go powstrzyma?

– Po raz pierwszy zamierzy się na ciebie, gdy zapłonie stos Parysa – odpowiada Kasandra, tonem tak znudzonym i obojętnym, jakby recytowała dziecięcy wierszyk. – Po raz drugi zamachnie się, gdy płomień dogasną.

– Kto go powstrzyma? – ponawia pytanie Helena.

– Przy pierwszej próbie dłoń Menelaosa zatrzyma małżonka Parysa – mówi Kasandra. Oczy uciekły jej w głąb czaszki i w tej chwili widać jedynie białka. – Za drugim razem uczyni to Agamemnon i niedoszła morderczyni Achillesa, Pentezylea.

– Amazonka Pentezylea? – dziwi się Andromacha. Echo jej głosu rozchodzi się echem po całej świątyni Zeusa. – Przecież ona jest w tej chwili tysiąc mil stąd, podobnie jak Agamemnon. Jak to możliwe, że zdążą się tu pojawić, zanim stos Parysa dogasnie?

– Milcz! – syczy Helena i zwraca się do Kasandry, której powieki zaczynają gwałtownie trzepotać. – Powiadasz, że żona Parysa powstrzyma Menelaosa w momencie rozpalenia stosu. Jak mogłabym tego dokonać? W jaki sposób?

Młoda wieszczka mdleje i osuwa się na posadzkę. Andromacha ukrywa sztylet w fałdach swej sukni i wymierza Kasandrze kilka siarczystych policzków. Bez skutku.

Helena kopie leżącą w zębra.

– Niech ją bogowie przeklną! Jak mam zatrzymać ostrze Menelaosa? Myślę, że już tylko chwile zostały, nim...

Z piersi zgromadzonych na placu Trojan i Achajów wyrywa się potężny ryk. Do uszu kobiet dociera wyraźny szum i trzask płomieni.

Wiatry usłuchały i przybyły pomiędzy słupami Bramy Skajskiej na pogrzeb. Chrust i polana zajęły się płomieniami. Stos płonie.

Na oczach Menelaosa zerwał się zachodni wiatr i rozniecił ogień pod stosem Parysa. Najpierw pojawiło się tylko kilka chwiejnych płomyków, lecz szybko przerodziły się w huczące ognisko. Hektor ledwie uniknął pożogi. Cudem zdążył zbiec po kilku stopniach i zeskoczyć na ziemię.

Teraz, zdecydował Menelaos.

Karne dotąd szeregi Achajów rozproszyły się, gdy tłum cofnął się przed żarem. Menelaos skorzystał z zamieszania i niezauważenie przekradł się najpierw między swymi argijskimi towarzyszami, a potem przez rzędy trojańskich włócznie wpatrzonych w buchające płomienie stosu. Skierował się w lewo, ku świątyni Zeusa i jej schodom. Zauważył, że strzelające z ognia iskry – wiatr również bił w stronę uświęconego gmachu – zgoniły z tarasu Priama, Helenę i dostojników, a – co bardziej istotne – przepędziły strzegących stopni żołnierzy. Miał wolną drogę.

Zupełnie jakby bogowie stanęli po mojej stronie! – przemknęło mu przez myśl.

Może naprawdę tak właśnie się stało? – pomyślał moment później. Codziennie krążyły wśród ludzi pogłoski o kontaktach między Argiwanami i Trojanami a ich dawnymi olimpijskimi opiekunami. Sam fakt, że pomiędzy śmiertelnikami i bóstwami wybuchła wojna, nie oznaczał, że zerwaniu uległy starożytne więzy krwi i obyczajów. Dziesiątki towarzyszy Menelaosa potajemnie, nocami, składało bogom wymagane odwieczną tradycją ofiary, mimo że za dnia stawali z nimi w szranki. Czy sam Hektor nie wezwał na pomoc bogów północnego i zachodniego wiatru – Zefira i Boreasza? Czy bez ich wsparcia zdołałby rozniecić stos swego brata? A czy oni mu odmówili? Czy nie zignorowali widoku kości i krwawych członków Dionizosa? Rodzonego syna Zeusa? Tych boskich szczątków, ciśniętych w ogień niczym rzucane psom ochłapy?

Trudno się żyje w tak niepewnych czasach.

Cóż, chłopie... – w głowie Menelaosa odezwał się drugi głos, ten cyniczny, który odwodził go od zabicia Heleny. – Masz to szczęście, że nie pożyczysz już zbyt długo.

Menelaos przystanął u podnóża schodów i wysunął miecz z pochwy. Nikt nie zwrócił na ten gest uwagi. Wszyscy obecni pochłaniali wzrokiem gorejący, trzaskający trzydzieści stóp dalej stos pogrzebowy. Setki żołnierzy zamiast trzymać w dłoniach broń osłaniały twarze przed rozszalałym żarem.

Menelaos wszedł na pierwszy stopień.

Niecałe dziesięć stóp od niego, spod portyku przybytku Zeusa wyszła kobieta – jedna z zamaskowanych woalkami dziewczyc, które przedtem znosiły na stos oliwę i miód – i ruszyła prosto w stronę ognia. Skupiła na sobie spojrzenia całego tłumu i Menelaos musiał opuścić klingę. Stał tuż za nią, a nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Zrzuciła z twarzy woalkę. Stojący po przeciwnej stronie stosu Trojanie wstrzymali oddech.

– Ojnone! – zawołała jedna ze stojących na tarasie kobiet.

Menelaos zadarł głowę. Zwabieni okrzykami gapiów Priam, Helena, Andromacha i kilkanaście innych osób wrócili na zewnątrz. Niemniej to nie Helena się odezwała, lecz jedna ze służących jej niewolnic.

Ojnone? Menelaos słyszał już kiedyś to imię, w czasach poprzedzających wcześniejszą dziesięcioletnią wojnę. Nie był jednak pewien, jaka kryje się za nim osoba. Tak czy inaczej, musiał teraz ułożyć plan na najbliższe pół minuty. Od stojącej na tarasie Heleny dzieliło go ledwie piętnaście niestrzeżonych przez nikogo stopni.

– Nazywam się Ojnone i jestem prawdziwą żoną Parysa! – wykrzyknęła kobieta imieniem Ojnone. Mimo że Menelaos stał bardzo blisko, jej słowa niemal zupełnie niknęły w podmuchach porywistego wiatru i huku płonącego stosu.

Prawdziwa żona Parysa? – Menelaos osłupiał.

Ze świątyni i sąsiadujących z placem uliczek wylewały się kolejne grupki złaknionych niecodziennego widowiska Trojan. Grupa mężczyzn zajęła miejsca na schodach, obok i powyżej Menelaosa. Rudowłosy Argiw przypomniał sobie, że po uprowadzeniu Heleny część Spartan przebąkiwała, iż Parys miał żonę – kobietę przeciętnej urody i w dniu ślubu dziesięć lat od niego starszą. Wedle owych plotek odsunął ją od siebie, gdy tylko bogowie pomogli mu porwać Helenę. Ojnone.

– Nie Febus Apollo zgładził Parysa, Priamowego syna! – podjęła donośnie Ojnone.
– Ja to uczyniłam!

Wśród tłumu rozległy się krzyki, padło nawet kilka obelg. Kilku stojących w pobliżu trojańskich włóczników ruszyło ku niej – zapewne chcieli pojmać tę w oczywisty sposób oszalałą kobietę – lecz powstrzymali ich towarzysze. Większość uczestników ceremonii miała ochotę wysłuchać opowieści do końca.

Menelaos spojrział przez kurtynę ognia na Hektora. Nawet ten największy heros Ilionu nie był w stanie zainterweniować. Ojnone stała po drugiej stronie gorejącego stosu.

Ona sama tymczasem zatrzymała się tak blisko ognia, że z jej sukni podniosły się kosmyki pary. Dopiero teraz Menelaos zauważył, że kobieta jest obłana wodą, jakby z góry swój wyczyn przygotowała. Jej pełne, ciężko zwisające piersi wyraźnie rysowały się pod przemoczoną suknią.

– Parys nie zginął w płomieniach miotanych z dłoni Febusa Apollo! – Ojnone wrzasnęła niczym harpia. – Gdy dziesięć dni temu mój mąż wkroczył wraz z bogiem w nurt wolnoczasu i zniknął śmiertelnikom z oczu, doszło do uczciwej łuczniczej walki, takiej, jakiej życzył sobie Parys. Każdy miał po jednej strzale. Obaj jednak chybili. Pocisk zabójczy, który położył kres żywotowi mego małżonka, wypuścił jednak kto inny. Oto on, ten tchórz Filoktet! – wymierzyła palcem w grupkę Achajów, między którymi u boku Ajaksa Wielkiego stał wywołany z imienia starzec.

– Kłamiesz! – wrzasnął sędziwy łucznik, którego Odyseusz dopiero niedawno, już po wybuchu konfliktu z Olimpijczykami, sprowadził z wygnania na daleką wyspę.

Ojnone nie poświęciła mu nawet jednego spojrzenia. Podeszła o krok bliżej do trzaskających wściekle płomieni. Skóra jej twarzy i odsłoniętych ramion poczerwieniała z gorąca. Bijąca z wilgotnej sukni para opatulila ją niczym mgła.

– Gdy rozdrażniony niepowodzeniem Apollo tekował się już z powrotem na Olimp, ten argiowski tchórz, Filoktet, wiedziony z dawna żywioną urazą, wypuścił ze swego łuku

strzałę prosto w podbrzusze mego męża!

– Skąd możesz o tym wiedzieć, kobieto? Przecież żaden z nas nie udał się w ślad za nimi w wolnoczas. Nikt tego starcia nie widział! – zagrział Achilles głosem o stoćroć silniejszym niż słowa wdowy.

– Kiedy Apollo zorientował się, że doszło do zdrady, przeniósł mego męża na zbocza Idy, gdzie od dziesięciu lat żyłam jak na wygnaniu... – mówiła dalej Ojnone.

Tym razem – mimo kilku odosobnionych okrzyków – cały wielki plac, wypełniony tysiącami trojańskich wojowników, podobnie jak ciasne mury i dachy, na których tłoczyli się gapie, pozostał niemy. Wszyscy czekali na rozwój wydarzeń.

– Parys błagał, bym przyjęła go z powrotem... – wołała zalewająca się łzami kobieta. Zbliżyła się do stosu o kolejny krok i pasma pary podniosły się również z jej mokrych włosów. – Umierał zatruty greckim jadem... Wskutek działania tej substancji poczerniały mu jądra i ten ukochany penis. Tak żarliwie prosił, bym go uleczyła...

– W jaki sposób prosta megiera mogła go uchronić przed zabójczą trucizną? – rzucił gromko Hektor. Odezwał się po raz pierwszy, jego boski głos bez trudu przedarł się przez szum płomieni.

– Zgodnie z prorocstwem wyroczni, jedynie ja mogłam uleczyć męża ze śmiertelnej rany – wychrypiała Ojnone. Albo traciła już głos, albo to rozgrzane płomienie trzaskały coraz głośniejsze. Menelaos wciąż słyszał jej słowa wyraźnie, lecz wątpił by dolatywały do wszystkich obecnych na placu.

– Błagał mnie uniżenie – ciągnęła kobieta. – Prosił, bym pociągnęła zatrutą ranę balsamem. „Nie gardź mną”, mówił Parys. „Opuściłem cię jedynie dlatego, że Mojry rozkazały mi zwrócić się ku Helenie. Żałuję, że nie zdechłem, nim przywiodłem tę dziwkę do pałacu ojca. Błagam cię, Ojnone, zaklinam w imię naszej wzajemnej miłości i wszystkich przysiąg, jakie sobie złożyliśmy, przebac i wróć mi zdrowie”.

Menelaos widział wszystko jak na dłoni. Kobieta postąpiła dwa kolejne kroki w stronę stosu. Języki płomieni oblizyły jej kostki, nadpalone podeszwy sandałów zaczęły się zwijać od żaru.

– Odmówiłam! – krzyknęła. Coraz bardziej chrypiała, lecz wołała znacznie głośniejsze niż przed chwilą. – I Parys umarł! Umarł mój jedyny kochanek, ma jedyna miłość i jedyny mąż. Odszedł targany straszliwym bólem, kalając swe usta niewyobrażalnymi bluźnierstwami. Postanowiłam przy pomocy służek spalić jego zwłoki. Tak bardzo pragnęłam, by mój przeklęty przez Mojry małżonek otrzymał pogrzeb, na jaki zasługiwał, odprawę godną bohatera, lecz drzewa okazały się twarde i niełatwo było nam je rąbać. Jesteśmy tylko słabymi niewiastami. Nie poradziłam sobie nawet z tak prostym zadaniem. Gdy Febus Apollo ujrzał, w jak podły sposób uczciliśmy szczątki Parysa, po raz drugi ulitował się nad truchłem pokonanego wroga. Tekował jego zbezczeszczone, zwęglone zwłoki z powrotem na pole bitwy i pozwolił im wypaść z wolnoczasu, by wszyscy pomyśleli, że spłonęły w ogniu walki. Przykro mi, że go nie wyleczyłam – wołała Ojnone. – Dlatego przepraszam, przepraszam za wszystko. – Zwróciła twarz ku tarasowi, lecz zapewne nie ujrzała nikogo z zebranej tam starszyzny. Rozgrzane powietrze falowało, a czarny dym i żar boleśnie kąsały jej oczy. – Na szczęście jednak ta pizda Helena już nigdy nie zobaczy go przy życiu.

W szeregach Trojan podniósł się pomruk, który wkrótce przeszedł w głośny ryk.

Tuzin trojańskich gwardzistów rzuciło się ku Ojnone, chcieli ją odprowadzić w ustronne miejsce i przesłuchać. Spóźnili się.

Kobieta wstąpiła prosto w ogień.

Jako pierwsze w płomieniach stanęły jej włosy. Potem zajęła się suknią. Na cud zakrawało, że kobieta, której płonące ciało zmieniało się w węgiel i odpadało płatami poskręcany niczym rzucony na żar pergamin, wciąż wspinała się po drewnianych stopniach stosu. Dopiero w ostatnich sekundach, tuż zanim się potknęła i upadła, drobna sylwetka drgnęła gwałtownie w agonii. Za to wrzaski zdradzonej żony rozbrzmiewały nad placem przez ponad minutę, zmuszając do milczenia oszołomionych widzów i żałobników.

Gdy tłumy Trojan odzyskały wreszcie głos, ku tarasowi popłynął zgodny okrzyk. Mieszkańcy miasta domagali się wydania Filokteta w ich ręce.

Rozwścieczony i skonsternowany Menelaos podniósł spojrzenie. Stojących na balkonie świątyni dostojników otoczył kordon żołnierzy straży przybocznej Priama. Drogę do Heleny odciął mur okrągłych tarcz i las zjeżonych włóczni.

Menelaos zawrócił i pomknął wzdłuż stosu, czując na twarzy podmuchy gorącego wiatru, bijące z siłą ludzkiej pięści. Spłonęły mu brwi, ale nie zwrócił na to większej uwagi. Po chwili dołączył do swych argiwskich towarzyszy i uniósł miecz. Ajaks, Diomedes, Odyseusz, Teukros i pozostali zdążyli już otoczyć Filokteta zbrojnym kręgiem. Wszyscy trzymali broń w pogotowiu.

Otoczający ich Trojanie poderwali ku górze tarcze i włóczni. Niczym powodziowa fala ruszyli prosto na dwa tuziny skazanych na nieuchronną porażkę Greków.

Nagle doleciał wszystkich okrzyk Hektora.

– Stójcie! Zabraniam wam! Ojnone bredziła. Zresztą nikt nawet nie wie, czy to naprawdę ona rzuciła się dziś w ogień. Ja staruchy nie poznałem. Jej słowa znaczą tyle co nic. Obłąkana wiedźma! Mojego brata powalił w pojedynku Febus Apollo!

Wybuch herosa nie zdołał ugasić gniewnego zapachu Trojan. Groty włóczni i ostrza mieczy wciąż mierzyły w członków achajskiej delegacji. Menelaos powiódł wzrokiem po okrażonych i zauważył, że choć Odyseusz stoi ze zmarszczonym czołem, a Filoktet kuli się ze strachu, to Wielki Ajaks rozciąga wargi w szerokim uśmiechu, jakby w radosnym oczekiwaniu na ostatnią rzeź swego żywota.

Hektor przeszedł wokół stosu i zatrzymał się między grotami trojańskich pik i kręgiem Greków. Nadal nie przywdział zbroi, nie sięgnął nawet po broń, lecz wydawał się wszystkim postacią zdecydowanie najgroźniejszą.

– Ci ludzie są naszymi sojusznikami! Są także żałobnikami, sproszonymi na pogrzeb mego brata! – zawołał. – Nikt nie podniesie na nich ręki. Osobiście zabiję każdego, kto sprzeciwi się memu rozkazowi. Klnę się na kości Parysa.

Achilles zszedł z podwyższenia i podniósł tarczę. On ani na chwilę nie zdjął z siebie przepięknej zbroi i miał przy sobie broń. Stał w bezruchu i nie odezwał się słowem, lecz do Trojan dobitnie przemówiła sama jego obecność.

Spojrzenia setek żołnierzy Ilionu zwróciły się ku własnemu wodzowi, popatrzyli też na chyżonogiego mężobójcę Achillesa i wreszcie na stos, na którym dogorywało

truchło Ojnone. Rozstąpili się. Menelaos poczuł, że otaczającą go ciżbę opuszcza bojowy duch, widział malującą się na opalonych obliczach niepewność.

Odyseusz poprowadził Achajów w kierunku Bramy Skajskiej. Menelaos wraz ze swymi towarzyszami opuścili klingi, lecz nie wsunęli ich do pochew. Trojanie pozwalali im przejść, ale przez cały czas otaczali ich niczym żadne ofiary morze.

– Na bogów... – szepnął idący w centrum szyku Filoktet, gdy przeszli już pod bramą i zostawili za sobą większą część iliońskich oddziałów. – Przysięgam, że...

– Stul pysk, starcze – skarcił go potężny Diomedes. – Jeżeli przed powrotem na czarne okręty odezwiesz się choć raz jeszcze, poderżnę ci gardło własnymi rękoma.

* * *

Poza achajskimi umocnieniami, poza fosą i morawieckim polem siłowym zastali chaos. Mimo że obozujący na wybrzeżu Grecy nie mogli słyszeć o wydarzeniach w Troi, roili się jak mrówki. Menelaos wyprzedził towarzyszy i puścił się biegiem na plażę.

– Król powrócił! – zawołał mijający Atrydę włócznik i zadał w trzymaną przy ustach muszlę. – Wódz jest z nami!

Wódz, ale przecież nie Agamemnon, pomyślał Menelaos. Mój brat wróci najwcześniej za miesiąc. Być może za dwa.

Jakże wielkie było jego zdumienie, gdy zobaczył właśnie Agamemnona. Król stał na dziobie największego z trzydziestu tworzących niewielką flotyllę okrętów. W złożonej zbroi odbijały się jaskrawe promienie słońca. Smukły statek z wdziękiem rozcinał fale i sunął ku plaży.

Menelaos rzucił się przed siebie, i brodząc niezdarnie, wszedł do wody. Zatrzymał się, gdy morska piana obmyła mu nagolenniki.

– Bracie! – zawołał, jak dziecko wymachując rękoma nad głową. – Co słychać w domu? Gdzie wojownicy, których obiecałeś ze sobą przywieść?

Czarny okręt wciąż dzieliło od brzegu sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt stóp. Fale przyboju obmywały dziób. Agamemnon zasłonił oczy przed popołudniowym słońcem i odpowiedział.

– Nie ma ich, mój bracie Atrydo! Nie ma już nikogo!

Stos pogrzebowy nie zgaśnie aż do świtu.

Tuż przed zmierzchem Thomas Hockenberry zostawia za sobą płonący na głównym placu miasta ogień i rusza ku drugiej co do wysokości wieży Troi. Mimo że została jakiś czas temu poważnie uszkodzona i grozi zawaleniem, chce na jej szczycie zjeść kolację. Chleb, ser i wino. Dzień był długi i dziwny.

W odległej przeszłości Thomas Hockenberry – stopień licencjata z filologii angielskiej uzyskany w Wabash College, magisterium i doktorat z filologii klasycznej na uniwersytecie Yale – był pracownikiem Uniwersytetu Stanowego w Indianie. Co więcej, był szefem tamtejszej katedry filologii klasycznej i trwało to do roku dwa tysiące szóstego, kiedy zmarł na raka. W przeszłości mniej odległej – przez dziewięć lat z dziesięciu lat i ośmiu miesięcy, jakie minęły, został wskrzeszony w charakterze homeryckiego scholiasty na usługach olimpijskich bogów – składał codziennie ustne raporty muzeum imieniem Melete, którą informował o postępach wojny trojańskiej i zgodności jej przebiegu z tekstem „Iliady”. Okazało się bowiem, że bogowie są równie niepiśmienni jak trzyletnie dzieci.

Wieża, na której często szuka samotności, znajduje się bliżej Bramy Skajskiej niż stojącego w centrum miasta pałacu Priama. Nie wzniesiono jej przy żadnej z głównych arterii, a ostatnimi czasy otaczające ją magazyny są najczęściej puste. Wieża – jedna z najwyższych budowli w przedwojennym Ilionie; wedle dwudziestowiecznej miary liczyłaby sobie bez mała trzynaście pięter, kształtem przypominająca łodygę z makówką bądź minaret z pękającym zwieńczeniem – została oficjalnie zamknięta i nikomu nie wolno na nią wchodzić. W pierwszych tygodniach nowej wojny trzy najwyższe kondygnacje oraz połowa makówki zostały zniszczone w wybuchu zrzuconej przez Olimpijczyków bomby. Pomieszczenia na ostatnich ocalałych piętrach straciły sufity i teraz hulały w nich wiatr i deszcze. Na ścianach budowli rysują się mocno niepokojące pęknięcia, a wąskie kręte schody są usłane okruchami cegieł, kamieni i tynku. Podczas swej pierwszej wizyty w tym miejscu, dwa miesiące temu, Hockenberry strawił kilka długich godzin, oczyszczając z gruzu drogę do pękatej części na dziesiątym piętrze wieży. Morawce – na osobisty rozkaz Hektora – przegrodziły wejścia taśmami z pomarańczowego plastiku. Wymalowane na nich sugestywne rysunki przestrzegały mieszkańców miasta, że złamanie zakazu wstępu na wieżę grozi poważnym niebezpieczeństwem. Według nich mogło dojść nawet do zawalenia się konstrukcji. Karą za nieusłuchanie ostrzeżeń miał być również gniew samego króla Priama.

W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin od wydania zakazu szabrownicy dokumentnie przetrzebili wnętrza i potem okoliczni mieszkańcy rzeczywiście przestali zaglądać do środka. Nie było już po co.

Hockenberry schyla się pod taśmami, włącza latarkę i rozpoczyna długą wspinaczkę. Nie martwi go ryzyko aresztowania lub napaści. Nie martwi się, że ktoś może

mu przeszkodzić. Ma przy sobie sztylet i krótki miecz. Poza tym znają go niemal wszyscy. Thomas Hockenberry – syn Duane’a, od pewnego czasu przyjaciel... no, może nie przyjaciel, lecz z pewnością rozmówca Achillesa i Hektora, dobry znajomy zarówno morawców, jak i skałowców – jest osobą publiczną. Niewielu Greków i Trojan zdecydowałoby się podnieść na niego rękę bez chwili zastanowienia.

Bogowie natomiast... Cóż, to już zupełnie inna historia.

Zadyszki dostał przed drugim piętrzem, świszcząc zaczął, zanim dotarł na dziewiąte. Co kilka chwil przystaje dla nabrania tchu. Kiedy wdrapuje się wreszcie na zniszczone dziesiąte piętro, sapie już jak packard, rocznik 1947, którym jeździł niegdyś jego ojciec. Od ponad dziesięciu lat obserwował wszystkich tych ludzkich półbogów Trojan i Greków. Widział, jak wojują, uczują, kochają się i hulają niczym żywe reklamy najlepszej siłowni świata. Poznał również Olimpijczyków – bóstwa męskie i żeńskie – sprawiających z kolei wrażenie reklam najlepszej siłowni w całym wszechświecie. Mimo to doktor Thomas Hockenberry nie zdołał znaleźć nawet odrobiny czasu, by popracować nad własną sylwetką i kondycją. Typowe, przemyka mu przez myśl.

Wąskie schody wiją się ku górze środkiem okrągłego budynku. Nie ma tu korytarzy i z okien w małych pokojach o kształcie kawałków tortu wpada do wnętrza nieco wieczornego światła. Niemniej wieża tonie w ciemności. Pomagając sobie latarką, Hockenberry sprawdza, czy schody stoją, jak stały, i czy nie zasypały ich świeże odłamki gruzu. Na ścianach nie ma ani jednego graffiti. Cóż, to jedna z pozytywnych stron życia w społeczeństwie analfabetów, myśli sobie doktor Hockenberry.

Gdy wreszcie staje zdyszany w niewielkiej niszy na ostatnim obecnie piętrze wieży – miejscu, które własnoręcznie oczyścił z pyłu i gruzu, niestety bardzo narażonym na działanie żywiołów – jak zwykle stwierdza, że wysiłek się opłacił.

Hockenberry przysiadła na swoim ulubionym kamiennym bloku, zsuwa z ramion plecak i chowa latarkę – kilka miesięcy wcześniej pożyczył ją od jednego z morawców – po czym wyjmując zawiniątko ze świeżym chlebem i wyschniętym kawałkiem sera. Wyciąga też bukłak z winem. Czując, jak wiejąca znad morza wieczorna bryza mierzwi jego niedawno zapuszczony zarost i długie włosy, leniwie kroi wojskowym nożem ser na plastry, dzieli pieczywo na kromki i podziwiając pejzaż, pozwala odpłynąć zebranemu przez cały dzień napięciu.

Widok jest niesamowity. Panoramę przesłania tylko ocalały fragment ściany po lewej stronie, zabierający najwyżej sześćdziesiąt stopni pola widzenia. Z tym jednym wyjątkiem Hockenberry widzi całe miasto. Obserwowany z tej wysokości płonący kilka przecznic dalej stos Parys wygląda, jakby stał tuż pod wieżą. Na otaczających Troję murach ożywają kolejne ogniki pochodni i ognisk. W obozie Achajów, ciągnącym się wiele mil wzdłuż wybrzeża, także pojawiają się płomyki palenisk. Grecy szykują się do wieczornego posiłku. Ten obraz przywołuje u Hockenberry’ego wspomnienie widoku z samolotu schodzącego po zmroku do lądowania nad Lake Shore Drive w Chicago. Brzegi jeziora obwiedzione przypominającym diamentową kulię ruchomym sznurem samochodowych reflektorów i mrowie jasno oświetlonych budynków mieszkalnych. Za greckim obozem stoi na wodzie trzydzieści okrętów, ledwie w tej chwili widocznych na tle morza ciemnego jak wino. Na ich pokładach powrócił Agamemnon ze swoimi ludźmi.

Zakotwiczyli przy plaży, nie wyciągnięto ich statków na piasek. Obóz Agamemnona – przez ostatnie półtora miesiąca niemal zupełnie wyludniony – ożył dzisiejszego wieczoru blaskiem ognisk i krzątanią niewyraźnych ludzkich sylwetek.

Niebo nie jest wcale puste. Na północnym wschodzie ziele w nim ostatnia z półokrągłych dziur czasoprzestrzennych, Dziur Branowych, jak zwał, tak zwał – i tak od pół roku tę ostatnią wszyscy nazywają po prostu Dziurą. Łączy równinę Ilionu z marsjańskim oceanem. Brązowa ziemia Azji Mniejszej przechodzi gwałtownie w czerwony pył, nie dzieli ich nawet najcieńsza rysa. Na Marsie jest nieco wcześniej – wciąż widać rudawy blask zmierzchu, przez co Dziura mocno kontrastuje z otaczającym ją ciemnym ziemskim nieboskłonem.

Powyżej migocą czerwone i zielone światełka pozycyjne dwudziestki morawieckich szerszeni patrolujących nocne niebo nad Dziurą i nad miastem. Krążą nad wodami zatoki, zapuszczają się aż po niemal niknący już w mroku na wschodzie kontur lesistych stoków Góry Ida.

Mimo że słońce już zaszło i nastąpiła wczesna zimowa noc, ruch na ulicach miasta nie zamarł. Ostatni kupcy handlujący na bazarze w pobliżu pałacu Priama pozamykali już swoje kramy i odwożą wózkami towar – Hockenberry wyraźnie, mimo odległości i podmuchów wiatru, słyszy skrzypienie drewnianych kół. O tej porze ozywają boczne uliczki, na których aż gęsto od burdeli, knajpek, łaźni i kolejnych domów rozpusty. Alejki wypełniają się migocącymi pochodniami i gęstniejącym tłumem. Zgodnie z panującym w Troi obyczajem, na każdym większym skrzyżowaniu oraz we wszystkich załomach szerokich miejskich murów codziennie rozpala się wielkie, wykute z brązu koksowniki. Ich płomienie przez całą noc są podsycane oliwą i drewnem. Właśnie w tej chwili strażnicy podkładają ogień pod ostatnim z nich. Hockenberry widzi gromadzące się dokoła płomieni zmarznięte sylwetki.

Złaknieni ciepła zbierają się wokół wszystkich ogni z wyjątkiem jednego. Tego, który płonie na głównym placu Ilionu i przyćmiewa jasnością wszystkie pozostałe. Przy stosie pogrzebowym Parysa grzeje się tylko jedna samotna postać. To Hektor. Głośno zawodzi, płacze, co chwila pogania wojowników, służących i niewolników, by dokarmili wyjące płomienie świeżą porcją opału. Raz po raz sięga po wielki puchar z dwoma uchami, nabiera wino ze złotej misy i rozlewa trunek wokół stosu, przez co można odnieść wrażenie, że dzisiejszego wieczoru krwią broczy nawet sama ziemia.

Gdy Hockenberry kończy już kolację, w ciasnej klatce schodowej rozlegają się czyjeś kroki.

Serce zaczyna mu walić jak młotem. W ustach pojawia się posmak strachu. Ktoś go śledził – nie ma żadnych wątpliwości. Odgłosy stąpania są zbyt ciche, jakby intruz próbował zakraść się na szczyt wieży w tajemnicy.

Może to jakaś kobieta szuka resztek dobytku? – próbuje się pocieszyć Hockenberry, lecz ledwie nadzieja zdażyła zaświtać, natychmiast zostaje rozwiana. Ze schodów dobiega go nikły brzęk metalu, jakby grzechot brązowej zbroi. Zresztą zdażył się już przekonać, że Trojanki są znacznie groźniejsze od większości mężczyzn, jakich poznał w swym poprzednim życiu na przełomie XX i XXI wieku.

Najciszej jak potrafi podnosi się z kamienia, odkłada na bok bukłak, niedojedzony

chleb i ser, wsuwa sztylet do pochwy i ostrożnie dobywa miecza. Cofa się pod ocalały fragment muru. Zrywa się silniejszy wiatr, szarpie za poły jego czerwonego płaszcza, którym Hockenberry próbuje zasłonić ostrze.

Medalion teleportacyjny! Lewą ręką dotyka niewielkiego, umożliwiającego kwantową teleportację urządzenia, wiszącego na jego piersi pod tuniką. Skąd mi przyszło do głowy, że nie mam przy sobie nic cennego? Co prawda gdybym się nim choć raz posłużył, bogowie natychmiast by mnie wykryli i ruszyli w pościg, ale ten gadżet jest przecież wyjątkowy. Bezcenny.

Hockenberry sięga po latarkę i wyciąga ją przed siebie tak, jak zasłaniał się paralizatorem, kiedy jeszcze go miał. W tej chwili mocno za tą bronią zatęsknił.

Przychodzi mu do głowy, że osobą pokonującą właśnie ostatnie stopnie może być któryś z bogów. Od pewnego czasu mówi się w mieście, że władcy Olimpu przenikają do Ilionu pod postacią śmiertelników. A oni mają więcej niż jeden dobry powód, by go zgładzić i odzyskać skradziony medalion.

Wreszcie nieznamy wychodzi ze schodów na otwartą przestrzeń. Hockenberry włącza latarkę i rzuca snop światła prosto na przybysza.

Postać jest niska i tylko z grubsza przypomina człowieka – jej kolana zginają się do tyłu, ramiona są wyposażone w nienaturalną liczbę stawów i wymienne dłonie, a twarzy praktycznie nie ma. Wieczorny gość ma ledwie metr wzrostu i pokrywa go powłoka z plastiku i szaro-czarno-czerwonego metalu.

– Mahnmur – wita się Hockenberry z ulgą. Opuszcza latarkę, by nie razić układów optycznych małego morawca z Europy.

– Chowasz pod płaszczem miecz? – pyta Mahnmur po angielsku. – Czy może tak bardzo cieszy cię mój widok?

Hockenberry zwykle przynosi w plecaku nieco opału, dzięki któremu może rozpalić na wieży ognisko. Ostatnio korzystał głównie z wysuszonych krowich placków, lecz akurat dzisiaj zabrał ze sobą naręcz sładko pachnących gałązek sprzedawanych na czarnym rynku przez drwali, którzy zwozili drewno na stos Parysa. Hockenberry roznieca ogień, po czym siadają z Mahnmurem naprzeciwko siebie na kamiennych blokach. Dmie przenikliwy lodowaty wiatr i przynajmniej Hockenberry rozkoszuje się ciepłem płomieni.

– Nie widziałem cię już od kilku dni – zagaja, spoglądając na morawca. Blask ogniska odbija się w obiektywach na głowie Mahnmura.

– Byłem na Fobosie.

Hockenberry dopiero po chwili przypomina sobie, że Fobos jest jednym z marsjańskich księżyców. Tym bliższym. A może tym mniejszym? W każdym razie to księżyc. Obraca wzrok ku wielkiej otwierającej się na północno-wschodnim niebie Dziurze. Na Marsie także zapadła już noc i ogromne półkole jest ledwie widoczne. Można je poznać wyłącznie po tym, że tamtejsze gwiazdy wyglądają inaczej, są jaśniejsze lub jest ich po prostu więcej. Niewykluczone, że jedno i drugie. Księżyców jednak nie widać.

– Ominęło mnie coś ciekawego? – pyta Mahnmur.

Hockenberry nie może powstrzymać chichotu. Opowiada morawcowi o porannej ceremonii pogrzebowej i samospaleniu Ojnone.

– Kurza stopa... – odpowiada Mahnmur. Były scholiasta może się tylko domyślać,

że morawiec rozmyślnie posługuje się tego rodzaju wyrażeniami, ponieważ sądzi, iż były popularne w czasach ziemskiego życia Hockenberry'ego. Niekiedy trafia, innymi razy, jak dziś, jego powiedzonka są śmiechu warte.

– Nie pamiętam, żeby w „Iliadzie” pojawiała się jakakolwiek wzmianka o pierwszej żonie Parysa – podejmuje Mahnmur.

– Nie, Homer nie wspomniał o niej słowem. – Hockenberry próbuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek opowiadał o tym swoim studentom. Raczej nie.

– Scena musiała być pełna dramatyzmu, prawda?

– Owszem – przyznaje Hockenberry – chociaż nie tak jak chwila, kiedy Ojnone oskarżyła Filokteta o zabójstwo Parysa.

– Filokteta? – Mahnmur pochyla głowę w sposób kojarzący się scholiaście z psem. Ostatnio coś mu podpowiada, że morawiec wykonuje ten gest za każdym razem, gdy konsultuje się ze swoim bankiem pamięci. – Tego z dramatu Sofoklesa?

– Tak. Tego, który był pierwszym dowódcą Tesalczyków z Metoni.

– Na jego temat „Iliada” chyba też milczy – zauważa morawiec. – Zresztą tutaj także go nie widziałem.

Hockenberry kręci głową.

– Agamemnon z Odyseuszem wysadzili go po drodze, gdy płynęli pod Troję. Zostawili go na wyspie Lemnos.

– Dlaczego? – W do złudzenia przypominającym ludzki głosie Mahnmura pojawiła się nuta szczerzego zainteresowania.

– Przede wszystkim dlatego, że cuchnął.

– Cuchnął? Przecież oni wszyscy cuchną.

Ta uwaga mocno scholiastę zaskakuje. Hockenberry pamięta, że dziesięć lat temu, na początku pracy dla bogów, którzy wskresili go na Olimpie, również był tego zdania. Ale po mniej więcej sześciu miesiącach przestał ów natrętny smród odczuwać. Zastanawia się teraz, czy sam również śmierdzi.

– Filoktet cuchnął jeszcze gorzej od reszty. Rana mu ropiała.

– Rana? Jaka rana?

– Ukąsił go jadowity wąż. Wydarzyło się to, gdy... Cóż, długo by mówić. W każdym razie to typowa opowieść o człowieku okradającym bogów. Istotne jest, że stopa i noga Filokteta były w koszmarnym stanie. Z rany bez przerwy lała się śmierdząca ropa, a on sam co jakiś czas, w miarę regularnie, dostawał ataków szału bądź mdlał. Pamiętaj, że działo się to na morzu, dziesięć lat temu, kiedy Achajowie płynęli okrętami pod Troję. Ostatecznie Agamemnon posłuchał rady Odyseusza i wysadził starego łucznika na Lemnos. Jak to się mówi, żeby zgnił. W tym wypadku nie była to przenośnia.

– Ale przeżył? – dopytuje Mahnmur.

– Naturalnie, że przeżył. Podejrzewam, że z sobie tylko znanych powodów ocalili go bogowie. Niemniej przez cały czas straszliwie cierpiał. Stopa i noga nie chciały się zagoić.

Mahnmur ponownie przekrzywia głowę jak pies.

– No tak... Przypominam sobie już tę sztukę Sofoklesa. Odyseusz popłynął po niego, gdy wieszczbiarz Helenos przepowiedział Grekom, że bez łuku Filokteta nie

zdobędą Troi. A ten łuk dostał od... zaraz... jak mu było? Herkules? Herakles?

– Tak, otrzymał go w spadku – potwierdza Hockenberry.

– Tyle że nie pamiętam, by Odyseusz wracał po Filokteta. To znaczy nie ten tutejszy. Nie w ciągu ubiegłych ośmiu miesięcy.

Hockenberry ponownie kręci głową.

– Rozmyślnie nie nagłaśniali sprawy. Odyseusz zniknął na ledwie trzy tygodnie i nikt w zasadzie nie zwrócił na to uwagi. A kiedy wrócił, wyjaśnił wszystkim, że Filokteta zgarnął w zasadzie przy okazji, wracając z uzupełnionym zapasem wina.

– W tragedii Sofoklesa – podejmuje morawiec – centralną postacią był Neoptolemos, syn Achillesa. Ten, który nigdy nie poznał swego ojca. Nie mów mi, że i on tu jest?

– Nic mi o nim nie wiadomo – odpowiada Hockenberry. – Ale jest za to Filoktet. I jego łuk.

– A Ojnone oskarżyła go o zamordowanie Parysa.

– Aha. – Hockenberry ciska w ogień kilka kolejnych drewniaków.

Wirujące na wietrze iskry wzbijają się ku gwiazdom. Nad oceanem zalega nieprzenikniona ciemność, z której wypływają gęste chmury. Hockenberry stwierdza w duchu, że jeszcze przed brzaskiem może spaść deszcz. Zdarza mu się spędzać noc na tej wieży – nakrywa się wtedy płaszczem, a za poduszkę służy mu plecak – dzisiaj jednak nie ma na taki biwak szczególnej ochoty.

– Tylko w jaki niby sposób Filoktet znalazł się w wolnoczasie? – dziwi się morawiec. Wstaje i podchodzi na skraj wieży. Wyraźnie nie czuje lęku przed ziejącą pod nim, liczącą sobie ponad sto stóp czarną otchłanią. – Nanomemy, które to umożliwiają, wstrzyknięto Parysowi dopiero tuż przed pojedynkiem, prawda?

– Sam powinieneś wiedzieć – stwierdza Hockenberry. – Przecież to morawce bawią się nanotechnologią. To wy go ulepszyliście, by miał szansę zetrzeć się z bogiem.

Mahnmut wraca do ogniska, lecz nie siada. Wyciąga tylko przed siebie dłonie, jakby chciał ogrzać je w ciepłe płomienie. Być może faktycznie coś mu zmarzło, myśli scholiasta. Wie, że morawce są po części organiczne.

– Niektórzy inni herosi, na przykład Diomedes, wciąż noszą w sobie wolnoczasowe nanoklastry. Wszczepiała je im Atena i kilka innych bóstw – przypomina Mahnmut. – Ale masz rację. Tylko Parys prosił, by je odświeżyć, ze względu na planowaną walkę z Apollem.

– A Filokteta nie było w Troi przez całe ostatnie dziesięć lat – podejmuje Hockenberry. – Nie sądzę, że to któryś z Olimpijczyków przyśpieszył go wolnoczasowymi nanomemami. Bo przecież tu chodzi o przyśpieszenie człowieka, a nie o spowalnianie czasu, mam rację?

– Masz – przytakuje morawiec. – Określenie wolnoczas jest mylące. Osobie przebywającej w wolnoczasie wydaje się, że czas się zatrzymał, a wszystko i wszyscy zamarli jak muchy w bursztynie. W rzeczywistości jednak to ulepszony organizm działa w nadzwyczajnym tempie. Czas reakcji takiego śmiałka liczy się w milisekundach.

– A jak to się dzieje, że ci ludzie nie płoną? – ciekawi się Hockenberry. Scholiasta mógł sam wejść w wolnoczas w ślad za Apollem i Parysem. Prawdę powiedziawszy,

gdyby był wtedy w pobliżu, tak właśnie by zrobił. Bogowie wprowadzili do jego krwiobiegu nanomemy właśnie w tym celu i już po wielokroć obserwował Olimpijczyków usprawniających przed bojem swych greckich bądź trojańskich ulubieńców. – Wiesz, mam na myśli tarcie. O powietrze czy coś tam... – urwał niepewnie. Nigdy nie był mocny z fizyki.

O dziwo jednak Mahnmut pokiwał głową, jakby scholiasta powiedział coś sensownego.

– Oczywiście, że normalnie ciało przyspieszonej osoby uległoby spaleni. Nawet nie trzeba do tego tarcia, wystarczyłoby samo wytwarzane przez taki organizm ciepło. Ale nanoklastry zajmują się i tym. Energia cieplna zostaje błyskawicznie przetworzona i zasila wytwarzane nanotechnologicznie pole siłowe.

– Takie, jakim dysponuje Achilles?

– Właśnie takie.

– A czy istnieje możliwość, że Parys spłonął w wyniku jakiejś nanoawarii? – podsuwa Hockenberry.

– Mało prawdopodobne – oświadcza Mahnmut i przysiadła na niewielkim kamieniu. – Ale po co Filoktet miałby zabijać Parysa? Przychodzi ci do głowy jakikolwiek motyw?

Hockenberry wzrusza ramionami.

– Poza „Iliadą”, w niehomeryckich wersjach dziejów wojny trojańskiej to rzeczywiście Filoktet morduje Parysa. Zabija go z łuku. Zatrutą strzałą. Dokładnie tak, jak w opowieści Ojnone. Poza tym sam Homer napomyka o sprowadzeniu Filokteta pod Troję w związku z przepowiednią głoszącą, iż miasto upadnie tylko wtedy, gdy on weźmie udział w walkach. Zdaje się w drugiej księdze...

– Tyle że teraz Grecy i Trojanie są sojusznikami.

Hockenberry nie potrafi powstrzymać cisnącego mu się na usta uśmiechu.

– Cały ten sojusz wisi na cienkim włosku. Sam dobrze wiesz, że w obu obozach można znaleźć wielu niechętnych przymierzu. Z wojny przeciwko bogom nie cieszy się właściwie nikt poza Hektorem i Achillesem. Wybuch kolejnego buntu to tylko kwestia czasu.

– Ale Hektor i Achilles są razem praktycznie nie do pokonania. I mimo wszystko mają za sobą dziesiątki tysięcy lojalnych Achajów i Trojan.

– Jak na razie – zauważa scholiasta. – Być może sami bogowie coś tu knują.

– Zatem podejrzewasz, że to oni pomogli Filoktetowi wejść w wolnoczas? – pyta Mahnmut. – Po co mieliby to robić? Z zasady brzytwy Ockhama wynika, że jeżeli zależało im na śmierci Parysa, mogli po prostu pozwolić zgładzić go Apollinowi. O czym zresztą do dzisiaj wszyscy byli przekonani. Do momentu wystąpienia Ojnone. Dlaczego mieliby woleć, by zabił go jakiś Grek... – Morawiec milknie na moment. – Ach, no tak! – szepce.

– Właśnie – podejmuje Hockenberry. – Olimpijczykom zależy na jak najszybszym wybuchu powstania przeciwko władzy Achilleasa i Hektora. Chcą ich usunąć, doprowadzić do zerwania sojuszu, marzą, by Grecy i Trojanie znów zaczęli się wzajemnie wyrzynąć.

– I dlatego skorzystali z trucizny – domyśla się Mahnmut. – Parys musiał przeżyć dostatecznie długo, by powiedzieć swej pierwszej żonie, z czyjej ręki naprawdę poległ. Teraz Trojanie zechcą się mścić i nawet ci Grecy, którzy dotąd pozostawali lojalni wobec Achilleasa, staną do walki we własnej obronie. Sprytnie pomyślane. A czy wydarzyło się dziś coś innego, równie zajmującego?

– Agamemnon wrócił.

– Pieprzysz? – rzuca Mahnmut.

Muszę mu wyjaśnić kilka leksykalnych kwestii, myśli Hockenberry. Mam wrażenie, że rozmawiam z jednym ze swoich studentów.

– Ależ skąd. Nie pieprzę – mówi. – Pojawił się miesiąc bądź dwa za wcześnie i przywiózł z domu mocno zaskakujące wieści.

Zaintrygowany Mahnmut nachyla się ku scholiaście. Chociaż może Hockenberry nietrafnie interpretuje mowę ciała małego cyborga. Na gładkiej, metalowo-plastikowej twarzy morawca widać tylko odbicie płonącego ogniska. Scholiasta odchrząkuje.

– W Sparcie nie zastali nikogo – mówi. – Wszyscy zaginęli. Wyparowali.

Spodziewał się jakiegoś wyrazu zdumienia, lecz morawiec po prostu czeka w milczeniu.

– Wszyscy zniknęli – ciągnie Hockenberry. – Nie tylko w Mykenach, dokąd najpierw popłynął Agamemnon, i nie tylko Klitajmestra, jego żona, i syn Orestes, i cała rodzina, ale wszyscy. Miasta świecą pustkami. Na stołach zostały niedojedzone posiłki. Zamknięte w stajniach konie zdychają z głodu. Psy wyją do zimnych palenisk. Niewydojone krowy ryczą na pastwiskach. Owce włóczą się nieostrzyżone. Flotylla Agamemnona odwiedziła wiele osad na Peloponezie i dalej, w Lacedemonie. Wszędzie pustka. Także na Odysowej Itace.

– Owszem – rzuca zwięźle Mahnmut.

– Zaraz, ciebie to wcale nie dziwi – zauważa scholiasta. – Ty o tym już wiesz! Morawce wiedzą, że greckie miasta i królestwa opustoszały. Jak to?!

– Pytasz, skąd się dowiedzieliśmy? – upewnia się Mahnmut. – To proste. Od przybycia monitorujemy te okolice z orbity. Wysłaliśmy tam również zdalnie kierowane sondy, które zbierają informacje. Na Ziemi poprzedzającej twoje czasy o trzy tysiące lat, trzy tysiące lat przed XX wiekiem, można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.

Hockenberry'emu odbiera mowę. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że morawce mogą się interesować czymkolwiek poza Troją, polami bitew, Dziurą, Marsem, Olimpem, bóstwami i może marsjańskimi księżycami. Jezu, naprawdę jeszcze im mało?

– Więc powiedz... Kiedy oni właściwie... zniknęli? – duka wreszcie scholiasta. – Agamemnon rozpowiada wszem wobec, że część jedzenia nie zdążyła się jeszcze zepsuć.

– Sporo zależy od definicji świeżości – odpowiada Mahnmut. – Według naszych danych ludzie zniknęli mniej więcej cztery i pół tygodnia temu. Tuż zanim flotylla Agamemnona dotarła do wybrzeży Peloponezu.

– Chryste Panie... – szeptem Hockenberry.

– Właśnie.

– Widzieliście moment zniknięcia? Macie jakieś zapisy? Z kamer satelitarnych, sond czy czegoś?

– Jakby to powiedzieć... W jednej chwili wszyscy byli na miejscu, zaraz potem już nie. Doszło do tego o drugiej w nocy czasu lokalnego, więc niespecjalnie można mówić o spektakularnym wydarzeniu... Przynajmniej w greckich miastach.

– Przynajmniej w greckich miastach... – powtarza otępiałym głosem scholiasta. – Zaraz, chcesz przez to powiedzieć, że... znaczy... czy... no... W pozostałych regionach świata też nikogo już nie ma? Na przykład... w Chinach?

– Tak.

Nagły podmuch smaga szczyt wieży i rozsypuje na wszystkie strony iskry z ogniska. Hockenberry zasłania twarz dłońmi, przeczekuje ognistą zamieć, po czym otrzepuje popiół z płaszcza i tuniki. Kiedy wiatr ustaje, wrzuca w płomienie resztkę opału.

Poza Troją i Olimpem – który, jak się dowiedział osiem miesięcy temu, wcale nie znajduje się na Ziemi – Hockenberry odwiedził tylko jedno miejsce na tej dawnej Ziemi, prehistoryczną Indianę, gdzie zostawił jedyne poza sobą ocalałego scholiastę, Keitha Nightenhelsera, którym zaopiekowali się lokalni Indianie. Zrobił to, by uchronić kolegę przed morderczym szalem Muzy. Teraz odruchowo dotyka zawieszzonego na piersi medalionu teleportacyjnego. Muszę sprawdzić co z Nightenhelserem, stwierdza w duchu.



– Zniknęli wszyscy – odzywa się morawiec, jakby czytając mu w myślach. –
Wszyscy z wyjątkiem ludzi w promieniu pięciuset kilometrów od Troi. Afrykanie,
Indianie z Ameryki Północnej. Indianie południowoamerykańscy. Chińczycy
i australijscy aborygeni. Polinezyjczycy. Zamieszkujący północne rubieże Europy
Hunowie, Duńczycy i przodkowie wikingów. Protomongołowie. Wszyscy. Według
pobieżnych ocen około dwudziestu dwóch milionów ludzi.

– To niemożliwe – zapiera się Hockenberry.

– Rozumiem, że tak myślisz.
– Jaką mocą trzeba dysponować, żeby...
– Boską – ucina Mahnmut.
– Ale przecież nie mogli tego zrobić nasi bogowie z Olimpu. Oni są tylko... no, tylko...

– Silniejszymi ludźmi? – przerywa morawiec. – Owszem, sami tak myślimy. W grę wchodzi udział innych sił.

– Bóg? – szepce Hockenberry, człowiek wychowany w głęboko religijnej rodzinie baptystów z Indiany, który dopiero w dorosłości zrezygnował z wiary na rzecz nauki.

– Cóż, niewykluczone – przyznaje Mahnmut. – Lecz w takim wypadku musiałby mieszkać na Ziemi. Dokładnie w chwili zniknięcia żony i dzieci Agamemnona zarejestrowaliśmy pochodzącą z powierzchni planety silną falę energii kwantowej. Ewentualnie jej źródło mogło się znajdować gdzieś na niewysokiej orbicie.

– Z Ziemi, powiadasz? – powtarza Hockenberry. Rozgląda się wśród nocy. Spogląda na płonący poniżej stos, na tętniące po zmroku miasto, na odległe iskierki obozowych ognisk Achajów i nieskończenie dalekie gwiazdy. – Czyli stąd?

– Nie, nie z tej Ziemi – prostuje morawiec. – Z tej drugiej. Twojej. W dodatku wiele wskazuje, że niedługo się tam wybierzemy.

Serce scholiasty bije przez moment tak mocno, że zaczyna się obawiać o swoje zdrowie. Dopiero po chwili uświadamia sobie, że Mahnmut nie ma na myśli jego prawdziwej Ziemi – świata dwudziestego pierwszego wieku, świata sprzed dnia wskrzeszenia na Olimpie, dokonanego za pomocą odzyskanych strzępów DNA, książek i Bóg wie czego jeszcze, świata, z którego okruchy wspomnień z wolna do niego wracały, ukazując uniwersytet w Indianie, żonę i studentów. Nie. Morawiec mówił o Ziemi współczesnej z terraformowanym Marsem, o całe trzy tysiące lat starszej niż planeta, na której Thomas Hockenberry spędził swój krótki i wcale nie tak znowu szczęśliwy żywot.

Nie jest w stanie dłużej siedzieć w jednym miejscu. Wstaje i przechadza się tam i z powrotem po dziesiątym piętrze zniszczonej wieży. Podchodzi do spękanej północno-wschodniej ściany, zerka w dół z południowej i zachodniej krawędzi. Mały, trącony sandałem scholiasty kamyk spada w liczącą sto stóp przepaść i niknie gdzieś w mroku ulicy. Wiatr tarmosi płaszcz i rozwiewa długie, siwiejące już włosy Hockenberry'ego. Rozum już od ośmiu miesięcy podpowiadał mu, że widoczny przez Dziurę Mars istnieje w jakiejś przyszłej wersji Układu Słonecznego, w którym istnieją też wszystkie inne planety, lecz ani razu nawet nie pomyślał poważnie, że gdzieś tam naprawdę czeka na niego druga Ziemia.

Właśnie na tamtej planecie rozsypały się w pył i zmieszały z ziemią kości mojej żony, myśli. W oczach mężczyzny stają łzy, a jednocześnie ma ochotę wybuchnąć śmiechem. Kurwa, przecież moje też.

– W jaki sposób chcecie polecieć na Ziemię? – pyta i natychmiast dociera do niego, że zadał kretyńskie pytanie.

Zna przecież historię Mahnmuta, który wraz ze swoim okazałym rozmiarów przyjacielem Orphu wyprawili się na Marsa z okolic Jowisza, zresztą w towarzystwie kilku innych morawców, którym nie udało się przetrwać pierwszego kontaktu

z bóstwami. Widzisz, Hockenbush, oni mają statki kosmiczne. Owszem, większość pojazdów, którymi poruszały się skałowce i morawce, pojawiła się w okolicach Troi jakby za sprawą czarów, wyleciały z kwantowych Dziur, które pomagał otworzyć sam Mahnmut, lecz nie straciły przecież zdolności do podróży w otwartej próżni.

– Na powierzchni i orbicie Fobosa trwa właśnie budowa odpowiedniego statku – odpowiada cicho morawiec. – Tym razem nie polecimy tam sami. I zabierzemy ze sobą broń.

Hockenberry wciąż nie potrafi się uspokoić. Staje na skraju kruszącej się posadzki i czuje przemożną pokusę, by rzucić się w dół – to dziwne pragnienie nawiedza go od dziecka, zawsze, gdy znajdzie się odpowiednio wysoko. Czy właśnie dlatego tak lubię tu przychodzić? Bo myślę o skoku, o samobójstwie? Uświadamia sobie, że tak. Że od ośmiu miesięcy żyje na świecie sam jak palec. A teraz stracił nawet Nightenhelsera, który zapewne wyparował wraz z Indianami, wessany przez ten kosmiczny odkurzacz, który niecały miesiąc temu wymiółł wszystkich mieszkańców Ziemi, z wyjątkiem tych biednych popieprzonych Trojan i Greków.

Doskonale zdaje sobie sprawę, że może przekreślić obwódki medalionu teleportacyjnego i w jednej chwili przenieść się do Ameryki Północnej. Tam, w prehistorycznej Indianie poszukałby porzuconego osiem miesięcy wcześniej kolegi. Wie jednak zarazem, że Olimpijczycy wykryliby zakłócenia w przestrzeni Plancka i w ten sposób wpadli na jego trop. Właśnie dlatego nie tekował się już od ośmiu miesięcy.

Podchodzi do ogniska i spogląda z góry na małego morawca.

– Do cholery, po co mi o tym powiedziałaś?

– Chcemy, żebyś dołączył do załogi – odpowiada Mahnmut.

Hockenberry opada ciężko na kamień. Dopiero po chwili udaje mu się wykrztusić pierwsze słowo.

– Ja? Po co? Do czego mógłbym się wam przydać podczas takiej wyprawy?

Mahnmut wzrusza ramionami. Bardzo ludzkim gestem.

– Urodziłeś się tam – stwierdza prostolinijnie. – Tyle tylko, że kiedy indziej. Wiesz, na tamtej Ziemi wciąż mieszkają ludzie.

– Naprawdę? – Hockenberry jest świadom, że pytanie zabrzmiało idiotycznie. Aż do tej pory nie przyszło mu to do głowy.

– Naprawdę. Choć nie jest ich wielu. Większa część twojej rasy wyewoluowała w postludzi, którzy tysiąc czterysta lat temu przenieśli się do miast w orbitalnych pierścieniach. Niemniej nasze obserwacje wskazują, że na Ziemi wciąż żyje jakieś kilkaset tysięcy ludzi dawnego typu.

– Ludzie dawnego typu... – powtarza Hockenberry, nie próbując nawet kryć oszołomienia. – Takich jak ja.

– Takich jak ty – rzuca Mahnmut, po czym wstaje. Jego twarz i układ optyczny zawisają na wysokości talii scholiasty. Hockenberry, mężczyzna niewysoki, zaczyna nagle rozumieć, jak czują się rozmawiający ze śmiertelnikami bogowie. – Naszym zdaniem powinienes polecieć. Okazałbyś się niezmiernie pomocny, gdyby udało się nam skontaktować z zamieszkującymi tę przyszłą Ziemię ludźmi.

– Chryste Panie... – wrywa się z piersi Hockenberry'ego. Ponownie staje nad

przepaścią i myśli o tym, jak łatwo byłoby wykonać ten jeden krok w ciemność. Tym razem nie mógłby już liczyć na wskrzeszenie. – Chryste Panie – powtarza.

Wyławia wzrokiem sylwetkę Hektora. Heros stoi przy stosie brata i nieprzerwanie rozlewa na ziemi wino, ponagając służących, by dorzucali do ognia.

To ja zabiłem Parysa, stwierdza w duchu scholiasta. To ja zabiłem wszystkich mężczyzn, kobiety, dzieci i bogów, którzy zginęli, odkąd morfowałem w Atenę i porwałem Patroklosa, by udąć, że go zamordowałem. Zrobiłem to po to, by sprowokować Achillesa do wystąpienia przeciwko Olimpijczykom.

Niespodziewanie Hockenberry zanosi się gorzkim śmiechem. Nie wstydy się stojącej za jego plecami maszyny. Niech sobie nawet morawiec uzna, że zwariowałem. Bo przecież zwariowałem. To wszystko zakrawa na obłąd. Jeżeli wciąż nie rzuciłem się z tej wieży, to wyłącznie dlatego, że czułbym, że migam się od obowiązku. Nadal mam wrażenie, że muszę obserwować rozwój wypadków, jakby Muza i bogowie nawet i dziś spodziewali się mojego raportu.

Tak, nie ma wątpliwości, oszalałem bez reszty. – W oczach stają mu łzy. Nie po raz pierwszy. Takich chwil pamięta znacznie więcej.

– Doktorze Hockenberry, polecisz z nami na Ziemię? – pyta Mahnmur półgłosem.

– Tak, pewnie. Kurde, czemu nie? Kiedy?

– Może od razu?

Bezgłośny szerszeń z wyłączonymi światłami zapewne przez cały czas szybował kilkaset metrów nad nimi. Czarna kanciasta maszyna wynurza się z mroku tak niespodziewanie, że Hockenberry niemal spada z wieży na bruk.

Odzyskuje równowagę dzięki wyjątkowo silnemu podmuchowi wiatru. Odsuwa się od przepaści dokładnie w chwili, gdy z owadziego podbrzusza pojazdu opuszcza się rampa. Trap głucho stuka o kamienną posadzkę. Ze statku wylewa się czerwona poświata.

– Proszę przodem, doktorze – zaprasza morawiec.

Dopiero co zajaśniały pierwsze promienie świtu. Zeus siedział samotnie w wielkiej sali Dworu Bogów. Z zamyślenia wyrwało go przybycie małżonki. Hera weszła, prowadząc na złotej smyczy psa.

– To ten? – spytał ze swego złotego tronu Król Bogów.

– Tak. – Hera skinęła głową i odpięła smycz. Zwierzak przysiadł.

– Wezwij swego syna – rozkazał Zeus.

– Którego?

– Naszego wielkiego rzemieślnika. Tego, który pożąda Ateny do tego stopnia, że ruchał jej udo, jak uczyniłby to ten psiak, gdybyśmy go nie ułożyli.

Hera odwróciła się na pięcie. Pies ruszył za nią.

– Nie, jego mi zostaw – rzucił Gromowładny.

Hera przykazała zwierzęciu usiąść. Pies usłuchał.

Był duży. Porastała go siwa, krótka i lśniąca sierść. Miał łagodne piwne ślepia, jakimś cudem spoglądające jednocześnie tępo i przebiegle. Zwierzę zaczęło się przechadzać po komnacie. Głośno drapiąc pazurami o marmurową posadzkę, okrążył kilka razy zeusowy tron. Obwąchał sandały i obnażone palce Władcy Błyskawic, syna Kronosa. Potem skierował się na brzeg wielkiego holowizyjnego basenu, aż wreszcie – zupełnie niezainteresowany widocznymi na powierzchni zakłóceniami – poczłapał ku odległej kolumnie.

– Noga! – zaordynował Zeus.

Pies odwrócił się na moment ku Gromowładnemu, ale zaraz znów spojrzął przed siebie. Przytknął nos do kolumny i zaczął się znacząco kręcić.

Zeus zagwizdał.

Pies zadarł łeb, rozejrzał się i zastrzygł uszami, lecz nie przybiegł.

Pan Olimpu gwizdnał raz jeszcze i zaklaskał.

Wtedy szare psisko podbiegło, kołysząc bokami, z wywieszonym jęzorem i uszczęśliwionym spojrzeniem.

Zeus zszedł z tronu i pogłaskał zwierzę. Zaraz potem wyciągnął ukryty w szacie sztylet i jednym ruchem mocarnego ramienia oderznął psu głowę. Czerep poturlał się na skraj basenu, tułów padł bezwładnie na podłogę. Przednie łapy wyciągnęły się do przodu, jakby pies przywarował w nadziei na jakiś tłusty kąsek.

W drzwiach, kilkadziesiąt metrów dalej, pojawiła się wracająca z Hefajstosem Hera. Podeszli do Gromowładnego.

– Znów zabawiasz się zwierzętami, mój panie? – spytała bogini.

Zeus machnął zdawkowo ręką, wsunął nóż do rękawa tuniki i z powrotem zasiadł na tronie.

Jak na boga, Hefajstos był wręcz karłowaty, a w dodatku nadmiernie rozrośnięty w barach. Mierzył sobie niecały metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Przypominał

wielką włochatą bekę. Chodząc, patron ognia włóczył za sobą chromą lewą nogę jak kawał drewna. Miał rozczochrane włosy i krzaczastą brodę, która zlewała się z porastającymi mu pierś włosami. Raz po raz łypał dokoła przekrwionymi oczyma. Na pierwszy rzut oka można było uznać, że przyszedł zakuty w zbroję, lecz po uważniejszym przyjrzeniu okazywało się, że jego strój składa się z setek maleńkich szkatulek i sakiewek, a także puzderek oraz rozmaitych narzędzi i urządzeń – niektóre wykute z drogocennych metali, inne ze zwykłego żelaza, część uszyto ze skóry, jeszcze kolejne upleciono z włosów. Wszystkie wisiały na szerokich pasach krzyżujących się na bujnie owłosionym torsie boga. Hefajstos, najprzedniejszy pośród kowali, zasłynął na Olimpie tym, że zbudował niegdyś kobiety ze złota, mechaniczne dziewice, które poruszały się, rozdawały uśmiechy i zaspokajały mężczyzn zupełnie jak żywe. Niektórzy powiadali, że to właśnie w jego alchemicznych kadziach powstała pierwsza kobieta, Pandora.

– Witaj, rzemieślniku – zagrmiał Zeus. – Byłbym wezwał cię wcześniej, lecz nie miałem ani dziurawych garnców ani tarcz do naprawy.

Hefajstos przyklęknął przy bezgłowym zewłoku psa.

– Nie musiałeś tego robić – wymamrotał. – Nie było takiej potrzeby. Naprawdę nie.

– Nic, tylko mnie drażnił... – Zeus sięgnął po stojący na oparciu złotego tronu puchar i upił solidny łyk.

Hefajstos odwrócił psa na bok i przeciągnął zgrubiałą dłońią po jego żebrach, jakby chciał podrapać zwierzę po brzuchu. Nacisnął i otworzyła się pokryta skórą i sierścią klapka. Bóg płomieni wsunął rękę w psie trzewia i wydobył z nich przejrzystą torebkę, wypełnioną okrawkami mięsa i innych pokarmów. Otworzył ten żołądek i wyjął z niego różowy, wilgotny kąsek.

– Dionizos – oświadczył.

– Mój syn – dodał Gromowładny i rozmasował sobie skronie, jakby miał już wszystkiego serdecznie dosyć.

– Czy mam zanieść ten ochłap Uzdrowicielowi i polecić mu umieścić go w kadzi, Synu Kronosa? – spytał patron ognia.

– Nie. Każemy go zjeść jednemu z nas, by moje dziecko mogło się odrodzić wedle własnego życzenia. Co prawda tego rodzaju komunia sprawia nosicielowi niemały ból, lecz może ta mała demonstracja nauczy resztę Olimpijczyków ostrożności. Powinni staranniej strzec mych dzieci.

Zeus spojrział na Herę. Bogini podeszła bliżej i przysiadła na drugim stopniu wysokiego tronu. Prawe ramię złożyła czułym gestem na udzie męża, blada dłoń musnęła jego kolano.

– Nie, mężu – odezwała się cicho. – Proszę cię.

– Zatem ty wybierz, żono. – Zeus się uśmiechnął.

– Afrodyta – zdecydowała bez zająknięcia. – Już dawno nawykła do przyjmowania w usta fragmentów męskich ciał.

Zeus pokręcił głową.

– Nie, nie Afrodyta. Odkąd sama opuściła kadź, nie uczyniła niczego, czym sprowokowałaby moje niezadowolenie. Nie powinniśmy raczej pomyśleć o Pallas Atenie, nieśmiertelnej, która, pochopnie mordując Patroklosa, umiłowanego druha Achillesa,

ściągnęła na nasze głowy wojnę ze śmiertelnikami? Przypominam, że uśmierciła również małe dziecię Hektora.

Hera zsunęła rękę z nogi Gromowładnego.

– Atena wypiera się udziału w tych czynach, Synu Kronosa. A śmiertelni powiadają, że podczas zabójstwa hektorowego dziecka Atenie towarzyszyła Afrodyta.

– W archiwum basenu znajduje się nagranie dokumentujące śmierć Patroklosa. Czy chcesz, żono, bym je odtworzył? – Mimo że Zeus przemawiał półszepem, jego głos niósł się niczym echo odległych grzmotów. Dała się w nim słyszeć nuta narastającego gniewu. Podobne pomruki rozlegały się na Dworze Bogów, kiedy zanosilo się na burzę.

– Nie, mój panie – odparła Hera. – Sam jednak wiesz, że Atena twierdzi, iż to ów zaginiony scholiasta, ten Hockenberry, przyjął jej postać i dopuścił się obu zabójstw. Klnie się na swą miłość do ciebie, zapewnia, że...

Zniecierpliwiony Zeus poderwał się z miejsca i odszedł od tronu.

– Morfujące bransolety scholiastów nie zostały pomyślane w sposób umożliwiający śmiertelnikom skuteczne podszywanie się pod bóstwa. Nawet na krótką chwilę – warknął. – To niemożliwe. Odpowiedzialny za te śmierci jest jeden z Olimpijczyków. Atena bądź inny z naszych krewniaków, który przybrał jej kształt. Ale dość o tym. Zdecyduj, kto przyjmie ciało i krew mego syna Dionizosa.

– Demeter.

Zeus pogłaskał się po krótko przyciętej siwej brodzie.

– Demeter. Moja własna siostra? Matka tak drogiej memu sercu Persefony?

Hera wstała, wycofała się i bezradnie rozłożyła alabastrowe dłonie.

– Czyż można na naszej górze znaleźć bóstwo niespokrewnione z tobą, mężu? Sama wszak jestem twoją siostrą. A Demeter zebrała już nieco doświadczenia z wydawaniem na świat niecodziennego potomstwa. Poza tym ostatnio nie ma zbyt wielu zajęć. Śmiertelnicy ani nie sieją, ani nie zbierają plonów.

– Zatem postanowione – uznał Gromowładny, po czym zwrócił się do Hefajstosa.

– Przekaż ciało mego dziecka Demeter. Poinformuj ją, że mocą woli jej pana, samego Zeusa, musi zjeść ten kawałek mięsa, by wrócić mojemu synowi życie. Zleć też trzem Furiom, by sprawowały nad nią pieczę aż do momentu porodu.

Patron ognia wrzucił ramionami i wcisnął ochłap do jednej ze swoich sakiewek.

– Chcesz obejrzeć relację ze stosu Parysa?

– Owszem – potaknął Zeus. Wrócił na tron i usiadł. Spojrzał na żonę i znacząco poklepał stopień, na którym wcześniej siedziała.

Bogini posłusznie zajęła wskazane miejsce. Tym razem jednak nie oparła się o udo małżonka.

Hefajstos, mamrocąc pod nosem, podszedł do odrąbanego psiego łba, podniósł go za uszy i zaniósł nad basen. Przyklęknął i wy dobył z zaskakująco opasujących go pasów zakrzywione metalowe narzędzie, którym wyłupił lewe oko psa. Nie pociekła ani kropla krwi, a gałkę wciąż łączył z mózgiem splątany sznur czerwono-zielono-białych włókien nerwowych. Hefajstos rozciągnął połyskującą nić na dwie stopy i uciął ją innym przyrządem.

Chwycił zębami i zdarł śluz wraz z izolacją, odsłaniając cienkie, złote druciki.

Skręcił je i podłączył do niewielkiej, metalowej kulki, którą wyciągnął z innej kieszonki. Gałkę oczną i nerwy cisnął na dno basenu.

Zbiornik natychmiast wypełnił się trójwymiarowym obrazem. Troje bogów otoczyły przestrzenne dźwięki, dobywające się z piezoelektrycznych mikrołośników wbudowanych w ściany i kolumny przestronnej sali.

Ilion został zarejestrowany z punktu widzenia psa. Ujrzeni głównie nagie kolana i brązowe nagolenniki.

– Dawniej miewaliśmy lepsze nagrania – mruknęła Hera.

– Morawce wykrywają i strącają z nieba wszystkie nasze drony, nawet te cholerne owadzie oczy – odparł Hefajstos, przewijając materiał z ceremonii pogrzebowej Parysa.

– Powinniśmy się cieszyć, że choć...

– Milczeć! – rozkazał Zeus i to pojedyncze słowo odbiło się od ścian jak grzmot. – Mamy to! Włącz dźwięk.

Obserwowali ostatnie minuty pogrzebu. Nie pominęli też chwili śmierci zaszlachtowanego przez Hektora Dionizosa.

W kulminacyjnym momencie syn Zeusa spojrzał prosto w ukryty w psim oku obiektyw. „Possij mi pałkę”, rozległo się w sali.

– Możesz już wyłączyć – uznała Hera, gdy w basenie pojawił się Hektor ciskający żagiew na wyschnięty stos.

– Nie – sprzeciwił się Zeus. – Niech leci.

Zaraz potem Gromowładny zerwał się ze złotego siedziska i ruszył ku holograficznemu basenowi. Zmarszczył czoło, i zaciskając pięści, popatrzył wściekle przed siebie.

– Ten śmiertelnik nie zna wstydu! Jak śmie wzywać Boreasza i Zefira, by rozpalili stos, na którym spoczęły boskie jelita, jądra i inne flaki? Jak on śmie?!

Ledwie przebrzmiały ostatnie słowa, a Król Bogów zniknął. Teleportował się do wtóru gromu – powietrze z hukiem wypełniło przestrzeń, którą jeszcze mikrosekundę wcześniej zajmowała potężna sylwetka.

Hera pokręciła głową.

– Jest w stanie ze spokojem obejrzeć rytualny mord Dionizosa, własnego syna, a wpada w szal, gdy Hektor przyzywa bogów wichru. Wiesz, Hefajstosie, mam wrażenie, że Ojcu odbija.

Naczelny rzemieślnik Olimpu burknął coś w odpowiedzi, sięgnął do basenu, wyciągnął za nerwy gałkę oczną i schował ją do metalowej kulki, którą wrzucił do jednej ze swych licznych sakiewek. Psi łeb ukrył w innym, większym worku.

– Czy będę ci jeszcze dzisiejszego ranka potrzebny, Córo Kronosa?

Hera skinęła brodą na psie zwłoki. Klapka wciąż stała otworem.

– Wynieś to stąd.

Gdy jej gburowaty syn zniknął za drzwiami, Hera musnęła swą pierś i teleportowała się w dal.

* * *

Do prywatnej sypialni Hery nie mógł się bezpośrednio tekować nikt, nawet ona

sama. Dawno temu – o ile nieśmiertelnej nie zawodziła pamięć, a przecież ostatnimi czasy nie można było ufać żadnym wspomnieniom – przykazała swemu synowi Hefajstosowi zabezpieczyć apartament jak tylko on potrafił. Bóg ognia rozmieścił w ścianach pulsujące pola siłowe i kwantowy chaos, podobne, lecz nie identyczne z tymi, jakimi te zatraczone morawce chroniły przed Olimpijczykami Troję i obóz Achajów. Drzwi sypialni wykonano ze specjalnie wzmocnionego stopu tytanu, więc nawet rozgniewany Zeus nie był w stanie się przez nie przebić. Hefajstos wprawnie zawiesił je na specjalnych kwantowych zawiasach, a ukryty zamek zabezpieczył telepatycznym hasłem, znanym wyłącznie Herze. Zmieniała je codziennie.

Pomyślała odpowiednią kombinację i weszła do środka, zatraskując za sobą połyskliwe wrota, po czym skierowała się do pokoju kąpielowego, gdzie zrzuciła z ramion suknię i zwiewną bieliznę.

Wolooka Hera przygotowała sobie kąpiel. Woda, która wypełniła wannę, pochodziła z przezczystych źródeł, z lodu pokrywającego zbocza Olimpu, roztopianego mocą piekielnych maszyn Hefajstosa czerpiących energię z samych trzewi prastarego wulkanu. Bogini natarła ciało ambrozją, usuwając z jaśniejącej, białej skóry wszelkie ślady brudu i niemal niewidoczne niedoskonałości.

Następnie białoreka Hera natarła swe wiecznie kuszące, gibkie ciało oliwą i wonnościami. Niektórzy mieszkańcy Olimpu powiadali, że woń owych perfum – poza Herą nie miała takich żadna nieśmiertelna – zdolna jest pobudzić nie tylko dowolnego z bogów mieszkających w wyłożonym brązowymi posadzkami dworze Zeusa, lecz sphywa również niekiedy w aromatycznym obłoku na ziemię, gdzie przyprawia nieświadomych śmiertelników o niewytłumaczalne napady tęsknoty i pożądania.

Wyperfumowana córka potężnego Kronosa poprawiła swe loki, pachnące słodko niczym porcje ambrozji. Ułożyła je starannie, okalając ostro zarysowane kości policzkowe, po czym wdziała na siebie boskiej urody szlafrok, utkany na jej specjalne życzenie przez Atenę. Wówczas, dawno temu, wciąż się jeszcze przyjaźniły. Przecudnej gładkości materiał był ozdobiony wybornymi, geometrycznymi deseniami i wzorami z różowego brokatu, przemyślnie wplecionymi w tkaninę przez zwinne palce i czarowne krosno Pallas Ateny. Tuż pod pierściami Hera spięła suknię złotą fibułą i opasała się paskiem przystrojonym setką delikatnych frędzli.

W starannie przekłute płatki uszu – które wyglądały spod tchnących mrocznymi wonnościami ciemnych pukli niczym blade i płochliwe morskie stworzonka – Hera wsunęła kolczyki, odwzorowujące potrójne grona morwowych jagód, których srebrzysty połysk wabił mężczyzn niczym przynęta na haczyku wędkarza.

Następnie przesłoniła czoło słodkim, świeżym woalem ze złocistej tkaniny rzucającej na jej różane policzki refleksy ciepłe jak promienie słońca. Na koniec wsunęła na swe miękkie alabastrowe stopy sandały o sprężystych podeszwach i związała ich paski na aksamitnych łydkach.

Przygotowana, oszałamiająca od stóp do głów Hera stanęła przed lustrzaną ścianą obok wyjścia z łaźni i przez chwilę krytycznie przyglądała się swemu odbiciu.

– Nieźle się trzymasz – wyszeptwała do siebie.

Wyszła ze swych komnat na wyłożony marmurem, rozbrzmiewający echem

kroków korytarz, musnęła swą lewą pierś i się teleportowała.

Afrodytę, boginię miłości, znalazła spacerującą samotnie wśród łąk porastających południowe stoki Olimpu. Zapadał zmierzch, stojące po wschodniej stronie kaldery świątynie i rezydencje bóstw były zalane światłem zachodzącego słońca. Patronka zakochanych stała zwrócona na północ i podziwiała upstrzone złotem fale marsjańskiego oceanu i połączie lodu pokrywające wznoszące się daleko na wschodzie wierzchołki trzech potężnych wulkanów, ku którym wybiegał długi na ponad dwieście kilometrów cień Olimpu. Pejzaż był nieco przymglony, widok jak zwykle lekko mąciła bariera otaczającego siedzibę bogów pola siłowego, które pozwalało im oddychać i cieszyć się niemal ziemskim ciężeniem mimo tak niewielkiej odległości od otaczającej terraformowanego Marsa próżni. W tej chwili panoramę dodatkowo przesłaniała migotliwa warstwa egidy – Gromowładny rozpostarł ją wokół Olimpu na samym początku wojny.

O trwającym konflikcie przypominała również widniejąca poniżej Dziura – okrąg wycięty w cieniu potężnego wulkanu, rozświetlony od wewnątrz blaskiem zachodzącego na innej planecie słońca, w którym widać było niezliczone światełka obozowych ognisk śmiertelników i sunących po niebie morawieckich transportowców.

– Córkó moja droga! – zawołała Hera na widok młodszej bogini. – Czy gdybym cię o coś poprosiła, zgodzisz się mi pomóc, czy spotkam się z odmową? Być może wciąż żywisz do mnie urazę? Wszak przez ostatnie dziesięć ludzkich lat popierałam Argiwów, kiedy ty stałaś po stronie swych umiłowanych Trojan...

– Królowo niebios – odpowiedziała Afrodyta – kochanico Zeusa, proś mnie, o co tylko zechcesz. Skrzętnie twą prośbę wypełnię. W czymże jednak mogłabym wspomóc boginię tak potężną jak ty?

Słoneczna tarcza niemal bez reszty utonęła już pod horyzontem i obie Olimpijki ogarnął półmrok. Hera zauważyła, że w tym świetle cera i niegasnący uśmiech Afrodyty wyglądają tak, jakby się jarzyły własną, wewnętrzną aurą. Bliskość Afrodyty oddziaływała zmysłowo nawet na nią, kobietę, i Hera nie była w stanie sobie wyobrazić, jak w jej obecności muszą się czuć bogowie, nie wspominając o obdarzonych znacznie słabszą wolą śmiertelnikach.

Hera zaczerpnęła głęboko tchu – w końcu jej następne słowa miały dać początek najbardziej niebezpiecznemu z planów, jakie kiedykolwiek powstały w jej głowie – i powiedziała:

– Podaruj mi swą moc splatania miłosnych więzi, zdolność rozbudzania tęsknego pragnienia. Potrzebuję wszystkich twych talentów, którymi podporządkowujesz sobie bogów i śmiertelników.

Afrodyta nie przestała się uśmiechać, nieznacznie tylko przymrużyła swe przejrzyste oczy.

– Tak oczywiście uczynię, córo Kronosa, jeśli tego sobie życzysz. Dlaczego jednak bogini, która już teraz spędza noce w objęciach potężnego Zeusa, uznana, iż potrzebuje mych lichych sztuczek?

Hera skłamała bez zająknięcia. Niemniej jak większość kłamców uzasadniła swe zmyślenie aż nazbyt szczegółowo.

– Patronko miłości, jestem już obecną wojną znużona. Knowania i podstępny, których tak wiele pośród Olimpijczyków oraz Trojan i Argiwów, boleśnie kaleczą me serce. Wybieram się teraz na krańce tej drugiej, żyznej Ziemi, gdzie złożę wizytę Matce Tetydzie i Okeanosowi, fontannie, z której wytrysnęli bogowie. To oni przyjęli mnie do swego domu, oni zabrali mnie od Rei, gdy grzmiący Zeus, nasz król o szerokim czole, wtrącił Kronosa w otchłań ziejącą głęboko pod ziemią i jałowymi słonymi morzami, po czym wznosił dla nas nową siedzibę na tym zimnym, czerwonym świecie.

– Znakomicie, Hero – odparła Afrodyta łagodnie – lecz w czym moje marne uroki mogą ci pomóc podczas odwiedzin u Okeanosa i Tetydy?

Zdradliwa Hera uśmiechnęła się do córki z chytrym błyskiem w oku.

– Pradawni nie są już ze sobą tak blisko jak w przeszłości. Ich małżeńskie łóżko ostygło. Udaję się do nich, by rozwiązać dzielący ich zadawniony spór i naprawić między nimi stosunki. Już nazbyt długo nie darzą siebie uczuciem i nie odwiedzają wspólnie sypialni. Chciałabym ich przywabić na powrót w pościel, by znów mogli się cieszyć ciepłem swych ciał, a do tego celu nie wystarczą żadne moje słowa. Dlatego więc proszę cię, Afrodyto, jako wierna twa przyjaciółka, osoba, której zależy na odrodzeniu miłości innych przyjaciół, użyj mi jednego ze swych sekretów, bym zdołała potajemnie pomóc Tetydzie rozniecić żar w łędźwiach Okeanosa.

Urokliwy uśmiech Afrodyty zajaśniał jeszcze bardziej promiennie niż dotąd. Słońce zniknęło za marsjańskim horyzontem na dobre, wierzchołek Olimpu objęły w posiadanie cienie, lecz wyraz oblicza patronki miłości nie pozwalał obu boginiom marznąć ani przez moment.

– Niesłusznie bym postąpiła, odmawiając twej szczerzej i płynącej z głębi dobrego serca prośbie, małżonko Zeusa, zwłaszcza że twój mąż, pan Olimpu, włada nami wszystkimi.

To powiedziawszy, Afrodyta zsunęła spod biustu sekretną przepaskę, uszytą z delikatnej koronki przetkanej mikroskopijnymi układami scalonymi. Uniosła ją w dłoni.

Hera poczuła nagle, iż zasycha jej w ustach.

Czy mimo wszystko odważę się ten plan zrealizować? – zastanowiła się. Jeżeli Atena odkryje mój spisek, zaatakuje mnie bezlitośnie wraz ze swymi boskimi stronnikami. Jeśli mą zdradę przeniknie Zeus, zniszczy mnie tak doszczętnie, że nie pomoże mi żadna lecznicza kadź ani sztuka obcego Uzdrowiciela. I stracę choćby namiastkę olimpijskiego życia.

– Powiedz mi, w jaki sposób ta przepaska działa – zwróciła się półgłosem do bogini miłości.

– W tym fatalaszku są zawarte wszystkie wymiary miłosnego uwiedzenia – odpowiedziała równie cicho Afrodyta. – Żar miłości, pulsujący pośpiech tęsknoty, szept cieleśnych rozkoszy, naglące okrzyki kochanki i szeptane w łóżku czułości.

– Wszystko w jednej przepasce? – zdziwiła się Hera. – Jak to możliwe?

– Magia owego delikatnego przedmiotu potrafi dowolnego mężczyznę natchnąć obłędem pożądania.

– Tak, tak, ale w jaki sposób ona działa? – W słowach Hery pojawiło się wyraźne dla obu bogiń zniecierpliwienie.

– Skąd ja mam to wiedzieć? – odparła ze śmiechem patronka miłości. – Otrzymałam ją wraz ze wszystkim, czym obdarzył nas na początku... ten, który uczynił z nas bogów. Może szeroki zakres feromonów? Nanowyzwalacze hormonów? Mikrofały oddziałujące bezpośrednio na ośrodki mózgu odpowiedzialne za sferę seksu i przyjemności? Co za różnica... Przepaska po prostu działa, podobnie jak inne me sztuczki. Przymierz ją, żono Zeusa.

Wargi Hery rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Zapięła przepaskę tuż pod swymi wydatnymi piersiami i przesłoniła fałdami sukni.

– Jak mam ją uruchomić?

– Czy przypadkiem nie chciałaś, by uruchamiała ją matka Tetyda? – Afrodyta wciąż spoglądała ze swym nieblednącym uśmiechem.

– Tak, naturalnie że tak.

– W wybranym momencie, muśnij pierś, tak jak zwyczajnie, kiedy aktywujesz nanoteleportery. Zamiast jednak wyobrażać sobie odległe miejsce, dotknij przepaski koniuszkiem palca i wypełnij umysł pożądliwymi myślami i obrazami.

– I co? To już wszystko?

– To wszystko – potaknęła Afrodyta. – Niczego więcej nie trzeba. W koronkowych splotach tej przepaski czeka całkiem nowy świat.

– Dziękuję ci, o bogini miłości – powiedziała oficjalnym tonem Hera.

Migocząc nad ich głowami kopułę pola siłowego przebiły promienie laserowych lanc obrony przeciwlotniczej. Z Dziury wyleciał morawiecki szerszeń bądź pojazd kosmiczny i szybko nabierał wysokości.

– Jestem pewna, że twa podróż nie okaże się bezowocna – stwierdziła Afrodyta. – Cokolwiek zamierzasz w głębi swego żarliwego serca, spełni się niezawodnie.

Hera odpowiedziała uśmiechem, po czym dotknęła piersi – uważając przy tym, by nie trącić biegnącej tuż poniżej sutków przepaski – i teleportowała się, śledząc kwantowy trop, jaki w zagiętej czasoprzestrzeni zostawił za sobą Zeus.

Z nastaniem świtu Hektor rozkazał zalać dogasający stos pogrzebowy winem, po czym – wraz z najbardziej zaufanymi towarzyszami Parysa – zaczął przegrzebywać popioły, z niebywałą pieczołowitością wyszukując kości brata i oddzielając je od zwęglonych ciał psów, koni i cherlawego boga. Wszystkie te niegodne resztki padły na skraju stosu, podczas gdy spalony zewłok trojańskiego księcia pozostał w pobliżu środka.

Wciąż szlochający Hektor i jego wojownicy umieścili doczesne szczątki Parysa w złotej urnie, po czym zapieczętowali ją podwójną warstwą łoju, jak zwykli to czynić, chowając ludzi mężnych i szlachetnie urodzonych. Następnie w pełnej powagi procesji ponieśli urnę poprzez gwarne targi i ulice miasta. Chłopi i żołnierze bez słowa rozstępowali się przed posępnym pochodem, który dotarł wreszcie na oczyszczone z gruzów pole, zajmowane dawniej przez południowe skrzydło pałacu Priama, zmiecionego z ziemi osiem miesięcy wcześniej w pierwszym przeprowadzonym przez Olimpijczyków bombardowaniu. Na środku tego placu wzniesiono tymczasowy grobowiec z kamiennych bloków, rozrzuconych dokoła siłą wybuchu. Zdażyło już w nim spocząć wszystko, co pozostało z Hekuby, żony Priama, królowej Ilionu, matki Hektora i Parysa.

Książę nakrył urnę brata lekkim lnianym całunem i osobiście wniósł ją do mauzoleum.

– Mój bracie, teraz złożę twe kości w tym miejscu – odezwał się Hektor, stając przed ludźmi, którzy weszli z nim do środka. – Oddam cię w objęcia ziemi, w których zaczekasz na dzień, gdy znów obejmę cię osobiście, tym razem w mrocznych salach Hadesu. Kiedy ta wojna dobiegnie już końca, zbudujemy nowy grobowiec. Dla ciebie, dla naszej matki i wszystkich, którzy już padli i polegną jeszcze. Sam zapewne również znajdę się w ich gronie. A ten nowy gmach będzie mógł się równać z samym Domem Śmierci. Do tego momentu... Bywaj, bracie.

Hektor i jego najbliżsi wojownicy wyszli. Setka czekających dotąd za drzwiami trojańskich bohaterów zasypała prowizoryczny grób wysokim stosem ziemi, gruzu i skał.

Trojański książę – który nie spał już od dwóch dni – udał się na poszukiwanie Achillesa. Pilno mu było wracać do walki z bogami. Pragnął znowu przelewać ich złotą krew. Jeszcze bardziej żarliwie niż dotąd.

* * *

Kassandra zbudziła się o świcie i stwierdziła, że jest niemal naga. Jej szata była podarta i rozchełstana. W dodatku leżała przywiązana jedwabnymi sznurami za ręce i nogi do słupków cudzego łoża. Ktoś tu stroi sobie żarty? – przemknęło dziewczynie przez myśl. Zastanowiła się, czy czasem znowu się nie upiła i nie padła bez zmysłów obok jakiegoś żołdaka z upodobaniem do łóżkowych perwersji.

Zaraz potem przypomniała sobie stos pogrzebowy i moment, gdy osunęła się

zemdlona w ramiona Andromachy i Heleny.

Cholera, pomyślała Kasandra. Znów wpadłam w tarapaty przez ten swój niewyparzony jęzor. Rozejrzała się dokoła. W pomieszczeniu brakowało okien, ściany zbudowano z wielkich kamiennych bloków. Na skórze czuła wilgoć sugerującą podziemia. Czyżby trafiła do czyjś prywatnego lochu? Do sali tortur? Szarpnęła się w jedwabnych więzach. Sznury były gładkie, lecz zawiązano je ciasno i nie puściły.

Cholera, ponownie zakłęła w myślach.

Do pokoju weszła Andromacha, żona Hektora. Zbliżyła się i spojrzała z góry na wieszczkę. W dłoniach nie trzymała niczego, lecz Kasandra bez większego trudu wyobraziła sobie ukryty w rękawie kobiety sztylet. Przez dłuższą chwilę obie milczały. Wreszcie ciszę zmaćił głos młodszej.

– Przyjaciółko, uwolnij mnie, proszę cię.

– Powinnam poderżnąć ci gardło... przyjaciółko – odparła Andromacha.

– Więc zrób to, wywłoko – warknęła dziewczyna. – Skończ już z tym czczym gadaniem.

Nie bała się. W nawiedzających ją raz po raz wizjach przyszłości, mimo że w ciągu ubiegłych ośmiu miesięcy – odkąd dawna przyszłość umarła – zmieniały się jak w kalejdoskopie, ani razu nie ujrzała własnej śmierci z ręki Andromachy.

– Kasandro, dlaczego powiedziałaś te wszystkie rzeczy o śmierci mego dziecka? Wiesz przecież, że osiem miesięcy temu, w komnacie mojego maleńkiego synka pojawiły się Pallas Atena z Afrodytą, i to one zarżnęły chłopca wraz z mamką. Boginie oświadczyły, że jego ofiara ma stanowić przestrożę. Że Olimpiczycy są mocno rozgoryczeni faktem, że mój mąż wciąż nie spalił argiwijskich okrętów. Mały Astianakt, którego ojciec i ja nazywaliśmy Skamandriosem, zastąpił ofiarną roczną jałówkę.

– Gówno prawda – syknęła Kasandra. – Rozwiąż mnie.

Bolała ją głowa. Jednym z nieodłącznych następstw jej najbardziej intensywnych wizji był paskudny kac.

– Najpierw musisz mi wyjawić, dlaczego powiedziałaś, że podmieniłam dzieci i zamiast Astianakta zginął w tamtym krwawym pokoju syn jakiejś niewolnicy – odparła Andromacha. Spojrzenie nadal miała spokojne, ale w jej dłoni błysnęło ostrze sztyletu. – Jak niby mogłabym tego dokonać? Skąd miałabym wiedzieć, że boginie planują nas odwiedzić? Po co?

Kasandra westchnęła i przymknęła powieki.

– Nie było żadnych bogiń – mówiła zmęczonym, naznaczonym pogardą głosem. Otworzyła oczy. – Gdy tylko dowiedziałaś się, że Pallas Atena zamordowała Patroklosa, ukochanego druha Parysa, co swoją drogą również może okazać się kłamstwem, zdecydowałaś sama bądź w spisku z Hekubą i Heleną, że należy zabić dziecko mamki, ten chłopczyk był wszak rówieśnikiem Astianakta. Opiekunkę miał spotkać podobny los. Po wszystkim wmówiłyście Hektorowi, Achillesowi i pozostałym, których zwabiły wasze wrzaski, że twoje dziecko zabiły boginie.

Orzechowe oczy Andromachy były zimne i twarde jak połyskująca błękitem kra skuwająca na wiosnę górskie strumienie.

– Po co miałabym coś takiego uczynić?

– Dostrzegłaś szansę na urzeczywistnienie planu Trojanek – stwierdziła Kasandra.
– Naszego planu, jaki wspólnie snułyśmy przez tak długie lata. Uznałaś, że pojawiła się okazja na zakończenie wojny z Argiwami; wojny, która wedle mych przepowiedni miała skończyć się naszą śmiercią i zagładą Ilionu. Genialne posunięcie, Andromacho, gratuluję ci też odwagi i aktorskich talentów.

– Nawet gdyby twoje słowa były prawdą, to nie osiągnęłabym przecież nic – zauważyła Andromacha. – Śmierć Astianakta wtrąciła miasto w odmęty jeszcze bardziej beznadziejnej wojny przeciwko bogom. Według twoich dawniejszych widzeń przynajmniej niektóre z kobiet miały szansę przetrwać. Uprowadzone w niewolę, lecz żywe.

Przywiązana do kolumnienek łoża Kasandra niezgrabnie wzruszyła ramionami.

– Chciałaś jedynie ocalić swojego syna. Wiedziałyśmy przecież, że gdyby dawna przyszłość stała się teraźniejszością, zostałby okrutnie zamordowany. Ja to doskonale rozumiem, Andromacho.

Żona Hektora wyciągnęła ku leżącej sztylet.

– Jeżeli znów zaczniesz o tym opowiadać... Jeżeli trojański i grecki motłoch da ci wiarę, zginie cała moja rodzina. Nawet Hektor straci wtedy życie. Jedynie twoja śmierć może zapewnić mi bezpieczeństwo.

Kasandra spojrzała starszej kobiecie prosto w oczy.

– Mój dar oglądania przyszłych wydarzeń wciąż może ci przyjść z pomocą, przyjaciółko. Być może zdołasz dzięki niemu ocaleć, nawet wraz z Hektorem i ukrytym gdzieś Astianaktem. Wiesz, że gdy wpadam w wieszczę szal, nie panuję nad swymi słowami. Trzymajcie się blisko mnie, ty i Helena bądź reszta wtajemniczonych w spisek. Możecie też polecić uzbrojonym w sztylety niewolnicom, by mi towarzyszyły i uciszyły na zawsze, gdy znów coś podobnego wykrzyczę. Jeśli rzeczywiście wyjawię komuś prawdę, po prostu mnie zabijcie.

Andromacha zawahała się, przygryzła lekko dolną wargę, po czym nachyliła się nad łożkiem i rozciąła jedwabny sznur krępujący prawą rękę Kasandry.

– Amazonki przyjechały – powiedziała, uwalniając dziewczynę.

* * *

Menelaos całą noc spędził na rozmowach z bratem, który opowiedział mu o wszystkim, co zobaczył i zdołał podczas swej wyprawy. Gdy różanopalca jutrzienka rozpostarła nad światem swe dłonie, był już gotów.

Przez całą noc chodził po plaży nad zatoką, odwiedzał kolejne achajskie i argiwickie obozy, przysłuchując się przerażającej relacji Agamemnona, który opisywał opustoszałe miasta, leżące odłogiem pola i porzucone porty – pozbawione załóg greckie okręty kołysały się na kotwicowiskach Maratonu, Eretrii, Chalkis, Aulidy, Hermiony, Tirynsu, Helos i dziesiątek innych przybrzeżnych poleis. Słuchał swego brata, który przekazywał wieści Achajom, Argiwom, Kreteńczykom, Spartanom, Kalidończykom, Buprasyjczykom, Dulichończykom, Farysyjczykom, Spartanom, Meseńczykom, Trakom, mieszkańcom Echalii, Itaki i Pylos, członkom setek sprzymierzonych greckich plemion z kontynentu, ze skalistych wysepek i z samego Peloponezu. Agamemnon mówił

o milczących ulicach, ziejących pustką domach, o ludziach, którzy zniknęli, jakby mocą boskiego zrządzenia. Wspominał pleśniejące na talerzach potrawy, stroje odwieszane na sofie jakby tylko na moment; opowiadał o basenach i łaźniach pełnych ciepławej, zielonej i gęstej od glonów wody, o wyciągniętych z pochew mieczach. Na Morzu Egejskim – tłumaczył Agamemnon swym donośnym, silnym, tubalnym głosem – puste statki same sunęły po falach, z postawionymi lecz wystrzępionymi już rozdętymi żaglami. Na błękitnym niebie nie było nawet jednego świadectwa burzy, morze przez cały ich miesięczny rejs falowało łagodnie, lecz na okrętach nie było nikogo. Zarówno na ociążałych od ładunku ateńskich statkach, pyszniących się licznymi rzędami nieobsadzonych wiosł, jak i na wielkich barkach z Persji, których nie strzegli już nieporadni żeglarze ani te niedojdy, perscy włócznicy. Także wdzięczne okręty Egipcjan czekały ze zbożem w ładowniach, by ktoś poprowadził je z powrotem ku brzegom Afryki.

– Na świecie nie ma już mężczyzn, kobiet i dzieci – wołał Agamemnon we wszystkich achajskich obozach. – Ludzie zostali tylko pod Ilionem, tylko my i chytry Trojanie. Widząc, że odwróciliśmy się do bogów plecami, nie, gorzej, zwróciliśmy swe serca i ramiona przeciwko nim, Olimpijczycy odebrali nam nadzieję. Zabrali nam żony i ojców, rodziny i niewolników.

– Czy to znaczy, że oni nie żyją? – pytanie dobiegało wciąż z wielu ust, przy każdym namiocie. Płacz i zbolące okrzyki niosły się pod niebo. Zimowa noc rozbrzmiała lamentami zanoszonymi przy wszystkich argiwskich ogniskach.

Agamemnon niezmiennie zaczynał odpowiadać, milcząc przez straszliwą minutę z rozłożonymi bezradnie rękoma.

– Nie dostrzeżliśmy śladów walki – mówił wreszcie. – Nigdzie nie było krwi lub rozkładających się zwłok, którymi karmiłyby się wygłodniałe psy i krążące pod niebem ptaki.

W obozowiskach rozgorzały dyskusje. Z towarzyszami broni rozmawiali też dzielni argiwszczy żeglarze, gwardziści, szeregowi włócznicy i oficerowie, którzy towarzyszyli Agamemnonowi w wyprawie. O świecie okrutne rewelacje poznali już wszyscy i otępiająca groza zaczęła się przeradzać w bezsilny gniew.

Menelaos doskonale rozumiał, iż dziwne wypadki w Grecji doskonale sprzyjają ich planowi – planowi Atrydów, jego i brata – którego celem miało być nie tylko ponowne zwrócenie Achajów przeciwko Trojanom, lecz również obalenie chyżonogiego tyrana Achillesa. Zanosilo się na to, że jeśli nie za kilka godzin, to z pewnością już za parę dni Agamemnon z powrotem obejmie stanowisko głównodowodzącego.

O świecie Agamemnon dopełnił swego obowiązku do końca, poinformowani zostali wszyscy. Wodzowie się rozeszli – Diomedes wrócił do swojego namiotu, Ajaks Wielki, Telamończyk, który zaszlochał jak dziecko, gdy usłyszał, że Salamina opustoszała podobnie jak wszystkie inne krainy. Odyseusz, Idomeneus, Ajaks Mały płaczący wraz ze wszystkimi przybyszami z Lokrydy, nawet stary gadatliwy Nestor; wszyscy oddalili się o brzasku, by zaznać choć kilku godzin niespokojnego snu.

– A teraz mów, jak przebiega wojna z bogami – poprosił Agamemnon, gdy Atrydzi usiedli pośrodku obozowiska Spartan.

Otoczający ich wierni oficerowie, gwardziści i piechurzy trzymali się

w odpowiedniej odległości, by obaj bracia mogli porozmawiać na osobności.

Rudowłosy Menelaos opowiedział Agamemnonowi o wszystkich wartych wzmianki wydarzeniach – o codziennych, niegodnych starciach morawieckiej magii z boską bronią, o zdarzających się od czasu do czasu pojedynkach, o śmierci Parysa i setek pomniejszych wojowników, zarówno Trojan, jak i Achajów. Opowiedział też o niedawno zakończonej ceremonii pogrzebowej. Dym z nad stołu rozwił się już ponad dachami, a strzelające nad miejskie mury płomienie zgasły ledwie godzinę temu.

– Dobrze mu tak – stwierdził władczy tonem Agamemnon i oderwał mocnymi białymi zębami kęs pieczonego mlecznego prosięcia, które spożywali na śniadanie. – Żałuję tylko, że Parysa zabił Apollo... Sam miałem na to chrapkę.

Menelaos parsknął śmiechem, przeżuł kawałek pieczeni i popił go winem. Następnie opowiedział bratu o Ojnone, pierwszej żonie Parysa, która pojawiła się na pogrzebie niezapowiedziana i dokonała samospalenia.

Tym razem zaśmiał się Agamemnon.

– Szkoda bracie, że to nie ta twoja kurewska żona, Helena. Szkoda, że to nie jej wzruszenie kazało rzucić się w płomienie.

Menelaos przytaknął skinieniem. Niemniej na wzmiankę o Helenie serce zagrało mu mocniej. Zrelacjonował starszemu bratu brednie Ojnone, która uparcie twierdziła, że to Filoktet, nie Apollo, zgładził Parysa. Wspomnił o gniewie, jakim ta nowina napęliła serca Trojan, przez co niewielki oddział Achajów musiał pośpiesznie wycofać się z miasta.

Agamemnon klepnął się w udo.

– Cudownie! Zatem przedostatni kamyk mozaiki trafił już na właściwe miejsce. Nie miną dwie doby, a przekuję niezadowolone Achajów w chęć czynu. Przed końcem tygodnia Trojanie ponownie staną się naszymi wrogami. Bracie, przysięgam ci to na kurhan naszego ojca.

– Ale bogowie... – zaczął Menelaos.

– Bogowie się nie zmieniają – przerwał mu Agamemnon tonem człowieka bez reszty przekonanego o swojej racji. – Zeus pozostanie neutralny. Część wspomóż skazanych na zagładę, skamłających żałością Trojan. Większość sprzymierzy się z nami. Tym razem jednak dokończymy dzieła. Zobaczysz, za dwa tygodnie z Ilionu zostanie nędzna sterta popiołów... Podobnie jak z Parysa.

Menelaos pokiwał głową. Wiedział, że powinien zapytać brata o sposób, w jaki zamierzał doprowadzić do pokoju z Olimpijczykami, powinien się też dowiedzieć, jak Agamemnon chce pozbawić władzy niezwyciężonego Achillesa, lecz dręczyła go inna, znacznie bardziej nagląca sprawa.

– Widziałem Helenę – powiedział, jękając się nieco przy imieniu żony. – Nie zdążyłem jej zabić. Gdybym miał kilka sekund więcej...

Agamemnon otarł usta i brodę z tłuszczu, upił ze srebrnego kielicha i uniósł pytająco brew.

Menelaos opowiedział mu o swoim postanowieniu i okazji na przebicie się w pobliże Heleny. Mówił o tym, jak zamiar pokrzyżowało mu zaskakujące pojawienie się Ojnone, rzucającej na Filokteta swe przedśmierne oskarżenia.

– Mieliśmy prawdziwe szczęście, że unieśliśmy z tego miasta głowy na karkach – zakończył.

Agamemnon przymrużył oczy i spojrzał ku odległym murom. W oddali zawyła morawiecka syrena. Kilka pocisków pomknęło pod niebo ku niewidzialnemu rydwanowi bogów. Rozpostarte nad głównym obozem Achajów pole siłowe zabuczało głośniej, wzmocnione w oczekiwaniu na nalot.

– Powinieneś ją zabić dzisiaj – poradził starszy i mądrzejszy brat Menelaosa. – Natychmiast, jeszcze tego ranka.

– Dzisiaj rano? – Menelaos oblizwał wargi. Mimo pokrywającej je warstwy wieprzowego tłuszczu były mocno spierzchnięte.

– Dzisiaj rano – powtórzył były i przyszedł naczelną wódz przybyłych pod Troję greckich armii. – Za mniej więcej dzień rozłam pomiędzy naszymi ludźmi i tymi trojańskimi psami stanie się na tyle głęboki, że ci tchórze zamkną tę swoją pieprzoną Bramę Skajską na cztery spusty.

Skonsternowany jak nigdy Menelaos popatrzył na miasto. Promienie wschodzącego zimowego słońca malowały mury różanym blaskiem.

– Przecież samego mnie nie wpuszczą... – zaczął.

– Przebierzesz się – uciął Agamemnon. Majestatyczny władca wlał w siebie kolejny łyk wina i beknął. – Musisz myśleć jak Odyseusz... bądź przebiegły jak łasica.

Menelaos, mężczyzna nie ustępujący dumą bratu ani reszcie achajskich herosów, nie był pewien, czy porównanie przypadło mu do gustu.

– Za kogo powinienem się przebrać?

Agamemnon wskazał palcem na swój królewski namiot. Ścianki ze szkarłatnego jedwabiu rozdymały się na wietrze.

– Mam tam lwią skórę i hełm z kłów dzika. Ten strój założył na siebie Diomedes, kiedy w zeszłym roku próbowali z Odyseuszem wykraść z Troi palladion – powiedział. – Hełm skryje twoje ryże włosy, kły przesłonią zarost, a skóra przesłoni twą wspaniałą achajską zbroję. Rozespani strażnicy przy bramie uznają, że jesteś jednym z ich barbarzyńskich sprzymierzeńców i pozwolą ci przejść bez szemrania. Musisz się jednak śpieszyć. Udaj się do miasta jeszcze przed zmianą warty. Zanim Trojanie zamkną dla nas swe wrota aż do końca istnienia stolicy.

Menelaos rozważał plan ledwie przez kilka chwil. Wstał, mocno klepnął brata po ramieniu i udał się do namiotu po nowy strój i dodatkowe sztuki broni.

Fobos przypominał wielką, pomarszczoną i przyprószoną kurzem oliwkę. Wkłęśły czubek księżycy otoczony był kręgiem jasnych światełek. Mahnmur wyjaśnił Hockenberry'emu, że wgłębienie jest w istocie gigantycznym kraterem zwanym Stickney, a światła wyznaczają położenie bazy morawców.

Podróż dostarczyła scholiaście porcję dodatkowej adrenaliny. Widział już z bliska wiele morawieckich szerszeni i pamiętał, że w ich burtach nie otwierają się okna. Założył zatem, że podczas lotu nie będzie okazji do podziwiania widoków, może z wyłączeniem wyświetlanych na monitorach obrazów. Nie docenił jednak technologii skałowców – według Mahnmura bowiem wszystkie szerszenie powstały właśnie w fabrykach na Pasiu Asteroid. Hockenberry spodziewał się także, że w pojeździe zastanie antyprzeciążeniowe leżanki lub chociaż miękkie fotele wyposażone w zapinane na klamry szerokie pasy, jakie pamiętał ze zdjęć dwudziestowiecznych promów kosmicznych.

Otóż żadnych siedzeń nie było. Nie było niczego, o co można się było oprzeć. Hockenberry'ego i małego morawca oplotły po prostu niewidzialne pola siłowe. Wydawało się, że siedzą zawieszeni w powietrzu. Ze wszystkich stron otoczyły ich hologramy – bądź inny rodzaj trójwymiarowych projekcji – tak rzeczywiste, że wcale nie sprawiały wrażenia sztuczności. Nie tylko więc siedzieli na niewidzialnych fotelach, ale wisieli również nad dwumilową przepaścią. Szerszeń tymczasem przemknął przez Dziurę, minął południowe stoki Olimpu i wciąż nabierał wysokości.

Hockenberry wrzasnął.

– Przeszkadzają ci te obrazy? – spytał morawiec.

Scholiasta krzyknął raz jeszcze.

Mahnmur trącił kilka przycisków wirtualnej konsoli, która pojawiła się obok niego jakby za sprawą czarów. Dolny hologram skurczył się do rozmiarów wmontowanego w metalową podłogę wielkiego ekranu telewizyjnego. Wokół wciąż widać było panoramę okolicy, między innymi ukryty pod warstwą tarczy energetycznej wierzchołek Olimpu. Z wulkanu śmignęło ku nim kilka promieni lanc energetycznych lub laserów, które zatrzymały się na osłonach siłowych szerszenia. Zaraz potem błękitne marsjańskie niebo rozrzedziło się i przybrało najpierw różowy odcień, a wreszcie szerniało. Pojazd wyrwał się z objęć atmosfery i obrócił podwoziem ku górze. Potężna tarcza Marsa zawirowała pod nimi i po chwili wypełniła wirtualne okna.

– Tak lepiej – odetchnął Hockenberry, choć wciąż odruchowo wymachiwał rękoma, w poszukiwaniu jakiegokolwiek uchwytu. Tworzące niewidoczny fotel pole siłowe nie stawiało oporu, lecz zarazem nie wypuszczało go z uścisku. – Jezu Chryste – jęknął, gdy statek zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i odpalił silniki.

Oczom pasażerów ukazał się wiszący praktycznie nad ich głowami Fobos.

Wszystko umilkło. Nie było słyhać nawet jednego szmeru.

– Przepraszam – odezwał się morawiec. – Powinienem był cię ostrzec. W ekranie

rufowym widzisz właśnie Fobosa. To mniejszy z pary marsjańskich księżyców. Jego średnica nie przekracza ośmiu mil. Chociaż, jak zapewne zauważyłeś, wcale nie jest kulisty.

– Fakt, wygląda jak ziemniak, który dostał się w łapy wściekłego kota – wykrztusił z siebie Hockenberry. Porowata powierzchnia zbliżała się ku nim z wielką prędkością. – Ewentualnie jak wielka oliwka.

– Zgadza się, oliwka – potaknął Mahnmut. – Wszystko przez ten krater. Jak już mówiłem, nazywa się Stickney. Ochrzczono go tak ku pamięci żony Asapha Halla, Angeline Stickney-Hall.

– Kim był ten cały... Asaph... Hall? – jęknął słabo Hockenberry. – To jakiś astronauta... kosmonauta czy... kto?

Scholiasta znalazł wreszcie punkt podparcia. W postaci Mahnmuta. Morawiec nawet słowem nie zaprotestował, gdy człowiek kurczowo chwycił jego metalowo-plastikowe ramiona. W holograficznym projektorze błysnęły niemo płomienie, to zagrały dysze jakichś silniczków manewrowych. Hockenberry z całych sił zacisnął zęby. Nie chciał, by szczękały.

– Asaph Hall był astronomem zatrudnionym w Obserwatorium Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie – odpowiedział Mahnmut swym zwykłym, swobodnym tonem.

Szerszeń ponownie zaczął się obracać. Zawirował. Fobos i jama krateru Stickney pojawiały się to w jednym, to w drugim wirtualnym oknie.

Hockenberry nabrał nieodpartego przekonania, że ich pojazd uległ właśnie poważnej awarii i najdalej za minutę rozbiją się i zginą. Spróbował przypomnieć sobie jakąś modlitwę z dzieciństwa – pal lichu całą osobistą tradycję intelektualnego agnostycyzmu – ale wyłowił tylko strzępki tekstu „aniele Boży, strózu mój...”.

Jak się nie ma co się lubi... Pomodlił się.

– O ile się nie mylę, Hall odkrył oba księżyce Marsa w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym – mówił tymczasem morawiec. – Niestety archiwa nie podają, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem, czy pani Hall spodobał się pomysł nazwania krateru jej panieńskim nazwiskiem.

Hockenberry nagle zrozumiał, dlaczego szerszeń wymknął się spod kontroli i zaraz runie na powierzchnię księżyca. Cholernego statku po prostu nikt nie pilotował. Przecież byli w kabinie sami, a jedynym przełącznikiem lub sterem – wirtualnym bądź materialnym – jaki scholiasta zauważył, był ten, za pomocą którego Mahnmut zmienił tryb działania holograficznych ekranów. Zastanowił się nawet, czy nie powinien na to drobne przeoczenie zwrócić uwagi małego cyborga, lecz krater Stickney zajął już całą powierzchnię przednich okien i zbliżał się na tyle szybko, że o skutecznym hamowaniu nie mieli co marzyć. Nie odezwał się słowem.

– Mamy do czynienia z dość nietypowym księżycem. I bardzo małym – ciągnął morawiec. – W zasadzie jest to po prostu przechwycona przez grawitację Marsa asteroida, podobnie jak Deimos. Aczkolwiek mocno się między sobą różnią. Fobos orbituje ledwie trzy tysiące siedemset mil nad planetą, można powiedzieć, że sunie tuż na skraju atmosfery i jeśli nikt z tym nic nie zrobi, to za około osiemdziesięciu trzech milionów lat

po prostu zderzy się z powierzchnią.

– Skoro wspomniałeś o zderzeniach... – zaczął Hockenberry.

Dokładnie w tej samej chwili szerszeń zawisł nieruchomo nad kraterem, opuścił się z wolna w zalaną światłem niekę i wylądował w pobliżu skomplikowanej płataniny kratownic, dźwigów, świecących żółtych kul, błękitnych kopuł i zielonych iglic. Dokoła, w zupełnej próżni, krążyły pojazdy i setki zapracowanych morawców. Przyziemili tak delikatnie, że siedzący w kokonie pola siłowego Hockenberry ledwie wyczuł drzenie metalowego pokładu.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – wyrecytował Mahnmut. – Chociaż nie jest to mój prawdziwy dom, ale... Przy wysiadaniu uważaj na głowę. Dla ludzi te drzwi są trochę za niskie.

Zanim scholiasta zdążył cokolwiek powiedzieć lub przynajmniej wrzasnąć, klapa w burcie małego pojazdu wysunęła się na zewnątrz i opuściła. Powietrze z rykiem opuściło kabinę i zastąpiła je próżnia.

W poprzednim życiu Hockenberry był najpierw studentem, a potem wykładowcą literatury antycznej i przedmioty ściśle nigdy nie były jego specjalnością. Obejrzał jednak dostatecznie wiele filmów fantastyczno-naukowych, by znać efekty gwałtownej dekompresji: puchnące do rozmiarów grejpfruta gałki oczne, fontanny krwi tryskającej z pękniętych bębenków. Wrząca krew, rozsadzająca ciało pod wpływem własnego ciśnienia, którego nie równoważył już napór powietrza.

Nie spotkało go nic podobnego.

Mahnmut przystanął na rampie.

– Nie idziesz? – Głos morawca zabrzmiał bardziej metalicznie niż przedtem.

– Dlaczego nie umarłem? – zdziwił się scholiasta. Miał wrażenie, że spowiła go warstwa folii bąbelkowej.

– Fotel cię chroni.

– Fotel??? – Hockenberry rozejrzał się na wszystkie strony, lecz w próżni nie było widać nawet najłżejszego drżenia. – Chcesz powiedzieć, że muszę tu siedzieć już zawsze, bo zginę, gdy wstanę?

– Nie – odparł rozbawiony Mahnmut. – Możesz spokojnie wysiadać. Pole siłowe przemieści się wraz z tobą. Zapewni ci odpowiednią temperaturę i chłodzenie. Zastępuje kombinezon próżniowy i w dodatku odzyskuje z twojego organizmu tlen. Powinno go wystarczyć na jakieś pół godziny.

– No, ale ten fotel jest chyba... częścią statku – zauważył scholiasta, po czym nieśmiało podniósł się z miejsca. Niewidzialna folia poruszyła się razem z jego ciałem. – Mogę go wynieść na zewnątrz?

– Prawdę mówiąc, to raczej szerszeń jest częścią fotela – powiedział Mahnmut. – Zaufaj mi. Ale przy chodzeniu musisz uważać. Pole samo z siebie spróbuje utrzymać cię na powierzchni, niemniej na Fobosie panuje tak słabe ciężenie, że do osiągnięcia prędkości ucieczki wystarczy porządnie się odbić. A wtedy, adios, Thomasie Hockenberry.

Scholiasta zatrzymał się na skraju rampy i mocno chwycił metalową framugę.

– No chodź! – zachęcił Mahnmut. – Nie pozwolę ci odlecieć. Fotel też nie.

Zapraszam do środka. Kilka morawców chciałoby cię poznać.

* * *

Mahnmut zostawił Hockenberry'ego w towarzystwie Asteague/Che i pozostałych naczelnich integratorów z Konsorcjum Pięciu Księżyców, po czym opuścił hermetyczną kopułę i wybrał się na przechadzkę po kraterze. Widok był zjawiskowy. Księżyc bezustannie mierzył w Marsa swym węższym końcem, a morawieccy inżynierowie tak przeorientowali jego położenie, by Czerwona Planeta przez cały czas wisiała dokładnie nad ich bazą. Jako że ściany krateru zasłaniały widok na boki, Mars zajmował większą część czarnego nieba. Czas obrotu małego księżycy wokół własnej osi wynosił siedem godzin. Dokładnie tyle samo zajmowało mu jedno okrążenie planety. Gigantyczny rdzawy dysk, naznaczony błękitnymi plamami oceanów i bielą wulkanów obracał się nad Mahnmudem z wielkim dostojeństwem.

Kilkaset metrów od głównej części bazy morawiec zastał swego przyjaciela. Orphu z Io siedział w pajęczynie dźwigów, rusztowań i lin, którymi zbudowany z myślą o podróży na Ziemię statek był przytwierdzony do lądowiska. Morawce próżniowe, roboty konstrukcyjne, przypominające czarne insekty skałowce i callistańscy brygadziści przemykali po kadłubie pojazdu i otaczających go pomostach niczym błyszczące mszyce. Promienie otaczających plac reflektorów i świateł samych pracowników grały na ciemnej sylwetce potężnego statku. Baterie krzątających się na nim autonomicznych spawarek sypały kaskadami iskier. Nieco bliżej, w zabezpieczającej stalowej kołysce spoczywała „Mroczna dama” – przywieziony z Europy pełnomorski batyskaf Mahnmuta. Kilka miesięcy temu morawce podniosły uszkodzony, pozbawiony zasilania statek z jego kryjówek na północnym wybrzeżu marsjańskiego Morza Tetydy. Holowniki przetransportowały „Dagę” na Fobosa, gdzie została naprawiona, po czym naładowano jej akumulatory i zmodyfikowano odpowiednio do warunków panujących na Ziemi.

Mahnmut zadarł głowę i spojrzał na przyjaciela. Większy morawiec sunął wzdłuż stalowych lin pod kadłubem wielkiego statku kosmicznego. Wywołał go na ich dawnej prywatnej częstotliwości.

– Czy to może być Orphu? Orphu, którego pamiętam z Marsa, z Ilionu, a jeszcze wcześniej z Io? To naprawdę ten Orphu?

– Jedyń i niepowtarzalny – odpowiedział masywny morawiec.

Jego basowy chichot, nawet transmitowany przez radio, jak zawsze ocierał się o infradźwięki. Orphu odpalił zamontowane na swej obudowie silniczki manewrowe i przeskoczył trzydzieści metrów, które dzieliły go od dźwigara, na którym niezbyt pewnie kołysał się Mahnmut. Chwycił konstrukcję szczypcami i zawisł kilka metrów od przyjaciela.

Niektóre morawce – dla przykładu Asteague/Che, tudzież owadzie morawce z Pasa Asteroid, a do pewnego stopnia również sam Mahnmut – sylwetką przypominały ludzi. Orphu z Io wyglądał inaczej. Został zaprojektowany do pracy w siarkowym torusie Io, w okolicach Jowisza bezustannie targanych magnetycznymi i grawitacyjnymi burzami, w miejscach sieczonych oślepiającym kosmicznym promieniowaniem. Był długi na około pięć metrów, wysoki na ponad dwa i nieznacznie przypominał ziemskiego skrzypłocza,

wyposażonego w dodatkowe odnoża, zespoły czujników, dysze silniczków manewrowych, manipulatory prawie – bo jednak niezupełnie – zastępujące mu ręce, oraz stary, podziurawiony i spękany pancierz, który po licznych przebytych naprawach wyglądał jak naprędce sklejoną szpachlówką.

– Czy Mars nadal obraca się na niebie, przyjacielu? – zahuczał Orphu.

Mahnmut spojrział ku niebu.

– Owszem. Kręci się jak wielka czerwona tarcza. Olympus Mons zaraz wyjdzie z cienia – zawahał się i po chwili zastanowienia dodał. – Przykro mi, że twoja operacja się nie udała. Naprawdę miałem nadzieję, że zdołają to naprawić.

Orphu wzruszył czterema długimi rękonożami.

– Nic wielkiego się nie stało, stary druhu. Po co komu organiczne oczy, kiedy można oglądać świat w podczerwieni, korzystać z wbudowanych w kolana chromatografów gazowych i spektrometrów masowych, posługiwać się radarem bliskiego i dalekiego zasięgu, sonarem i laserem do mapowania terenu? Moje prześwietne zmysły nie pokazują wyraźnie jedynie kilku zbędnych rzeczy, w rodzaju gwiazd czy Marsa.

– Rozumiem – przyznał Mahnmut. – Ale i tak bardzo mi przykro.

Orphu doznał poważnego i nieodwracalnego uszkodzenia organicznego nerwu wzrokowego, gdy zostali zaatakowani i niemal zniszczeni na orbicie Marsa przez olimpijskiego boga. Podczas tego pierwszego kontaktu z mieszkańcami wielkiego wulkanu stracili dwóch towarzyszy, którzy wraz ze statkiem zmienili się w obłok gazów i odłamków. Mahnmut zdawał sobie sprawę, że przyjaciel miał olbrzymie szczęście. Przeżył, a technikom udało się go doprowadzić do obecnego stanu, niemniej...

– Przywiozłeś Hockenberry'ego? – zadudnił Orphu.

– Tak. Integratorzy przedstawiają mu właśnie szczegóły.

– Banda biurokratów – burknął morawiec z Io. – Podwieźć cię na statek?

– Pewnie. – Mahnmut wskoczył na skorupę Orphu i przytrzymał się jednej z klamer swymi najbardziej wytrzymałymi szczypcami.

Próżniowy morawiec wzbil się i zaczął okrążyć rusztowanie statku. Wkrótce znaleźli się niemal kilometr ponad dnem krateru i dopiero stąd można było prawidłowo ocenić rozmiary pojazdu przymocowanego do wieży niczym elipsoidalny balon z helem. Był co najmniej pięć razy dłuższy od statku kosmicznego, którym ponad rok temu czwórka morawców przybyła z układu Jowisza.

– Robi wrażenie, prawda? – zauważył Orphu. W pracach konstrukcyjnych brał udział już od ponad dwóch miesięcy, wraz z inżynierami z pasa asteroid i Konsorcjum Pięciu Księżyców.

– Duży jest – przyznał Mahnmut. Niemal natychmiast wyczuł rozczarowanie przyjaciela i dodał. – Duży i piękny. W pewien swoisty czarno-cebulowato-ciężkoczmurny sposób.

Orphu zaniósł się swym głuchym rechotem. Ten dźwięk za każdym razem kojarzył się Mahnmutowi z wstrząsami wtórnymi po trzęsieniu kry na Europie. Ewentualnie z falami tsunami.

– Ambitna aliteracja jak na adepta astronautyki – powiedział.

Mniejszy morawiec wzruszył ramionami. Poczul się niezręcznie, kiedy uświadomił sobie, że Orphu nie miał szans tego gestu ujrzeć, po czym przypomniał sobie, że przyjaciel jednak wszystko przecież widział. Jego nowy radar był urządzeniem niezwykle precyzyjnym, nie ukazywał jedynie barw. Orphu zapewniał, że dzięki temu gadżetowi jest nawet w stanie wyłowić subtelne zmiany wyrazu ludzkich twarzy. Co się może przydać, jeśli Hockenberry postanowi z nami polecieć, przemknęło Mahnmutowi przez myśl.

– Ostatnio często rozmyślam o ludzkim smutku i o tym jak my, morawce, radzimy sobie z poczuciem straty. – Czasami wydawało się, że Orphu potrafi czytać przyjacielowi w myślach i bankach pamięci.

– O nie... – westchnął Mahnmut. – Znowu czytałeś tego Francuza.

– Prousta – zwrócił uwagę Orphu. – „Ten Francuz” ma nazwisko.

– Wiem, wiem. Nie rozumiem tylko, dlaczego znów po niego sięgasz. Po lekturze „Wspomnień straconego czasu” zawsze wpadasz w depresję.

– „W poszukiwaniu straconego czasu” – sprostował morawiec z Io. – Przeglądałem właśnie fragment, w którym Albertyna umiera, a narrator Marcel bezskutecznie próbuje o niej zapomnieć.

– No tak – mruknął Mahnmut. – Ty to jednak umiesz się rozerwać. Może na dokładkę pożyczę ci „Hamleta”?

Orphu zignorował zaczepkę. Dotarli już na wysokość, z której widzieli statek w pełnej okazałości i mogli też wyrzucić ponad ścianami krateru. Mahnmut wiedział, że jego przyjaciel jest w stanie bez kłopotu pokonać nawet kilka tysięcy kilometrów otwartej próżni, lecz i tak doznał bardzo silnego, nieprzyjemnego uczucia, że bezradnie oderwali się od powierzchni Fobosa i ulatują w pustkę. Sam przestrzegał przed tym Hockenberry’ego.

– By przeciąć więź z Albertyną – podjął Orphu – biedny narrator musi cofnąć się w czasie, we własnej świadomości i zmierzyć się ze wszystkimi Albertynami. Tymi, które zachował w pamięci, oraz Albertynami wyimaginowanymi, jakich pożałował i o które bywał zazdrosny. Wiesz, tymi wirtualnymi Albertynami, które powołał do istnienia we własnej głowie, gdy podejrzewał ją o potajemne schadzki z innymi kobietami. Oczywiście chodzi też o Albertyny zrodzone z jego pożądaniami. Dziewczyna, której praktycznie nie znał, kobieta, którą usidlił, lecz nie posiadał, kobieta, którą się znudził.

– Tak, to rzeczywiście mocno wyczerpujące – wtrącił Mahnmut, próbując dać tonem do zrozumienia, jak bardzo nużą go dywagacje na temat Prousta.

– Poczekaj, to jeszcze nie wszystko – rzucił Orphu, który albo postanowił zignorować sugestię przyjaciela, albo jej po prostu nie zauważył. – Żeby otrząsnąć się z żałoby, nasz nieborak Marcel... Bo wiesz, bohater i zarazem narrator powieści nosi to samo imię co autor... moment... ty przecież czytałeś tę książkę, prawda Mahnmut? Tak przynajmniej twierdziłeś, kiedy tu w zeszłym roku lecieliśmy.

– Cóż... powiedzmy, że przewertowałem – przyznał morawiec z Europy.

Tym razem infradźwięki pojawiły się w ciężkim westchnieniu Orphu.

– Tak... Jak już mówiłem, nieszczęsny Marcel nie tylko musi stanąć oko w oko z całym legionem wyobrażonych Albertyn, inaczej wszak nie będzie w stanie pożegnać się z tą prawdziwą, lecz musi również skonfrontować się ze wszystkimi Marcelami,

którzy doświadczyli obecności owych licznych Albertyn. Z tym Marcelem, który pożądał jej jak niczego innego na świecie, z Marcelem targanym szałem zazdrości, z Marcelami obojętnymi, z tymi, którym żądza przyćmiła rozum, z...

– Przepraszam, ale czy ty do czegoś zmierzasz? – spytał Mahnmut. Osobiście od stu pięćdziesięciu standardowych lat pasjonował się sonetami Szekspira.

– Chodzi mi po prostu o oszalamiającą złożoność ludzkiej świadomości – wyjaśnił Orphu, po czym wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, rozpędził się uderzeniem ciągu silniczków i poniósł przyjaciela z powrotem w stronę statku i wieży, w kierunku zapewniającego jako takie poczucie bezpieczeństwa krateru. Mahnmut wyciągnął swą krótką szyję i popatrzył na Marsa. Zdawał sobie sprawę, że to tylko złudzenie, lecz planeta wydawała się w tej chwili bliższa. Olimp i wulkany płaskowyżu Tharsis zniknęły już niemal z pola widzenia. Fobos mknął ponad przeciwległą krawędzią planety.

– Zastanawiałeś się może kiedykolwiek, na czym polega różnica między naszym poczuciem straty i żalu a sposobem, w jaki podobne emocje przeżywają, powiedzmy, Achilles lub Hockenberry?

– Nie przypominam sobie – przyznał Mahnmut. – Odniosłem jednak wrażenie, że Hockenberry mocno cierpi z powodu utraty wspomnień z większej części poprzedniego życia... Boli go to podobnie jak tęsknota za zmarłą żoną, przyjaciółmi, studentami i tak dalej. Chociaż nigdy nie wiadomo, to przecież człowiek. W dodatku zrekonstruowany człowiek, ktoś lub coś odtworzyło go za pomocą fragmentów DNA, RNA, jego dawnych książek i prawdopodobnie jakiegoś programu probabilistycznego. Co do Achillesa, ten, kiedy dręczy go smutek, staje do walki i kogoś zabija. Czasem nawet wielu ktosiów.

– Żałuję, że nie widziałem słynnego szturm na bogów z pierwszego miesiąca wojny – powiedział Orphu. – Z twojego opisu wynikało, że rzeź była po prostu wstrząsająca.

– Bo była – potwierdził Mahnmut. – Te obrazy są tak drastyczne, że zablokowałem sobie w pamięci możliwość przypadkowego dostępu do zawierających je plików.

– To kolejny proustowski motyw, nad jakim się zastanawiałem – stwierdził Orphu. Wylądowali na grzbiecie wielkiego statku i próżniowy morawiec uchwycił się mikrozaczeпами powłoki izolacyjnej. – My, kiedy wspomnienia naszych organicznych mózgów wydają się nam niepewne, zawsze możemy się uciec do pomocy pamięci krzemowej. Ludzie natomiast posiadają wyłącznie tę swoją uwarunkowaną chemicznie płataninę wspomnień neurologicznych, subiektywnych i zniekształconych emocjami. Jak oni w ogóle mogą na takiej pamięci polegać?

– Nie mam pojęcia – stwierdził Mahnmut. – Jeżeli Hockenberry wybierze się z nami na Ziemię, będziemy mieli okazję poobserwować jego umysł w działaniu.

– Nie będziemy mieć zbyt wiele czasu na spokojne pogawędki we trójkę – zauważył Orphu. – Startujemy z potężnym przeciążeniem, przy hamowaniu będzie jeszcze gorzej, a leci z nami istny tłum. Przynajmniej trzydziestka morawców z Pięciu Księżyców i tysiąc skałowieckich żołnierzy.

– Czyli tym razem będziemy gotowi na wszystko, co? – rzucił Mahnmut.

– Szczerze wątpię – zagrzmiał Orphu. – Chociaż na statku jest dość broni, by całą Ziemię zmienić w kulę popiołów. Tyle że jeszcze żaden wcześniejszy plan wcale nie

uchronił nas przed niespodziankami.

Mahnmut poczuł się tak samo nieprzyjemnie, jak wtedy, gdy się dowiedział, że statek, którym lecieli na Marsa, przewozi na pokładzie broń.

– Zdarza ci się może opłakiwać Korosa III i Ri Po? W taki sposób, w jaki twój proustowski narrator boleje po stracie bliskich? – spytał większego morawca.

Czuła antena radaru Orphu obróciła się w kierunku Mahnmuta, jakby po to, by wyłović wyraz jego twarzy. Oczywiście jednak twarz Mahnmuta nie miała żadnego wyrazu.

– Nieszczęśliwie – odpowiedział Orphu. – Przecież nie znaleźliśmy ich przed misją, a lot, zanim... dopadł nas Zeus, spędzaliśmy oddzielnie. W zasadzie obaj byli dla mnie jedynie głosami z radiowych przekazów. Z drugiej strony zdarza się, że oglądam wspomnienia z ich obrazami. Podejrzewam, że to dla mnie forma hołdu.

– Rozumiem – stwierdził Mahnmut. Sam nabrał identycznego zwyczaju.

– Wiesz, co powiedział Proust na temat rozmowy?

Mahnmut zdusił cisnące mu się na usta westchnienie.

– Co takiego?

– Powiedział... „Rozmawiając, nie przemawiamy samymi sobą... Staramy się upodobnić do rozmówców, a nie do ja, które nas od nich różni”.

– Czyli kiedy rozmawiam z tobą, upodabnam się do sześciotonowego kraba w spękany panczer, obdarzonego nienaturalną ilością kończyn i w dodatku pozbawionego oczu?

– Chciałbyś – zachichotał donośnie Orphu z Io. – A chcieć to nie zawsze móc.

Pentezylea wpadła galopem do Ilionu godzinę po świcie. Jechała na czele tuzina zdążających za nią parami najlepszych sióstr-wojowniczek. Mimo wczesnej pory i dokuczliwego chłodnego wiatru na mury wyległy tysiące Trojan. Prawdziwy tłum obstawił też drogę wiodącą spod Bramy Skajskiej ku tymczasowej siedzibie Priama. Gapie wiwatowali tak gorąco, jakby królowa Amazonek przywiodła całą armię sprzymierzeńców, a nie dwunastkę kobiet. Ludzie pozdrawiali je, wymachując chustkami, wojownicy bili włóczniami o skórzane tarcze, słyhać było okrzyki zachęty i szloch. Pod końskie kopyta sypnęły się kwiaty.

Pentezylea przyjmowała to powitanie jak należny sobie hołd.

Deifobos, syn króla Priama, brat Hektora i poległego Parysa, mężczyzna, o którym cały świat od pewnego czasu wiedział, że zostanie kolejnym mężem Heleny, czekał na królową Amazonek i jej wojowniczeki pod murami rezydencji króla. Korpulentny, odziany w połyskliwą zbroję i czerwony płaszcz. Grzebień na jego złotym hełmie sterczał sztywno ku górze. Wojownik stał z założonymi na piersiach rękoma i dopiero po chwili uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Za jego plecami przeżyło się na baczność piętnastu osobistych gwardzistów Priama.

– Witaj, Pentezyleo, córo Aresa, królowo Amazonek – zakrzyknął Deifobos. – Witaj w naszych progach wraz ze swymi dwunastoma wojowniczkami. Dzisiaj cały Ilion zanoszi ci dzięki i wysławia twe imię. Cieszymy się, że przybywasz jako przyjaciółka i sojusznik w wojnie z gospodarzami Olimpu. Wejdźcie, zażyjcie kąpieli, przyjmijcie nasze dary i poznajcie sławetną gościnność Trojan. Hektor, najbardziej znamienity spośród naszych herosów, chętnie powitałby was osobiście, lecz postanowił zaznać kilku godzin odpoczynku. Przez całą noc czuwał przy stosie pogrzebowym naszego rodzzonego brata.

Pentezylea zwinnie zeskoczyła z grzbietu swego wielkiego bojowego rumaka. Mimo że miała na sobie ciężką zbroję i rozbłyskujący w promieniach słońca hełm, poruszała się z niewysłowionym wdziękiem. Oburącz uchwyciła mocno przedramię Deifobosa i przywitała się z nim jak żołnierz z żołnierzem.

– Dziękuję ci, Deifobosie, synu Priama, zwycięzco tysiąca pojedynków. Dziękujemy ci wszystkie i prosimy, byś wraz z ojcem i całym ludem Priama przyjął wyrazy najgłębszego smutku, z jakim dwa dni temu przyjęliśmy wiadomość o śmierci Parysa. Dziękujemy wam również za hojną gościnę. Zanim jednak przekroczę próg parysowego domu, obecnego pałacu Priama, muszę wyznać, że nie przybyłam tutaj, by stanąć po waszej stronie do walki, lecz aby raz na zawsze położyć kres wojnie z bogami.

Deifobos, od urodzenia cierpiący na lekki wytrzeszcz, spojrzał na urodziwą Amazonkę tak, jakby oczy miały wyskoczyć mu z orbit.

– W jaki sposób zamierzasz tego dokonać, królowo Pentezyleo?

– Właśnie o tym chciałabym najpierw z wami porozmawiać, a potem plan

zrealizować – odparła Pentezylea. – Cóż, zaprowadź mnie do środka, Deifobosie. Trzeba mi pomówić z twym ojcem.

Deifobos wyjaśnił królowej Amazonek i jej gwardzistkom, że jego ojciec, szlachetny Priam, zajął jedno ze skrzydeł rezydencji Parysa, ponieważ bogowie zniszczyli jego własny pałac już pierwszego dnia konfliktu, osiem miesięcy temu, mordując przy tym jego żonę, królową Hekubę.

– Zatem, Deifobosie, składam ci ponowne kondolencje w imieniu całego plemienia Amazonek – powiedziała Pentezylea. – Na wieść o śmierci królowej smutek ogarnął nawet odległe wyspy i wzgórze naszej krainy.

Kiedy znaleźli się już w komnacie królewskiej, Deifobos odchrząknął.

– Skoro wspomniałaś o swej dalekiej ziemi, córo Aresa. Jak to możliwe, że przeżyłaś niedawną demonstrację boskiego gniewu? Tej nocy przebiegła miasto pogłoska, że Agamemnon zastał greckie wyspy zupełnie wyludnione. Kiedy dotarł do domu, nie spotkał tam ani jednego człowieka. Nawet mężni obrońcy Ilionu drżą dzisiejszego ranka z obawy, że bogowie zniszczyli cały ludzki ród z wyjątkiem nas i Argiwów. Czyżby bogowie oszczędzili ciebie i twoje siostry?

– Nie moje siostry – odparła beznamiętnie Pentezylea. – Obawiamy się, że kraina nieustraszonych Amazonek opustoszała podobnie jak wszystkie ziemie, które przebyłyśmy w ciągu ostatniego tygodnia podróży. Atena jednak zachowała mój oddział przy życiu ze względu na wyznaczoną nam misję. Otóż bogini przesyła mieszkańcom Ilionu ważną wiadomość.

– Proszę, przekaz ją nam bez zwłoki – rzucił Deifobos.

– Ta wiadomość jest przeznaczona wyłącznie dla królewskich uszu Priama.

Jakby na zawołanie zagrały fanfary, rozsunięto zasłony i do sali wkroczył powolnym krokiem monarcha, wsparty na ramieniu jednego z osobistych gwardzistów.

Pentezylea spotkała się już z Priamem w jego dawnym pałacu niecały rok wcześniej, kiedy wraz z pięćdziesiątką towarzyszek przedarła się przez oblężniczy pierścień achajskich wojsk i przyniosła miastu słowa otuchy i zapewniła o swej przychylności. Wówczas król Troi odparł, że nie potrzebuje pomocy Amazonek, lecz w zamian za poparcie obsypał ją złotem i innymi podarkami. Dzisiaj władczyni wojowniczego plemienia na widok króla poczuła się mocno wstrząśnięta.

Priam, mąż czcigodny, lecz zawsze dotąd tryskający energią, postarzał się przez te dwanaście miesięcy jakby o dwadzieścia lat. Jego plecy, dawniej tak sprężyste i proste, przygięły się ku ziemi. Policzki, wcześniej zwykle zaczerwienione od wina bądź emocji – takim zapamiętała go dwudziestopięcioletnia Pentezylea, która widziała go po raz pierwszy, gdy jako dziecko chowała się z siostrą za kurtyną w sali tronowej swej matki, kiedy delegacja z Ilionu stawiała się, by złożyć hołd władczyni – były teraz głęboko zapadnięte, przez co można było odnieść wrażenie, że starcowi posypały się wszystkie zęby. Szpakowate w poprzednim roku włosy i zarost przybrały obecnie smętny biały kolor i pozostawały w nieładzie. Znękane oczy sprawiały wrażenie, że oglądają jedynie duchy.

Sędziwy starzec osunął się ciężko na tron ze złota i lapis-lazuli.

– Witaj Priamie, synu Laomedona, szlachetny monarcho z rodu Dardanusa, ojczy

mężnego Hektora, nieszczęsnego Parysa i gościnnego Deifobosa – zagała Pentezylea, przyklękając na osłonięte nagolenicą kolano. Głos młodej kobiety, choć melodyjny, zabrzmiał wystarczająco donośnie, by wypełnić przestronną salę echem. – Ja, królowa Pentezylea, być może ostatnia władczyni Amazonek, przybywam tu w towarzystwie swych dwunastu zakutych w brąz wojowniczek, by złożyć ci wyrazy szacunku i kondolencji oraz oferować nasze dary i włócznie.

– Współczucie i lojalność Amazonek są dla nas najcenniejszymi podarkami, droga Pentezyleo.

– Przynoszę ci również posłanie Pallas Ateny, klucz do zakończenia wojny, którą Trojanie prowadzą przeciwko bogom – dodała Amazonka.

Zaintrygowany monarcha przechylił głowę na bok. Wśród członków królewskiej świty rozległo się szemranie.

– Córkko ukochana, Pallas Atena nigdy nie darzyła Ilionu miłością. Od zawsze spiskowała z naszymi argiwskimi wrogami, chcąc zniszczyć to miasto i wszystkich, którzy zamieszkali za jego murami. Teraz z kolei stała się naszym zaprzysięgłym przeciwnikiem. Pospołu z Afrodytą zamordowała Astianakta, małego synka mojego Hektora, młodego pana miasta. Uczyniła to, twierdząc, że my i nasze dzieci jesteśmy dla bogów jedynie ofiarami. Jak zwierzęta. Nie zawrzemy z Olimpijczykami pokoju, dopóki jedna ze stron nie zostanie z tego świata usunięta bez reszty.

Pentezylea nie wstała, lecz zadarła wysoko głowę. Błękitne oczy buńczucznie błysnęły.

– Oskarżenia, jakie wysuwasz wobec Ateny i Afrodyty, są wyssane z palca. Cała ta wojna jest oparta na fałszywych przesłankach. Miłujący Ilion bogowie chcą ponownie obdarzyć nas miłością i wesprzeć. Uczucie to podziela osobiście Ojciec Zeus. Nawet szarooka Pallas Atena przeszła na stronę Trojan, powodowana podłą zdradą Achajów. Szczególnie ubodła ją kłamliwa postawa Achillesa, ponieważ to on pierwszy rzucił na nią kalumnię, sugerując, że bogini zgładziła jego druha Patroklosa.

– Czy bogowie podali warunki zawarcia pokoju? – spytał Priam. Głos starca brzmiał słabo i smętnie.

– Atena proponuje znacznie więcej niż warunki ugody – oznajmiła Pentezylea i podniosła się z kolan. – Ona oraz pozostali kochający wasze miasto Olimpijczycy proponują wam zwycięstwo.

– Zwycięstwo? Nad kim? – zawołał Deifobos, który nagle wyrósł u boku ojca. – Achajowie są teraz naszymi sprzymierzeńcami. Oni, a także owe sztuczne istoty, morawce, które chronią nasze miasta i obozy przed gromami Zeusa.

Pentezylea zaniósła się śmiechem i w tej chwili wszyscy zebrani w komnacie mężczyźni zadziwili się urodą królowej. Władczyni Amazonek była młoda i piękna, jej policzki kraśniały rumieńcem, a spojrzenie tchnęło młodzieńczą żywiołowością. Ukryte pod finezyjnie wykutą brązową zbroją ciało wydawało się jednocześnie bujne i gibkie. Dziewczęce oczy nie były jednak naiwne, biła z nich przenikliwa inteligencja, zwierzęca siła i godne wojownika pragnienie czynu.

– Zwycięstwo nad Achillesem, który zwiódł twego syna, szlachetnego Hektora i który od tamtej pory nieprzerwanie prowadzi Ilion ku zagładzie – zawołała. –

Zwycięstwo nad Argiwami, nad Achajami, którzy, kiedy my tu rozmawiamy, snują plany mające przywieść ciebie do upadku, a twą stolicę do ruiny. Chcą zabić waszych synów i wnuków, a z żon i córek uczynić niewolnice.

Priam ze smutkiem pokręcił głową.

– Żaden mąż nie pokona w walce chyżonokiego Achillesa, Amazonko. Nie sprostał mu nawet Ares, którego syn Peleusa zabił już trzykrotnie. Nie jest mu groźna nawet Atena, która umknęła, gdy stanął z nią do walki. Także nie Apollo, którego zbroszone złotą krwią, porąbane na kawałki ciało odniesiono po starciu z Achillem na Olimp. Niegroźny mu nawet sam Zeus, który drży z lęku na myśl o pojedynku z półbogiem.

Pentezylea pokręciła głową. Jej złote loki rozbłyły.

– Zeus nie drży przed nikim, szlachetny Priamie, dumo rodu Dardanusa. Gromowładny byłby w stanie zniszczyć Troję, ba, cały wręcz świat, jednym atakiem swej egidy.

Na wzmiankę o egidzie, najpotężniejszej i niezwykle tajemniczej broni Zeusa, pobledli wszyscy przysłuchujący się rozmowie wojownicy. Zbielała także twarz króla. Było powszechnie wiadomo, że nawet olimpijscy bogowie nie są przed nią bezpieczni, Zeus mógł ich zniszczyć w okamgnieniu. Egida nie była zwykłym ładunkiem termonuklearnym, jakimi Gromowładny bezskutecznie zarzucał na początku wojny morawieckie pola siłowe. Tej broni istotnie należał się respekt.

– Przysięgam ci jedno, znamienity Priamie – podjęła władczyni Amazonek. – Achilles zginie. Zginie, zanim na obu światach zajdzie dzisiaj słońce. Przysięgam ci to, klnąc się na krew mej matki i sióstr. Przysięgam, że...

Priam uciszył ją gestem uniesionej dłoni.

– Powstrzymaj się od przysięg, młoda Pentezyleo. Odkąd przyszedł na świat, jesteś dla mnie jak córka. Wyzwanie Achillesa na pojedynek oznacza śmierć. Co sprawiło, że przybywasz do Troi i szukasz pewnego zgonu?

– Nie zgonu szukam, mój panie. – W głosie Amazonki pojawiło się wyraźne napięcie. – Szukam chwały.

– Nierzadko bywają tym samym – zauważył Priam. – Pójdź, usiądź ze mną. Pomówmy na osobności.

Machnięciem ręki odprawił strażników i Deifobosa, którzy wycofali się poza zasięg słuchu. Również dwanaście Amazonek odstąpiło z szacunkiem.

Pentezylea zasiadła na wysokim tronie. Mebel należał dawniej do Hekuby i odnaleziono go wśród gruzów starego pałacu. Teraz stał pusty, jako wyraz pamięci o zabitej królowej. Kobieta złożyła lśniący hełm na szerokim oparciu i nachyliła się ku sędziwemu mężowi.

– Ścigają mnie Furie, ojcie Priamie. Już od trzech miesięcy nieprzerwanie idą mym śladem.

– Dlaczego? – spytał władca. Przysunął się ku niej niczym ksiądz z odległej przyszłości, wysłuchujący nienarodzonej jeszcze grzesznicy. – Przecież demony zemsty domagają się ludzkiej krwi wyłącznie wtedy, gdy zbrodni nie może pomścić żaden śmiertelnik. Najczęściej wówczas, kiedy występki wydarza się w łonie jednej rodziny. A przecież ty chyba nie zraniłaś nikogo ze swego szlachetnego rodu.

– Zabiłam Hipolitę, swą własną siostrę – przyznała łamiącym się głosem Pentezylea.

– Zamordowałaś Hipolitę?! – Priam usiadł prosto. – Była królową Amazonek? Małżonką Tezeusza? Przecież powiadano, że zginęła wskutek wypadku na łowach! Ktoś ponoć dostrzegł poruszenie w zaroślach i wziął władczynię Aten za jelenia.

– Nie taki był mój zamiar, królu. Lecz kiedy Tezeusz ją porwał – podczas wizyty państwowej uwiódł ją na pokładzie swego okrętu, po czym postawił żagle i odpłynął – dusze Amazonek przepełniło pragnienie zemsty. W tamtym roku, gdy oczy i uwaga wszystkich mieszkańców Peloponezu i greckich wysp były zwrócone na waszą wojnę, pod nieobecność herosów, którzy mogliby bronić Aten, zebrałyśmy niewielką flotyllę i obległyśmy miasto. Naturalnie nie była to batalia równa waszej, nie przejdzie do annałów historii, lecz po jakimś czasie wdarłyśmy się do twierdzy Tezeusza.

– Oczywiście, słyszeliśmy i o tym – burknął stary Priam. – Tyle że konflikt szybko wygasł, podpisałyście traktat pokojowy i odpłynęłyście. Wedle naszej wiedzy królowa Hipolita zginęła niedługo potem, właśnie podczas polowania zorganizowanego dla uczczenia pokoju.

– Nie. Hipolita zginęła przebita grotem mej włóczni. – Pentezylea mówiła z trudem. Słowo po słowie. – Początkowo Ateńczycy rzucili się do ucieczki. Tezeusz został ranny i uznaliśmy, że miasto należy już do nas. Przy czym jedynym naszym celem było uwolnienie mej siostry. Bez względu na to, czy chciała z Tezeuszem pozostać, czy nie. Niewiele brakowało. Lecz wtedy on powiódł swych ludzi do kontrataku, który zmusił nas do całodziennego, krwawego odwrotu na okręty. Poległo wiele z moich sióstr. Walczyłyśmy o życie, a kiedy wreszcie zdolności bojowe Amazonek przeważały, odrzuciłyśmy Tezeusza i jego oddziały o dzień drogi, z powrotem pod miejskie mury. Wtedy jednak ostatnia ciśnieńta przeze mnie włócznia, mierzona w Tezeusza, utkwiała w sercu Hipolity, która w ateńskiej zbroi była nie do odróżnienia od mężczyzny i walczyła zaciekle u boku swego męża i pana.

– Przeciwno Amazonkom... – wyszeptał Priam. – Przeciw własnym siostrom...

– Tak. Ledwie się dowiedziałyśmy, kogo zabiłam, bitwa wygasła. Zawarłyśmy pokój. Wzniosłyśmy w pobliżu akropolu białą kolumnę ku pamięci mej szlachetnej siostry i odpłynęłyśmy, okryte smutkiem i wstydem.

– A Furie ścigają cię teraz, by pomścić przelaną krew siostry.

– Dzień w dzień – potwierdziła Pentezylea. W jej jasnych oczach zakręciły się łzy. Gładkie policzki, rozognione rumieńcem, gdy jeszcze mówiła, okryła bladość. Była niezwykle piękna.

– Wyjaśnij mi jeszcze, córko, jaki związek ma twoja tragedia z Achillesem i toczoną przez nas wojną? – zapytał Priam półgłosem.

– Niecały miesiąc temu, synu Laomedona, potomku Dardanusa, ukazała mi się Atena. Oświadczyła, że nie prześlągam tych piekielnych bestii żadną ofiarą, lecz jestem w stanie uczynić śmierci Hipolity zadość, jeżeli udam się do Ilionu w towarzystwie tuzina starannie dobranych towarzyszek i pokonam Achilleusa w pojedynku, przez co zakończę tę zbędną wojnę i przywrócę pokój między bogami a ludźmi.

Priam pogładził się po podbródku porośniętym zapuszczaną od dnia śmierci

Hekuby rzadkim, siwym zarostem, uchodzącym za męską brodę.

– Amazonko, Achillesa nie zdoła pokonać nikt. Mój syn Hektor, najwspanialszy wojownik, jakiego trojańska ziemia wydała, próbował tego dokonać przez osiem długich lat. Na darmo. Obecnie stał się przyjacielem i sojusznikiem chyżonogiego mężobójcy. Starali się go zgładzić także bogowie, lecz wszyscy musieli ulec gniewowi Achillesa. Wszyscy. Ares, Apollo, Posejdon, Hermes, Hades, Atena. Zawiedli i oni.

– Tylko dlatego, że żadne z nich nie poznało sekretu jego słabości – szepnęła Pentezylea. – Kiedy Achilles był jeszcze dziecięciem, jego matka, bogini Tetyda, postanowiła zapewnić mu na całe życie powodzenie w walce. Właśnie dlatego nikt nie może go pokonać, o ile nie zaatakuje jednego, jedyne go wrażliwego miejsca na jego ciele.

– Jakiego? – Priam otworzył szeroko oczy. – Mówże!

– Przysięgam Atenie na własne życie, iż nikomu tego nie wyjawię. Ale, ojcie Priamie, z chęcią skorzystam z tej wiedzy, by zabić Achillesa własnoręcznie. A wówczas wojna dobiegnie końca.

– Kobieto, skoro Atena zna tajemną słabość Achillesa, dlaczego w takim razie nie wykorzystwała jej w trakcie własnego pojedynku, tylko uciekła poraniona? Teleportowała się wszak na Olimp w bólu i strachu.

– W dzieciństwie Achillesa Mojry uznały, że ów sekret poznać może jedynie śmiertelnik, który stanie z nim do walki podczas oblężenia Troi. Niestety przyszłość, jaką mu zgotowały, nie ziści się już nigdy.

Priam wyprostował się na tronie.

– Zatem to Hektor miał zgładzić Achillesa – burknął. – Gdyby nie wywołał tej wojny, ziściłoby się przeznaczenie, o którym mówisz.

– Nie. Nie Hektor. – Pentezylea pokręciła głową. – Inny śmiertelnik. Życie Achillesa zabrałby inny Trojanin. Już po śmierci Hektora. Jedna z muz dowiedziała się tego od służącego Olimpijczykom niewolnika. Nazywają ich scholiastami, a ten konkretny znał przyszłość.

– Wieszczbiarz – zauważył król. – Podobnie jak nasz wspaniały Helenos, tudzież achajski prorok Kalchas.

Amazonka ponownie wstrząsnęła złocistymi puklami.

– Nie, scholiaści nie oglądają przyszłych wydarzeń. Oni po prostu przybywają z przyszłości. Wedle Ateny jednak wszyscy już zginęli. Niemniej los Achillesa pozostał niezmienny i to ja mam go dopełnić.

– Kiedy? – mruknął starzec.

Rozważał płynące z propozycji królowej wnioski. Nie bez powodu od ponad półwiecza władał najwspanialszym miastem świata. Jego własny syn, Hektor, był w tej chwili co prawda złączony przymierzem krwi z Achillesem, lecz nie był przecież królem. Owszem, był największym wojownikiem Troi, lecz nigdy nie musiał dźwigać na swych barkach odpowiedzialności za los Ilionu i jego mieszkańców. Zapewne nawet o tym nie myślał. To zadanie należało wyłącznie do Priama.

– Kiedy? – powtórzył. – Jak szybko będziecie w stanie zgładzić Achillesa? Ty i twój tuzin Amazonek?

– Dzisiaj – przyrzekła Pentezylea. – Zgodnie z obietnicą. Zanim słońce zajdzie nad

Troję bądź Olimpem, który widać przez wyrwę w powietrzu, jaką oglądałyśmy z przedmurza.

– Czego potrzebujesz, córko? Broni? Złota? Bogactw?

– Wystarczy mi twe błogosławieństwo, szlachetny Priamie. A także nieco strawy. I posłania dla moich sióstr i mnie samej, byśmy przed kąpielą mogły się zdrzemnąć, a potem odświeżone przyoblec w zbroje i ostatecznie zakończyć wojnę z bogami.

Priam zaklaskał w dłonie. Deifobos, gwardziści, dworzanie i tuzin wojowniczek Pentezylei natychmiast podeszli z powrotem.

Król zamówił dla Amazonek wystawny posiłek oraz miękkie łóżka, by mogły choć na chwilę złożyć głowy. Niewolnicom przykazał przygotować kąpiel oraz pozostać w gotowości do natarcia ciał wonnymi olejkami, masowania, nakarmienia, wyczesania włosów i osiodłania wierzchowców szykującego się do popołudniowej walki oddziału Pentezylei.

Amazonka, z pewnym siebie uśmiechem, wyprowadziła swoje siostry z komnaty.

Kwantowa teleportacja z wykorzystaniem przestrzeni Plancka – Hera oczywiście owych terminów nie znała – powinna działać błyskawicznie, lecz w tym dziwnym wymiarze podobne kategorie po prostu nie miały sensu. Przenikając przez wyrwy w czasoprzestrzeni, zostawiało się za sobą ślady, które Olimpijczycy byli w stanie śledzić dzięki nanomemom i ulepszonym komórkom. Mogli to robić z łatwością wprawnego łowcy, równie beztrosko jak Artemida tropiąca w głuszy jelenia.

Hera zmierzała przez nicość za Zeusem. Pewna była tylko jednego – jej boski małżonek nie poruszał się żadnym z utartych kanałów komunikacyjnych pomiędzy Olimpem, Ilionem a Górą Ida. Gromowładny przeniósł się w inny punkt prastarej Ziemi.

Zmaterializowała się w wielkiej sali, tak dobrze znanej Atenie. Na jednej ze ścian wisiał olbrzymi łuk i wypełniony strzałami kołczan. Zauważyła też długi i niski stół zastawiony dziesiątkami kunsztownie wykonanych pucharów, mis i złotych pater.

Zaskoczony Zeus podniósł wzrok. Siedział przy stole. Skurczył się do marnych siedmiu stóp wzrostu i w roztargnieniu drapał za uszami psa o posiwiiałym pysku.

– Mój Panie – zaczęła Hera. – Temu zwierzęciu również oderżniesz łeb?

Zeus nie odpowiedział jej uśmiechem.

– Powinienem – zagrzemiał. – Byłby to odruch miłosierdzia. – Zmarszczył czoło. – Poznajesz może to miejsce i tego psa, żono?

– Naturalnie, jesteśmy w domu Odyseusza na surowej ziemi Itaki. Pies wabi się Argus i był ulubieńcem Odysa aż po dzień, kiedy jego pan wypłynął ku brzegom Ilionu. Sam go wytresował.

– A pies, mimo wszystko, wciąż na niego czeka – zauważył Zeus. – W tej chwili jednak zniknęła już Penelopa i Telemach, zniknęli nawet zalotnicy, którzy niczym sępy zaczęli się zlatywać pod dom chytrego wojownika, w nadziei na rękę i majątek jego małżonki. Nie ma ich, nie ma Penelopy ani Telemacha, nie ma nawet jednego śmiertelnika, z wyjątkiem tych kilku zebranych pod Troją tysięcy. A kundla nie ma kto karmić.

Hera wzruszyła ramionami.

– Trzeba go było odesłać do Ilionu. Zeżarłby tam zwłoki twojego Dionizosa. Utracysz wreszcie na coś by się przydał.

Zeus pokręcił głową.

– Dlaczego traktujesz mnie tak chłodno, żono? I czemu przybywasz za mną aż tutaj, gdzie chciałem się w ciszy i spokoju zastanowić nad tym przedziwnym zniknięciem ludzi?

Hera podeszła bliżej do siwobrodego Boga nad Bogami. Obawiała się jego gniewu, spośród wszystkich bóstw i śmiertelników jedynie Zeus był w stanie ją zniszczyć. Bała się tego, co sama zamierza zrobić, lecz była zdecydowana.

– Groźny w swym majestacie synu Kronosa, przychodzę tylko, by się pożegnać na

kilka soli. Nie chciałam, byśmy rozstali się w niezgodzie. – Zbliżyła się jeszcze bardziej i ukradkowym ruchem dłoni musnęła ukrytą pod prawą piersią przepaskę Afrodyty. Natychmiast wyraźnie poczuła wypełniającą salę seksualną energię, wyłowiła z powietrza falę bijących z jej ciała feromonów.

– Dokąd to wybierasz się aż na kilka soli, nie dbając o trwającą wokół Olimpu i pod Troją zawieruchę? – burknął Gromowładny, lecz poruszył nozdrzami i spojrzął na żonę ze świeżym zainteresowaniem. O psie zapomniał zupełnie.

– Przy pomocy bogini Nyks zamierzam udać się na krańce pustej ziemi i złożyć wizytę Okeanosowi i Matce Tetydzie, którym, jak sam wiesz, mój mąż, ów świat przypadł do gustu bardziej niż nasz zimny Mars. – Hera wykonała jeszcze trzy kroki naprzód i przystanęła niemal na wyciągnięcie ręki od Zeusa.

– Skąd pomysł takich odwiedzin właśnie teraz, Hero? Przez długie stulecia, jakie minęły, odkąd ujarzmiliśmy Czerwony Świat i zasiedliliśmy Olimp, doskonale radzili sobie bez ciebie.

– Mam nadzieję zażegnać ich nieustający spór – stwierdziła Hera przebiegle. – Już nazbyt długo dąsają się na siebie i nie kochają się, gdyż serca draży im wzajemny gniew. Chciałam ci powiedzieć, dokąd się udam, byś nie zapłonął boską złością, myśląc, że wybrałam się do głębokich sal podwodnego dworu Okeanosa w tajemnicy.

Zeus podniósł się z miejsca. Hera wyraźnie dostrzegła budzące się w małżonku podniecenie i pożądanie, skrywane teraz jedynie fałdami jego boskiej szaty.

– Po co się tak śpieszyć, Hero?

Zeus pożerał ją wzrokiem i to spojrzenie przywołało w pamięci bogini chwile, gdy czuła w najwrażliwszych miejscach ciała język i dłonie swego brata, męża i kochanka w jednej osobie.

– Dlaczego miałabym zwlekać, mężu?

– Wyprawę do Okeanosa i Tetydy możesz odłożyć o dzień lub dwa. Możesz z niej też zrezygnować. – Zeus podszedł do Hery. – Dzisiaj, tymczasem, możemy zatracić się w miłosnym szale! Pójdź, żono...

Gromowładny uniósł rękę i nagłą falą niewidzialnej energii strącił z długiego stołu puchary, sztuce i zepsute resztki jedzenia. Sięgnął po wiszący na ścianie olbrzymi gobelin, zerwał go i zarzucił na grubo ciosane szorstkie deski blatu. Hera cofnęła się lekko i podniosła dłoń do biustu, jakby chciała się teleportować.

– Co mówisz, mój Panie? Chcesz się ze mną tu kochać? W opustoszałym domu Odyseusza i Penelopy? Na oczach tego kundla? Skąd pewność, że pozostali Olimpijczycy nie obserwują nas w tej chwili na swych holościanach, projektorach i w holograficznych basenach? Jeżeli nasza cię chęćka na miłosne igraszki, zaczekaj, aż powrócę z pogrążonego w odmętach pałacu Okeanosa, a oddam ci się we własnej sypialni, zabezpieczonej przez bieglego w rzemiośle Hefajstosa...

– Nie! – ryknął Zeus. Bóg rósł w kilku sensach jednocześnie, pokrytą siwymi lokami głową musnął powałę. – Nie przejmuj się wścibskimi spojrzeniami. Otoczę nas złocistym obłokiem, który spowije całą Itakę i dom Odysa oparem tak gęstym, iż nie przenikną go najbystrzejsze oczy bóstw i śmiertelników, nawet wzrok Prospera lub Setebosa, a my będziemy mogli się kochać w spokoju. Ściągaj szaty!

Ponownie machnął ręką i budynek zadrżał w posadach, poruszony energią otaczającego go pola siłowego i zapewniającej prywatność złotej chmury. Pies czmychnął z pokoju z sierścią zjezoną od nagromadzonych w powietrzu ładunków.

Zeus złapał Herę za nadgarstek i przyciągnął ją szarpnięciem do siebie. Wolną dłonią chwycił jej suknię i gwałtownym ruchem odsłonił piersi. Opaska spadła wraz z uszytą osobiście przez Atenę szatą, lecz nie miało to już żadnego znaczenia – powietrze aż zgęstniało od nagromadzonego pożądania i feromonów. Królowej Olimpu przemknęło przez myśl, że mogłaby w nim pływać.

Zeus poderwał ją jednym ramieniem i rzucił plecami na nakryty gobelinem stół. Całe szczęście – stwierdziła w duchu Hera – że Odyseusz zbił ten stół z grubych solidnych desek, zabranych z pokładu wraku okrętu, który rozbił się niegdyś na zdradliwym, skalistym brzegu Itaki. Gromowładny zerwał suknię z jej nóg, po czym pozbył się własnego ubrania.

Mimo że Hera już po wielokroć oglądała wzwiedziony boski członek swego męża, widok wciąż zapierał jej dech w piersiach. Oczywiście wszyscy bogowie byli... cóż, bogami... lecz podczas ich niemal zapomnianego już Przeobrażenia w Olimpijczyków Zeus zarezerwował najbardziej imponujące atrybuty dla siebie. Wciskający się między jej alabastrowe kolana, zwieńczony fioletowym zgrubieniem kij był jedynym berłem, jakiego Król Bogów potrzebował, by wprawiać w osłupienie i trwogę śmiertelników, a bogów natchnąć zazdrością. Mimo że Hera była zdania, iż małżonek demonstruje swe przyrodzenie nieco zbyt często – pożądliwość Zeusa dorównywała jego wielkości i męskości – to nadal uważała ten organ jego Straszliwego Majestatu za swoją wyłączną własność.

Niemniej, ryzykując siniakami bądź poważniejszymi nawet obrażeniami, mocno zacisnęła kolana.

– Chcesz mnie posiąść, mężu?

Zeus sapał z rozchylonymi ustami. Wbił w nią opętane spojrzenie.

– Pragnę cię, żono. Nigdy jeszcze tak silny ogień pożądania wobec bogini czy śmiertelniczki nie ogarnął mego rozkołatanego serca i fiuta, nigdy! Rozłóż nogi!

– Nigdy? – odparła Hera, wciąż nie dopuszczając męża do siebie. – Nawet kiedy uwiodłeś żonę Iksjona, która zrodziła ci Piritusa, który z każdym Olimpijczykiem mógłby się mierzyć na rozum i...

– Nawet i wtedy, nawet patrząc na jej pokryte błękitnymi żyłkami piersi – wydyszał Gromowładny, po czym siłą rozchylił jej kolana i wsunął się między blade uda. Penis, twardy i pulsujący pożądaniem, dotknął białego, płaskiego brzucha bogini.

– A kiedy posiadałeś Danae, córkę Akrizjosa? – ponownie zapytała Hera.

– Też nie. – Zeus pochylił nisko głowę i zaczął ssać stwardniałe sutki, najpierw lewy, potem prawy. Dłoń Króla Bogów powędrowała między jej nogi.

Okazała się mokra – efekt działania przepaski i jej własnej ochoty.

– Chociaż, klnę się na wszystkich bogów – dodał. – Sam tylko widok jej kostek mógłby mnie doprowadzić na szczyt!

– Z pewnością zdobyłeś go w jej towarzystwie nie raz, mój Panie – westchnęła Hera, gdy Zeus wcisnął masywną dłoń pod jej pośladki, uniósł i przyciągnął ku sobie.

Szeroka, gorąca głowica jego berła kilka razy trąciła jej uda i pokryła je wilgocią męskiego wyczekiwania. – Powiła ci przecież herosa będącego wcieleniem cnót ludzkiego rodu.

Zeus był tak bardzo podniecony, że nie potrafił znaleźć wejścia. Dźgał raz po raz wokół jej ciepła, niczym prawiczek pierwszy raz obcujący z kobietą. Gdy uwolnił jej biust, by lewą ręką naprowadzić się na właściwy tor, Hera schwyciła go za przegub.

– Pożadasz mnie bardziej, niż pragnąłeś Europy, córny Fojniksa? – szepnęła namiętnie.

– O tak, bardziej niż Europy – wydyszał Zeus. Pochwycił jej dłoń i ułożył na sobie. Zacisnęła ją, lecz nie wprowadziła go do wnętrza. Jeszcze nie.

– Czy chcesz mnie posiąść bardziej, niż pragnąłeś Semele, matki Dionizosa, której urokowi nie opiera się żaden mąż?

– Tak, tak, znacznie bardziej niż Semele.

Sam ścisnął jej palce na sobie i pchnął ponownie, lecz był już tak nabrzmiały, że penetracja przypominała raczej natarcie obłędniczego tarana. Hera przejechała dwie stopy w tył po blacie. Przyciągnął ją z powrotem.

– I bardziej niż Alkmeny z Teb – stęknął – aczkolwiek z wylanego przeze mnie wtedy nasienia przyszedł na świat niezwyciężony Herkules.

– Chcesz się ze mną kochać bardziej niż z jasnowłosą Demeter, gdy...

– Tak, tak! Cholera, bardziej niż z Demeter! – Zeus jeszcze szerzej rozsunął uda małżonki i prawą ręką podniósł jej pośladki o stopę. W tej chwili nie mogła już się przed nim zamknąć.

– Czy pożadasz mnie goręcej niż Ledy, dla której ciała przybrałeś postać łabędzia i którą przytrzymałeś sobie potężnie łopocącymi skrzydłami... którą posiadałeś swym mocarnym, łabędzim...

– Tak, tak – jęknął Gromowładny. – Błagam, zamknij się już.

Wszedł w nią. Otworzył ją niczym potężna maszyna obłędnicza rozpruwająca Bramę Skajską, wtargnął w nią, jak Grecy wpadliby na ulice Ilionu.

W ciągu następnych dwudziestu minut Hera dwukrotnie była bliska omdlenia. Zeus kochał się namiętnie, ale bez nadmiernego pośpiechu. Zachłannie dbał o swoją przyjemność, lecz na szczytowanie czekał ze skąpstwem hedonistycznego ascety. Za drugim razem, gdy bogini poczuła, że traci świadomość pod bezlitosnym naporem natartego oliwą, spoconego ciała – stół trząsł się i niemal przewrócił, mimo że długi był na trzydzieści stóp, krzesła i sofę rozleciały się na boki, z sufitu sypnęło kurzem, starożytne domostwo Odysa prawie runęło wokół nich w gruzy – Hera pomyślała: Niedobrze, muszę być przytomna, kiedy on dojdzie, inaczej cały plan obróci się wniwecz.

Z determinacją, nawet po czwartym własnym orgazmie, ostatkiem woli trzymała się świadomości. W końcowych momentach szału Zeusa ze ściany spadł wielki odysowy kołczan. Strzały o zębatych, niewykluczone że zatrutych grotach potoczyły się dokoła. Gromowładny przytrzymał żonę wsuniętą pod jej biodra dłonią i dopychał do siebie tak gwałtownie, że trzeszczały jej boskie biodra. Drugą ręką ścisnął ramię Hery, by nie odsuwała się od niego po rozdygotanym, skrzypiącym stole.

Wreszcie eksplodował w jej wnętrzu. W tej chwili, wbrew sobie, Hera krzyknęła

i na kilka sekund omdlała.

Kiedy na powrót uniosła powieki, poczuła na sobie miazdzący ciężar męża. W ostatnich sekundach uniesienia Zeus mimowolnie urósł i miał w tej chwili cztery i pół metra wzrostu. Zarost drapał ją po piersi, głowa – ociekające potem włosy – trącały jej policzek.

Hera podniosła swój zdradziecki palec, w którego fałszywym paznokciu czekała umieszczona tam przez przemyślnego Hefajstosa ampułka. Pogładziła chłodną dłonią pokryty puklami włosów kark małżonka, otworzyła paznokieć i uruchomiła strzykawkę – ledwie słyszalny syk zniknął w szumie jego ochryplego oddechu i dudnieniu dwojga boskich serc.

Narkotyk nosił nazwę Snu Bezwzględnego i już po kilku mikrosekundach dowiódł jej stosowności.

Zeus niemal natychmiast zaczął chrapać, strużka śliny pociekła z jego półotwartych ust na zaczerwienioną pierś bogini.

Żeby zsunąć z siebie męża, uwolnić ze swego wnętrza jego miękący członek i zesmyknąć się ze stołu, musiała użyć całej swej olimpijskiej siły. Jej wyjątkowa, uszyta przez Atenę suknia była w strzępach. Sama Hera nie była w wiele lepszym stanie. Posiniaczona, podrapana, obolała na całym ciele, również wewnątrz. Boskie nasienie Króla Bogów spłynęło jej po udzie. Hera oczyściła się rąbkiem zniszczonej szaty.

Sięgnęła między jedwabne fałdy porzuconej sukni, podniosła przepaskę Afrodyty i przeszła do garderoby Penelopy znajdującej się obok sypialni, w której stało małżeńskie łóże. Jedną z jego kolumnienek zastępowało żywe drzewo oliwne, a rama była inkrustowana złotem, srebrem i kością słoniową. Pasy pofarbowanej na czerwono byczej skóry trzymały w miejscu miękkie koce z owczego runa i zdobne narzuty. Hera podeszła do stojących przy wannie Penelopy pociągniętych kamforą kufrów i zaczęła przebierać wśród czekających w nich sukienek. Żona Odysa była mniej więcej jej wzrostu, a ewentualne niedopasowania kroju bogini mogła naprawić, zmieniając swe kształty. Ostatecznie zdecydowała się na brzoskwińowej barwy, lekką jedwabną sukienkę, z haftowanym stanem, który podtrzymał jej pokryty sińcami biust. Zanim jednak włożyła na siebie nowe ubranie, przygotowała sobie kąpiel. Zimną wodę naląła z miedzianych czajników, pozostawionych kilka dni bądź tygodni wcześniej, z myślą o gorącej ablucji, jakiej Penelopa nie zażyła.

Czysta i odziana wróciła ostrożnym krokiem do jadalni. Spojrzała na ogorzałego od słońca, nagiego olbrzyma. Czy mogłabym go teraz zabić? – spytała sama siebie. Ta myśl powstała w głowie królowej nie po raz pierwszy, nie po raz tysięczny. Przychodziła do niej zawsze, gdy wpatrywała się w swego chrapiącego pana. Doskonale wiedziała, że nie jest w podobnych rozważaniach osamotniona. Ileż to żon – Olimpijek i kobiet śmiertelnych, zmarłych dawno temu i tych jeszcze nienarodzonych – snuło tego rodzaju plany, rzucające na ich dusze cień niczym chmura na skalistą równinę? Gdybym mogła, czy na pewno bym to uczyniła? Czy gdyby to było możliwe, zdecydowałabym się przejść do czynu?

Zrezygnowała i przygotowała się do teleportacji na równinę Ilionu. Jak dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem. Posejdon, bóg wstrząsający ziemią, powinien

lada chwila pchnąć do dzieła Agamemnona i Menelaosa. Za kilka godzin lub jeszcze wcześniej Achilles straci życie, zginie z rąk najzwyklejszej kobiety – aczkolwiek Amazonki – która przeszyje mu piętę zatrutym grotem włóczni. Wówczas Hektor zostanie sam. A jeśli nawet Achillesowi uda się zgładzić przeciwniczkę, Atena i Hera ułożyły zawczasu inną stosowną strategię. Rebelia śmiertelników dobiegnie końca, nim Zeus się ocknie – jeżeli Hera w ogóle pozwoli mu się zbudzić. Działanie Snu Bezwzględnego ustępowało jedynie po podaniu stosownego antidotum, w przeciwnym wypadku Gromowładny spałby, póki zgnilizna nie przeżre ścian domu Odyseusza. Naturalnie, gdyby wszystko poszło po jej myśli, królowa Olimpu zamierzała zbudzić męża znacznie wcześniej. W takim wypadku nie miałby nawet pojęcia, że usnął pod wpływem narkotyku. Uznałby, że zmogła go zwyczajna po orgii pożądaną senność. Tak czy inaczej, konflikt śmiertelnych z bogami dobiegnie kresu, wojna trojańska rozgorzeje na nowo, *status quo* zostanie przywrócony, a zaplanowana przez Herę i jej współników *fait* będzie zdecydowanie *accompli*.

Odwróciła się plecami do pogrążonego we śnie syna Kronosa i opuściła dom Odyseusza. Nikt, nawet Hera, nie mógł się teleportować spod osłony pola siłowego, jakim Zeus otoczył budynek. Przeszła przez półprzepuszczalną ścianę energii, wynurzyła się po drugiej stronie niczym noworodek przebijający czepek i z poczuciem zwycięstwa przeniosła się do Troi.

Hockenberry nie znał żadnego z morawców, które czekały na niego pod błękitną kopułą w Kraterze Stickney. W pierwszej chwili, gdy pole siłowe fotela zniknęło i wydało go na pastwę żywiołów, wpadł w panikę i wstrzymał na kilka sekund oddech. Był przeświadczony, że nadal znajduje się w próżni. Po chwili jednak poczuł napór powietrza, a w dodatku zrobiło się przyjemnie ciepło, więc – dokładnie w momencie kiedy Mahnmut zaczął go przedstawiać wysokim morawcom, które wyszły im na spotkanie niczym urzędowa delegacja – zaczerpnął łapczywie haust powietrza. Wypadło to mocno niezręcznie. Zaraz po wstępnych uprzejmościach Mahnmut zniknął i scholiasta został sam na sam z tymi osobliwymi organicznymi maszynami.

– Witamy, doktorze Hockenberry – zwrócił się do niego stojący najbliżej morawiec. – Ufam, że lot z Marsa przebiegł bez zakłóceń?

Na dźwięk słowa „doktor” Hockenberry poczuł falę czegoś zbliżonego do mdłości. Z jedynym wyjątkiem Mahnmuta, tytułem tym nie posługiwał się wobec niego nikt i to już od bardzo długiego czasu. Nie słyszał go w zasadzie ani razu przez całe swoje drugie życie. No, być może Nightenhelser zwrócił się do niego w ten sposób raz czy dwa. Ale i tak jedynie w ramach żartu.

– Dziękuję... Tak... To znaczy... Przepraszam, nie dosłyszałem waszych imion – przyznał. – Wybaczcie, byłem lekko... rozkojarzony. – Rozpraszała mnie myśl, że kiedy pole siłowe zniknie, kopnę zaraz w kalendarz, dodał już tylko do siebie.

Niski morawiec potaknął skinieniem.

– Nie wątpię – stwierdził. – W naszej bańce wiele się dzieje, a atmosfera przenosi wszelkie hałasy.

Miał rację w obu kwestiach. Wielka błękitna kopuła, pokrywająca przynajmniej dwa lub trzy akry fobosjańskiego gruntu – Hockenberry od zawsze miał poważne kłopoty z oceną rozmiarów i dystansów, co osobiście składał na karb braku zainteresowania sportem – była zastawiona wysokimi rusztowaniami, zespołami maszyn większych niż większość budynków w jego uniwersyteckim Bloomington, pulsującymi organicznymi bryłami, kojarzącymi się z obdarzonymi własną wolą, wielkimi jak korty tenisowe porcjami budyniu. Dokoła kręciły się setki wykonujących najprzeróżniejsze zadania morawców, szybowały kuliste urządzenia emitujące światło bądź strzykające promieniami laserów, którymi cięły, topiły i spawały, po czym sunęły do kolejnych zajęć. Jedynym, co wydało mu się przynajmniej po części swojskie, aczkolwiek zupełnie nie na miejscu, był okrągły palisandrowy stół, jaki zauważył mniej więcej trzydzieści stóp dalej. Otaczała go szóstka różnej wysokości stołków.

– Nazywam się Asteague/Che – przedstawił się niewysoki morawiec. – Podobnie jak twój przyjaciel Mahnmut pochodzę z Europy.

– Z Europy? – zawtórował bezmyślnie Hockenberry.

Był kiedyś na wakacjach we Francji, raz brał też udział w zorganizowanym

w Atenach kongresie filologów klasycznych, i choć ludzie wyglądali tam... inaczej... to nikt nie przypominał tego Asteague/Che. Morawiec był wyższy od Mahnmuta. Miał przynajmniej cztery stopy wzrostu i bardziej humanoidalną sylwetkę – szczególnie dłonie – lecz podobnie do niższego kolegi był pokryty lśniącem, plastikowo-metalicznym tworzywem, różniącym się tylko żółtą barwą. Morawiec kojarzył się Hockenberry’emu z jego ulubionym w dzieciństwie gładkim płaszczem przeciwdeszczowym z żółtej gumy.

– Z Europy – powtórzył Asteague/Che niesłychanie cierpliwym tonem. – Skutego lodem, wodnego księżycy Jowisza. Właśnie stamtąd pochodzimy. Mahnmut i ja.

– Naturalnie – rzucił Hockenberry. Poczuł, że rumieni się ze wstydu, i ta świadomość sprawiła, że poczerwieniał jeszcze bardziej. – Oczywiście, że tak. Przepraszam. Wiedziałem przecież, że Mahnmut przyleciał z jednego z tamtejszych księżyców. Przepraszam.

– Mój tytuł... chociaż słowo „tytuł” jest nieco zbyt oficjalne i trąci pretensjonalnością... Zdaje się „stanowisko” będzie trafniejszym wyborem – podjął Asteague/Che – brzmi: naczelny integrator Konsorcjum Pięciu Księżyców.

Hockenberry zrozumiał, że stoi przed obliczem polityka – a w każdym razie wysokiego rangą urzędnika – i odpowiedział lekkim ukłonem. Nie miał pojęcia, jak nazywają się pozostałe cztery księżyce. O Europie słyszał już w poprzednim życiu i przypominał sobie mgliście, że astronomowie z przełomu dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku mniej więcej co kilka tygodni odkrywali kolejne orbitujące wokół Jowisza ciała niebieskie. Niestety nie zapamiętał ani jednej nazwy. Być może po prostu w ogóle nie zostały przed jego śmiercią ochrzczone. Nie, nie potrafił sobie przypomnieć. Poza tym Hockenberry zawsze przedkładał grekę nad łacinę i był zdania, że największa planeta Układu Słonecznego powinna nazywać się Zeus, nie Jowisz... mimo że w obecnej sytuacji mogłoby to prowadzić do pewnych nieporozumień.

– Doktor pozwoli, że dokonam ponownej prezentacji kolegów – zaproponował Asteague/Che.

Brzmienie głosu morawca mocno kogoś Hockenberry’emu przypominało. Nagle zrozumiał. Podobnym tonem operował aktor James Mason.

– Wysoki dżentelmen po mojej prawej to generał Beh bin Adi, głównodowodzący kontyngentu bojowego morawców z Pasa Asteroid.

– Doktorze Hockenberry – przywitał się bin Adi. – Bardzo mi przyjemnie wreszcie pana poznać. – Nie podał człowiekowi ręki, nie miał ani jednej. Wyposażony był wyłącznie w zębate szczypcy obdarzone mrowiem mechanicznych mikromanipulatorów.

Dżentelmen, pomyślał scholiasta. Skałowiec. Przez ostatnie osiem miesięcy napatrzył się na tysiące skałowieckich wojaków. Oglądał ich na równinie Ilionu i u podnóża Olimpu. Wszyscy byli wysocy, mierzyli sobie, jak ten, około dwóch metrów wzrostu. Wszyscy byli też czarni i bez wyjątku najeżeni kolcami, hakami oraz ostrymi krawędziami owadzych pancerzy. Widać, że konstruktorzy z Pasa Asteroid nie dbają o urodę, stwierdził w duchu.

– Cała przyjemność po mojej stronie, generale... Beh bin Adi – odpowiedział, skłaniając głowę.

– Po mojej lewej – podjął naczelny integrator Asteague/Che – stoi integrator Cho

Li z księżycy Callisto.

– Witamy na Fobosie, doktorze Hockenberry – odezwał się Cho Li. Mówił tak delikatnie, że właściwie brzmiał jak kobieta.

Ciekawe, czy morawce mają płeć? – zastanowił się scholiasta. O Mahnmucie i Orphu zawsze myślał jak o mężczyznach, nigdy nie wątpił również w tożsamość zachowujących się jak nabuzowane testosteronem samce skałowców. Z drugiej strony skoro owe istoty posiadały odrębne, wyraziste osobowości, dlaczego nie mogły różnić się płciowo?

– Integratorze Cho Li. – Hockenberry uklonił się po raz kolejny.

Callistanin... – Callistańczyk? – ustępował wzrostem Asteague/Che, lecz był od niego bardziej masywny i znacznie mniej człekokształtny. Mniej nawet od nieobecnego Mahnmuta. Scholiasta dziwnie się czuł, widząc wyzierającą spomiędzy plastikowych i stalowych paneli jego obudowy różową i miękką substancję, mocno przypominającą ciało. Gdyby Quasimodo – garbaty dzwonnik z katedry Notre Dame – został złożony z fragmentów ciał i części zezłomowanych samochodów, do których projektanci dorzuciliby pozbawione kości ramiona, mnóstwo rozbieganych gałek ocznych w różnych rozmiarach i wąską paszczę przypominającą otwór skrzynki pocztowej, a potem jeszcze swe dzieło zminiaturyzowali – powstałby praktycznie bliźniak integratora Cho Li. Gdy Hockenberry po raz kolejny powtórzył sobie w myślach nazwisko, zaczął się zastanawiać, czy morawców z Callisto nie stworzyli Chińczycy.

– Za Cho Li stoi Suma IV – powiedział Asteague/Che swym aksamitnym, aktorskim głosem. – Suma IV pochodzi z Ganimedesy.

Wzrostem i proporcjami Suma IV mocno przypominał człowieka. Nie tyczyło się to jednak wyglądu. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, naturalnie ukształtowane kończyny, talię, płaską pierś i dłonie o tradycyjnej ilości palców. Całą jego postać pokrywała za to płynna, szarawa, oleista powłoka materiału, który Mahnmut nazwał kiedyś fulerenem. Tyle że opisywał wtedy kadłub szerszenia. Wylać coś takiego na człowieka... to znaczy na humanoidalnego morawca... Nie, efekt zdecydowanie... wytrącał z równowagi.

Jeszcze bardziej niepokojące wrażenie sprawiały przerośnięte oczy morawca, składające się z setek fasetek odbijających światła. Hockenberry nie mógł nie zadać sobie pytania, czy Suma IV bądź jego pobratymcy nie lądowali przypadkiem na dawnej Ziemi... powiedzmy w Roswell? Ciekawe, może jakiś krewniak Sumy IV wciąż spoczywa zakonserwowany w Strefie 51?

Nie, wytłumaczył sam sobie. To nie są obcy. To robotyczno-organiczne istoty, zaprojektowane i wysłane na rubieże Układu Słonecznego przez ludzi wieleset lat po mojej śmierci.

– Miło mi, Sumo IV – powiedział Hockenberry.

– Miło poznać doktora Hockenberry'ego – odpowiedział wysoki Ganimedejczyk. On nie mówił jak James Mason ani jak mała dziewczynka... Głos lśniącego, obdarzonego oczyma muchy morawca zabrzmiał jak grzechot kamyków wrzuconych do pustej beczki.

– Teraz niech będzie mi wolno przedstawić ostatniego delegata Konsorcjum – odezwał się Asteague/Che. – Sinopessen Wsteczny z Amaltei.

– Sinopessen Wsteczny? – Scholiasta ledwie zdusił wybuch śmiechu. W oczach zakręciły mu się łzy. Poczł nagłą ochotę położenia się gdzieś wygodnie i drzemki, by potem obudzić w swoim małym białym domku w pobliżu uniwersyteckiego kampusu.

– Owszem, Sinopessen Wsteczny – przytaknął Asteague/Che.

Trzykrotnie wywołany morawiec przemknął naprzód na srebrzystych pajęczych nogach. Hockenberry stwierdził, iż robot przypomina zasilacz do kolejki elektrycznej, lśnił jak wykonany z wypolerowanego na wysoki połysk aluminium. Poruszał się na ośmiu ledwie widocznych odnóżach. Na całym niewielkim korpusie morawca błyskały oczy, diody bądź małeńkie żaróweczki.

– Miło mi, doktorze Hockenberry – powiedziało niewielkie błyszczące pudełko głosem tak dudniącym, że mogłoby stanąć w szranki z Orphu. – Znam wszystkie pańskie książki i artykuły. W każdym razie te, które zachowały się w naszych archiwach. Genialne. To prawdziwy zaszczyt móc doktora poznać osobiście.

– Dziękuję – odpowiedział zawstydzony Hockenberry.

Powiódł spojrzeniem po piątce gospodarzy, popatrzył na setki innych morawców pracujących przy niezrozumiałego przeznaczenia maszynach wypełniających przestrzeń pod wielką hermetyczną kopułą, po czym na powrót zwrócił się ku Asteague/Che.

– Więc co teraz?

– Może siadźmy do stołu i porozmawiajmy o zbliżającej się wyprawie na Ziemię i pańskim niewykluczonym udziale – zaproponował pochodzący z Europy naczelny integrator Konsorcjum Pięciu Księżyców.

– Pewnie – rzucił Thomas Hockenberry. – Czemu nie?

Gdy Menelaos wreszcie ją dopadł, Helena była zupełnie sama i nieuzbrojona.

Następny dzień po pogrzebie Parysa rozpoczął się osobliwie i w miarę upływu godzin stawał się coraz dziwniejszy. Powiewy zimowego wiatru niosły ze sobą woń zagłady i strachu.

Wczesnym rankiem, akurat gdy Hektor szedł z kośćmi swego brata do grobowca, posłaniec przyniósł Helenie wezwanie Andromachy. Żona Hektora wraz ze swą niewolnicą – kobieta pochodziła z wyspy Lesbos, wiele lat wcześniej odjęto jej język, a niedawno zaprzysiężono na służbę tajemnemu stowarzyszeniu znanemu jako Trojanki – przetrzymywały toczącą dzikimi spojrzeniami Kasandrę w sekretnym domu Andromachy w pobliżu Bramy Skajskiej.

– O co chodzi? – spytała Helena, wchodząc do komnaty.

Wieszczka nie miała najmniejszego pojęcia o istnieniu tego miejsca. Co więcej, miała się o nim nigdy nie dowiedzieć. Tymczasem szalona córka Priama siedziała właśnie przygarbiona na drewnianej leżance. Służka – po wzięciu w niewolę nazwana Hypsipyle, na cześć sławnej matki spłodzonego przez Jazona Euneusa – ścisnęła w swej wytatuowanej dłoni sztylet o długim ostrzu.

– Ona wie – odparła Andromacha. Głos miała znużony, jakby przez całą noc nie zmrużyła oka. – Wie o Astianakcie.

– Skąd?

– Zobaczyłam wszystko w jednej ze swych proroczych wizji – wyjaśniła Kasandra. Nie podniosła nawet głowy.

Helena westchnęła. Na czele spisku stało siedem trojańskich kobiet – pierwotny plan ułożyły pospołu Andromacha, żona Hektora, i jej teściowa Hekuba, królowa Ilionu. Następnie do grupki dołączyła Teano – małżonka jeźdźca Antenora oraz wysoka kapłanka świątyni Ateny. Jako kolejna do tajemnego kręgu została dopuszczona Laodike, córka Hekuby. Właśnie ta czwórka wprowadziła w sekret Helenę, wytłumaczyły jej, że zamierzają położyć kres wojnie, ocalić życie mężów i dzieci, a siebie uratować przed achajską niewolą.

Helena poczuła się zaszczycona, mogąc wstąpić do tajnego bractwa Trojank. Tym bardziej że nie tylko sama Trojanką nie była, lecz w dodatku osobiście ściągnęła na kobiety Ilionu tak wiele cierpień. Sama także, podobnie jak Hekuba, Andromacha, Teano i Laodike, od wielu już lat próbowała znaleźć sposób na zakończenie konfliktu – chciała, by był to koniec honorowy, lecz niewymagający płacenia zbyt wysokiej ceny.

Kasandrę, najbardziej urodziwą, lecz naznaczoną szaleństwem córkę Priama, włączyły do swego grona, nie mając innego wyboru. Apollo obdarzył ją darem widzenia przyszłych wypadków i dziewczyna była im potrzebna do skutecznej realizacji planów. Poza tym Kasandra i tak dowiedziała się o nich podczas jednego ze swych proroczych transów – zaczęła opowiadać o Trojankach i ich potajemnych spotkaniach w krypcie pod

świątynią Ateny – więc przyjęły ją przede wszystkim po to, by zamknąć jej usta.

Ostatnią i najstarszą z Trojanek była Herofile, „umiłowana przez Herę”, ciesząca się niebywałą mądrością podeszłego wieku wieszczka i kapłanka Apollina Sminteusa. Sama, posiadając zdolność prorokowania, często interpretowała chaotyczne sny Kasandry znacznie bardziej precyzyjnie od dziewczyny.

Czekały aż do dnia, w którym Achilles pozbawił władzy Agamemnona. Chyżonogi mężobójca ogłosił wtedy, że Pallas Atena własnoręcznie zamordowała Patroklosa, jego najdroższego towarzysza, po czym poprowadził Achajów ku krwawej wojnie z Olimpijczykami. Wówczas Trojanki dostrzegły swą szansę. Nie wtajemniczając w nowy plan Kasandry – młoda wieszczka w ostatnich dniach przed zapowiedzianym przez siebie upadkiem Troi zachowywała się nadto nieprzewidywalnie – uknuły i przeprowadziły zabójstwo służącej Andromasze niańki i jej dziecka. Następnie żona Hektora obwieściła – z krzykiem, zanosząc się histerycznym płaczem – iż odpowiedzialne za ów mord są Pallas Atena z Afrodytą, a zarżniętym malcem jest młody Astianakt, synek Hektora.

Hektor – podobnie jak wcześniej Achilles – oszalał ze smutku i gniewu. Wojna trojańska dobiegła końca. Rozpoczęła się wojna z bogami. Achajowie ramię w ramię z mieszkańcami Ilionu przemaszerowali przez Dziurę i oblegli Olimp, w czym wsparli ich nowi, niemal równi bogom, sprzymierzeńcy – morawce.

Tamtego dnia, podczas dokonanego przez Olimpijczyków nalotu – morawce nie zdążyły osłonić Troi polem siłowym – straciła życie Hekuba. Zginęła także jej córka Laodike. I Teano, ukochana kapłanka Ateny.

Pierwszego dnia wywołanej przez siebie wojny poległy trzy z siedmiu Trojanek. Śmierć pochłonęła również setki bliskich im wojowników i cywili.

Czyżby nadeszła pora na kolejną? – pomyślała Helena i serce wypełnił jej bezbrzeżny smutek. Spojrzała na Andromachę.

– Chcecie zabić Kasandrę?

Małżonka Hektora popatrzyła jej chłodno w oczy.

– Nie – odparła po dłuższej chwili. – Pokażę jej Skamandriosa, mojego Astianakta.

* * *

Mimo że przebranie Menelaosa – hełm z kłów dzika i lwia skóra na ramionach – nie było specjalnie wymyślne, przemknął się pomiędzy strzegącymi bramy wartownikami bez najmniejszego problemu. Do miasta wniknął w tłumie dziesiątków barbarzyńskich sojuszników Trojan. Za murami Ilionu znalazł się tuż po zakończeniu ceremonii pogrzebowych Parysa, niedługo przed szumnie rozgłaszanym przybyciem Amazonek.

Było jeszcze bardzo wcześnie. Menelaos szerokim łukiem ominął okolice sąsiadujące ze zniszczonym pałacem Priama. Wiedział, że Hektor wraz ze swymi oficerami będzie tam chować kości Parysa, a wielu trojańskich herosów mogłoby rozpoznać lwią skórę i hełm Diomedesa. Kierując się bocznymi alejkami, przeszedł przez gwarny targ i wreszcie znalazł się na niewielkim placu przed rezydencją Parysa, gdzie Priam ulokował swój tymczasowy dwór i gdzie wciąż mieszkała Helena. Wrót, rzecz jasna, strzegli doborowi gwardziści. Jeszcze więcej straży przechadzało się na murach

i tarasach budynku. Menelaos już dawniej usłyszał od Odyseusza, który balkon pozwoli mu się dostać do komnat Heleny, i utkwiał straszliwe spojrzenie w szarpanych wiatrem firanach w jego drzwiach. Żona jednak nie wychodziła. Na tarasie stało za to dwóch włóczyków w połyskliwych brązowych zbrojach, z czego wynikało, iż Helena wyszła rankiem z domu – w ich skromnym pałacu w Sparcie nigdy nie pozwalała wojownikom wchodzić do prywatnych apartamentów.

Po przeciwległej stronie placu działała niewielka winiarnia. Prosto ciosane stoły wystawiono na słoneczną uliczkę i Menelaos postanowił złamać tam swój post. Zapłacił złotymi, trojańskimi pieniędzmi, które w przyływie natchnienia zabrał z agamemnonowego kufra, gdy przebierał się w namiocie. Racząc się winem i serem, spędził tam dobre kilka godzin – dla zachęty raz po raz wsuwając w dłoń właściciela kolejne trójkątne monety. Uważnie przysłuchiwał się rozmowom Trojan, plotkujących w najlepsze na placu i przy sąsiednich stołach.

– Czy jej wysokość jest dzisiaj u siebie? – jakaś starowina zwróciła się do podobnie wiekowej kumy.

– Nie. Wyszła wcześniej rano. Moja Febe mówiła, że wymknęła się o pierwszym brzasku. Tak, tak. Ale wcale nie po to, żeby jak należy doglądać składanych w ziemi kości mężulka, o nie!

– No to po co? – zaskrzeczała bardziej bezzębna z dwóch staruch, rozgniatając dziąsłami kawałek sera. Spodziejając się szeptu, nachyliła głowę, lecz druga baba, także przygłucha, wydarła się niemal na cały głos.

– Ludziska gadają, że stary satyr Priam uparł się, by jej wysokość Helena, ta zaflukana cudzoziemska dziwka, poślubiła drugiego z jego synów. I to nie jednego z bękartów, bo przecież sama wiesz, że nie da się w tym mieście rzucić kamieniem, by jakiegoś nie trafić, ale za tego grubego przygłupa Deifobosa. Prawowitego syna króla. Ponoć ma do tego dojść, zanim minie czterdzieści osiem godzin, odkąd Parys trafił na ruszt.

– Znaczy się, niezadługo.

– Ma się rozumieć. Być może jeszcze dzisiaj. Deifobos wyglądał swojej kolejki na ułożenie się między nogami tej parszywej szmaty, odkąd tylko Parys ją tutaj przywlókł. Niech bogowie przeklną ten dzień. Jeśli więc jeszcze nie doszło do małżeńskich obrzędów, to na pewno oddają się właśnie dionizyjskim rozkoszom, wie kuma o czym mówię, nie?

Wiedźmy zachichotały ochrypłymi głosami, po czym pochłonęły kolejne pajdy chleba i kęsy sera.

Menelaos poderwał się gwałtownie z ławy i pomaszerował ulicami. W lewej dłoni dzierżył włócznie, prawą oparł na rękojeści miecza.

Deifobos? Gdzie mieszka Deifobos?

Przed wybuchem wojny z bogami zadanie byłoby proste. Wszyscy bezzenni synowie i niezamężne córki Priama – nawet osoby po pięćdziesiątce – mieszkali w wielkim pałacu w centrum miasta. Achajowie od dawna mieli starannie ułożony plan, by po przedarciu się przez mury właśnie tam rozpocząć rzeź miasta. Tyle że ta jedna, szczęśliwie zrzucona przez Olimpijczyków bomba już pierwszego dnia konfliktu

doprowadziła do rozproszenia książąt i ich sióstr po innych luksusowych siedzibach metropolii.

Tak więc godzinę po opuszczeniu winiarni Menelaos wciąż wędrował tłocznymi ulicami. Właśnie wtedy królowa Pentezylea i jej tuzin Amazonek wjechały przez bramę, a tłum oszalał.

Menelaos musiał się cofnąć, by nie wpaść pod kopyta bojowego rumaka jadącej na czele wojowniczeki. Nagolennik kobiety niemal musnął lwią skórę. Królowa nawet nie spojrzała w dół, nie rozglądała się na boki.

Uroda Pentezylei niemal zwała Menelaosa z nóg, prawie przysiadł na zafajdanym przez konie bruku. Na Zeusa, cóż to za kruche piękno przyoblekło się w tę pyszną błyszczącą zbroję! Jakie oczy! Menelaos, który nigdy nie walczył przeciwko plemieniu Amazonek ani ramię w ramię z nimi, po raz pierwszy w życiu ujrzał istotę równie wspaniałą.

Niczym wróżbita w transie ruszył chwiejnym krokiem za jadącymi, w ślad za tłumem, z powrotem pod pałac Priama. Na miejscu Amazonkę powitał Deifobos, lecz Heleny przy nim nie było. Być może więc informacje opychających się serem staruch nie były najlepsze. Myliły się przynajmniej co do miejsca pobytu jego niewiernej żony.

Menelaos długą chwilę wpatrywał się we wrota, za którymi zniknęła Pentezylea, gapił się niczym zakochany nastoletni pastuch, lecz ostatecznie otrząsnął się i ponownie ruszył w swoją stronę. Dochodziło południe i zdawał sobie sprawę, że nie zostało mu wiele czasu. Agamemnon zaplanował zbrojne wystąpienie przeciw Achillesowi właśnie na środek dnia, a do zmroku chciał rozstrzygnąć wszystkie potyczki. Menelaos dopiero dzisiaj pojął, jak wielkim miastem jest Ilion. Jakie były szanse, że w porę napatoczy się na Helenę? Praktycznie zerowe, wszak gdy tylko szeregami Argiwów wstrząśnie pierwszy bojowy okrzyk, zatrzasną się potężne podwoje Bramy Skajskiej, a posterunki na murach zostaną podwojone. Wtedy znajdzie się w potrzasku.

Zmierzał właśnie ku bramie, przepełniony mdlącą mieszanką poczucia porażki, nienawiści i miłości. Niemal biegł, w pewnym sensie szczęśliwy, że nie udało mu się odszukać Heleny, i jednocześnie przeżarty złością, że jej nie zabił. Nagle, jeszcze nim zdążył opuścić miasto, zauważył jakieś zamieszanie.

Przez krótki moment przyglądał się widowisku, zupełnie jakby nie był w stanie się oderwać, mimo że wzburzony tłum rozrastał się z każdą chwilą i zaraz mógł go zagarnąć. Stojące obok stare baby roztrzęsionymi głosami wyjaśniły, o co chodzi.

Okazało się, że przybycie Pentezylei i jej Amazonek – drzemiących teraz zapewne w najwygodniejszych łóżkach Priama – pobudziło do czynu mieszkanki Troi. Gruchnęła pogłoska, że królowa poprzysięgła zabić Achillesa – oraz Ajaksa, jeśli wystarczy jej czasu – i wszystkich achajskich oficerów, którzy ważą się stanąć na jej drodze. Amazonka nie żartowała. Obietnica owa trąciła jakąś ukrytą strunę w duszach kobiet Troi (rzecz jasna nie tych kilku nielicznych ocalałych Trojanek), które wyległy na ulice, na mury i na blanki. Nawet zaskoczeni strażnicy musieli ustąpić z drogi rozwrzeszczanemu mrowiu żon, córek, sióstr i matek.

Menelaos zauważył, że kobieta imieniem Hippodameja – nie ta słynna małżonka Pitteusa, lecz żona Tisifona, jednego z najniższych trojańskich oficerów, tak mało

znacznego, że Menelaos nie stał się z nim nigdy na polu bitwy ani nie słyszał o nim przy obozowym ognisku – więc owa Hippodameja wygłasza długą hałaśliwą przemowę, która przepełniała serca Trojanek morderczym szałem. Atryda wmieszał się w tłum i przystanął, by jej wysłuchać.

– Siostry! – wydzieriała się Hippodameja. Była kobietą o pełnych ramionach i rozłożystych biodrach, mogła się podobać. Jej związane wcześniej włosy rozsypały się i falowały teraz na barkach w rytm kolejnych gwałtownych gestów. – Dlaczego nie walczymy u boku swych mężczyzn? Dlaczego przez cały czas oplakiwałyśmy nadchodzącą zagładę Ilionu, miast próbować przeznaczenie odwrócić? Czy naprawdę jesteśmy tak dalece słabsze od trojańskich gołowąsów, którzy w zeszłym roku wychodzili na równinę i ginęli w obronie rodzinnego miasta? Czyż nie jesteśmy równie gibkie i zdecydowane jak nasi synowie?

Nad tłumem kobiet podniosła się przenikliwa wrzawa.

– Dzielimy ze swymi mężczyznami posiłki, promienie słońca, powietrze, którym oddychamy, a nawet nasze łoża! – krzyczała dupiasta Hippodameja – dlaczego nie podzieliliśmy ich wojennego losu? Czyżbyśmy były tak słabe?

– Nie! – odpowiedział jej z murów ryk tysięcy Trojanek.

– Czy jest wśród was choć jedna, która nie straciła w wojnie z Achajami męża, brata, ojca, syna lub jednego z kuzynów?

– Nie!

– Czy choć jedna z was wątpi, jaki spotkałby nas, kobiety, los, gdyby to Achajowie zwyciężyli?

– Nie!

– Więc nie zwlekajmy dłużej ni chwili! – Okrzyk Hippodamei niemal zagłuszył ogólną wrzawę. – Królowa Amazonek złożyła przysięgę, że zgładzi Achilleusa, nim zajdzie dziś słońce, a przybyła przecież z odległej krainy, by walczyć o miasto, które nie jest jej domem. Czy wolno nam przyrzec mniej i mniej zrobić dla własnej ojczyzny, dla mężów i dzieci, dla swej własnej przyszłości?

– Nie! – Tym razem jazgot nie cichł przez dobrą chwilę. Kobiety zaczęły czym prędzej opuszczać plac, zeskakiwały z wiodących na mury schodów. W swym zapamiętaniu niemal stratowały Menelaosa.

– Uzbrójcie się! – wrzasnęła Hippodameja. – Ciśnijcie w kąt hafty i przędzę, porzućcie krosna. Przywdziejcie zbroje i spotkajmy się poza murami!

Obserwujący z blanek strażnicy, mężczyźni, którzy pierwszą część tyrady żony Tisifona powitali złośliwymi uśmieszkami i rechotem, cofali się w tej chwili przed naporem wściekłego tłumy do drzwi budynków i okolicznych zaułków. Menelaos poszedł za ich przykładem.

Już miał ruszyć z powrotem w kierunku niedalekiej Bramy Skajskiej – dzięki bogom wciąż szeroko otwartej – gdy spostrzegł stojącą na rogu ulicy Helenę. Oczy miała zwrócone w przeciwną stronę i nie zdążyła go zauważyć. Atryda zobaczył, jak żona całuje na pożegnanie dwie inne kobiety i odchodzi. Sama.

Zebrał się w sobie, zaczerpnął głęboko tchu, musnął rękojeść miecza, zawrócił i poszedł za Heleną.

* * *

– To Teano powstrzymała ten obłąd – powiedziała Kasandra. – Teano przemówiła do tłumu i przywróciła im rozum.

– Teano nie żyje już od ponad ośmiu miesięcy – przypomniała chłodno Andromacha.

– W drugiej terażniejszości. – Kasandra deklamowała irytującym, monotonnym tonem, w jaki wpadała zwykle, gdy ogarniał ją połowiczny trans. – W tej drugiej przyszłości Teano zdołała je powstrzymać. Wszystkie kobiety usłuchały wysokiej kapłanki świątyni Ateny.

– Cóż, w tej chwili Teano toczą robaki. Jest równie wyzuta z życia jak fiut Parysa – rzuciła Helena. – Nikt tej ciżby nie powstrzymał.

Kobiety wracały już na plac i w parodii wojskowego szyku wychodziły przez bramę. Z domów przyniosły różnego autoramentu części zbroi – pokryty patyną brązowy hełm ojca, z wystrzępionym bądź brakującym grzebieniem, zapasową tarczę brata, należącą do ojca bądź syna włócznię lub miecz. Panczerze były dla nich za duże, broń zbyt ciężka i większość Trojanek z bręczącego, grzechoczącego pochodu sprawiała wrażenie poprzebieranych dla zabawy dziewczynek.

– To szaleństwo – wyszeptwała Andromacha. – Obłąd.

– Obłąd zaczął się już w chwili, gdy zginął Patroklos, przyjaciel Achillesa – zauważyła Kasandra. Jasne oczy dziewczyny lśniły gorączkowo, rozświetlone wewnętrznym płomieniem jej własnego szaleństwa. – Wszystko jest nieprawdziwe. Fałszywe. Nietrwałe.

Już od ponad dwóch godzin kobiety spędzały czas w słonecznym apartamencie Andromachy, gdzie bawiły osiemnastomiesięcznego Skamandriosa, „zabitego przez boginię” dziecka, za którym łączyła całe miasto, chłopczyka, którego rzekoma śmierć pchnęła żadnego pomsty Hektora do wojny przeciwko wszystkim bóstwom Olimpu. Skamandrios – Astianakt, „Pan Miasta” – był jednak najzupełniej zdrowy i cały. Opiekowała się nim nowa niańka, a drzwi budynku strzegli bezustannie kilikijscy strażnicy, sprowadzeni z pokonanych Teb. Ci sami mężczyźni próbowali oddać życie za nieżyjącego ojca Andromachy, króla Etijona, który padł z ręki Achillesa wraz ze swym miastem, lecz kaprys mężobójcy kazał im przetrwać wbrew woli i teraz żyli już tylko dla córki Etijona i jej ukrytego synka.

Dziecko, gaworzące już i przechodzące niemal milę dziennie, mimo upływu długich miesięcy – niemal połowy jego krótkiego żywota – rozpoznało ciotkę Kasandrę, rozłożyło rączki i podbiegło do niej.

Kobieta wzięła chłopczyka w objęcia i ze łzami w oczach mocno utuliła. Następne dwie godziny zeszły trzem Trojanom i dwójce niewolnic – mamce i pochodzącej z Lesbos zabójczyni – na rozmowach i zabawach ze Skamandriosem. Kiedy malec udał się wreszcie na drzemkę, rozmowy nie ustały.

– Sama teraz widzisz, dlaczego nie wolno ci już nigdy wypowiadać na głos przychodzących w transie słów – zagaiła łagodnie Andromacha. – Gdyby usłyszał cię ktoś niepowołany, gdyby cokolwiek trafiło do uszu kogokolwiek poza nami i prawda wyszła

na jaw, Skamandriosa czekałaby śmierć, dokładnie taka jak w twojej przepowiedni. Zginie zrzucony z najwyższego muru miasta i roztrzaska sobie główkę na skałach.

Kassandra pobladła jeszcze bardziej niż zwykle. Szloch wstrząsnął jej ramionami.

– Nauczę się trzymać język na wodzy – obiecała po chwili – mimo że nie zawsze nad nim panuję. Dopilnuje tego twa czujna niewolnica – skinęła głową ku spoglądającej beznamytnie Hypsipyle.

Z niedalekich murów i placu doleciały je wzmagające się odgłosy zamieszania i kobiece okrzyki. Przesłoniły twarze woalkami i wyszły na zewnątrz sprawdzić, co się dzieje.

* * *

Helena kilka razy czuła pokusę, by przerwać bojową przemowę Hippodamei. Dopiero poniewczasie – gdy było już za późno, a setki kobiet rojących się niczym rozhisteryzowane pszczoły rozeszły się do domów po broń – uświadomiła sobie, że Kassandra miała rację. Teano, ich nieżyjąca przyjaciółka, wysoka kapłanka darzonej wielką czcią świątyni Ateny, powstrzymałaby te absurdalne rozruchy. „Czyście odeszły od zmysłów?!” – zakrzyknęłaby gromko, zyskała posłuch tłumu i otrzeźwiła kobiety słowami rozsądku. Teano wytłumaczyłaby im, że ta cała Pentezylea – która jak dotąd nie zrobiła dla Troi niczego poza spaniem i składaniem obietnic starzejącemu się władcy – jest córką boga wojny. A czy którakolwiek z wydzierających się na ulicach Trojanek może się pochwalić takim ojcem? Czy którakolwiek spłodził Ares?

Co więcej, Helena była pewna, że Teano przypomniaby milknącym kobietom dobitnie, że Grecy toczą bezustanne walki już od prawie dziesięciu lat, biją się jak równi z równymi, niekiedy nawet zwyciężając z herosami takimi jak Hektor i zapewne nie ustąpią przed bezładną zbieraniną niewprawnych w bojach kobiet. „Chyba że potajemnie nauczyłyście się konnej jazdy, powożenia rydwanami, miotania włóczni na pół mili, parowania tarczą brutalnych uderzeń wrażeń mieczy i jesteście pewne, iż dacie radę odrąbywać wrzeszczące męskie głowy z umięśnionych karków”. Helena nie miałaby wątpliwości, że kapłanka powiedziała by właśnie to. „Idźcie do domów. Zamieńcie pożyczone włócznie na wrzeciona, pozwólcie, by bronili was mężczyźni. Niech oni rozstrzygną swą męską wojnę”. Po takich słowach tłum rozproszyłby się natychmiast.

Lecz Teano nie było. Teano – jak to z wielką wrażliwością przypomniaby Helena – Teano była w tej chwili równie wyzuta z życia jak fiut Parysa.

I z powodu jej nieobecności gromady niedozbrojonych kobiet pomaszzerowały na wojnę. Skierowały się ku Dziurze, w stronę podnóży Olimpu, święcie przekonane, że rozsieką Achillesa, zanim jeszcze królowa Amazonek zdąży ocknąć się ze swego odświeżającego snu. Hippodameja przebiegła przez Bramę Skajską spóźniona. Pożyczona zbroja wisiała na niej krzywo – wyglądała zresztą na wykutą w jakiejś poprzedniej erze, być może w czasach wojny z centaurami. Sznurówki brązowego napierśnika nie były solidnie napięte i metalowe bręczące płytki przy każdym kroku uderzały ją boleśnie po wydatnych piersiach. Prowodyrka przestała panować nad rozbudzonym przez siebie tłumem. Podobnie jak wszyscy politycy świata pędziła, by zająć miejsce na czele pochodu. Pędziła stanowczo zbyt wolno.

Helena, Andromacha i Kasandra – pozostająca pod baczными spojrzeniami śmiertelnie groźnej niewolnicy Hypsipyle – pożegnały się pocałunkami i Helena wyszła, pamiętając, że Priam zamierza jeszcze przed zmierzchem ustalić datę jej ślubu z odpychającym Deifobosem.

Jednak, zmierzając do pałacu, który dzieliła wcześniej z Parysem, zostawiła za sobą tłum i weszła do świątyni Ateny. W środku oczywiście nie było nikogo. Ostatnimi czasy tylko nieliczni otwarcie wyznawali kult bogini, która w powszechnej świadomości była odpowiedzialna za zabójstwo Astianakta i pogrążenie ludzkiego świata w odmętach wojny z Olimpijczykami. Kobieta zatrzymała się w tonącej w mroku, pachnącej kadzidłem sali i odetchnęła spokojną atmosferą miejsca. Po chwili podniosła wzrok na wielki, złoty posąg Ateny.

– Heleno.

W pierwszej chwili Helena Trojańska była pewna, że to sama bogini zwróciła się do niej głosem byłego męża. Mgnienie potem powoli się odwróciła.

– Heleno...

Menelaos stał w rozkroku niecałe dziesięć stóp od niej. Mimo że jedynym źródłem światła w świątyni były chybotałe płomyki wotywnych świec, od razu rozpoznała jego rudą brodę i surowe spojrzenie. W prawej dłoni ścisnął miecz, w lewej zwiślał swobodnie hełm z kłów dzika.

– Heleno...

Król-rogacz nie był w stanie wydusić z siebie innego słowa. Chwila zemsty była tak blisko.

Helena rozważyła, czy nie rzucić się do ucieczki, i uznała, że nic jej z tego nie przyjdzie. Nie miała szans minąć Menelaosa i wybiec na ulicę. Jej mąż zawsze był uważany za jednego z najszybszych biegaczy Lacedemonu. Żartowali nawet, że kiedy urodzi im się syn, nigdy nie będą mogli dać mu nawet klapsa. Dziecko takiego ojca musiało pędzić jak wiatr. Syna jednak nie mieli.

– Heleno...

Żyła w przekonaniu, iż słyszała już wszystkie rodzaje męskich jęków – znała odgłosy towarzyszące orgazmowi i śmierci, a także wszystkie wydawane przez mężczyznę pomiędzy jednym i drugim. Myliła się. Nigdy jeszcze nie słyszała jęku tak zboląłego. Nigdy nie słyszała tak wielkiej dozy cierpienia zawartej w jednym znajomym, choć zarazem zupełnie obcym słowie.

– Heleno...

Menelaos ruszył żywo w jej stronę. Uniósł miecz.

Helena nawet nie drgnęła. Padła na kolana. Uklękła na zalanej blaskiem świec i poświętałą złotego posągu posadzce. Zadarła głowę ku swemu prawowitemu małżonkowi, spuściła wzrok i zsunęła z piersi sukienkę. Obnażyła się, czekając na cios.

– By odpowiedzieć na twoje ostatnie pytanie, doktorze... – powiedział naczelny integrator Asteague/Che – musimy się udać na Ziemię. Wszystko wskazuje, że źródło tych kwantowych zakłóceń znajduje się właśnie tam, na powierzchni planety lub w jej bezpośrednim pobliżu.

– Kiedy się z nim poznałem, Mahnmut opowiedział mi, że wysłaliście jego i Orphu na Marsa właśnie dlatego, że to Czerwona Planeta, a w szczególności Olympus Mons, została uznana za ośrodek tych wspomnianych... kwantowych... zakłóceń? – odparł Hockenberry.

– Rzeczywiście tak sądziliśmy, jeszcze wówczas, gdy trzeba się było posłużyć technologią Olimpijczyków, by przejść przez Dziury z Pasa Asteroid i układu Jowisza na Marsa i starożytną Ziemię. Obecne instrumenty wskazują jednak niezbitcie, że to na Ziemi znajduje się ośrodek zaburzeń. Mars okazał się jedynie ich odbiorcą... choć „celem” byłoby tu, jak myślę, lepszym sformułowaniem.

– Chcesz powiedzieć, że wasza technologia rozwinęła się aż tak bardzo? W ciągu ośmiu miesięcy? – zdziwił się scholiasta.

– Od kiedy zaczęliśmy korzystać z kwantowych tuneli Olimpijczyków, zasób naszej wiedzy dotyczącej ujednoczonej teorii kwantów wzrósł przynajmniej trzykrotnie – odparł Cho Li. Morawiec z Callisto był najwyraźniej ekspertem od spraw technicznych.

– Na przykład większość tego, co nam wiadomo o grawitacji kwantowej, pojęliśmy właśnie w ciągu ubiegłych ośmiu standardowych miesięcy.

– Znaczący, czego się właściwie dowiedzieliście? – zainteresował się Hockenberry. Oczywiście nie spodziewał się, że zrozumie naukowe wywody, lecz po raz pierwszy poczuł wobec morawców lekką nieufność.

Sinopessen Wsteczny, kołyszący się na pajęczych odnóżach zasilacz kolejki elektrycznej, odpowiedział mu swym nieprzystającym do wyglądu dudniącym głosem.

– Informacje, które poznaliśmy, są przerażające. I to do głębi.

Ten akurat wywód scholiasta zrozumiał doskonale.

– Dlatego, że te jakieś kwantowe cosie tracą stabilność? Mahnmut i Orphu mówili, że zdawaliście sobie sprawę z niebezpieczeństwa, zanim jeszcze wysłaliście ich na Marsa. Czyżby sytuacja przedstawiała się gorzej, niż zakładaliście?

– Nie jest to czynnik jedyny – przyznał Asteague/Che. – Rzecz również w tym, że coraz lepiej rozumiemy sposób, w jaki siła bądź siły stojące za tak zwanymi bóstwami wykorzystują energię pól kwantowych.

„Siła bądź siły stojące za bóstwami...” – powtórzył w myślach Hockenberry, lecz dalsze dociekania postanowił odłożyć na potem.

– Jak zatem ją wykorzystują?

– Rydwany Olimpijczyków latają, wykorzystując zmarszczki, zagięcia pola kwantowego – odezwał się wysoki morawiec z Ganimesesa, Suma IV. Odbijające się

w jego złożonych oczach światło rozszczepiało się jakby w tysiącu pryzmatach.

– To źle?

– W tym sensie, w jakim złe byłoby wykorzystywanie eksplozji termonuklearnych do zasilania żarówki w salonie – odpowiedział Cho Li swoim kobiecym, łagodnym głosem. – Ilości zużywanej przez nich energii są po prostu niebotyczne.

– W takim razie dlaczego bogowie wciąż nie zwyciężyli? – zapytał scholiasta. – Wygląda na to, że wasza technologia doprowadziła do swego rodzaju pata... Nawet egida nie jest w stanie przeważać szali.

Głos zabrał Beh bin Adi, dowódca skałowców.

– Olimpijczycy wykorzystują jedynie niewielki ułamek kwantowej energii zgromadzonej na Marsie i w okolicach Ilionu. W naszej ocenie oni sami nie rozumieją zasad, na jakich działa ich technologia. Ktoś musiał im jej... użyć.

– Ale kto? – Hockenberry'emu nagle zaschło w gardle. Zaczął się zastanawiać, czy morawce mają w swojej bazie jakiegokolwiek nadające się dla ludzi jedzenie i napoje.

– Właśnie tego zamierzamy się dowiedzieć na Ziemi – stwierdził Asteague/Che.

– A dlaczego chcecie tam lecieć statkiem? – zaciekawił się scholiasta.

– Słucham? – spytał półgłosem Cho Li. – A w jaki inny sposób mielibyśmy się dostać na inną planetę?

– Tak samo, jak przeprowadziliście inwazję na Marsa – powiedział Hockenberry.

– Moglibyście wykorzystać jedną z Dziur.

Asteague/Che pokręcił głową, gest skojarzył się scholiście z Mahnmutem.

– Między Ziemią a Marsem nie istnieją żadne otwarte tunele kwantowe.

– Ale przecież, żeby przylecieć tu z Jowisza i Pasa Asteroid, otworzyliście własne Dziury? Mam rację? – Hockenberry czuł narastający ból głowy. – Chyba możecie ten numer po prostu powtórzyć?

– Mahnmutowi udało się umieścić transponder dokładnie w kwinkunksie, czyli w samym centrum kwantowych zaburzeń wokół Olimpu – odpowiedział Cho Li. – Niestety nie mamy w tej chwili wysłannika na Ziemi ani w jej pobliżu, więc podobny manewr jest wykluczony. To jeden z celów misji na Ziemię. Zawieziemy tam podobny, choć unowocześniony transponder.

Hockenberry pokiwał głową, mimo że nie do końca był pewien, czemu właściwie przytakuje. Próbował odszukać w pamięci definicję „kwinkunksu”. Prostokąt z dodatkowym punktem w środku? A może jakieś pojęcie dotyczące liści i płatków? Wiedział jedynie, że „kwinkunks” ma jakiś związek z liczbą pięć.

Asteague/Che pochylił się nad blatem.

– Doktorze Hockenberry, pozwoli pan, że spróbuję przystępnie wyjaśnić, dlaczego właściwie jesteśmy przerażeni tak frywolnym wykorzystaniem energii kwantowej.

– Ależ proszę – odpowiedział scholiasta. Co za maniery! – pomyślał i uświadomił sobie, że stanowczo zbyt długo przebywał wśród nieokrzesanych greckich i trojańskich herosów.

– Może zauważył pan, w ciągu ponad swych dziewięciu lat bezustannych podróży między Olimpem a pozostałymi rejonami Marsa, cokolwiek niecodziennego, a związanego z grawitacją?

– No cóż... Tak, owszem... Na Olimpie zawsze czułem się trochę lżejszy. Jeszcze zanim się dowiedziałem, że to Mars, co nastąpiło dopiero po waszej interwencji. Ale w sumie co z tego? To chyba nic niezwykłego. W końcu ciążenie na Marsie jest mniejsze niż ziemskie?

– I to znacznie mniejsze – zaświzczał Cho Li. Głos androgynicznego morawca brzmiał jak dźwięk piszczałek fletni Pana. – Przyspieszenie na Czerwonej Planecie wynosi w przybliżeniu trzy i siedemdziesiąt dwie setne metra na sekundę kwadrat.

– Dla słabszych poproszę – wtrącił Hockenberry.

– To trzydzieści osiem procent wartości grawitacyjnego przyspieszenia ziemskiego – wytłumaczył Sinopessen Wsteczny. – A pan codziennie przenosił się, ściślej mówiąc teleportował kwantowo, pomiędzy Ziemią a Olimpem. Czy odczuwał pan wówczas, by różnica ciążenia wynosiła aż sześćdziesiąt dwa procent, doktorze Hockenberry?

– Mówmy sobie po imieniu, proszę – rzucił Hockenberry i zamyślił się. Różnica sześćdziesięciu dwóch procent? To znaczy, że na Marsie byłbym lekki jak balonik... Skakałbym po dwadzieścia metrów naprzód. Bzdury opowiadają.

– Nie zauważył pan istotnej zmiany grawitacji – powiedział Asteague/Che i wcale nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Właściwie nie – zgodził się scholiasta. Owszem, kiedy po ciężkim dniu na równinie Ilionu wracał na Olimp, chodziło mu się nieco swobodniej. Zresztą nie tylko na wierzchołku, ale i w koszarach scholiastów, które znajdowały się u podnóża wulkanu. Lżej było się poruszać i dźwigać ciężary. Ale żeby ta różnica wynosiła całe sześćdziesiąt dwa procent? Nie, nie ma takiej opcji. – Ciężenie faktycznie się zmieniało, ale nie w tak poważnym stopniu.

– Nie zauważył pan istotnej różnicy w ciążeniu, doktorze Hockenberry, ponieważ grawitacja na Marsie, na którym spędził pan ostatnie dziesięć lat życia, planecie, na której walczyliśmy od ośmiu standardowych ziemskich miesięcy, wynosi dziewięćdziesiąt trzy koma osiem dwa jeden procent panującej na Ziemi.

Hockenberry przez moment trawił rewelację morawca.

– No i co niby z tego wynika? – podjął po namyśle. – Po prostu bogowie podkreśliли ciążenie w procesie terraformowania. Przecież w końcu są bogami.

– Kimś są na pewno – przytaknął Asteague/Che – ale nie tym, na kogo wyglądają.

– Czy zmiana grawitacji to naprawdę taki wielki wyczyn? – zdziwił się scholiasta.

Zapadła cisza i mimo że żaden z morawców nie zdradził się ani jednym znaczącym gestem, Hockenberry odniósł przemożne wrażenie, że prowadzą właśnie ożywioną dyskusję przez radio bądź jakimiś innymi kanałami. Jak mamy to wyjaśnić temu przygłupiemu człowiekowi?

Wreszcie milczenie przerwał Suma IV, wysoki morawiec z Ganimedesa.

– Tak, to olbrzymi wyczyn.

– Większy nawet niż terraformowanie planety wielkości Marsa w niecałe sto pięćdziesiąt lat – wtrącił piskliwie Cho Li. – Co jest przecież niewykonalne.

– Grawitacja jest nierozzerwalnie związana z masą – przypomniał Sinopessen Wsteczny.

– Tak? – zdziwił się Hockenberry, który przestał się przejmować faktem, że zadaje

coraz głębsze pytania. – Zawsze mi się wydawało, że grawitacja utrzymuje przedmioty na powierzchni.

– Grawitacja to efekt oddziaływania masy na kształt czasoprzestrzeni – ciągnął srebrzysty pajak. – Gęstość obecnego Marsa wynosi trzy koma dziewięćdziesiąt sześć razy więcej niż gęstość wody. Poprzedni Mars, ten, z którym mieliśmy do czynienia jeszcze niewiele ponad stulecie wcześniej, przed terraformowaniem, miał trzy koma dziewięćdziesiąt cztery razy gęstości wody.

– Czyli niewiele się zmieniło – przeliczył scholiasta.

– Nie – przytaknął Asteague/Che. – I żadną miarą nie uzasadnia wzrostu przyciągania grawitacyjnego o bez mała pięćdziesiąt sześć procent.

– Grawitacja jest związana również z przyspieszeniem – odezwał się melodyjnie Cho Li.

W tym momencie Hockenberry pogubił się na dobre. Przyleciał na Fobosa, by poznać szczegóły planowanej wizyty na Ziemi i usłyszeć, dlaczego morawcom zależy na jego udziale w ekspedycji. Nikt nie wspominał o tym, że będą udzielać mu korepetycji niczym niezbyt rozgarniętemu ósmoklasiście.

– Czyli grawitację Marsa zmienił po prostu ktoś inny. Nie bogowie – skwitował. – A wy uważacie, że to jakaś wielka sprawa.

– Bo jest wielka, doktorze Hockenberry. Wielka i bardzo poważna – oznajmił Asteague/Che. – Ktokolwiek zdołał w ten sposób zmanipulować marsjańskie ciężenie, jest prawdziwym mistrzem w dziedzinie technologii kwantowej. Te Dziury, jak je od pewnego czasu nazywamy... są w istocie kwantowymi tunelami, również zakrzywiającymi i wpływającymi na grawitację.

– Tunele czasoprzestrzenne – przypomniał sobie Hockenberry. – Wiem o co chodzi. – Ze „Star Treka”, dopowiedział w duchu. – Słyszałem też o czarnych dziurach – dodał. – I białych.

W ten sposób wyczerpał cały zasób dostępnych sobie stosownych naukowych pojęć. Nawet żyjący pod koniec dwudziestego stulecia skończeni humaniści w rodzaju dawnego doktora Hockenberry’ego wiedzieli, że wszechświat jest pełen tuneli czasoprzestrzennych, łączących ze sobą odległe punkty galaktyk. Aby z takiej drogi skorzystać, należało wlecieć w czarną dziurę, a wylatywało się z białej. Albo na odwrót.

Asteague/Che ponownie pokręcił głową jak Mahnmut.

– To nie są po prostu tunele czasoprzestrzenne. To Dziury w Branie... od „membrana”. Wiele wskazuje na to, że postludzie wykorzystywali czarne dziury na orbicie Ziemi do tworzenia mało stabilnych tuneli czasoprzestrzennych, ale Dziury Branowe to zupełnie coś innego. Trzeba przy tym pamiętać, że w tej chwili została już tylko jedna, łącząca Marsa z Ilionem. Pozostałe po prostu zapadły się w sobie i zniknęły.

– Próbując wlecieć w tunel czasoprzestrzenny lub czarną dziurę, zginąłby pan od razu – dodał Cho Li.

– Wskutek spaghettiifikacji – podjął generał Beh bin Adi. Ton skałowca sugerował, że pojęcie niezwykle mu się podoba.

– Spaghettiifikacja oznacza... – zaczął Sinopessen Wsteczny.

– Potrafię to sobie wyobrazić – uciał Hockenberry. – Rozumiem więc, że

przeciwnik wydaje się wam o wiele groźniejszy, niż podejrzewaliście, właśnie z powodu wykorzystania grawitacji kwantowej i kwantowych Dziur Branowych?

– Nie inaczej – powiedział Asteague/Che.

– I zamierzacie polecieć tym wielkim statkiem na Ziemię, żeby się dowiedzieć, kto lub co stworzył Dziury, terraformował Marsa i jest prawdopodobnie również odpowiedzialny za stworzenie bogów?

– Tak.

– I chcecie, żebym wybrał się z wami?

– Tak.

– Tylko po co? – spytał scholiasta. – Do czego mógłbym się przydać na... – urwał i dotknął wybruszenia pod tuniką. Wyczuł zawieszony na piersi ciężki krążek. – Medalion teleportacyjny.

– Tak – powtórzył Asteague/Che.

– Ale przecież, gdy tylko pojawiliście się na Marsie, pożyczyłem go wam na całe sześć dni. Pamiętam, że bałem się, że już go nie odzyskam. Zresztą mnie samego też przebadaliście... Krew, DNA, wszelkie możliwe testy. Byłem przekonany, że przez ten czas zbudowaliście sobie już z tysiąc takich medalionów.

– Gdyby udało nam się wykonać choć tuzin replik... albo sześć czy nawet jedną – warknął generał Beh bin Adi – wojna już dawno dobiegłaby końca, a Olimp byłby pod naszą kontrolą.

– Niestety nie jesteśmy w stanie stworzyć funkcjonującego duplikatu tego urządzenia – przyznał Cho Li.

– Dlaczego? – Hockenberry miał wrażenie, że zaraz pęknie mu głowa.

– Ten medalion jest dostrojony do pańskiego ciała i umysłu – wyjaśnił Asteague/Che pełnym uroku głosem Jamesa Masona. – A pańskie ciało i umysł zostały... przystosowane... do współpracy z medalionem.

Hockenberry zamyślił się na chwilę. W końcu pokręcił głową i znów dotknął medalionu.

– To nie ma sensu. Te ustrojstwa nie stanowiły standardowego elementu wyposażenia. Normalnie, żeby wrócić na Olimp, wszyscy scholiaści musieli się udawać na jedno z kilku wyznaczonych miejsc i dopiero stamtąd tekowali nas bogowie. Trochę jak Scotty ze „Star Treka”, jeśli łapiecie, co mam na myśli. Chociaż pewnie nie.

– Ależ oczywiście, że wiemy, doskonale pojęliśmy odniesienie – sprostował zasilacz na cieniutkich pajęczych odnóżach. – Uwielbiam ten serial. Mam w archiwum wszystkie odcinki. Podobają mi się zwłaszcza wczesne sezony... Od dawna nurtuje mnie kwestia, czy kapitana Kirka i Spocka nie łączy przypadkiem potajemny związek natury fizyczno-romantycznej.

Hockenberry już miał odpowiedzieć, lecz w porę ugryzł się w język.

– Słuchajcie – podjął po chwili. – Dostałem ten medalion od bogini Afrodyty, by za jego pomocą szpiegować Atenę. Afrodyta zamierzała ją zabić. Tyle że działo się to po przeszło dziewięciu miesiącach mojej pracy w charakterze scholiasty, podczas których codziennie tekowałem się pomiędzy Olimpem a Ilionem. Chyba niemożliwe, by mój organizm został przystosowany do medalionu, skoro nikt z góry nie wiedział, że... –

umilkł. Do dręczącego go bólu głowy dołączyły lekkie nudności. Może to przez tutejsze powietrze?

– Został pan... zrekonstruowany w taki sposób, by móc się tym medalionem posługiwać – oświadczył Asteague/Che. – Podobnie jak bogowie zostali zaprojektowani tak, by móc się teleportować bez żadnej pomocy. W tej kwestii nie mamy najmniejszych wątpliwości. Pozostają pytania „dlaczego?” i „po co?”, ale odpowiedź na nie możemy znaleźć dopiero na Ziemi lub na jej orbicie, w jednym z tysięcy postludzkich urządzeń i miast.

Hockenberry wyprostował się i usiadł na krześle wygodniej. Już kiedy zajmowali miejsca, zauważył, że jego mebel jest jedynym wyposażonym w oparcie. Morawce liczyły się z potrzebami gości.

– Czyli chcecie, bym wziął w tej ekspedycji udział – powiedział – żebym w razie kłopotów teleportował się z powrotem tutaj. Miałbym pełnić rolę boi awaryjnej z atomowego okrętu podwodnego z moich czasów. Wypuszczało się je, gdy było wiadomo, że sytuacja jest beznadziejna.

– Tak – przyznał Asteague/Che. – Właśnie dlatego chcemy zabrać pana w tę podróż.

Hockenberry raptownie przełknął ślinę.

– Cóż, przynajmniej jesteście uczciwi... Tego wam nie odmówię. Więc jakie dokładnie są cele tej misji?

– Cel numer jeden, odnaleźć źródło energii kwantowej – powiedział Cho Li. – I, w miarę możliwości, wyłączyć je. Jego istnienie zagraża całemu Układowi Słonecznemu.

– Cel numer dwa, nawiązać kontakt z zamieszkującymi Ziemię ludźmi bądź postludźmi i ich przesłuchać. Musimy poznać powody ich związku z bogami i Ilionem oraz naturę tych silnych zakłóceń kwantowych – dodał szary oleisty Suma IV.

– Cel numer trzy, sporządzić mapę tuneli kwantowych i Dziur Branowych, a także sprawdzić, czy nie istnieją inne, dotychczas nam nieznanne. Chcemy się także przekonać, czy można je wykorzystać do podróży międzyplanetarnych bądź nawet międzygwiazdnych – kontynuował wyliczankę Sinopessen Wsteczny.

– Cel czwarty, odnaleźć obce istoty, które przybyły do Układu Słonecznego tysiąc czterysta lat temu, prawdziwych bogów stojących za tymi, by tak rzec, karłami z Olimpu, i dojść z nimi do jakiejś formy porozumienia – rzucił generał Beh bin Adi. – A jeśli to zawiedzie, zniszczyć je.

– Cel piąty – podjął z brytyjskim akcentem Asteague/Che. – Sprowadzić całą załogę, morawców i człowieka, z powrotem na Marsa... Żywych i funkcjonujących.

– O, taki cel to ja rozumiem – ucieszył się scholiasta. Serce waliło mu jak młotem, głowa bolała jak podczas ataków migreny, które nękały go na studiach, w najmniej przyjemnym okresie poprzedniego życia. Wstał z krzesła.

Piątka morawców natychmiast zerwała się z miejsc.

– Ile mam czasu na decyzję? – spytał Hockenberry. – Jeżeli zamierzacie startować w ciągu godziny, nigdzie nie lecę. Muszę wszystko dokładnie przemyśleć.

– Przygotowanie, wyposażenie i aprowizacja statku zajmą jeszcze około czterdziestu ośmiu godzin – powiedział Asteague/Che. – Czy zechce pan zastanowić się

tutaj? Przygotowaliśmy już stosowne pomieszczenie w cichej części...

– Chcę wrócić do Ilionu – przerwał morawcowi Hockenberry. – Tam myśli mi się najlepiej.

– W takim razie przygotowujemy szerszenia do natychmiastowego startu. Obawiam się jednak, że panuje tam dzisiaj niemałe zamieszanie. Takie informacje dostałem od naszych informatorów.

– Typowe – mruknął scholiasta. – Znikam na ledwie kilka godzin i tracę całą zabawę.

– Być może rozwój wypadków w Ilionie i na Olimpie okaże się dla pana zbyt interesujący, by wyprawić się z nami na Ziemię, doktorze Hockenberry – zauważył Sinopessen Wsteczny. – Nie widziałbym w tym nic dziwnego, gdyby uczony badacz „Iliady” postanowił zostać i obserwować wydarzenia.

Hockenberry westchnął i pokręcił obolałą głową.

– Cokolwiek się dzieje w Troi i na Olimpie, już dawno odbiegło od treści „Iliady” – przypomniał. – Zazwyczaj czuję się tam równie nieswojo jak ta biedna Kasandra.

Szerszeń przeniknął przez obłą ścianę niebieskiej kopuły. Zawisł nad nimi i bezgłośnie osiadł. Rozwinął się trap. We włązie pojawił się Mahnmur.

Hockenberry pożegnał się z delegacją morawców uprzejmym skinieniem.

– O swojej decyzji dam wam znać przed upływem czterdziestu ośmiu godzin – obiecał i ruszył w stronę pojazdu.

– Doktorze Hockenberry? – głos Jamesa Masona doleciał go zza pleców.

Scholiasta obejrzał się przez ramię.

– Chcielibyśmy też zabrać ze sobą jednego z Greków bądź Trojanina – oznajmił Asteague/Che. – Szczerze liczymy na pańską rekomendację.

– Po co? – rzucił scholiasta. – To znaczy, dlaczego chcecie lecieć z człowiekiem z epoki brązu? Ten człowiek żył i umarł sześć tysięcy lat przed tym, jak Ziemia przybrała obecny kształt.

– Mamy swoje powody – odparł naczelny integrator. – Bywa, że pierwsza myśl jest najlepsza. Kogo by pan wybrał?

Helena Trojańska, stwierdził w duchu Hockenberry. Gdybyście do tego dorzucili jakąś wygodną kajutę dla nowożeńców, podróż mogłaby się okazać wielce przyjemna. Spróbował sobie wyobrazić seks z Heleną w stanie nieważkości, lecz ból głowy nie pozwolił mu rozwinąć skrzydeł fantazji.

– Potrzebujecie wojownika? – spytał scholiasta. – Któregoś z herosów?

– Niekoniecznie – odparł generał Beh bin Adi. – Zabieramy również setkę własnych żołnierzy. Chodzi po prostu o osobę z epoki wojny trojańskiej, kto mógłby się okazać przydatny.

Helena Trojańska, powtórzył w myślach Hockenberry. Ma świetne... Potrząsnął głową.

– Dość oczywistym kandydatem wydaje się Achilles – powiedział na głos. – Jak wiecie, jest niepokonany.

– Wiemy – przyznał szeptem Cho Li. – Przeprowadziliśmy nieoficjalne testy i udało się nam dowiedzieć, dlaczego jest, jak pan powiedział, niepokonany.

– Ja też wiem. Jego matka, bogini Tetyda, zanurzyła go w rzece... – zaczął Hockenberry.

– Prawdę mówiąc... – wtrącił Sinopessen Wsteczny – jest nieco inaczej. Rzecz w tym, że ktoś... lub coś... w nieprawdopodobny wręcz sposób zakrzywiło otaczającą pana Achillea kwantową macierz prawdopodobieństwa.

– Okej – rzucił Hockenberry. Nie zrozumiał ani słowa. – Czyli sprowadzić wam Achillea, tak?

– Nie sądzę, by zgodził się przystać na taką propozycję. Jakie jest pańskie zdanie, doktorze? – upewnił się Asteague/Che.

– Przystać... nie. Ale chyba możecie go zmusić?

– Sądzę, że byłoby to znacznie bardziej ryzykowne niż nasza mała wycieczka na trzecią planetę od Słońca – zadudnił generał Beh bin Adi.

Poczucie humoru? U skałowca? – zdziwił się Hockenberry.

– No dobrze, więc skoro nie Achilles, to kto?

– Mieliśmy nadzieję, że pan nam zasugeruje kandydata. Powinna to być osoba odważna, lecz inteligentna. Obdarzona duszą odkrywcy, ale niepozbawiona rozsądku. Ktoś, z kim moglibyśmy się porozumieć. Ktoś... można powiedzieć... elastyczny.

– Odyseusz – zdecydował bez chwili wahania Hockenberry. – Potrzebujecie Odyseusza.

– W pana ocenie, zgodzi się? – odezwał się Sinopessen Wsteczny.

Scholiasta zaczerpnął głęboki oddech.

– Jeżeli powiecie mu, że u kresu wyprawy czeka Penelopa, poleci z wami choćby do piekła i z powrotem.

– Nie możemy go okłamać – zauważył Asteague/Che.

– A ja i owszem – przyznał Hockenberry. – Bardzo chętnie. Bez względu na to, co sam postanowię. Akurat Odysa pomogę wmanewrować w tę aferę z przyjemnością.

– To niezwykle miło z pańskiej strony – powiedział Asteague/Che. – Oczywiście z niecierpliwością będziemy czekać na pańską odpowiedź. Czterdzieści osiem godzin. – Morawiec z Europy wyciągnął ramię i Hockenberry z niejakim zdziwieniem zauważył na jego końcu zbliżoną do ludzkiej dłoń.

Uścisnął ją i wsiadł z czekającym Mahnmutem do szerszenia. Trap się podniósł. Scholiastę oplótł niewidzialny fotel. Wystrzelili spod kopuły.

Zniecierpliwiony, wściekły Achilles przechadza się przed tysiącem doborowych Myrmidonów. Stoją na wybrzeżu u stóp Olimpu. Heros czeka, by bogowie zesłali swojego dzisiejszego bohatera, którego będzie mógł zgładzić. Dłużące się chwile umiła sobie wspomnianiem pierwszego miesiąca konfliktu – okresu wciąż nazywanego przez wszystkich Trojan i Argiwów „gniewem Achillesa”.

Bogowie tekowali się wtedy ze swych olimpijskich wyczyn całymi legionami. Ufali polom siłowym i morderczym maszynom, byli gotowi w dowolnej chwili przenieść się do Wolnoczasu i dzięki temu uchronić się przed gniewem śmiertelnych. Nie mieli pojęcia, że małe morawce, te automatyczne ludziki, nowi sojusznicy Achillesa, posiadają swoje własne zaklęcia i inkantacje zdolne zniweczyć wszelkie sztuczki bogów.

Jako pierwsi teleportowali się Ares, Hades i Hermes. Pod rozdieranym na strzępy nieboskłonem wbili się w szeregi Achajów i Trojan. Linie mocy rozblęły płomieniem i oddziały obu stron zniknęły pod kopułami i iglicami falującego ognia. Morze zawrzało. Małe Zielone Ludziki czmychnęły na pokłady feluk. Bombardowana megatonami energii morawieckiego natarcia Zeusowa egida zamigotała i stała się widzialna.

Achilles jednak wypatrywał jedynie Aresa i jego kompanów: Hadesa, czerwonoookiego boga w zbroi z czarnego brązu, i toczącego mrocznym spojrzeniem Hermesa, zakutego w kolczaste czerwone płyty.

– Nauczcie te śmiertelne psy umierać! – wydzierał się Ares, patron wojny.

Wysoki na dwanaście stóp lśniący Olimpijczyk zaatakował argiwski szyk, nie ustając w biegu nawet na moment.

Za nim szli Hades z Hermesem. Cała trójka wypuściła z dłoni niechybiające celu boskie włócznie.

A jednak chybiły. Tego dnia śmierć nie była Achillesowi pisana. Nie mógł polec z ręki boga.

Jeden grot drasnął co prawda muskularne prawe ramię chyżonogiego mężobójcy, lecz nie popłynęła nawet krew. Druga włócznia wryła się w przepiękną tarczę herosa, lecz zatrzymała się na warstwie polaryzowanego złota, wprawionej tam przez boskiego rzemieślnika. Trzecia, nie pozostawiając choćby wgłębienia, odbiła się od złotego hełmu Achillesa.

Następnie trzej bogowie zaatakowali miotanymi z dłoni promieniami. Okryty zasłoną roztaczanych przez nanomemy pól siłowych bohater otrząsnął się tylko jak mokry pies na brzegu rzeki.

Ares z Achillesem starli się niczym dwa uderzające o siebie górskie szczyty. Wstrząs powalił na ziemię setki zwartych w boju Trojan, Greków i bóstw.

Jako pierwszy cofnął się Ares. Uniósł czerwone ostrze i zamachnął się, mierząc prosto w kark śmiertelnego parweniusza.

Achilles wykonał zwinny unik pod klingą i wbił swój miecz w ciało patrona wojny.

Zaostrzony metal przeszył boską zbroję i szarpnięty ku górze rozplątał Aresowi brzuch. Złoty ichor trysnął na obu przeciwników, a boskie jelita Olimpijczyka zalały czerwone marsjańskie kolcolisty. Ares – zbyt zaskoczony, by paść, i zbyt rozwścieczony, by umrzeć – wlepił spojrzenie we własne wnętrze, których wijące się sploty leżały już w kurzu.

Achilles wyciągnął rękę, pochwycił boga za hełm, pociągnął go w dół i ku sobie. Ludzka ślina zbryzgała nieskazitelne oblicze Olimpijczyka.

– Sam się naucz umierać, wybebeszona kukło! – warknął, po czym gestem rozpoczynającego długi dzień pracy rzeźnika odrąbał Aresowi kolejno dłonie w przegubach, nogi ponad kolanami i wreszcie ramiona.

Pozostałe bóstwa przyglądały się temu jak wryte. Wokół okaleczonego korpusu podniosły się wirujące smugi czarnego dymu, rozległo się nieziemskie wycie, a głowa Aresa nie przestała zanosić się wrzaskiem nawet wtedy, gdy miecz Achillesa strącił ją z karku.

Przerażony Hermes, mimo strachu wciąż śmiertelnie groźny oburęczny bóg, podrzucił w dłoni swą drugą włócznię.

Achilles skoczył naprzód tak błyskawicznie, że obserwatorzy byli przekonani, że się teleportował. Chwycił uniesione drzewce Olimpijczyka i szarpnął. Hermes spróbował odzyskać broń, zaczęli się mocować. W tej samej chwili Hades ciął swą czarną klingą. Celował w kolana greckiego herosa, lecz mężobójca wyskoczył wysoko ku górze, unikając rozmywającego się w pędzie czarnego ostrza ze stali węglowej.

Hermes, który zaczął przegrywać grę w przeciąganie włóczni, odskoczył i spróbował ocalić skórę teleportacją.

Nie wiedział jednak, że tuż przed starciem morawce otoczyły pole walki jednym ze swych pól. Kwantowa teleportacja w którąkolwiek stronę była wykluczona aż do rozstrzygnięcia.

Hermes dobył swego miecza, broni o paskudnie wyglądającym, zakrzywionym ostrzu. Achilles odrąbał zabójcy gigantów ramię w łokciu. Spadło na czerwony marsjański piach. Dłoń wciąż zaciskała się na rękojeści.

– Litości! – zawył Hermes. Rzucił się na kolana i zdrową ręką objął Achillesa w pasie. – Litości! Błagam cię!

– Nie ma litości – syknął Achilles i poćwiartował boga na rozedrgane, skrwawione złotym ichorem kawałki.

Hades cofnął się po wilgotnej ziemi, w jego czerwonych oczach zagościł strach. Kolejni Olimpijczycy materializowali się całymi setkami, teleportowali się prosto w zastawione przez ludzi sidła. Natychmiast ścierali się z nimi Hektor wraz z trojańskimi wodzami oraz wierni Myrmidonowie Achillesa, a także wszyscy greccy herosi. Rozpostarte nad nimi morawieckie pole siłowe uniemożliwiało bóstwom błyskawiczną ucieczkę. Po raz pierwszy za pamięci wszystkich walczących bogowie i ludzie, półbogowie i śmiertelnicy, sławy i szeregowi żołdacy, wszyscy oni zmagali się ze sobą na mniej więcej równych warunkach.

Hades wkroczył w Wolnoczas. Ziemia przestała się kręcić. Powietrze zgęstniało. Opadające na skalisty brzeg grzbiety fal zastygły w powietrzu. Ptaki zatrzymały się w locie. Zdyszany Hades odetchnął z ulgą i zwymiotował. Tutaj nie mógł go dosięgnąć

nikt spośród śmiertelnych.

Ledwie zdążył to pomyśleć, w ślad za nim przeniósł się w Wolnoczas Achilles.

– To... to niemożliwe. – Słowa władcy dziedziny umarłych rozległy się w gęstym jak syrop powietrzu.

– Giń, Śmierci! – zakrzyknął Achilles i przebił gardziel Olimpijczyka włócznią, która w przeszłości należała do Peleusa, jego ojca.

Grot wszedł w ciało tuż poniżej czarnych płytek hełmu zawijających się ku górze w stronę przypominających szczękę trupiej czaszki policzków Hadesa. Krople złotego ichoru strzeliły w zwolnionym tempie w powietrze.

Achilles odtrącił na bok czarną ozdobną tarczę patrona śmierci i przeszył mieczem jego brzuch i kręgi. Umierający Hades zdołał odpowiedzieć na pchnięcie ciosem tak potężnym, że z pewnością zdołałby nim rozkroić górskie zbocze. Mroczna klinga ześliznęła się po piersi herosa, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy. Dzisiaj śmierć nie była pisana Achillesowi. Achillesa nie mógł zabić żaden z Olimpijczyków. Śmierć tego dnia – choć wedle ludzkiej miary tylko tymczasowa – pisana była za to Hadesowi. Runął ociężale na ziemię, objął go czarny wir, po czym zniknął pochłonięty przez onyksowy cyklon.

Nie poświęcając temu nawet jednej świadomej myśli, Achilles ponownie posłużył się niedawno otrzymaną nanotechnologią, nagiął i tak koszmarnie już zniekształcone kwantowe pola prawdopodobieństwa, wynurzył się z Wolnoczasu i wrócił do walki. Zeusa już nie było, a pozostali bogowie czmychali, zapominając w panice o postawieniu za sobą egidy. Morawieckie czary, którymi metalowe istoty natchnęły Achillesa dzisiejszego ranka, pozwoliły Grekowi przebijać się przez słabsze tarcze energetyczne Olimpijczyków i ścigać ich po stokach wulkanu aż po linię pierwszych fortyfikacji.

Tam rzeź bogów i bogiń rozpoczęła się na dobre.

Takie sceny rozgrywały się we wczesnym okresie wojny. Dzisiaj – dzień po pogrzebie Parysa – bogowie nie palili się już do walki.

Tak więc – pod nieobecność Hektora, gdy tysiące zebranych na froncie Trojan pod wodzą Eneasza, młodszego brata Hektora, siedzą cicho – Achilles spotyka się z achajskimi wodzami i morawieckimi artylerzystami, by przedyskutować plan natychmiastowego natarcia na Olimp.

Przeprowadzą prosty atak. Energetyczna i jądrowa broń morawców aktywuje egidę w niższych partiach zboczy wulkanu, a Achilles tymczasem oraz pięciuset jego najlepszych oficerów i wojowników przebija się w trzydziestu szerszeniach transportowych przez słabsze pole siłowe chroniące Olimp po drugiej stronie. Pomkną na szczyt i poniosą żagiew wojny prosto do boskich siedzib. Achajów rannych i tych, którzy nie wytrzymają grozy walki w cytadeli Zeusa, odwiozą szerszenie zaraz po tym, jak element zaskoczenia przestanie odgrywać znaczącą rolę.

Achilles chce zostać na szczycie Olimpu, póki trawniki nie zamienią się w cmentarzysko, a wszystkie białe świątynie i rezydencje bogów nie obrócą się w wypalone gruzy. W końcu – myśli heros – Herkules sam jeden przebił niegdyś mury Ilionu i zajął miasto bez czyjejkolwiek pomocy. Nie ma więc chyba powodu, by akurat Olimp okazał się nietykalny.

Przez cały poranek Achilles czeka na Agamemnona i jego mniej lotnego brata Menelaosa. Czekają, by przybyli na czele wiernych sobie wojaków i spróbowali odebrać mu dowództwo nad achajskimi armiami, ponownie rozpętać wojnę ludzi przeciwko ludziom i odzyskać przyjaźń zdradzieckich morderców z Olimpu. Jak dotąd jednak jego były wódz o psich ślepiach i zajęczym sercu nie raczył się nawet pojawić. Achilles postanowił, że jeśli król spróbuje wywołać rebelię, zabije go bez wahania. Zabije jego i tego rudobrodego młokosa Menelaosa, a także wszystkich, którzy stawiają się wraz z dwójką Atrydów na polu. Wieści o tym, że ich rodzinne miasta opustoszały się – Achilles ma niezbitą pewność – zwykłym podstępem Agamemnona, który liczył, że podobne rewelacje rozniecą w niespokojnych i tchórzliwych Achajach żądę buntu.

Kiedy więc centurion Mep Ahoo, skałowiec w kolczastej zbroi dowodzący artylerią i bombardowaniami energetycznymi podnosi spojrzenie znad mapy, którą studiuje pod jedwabnym daszkiem w okopie, i oświadcza, że wzmocniony wzrok pozwolił mu zauważyć dziwnie wyglądającą armię, jaka właśnie przeszła przez Dziurę od strony Ilionu, Achilles nie czuje najmniejszego zdziwienia.

Zdziwienie ogarnia go jednak już kilka minut później. Odyseusz, obdarzony pośród zebranych oficerów i wodzów najbystrzejszym wzrokiem, mówi:

– To kobiety. Trojanki.

– Masz na myśli Amazonki? – Achilles wychodzi spod daszku na zalaną promieniami słońca równinę pod Olimpem.

Godzinę wcześniej Antilochus, syn Nestora, przyjaciel Achillesa i towarzysz jego niezliczonych batalii, przyjechał swym rydwanem do obozu i poinformował o przybyciu trzynastu Amazonek i złożonej przez Pentezyleę przysiędze, która obiecała zgładzić Achillesa w pojedynku. Chyżonogi mężobójca powitał nowinę wybuchem śmiechu, w którym zabłyśły wszystkie jego idealnie równe zęby. Nie po to pokonał w walce dziesięć tysięcy Trojan i dziesiątki bogów, by teraz ulęknąć się buńczucznej kobiety.

– Nie, synu Peleusa – kręci głową Odyseusz. – Są ich chyba ze dwie setki i mają na sobie niedopasowane zbroje. Nie widzę między nimi Amazonek. Te są stanowczo za tłuste, niskie i stare. Niektóre wyglądają wręcz na chrome.

– Mam wrażenie, że z dnia na dzień bardziej toniemy w odmętach szaleństwa – dudni posępny Diomedes, władca Argos, syn Tydeusa.

– Czy wysunąć pikiety, szlachetny Achillesie? – pyta Teukros, nieźrównany łucznik, bękart i przyrodni brat Ajaksa Wielkiego. – Przykazałbym im przechwycić te kobiety, dowiedzieć się, cóż to za obląkańcza wyprawa, i odprawić je wszystkie z powrotem do krosien?

– Nie – postanawia Achilles. – Wyjdźmy im na spotkanie. Sprawdzimy, co im kazało jako pierwszym kobietom przekroczyć Dziurę i udać się pod obóz Achajów.

– Być może szukają Eneasza i pozostałych Trojan. Ich mężowie stoją obozem wiele mil dalej, na lewym skrzydle – sugeruje Ajaks Wielki, syn Telamona, wódz armii z Salaminy, którego żołnierze wspierają dzisiejszego ranka lewą flankę Myrmidonów.

– Być może – w głosie Achillesa słychać rozbawienie i lekką irytację, lecz nie przekonanie.

Kroczy przez marsjańską równinę na czele grupki achajskich królów, oficerów,

podoficerów i ich najbardziej wiernych wojowników.

Rzeczywiście widzą zbieraninę trojańskich kobiet. Gdy zbliżyły się na sto metrów, Achilles i jego mniej więcej pięćdziesięcioosobowy oddział bohaterów przystaje i czeka na rozkrzyczaną, pobrzękującą pancierzami hałasę. W uszach chyżonogiego mężobójcy ich jazgot brzmi jak gęganie stada gęsi.

– Czy widzisz między nimi szlachetnie urodzone niewiasty? – Achilles zwraca się do obdarzonego sokolim wzrokiem Odyseusza. Grzechocząca horda pokonuje ostatnie kilkadziesiąt metrów porośniętej kolcolistem czerwonej równiny. – Żony bądź córki herosów? Andromachę, Helenę, Kasandrę o dzikim spojrzeniu, Medesikastę lub czcigodną Kastianirę?

– Nie widzę żadnej z nich – odpowiada natychmiast Odys. – Nikogo szerzej znanego, czy z urodzenia, czy dzięki sławie męża. Rozpoznaję jedynie Hippodameję. To ta wielka, z włócznią i starożytną długą tarczą, podobną pawęży Wielkiego Ajaksa. A i ją znam wyłącznie dlatego, że raz odwiedziła Itakę u boku męża, zagorzałego podróżnika Tisifonusa z Troi. Penelopa oprowadziła ją po naszych ogrodach, lecz wyznała mi potem, że Hippodameja jest babą skwaszoną jak owoc granatu przed porą zbiorów i nie potrafi radować się pięknem.

W tej chwili również Achilles dostrzega je wyraźnie.

– Cóż, jej pięknem też nikt się nie uraduje. Filoktecie, pójdź naprzód, zatrzymaj je i zapytaj, co robią na polu walki z bogami.

– Czy muszę, synu Peleusa? – jęczy podstarzały łucznik. – Być może nie powinienem się do nich zbliżać. Wczoraj, na pogrzebie Parysa, obrzucono mnie straszliwymi pomówieniami. I...

Achilles ucisza mężczyznę jednym karcącym spojrzeniem.

– Pójdę z tobą i potrzymam cię za rękę – rechoce Ajaks Wielki. – Teukrosie, udaj się z nami. Dwóch łuczników i wyborny włócznie powinni poradzić sobie z tą cycatą zgrają, nawet jeśli z bliska okażą się jeszcze bardziej paskudne niż teraz.

Trójka wojowników oddziela się od grupy Achillesa. Ruszają naprzód.

I wtedy wydarzenia nabierają niesamowitego tempa.

Filoktet, Teukros i Ajaks Wielki przystają mniej więcej dwadzieścia kroków od luźnych szeregów wyraźnie zdrożonych, zasapanych kobiet w naprędcie skompletowanych zbrojach. Były wódz Tesalczyków, były rozbitek, wychodzi na czoło. W lewej dłoni ściska sławetny łuk Herkulesa, prawą unosi w geście pokoju.

Jedna ze stojących obok Hippodamei młodszych kobiet ciska włócznią. Mimo że wyczyn jest niewiarygodny, zdumiewający, trafia Filokteta – który przeżył całe dziesięć lat toczony wężowym jadem i zniósł nawet gniew bogów – w sam środek piersi, tuż ponad krawędzią lekkiego pancerza. Broń z łatwością przebija mężczyznę i gruchoce mu kręgosłup. Ciało łucznika osuwa się bez życia na czerwony piach.

– Zabić tę dziwkę! – wydziera się oburzony Achilles. Puszczą się biegiem przed siebie, dobywając w pędzie miecz.

Teukros, obrzucony deszczem wściekle miotanych przez Trojanki włóczni, nękany gradem niecelnych strzał, nie potrzebuje dodatkowej zachęty. Ruchem zbyt szybkim, by mogło go wyłowić oko śmiertelnika, opiera strzałę na cięciwie, z całych sił napina łuk

i wypuszcza długi na metr pocisk, który przeszywa krtań zabójczyni Filokteta.

Hippodameja i oddział dwudziestu lub trzydziestu kobiet atakują Ajaksa Wielkiego. Nieśmiało rzucają włóczniami, próbują też zadawać nieporadne ciosy trzymanymi oburącz ciężkimi ostrzami swych mężów, ojców i synów.

Ajaks, syn Telamona, ogląda się przelotnie na Achillesa i rzuca mu spojrzenie, w którym pełga coś bliskiego wesołości. Wyciąga z pochwy swój długi miecz, beztróskim zamachem odrzuca na bok klingę i tarczę Hippodamei, po czym ścina jej głowę, równie swobodnie, jakby pielął grządki w przydomowym ogródku. Towarzyszki zabitej, których szal zagłuszył już lęk, pędzą prosto na dwóch oczekujących Greków. Teukros strzela raz za razem. Mierzy w oczy, uda, rozkołysane piersi i – już po kilku sekundach – plecy uciekających. Ajaks wielki morduje kobiety niemądre na tyle, by zamarudzić. Przechadza się wśród nich niczym dorosły w grupce dzieci, zostawiając po sobie szlak trupów.

Zanim nadbiegają Achilles, Odyszeusz, Diomedes, Nestor, Chromius, Ajaks Mały, Antilochus i pozostali, zginęło bądź dogorywa już około czterdziestu Trojanek. Kilka wydaje z siebie ostatnie przedśmiertne wrzaski na przesiąkniętej czerwienią czerwonej ziemi. Reszta umyka w stronę Dziury.

– Na Hadesa, o co im poszło? – Zasapany Odyszeusz podchodzi do Ajaksa Wielkiego. Zatrzymuje się między ciałami rozrzuconymi dokoła i zastygłymi we wdzięcznych i wyzutych z wdzięku – lecz doskonale mu znajomych – pozach świadczących o niedawnej brutalnej śmierci.

Syn Telamona rozciąga wargi w szerokim uśmiechu. Twarz ma zbryzganą czerwienią, pancerz i miecz spływają szkarłatną krwią Trojanek.

– Nie po raz pierwszy zabijałem kobiety – odzywa się śmiertelny gigant – lecz na bogów, teraz to dopiero była przyjemność!

Kulejący Kalchas, syn Testora i najzdolniejszy spośród Achajów wieszczbiarz, dobija do grupy.

– Niedobrze. A nawet źle. Tak, bardzo, bardzo niedobrze – stwierdza.

– Stul pysk! – warczy Achilles. Osłania dłonią oczy i spogląda ku Dziurze, w której znikają ostatnie kobiety. Chwilę potem jednak na marsjańskiej równinie pojawia się niewielka grupka większych sylwetek. – Co znowu? – rzuca syn Peleusa i bogini Tetydy.

– Przypominają centaury. Czyżby mój stary przyjaciel i nauczyciel Chiron postanowił wesprzeć nas w wojennym trudzie?

– To nie są centaury – prostuje bystrooki, przebiegły Odyszeusz. – To także kobiety. Jadą wierzchem.

– Wierzchem? – zdziwiony Nestor mruży powieki. – Nie w rydwanach?

– Dosiadają końskich grzbietów niczym sławni kawalerzyści z dawnych epok – stwierdza Diomedes, gdy i on je zauważa.

Obecnie nikt nie jeździ konno w ten sposób. Zwierzęta wykorzystuje się jedynie do zaprzęgnięcia w rydwany, aczkolwiek kilka miesięcy temu, jeszcze przed zawieszeniem broni, Diomedes i Odyszeusz uciekli w ten sposób z trojańskiego obozu podczas nocnego ataku. Na skradzionych z postoju rydwanów rumakach przebili się wówczas na oklep przez całą zaspaną armię Hektora.

– Amazonki – dociera do Achillesa.

Świątynia Ateny. Czerwony na twarzy, dyszący głucho Menelaos podchodzi coraz bliżej. Helena na kolanach. Klęczy z obnażonymi bladymi piersiami. Zbielałe oblicze spuściła ku ziemi. Mąż zatrzymuje się tuż przed nią. Podnosi miecz. Alabastrowy, kornie podsunięty kark wydaje się cienki jak trzcina. Niebawale ostra klinga rozetnie skórę, ciało i kość bez najmniejszej trudności.

Menelaos nie zadaje ciosu.

– Nie wahaj się, mój mężu – szepce kobieta. Głos jej drży tylko odrobinę.

Menelaos widzi jak tuż pod ciężką, pokrytą błękitnymi żyłkami lewą pierś bije serce. Uderza w szaleńczym rytmie. Atryda chwyta rękojęść oburącz.

Lecz mimo to wciąż jeszcze nie tnie.

– Przeklęta – syczy. – Przeklęta...

– Tak – odpowiada cicho Helena, wciąż nie podnosząc spojrzenia.

Złoty posąg Ateny góruje nad nimi w zgęstniałym od dymu kadzideł półmroku.

Menelaos z zapalem dusiciela zaciska palce na mieczu. Ramiona zaczynają mu drżeć, udręczone podwójnym wysiłkiem. Z jednej strony przygotowuje się do ścięcia żony, z drugiej, z całych sił się przed tym powstrzymuje.

– Dlaczego miałbym cię oszczędzić, ty niewierna pizdo? – syczy Menelaos.

– Nie ma takiego powodu, mężu. Jestem niewierną pizdą. Obie byłyśmy ci niewierne, ona i ja. Skończ to. Wykonaj swój słuszny wyrok.

– Nie nazywaj mnie mężem, przeklęta!

Helena podnosi wzrok. To o tych właśnie czarnych oczach Menelaos śnił od ponad dziesięciu lat.

– Przecież jesteś moim mężem. Zawsze nim byłeś. Moim jedynym mężem.

W tym momencie prawie ją zabija, słowa kobiety niosą ze sobą tak wiele bólu. Krople potu skapują mu z brwi i policzków, rozbryzgują się na jej prostej sukience.

– Porzuciłaś mnie, uciekłaś ode mnie i naszej córki – mężczyzna mówi z trudem. – Zostawiłaś nas dla tego... tego... chłoptysia. Tego fircyka. Co stroił się jak baba, mimo że miał fiuta.

– Tak – mówi Helena i znów zwiesza głowę.

Menelaos zauważa niewielki, znajomy pieprzyk na jej karku. Tuż ponad ramionami, dokładnie w miejscu, w które uderzy ostrze.

– Dlaczego? – rzuca z trudem. Nie powie już ni słowa. Teraz albo ją zabije, albo jej przebaczy. Albo jedno i drugie.

– Zasługuję na śmierć – szepce kobieta. – Za to, że przeciwko tobie zgrzeszyłam, za to że zgrzeszyłam przeciwko naszej córce i przeciwko naszej krainie. Pamiętaj jednak, że nie opuściłam pałacu w Sparcie z własnej woli.

Menelaos zgrzyta zębami, tak mocno, że słycać, jak trzeszcza.

– Nie było cię – podejmuje szeptem Helena. Jego żona, jego udręka, ta zdradziecka

dziwka. Matka jego dziecka. – Nigdy cię nie było. Spędzałeś czas w towarzystwie brata. Na łowach i na wojnach. W burdelach i na łupieżczych wyprawach. To z Agamemnonem tworzyłeś prawdziwą parę, ja byłam tylko rozplodową maciorą, której rolą było siedzieć w domu. A gdy Parys, ten oszust, ten podstępny niby-Odyseusz pozbawiony odysowej mądrości, wziął mnie siłą, nie było przy mnie męża, który mógłby mnie przed nim obronić.

Menelaos sapie przez nos. Miecz szepce do niego niczym żywa istota, domaga się krwi nierządnic. W uszach Atrydy rozbrzmiewa tak wiele wściekłych głosów, że ledwie docierają do niego stłumione słowa kobiety. Wspomnienie jej głosu nawiedzało go przez cztery tysiące nocy, a teraz głos urzeczywistniony doprowadza go na skraj obłędu.

– Czuję skruchę – ciągnie Helena – lecz to nie może mieć teraz znaczenia. Mam ochotę cię pokornie błagać, lecz i tego nie wolno ci brać pod uwagę. Czy mam ci opowiedzieć o ostatnich dziesięciu latach, kiedy setki razy brałam miecz do ręki lub splatałam pętlę, tylko po to, by służący i szpiedzy Parysa próbowali przemawiać mi do rozumu, przekonując, bym pomyślała choć o córce, skoro własny los już mi zubożył? Nie ja doprowadziłam do porwania i swej długiej niewoli. To sprawka Afrodyty, mężu. Lecz teraz możesz mnie uwolnić jednym ciosem tego znajomego mi ostrza. Zrób to, mój drogi Menelaosie. Przekaż tylko naszej córce, że ją kochałam i Kocham nadal. Sam także wiedz, że kochałam cię i wciąż miłuję.

Menelaos wydaje z siebie dziki okrzyk. Miecz z głośnym brzękiem upada na posadzkę świątyni. Atryda pada na kolana obok żony. Znosi się płaczem jak dziecko.

Helena zsuwa mu hełm z głowy, składa dłoń na potylicy i przyciąga twarz męża do swego nagiego biustu. Nie uśmiecha się. Nie, nie uśmiecha się, ani nawet nie czuje takiej pokusy. Czuje za to jego drapiący, krótki zarost, jego łyzy, żar oddechu, czuje to wszystko na piersiach, na których – odkąd ostatnim razem dotknął jej Menelaos – spoczywał ciężar Parysa, Hockenberry'ego, Deifobosa i innych. Niewierna pizda. Tak, myśli Helena Trojańska. Wszystkie takie jesteśmy. Nie uważa, że zwyciężyła. Była w pełni gotowa na śmierć. Jest teraz tak bardzo, bardzo znużona.

Menelaos podnosi się z klęczek. Gniewnym ruchem ociera łyzy i smarki z rudych wąsów, sięga po porzucony miecz i wsuwa go do pochwy.

– Żono, wyzbądź się lęku. Co się stało, to się nie odstanie. Zło wyrządzili Afrodyta i Parys, nie ty. Tam, na marmurze, leżą płaszcz i woalka świątynnej dziewicy. Przebierz się, a na zawsze opuścimy to przeklęte miasto.

Helena wstaje, podpierając się na ramieniu męża, nakrytym dziwną lwią skórą, którą widziała kiedyś na grzbiecie mordującego Trojan Diomedesa. W milczeniu odziewa się w biały płaszcz. Twarz przesłania jasną koronką.

Razem wychodzą na miasto.

Helena nie potrafi uwierzyć, że opuści Ilion w taki właśnie sposób. Po ponad dziesięciu latach wyjdzie po prostu przez Bramę Skajską i na zawsze zostawi wszystko za sobą. A co z Kasandrą? Co z planami, jakie snuły z Andromachą i pozostałymi? Co z odpowiedzialnością za wojnę z bogami, którą własnoręcznie pomogła rozpętać swymi machinacjami? Co wreszcie z tym biednym smutnym Hockenberrym i łączącą ich miłością?

Nagle Helena uświadamia sobie, że wszystkie te zmartwienia przestały właśnie być jej problemami. Jej duch zrywa się do lotu niczym uwolniona ze świątyni gołębica. Odpłynie przecież do domu, do Sparty, u boku swego prawowitego małżonka. Tęskniła wszak za Menelaosem, za tą jego... prostotą. Ponadto ujrzy swą córkę, teraz już kobietę, a ubiegłe dziesięć lat będzie wspominać jak nocny koszmar i w ten sposób spędzi ostatnią część swego życia. I wciąż pozostanie piękna, choć naturalnie nie z własnej woli, lecz mocą boskiego zrządzenia. Została właśnie ulaskawiona, obmyta z wszelkiego zła.

Idąc we dwoje ulicą, czują się jak w sennym majaku. Nagle rozlega się donośne bicie dzwonów Ilionu, strażnicy na murach dmą w wielkie rogi, dokoła słychać krzyki. W Troi wszczęto powszechny alarm.

Gdy krzyki nieco cichną. Menelaos wpatruje się w nią przez szczelinę w tym głupim hełmie z kłów dzika, a Helena odpowiada spojrzeniem przez wąską szparkę w świątynnej woalce. Przez te kilka sekund ich oczy zdołały wyrazić zarazem grozę, zdumienie, a nawet posępną wesołość, jaka ogarnęła ich dusze na ten przejaw ironii losu.

Brama Skajska jest już zamknięta i zablokowana ciężkimi ryglami. Achajowie znowu atakują Ilion. Wojna trojańska rozgorzała na nowo.

Znaleźli się w potrzasku.

– Czy mógłbym zwiedzić statek? – poprosił Hockenberry.

Szerszeń zostawił za sobą błękitną kopułę w Kraterze Sticknery i piął się ku czerwonej tarczy Marsa.

– Ten, który poleci na Ziemię? – upewnił się Mahnmut. – Oczywiście – dodał, gdy scholiasta przytaknął skinieniem.

Morawiec wydał przez radio polecenie szerszeniowi i pojazd otoczył wieżę statku, po czym wzbił się wyżej i zacumował do włazu w pobliżu dzioba długiego, podzielonego na pierścieniowe segmenty kadłuba.

– Hockenberry chce obejrzeć statek. – Morawiec zwrócił się na prywatnym kanale do Orphu z Io.

Odpowiedź przyjaciela padła po wypełnionej trzaskami zakłóceń sekundzie ciszy.

– Cóż, czemu nie? W końcu prosimy, by zaryzykował dla nas własne życie. Dlaczego miałby nie zobaczyć wcześniej statku? Właściwie to Asteague/Che i reszta powinni mu byli taką wycieczkę zaproponować.

– Prawdziwy kolos. Ile ma wysokości? – spytał półgłosem Hockenberry. Oglądany przez holograficzne iluminatory pojazd ciągnął się pod nimi jakby całymi milami.

– Myślę, że dorównuje mniej więcej waszemu dwudziestowiecznemu Empire State Building – odpowiedział Mahnmut. – Tyle że jest nieco bardziej okrągły i ma więcej wypustek.

– Przecież on na pewno nigdy nie był w stanie nieważkości – nadał do Orphu. – Przy takim ciężeniu, jakie mamy na Fobosie, na pewno skołowacieje.

– System sztucznej grawitacji jest już w pełni sprawny – odpowiedział większy morawiec. – Ustawię pola na zero koma osiem g na pokładzie. Ciśnienie wewnątrz też będziecie mieli ziemskie. Zanim dotrzecie do przedniej śluzy, Hockenberry będzie mógł swobodnie chodzić i oddychać.

– Nie jest czasem trochę za duży jak na tego rodzaju misję? – zaciekawiał się scholiasta. – Nawet biorąc pod uwagę, że zabierze setki skałowców, to i tak lekka przesada.

– Być może z Ziemi trzeba będzie coś przywieźć – zauważył Mahnmut. – Gdzie jesteś? – zwrócił się do Orphu.

– Na dolnej części kadłuba, ale spotkam się z wami w Maszynowni Tłoków.

– Masz na myśli skały? Próbki gleby? – podjął Hockenberry.

Gdy człowiek po raz pierwszy wylądował na Księżycu, on był młodym chłopakiem. Wróciła do niego fala wspomnień. Siedział w ogródku za domem i oglądał rozmyte czarno-białe zdjęcia z Morza Spokoju na ekranie niewielkiego turystycznego telewizorka. Przedłużacz ciągnął się aż do letniej altanki, a przez koronę dębu przeświecał sierp Księżycy.

– Raczej ludzi – sprostował morawiec. – Niewykluczone, że tysiące a nawet

dziesiątki tysięcy ludzi. Trzymaj się, dokujemy.

Morawiec nadał przez radio komendę i holograficzne ekrany zgasły. Widok z szerszenia przybijającego do wysokiego na ponad tysiąc stóp statku kosmicznego przyprawiłby o zawroty głowy każdego.

W trakcie wycieczki po pokładzie Hockenberry zadawał niewiele pytań. W ogóle rzadko się odzywał. Dotąd wyobrażał sobie, że zobaczy twory technologii przekraczającej jego najśmielsze wyobrażenia – wirtualne pulpity sterownicze, posłuszne poleceniom wydawanym samą tylko myślą, siedzenia z pola siłowego, wnętrza przystosowane do stanu nieważkości, nieuwzględniające kierunków góra i dół – tymczasem ujrzał pomieszczenia kojarzące się z olbrzymim parowcem z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego stulecia. Odniósł wrażenie, że zwiedza sale i kajuty „Titanica”.

Pulpity i konsole były zdecydowanie materialne, metalowe bądź plastikowe. Masywnych foteli załogi, niepasujących do ludzkiej sylwetki, było około trzydziestu. Wzdłuż grodzi i ścian rozstawiono metalowe koje z nylonowymi materacami oraz podłużne kufry i pojemniki. Całe poziomy statku zajmowały szafy z przeróżnymi skomplikowanymi urządzeniami oraz sarkofagi dla tysiąca skałowieckich żołnierzy, którzy według słów Mahnmuta mieli odbyć podróż w stanie zawieszenia pomiędzy śmiercią a nieświadomością. W odróżnieniu od wcześniejszej wyprawy na Marsa na Ziemię morawce postanowiły polecieć uzbrojone i w pełnej gotowości do walki.

– Hibernacja – pokiwał głową Hockenberry, który swego czasu oglądał sporo filmów fantastyczno-naukowych. Zwłaszcza pod koniec życia, kiedy w ich domu pojawiła się wreszcie kablówka.

– Nie do końca – odparł Mahnmut. – Ale coś w tym rodzaju.

Na statku było pełno drabinek, przestronnych klatek schodowych, wind i wszelkiego autoramentu anachronicznie wyglądających ustrojstw. Scholiasta oglądał śluzy, laboratoria i zbrojownie. Meble – bo i o nich nie zapomniano – były wielkie i niezgrabne, jakby ciężar nie stanowił problemu. Zobaczyli wystające poza kadłub kopuły astrogacyjne, z których roztaczał się widok na ściany Krateru Stickney, Marsa i w dół, gdzie migotały światelka wieży i sylwetki uwijających się morawców. Były również mesy, kambuzy, kwatery sypialne i łazienki, przeznaczone, jak pośpiesznie wyjaśnił Mahnmut, dla ludzi, którzy mogli wziąć udział w ekspedycji bądź wraz z nią opuścić Ziemię.

– Ilu takich pasażerów możecie tu pomieścić? – zaciekał się Hockenberry.

– Do dziesięciu tysięcy – odpowiedział morawiec.

Scholiasta zagwizdał.

– Czyli mamy tu nową arkę Noego?

– Nie – sprostował Mahnmut. – Statek Noego miał wymiary trzysta na pięćdziesiąt na trzydzieści. W kubitach. W przeliczeniu na dzisiejsze jednostki dałoby to około czterystu pięćdziesięciu stóp długości, siedemdziesięciu pięciu szerokości i czterdziestu pięciu wysokości. Na arce były trzy pokłady, a całość miała mniej więcej milion czterysta tysięcy stóp sześciennych i wyporność trzynastu tysięcy dziewięciuset sześćdziesięciu ton. Nasz statek jest ponad dwukrotnie dłuższy i półtora raza szerszy. Co więcej, jak zapewne zauważyłeś, niektóre segmenty, na przykład ładownie i cylindry mieszkalne, są

jeszcze bardziej wypukłe. Jeśli chodzi o tonaż, mówimy tu o z górą czterdziestu sześciu tysiącach ton. W porównaniu z naszym pojazdem arka Noego była zwykłym kajakiem.

Z taką argumentacją Hockenberry nie był w stanie dyskutować.

Wsiedli do niewielkiej windy o ścianach i podłodze ze stalowych krat i zjechali wiele poziomów w dół, mijając po drodze ładownie. Mahnmur powiedział, że w jednej z nich polecą na Ziemię „Mroczna dama”, jego batyskaf. Winda minęła też pomieszczenie zwane magazynem ładunków. Słowo ładunki zabrzmiało w tym kontekście niepokojąco militarnie, lecz Hockenberry wmówił sobie, że to raczej niemożliwe, i postanowił, że o szczegóły dopyta kiedy indziej.

Orphu z Io spotkali w ogromnej hali, którą większy morawiec nazywał maszynownią tłoków. Hockenberry przywitał się stwierdzeniem, że niezwykle się cieszy, widząc Orphu z kompletem kończyn i czujników – z wyjątkiem prawdziwych oczu – po czym przez kilka minut wymieniali się uwagami dotyczącymi Prousta i przeżywania żałoby. Wreszcie wrócili do przerwanej wycieczki.

– Jednego nie rozumiem – odezwał się w pewnym momencie Hockenberry. – Kiedy opisywaliście mi statek, którym przylecieliście z Jowisza, raz po raz wspominaliście o rozwiązaniach technologicznych, jakie ciężko mi nawet ogarnąć rozumem. Tutaj tymczasem wszystko wydaje się takie... no... sam nie wiem.

Orphu wydał z siebie głuchy, dudniący rechot.

– Pewnie masz wrażenie, że przeniosłeś się nagle do maszynowni „Titanica” – zauważył. Sposób bycia morawca nie po raz pierwszy skojarzył się Hockenberry’emu z szekspirowską postacią Falstaffa.

– Nie przeczę. I tak powinno być? – upewnił się scholiasta, nie chcąc wypaść na większego ignorantą w kwestiach technicznych, niż był. – Bo przecież wasz poziom rozwoju musi być znacznie wyższy. Od ery „Titanica” minęło ile? Trzy tysiące lat. Podobnie jak od mojej śmierci na początku dwudziestego pierwszego wieku. Dlaczego więc jest tu tak... jak jest?

– Dlatego, że konstrukcja statku jest oparta w dużej mierze na planach z połowy dwudziestego stulecia – zagrzmiał Orphu z Io. – Nasi inżynierowie uznali, że potrzebny jest pojazd szybki i prosty, coś, co przewiezie nas na Ziemię w możliwie jak najkrótszym czasie. W tym wypadku oznacza to jakieś pięć tygodni.

– Ale przecież słyszałem od was, że lot z Jowisza zajął wam tylko kilka dni – przypomniał scholiasta. – Padały terminy w rodzaju żagla boronowego, silnika termojądrowego... Nie wszystkie zresztą zrozumiałem. Macie to wszystko na tym statku?

– Nie – odpowiedział mniejszy morawiec. – Przy starcie z układu Jowisza mogliśmy wykorzystać naturalny tunel magnetyczny i akcelerator liniowy, urządzenie, nad którym nasi inżynierowie pracowali przez ponad dwieście lat. To dzięki niemu uzyskaliśmy tak znaczną prędkość. W pobliżu Marsa takich luksusów nie mamy. Ten statek musieliśmy zbudować od podstaw.

– Wszystko pięknie, tylko czemu zdecydowaliście się na technologię z dwudziestego stulecia? – Hockenberry wciąż ze zdumieniem przyglądał się olbrzymim tłokom i wałom napędowym.

Błyszczące metalowe kolumny strzelały na sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt stóp

pod wysoko zawieszoną powałą. Maszynownia rzeczywiście wyglądała jak żywcem wyjęta z filmowego „Titanica”. Różniła się jedynie skalą – tłoki były większe i bardziej liczne, więcej też było wypolerowanych do połysku elementów z brązu, żelaza i stali. Więcej dźwigni. Więcej zaworów. Hockenberry zauważył też coś, co przypominało gigantyczne resory. A niezliczone zegary sprawiały raczej wrażenie tradycyjnych manometrów, nie liczników Geigera bądź innych nowoczesnych mierników. Powietrze było przesączone wonią oleju i stali.

– Dysponowaliśmy odpowiednimi schematami – odpowiedział Orphu. – Mieliliśmy też surowce, część przewieźliśmy z Pasa Asteroid, a pozostałe wydobyliśmy tutaj, na Fobosie i Deimosie. Mieliliśmy jednostki impulsowe... – Morawiec nagle urwał.

– Co to są jednostki impulsowe? – zainteresował się Hockenberry.

– Papla. – Mahnmut skarcił przyjaciela przez radio.

– A co? Chciałeś, żebym mu o nich nie wspominał? – zdziwił się Orphu.

– Tak, przynajmniej do momentu, gdy nie odlecimy stąd na kilka milionów mil. Najlepiej z Hockenberrym na pokładzie.

– Zauważyłby skutki ich działania przy starcie i zaczął wypytywać – odparł większy morawiec.

– Jednostki impulsowe są... to taki rodzaj małych urządzeń jądrowych. – Mahnmut zwrócił się do scholiasty. – Bomby atomowe.

– Bomby atomowe? – powtórzył Hockenberry. – Bomby? Na pokładzie tego statku? Ile?

– Dwadzieścia dziewięć tysięcy siedemset w magazynie ładunków, który mijaliście, zjeżdżając do maszynowni – odpowiedział Orphu. – I rezerwa, na którą składa się trzy tysiące osiem jednostek składowanych tutaj, pod podłogą.

– Trzydzieści dwa tysiące bomb atomowych – wyszeptał scholiasta. – Rozumiem więc, że na Ziemi spodziewacie się sporych kłopotów?

Mahnmut zaprzeczył, kręcąc głową. Światło lamp zagrało w czerwono-czarnym metalu, który ją pokrywał.

– Jednostki impulsowe posłużą nam jako paliwo. Dzięki nim dolecimy do celu.

Hockenberry rozłożył ręce. Przestał już cokolwiek rozumieć.

– Te wielkie tłoki to... no cóż, to tłoki – podjął Orphu. – Po starcie przez kilka pierwszych godzin co około sekundy będziemy wrzucać jedną bombę do dziury w zainstalowanej pod nami płycie. Potem przez większą część rejsu wystarczy nam jedna na godzinę.

– Cykl impulsowy – dodał Mahnmut – rozpoczynamy od wystrzelenia ładunku. Zobaczysz w kosmosie kłęb pary. Płyta i rura wylotowa zostaną spryskane specjalnym olejem antyablacyjnym. Kiedy bomba eksploduje, plazma uderzy w płytę...

– I ta płyta to zniesie? – zapytał Hockenberry. – Razem z całym statkiem?

– Oczywiście, że nie – zapewnił morawiec. – Wasi naukowcy opracowali ten rodzaj napędu już w połowie dwudziestego wieku. Energia rozszerzającej się plazmy popycha płytę naprzód, napędzając te potężne tłoki. Już po pierwszych kilkuset eksplozjach pojazd nabierze sporej prędkości.

– A te zegary? – scholiasta złożył dłoń na urządzeniu, które do złudzenia

przypominało manometr.

– To manometr – stwierdził Orphu z Io. – Obok widzisz wskaźnik ciśnienia oleju. Powyżej masz potencjometr. Nie pomyliłeś się, doktorze Hockenberry. W tej maszynowni znacznie szybciej odnalazłby się inżynier z czasów „Titanica” niż specjaliści z dwudziestowiecznej NASA.

– Jakiej mocy są te bomby?

– Czy aby na pewno powinniśmy go wtajemniczać? – Mahnmut zwrócił się do przyjaciela na prywatnym kanale.

– Naturalnie – odparł masywny morawiec. – Teraz na kłamstwa już chyba trochę za późno.

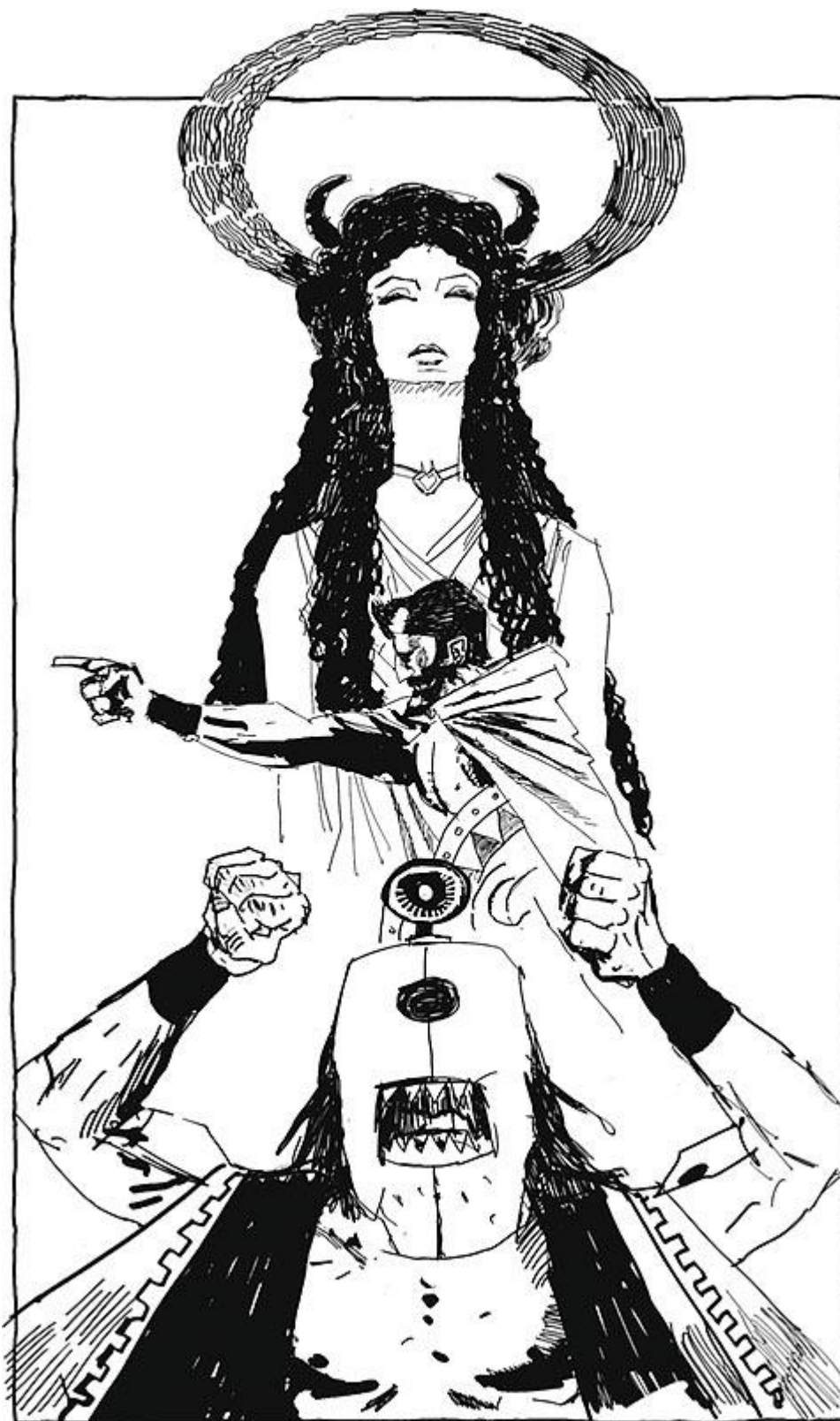
– Pojedynczy ładunek eksploduje z energią nieco ponad czterdziestu pięciu kiloton – powiedział Mahnmut na głos.

– Czterdzieści pięć kiloton, a bomb zabraliście około trzydziestu tysięcy... – przeliczył pod nosem Hockenberry. – Czy nie zostawią między Ziemią a Marsem pasa skażonej przestrzeni?

– To stosunkowo czyste bomby – odparł Orphu. – Jak na ten rodzaj ładunku.

– Duże są? – zapytał scholiasta, który nagle doszedł do wniosku, że maszynownia jest najcieplejszym miejscem na pokładzie. Perliste krople potu wystąpiły mu na podbródku, górnej wardze i czole.

– Przejdźmy piętro wyżej – zaproponował Mahnmut i ruszył ku krętym schodom, szerokim na tyle, że nawet Orphu zmieścił się na nich bez trudu. – Pokażemy ci.



Magazyn mierzył sobie mniej więcej sto pięćdziesiąt stóp średnicy. Wysoki był na około siedemdziesiąt. Niemal całą powierzchnię zajmowały długie magazynowe regały, transportery taśmowe, metalowe półki, rynny i łańcuchy. Mahnmur wcisnął olbrzymi czerwony guzik. Pasy przekładni, przenośniki i urządzenia sortujące zawarczały, drgnęły

i ruszyły. Wiozły setki lub wręcz tysiące niewielkich srebrnych pojemników, praktycznie nie do odróżnienia od puszek po coca-coli. Tyle że bez nadruku.

– Normalnie jakbym znalazł się w środku automatu z napojami – miał nadzieję, że marny żart rozwieje czarne myśli, które dręczyły go od kilku dobrych chwil.

– Zupełnie słusznie. Projekt całości systemu i schematy urządzeń pochodzą z rozlewni coca-coli w Atlancie. Mniej więcej z 1959 roku.

– Czyli jak zwykle, wrzucasz ćwierć dolca i wyskakuje puszka – wydukał oszołomiony Hockenberry – tyle że zamiast napoju w środku jest czterdziestopięciokilatonowa bomba, która wybuchnie tuż za rufą. I takich zabawek są tutaj tysiące.

– Owszem – potaknął Mahnmut.

– Z drobną różnicą – wtrącił Orphu z Io. – Pamiętajcie, że to model z 1959. Wystarczy wrzucić dziesięć centów. – Morawiec zaśmiał się tak donośnie, że sunące na taśmie transportera puszki zagrzechotały w stalowych uchwytach.

* * *

Hockenberry z Mahnmutem wrócili do szerszenia, który wystrzelił ku masywnej tarczy Marsa.

– Zapomniałem zapytać – odezwał się scholiasta. – Czy on się jakoś nazywa? Ten statek?

– Tak – odpowiedział morawiec. – Część z nas uznała, że nazwa rzeczywiście nie będzie od rzeczy. Jako pierwsza padła propozycja „Orion”.

– Dlaczego właśnie „Orion”? – Hockenberry spoglądał w rufowy iluminator, za którym błyskawicznie malały wielki statek, Krater Stickney i wreszcie cały Fobos.

– To pomysł waszych dwudziestowiecznych naukowców, którzy opracowali ten rodzaj napędu. – wyjaśnił mały morawiec. – Ostatecznie jednak kierujący misją naczelni integratorzy przystali na nazwę, którą zaproponowaliśmy ja i Orphu.

– Czyli? – Hockenberry rozsiadł się wygodniej w kokonie pola siłowego.

Szerszeń do wtóru ryku i odgłosów skwierczenia przebił granicę marsjańskiej atmosfery.

– „Królowa Mab” – powiedział Mahnmut.

– Z „Romea i Julii”... – przypomniał sobie Hockenberry. – Domyślam się, że sam na to wpadłeś, prawda? Jako skończony wielbiciel Szekspira.

– Co ciekawe, na ten akurat pomysł wpadł Orphu – przyznał morawiec.

Pojazd wciąż obniżał lot. Sunęli teraz nad wulkanami płaskowyżu Tharsis, zbliżając się do Olympus Mons i prowadzącej pod Ilion Dziury Branowej.

– Rozumiem, ale czemu właśnie „Królowa Mab”?

– Nigdy mi tego nie wytłumaczył. – Mahnmut pokręcił głową. – W rozmowie z Asteague/Che i resztą zacytował tylko fragment sztuki.

– Pamiętasz może który?

– Słowa Merkucja:

Snadź się królowa Mab widziała z tobą;

Ta, co to babi wieszczkom i w postaci

*Kobietki, mało co większej niż agat
Na wskazującym palcu aldermana,
Ciagniona cugiem drobniuchnych atomów,
Tuż, tuż śpiącemu przeciąga pod nosem.
Szprychy jej wozu z długich nóg pajęczych;
Osłona z lśniących skrzydełek szarańczy;
Sprzężaj z plecionych nitek pajęczyny;
Lejce z wilgotnych księżycy promyków;
Bicz z cienkiej żyłki na świerszcza szkielecie;
A jej forszpanem mała, szara muszka
Przez pół tak wielka, jak ów krągły owad,
Co siedzi w palcu leniwej dziewczyny;
Wozem zaś próżny laskowy orzeszek;
Dzieło wiewiórki lub majstra robaka,
Tych z dawien dawna akredytowanych
Stelmachów wieszczek.
W takich to przyborach
Co noc harcuje po głowach kochanków,
Którzy natenczas marzą o miłości;
Albo po giętkich kolanach dworaków,
Którzy natenczas o ukłonach marzą;
Albo po chudych palcach adwokatów,
Którym się wtedy roją honorarya;
Albo po ustach romansowych damul,
Którym się wtedy marzą pocałunki;
Często atoli Mab na te ostatnie
Zsyła przedwczesne zmarszczki...[2]*

– No i tak dalej – zakończył morawiec.

– I tak dalej i dalej – powtórzył doktor Thomas Hockenberry.

Masyw Olympus Mons, boskiego Olimpu, wypełnił wszystkie przednie iluminatory. Wedle Mahnmuta wulkan wznosił się zaledwie na sześćdziesiąt dziewięć tysięcy osiemset czterdzieści jeden stóp ponad poziom marsjańskiego morza – czyli góra była ponad piętnaście tysięcy stóp niższa, niż uważano w czasach poprzedniego życia scholiasty. Oczywiście wciąż była potężna. Jak dla mnie, wystarczy – przemknęło Hockenberry’emu przez myśl.

A na samym szczycie, na trawiastym wierzchołku, pod odbijającą refleksy późnoporannego słońca powłoką egidy, mieszkały żywe istoty. I to nie byle jakie istoty, tylko bogowie. Bogowie. Wojujący, oddychający, walczący, knujący i kopulujący. Wcale nie tak bardzo różni od ludzi, których znał w przeszłości scholiasta.

Nagle, w jednej chwili, ciemne chmury depresyjnego przygnębienia, jakie zbierały się nad jego głową od dobrych kilku miesięcy, rozwiały się i uleciały dokądś z wiatrem – niczym te niewielkie białe obłoczki, które popołudniami odfruwają na południe z Olimpu,

gdy znad północnego Morza Tetydy nadciągają silniejsze podmuchy. W tym właśnie momencie doktor filologii klasycznej Thomas C. Hockenberry poczuł w duchu proste, niczym niezmacone i bezwarunkowe szczęście. Cieszył się życiem. Uświadomił sobie, że bez względu na to czy poleci z morawcami na Ziemię, czy też nie, nie zamieniłby się miejscami z żadnym innym człowiekiem, z dowolnej epoki, z dowolnego miejsca.

Mahnmut położył szerszenia na burtę i odbili na wschód od Olympus Mons. Przed sobą mieli Dziurę Branową, za którą czekał Ilion.

2 Tłum. Józef Paszkowski.

Hera wyszła spod otaczającego dom Odyseusza nieprzenikliwego pola siłowego i teleportowała się z Itaki prosto na Olimp. Porośnięte trawą zbocza i białe kolumny gmachów otaczających wielkie jezioro kalderowe jaśniały w świetle odległego marsjańskiego słońca.

Posejdon, bóg wstrząsający ziemią, zmaterializował się tuż obok Hery.

– Stało się? Czy Gromowładny śpi?

– W tej chwili władza jedynie gromem własnego chrapania – odparła bogini. – Co na Ziemi?

– Wszystko przebiega zgodnie z planem, córo Kronosa. Opłaciły się wreszcie długie tygodnie potajemnego doradzania Agamemnonowi i lojalnym mu wodzom. Achilles gdzieś zniknął, jak zwykle zabrakło go na czerwonej równinie pod nami, więc syn Atreusa podburza właśnie rozgoryczonych Greków przeciwko Myrmidonom i pozostałym sojusznikom Achillesa, którzy zostali w obozie na wybrzeżu. Już wkrótce pomaszerują na mury i rozniosą bramy Ilionu.

– A Trojanie? – spytała Hera.

– Hektor wciąż odsypia noc spędzoną na czuwaniu przy stosie, na którym płonęły kości jego brata. Pod Olimpem stoi Eneasza, lecz pod nieobecność Hektora nie śmie przeciwko nam ruszyć. Deifobos nadal naradza się z Priamem, rozważają zamiary Amazonek.

– Co z Pentezyleą?

– Niecałą godzinę temu obudziła się i odziała. Podobnie dwanaście jej towarzyszek. Przygotowały się wszystkie do walki na śmierć i życie. Dosłownie przed kilkoma chwilami, żegnane wiwatami, wyjechały z miasta i przekroczyły Dziurę Branową.

– Towarzyszy jej Pallas Atena?

– Tutaj jestem. – Pyszna w swym złotym pancerzu bojowym Atena zmaterializowała się przy boku Posejdona. – Pentezylea udała się już na spotkanie ze swym losem... i z przeznaczeniem Achillesa. Wśród śmiertelnych panuje chaos i konfuzja.

Hera złożyła dłoń na osłoniętym metalem przegubie wspaniałej bogini.

– Wiem, jak mocno to przeżyłaś, moja towarzyszko broni. Achilles był twym ulubieńcem, odkąd tylko przyszedł na świat.

Pallas pokręciła głową. Hełm zabłysnął w słońcu, podobnie jak jej spojrzenie.

– To już przeszłość. Bezczelny śmiertelnik okłamał wszystkich, twierdząc, że zabiłam i uniosłam ze sobą ciało jego przyjaciela, Patroklosa. Co więcej, ośmielił się podnieść miecz na mnie i całą moją olimpijską rodzinę. Nie mogę się doczekać radosnej chwili, gdy zostanie wreszcie odesłany do czarnego domu Hadesa.

– Nadal jednak obawiam się Zeusa – wtrącił Posejdon. Zbroja patrona oceanów

była pokryta patyną barwy morskich głębin. Pokrywały ją rzeźbione ze znanostwem desenie przedstawiające fale, ryby, ośmiornice, lewiatany i rekiny. Przymocowane do hełmu osłony oczu miały kształt rozwartych szczypców kraba.

– Elixir Hefajstosa sprawi, że jego przerażająca wysokość będzie chrapać jak wieprz przez pełne siedem dni i siedem nocy – uspokoiła go Hera. – Dlatego tak niezwykle ważne jest, byśmy przez ten czas zdołali osiągnąć wszystkie swe cele. Musimy doprowadzić do śmierci bądź wygnania Achillesa, sprawić, by Agamemnon na powrót objął dowództwo argiwskich kontyngentów, i dopilnować, by Ilion padł bądź przynajmniej by na nowo i ostatecznie rozgorzała przerwana wojna między śmiertelnikami. Tylko wówczas, w obliczu faktów dokonanych, Zeus nie będzie w stanie niczego zmienić.

– Niemniej to nie uśmierzy jego gniewu. A ten potrafi być zaiste straszliwy – zwróciła uwagę Atena.

Hera parsknęła śmiechem.

– Ty raczysz przypominać o potędze gniewu Kronosowego syna mnie? Przy wściekłości Zeusa nawet szal potężnego Achillesa wydaje się dąsami młodzika kopiającego bezsilnie kamyki. Niemniej Ojcem zajmę się sama. O ile powiesz się nam wszystko pozostałe, z Zeusem sobie poradzę. Teraz natomiast musimy...

Zanim zdążyła powiedzieć cokolwiek więcej, na rozległym trawniku przed Dworem Bogów, skąd roztaczał się widok na jezioro, zaczęli się zbierać kolejni Olimpijczycy. Teleportowali się i nadlatywali w zaprzężonych w holograficzne rumaki rydwanach. Przybywali ze wszystkich stron i lądowali, aż wreszcie na zielonym placu zrobiło się ciasno. Bogowie i boginie podzielili się stopniowo na trzy grupy. Jedną tworzyli stronnicy Hery, Ateny, Posejdon i reszty obrońców greckiej sprawy. Inni z kolei stanęli w szeregach za toczącym groźnymi spojrzeniami Apollem – głównym nieśmiertelnym sprzymierzeńcem Trojan – jego siostrą Artemidą, Aresem i jego siostrą Afrodytą, ich matką Leto, Demeter i pozostałymi bóstwami, których sercom miłe byłoby zwycięstwo Ilionu. Trzecie ugrupowanie tworzyli bogowie wciąż niezdecydowani. Wreszcie na trawniku zgromadziły się setki Olimpijczyków.

– Dlaczego tu wszyscy przybywacie? – zawołała rozbawionym głosem Hera. – Czyżby nikt tego dnia nie strzegł szańców naszej siedziby?

– Zamknij się, intrygantko! – wydarł się na nią Apollo. – To ty uknułaś spisek mający jeszcze dzisiaj doprowadzić do zagłady Ilionu. A nikt nie może znaleźć Zeusa, który mógłby te wydarzenia powstrzymać.

– Och – odparła białoręka Hera – czyżby Pan Srebrnego Łuku aż tak zląkł się nieprzewidzianych wypadków, że zamyślił pójść na skargę do tatusia?

Ares, boski opiekun wojny, który dopiero co opuścił leczniczą kadz, dokąd trafił już po raz trzeci po kolejnym nieprzemyślanym pojedynku z Achillesem, wystąpił z szeregu i stanął u boku Febusa Apollo.

– Kobieto! – warknął porywczy Olimpijczyk i urósł do swych pełnych bojowych rozmiarów. Miał teraz prawie pięć metrów wzrostu. – Wiedz, że jeżeli wciąż znosimy twoje istnienie, to jedynie dlatego, że jesteś związana kazirodczym małżeństwem z naszym panem Zeusem. Innego powodu nie ma.

Hera odpowiedziała swym najbardziej wyrachowanym, irytującym śmiechem.

– Kazirodcze małżeństwo... – rzuciła kpiąco. – Ciekawy zarzut ze strony boga, który ze wszystkich kobiet świata, śmiertelnych i nie, najchętniej grzmoci własną siostrę.

Ares uniósł długą morderczą włócznię. Apollo oparł strzałę na cięciwie i napiął potężny łuk. Afrodyta zdjęła z ramienia własny, mniejszy, lecz nie mniej śmiercionośny.

– Zamierzacie dopuścić się przemocy wobec naszej królowej? – odezwała się Atena, wkraczając pomiędzy żonę Zeusa, łuki i włócznię.

Gdy tylko zebrani na łące bogowie ujrzeli błyskającą w pogotowiu broń, wszyscy otoczyli się osobistymi polami siłowymi i ustawili je na pełną moc.

– Śmiesz mi wyrzucać posługiwanie się przemocą? – wykrzyczał Atenie w twarz kraśniejący na twarzy Ares. – Bezczelna! Zapomniałaś już, jak ledwie kilka miesięcy wcześniej nakłoniłaś Diomedesa, syna Tydeusa, by przeszył mnie lancą? Nie pamiętasz już, że sama cisnęłaś we mnie włócznią i zraniłaś? Wiem, że to ty, choć byłaś przekonana, że ukryta w maskującej chmurze, pozostaniesz anonimowa?

Atena zbyła go wzruszeniem ramion.

– Zrobiłam to w ogniu walki. Krew we mnie zawrzała.

– I to ma być wymówka? – ryknął Ares. – Chciałaś mnie zabić, bo krew w tobie zawrzała, nieśmiertelna dziwko?

– Gdzie jest Zeus? – Apollo zwrócił się ostro do Hery.

– Nie jestem strażniczką swego małżonka – odparła bogini o alabastrowych ramionach. – Aczkolwiek czasami ktoś taki bardzo by mu się przydał.

– Gdzie Zeus? – powtórzył Pan Srebrnego Łuku.

– Zeus jeszcze przez wiele dni nie będzie się mieszać w sprawy boskie ni ludzkie – odparła Hera. – Możliwe nawet, że nie powróci już nigdy. O tym, co zajdzie w świecie poniżej, zdecydujemy my sami, tu, na Olimpie.

Apollo ponownie napiął łuk, lecz grot ciężkiej, naprowadzanej na podczerwień strzały wciąż jeszcze mierzył w trawę.

Tetyda, bogini morza – jedna z nereid, córek Nereusa, prawdziwego Starca z Morza – i nieśmiertelna matka Achillea, którego urodziła śmiertelnikowi Peleusowi, wkroczyła między zwaśnione grupy. Nie miała na sobie pancerza, a tylko kunsztownie uszytą suknię, zdobioną haftami przedstawiającymi muszle i kępy wodorostów.

– Siostry, bracia, kuzyni, wy wszyscy – odezwała się. – Zaprzeście! Dajcie pokój demonstracjom urażonej dumy, zanim zaszkodzimy zarówno sobie, jak i naszym poddanym władzy śmierci dzieciom. Zanim nieodwracalnie obrazimy Ojca Wszchemogącego, który wróci – bo wiem, że gdziekolwiek jest, wróci na pewno – z czołem ściągniętym od gniewu i wysmaga nas swymi morderczymi piorunami.

– Och, zamilczże już! – zawołał Ares i przygotował do rzutu swą długą zabójczą włócznię. – Gdybyś nie zanurzyła swojego zasmarkanego śmiertelnego bachora w nurcie świętej rzeki, przez co stał się niemal nieśmiertelny, Ilion zatriumfowałby już dziesięć lat temu.

– Nikogo w żadnej rzece nie nurzałam – odpowiedziała Tetyda. Wyprostowała się na pełną wysokość i zaplotła pokryte gdzieniegdzie łuskami ramiona na piersi. – O chwalebnej przyszłości mego ukochanego Achillea zdecydowały Mojry, nie ja.

Niebawem po jego narodzinach, posłuszna radzie nieznoszących sprzeciwu Mojr, które przemówiły w moich myślach, zaczęłam co noc układać syna w Niebiańskim Ogniu. Oczyszczałam go za pomocą bólu i cierpienia, pozbawiając go śladów śmiertelnej natury ojca. Wiedźcie, że już wówczas, choć malutki, mój Achilles nie załkał ani razu! Za dnia leczyłam jego nadpalone, poczerniałe członki tą samą ambrozją, którą i my odświeżamy swe nieśmiertelne ciała, aczkolwiek wzmocnioną dzięki tajemnej alchemii Mojr. I tak, uczyniłabym syna nieśmiertelnym, zapewniłabym mu boskość nieskażoną, gdyby zamiaru nie odkrył mój mąż, śmiertelnik Peleus, który ujrzawszy nasze jedyne dziecko drgające, skwierczące i wijące się w płomieniach, chwycił go za piętę i uwolnił z objęć Niebiańskiego Ognia na kilka drobnych minut, nim proces ubóstwienia dobiegłby końca raz na zawsze. Potem zwyczajem wszystkich mężów świata, ignorując mój sprzeciw, dobroduszny, lecz nazbyt pochopny w działaniu Peleus, zaniósł nasze dziecko do Chirona, najmędrszego i najprzychylniej spoglądającego na ludzi spośród centaurów, który piastował wielu herosów i zaopiekował się też Achillesem. Uleczył go, posługując się ziołami i miksturami znanymi jedynie mędrcom swej rasy, po czym wychował go na silnego mężczyznę, karmiąc wątrową lwów i niedźwiedzim szpikiem.

– O ileż lepiej by było, gdyby mały bękart zginął w płomieniach... – wtrąciła Afrodyta.

Tetyda wpadła w szal i rzuciła się na patronkę miłości, za jedyną broń mając długie ościane paznokcie.

Afrodyta spokojnie, jakby brała z przyjaciółmi udział w konkursie strzeleckim, uniosła łuk i przeszła strzałą lewą pierś bogini morza. Nereida padła bez życia na trawnik i natychmiast, niczym rój czarnych pszczoł, podniósł się wokół niej obłok czarnej esencji, pochodzącej jeszcze z jej przedboskiego życia. Żaden z zebranych dokoła Olimpijczyków nawet nie drgnął, nikt nie pośpieszył, by zanieść ją do Uzdrowiciela, który umieściłby ją w rojącej się od niebieskich czerwi kadzi.

– Morderczyni! – rozległ się donośny głos z głębin i z niezmiernych odmętów jeziora kalderowego, dokąd udał się na dobrowolne wygnanie osiem miesięcy temu, gdy morawce i ludzie zajęli jego ziemskie oceany, wynurzył się Nereus, Starzec z Morza. – Morderczyni! – zahuczał ponownie olbrzym.

Wzleciał pięćdziesiąt stóp nad lustro wody. Jego mokra broda i splątane w warkocz włosy do złudzenia przypominały kłębowisko oślizłych, wijących się węgorzy. Zaraz potem strzelił do Afrodyty błyskawicą czystej energii.

Bogini miłości przeleciała sto stóp do tyłu nad trawą. Przed ostatecznym unicestwieniem ocaliło ją generowane przez cząsteczki ichoru pole siłowe, lecz nie zdołało uchronić jej przed oparzeniami i sińcami. Przepiękne ciało Afrodyty zgruchotało dwie potężne kolumny portyku Dworu Bogów i przebiło granitową ścianę gmaszyska.

Ares, kochający brat, cisnął włócznią, która utkwiała w prawym oku Nereusa. Starzec z Morza, zanosząc się zbolalym rykiem – donośnym tak, że usłyszano go nawet w nieskończenie odległym Ilionie – wyrwał drzewce wraz z gałką oczną i zniknął w pieniących się szkarłatem falach jeziora.

Febus Apollo uświadomił sobie, że właśnie rozgorzała wojna ostatnia. Zanim Hera bądź Atena zdążyły zareagować, podrzucił swój łuk ku górze i wypuścił dwie kierujące

się na źródła podczerwieni strzały, które namierzyły serca bogiń. Wszystko to wykonał kilkoma ruchami tak błyskawicznymi, że nie wychwyciły ich nawet oczy Olimpijczyków.

Pociski – wykonane z niezniszczalnego stopu tytanu, osłonięte własnymi kwantowymi polami siłowymi, pozwalającymi przebijać pola atakowanych – zatrzymały się jednak w powietrzu. I stopiły się.

Apollo otworzył szeroko oczy.

Atena odrzuciła w tył skrytą pod wysokim hełmem głowę i wybuchnęła śmiechem.

– Zapomniałeś, parweniuszu, że pod nieobecność Zeusa egida posłuszna jest naszym rozkazom. Hery i moim.

– To ty zacząłeś, Febusie Apollo – odezwała się cicho białoręka żona Gromowładnego. – Poczuj teraz moc przekleństwa Hery i siłę gniewu Ateny.

Niemal niedostrzegalnie skinęła palcem i leżący na skraju jeziora, ważący przynajmniej pół tony głaz poderwał się z olimpijskiej ziemi i pomknął w kierunku Apollina. Z prędkością dwukrotnie przekraczającą prędkość dźwięku uderzył łuczника w skroń.

Apollo pofrunął do tyłu. Głośno grzechocząc złotem, srebrem i brązem koziółkował w locie i po trzydziestu pięciu metrach runął w przybrzeżny muł, który zmieszany z kurzem oblepił jego mocno splecione, boskie loki.

Atena odwróciła się i miotnęła bojową lancą. Pocisk pomknął kilka mil w powietrzu ponad jeziorem i spadł prosto na cel. Otoczona białą kolumnadą rezydencja Apolla eksplodowała ognistym grzybem. Miliony okruchów marmuru, granitu i stali wzbity się na dwie mile pod kopułę migocącego nad szczytem Olimpu pola siłowego.

Demeter, siostra Zeusa, zaatakowała Herę i Atenę falą uderzeniową. Zgęstniałe gwałtownie powietrze opłynęło chroniącą boginie pulsującą egidę, nie czyniąc im najmniejszej szkody, lecz wyrzuciło Hefajstosa na sto metrów w górę. Boski rzemieślnik gruchnął potężnie o odległy stok wulkanu. Widząc to, odziany w czerwoną zbroję Hades odpowiedział, wypuszczając stożek czarnych płomieni, które unicestwiały po drodze wszystkie świątynie i domy, a nawet ziemię, powietrze i wodę.

Do zwierających szyki oddziałów Aresa dołączyło dziewięć rozwrzeszczanych Muz. Z teleportujących się zniemacka rydwanów trysnęły błyskawice, Atenę otoczyła rozmigotana egida. Ganimedes, podczaszy Zeusa, istota boska jedynie w dziewięciu dziesiątych, padł na ziemi niczyjej i zawył, czując jak płomienie kontratakującej egidy odzierają jego śmiertelne kości z nieśmiertelnego ciała.

Do grona sprzymierzeńców Ateny dołączyła Eurynome, córka Okeanosa, lecz w okamgnieniu otoczył ją tuzin Furii, które opadły ją, łopocąc skrzydłami niczym stado karmiących się krwią nietoperzy. Zanim porwały ją z trawy i uniosły nad polem, poza szeregi płonących gmachów, Eurynome zdążyła krzyknąć tylko raz.

Olimpijczycy rozbiegli się w poszukiwaniu osłony. Część rzuciła się ku oczekującym rydwanom. Niektórzy ratowali się teleportacją, lecz większość pozostała na szczycie, zbierając się w dwóch wrażych armiach na przeciwległych brzegach jeziora. Pola siłowe płonęły czerwienią, zielenią, fioletem, błękitem, złotem i feerią innych barw. Bóstwa przestawiały je w tryb bitewny.

Jeszcze nigdy bogowie nie walczyli tak jak dzisiaj – bez litości, bez miłosierdzia,

bez cienia uprzejmości, jaką zwykle okazywali podobnym sobie, bez pewności, że zostaną wskrzeszeni przez wielorękiego Uzdrowiciela, bez nadziei na miejsce w regeneracyjnej kadzi. Co najgorsze, ścierali się ze sobą pod nieobecność Ojca Zeusa. Dotychczas Gromowładny zawsze potrafił ich powstrzymać, udobruchać bądź groźbą wymusić, by zaprzestali niepohamowanej rzezi swych nieśmiertelnych braci i sióstr. Tego dnia jednak Władcy Bogów zabrakło.

Posejdon teleportował się na Ziemię, chcąc zachować pieczę nad dokonywanym przez Achajów zniszczeniem Troi. Broczący złocistym ichorem Ares podniósł się na równe nogi i przywołał do swego boku sześć dziesiątek rozwścieczonych, lojalnych wobec Zeusa i Trojan bogów. Hefajstos tekował się z powrotem z miejsca, w którym padł, i zasnuł pole bitwy czarnym trującym oparem.

Tak właśnie rozpoczęła się wojna bogów, która w ciągu następnych godzin rozprzestrzeniła się na cały Olimp i sięgnęła Ilionu. O zachodzie cały wierzchołek gigantycznego wulkanu stał już w ogniu, a parującą z jeziora kalderowego wodę zastępowała rozżarzona lawa.

Wyjeżdżając na spotkanie Achillesa, Pentezylea nie miała cienia wątpliwości, że wszystkie dotychczasowe lata, miesiące, dni, godziny i minuty jej życia stanowiły ledwie preludium do dnia dzisiejszego, do tego najbardziej chwalebego momentu jej ziemskiego istnienia. Wszystko, co wydarzyło się wcześniej, każdy zaczerpnięty oddech, każda godzina treningu oraz wszystkie bitewne zwycięstwa i porażki przygotowywały ją właśnie do tego jednego starcia. Królowa wiedziała, że już za kilka godzin rozstrzygnie się jej przeznaczenie. Już niebawem zatriumfuje, a Achilles zginie, lub też to ona polegnie i – co stanowiło perspektywę nieskończenie gorszą – okryje się niesławą i zostanie zapomniana na wieki.

Pentezylea jednak nie zamierzała okryć się niesławą i pozwolić, by ktokolwiek zapomniał o niej na wieki.

Gdy ocknęła się po drzemce w pałacu Priama, zalała ją fala szczęścia i poczucia siły. Wykąpała się nieśpiesznie, a kiedy stanęła przed wypolerowaną taflą metalowego zwierciadła i zaczęła się ubierać, przyjrzała się swemu obliczu i ciału tak uważnie jak chyba jeszcze nigdy dotąd.

Pentezylea doskonale wiedziała, że jest piękna nawet wedle najbardziej surowych standardów ludzkich i boskich. Nie dbała o to. Miała duszę wojowniczkę i tego rodzaju błahostki nie liczyły się dla niej ani trochę. Tego dnia jednak, oblekając się w wyprany strój i zapinając lśniącą zbroję, pozwoliła sobie na chwilę próżnego podziwiania własnej urody. Ostatecznie, pomyślała, to ja będę ostatnią osobą, którą chyżonogi mężobójca zobaczy w swym ziemskim życiu.

Królowa Amazonek miała dwadzieścia kilka lat, dziewczęcą twarz, a jej duże zielone oczy wydawały się jeszcze większe, gdy, jak teraz, okalała je zasłona krótkich, jasnych loków. Zwykle zacięte usta Pentezylei rzadko rozciągały się w uśmiechu, lecz były pełne i apetycznie różowe. Odbita w gładkim metalu, opalona i muskularna sylwetka, mimo wielu godzin spędzonych na pływaniu, ćwiczeniach z bronią i polowaniu w gorącym słońcu nie była wcale nadmiernie wychudzona. Biodra i pośladki miała kobieco zaokrąglone, co zauważyła, spinając srebrnym pasem swą wąską kibić. Wydęła usta z lekkim niesmakiem. Piersi królowej unosiły się wyżej i były bardziej okrągłe niż u większości kobiet, wliczając w to nawet jej siostry Amazonki. Ich sutki nie były brązowe, lecz barwy płatków róży. Nadal była dziewicą i zamierzała w tym stanie pozostać do końca życia. Jej starsza siostra – skrzywiła się na wspomnienie śmierci Hipolity – ulegała męskim podstępom i pozwalała się uwodzić w niewolę włochatym samcom, którzy korzystali z niej niczym z rozplodowej klaczy. Ona – Pentezylea – nigdy do tego nie dopuści.

Sięgnęła do srebrnej, przypominającej kształtem owoc granatu szkatułki, nabrała na palec nieco wonnego magicznego balsamu i wtarła go w ciało na wysokości serca, u nasady szyi i tuż ponad pionowym pasemkiem złotych włosów łonowych. Tak poleciała

jej uczynić bogini Afrodyta, która ukazała się Pentezylei w tym samym dniu, gdy przemowa Pallas Ateny nakłoniła ją do podjęcia się tej misji. Bogini miłości zapewniła, że ta wonna mikstura – potężniejsza nawet od ambrozji – została stworzona osobiście przez nią, specjalnie w celu doprowadzenia Achillesa – i tylko jego – do stanu obezwładniającej żądy. Dzięki temu Pentezylea dysponowała już drugą tajną bronią – pierwszą była niechybiająca celu włócznia Ateny. Królowa zamierzała najpierw skorzystać z podarku Afrodyty i przepełnić serce mężobójcy otepiającym pożądaniem, a potem zadać mu śmiertelny cios.

Któraś z jej towarzyszek – zapewne wierna kapitan Klonia – zanim udała się na spoczynek, dokładnie wypolerowała zbroję swej pani i teraz brąz i złoto rzucały w zwierciadle przepiękne refleksy. Pod ręką czekała też przygotowana broń Pentezylei: łuk i kołczan wypełniony idealnie prostymi strzałami o czerwonych lotkach, miecz – krótszy od męskich, za to do perfekcji wyważony i równie jak one zabójczy w zwarcu – oraz dwustronny topór bojowy. Zwykle to właśnie nim lubiła walczyć najbardziej. Jednak nie dzisiaj.

Zważyła w dłoni włócznię Ateny. Prawie nie poczuła ciężaru, wydawało się, że drzewce samo rwie się do lotu. Długi zębaty grot nie został wykuty z brązu czy nawet żelaza, lecz jakiegoś innego, znacznie bardziej ostrego metalu Olimpijczyków. Nic nie było w stanie go stępić. Nie mógł mu się oprzeć żaden pancerz. Atena przekonywała, że czubek został unurzany w najgroźniejszej ze znanych bogom trucizn. Po pierwszym zacięciu achillesowej pięty jad popłynię prosto ku sercu herosa i powali go w parę sekund, a kilka mgnień potem dusza wojownika znajdzie się już za bramami Hadesu. Włócznia cicho brzęczała, jakby równie gorąco co Amazonka oczekiwała momentu, gdy przebije ciało Achillesa i sprawi, że jego oczy, usta i płuca zaleje czerń śmierci.

To Atena wyjawiała Pentezylei tajemnicę niebywałych sukcesów Achillesa – opowiedziała jej o Tetydzie, która próbowała uczynić syna nieśmiertelnym, i o Peleusie, który nieświadomie jej w tym przeszkodził, uwalniając niemowlę od cierpień w płomieniach Niebiańskiego Ognia. „Pięta Achillesa jest piętą śmiertelnika” – szeptała Atena. „Tworzące ją kwantowe fale prawdopodobieństwa nie zostały ulepszone...”.

Pentezylea nie była pewna, co bogini miała na myśli. Dla niej jednak liczyło się przede wszystkim to, że uda się jej pokonać Achillesa mężobójcę – mordercę kobiet i gwałciciela. Wiedziała, jaki los spotkał kobiety w miastach, które podbił ze swymi wściekłymi Myrmidonami, gdy pozostali Achajowie osiedli na laurach i tyłkach w obozie na wybrzeżu. Wieści o obu wojnach trojańskich dotarły nawet do odległej krainy Amazonek, gdzie młoda królowa usłyszała o niezmordowanych Achajach oblegających Ilion, o długich okresach lenistwa i uctowania, oraz o Achillesie, który przez dekadę siał zniszczenie w całej Azji Mniejszej. Jego nieustępliwemu szałowi uległo siedemnaście miast.

A teraz to on ulegnie mnie. Achilles padnie.

Pentezylea ze swymi siostrami jechała przez miasto rozbrzmiewające chaosem i odgłosami alarmów. Heroldzi z murów rozgłaszali krzykiem, że Achajowie zbierają się pod wodzą Agamemnona i pomniejszych wodzów. Krążyły pogłoski, że Grecy zamierzają przeprowadzić zdradziecki szturm, wykorzystując fakt, że Hektor śpi, a mężny

Eneasz wybrał się na front po drugiej stronie Dziury. Królowa spostrzegła grupki włóczących się bez celu po ulicach kobiet, ubranych w stare, niedopasowane fragmenty męskich pancerzy. Zupełnie jakby udawały Amazonki. Strażnicy zadęli w rogi, a gdy Pentezylea ze swymi wojowniczkami znalazły się już za Bramą Skajską, potężne wrota zatrzasnęły się na dobre.

Nie zwracając uwagi na wojowników śpiesznie formujących szyki na równinie pomiędzy miastem a wybrzeżem, Pentezylea powiodła swój oddział na wschód, ku ziejącej w zimowym niebie wielkiej Dziurze. Oglądała ją już, kiedy wjeżdżały do Troi, lecz widok jej wciąż sprawiał, że serce królowej zaczynało bić żywiej. Dziura miała ponad dwieście stóp wysokości. Idealnie zarysowane koło, w jednej czwartej ukryte pod skalistą równiną na wschód od Ilionu. Ludzie patrzący w jej stronę z północy i wschodu nie widzieli kręgu w ogóle – Amazonka wiedziała o tym, ponieważ wraz ze swym oddziałem również uległa temu złudzeniu. Z tamtych kierunków widać było jedynie morze i mury Ilionu i nic nie zdradzało obecności magicznej bramy. Dziura ukazywała się dopiero nadjeżdżającym od południowego wschodu.

Achajowie i Trojanie – oddzielnie, lecz pokojowo – wysypywali się śpiesznie przez Dziurę długimi kolumnami piechoty i rydwanów, zupełnie jakby ogłoszono natychmiastową ewakuację. Pentezylea domyśliła się, że wracają spod Olimpu przywołani nagłymi wieściami z Troi i obozu Agamemnona. Porzucili front wojny z bogami i chcieli czym prędzej przygotować się do wybuchu ponownego konfliktu śmiertelników.

Dla królowej nie miało to żadnego znaczenia. Jej osobistym celem było przyniesienie śmierci Achillesowi i zguby każdemu – Grekowi bądź Trojaninowi – kto popełniłby błąd i stanął pomiędzy nią a realizacją tego głównego postanowienia. Osobiście odprawiła już do Hadesu całe legiony mężczyzn i w razie konieczności zrobi to ponownie.

Gdy na czele podwójnej kolumny Amazonek przejeżdżała przez Dziurę, dosłownie wstrzymała oddech. Kiedy jednak wynurzyła się po drugiej stronie, poczuła tylko dziwne wrażenie lekkości. Osobliwą, delikatną zmianę w intensywności słonecznych promieni i chwilową duszność w piersi, zupełnie jakby stanęła w rozrzedzonym powietrzu na szczycie wysokiej góry. Owe różnice zauważył również jej wierzchowiec, który szarpnął się w cuglach, ale królowa natychmiast mocno je ściągnęła i zmusiła zwierzę do posłuszeństwa.

Nie była w stanie oderwać wzroku od Olimpu. Góra przesłaniała cały zachodni horyzont... Nie, jej masyw wypełniał cały świat... Był całym światem. Prosto przed nią – poza nielicznymi grupkami ludzi, morawców i czegoś, co wydało się skupionej na wulkanie Amazonce stosami leżących na ziemi zwłok – strzelały ku górze wysokie na dwie mile pionowe urwiska boskiej siedziby, przechodzące w ciągnące się całymi dziesiątkami mil zbocza, które wznosiły się coraz wyżej, wyżej i wyżej...

– Królowo...

Pentezylea ledwie usłyszała głos towarzyszk. Rozpoznała głos Bremusy, zastępczyni wiernej Klonii. Zignorowała ją, podobnie jak nie zwróciła uwagi na krystalicznie czyste fale oceanu rozlewającego się po prawej stronie i na rozstawione

wzdłuż wybrzeża wielkie kamienne głowy. W porównaniu z górującym nad światem Olimpem wszystko traciło znaczenie. Pentezylea odchyliła się w siodle i zadarła głowę. Powiodła wzrokiem po zarzysie bezmiernie wysokiej góry, sięgającej ponad jasnobłękitne niebo...

– Moja królowo...

Pentezylea obejrzała się gwałtownie, by zbesztać Bremusę, i zobaczyła, że wszystkie wojowniczkę wstrzymały konie. Otrząsnęła się, jakby wyrwana z głębokiego snu, zawróciła i pchnęła wierzchowca ku towarzyszkom.

Dopiero teraz dotarło do niej, że gdy oczarowana podziwiała Olimp, przez cały czas miały ich tłumy kobiet – biegnących z krzykiem, krwawiących, zapłakanych, co chwila potykających się i padających. Klonia zeskoczyła z siodła, przyklekła i złożyła sobie na kolanach głowę jednej z rannych, odzianej w osobliwą szkarłatną szatę.

– Kto? – rzuciła Pentezylea, patrząc w dół jakby z ogromnej wysokości. Spozregła, że na czerwonej równinie za nimi ciągnie się długi na milę trop porzuconych, zakrwawionych elementów zbroi.

– Achajowie – wychrypiała umierająca. – Achilles... – Nawet jeśli kobieta miała na sobie wcześniej pancerz, nie zdał się na wiele. Ktoś obciął jej piersi. Była niemal zupełnie naga. Szkarłatny strój okazał się warstwą jej własnej krwi.

– Zawieź ją z powrotem do... – zaczęła królowa, lecz zaraz umilkła.

Zmasakrowana kobieta wydała ostatnie tchnienie.

Klonia wskoczyła na wierzchowca i zajęła swą tradycyjną pozycję w formacji, z tyłu po prawej stronie Pentezylei. Królowa czuła bijącą od wojowniczki wściekłość, gorącą jak żar płomieni ogniska.

– Naprzód! – rozkazała Pentezylea i spięła rumaka piętami.

Bojowy topór oparła na kuli siodła. Włócznię Ateny ścisnęła w prawej dłoni. Ostatnie ćwierć mili dzielące je od grupy mężczyzn pokonały galopem. Achajowie pochylali się co chwila nad rozrzuconymi po ziemi zwłokami. Grabili zabite kobiety. Dźwięk śmiechu Greków niósł się daleko w rozrzedzonym powietrzu.

Pentezylea naliczyła około czterdziestu ciał pomordowanych Trojanek. Zwolniła i dalej jechała już stępa, ale Amazonki musiały złamać szyk. Konie – nawet te wyszkolone do walki – unikały chodzenia po ludziach, a zmasakrowane trupy – bez wyjątku kobiece – leżały tak gęsto, że zwierzęta musiały stawiać ciężkie kopyta szczególnie ostrożnie, wyszukując skrawków wolnego miejsca.

Mężczyźni podnieśli spojrzenia. Królowa oceniła, że łupieniem zabitych zajmowało się około setki Achajów, lecz nie rozpoznała ani jednego oblicza. Nie zauważyła żadnego ze słynnych greckich herosów. Potoczyła wzrokiem pięćset lub sześćset metrów dalej i spostrzegła oddział szlachetniej odzianych wojowników, wracających ku głównym szykom argińskiej armii.

– Patrz, znowu jakieś baby – rzucił najpaskudniejszy z grabieżców odzierających trupy z pancerzy. – Przeprowadziły nam nawet konie.

– Jak się zwiesz? – spytała Pentezylea.

Rozciągnął usta w uśmiechu, ukazując szczerbate, zepsute zęby.

– Nazywam się Molion, kobieto, i zastanawiam się właśnie, czy wyrucham cię,

zanim zabiję, czy może potem.

– Trudny wybór dla tak ograniczonego umysłu – odpowiedziała Amazonka spokojnym głosem. – Znałam jednego Moliona, ale tamten był Trojaninem, towarzyszem Tymbreusa. Co więcej, był żywym człowiekiem, a ty jesteś już tylko zdechłym kundlem.

Molion wściekle warknął i dobył miecza.

Nie zsiadając z konia, Pentezylea zamachnęła się swym podwójnym toporem i głowa rabusia potoczyła się po ziemi. Zaraz potem królowa pchnęła swego potężnego rumaka naprzód i stratowała trzech kolejnych, którzy ledwie zdążyli podnieść tarcze.

Z gardeł dwunastki Amazonek dobył się nieziemski bojowy okrzyk i wojowniczkę ruszyły do walki ramię w ramię ze swoją władczynią. Cięły, rąbały i nadziewały Achajów na włócznie z wprawą i pewnością koszącego zboże żniwiarza. Mężczyźni próbujący oporu ginęli. Ginęli również uciekający. Pentezylea osobiście zgładziła siedmiu.

Jej towarzyszki, Euandra i Termodoa, osaczyły ostatniego, pełzającego z bezradnym szlochem po ziemi, błagającego o życie Achaja – szczególnie odrażającego bydlaka, który przedstawił się jako Tersytes i uniżenie prosił o litość. Przyprawiając swe siostry o najwyższe zdumienie, Pentezylea rozkazała puścić go wolno.

– Zaniesiesz ode mnie posłanie do Achillesa, Diomedesa, Ajaksów, Odyseusza, Idomeneusa i pozostałych achajskich herosów, którzy przyglądają się nam właśnie z tamtego wzniesienia – zagrzmiała, wpatrując się Tersytesowi w oczy. – Przekaż im, że ja, Pentezylea, królowa Amazonek, córka Aresa, ulubienica Ateny i Afrodyty, przybywam tu, by położyć kres nędznemu życiu Achillesa. Powiesz, że jeśli się zgodzi, stanę z nim do pojedynku, lecz gdyby się uparli, wraz ze swymi Amazonkami pomorduję ich wszystkich. Idź i nie zapomnij ni słowa.

Tersytes odbiegł tak szybko jak tylko mógł na miękkich, rozdygotanych nogach.

Podjechała do niej jej niezastąpiona, niezbyt urodziwa, lecz mężna Klonia.

– Co mówisz, królowo?! Nie możemy się potykać ze wszystkimi achajskimi bohaterami. Każdy z nich jest żywą legendą, razem są niemal niepokonani. Nawet trzynaście najdzielniejszych Amazonek w dziejach nie dałoby rady pokonać takiej siły.

– Bądź spokojna, siostrze. Nie wahaj się – odparła Pentezylea. – Nasze zwycięstwo leży nie tylko w mocy naszych dłoni, lecz również w rękach bogów. Ledwie Achilles padnie martwy, pozostali Achajowie wezmą nogi za pas, podobnie jak umykali przed Hektorem i szeregowymi Trojanami, gdy ginęli bądź doznawali ran ich mniej znamienici wodzowie. A gdy rzucą się już do ucieczki, zawrócimy i co koń wyskoczy przejedziemy z powrotem przez tę przeklętą Dziurę i podłożymy ogień pod ich okręty, nim ci tak zwani herosi zdążą się pozbierać.

– Pojedziemy za tobą prosto w objęcia śmierci, królowo – szepnęła Klonia – podobnie jak w przeszłości jechałyśmy z tobą ku chwale.

– Dzisiaj również okryjemy się chwałą, siostrze ukochana – zapewniła Pentezylea. – Spójrz, ten szczer Tersytes dostarczył już moją wiadomość i achajscy wodzowie ruszyli w naszą stronę. Widzisz Achillesa? Jego zbroja lśni jaśniej niż pancerze pozostałych oficerów. Przywitajmy ich na otwartym polu.

Popędziła rumaka i trzynaście Amazonek ruszyło galopem ku prowadzonemu przez mężobójcę oddziałowi.

– Jaki znowu błękitny promień? – zdziwił się Hockenberry.

Rozmawiali właśnie o zniknięciu ludzi ze wszystkich zakątków dawnej Ziemi, z wyjątkiem okolic położonych w promieniu dwustu mil od Troi. Mahnmut kierował szerszenia ku Marsowi, Olimpowi i Dziurze Branowej.

– Błękitny promień, który strzela pod niebo z Peloponezu, dokładniej z Delf – odpowiedział morawiec. – Pojawił się tego samego dnia, gdy wyludniła się cała planeta. Początkowo sądziliśmy, że składa się z tachionów, lecz teraz pojawiły się wątpliwości. Istnieje teoria, jak dotąd niepotwierdzona, że zaginieni ludzie zostali zwinięci do swych podstawowych składników strunowych w przestrzeni Calabiego-Yau, zakodowani w tym promieniu i wystrzeleni w kosmos.

– Mówisz, że promień pojawił się w Delfach? – zastanowił się scholiasta. Nie znał się na tachionach, strunach ani przestrzeniach Calabiego-Yau, lecz o Delfach i tamtejszej wyroczni wiedział niemało.

– Tak. Jeżeli możesz mi poświęcić jeszcze jakieś dziesięć minut, chętnie ci go pokażę – powiedział Mahnmut. – Najdziwniejszy jest fakt, że podobny niebieski promień istnieje także na współczesnej Ziemi, tej, na którą się wybieramy. Tam z kolei pojawił się w Jerozolimie.

– W Jerozolimie... – mruknął Hockenberry. Szerszeń zakołysał się w locie i skierował dziób niżej ku Dziurze. Scholiasta mocniej chwycił oparcia niewidzialnego fotela. – Na co skierowane są te promienie? Tak po prostu w kosmos?

– Tego nie wiemy. Nie udało nam się zlokalizować żadnego konkretnego celu. Promienie świecą, jak się wydaje, światłem stałym i obracają się wraz z planetą, lecz mierzą poza Układ Słoneczny, poza oba układy, ściśle rzecz biorąc, z tym że żaden nie jest nakierowany na znaną nam gwiazdę, galaktykę czy gromadę. Dodatkowo promienie mają podwójne wektory. To znaczy, że przepływ energii tachionowej odbywa się nie tylko na zewnątrz, ale i w kierunku Delf. W Jerozolimie jest zapewne identycznie, więc...

– Moment – przerwał morawcowi Hockenberry. – Widziałeś to?

Przed chwilą przelecieli przez Dziurę, tuż pod krawędzią wielkiego łuku.

– Widziałem – przyznał Mahnmut. – Nie zdążyłem się przyjrzeć dokładnie, ale wygląda na to, że ludzie zwrócili się przeciwko sobie i walczą w okolicy linii frontu pod Olimpem. Ale spójrz tam.

Morawiec wzmocnił powiększenie w holograficznym iluminatorze i scholiasta ujrzał Greków i Trojan zmagających się pod murami Ilionu. Brama Skajska – stojąca otworem przez cały czas trwania ośmiomiesięcznego sojuszu – była w tej chwili zamknięta.

– Jezu Chryste... – wyszeptał Hockenberry.

– Właśnie.

– Mahnmut, moglibyśmy zawrócić i polecieć z powrotem na pole walki pod

Olimpem? Odniosłem dziwne wrażenie, że...

Hockenberry zauważył przelotnie oddział jeźdźców – bardzo niewielki – szarżujący na grupę piechurów. A przecież ani Achajowie, ani Trojanie nie walczyli konno.

– Oczywiście – zgodził się morawiec i szerszeń zatoczył szeroki łuk. Przyspieszyli i pomknęli z powrotem ku Dziurze.

– Mahnmut, słyszysz mnie jeszcze? – Orphu odezwał się do przyjaciela przez radio. Sygnał przekazywały rozmieszczone na Marsie stacje przesyłowe.

– Głośno i wyraźnie.

– Jest z tobą doktor Hockenberry?

– Tak.

– Więc zostaliśmy na prywatnym kanale. Nie pozwól, żeby się zorientował, że rozmawiamy. Widzicie tam może coś niezwykłego?

– Owszem. Właśnie zawróciliśmy, żeby się zorientować w sytuacji. Po marsjańskiej stronie Dziury czyjaś kawaleria toczy bój z argiwskimi hoplitami. Na Ziemi Achajowie zaatakowali Trojan.

– Mógłbyś nas zamaskować? – poprosił Hockenberry, gdy na wysokości około dwustu stóp zbliżyli się do tuzina jeźdźców sunących ku oddziałowi pięćdziesięciu greckich piechurów. Do miejsca ewentualnego starcia szerszeniowi został jeszcze mniej więcej kilometr. – Zastosować jakiś kamuflaż? Inaczej będziemy się za bardzo rzucać w oczy.

– Naturalnie. – Mahnmut zwolnił i aktywował pełne maskowanie.

– Nie, nie pytałem o ludzi – nadał Orphu. – Czy nic dziwnego nie dzieje się z samą Dziurą Branową?

Mahnmut spojrzał na wycięte w niebie półkole swoimi oczyma, wrażliwymi na szerokie pasmo promieniowania. Dodatkowo przebadał ją za pomocą wszystkich instrumentów pokładowych i czujników.

– Wszystko w normie – odpowiedział przyjacielowi.

– Wylądujemy tam, za Achillesem i jego ludźmi – zaproponował Hockenberry. – Da się to zrobić po cichu?

– Oczywiście, że tak – odparł morawiec.

Szerszeń zatoczył koło nad równiną i osiadł bezgłośnie mniej więcej trzydzieści metrów za plecami Achajów. Kolejni greccy wojownicy odłączali się od stojącej nieopodal armii i ruszali w stronę pobratymców. Mahnmut wyłowił wśród nich również kilka sylwetek skałowców, w tym centuriona Mep Ahoo.

– Nie, zdecydowanie nie jest to norma – podjął Orphu z Io. – Zarówno z Dziury Branowej, jak i całej membrany odbieramy silne fluktuacje. W dodatku coś się też dzieje na szczycie Olimpu. Odczyty aktywności kwantowej i grawitonowej zupełnie oszalały. Wskaźniki sugerują liczne eksplozje termojądrowe, nuklearne, plazmowe i inne. Najbardziej niepokojący jest jednak stan samej Dziury.

– Jakie są parametry anomalii? – zapytał Mahnmut.

Nigdy dotąd nie zaprzętał sobie głowy szczegółami teorii F i jej rozmaitych poprzedniczek w rodzaju teorii M i teorii strun. W końcu jego głównym zajęciem było

pływanie batyskafem i badanie oceanów ukrytych pod lodami Europy. Większość posiadanej wiedzy zaczerpnął od Orphu bądź ściągnął z głównych archiwów na Fobosie. Dzięki temu podszkolił się we współczesnych koncepcjach dotyczących Dziur, które osobiście pomógł otworzyć, by połączyć Pas Asteroid z Czerwoną Planetą – i tą alternatywną Ziemią. Próbował też zrozumieć, dlaczego ze wszystkich tych Dziur po kilku miesiącach została tylko jedna.

– Czujniki Stromingera-Vafy-Susskinda-Sena pokazują stan BPS sugerujący rosnącą rozbieżność pomiędzy minimalną masą Brany i jej ładunkiem – oświadczył Orphu.

– BPS? – dopytał Mahnmut. Rozumiał, że dysproporcja między ładunkiem a masą oznacza coś złego, nie był jednak pewien, z jakiego powodu.

– Bogomolnyj, Prasard, Sommerfield – odparł Orphu takim tonem, jaki zwykle rezerwuje się dla sympatycznych przygłupów. – Przestrzeń Dziury, przestrzeń Calabiego-Yau zaczyna się w waszej okolicy rozpadać.

– Świetnie, znakomicie! – ucieszył się Hockenberry, po czym uwolnił się z objęć niewidzialnego fotela i ruszył w stronę opuszczającego się właśnie trapu. – Wszystko bym dał, żeby mieć w tej chwili przy sobie ryszunek scholiasty. Wiesz, morfującą bransoletę, mikrofon kierunkowy, lewitacyjną uprząż... Co, nie idziesz?

– Sekundkę – rzucił Mahnmut. – Chcesz mi powiedzieć, że Dziura Branowa traci stabilność? – zwrócił się przez radio do Orphu.

– Chcę ci powiedzieć, że lada moment może zniknąć zupełnie – odpowiedział mu przyjaciel. – Przekazaliśmy już morawcom i skałowcom z okolic Ilionu i wybrzeża, by się natychmiast wynosili. Podejrzewamy, że najpierw zbiorą sprzęt, powinni zdążyć, ale już za kilka minut z dziury wyleci masa szerszeni i promów. Raczej szybko, bo z prędkością trzech machów. Przygotujcie się na głośny huk.

– Ale przecież Ilion będzie wtedy zupełnie bezbronny! Co z nalotami i atakami teleportacyjnymi? – przypomniał Mahnmut. Przeraziła go myśl o wystawieniu greckich i trojańskich sojuszników na konieczność samotnej walki z bogami.

– To już nie nasze zmartwienie – zagrział Orphu z Io. – Asteague/Che i pozostali naczelnicy integratorów wydali rozkaz ewakuacji. Jeżeli Dziura się zamknie – a zamknie się, Mahnmut, możesz mi wierzyć – stracimy ośmiuset techników, specjalistów od wojsk rakietowych i wszystkich, którzy zostaną po ziemskiej stronie. Już teraz ryzykują życiem po to, by spakować baterie przeciwlotnicze, projektory energetyczne i resztę ciężkiego sprzętu. Integratorzy nie chcą tej broni porzucić, nawet wyłączonej.

– Mógłbym jakoś pomóc? – Mahnmut wyjrzał przez właz i zobaczył Hockenberry'ego biegnącego truchtem w stronę oddziału Achillesa. Poczł się bezradny. Zostawiając Hockenberry'ego tutaj, narazi go na śmierć od miecza. Z drugiej strony, jeżeli nie poderwie natychmiast szerszenia i nie przeleci na drugą stronę Dziury, pozostałym morawcom zagrozi odcięcie od ich rodzimego wszechświata.

– Nie rozłączaj się. Naradzę się z integratorami i generałem Beh bin Adi – odpowiedział Orphu.

Kilka sekund potem radio ponownie ożyło.

– Nie ruszaj się z miejsca. Twoje kamery mają świetny widok na Dziurę. Czy

możesz przesłać transmisję na Fobosa i wysiąść, byśmy mogli obserwować wydarzenia również z twojej perspektywy?

– Tak, mogę – zgodził się Mahnmut.

Wyłączył kamuflaż szerszenia. Nie chciał, by zbliżający się tłum Achajów i skałowców przypadkiem wpadł na pojazd. Czym prędzej wybiegł na zewnątrz i pognął w ślad za Hockenberrym.

Podchodząc do grupki wojowników, scholiasta czuł narastające poczucie odrealnienia, naznaczone dodatkowo wyrzutami sumienia.

To wszystko przeze mnie, myślał. Gdybym osiem miesięcy temu nie porwał Patroklosa pod postacią Ateny, Achilles nie wypowiedziałby wojny Olimpijczykom i nie doszłoby do dzisiejszych wydarzeń. Jeżeli ktoś tu zaraz zginie, wina będzie wyłącznie moja.

Achilles odwrócił się plecami do nadciągających jeźdźców.

– Witaj Hockenberry, synu Duane’a – rzucił.

Na jadące wierzchem kobiety – zbliżały się szybko i Hockenberry wyraźnie zobaczył, że to kobiety odziane w przepiękne zbroje – oczekiwało około pół setki achajskich wodzów i oficerów. Scholiasta zauważył wśród nich Diomedesa, obu Ajaksów, Idomeneusa, Odyseusza, Podarkesa i jego młodszego przyjaciela Menippusa, a także Stenelosa, Euryalusa i Stichiosa. Zdziwił się, widząc przy boku Achilleusa toczącego dokoła chytrymi oczkami uczonego w prawie Tersytesa. Hockenberry był pewien, że gdyby okoliczności były normalne, chyżonogi mężobójca nie dopuściłby tego trupojada do siebie choćby na kilometr.

– Co się tu dzieje? – spytał Achilleusa.

Wysoki, jasnowłosy półbóg wzruszył ramionami.

– Dzisiejszy dzień pełen jest dziwów, synu Duane’a. Najpierw bogowie odmówili nam walki. Następnie rzuciła się na nas zbieranina trojańskich kobiet. Jedna z nich rzuciła włócznią tak szczęśliwie, że zabiła Filokteta. A teraz te Amazonki. Zabiły kilkudziesięciu naszych wojowników. Tak przynajmniej twierdzi ten szczur.

Amazonki.

Dopadł ich Mahnmut. Większość Achajów zdążyła już przywyknąć do towarzystwa małego morawca i poświęcili mu tylko kilka przelotnych spojrzeń, po czym ponownie zwrócili się ku galopującym wojowniczkom.

– Co się dzieje? – Mahnmut zapytał Hockenberry’ego po angielsku.

Scholiasta odpowiedział w innym języku.

– *Ducit Amazonidum lunatis agmina peltis Penthesilea furens, mediisque in milibus ardet, aurea sunectens exwerta cingula mammae bellatrix, audetque viris concurrere virgo* – zadeklamował.

– Proszę, nie każ mi ściągać łaciny – jęknął morawiec.

Skinął głową ku potężnym wierzchowcom, zatrzymującym się niecałe pięć metrów od nich. Chmura kurzu wzbitego przez zwierzęce kopyta przetoczyła się po achajskich herosach.

– „Tysiące swoich Amazonek, w blasku półksiężycowych tarcz, Pentesileja w bój wiedzie, w bitwie szaleje i płonie, piersi przewiązką złocistą spętała nagie. Z mężami

zмага się dziewczyna” – przetłumaczył Hockenberry.

– Fantastycznie – rzucił kwaśno mały morawiec. – Ale to była łacina... Czyli chyba nie Homer, prawda?

– Wergiliusz. – Hockenberry obniżył głos do szeptu, ponieważ na polu zaległa cisza tak głęboka, że nawet pojedyncze stuknięcia kopyt brzmiały jak grzmoty. – Nie mam pojęcia, jak do tego doszło, ale znaleźliśmy się właśnie w samym środku „Eneidy”.

– Mówiłem, że wspaniale – burknął Mahnmut.

– Skałowieccy technicy kończą już załadunek. Odlatują za niecałe pięć minut – odezwał się Orphu przez radio. – Jest coś jeszcze. „Królowa Mab” wystartuje wcześniej, niż planowaliśmy.

– Czyli kiedy? – spytał Mahnmut, czując kołatanie organicznych elementów serca.

– Obiecaliśmy Hockenberry’emu czterdzieści osiem godzin. Miał się zastanowić i zwerbować Odyseusza.

– Cóż, będzie się musiał pośpieszyć – odparł Orphu z Io. – Zostało może czterdzieści minut, o ile tylko uda się przez ten czas zaokrętować skałowców i przyjąć do ładowni ich sprzęt. Ty też musisz zdążyć tu wrócić. Inaczej zostaniecie obaj.

– A „Mroczna dama”? – rzucił Mahnmut. Część systemów batyskafu wciąż wymagała drobiazgowej, ostatecznej kontroli.

– Właśnie w tej chwili ją ładują – nadał Orphu z pokładu „Królowej”. – Cały kadłub od tego drży. Kontrolę przeprowadzisz po drodze. Nie ociągaj się, stary druhu – dodał większy morawiec, po czym rozłączył się i na kanale słychać już było tylko trzaski zakłóceń.

Hockenberry, stojący tuż za cienką linią frontu, stwierdził w duchu, że wierzchowce Amazonek są naprawdę wielkie... Jak perszerony lub konie z reklam Budweisera. Wojowniczek było w sumie trzynaście, przy czym okazało się, że Wergiliusz – niech mu światłość wiekuista... – nie mylił się co do jednego: pancerze Amazonek rzeczywiście odsłaniały lewą pierś. Powodowało to pewną... dekoncentrację.

Achilles wystąpił na trzy kroki przed szereg mężczyzn. Przystanął tak blisko konia jasnowłosej królowej, że mógłby pogłodzić go po chrapach. Nie zrobił tego.

– Czego tu szukasz, kobieto? – zapytał. Jak na tak potężnie zbudowanego muskularnego mężczyznę odezwał się niebywale cicho.

– Nazywam się Pentezylea, córka Aresa, boga wojny i Otrere, królowej Amazonek – odpowiedziała piękna kobieta z grzbietu okrytego pancerzem wierzchowca. – I szukam twej śmierci, Achillesie, synu Peleusa.

Mężobójca odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się śmiechem. Słyszając ten swobodny radosny dźwięk, Hockenberry poczuł ciarki na plecach.

– Powiedz, kobieto – podjął spokojnie Achilles – skąd u ciebie tyle męstwa, by rzucić wyzwanie nam, najpotężniejszym herosom epoki, wojownikom, którzy poważyli się oblegać sam Olimp? Wiesz doskonale, że większość z nas wywodzi się w prostej linii od syna Kronosa, naszego pana Zeusa. Czy naprawdę życzysz sobie stanąć z nami do walki?

– Jeżeli reszta woli zachować głowy, może odejść. – Pentezylea mówiła równie spokojnie jak Achilles, choć głośniejsze. – Nie żywię urazy do Ajaksa, syna Telamona, nie

marzę o zgonie Tydejdy, ani synów Deukaliona, Laertesa i pozostałych. Zabić chcę jedynie ciebie, dziedzicu Peleusa.

Wymienieni mężowie – Ajaks Wielki, Diomedes, Idomeneus i Odys – rzucili w kierunku Achillesa mocno zaniepokojone spojrzenia, po czym parsknęli chóralnym śmiechem. Do grupy dołączali kolejni Argiowowie, pięćdziesięciu lub nawet sześćdziesięciu. Przybył też skałowiec Mep Ahoo.

Hockenberry nie zauważył, że Mahnmut odwraca czarny pasek obiektywów ku centurionowi. Nie miał pojęcia, że skałowiecki oficer przekazuje morawcowi przez radio wiadomość o nieuchronnym zamknięciu się Dziury Branowej.

– Obraziłeś bogów, przypuszczając na ich dom ten swój cherlawy szturm – zawołała Pentezylea. Jej donośny głos usłyszeli nawet wojownicy stojący sto metrów dalej. – Miłujących pokój Trojan oszukałeś, podstępem nacierając na ich stolicę. Dzisiaj jednak zginiesz Achillesie, morderco kobiet. Stań do walki.

– Rany Julek – rzucił Mahnmut po angielsku.

– Chryste Panie... – szepnął Hockenberry.

Trzyście wojowniczek zakrzyknęło w swoim macierzystym języku. Amazonki spięły piętami końskie boki i wielkie rumaki skoczyły naprzód. Włócznie i strzały zniecka świsnęły w powietrzu. Dokoła poniósł się szcęk brązowych grotów bijących w pancerze i pośpiesznie podniesione tarcze.

Na wybrzeżu rozlewającego się na północnej części Marsa morza, przez mieszkańców Olimpu zwanego Oceanem Północnym lub Morzem Tetydy, Małe Zielone Ludziki, nazywane także zekami, wzniosły ponad jedenaście tysięcy wielkich kamiennych głów. Posągi mają po dwadzieścia metrów wysokości i są co do jednego identyczne. Przedstawiają oblicze starego mężczyzny z haczykowatym nosem, wysokim czołem, surowo ściągniętymi brwiami, ostro zarysowanym podbródkiem i pasmami długich włosów otaczających półkolem łysą czaszkę. Kamień, z którego powstały rzeźby, wydobywano w olbrzymich kamieniołomach znajdujących się w urwiskach formacji geologicznej znanej jako Noctis Labyrinthus, rozciągającej się na zachodnim krańcu ciągnącego się na cztery tysiące dwieście kilometrów śródlądowego morza wypełniającego rów tektoniczny nazywany Valles Marineris. Feluki płynęły wzdłuż brzegów Morza Tetydy, a kiedy docierały na miejsce, setki uwijających się Emzeteli wyładowywały potężne głazy na plażę i rzeźbiły w nich rysy. Gdy leżące na piachu dzieło było już gotowe, z wyjątkiem włosów na potylicy, masy zeków przetaczały głowy na przygotowaną wcześniej kamienną platformę. Zdarzało się, że musieli wciągać posągi na wysokie klify lub przeprowadzać przez podmokłe, bagniste tereny. U celu stawiali swe rzeźby do pionu za pomocą systemu bloków, lin i usypywanych stert piasku. Sterczący z szyi trzpień trafiał na koniec do przygotowanego w kamiennej podstawie otworu. Ostatecznie tuzin Emzeteli ciosał brakujące loki, a pozostałe zielone ludziki zabierały się do pracy przy kolejnej głowie.

Wszystkie te identyczne kamienne oblicza wpatrują się morze.

Pierwszy posąg pojawił się niemal półtora ziemskiego stulecia temu, u podnóża Olympus Mons, na zalewanym przez fale brzegu Morza Tetydy. Od tamtej pory małe zielone ludziki stawiały kolejne rzeźby w kilometrowych odstępach, zdążając na wschód, dokoła przypominającego kształtem wielki grzyb półwyspu Tempe Terra. Następnie budowniczywie skręcili na południe i przez ujście Kasei Valles dotarli do bagien Lunae Planum i szerokiej delty „morza w morzu”, Chryse Planitia. Dalej posągi powstawały na urwistym wybrzeżu Valles Marineris i wreszcie – w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy – zieloni rzeźbiarze pojawili się na stromych klifach Arabia Terra, kierując się ku północnym archipelagom Deuteronilus i Protonilus Mensae.

Dzisiaj jednak praca przy kamiennych głowach ustała. Ponad setka feluk przewiozła Emzetele – wysokie na metr, pozbawione ust i uszu humanoidy o przezroczystych ciałach, pozyskujące energię dzięki fotosyntezie i spoglądające na świat czarnymi jak węgle oczyma – na szerokie plaże Tempe Terra, oddzielone od Olympus Mons szeroką na około dwustu kilometrów połącią wody. Widać stąd wyrastający na zachodzie wulkan Alba Patera, a niewiarygodnie wielki masyw Olympus Mons pnie się pod niebo nieco dalej na południe.

Szereg kamiennych głów ciągnie się tutaj skrajem oddalonego o kilkaset metrów

od morza urwiska. Plaża jest płaska i dostatecznie przestronna, by zmieściły się na niej wszystkie zeki. Na brzegu, tworząc gęstą zbitą masę zieleni, stoją dokładnie siedem tysięcy trzysta trzy zielone ludziki. Wolne jest jedynie piaszczyste półkole o średnicy mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Przez kilka godzin Marsjanie stoją w ciszy i bezruchu. Czarne koraliki oczu wpatrują się w pustą plażę. Feluki i barki kołyszą się łagodnie na spokojnych falach Morza Tetydy. Słychać tylko pogwizdywanie zachodniego wiatru, od czasu do czasu podrywającego kłęby piachu, sypiącego się na przezroczystą skórę zielonych ludzików i niemal niedosłyszalnie szemrzącego wśród kolcolistu, którego niskie krzewy porastają stok urwiska.

Nagle w powietrzu rozchodzi się woń ozonu, Marsjanie nie mają nosów, więc nie są w stanie jej wyłowić. Nisko nad plażą rozlegają się grzmoty. Emzetele nie mają też uszu, lecz gwałtowne drgania powietrza odbierają dzięki swej niezwykle wrażliwej skórze.

Zaraz potem, dwa metry nad piaskiem, materializuje się czerwony, szeroki na około piętnastu metrów równoległobok. Początkowo przez chwilę się rozrasta, lecz potem zwęża się w połowie wysokości, przez co przypomina dwa stykające się wąskimi końcami trójkąty. W miejscu ich zetknięcia pojawia się mała kula, która błyskawicznie puchnie, tworząc zielone jajo, pochłaniające czerwony równoległobok. Obie figury zaczynają wirować w przeciwnych kierunkach. Pęd powietrza wyrzuca drobinki piasku na sto metrów ku górze.

Mimo coraz silniej szalejącej dokoła burzy, Emzetele nadal stoją nieporuszone i wpatrują się beznamiętnie przed siebie.

Wirujące jajo i równoległobok zlewają się ze sobą, tworząc kulę, następuje zwierciadlane przekształcenie pierwotnego kształtu. W powietrzu pojawia się okrąg o średnicy dziesięciu metrów. Dziura Branowa, wycięta w samej strukturze czasoprzestrzeni. Ponieważ Dziura wciąż jest bardzo młoda, widać jeszcze jej ochronną powłokę, błony tworzone przez płatki i warstwy jedenastowymiarowej energii, chroniącej piasek, powietrze, Marsa i cały wszechświat przed tą sferą zniszczenia tkanki czasu i przestrzeni.

Z otworu wynurza się sapiąca, prychająca maszyna parowa, rodzaj kabrioletu. Niewidoczne żyroskopy utrzymują zbudowany z drewna i metalu pojazd na pojedynczym gumowym kole. Aparat wyjeżdża z Dziury i zatrzymuje się dokładnie pośrodku wolnego, pozostawionego przez zeki półkole na plaży. Zdobione finezyjnymi rzeźbieniami drzwiczki stają otworem. Ze środka opuszczają się schodki, rozkładają się niczym skomplikowana łamigłówka.

Czwórka wojniksów – wysokich na dwa metry, metalicznie pobłyskujących dwunożnych istot o walcowatych tułowiach i wyrastających bezpośrednio z nich niezgrabnych głowach – wynurza się z kabrioletu i za pomocą manipulatorów, bo ostrza ukryły, zaczyna montować złożone ustrojstwo, wyposażone w srebrzyste macki, na których końcach kołyszą się niewielkie paraboliczne projektory. Po skończonej pracy wojniksy cofają się do milczącego parowego pojazdu i zastygają.

W powietrzu, nad piaskiem pomiędzy ramionami maszyny, migoce sylwetka mężczyzny, być może tylko jego hologram. Po chwili nabiera pozornej konkretności.

Przybysz jest stary i odziany w błękitną powłóczystą szatę, pokrytą drobiazgowo i kunsztownie haftowanymi symbolami astronomicznymi. Staje, podpierając się wysokim drewnianym kosturem. Ukryte w złotych pantoflach stopy i falujące mgliście ciało są na tyle ciężkie i materialne, że pozostawiają na plaży wyraźne odciski. Jego rysy wyglądają identycznie jak te wyryte na twarzach posągów na klifie.

Mag podchodzi na skraj przejrzystego morza i czeka.

Po upływie niedługiej chwili woda zaczyna gwałtownie falować i coś wielkiego wynurza się spod powierzchni, tuż poza linią leniwego przyboju. Kształt jest ogromny i podnosi się niezwykle powoli. W tej chwili bardziej przypomina nowo powstającą wyspę niż jakiegokolwiek żywe stworzenie w rodzaju wieloryba, delfina, węża morskiego lub boga podwodnej dziedziny. Wreszcie, ociekając wodą, rusza naprzód ku plaży. Zeki cofają się, rozstępują na boki, ustępują miejsca.

Kształtem i zabarwieniem kojarzy się najbardziej z gigantycznym mózgiem. Tkanki są podobnie różowe, a ich drgająca powierzchnia do złudzenia przypomina ludzką korę mózgową. Na tym jednak podobieństwo się kończy. Spomiędzy fałd różowego ciała wyzierają mnogie pary żółtych oczu, a pomiędzy nimi wyrastają niezliczone dłonie o nierównej liczbie palców: małe i zwinne, rozkołysane niczym parzydełka poruszanych zimnymi prądami morskich anemonów. Każda para ślepi otoczona jest większymi, osadzonymi na dłuższych wypustkach dłońmi. Kiedy ta wielka jak dom istota wychodzi wreszcie z wody na piasek, oczom zeków ukazują się kolejne ręce. Te są wielkie. Wyrastają z podbrzusza i umożliwiają właścicielowi poruszanie się. Są białe jak larwy owadów i szare jak ludzkie zwłoki. Ogromne jak koński tułów.

Pełznąć niczym krab, szybkimi susami na boki, wielka istota rozpędza Emzetele, które czmychają po wilgotnym piasku, i na koniec nieruchomieje niecałe pięć stóp przed starcem w błękitnej szacie, który – choć w pierwszej chwili również się odsunął, by przybysz znalazł dla siebie dość miejsca – teraz stoi jak skała ze swym kosturem w ręku i spokojnie wpatruje się w zimne, żółte ślepie.

– Co uczyniłeś z moim ulubionym wyznawcą? – pyta Wieloreki, nie wypowiadając tych słów na głos.

– Z bólem przyznaję, że znów wyrwał się na świat – wzdycha sędziwy mężczyzna.

– Na który świat? Jest ich tak wiele.

– Na Ziemię.

– Którą Ziemię? Jest ich tak wiele.

– Na moją – odpowiada mag. – Tę prawdziwą.

Wieloreki mózg wydaje spomiędzy zwałów swej tkanki dziwny dźwięk, wilgotny i śluzowaty, trochę jak sapanie prychającego morską wodą wieloryba.

– Prospero, gdzie moja kapłanka? Moje dziecko?

– Które dziecko? – upewnia się starzec. – Czy szukasz błękitnookiej kurwy, nienawistnej krukoświni, czy może potomka tej wiedzmy? Piegowatego bękarta, szczenięcia, które nie otrzymało nawet ludzkiego kształtu, wyplutego z jej trzewi w moim świecie?

Mag posłużył się zbitką łacińskich wyrazów. *Sus* oznaczającego kruka i *korax*, świnia. Zrobił to z wyraźną przyjemnością, podobnie jak chwilę potem, kiedy mówił

o wypluwaniu z trzewi.

– Sykoraks i Kaliban. Gdzie oni są?

– Dziwka zaginęła. Młody jaszczur wyrwał się na wolność.

– Czyli mój Kaliban umknął z wyspy, gdzie przez tyle stuleci trzymałeś go w niewoli?

– Czyż nie powiedziałem tego ledwie przed chwilą? Mógłbyś zamienić część swych oczu na dodatkowe uszy.

– Czy zeżarł już na tamym świecie wszystkich twoich nędznych śmiertelników?

– Nie wszystkich. Jeszcze nie. – Starzec wskazuje kosturem na kamienne posągi, wyglądające w morze ze szczytu urwiska za jego plecami. – Przyjemnie było przez cały czas czuć na sobie ich spojrzenia, Wieloręki?

Mózg ponownie parska śluzem i słoną wodą.

– Pozwolę, by zielone ludziki jeszcze się trochę potrudziły, po czym sprowadzę na nich potężne tsunami. Utoną wraz z twoimi żalnymi szpiegującymi podobiznami.

– Czemu nie uczynisz tego od razu?

– Dobrze wiesz, że mógłbym. – Mimo że istota nie posługuje się ustami, w ostatnich słowach daje się słyszeć złośliwy uśmieszek.

– Wiem, nienawistniku – odpowiada Prospero. – Wiem też jednak, że wygubienie tej rasy byłoby zbrodnią przewyższającą wszystkie, jakich dopuściłeś się wcześniej. Zeki są stworzeniami bliskimi ideału. Stanowią wcielenie współczucia, są uosobieniem lojalności. Nie zostały po prostu odmienione, jak bogowie powołani do istnienia mocą twego potwornego kaprysu. To moje istoty. Sam je stworzyłem.

– I choćby dlatego ich zagłada przyniesie mi niezmierną radość. Na co komu te nieme, karmiące się światłem zera? Przecież to chodzące begonie.

– Owszem, głosu nie mają – przyznaje stary czarnoksiężnik – lecz do niemoty wiele im brakuje. Między sobą porozumiewają się za pomocą genetycznie zmodyfikowanych pakietów danych. Przekazują je sobie drogą komórkową, przez dotyk. Gdy zachodzi konieczność skontaktowania się z istotą nienależącą do ich rasy, jeden z nich z własnej woli poświęca swe serce. Kiedy obcy go dotknie, jednostka ginie, lecz potem zostaje wchłonięta przez pozostałych, co umożliwia jej dalsze istnienie. To piękne.

– *Manesque exire sepulcris* – syczy myślami wieloręki Setebos. – Jedynym, co potrafisz, jest przywoływanie umarłych z grobów. Jesteś jak Medea.

Zupełnie bez ostrzeżenia Setebos obraca się na palcach swych potężnych rąk i węzowym ruchem strzela mniejszą dłonią, którą wyciąga na macce długiej na dwadzieścia metrów. Szara niczym czerw pięść uderza w pierś stojącego na brzegu Emzetela, przebija skórę, ścisnąc unoszące się wewnątrz zielone serce i wyrzuca je na zewnątrz. Ciało zeka pada bez życia na piach. Wyciekają płyny ustrojowe. Inny Marsjanin natychmiast klęka, by wchłonać jak najwięcej substancji komórkowych zabitego.

Setebos cofa łodygowate ramię, wyciska serce jak gąbkę i odrzuca suchą łupinę.

– Jego serce było równie puste i nieme jak głowa. Nie przekazał mi żadnej wiadomości.

– Tobie nie – przytakuje Prospero. – Teraz jednak ze smutkiem pojąłem, iż z nieprzyjaciółmi nie należy mówić otwarcie. Zawsze cierpią na tym niewinni.

– Taka ich rola. Właśnie po to ich tworzymy. Obaj.

– Tak, właśnie w tym celu posiadamy swoje honory, po to nam wykonawcy naszej woli, by nastrojać serca wszystkich do miłej nam melodii. Ale twoje istoty, Setebosie, stanowią obrazę całości istnienia. Zwłaszcza Kaliban. Twe potworne dziecko jest bluszczem, który obrósł mój książęcy pień i wyssał z niego całą soczystość.

– Po nic innego na świat nie przyszedł.

– Przyszedł na świat? – śmieje się cicho Prospero. – Twój zrodzony z wiedźmy bękart został wylany w kałuży śluzu, wraz z całym odrażającym pomiotem tej kurwy kapłanki. Z ropuchami, żukami, nietoperzami i świniami, które były dawniej ludźmi. Byłby ten jaszczur przemienił mą Ziemię we własny chlew, gdybym nie przyjął zdrajcy do siebie, gdybym nie nauczył go mowy, nie umieścił we własnym więzieniu i nie zajął się nim po ludzku, demonstrując przy tym wartość człowieczych cnót... dla dobra własnego, pomyślności świata i nawet jego, tego kłamcy.

– Człowieczych cnót – powtarza drwiąco Setebos. Podchodzi na pięć kroków, cień wielkiego cielska pada na sędziwego maga. – Ja nauczyłem go władzy. Ty pokazałeś mu ból.

– Kiedy, podobnie jak cała twoja ohydna rasa, zapomniał o swym naturalnym miejscu i zaczął bredzić niebezpiecznymi słowy, zasłużenie zesłałem go na skalistą wyspę, gdzie dotrzymywałem mu towarzystwa.

– Magu niktzemny! Wygnałeś Kalibana na tę kosmiczną wyspę i posłałeś tam jeden ze swych hologramów po to tylko, by go zwodzić i dręczyć przez całe stulecia!

– Dręczyć? Mówisz o torturach? Nie. Kiedy jednak ten płaz odrażający okazywał się nieposłuszny, karałem go skurczami, przepelniałem jego kości bólem i sprawiałem, że ryczał tak donośnie, że inni mieszkańcy orbitalnej wyspy drżeli na sam dźwięk. Co więcej, kiedy schwytam go ponownie, postąpię tak samo.

– Za późno – prycha Setebos. W tej chwili na starca w niebieskiej szacie spoglądają już wszystkie niemrugające ślepie. Palce dygocą i kołyszą się niecierpliwie. – Sam powiedziałaś, że mój syn, który wielką mi przysparza radość, wyrwał się na świat. Oczywiście sam o tym wiedziałem. Wkrótce do niego dołączę. Staniemy razem, u boku tysięcy małych kalibanów, w których stworzeniu tak chętnie mi pomogłeś, gdy wciąż mieszkałeś wśród postludzi i sądziłeś, że ten skazany świat jest miejscem dobrym. Już wkrótce jak ojciec, syn i wnuk, przemienimy tę zieloną kulę w miejsce znacznie bardziej przyjemne.

– Czyli w bagnisko? – odpiera Prospero. – W mokradła pełne cuchnących wyziewów, zamieszkane przez koszmarnie istoty, gęste od mroku i chorób lęgnących się z bagien, trzęsawisk i grzęzawisk? I ze smrodu upadku Prospera?

– Tak. – Wielka, przypominająca różowy mózg istota kołysze się na długich palcach swych dłoni. Wygląda, jakby tańczyła do niesłyszalnej melodii lub w rytm przyjemnych jej uszom wrzasków.

– W takim razie Prospero nie może upaść – szepce sędziwy mężczyzna. – Nie wolno mu.

– Ależ upadniesz, magu. Jesteś ledwie pochodzącym z noosfery cieniem myśli o zapomnianym wspomnieniu. Uosobieniem bezładnego i bezdusznego impulsu

bezużytecznej informacji, bezsensownego bełkotu rasy, która już dawno temu uległa zdziecinieniu i rozkładowi. Jesteś cybernetycznym wypierdkiem na wietrze. Upadniesz, podobnie jak ta twoja biodziwka, Ariel.

Prospero unosi swą laskę, jakby chciał zaatakować potwora. Zaraz potem jednak stuka nią o ziemię i podpira się ciężko, jakby zupełnie opadł z sił.

– Ariel nadal jest dobrym i lojalnym sługą Ziemi. Niemożliwe, by przeszedł na twoją służbę. Nie odda się też w usługi twemu potwornemu pomiotowi ani tej błękitnookiej dziwce.

– Usłuż nam własną śmiercią.

– Potworze! Ariel jest Ziemią! Są jednym! – dyszy Prospero. – Me słodkie dziecię zyskało pełnię świadomości, gdy noosfera splotła się ze świadomą biosferą. Czy naprawdę gotów byłbyś unicestwić cały świat, by nasycić swój gniew i próżność?

– O tak.

Setebos wybija się na mocarnych palcach i skacze naprzód. Chwyta starca pięciorgiem dłoni, unosi go ku czwórce swych oczu.

– Gdzie jest Sykoraks?

– Gnije.

– Kirke nie żyje? Córa i konkubina Setebosa nie może umrzeć!

– Gnije.

– Gdzie? Jak to?

– Wiek i zazdrość przygięły jej grzbiet do ziemi. Ja sam, osobiście, obróciłem ją w rybę, która właśnie zaczęła gnić od głowy.

Wieloręki parska raz jeszcze. Rozlega się wilgotny dźwięk. To potwór wyrywa ze stawów nogi Prospera. Ciska je w morskie fale. Następnie wyłamuje magowi ramiona i wciska je sobie do najgłębiej ukrytej między fałdami tkanek paszczy. Na koniec wydziera z okaleczonego korpusu trzewia i chłepce z nich całą wilgoć, wsysa jelita niczym nitki makaronu.

– I to cię bawi? – pyta głowa Prospera, zanim i ona rozpada się, zmiażdżona robaczymi palcami. Kawalki czaszki i mózgu również giną w potwornej gardzieli.

Srebrzyste macki czekającego na plaży aparatu zaczynają drgać, paraboliczne ssawki błyskają. Falująca, lekko niewyraźna sylwetka Prospera materializuje się nieco dalej.

– Przynudzasz, Setebosie. Jak zawsze dyszący wściekłością i wygłodniały i jak zawsze koszmarnie nudny.

– Odnajdę w końcu twoje ciało, Prospero. Bądź tego pewien. Na twojej Ziemi, lub pod jej skorupą, w odmętach jej oceanów lub na orbicie. Znajdę ten kłębek tkanek, który niegdyś był tobą, i pożrę cię, przeżuję powoli. Nie miej złudzeń.

– Nudziarz – rzuca czarnoksiężnik. W tej chwili wygląda na wyczerpanego i zasmuczonego. – Bez względu na los, jaki czeka twoich bogów na glinianych nogach, bez względu na przyszłość moich marsjańskich zeków oraz ukochanych ziemian z Troi, spotkamy się już niebawem. Tym razem na Ziemi. A nasza długa wojna dobiegnie ostatecznego końca. Na dobre bądź na złe.

– Tak. – Wieloręka istota wypluwa z paszczy skrwawione strzępy, odwraca się

i przebijając palcami, pędzi ku morzu. Zanurza się i po chwili widać już tylko spienioną krew, tryskającą niczym fontanna z otworu w górnej powłoce mózgu.

Prospero wzdycha. Skinieniem głowy daje znak wojniksom, podchodzi do najbliższego Emzetele i przytula go.

– Bardzo chciałbym poznać wasze myśli, umiłowani. Chciałbym z wami porozmawiać, lecz moje sędziwe serce nie zniesie już dzisiaj widoku kolejnej śmierci. Dopóki więc nie przybędę tutaj ponownie, w szczęśliwszej godzinie, pamiętajcie me słowa. *Corragio!* Odwagi! *Corragio!*

Wojniksy podchodzą i zabierają projektor. Mag znika. Ostrożnie zwijają srebrne macki, odnoszą urządzenie do parowego kabrioletu i znikają w oświetlonym czerwonym blaskiem wnętrzu. Schodki składają się i podnoszą. Silnik budzi się do życia.

Pojazd zawraca, zostawia za sobą kłęby pary i tuman podniesionego z plaży piachu. Zeki w milczeniu rozstępują się przed nim i już po chwili niezgrabna maszyna znika w Dziurze Branowej.

Kilka sekund później maleje sam portal, kurczy się, zwija w swym jedenastowymiarowym świetle czystej wielobarwnej energii i znika.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem jest szmer sennych fal, spokojnie obmywających czerwoną plażę. Wreszcie Emzetele rozchodzą się do feluk i barek, stawiają żagle i odpływają ku swym nieukończonym kamiennym posągom.

Ledwie spięła rumaka do biegu, ledwie podrzuciła w dłoni podarowaną przez Atenę włócznię, by zadać zabójczy cios, Pentezylea zrozumiała, że przeoczyła dwie bardzo ważne sprawy. Kwestie, które mogły teraz przypieczętować jej los.

Po pierwsze – w tej chwili tak wielkiej skali niedopatrzenie wydawało się niewiarygodne – ani Atena jej nie powiedziała, ani sama królowa nie zapytała, która z pięć mężobójcy jest wrażliwa na ciosy. Osobiście zakładała, że powinna ranić prawą – wyobraziła sobie bowiem, że Peleus wyjął niemowlę z Niebiańskiego Ognia, trzymając je za prawą nóżkę. Atena wszakże w żaden sposób tych domysłów nie potwierdziła. Powiedziała jedynie, że narażona jest jedna z pięć.

Amazonka rozumiała, że nawet magiczną włócznią Ateny niezwykle trudno będzie trafić Achillesa akurat w piętę. Cóż, nikt rozsądny nie powinien przecież obstawiać, że Grek się nagle odwróci i rzuci przed nią do ucieczki. Biorąc to pod uwagę, zleciła siostrze wymordować jak najwięcej Achajów osłaniających jego plecy. Planowała wypuścić z dłoni zabójczy pocisk w chwili, gdy chyżonogi mężobójca obejrzy się i stanie tyłem, by sprawdzić, którzy z jego towarzyszy polegli, a którzy odnieśli tylko rany. Tak przecież powinien uczynić godny swego miana, lojalny wobec podkomendnych dowódca. Aby taktyka owa mogła jednak zadziałać, Pentezylea musiała odwlec własny atak i pozwolić Amazonkom powalić najpierw co najmniej kilku przeciwników. Trwanie na tyłach w tym czasie nie leżało w naturze królowej, zawsze pierwsza rwała się do bitwy. Mimo że podwładne doskonale pojmowały naturę planu, rozumiejąc, że inaczej nie da się mężobójcy pokonać, Pentezylea oblała się rumieńcem wstydu, gdy zamknął się przed nią szereg uderzających na męski szyk wojowniczek, a ona sama nieco powstrzymała swego potężnego rumaka.

Drugi powód do niepokoju stał się oczywisty krótką chwilę później. Powiewy wiatru biły zza pleców Achillesa, nie w jego twarz. A przecież powodzenie zamiarów Pentezylei zależało w znacznej mierze od tego, by mężobójca uległ zgubnemu wpływowi wonności Afrodyty. Tyle że muskularny idiota musiałby je wcześniej poczuć. Inaczej nic z tego. O ile więc wiatr się nie zmieni lub jeśli ona sama nie zbliży się do blondwłosego wojownika na odległość tchnienia, czarodziejska mikstura w niczym nie może jej pomóc.

Chuj z tym! – zaklęła w duchu królowa Amazonek, widząc, jak towarzyszki wypuszczają pierwsze strzały i włocznie. Niech o wyniku rozstrzygną Mojry! Tchórzliwych niech porwie Hades! Ojczyźnie Aresie! Przybywaj i ochroń mnie!

Podświadomie spodziewała się lada moment ujrzeć boga wojny u swego boku, być może nawet w asyście Ateny i Afrodyty – ostatecznie to one pragnęły, by Achilles wydał dziś ostatnie tchnienie. Nie pojawił się jednak ani jeden Olimpijczyk. Mglenie później konie nadziały się na mur śpiesznie poderwanych ku górze włóczni, sunące w powietrzu lance zagrzechotały o podniesione tarcze i niepowstrzymane wojowniczkę starły się z nieustępliwymi Achajami.

Początkowo boska opieka i łut szczęścia stały po stronie Amazonek. Kilka wierzchowców znieruchomiało z przeszytymi włóczniami bokami, lecz pozostałe masywne rumaki zdołały się przedrzeć przez argiwski szyk. Grecy zaczęli się cofać i padać. Kobiety galopem okrążyły około pół setki otaczających Achilleśa żołnierzy i zaczęły ich zabijać gwałtownymi ciosami mieczy i włóczni.

Klonia – najwierniejszy oficer Pentezylei i najprzedniejsza wśród Amazonek łuczniczka – wypuszczała strzały z niezrównaną szybkością. Mierzyła wyłącznie w Greków stojących za Achillesem, zmuszając mężobójcę do oglądania się na rannych i umierających. Achaj Menippus runął z krtanią przeszytą długim drzewcem. Jego przyjaciel, potężny Podarkes, syn Ifiklosa i brat martwego już Protesilaosa, skoczył wściekle do przodu, starając się dźgnąć Klonię lancą w biodro. Wtedy jednak Bremusa rozplatała jego broń na dwoje i mocarnym cięciem znad głowy odrąbała mu ramię w łokciu.

Dwie inne Amazonki, Euandra i Termodoa, walczyły już pieszo. Ich wierzchowce wierzgały konwulsyjnie na ziemi z sercami przebitymi lancami Achajów. Wkrótce jednak otoczył je – stojące plecy w plecy, wymachujące migocącymi, półkolistymi tarczami – krąg rozwrzeszczanych, nacierających Greków.

Pentezylea przebijała argiwskie tarcze wraz z drugą falą atakujących wojowniczek. Obok siebie miała Alkibię, Dermachię i Derione. Co rusz wyrastały przed nimi wyszczerzone brodate głowy i spadały przy pierwszym uderzeniu miecza. Wypuszczona z dalszych szeregów strzała odbiła się rykoszetem od hełmu królowej. Ogłuszonej chwilowo Pentezylei zatańczyły przed oczyma czerwone plamy.

Gdzie jest Achilles? Zagubiła się na moment w bitewnym chaosie, lecz nagle dostrzegła mężobójcę. Stał dwadzieścia kroków od niej, po prawej stronie. Walczył otoczony swymi najwierniejszymi druhami – byli z nim Ajakowie, Idomeneus, Odyseusz, Diomedes, Stenelos i Teukros. Pentezylea wydała z siebie przenikliwy wojenny okrzyk, uderzeniem pięty o żebra spięta konia i skierowała go ku stawiającym zaciekle opór mężczyznom.

Dokładnie w tej samej chwili tłum walczących nieco się rozstał. Achilles odwrócił się i spojrzał na jednego ze swych ludzi, Euenora z Dulichionu, który runął na ziemię ze sterczącą z oka strzałą Klonii. Pentezylea zyskała świetny widok na odsłoniętą łydkę herosa, przewiazaną tylko rzemieniami nagolenników. Zobaczyła też jego przyprószone piachem kostki i stwardniałe pięty.

Wyraźnie czując w dłoni drżenie drzewca, królowa odchyliła się, wzięła zamach i wkładając w rzut całą swą siłę, cisnęła włócznią Ateny. Lanca pofrunęła pewnie i trafiła chyżonogiego mężobójcę prosto w pozbawioną osłony prawą piętę, po czym... odbiła się i upadła na piach.

Achilles gwałtownie odwrócił się i poderwał głowę. Okrutne błękitne oczy wbiły się drapieźnie w Pentezyleę. Grecki wojownik rozciągnął usta w strasliwym uśmiechu.

Amazonki wciąż były związane walką z grupką herosów. Losy starcia zaczęły się odwracać.

Bremusa wypuściła włócznię, mierząc w Idomeneusa, lecz syn Deukaliona swobodnym ruchem poderwał okrągłą tarczę i lanca pękła na dwie części. Wtedy bohater

przeszedł do kontrataku. Jego włócznia poszybowała bezbłędnie. Grot przebił ciało rudowłosej Amazonki tuż poniżej lewej piersi i wyszedł z pleców, rozrywając po drodze kręgosłup. Kobieta przechyliła się do tyłu, spadła ze spienionego konia, a szóstka mniej znanych Argiwów natychmiast ruszyła, by obedrzeć jej zwłoki z pancerza.

Widząc klęskę siostry, Alkibia i Dermachia zakrzyknęły obłąkane gniewem i skierowały swe wierzchowce na Idomeneusa, lecz wówczas obaj Ajaksowie chwycili ich uprzęże i korzystając ze swej niebywałej siły, powstrzymali szarpiące się rumaki. Gdy obie wojowniczkę zeskoczyły na ziemię, by kontynuować walkę pieszo, Diomedes, syn Tydeusa, ściał je jednym zamaszystym uderzeniem miecza. Na oczach zdjętej grozą Pentezylei wciąż mrugająca z niedowierzaniem głowa Alkibii potoczyła się w kurzu, a kiedy znieruchomiła, podniósł ją za włosy zanoszący się śmiechem Odyszeusz.

Jakiś bezimienny Argiw chwycił ją za łydkę i drapiąc próbował ściągnąć z końskiego grzbietu. Królowa przeszła mu pierś drugą włócznią, której grot wraził się głęboko w jego trzewia. Wojownik otworzył szeroko usta i osunął się ciężko, wrywając kobiecie drzewce z dłoni. Amazonka sięgnęła po swój topór i ponagliła wierzchowca do żywszego biegu. Jechała, trzymając się zwierzęcia samymi tylko kolanami.

Pędząca po prawicy władczyni Derione spadła z siodła, szarpnięta przez Ajaksa Małego, syna Oileusa. Dziewczyna uderzyła w podłoże plecami i straciła dech w piersiach. Już miała sięgnąć po miecz, lecz wtedy Ajaks zaśmiał się dziko, wbił włócznię w brzuch leżącej i obracał nią, póki Amazonka ostatecznie nie przestała się wić.

Klonia wymierzyła z łuku w serce Ajaksa Małego. Strzała odbiła się od zbroi. Właśnie wtedy Teukros, nieślubny syn Telamona, łucznik nad łucznikami, błyskawicznie wypuścił w zdyszana Klonię trzy kolejne pociski – pierwszy przeszył jej gardło, drugi przebił pancerz i utkwiał w jej brzuchu, ostatni wszedł w lewą pierś Amazonki tak głęboko, że na zewnątrz pozostały jedynie lotki i długi na marne trzy cale kawałek drzewca. Ukochana przyjaciółka Pentezylei runęła z krwawiącego wierzchowca w piach i legła bez życia.

Euandra i Termooda wciąż trzymały się na nogach i zaciekle walczyły oparte o siebie plecami, mimo że obie były skrwawione i z wyczerpania ślaniały się już na nogach. Nagle otaczający je Achajowie odskoczyli i Meriones, syn Molusa, druh Idomeneusa, zastępca dowódcy kontyngentu z Krety, rzucił dwiema włóczniami jednocześnie. Ciężkie pociski świsnęły w powietrzu i przeszyły wszystkie warstwy lekkich pancerzy wojowniczek. Zabite Termooda i Euandra osunęły się na ziemię.

Zginał już cały oddział Pentezylei. Jej ciało pokrywała setka draśnień i ran, lecz żadna nie była śmiertelna. Bliźniacze ostrza topora uwalane były krwią i wnętrznościami Argiwów, ale królowa nie miała już siły go podrywać. Odrzuciła więc nieporęczną broń i sięgnęła po swój krótki miecz. Stojący między nią a Achillesem Grecy rozstąpili się na boki, robiąc królowej miejsce.

Zupełnie jak zrzędzeniem samej Ateny włócznia, którą Amazonka cisnęła w prawą piętę herosa, leżała wciąż w jednym kawałku na ziemi obok prawego kopyta jej wycieńczonego wierzchowca. W normalnych okolicznościach, Pentezylea pochyliłaby się w pełnym galopie i poderwała magiczną broń z ziemi, lecz była nadto zmęczona; pancerz ciążył jej coraz bardziej, a ranne zwierzę nie miało sił do biegu. Królowa zsunęła

się więc bokiem z konia, zeskoczyła i przyklękła. Dwie wypuszczone z łuku Teukrosa strzały zagwizdały tuż nad jej hełmem.

Kiedy się wyprostowała, widziała już tylko Achillesa. Wszyscy pozostali, cały wezbrany dokoła tłum krzyczących Achajów rozmył się jej w oczach. Nie liczyli się zupełnie.

– Rzuć raz jeszcze – zachęcił Achilles z tym swoim niegasnącym straszliwym uśmiechem.

Pentezylea włożyła w ten rzut ostatek sił, celowała nisko, próbując trafić w widoczne pod krawędzią jego pięknej tarczy nagie muskularne uda.

Achilles przyklękął błyskawicznie jak pantera. Włócznia Ateny uderzyła w tarczę i roztrzaskała się w drzazgi.

Królowa Amazonek mogła już tylko czekać. W jej dłoni ponownie błysnął topór. Wyszczierzony w uśmiechu heros podniósł swą lancę, legendarny oręż, wykonany przez centaura Chirona dla ojca Achillesa, Peleusa. Ta włócznia również nigdy nie chybiała celu.

Rzucił. Pentezylea osłoniła się półokrągłą tarczą. Grot lancy przebił ją, i nie zwalniając, przeszył zbroję Amazonki i jej prawą pierś. Włócznia wyszła z pleców i uderzyła stojącego za królową rumaka. Zatrzymała się dopiero w zwierzęcym sercu.

Władczyni i jej wierzchowiec padli w kurz jednocześnie. Ciało Pentezylei zakołysało się na tkwiącej w koniu włóczni. Gdy Achilles podszedł z mieczem w dłoni, Amazonka z całych sił próbowała utrzymać na nim spojrzenie, choć oczy zachodziły jej mgłą. Topór wymknął się spomiędzy omdlewających palców.

– Jasna cholera... – szepnął Hockenberry.

– Amen – dodał Mahnmut.

Scholiasta i morawiec przez całe starcie stali obok Achillesa. Gdy bohater podszedł do drgającego konwulsyjnie ciała Pentezylei, ruszyli naprzód.

– *Tum saeva Amazon ultimus cecidit metus* – wyrecytował półgłosem Hockenberry.
– „I tak zginęła dzika Amazonka, nasz największy wróg”.

– Znowu Wergiliusz? – zaciekał się Mahnmut.

– Nie, tym razem Seneka. Kwestia Pyrrusa z tragedii „Trojanki”.

Wtedy stało się coś bardzo dziwnego.

Kiedy achajscy wojownicy stłoczyli się wokół martwej lub umierającej Amazonki, by zerwać z niej pancerz, stojący nad nią Achilles splótł ramiona na piersi. Nozdrza herosa zadrżały, jakby upajał się fetorem krwi, końskiego potu i śmierci. Nagle chyżonogi mężobójca uniósł swe wielkie dłonie do twarzy, zasłonił oczy i zapłakał.

Ajaks Wielki, Diomedes, Odyseusz i kilku innych wodzów, którzy przybyli, by obejrzeć zabitą Pentezyleę, cofnęli się w zdumieniu. Tersytes o szczurzej twarzy i kilku mniej znacznych żołnierzy nie zwrócili na łkającego półboga uwagi i wciąż skrzętnie odzierali królową Amazonek ze zbroi. Spod zerwanego z rozkołysanej głowy hełmu wypłynęła fala złotych loków.

Achilles spojrział pod niebo i zaczął lamentować równie żałośnie jak w ów pamiętny poranek, gdy podszywający się pod Atenę scholiasta zamarkował zabójstwo Patroklosa i porwał jego zwłoki. Grecy oficerowie z szacunkiem odsunęli się od zabitej

kobiety i jej wierzchowca.

Tersytes wyciągnął sztylet i rozciął rzemienie podtrzymujące napierśnik i pas martwej królowej Amazonek. Tak bardzo śpieszyło mu się do tych niezasłużonych łupów, że pokaleczył przy tym jej białą skórę. Po chwili władczyni była już niemal zupełnie naga – poharatane i posiniaczone, lecz wciąż w jakiś niezrozumiały sposób idealne ciało okrywała już tylko jedna obluźwana nagolenica, srebrny pas i samotny sandał. Długa lanca Peleusa wciąż utrzymywała ją przy końskim trupie, a Achilles nawet nie spróbował jej wyszarpnąć.

– Odstąpcie! – rzucił mężobójca.

Większość Achajów posłuchała natychmiast.

Tersytes o paskudnym wejrzeniu – pod jedną pachą trzymając pancerz Pentezylei, a pod drugą ściskając zakrwawiony hełm królowej – zaśmiał się tylko przez ramię i zaczął się mocować z klamrą migocącego srebrzyście pasa.

– Głupiec z ciebie, synu Peleusa. Wylewasz łzy po tej martwej dziwce. Szlochasz gorzko za jej pięknem. A przecież ta kobieta stała się teraz już tylko karmą dla robaków. Nie jest warta nawet splunięcia.

– Odejdź stąd – rozkazał Achilles złowieszczym, beznamiętnym tonem. Łzy wciąż wypłukiwały jaśniejsze ścieżki na przyprószonym kurzem obliczu herosa.

Ośmielony tak jawną demonstracją niewieściej słabości Tersytes zignorował polecenie i zerwał z bioder zabitej bezcenny pas. Uwalniając go, uniósł nieznacznie Pentezyleę i wykonał przy tym obsceniczny gest, udając kopulację z trupem.

Achilles wykonał jeden krok naprzód i uderzył Tersytesa pięścią w twarz. Strzaskał mu kości policzka i szczęki. Spomiędzy warg szczura posypały się poźółkłe zęby, a on sam przeleciał nad martwym koniem i królową, po czym padł na piach. Z ust i nosa bluznęły mu strugi krwi.

– Nie dostaniesz grobowca ani kurhanu – warknął Achilles. – Powążyłeś się kiedyś szydzić z Odyseusza i on ci wybaczył. Przed mgnieniem zadrwiłeś ze mnie, więc cię zabiłem. Nikomu nie wolno bezkarnie kpić z Peleusowego syna. A teraz idź, pędź prosto do Hadesu i drwij sobie z tamtejszych cieni, jeśli ci starczy dowcipu.

Tersytes zadławił się własną krwią, zakrztusił wymiocinami i umarł.

Achilles powoli – niemal z czułością kochanka – sięgnął po swą włócznię. Grot wyszedł z ziemi, z końskiego trupa i z kołyszącego się delikatnie ciała Pentezylei. Pozostali Achajowie cofnęli się jeszcze dalej. Żaden z nich nie rozumiał powodu lamentów i płaczu mężobójcy.

– *Aurea cui postquam nudavit cassida frontem, vicit victorem candida forma virum* – szepnął do siebie Hockenberry. – „Kiedy zdjęto jej złoty hełm i odsłonięto twarz, jej piękna postać urzekła mężczyznę, Achillesa zwycięzcę”. – Zerknął na Mahnmuta. – Propercjusz, „Elegie”, księga trzecia, poemat jedenasty.

Morawiec pociągnął scholiastę za rękę.

– Chodź, jeżeli się stąd zaraz nie zabierzemy, ktoś napisze elegię dla nas. Już!

– Ale dlaczego? – zdziwiony Hockenberry rozejrzał się dokoła.

Wyły syreny. Krążący po polu skałowieccy żołnierze wzmocnionymi sprzętowo okrzykami poganiali tłumy wycofujących się Achajów. Kazali im czym prędzej wracać

na drugą stronę Dziury. Rozpoczął się walny odwrót. Fale rydwanów i biegnących piechurów przelewały się przez portal, lecz do ucieczki nie nakłoniły ich wcale głośniki morawców – wybuchł Olimp.

Ziemia... to znaczy marsjańska gleba... zatrzęsała się i zadygotała. Powietrze wypełnił swąd siarki, podniosły się tumany czerwonego pyłu, dokoła rozszedł się fetor strachu. Widoczny w dali, za plecami cofających się armii Trojan i Argiwów, przesłonięty mgiełką egidy wierzchołek góry rozjarzył się czerwienią. Pod niebo strzeliły wysokie na mile kolumny płomieni. Na górnych partiach stoków największego wulkanu w Układzie Słonecznym pojawiły się pierwsze rzeki rozżarzonej lawy.

– Co się dzieje? – spytał Hockenberry.

– Bogowie w jakiś sposób doprowadzili do erupcji, w dodatku lada moment zamknie się Dziura Branowa – wyjaśnił pośpiesznie Mahnmut, niemal przemocą odwodząc scholiastę od Achillesa, wciąż klęczącego przy martwej władczyni Amazonek.

Pozostałe zabite wojowniczkę również zostały już odarte z pancerzy. Poza grupką najbardziej znamienitych wodzów ku Dziurze gnali już niemal wszyscy Achajowie.

– Musicie się stamtąd wynosić. – Orphu z Io ponaglił przez radio przyjaciela.

– Wiem – odpowiedział mniejszy morawiec – Sami widzimy, co się dzieje.

– Najgorszego nie widzicie – sprostował Orphu. – Instrumenty wskazują, że przestrzeń Calabiego-Yau w Dziurze zakrzywia się, grożąc stworzeniem czarnej dziury lub tunelu czasoprzestrzennego. Wibracje strun są mocno niestabilne. Nie ustaliliśmy jeszcze, czy Olympus Mons rzeczywiście rozsadzi część planety, za to pewne jest, że do zniknięcia Dziury pozostało najwyżej kilka minut. Wsadzaj Hockenberry'ego z Odyseuszem na statek i przywieź ich tutaj.

Mahnmut spojrział pomiędzy migocące broje i przykurzone łydki. Po chwili wypatrzył Odyseusza. Król Itaki stał trzydzieści kroków od nich i rozmawiał właśnie z Diomedesem.

– Z Odyseuszem? Hockenberry nie zdążył z nim jeszcze nawet pomówić, o przekonaniu go do wyprawy nie wspominał. Naprawdę tak bardzo go potrzebujemy? – upewnił się morawiec.

– Takie wnioski płyną z analizy przeprowadzonej przez naczelnego integratora – potwierdził Orphu. – Nawiasem mówiąc, przez całą walkę oglądałem przekaz z twojej kamery. Niesamowite wrażenia.

– Po co nam Odyseusz? – zapytał Mahnmut.

Rozkołysana ziemia wydawała z siebie głuche pomruki. Po spokojnym dotąd morzu biegly od północy potężne grzywacze, rozbijające się z hukiem o czerwone skały.

– A skąd ja mam wiedzieć? – zachichotał basowo Orphu z Io. – Czy ja ci wyglądam na naczelnego integratora?

– W takim razie chętnie wysłucham pomysłów. Powiedz, geniuszu, jak mam przekonać Odyseusza, by porzucił swych przyjaciół, towarzyszy broni, dał sobie spokój z wojną trojańską i poleciał z nami – nadał Mahnmut. – Mam wrażenie, że wraz z pozostałymi herosami, ewentualnie z wyjątkiem Achillesa, zaraz wskoczą na rydwany i pomkną z powrotem przez Dziurę. Smród wulkanicznych gazów i wszechobecny hałas płoszy ich konie. Ludzie zresztą też powariowali. Jak mam według ciebie zwrócić w takiej

sytuacji uwagę Odyseusza?

– Wykaż się kreatywnością – odparł Orphu. – W końcu chyba z niej właśnie słyniecie, dzielni kapitanowie krążących po Europie batyskafów, prawda?

Mahnmut pokręcił z powątpiewaniem głową i podszedł do centuriona Mep Aho. Z głośnika skałowca raz po raz dobywały się głośnie okrzyki, niestrudzenie popędzał Achajów. Jego słowa ginęły w pomrukach wulkanu, stukocie końskich kopyt i tupocie obutych w sandały stóp biegnących ludzi. Wszyscy tłumnie pierzchali, byle dalej od Olimpu.

– Centurionie? – zagadnął Mahnmut przez radio, na wojskowej częstotliwości.

Dwumetrowy czarny morawiec odwrócił się i stanął sztywno na baczność.

– Melduję się.

Mahnmutowi co prawda nie nadano żadnego wojskowego stopnia, lecz skałowce zdawały sobie sprawę, że wraz z Orphu dorównują statusem takim dowódcom, jak owiany legendą Asteague/Che.

– Przejdiesz do mojego szerszenia i zaczekasz na dalsze rozkazy.

– Tak jest! – Mep Aho przekazał zadanie poganiania Greków jednemu z podkomendnych i potruchtał do pojazdu.

– Muszę sprowadzić Odyseusza na pokład szerszenia – zawołał morawiec w kierunku scholiasty. – Pomożesz mi?

Hockenberry, który patrzył to na wstrząsane konwulsjami zbocza Olimpu, to na rozedrganą Dziurę Branową, spojrział na małego morawca bez większego przekonania, lecz przytaknął skinieniem i ruszył z nim ku niewielkiej gromadce achajskich oficerów.

Żwawym krokiem minęli obu Ajaksów, Idomeneusa, Teukrosa i Diomedesa. Po chwili stanęli obok Odysa, przyglądającego się ze zmarszczonym czołem Achillesowi. Genialny strateg sprawiał wrażenie człowieka pogrążonego w głębokim namyśle.

– Wystarczy, że przyjdzie do szerszenia – szepnął Mahnmut.

– Synu Laertes... – zagał scholiasta.

Odyseusz gwałtownie poderwał spojrzenie.

– O co chodzi, synu Duane'a?

– Mamy dla ciebie nowiny od żony, panie.

– Co takiego? – Odyseusz z groźną miną złożył dłoń na rękojeści miecza. – O czym ty mówisz?

– Mówię o twojej żonie, o Penelopie, matce Telemacha. Posługując się magią morawców, przekazała przez nas wieści. Do ciebie.

– Pieprzę magię morawców – warknął Odys, popatrzył na Mahnmuta i skrzywił się paskudnie. – Odejdź stąd, Hockenberry i zabierz ze sobą tego obrzydliwego karła, zanim obu was rozplątam od krocza po brodę. Z jakiegoś powodu... sam nie wiem dlaczego, ale zawsze czułem, że to przez was, przez ciebie i te przeklęte morawce spadło na nas tyle nowych plag.

– Penelopa prosiła, bym ci przypomniał wasze łoże – stwierdził Hockenberry. Postawił na improwizację. Miał przy tym nadzieję, że wciąż jako tako pamięta przekład Fitzgeralda. Zawsze wołał prowadzić zajęcia na temat „Iliady”, „Odyseję” chętnie zostawiał profesorowi Smithowi.

– Moje łożo? – Odyseusz znów ściągnął brwi i odszedł na kilka kroków od pozostałych greckich wodzów. – Co ty wygadujesz?

– Uznała, że jeśli opiszę ci wasze małżeńskie łożo, zrozumiesz, że wiadomość rzeczywiście pochodzi od niej.

Odyseusz dobył miecza i przytknął ostry jak brzytwa brzeszczot do karku Hockenberry'ego.

– Nie bawią mnie takie krotchwile. Opisz mi to łożo. Za każdy błąd odejmę ci jedną kończynę.

Scholiasta z trudem powstrzymał odruchy: jeden kazał mu rzucić się do ucieczki, drugi popuścić po nogach.

– Penelopa prosiła, bym powiedział, że rama waszego łoża inkrustowana jest złotem, srebrem i kością słoniową, a wykonana z pasów wołowej skóry plecionka utrzymuje na miejscu miękkie nakrycia i narzuty z owczego runa.

– Ha! – zawołał Odyseusz. – To wszystko mogliście zobaczyć w sypialni każdego wielkiego człowieka. Idźcie stąd.

Diomedes i Ajaks Wielki podeszli do wciąż klęczącego przy zwłokach królowej Amazonek Achillesa i zaczęli namawiać go, by wraz z nimi wycofał się przez Dziurę. W tej chwili wibracje portalu dało się już zauważyć gołym okiem. Krawędzie wielkiego półkola traciły wyrazistość. Olimp ryczał tak głośno, że pozostali na równinie ludzie musieli rozmawiać krzykiem.

– Odyseuszu! – wydarł się scholiasta. – To ważne. Pójdź z nami i wysłuchaj posłania od pięknej Penelopy.

Przysadzisty brodac obrzucił Hockenberry'ego i morawca nieprzyjaznym spojrzeniem. Nadal nie opuszczał miecza.

– Powiedz mi, dokąd przeniosłem łożo po tym, jak zamieszkaliśmy razem z młodą żoną. Jeśli wiesz i to, może pozwolę zachować ci ramiona.

– Wcale go nie przenosiłeś – odparł Hockenberry z przekonaniem, choć czuł jak rozpaczliwie kołacze mu serce. – Penelopa twierdzi, że wznosząc swój pałac, obudowałaś ścianami sypialni silne i proste drzewo oliwne. Powiedziała, że uciąłeś jego gałęzie, a pień wpuściłeś w drewnianą powałę i pokryłeś rzeźbieniami. Teraz to drzewo służy za jedną z kolumniek waszego małżeńskiego łoża. Te właśnie słowa miałem ci przekazać, byś zrozumiał, że to naprawdę twa małżonka posyła ci wieści.

Odyseusz świdrował go spojrzeniem przez dobrą minutę. Wreszcie wsunął miecz z powrotem do pochwy.

– Mów, co to za wiadomość, synu Duane'a. – powiedział. – Nie ociągaj się – dodał, zerkając na niebo, które, jak się zdawało, wisiało coraz niżej nad ich głowami.

Olimp grzmiał nieprzerwanie. Nagle przez Dziurę wyleciała eskadra dwudziestu szerszeni i transportowców ratujących przed zatraceniem sprzęt morawców. Marsjańskim gruntem wstrząsnęła seria huków. Uciekający ludzie przywierali do ziemi, zasłaniając głowy rękoma.

– Stańmy tam, synu Laertesa, pod osłoną morawieckiej maszyny. Dobrze będzie, by nikt nas nie podsłuchał.

Przeszli przez tłum biegnących, nawołujących się ludzi i stanęli przy pojeździe.

Szerszeń przypominał czarnego owada o cienkich kończynach.

– Dobrze, a teraz mów, byle szybko! – rzucił Odyseusz, łapiąc scholiastę potężną dłonią za ramię.

– Masz przy sobie paralizator? – Mahnmur zwrócił się przez radio do centuriona Mep Ahoo.

– Tak jest.

– Ogłusz Odyseusza i wnieś go na pokład szerszenia. Usiądź za sterami. Startujemy natychmiast i lecimy na Fobosa.

Skałowiec dotknął karku Odyseusza. Między nim a brodaczem przeskoczyła iskra i Grek osunął się prosto w kolczaste ramiona czarnego morawca, który wszedł z nim do szerszenia, ułożył go, po czym natychmiast uruchomił silniki. Mahnmur rozejrzał się dokoła. Nic nie wskazywało, by którykolwiek z Achajów zauważył porwanie wodza. Wsiadł do środka i zajął miejsce obok Odysa.

– Chodź! – zwrócił się do Hockenberry'ego. – Dziura zapadnie się już za kilka sekund. Wszyscy po tej stronie utkną na Marsie na zawsze. – Podniósł wzrok na Olimp. – A jeżeli ten wulkan wybuchnie, „na zawsze” może oznaczać parę minut.

– Nie polecę z wami – oświadczył scholiasta.

– Hockenberry, nie zachowuj się jak wariat! – krzyknął mały morawiec. – Rozejrzyj się! Wszyscy Achajowie pędzą już do Dziury. Nawet ci najodważniejsi, Diomedes, Idomeneus, Ajaksowie, Teukros...

– Achilles został – zauważył Hockenberry. By Mahnmur go usłyszał, musiał się nachylić. Niebo sypało iskrami, które grzechotały na grzbiecie szerszenia niczym ognisty grad.

– Bo oszalał! – wrzasnął Mahnmur. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien rozkazać centurionowi Mep Ahoo, by ogłuszył także scholiastę.

Zupełnie jakby czytając mu w myślach, wywołał go Orphu. Mahnmur zdążył już zapomnieć, że morawce na Fobosie i w „Królowej Mab” śledziły bezpośrednią transmisję z wypadków na Marsie.

– Nie chcę go paraliżować – nadał Mahnmur. – Przynajmniej tyle jesteśmy mu winni. Pozwólmy mu podjąć samodzielną decyzję.

– Zanim się namyśli, będzie trupem – odparł Orphu z Io.

– Już kiedyś był – przypomniał mały morawiec. – Może znów ma ochotę – dodał i zwrócił się głośno do Hockenberry'ego. – Proszę cię, Thomas! Wskakuj. Potrzebujemy cię na „Królowej”.

Słyszając własne imię, Hockenberry otworzył szeroko oczy. Pokręcił jednak głową.

– Naprawdę nie chcesz zobaczyć swojej Ziemi? – zapytał morawiec.

Szerszeń trząsał się na ażurowym podwoziu, rozkołysany drzeniem marsjańskiej skorupy. Wokół Dziury Branowej wirowały chmury popiołów i siarki. Portal zaczął się wyraźnie kurczyć. Mahnmur uświadomił sobie nagle, że jeśli przeciągnie rozmowę o kolejną minutę bądź dwie, uparty człowiek po prostu będzie musiał z nimi polecieć.

Scholiasta odszedł o krok od pojazdu i wskazał kolejno palcem ostatnie oddziały pierzchających Achajów, martwe Amazonki, zaszlachtowane konie, mury dalekiego Ilionu i zmagające się armie, ledwie widoczne po drugiej stronie rozwibrowanej Dziury.

– To ja wywołałem cały ten chaos – stwierdził. – W najlepszym razie mocno się do tego przyczyniłem. Uważam, że powinienem zostać i pomóc wszystko naprawić.

Mahnmut również skinął ku ścierającym się za portalem wojskom.

– Ilion upadnie, Hockenberry. Nasze pola siłowe i antyteleportacyjne zapory zostały wyłączone.

Scholiasta odpowiedział uśmiechem. Osłonił dłonią twarz przed siekącymi drobinami rozgrzanego piachu i popiołu.

– *Et quae vagos vincina prospiciens Scythas ripam catervis Ponticam viduis ferit excisa ferro est, Pergannum incubuit sibi!* – zawołał.

Nie cierpię łaciny, stwierdził w duchu Mahnmut. Łacinników chyba też nie cierpię.

– Pewnie znowu Wergiliusz?

– Seneka – odpowiedział głośno Hockenberry. – „Wtedy ona...”, tu chodzi o Pentezyleę... „siostra wędrownych Scytów, zawsze czujna, prowadzi swój ubogi oddział ku pontyjskim brzegom i pada pod ciosem żelaza, aż Pergamon...”, Troja, Ilion, łapiesz?... „chwieje się w posiadach”.

– Hockenberry, bierz dupę w troki i wsiadaj do szerszenia – morawiec nie rezygnował.

– Powodzenia, Mahnmucie – scholiasta odszedł jeszcze dalej. – Przekaż moje pozdrowienia Ziemi i Orphu. Będę za nimi tęsknił.

Odwrócił się i nieśpiesznie podbiegł do klęczącego nad zwłokami Pentezylei zapłakanego Achillesa. Mężobójcę otaczali już tylko umarli, żywi ludzie uciekli. Chwilę potem, gdy szerszeń morawca poderwał się z ziemi i wystrzelił pod niebo, Hockenberry spiął się i co sił w nogach pobiegł ku zamykającej się Dziurze.

CZEŚĆ 2

Po stuleciach panowania subtropikalnego klimatu do Dworu Ardis zawitała prawdziwa zima. Nie spadł co prawda śnieg, choć na drzewach w okolicznych lasach utrzymały się jedynie najbardziej uparte liście, a szron jeszcze przez godzinę po opieszalym wschodzie słońca utrzymywał się na zacienianych przez wielki budynek trawnikach. Ada co rano obserwowała naznaczoną białymi iskierkami ziemię, której granica przesuwała się z wolna w kierunku domu, aż wreszcie pod ścianami utrzymywała się zaledwie cienka wstążeczka białych igiełek. Odwiedzający dwór goście donosili, że dwie niewielkie rzeki, których nurt przecinał drogę łączącą Ardis z pawilonem faksowym, pokryła gruba warstwa kry.

Tego wieczoru, jednego z najkrótszych w roku, Ada przespacerowała się po całym dworze, rozpalając lampy naftowe i świece. Mimo że była już w piątym miesiącu ciąży, ciągle poruszała się z wdziękiem. Stary dworek, wzniesiony ponad tysiąc osiemset lat wcześniej, jeszcze przed Ostatnim Faksowaniem, zapewniał rezydentom wszelkie potrzebne wygody. Pomieszczenia ogrzewało ciepło niemal dwóch tuzinów kominków, przez ostatnie wieki pełniących głównie funkcje dekoracyjne. W pozbawionych ich izbach – w sumie było ich sześćdziesiąt osiem – pojawiły się zaprojektowane i wykonane przez Harmana tak zwane piecyki Franklina, i ich żar sprawił tego wieczoru, że dziewczynę ogarnęła senność. Ada zapaliła już wszystkie światła na parterze i weszła po schodach piętro wyżej.

Zatrzymała się dopiero na drugim piętrze, gdzie stanęła przy dużym, łukowato sklepionym oknie na końcu korytarza. Po raz pierwszy od tysięcy lat – przemknęło jej przez myśl – drzewa w lasach padały pod ciosami ludzkich siekier. Co więcej, ludzie nie ścinali ich wyłącznie po to, by zdobyć drewno na opał. W ostatnich słabych promieniach zimowego słońca sączących się przez pofałdowane szyby w oknach zobaczyła drewnianą palisadę zabezpieczającą południowe zbocze trawiastego wzgórza. Ostrokół przesłaniał widok, lecz zapewniał w zamian poczucie bezpieczeństwa. Otaczał cały Dwór Ardis, miejscami biegł ledwie trzydzieści metrów od domu, gdzie indziej oddalał się od gmachu na sto i sięgał niemal pod sam las. Drewno ściętych drzew posłużyło też do konstrukcji wieżyczek wznoszących się teraz we wszystkich załomach palisady, a jeszcze kolejne pnie pozwoliły zamienić dziesiątki letnich namiotów na domy i baraki, w których zamieszkało ponad czterysta osób – nowych lokatorów Ardis.

Gdzie jest Harman? Właśnie to niepokojące pytanie Ada starała się od siebie odsunąć już od kilku godzin. Z powodu tej myśli rzuciła się w wir rozmaitych gospodarskich obowiązków. W tej chwili jednak nie potrafiła już o nim zapomnieć. Jej kochanek – kochanek, choć Harman obstawał przy archaicznym sformułowaniu „mąż” – wyjechał z dworu bladym świtem wraz z Hanną, Petyrem i Odyseuszem (upierającym się ostatnio, że jego prawdziwe imię brzmi Nikt). Zaprzęgli wołu do bryczki i wybrali się na przejażdżkę w poszukiwaniu zaginionych krów i dzikich jeleni. Zamierzali przeczesać

łąki i lasy w promieniu ponad dziesięciu mil od dworu.

Niemniej powinni już wrócić. Harman obiecywał, że pojawi się w domu na długo przed zapadnięciem zmroku.

Ada zeszła z powrotem na parter i udała się do kuchni. Od wielu stuleci wstęp do tego pomieszczenia miały jedynie serwitorki i z rzadka wojniksy, znoszące zarżnięte zwierzęta. Teraz jednak kuchnia tętniła życiem. Dzisiaj za przygotowanie posiłku – w samym dworze trzeba było wykarmić około pół setki ludzi – odpowiedzialni byli Emme i Reman, wokół których krzątało się około tuzina osób. Piekli chleb, mieszały sałatki, przygotowywali mięso na roznach obracających się w wielkim antycznym piecu, a przede wszystkim wywoływali niezrównany rozgardiasz, który miał się niebawem przerodzić w długi, zastawiony jedzeniem stół.

Emme pochwyciła spojrzenie Ady.

– I co? Wrócili już?

– Nie, jeszcze nie – odparła dziewczyna z uśmiechem. Usilnie się przy tym starała niczym nie zdradzić wewnętrznego niepokoju.

– Ale wrócą. – Emme poklepała bladą dłoń Ady.

Nie po raz pierwszy i nie bez złości – mimo że lubiła Emme – Ada zastanowiła się, dlaczego ludzie są zdania że ciężarne kobiety można dotykać, nie naruszając ich prywatności.

– Oczywiście, że wrócą – odparła. – Mam też nadzieję, że przywiozą nieco dziczyzny i choćby ze cztery zaginione krowy. Jeszcze lepiej, gdyby sprowadzili dwie krowy i dwa byki.

– Fakt, mleko jest tu bardzo potrzebne – zgodziła się Emme. Raz jeszcze poklepała dziewczynę po dłoni i wróciła do pilnowania paleniska.

Ada wymknęła się na zewnątrz. Zimne powietrze odebrało jej na moment oddech, więc ciasno otuliła szalem ramiona i szyję. Mróz kąsał jej policzki niczym ostre igiełki, tym bardziej intensywnie, że dopiero co wyszła z nagrzejonej kuchni. Przystanąła na patio od strony podwórza i odczekała, by oczy przywykły jej do ciemności.

A, do diabła z tym – pomyślała, po czym uniosła lewą dłoń i wyobraziła sobie żółte kółko, w które wpisany był zielony trójkąt. W ten sposób wywołała funkcję bliskosieci. Po raz piąty od dwóch godzin.

Nad ręką dziewczyny zajaśniał błękitny owal, lecz holograficzny obraz wciąż był zamglony i pełen zakłóceń. Harman sugerował, że zdarzające się od czasu do czasu przerwy w działaniu blisko- czy dalekosieci, a nawet dobrze znanej od dawna funkcji lokalizatora nie wynikają z wadliwej konstrukcji ich ciał – ze śmiechem powiedział kiedyś, że ich krew i geny wciąż były wypełnione stosownymi nanobotami – ale mogą mieć coś wspólnego z satelitami i asteroidami przekaźnikowymi krążącymi w pierścieniach R i B. Niewykluczone, że wpływały na nie powracające co noc deszcze meteorów.

Ada zadarła głowę i spojrzała na przecinające się na niebie pasy pierścieni równikowego i biegunowego. Każdy składał się z tysięcy błyszczących odrębnych obiektów. Przez większą część dwudziestosiedmioletniego życia ten widok dodawał jej otuchy – była pewna, że gdzieś tam znajduje się Konserwatorium, co dwadzieścia lat

regenerująca ludzkie ciała, oraz że mieszkają tam postludzie. Ci sami postludzie, którzy mieli opiekować się mieszkańcami Ziemi i przyjmować do siebie każdego, kto kończył Piątą i ostatnią zarazem Dwudziestkę życia. Teraz jednak – dzięki informacjom przywiezionym przez Harmana i Daemana – wiedziała, że postludzie opuścili pierścienie, a w Konserwatorni czyhało straszliwe niebezpieczeństwo. Okazało się też, że celebrowana od wieków Piąta Dwudziestka jest jednym wielkim kłamstwem – dobiegający tego wieku ludzie byli faksowani ku pierścieniom jedynie po to, by ich ciałami nakarmiła się istota zwana Kalibanem.

Spadające gwiazdy – będące w rzeczywistości szczątkami satelitów Ziemi, do których kolizji doprowadzili kilka miesięcy temu Harman z Daemanem – kreśliły na niebie jasne, biegnące z zachodu na wschód pasma, ale w niczym nie mogły się równać z gradem meteorów, prawdziwym bombardowaniem, jakie przeżyli w początkowych miesiącach po Upadku.

Ada zatoneła w myślach. Upadek. Upadek czego właściwie? Przede wszystkim spadły odłamki asteroidy, którą Harman z Daemanem zniszczyli przy pomocy Prospera. Był to również upadek serwitörów, upadek sieci energetycznej, upadek wojniksów, które tamtej nocy wymknęły się spod ludzkiej kontroli... Tamtej nocy. W noc Upadku. Nieco ponad osiem miesięcy temu skończyło się wszystko, pomyślała, nie tylko niebo spadło im na głowy, lecz także skończył się cały dawny świat. Świat znany im oraz wszystkim pokoleniom ludzi dawnego typu żyjącym na Ziemi od ponad czterestu stuleci.

Ada poczuła narastającą falę mdłości. Podobne nękały ją przez całe trzy pierwsze miesiące ciąży, ale tym razem nie wywołała ich natura, lecz lęk. Wskutek stresu rozboleła ją głowę. Wyłączyć, pomyślała i owal wyświetlacza bliskosieci zgasł. Spróbowała wywołać dalekosieć. Ta również nie działała, podobnie jak funkcja wyszukiwania, a w dodatku osoby, na których jej zależało, znajdowały się zbyt daleko, by na obrazie pojawiły się czerwone, zielone bądź bursztynowe wskaźniki. Wyłączyła wszystkie funkcje.

Za każdym razem, kiedy z nich korzystała, czuła większą potrzebę, by zagłębić się w książkach. Podniosła spojrzenie na jaśniejące okna biblioteki – zobaczyła za nimi głowy siglujących czytelników i natychmiast pożałowała, że nie siedzi tam z pozostałymi. Miała ochotę gładzić grzbiety nowych, sprowadzonych ledwie kilka dni temu książek. Patrząc na złote słowa spływające przez jej dłonie i ramiona prosto do serca i umysłu. W ciągu tego krótkiego zimowego dnia zdążyła już jednak pochłonąć aż piętnaście opasłych tomów i w tej chwili sama myśl o dalszym siglowaniu przyprawiała ją o mdłości.

Czytanie, a w każdym razie siglowanie, bardzo przypomina ciążę, stwierdziła w duchu, ucieszona wymyśloną naprędce metaforą. Przepelnia człowieka emocjami i prowokuje reakcje, na jakie nie jesteśmy gotowi... Sprawia, że czujemy się przesyleni, że nie jesteśmy do końca sobą i zbliża nas nieodparcie do chwili, która na zawsze odmieni nasze życie. Zastanowiła się, co o tej metaforze powiedziałby Harman. Własne analogie i metafory zwykle krytykował bezlitośnie. Nagle do serca Ady powrócił niepokój, któremu towarzyszyła fala rozchodzących się z żołądka nudności. Gdzie oni są? Gdzie jest Harman? Czy mojemu ukochanemu nic się nie stało?

Z rozkołatany sercem podeszła do otwartego paleniska i przypominającego drewnianą pajęczynę rusztowania otaczającego skonstruowany przez Hannę żeliwiak. Piec działał ostatnio bez przerwy, dzień i noc. To dzięki niemu powstawała broń odlewana z brązu, żelaza i innych metali.

Dzisiejszego wieczoru ognia doglądał Loes, przyjaciel Hanny, z grupką młodszych mężczyzn.

– Dzień dobry, Ada Uhr – zawołał stojący na rusztowaniu Loes. Był wysoki i szczupły. Zнали się co prawda od lat, lecz rzadko się z nią spoufalał.

– Dzień dobry, Loes Uhr. Są może jakieś wieści od straży na wieżyczkach?

– Obawiam się, że żadnych – odparł Loes i odsunął się od zięjącego w kopule żeliwiaka otworu.

Ada mimo rozkojarzenia zauważyła, że zgolił brodę i ma zaczerwienioną od żaru, spoconą twarz. Pracował z nagim torsem, mimo że wiele wskazywało na to, że nocą spadnie śnieg.

– Planujecie dzisiaj odlew? – zainteresowała się.

Hannah zawsze ją o podobnych momentach uprzedzała. Po zmroku widok był niesamowity. Niemniej zajmowanie się piecem nie należało do obowiązków Ady, co więcej, praca przy nim nie wydawała się jej najbardziej pasjonującym z elementów nowego życia.

– Rankiem, Ada Uhr. Jestem przekonany, że Harman Uhr i pozostali wrócą już niebawem. Gwiazdy i pierścienie świecą tak jasno, że nie ma mowy, by pobłądzili.

– Jasne, oczywiście – zawołała i wtedy coś przyszło jej do głowy. – Nie mignął ci gdzieś może Daeman Uhr?

Loes otarł czoło kawałkiem szmaty, powiedział coś cicho do jednego z kolegów, który pobiegł po drewno na opał, po czym zwrócił się do Ady.

– Jak to? Przecież Daeman Uhr wybrał się wieczorem do Krateru Paryskiego. Wciąż chce sprowadzić do Ardis matkę.

– No tak, naturalnie – rzuciła. Przygryzła wargę, lecz nie mogła nie zapytać. – Mam nadzieję, że wyprawił się przed zmrokiem?

W ubiegłych tygodniach wojniksy coraz śmieiej atakowały ludzi krążących między dworem a faksowężłem.

– Tak, tak, Ada Uhr. Miał mnóstwo czasu, żeby zdążyć, zanim zrobi się ciemno. Poza tym wziął ze sobą jedną z naszych nowych kusz. Powiedział też, że planuje z matką wrócić dopiero rano, po wschodzie słońca.

– To dobrze. – Ada pokiwała głową i spojrzała na północ, w stronę mającego za palisadą lasu. Wzgórze otulił mrok, na zachodnim horyzoncie zgasły już ostatnie promyki światła i kłębiły się tam teraz ciemne chmury. Dobrze wiedziała, jak ciemno jest o tej porze między drzewami. – Do zobaczenia przy kolacji, Loes Uhr.

– Miłego wieczoru, Ada Uhr.

Wiatr wiał coraz silniej, więc podciągnęła szal na głowę. Szła w stronę północnej bramy i strzegącej jej wieżyczki, ale nie chciała zawracać strażnikom głowy własnymi obawami. Poza tym późnym popołudniem spędziła z nimi całą godzinę. Wyglądała na północną drogę, niemal radośnie oczekując powrotu Harmana. To było jednak, zanim

wraz z mdłościami pojawił się lęk. Zaczęła się snuć się bez celu po wschodniej stronie dworu, pozdrawiała skinieniami opartych na włóczniach wartowników pilnujących okrąglego podjazdu, wzdłuż którego trzaskały pochodnie.

Nie była w stanie wrócić do środka. W domu było zbyt ciepło, zbyt wesoło. Musiałyby prowadzić zbyt wiele rozmów. Zauważyła stojącą na ganku młodą dziewczynę, Peaen, rozprawiającą ożywionym głosem z jednym ze swych adoratorów, który po Upadku przeniósł się do Ardis z Ułanbatu. Podobnie jak wielu innych był dawniej słuchaczem wykładów Odyseusza, w okresie, gdy stary Grek wciąż jeszcze nauczał i nie stał się małym Nikim. Ada zawróciła i ukryła się w półmroku bocznego dziedzińca. Nie miała nawet ochoty wymieniać się pozdrowieniami.

A jeżeli Harman zginie? Co, jeśli już nie żyje i leży teraz martwy gdzieś tam, wśród nocy?

Ubranie lęku w słowa sprawiło, że poczuła się lepiej. Nudności ustąpiły. Słowa przypominały przedmioty, sprawiały, że myśli stawały się bardziej konkretne, namacalne – obawy, z chmury toksycznego gazu przemieniły się w obmierzły jej sercu kryształ myśli, kryształ, który mogła obracać w dłoni i przyglądać się straszliwym rozbłyskom pełgającego na jego ściankach światła.

Co będzie, jeżeli Harman umrze? Ona sama przeżyje. O tym była głęboko przeświadczona. Przez całe życie cechował ją realizm. Przeżyje, urodzi dziecko, być może pokocha kogoś nowego. Z ostatnim wnioskiem powróciły mdłości i dziewczyna przysiadła na zimnej kamiennej ławce, skąd roztaczał się widok na buchający płomieniami żeliwiak i nieco bardziej oddaloną północną bramę.

Ada zdawała sobie sprawę, że zanim poznała Harmana, nie zakochała się ani razu. Nawet gdy świadomie próbowała. Jeszcze jako podłotek, a potem jako młoda kobieta rozumiała, że flirty i zaloty nie są prawdziwą miłością. Zwłaszcza w świecie sprzed Upadku, wypełnionym niemal wyłącznie zalotami i flirtem – z życiem, innymi ludźmi i sobą samym.

Przed Harmanem nigdy nie odczuła owej głębokiej duchowej przyjemności towarzyszącej sypianiu z ukochanym człowiekiem. I wcale nie był to eufemizm. Naprawdę myślała o spaniu obok niego, o budzeniu się przy nim w środku nocy, o zasypianiu w jego ramionach i otwieraniu w tej pozycji powiek rankiem. Poznała wszystkie, tak bezwstydnie wydawane przez śpiącego Harmana odgłosy. Poznała jego dotyk i zapach – naturalny i męski aromat, łączący w sobie woń skórzanej końskiej uprzęży z nutą jesiennego leśnego poszycia.

Jej ciało uzależniło się od dotyku Harmana – nie tylko tego intymnego, którym cieszyła się za każdym razem, gdy się kochali, lecz także od delikatnych, przelotnych muśnięć jego dłoni na ramieniu bądź plecach, gdy przechodziła obok. Była pewna, że za jego spojrzniętymi tęskniłaby równie mocno jak za fizyczną bliskością – widoczna w nim uwaga, skupienie na jej osobie wydawały się czymś równie konkretnym jak dotyk. Przymknęła powieki i wyobraziła sobie, że jego szeroka ręka zamyka się na jej zziębniętej drobnej dłoni – palce zawsze miała długie i smukłe, jego były szerokie i tępo zakończone. Stwardniałe od pracy ręce kochanka były niezmiennie cieplejsze od jej własnych. Tak, brakowałoby też jej samego fizycznego ciepła Harmana. Ada uświadomiła sobie, że

gdyby zginął, najbardziej tęskniłaby za tym, co zdawało się jej czasem najgłębszą istotą kochanka – za ucieleśnioną w jego osobie wizję jej przyszłości. Nie losu czy przeznaczenia, lecz przyszłości. Niedającego się wyrazić słowami poczucia, pewności, że jutro również Harmana zobaczy, że będą się razem śmiać, jeść, rozmawiać o nienarodzonym dziecku czy nawet spierać. Tak, okrutnie tęskniłaby za świadomością, że jej dalsze życie nie sprowadzi się po prostu do serii oddechów, lecz że każdy dzień okaże się nowym darem, a ich związek opromieni wszystkie sfery jej życia.

Siedząc na tej zimnej ławce, pod obracającymi się na niebie pierścieniami i wzmagającym się jak każdej nocy deszczem meteorów, spoglądając na własny cień, kładący się na zbiegającym od szronu trawnikiem w blasku z żeliwiaka, Ada zrozumiała, że znacznie łatwiej jest myśleć o własnym końcu niż o śmierci ukochanej osoby. Oczywiście tego rodzaju wnioski nie był dla niej szczególnym objawieniem – jako osoba obdarzona wyjątkowo bujną wyobraźnią już wcześniej rozważała podobne scenariusze – lecz zaskoczyła ją siła i namacalność towarzyszących mu emocji. Uczucie miłości do Harmana oraz wiążący się z nim strach przed jego utratą wypełniały ją tak samo bez reszty jak świadomość rozwijającego się w niej nowego życia. Dotąd nie wiedziała nawet, że jest zdolna poczuć coś tak dojmującego, przekraczającego ją samą.

Ada z góry spodziewała się, że kochanie się z Harmanem okaże się cudowne, że dzieląc się z nim własnym ciałem, pozna wszystkie przyjemności, jakie przyniesie jej bliskość innego człowieka, ale ze zdumieniem odkryła, że w miarę, jak się do siebie zbliżali, doznawali jednocześnie wrażenia odkrywania jeszcze innego ciała – nie Ady i nie Harmana – ciała w niewytłumaczalny sposób jednocześnie wspólnego i odrębnego. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiała, nie podzieliła się tym nawet z Harmanem, chociaż wiedziała, że on czuje podobnie. Według dziewczyny, ta konkretna tajemnica ludzkiego istnienia odsłoniła się przed nimi dopiero wskutek Upadku.

Wiele przemawiało za tym, by owe osiem miesięcy, jakie minęły od Upadku, wspominała jako czas trudny i pełen smutku. Serwitory uległy nieodwracalnej awarii, jej dawne życie, łatwe i wypełnione bezustannymi bankietami skończyło się na dobre, skończył się też świat, który znała od dziecka. Matka Ady – która nie chciała wrócić do otoczonego niebezpieczeństwami Dworu Ardis i została w posiadłości Lomana na wschodnim wybrzeżu – zginęła jesienią wraz z dwoma tysiącami innych ludzi podczas zmasowanego ataku wojniksów. Virginia, kuzynka i przyjaciółka Ady, w tajemniczych okolicznościach zniknęła ze swej rezydencji w okolicach Chom, poza kręgiem polarnym. Dodatkowo pojawiła się niespotykana dotąd konieczność zapewniania sobie jedzenia, ciepła i bezpieczeństwa. Nad wszystkimi zawisła również straszliwa świadomość zniszczenia Konserwatorni, po którym jak bańka mydlana prysł okrutny mit o pewnym wstąpieniu do pierścieni, rzekomo spotykającym umierających. Obecnie ludzie żyli z otrzeźwiająca świadomością, że u kresu życia spotka ich wyłącznie śmierć, i to wcześniej niż przed upływem Pięciu Dwudziestek. Nikt nie znał już dnia ani godziny... Tak, kobiecie w jej wieku, osobie dwudziestosiemioletniej, wszystkie te troski powinny się wydawać nieznośnie przerażające.

A jednak była szczęśliwa. Co więcej, nigdy jeszcze nie była tak szczęśliwa jak właśnie przez te miesiące. Cieszyły ją nowe wyzwania, konieczność znalezienia w sobie

pokładów odwagi oraz zaufania innym i złożenia własnego życia w ich ręce. Ada była szczęśliwa, ponieważ odkryła, że kocha Harmana, a on ją, i to w sposób nieosiągalny w utraconym świecie faksów, imprez, zapewnianych przez serwitory wygód i przelotnych związków męsko-damskich. Bywała oczywiście nieszczęśliwa – zwłaszcza za każdym razem, gdy Harman wybierał się na łowy lub kierował atakiem na wojniksy. Była nieszczęśliwa, kiedy wsiadał do sonika i odwiedzał Golden Gate w Machu Picchu lub inne starożytne ruiny bądź udawał się faksem ze swymi prelekcjami do jednego z ponad trzystu ocalałych osiedli – „od dnia Upadku zginęła przynajmniej połowa zamieszkujących Ziemię ludzi, których, jak się okazało, nigdy nie było milion, jak od stuleci sądziliśmy, omamieni kłamstwem postludzi” – potem jednak zawsze, z każdym jego powrotem szczęście powracało i cieszyła się każdym spędzonym z Harmanem, zimnym, niebezpiecznym i niepewnym dniem w Ardis.

Podniosłaby się po śmierci Harmana – w głębi serca wiedziała, że sobie poradzi, że przetrwa, podejmie walkę, urodzi i wychowa ich dziecko, być może pokocha innego. Wiedziała też jednak, zrozumiała to dzisiejszej nocy, że ta żarliwa, podniebna radość ostatnich ośmiu miesięcy już nigdy nie wróci.

Przestań się mazać, idiotko – przykazała sobie.

Wstała z ławki, poprawiła szal i zwróciła się w stronę domu. W tej samej chwili ze strzegącej bramy wieżyczki doleciały ją uderzenia dzwonu i dźwięczny głos wartownika.

– Trójka ludzi! Wyszli właśnie z lasu!

Pracujący przy żeliwiaku mężczyźni porzucili swe zajęcia, chwycili włócznie, łuki i kusze, po czym puścili się biegiem ku palisadzie. Strażnicy krążący wokół dworu od wschodu i zachodu również wskoczyli na drabiny i wspięli się na parapet.

Trójka ludzi – Ada przez moment stała jak wryta. Dzisiejszego ranka z dworu wyruszyło ich czworo. W dodatku pojechali bryczką, mieli ze sobą wołu. Niemożliwe, by się rozstali z pojazdem i zwierzęciem z własnej woli. Musiało się stać coś strasznego. Nawet gdyby ktoś doznał jakiejś kontuzji – na przykład skręcił kostkę czy złamał nogę – przywieźliby go przecież powozem.

– Podchodzą pod północną bramę! – zawołał ponownie wartownik. – Otwórzcie im! Niosą kogoś!

Ada zerwała z głowy szal i co sił w nogach popędziła przed siebie.

Już kilka godzin przed napaścią wojniksów Harman przeczuwał, że stanie się coś złego.

Ta wycieczka wcale nie była nikomu do niczego potrzebna. Odyseusz, czy raczej od pewnego czasu Nikt – jak napomniał się w duchu Harman, mimo że dla niego potężnie zbudowany siwobrody Grek na zawsze miał pozostać Odyseuszem – umyślił sobie jednak upolowanie kilku zwierząt, próbę wytropienia zaginionych krów i rozejrzenia się wśród wzgórz na północ od dworu. Petyr zaproponował, by polecieć sonikiem, ale Odyseusz zauważył, że nawet teraz, kiedy z drzew opadły liście, niełatwo będzie wypatrzeć samotną sztukę bydła z pokładu, choćby sunęli tuż nad drzewami. Poza tym miał wielką ochotę na łowy.

– Jestem przekonany, że wojniksy też chętnie zapolują – odparł Harman. – Z tygodnia na tydzień rozzuchwalają się coraz bardziej.

Odyseusz – Nikt – zbył uwagę wzruszeniem ramion.

Harman dołączył do ekspedycji, mimo iż wiedział, że na wszystkich czekają ważniejsze zajęcia niż włóczęga po lesie. Hannah dopinała wszystko przed porannym wylewem żeliwa i jej nieobecność mogła opóźnić realizację planów. Petyr od pewnego czasu zajmował się katalogowaniem setek książek sprowadzonych do Ardis w ciągu dwóch ubiegłych tygodni i decydował o tym, w jakiej kolejności powinni je sigłować. Sam Nikt wspominał, że niedługo wybierze się wreszcie w od dawna przekładany samotny lot rozpoznawczy sonikiem. Chciał odszukać automatyczną fabrykę, która podobno istniała gdzieś na brzegach jeziora zwanego w przeszłości Michigan. A Harman z kolei poświęciłby zapewne cały dzień swojej ostatniej obsesji, próbom przeniknięcia tajemnic wszechsieci i odkrycia kolejnych funkcji. Z drugiej strony zastanawiał się, czy nie powinien udać się z Daemanem do Krateru Paryskiego. Pomógłby przyjacielowi sprowadzić matkę.

Tyle że Nikt – który najczęściej polował samotnie – tym razem uparł się, by zabrać ze sobą towarzyszy. Biedna Hannah, zakochana w Odyseuszu-Nikim od dnia, gdy ponad dziewięć miesięcy temu poznali się na moście Golden Gate w Machu Picchu, stwierdziła, że musi z nim pojechać. Wówczas i Petyr (pojawił się w Ardis jeszcze przez Upadkiem, wraz z wieloma innymi słuchaczami brodacza, kiedy ten wykladał jeszcze swą dziwną filozofię, i który obecnie słuchał wyłącznie Hanny, jak każdy beznadziejnie zakochany młodzieniec) oświadczył, że bez niego nigdzie nie pojedą. A Harman dołączył, ponieważ... Sam właściwie nie wiedział, dlaczego. Być może nie chciał, by troje kochanków przez gwiazdy przeklętych spędziło ze sobą długi, samotny dzień w lesie. Z bronią u boku.

Potem, kiedy przypomniał sobie o tym, idąc za nimi przez zmarznięty las, mimowolnie się uśmiechnął. Na ten konkretny zwrot „kochankowie przez gwiazdy przekłęci” natknął się dopiero wczoraj, podczas lektury – a czytał wówczas tradycyjnie,

nie korzystał z funkcji sigłowania – szekspirowskiego dramatu „Romeo i Julia”.

Szekspirem upajał się przez cały tydzień, w dwa dni pochłonał trzy sztuki tego autora. Sam się sobie dziwił, że wciąż jest w stanie chodzić, a wręcz prowadzić sensowne rozmowy. Głowę wypełniały mu niewiarygodnie potoczyste słowa, wzburzone fale nowo poznanych wyrazów oraz zupełnie niespodziewane refleksje dotyczące złożoności ludzkiej natury. Wszystko to razem doprowadzało go niemal do płaczu.

W głębi ducha z niejakim wstydem przyznawał, że nie wzrusza go tak uroda i literacka wartość dramatów – sama idea sztuki scenicznej była dla Harmana i całego jego postlitterackiego świata nowością. Nie, na łzy zbierało mu się z egoistycznego smutku. Żałował, że z takimi cudami jak dzieła Szekspira zetknął się dopiero niecałe trzy miesiące przed ukończeniem swej Piątej Dwudziestki. Mimo że miał niezbitą pewność, że orbitalna Konserwatorium nie faksuje już – w końcu sam pomógł ją zniszczyć – na pierścień R ludzi kończących setny rok życia, ściślej rzecz biorąc, nie faksuje już nikogo – lecz owe dziewięćdziesiąt dziewięć lat, przez które był święcie przekonany, że w dzień setnych urodzin wraz z wybiciem północy jego życie nieodwołalnie dobiegnie końca, wypaliło w jego umyśle trwałe piętno.

Zapadał zmierzch. Szli we czwórkę wzdłuż krawędzi urwiska. Wracali do domu po bezowocnym, straconym dniu. Niestety nie mogli iść szybciej niż wlokący się niemilosiernie wół. W epoce przed Upadkiem tego rodzaju jednokołowe bryczki utrzymywały się w pionie dzięki żyroskopom i ciągnęły je wojniksy. Teraz jednak, przy braku zasilania, przekłete maszyny nie były w stanie zachować równowagi. Dlatego też wymontowano wszystkie dające się usunąć części, a pojedyncze koło zastąpiono dwoma większymi, na specjalnie w tym celu wykutej osi, biegnącej pomiędzy dwoma rozstawionymi szerzej niż przedtem dyszlami. Zdaniem Harmana przerabiane w ten sposób bryczki i kabriolety były urządzeniami żałośnie prymitywnymi, lecz z drugiej strony, były przecież pierwszymi pojazdami skonstruowanymi własnoręcznie przez ludzi od ponad tysiąca pięciuset lat.

Ten wniosek również wyciskał mu łzy z oczu.

Idąc na północ, przemierzali mniej więcej cztery mile. Posuwali się głównie po niskich skarpach nad dopływem rzeki, która – jak Harman dowiedział się niedawno – nosiła w przeszłości nazwę Ekei, a jeszcze wcześniej Ohio. Bryczkę zabrali z konieczności, tylko za jej pomocą mogli przewieźć upolowane ewentualnie jelenie – aczkolwiek Nikt chlubił się, że potrafi nieść zdobycz na barkach całymi milami – więc poruszali się tak powoli, jak powoli człapał wół.

Od czasu do czasu dwie osoby zostawały przy wozie, a pozostali, uzbrojeni w łuki i kusze, zanurzali się w las. Petyr miał ze sobą karabin na kryształowe pociski – jedną z ledwie kilku sztuk broni palnej, jakimi dysponowali w Ardis – lecz woleli polować, nie czyniąc nadmiernego hałasu. Wojniksy co prawda nie miały uszu, lecz słyszały znakomicie.

Przez cały ranek wszyscy, nie licząc Odyseusza, bacznie obserwowali wyświetlające im się nad dłońmi ekraniki. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu lokalizator, dalekosieć, ani nawet rzadziej używana wszechsieć nigdy wojniksów nie pokazywały. Można je było jednak zlokalizować za pomocą bliskosieci. Być może miało

to coś wspólnego z faktem – Daeman, Harman i Savi przekonali się o tym przed dziewięcioma miesiącami w Jerozolimie – że z bliskosieci korzystały same potwory. Na przykład do polowań na ludzi.

Tego dnia nie miało to jednak większego znaczenia, ponieważ w południe padły już wszystkie funkcje. Czwórka myśliwych musiała polegać na własnym wzroku. W lesie poruszali się ostrożnie, a kiedy szli urwistym brzegiem bądź przez łąkę, czujnie obserwowali cienie pomiędzy najbliższymi drzewami.

Z północnego zachodu dał lodowaty wiatr. Dystrybutory przestały działać w dzień Upadku, a wcześniej i tak praktycznie nikt nie potrzebował ciepłych ubrań, więc trójka ludzi dawnego typu miała na sobie zgrzebnie zszyte płaszcze i peleryny z wełny bądź zwierzęcych skór. Odyseusz tymczasem... Cóż, Nikt wydawał się całkowicie odporny na chłód i miał na sobie ten sam co zwykle napierśnik i długą przepaskę biodrową. Jedynym cieplejszym dodatkiem do tradycyjnego stroju Greka był krótki czerwony kocyk, który narzucił sobie na ramiona.

Co dziwne, nie natknęli się na ani jednego jelenia. Szczęśliwym trafem nie wpadli również na żadne allozaury bądź inne zrekonstruowane z wiekowego RNA dinozaury. W zgodnej opinii mieszkańców Ardis, wszystkie nieliczne drapieżne gady polujące dotąd na tak dalekiej północy już jakiś czas temu poszukały cieplejszych łowisk na południu. Niestety zeszłego lata spotkali kilka tygrysów szablozębnych, które wcale nie wyniosły się w ślad za wielkimi gadami. W pewnej chwili Nikt znalazł kilka ich świeżych tropów. Drapieżniki również szły tropem krów, za którymi ludzie gonili przez większość dnia.

Petyr odruchowo sprawdził, czy w jego broni siedzi nowy magazynek kryształowych igiełek.

Wreszcie znaleźli. Ogryzione żebra i rozrzucone wokół krwawe kości dwóch sztuk bydła. Leżały niedaleko spadzistego brzegu rzeki. Poszli dalej. Dziesięć minut później natknęli się na skórę, strzępy sierści, szkielet, czaszkę i niebywale długie, wygięte kły tygrysa.

Nikt podniósł głowę i rozejrzał się dokoła, obrzucając uważnym spojrzeniem odległe głązy i drzewa. Ścisnął oburącz włócznię.

– Myślisz, że to robota innego tygrysa? – spytała Hannah.

– Albo wojniksów – odparł Nikt.

– Przecież wojniksy nie muszą jeść – zauważył Harman i ledwie to powiedział, zrozumiał, że się wygłupił.

Greki pokręcił głową. Siwe loki zafalowały na wietrze.

– Nie muszą, ale ten tutaj mógł sam rzucić się na sforę wojniksów. Zabiły go, a potem trupa pożarli padlinożercy lub inne koty. Widzisz te ślady? Tam, w miękkiej ziemi? Obok widać tropy wojniksów.

Harman wypatrzył odciski dopiero wtedy, gdy Nikt pokazał mu je ponownie.

Tak więc zawrócili, lecz durny wół brnął przed siebie coraz bardziej ociężale. Nie reagował nawet na ponaglenia Nikogo, który raz po raz dźgał go tępym końcem włóczni, a czasem nawet poganiał go grotem. Koła i oś żałośnie skrzypiały. Raz się zatrzymali, by naprawić obłuzowaną piastę. Nisko zawieszony chmury sunęły po niebie, gnane coraz zimniejszym wiatrem. Kiedy zaczęło się ściemniać, od Ardis wciąż dzieliły ich dwie mile.

– Nie łamcie się. Nie pozwolą kolacji ostygnąć – rzuciła Hannah. Zanim się niedawno zakochała, wysoka, mocno zbudowana dziewczyna cieszyła się opinią niepoprawnej optymistki. Jednakże uśmiech, który wykwitł na jej wargach w tej chwili, wydawał się wymuszony.

– Włączcie bliskosieć – podpowiedział Nikt. Stary Grek nie dysponował funkcjami. Zaletą tego stanu było to, że jego ciało, nie odmienione przez dwa tysiące lat nanoinżynierskich machinacji, nie pozwalało się wykryć sieci żadnego rodzaju. Pozostawał niewidzialny także dla wojniksów.

– Wciąż same szумы i nic więcej – stwierdziła Hannah, wpatrując się w błękitny owal nad dłonią. Wyłączyła go.

– Cóż, w tej sytuacji przynajmniej i one nas nie widzą – zauważył Petyr. Stał z włącznią w dłoni, karabin zawiesił na ramieniu. Nieprzerwanie przyglądał się Hannie.

Ruszyli dalej przez łąkę. Ostre, wysokie źdźbła trawy drapały im łydki. Podreperowana bryczka skrzypiała coraz głośniejsze. Harman zerknął na Odyseusza-Nikogo. Przyjrzał się jego odsłoniętym, okrytym jedynie sandałami nogom i zastanowił się jak to możliwe, że na łydkach Greka nie widnieje gęsta siateczka skaleczeń.

– Coś mi mówi, że cały dzień poszedł na marne – odezwał się Petyr.

Nikt wzruszył ramionami.

– Dowiedzieliśmy się, że w okolicach Ardis na jelenie zaczęło polować jakieś duże stworzenie – stwierdził. – Jeszcze miesiąc temu po całym dniu przynosiłem dwie lub nawet trzy sztuki.

– Myślisz, że to nowy drapieznik? – Harman przygryzł wargę.

– Niewykluczone – odparł Nikt. – Choć może to wojniksy mordują zwierzyne i płoszą bydło, próbują pozabawić nas jedzenia.

– Myślisz, że są aż tak sprytne? – spytała zdziwiona Hannah.

Owe mechaniczno-organiczne stworzenia od dawna wywoływały w ludziach jedynie politowanie – były nieme i dość tępe, reagowały jedynie na wyraźne polecenia. Podobnie jak serwitory, działały według programu – opiekowały się ludźmi, słuchały ich i chroniły. Różniło je jednak coś innego – w dniu Upadku serwitory uległy awarii, a wojniksy zaczęły zabijać.

Nikt ponownie wzruszył ramionami.

– Są co prawda w stanie działać bez rozkazów, ale zawsze je przyjmowały. I nie przestały. Tyle że nie jestem pewien, kto lub co nimi kieruje.

– Na pewno nie Prospero – wtrącił Harman półgłosem. – Gdy trafiliśmy do miasta zwanego Jerozolimą, a tam aż roiło się od wojniksów, Savi powiedziała, że wywodzący się z noosfery Prospero stworzył Kalibana i kalibany właśnie po to, by chroniły przed wojniksami. Ale one same nie pochodzą z Ziemi.

– Savi... – mruknął Nikt – Nie do wiary, że staruszka nie żyje.

– Nie do wiary, ale prawda – odparł Harman. Potwór imieniem Kaliban zamordował kobietę na oczach jego i Daemana, po czym porwał jej zwłoki ze sobą. Doszło do tego na orbitalnej wyspie w pierścieniu. – Odyseuszu... Nikt, jak długo się znaliście? Ty i Savi?

Stary Grek pogładził swą krótką siwą brodę.

– Od jak dawna ją znałem? Tak naprawdę było tego ledwie kilka miesięcy... Tyle że rozciągniętych na ponad tysiącletcie. Zdarzało się, że ze sobą sypialiśmy.

Hannah aż przystanąła. Spojrzała na niego wstrząśnięta.

Nikt parsknął śmiechem.

– Ona w swojej kriotrummy, a ja w temporalnym sarkofagu na moście Golden Gate. Bardzo skromnie i przyzwoicie. Zupełnie jak dwoje niemowląt w oddzielnych kołyskach. Gdybym miał nadaremno przywołać imię jednego ze swoich krajan, powiedziałbym, że nasz związek był czysto platoniczny. – Nikt zaśmiał się głośno i serdecznie, mimo że pozostali towarzysze wpatrywali się w niego w milczeniu. Gdy wreszcie ucichł, dodał: – Wiesz, Harmanie, nie powinieneś wierzyć we wszystko, co od tej staruchy słyszałeś. W części spraw łągała świadomie, większości nie rozumiała sama.

– Nigdy nie miałem do czynienia z mądrzejszą kobietą – stwierdził Harman. – I niestety nigdy już takiego człowieka nie spotkam.

Nikt uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Z drugim zdaniem trudno mi się nie zgodzić.

Dotarli do wąskiej strugi, która wkrótce połączyła się z szerszym strumieniem. Na drugi brzeg przedostali się, przeskakując ostrożnie po kamieniach i zwałonych pniach. Było zbyt zimno, by bez wyraźnej konieczności moczyć buty i ubrania. Wół, niezmiennie leniwym tempem, przebrnął przez lodowaty nurt, ciągnąc za sobą podskakującą na nierównościach dna pustą bryczkę. Jako pierwszy przedostał się na drugą stronę Petyr. Stał z bronią gotową do strzału, osłaniając przeprawę pozostałej trójki. Nie wracali dokładnie tą samą drogą, którą wyszli z dworu. Rankiem kierowali się po śladach krów, teraz szli równoległe do wytyczonej przez zwierzęta ścieżki, lecz kilkaset metrów w bok. Do pokonania mieli jeszcze łagodne zalesione wzgórze, następnie rozległą, usianą kamieniami łąkę i kawałek trawnika. Zaraz potem będą mogli się nacieszyć względnym bezpieczeństwem Ardis, ciepłem i posiłkiem.

Wiszące na południowym zachodzie słońce skryło się za skłębionymi czarnymi chmurami. W ciągu kilku minut zrobiło się prawie ciemno, większość docierającego na ziemię światła pochodziła z migocących na niebie pierścieni. Na bryczce były zamontowane dwie latarnie, a Harman miał w plecaku świece, lecz póki chmury nie przesłaniały pierścieni i gwiazd, nie musieli z nich korzystać.

– Ciekawe, czy Daeman rzeczywiście pojechał po matkę – odezwał się Petyr. Nie przepadał za przeciągłymi chwilami ciszy.

– Pewnie tak. Szkoda, że nie zaczekał na mnie – zauważył Harman. – Albo przynajmniej do chwili, kiedy w Kraterze Paryskim wstanie nowy dzień. Tamte okolice nie należą ostatnio do bezpiecznych.

Nikt parsknął pod nosem.

– Daeman, co może niektórych zdziwić, jest spośród was tym człowiekiem, który w razie problemów poradzi sobie najlepiej. Zresztą ciebie już tym przecież nieraz zaskoczył, prawda Harmanie?

– Nie do końca – odparł Harman i natychmiast uświadomił sobie, że minął się z prawdą.

Kiedy dziesięć miesięcy temu poznał Daemana, uznał, że chłopak jest po prostu

marudnym maminsynkiem z nadwagą, którego zainteresowania ograniczają się do kolekcjonowania motyli i uwodzenia młodych kobiet. Swoją drogą Harman był głęboko przekonany, że chłopak pojawił się w Ardis właśnie po to, by uwieść Adę, swoją kuzynkę. Podczas pierwszych wspólnych przygód płochliwy Daeman bez przerwy narzekał, lecz Harman musiał uczciwie przyznać, że wydarzenia sprawiły, iż młodszy towarzysz przeszedł poważną przemianę. Co ciekawe, wypadki wywarły na chłopaka znacznie lepszy wpływ niż na samego Harmana. Schudł – stracił całe dwadzieścia kilogramów – i przepełniła go świeża determinacja. To właśnie Daeman stoczył z Kalibanem pojedynek na orbitalnej wyspie Prospera. To Daeman uratował życie Harmanowi i Hannie, pomagając im w ucieczce z pierścienia. Od Upadku chłopak stał się mniej gadatliwy, nabrał rozsądku i z zacięciem poświęcił się ćwiczeniu umiejętności bojowych i technik przetrwania, których uczył Odyseusz.

Harman był nieco zazdrosny. To siebie widział w roli naturalnego przywódcy zamieszkującej Ardis grupy ludzi. Był wśród nich najstarszy i najmądrzejszy. Jeszcze dziewięć miesięcy temu był jedynym na Ziemi człowiekiem, który potrafił i chciał czytać, tylko on wiedział, że Ziemia jest okrągła... Trudno jednak było zaprzeczyć, że skrajne doświadczenia Daemana wzmocniły, a jego osłabiły, w dodatku zarówno na ciele, jak i umyśle. Czyżby to wpływ mojego wieku? – zastanowił się. Fizycznie Harman wyglądał na mężczyznę dobiegającego czterdziestki, lub tuż po niej – pod tym względem nie różnił się od innych, którzy przed Upadkiem przekroczyli Czwartą Dwudziestkę. Niebieskie czerwie i bulgocące chemikalia w oglądanych przez nich w Konserwatorni sarkofagach sprawnie wykonały swą pracę w trakcie pierwszych czterech wizyt Harmana. Ale psychicznie? Na tym polu Harman miał znacznie więcej powodów do obaw. Być może duchowa starość nadciągała nieuchronnie, bez względu na to, jak doskonale zadbanym ciałem cieszył się człowiek. Dodatkowo przygnębiał go fakt, że wciąż jeszcze utykał wskutek rany, którą odniósł przed ośmioma miesiącami na piekielnej wyspie Prospera. A teraz nie było już Konserwatorni, gdzie regeneracyjne zbiorniki mogły zniwelować wszelkie niedostatki ciała; ani jeden serwitor nie czekał, by podleciec i natychmiast opatrzyć każde, najdrobniejsze nawet przypadkowe zadraśnięcie. Harman miał świadomość, że jego noga już nigdy, aż do śmierci, nie odzyska pełnej sprawności. To również zwiększało dręczące go poczucie beznadziei.

Przedzierali się przez las w milczeniu. Wszyscy pograżyli się głęboko we własnych myślach. Właśnie wypadła kolej Harmana i prowadził wołu, który w miarę zapadania ciemności stawał się coraz bardziej uparty i buńczuczny. Tymczasem wystarczyło, by to durne bydlę skoczyło w bok i pociągnęło za sobą bryczkę, która zderzyłaby się z drzewem, i całą noc musieliby spędzić w lesie, reperując przekłętą pojeźdźnię, lub zostawić go tutaj i wrócić do Ardis z samym zwierzęciem. Obie perspektywy były równie mało zachęcające.

Zerknął na Odyseusza-Nikogo. Grek szedł swobodnie, choć stawiał niezbyt długie kroki, by zrównać się z tempem powolnego zwierzęcia i utykającego Harmana. Popatrzył na Hannę obrzucającą Nikogo zakochanymi, tęsknymi spojrzeniami, i na Petyra, który raz po raz strzelał zakochanymi oczyma ku Hannie. Poczul, że najchętniej usiadłby tu, na tej zmarzniętej ziemi i zapłakał nad światem, tak bardzo zaprzątniętym walką o przetrwanie,

że nikomu nie pozwalał na łzy. Wrócił myślami do niedawno przeczytanego niesamowitego dramatu – do „Romea i Julii” – i zastanowił się, czy aby niektóre ludzkie cechy i przypisana ludzkiej naturze skłonność do szaleństwa nie pozostały czasem niezmiennie, nawet po bez mała dwóch tysiącleciach sterowanej ewolucji, nanotechnologicznych ulepszeń i genetycznych eksperymentów.

Być może nie powinienem był pozwolić Adzie zejść w ciążę, ta wątpliwość drażyła Harmana najbardziej uporczywie ze wszystkich.

Ale ona przecież chciała urodzić dziecko. A on chciał zostać ojcem. Co więcej, doszło między nimi do czegoś niespotykanego od wieków, oboje pragnęli założyć rodzinę. Taką, w której mężczyzna zostaje z kobietą i potomkiem. Wychowywaliby go sami, bez pomocy serwitorów. W epoce sprzed Upadku wszyscy ludzie dawnego typu znali swe matki, lecz ojca nie znał nikt lub prawie nikt – i wcale poznać nie chciał. W świecie, w którym mężczyźni zachowywali młodość i siły witalne aż po Piątą i zarazem Ostatnią Dwudziestkę, przy niewielkiej populacji – na całym świecie żyło niecałe trzysta tysięcy ludzi – i w kulturze opartej w dużej mierze na bezustannych bankietach i przelotnych związkach męsko-damskich, w której ponad wszystko ceniono młodzieńczą urodę, praktycznie nie dało się uniknąć sytuacji, by liczni ojcowie nieświadomie wiązali się erotycznie z córkami, a młodzi chłopcy ze swymi matkami.

Ten fakt nie dawał Harmanowi spokoju, odkąd własnymi siłami nauczył się czytać – za późno, stanowczo zbyt późno – i ujrzał w lekturach pierwsze prześliski dawnych cywilizacji oraz ich z dawna zapomnianych wartości. Niemniej jeszcze dziewięć miesięcy temu nikt się kazirodztwa nie obawiał. Te same genetycznie zmodyfikowane nanoczuJNIKI w ciele kobiety, które umożliwiały jej dokonanie wyboru jednego z przechowywanych w organizmie pakietów nasienia nawet całe lata po stosunku, nie pozwalały jej wybrać na ojca mężczyzny zbyt blisko z nią spokrewnionego. Było to po prostu wykluczone. Głupi bywali sypiający ze sobą ludzie, ale nie nanoprogramowanie ich ciał.

Tyle że teraz zmieniło się wszystko – stwierdził w duchu Harman. Obecnie istnienie rodzin stało się warunkiem koniecznym przetrwania gatunku – nie tylko dlatego, by mogli wspólnie stawiać czoła wojniskom i innym trudom życia po Upadku, lecz by mogli należycie się przygotować do zwiastowanej przez Odyseusza nieuniknionej wojny. Stary Grek nigdy nie zdradził szczegółów wygłoszonej w noc Upadku przepowiedni, lecz oznajmił wtedy, że zbliża się jakiś konflikt na wielką skalę. Niektórzy podejrzewali, że ta nowa wojna może mieć jakiś związek z oblężeniem Troi, którego przebieg śledzili za pomocą całunów turyńskich, do dnia, kiedy ich mikroobwody również przestały działać. „Ujrzysz przed swym dworem zupełnie nowe światy” – powiedział wtedy Adzie Odyseusz.

Gdy wyszli na szeroką łąkę, za którą widniały ostatnie przed Ardis szeregi drzew, Harman uświadomił sobie, że jest zmęczony i wylękniony. Wyczerpywała go konieczność stałego dokonywania wyborów. Kim był, by decydować o zniszczeniu Konserwatori, co mogło przecież skutkować uwolnieniem Prospera? Kim był, by wygłaszać nieustanne kazania o potrzebie zakładania rodzin i zapewniania sobie bezpieczeństwa w grupach? Co takiego wiedział właściwie o świecie? On – dziewięćdziesięciodziewięcioletni Harman, który niemal całe swoje życie zmarnował, nie

ucząc się praktycznie niczego wartościowego?

A bał się nie tyle śmierci – aczkolwiek wszyscy ludzie doświadczali teraz tego strachu, po raz pierwszy od półtora tysiąca lat – lecz efektów zmiany, którą pośrednio pomógł przeprowadzić. Bał się związanej z nimi odpowiedzialności.

Czy słusznie postąpiliśmy, decydując się z Adą na dziecko w takim momencie? Para kochanków uznała, iż w nowym świecie, nawet mimo wszystkich przeciwności i niepewnego losu, lepiej będzie jednak założyć rodzinę. Przy czym zwrot „założyć rodzinę” brzmiał w tym kontekście dość dziwnie, skoro sama myśl o posiadaniu więcej niż jednego potomka wydawała się niemal nierzeczywista. Podczas trwających półtora tysiąclecia rządów nieobecnych na Ziemi postludzi kobietom dawnego typu wolno było rodzić tylko jedno dziecko. Ada z Harmanem doznali oszałamiającego wrażenia, kiedy dotarło do nich, że teraz, o ile tylko zechcą i pozwolą na to ich ciała, mogą spłodzić kilkoro dzieci. Nie istniały już listy oczekujących, zniknęła konieczność czekania na zgodę postludzi, którą dawniej komunikowały ludziom serwitory. Z drugiej strony nie mieli wcale pewności, czy ludzie w ogóle mogą mieć więcej niż jedno dziecko. Być może zapobiegną temu ich zmodyfikowane geny bądź nanooprogramowanie?

Niemniej postanowili sprowadzić dziecko na świat teraz, zanim Ada skończy trzydziesty rok życia. Uznali również, że własnym przykładem pokażą innym ludziom – nie tylko mieszkańcom Ardis, lecz także członkom wszystkich wspólnot zasiedlających okolice faksowęzłów – jak może wyglądać rodzina, w której życiu uczestniczyć będzie ojciec.

To wszystko Harmana przerażało. Przerażało go, mimo że czuł, iż postąpił słusznie. Po pierwsze nikt przecież nie miał pojęcia, czy matka i noworodek przeżyją poród poza Konserwatorią. Na Ziemi nie było ani jednego człowieka dawnego typu, który widział narodziny małego człowieka. Poród, podobnie jak śmierć, przeżywano w poprzedniej epoce samotnie, po faksowaniu na pierścień R. Co więcej, podobnie jak w przypadku poważnych obrażeń lub przedwczesnej śmierci – takiej, jaką przeżył Daeman, którego pożarł allozaur – poród był doznaniem tak traumatycznym, że wymazywano je z pamięci. Kobiety, zupełnie jak ich niemowlęta, nie zachowywały z tej chwili najsłabszych nawet wspomnień.

Przed Upadkiem, w wyznaczonym momencie ciąży, o którym decydowały i informowały serwitory, kobieta przenosiła się na pierścień, by dwa dni potem powrócić już bez brzucha i w pełni sił. Następnie przez długie miesiące dziećmi opiekowały się wyłącznie serwitory. Owszem, matki utrzymywały z maluchami kontakt, lecz były praktycznie pozbawione wpływu na ich wychowanie. Ojcowie natomiast nie tylko swych dzieci nie poznawali, lecz także nie dowiadywali się nawet o tym, że zostali ojcami. W końcu do ich seksualnego kontaktu z kobietą mogło dojść nawet kilka dekad wcześniej.

Ostatnio Harman i pozostali zapoznali się z książkami opisującymi starożytny obyczaj porodu – cały proces wydawał się im niewiarygodnie niebezpieczny, wręcz barbarzyński, nawet gdy odbywał się w asyście profesjonalnej obsługi, za ścianami szpitali będących, jak stwierdzili, prymitywnymi, antycznymi substytutami Konserwatori. Obecnie jednak na świecie nie było nawet jednego człowieka, który widziałby takie wydarzenie na własne oczy.

Z wyjątkiem Nikogo. Grek opowiedział im kiedyś, że w swym poprzednim życiu, w owej nierzeczywistej epoce krwawych wojen, znanej jedynie ze spektaklu turyńskiego, oglądał przynajmniej fragmenty tego procesu. Był między innymi świadkiem przyścia na świat Telemacha, swojego syna. Z tego powodu mianowano go naczelnym akuszerem Ardis.

W nowej, pozbawionej zawodowych lekarzy rzeczywistości – nikt przecież nie potrafił leczyć nawet najbardziej błahych schorzeń i urazów – Odyseusz-Nikt okazał się również niezrównanym mistrzem sztuki medycznej. Znał się na okładach, umiał zszywać rany i nastawiać złamane kości. Przez prawie dziesięć lat wędrówek przez czas i przestrzeń, odkąd uciekł przed kimś o imieniu Kirke, poznał także nowoczesne zasady i techniki lekarskie – wiedział na przykład, że przed rozcięciem ciała żywej osoby należy umyć ręce i nóż.

Dziewięć miesięcy wcześniej Odyseusz twierdził, że zatrzyma się w Dworze Ardis tylko na kilka tygodni, a potem ruszy dalej. Dzisiaj – Harman był tego niemal pewien – gdyby tylko oświadczył, że odchodzi, rzuciłoby się na Greka pół setki ludzi, którzy związałyby go i uwięzili, choćby wyłącznie po to, by nie odebrał im dostępu do jego wiedzy. A wiedział naprawdę sporo. Nieobce były mu tajniki wyrobu broni, polowania, oprawiania zwierzyny, pieczenia na otwartym ogniu, kucia metalu, szycia ubrań, programowania sonika, opatrywania ran, leczenia i, wreszcie, odbierania porodów.

Widzieli już rozciągającą się za lasem łąkę. Pierścienie ostatecznie zniknęły w brzuszyskach chmur i dokoła zapadł gęsty mrok.

– Chciałem dziś porozmawiać z Daemanem... – zaczął Nikt.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej.

Niczym wielkie milczące pająki zeskoczyły na nich z drzew wojniksy. Był ich przynajmniej tuzin. Wyciągnęły przed siebie połyskujące groźnie zabójcze ostrza.

Dwa spadły na grzbiet wołu i natychmiast poderżnęły mu gardziel. Dwa inne wylądowały tuż obok Hanny i uderzyły ramionami. Trysnęła krew, pofrunęły strzępki tkaniny. Dziewczyna odskoczyła, próbując jednocześnie unieść i napiąć kuszę, lecz wojniksy powaliły ją na ziemię i zbliżyły się, by dokończyć dzieła.

Odyseusz dziko ryknął i aktywował swój miecz – подарowany mu przez Kirke, jak sam dawno temu przyznał. Krawędzie wibrującej klingi rozmyły się im w oczach. Grek skoczył i zadał cios. Pancerze i ramiona wojniksów poleciały w kawałkach w powietrze. Harmana zalał deszcz białej krwi i niebieskiego oleju.

Kolejny wojniks spadł prosto na Harmana, pozbawiając go tchu. Mężczyzna zdołał się jednak odturlać i uniknąć tnących pazurów. Inny przeciwnik wylądował na czterech odnóżach na ziemi i błyskawicznie się wyprostował. Poruszał się jak postać z oglądanego w przyspieszonym tempie koszmaru. Harman zdołał wstać i poderwał swą włócznię. Pchnął drugiego przeciwnika w tym samym momencie, gdy pierwszy zamachnął się na jego plecy.

Rozległ się głośny huk i grzechot. Petyr strzelił z karabinu. Kryształowe pociski świsnęły Harmanowi tuż przy uchu, a próbujący ciąć go w grzbiet wojniks zawirował w miejscu i padł rażony tysiącem migocących strzałek. Harman obrócił się na pięcie i okazało się, że miał szczęście. Drugi wojniks właśnie skoczył, więc mężczyzna przebił

mu pierś włócznią. Spojrzał na wymachującego manipulatorami stwora i zaklął, gdy padające cielsko wyrwało mu drzewce z dłoni. Pochylił się by odzyskać broń, lecz przeszkodziły mu trzy inne wojniksy, które zwróciły się właśnie przeciw niemu. Odskoczył i zsunął z ramienia łuk.

Czworo ludzi zebrało się przy bryczce. Oparli się o nią plecami i spojrzeli na osiem okrążających ich, gotujących się do ataku wojniksów. Ostrza napastników złowieszczo zabłyśły w ostatnich promieniach światła.

Hannah wystrzeliła dwa razy i bełty weszły głęboko w pierś najbliższego wojnika. Padł, lecz nie zaprzestał ataku, podpełził po ziemi, podciągając się swymi nożami. Odyseusz-Nikt postąpił krok naprzód i rozplątał go na dwoje mieczem Kirke.

Harmana otoczyły trzy wojniksy. Odcięły mu wszystkie kierunki ucieczki. Wypuścił strzałę z łuku. Pocisk odbił się od stalowego pancerza i zaraz potem mężczyznę opadły wojniksy. Harman wykonał unik i wtoczył się pod bryczkę. Coś rozcięło mu łydkę. W nozdrzach poczuł woń krwi zabitego wołu, w ustach poczuł miedziany posmak. Zaraz potem poderwał się po drugiej stronie pojazdu. Wojniksy przeskoczyły ponad bryczką.

Petyr odwrócił się gwałtownie, przyklęknął i opróżnił magazynek w stronę lecących sylwetek. Kilka tysięcy kryształowych strzałek. Wojniksy rozsypały się w jednej chwili i spadły, bryzgając kroplami organicznej krwi i maszynowego oleju.

– Oślaniajcie mnie! Muszę przeładować! – zawołał Petyr i sięgnął do kieszeni płaszcza, skąd wyjął pełny magazynek. Mocnym ruchem wcisnął go na miejsce.

Harman odrzucił bezużyteczny łuk – przeciwnicy podeszli już zbyt blisko – i dobył krótkiego miecza, który Hannah wykuła dwa miesiące temu w swej kuźni. Gwałtownymi cięciami zaatakował najbliższe metalowe sylwetki. Okazały się dla niego zbyt szybkie. Jeden uchylił się przed ostrzem, drugi wytrącił mu miecz z rąk.

Hannah wskoczyła na bryczkę i strzeliła z kuszy prosto w plecy atakującego mężczyznę wojnika. Potwór zatoczył się, lecz niemal natychmiast natarł ponownie. Uniósł stalowe kończyny, zamachał ostrzami. Nie miał oczu ani ust.

Harman kucnął, unikając morderczego ciosu, podparł się dłońmi i kopnął, celując w kolana wojnika. Z równym powodzeniem mógłby kopać wpuszczoną w cement żelazną rurę.

Po jego stronie bryczki znalazła się cała piątka ocalałych wojniksów. Rzuciły się na niego i Petyra, który nie zdążył nawet poderwać lufy ku górze.

Dokładnie w tej chwili zza pojazdu wyskoczył Odyseusz i z obłąkańczym bojowym okrzykiem wpadł między potwory. Krótkie ostrze miecza niemal rozpląywało się w powietrzu. Wojniksy skierowały się przeciwko nowemu zagrożeniu. Długie noże zagrały.

Hannah ponownie podniosła swą ciężką kuszę, lecz nie mogła wymierzyć. Odyseusz nikał w wirze walki, przeciwnicy poruszali się zbyt szybko. Harman sięgnął do bryczki i wydobył z niej jedną z zapasowych myśliwskich włóczni.

– Odys, padnij! – wydarł się Petyr.

Stary Grek rzucił się na ziemię, choć nikt nie wiedział, czy usłyszał przestrożę, czy po prostu starał się uniknąć kolejnego cięcia. Zdołał już rozczłonkować dwóch przeciwników, ale ostatnia trójka wciąż stanowiła śmiertelne zagrożenie.

BRRRRRPPPPRRRRRRBRRRPPPPRRRRRRBRRRRP.

Terkot przestawionego na ogień ciągły karabinu przypominał odgłos, który rozległby się, gdyby ktoś wcisnął patyk między łopaty wirującego wiatraka. Grad kryształowych pocisków – ponad dziesięć tysięcy strzałek, pobłyskujących w świetle pierścieni niczym szklana mozaika – odrzucił wojniksy na sześć stóp do tyłu.

– Chryste Panie – jęknął Harman.

Po drugiej stronie bryczki raniony przez Hannę wojniks podźwignął się i stanął za dziewczyną.

Harman cisnął włócznię resztkami sił. Trafiony potwór zakołysał się, wyrwał drzewce z pancerza i przełamał je na dwoje.

Mężczyzna wskoczył na bryczkę i podniósł jeszcze jedną włócznię. Hannah raziała potwora dwoma kolejnymi beltami. Jeden z nich odbił się i zniknął w cieniu między drzewami, lecz drugi wraził się głęboko. Harman zeskoczył na ziemię i wbił włócznię w pierś rannego przeciwnika. Stwór drgnął i zatoczył się chwiejnie.

Harman wyszarpnął lancę i uderzył ponownie, wkładając w cios szaleńczą siłę. Obrócił zębatym grotem, wyrwał go i wbił znowu.

Wojniks padł z grzechotem na plecy i znieruchomiał wśród korzeni wiekowego wiązu.

Mężczyzna, nie zważając na wciąż podrygujące manipulatory i noże, usiadł na przeciwniku okrakiem, podniósł w rękach ociekającą błękitnym płynem włócznię, uderzył, przekręcił, wyciągnął, wbił nieco niżej, wyszarpnął, wraził grot tam, gdzie człowiek miałby krocze i obrócił brutalnie, by nierówne krawędzie grotu spowodowały jak najwięcej zniszczeń we wrażliwym wnętrzu. Znowu poderwał broń – odpadła przy tym część skorupy wojniksa – i wbił raz jeszcze, tak wściekle, że poczuł jak włócznia wchodzi w ziemię, trąc o korzenie drzewa. Wyrwał, uderzył, podniósł, wbił, poderwał...

– Harman! – Petyr złożył dłoń na ramieniu starszego towarzysza. – On już nie żyje... Naprawdę nie żyje.

Harman potoczył dokoła obłąkanym wzrokiem. Nie poznawał Petyra, nie był w stanie zaczerpnąć tchu. Doleciał go gwałtowny charkot i uświadomił sobie, że dobywa się z jego własnych, strudzonych płuc.

Było tak cholernie ciemno! Chmury zasłoniły pierścienie i pod drzewami zrobiło się cholernie ciemno. A przecież w cieniu mogły już szykować się do ataku kolejne dziesiątki wojniksów.

Hannah zapaliła latarnię.

W kręgu światła nie było ani jednego przeciwnika. Powalone potwory znieruchomiały na dobre. Odyseusz wciąż leżał na ziemi, przygnieciony ciałem jednego z wojniksów. Wszyscy – ludzie i maszyny – zastygli w bezruchu.

– Odyseusz! – Dziewczyna zerwała latarnię z dorożki i zeskoczyła. Kopniakiem posłała zabitego wojniksa na bok.

Petyr okrążył pojazd, podbiegł i przyklęknął przy leżącym. Także Harman dokuśtykał jak mógł najszybciej, podpierając się włócznią. Głębokie rozcięcia na plecach i łydkach dopiero zaczynały go palić.

– Och! – zaszlochała Hannah. Klęczała i oświetlała latarnią Odyseusza. Trzęsła się

jej ręka. – Och... – powtórzyła.

Zbroja Odyseusza-Nikogo spadła z niego, obok leżały pasma pociętych rzemieni. Na jego szerokiej piersi widniała koronka głębokich ran. Któryś z ciosów oderwał mu kawałek lewego ucha i zdarł z głowy płat skóry.

Ale dopiero widok prawej ręki starego Greka wywołał z piersi Harmana zduszony jęk.

Wojniksy – próbując zmusić Odyseusza do wypuszczenia miecza Kirke, który wciąż jeszcze brzęczał mu w dłoni – rozszarpały jego ramię na strzępy. Kończyna ledwie trzymała się ramienia. Krew i zniszczone mięśnie pobłyskiwały w ostrym świetle latarni. Harman zauważył bielejące wśród nich kości.

– Dobry Boże – wyszeptał. Nie słyszał jeszcze, by w ciągu ośmiu miesięcy po Upadku ktokolwiek doznał takich ran i przeżył. Nie tylko w Ardis, lecz we wszystkich ludzkich osiedlach.

Hannah zaczęła bić pięścią w ziemię. Drugą rękę przycisnęła do skrwawionej piersi Odyseusza.

– Nie czuję serca – powiedziała zadziwiająco spokojnie. Tylko jej bielejące w półmroku rozbiegane oczy zdradzały prawdziwe emocje. – Nie bije mu serce.

– Przenieśmy go do bryczki... – zaczął Harman. Adrenalina przestawała działać, zaczął się trząść, zrobiło mu się niedobrze. Już raz kiedyś tak się czuł. Z nogi i poharatanych pleców spływały strugi krwi.

– Pieprzyć bryczkę – stwierdził Petyr. Pochylił się i przekręcił rękojeść miecza Kirke. Ostrze znieruchomiało i na powrót zobaczyli je wyraźnie. Petyr wręczył oręż Harmanowi, podał mu też swój karabin i dwa zapasowe magazynki. Pochylił się, uklęknął, zarzucił nieprzytomnego – lub martwego – Odyseusza na ramię i wstał. – Hannah, oświetlisz mi drogę. Przeładuj kuszę. Ty, Harman, pilnujesz tyłów. Jeżeli zobaczysz choćby sugestię ruchu, wal od razu.

Petyr ruszył chwiejnym krokiem ku łące. Ze zbryzganą krwią sylwetką na ramieniu wyglądał koszmarnie, niczym straszliwa parodia Odyseusza wracającego do Ardis z ciałem upolowanego jelenia.

Otępiały Harman pokiwał głową, cisnął włócznię na ziemię, wsunął miecz za pas, chwycił mocno karabin i wyszedł za dwójką towarzyszy spomiędzy drzew.

Gdy tylko Daeman faksował się do Krateru Paryskiego, pożałował, że nie zaczekał do świtu. A przynajmniej, że nie zaczekał, by wybrał się z nim Harman lub ktokolwiek inny.

Do otaczającej pawilon faksowy palisady – nieco ponad milę od Dworu Ardis – dotarł około siedemnastej, gdy zaczęło się ściemniać. Teraz była już pierwsza w nocy i panował nieprzenikniony mrok. Na domiar złego w Kraterze Paryskim padał rześisty deszcz. Przeniósł się do węzła znajdującego się najbliżej domicylu matki – pawilonu zwanego Hotelem Inwalidów. Nikt z żyjących nie miał pojęcia, skąd się ta nazwa wzięła. Przez stację szedł z uniesioną, gotową do strzału kuszą. Raz po raz obracał się na boki. Spływające z dachu ulewne potoki sprawiały, że miasto na zewnątrz wyglądało jak przesłonięte kurtyną wodospadu.

Jakie to irytujące! Mieszkańcy Krateru Paryskiego nie strzegli swoich faksowężłów. Mniej więcej jedna trzecia ludzkich osiedli, idąc za przykładem Ardis, otoczyła już swoje pawilony murami i zdecydowała się obsadzić je stałymi posterunkami. A tutaj? Nic z tych rzeczy. Naturalnie nikt nie wiedział, czy wojniksy korzystają z sieci faksów – i bez tego pojawiały się dosłownie wszędzie – ale żeby się o tym przekonać należało przecież obserwować ruch we wszystkich węzłach, także takich jak ten.

Przyznać trzeba, że w Ardis nie zaczęto pilnować węzła, by uniemożliwić wojniksom faksowanie, tylko w ramach próby ograniczenia liczby uchodźców, których po Upadku przybywały do domu Ady całe tłumy. Pierwszą ludzką reakcją po awarii serwitörów i utracie prądu była ucieczka w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia i jedzenia, więc w początkowych tygodniach i miesiącach dziesiątki tysięcy ludzi przenosiły się chaotycznie z portalu do portalu. Przetrzęsali w ciągu dwunastu godzin po pięćdziesiąt stacji faksowych na całym świecie, ogałacali je z zapasów jedzenia i faksowali się dalej. Wówczas niewiele osiedli miało własne magazyny żywności i żadne nie było odpowiednio zabezpieczone. Ardis stała się jedną z pierwszych ludzkich kolonii, która się uzbroidła i jako pierwsza zaczęła zawracać oszalałych ze strachu uchodźców. Przyjmowali jedynie osoby mogące się pochwalić realnie przydatnymi zdolnościami. Tyle że, oczywiście, po trwającej ponad tysiąc czterysta lat – jak powiedziała kiedyś Savi – „obrzydliwej epoce beużytecznych elojów”, w zasadzie nikt żadnych praktycznych umiejętności nie posiadał.

Miesiąc po Upadku, kiedy chaos nieco już się uspokoił, Harman podczas spotkań Rady Ardis uparł się, że powinni zrekompensować mieszkańcom innych osiedli swój egoizm i rozesłać instruktorów, którzy uczyliby ludzi jak siał i zbierać, jak poprawić poziom bezpieczeństwa i jak szlachtować hodowane na mięso zwierzęta. Potem, gdy Harman odkrył umożliwiającą czytanie książek funkcję siglowania, wysłannicy Ardis organizowali także seminaria, podczas których pokazywali rozproszonym po świecie niedobitkom, że biblioteczne zbiory stanowią źródło pożytecznych informacji, które

można czerpać samemu. Ardis zaczęło ponadto prowadzić handel wymienny, płacąc za towary wytwarzaną we dworku bronią, a także rozdawało plany pozwalające innym niedobitkom ludzkości wytwarzać własne kusze i belty, łuki i strzały, włócznie, groty, noże i inne rodzaje uzbrojenia. Na szczęście przez ostatnią dekadę większość ludzi korzystała z całunów turyńskich, więc widzieli w akcji większość rodzajów broni mniej skomplikowanej od kuszy. Na koniec Harman rozesłał przedstawicieli Ardis do wszystkich, ponad trzystu faksowężłów, z prośbą o pomoc w poszukiwaniu legendarnych automatycznych fabryk i dystrybutorów. Demonstrował wszem wobec jeden z kilku karabinów, które przywiózł z drugiej wyprawy do muzeum na moście Golden Gate w Machu Picchu, i przekonywał, że jeżeli ludzkość ma przetrwać starcie z wojnikami, wszystkie wspólnoty powinny dysponować tysiącami sztuk podobnej broni.

Wpatrując się w mrok przez strugi deszczu i spływającej z dachu wody, Daeman uświadomił sobie, że niełatwo byłoby zabezpieczyć wszystkie tutejsze faksowężły. Jeszcze osiem miesięcy temu Krater Paryski był jednym z największych miast świata. Mieszkało tu dwadzieścia pięć tysięcy osób i działało dwanaście portali. Obecnie – jeśli wierzyć relacjom przyjaciół jego matki – w okolicy zostało mniej niż trzy tysiące ludzi. Wojniky swobodnie wędrowały po ulicach, niepowstrzymywane przez nikogo wspinały się na stare napowietrzne kładki i ściany mieszkalnych wieżowców. Matka już dawno powinna była się stąd wyprowadzić. Najwyższy czas. Daeman pozwolił upartej kobiecie zostać w Kraterze aż tak długo jedynie z uwagi na to, że przez całe swe dotychczasowe życie – niemal dwie Dwudziestki – nawykowo ulegał wszystkim jej kaprysom.

Z drugiej strony miasto wydawało się względnie bezpieczne. Mniej więcej setka ocalałych – przede wszystkim mężczyźni – zabezpieczyła wieżowce w pobliżu zachodniej krawędzi krateru, czyli osiedle, gdzie w swym przestronnym domicylu mieszkała Marina, matka Daemana. Dostęp do wody zapewniała sieć zainstalowanych na dachach zbiorników deszczówki, a w Kraterze Paryskim opady były praktycznie na porządku dziennym. Nie głodowali dzięki tarasowym ogrodom i hodowli zwierząt, które sprowadzono z zarządzanych dawniej przez wojniky pastwisk i wypasano na splechawkach trawników wokół krateru. Co śródę na pobliskich Champs Ulysses odbywał się targ, gdzie spotykali się członkowie wszystkich wspólnot, które pozostały w zachodnich dzielnicach Krateru. Wymieniano się wtedy żywnością, ubraniami oraz innymi podstawowymi towarami. Na rynku pojawiało się nawet wino, transportowane faksem z odległych, wciąż zaludnionych winnic. Obrońcy miasta mieli też broń. Między innymi zakupione w Dworze Ardis kusze, karabiny na kryształowe strzałki, a także jeden miotacz energetyczny, który już po Upadku ktoś odnalazł w opuszczonym podziemnym muzeum. O dziwo, miotacz był w pełni sprawny.

Daeman wiedział jednak, że Marina zdecydowała się zostać w Kraterze Paryskim jedynie z powodu starego drania imieniem Goman, który od bez mała dwudziestu lat był jej najczęstszym kochankiem. Chłopak nigdy się do faceta nie przekonał.

Krater Paryski od zawsze nazywano Miastem Świąteł, co Daemanowi wydawało się zupełnie naturalne. W końcu wychował się wśród szybujących nad ulicami i bulwarami żarkul, wieżowców o jarzących się elektrycznym blaskiem oknach, tysiące ulicznych latarni i jasno oświetlonej, wznoszącej się na tysiąc stóp konstrukcji

symbolizującej wyższość Krateru nad pozostałymi osiedlami. W tej jednak chwili ciemne żarkule walały się po bruku, sieć energetyczna przestała działać, większość latarni i lamp zgasła bądź zniknęła za zamkniętymi okiennicami, a Wielka Dziwka przestała świecić po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat. Chłopak zerknął na nią, biegnąc w stronę osiedla matki, lecz głowa i piersi gigantycznej rzeźby – dawniej wypełnione bulgocącym, fotoluminescencyjnym czerwonym płynem – były zupełnie niewidoczne na tle czarnych burzowych chmur. Niewykłuczone, że zniknęły przesłonięte ich kłębami. Sławetne uda i pośladki okazały się teraz zwykłym żelaznym rusztowaniem, ulubionym celem trzaskających nad miastem błyskawic.

To właśnie owe podniebne rozbłyski pomogły Daemanowi pokonać dystans trzech długich przecznic dzielących Hotel Inwalidów i wieżowiec, w którym znajdował się domicyl Mariny. Kaptur zimowej kurtki naciągnął głęboko na głowę, by poczuć choć złudzenie, że deszcz nie ma do niego dostępu. Na każdym skrzyżowaniu przystawał na moment z uniesioną kuszą, po czym pokonywał biegiem otwartą przestrzeń, gdy blask kolejnej błyskawicy pozwalał mu się upewnić, że w drzwiach ani bramach nie kryją się wojniksy. Jeszcze w pawilonie faksowężła próbował połączyć się z blisko- i dalekosiecią, lecz obie nie działały. Ucieszył się, pamiętał bowiem, że właśnie tymi funkcjami posługiwały się polujące na ludzi wojniksy. Sam z lokalizatora korzystać nie musiał. W końcu było to jego rodzinne miasto i w niczym nie zmieniał tego faktu, że zamiast Daemana z Mariną mieszkał teraz ten szczywany uzurpator Goman.

Na niektórych rozświetlanych burzową poświatą podwórzach stały porzucone ołtarze. Biegnący Daeman oglądał przelotnie niezgrabne, wykonane z papier mâché posągi odzianych w zwiewne szaty bogiń, łuczników o nagich ciałach i brodatych patriarchów. Smutne świadectwa ludzkiej desperacji. Wszystkie tego rodzaju miejsca kultu poświęcono Olimpijczykom znanym z oglądanego pod całunami turyńskimi dramatu – Atenie, Apollinowi, Zeusowi i reszcie. Obląkańcze próby przebłagania bóstw podjęto w Kraterze Paryskim i pozostałych osiedlach kontynentu (od momentu odkrycia funkcji siglowania mieszkańcy Ardis wiedzieli, że dawniej zwano go Europą) jeszcze przed dniem Upadku.

Papierowe posągi rozpadły się pod biczami bezustannie siąpiącego deszczu, przez co ponownie zapomniani bogowie na smaganych podmuchami wiatru ołtarzach przypominali teraz pochodzące z jakiegoś innego świata garbate monstra. Tak, potwory są zdecydowanie bardziej prawdziwe niż jacyś bogowie spod całunu – przemknęło Daemanowi przez myśl. Osobiście przecież odwiedził krążącą w pierścieniu R wyspę Prospera i słyszał tam o Ciszy. Także Kaliban – ten potworny Kaliban, który zamordował Savi i uniósł jej zwłoki w labirynt bagnistych kanałów ściekowych asteroidy – przechwalał się trójce swych jeńców, opowiadając o potędze wielorekiego Setebosa.

Gdy chłopak znalazł się pół przecznicy od wieżowca matki, usłyszał chrobot. Natychmiast ukrył się w ciemnej, chłostanej strumieniami deszczu bramie i odbezpieczył kuszę. Zabrał ze sobą nowy model tej broni, plujący przy każdym zwolnieniu stalowej cięciwy dwoma bełtami o zębatych grotach. Oparł broń o ramię i zaczął czekać.

Raz jeszcze pomogła mu błyskawica. W jej blasku zauważył szóstkę wojniksów. Kierowały się na zachód. Nie szły ulicą, lecz gnały po ścianach starych, kamiennych

budynków niczym metaliczne karaluchy, utrzymując się na murze dzięki swym ostrzom i opatrzonym ostrymi kolcami odnóżom. O tym, że owe stworzenia zdolne są biegać po ścianach, Daeman dowiedział się już dziewięć miesięcy temu w Jerozolimie.

Teraz wiedział również, że potwory widzą w podczerwieni. Ciemność nie stanowiła więc przed nimi dostatecznej osłony, lecz tym kilku sztukom wyraźnie się śpieszyło. Co więcej, oddalały się od domicylu Mariny, a żaden z nich nie skierował wrażliwych na ciepło czujników w jego stronę. Po trzech sekundach zniknęły mu z oczu.

Czując wyraźnie przyśpieszone bicie serca, chłopak przebiegł ostatnie sto metrów. Wieżowiec Mariny wznosił się po zachodniej stronie okrągłego krateru. Kosz napędzanej korbą windy nie czekał na parterze. Oczywiście, że nie. Daeman wypatrzył go wśród rusztowania jakieś dwadzieścia pięć pięter wyżej, w miejscu, gdzie nad starą handlową esplanadą zaczynała się strefa domicyli. Na samym dole zauważył tylko koniec połączonego z dzwonem sznura, za pomocą którego goście anonsowali swoją obecność, lecz mimo że chłopak szarpał za niego przez okrągłą minutę, w budynku nie zapłonęło ani jedno światło. Nikt go nawet nie przywitał.

Zdyszany po biegu przez miasto Daeman zmrużył oczy i zadarł głowę pod deszczowe niebo. Przyszło mu do głowy, że mógłby wrócić do Hotelu Inwalidów. Tutaj czekała go wspinaczka przez dwadzieścia pięć poziomów – w większości po starych i ciemnych klatkach schodowych. W dodatku nie miał gwarancji, że piętnaście kondygnacji pod starą esplanadą nie roi się w tej chwili od wojników.

Po Upadku wielu ludzi osiadłych wokół faksowężłów starożytnych miast i wieżowców musiało opuścić swe mieszkania. Przy braku elektryczności – nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób wytwarzać i przesyłać prąd – przestały działać windy. Nikt nie miał szczególnej ochoty pokonywać po schodach dwustu pięćdziesięciu stóp, zwłaszcza że w niektórych miejscach były to znacznie większe odległości. Dla przykładu Niebiańskie Kręgi w Ułanbacie wznosiły się na całe dwieście pięter. A trzeba było to robić przy każdej wyprawie po wodę i żywność. O dziwo, akurat w Ułanbacie zostało nieco ludzi, mimo że wieżowiec stał wśród jałowej pustyni, na której nie można było uprawiać roślin i gdzie nie żyły również żadne nadające się do jedzenia zwierzęta. Sekret sprowadzał się do faksowężłów, które zainstalowano w owej wieży na co szóstym piętrze. Dopóki reszta kolonii była skłonna wymieniać się pożywieniem w zamian za słynące od dawna na całym świecie, produkowane w Ułanbacie stroje – których obecnie mieszkańcy osiedla posiadali nadmiar, jako że zanim odcięli dostęp do wyższych pięter konstrukcji, wojniksy zgładziły jedną trzecią populacji – Niebiańskim Kręgom nie groziła zagłada.

W wieżowcu Mariny nie było co prawda portali, lecz mieszkańcy wykazali się niesamowitą zaradnością i przystosowali do własnych celów dawną windę dla serwitorów, jeżdżącą po zewnętrznej ścianie gmachu. Liny podłączono do systemu korb i kół zębatych, dzięki czemu w specjalnym niewielkim koszu mogło wjechać na górę bądź zjechać na dół do trzech osób naraz. Winda sięgała jedynie poziomu esplanady, ale ostatnie dziesięć pięter dawało się już pokonać piechotą. Oczywiście system nie sprawdzałby się przy częstszych przejazdach, tym bardziej że widok z kosza sprawiał, iż pasażerom windy włos jeżył się na głowie, lecz mniej więcej setka mieszkańców wieżowca i tak wzięła praktyczny rozbrat z powierzchnią. Uprawiane na tarasach ogrody

i zbiorniki deszczówki zaspokajały podstawowe potrzeby, a pozostałe wymagające kontaktu ze światem sprawy dwa razy w tygodniu załatwiali wysyłani na targ ochotnicy.

Dlaczego nie reagują? Na bezowocnym pociąganiu sznura strawił dodatkowe dwie minuty. Kolejne trzy odczekał.

Dwie przecznice na południe, z okolic szerokiego bulwaru, rozległo się echo chrobotliwych kroków.

Namyśl się wreszcie. Zostań lub wracaj, ale podejmij jakąś decyzję. Daeman odszedł na kilka metrów spod wieżowca i ponownie spojrzał ku górze. Błyskawice oświetlały pajęczynę fulerenowych wsporników i pobłyskujące wilgotne konstrukcje z trójbambusa, pokrywające budowlę powyżej esplanady. W kilku oknach dostrzegł poświatę latarni. Z nowego miejsca udało mu się również zobaczyć ognie sygnałowe, które Goman palił na osłoniętym trójbambusowym daszkiem, wyglądającym na miasto tarasie matki.

Tym razem coś zaskrobało w alejkach na północy.

– Do diabła z tym! – rzucił pod nosem.

To już naprawdę najwyższa pora zabrać matkę z Krateru. Jeżeli nawet Goman ze swymi kumplami spróbują mu przeszkodzić, zrzuci ich za barierkę na samo dno krateru. Daeman zabezpieczył kuszę, by przypadkowo nie przeszyć sobie stopy dwoma zębatymi żelaznymi beltami, wszedł do budynku i rozpoczął wspinaczkę po ciemnych schodach.

Gdy dotarł na poziom esplanady, był już pewien, że coś jest bardzo nie w porządku. Kiedy odwiedzał matkę w ciągu ubiegłych miesięcy – zawsze bywał tu za dnia – przejścia strzegli strażnicy uzbrojeni w prymitywne piki i bardziej nowoczesne łuki z Ardis. Dzisiaj nie spotkał ani jednego.

Czyżby nocą nie pilnowali esplanady? Nie, to przecież absurd – wojniksy były najbardziej aktywne właśnie po zmroku. Poza tym Daeman złożył wizytę Marinie już kilka razy – ostatnio ponad miesiąc temu – i wyraźnie wtedy słyszał rozmowy zmieniających się nocą wartowników. Zdarzyło się nawet, że sam pilnował korytarzy od drugiej rano do szóstej, zanim zmęczony, z zaczerwienionymi oczyma faksował się z powrotem do Ardis.

Sprzyjającą okolicznością okazał się fakt, że powyżej esplanady klatka schodowa była pozbawiona bocznych ścian. Migocące błyskawice ukazywały mu co chwila kolejne stopnie i półpiętra, które pokonywał biegiem, póki świat z powrotem nie zatonął w ciemności. Kuszy nie opuszczał ani na chwilę. Palec Daemana bez przerwy spoczywał na osłonie spustu.

Co zastanie wewnątrz, zrozumiał, zanim jeszcze wszedł na pierwszy poziom mieszkalny, na którym znajdował się domicyl matki.

Ogień sygnałowy, rozpalony w stojącej na tarasie metalowej beczce, dogasał. Trójbambusowa podłoga była zbryzgana krwią. Czerwone ślady pokrywały też ściany i spód drewnianego daszku. Drzwi najbliższego domicylu, nie tego gdzie mieszkała Marina, stały otworem.

W środku krwawe plamy i smugi było widać wszędzie. Daeman nie był w stanie uwierzyć, że setka ciał mieszkańców wspólnoty mogła zawierać w sobie aż tyle szkarłatnego płynu. Dokoła zobaczył świadectwa paniki – naprędce zabarykadowane

drzwi, niektóre rozbite w drzazgi, krwawe odciski stóp biegnące przez tarasy i schody, porozrzucane strzępy pizam – nic jednak nie świadczyło, by obrońcy stawiali jakikolwiek opór. Żadnych zakrwawionych strzał, żadnych wbitych w drewniane futryny włócznie, które chybiły celu. Nic nie sugerowało, by ludzie w ogóle sięgnęli po broń.

Brakowało też ciał.

Zanim zebrał się na odwagę i wszedł do domicylu matki, przeszukał trzy sąsiednie. W każdym zobaczył zachlapaną krwią, połamane meble, podarte poduchy i zerwane ze ścian gobeliny, przewracane stoły, walające się po podłodze kawałki wypełnienia tapicerki – krew na białym pierzu, krew na jasnej gąbce. Zwłok jednak nie było nigdzie.

Drzwi Mariny okazały się zamknięte. Dawne zamki odczytujące linie papilarne przestały działać w dniu Upadku, lecz Goman wymienił je na zasuwkę z łańcuchem, co Daemanowi od początku wydawało się zbyt słabym zabezpieczeniem. Wyszło na to, że miał rację. Gdy mimo kilkukrotnego pukania nikt nie otworzył, chłopak wymierzył drzwiom trzy solidne kopniaki. Deski poszły w drzazgi i wyskoczyły z prowadnicy. Trzymając przed sobą uniesioną kuszę, wkroczył w mrok.

Przedpokój cuchnął krwią. W pokojach wychodzących na krater paliło się światło, lecz w pomieszczeniach bliższych korytarzowi, w tym we wspólnej świetlicy, panowała ciemność. Daeman starał się poruszać jak najciszej. Fetor krwi sprawił, że żołądek chłopaka zaczął się konwulsyjnie buntować. Szedł po niewidocznych kałużach, wyobraził sobie wywoływane przy każdym kroku niewysokie fale. Światła wystarczało akurat na tyle, by widział, że nic ani nikt na niego nie czeka. Drogi nie zagrażały mu też leżące ciała.

– Mamo! – Przestraszył się własnego krzyku. Powtórzył. – Mamo! Goman? Halo? Jest tu kto?

Wiszące na tarasie dzwoneczki zakołysały się na wietrze. Mimo że w mieście i dokoła krateru było prawie zupełnie ciemno, salon oświetlały błyskawice. Niebieskie i zielone jedwabne zasłony na południowej ścianie, te których nigdy nie lubił i tolerował jedynie z przyzwyczajenia, uwalane były czerwonobrazowymi plamami. Głęboki fotel, który Daeman okupował podczas każdej wizyty u Mariny – przystosowane do ludzkiej sylwetki siedzisko z falistej tektury – leżał pocięty na pasy. Wciąż ani jednego trupa. Daeman nie był pewien, czy jest gotów zobaczyć to, co w końcu musiało mu się przecież ukazać.

Wymalowane krwią chaotyczne zawijasy ciągnęły się od drzwi tarasu i wiodły z salonu do jadalni, w której Marina chętnie sadzała gości przy długim stole. Daeman zczekał na błysk – burza oddaliła się na wschód i przerwy pomiędzy kolejnymi falami światła a grzmotami stawały się coraz dłuższe – po czym ponownie przygotował kuszę, podrzucił ją do ramienia i wszedł do jadalni.

Pomieszczenie i wszystko, co się w nim znajdowało, obejrzał w trzech kolejnych rozbłyskach białego światła. Ciał w sensie ścisłym nie było, lecz na długim na dwadzieścia stóp mahoniowym stole matki piętrzyła się niemal pod powalę przewyższająca chłopaka o siedem stóp piramida trupich czaszek. Dziesiątki oczodołów wpatrywały się w niego pustymi spojrzeniami. Jaśniejąca w ciemności biel czerepów przypominała wypalony światłem błyskawicy powidok.

Daeman opuścił ciężką broń, zabezpieczył ją i podszedł do sterty. Cała jadalnia była zbryzgana krwią, cała, z wyjątkiem nieskazitelnie wyczyszczonego stołu. Przed piramidą wyszczerzonych czaszek leżał rozpostarty na blacie stary całun turyński. Wplecione w tkaninę obwody spoczywały w jednej linii z ułożoną na wierzchołku piramidy czaszką.

Daeman wszedł na krzesło, to samo, na którym zwykle u matki siadał do posiłków, a z niego przeszedł na stół i zajrzał prosto w oczodoły tej najwyżej leżącej z setki czaszek. W bladych przeblyskach gasnącej nawałnicy zauważył, że wszystkie pozostałe czerepy zostały starannie obrane z mięsa, były doskonale białe, nie trzymał się ich nawet skrawek skóry. Tylko ta jedna nie została potraktowana z tak wielką pieczołowitością. Pozostało na niej – czy raczej zostało z rozmysłem pozostawionych – kilka pasemek splecionych w kok rudych, kręconych włosów. Czerwonawe kosmyki zwieszały się też z potylicy.

Daeman miał rudawe włosy. Ruda także była jego matka.

Zeskoczył z blatu, gwałtownym ruchem otworzył drzwi na taras i wybiegł. Oparł się o barierkę i zwymiotował prosto w czerwone oko lawy, jarzące się pięćdziesiąt mil poniżej. Mdłości szarpały nim raz po raz, i znowu, mimo że nie miał już czego zwracać. Na koniec odwrócił się, rzucił kuszę na podłogę, ochlapał twarz i zwilżył usta wodą z miedzianej miski, którą Marina zawiesiła dla ptaków na ozdobnych łańcuchach. Osunął się na ziemię i oparł plecami o trójbambusową poręcz. Otepiałe spojrzenie wlepił poza przesuwne drzwi, w głąb jadalni.

Grzmoty huczały coraz rzadziej, błyskawice świeciły z każdą chwilą słabiej, lecz wzrok Daemana przywykł już do ciemności i chłopak widział teraz obłe potyllice niezliczonych czaszek w czerwonej poświacie bijącej z dna krateru. Wciąż widział rude pasemka.

Dziewięć miesięcy temu zapłakałby niczym trzydziestosiedmioletnie dziecko. Teraz, mimo że żołądek wciąż skręcały bolesne skurcze, a serce ścisnęło mu jakieś nienazwane, mroczne uczucie, spróbował przemyśleć wszystko bez emocji.

Co do osoby sprawcy nie miał najmniejszych wątpliwości. Wojniksy nie musiały jeść, nigdy też nie porywały ciał swych ofiar. Ci ludzie nie zginęli wskutek jednej z ich przypadkowych napaści. Ich śmierć stanowiła jasną wiadomość, wiadomość przesłaną Daemanowi. I była w stanie ją nadać tylko jedna, jedyna istota zrodzona w mrokach stworzenia. Mieszkańcy wieżowca zginęli wypatroszeni niczym ryby, a ich czaszki spoczyły na stole jak sterta orzechów kokosowych, wyłącznie po to, by wiadomość dotarła do adresata. Co więcej, sądząc po fetorze i świeżości krzepnącej krwi, masakra wydarzyła się najdalej przed kilkoma godzinami.

Ignorując porzuconą kuszę, Daeman stanął na czworakach, podźwignął się na równe nogi – ale tylko dlatego, że nie chciał już nurzać dłoni w kałużach krwi na tarasie – i wrócił do jadalni. Obszedł długi stół dokoła, po czym wdrapał się na blat, by zdjąć z piramidy czaszkę matki. Zatrzęsły mu się dłonie. Oczy miał suche.

Ludzie dopiero niedawno nauczyli się grzebać swych zmarłych. Podczas ostatnich ośmiu miesięcy w Ardis odbyło się siedem pogrzebów. Sześć osób poległo w starciach z wojniksami, a pewna młoda dziewczyna zmarła wskutek tajemniczej choroby. Wysoka gorączka zabrała ją w ciągu jednej, wypełnionej majakami nocy. Przedtem Daeman nie

miał nawet pojęcia, że ludzie mogą chorować.

Czy powinienem ją zabrać ze sobą? I wyprawić dla niej pogrzeb pod ostrokołem, tam gdzie Nikt z Harmanem wytyczyli miejsce pod cmentarz?

Nie. Marina tak bardzo kochała domicyłe Krateru Paryskiego. Żadne inne miejsce, do którego pozwalały dotrzeć faksowężły, nie podobało się jej aż tak bardzo.

Ale przecież nie mogę jej tu zostawić, nie na tym stosie, pomyślał targany kolejnymi falami niemożliwych do opisanía emocji. Przecież któraś z tych czaszek należała do tego bydlaka Gomana.

Wyniósł czerep matki na taras. Deszcz przybrał na sile, ale wiatr ucichł. Daeman przez długą chwilę stał przy barierce, pozwalając kroplom obmywać twarz i czaszkę. Wreszcie rzucił ją za poręcz i odprowadził wzrokiem ku czerwienięjącemu w dole oku, póki biała iskierka nie zgasła bez reszty.

Sięgnął po kuszę i już miał wyjść – przez jadalnię, salon i przedpokój – lecz nagle zamarł.

To nawet nie był dźwięk. Deszcz bębnił tak głośno, że chłopak nie usłyszałby nawet zachodzącego go od tyłu allozaura. O czymś zapomniał. Zaraz, o czym?

Starając się unikać oskarżycielskich spojrzeń czaszek wszedł do jadalni. Co mogłem zrobić? – spytał je w duchu. Mogłeś z nami umrzeć, odpowiedziały niemymi głosami. Poderwał z blatu całun turyński.

Stwór nie bez powodu zostawił mu ten kawałek tkaniny. Jedyne całun i stół zostały oczyszczone z ludzkiej krwi. Daeman wcisnął całun do kieszeni kurtki i wyszedł z domicyłu.

Na prowadzących ku esplanadzie schodach było ciemno. Jeszcze gęstszy mrok panował na klatce schodowej, która wiodła kolejne piętnaście pięter w dół, na ulicę. Daeman nawet nie podniósł kuszy. Jeżeli on – jeśli to – na niego czekało, trudno. Zetrą się na zęby i paznokcie. I gniew.

Nie spotkał nikogo i niczego.

Kiedy Daeman przeszedł już pół drogi do faksowężła przy Hotelu Inwalidów – kroczył w gęstym deszczu nieśpiesznie, samym środkiem bulwaru – zza pleców doleciały go trzask i zgrzytanie.

Odwrócił się, przyklęknął na jedno kolano i podrzucił broń do ramienia. Nie tak brzmiał tamten. On stąpał cicho na swych twardych błoniastych stopach najeżonych żółtymi szponami.

Daeman podniósł spojrzenie i zmartwiał. Opadła mu szczeka. W pobliżu krateru, pomiędzy nim a wieżowcem matki coś wirowało w wilgotnym powietrzu. Obiekt był kulisty, miał średnicę kilkuset metrów i obracał się z niezwykłą prędkością. Powierzchnię wielkiej sfery oplatała sieć elektrycznych wyładowań, z jej środka strzelały od czasu do czasu jaskrawe promienie. Po okolicy poniósł się hurgot, od którego zadrżał uliczny bruk. Kulę pokryły fraktalne wzory, po czym całość spłaszczyła się i zmieniła w dysk, który osiadł na ziemi, rozcinając przy tym jeden z budynków. Dolna część powierzchni zanurzyła się pod brukiem.

Z wnętrza kręgu wylały się słoneczne promienie, lecz nie było to światło słońca, jakie widuje się z Ziemi. Wystający ponad powierzchnię fragment stworzył coś w rodzaju

gigantycznej bramy. Jaśniała dwie przecznice od niego, przesłaniając wschodnie niebo. Zerwał się silny wiatr. Wyjące poddmuchy gnały w stronę owych wrót z huraganową siłą, niemal zwalając Daemana z nóg.

Wewnątrz wciąż wibrującego kręgu ukazał się słoneczny świat – delikatnie rozkołysane morskie fale, czerwona gleba, skały i góra. Nie, nie zwykła góra – piętrzący się niewyobrażalnie, rozcinający niebieskawe niebo wulkan. Nagle z morza wynurzyło się coś wielkiego – wilgotna, szaroróżowa masa. Stworzenie pomknęło błyskawicznie ku portalowi, niczym stonoga sunąc na odnóżach do złudzenia przypominających wielkie dłonie. Po chwili widok zasłoniły niesione wichrem śmiecie i pył. Rozszalały wiatr zniknął wessany do wnętrza bramy i zrobiło się cicho.

Daeman jeszcze przez chwilę stał w bezruchu. Wyteżając wzrok, wpatrywał się w tuman kurzu. Mimo że w powietrzu przed wielkim kręgiem było aż gęsto od pyłu, i tak musiał osłonić oczy dłonią przed bijącymi z dziury oślepiającymi promieniami słońca. Zabudowania po zachodniej stronie jaskrawego półkola – w tym żelazny szkielet ud i pusty brzuch Wielkiej Dziwki – zabłyśły przez moment w zimnym świetle obcego dnia, po czym zniknęły przesłonięte wypływającymi z portalu tumanami piachu. Pozostałe części miasta pozostawały niewidoczne, spowite wilgotnym mrokiem deszczowej nocy.

Z ulic na południu i północy rozległ się chrobot i pobrzękiwanie kończyn wojniksów. Śpieszyło im się.

Dwa wyskoczyły pędem z ciemnej bramy wychodzącej na bulwar. Rzuciły się ku Daemanowi na czterech łapach, szczękając morderczymi nożami.

Wziął je na muszkę swojej kuszy. Oczekał, podprowadził je. Pierwszy bełt uderzył w skórzasty kaptur osłaniający łeb drugiego wojniksa – potwór padł jak rażony piorunem. Drugi pocisk wszedł w pierś bliższego wojniksa. Ten również się przewrócił, lecz nie znieruchomiał. Wciąż czołgał się naprzód.

Daeman powolnym, spokojnym ruchem dobył z przerzuconej przez ramię torby kolejne dwa zębate groty. Przeładował, napiął kuszę i z dziesięciu stóp posłał oba pociski prosto w ośrodek nerwowy wojniksa. Dalej potwór już nie popęzł.

Od zachodu i południa dobiegły go kolejne dźwięki. Bijąca z portalu rudawa poświata dobrze oświetlała ulicę. Daeman stracił nawet wątpliwą osłonę ciemności. Gdzieś za snującą się w powietrzu chmurą pyłu rozległ się ryk, jakiego chłopak nigdy jeszcze nie słyszał. Głęboki, nienawistny, nieartykułowany – brzmiał jak wypowiedane wspanak słowa obcej mowy.

Nie śpiesząc się, ponownie załadował kuszę. Raz jeszcze spojrzął przez ramię na widniejącą na tle panoramy Krateru Paryskiego dziurę i majaczący po drugiej stronie czerwony wulkan, po czym potruchtął spokojnie w stronę Hotelu Inwalidów.

Odyseusz-Nikt umierał.

Harman co rusz odwiedzał niewielki pokój na parterze Dworu Ardis, przekształcony jakiś czas temu w tymczasowy – i najczęściej nieskuteczny – szpital. Zgromadzono tam podręczniki, z których mogli siglować tablice anatomiczne i instrukcje pozwalające wykonywać proste operacje w rodzaju nastawiania złamanych kości, lecz jedynie Nikt miał odpowiednie doświadczenie i jako tako radził sobie w postępowaniu z naprawdę poważnymi ranami i obrażeniami. Dwóch zmarłych w Ardis ludzi, pochowanych teraz na nowo powstałym w pobliżu północno-zachodniego rogu palisady, odeszło po wielu dniach cierpień w tym właśnie pomieszczeniu.

Ada nie odstępowała Harmana o krok, nie zostawiła go ani na chwilę, odkąd ponad godzinę temu wszedł chwiejnym krokiem przez bramę. Co rusz muskała jego ramię lub brała go za rękę, jakby po to, by upewnić się, że naprawdę wrócił. Obrażenia Harmana opatrzone na pryczy sąsiadującej z łóżkiem Odyseusza. Były to głównie głębokie skaleczenia, wymagające założenia kilku bolesnych szwów i zastosowania równie nieprzyjemnych, prymitywnych domowych środków odkażających, w tym czystego alkoholu. Żadna jednak z tych metod nie była w stanie pomóc w leczeniu straszliwych ran ramienia i głowy wciąż nieprzytomnego Greka. Umyli go najdokładniej jak potrafili, pociętą skórę głowy zamknęli szwami, otwarte rany zdezynfekowali. Odyseusz-Nikt nie ocknął się nawet wtedy, gdy polewali odsłonięte tkanki alkoholem. Ramię jednak było po prostu zmasakrowane. Trzymało się tułowia na kilku poszarpanych pasmach ścięgien, mięśni i zgruchotanej kości. Obwiązali je bandażami i usztywnili, lecz opatrunek już w tej chwili był przesiąknięty świeżą krwią.

– On umrze, prawda? – spytała Hannah, która od powrotu nie wyszła ze szpitala, nie przebrała się nawet z poplamionego krwią ubrania. Kiedy opatrywali jej pokaleczone lewe ramię, gdy czyścili jej rany i zakładali szwy, nie odrywała oczu od leżącego kochanka.

– Tak myślę – stwierdził Petyr. – Nie przeżyje.

– Dlaczego wciąż nie odzyskuje przytomności? – spytała dziewczyna.

– Moim zdaniem to skutek ciosu w głowę – odezwał się Harman. – Raczej nie samych ran ciętych.

Chciało mu się wyć. Człowiek mógł przesiglować setki podręczników neuroanatomii, lecz to wcale nie znaczyło, że umiał otworzyć czaszkę i usunąć uciskające mózg skrzepy. Gdyby spróbowali przeprowadzić tego rodzaju operację za pomocą swych siermiężnych instrumentów, korzystając z niemal zerowego doświadczenia w chirurgii, Nikt umarłby wcześniej, zanim pozostawiliby rzecz naturalnemu biegowi. Tak czy inaczej, Nikt-Odyseusz stał już nad grobem.

Ferman, na co dzień odpowiedzialny za prowadzenie szpitala, człowiek, który przesiglował znacznie więcej książek medycznych niż Harman, podniósł wzrok znad piły

i tasaka – ostrzył je na wypadek, gdyby uznali, że należy zgruchotaną kończynę amputować.

– Będziemy musieli zdecydować, co z tą jego ręką. I raczej nie powinniśmy zwlekać – rzucił półgłosem i na powrót podniósł osełkę.

– Kiedy go niosłeś... – Hannah zwróciła się do Petyra – kilka razy coś wymamrotał. Nie dosłyszałam, co mówił. Ty cokolwiek z tego zrozumiałeś?

– Bardzo niewiele. Niewyraźny bełkot. W dodatku mówił chyba w języku, którym ten drugi Odyseusz posługiwał się w spektaklu turyńskim.

– Po grecku – odpowiedział Harman.

– Mniejsza o nazwę – odparł Petyr. – Zdołałem też wyłowić kilka angielskich słów, ale nie miały chyba większego znaczenia.

– Co powiedział? – naciskała dziewczyna.

– Na pewno mówił coś, w rodzaju „nieście mnie na wprost”? I jeszcze coś jakby „popsuła”. Chyba. Prawie na pewno, chociaż słyszałem głównie własny oddech i krzyki strażników. Podchodziliśmy wtedy do bramy od północy, więc pewnie miał na myśli żebyśmy uciekali z nim dalej, do drugiej bramy, na wypadek, gdyby ta się zepsuła. Majaczył.

– Rzeczywiście bez sensu – przyznała Hannah.

– Bardzo cierpiał, faktycznie mógł po prostu majaczyć – zauważył Petyr.

– Możliwe – rzucił Harman i wyszedł ze szpitala.

Ada wzięła go pod ramię i zaczęli się przechadzać po dworku.

W głównej jadalni zebrało się około pół setki ludzi z czterystuosobowej załogi Ardis. Posilali się.

– Też powinnaś coś zjeść. – Harman przytknął dłoń do rosnącego brzucha Ady.

– A ty jesteś głodny?

– Jeszcze nie.

Nie chciał jej mówić, że ból świeżych ran w i tak niezbyt sprawnej nodze przyprawiał go o mdłości. Apetytu nie zaostrzało również żywe wspomnienie leżącego na łóżku, wykrwawiającego się Odyseusza-Nikogo.

– Hannah się załamie – wyszeptała Ada.

Rozkojarzony Harman pokiwał głową. Coś go dręczyło i usilnie próbowało wybić się na powierzchnię jego świadomości. Czekał, aż myśl się wreszcie wykluje.

Przeszli przez dawną salę balową, gdzie przy długich stołach pracowały dziesiątki ludzi. Osadzali na drewnianych strzałach odlane z brązu groty, mocowali lotki, strugali włócznie i łuki. Powitali przechodzących Adę i Harmana uprzejmymi skinieniami. Harman wyprowadził dziewczynę tylnym wyjściem do parnej przybudówki, w której działała kuźnia. Trzech mężczyzn i dwie kobiety uderzali młotami brązowe ostrza mieczy i sztyletów, które potem ostrzyli na wielkich kamieniach szlifierskich. Harman wiedział, że panujący rankiem w pomieszczeniu żar stanie się wprost nieznośny, kiedy pojawi się w nim kolejna partia płynnego, gotowego do odlania metalu. Przystanął i pogładził niemal gotowy miecz. Broń czekała już tylko na owinięcie rękojeści rzemienią plecionką.

Wygląda tak niezgrabnie i prymitywnie, pomyślał. Nie tylko w porównaniu z mieczem Kirke, prawdziwym arcydziełem nieznanego rzemieślnika, lecz nawet

z bronią, którą oglądaliśmy w spektaklu turyńskim. Jakie to smutne, że pierwszymi narzędziami, jakie odlewamy i wykuwamy po trwającej dwa tysiące lat przerwie, jest właśnie toporna broń. Znowu nastąpiła epoka mieczy.

Do przybudówki wpadł zdyszany Reman.

– Co się stało? – spytała Ada.

– Wojniksy! – Po skończonej zmianie w kuchni Reman pełnił właśnie służbę na palisadzie. Był przemoczony, deszcz padał nieprzerwanie od zmroku. Wśród kosmyków jego brody zamigotały sople lodu. – Mnóstwo wojniksów! Jeszcze nigdy nie widziałem takiej chmary!

– Wyszły już z lasu? – zapytał Harman.

– Na razie gromadzą się pod osłoną drzew. Ale muszą ich być setki.

Z zewnątrz dobiegł dźwięk bijących na ostrokołe dzwonów alarmowych. Gdyby wojniksy rozpoczęły już atak, strażnicy zadęliby w rogi.

Jadalnia opustoszała. Mężczyźni i kobiety pośpiesznie się ubrali, sięgnęli po broń i pobiegli na swoje stanowiska na murze i dziedzińcu. Obsadzili też okna, drzwi, poddasza, ganki i balkony samego dworku.

Harman nawet nie drgnął. Nurt biegnących obmył go jak rzeczne fale.

– Harman? – szepnęła dziewczyna.

Skierował się pod prąd i zaprowadził ją z powrotem do szpitala, do umierającego Nikogo. Hannah miała już na sobie płaszcz, a w dłoni ścisnęła włócznię, lecz nie zdołała się oderwać od leżącego Greka.

Petyr właśnie wychodził, lecz na widok Ady i Harmana zawrócił i stanął z nimi przy zakrwawionym łóżku Odyseusza.

– On nie powiedział „nieście mnie na wprost”. I nie chodziło mu o zepsutą bramę – odezwał się półgłosem Harman. – Powiedział „Przenieście mnie na most. Kapsuła”. Kapsuła regeneracyjna na Golden Gate.

Zza okna doleciał ich dźwięk rogów.

Daeman wiedział, że powinien faksować się prosto do Ardis i poinformować towarzyszy o tym, co właśnie zobaczył, nawet jeśli oznaczało to długi na ponad milę nocny spacer z pawilonu do dworku. Nie był jednak w stanie. Owszem, pojawienie się dziury w niebie wydawało się wydarzeniem ważnym, lecz nie był jeszcze gotów do powrotu.

Przeniósł się do nieznanego w starym świecie węzła, który odkrył, gdy pół roku temu prowadzili badania sieci faksowej. Nanieśli wówczas na mapy wszystkie czterysta dziewięć znanych stacji. Poszukiwali przy tym ocalałych z Upadku ludzi oraz nowych portali. Powitał go upał i słoneczny blask. Tutejszy pawilon wznosił się na pagórku otoczonym palmami kołyszącymi się łagodnie w powiewającej znad morza bryzie. Poniżej rozciągała się plaża – półksiężyc białego piasku otaczał lagunę wypełnioną wodą tak krystaliczną, że widział rafy porastające dno czterdzieści stóp pod powierzchnią. Wokół nie było żywej duszy, ani dawnych ludzi, ani postludzi. Podczas swojej pierwszej wizyty Daeman odkrył natomiast zarośnięte ruiny starożytnego miasta, leżące niedaleko na północ od brzegu.

Mimo że był tu już pewnie tuzin razy – lubił w tej okolicy spokojnie usiąść i pomyśleć – na wojniksy nie natknął się nigdy. Podczas jednej z takich wycieczek zauważył za to wielkiego beznogiego gada, który wynurzył się z fal tuż za barierą rafy, po czym z głośnym pluskiem zanurkował z powrotem. W paszczy trzymał długiego na trzydzieści stóp rekina. Z wyjątkiem tego pojedynczego, mało sympatycznego spotkania, Daeman ani razu nie poczuł się tu zagrożony.

Zszedł powoli na plażę, rzucił ciężką kuszę na piasek i usiadł. Słońce mocno przygrzewało. Uwolnił ramiona od pękatego plecaka, zdjął kurtkę i koszulę. Coś wysunęło mu się z kieszeni – wyciągnął zabrany z makabrycznego stołu całun turyński. Cisnął go w piach. Zdjął buty, spodnie i bieliznę. Nagi ruszył ku wodzie, nie obrzucając pobliskiej dżungli nawet jednym spojrzeniem.

Moja matka nie żyje. Odebrał to jak cios pięścią. Znow zebrało mu się na wymioty. Matka nie żyje.

Zatrzymał się tuż na skraju fal. Ciepła woda obmyła mu stopy, wypłukała piasek spod palców. Nie żyje. Już nigdy jej nie zobaczy, nie usłyszy jej głosu. Nigdy, nigdy, nigdy, nigdy, nigdy.

Daeman usiadł ciężko na mokrym piachu. Aż do dzisiaj był przekonany, że zdołał się pogodzić z tym nowym światem, w którym śmierć stała się faktem ostatecznym. Sądził, że pojednał się z tą straszliwą rzeczywistością już wówczas, gdy osiem miesięcy temu śmierć zajrzała mu w oczy na kosmicznej wyspie Prospera.

Zrozumiałem, że pewnego dnia odejdę na zawsze... Ale przecież nie moja matka! Nie Marina. To... to po prostu nieuczciwe.

Zaśmiał się przez łzy. Wszystko, co myślał i czuł wydawało się tak absurdalne. Od

dnia Upadku umarły tysiące ludzi... Wiedział, że aż tylu, ponieważ był jednym z wysłanników Ardis odwiedzających osiedla przy innych faksowężłach. Osobiście widział groby. Gdzeniegdzie uczył nawet, jak należy je kopać i układać w nich zwłoki, by zgniły pod ziemią...



Moja matka! Czy cierpiała? Czy Kaliban ją dręczył, torturował? Czy zabawił się z nią, zanim zadał jej tak okrutną śmierć?

Bo wiem, że zrobił to właśnie Kaliban. Zabił ich wszystkich. Nieważne, że wydaje się to niemożliwe – takie są fakty. Zaszlachtował ich wszystkich wyłącznie po to, by dobrać się do mojej matki, żeby złożyć jej czaszkę na stosie tej koszarnej piramidy. Kosmyki rudych włosów zostawił, bym zrozumiał, że to naprawdę ona. Kaliban! Ty kurewska, zasrana gnido, ty pizdo jebana, ty szmato zboczona, pojebie genetyczny, ty chuju pierdolony...

Zabrakło mu tchu. Coś po prostu zatkało mu krtań. Otworzył szeroko usta, jakby szykując się do wymiotów, lecz nie był w stanie oddychać.

Umarła. Odeszła na zawsze. Umarła.

Wstał, wszedł do ogrzanej promieniami słońca wody i zanurkował. Wypłynął, mocno pracując ramionami. Skierował się ku rafie, gdzie marszczyły się białe fale, tam, gdzie zobaczył wielką bestię z rekinem w zębach. Płynął szybko, czując na twarzy i w oczach ukąszenia słonej wody.

Wysiłek przywrócił mu oddech. Pokonał sto metrów i znalazł się w miejscu, w którym laguna otwierała się na morze, po czym stanął na płyciźnie. Czuł próbujące go porwać prądy, przyglądał się wzbierającym za rafą bałwanom, zaszuchał się w cudownie gwałtowny szum, z jakim się rozbijały, niemal poddał się ich wezwaniu, nawoływaniom, by popłynął dalej i dalej i dalej... Oceanu Spokojnego nie przecinała Bruzda podobna do tej, którą zbudowano na Atlantyku, więc jego ciało mogłoby dryfować przez wiele dni... Odwrócił się i popłynął z powrotem na plażę.

Wszedł z wody i jakby zapomniał, że jest zupełnie nagi. Nie zapomniał jednak o bezpieczeństwie. Podniósł pokrytą cienką warstewką soli lewą dłoń i wywołał funkcję dalekosieci. Wyspa znajdowała się w południowej części Oceanu Spokojnego – Daeman niemal parsknął śmiechem. Jeszcze dziewięć miesięcy temu, zanim poznał Harmana, nie znał nazw mórz, nie miał nawet pojęcia, że Ziemia jest okrągła. Obce mu były kontynenty, właściwie nie zdawał sobie sprawy, że istnieje więcej niż jeden ocean – tylko co, do cholery, przyszło mu z całej tej wiedzy? Był głęboko przeświadczony, że zupełnie nic.

Dzięki dalekosieci upewnił się, że w pobliżu nie ma innych ludzi ani wojników. Wrócił do porzuconych ubrań i ułożył się na kurtce jak na plażowym ręczniku. Piasek oblepił opalone nogi.

Silniejszy podmuch wiejącego od strony lądu wiatru porwał z plaży całun turyński i poniósł go nad głowę Daemana ku wodzie. Wiedziony odruchem wyciągnął rękę i pochwycił go. Pokręcił głową i wytarł włosy wolnym od mikroobwodów rąbkiem kunsztownie wyszywanej tkaniny.

Ponownie wyciągnął się na plecach. Trzymając w dłoni wilgotną szmatkę, zapatrzył się w niczym niezmacone błękitne niebo.

Ona nie żyje. Trzymałem w rękach jej czaszkę. Skąd miał pewność, że ta konkretna czaszka, jedna ze stu – nawet mimo obscenicznie pozostawionych pasemek krótkich, rudych włosów – rzeczywiście należała do jego matki? Po prostu wiedział. Może powinienem był ją tam zostawić z kimś innym? Nie z Gomanem, którego upór w kwestii pozostania w Kraterze Paryskim ostatecznie ją zabił. Na pewno nie z nim. Daemanowi ponownie stanął przed oczyma obraz maleńkiej, bielejącej czaszki spadającej ku czerwonemu oku krateru.

Skrzywił się i opuścił powieki. Ból, jaki poczuł tej nocy, był najzupełniej fizyczny, wciąż kaleczył go za oczami jak lancet.

Musiał wrócić do Ardis i opowiedzieć wszystkim, co zobaczył – o tym, że Kaliban wrócił na Ziemię, o dziurze, która rozcięła nocne niebo, i o olbrzymiej istocie, która z niej wypełzała.

Wyobraził sobie reakcje Harmana, Nikogo, Ady i kilku innych osób. I te pytania. Skąd masz pewność, że to Kaliban ich zabił?

Daeman był po prostu pewien. On to wiedział. Gdy zwarli się w pozbawionym ciężenia, wielkim jak katedra szybie na orbitalnej wyspie Prospera, połączył ich rodzaj osobliwej więzi. Chłopak już w dniu Upadku wiedział, że monstrum zdołało przeżyć i prawdopodobnie w jakiś niewiarygodny, niepojęty sposób uciekło z asteroidy i przedostało się na Ziemię.

Ale skąd o tym wiesz?

Po prostu wiedział.

Tylko jak to możliwe, by jeden stwór, w dodatku mniejszy od wojnika, wymordował setkę mieszkańców Krateru Paryskiego, w większości mężczyzn?

Kaliban mógł skorzystać z pomocy tych klonów z Basenu Śródziemnego – kalibanów stworzonych wieki temu przez Prospera do walki przeciwko wojnikom Setebosa. Daeman jednak podejrzewał, że nie tak wyglądała prawda. Podejrzewał, że Kaliban naprawdę dokonał tej rzezi w pojedynkę. Przesłał mi wiadomość.

Skoro uważasz, że była to wiadomość dla ciebie, to dlaczego Kaliban nie pojawił się w Dworze Ardis i nie wybił nas wszystkich, zostawiając ciebie na deser?

Dobre pytanie. Daeman również i w tej sprawie miał już pewną teorię. Widział, jak Kaliban bawił się bezokimi jaszczurkami, które łowił w cuchnących kanałach ściekowych orbitalnego miasta – dręczył je, by ostatecznie połączyć jednym kęsem. Pamiętał również, jak potwór bawił się z nimi, z Harmanem, Savi i Daemanem – szydził z nich przez dłuższą chwilę i dopiero potem skoczył jak błyskawica, przegryzł staruszcę kark i zanurkował z jej ciałem, by pożreć je pod wodą. Teraz znów się mną bawi. Igra z nami wszystkimi.

A co takiego właściwie wyszło z tej dziury nad Kraterem Paryskim?

Kolejne świetnie postawione pytanie. Co tak naprawdę zobaczył? W końcu widok przesłaniały mu tumany kurzu, piasku i odpadków poderwanych huraganowymi powiewami wiatru. W dodatku z tej wyciętej w niebie bramy biło oślepiające światło. Wielki śluzowaty mózg poruszający się na dłoniach? Daeman już w tej chwili był sobie w stanie doskonale wyobrazić uśmieшки słuchających jego relacji ludzi.

Nie śmiałyby się tylko Harman. Harman był przecie z Daemanem – i z Savi, której zostało wówczas już tylko kilka minut życia – gdy Kaliban rechotał, posapywał i syczał, głosząc osobliwą litanię do swego ojca i boga Setebosa.

„Setebos, boski Setebos, Setebos! On mieszka – myśli – w księżycowym chłodzie”. I dodał: „Myśli jednak, że Setebos, jak ośmiornica wieloramienna, straszny przez to, co czyni, wprawdzie patrzy w górę, widzi, że nie zrówna temu, co żyje cicho i szczęśliwie, ale ozdabia ten świat, małpuje prawdziwy, jak owoc róży małpuje winorośl”.

Wraz z Harmanem uznali potem, że „ten świat” oznaczał orbitalną wyspę Prospera. Teraz jednak skupił się na czymś innym, na słowach dotyczących samego Setebosa. „Jak

ośmiornica wieloramienny”.

Jak wielkie było stworzenie, które wyszło z dziury?

Otóż to, jak wielkie? Odnosił wrażenie, że przerastało niektóre mniejsze budynki miasta. Z drugiej strony mogło to być złudzenie, przeszkadzały mu światło, wicher i ta wielka góra za poruszającą się szybko istotą. Nie, w tej sprawie Daeman nie miał pewności.

Muszę wracać.

* * *

– Jezu Chryste – jęknął. Wiedział już, że ten codzienny zwrot, którym wielu ludzi posługiwało się od małego, ma jakiś związek z zapomnianym bóstwem z Zapomnianej Ery. – Jezu Chryste.

Nie miał ochoty wracać dziś do Krateru Paryskiego. Chciał zostać tutaj, na tej cieplej, słonecznej i bezpiecznej plaży.

Co zrobiła ta wielka ośmiornica, gdy znalazła się w Kraterze? Czy przybyła na spotkanie z Kalibanem?

Tak, jeszcze przed powrotem do Ardis musiał udać się tam z powrotem i przeprowadzić bardziej dokładny rekonesans. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze chwilę.

Bolała go głowa, kolce żaloby i smutku nadal kłuły go za oczami. Przekłęte słońce na plaży świeciło stanowczo zbyt jasno. Zasłonił oczy dłonią. Przeświecające między palcami promienie również okazały się zbyt jaskrawe. Sięgnął więc po całun i – jak wiele razy w przeszłości – nakrył nim całą twarz. Rozgrywający się pod Troją dramat nigdy go szczególnie nie interesował – w przeciwieństwie do uwodzenia młodych kobiet i wzbogacania kolekcji motyli – ale śledził go niekiedy, z nudy i ciekawości. Tak samo teraz, z nawyku, bo przecież wiedział, że całuny wysiadły wraz z serwitorami i elektrycznym oświetleniem, ułożył tkaninę w ten sposób, by siateczka mikroobwodów nakryła mu środek czoła.

Natychmiast pojawiła się fala dźwięków, obrazów i pozostałych fizycznych doznań.

Achilles klęczy przy zwłokach Amazonki Pentezylei. Dziura się zamknęła – na całym wybrzeżu Morza Tetydy wszędzie dokoła, na wschodzie i na południu, widać jedynie czerwone marsjańskie pejzaże. Po Ziemi i Ilionie nie ma już śladu. Większość wodzów, którzy u boku Achillesa walczyli z Amazonkami, zdołała uciec na czas. Zniknęli obaj Ajaksowie, zniknęli Diomedes, Idomeneus, Stichios, Stenelos, Euryalus, Teukros – zniknął nawet Odyseusz. Część Achajów – Euenor, Protesilaos i jego druh Podarkes, a także Menippus – leży martwa pośród ciał pokonanych wojowniczek. W panice i konsternacji jakie zapanowały, kiedy Dziura zaczęła się zamykać, umknęli nawet Myrmidoni, najwierniejsi z żołnierzy Achillesa, w przekonaniu, że heros ewakuuje się wraz z nimi.

Achilles został sam z umarłymi. Marsjański wiatr splywa ze stromych urwisk u podnóża Olimpu i gwizdże potępieńczo między porzuconymi, zapomnianymi pancerzami, szarpie zakrwawione proporce na włóczniach przyszpilających ciała zabitych do czerwonej ziemi.

Chyżonogi mężobójca tuli do siebie zwłoki Pentezylei, składa sobie jej głowę na kolanach. Szlocha, oglądając swoje własne dzieło – przebitą pierś, rany, z których nie cieknie już nawet strużka krwi. Jeszcze pięć minut wcześniej Achilles cieszył się swym triumfem i krzyczał do umierającej królowej:

– Nie wiem, jakie bogactwa przyobiegał ci Priam, głupia dziewczko, lecz tak wygląda twoja nagroda! Teraz twym alabastrowym ciałem nakarmię się psy i ptactwo.

W tej chwili na wspomnienie własnych słów heros może już tylko gorzko lamentować. Nie umie oderwać oczu od nadobnego lica i wciąż różowiących się warg. Złote pukle Amazonki kołyszają się na wietrze. Achilles czeka wpatrzony w jej rzęsy, czeka, by choć zadrżały, by podniosła powieki. Jego łzy kapią na przykurzone policzki i czoło, więc Grek pochyla się i rąbkim tuniki ściera plamki błota z jej twarzy. Rzęsy nie zadrżały. Powieki pozostały opuszczone.

Cięnięta przez Achillesa włócznia przeszła jednocześnie ciało Pentezylei i jej rumaka, tak potężnie rzucił.

– Trzeba ci było ją poślubić, nie mordować, synu Peleusa.

Achilles podnosi wzrok i spogląda przez łzy na wysoką, przesłaniającą mu słońce postać.

– Pallas Ateno, bogini... – zaczyna mężobójca, lecz kolejne słowa cichną, zduszone szlochem. Wie, że spośród wszystkich Olimpijczyków to właśnie Atena jest jego najbardziej zaciętym nieprzyjacielem. To ona pojawiła się osiem miesięcy temu w jego namiocie i zgładziła Patroklosa, jego najbardziej serdecznego przyjaciela; to ją od dawna chciał zabić najbardziej, gdy przez całą wojnę ranił i powalał tuziny innych bóstw. Teraz jednak Achilles nie potrafi odnaleźć w swym sercu gniewu, czuje w nim wyłącznie bezbrzeżny smutek po śmierci Pentezylei.

– Jakże to dziwne – podejmuje bogini, górująca nad nim w swej złotej zbroi. Promienie nisko zawieszono słońca skrzą się na jej długiej, złotej włóczni. – Dwadzieścia minut wcześniej chciałeś, ba, gorąco pragnąłeś wydać jej ciało ptactwu i psom. Teraz zaś wylewasz po niej łzy.

– Kiedy ją zabijałem, jeszcze jej nie kochałem – udaje się wydusić Achillesowi z piersi. Pochylony, odgarnia z pięknej martwej twarzy Amazonki ubłocone kosmyki włosów.

– Nie, nie kochałeś jej wtedy. A teraz... Nigdy przedtem nie darzyłeś żadnej kobiety tak gorącą miłością – przytakuje Pallas Atena.

– Z wieloma kładłem się do łóżka – mówi Achilles, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od martwego oblicza Pentezylei. – Z miłości do Bryzeidy odmówiłem walki u boku Agamemnona.

Atena zanosi się śmiechem.

– Bryzeida była twą niewolnicą, synu Peleusa. Wszystkie kobiety, z którymi układałeś się w łożu, były niewolnicami, nawet matka twojego syna Pyrrusa, którego Argiowowie ochrzczą w przyszłości Neoptolemosem. Były niewolnicami twojego mniemania o sobie. Aż do dzisiaj nie kochałeś żadnej kobiety, chyżonogi Achillesie.

Heros ma ochotę stanąć do walki i zabić boginię. W końcu to ona jest jego największym wrogiem, morderczynią drogiego Patroklosa. To przez nią powiódł swych

ludzi na wojnę przeciwko bóstwom. Wciąż jednak nie potrafi oderwać dłoni od ramion Pentezylei. Śmiercionośna włócznia królowej chybiła, lecz on i tak ma przeszyte serce. Nigdy – nawet po śmierci ukochanego Patroklosa – mężobójca nie zaznał tak straszliwego, głębokiego żalu.

– Dlaczego teraz? – udaje mu się wydukać pomiędzy kolejnymi falami szlochu. – Dlaczego... ją?

– Za sprawą czaru, jakim obłożyła cię ta wiedźma Afrodyta, bogini pożądania – tłumaczy Atena, po czym okrąża zabitego wierzchowca i Amazonkę, by Achilles mógł na nią patrzeć, nie odwracając głowy. – To właśnie Afrodyta i jej kazirodczy brat Ares przez cały czas krzyżowali twe plany. To oni zabijali twych przyjaciół i odbierali ci radość, Achillesie. To Afrodyta osiem miesięcy temu położyła kres życiu Patroklosa i uniosła ze sobą jego ciało.

– Nie... Byłem tam... Widziałem...

– Widziałeś Afrodytę, która przybrała moją postać – ucina Pallas Atena. – Czyżbyś wątpił, że my, bogowie, możemy przyjmować dowolne upragnione kształty? Czy mam się przemienić w martwą Pentezyleę, byś mógł zaspokoić swe żądze na żywym ciele, miast na zwłokach?

Achilles zadziera ku niej głowę, otwiera szeroko usta.

– Afrodyta... – odzywa się po chwili tak, jakby rzucił śmiertelną klątwę. – Zabiję tę cipę.

Twarz Ateny rozświecła uśmiech.

– Zamysł zaiste godny pochwały i nazbyt długo odwlekany, chyżonogi mężobójco. Przyjmij to ode mnie... – Atena wręcza herosowi niewielki, inkrustowany drogimi kamieniami sztylet.

Achilles sięga po broń lewą dłonią. Prawą wciąż podtrzymuje ciało Pentezylei.

– Cóż to takiego?

– Nóż.

– Wiem, że nóż! – syczy heros, tonem nie zdradzającym szacunku należnego bogini urodzonej jako trzecia spośród wszystkich bóstw poddanych zeusowej władzy. – Na Hadesa, co mi po takim dziewczęcym koziku, kiedy mam własny miecz i sztylet. Weź go sobie z powrotem.

– Ten nóż jest wyjątkowy – tłumaczy Atena. – Jego ostrze może zgładzić boga.

– Mordowałem już bogów. Swoją bronią.

– Powalałeś, owszem – odpięra bogini. – Ale nie zabijałeś. Ten sztylet czyni ciałom nieśmiertelnych to, co ostrze twojego miecza wyrządza ciałom nędznych śmiertelników.

Achilles wstaje, swobodnym ruchem zarzuca sobie ciało Pentezylei na prawy bark i bierze dar Ateny w prawą dłoń.

– Dlaczego wręczasz mi taki podarek, Pallas Ateno? Od miesięcy walczyliśmy przeciwko sobie na tym samym polu, na którym teraz stoimy. Czemu zechciałaś mi pomóc właśnie teraz?

– Mam swoje powody, synu Peleusa. Gdzie jest Hockenberry?

– Hockenberry?

– Tak, ten były scholiasta, który został szpiegiem Afrodyty – przypomina Pallas

Atena. – Czy nadal żyje? Mam do tego śmiertelnika sprawę, lecz nie wiem, gdzie go szukać. Morawieckie pola siłowe mąciły ostatnio nasz boski wzrok.

Achilles wiecie dokoła zdumionym spojrzeniem, jakby dopiero teraz zauważył, że jest ostatnim żywym człowiekiem na czerwonej marsjańskiej równinie.

– Hockenberry był tutaj jeszcze kilka minut temu. Rozmawiałem z nim, zanim zabiłem... ją. – Znowu wstrząsa nim płacz.

– Z utęsknieniem czekam na spotkanie z tym Hockenberrym – mówi Atena półgłosem, jakby do siebie. – Nastął czas rozliczeń, a z nim od dawna muszę się porachować. – Bogini wyciąga rękę i ujmuje silną i smukłą dłońią podbródek Achillesa. Unosi twarz herosa i spogląda mu głęboko w oczy. – Synu Peleusa, czy chcesz, by ta kobieta... Amazonka... ożyła i została twą żoną?

Achilles otwiera szeroko oczy.

– Chcę się uwolnić spod władzy tego miłosnego zaklęcia, szlachetna bogini.

Atena kręci osłoniętą złotym hełmem głową. Słońce maluje jej pancerz czerwonym blaskiem.

– Tego konkretnego czaru nie można odmienić. Przemówiły feromony, a ich głos jest ostateczny. Pentezylea pozostanie jedyną miłością twego życia, czy to jako martwe ciało, czy żywa kobieta... Czy chcesz, by wróciła do świata żywych?

– Tak!!! – woła Achilles, podchodząc do Ateny ze zwłokami królowej w ramionach i obłędem w oku. – Wskrześ ją!

– Czegoś takiego nie może uczynić żaden bóg ani bogini, synu Peleusa – odpiera Atena ze smutkiem. – Jak sam kiedyś powiedziałeś Odyseuszowi: „Jedne straciwszy, w drugie zamożesz się zbiory, nowe pozyskasz sprzęty, stada i obory; dusza się nie powróci, nikt się nie doczeka, aby na nowo przysłała ożywiać człowieka”. Nawet ojciec Zeus nie potrafi przywracać nikogo z martwych, Achillesie.

– Więc po co, do kurwy nędzy, o tym wspominasz? – burzy się mężobójca. Do jego serca, obok miłości, napływa gniew, emocje Achillesa są jak woda i oliwa, jak ogień i... nie lód, lecz płomień innego rodzaju. Heros, świadomy tego gniewu, przypomina sobie, że trzyma w dłoni sztylet zdolny zgładzić bóstwo. Wsuwa go za swój szeroki pas, nie chce popełnić pochopnego uczynku.

– Pentezyleę można przywrócić do życia – odpowiada Atena – lecz nie ja taką moc posiadam. Spryskam ją ambrozją, która uchroni jej ciało przed gniciem. Jej martwe policzki nie przestaną się rumienić i pozostanie w nich ostatek gasnącego ciepła, który w tej chwili czujesz. Nigdy nie straci swej urody.

– Co mi po tym? – warczy Achilles. – Naprawdę oczekujesz, że aby celebrować swą miłość, posunę się do nekrofilii?

– Ta decyzja należy wyłącznie do ciebie – rzuca Atena z uśmiechem, który sprawia, iż heros czuje przemożną ochotę dobyć sztyletu zza pasa. – Lecz jeśli jesteś człowiekiem czynu, oczekuję, że poniesiesz ciało ukochanej na szczyt Olimpu. Tam, w wielkim gmachu nad jeziorem, kryje się nasza boska tajemnica. Sala wypełniona przezroczytymi kadziami z płynem, w których osobliwe istoty leczą nasze rany, naprawiają tkanki i pozwalają, jak to ładnie ludzie powiadają, powracać zza grobu.

Achilles odwraca się i spogląda po zalanych słonecznym blaskiem stokach

niebotycznej góry. Wulkan jakby się wznosił po kres świata. Wierzchołka nie widać wcale. Pionowe urwiska u podnóża Olimpu, stanowiące jedynie załączek ogromnego masywu, mierzą sobie ponad czternaście tysięcy stóp wysokości.

– Wspiąć się na Olimp... – mówi.

– Tam była winda... rodzaj schodów. – Pallas Atena wskazuje kierunek swą długą włócznią. – Wciąż widać ruiny. Tą drogą będzie ci najłatwiej.

– Będę musiał walczyć na każdym stopniu tych schodów. – Achilles szczerzy się w straszliwym uśmiechu. – Wciąż przecież toczę wojnę z bogami.

Pallas Atena odpowiada własnym uśmiechem.

– Obecnie bogowie zmagają się między sobą, synu Peleusa. Wiedzą też, że Dziura Branowa zamknęła się na zawsze. Śmiertelnicy nie zagrażają już olimpijskim pałacom. Podejrzewam, że na szczyt dotrzesz niezauważony przez nikogo. Oczywiście na miejscu podniosą z pewnością alarm.

– Afrodyta – szeptem chyżonogi mężobójca.

– Tak, ją również tam spotkasz. Oraz Aresa. Wszystkich architektów twego osobistego piekła. Pozwalam ci ich zamordować. A w zamian za dar ambrozji, rad i miłości, poproszę cię tylko o jedną przysługę.

Achilles zwraca się na powrót ku bogini.

– Kiedy lecznicze kadzie przywrócą twą ukochaną Amazonkę do życia, zniszcz je. Zabij Uzdrowiciela, którego ujrzysz pod postacią wielkiej, potwornej stonogi o wielu ramionach i oczach. Zniszcz wszystko, co znajdziesz w tamtej sali.

– Bogini, czyż nie ukróczę w ten sposób twojej nieśmiertelności? – dziwi się Achilles.

– Pozwól, że sama będę się tym przejmować, synu Peleusa – odpiera Pallas Atena, po czym wyciąga przed siebie zwrócone w dół dłonie i na zakrwawione, podziurawione zwłoki Pentezylei skapuje deszcz złotej ambrozji. – Ruszaj. Ja muszę wrócić do własnych wojen. Sprawa Ilionu zostanie wkrótce rozstrzygnięta. Twój los natomiast dopełni się tam, na Olimpie. – Bogini wskazuje na niekończącą się górę.

– Zwodzisz mnie. Mówisz tak, jakbym posiadał potęgę równą boskiej – rzuca szeptem Achilles.

– Od zawsze posiadałeś boską moc, synu Peleusa – mówi Atena. Błogosławi herosa gestem uniesionej dłoni i teleportuje się. Powietrze z cichym grzmotem wypełnia pozostawioną przez nią próżnię.

Achilles składa ciało Pentezylei pomiędzy inne zwłoki, lecz po to jedynie, by owinąć je w czyste białe płótno, które przyniósł ze swego namiotu. Odnajduje własną tarczę, włócznię, hełm i toból z chlebem i bukłakami wina, który spakował wiele godzin wcześniej. Wreszcie, w pełnym rynsztunku, przykłęka, podejmuje martwą Amazonkę i rusza w stronę Olimpu.

* * *

– Jasna cholera! – Daeman zrywa z twarzy całun. Minęły długie minuty. Zerka na wyświetlacz bliskosieci. Ani jednego wojnika. A przecież, gdy leżał pochłonięty historią z całunu, mogły go wypatroszyć jak rybę. – Jasna cholera!

Odpowiada mu tylko szmer oblewających plażę łagodnych fal.

– Co ważniejsze? – zastanawia się półgłosem. – Jak najszybciej zanieść działający całun do Ardis i rozważyć, w jakim celu zostawił go dla mnie Kaliban lub jego pan? A może wrócić do Krateru Paryskiego i przekonać się, co zamierza wieloramienna ośmiornica?

Jeszcze przez chwilę leży na piasku. Wreszcie wkłada ubranie, wrzuca całun turyński do plecaka, przypina miecz do pasa, sięga po kuszę i rozpoczyna wspinaczkę na wzgórze pawilonu.

Ada obudziła się w ciemności. W jej pokoju stały trzy wojniksy. Jeden z nich trzymał między swymi długimi ostrzami obciętą głowę Harmana.

Ada obudziła się w bladym świetle przedświt. Serce waliło jej jak młotem, otwarte usta gotowały się do krzyku.

– Harman!

Przeturlała się na bok, usiadła na skraju materaca i ukryła twarz w dłoniach. Przyspieszony puls wywołał zawroty głowy. Nie była w stanie uwierzyć, że sama przyszła do sypialni i zasnęła bez Harmana. Głupia ciąża, przemknęło jej przez myśl. W tym stanie nie mogła ufać własnemu ciału.

Położyła się w ubraniu – w bluzie, kamizelce, koszuli, płóciennych spodniach i grubych skarpetach. Poprawiła włosy, obciągnęła długą koszulę i zastanowiła się, czy nie obmyć się drogocenną, gorącą wodą z miski, którą Harman nazywał jej ptasią wanienką. Odrzuciła pomysł. Spała przecież całą godzinę lub dwie, a przez ten czas wiele mogło się wydarzyć. Włożyła buty i pośpiesznie zeszła na parter.

Harmana znalazła w salonie we frontowej części dworku. Okiennice balkonowych drzwi były otwarte i zobaczyła cały południowy trawnik, aż po palisadę. Wschodzącego słońca nie było widać – dzień wstał bardzo pochmurny, na domiar złego zaczęło śnieżyć. Co prawda Ada widywała śnieg już w przeszłości, lecz w Ardis spadł tylko raz, gdy była bardzo mała. Przy oknach stało kilkanaście osób, w tym nietypowo zarumieniony Daeman. Wyglądali na zewnątrz i prowadzili ściszoną rozmowę.

Ada przywitała się przelotnym uściskiem z Daemanem i podeszła do Harmana. Objęła go w pasie.

– Co z Ody... – zaczęła.

– Nikt jeszcze żyje, ale jest w ciężkim stanie – odpowiedział szeptem Harman. – Stracił zbyt wiele krwi. Ma coraz poważniejsze problemy z oddychaniem. Loes uważa, że umrze najdalej za dwie godziny. Próbujemy właśnie podjąć jakąś decyzję. – Poglaskała ją w tali. – Poza tym Daeman przyniósł straszne wiadomości. Chodzi o jego matkę...

Ada zerknęła na przyjaciela. Czyżby Marina znowu odmówiła przeprowadzki do Ardis? Razem z Daemanem odwiedzili ją w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy już dwukrotnie i za nic nie mogli jej przekonać.

– Moja matka nie żyje – powiedział Daeman. – Kaliban zabił ją i wszystkich mieszkańców jej wieżowca.

Ada przygryzła pięść niemal do krwi.

– Och, Daemanie, tak mi przykro... – Nagle dotarło do niej, co powiedział chłopak. – Kaliban?! – Z relacji Harmana o wydarzeniach na wyspie Prospera wyciągnęła wniosek, że potwór zginął. – Kaliban? – powtórzyła mimowolnie. Echa nocnego koszmaru wciąż jej nie opuszczały. Ciążyły niczym zawieszony u szyi kamień. – Jesteś pewien?

– Tak – stwierdził Daeman.

Objęła go, chciała przytulić, lecz cały się spiął, mięśnie miał jak wyciosane z kamienia. Machinalnie poklepał ją po ramieniu. Ada uznała, że to skutek szoku.

Pozostali podjęli przerwana rozmowę o nocnej obronie dworku.

Wojniksy zaatakowały tuż przed północą – była ich co najmniej setka, być może sto pięćdziesiąt. W ciemności i deszczu nie mieli szans dokładnie policzyć. Szturm podjęły z trzech kierunków. Była to największa i najlepiej skoordynowana napaść, jaką wojniksy kiedykolwiek przeprowadziły na Ardis.

Obroncy zabijali je niemal do świtu. Najpierw rozpalili wielkie koksowniki, wykorzystując zgromadzone właśnie z myślą o takiej chwili zapasy bezcennej ropy. W ich blasku dokładnie zobaczyli mur i ciągnące się pod nim pola. Korzystając ze światła, zasypali nadbiegające stwory kolejnymi salwami z łuków i kusz.

Strzały i bełty nie zawsze przebijały skórzaste łby i pancerze wojniksów. Właściwie częściej po prostu się od nich odbijały, nie czyniąc żadnej szkody. Dlatego też obroncy zużyli spory procent zmagazynowanych pocisków. Padły jednak dziesiątki wojniksów – o brzasku Loes wraz ze swymi ludźmi naliczył pięćdziesiąt trzy rozrzucone na łące i wśród drzew ciała.

Niektóre z potworów dobiegły tuż pod ostrokół i wskoczyły na parapet – wojniksy, niczym olbrzymie koniki polne, potrafiły wybić się z miejsca na ponad trzydzieści stóp – dwór ochroniła jednak masa pik i oddział rezerwistów z mieczami. Rany odniosło ośmiu mieszkańców Ardis, lecz tylko dwie osoby ucierpiały poważniej: kobieta imieniem Kirik doznała paskudnego złamania ręki, a Laman, przyjaciel Petyra, stracił cztery palce – w dodatku nie obcięły mu go bojowe ostrza wojniksów, lecz jeden z towarzyszy, który źle wymierzył własne uderzenie.

Szałę zwycięstwa na stronę obrońców dworu przechylił sonik.

Harman wystartował z dawnej platformy dla skoczków zamontowanej wysoko między spadzistymi dachami Ardis. Owalny pojazd pilotował ze środkowej wnęki z przodu. Podobnych wgłębień była szóstka i można w nich było podróżować na leżąco, lecz Petyr, Loes, Reman i Hannah otworzyli ogień na klęczkach. Mężczyźni zabrali ze sobą wszystkie trzy karabiny na kryształowe pociski, a dziewczyna siała zamęt, wypuszczając bełty z najlepszej kuszy, jaką kiedykolwiek stworzyła.

Ponieważ wojniksy były świetnymi skoczkami, Harman nie chciał schodzić poniżej sześćdziesięciu stóp. Nie była to jednak wielka przeszkoda. Nawet mimo ciemności i deszczu, pomimo faktu, że wojniksy przemieszczały się szybko jak karaluchy i skakały jak pasikoniki na patelni, stały ogień z kuszy i karabinów stopniowo powalał kolejne potwory. Harman wprowadził sonik między rosnące u stóp wzgórz wysokie drzewa, obroncy palisady szyli płonącymi strzałami i miotali z katapulty ognistymi, nasączonymi ropą kulami, które rozświetlały noc. Zanim ostatecznie zniknęły, wojniksy rozpierzchały się, zwierzały szyki i ponawiały atak sześciokrotnie. Wreszcie jednak dały za wygraną. Część oddaliła się w kierunku rzeki, inne rozpierzchły się wśród wzgórz na północy.

– Tylko dlaczego właściwie zrezygnowały? – spytała dziewczyna imieniem Peaen.
– Dlaczego odeszły?

– Jak to, dlaczego? – zdziwił się Petyr. – Wybiliśmy pewnie jedną trzecią.

Harman zaplótł ramiona na piersi i z posępną miną zapatrzył się w opadające

powoli płatki śniegu.

– Ja cię rozumiem, Peaen. To dobre pytanie. Dlaczego przerwały atak? Przecież nigdy nie widzieliśmy, by wojniks wykazywał jakąkolwiek reakcję na ból. Zawsze umierają bez najmniejszej skargi. Dlaczego więc nie szturmowały do ostatecznego zwycięstwa bądź klęski?

– Dlatego, że ktoś je odwołał. Ktoś lub coś – odpowiedział Daeman.

Ada obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Twarz chłopaka nie wyrażała niczego, mówił beznamiętnym głosem, wzroku nie skupiał na niczym konkretnym. Przez ostatnie dziewięć miesięcy jego energia i determinacja wyraźnie rosły z dnia na dzień. Teraz wydawał się zubożniały, rozmowy i otaczający ludzie przestali go praktycznie interesować. Ada zrozumiała, że śmierć matki doprowadziła Daemana na skraj depresji i nic nie gwarantowało, że tej granicy nie przekroczy.

– Ale kto taki? – zapytała Hannah.

Nie odpowiedział jej nikt.

– Daemanie, opowiedz raz jeszcze swoją historię – poprosiła. – Ada wciąż o niczym nie wie. Może przypomnisz sobie jakieś dalsze szczegóły.

W salonie zbierało się coraz więcej ludzi. Wszyscy byli potwornie zmęczeni. Kiedy Daeman monotonnym głosem powtórzył wszystko, co widział w Kraterze, nikt mu nie przerywał. Nie padło ani jedno pytanie.

Opowiedział o rzezi mieszkańców wieżowca matki, o stercie czaszek, o rozłożonym na stole całunie turyńskim – jedynym w domicylu przedmiocie wolnym od krwawych plam – i o tym, że odkrył potem, iż całun jest sprawny. Opowiedział o pojawieniu się nad Kraterem Paryskim dziury w niebie i o ujranej przelotnie, wchodzącej z portalu wielkiej istocie, która poruszała się na kończynach do złudzenia przypominających potężne dłonie.

Wyjaśnił, że nie faksował się do Ardis od razu, gdyż chciał najpierw dojść do siebie. Od strzegących pawilonu wartowników dowiedział się, że przez całą noc obserwowali przemarsz grupki wojniksów. Rozpalili wszystkie pochodnie i obsadzili mury niewielkiego fortu. Potem usłyszeli dolatujące od strony dworku odgłosy walki, widzieli też błyski płonącej nafty. Daemana korciło, by ruszyć do Ardis na piechotę, lecz załoga pawilonu była zdania, że taka wyprawa po ciemku równałaby się samobójstwu – naliczyli wcześniej ponad siedemdziesiąt wojniksów zmierzających z łąki do lasu, w stronę rezydencji Ady.

Powiedział, że całun turyński zostawił Casmanowi i Greogiemu, kierującym strażą pawilonu, z poleceniem, by w razie klęski Ardis jeden z nich faksował się z nim do Chom lub innego bezpiecznego miejsca.

– Zamierzamy się faksować, gdy tylko te bydlaki zaatakują – przyznał Greogi. – Zaplanowaliśmy już, w jakiej kolejności będziemy się ewakuować i kto ma osłaniać odwrót. Nie będziemy oddawać życia za ten węzeł.

Daeman pokiwał głową i przeniósł się do Krateru Paryskiego.

Okazało się, że gdyby ponownie wybrał stację przy Dworcu Inwalidów, już by nie żył. Szczęśliwie faksował się do węzła Guarded Lion. Zmieniło się całe centrum miasta. Dziura pozostała na swoim miejscu – biło z niej teraz słabe dzienne światło – lecz reszta

okolicy została skuta błękitnym lodem.

– Błękitnym lodem? – wtrąciła Ada. – Zrobiło się tak zimno?

– Przy samym lodzie bardzo zimno – wyjaśnił. – Ale jeśli się do niego nie zbliżałem, dało się wytrzymać. Było po prostu chłodno i deszczowo. Zresztą myślę, że to wcale nie był lód, tylko jakaś zimna, krystaliczna substancja organiczna. W zasadzie przypominała pajęczynę. Jej grudy i nici pokrywały wszystkie mieszkalne wieżowce i bulwary wokół krateru.

– A widziałeś tę... istotę, która wyszła z dziury? – spytała Emme.

– Nie, nie mogłem podejść zbyt blisko. Bo widzicie, roilo się tam od wojniksów. Sam budynek stacji Guarded Lion, dawniej był to jakiś węzeł transportowy, wiecie, są szyny i lądowiska na dachu, też był ich pełen. – Daeman spojrzał na Harmana. – Zupełnie jak w zeszłym roku w Jerozolimie.

– Aż tak wiele? – upewnił się starszy mężczyzna.

– Tak wiele. Ale muszę powiedzieć wam jeszcze o dwóch sprawach.

Wszyscy nasłuchiwali. Za oknem wciąż sypał śnieg. Z pokoju szpitalnego doleciał ich jęk i Hannah wymknęła się po cichu, by sprawdzić stan Odyseusza-Nikogo.

– Z krateru bije teraz błękitne światło – powiedział wreszcie Daeman.

– Błękitne światło? – spytała Loes.

Tylko Harman, Ada i Petyr zrozumieli od razu. Harman, ponieważ był przed dziewięcioma miesiącami w Jerozolimie z Savi i Daemanem, Ada i Petyr dlatego, że pamiętali ich opowieści.

– Bijący w niebo promień? Taki sam jak w Jerozolimie? – zapytał Harman.

– Tak.

– O czym wy, do diabła, mówicie? – zdziwiła się rudowłosa kobieta imieniem Oelleo.

Odpowiedział jej Harman.

– W zeszłym roku podobny promień oglądaliśmy w Jerozolimie, mieście położonym w pobliżu osuszonego Basenu Śródziemnego. Savi, staruszka, która z nami podróżowała, twierdziła, że światło składa się z... jak to nazwała, Daemanie? Z tachionów?

– Tak mi się wydaje.

– Z tachionów – powtórzył Harman – w których przed Ostatnim Faksowaniem zakodowano informacje o wszystkich ludziach jej rasy. W zasadzie Ostatnie Faksowanie odbyło się właśnie za pomocą tego promienia.

– Nie rozumiem – mruknął Reman. Wyglądał na wyczerpanego.

– Ja też nie. – Daeman pokręcił głową. – Nie wiem też, czy promień pojawił się dopiero po przybyciu istoty z dziury, czy może to on ją sprowadził do Krateru. A to nie koniec złych wiadomości.

– To ci niespodzianka – zakpiła Peaen.

Daemanowi nie było do śmiechu.

– Musiałem szybko uciekać z Krateru. W Guarded Lion było aż gęsto od wojniksów. Pewna śmierć. Wiedziałem jednak, że w Ardis nie wstał jeszcze dzień, więc faksowałem się do Bellinbadu, potem do Ułanbatu, Chom, Drid, do rezydencji Lomana,

Kijowa, Fuego, do Devi i Wzgórz Satle, następnie do Mantui, i na koniec do wieży Cape Town.

– Chciałeś ich wszystkich ostrzec? – domyśliła się Ada.

– Tak.

– I to ma być ta zła wiadomość? – Harman wyraźnie nie rozumiał.

– Złą wiadomością jest to, że w Chom i Ułanbacie otworzyły się takie same dziury jak w Kraterze Paryskim – powiedział Daeman. – Oba osiedla pokryła pajęczyna błękitnego lodu. I w obu strzelają pod niebo promienie niebieskiego światła. Był tam Setebos.

Kilkadziesiąt zebranych w salonie osób wymieniło się spojrzeniami. Nagle wszyscy naraz zasypali chłopaka pytaniami. Daeman z Harmanem opowiedzieli, co Kaliban mówił na orbitalnej wyspie o swym bogu Setebosie „jak ośmiornica wieloramiennym”.

Wypytywali o Chom i Ułanbat. Daeman widział Chom jedynie z daleka – obserwował rozrastającą się błękitną pajęczynę, obejmującą kolejne zabudowania. W Ułanbacie natomiast pojawił się w portalu zainstalowanym na siedemdziesiątym ósmym piętrze Niebiańskich Kręgów i kiedy wyszedł na taras, ujrzał dziurę. Rozcinała niebo nad pustynią Gobi, mniej więcej milę od miasta. Wszystkie otaczające wieżę niskie budynki były już porośnięte błękitnym lodem. Przynajmniej wtedy dziwna pajęczyna nie sięgała jeszcze wyższych kondygnacji.

– Spotkałeś tam kogoś? – zapytała Ada.

– Nie.

– A wojniksy?

– Całe setki. Biegały po pajęczynie i pod nią. Ale w samych Kręgach ich nie było.

– Więc gdzie się podzieli ludzie? – spytała Emme półgłosem. – Przecież w Ułanbacie mieli broń. Sami im ją sprzedawaliśmy, za ryż i tkaniny.

– Na pewno faksowali się od razu, gdy tylko zobaczyli dziurę – podsunął Petyr. Ada jednak wyczuła, że mężczyzna nie wierzy we własne słowa.

– Jeżeli mieszkańcy Ułanbatu i Chom rzeczywiście się dokądś przenieśli, dlaczego nie pojawili się tutaj? Gdzie są uchodźcy?. W tych trzech węzłach, w Kraterze Paryskim, Chom i Ułanbacie, mieszkały dziesiątki tysięcy ludzi. Co się z nimi stało? Dokąd się faksowali? – Spojrzała na Greogiego i Casmana, którzy wrócili właśnie po skończonej warcie przy pawilonie. – Przybyli nocą jacyś nowi? Ktoś przed czymś uciekał?

Greogi pokręcił głową.

– Faksował się tylko Daeman Uhr. Wczoraj późną nocą i dzisiaj o świcie.

Ada stanęła pomiędzy rozmawiającymi.

– Słuchajcie... Później o tym porozmawiamy. W tej chwili wszyscy jesteście wykończeni. Większość z was nie zdążyła się nawet położyć. Wiele osób od wczoraj nie miało nic w ustach. Stoman, Cal, Boman, Elle, Anna i Uru przygotowali porządne śniadanie. Niech jako pierwsi zjedzą ci, którzy mają niedługo wartę. Nie zapomnijcie o kawie. Wszystkim pozostałym też proponuję coś przekąsić przed snem. Reman prosił, bym przypomniała, że o dziesiątej rano zacznie się spust żeliwa. O piętnastej proponuję odbyć walne spotkanie mieszkańców Ardis. W dawnej sali balowej.

Zebrani zaczęli się rozchodzić. Niektórzy jeszcze przez chwilę rozprawiali w grupkach, po czym udali się na śniadanie i do czekających obowiązków.

Harman ruszył w kierunku szpitala, pochwycił po drodze spojrzenia Ady i Daemana i skinął głową na drzwi. Dołączyli do niego, gdy z salonu zniknęły ostatnie

osoby.

Ada spojrzała na Siris i Toma, którzy przez całą noc pełnili rolę sanitariuszy. Udzielali rannym pierwszej pomocy i opiekowali się nieprzytomnym Nikim. Odprawiła ich do jadalni, mówiąc że powinni coś zjeść. Oboje wyszli, zostawiając w pokoju Daemana, Adę i Harmana. Hannah siedziała przy łóżku.

– Zupełnie jak za dawnych czasów – zauważył Harman. Miał na myśli dni, gdy dziewięć miesięcy temu podróżowali w piątkę w towarzystwie Savi. Od tamtej pory nieczęsto miewali okazje spotkać się w pełnym składzie.

– Tyle że wtedy Odyseusz był zdrowy – odezwała się zmęczonym, pustym głosem Hannah. Trzymała umierającego kochanka za rękę, ścisła ją tak mocno, że splecione palce obojga zbieleły.

Harman podszedł bliżej i przyjrzał się Grekowi. Bandaże – mimo że ledwie godzinę wcześniej zmieniono opatrunki – były mokre od krwi. Wargi mężczyzny były równie blade jak palce, oczy pod zamkniętymi powiekami przestały się poruszać. Nikt leżał z nieznacznie rozchyłonymi ustami, z których dobywały się szybkie, płytkie i nierówne oddechy.

– Zawiozę go na Golden Gate w Machu Picchu – zdecydował Harman.

Pozostali obrzucili go zdziwionymi spojrzeniami.

– To znaczy, kiedy... umrze? – odezwała się Hannah. – Chcesz go tam pochować?

– Nie. Natychmiast. Chcę go uratować.

Ada chwyciła Harmana za ramię, tak mocno, że niemal się jej wyrwał.

– Co ty pleciesz?

– Przypomnij sobie, co powiedział Petyr o ostatnich słowach Nikiego przed utratą przytomności. Moim zdaniem próbował powiedzieć, byśmy go zabrali do kapsuły na moście.

– Co to za kapsuła? – podjął Daeman. – Pamiętam tylko kryształowe trumny.

– Sarkofagi kriotemporalne – sprostowała Hannah, mówiąc powoli i wyraźnie. – Widzieliśmy je w muzeum. Savi opowiadała, że przespala w nich wiele setek lat. W jednej też znalazła śpiącego Odyseusza, trzy tygodnie przed naszym spotkaniem.

– Tyle że Savi nie zawsze mówiła nam prawdę – zauważył Harman. – Możliwe nawet, że nigdy. Odyseusz twierdził, że poznali się z Savi bardzo dawno temu. To oni przed jedenastoma laty rozprawdzili wśród ludzi całuny turyńskie.

Ada podniosła w dłoni ten, który Daeman zostawił w salonie.

– A Prospero powiedział... tam na górze... że z osobą Odyseusza wiążą się sprawy, których nie jesteśmy w stanie pojąć. Poza tym kilka razy, zwykle po paru głębszych kielichach wina, Odys żartował, że chętnie wróciłby do kapsuły w Golden Gate.

– Na pewno miał na myśli te kryształowe trumny... znaczy sarkofagi – uznała Ada.

– Mało prawdopodobne – odparł Harman, przechadzając się pomiędzy pustymi łóżkami. Pozostali poszkodowani podczas nocnego ataku dochodzili do siebie we własnych pokojach w dworku lub w zbudowanych nieopodal koszarach. Nikt był tego ranka jedynym pacjentem. – Moim zdaniem na moście widzieliśmy też coś innego, kapsułę leczniczą.

– Błękitne czerwie... – szepnął Daeman.

Blada twarz chłopaka zbieleła jeszcze bardziej. Wstrząśnięta tym obrazem Hannah – mimo że nie zachowała z pobytu w konserwatorni na orbitalnej wyspie Prospera świadomych wspomnień, pozostały jednak w komórkach jej ciała – wypuściła rękę Odyseusza.

– Nie, raczej nie – zapewnił Harman pośpiesznie. – Nie widzieliśmy na Golden Gate niczego, co przypominałoby zbiorniki regeneracyjne z Konserwatorni. Nie pamiętam żadnych robaków. Ani tego pomarańczowego płynu. Moim zdaniem ta kapsuła jest jeszcze czymś innym.

– Przecież to tylko domysły... – rzuciła Ada surowo, niemal ostro.

– Tak, to tylko domysły. – Mężczyzna rozmasował twarz. Czuł się wycieńczony. – Wydaje mi się jednak, że jeśli Nikt... Odyseusz przetrwa lot sonikiem, na moście będzie mieć chociaż cień szansy.

– Nie możesz nigdzie polecieć – dodała Ada.

– Dlaczego nie?

– Sonik będzie potrzebny w Ardis. Jeśli wieczorem wrócą wojniksy. Kiedy już wrócą.

– Przed zmrokiem będę z powrotem – obiecał mężczyzna.

Hannah podniosła się z miejsca.

– To chyba niemożliwe? Przecież kiedy wracaliśmy z Golden Gate z Savi, lot zajął nam prawie cały dzień.

– Ale sonik jest w stanie latać znacznie szybciej – odparł Harman. – Savi prowadziła powoli, bo nie chciała nas straszyć.

– Znacznie? Czyli? – zapytał Daeman.

– Po prostu znacznie – odpowiedział starszy mężczyzna po chwili wahania. – Automat podaje, że jest w stanie dotrzeć na most w trzydzieści osiem minut.

– Trzydzieści osiem! – wyrwało się zdumionej Adzie, która również leciała wcześniej z Savi.

– Automat ci powiedział? – Hannah była jednocześnie zdziwiona i zdenerwowana.

– Kiedy ci niby powiedział? Wydawało mi się, że sonik nie jest w stanie odpowiadać na pytania o cel podróży.

– Bo nie był. Do dzisiejszego poranka – odpowiedział Harman. – Udało mi się zaraz po walce. Spędziłem w soniku trochę czasu i znalazłem sposób na połączenie funkcji dłoni z wyświetlaczem na pulpicie sterowniczym.

– Jak to zrobiłeś? – spytała Ada. – Przecież myślałeś o tym już od kilku miesięcy...

Harman raz jeszcze przetarł zmęczoną twarz.

– Po prostu zapytałem, jak uruchomić interfejs. Trzy zielone koła wpisane w trzy koła czerwone. Bułka z masłem.

– I automat powiedział ci, ile czasu zajmie lot na Golden Gate? – W głosie Daemana dało się słyszeć powątpiewanie.

– Nie tyle powiedział, co pokazał – wyjaśnił Harman spokojnie. – Diagramy. Mapy. Wykresy i wektory prędkości. Wszystko pojawiło mi się tuż przed oczami, jak podczas korzystania z dalekosieci lub... – urwał.

– Lub wszechsieci – dokończyła za niego Hannah.

Odkąd zeszłej wiosny Savi pokazała im, jak z niej korzystać, wszyscy doświadczyli już przyprawiającego o zawroty głowy, oszalamiającego działania wszechsieci. Jak dotąd ani jedno z nich nie opanowało jej dostatecznie. Funkcja podawała zbyt wiele informacji jednocześnie.

– Właśnie – przytaknął Harman. – Dlatego pomyślałem, że jeśli polecę z Odyseuszem... z Nikim... jeszcze rano, zdążę sprawdzić, czy faktycznie jest tam jakaś kapsuła lecznicza... a jeżeli nie, to umieszczę go w jednej z kryształowych trumien i wrócę na spotkanie o piętnastej. Kurczę, może zdążę nawet na obiad.

– Wydaje mi się, że on nie przeżyje podróży – stwierdziła ponuro Hannah, która niezmiennie wpatrywała się w twarz chwyającego z trudem powietrze kochanka.

– W Ardis, gdzie nie możemy mu zapewnić odpowiedniej opieki, umrze na pewno – rzucił Harman. – Po prostu jesteśmy na to, kurwa, za głupi! – Harman gruchnął pięścią w blat drewnianej szafki. Z rozciętej skóry na knykciach pociekła krew. Zawstydzził się własnego wybuchu.

– Polecę z tobą – zaproponowała Ada. – Sam nie zdołasz go wnieść do tych baniek na moście. Będziemy potrzebować noszy.

– Nie, moja droga – zaprotestował. – Nie powinnaś się stąd ruszać.

Ada pobladła i poderwała głowę. W jej czarnych oczach zapłonął gniew.

– Co? Bo jestem w...

– Nie, nie dlatego, że jesteś w ciąży. – Harman delikatnie pogładził jej zaciśniętą pięść. Jego grube, mocne palce objęły jej mniejsze i bardziej smukłe. – Jesteś tutaj potrzebna. Już za godzinę całe Ardis będzie wiedziało, co zobaczył Daeman. Ludzie wpadną w panikę...

– Tym bardziej nie powinieneś lecieć – szepnęła Ada.

– Ale to ty przewodzisz wspólnocie. – Harman pokręcił głową. – Ardis to twoja posiadłość. Wszyscy jesteśmy twoimi gośćmi. Ludzie będą oczekiwać wyjaśnień, nie tylko podczas spotkania, ale jeszcze przed nim. Musisz tu zostać, żeby ich uspokoić.

– Tyle że ja nie znam żadnych wyjaśnień – przyznała stłumionym głosem dziewczyna.

– Owszem, znasz – stwierdził Harman. – Jak myślisz, co powinniśmy zrobić w sprawie wydarzeń, o których doniósł Daeman?

Ada odwróciła się w stronę okna. Szyby pokrywała warstewka szronu, za to przestało już śnieżyć.

– Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, w ilu osiedlach pojawiły się te dziury i niebieski lód – powiedziała cicho. – Trzeba rozesłać po węzłach posłańców. Dziesięć osób powinno wystarczyć.

– Dziesięć? – wtrącił Daeman. Zamieszkałych osiedli było ponad trzysta.

– Nie wolno nam bardziej uszczuplić załogi. Wojniksy mogą zaatakować jeszcze za dnia – stwierdziła bezbarwnym tonem. – Każdy posłaniec wybierze sobie trzydzieści stacji. Zobaczmy, jak wiele zdążą odwiedzić przed zapadnięciem nocy.

– Na moście poszukam też amunicji do karabinów – powiedział Harman. – Jesienią, kiedy je znaleźliśmy, Odyseusz zabrał trzysta magazynków, ale we wczorajszym starciu zużyliśmy prawie wszystkie.

– Nasi ludzie zbierają już belty z ciał wojników – przypomniała Ada – ale powiem Remanowi, że musimy dziś przygotować przynajmniej drugie tyle. Przypilnuję, żeby się sprężyli w warsztacie. Produkcja strzał trwa sporo dłużej, ale przed nocą wyślemy na palisadę więcej łuczników.

– Ja z tobą polecę – zwróciła się Hannah do Harmana. – Faktycznie będziesz potrzebować pomocy przy noszach. Poza tym z nas wszystkich to ja najlepiej znam rozkład pomieszczeń na Golden Gate.

– Zgoda – rzucił Harman i zauważył, że jego żona – jakże dziwnie brzmiało to słowo – obrzuca młodszą przyjaciółkę ostrym, uważnym spojrzeniem. W pierwszym odruchu uznał je za przejaw zazdrości, lecz zaraz zmienił zdanie. Ada dobrze wiedziała, że jedyną miłością Hanny – beznadziejną i nieodwzajemnioną – jest Odyseusz.

– Ja też się wybiorę – odezwał się Daeman. – Dodatkowa kusza może się wam przydać.

– To prawda – przytaknął Harman. – Chociaż myślę, że bardziej przydasz się tutaj. Pokierujesz dobrem posłańców, opowiesz im, co zobaczyłeś, i rozdzielisz zadania.

– Dobra. – Chłopak wzruszył ramionami. – Sam też wybiorę sobie trzydzieści węzłów. Powodzenia. – Pożegnał się skinieniem z Hanną i Harmanem, musnął przelotnie ramię Ady i wyszedł z sali.

– Zjedźmy coś. – Harman spojrzał na Hannę. – Później skoczmy po broń, przebierzemy się i polecimy. Po drodze zgarniemy kilku silnych chłopaków, żeby pomogli nam wynieść Odyseusza. Sprowadzę sonik na dół.

– Nie możemy zjeść w locie? – spytała Hannah.

– Chyba lepiej przekąsić coś przed drogą – stwierdził mężczyzna.

Przypomniał sobie wykres niesamowitej ścieżki lotu, jaką ukazał mu sonik. Niemal pionowy start z Ardis, lot poza granicę kosmosu, łukowato zakreślona parabola w przestrzeni kosmicznej i ponowne wejście w atmosferę. Mieli lecieć niczym armatnia kula. Na samo wspomnienie serce Harmana przyśpieszyło swój bieg.

– Spakuję swoje rzeczy i dowiem się, czy Tom i Siris pomogą mi przygotować Odyseusza do drogi – powiedziała Hannah. Pocałowała Adę w policzek i wybiegła z pokoju.

Harman raz jeszcze rzucił okiem na Odyseusza – oblicze muskularnego Greka z każdą chwilą szarzało. Wziął Adę pod rękę i zaprowadził ją korytarzem w ustronne miejsce przy tylnych drzwiach dworku.

– Nadal uważam, że powinnam z wami polecieć – podjęła dziewczyna.

Harman pokiwał głową.

– Też wolałbym mieć cię przy sobie. Ale kiedy ludzie poznają rewelacje Daemana, gdy zrozumieją, że Ardis może się okazać ostatnim ocalałym węzłem, a ktoś lub coś pożera wszystkie pozostałe miasta i osiedla, panika zawiśnie na włosku.

– Naprawdę uważasz, że zostaliśmy już tylko my? – spytała szeptem Ada.

– Nie mam pojęcia. Ale jeżeli istota, którą zobaczył Daeman, rzeczywiście jest tym bogiem Setebosem, o którym wspominali Kaliban i Prospero, to szykują się poważne kłopoty.

– I myślisz też, że Daeman ma rację... Że Kaliban pojawił się na Ziemi?

Harman przygryzł wargę.

– Tak – przyznał po chwili. – Myślę, że ma rację, że ten potwór wymordował wszystkich mieszkańców wieżowca tylko po to, by się dostać do Mariny. To miała być wiadomość dla Daemana.

Słońce ponownie zniknęło za chmurami i na dworze zapanowała szarówka. Ada na moment zainteresowała się gorączkową pracą obsługujących żeliwiak ludzi. Kilkunastoosobowa grupka mężczyzn i kobiet szła ze śmiechem, by objąć posterunki na północnej ścianie ostrokołu.

– Jeżeli Daeman rzeczywiście ma rację – podjęła półgłosem, nie patrząc na Harmana – co właściwie powstrzyma Kalibana i jego potwory przed zaatakowaniem Ardis, kiedy ciebie nie będzie? Skąd pewność, że kiedy uratujesz już Odyseusza i wrócisz, nie zastaniesz na naszym stole piramidy czaszek? Bez sonika nie będziemy mieć szans na ucieczkę.

Harman chciał coś powiedzieć, ale udało mu się tylko ciężko westchnąć. Cofnął się o krok, otarł pot z czoła i twarzy. Skórę miał zimną i lepłą.

– Kochanie. – Ada odwróciła się na pięcie, podeszła szybko do Harmana i przytuliła go z całych sił. – Przepraszam. Niepotrzebnie to powiedziałam. Oczywiście, że musisz lecieć. Życie Odyseusza jest bardzo cenne, nie tylko dlatego, że jest naszym przyjacielem, lecz także ponieważ to jedyny człowiek, który może znać to nowe zagrożenie i wiedzieć, jak sobie z nim poradzić. Zresztą potrzebujemy też amunicji. Poza tym za nic nie uciekłabym z Ardis. Z sonikiem czy bez niego. To mój dom. Nasz dom. I mamy wielkie szczęście, że mamy przy sobie czterystu ludzi, którzy pomagają nam go bronić. – Pocałowała go w usta, raz jeszcze zamknęła w mocnym uścisku i szepnęła w skórzany kołnierzyk jego kurtki. – Oczywiście, że musisz polecieć. Tak trzeba. Przepraszam. Powinnam była ugryźć się w język. Obiecuj tylko, że wrócisz jak najszybciej.

Harman nie zdołał wykrztusić nawet słowa. Po prostu ją przytulił.

Harman sprowadził sonika z platformy dla skoczków i zawiesił go trzy stopy nad ziemią przed frontowymi drzwiami dworu. Petyr wyszedł mu na spotkanie.

– Chcę z wami lecieć – zagaił młodszy mężczyzna. Miał na sobie podróżny płaszcz, na który założył pas podtrzymujący krótki miecz i sztylet. Na ramieniu zawiesił łuk i wypchany strzałami kołczan.

– Tłumaczyłem Daemanowi... – zaczął Harman. Leżąc na miejscu pilota, podparł się na łokciu.

– Tak, i słusznie zdecydowałaś... On nadal jest w szoku po śmierci matki, a organizacja grupy posłańców może mu tylko pomóc. Ale na moście będziesz potrzebować ludzi. Hannah ma dość siły, żeby pomóc ci z noszami, ale ktoś przecież musi was osłaniać.

– Jesteś potrzebny tutaj i...

– Nie, Harman Uhr, nie jestem – przerwał mu ponownie Petyr. Mówił spokojnie i cicho, lecz w jego spojrzeniu płonęła determinacja. – Tutaj potrzebny jest tylko mój karabin i kilka magazynków, nie ja. Zostawię go. Podobnie jak ty, nie spałem już ponad dobę i zanim wrócę na palisadę, przysługuje mi sześciogodzinny odpoczynek, ale jak rozumiem, zamierzacie wrócić już za kilka godzin.

– Powinniśmy... – odezwał się Harman i umilkł.

Hannah, Ada, Siris i Tom wynieśli z dworku nosze z Odyseuszem-Nikim. Umierającego mężczyznę owinęli grubymi kocami. Harman zeskoczył ze zwisającego w miejscu sonika i pomógł przenieść ранego starca do wymoszczonej poduszkami środkowej leżanki z tyłu. Podczas lotu sonik zabezpieczał pasażerów kierunkowymi polami siłowymi, lecz wnętrza były wyposażone również w jedwabne siatki, pozwalające chronić przewożone sprzęty. Harman z Hanną naciągnęli jedną z nich na nieruchomego Odyseusza i przypięli. Zdawali sobie sprawę, że może umrzeć, zanim dotrą na most, ale nie chcieli, by wypadł. Harman wrócił za stery.

– Poleci z nami Petyr – rzucił w kierunku Hanny.

Dziewczyna wpatrywała się w konającego kochanka i nie okazała nawet odrobiny zainteresowania.

– Petyr – podjął Harman – wsiadaj z tyłu po lewej. Łuk ułóż gdzieś pod ręką. Hannah, z tyłu po prawej. Zabezpieczcie się siatkami.

Ada obesła sonik, pochyliła się ponad metalowym kadłubem i cmoknęła Harmana w usta.

– Wracaj przez zmrokiem albo pogadamy inaczej – powiedziała półgłosem, po czym wróciła z Tomem i Siris do dworku.

Harman upewnił się, że pasażerowie są bezpiecznie zapięci, sprawdził swoją siatkę, po czym wsunął dłonie pod pulpity sonika, aktywując holograficzne instrumenty. Wyobraził sobie trzy czerwone koła, w które wpisane były trzy koła zielone. Jego lewa

ręka zajaśniała niebieskawą poświatą, a przed oczyma zobaczył wykres niewiarygodnej trajektorii.

– Cel lotu Golden Gate w Machu Picchu? – rozległ się wyzuty z emocji głos maszyny.

– Tak – potwierdził Harman.

– Najkrótsza ścieżka lotu? – dopytał automat.

– Tak.

– Gotów do startu?

– Gotów – rzucił Harman. – Lećmy.

Pola siłowe wcisnęły ich w leżanki. Sonik rozpedził się nad palisadą, śmignął nad koronami drzew, po czym skierował się niemal pionowo w górę i zanim znaleźli się na wysokości dwóch tysięcy stóp, przekroczył barierę dźwięku.

Ada nie patrzyła za odlatującymi przyjaciółmi. Gdy domem zatrzęsł huk – kiedy w dzień Upadku spadł deszcz meteorów słyszała setki podobnych – poprosiła Oelleo, która w tym tygodniu zajmowała się pracami domowymi, by sprawdziła szyby i je w razie czego naprawiła.

Zdjęła z wieszaka w holu wełnianą pelerynę i wyszła na dziedziniec. Przeszła przez bramę. Ścięta mrozem trawa – dawniej był to jej przepiękny, ciągnący się ćwierć mili w dół wzgórza trawnik, obecnie pasły się tu zwierzęta i ginęły wojniksy – była zryta kopytami i odnóżami wojniksów. Ada musiała bardzo uważać, żeby nie skreślić kostki na nierównościach. Pod lasem toczyło się kilka skrzypiących, zaprzężonych w woły bryczek. Obrońcy Ardis rzucali na nie cielska wojniksów. Metalowe pancerze potworów wykorzystywano do produkcji broni. Skórzaste osłony głów rozcinano i przerabiano na ubrania i tarcze. Ada przystanęła i spojrzała na Kamana – jednego z pierwszych słuchaczy letnich wykładów Odyseusza – który specjalnymi, zaprojektowanymi i wykutymi przez Hannę szczypcami wrywał ze zwłok bełty. Uwolnione pociski trafiały do koszy, potem trzeba je było oczyścić i naostrzyć. Wszystko – powóz, rękawice Kamana i zmrożona ziemia – było ochlapane niebieską krwią wojniksów.

Ada okrążyła ostrokół, wchodziła i wychodziła przez bramy, zamieniła kilka słów z grupkami pracujących ludzi. Tych, którzy od świtu trzymali wartę na palisadzie, odesłała na śniadanie. Wreszcie wspięła się na rusztowanie żeliwiaka, by porozmawiać z Loesem i przyjrzeć się przygotowaniom do spustu żeliwa. Udawała przy tym, że nie widzi Emme i trzech młodych mężczyzn, którzy z gotowymi do strzału kuszami w rękach szli za nią przez cały czas, wypatrując na skraju lasu jakiegokolwiek podejrzanego ruchu.

Wróciła kuchennymi drzwiami do dworku i wywołała na dłoni funkcję zegarka – Harman odleciał trzydzieści dziewięć minut temu. Jeżeli ten głupi sonik faktycznie podał właściwy czas lotu – w co jednak nie do końca wierzyła, ponieważ świetnie pamiętała dłużący się dzień lotu powrotnego z Golden Gate do Ardis; zatrzymali się wtedy na postój w sekwojowym lesie na terytorium dawnego Teksasu, obie te nazwy poznała zresztą dopiero niedawno – jeśli jednak automat się nie pomylił, Harman z przyjaciółmi powinien być już na miejscu. Przy założeniu, że odszukanie tej mitycznej kapsuły leczniczej lub umieszczenie Nikogo w jednym z sarkofagów kriotemporalnych zajmie im godzinę, jej ukochany powinien wrócić jeszcze przed porą obiadu. Gdy o tym pomyślała,

przypomniała sobie, że jutro wypada jej dyżur w kuchni.

Zawiesiła szal na wieszaku, weszła na piętro do swojego pokoju – obecnie oczywiście był to pokój jej i Harmana – i zamknęła za sobą drzwi. Wcześniej, podczas rozmowy, złożyła przyniesiony przez Daemana całun turyński i schowała go w kieszeni bluzy. Teraz wyjęła go i rozprostowała.

Harman z rzadka tylko zaglądał pod całun. Również Daeman nie przepadał za tą rozrywką – przed Upadkiem jego ulubionym sposobem spędzania czasu było uwodzenie młodych dziewczyn, choć trzeba przyznać, że z niemal równym zacięciem zbierał chwypane na łąkach i w lasach motyle. Zabawiał się tym hobby już w czasach dzieciństwa, gdy odwiedzał ją w Ardis. Ściśle rzecz biorąc, byli kuzynami, lecz w świecie, który zniknął dziewięć miesięcy temu, słowo to nie oznaczało właściwie stopnia pokrewieństwa. Podobnie jak określenie „siostra”, wyrazy „kuzyn” czy „kuzynka” stanowiły po prostu grzecznościowe zwroty, stosowane przez dorosłe kobiety wobec wieloletnich przyjaciół i przyjaciółek. Dzięki temu dzieci mogły się nauczyć, że niektóre osoby są w pewien sposób szczególne.

Obecnie, kiedy sama już była dorosła, a w dodatku nosiła w brzuchu dziecko, Ada uświadomiła sobie, iż słowo „kuzyn” mogło sugerować, że jej zmarła matka i – również już nieżyjąca, co uświadomiła sobie, czując w sercu nieprzyjemne ukłucie – matka Daemana – zachodząc w ciążę, wybrały do zapłodnienia pakiety nasienia pochodzące od tego samego mężczyzny. Uśmiechnęła się mimowolnie, zadowolona, że młody Daeman, za młodu chłopak pulchny i lubieżny, nigdy nie zdołał jej uwieść.

Tak, Harman i Daeman w dużej mierze oparli się modzie na śledzenie spektaklu turyńskiego. Ada – wprost przeciwnie. Przez niemal jedenaście lat życia – dopóki całuny działały – niemal codziennie uciekała od codzienności ku krwawym obrazom spod obłęzonej Troi. Musiała przyznać sama przed sobą, że pociągała ją brutalność i wola życia, jakie cechowały fikcyjnych bohaterów wojny – oczywiście za fikcyjnych uważała ich, dopóki nie spotkali na moście Golden Gate starszego już Odyseusza. Nawet samo brzmienie barbarzyńskiej mowy tych ludzi – w jakiś niezrozumiały sposób przekładanej przez całuny na angielski – oszalała ją niczym narkotyk.

Ułożyła się wygodnie na łóżku, nasunęła całun na oczy, sprawdziła, czy wszyte w tkaninę mikroobwody spoczęły na jej czole i – w zasadzie bez większej nadziei, że cokolwiek się stanie – opuściła powieki.

Jest noc. Ada stoi w jednej z trojańskich wież.

Ma niezbitą pewność, że znalazła się w Troi – w Ilionie – ponieważ nocną panoramę miasta, zarysowane na tle nieba sylwetki murów i zabudowań oglądała w ciągu ostatnich dziesięciu lat setki razy. Nigdy jednak nie podziwiała ich z tego miejsca. Dociera do niej, że stoi w strzaskanej okrągłej baszcie, pozbawionej całej południowej ściany. Kilka stóp od niej dwoje ludzi kuli się nad bladymi węgielkami dogasającego ogniska, które osłaniają kocem. Rozpoznaje ich w jednej chwili. To Helena i Menelaos, jej były mąż. Ada nie ma jednak pojęcia, co tu właściwie robią. Razem. W obrębie miejskich fortyfikacji. Dlaczego wyglądają ponad blankami Bramy Skajskiej, obserwując toczącą się na nocnej równinie bitwę. W jaki sposób trafił tutaj Menelaos? Jak to możliwe, że otula kocem – nie, zaraz, to nie koc, tylko czerwony żołnierski płaszcz – właśnie Helenę?

Przecież Ada wyraźnie pamięta, że przez bez mała dziesięć lat Menelaos wraz z armiami Achajów próbował się wdrzeć do Troi po to, by dawną małżonkę pojmać lub wręcz zabić.

Nie ma też żadnych wątpliwości, że Grecy ruszyli teraz do boju w tym samym celu.

Ada odwraca swe bezcielesne spojrzenie – takich wrażeń całun nie dostarczał nigdy przedtem – i w niemym zachwycie patrzy poza miejską bramę.

* * *

Tak musiała wyglądać nasza wczorajsza nocna bitwa o Ardis, przemyka dziewczynie przez myśl, lecz zaraz potem niemal wybuchła śmiechem. Żalose porównanie! Zamiast dwunastostopowej, rachitycznej palisady, Ilion otaczają mury piętrzące się na sto stóp i grube na dwadzieścia, dodatkowo wzmocnione licznymi wieżami, uzupełnione furtami służącymi do przeprowadzania zbrojnych wycieczek i otworami strzelniczymi, chronione okopami, szeregami ostrych drewnianych pali, fosą i parapetami. Warowni nie szturmują setka niemych wojniksów, miasto atakują dziesiątki tysięcy ryczących, wiwatujących i miotających przekleństwa greckich wojowników. Ada widzi ich w poświęcie rzucanej przez pochodnie, obozowe ogniska i płonące strzały. Rozciągnięta na wiele mil wezbrana fala herosów. Poszczególnymi oddziałami dowodzą królowie i wodzowie. Żołnierze niosą drabiny oblężnicze, prowadzą do boju rydwany. Każdy z zastępów z zapamiętaniem toczy własne starcie.

Ardis broniło czterysta osób. Obrońcy Ilionu – Ada na samym tylko południowym murze, na jego schodach i parapetach, widzi tysiące łuczników i piechurów z włóczyniami – starają się ocalić życie ponad stu tysięcy zdjętych przerażeniem pobratymców, w tym własnych dzieci, żon, córek, synów i bezbronnych starców. Zamiast jednego bezszelestnego sonika szybującego z Harmanem na pokładzie ponad wiejskim dziedzińcem, na trojańskim niebie roją się dziesiątki latających rydwanów, otoczonych pęcherzami pola siłowego. Kierujące nimi bóstwa smagają snopami czystej energii i błyskawicami – w zależności od wybranej strony konfliktu – nacierające hordy lub miejskie zabudowania.

Ani razu jeszcze nie widziała w spektaklu, by w walkę zaangażowało się osobiście aż tylu Olimpijczyków. Nawet z tej odległości udało się jej wyłowić postacie Aresa, Afrodyty, Artemidy i Apolla – wszyscy oni wspierają obrońców oblężonego miasta. Ada widzi również Hekubę, Atenę, Posejdona i pomniejszych, rzadziej oglądane bóstwa, walczące na rzecz szturmujących Achajów. Tylko po Zeusie nie ma nawet śladu.

Sporo musiało się zmienić, odkąd przestałam korzystać z całunu.

– Hektor nie opuścił swoich komnat, nie prowadzi wojska – zwraca się szeptem Helena do Menelaosa.

Ada spogląda z powrotem na parę małżonków. Tulą się do siebie przy maleńkim ognisku na wystawionej na wiatr posadzce zniszczonej wieży. Czerwony płaszcz Greka osłania żar przed oczyma kłębiących się w dole ludzi.

– To zwykły tchórz – rzuca Menelaos.

– Sam dobrze wiesz, że mówisz nieprawdę. Żaden z walczących w tej oblężonej wojnie mężów nie przewyższa męstwem Hektora, syna Priama. On wciąż przeżywa

żałobę.

– Po kim? – parska śmiechem Menelaos. – Chyba po sobie samym. Wiele wskazuje, że zostało mu ledwie kilka godzin życia. – Wskazuje skinieniem rzesze Achajów nacierających na miasto ze wszystkich kierunków.

Helena wiedzie spojrzeniem za dłonią męża.

– Myślisz, że zwieńczą ten szturm zwycięstwem? Moim zdaniem atakują zanadto bezładnie. Brakuje też machin oblężniczych.

– Cóż – burczy głucho Menelaos. – Niewykluczone, że mój brat zbyt pochopnie dał sygnał do natarcia. Wśród wojska panuje wielki zamęt. Lecz nawet jeśli dzisiejszy atak nie da im zwycięstwa, jutro będzie inaczej. Los Ilionu jest już przesądzony.

– Na to wygląda – przyznaje półgłosem Helena. – Lecz przecież tak było od samego początku, czyż nie? Nie, szlachetny mężu, Hektor nie oplakuje samego siebie. Lamentuje z powodu swego syna, zamordowanego Skamandriosa. Leje łzy z powodu kresu wojny przeciwko bogom, dzięki której miał szansę pomścić malca.

– Pomysł tej wojny od początku był oblężniczy – mamroce Menelaos. – Ostatecznie bogowie zniszczyliby nas wszystkich bądź przegnali z ziemi, podobnie jak postąpili z naszymi rodzinami w ojczyźnie.

– Naprawdę wierzysz Agamemnonowi? – pyta szeptem kobieta. – Wierzysz, że wszyscy zniknęli?

– Wierzę w to, co Agamemnonowi powiedzieli Posejdon, Hera i Atena. Wierzę, że nasze rodziny, przyjaciele, niewolnicy i wszyscy inni mieszkańcy tego świata zostaną nam zwrócenii, gdy tylko Achajowie puszczą Ilion z dymem.

– Czy nieśmiertelni bogowie rzeczywiście byli w stanie dokonać czegoś takiego, mężu? Czy myślisz, że mogli usunąć ludzi ze świata?

– Na pewno – stwierdził Menelaos. – Mój brat nie jest kłamcą. Bogowie przekazali mu, że to ich dzieło, i spójrz, nasze miasta opustoszały! Zresztą mówiłem też z innymi uczestnikami jego wyprawy. Wszystkie osady i miasta na Peloponezie są... Pst, ktoś tu idzie. – Grek roztrąca żar kopnięciem, wstaje, ukrywa Helenę w najciemniejszym zakamarku pod zniszczoną ścianą i staje z mieczem w pogotowiu przy wyjściu, w miejscu niewidocznym z krętych schodów.

Ada słyszy szuranie sandałów na kamiennych stopniach.

Pojawia się mężczyzna, którego Ada widzi pierwszy raz w życiu. Ma na sobie pancerz i płaszcz achajskiego piechura, lecz jest gorzej zbudowany i sprawia łagodniejsze wrażenie niż wszyscy żołnierze, jakich dotąd oglądała pod całunem. Nieznajomy schodzi z urywających się raptownie stopni i staje na tarasie.

Menelaos skacze, przyciska intruza do ściany tak, by nie mógł podnieść rąk i przystawia oszołomionemu napaścią człowiekowi miecz do gardła. Jest gotów rozharatać mu tętnicę jednym cięciem.

– Nie! – powstrzymuje go krzykiem Helena.

Menelaos zastyga.

– To Hock-en-ber-riiii, mój przyjaciel.

Greki jeszcze przez moment spogląda surowo. Mięśnie grają mu pod skórą, jakby wciąż miał zamiar poderznąć chuderławemu żołnierzowi gardło. Po chwili jednak odbiera

nieproszonemu gościowi miecz i ciska go na bok. Następnie przewraca mężczyznę na posadzkę i staje nad nim w rozkroku.

– Hockenberry? Syn Duane’a? – warczy Grek – Wiele razy widziałem cię w towarzystwie Achillesa i Hektora. Przybyłeś wraz z tymi mechanicznymi istotami.

Hockenberry? – powtarza w duchu Ada. Nigdy nie słyszała pod całunem podobnie brzmiącego nazwiska.

– Nie – odpowiada Hockenberry, rozcierając krtań i starte kolano. – Jestem tu od lat, lecz do niedawna tylko obserwowałem. Do dnia wybuchu wojny z bogami.

– Jesteś przyjacielem Achillesa, tego kochanka psów! – warczy Menelaos. – Jesteś podnóżkiem Hektora, mego wroga, którego los właśnie dziś został przypieczętowany. Podobnie jak twój...

– Nie! – woła ponownie Helena. Podchodzi i chwyta męża za rękę. – Hock-en-berrii jest ulubieńcem bogów. I moim przyjacielem. To on pokazał mi tę wieżę. I pamiętaj, że uniósł dokądś Achillesa, posługując się tylko wiszącym mu na szyi medalionem. Jest potężny niczym bóg.

– Nie zapomniałem – przyznaje Menelaos. – Ale żaden przyjaciel Achillesa i Hektora nie może być moim przyjacielem. Poza tym dowiedział się o nas. Zdradzi naszą kryjówkę Trojanom. Musi umrzeć.

– Nie, mężu. – Helena protestuje po raz trzeci. Jej alabastrowe palce zaciśnięte na ogorzałym, włochatym przedramieniu Menelaosa wydają się bardzo drobne. – Hock-en-berrii pomoże rozwiązać nasz problem.

Menelaos obrzuca żonę zagniewanym spojrzeniem. Nie rozumie.

Kobieta wskazuje na toczącą się pod murami bitwę. Łucznicy wypuszczają setki – tysiące – strzał w śmiercionośnych salwach. Zdezorganizowani Achajowie, którzy niedawno rzucili się ławą na fortyfikacje ze swymi drabinami, teraz uchodzą całymi oddziałami, rażeni przerzedzającym ich szeregi krzyżowym ogniem. Ostatni walczący poza miastem Trojanie mężnie stawiają czoła napastnikom, bronią się spoza najeżonych ostrymi palami okopów. Greckie rydwany wbijają się w tę zaporę, roztrzaskują, idą w drzazgi. Noc wypełnia się przeraźliwym rżeniem koni, którym naostrzone kije rozpruwają spienione boki. Nawet trzymający stronę Achajów Olimpijczycy – Atena, Hera i Posejdon – cofają się przed atakiem ogarniętych bojowym szałem Aresa i Apolla. Miotane przez Pana Srebrnego Łuku strzały, uwite z czystej fioletowej energii, padają pośród Achajów i ich nieśmiertelnych sojuszników, powalając ludzi i zwierzęta niczym ścinane toporami drzewka w młodniaku.

– Nie pojmuję – warczy Menelaos. – Cóż ten wychudzony bękart może dla nas uczynić? Przecież nawet jego miecz jest nienaostrzony.

Nie odrywając dłoni od mężowskiego ramienia, piękna Helena pochyla się z wdziękiem i unosi ciężki złoty medalion, zawieszony na grubym łańcuchu na szyi Hockenberry’ego.

– Potrafi przenieść nas w okamgnieniu do obozu twego brata, mój mężu. Pomoże nam w ucieczce. Bez niego nie zdołamy opuścić Ilionu.

Menelaos mruży powieki, właśnie wszystko zrozumiał.

– Cofnij się, żono. Poderżnę mu gardło i sami posłużymy się tym magicznym

wisiorem.

– Tylko ja mogę wydawać mu polecenia – odzywa się cicho Hockenberry. – Nawet morawce, a przecież dysponują zaawansowaną technologią, nie zdołały go skopiować ani nauczyć się nim władać. Ten teleportacyjny medalion został dostrojony do wzorca mojego DNA i fal mózgowych.

– Mówi prawdę. – Helena obniża głos niemal do szeptu. – Właśnie dlatego Hektor i Achilles zawsze chwyтали Hock-en-ber-riego za ręce, kiedy boska magia miała ich przenieść w inne miejsce.

– Wstań! – rzuca władczo Menelaos.

Hockenberry podnosi się z posadzki. Menelaos nie jest mężczyzną wysokim jak jego brat, nie ma również tak szerokich, byczych barów jak Odyseusz czy Ajaks, lecz w porównaniu z chudym, obdarzonym wydatnym brzuszkiem Hockenberrym wydaje się niemal półbogiem.

– Przenieś nas, synu Duane'a! – rozkazuje Menelaos. – Przenieś nas do rozbitego na plaży namiotu mego brata.

Hockenberry kręci głową.

– Synu Atreusa, przestałem korzystać z tego medalionu już wiele miesięcy temu. Dowiedziałem się od morawców, że bogowie mogą śledzić moje ruchy w przestrzeni zwanej przestrzenią Plancka, w macierzy Calabiego-Yau. Innymi słowy, potrafią mnie wytropić w pustce, przez którą wędrują Olimpijczycy. A ja bogów zdradziłem, i zgładziliby mnie, gdybym się choć raz tekował.

Menelaos rozciąga wargi w uśmiechu. Unosi klingę i napiera nią na brzuch Hockenberry'ego, póki na tunice nie pojawia się czerwień krwi.

– Jeżeli tego nie zrobisz, sam cię zgładzę. Tu i teraz, świński zadku. Co więcej, wyciągnę twoje trzewia na zewnątrz i zdechniesz bardzo powolną śmiercią.

Piękna Helena składa wolną dłoń na ramieniu Hockenberry'ego.

– Przyjacielu, spójrz na trwające pod murem zmagania. Tej nocy wszystkich bogów zaprzęta wojaczka. Spójrz! Widzisz? Atena prowadzi odwrót swych Furi. A tam Apollo w rydwanie. Martwi się tylko o to, by celnie puszczać strzały w plecy wycofujących się greckich zastępów. Dzisiejszej nocy, Hock-en-ber-rii, żaden Olimpijczyk nawet nie zauważy, że się tekowałeś.

Mężczyzna potulnie przygryza wargę i raz jeszcze patrzy na pole bitwy – obrońcy Troi zyskali wyraźną przewagę. Z żelaznych furt w murze w okolicach Bramy Skajskiej wylewają się kolejne oddziały. Ada zauważyła nawet Hektora, który – nareszcie – wiedzie do boju swe doborowe oddziały.

– Zgoda – mówi Hockenberry. – Ale mogę was przenieść tylko pojedynczo.

– Zabierzesz nas oboje – syczy groźnie Menelaos.

Chudszy mężczyzna kręci przecząco głową.

– Nie mogę. Nie wiem dlaczego, lecz medalion pozwala mi tekować tylko jedną inną osobę jednorazowo. Jeżeli przypomnisz sobie moje podróże z Achillesem i Hektorem, zobaczysz, że zawsze zabierałem najpierw jednego, a dopiero po kilku sekundach wracałem po drugiego.

– To prawda, mężu – potwierdza Helena. – Widziałam to na własne oczy.

– Zaczynj więc od Heleny – decyduje Menelaos. – Unieś ją ze sobą do namiotu Agamemnona, który stoi w pobliżu wyciągniętych na plażę czarnych okrętów.

Z biegnącej pod wieżą ulicy dolatują jakieś krzyki i cała trójka odsuwa się od skraju platformy.

– Mężu mój, kochany Menelaosie – śmieje się kobieta. – Nie mogę pojawić się tam pierwsza. Żadnej kobiety na świecie Achajowie i Argiwowie nie darzą taką nienawiścią jak mnie. Nawet gdyby Hock-en-ber-riiii wrócił po ciebie w kilka sekund, któryś z gwardzistów Agamemnona bądź inny żołnierz rozpozna we mnie pogardzaną przez Greków dziwkę i przeszyje włócznią. Musisz iść przede mną. Ty jeden zdołasz mnie ochronić.

Menelaos przytakuje skinieniem i łapie Hockenberry'ego za gardło.

– Skorzystaj więc z tego medalionu... Natychmiast.

Hockenberry nie podnosi dłoni do wisiorka.

– Czy jeśli to zrobię, pozwolisz mi żyć? Uwolnisz mnie?

– Jakżeby inaczej – prycha Menelaos, lecz nawet Ada dostrzega spojrzenie, które rzucił przy tym Helenie.

– Masz moje słowo. Menelaos, mój małżonek, nie wyrządzi ci krzywdy – podejmuje Helena. – Ruszajcie, tekujcie się czym prędzej. Słyszę kroki na schodach.

Hockenberry łapie swój medalion, przymyka oczy, obraca złotą obwódkę i obaj z Menelaosem znikają do wtóru głuchego stuknięcia, z jakim powietrze wypełnia pozostawioną przez nich próżnię.

Ada zostaje na wieży sama z Heleną Trojańską. Wzmagający się wiatr zawodzi cicho wśród skruszonych ścian, niesie ze sobą nawoływania cofających się Greków i ścigających ich Trojan. Na równinie płoną pochodnie. Na ulicach miasta gęstnieje wiwatujący tłum.

Nagle Hockenberry pojawia się z powrotem.

– Czas na ciebie – mówi, ujmując kobietę za przedramię. – Miałaś rację, nie przybył za mną nawet jeden Olimpijczyk. Tej nocy panuje zbyt wielki chaos. – Podnosi wzrok ku niebu, gdzie ślady latających rydwanów krzyżują się z morderczymi promieniami energii. – Heleno, jesteś pewna, że Menelaos mnie nie skrzywdzi? Kiedy już cię tam przeniosę?

– Włos nie spadnie ci z głowy – szepce piękna kobieta. Mówi to nieobecny tonem, jakby wciąż nasłuchiwała kroków na schodach.

Ada słyszy jedynie wiatr i odległe wrzaski.

– Hock-en-ber-riiii, zaczekaj – odzywa się Helena. – Chcę ci powiedzieć, że byłeś znakomitym kochankiem... i dobrym przyjacielem. Bardzo cię polubiłam.

Hockenberry przełyka z trudem ślinę.

– Ja też cię... lubię, Heleno.

Kruczowłosa kobieta rozpromienia się w uśmiechu.

– Nie wróć do Menelaosa, Hock-en-ber-riiii. Nienawidzę go. Budzi we mnie strach. Już nigdy mu nie ulegnę.

Hockenberry raptownie marszczy czoło i spogląda na dalekie już szeregi Achajów. Grecy przegrupowują się za własnymi umocnieniami, oddalonymi od miasta o dwie mile, wzniesionymi tuż przed bezkresnymi rzędami namiotów i ognisk oraz niezliczonymi,

spoczywającymi na piasku, czarnymi okrętami.

– Jeżeli zdobędą to miasto, on cię zabije – odzywa się półgłosem.

– Wiem.

– Mogę cię stąd zabrać. W bezpieczne miejsce.

– Czy to prawda, mój drogi Hock-en-ber-riii, że poza Troją opustoszał już cały świat? Wszystkie wielkie miasta? Moja Sparta? Kamienne wsie? Itaka, wyspa Odyseusza? Nawet złote stolice Persów?

Hockenberry przygryza wargę.

– Tak – przyznaje – to prawda.

– Dokąd więc mogłabym się udać, Hock-en-ber-riii? Na szczyt Olimpu? Przecież nawet Dziura już się zamknęła, a bóstwa ogarnął szal.

Hockenberry rozkłada bezradnie ręce.

– W takim razie musimy wierzyć, że Hektor i jego oddziały odepchną Greków. Heleno... kochana, przyrzekam ci, że cokolwiek się stanie, nie powiem Menelaosowi, że wolałaś tu zostać z własnej woli.

– Wiem. – Kobieta kiwa głową.

Nagle spod szerokiego rękawa jej szaty wypływa nóż. Wpada jej w dłoń. Helena uderza tym krótkim, lecz śmiertelnie ostrym żelazem pod żebra Hockenberry'ego. Ostrze wchodzi po rękojeść. Obraca się wewnątrz, w poszukiwaniu serca.

Hockenberry otwiera usta jak do krzyku, lecz może już tylko westchnąć. Łapie się za skrwawiony brzuch i osuwa bezładnie na ziemię.

Helena w porę uwolniła klingę z opadającego ciała.

– Żegnaj, Hock-en-ber-riii – rzuca i pośpiesznie zbiega po kamiennych schodach. Jej miękkie cizemki nie wydają prawie żadnego dźwięku.

Ada spogląda na krwawiącego, umierającego mężczyznę. Chciałaby coś zrobić, cokolwiek, lecz jest przecież niewidzialna, niematerialna. Wiedziona impulsem, przypomniała sobie sposób, w jaki Harman zdołał się porozumieć z sonikiem, podnosi dłoń do całunu. Bada tkaninę opuszkami palców i wyobraża sobie trzy niebieskie kwadraty opasane trzema czerwonymi okręgami.

I nagle przenosi się tam, na miejsce – staje na strzaskanej posadzce wieży pozbawionej wierzchołka. Znalazła się w Ilionie. Nie jest już biernym widzem spektaklu, bierze w nim udział. Chłodne powiewy szarpią jej bluzę i spódnicę. Czuje osobliwą woń gotowanych potraw i szczególnie, zwierzęcy zapaszek bijący znad widocznego poniżej nocnego targu. Słyszy dobiegający spod murów bitewny zgiełk, czuje wibracje powietrza niosące głosy wielkich dzwonów i potężnych gongów rozbrzmiewających na wszystkich murach miasta. Patrzy pod siebie i widzi własne stopy, rzeczywiste na spękanej marmurowej posadzce.

– Pomóż... mi... proszę – szepce broczący krwią mężczyzna. Po angielsku.

Ada otwiera szeroko oczy. Dotarło do niej, że ją zobaczył... Patrzy przecież prosto w jej oczy. Ostatkiem sił wyciąga ku niej lewą dłoń. Błaga, korzy się, prosi.

Ada zerwała całun turyński z twarzy.

Znalazła się we własnym pokoju. W Ardis. Zdjęta paniką, z bijącym sercem wywołała na dłoni funkcję zegara.

Odkąd przesłoniła oczy całunem, minęło ledwie dziesięć minut, czterdzieści dziewięć upłynęło od momentu, gdy odleciał jej ukochany Harman. Poczła się zdezorientowana, zrobiło się jej niedobrze, jakby wróciły poranne nudności. Spróbowała się opanować, zebrać się w sobie, lecz mdłości wezbrały ze zdwojoną siłą.

Złożyła całun i wrzuciła go do bieliźniarki. Zaraz potem pobiegła na dół. Postanowiła sprawdzić, co się dzieje w Ardis.

Lot sonikiem okazał się jeszcze bardziej emocjonujący, niż Harman to sobie wyobrażał. A dysponował przecież bujną wyobraźnią. Z całej załogi jedynie on przeżył lot na drewnianym, otoczonym wirem błyskawic krześle, z Basenu Śródziemnego aż na krążącą w pierścieniu równikowym asteroidę. Był do tej pory święcie przekonany, że tamtemu doznaniu nie zdoła dorównać nic.

Faktycznie. Obecny lot sonikiem uplasował się na mocnym drugim miejscu.

Pojazd pokonał barierę dźwięku – o jej istnieniu Harman dowiedział się niecały miesiąc temu, siglując pewną książkę – po czym wzbił się dwa tysiące stóp nad Ardis. Zanim maszyna wyrwała się z objęć chmur i zalały ją promienie słońca, frunęła już praktycznie pionowo, zostawiając z tyłu huk silników. Oczywiście nie znaczyło to wcale, że podróżowali w ciszy. Syk omiatającego bańkę pola siłowego powietrza wystarczał, by uniemożliwić jakiegokolwiek rozmowy.

Naturalnie nikt nawet nie próbował rozmawiać. Te same pola siłowe, które chroniły pasażerów przed potępieńczym wichrem, wbijały ich brzuchy w miękkie wgłębienia. Nikt-Odyseusz wciąż nie odzyskiwał przytomności. Hannah przytrzymywała go ramieniem, a Petyr z szeroko otwartymi oczyma raz po raz oglądał się za siebie i patrzył na prędko niknące w dole obłoki.

Po kilku minutach lotu wszystko ucichło. Najpierw słyszeli jeszcze szmer podobny dźwiękowi pary dobywającej się z czajnika, potem już tylko nikłe westchnienia. Horyzont ugiął się niczym napinany łuk, a sonik niezmordowanie mknął w górę, niczym srebrzysty grot niewidzialnej strzały. Niespodziewanie ukazały się im gwiazdy, raptownie, nie tak jak o zachodzie słońca. Wszystkie ujrzeli jednocześnie. Wypełniały niebiosa jak bezgłośnie fajerwerki. Tuż nad ich głowami zajaśniały przerażającym blaskiem pierścienie B i P.

W pewnym momencie Harman przestraszył się, że sonik zawiezie ich właśnie tam. W końcu była to ta sama maszyna, która sprowadziła z orbitalnej wyspy Daemana, nieprzytomną Hannę i jego samego. Niebawem jednak pojazd opuścił dziób i mężczyzna uświadomił sobie, że od pierścieni wciąż dzielą ich tysiące mil. Sunęli tuż ponad płaszczem atmosfery. Horyzont był co prawda zagięty, lecz większą część widoku poniżej nadal zajmowała Ziemia. Kiedy wiele miesięcy temu podróżował na błyskawicy ku górze, wraz z Daemanem i Savi, planeta była znacznie bardziej odległa.

– Harman! – zawołała Hannah ze swej tylnej leżanki, gdy sonik odwrócił się podwoziem ku górze, a oślepiająco jasna, biała od chmur planeta pojawiła się nad ich głowami. – Czy wszystko w porządku? Tak mieliśmy lecieć?

– Jasne, nic nadzwyczajnego – odpowiedział, krzycząc przez ramię.

Różne siły, w tym i strach, próbowały oderwać jego wyciągnięte ciało od wygodnie umoszczonej leżanki, ale nacisk pola siłowego utrzymywał go na miejscu. Żołądek i błędnik buntowały się wobec braku grawitacji i stabilnego horyzontu.

W rzeczywistości nie miał pojęcia, czy lot przebiega normalnie, czy może sonik spróbował wykonać zbyt trudny dla siebie manewr i teraz od śmierci dzieli ich już tylko sekundy.

Petyr zerknął mu przelotnie w oczy. Zrozumiał, że Harman okłamał Hannę.

– Chyba się porzygam – obwieściła rzeczowo dziewczyna.

Gnany przez niewidoczne silniki i niewidzialne siły sonik mknął naprzód, stopniowo obniżając lot. Wciąż widoczna nad nimi Ziemia zaczęła się obracać.

– Zamknij oczy i trzymaj się Odyseusza – poradził Harman przyjaciółce.

Weszli z powrotem w atmosferę. Powrócił huk. Harman przyłapał się na tym, że co jakiś czas spogląda za siebie, ku pierścieniom. Zastanawiał się, co zostało z orbitalnej wyspy Prospera i czy Daeman naprawdę mógł mieć rację, twierdząc z przekonaniem, że to Kaliban zamordował jego matkę i dokonał rzezi mieszkańców Krateru Paryskiego.

Płynęły kolejne minuty. Harman zauważył, że znaleźli się nad kontynentem zwanym w dawnych czasach Ameryką Południową. Obie półkule niknęły pod chmurami – część obłoków układała się w wiry, inne były pomarszczone i zwieńczone falbankami, pojawiały się też chmury płaskie bądź przeciwnie, wysokie. W miejscu, gdzie wiatry je rozpędziły, wypatrzył widoczną przez kilka chwil szeroką cieśninę, gdzie według Savi istniał w przeszłości lądowy przesmyk między kontynentami.

Zaraz potem sonik otoczyła ognista kula. Ryk powietrza i płomieni był w tej chwili jeszcze głośniejszy niż wtedy, gdy się wznosili. Sonik pędził korkociągiem przez coraz gęstsze warstwy atmosfery niczym wirująca kryształowa strzała.

– Wszystko w porządku! – krzyknął Harman. Chciał uspokoić towarzyszy. – Już to kiedyś przeżyłem. Normalka.

Nie mogli go usłyszeć – hałas z zewnątrz zagłuszał wszystkie inne dźwięki – więc nie dodał cisnącego mu się na myśl zastrzeżenia, że przeżył taki lot tylko jeden, jedyny raz. Hannah była co prawda na pokładzie sonika, którym Daeman i Harman wywieźli ją z rozpadającej się kosmicznej wyspy Prospera, lecz była wtedy nieprzytomna i niczego nie pamiętała.

Otulony niczym macicą płaszczem gorącej plazmy sonik pikował ku ziemi. Harman uznał, że zamknięcie oczu zrobi dobrze i jemu.

Co ja do diabła robię? – ponownie ogarnęło go zwątpienie. Nie nadawał się na przywódcę. Dlaczego odważył się zabrać sonik i wziąć na siebie odpowiedzialność za życie dwojga ufających mu ludzi? Jeszcze nigdy nie odbył lotu na tych zasadach, dlaczego założył, że wszystko skończy się pomyślnie? A nawet jeśli, to czy istniało jakiegokolwiek usprawiedliwienie dla pozbawiania Ardis latającego pojazdu, akurat w tak trudnej i niebezpiecznej chwili? Przecież Daeman przyniósł nowe niepokojące informacje, i sprawę Setebosa – spowijającego Krater Paryski i inne ludzkie osiedla błękitnym lodem – wszyscy powinni traktować priorytetowo. Źle zrobił, decydując się na wyprawę na most tylko po to, by ocalić Odyseusza. Jak śmiał zostawić Adę? Dziewczyna jest w ciąży i jej dalsze życie zależały w pewnym sensie od niego. A Nikt zapewne umarłby tak czy inaczej, bez względu na wszelkie okoliczności. Dlaczego zatem Harman zdecydował się zaryzykować istnienie kilkuset osób – może nawet dziesiątek tysięcy, jeśli wiadomość o świeżym zagrożeniu nie dotrze do pozostałych wspólnot. Dlaczego zdecydował się

ratować tego rannego starca, mimo że praktycznie nie miał żadnych szans powodzenia?

Starzec. Powietrze wyło przenikliwie. Sonikiem trzęsło. Harman zacisnął mocniej powieki i dłonie na krawędziach leżanki. Starzec. Sam jest starcem, najstarszym członkiem grupy. Od Piątej i Ostatniej Dwudziestki dzieliły go tylko niecałe dwa miesiące. Harman uświadomił sobie, że podświadomie wciąż oczekuje, że w dniu tych urodzin zniknie i zostanie faksowany do pierścieni, mimo że tam nie czeka już ani jedna kadź regeneracyjna. Kto może mi zagwarantować, że tak się nie stanie? – pomyślał. Podejrzał, że jest w tej chwili najstarszym człowiekiem na świecie. Wyjątek mógł stanowić jedynie Odyseusz-Nikt, którego wieku nigdy nie poznali. Tyle że Nikomu prawdopodobnie zostało najwyżej kilka godzin. Podobnie jak nam, dopowiedział sobie w duchu.

Co sobie, do diabła, wyobrażał? Decydować się na dziecko z kobietą, która Pierwszą Dwudziestkę skończyła ledwie siedem lat temu? Jakie miał prawo, by zachęcać innych do wskrzeszenia idei rodziny z Zapomnianej Ery? Kim jest, by twierdzić, że nowa rzeczywistość wymaga, aby ojcowie znali swe dzieci i żyli razem z żonami i potomstwem? Co takiego starzec imieniem Harman wie – tak naprawdę wie – o dawnych rodzinach, o poczuciu obowiązku? Kim jest, by przewodzić ludziom? Uświadomił sobie, że jedynym, co wyróżnia go spośród innych, to fakt, że samodzielnie nauczył się czytać i przez wiele lat był jedynym człowiekiem na świecie, który posiadał tę umiejętność. Wielkie rzeczy. Teraz przecież wszyscy chętni zyskali dostęp do funkcji siglowania, a wielu mieszkańców Ardis nauczyło się odcyfrowywać słowa i dźwięk również z zawijasów widniejących na kartach starych książek.

Nie jestem aż tak wyjątkowy.

Otoczająca sonik powłoka plazmy przygasła, pojazd przestał wirować, lecz po obu stronach kadłuba wciąż pełgały języki płomieni.

Jeżeli sonik ulegnie awarii lub jeśli wyczerpie się jego paliwo, energia, cokolwiek, co zasila jego silnik, Ardis czeka zagłada. I nikt nigdy się nie dowie, jaki spotkał nas los. Po prostu znikniemy ze świata, a Ardis straci swój jedyny pojazd latający. Wojniksy zaatakują ponownie bądź pojawi się Setebos, a bez sonika, którym mogliby uciec do faksowężła, Ada i pozostali zostaną odcięci od świata. Może się okazać, że pozbawiłem ich ostatniej szansy.

Gwiazdy zgasty. Niebo przybrało najpierw granatowy odcień, następnie rozjaśniło się do błękitu. Zaraz potem wlecieli między chmury. Sonik wytracał prędkość.

Jeżeli uda mi się znaleźć dla Nikogo jakąkolwiek kapsułę, wracamy natychmiast – postanowił. – Zostanę z Adą i pozwolę, by to Daeman, Petyr, Hannah i inni młodzi podejmowali wszelkie przyszłe decyzje i wybierali się na tego rodzaju wycieczki. Będę mieć dziecko i to o nim powinienem myśleć. Ostatnia myśl okazała się bardziej przerażająca niż gwałtowne podskoki i wstrząsy sonika.

Schodzący coraz niżej pojazd przez długie minuty był spowity chmurami, które jak kłęby dymu opływały jego pomrukujące cicho pole siłowe. Mieszały się z płatkami śniegu i omijały ich niczym wstępujące do nieba dusze miliardów istot ludzkich, które żyły i umarły na Ziemi jeszcze przed nastaniem stulecia Harmana. Wreszcie sonik wyrwał się spod całunu obłoków i znaleźli się mniej więcej trzy tysiące stóp ponad stromymi

wierzchołkami gór. Harman po raz kolejny w życiu zobaczył most Golden Gate w Machu Picchu.

Płaskowyż był wysoki. Strome, zieleniejące tarasy sąsiadowały z zębatymi szczytami, między którymi ziały głębokie, porośnięte gęstszą roślinnością wąwozy. Rdzewiejący most, którego starożytne wieże strzelały na ponad siedemset stóp od podłoża, niemal łączył ze sobą dwie góry wyrastające po obu stronach płaskowyżu, na którym majaczyły zarysy jeszcze starszych niż Golden Gate ruin. Ich wiekowe budynki stały się już zaledwie kamiennymi konturami i zarysami w trawie. Na samej konstrukcji mostu miejscami było widać resztki dawniej pomarańczowej farby, która teraz odcinała się jasnozielonymi jak porosty płatami od tła tworzonego przez rudą rdzę przypominającą kolorem zakrzepłą krew. W niszczejacej jezdni ziały liczne dziury, brakowało kilku lin nośnych, lecz budowla wciąż w oczywisty sposób pozostawała mostem. Mostem, który prowadził znikąd donikąd.

Gdy Harman ujrzał tę marniejącą konstrukcję za pierwszym razem i z daleka, odniósł wrażenie, że zarówno strzeliste wieże, jak i ciężkie liny są spowite jasnozielonym bluszczem. Teraz już wiedział, że owe zielone kule, łączące je rury i zwisające pnącza są w istocie budowlami mieszkalnymi, prawdopodobnie dodanymi do mostu wiele stuleci po jego powstaniu. Savi twierdziła, i być może nie był to do końca żart, że obecnie już tylko te wykonane z zielonego szkła kule, bąble i wijące się spiralnie przejścia powstrzymują konstrukcję Golden Gate przed katastrofą.

Pasażerowie sonika podnieśli głowy i podparci na łokciach podziwiali widok, a pojazd tymczasem rozpoczął podejście do lądowania. Zakreślił długi łuk, który zaprowadził ich na płaskowyż od południa. Tym razem panorama miała w sobie znacznie więcej dynamizmu niż za pierwszą wizytą Harmana. Dzisiaj chmury wisiały niżej, na obu najbliższych szczytach padał deszcz, poza wyższymi, wznoszącymi się na zachodzie górami jaśniały błyskawice, a ukośne promienie słońca przebijały się przez szczeliny w obłokach i grały na konstrukcji mostu – sunęły po jezdni, odbijały się w zielonych szklanych helisach i rozświetlały sam płaskowyż. Płynące z wiatrem chmury przyniosły ciemne zasłony deszczu, na chwilę przesłaniając widok z sonika, lecz kolejne powiewy szybko odeгнаły je na wschód. Wszystko to – strzępy obłoków i snopy słonecznego blasku – sprawiały, że pejzaż wydawał się żywy.

Nie, nie tylko wydawał... Harman zauważył jakiś ruch na wzgórzu i moście. Tysiące drobnych, poruszających się cieni. W pierwszej chwili uznał, że to złudzenie optyczne wywołane przez zmienne oświetlenie i szybko sunące chmury, lecz gdy sonik zbliżył się do północnej wieży, Harman uświadomił sobie, że widzi tysiące wojniksów – może wręcz dziesiątki tysięcy. Bezokie, szare i obdarzone skórzastymi garbami istoty łąziły po starożytnych ruinach i zielonym szczycie. Całe ich masy wspinały się po wieżach, przepychały się na dziurawej jezdni i – niczym wysokie na dwa metry karaluchy – biegały po zardzewiałych linach nośnych. Na lądowisku północnego pylonu, gdzie Savi wylądowała podczas poprzedniej wizyty, a sonik zamierzał usiąść i teraz, stało około dwudziestu potworów.

– Lądowanie ręczne czy automatyczne? – zapytał sonik.

– Ręczne! – zawołał Harman.

Zajaśniał wirtualny pulpit sterowniczy i mężczyzna napał na ster, by skierować sonik dalej od wieży. Do lądowania między wojniksami zabrakło ledwie kilku sekund i pięćdziesięciu stóp. Dwa stwory skoczyły już w ich stronę. Jeden zdołał dolecieć na dziesięć stóp do pojazdu, po czym oba bezdźwięcznie runęły w ponad siedemdziesięciopiętrową przepaść i zginęły na skałach. Pozostałe kilkanaście wojniksów odprowadziło sonik czujnikami podczerwieni. Kolejne dziesiątki wspinały się po chropowatych ścianach pylonu, wbijając w cement swe ostrza i zakończone haczykowatymi wypustkami dolne kończyny.

– Nie możemy tu lądować – odezwał się Harman.

Cały most, okoliczne tarasy, a nawet obie góry wydawały się ruchome. Krążyły po nich niezliczone wojniksy.

– Na tych zielonych bańkach nie widzę ani jednego – zawołał z tyłu Petyr. Ukląkł w swojej wnęce, w dłoni trzymał gotowy do strzału łuk.

Bariera pola siłowego zniknęła i owiało ich przenikliwie chłodne, wilgotne powietrze. W nozdrza uderzył ich intensywny zapach deszczu i gnijących roślin.

– Tam też nie możemy siadać – stwierdził Harman i zatoczył sonikiem koło w odległości mniej więcej stu stóp od lin nośnych. – Z zewnątrz nie będzie wejścia do środka. Musimy wracać. – Skierował pojazd na północ i zaczął zwiększać wysokość.

– Zaczekaj! – zawołała Hannah. – Stój!

Harman wyrównał lot i ustawił stery sonika tak, by kreślił w powietrzu łagodne kręgi. Na zachodzie migotały błyskawice, z nisko płożących się chmur były prosto w strzeliste góry.

– Kiedy przylecieliśmy tu dziesięć miesięcy temu, a wy z Adą i Odyseuszem polowaliście na fororaki – podjęła dziewczyna – ja zbadalam cały most. W jednej z tych sfer... na południowym pylonie... znalazłam taką salę z innymi sonikami... wiecie, taki... no, sama nie wiem. Jak brzmiało to słowo, które wysiglowaliśmy z książki w szarej okładce? Garaż?

– Nowe soniki! – Petyr niemal krzyknął.

Harman również miał ochotę wrzeszczeć z radości. Dodatkowe latające maszyny mogły zdecydować o przetrwaniu mieszkańców Dworu Ardis. Zastanowił się, dlaczego Odyseusz nie wspomniał im o tych pojazdach, kiedy kilka miesięcy temu wrócił z samotnej wyprawy na most. Przywiózł wtedy karabiny i amunicję...

– Tak... ale to nie były... całe soniki – wyjaśniła pośpiesznie Hannah. – Widziałam tylko ich elementy. Kadłuby, części zamienne.

Harman pokręcił głową. Radość uszła z niego niczym powietrze z balonika.

– A jaki te części mają związek z... – zaczął.

– Miałam wrażenie, że one mogły tam wlatywać – przerwała mu Hannah.

Harman poprowadził sonik nieopodal południowej wieży, zachowując przy tym bezpieczny dystans. Na pylonach naliczyli około setki wojniksów, ale na dziesiątkach zielonych kul, klejących się do konstrukcji całymi gronami, nie było widać ani jednego potwora.

– Tu nie ma żadnego otworu – krzyknął Harman przez ramię. – A tych baniek jest tak wiele... Raczej nie uda ci się przypomnieć, którą wtedy odwiedziłaś. Nie z pokładu.

Zielone szkło, z którego zbudowano mieszkalne sfery, od środka było przezroczyste i zupełnie bezbarwne, z zewnątrz jednak wydawało się kompletnie matowe.

Strzelił piorun. Deszcz zmoczył głowy pasażerów i po chwili ponownie osłoniło ich pole siłowe. Wojniksy stojące na wierzchołkach pylonów oraz setki innych, oblażących pionowe ściany, czujnie śledziły krążącego wokół mostu sonika.

– Na pewno sobie przypomnę – odparła Hannah ze swojej wnęki. Dziewczyna również klęczała. Tuliła do siebie dłoń nieprzytomnego Odyseusza. – Pamięć wzrokowa rzadko mnie zawodzi... Wystarczy, że odtworzę swoją trasę z tamtego popołudnia, przypomnę sobie jakie widoki wtedy widziałam... Żaden problem.

Rozejrzała się dokoła i przymknęła oczy.

– Tam! – oznajmiła po chwili, wskazując zieloną bańkę zawieszoną mniej więcej sześćdziesiąt stóp od południowej wieży, w dwóch trzecich wysokości pomarańczowordzawego monolitu.

Sfera zupełnie niczym nie różniła się od setek takich samych zielonych kul na pylonie.

Harman sprowadził sonik niżej.

– Nie mamy jak wlecieć – stwierdził, obracając wirtualny wolant. Zawisli w powietrzu około siedemdziesięciu pięciu stóp od zielonej ściany. – Poza tym wtedy z Savi wylądowaliśmy na północnym pylonie.

– Ale ja nadal myślę, że oni do tego... garażu wlatywali. To byłoby zupełnie sensowne – zastanowiła się Hannah. – Poza tym podłoga była tam zupełnie płaska i wykonana z innej substancji niż w większości tych kul.

– Powiedzieliście mi kiedyś, że według Savi było tutaj muzeum – odezwał się Petyr. – Wysigłowałem, co to słowo oznacza. Zapewne wnosili tam soniki w częściach. Element za elementem.

Hannah pokręciła głową. Harman nie po raz pierwszy pomyślał, że młoda urocza dziewczyna bywa niekiedy strasznie uparta. Zwłaszcza gdy jest przekonana o swojej słuszności.

– Chciałabym obejrzeć tę bańkę z bliska – powiedziała.

– Ale wojniksy... – zaczął Harman.

– Na kulach ich nie ma, więc musiałyby skakać z wieży – przypomniała Hannah. – Nie dosięgną nas, nawet gdybyśmy podlecieli do samej ściany.

– Przecież w jednej chwili wdrapią się na to zielone szkło... – zauważył Petyr.

– Nie wydaje mi się – odparła dziewczyna. – Zauważ, że z jakiegoś powodu jeszcze go nie oblaży. Coś je powstrzymuje.

– To bez sensu – mruknął chłopak.

– Może jednak nie? – podjął Harman i opowiedział towarzyszom o pełzaczu, którym wraz z Savi i Daemanem przemierzali dziesięć miesięcy temu Basen Śródziemny. – Kabina tej maszyny była wykonana z bardzo podobnego szkła – ciągnął. – Z zewnątrz nieprzejrzysta, a od wewnątrz wszystko było widać doskonale. Najważniejsze jednak, że do tamtego szkła nic nie przywierało. Nawet krople deszczu. Wojniksy się z niego ześlizgiwały. Savi tłumaczyła, że takie szkło jest chronione cienką warstwą pola siłowego, które likwiduje tarcie na powierzchni. Nie jestem tylko pewien, czy to naprawdę był

identyczny materiał.

– Podlećmy tam. – Hannah nie rezygnowała.

Kiedy znaleźli się dwadzieścia stóp od bańki, Harman zauważył wejście. Nie odcinało się od tła wyraźnie, i gdyby nie odwiedził wyspy Prospera, gdzie widział identycznie skonstruowaną śluzę do orbitalnego miasta i drzwi Konserwatorni, nie zwróciłby na nie uwagi. Ledwie widoczny prostokąt na obłej ścianie bańki jaśniał na nieznacznie ciemniejszym zielonym tle. Natychmiast wyjaśnił towarzyszom, że tego rodzaju „drzwi” Savi nazywała „półprzepuszczalnymi membranami”.

– A jeśli to nie żadna membrana? – mruknął Petyr. – Przecież to może być jakieś złudzenie optyczne.

– Wtedy czeka nas katastrofa. – Harman pchnął ster i sonik skoczył naprzód.

* * *

– Jeżeli go tam złożycie, umrze – rozległ się głos z ciemności. Zaraz potem Ariel stanął w pełnym świetle.

Półprzepuszczalna membrana cząsteczkowa okazała się dostatecznie przepuszczalna. Prostokątna błona zwarła się za rufą sonika. Harman posadził pojazd na stalowym pokładzie pośród części zamiennych wymontowanych z innych soników. Nie zwlekając, ułożyli we troje Odyseusza-Nikogo na noszach i wyszli z garażu. Hannah niosła kochankę, trzymając za przednie uchwyty, Harman szedł z tyłu. Petyr wziął na siebie obowiązki eskorty. Już po chwili znaleźli się w zielonym labiryncie. Przemierzali kolejne korytarze, wchodzili i schodzili po nie działających schodach ruchomych, przez cały czas kierując się do kuli, gdzie czekały kryształowe trumny, w których według Savi ona i Odyseusz spędzali długie okresy kriogenicznego snu.

Już po kilku minutach wędrówki Harman poczuł głęboki podziw nie tylko wobec pamięci Hanny – dziewczyna ani razu nie zawahała się na rozstajach – lecz również jej siły fizycznej. Nie dostała nawet zadyszki, a on tymczasem marzył już o postoju. Odyseusz-Nikt nie był co prawda wysoki, lecz diabelnie ciężki. Harman przyłapał się na częstym zerkaniu na pierś Greka. Upewniał się czy ranny żyje. Żył... choć oddech miał bardzo słaby.

Kiedy znaleźli się w głównym korytarzu, oplatającym spiralnie pylon, przystanęli z wahaniem. Petyr podniósł łuk i naciągnął cięciwę.

Ze stalowej konstrukcji mostu zwisały dziesiątki wojniksów. Wydawało się, że obserwują ich swymi bezokimi skórzastymi wypustkami.

– Spokojnie, one nas nie widzą – odezwała się Hanna. – Z zewnątrz bańka jest przecież nieprzezroczysta.

– Mnie się wydaje, że jednak widzą – nie zgodził się Harman. – Savi mówiła, że czujniki w kapturach pozwalają im obserwować otoczenie w podczerwieni... To taki specyficzny rodzaj światła, które właściwie jest bardziej ciepłem. Nasze oczy go nie wychwytyją... Dlatego coś mi mówi, że właśnie nam się przyglądają, nawet przez tę matową ścianę.

Ruszyli dalej krętym korytarzem. Po około trzydziestu krokach zauważyli, że wojniksy odwróciły się w ślad za nimi. W pewnym momencie, zupełnie bez uprzedzenia,

szóstka stworów rzuciła się na szklaną ścianę.

Petyr poderwał łuk. Harman był pewien, że wojniksy przebiją szybę i wpadną do środka, lecz rozległo się tylko kilka ledwie słyszalnych stuknięć i potwory zsunęły się po milimetrowej grubości polu siłowym. Runęły w otchłań pod mostem. W tej części korytarza podłoga była zupełnie przezroczysta. Było to nieco niepokojące doświadczenie, lecz Harman i Hannah widzieli taką posadzkę już wcześniej i zdawali sobie sprawę, że materiał wytrzyma. Petyr natomiast raz po raz spoglądał pod nogi, bał się, że lada chwila spadnie.

Przeszli przez największą z sal – tą, którą Savi nazwała muzeum – i znaleźli się w jajowatej bańce z kryształowymi trumnami. Tutaj szklane ściany były również od wewnątrz matowe i intensywnie zielone. Harman przypomniał sobie swoją wycieczkę do Bruzdy Atlantyckiej – czy naprawdę od tamtej pory minęło zaledwie półtora roku? – której dnem przeszedł wiele mil, otoczony strzelającymi po bokach ścianami wody, za którymi widział pływające mu nad głową wielkie ryby. Tam światło było podobnie zielonkawe i przyćmione.

Hannah złożyła nosze na ziemi. Harman z ulgą zrobił to samo. Dziewczyna rozejrzała się.

– Którą kapsułę wybierzemy?

W podłużnej sali stało osiem trumien, wszystkie puste. Połyskiwały słabo w półmroku. Do każdego sarkofagu były podłączone wysokie maszyny, z których dobywało się nikłe buczenie. Na metalowych pokrywach migały zielone, czerwone i bursztynowe wirtualne lampki.

– Nie mam pojęcia – przyznał Harman.

Savi opowiadała mu i Daemanowi, że w jednej z tych trumien całe stulecia przespała, lecz od tamtego czasu – rozmawiali o tym w Basenie Śródziemnym – minęło z górą dziesięć miesięcy. Nie pamiętał szczegółów. Niewykluczone zresztą, że o żadnym nie było mowy.

– Spróbujmy po prostu włożyć go do najbliższej – zdecydował.

Chwycił Odyseusza pod pachy, poczekał, aż Hanna z Petyrem również chwycą rannego wygodnie, po czym ponieśli go w stronę sarkofagu stojącego nieopodal krętej klatki schodowej, która, jak pamiętał Harman, wiodła w górę, do następnej bańki.

– Jeżeli go tam złożycie, umrze – z cienia rozległ się cichy bezpłciowy głos.

Czym prędzej odnieśli Odyseusza z powrotem na nosze. Petyr przygotował łuk do strzału. Harman i Hannah złożyli dłonie na rękojeściach mieczy. Ktoś wyszedł zza szaf z aparatami monitorującymi kryształowe trumny.

Harman natychmiast zrozumiał, że mają przed sobą Ariela, o którym opowiadali Savi i Prospero. Nie miał tylko pojęcia, skąd to wie. Istota była niska – mierzyła sobie ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu – i nie do końca przypominała człowieka. Ariel miał (a może miała?) zielonkawobiałą cerę, która z pewnością nie była ludzką skórą. Przez jej przezroczystą warstwę Harman wyraźnie widział wnętrze, gdzie w bursztynowym płynie unosiły się migocące światełka. Idealne i całkowicie androgyniczne rysy istoty skojarzyły się Harmanowi z ilustracjami przedstawiającymi anioły, które wysiğlował z najstarszych ksiązek, jakie znalazł w bibliotece Ardis. Ariel miał długie i smukłe ręce zakończone

dłońmi, które można by nazwać ludzkimi, gdyby nie długość i wdzięczny kształt palców. Na stopach nosił – tak to przynajmniej wyglądało – zielone pantofle. W pierwszej chwili Harmanowi wydało się, że Ariel jest ubrany. Może jednak nie tyle tradycyjnie odziany, co przesłonięty splątaną siatką pnączy zszytych razem w ciasny kombinezon. Po chwili jednak zrozumiał, że ten deseń znajduje się w samej skórze przybysza, nie na niej. Płci Ariela nie zdradzało nic.

Oblicze istoty niewiele odbiegało od ludzkiego – długi i cienki nos, pełne wargi uniesione w nieznacznym uśmiechu, czarne oczy, włosy spływające na ramiona zielono-białymi puklami – niemniej, patrząc przez przezroczystą skórę na błyskające wewnątrz punkciki światła, traciło się wszelkie poczucie obcowania z człowiekiem.

– Jesteś Ariel – powiedział Harman, i nie było to pytanie.

Istota twierdząco skłoniła głowę.

– Jak rozumiem, to Savi ci o mnie opowiedziała – odparł on lub ona irytująco cichym głosem.

– Owszem. Spodziewałem się jednak, że będziesz... niematerialny. Jak projekcja Prospera.

– Hologram – uściślił Ariel. – Nie. Prospero może oblec się w ciało w dowolnym momencie, lecz rzadko sprawia mu to przyjemność. Ja natomiast, przeciwnie. Od bardzo dawna i przez wielu zwany jestem duchem bądź zjawą, lecz pokochałem swoją cielesność.

– Dlaczego ta kapsuła miałaaby zabić Odyseusza? – zapytała Hannah. Klęczała przy nieprzytomnym kochanku, próbując wyczuć jego puls.

Harman miał nieodparte wrażenie, że Nikt już nie żyje.

Ariel zbliżył się do wędrowców. Harman zerknął na Petyra, który jak urzeczony przyglądał się przejrzystej skórze istoty. Łuk zdążył już opuścić, lecz w jego oszołomionym spojrzeniu nadal majaczył cień podejrzliwości.

– W takich właśnie kapsułach kładła się na spoczynek Savi – powiedział Ariel, wskazując kryształowe sarkofagi. – To prawda, że w ich wnętrzu wszelka aktywność organizmu zostaje zawieszona lub spowolniona. Człowiek przypomina w niej zamkniętego w bursztynie owada lub złożone na lód zwłoki, lecz te leżą nie leczą ran. Odyseusz jednak od wieków przechowuje tu swą arkę czasu, której możliwości wymykają się memu pojmowaniu.

– Kim ty właściwie jesteś? – Dziewczyna wstała na równe nogi. – Harman powiedział nam kiedyś, że Ariel jest wcieleniem samoświadomej biosfery, ale ja wciąż nie rozumiem, co to właściwie znaczy.

– Nikt tego nie rozumie – odparł Ariel z osobliwym gestem. Na poły się uklonił, na poły dygnął. – Zechcecie może podążyć za mną ku arce Odyseusza?

Poprowadził ich ku spiralnym, przechodzącym przez sufit schodom, lecz zamiast na nie wejść, przycisnął w pewnym miejscu posadzkę dłonią i otworzył ukrytą klapę, ukazując schody wiodące na dół. Stopnie były wystarczająco szerokie, by zmieściły się na nich nosze, ale znoszenie ciężkiego Odyseusza i tak stanowiło nie lada wyzwanie. Petyr poszedł przodem z Hanną i pilnował, by Grek nie zsunął się na schody.

Kolejnym zielonym korytarzem dotarli do niezbyt przestronnego pomieszczenia.

Światła było tutaj jeszcze mniej niż w sali z sarkofagami. Harman drgnął, uświadomiwszy sobie, że nie znajdują się już w szklanych bańkach, lecz we wnętrzu samej betonowo-stalowej konstrukcji pylonu. Na środku pokoju stała samotna kapsuła, niemal pod każdym względem różna od kryształowych skrzyń na górze. Urządzenie było większe, cięższe i czarne – wyglądało jak onyksowa trumna. W pokrywie otwierało się pojedyncze okienko, dokładnie nad miejscem, w którym znalazłaby się twarz lokatora. Niezliczone przewody, kable, rurki i węże łączyły sarkofag z jeszcze większą, również czarną maszyną, pozbawioną jakichkolwiek przełączników czy zegarów. Powietrze przenikała wyrazista woń, kojarząca się z zapachem wiatru tuż przed gwałtowną burzą.

Ariel wcisnął wbudowaną w ścianę arki płytkę. Rozległ się syk powietrza i pokrywa stanęła otworem. Ułożone wewnątrz poduszki były wystrzępione i spłowiałe, wciąż widniał na nich odcisk ludzkiego ciała, mniej więcej rozmiarów Nikogo.

Harman spojrzał na Hannę. Wahali się tylko przez moment. Włożyli Odyseusza do środka.

Ariel podniósł rękę, jakby chciał zamknąć arkę, lecz zanim zdążył to zrobić, dziewczyna pochyliła się nad leżącym kochankiem i pocałowała go w usta. Dopiero wtedy wyprostowała się i cofnęła, pozwalając Arielowi zasunąć wieko. Sarkofag zamknął się ze złowieszczym sykiem.

Pomiędzy arką i czarnym urządzeniem zmaterializowała się bursztynowa kula.

– Co teraz? – spytała Hannah. – Czy on z tego wyjdzie?

Ariel wdzięcznie wzruszył smukłymi ramionami.

– Ariel jest ostatnią z żywych istot, która potrafiłaby przeniknąć serce prostej maszyny. Wie jednak, że ta machina zdecyduje o losie zamkniętego wewnątrz człowieka w ciągu trzech obrotów naszego świata. Chodźmy, czas iść. Wkrótce powietrze zgęstnieje tu za bardzo, byśmy nim mogli oddychać. Wróćmy na górę, ku światłu, i tam porozmawiamy w bardziej cywilizowanych warunkach.

– Nie zostawię Odyseusza – stwierdziła Hannah. – Skoro o tym, czy wydobrzeje, czy nie, dowiemy się najdalej za siedemdziesiąt dwie godziny, zaczekam.

– Nie możesz tu zostać – rzucił poirytowany Petyr. – Musimy jeszcze poszukać broni i jak najszybciej wrócić do Ardis.

Temperatura w dusznym pomieszczeniu zaczęła szybko rosnać. Harman poczuł spływającą mu po piersi stróżkę potu. Woń burzowego powietrza nasilała się z każdą chwilą. Hannah cofnęła się pod ścianę i zaplotła ramiona na piersi. Nie miała zamiaru odejść od kapsuły.

– Umrzesz, jeśli wciąż będziesz chłodzić własnym tchnieniem to cuchnące powietrze – odezwał się Ariel. – Jeżeli jednak twym życzeniem jest baczyć na życie lub śmierć umiłowanego, zbliż się do mnie.

Hannah podeszła do jaśniejącego nieznacznie w półmroku Ariela. Była od niego wyraźnie wyższa.

– Podaj mi rękę, moje dziecko – polecił.

Dziewczyna niepewnie wyciągnęła dłoń. Ariel ją ujął, przyciągnął do swojej piersi i wcisnął pod zieloną skórę. Hannah jęknęła i próbowała się uwolnić, lecz on okazał się silniejszy.

Zanim Harman i Petyr zdążyli zareagować, ręka dziewczyny znalazła się z powrotem na zewnątrz. Zdjęta grozą Hannah wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w zielonozłotą grudę, która została jej w dłoni. Na oczach trójki ludzi wyrwany z ciała Ariela narząd roztopił się i wsiąkł bez reszty w jej skórę.

Hannah cicho pisnęła.

– Nie lękaj się, to jedynie miara – zapewnił Ariel. – Da ci znać, gdy tylko zmieni się stan twego kochanka.

– Jak to, da mi znać? – zdziwiła się dziewczyna. Jej pobladła twarz lśniła od potu.

– Da ci znać – powtórzył Ariel.

Wyszli za jaśniejącą istotą z powrotem na zielony korytarz i wspięli się po schodach.

* * *

Szli za Arielem bez słowa. Pokonali kilka szklanych wiaduktów, wchodzili po zastygłych schodach ruchomych, przemierzyli kilka kolejnych kul oblepiających spiralnie potężną linię nośną mostu. Ostatecznie zatrzymali się w bańce podwieszanej do stalowo-betonowego poprzecznego wspornika zamontowanego wysoko na południowym pylonie. Tłoczące się na zewnątrz wojniksy raz po raz rzucały się na szklaną ścianę, próbując się jej uczepić nożami i stopami. Wszystkie bez wyjątku spadały bezgłośnie w otchłań. Ariel nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi. Zaprowadził wędrowców do największej sali w kompleksie. Czekwały w niej stoły i krzesła, zobaczyli wbudowane w białe urządzenia.

– Pamiętam to miejsce – odezwał się Harman. – Jedliśmy tutaj kolację. Odyseusz upiekł fororaka, o tam, na zewnątrz... Strasznie były wtedy pioruny. Pamiętasz, Hanno?

Dziewczyna skinęła głową, lecz patrzyła gdzieś w dal. Przygryzła wargę.

– Pomyślałem, że musieliście już zgłodnieć – podjął Ariel.

– Nie mamy czasu na... – zaczął Harman, lecz przerwał mu Petyr.

– Masz rację – zwrócił się do Ariela. – Chętnie coś zjemy.

Gospodarz zaprosił ich gestem do okrągłego stołu. Podgrzał w kuchence mikrofalowej trzy porcje zupy w drewnianych talerzach. Przyniósł je do stołu i podał gościom łyżki i serwetki. Nalał zimną wodę do czterech szklanek, ustawił je na blacie i sam zajął miejsce. Harman z rezerwą spróbował zupy – okazała się pyszna, aż gęsta od świeżych warzyw. Zjadł ze smakiem. Petyr także skosztował i jadł teraz powoli, podejrzliwie zerkając na Ariela, który tymczasem wstał i stanął przy kuchennym blacie. Hannah nawet nie tknęła posiłku. Wyglądała na bez reszty pogrążoną we własnych myślach, roztopiła się w sobie, tak samo jak wcześniej narząd Ariela.

To jakiś obłąd, myślał Harman. Ta zielona... istota... kazała jednemu z nas wbić rękę we własną pierś i wyciągnąć z siebie jakiś złoty organ, a potem przychodzimy tu na talerz ciepłej zupki. Dziesięć stóp dalej wojniksy dobijają się do ścian, a wcielenie samoświadomej biosfery Ziemi zastępuje nam serwitora. Ja chyba naprawdę zwariowałem.

Zaraz potem doszedł do wniosku, że nawet jeśli faktycznie oszalał, to przynajmniej zupa jest świetna. Pomyślał o Adzie i wsunął do ust kolejną łyżkę.

– Co ty tu właściwie robisz? – Petyr przerwał milczenie. Odsunął od siebie talerz

i spojrzął przenikliwie na Ariela. Łuk wisiał tuż obok, na krześle.

– Co życzysz sobie usłyszeć? – odparł Ariel.

– Życzę sobie usłyszeć, co się tu do cholery wyprawia? – Petyr nie lubił się bawić w subtelnosci. – Kim do diabła jesteś? Czego szukają tu wojniksy i dlaczego atakują Ardis? I czym było monstrum, które Daeman zobaczył w Kraterze Paryskim? Czy jest dla nas niebezpieczne? A jeśli jest, to w jaki sposób moglibyśmy je zabić?

Na usta Ariela wypłynął uśmiech.

– Istoty waszego gatunku zawsze zaczynają od tych samych pytań... Co to jest i jak to zabić.

Petyr czekał w milczeniu. Harman odłożył łyżkę.

– Oczywiście to bardzo słuszne pytanie – podjął Ariel. – Gdybyście byli pierwszymi ludźmi, nie ostatnimi, podnieśliście wołanie „Piekło jest puste, a wszystkie diabły są tutaj!”. To jednak długa opowieść, równie długa jak dzieje umierającego Odyseusza. Trudno ją snuć nad stygnącą zupą.

– Spróbuj zacząć od swojej własnej. Powiedz kim jesteś – wtrącił Harman. – Należysz do Prospera?

– Owszem, w przeszłości. Nie byłem może zwykłym niewolnikiem czy sługą, ale usługiwałem mu.

– Dlaczego? – nacisnął Petyr.

Na zewnątrz lunął rzęsimy deszcz. Krople wody ześlizgiwały się po obłych szybach, podobnie jak skaczące na nie wojniksy. Bijące w konstrukcję mostu strugi wody powodowały wyraźny szum.

– Mag logosfery uratował mnie ze szponów przeklętej wiedźmy Sykoraks – wyjaśnił Ariel. – Służyłem jej podówczas. To właśnie ona przeniknęła głębokie kody biosfery i to ona przyzwała Setebosa, swego pana. Kiedy jednak okazałem się zbyt delikatny, by spełniać jej przyziemne, odrażające kaprysy, w przyływie niepohamowanej wściekłości przykuła mnie do rozszczepionej sosny, w której więzieniu spędziłem tuzin tuzinów lat. Wyzwolił mnie dopiero Prospero.

– Uratował cię – powiedział Harman.

– Uwolnił mnie. Po to, bym mu służył – sprostował Ariel. Kąciki jego cienkich bladych warg powędrowały lekko ku górze. – Zażądał, bym z nim został przez kolejny tuzin tuzinów lat.

– I zrobiłeś to? – zapytał Petyr.

– Tak.

– Służysz mu jeszcze i teraz? – spytał Harman.

– Obecnie nie jestem sługą ni człowieka, ni maga.

– Kaliban też służył w przeszłości Prosperowi – przypomniał Harman, starając się wyłuskać z pamięci wszystko, co usłyszał od Savi i co powiedział mu na orbitalnej wyspie holograficzny czarownik. – Znasz Kalibana?

– Owszem – przyznał Ariel. – Czarna dusza, niechętnie go widuję.

– Wiesz może, czy Kaliban wrócił na Ziemię? – Harman pożałował, że w rozmowie nie uczestniczy Daeman.

– Sam wiesz, że to prawda – odparł Ariel. – Chciałby całą planetę obrócić w swe

porośnięte gnijącą rzęsą bajoro, chce niebo zmrożone uczynić swym domem.

Zmrożone niebo, powtórzył w duchu Harman.

– Czyli Kaliban działa wspólnie z tym Setebosem? – zapytał na głos.

– Tak.

– Dlaczego zdecydowałaś się nam ukazać? – zainteresowała się Hannah. Smutek wciąż mącił spojrzenie pięknej dziewczyny, lecz podniosła wreszcie głowę i wpatrywała się teraz w Ariela.

Ariel zaśpiewał:

Gdzie ssie pszczoła, będę ssal;

W koronie pierwiosnka spał,

Gdy głos sowy będzie brzmiał;

Na gacka wskoczywszy grzbiet,

Polecę za latem het,

Wesoło, wesoło, za latem w ślad,

Tam gdzie z gałązki zwisa kwiat[3].

– Ten stwór oszalał – stwierdził Petyr.

Podniósł się gwałtownie z miejsca i podszedł do szklanej ściany, za którą widniał most. Natychmiast rzuciły się ku niemu trzy wojniksy. Odbiły się od chroniącego szybę pola siłowego i zsunęły w dół. Jeden z nich zdążył w porę wrazić swe bojowe ostrza w kawał betonu i nie spadł. Pozostała dwójka zniknęła wśród sunących poniżej chmur.

Ariel zaniósł się cichym śmiechem. Zaraz potem zaszlochał.

– Nasza wspólna Ziemia znalazła się w stanie oblężenia. Wojna dotarła aż tutaj. Savi nie żyje. Odyseusz umiera. Setebos z lubością zniszczyłby wszystko, czym jestem, skąd się wywodzę, i co zgodnie ze swą naturą ochraniam. Wy, dawni ludzie, możecie być wrogami bądź sprzymierzeńcami... Wybieram tę drugą możliwość. Wasze zdanie jest tu zupełnie nieistotne.

– Pomożesz nam pokonać wojniksy, Kalibana i Setebosa? – upewnił się Harman.

– Nie, to wy pomożecie mnie.

– W jaki sposób? – spytała Hannah.

– Wyznaczę wam zadania. Przede wszystkim, przybyliście tu w poszukiwaniu broni...

– Tak! – odpowiedzieli mu chórem.

– Tych dwoje, którzy tu zostaną, znajdzie broń w sali ukrytej u podnóża południowego pylonu, za starymi martwymi machinami liczącymi. Wypatrujcie kręgu odcinającego się od matowej ściany z zielonego szkła. Zobaczycie wpisany w ten krąg pentagram. Wystarczy, iż rzekniecie „otwórz się”, i ujrzycie magazyn, w którym przebiegły Odyseusz i biedna, nieżyjąca Savi schowali swoje zabawki z Zapomnianej Ery.

– Dwoje, którzy zostaną? Czy ja dobrze usłyszałem? – rzucił Petyr.

– Jedno z trojga powinno wsiąść do sonika i polecieć z powrotem do Dworu Ardis, zanim upadnie – przypomniał Ariel. – Druga osoba powinna zostać, i jeżeli Odyseusz nie umrze, otoczyć go opieką. Jedyne bowiem on zna sekrety Sykoraks, jako że w przeszłości

dzielił z nią łożę. A żaden mężczyzna nie może się z nią kłaść i pozostać niezmienny. Trzecie z was podąży ze mną.

Wymienili się spojrzeniami. Padający deszcz i przymglony blask zaciągniętego chmurami nieba wywoływały w nich wrażenie, że znajdują się głęboko pod wodą. Pomieszczenie tonęło w chłodnym zielonym półmroku.

– Ja zostanę – oświadczyła Hannah. – I tak nie chciałam wracać. Jeżeli Odyseusz odzyska przytomność, ktoś powinien przy nim być.

– Ja polecę do Ardis – powiedział Harman. Skarcił się w duchu za tchórzostwo, lecz jednocześnie nie mógł mieć do siebie większych pretensji. Musi przecież wrócić do Ady.

– Ja pójdę z tobą, Arielu – Petyr podszedł do drobnej, delikatnej istoty.

– Nie – padła odpowiedź.

Ludzie ponownie spojrzeli po sobie. Czekali w milczeniu na wyjaśnienia.

– Nie. To Harman musi iść ze mną – oznajmił Ariel. – Przykażemy sonikowi, by zawiózł Petyra do Ardis, ale z o połowę mniejszą prędkością. Ta maszyna jest już stara i nie powinno się jej nadwierać bez naglącej potrzeby. Ze mną pójdzie Harman.

– Dlaczego akurat ja? – Nie miał zamiaru nigdzie iść. Chciał wracać do Ady. Nic innego się nie liczyło.

– Dlatego, że przeznaczone ci jest utonąć – odpowiedział Ariel – a także ponieważ od twego losu uzależnione jest życie twojej żony i dziecka. Twoim przeznaczeniem jest pójść dziś ze mną.

Ariel uniósł się nad podłogę jak w stanie nieważkości. Wzbił się i zawisł dwa metry nad stołem. Utkwił w Harmanie spojrzenie czarnych oczu i raz jeszcze zaśpiewał:

*Pięć sążni w głąb Harman na dnie,
Z oczu wyrosły korale,
A jego oczy to perły te,
Nie zginął bowiem wcale;
Podlega morskiej przemianie
W coś dziwnego niesłychanie.
Nimfy morskie biją w dzwon.
Dyn-don[4].*

– Wykluczone – rzucił Harman. – Przykro mi, ale nie mogę.

Petyr oparł strzałę na cięciwie i napiął łuk.

– Zamierzasz zapolować na ptaki? – spytał Ariel z uśmiechem. Oddalał się od nich, płynąc przez ciemnozielony mrok pokoju. Od ludzi dzieliło go dwadzieścia stóp.

– Nie... – zaczęła Hannah. Harman nie wiedział, czy zwróciła się do Petyra, czy Ariela.

– Czas w drogę – niemal zaśmiał się Ariel.

Zgasły światła. W nieprzeniknionej ciemności rozległ się cichy trzepot i szelest – jak szmer skrzydeł szybującej sowy. Harman poczuł, że coś podrywa go z posadzki z taką łatwością, z jaką jastrząb chwytą małego króliczka. Pofrunął i bezradnie wymachując ramionami runął w mrok, jaki nagle zapanował pomiędzy strzelistymi pylonami mostu

Golden Gate w Machu Picchu.

3 W. Szekspir, „Burza”, akt 5, sc. 1, tłum. M. Słomczyński.

4 W. Szekspir, „Burza”, akt 1, sc. 2, przeł. M. Słomczyński. W oryginale „Harmana” zastępuje „twój ojciec”.

Pierwszy dzień po starcie z Phobosa.

„Królowa Mab” – długi na tysiąc stóp morawiecki statek kosmiczny o napędzie atomowym – opuszcza pole grawitacyjne Marsa, popychany od rufy serią olśniewających eksplozji.

Na Fobosie prędkość ucieczki wynosi ledwie 10 centymetrów na sekundę, lecz „Królowa Mab” błyskawicznie rozpędza się do 20 kilometrów na sekundę, aby rozpocząć proces uwalniania się spod władzy grawitacji Czerwonej Planety. Już przy tej prędkości kolos mógłby odbyć swój rejs na Ziemię, lecz zanadto mu się śpieszy. „Królowa” zamierza przyspieszać, dopóki jej ważący trzydzieści osiem tysięcy ton korpus nie pomknie przez pustkę z prędkością 700 kilometrów na sekundę. W ładowni starannie naoliwione łańcuchy, zębaki i rynny kierują małe jak puszcza coli ładunki jądrowe o mocy czterdziestu pięciu kiloton do wyrzutni prowadzącej pociski przez sam środek zamontowanej na rufie płyty napędowej.

Na tym etapie podróży kolejne bomby eksplodują co dwadzieścia pięć sekund. Wybuchają sześćset metrów za „Królową Mab”. Po wystrzeleniu każdej puszczy wylot lufy wyrzutni jest spryskiwany antyablacyjnym olejem, którego warstwa pokrywa również powierzchnię płyty. Ciężka płyta cofa się raz po raz, pchana energią wybuchów, zatrzymuje na długich na trzydzieści trzy metry amortyzatorach, po czym potężne tłoki wprowadzają ją z powrotem na miejsce, gdzie czeka na kolejną falę plazmy. Po niedługim czasie rozpędzona eksplozjami „Królowa” sunie ku Ziemi ze spokojnym i przyjemnym przyspieszeniem 1,28 g. Morawce, rzecz jasna, zniosłyby krótkotrwałe przeciążenia wynoszące nawet tysiąc razy więcej, lecz na pokładzie podróżuje z nimi człowiek – podstępnie zwabiony Odyseusz – i podjęły jednomyślną decyzję, że nie zamienią go w czerwoną plamę na ścianie.

Na poziomie maszynowni Orphu z Io oraz towarzyszący mu inni morawieccy technicy obserwują ciśnienie pary i poziomy oleju, monitorują wskaźniki napięcia i temperatury chłodziwa. Statek, w sąsiedztwie którego co pół minuty dochodzi do eksplozji jądrowej, musi wykorzystywać pokaźne ilości smarów, więc dziesięć ostatnich pokładów jest wypełnionych zbiornikami oleju, z których każdy dorównuje rozmiarami niewielkiemu tankowcowi z Zapomnianej Ery. Mimo to maszynownia ze swym gąszczem rur, zaworów, zegarów, miarowo pracujących tłoków i wielkich manometrów wszystkim zainteresowanym nadal przywodzi na myśl parowiec z początku dwudziestego stulecia.

Nawet przy tym łagodnym 1,28 g „Królowa Mab” będzie przyspieszać odpowiednio długo – a potem stosownie szybko wyhamuje – tak że w okolicach Ziemi i Księżyca znajdzie się już za nieco ponad trzydzieści trzy dni standardowe.

Ten pierwszy dzień Mahnmur poświęca na przejrzenie wszystkich układów „Mrocznej damy”. Batyskaf, delikatnie umieszczony i zabezpieczony w jednej z ładowni „Królowej”, został następnie podwieszony do skrzydlatego promu atmosferycznego,

który ma za miesiąc przetransportować go na powierzchnię Błękitnej Planety. Mahnmut upewnia się, że system sterowania i wskaźniki nowych instrumentów działają jak należy. Z pracującym kilkanaście pokładów dalej Orphu gawędzą na prywatnym kanale radiowym. Dzięki kamerom i radarom statku oglądają malejący w oddali Mars. Sprzęt optyczny na rufie został zaopatrzone w wyrafinowane filtry cyfrowe, pozwalające na obserwacje mimo nieustannych wybuchów jednostek impulsowych... czyli bomb atomowych. Orphu, pozbawiony wzroku w zakresie światła widzialnego, „widzi” planetę w paśmie fal radaru.

– Dziwnie się czuję. Odlatujemy z Marsa, a przecież zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby tu przylecieć – zagaja Mahnmut.

– Rzeczywiście – odpowiada Orphu z Io. – Tym dziwniej, że teraz Olimpijczycy biorą się za łby we własnym gronie.

Próżniowy morawiec ilustruje te słowa, powiększając oglądany przez Mahnmuta obraz Marsa. Pokazuje zbliżenie lodowatych stoków i zielonego wierzchołka Olympus Mons. Orphu z Io ogląda tamtejszy zamęt pod postacią kolumn danych z czujników podczerwieni, za to Mahnmut widzi wszystko wyraźnie. Miejscami błyskają oślepiające wybuchy, a z kaldery – ledwie dobowo wcześniej zalanej jeszcze wodami jeziora – bije żółto-czerwony blask lawy.

– Asteague/Che, Sinopessen Wsteczny, Cho Li, generał Beh bin Adi i pozostali naczelnicy integratorzy sprawiali wrażenie mocno wystraszonych – podejmuje Mahnmut, sprawdzając układy zasilające „Damy”. – A kiedy zaczęli tłumaczyć Hockenberry’emu, dlaczego na Marsie panuje niewłaściwa grawitacja, że ktoś lub coś ją zmieniło, by upodobnić do ziemskiej, przestraszyłem się i ja.

To pierwszy raz od startu „Królowej Mab”, kiedy znaleźli czas na spokojną rozmowę, i Mahnmut korzysta z chwili, by przyznać się do własnych obaw.

– A to jeszcze nawet nie wierzchołek tej *merde* góry lodowej – odpowiada Orphu.

– To znaczy? – organiczne narządy Mahnmuta mrozi nagły dreszcz.

– Właśnie – dudni Orphu. – Czyżbyś był tak zajęty fruwaniami po Marsie i Ilionie, że nie słyszałeś, jakie są ustalenia prac Komitetu Naczelnych Integratorów?

– Mów.

– Nie chciałbym cię zasmucać, przyjacielu.

– Zamknij się i mów. W sensie... No wiesz... Opowiadaj.

Orphu wzdycha, co przez radio brzmi dość osobliwie; taki sam dźwięk mógłby się rozleć, gdyby „Królowa Mab” uległa naglej dekompresji.

– Przede wszystkim terraformowanie.

– Co w związku z nim? – Przez długie tygodnie, które spędzili, podróżując na Marsie batyskafem, feluką i balonem, Mahnmut przywykł do błękitu nieba i mórz, do porostów, drzew i obfitości powietrza.

– To, że jeszcze sto dwadzieścia pięć lat temu na Marsie nie było wody, życia ani atmosfery – tłumaczy Orphu.

– Wiem. Asteague/Che tłumaczył to podczas pierwszego spotkania naszej grupy na Europie. Wtedy, prawie rok temu, wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek w tak krótkim czasie zdołał terraformować Marsa. Co z tego wynika?

– Wynika, że to naprawdę niemożliwe – mówi Orphu z Io. – Podczas gdy ucinałeś sobie pogawędkę z Grekami i Trojanami, nasi morawieccy naukowcy, specjaliści z Pięciu Księżyców i Pasa, przeprowadzili szczegółowe badania zmian na Marsie. Widzisz, nie terraformowano go za pomocą czarów... Kierowane uderzenia asteroid pozwoliły roztopić czapy biegunowe i uwolnić dwutlenek węgla. W podobny sposób dobrano się do olbrzymich podziemnych zasobów wody, która wypłynęła na powierzchnię po raz pierwszy od milionów lat. Porosty, glony i dżdżownice przygotowały glebę do pojawienia się bardziej rozwiniętych roślin, ale to nastąpiło, dopiero gdy atmosfera Marsa zgęstniała dziesięciokrotnie wskutek działania generującej tlen i azot roślinności niższego rzędu.

Siedzący w sterówce batyskafu Mahnmut odrywa dłoń od ekranu komputera. Odłącza się od wirtualnych złączy i pozwala wygasnąć schematom układów „Damy” i promu atmosferycznego.

– To znaczy...? – nagabuje przyjaciela z wahaniem.

– To znaczy, że doprowadzenie Marsa do obecnego stanu zajęło prawie osiem tysięcy standardowych lat.

– Ale... przecież... – Mahnmut duka przez radio. Nie jest w stanie sformułować sensownego zdania.

Asteague/Che pokazywał im wykonane przez teleskopy zdjęcia dawnego Marsa. Planety pozbawionej powietrza, zimnej, martwej. Wykonano je z okolic Jowisza i Saturna niecałe sto pięćdziesiąt lat temu. Same morawce zostały wysłane przez ludzi na zewnętrzne rubieże Układu Słonecznego mniej niż trzy tysiące lat wcześniej. Wówczas Mars z całą pewnością nie był jeszcze terraformowany. Na Fobosie i samej planecie istniały już co prawda chińskie, kryte kopułami kolonie, lecz poza nimi powierzchnia wyglądała jak na pierwszych zdjęciach z dwudziestego czy dwudziestego pierwszego wieku.

– No... przecież – powtarza Mahnmut.

– Uwielbiam momenty, kiedy zapominasz języka w gębie – mówi Orphu, lecz tym razem nie zanosí się tym swoim charakterystycznym dudnieniem, oznaczającym, że jest mu bardzo do śmiechu.

– Z tego, co powiedziałaś, wynika, że mamy do czynienia z magią lub prawdziwymi bogami... takimi naprawdę boskimi... bądź...

– Bądź?

– Że to nie jest prawdziwy Mars.

– Właśnie – potakuje Orphu. – Chociaż lepiej byłoby powiedzieć, że to jest prawdziwy Mars, tyle że nie nasz. Nie ten Mars, który od dobrych kilku miliardów lat stanowił część Układu Słonecznego.

– Czyli ktoś... coś... podmieniło nam Marsa?

– Na to wygląda – nadaje Orphu. – Naczelní integratorzy i ich najlepsi naukowcy również nie chcieli dać temu wiary, ale tylko w ten sposób można wyjaśnić fakty. Ostatecznie rozstrzygnęła sprawa dnia solarnege.

Mahnmut spostrzega, że trzęsą mu się dłonie. Splata je ze sobą, wyłącza wzrok, wygasza wszystkie transmisje wideo i próbuje się skupić.

– Sprawa dnia solarnege? – powtarza niepewnie.

– Szczególik, niemniej istotny – odpowiada mu Orphu. – Czy zauważyłeś może podczas swoich wędrówek przez Dziurę pomiędzy Marsem i ziemskim Ilionem, że dzień na obu tych planetach miał jednakową długość?

– W zasadzie fakt, ale... – Mahnmut milknie.

Nie musi nawet sięgać do swych nieorganicznych banków pamięci, by przypomnieć sobie, że Ziemia obraca się wokół własnej osi raz na dwadzieścia trzy godziny i pięćdziesiąt sześć minut. Marsowi taki manewr zajmuje dwadzieścia cztery godziny i trzydzieści siedem minut. Różnica niewielka, lecz nawet taka musiałaby się w miarę upływu czasu skumulować i stać zauważalna, tym bardziej że na Marsie i Ziemi, na której Grecy oblegali Troję, spędzili przecież kilka miesięcy. Nic podobnego jednak nie nastąpiło. Dni i noce na obu planetach następowały po sobie w równym, zsynchronizowanym rytmie.

– Jezu Chryste... – szepce Mahnmut przez radio. – Jezu Chryste...

– Niewykluczone, że to rzeczywiście jego robota – przyznaje Orphu i tym razem słowom wtóruje znajomy dudniący chichot. – Jego lub jakiejś innej istoty z porównywalnie boską mocą.

– Coś lub ktoś z Ziemi stworzył dziury w wielowymiarowej przestrzeni Calabiego-Yau, połączył brany równoległych wszechświatów, podmienił naszego Marsa, po czym pozostawił kwantowe portale łączące Marsa... tego terraformowanego, zamieszkanego przez olimpijskie bóstwa, z Ziemią czasów wojny trojańskiej. A przy okazji zmienił też grawitację i prędkość obrotu planety. Jezus, Maria, Józefie święty! Kurde bele!

– Właśnie – odzywa się Orphu. – Naczelnicy Integratorzy sądzą, że odpowiedzialni za te psikusy żartownisie przebywają teraz na Ziemi bądź na jej orbicie. Nadal cieszyć się myślą o naszej wycieczce?

– Ja... No... Gdybym... Wiesz... – Mahnmut po chwili urywa.

Czy zgłosiłby się na ochotnika do tej misji, gdyby z góry o wszystkim wiedział? Przecież w końcu już wcześniej zdawał sobie sprawę z groźących mu niebezpieczeństw, wiedział o nich od pierwszej odprawy na Europie, kiedy wysłuchał planu lotu na Marsa. Kimkolwiek okazały się istoty, o których mówił Orphu – zaawansowanymi w ewolucji postludźmi bądź istotami przybyłymi z jakiegoś równoległego wszechświata czy wymiaru – dobitnie dowiodły, że kontrolują samą kwantową tkankę rzeczywistości i są w stanie nią manipulować. Czym w porównaniu z taką mocą była podmiana dwóch planet i zmiana prędkości obrotu i natężenia pola grawitacyjnego? I co, do diabła, w zasadzie robi on sam na pokładzie „Królowej Mab”, statku kosmicznego pędzącego ku Ziemi i czekającym na niej potwornym bogom ze stale rosnącą prędkością 180 kilometrów na sekundę? W starciu z nieznanym przeciwnikiem, potrafiącym kontrolować kwantową strukturę wszechświata – ba, wszystkich wszechświatów – żalosne systemy bojowe „Królowej” i tysiąc śpiących skałowieckich wojaków musiały się okazać nic nieznaczącymi igraszkami.

– Powiedzmy, że od tej chwili spoglądam na sytuację nieco bardziej realistycznie – odzywa się wreszcie do przyjaciela.

– Amen – nadaje Orphu.

Nagle na wszystkich pokładach statku rozbrzmiewają alarmowe dzwony, migocą

ostrzegawcze światła, na wszystkie kanały łączności nakłada się wycie syren.

– Intruz! Intruz! – woła statek.

– To jakiś dowcip? – pyta zdumiony Mahnmut.

– Nie – odpowiada Orphu. – Przed momentem w maszynowni... pojawił się... twój przyjaciel. Hockenberry. Musiał się do nas teleportować.

– Cały i zdrowy?

– Nie. Obficie krwawi... Zalał tu już prawie cały pokład. Moim zdaniem już po nim, Mahnmut. Podniosłem go manipulatorami i niosę do szpitala dla ludzi tak szybko, jak tylko pozwalają mi kończyny.

„Królowa Mab” jest wielka i panuje na niej ciśnienie silniejsze niż we wszystkich środowiskach, w jakich Mahnmutowi przyszło dotąd działać. Dopiero po kilku minutach zdołał się wydostać z batyskafu, opuścić ładownię i ruszyć w górę, w stronę pokładów, które ochrzcił w myślach „ludzkimi”. Poza kajutami, kambuzem, toaletami i leżankami antyprzeciążeniowymi mogącymi obsłużyć pięćset osób; poza przystosowaną do ludzkich potrzeb tlenowo-azotową atmosferą i ciśnieniem równym panującemu na poziomie ziemskiego morza, na pokładzie 17 działa także szpital wyposażony w najnowocześniejszą aparaturę diagnostyczną i sprzęt chirurgiczny z dwudziestego drugiego stulecia – owszem, wiekowy, lecz powstały na podstawie najnowszych schematów, jakie udało się wyszperać w archiwach Konsorcjum Pięciu Księżyców.

Przez cały pierwszy dzień lotu z Fobosa jedynym lokatorem poziomu 17 był Odyseusz – przymusowy i wściekły jak osa pasażer „Królowej”. Gdy jednak Mahnmut dociera na miejsce, zastaje tam większość morawieckiej załogi. W korytarzu tłoczą się Orphu, naczelny integrator z Ganimesesa Suma IV, Cho Li z Callisto, skałowiecki generał Beh bin Adi i dwóch nawigatorów z mostka. Prowadzące na salę operacyjną drzwi są zamknięte, lecz Mahnmut dostrzega za szybą naczelnego integratora Asteague/Che, który obserwuje uwijającego się jak w ukropie nad zakrwawionym ciałem Hockenberry’ego Sinopessena Wstecznego z Amaltei. Dwaj mniejsi technicy wykonują jego polecenia. Operują laserowymi skalpelami i piłami, podłączają przewody, podają kawałki gazy i obsługują wirtualne ekrany. Niewielki stalowy korpus Sinopessena jest poplamiony krwią, która pokrywa również jego zgrabne, srebrzyste manipulatory.

To ludzka krew, przemyka Mahnmutowi przez myśl. Krew Hockenberry’ego. Czerwone krople zbryzgały też posadzkę korytarza oraz podniszczoną skorupę i grube kończyny Orphu z Io.

– Jak się trzyma? – Mahnmut zwraca się do przyjaciela. Odezwał się na głos. Wśród morawców prywatne rozmowy przez radio w towarzystwie uważano za przejaw braku kultury.

– Zmarł, zanim go tutaj przyniosłem – odpowiada większy morawiec. – Właśnie starają się go wskrzesić.

– Czy integrator Sinopessen studiował ludzką anatomię i medycynę?

– Od dawna interesował się rozwojem tej gałęzi wiedzy w czasach Zapomnianej Ery – tłumaczy Orphu. – To jego hobby, podobnie jak twoim są sonety Szekspira, a moim krytyczne czytanie Prousta.

Mahnmut kiwa głową. Większość jego znajomych morawców z Europy również

pasjonowała się ludzkością i historią dawnej ziemskiej sztuki bądź rozwojem nauki. Zainteresowanie to zostało zaprogramowane już pierwszym autonomicznym robotom i cyborgom wysyłanym do Pasa Asteroid i na skraj Układu Słonecznego. Morawce, będące ich ewolucyjnymi potomkami, nie zapomniały o fascynacjach przodków. Tylko czy Sinopessen poznał ludzką medycynę na tyle dobrze, by udało mu się wskrzesić Hockenberry'ego?

Na korytarzu otwierają się drzwi i ze swojej kajuty wychodzi Odyseusz. Barczysty mężczyzna zatrzymuje się na widok blokujących przejście morawców i odruchowo sięga do miecza. Jego ręka zawisa jednak nad pustą pętlą, ponieważ morawce rozbroiły nieprzytomnego Greka jeszcze podczas lotu szerszeniem. Mahnmut próbuje sobie wyobrazić, jak bardzo dziwaczne muszą się wydawać synowi Laertesowi przeżycia ostatnich godzin. Najpierw metalowy okręt, który starali się mu opisać, żeglujący na niewidzialnych falach kosmicznego oceanu. Teraz jeszcze ta barwna zbieranina morawców wszelkich kształtów i rozmiarów. Nie ma dwóch identycznych. Od ważącego dobre dwie tony masywnego Orphu, przez czarnego, gładkiego Sumę IV, po pokrytego chitynowym pancerzem, groźnego już na pierwszy rzut oka skałowca, generała Beh bin Adi.

Odyseusz nie poświęca im nawet spojrzenia. Podchodzi prosto do okna sali operacyjnej i beznamiętnie przygląda się zabiegowi.

Mahnmut ponownie zastanawia się, co ten brodaty, potężny wojownik może myśleć, gdy patrzy na długonogiego srebrnego pająka i dwóch czarnych techników pochylających się nad Hockenberrym – człowiekiem, z którym Odyseusz stykał się przecież w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy dość często.

Wszyscy zgromadzeni w korytarzu – człowiek i grupa morawców – wpatrują się w otwartą pierś Hockenberry'ego, w jego rozciągnięte chirurgicznym przyrządem zakrwawione żebra. Scena przypomina obrazki z rzeźni.

Czy Odyseuszowi nie przyjdzie czasem do głowy, że Sinopessen Wsteczny pożera jego znajomego? – pyta się w duchu Mahnmut.

Nie odrywając wzroku od trwającej operacji, Odyseusz zwraca się do małego morawca w mowie starożytnych Greków.

– Dlaczego twoi przyjaciele zabili Hockenberry'ego, syna Duane'a?

– Nie zabili go. Hockenberry sam, niespodziewanie, pojawił się na statku... Pamiętasz chyba, że ten człowiek posiada boską zdolność do błyskawicznego przenoszenia się z miejsca na miejsce?

– Pamiętam – przyznaje Grek. – Widziałem, jak unosił Achillesa do Ilionu. Zniknął i pojawił się z powrotem niczym prawdziwy bóg. Aczkolwiek nigdy nie uważałem, że jest bogiem lub choćby synem Olimpijczyka.

– Nie jest, zresztą nigdy tak nie twierdził – zauważa Mahnmut. – Wszystko wskazuje na to, że został dźgnięty mieczem, lecz zdołał się tekować... to znaczy przenieść boskim sposobem. Szukał u nas pomocy. Ten srebrny morawiec wraz ze swymi dwoma pomocnikami próbują ocalić mu życie.

Odyseusz obrzuca morawca zdziwionym spojrzeniem szarych oczu.

– Ocalić życie, mechaniczna istota? Przecież widzę, że on już nie żyje. Ten pająk

przed chwilą wyjął mu serce.

Mahnmut zerka za szybkę. Syn Laertesa ma rację.

Nie chcąc rozpraszać skupionego Sinopessena, Mahnmut odzywa się na wspólnej częstotliwości do Asteague/Che.

– Czy on naprawdę nie żyje? Umarł nieodwracalnie?

Stojący w pobliżu stołu operacyjnego i przyglądający się zabiegom naczelnny integrator nie podnosi głowy.

– Nie – odpowiada również przez radio. – Funkcje życiowe Hockenberry’ego ustały tylko na nieco ponad minutę. Zaraz potem Sinopessen zamroził wszelką aktywność jego mózgu. Do nieodwracalnych zmian podobno nie doszło. Integrator Sinopessen twierdzi, że w normalnych warunkach należałoby wprowadzić do jego krwiobiegu kilka milionów nanocytów, które zregenerowałyby uszkodzoną aortę i mięsień sercowy. Następnym krokiem byłoby zaaplikowanie bardziej wyspecjalizowanych automatów molekularnych, które pomogłyby Hockenberry’emu uzupełnić zasoby krwi i wzmocniły układ odpornościowy. Integrator zauważył jednak coś, co podobną kurację uniemożliwia.

– Co takiego? – ciekawi się integrator z Callisto, Cho Li.

– Komórki scholiasty Hockenberry’ego są sygnowane.

– Sygnowane? Co to znaczy?

Mahnmut nigdy nie interesował się głębiej biologią ani genetyką ludzi i morawców, aczkolwiek wytrwale poznawał biologię krakenów, glonów i innych żywych stworzeń zasiedlających ocean Europy, w którym pływał swoim batyskafem od około stu standardowych lat.

– Sygnowane, czyli zastrzeżone. Niemożliwe do skopiowania – tłumaczy Asteague/Che na wspólnym paśmie. Słucha go cała załoga „Królowej” z wyjątkiem Odyseusza i nieprzytomnego scholiasty. – Hockenberry nie urodził się jak inni ludzie, został... zbudowany. Zrekonstruowany na podstawie próbek DNA i RNA. Jego organizm nie przyjmie żadnych przeszczepów. W naszej sytuacji dużo ważniejsze jest jednak, że odrzuci dowolne nowe nanocyty, ponieważ już teraz krąży w nim mnóstwo bardzo zaawansowanych nanomechanizmów.

– Co to za mechanizmy? – pyta otulony fulerenową powłoką Suma IV. – Do czego służą?

– Tego jeszcze nie wiemy – odpowiada osobiście Sinopessen, manipulując jednocześnie laserowym skalpelem, nicią chirurgiczną i mikronożycami. Jedną z pozostałych dłoni podtrzymuje sobie serce Hockenberry’ego. – Jego nanomemy i mikrocyty są bardziej wyrafinowane i skomplikowane od wszystkich, które zaprojektowaliśmy na własny użytek. Nie mam w tym szpitalu odpowiedniego sprzętu, żeby je zbadać. Komórki i urządzenia subkomórkowe nie poddają się próbom przeniknięcia naszych nanoszpereczy i niszczą wszelkie ciała obce.

– Niemniej zdołasz go uratować? – pyta Cho Li.

– Tak sędzę – przyznaje Sinopessen Wsteczny. – Muszę jeszcze tylko uzupełnić straconą krew, dokończyć naprawę komórek i zaszyję ranę. Potem pozwolę mózgowi wznowić pracę. Rekonwalescencję przyśpieszę za pomocą pola Griwskiego. Powinien się wylizać.

Mahnmut odwraca się, by przekazać prognozę Odyseuszowi. Achaja jednak nigdzie już nie widać.

* * *

Drugi dzień lotu.

Odyseusz krąży po korytarzach, z pokładu na pokład przechodzi schodami – wind unika – przeszukuje kolejne pomieszczenia. Ignorując stworzone przez Hefajstosa kukły zwane morawcami, wypatruje drogi ucieczki z tych żelaznych komnat przedsionka Hadesu.

– O Zeusie! – odzywa się półgłosem, stojąc w długiej sali, pustej i cichej, nie licząc buczących skrzyń, rozszepowanych wentylatorów i bulgocących rur. – Ojcze, który władasz ludźmi i bogami. Ojcze, któremu okazałem nieposłuszeństwo i przeciwko któremu pochopnie ruszyłem na wojnę, Ty, któryś przez całe moje życie kierował grzmotami z gwiazdzistego nieba, Ty, któryś pewnego dnia posłał swą ukochaną córkę Atenę, by obdarowała mnie miłością i otoczyła opieką. Ojcze, proszę cię teraz o znak. Wyprowadź mnie z dala od cieni i bezsilnych gestów tego stalowego Hadesu, dokąd niewczesnie trafiłem. Proszę jedynie o szansę, bym mógł paść w boju. O Zeusie! O Ojcze, który władasz opoką ziemi i bezkresnym morzem. Spełnij to moje jedno, ostatnie życzenie, a do końca swych dni będę twym wiernym sługą.

Odpowiedź nie nadchodzi, nie rozlega się nawet echo.

Odyseusz, syn Laertes, ojciec Telemacha, ukochany mąż Penelopy, faworyt Ateny, dławi w sobie wściekłość. Zaciska pięści i zęby i rusza dalej badać żelazne tunele tej skorupy, tego piekła.

Igraszki Hefajstosa tłumaczyły mu, że znalazł się w stalowym okręcie przemierzającym czarny ocean kosmosu. Kłamały. Mówiły, że porwały go prosto z pola bitwy w dniu, w którym zamknęła się Dziura, ponieważ próbują mu pomóc odnaleźć dom, powrócić do żony i syna. Kłamały. Powiedziały, że są zdolne myśleć – tak samo jak ludzie – i że podobnie jak ludzie mają dusze i serca. Kłamały.

Stalowy grobowiec jest potężnym, pionowym labiryntem. W dodatku nigdzie nie ma okien. W niektórych salach Odyseusz znajduje przezroczyste ściany, ale widać za nimi jedynie kolejne komnaty. Wciąż jednak nie natrafił na okna wychodzące na ten czarny ocean, o którym opowiadają automaty. Odnalazł jedynie parę grubych, okrągłych placków ze szkła, za którym widać wiecznie czarne nocne niebo i znajome gwiazdozbiory. Zdarza się, że gwiazdy wirują i tańczą, zupełnie jak wtedy, gdy Odyseusz za dużo wypije. Gdy w pobliżu nie ma żadnej z tych mechanicznych zabawek, Grek okłada pięściami ściany, aż mocarne, stwardniałe od miecza dłonie spływają krwią. Ani razu jednak nie udało mu się zarysować ani szkła, ani metalu. Niczego nie może tu zniszczyć. Drzwi nie ustępują.

Część komnat jest dla niego dostępna, wiele pozostaje zamkniętych, a kilka – jak na przykład pomieszczenie zwane mostkiem, które pokazali mu pierwszego dnia zesłania do tego kanciastego Hadesu – jest strzeżonych przez czarne, najeżone kolcami automaty zwane skałowcami, morawcami bojowymi tudzież żołnierzami z Pasa. Oglądał te istoty w akcji przez wiele miesięcy, gdy pomagały bronić Ilionu i achajskiego obozowiska przed

furią Olimpijczyków. Widział, jak walczą, i wie, że honor jest im obcy. To przecież tylko maszyny, które posługują się maszynami, by walczyć przeciwko innym maszynom. Niemniej przewyższają Odyseusza wzrostem, są od niego cięższe. Nie rozstają się ze swoją mechaniczną bronią i chroni je metalowa skóra oraz wbudowane ostrza. On tymczasem został pozbawiony wszelkiej broni i pancerza. Jeżeli zawiodą wszystkie inne sposoby, spróbuje rozbroić jednego z tych czarnych morawców, ale to ostateczność. Odyseusz, syn Laertes, miał z bronią do czynienia, odkąd zaczął stawiać pierwsze kroki, i rozumie, że aby się nią posługiwać, należy się tego nauczyć – wyćwiczyć – dogłębnie ją poznać. Trzeba zrozumieć jej działanie i poznać kształt, tak jak każdy artysta poznaje i rozumie narzędzia swego fachu – a Odyseusz nie rozumie tych tępych, pokrytych żłobkami, ciężkich i pozbawionych grotów przedmiotów.

W pomieszczeniu pełnym ryczących machin i olbrzymich, podnoszących się i opadających cylindrów, rozmawia z gigantycznym, metalowym krabem. Odyseusz wie – zapomniał tylko skąd – że potwór jest ślepy. Wie jednak również, że potrafi się sprawnie poruszać po omacku. Grek znał wielu dzielnych ślepców, odwiedzał także ślepych wieszczbiarzy i wyrocnie, którym oczy zastąpił wzrok boski.

– Chcę wrócić na pole bitwy pod Troją, potworze – rzuca. – Zabierz mnie tam natychmiast.

Krab wydaje z siebie głuche dudnienie. Odzywa się w języku Odyseusza, w mowie cywilizowanych ludzi, lecz z tak koszmarnym akcentem, że jego słowa brzmią raczej jak uderzenia potężnych fal o przybrzeżne skały lub posykiwanie wielkich tłoków.

– Czeka mnie... nas czeka, szlachetny Odyseuszu... długa wędrówka, czcigodny synu Laertes. Kiedy ona umrze... dobiegnie końca... mamy nadzieję usunąć cię... zwrócić... Penelopie i Telemachowi.

Jak ta ożywiona stalowa skorupa śmie kalać swym niewidocznym językiem imiona mej żony i dziecka? – przemyka Odysowi przez myśl. Gdyby miał przy sobie miecz, choćby i tępy, gdyby znalazł najbardziej prymitywną maczugę, roztrzaskałby kraba na kawałki, otworzyłby jego skorupę i wyrwał mu ten jęzor.

Odyseusz odchodzi od potwora i udaje się na poszukiwanie grubego szklanego plastra, za którym widać gwiazdy.

* * *

Nie poruszają się. Nie migocą. Odyseusz przyciska naznaczone bliznami dłonie do zimnej szyby.

– Ateno, bogini... Opiewam twą szlachetną, modrooką potęgę, Pallas Ateno, nieposkromiona, czysta i mądra... wysłuchaj mych modłów... Tritogeneia, bogini... Dziewico, która bronisz miasta, czcigodna i wspaniała, zrodzona wprost z jego straszliwej głowy... odziana w bojowy pancerz, tak jasno promieniejący złotem! Błagam cię, wysłuchaj mych modłów... Cudowna bogini, cudów posiadaczko... której postać oglądać chcą wieczni bogowie... Bogini, która groźnym potrząsas oszczepem... Ty, która z tak gwałtownym wdziękiem wychyłałaś z czaszki Pana Egidy, Ojca Zeusa... Że całym niebem wstrząsnął lękliwy dreszcz... Bogini o błękitnym wejrzeniu... wysłuchaj mych modłów... Dziecię Pana Egidy, ty jako trzecia z bogów zrodzona... Pallas niezrównana,

którą tak rozkosznie oglądać... O wcielenie mądrości, której pochwałać nigdy nie zaniechamy... proszę, wysłuchaj mych modłów...

Odyseusz podnosi powieki. Wciąż widzi w szybie jedynie niemrugające gwiazdy i odbicie swych szarych oczu.

* * *

Trzeci dzień lotu.

Komuś, kto przyglądałby się z daleka – powiedzmy osobie przebywającej na jednym z okalających Ziemię orbitalnych pierścieni i patrzącej przez potężny teleskop optyczny – „Królowa Mab” wydałaby się szlachetnie rzeźbioną włóczęgą, otoczoną kulami, owalami, jaskrawo pomalowanymi zbiornikami, poczwórnymi zespołami dysz i licznymi fulerenowymi sześciokątami. Wszystko to jest przymocowane za pomocą wsporników do rdzenia złożonego z cylindrycznych modułów mieszkalnych, które z kolei, jak się wydaje, balansują na coraz jaśniejszej kolumnie atomowych rozbłysków.

Mahnmut odwiedza Hockenberry’ego w szpitalu. Scholiasta szybko wraca do zdrowia, po części dzięki polu Griwskiego, które dziesięcioosobową salę wypełnia wonią burzowego powietrza. Morawiec przyniósł pacjentowi kwiaty zebrane w olbrzymiej szklarni statku. Przejrzał banki pamięci i dowiedział się, że w czasach przed rubikonem, w dwudziestym pierwszym stuleciu, z którego pochodzi Hockenberry – a przynajmniej jego DNA – ów zwyczaj wciąż powszechnie panował. Na widok bukietu scholiasta wybucha szczerym śmiechem i wyznaje, że nie przypomina sobie, by kiedykolwiek w życiu dostał od kogoś kwiaty. Zaraz jednak dodaje, iż wspomnienia z jego ziemskiego życia – tego prawdziwego, gdy nie był pracującym dla bogów scholiastą, a wykładowcą na uniwersytecie – wciąż są mocno niepełne.

– Masz szczęście, że tekowałeś się właśnie na „Królową” – mówi Mahnmut. – Nigdzie indziej nie znalazłbyś osoby z umiejętnościami i wiedzą, które pozwoliłyby cię uratować.

– Osoby albo morawieckiego chirurga-pajaka – odpowiada Hockenberry. – Kiedy poznałem Sinopessena Wstecznego, nawet przez myśl mi nie przeszło, że za niecałą dobę ocali mnie od śmierci. Życie pisze niekiedy bardzo zabawne scenariusze.

Mahnmut nie ma pojęcia, jak mógłby to skomentować. Po minucie zastanowienia rezygnuje.

– Wiem, że opowiadałeś już swoją historię Asteague/Che – podejmuje morawiec.

– Ale może zechciałbyś ją powtórzyć?

– Jasne.

– Podobno Helena pchnęła cię nożem?

– Tak.

– Dlatego, że nie chciała, by jej mąż, Menelaos, dowiedział się, że kiedy teleportowałeś go do obozowiska Achajów, postanowiła go zdradzić?

– Tak mi się wydaje.

Mahnmut nigdy nie był ekspertem w dziedzinie odczytywania emocji z ludzkich twarzy, lecz nawet on zauważył, iż Hockenberry wyraźnie posmutniał.

– Ale powiedziałeś też Asteague/Che, że byłeś z Heleną blisko związany... byliście

kiedyś kochankami.

– Tak.

– Wybacz moją ignorancję w podobnych kwestiach, doktorze Hockenberry, ale odnoszę wrażenie, że Helena Trojańska jest bardzo bezwzględna kobietą.

Hockenberry wzrusza ramionami i unosi lekko kąciki warg w smętnym uśmiechu.

– Ona jest wytworem własnych czasów, Mahnmut. Wychowała się w okrutnej epoce, w erze ludzi, których motywów nigdy nie potrafiłem pojąć. Kiedy wykładałem studentom „Iliadę”, zawsze kładłem szczególny nacisk na fakt, iż wszelkie nasze wysiłki mające na celu uczłowieczenie tej homeryckiej opowieści, jej dostosowanie do nowożytnej, humanistycznej wrażliwości, są z góry skazane na niepowodzenie. Wszystkie te postacie... Z jednej strony ci ludzie nie różnili się od nas, lecz żyli u samych początków tak zwanej cywilizacji. Na tysiące lat zanim obecny system wartości w ogóle zaczął się formować. Z tej perspektywy działania i powody, którymi kieruje się Helena, muszą być dla nas równie niezrozumiałe jak niezdolność Achillesa do okazywania litości czy bezwzględna przebiegłość Odyseusza.

Mały morawiec potakuje skinieniem.

– Wiesz, że Odyseusz poleciał z nami? Odwiedził cię może?

– Nie, nie rozmawiałem z nim. Ale naczelny integrator Asteague/Che wspomniał, że jest na pokładzie. Prawdę mówiąc, boję się, że mnie zabije.

– Zabije? – upewnia się wstrząśnięty Mahnmut.

– No wiesz, przecież pomogłem w jego porwaniu. To ja go zwabiłem, mówiąc że dostaliście wiadomość od Penelopy. To ja wciskałem mu te głodne kawałki o łożu, którego kolumną jest drzewko oliwne. A kiedy podszedł do szerszenia... Ciach! Mep Ahoo zgasił go paralizatorem i zapakował do środka. Na miejscu Odyseusza nie byłbym w tej chwili najlepszym przyjacielem Thomasa Hockenberry’ego.

Zgasił go... – powtarza w duchu Mahnmut. Uwielbiał odkrywać nowe zwroty i słowa. Sprawdza idiom w słowniku, ze zdziwieniem dowiadyuje się, że to najzupełniej przyzwoite sformułowanie i postanawia zacząć się nim posługiwać.

– Przepraszam. Nie chciałem cię narazić na niebezpieczeństwo – mówi.

Zastanawia się, czy nie powiedzieć scholiaście, iż w zamęcie wywołanym rozpadem Dziury to Orphu przekazał mu przez radio rozkaz naczelnych integratorów – sprowadzić Odyseusza. Uznaje jednak, że nie skorzysta z wymówki. Doktor Thomas Hockenberry przyszedł na świat w stuleciu, w którym tłumaczenie „wykonywałem po prostu rozkazy” bezpowrotnie wyszło z mody.

– Pomówię z Odyseuszem... – podejmuje morawiec.

Hockenberry kręci z uśmiechem głową.

– Sam z nim porozmawiam, wcześniej czy później. A na razie Asteague/Che przydzielił mi skałowieckiego strażnika.

– Tak, nawet się zdziwiłem, widząc go przed wejściem – przyznaje Mahnmut.

– Gdyby doszło do najgorszego – Hockenberry muska swój złoty medalion – po prostu się tekuję.

– Tekujesz się? Poważnie? – dziwi się mały morawiec. – Niby dokąd? Na Olimpie trwają walki. Z Ilionu mogły już zostać tylko zgliszcza.

Uśmiech znika z twarzy scholiasty.

– Faktycznie, jest to pewien problem. Ale zawsze mógłbym poszukać Nighthenhelsera. To przyjaciel, którego przenieśliśmy do Indiany z tysięcznego roku przed naszą erą.

– Do Indiany... – powtarza półgłosem Mahnmut. – Na której Ziemi?

Hockenberry masuje się po piersi, w miejscu, z którego niecałe trzy doby wcześniej Sinopessen Wsteczny wydobyl jego serce.

– Na której Ziemi... Przyznasz chyba, że brzmi to dość nietypowo.

– Owszem – zgadza się morawiec – ale coś mi mówi, że musimy się do takiego myślenia przyzwyczaić. Twój przyjaciel został na Ziemi, z której uciekłeś, nazwijmy ją Ziemią trojańską. A nasz statek leci ku planecie o całe trzy tysiące lat późniejszej niż ta, na której dawniej żyłeś i... hm...

– I na której umarłem – kończy za Mahnmuta Hockenberry. – Nie krępuj się. Powoli się przyzwyczajam. Nie martwi mnie to... Nie przesadnie.

– Nie mogę wyjść z podziwu, że kiedy cię dźgnęła, zdołałeś sobie dokładnie wyobrazić maszynownię „Królowej” – mówi mały morawiec. – Zmaterializowałeś się tu już nieprzytomny, więc medalion musiałeś uruchomić ostatnim wysiłkiem woli.

Scholiasta kręci głową.

– Ale ja nie pamiętam, żebym w ogóle dotykał medalionu, nie wydaje mi się też, żebym cokolwiek sobie wyobrażał.

– A co pamiętasz? Ostatni moment?

– Stała nade mną jakaś kobieta. Przyglądała mi się, wyraźnie przerażona – odpowiada człowiek. – Była wysoka i blada. Miała ciemne włosy.

– Może Helena?

Hockenberry zaprzecza gestem.

– Jej już wtedy na wieży nie było. Zbiegła po schodach. A ta, o której mówię, po prostu się tam... pojawiła.

– Jakaś Trojanka?

– Nie. Ubrana była dość... osobliwie. Miała na sobie kurtkę lub bluzę i spódnicę. Wyglądała bardziej jak kobieta z mojej ery niż te, które widywałem przez ostatnie dziesięć lat w Ilionie i na Olimpie. No, ale w moich czasach takie stroje też nie były popularne... – urwał.

– Nie sądzisz, że mogłeś majaczyć? – pyta Mahnmut. Nie dodaje oczywistego komentarza, że przecież nóż Heleny uszkodził serce Hockenberry’ego, a wypływająca z rany krew nie miała szans dotlenić mózgu.

– Wiem, że mogłem... Ale to nie była halucynacja. Za to, kiedy spotkaliśmy się spojrzeniami, poczułem coś niezwykłego...

– Co takiego?

– Nie potrafię tego opisać – przyznaje scholiasta. – Poczulem pewność, że jeszcze się kiedyś spotkamy. Niebawem, ale w jakimś innym miejscu. Gdzieś bardzo daleko od Troi.

Mahnmut zapada w zadumę. Obaj – morawiec i człowiek – milkną na dłuższy moment. Stukot potężnych tłoków – łoskot przenikający co pół minuty cały szkielet

statku, po którym na pół słycać, na pół czuć syk i westchnienia cylindrów – przestał już im przeszkadzać. Zlał się z pozostałymi dźwiękami tła, podobnie jak szmer wentylatorów.

– Mahnmut... – podejmuje wreszcie Hockenberry, wsuwając dłoń między poły pizamy – wiesz, dlaczego nie chciałem z wami polecieć na Ziemię?

Morawiec kręci głową. Zdaje sobie sprawę, że Hockenberry widzi własne odbicie w gładkim, czarnym plastikowym pasku jego systemów optycznych.

– Odmówiłem, ponieważ po obejrzeniu „Królowej Mab” zrozumiałem, jaki jest prawdziwy cel waszej ekspedycji.

– Przecież poinformowali cię o nim sami naczelnicy integratorzy – przypomina Mahnmut. – Odbyliście to spotkanie, rozmawialiście i...

– Nie – uśmiecha się Hockenberry. – Nie twierdzą, że mnie wtedy okłamali, ale nie wyjawili mi głównego powodu. Gdybyście po prostu chcieli polecieć na Ziemię, nie musielibyście wcale budować takiego kolosa. Na orbicie Marsa czekało przecież sześćdziesiąt pięć bojowych statków kosmicznych, krążyły w tę i z powrotem między Marsem a Pasem Asteroid.

– Sześćdziesiąt pięć? – powtarza morawiec. Owszem, zdawał sobie sprawę, że dysponowali na Marsie flotyllą okrętów. Część niewiele przewyższała rozmiarami szerszenie, inne były dostatecznie wielkie, by w razie potrzeby przewozić ciężkie ładunki z okolic Jowisza. Nie miał jednak pojęcia, że było ich tak wiele. – Skąd wiesz, Hockenberry?

– Jeszcze podczas walk na Marsie i trojańskiej Ziemi powiedział mi o tym centurion Mep Ahoo. Zainteresowałem się ich napędem, ale nie znał zbyt wielu szczegółów. W końcu jest żołnierzem, nie konstruktorem pojazdów kosmicznych. Odniosłem jednak wrażenie, że zastosowano w nich silniki atomowe lub jonowe... W każdym razie bardziej zaawansowane technologicznie niż zapuszkowane bomby jądrowe.

– Owszem – przytakuje Mahnmut.

Mały morawiec również nie znał się na kosmicznych technologiach. Statek, którym przylecieli na Marsa z Orphu, był naprędce skonstruowanym zlepkiem żagli słonecznych i jednorazowych silników jądrowych. Pierwszą część rejsu przez Układ Słoneczny pokonali rozpędzeni energią trzech bilionów watów przekazaną pojazdowi przez morawieckie elektromagnetyczne nożyce, specyficzny rodzaj kosmicznej katapulty. Nawet on jednak, skromny kapitan pływającego po Europie batyskafu, rozumiał, że „Królowa” jest konstrukcją prymitywną i znacznie większą niż wymagała tego misja. Wyczuł, do czego zmierza scholiasta, lecz wcale nie był pewien, czy chce jego teorię usłyszeć.

– Tuż za statkiem wielkości Empire State Building, jak z upodobaniem powtarzają wszyscy naczelnicy integratorzy i Orphu, co trzydzieści sekund dochodzi do eksplozji bomby atomowej – podejmuje ścisłym głosem Hockenberry. – „Królowa” nie została też wyposażona w żadnego typu powłokę maskującą, choć przecież stosujecie je nawet przy budowie szerszeni. Otrzymujemy zatem gigantyczny obiekt o jaskrawym... jak się to nazywało? Albedo. I ten obiekt porusza się popychany serią wybuchów atomowych, które będą widoczne gołym okiem z powierzchni Ziemi, i to za dnia, jeszcze zanim dotrzecie

na orbitę... Kurczę, równie dobrze mogą was widzieć już teraz.

– Z czego wysnułeś wniosek... – zachęca Mahnmut. Morawiec przekazuje treść rozmowy przez radio do Orphu, lecz jego przyjaciel nie wygłosił jeszcze nawet słowa komentarza.

– Z czego wysnułem wniosek, iż rzeczywistym celem tej misji jest dać się zauważyć tak wcześnie, jak to tylko możliwe – odpowiada scholiasta. – Chcecie, by istoty przebywające na Ziemi jak najszybciej uznały was za zagrożenie i poczuły się zmuszone stosownie zareagować. Mam tu na myśli istoty, które, jak twierdzisz, nauczyły się kontrolować rzeczywistość na poziomie kwantowym. W skrócie, chcecie, żeby sięgnęły po broń i zaczęły strzelać.

– Chcemy? – powtarza Mahnmut. Już w tej chwili wie, że doktor Thomas Hockenberry ma rację... Dociera do niego również, że on sam, Mahnmut z Europy, podświadomie podejrzewał coś podobnego od samego początku. Po prostu wolał o tym nie myśleć.

– Owszem, chcecie – potakuje Hockenberry. – Domyślam się, że „Królowa Mab” jest naszpikowana urządzeniami rejestrującymi i czujnikami. Kiedy te Nieznane Istoty z Ziemi rozpirzą już wasz statek na pojedyncze atomy, wszystkie informacje na temat ich uzbrojenia dotrą na Marsa, do Pasa Asteroid i do układu Jowisza. W tym sensie „Królowa Mab” przypomina konia trojańskiego, na którego pomysł wciąż jeszcze nie wpadli Grecy z Ziemi Ilionu. W sumie mogą nigdy nie wpaść, ponieważ odmieniłem bieg wydarzeń, a Odyseusz trafił na pokład tego statku. Niemniej jest to koń trojański. I dobrze wicie, a przynajmniej macie silne przekonanie, że tamci tego waszego konia podpala. Z nami wszystkimi na pokładzie.

– Orphu, czy to wszystko prawda? – Mahnmut pyta przyjaciela na prywatnej częstotliwości.

– Tak, mój drogi, ale jeszcze nie cała – pada posępna odpowiedź.

Mały morawiec zwraca się do człowieka.

– Nie ze wszystkimi, doktorze Hockenberry. Masz przecież swój medalion. Możesz stąd w dowolnym momencie uciec.

Scholiasta przestaje drapać się po piersi – blizna wygląda już jak zwykła cienka kreska, wyraźnie odcina się od skóry, lecz szybko się goi i blednie, w miarę jak molekularny klej łączy ze sobą rozcięte tkanki. Dłoń Hockenberry’ego muska medalion teleportacyjny.

– Tak – powtarza – mogę uciec w dowolnym momencie.

Daeman wytypował dziewięcioro mieszkańców Ardis – pięciu mężczyzn i czwórkę kobiet. To z nimi miał się podzielić trzystoma znanymi węzłami, faksować się do każdego z nich, sprawdzić, czy był tam już Setebos, a jeśli nie, ostrzec przed nim mieszkańców okolicy. Chłopak uznał jednak, że wyruszą dopiero wtedy, gdy wrócą sonikiem Harman, Hannah i Petyr. Harman zapowiedział Adzie, że powinni się pojawić w porze obiadu lub zaraz potem.

Sonik nie pojawił się ani przed obiadem, ani nawet godzinę później.

Daeman wciąż czekał. Wiedział, że Ada i pozostali zaczęli się już denerwować – zwiadowcy i zbieracze opału donosili o ruchach wojniksów w lasach na północ, wschód i południe od dworku. Wyglądało na to, że potwory przegrupowują się przed zmasowanym atakiem. Daeman nie chciał nikogo odrywać od obowiązków, zanim nie pojawi się z powrotem Harman z dwojgiem przyjaciół.

Minęło kilka godzin popołudnia. Strażnicy na wieżyczkach i palisadzie raz po raz zerkali pod nisko zawieszane szare chmury, lecz sonik wciąż nie wracał.

Daeman czuł, że powinien ruszać. Harman miał rację, przeprowadzenie rozpoznania i ostrzeżenie pozostałych ludzi należało do pilnych zadań. Chłopak zaczął jednak jeszcze godzinę. I kolejną. Wydawało się to nielogiczne, ale miał wrażenie, że wyruszając przed powrotem Harmana, pozostawi Adę zupełnie samą. Gdyby Harmanowi przytrafiło się coś złego, Ada przeżyłaby silny wstrząs, lecz Ardis i jego mieszkańcy zachowaliby jednak szansę na przetrwanie. Bez pomocy sonika, los wszystkich mógł zostać przypieczętowany już przy najbliższym ataku wojniksów.

Ada była przez całe popołudnie zajęta. Z domu wychodziła tylko od czasu do czasu. Wspinała się wtedy na rusztowanie żeliwiaka i z wyczekiwaniem rozglądała po niebie. Daeman, Tom, Siris, Loes i kilkoro innych stali w pobliżu, lecz nawet nie próbowali z nią rozmawiać. Siwe chmury pociemniały i znowu zaczęło śnieżyć. Krótkie popołudnie niepokojąco przeradzało się w zmierzch.

– No cóż, w kuchni czeka masa zajęć – westchnęła Ada i szczerzej otuliła ramiona szalem.

Daeman ze swoją grupką odprowadzili ją spojrzeniami, po czym chłopak wrócił do dworku, wszedł do swojego pokoiku na poddaszu i przetrząsnął zawartość kufra z ubraniami. Wyjął zieloną termoskórę i maskę osmotyczną, które ponad dziesięć miesięcy temu dostał od Savi.

Skafander wiele przeszedł – pocięły go pazury i kły Kalibana, zachlapała krew potwora i Daemana oraz błoto, w które wpadli podczas twardego lądowania sonikiem. Zabrudzenia zniknęły w praniu, a kombinezon sam starał się załatać wszelkie dziury. Niemal się udało. Gdziekolwiek zielony materiał izolacyjny przetarł się praktycznie na wylot i wyzierała spod niego srebrzysta warstwa molekularna. Niemniej termoskóra zachowała zdolność do utrzymywania stałej temperatury i pozostała hermetyczna. Jakiś

czas temu Daeman faksował się do pustego węzła, którego stacja znajdowała się czternaście tysięcy stóp nad poziomem morza. Było to niezamieszkane, smagane nieustannym wichrem i zamieciaми miejsce, znane jako Pikespik. Tam przetestował działanie kombinezonu. Nie zginął, skafander nie pozwolił mu zamrznąć i okazało się przy tym, że działa również maska osmotyczna. Nawet na tak znacznej wysokości oddychał bez najmniejszego trudu.

Stojąc na poddaszu, zapakował do plecaka leciutką termoskórę wraz z maską. W środku czekały już zapasowe bełty i kilka butelek z wodą. Przygotowany zszedł na dół, by zebrać wszystkich wybranych zwiadowców.

Na podwórzu rozległ się głośny okrzyk. Daeman wybiegł na zewnątrz, gdzie dołączył do Ady i połowy domowników.

Sonik pojawił się mniej więcej milę od Ardis. Przebił się gładko przez pokrywę chmur, zatoczył krąg od południowozachodu, lecz nagle zakołysał się w locie. Srebrzysty dysk przez chwilę pikował w dół, zachybotał raz jeszcze, po czym runął pionowo ku ziemi ponad południowym trawnikiem, tuż przed ostrokołem. Poderwał się w ostatniej chwili, otarł podwoziem o belki palisady – trzech strażników musiało zeskoczyć – po czym rozorał pas zmarzniętej gleby. Podskoczył i przeleciał jeszcze trzydzieści stóp, uderzył znowu o podłoże, wzbijając przy tym kępy darni, odbił się ponownie, przejechał brzuchem po trawie, ryjąc płytką bruzdę i wreszcie znieruchomiał.

Wszyscy stojący na ganku – z Adą na czele – co sił w nogach rzucili się ku stygnącej maszynie. Daeman dotarł na miejsce zaraz po dziewczynie.

Wewnątrz znaleźli tylko Petyra. Chłopak leżał ranny i oszołomiony w leżance pilota. Pozostałe pięć miejsc zajmowała... broń. Daeman zauważył rozmaite modele karabinów na kryształowe strzałki, lecz pomiędzy nimi wypatrzył też pistolet oraz rodzaje broni, jakich nigdy w życiu nie widział.

Pomogli chłopakowi wygramolić się z sonika. Ada oderwała z koszuli czysty pas materiału i przycisnęła go do spływającego krwią rozcięcia na czole Petyra.

– Kiedy wyłączyło się pole siłowe, wałnąłem w coś głową... – wydyszał. – Głupi jestem. Trzeba się było zdać na automat. Ale gdy tylko wyszliśmy spod chmur beztrząsco powiedziałem „sterowanie ręczne”... Wydawało mi się, że już umiem... Chyba trochę przeszarżowałem.

– Ciii... – uspokoiła go Ada. Siris i kilka innych osób podtrzymali ślaniającego się na nogach chłopaka. – O wszystkim opowiesz nam w domu, Petyr. Strażnicy, wracajcie proszę na posterunki. Pozostali też niech rozejdą się do zwykłych zajęć. Loes, może z kilkoma mężczyznami zajmijcie się tą bronią i amunicją. W schowkach sonika może być coś jeszcze. Złóżcie wszystko w głównym holu. Z góry dzięki.

Siris i Tom przyszedli do salonu ze środkami dezynfekującymi i bandażami. Petyr zaczął opowiadać. Wokół zebrała się przynajmniej trzydziścioro słuchaczy.

Opisał obłączony przez wojniksy most Golden Gate i spotkanie z Arielem.

– A potem szkło stało się matowe i w bańce na kilka minut zapadła zupełna ciemność. Kiedy szyby odzyskały przejrzystość, Harmana już nie było.

– Jak to nie było? Gdzie się podział? – spytała spokojnym głosem Ada.

– Nie wiem. Przez trzy godziny szukaliśmy go z Hanną po całym moście. Broń

znaleźliśmy w takiej sali muzealnej, w jednej z baniek, których nawet ona wcześniej nie odwiedzała. Ale Harman i ten zielony Ariel zupełnie jakby rozplynęli się w powietrzu.

– Gdzie zatem jest Hannah? – zapytał Daeman.

– Została na moście – wyjaśnił Petyr. Siedział pochylony, opatrzoną głowę trzymał w dłoniach. – Było dla nas jasne, że jak najszybciej musimy przywieźć do Ardis jak najwięcej broni. Ariel powiedział, że tak przeprogramował sonika, by w drodze powrotnej nie leciał za szybko. Droga powrotna zajęła mi jakieś cztery godziny. Ten stwór wyliczył też, że Odyseusz wyjdzie ze swej kapsuły za siedemdziesiąt dwie godziny. O ile w ogóle maszyna zdoła go uratować. Hannah uparła się zostać do tej chwili na miejscu... Chciała się jak najszybciej dowiedzieć. Poza tym na Golden Gate zostało jeszcze mnóstwo broni. I tak będziemy musieli tam wrócić, więc Hannah stwierdziła, że zabierze się z nami potem.

– Czy wojniksy były blisko wdarcia się do baniek? – zapytał Loes.

Petyr pokręcił głową, grymas bólu natychmiast ściągnął mu twarz.

– Nie odnieśliśmy takiego wrażenia. Z tego zielonego szkła wciąż się ześlizgiwały, a poza tymi półprzepuszczalnymi drzwiami garażu, które zasklepiły się, gdy tylko odleciałem, nie ma żadnych innych wejść.

Zamyślony Daeman pokiwał głową. Pamiętał zarówno śliską powierzchnię kabiny pełzacza, którym Savi wiozła ich przez Basen Śródziemny, i błony w drzwiach na orbitalnej wyspie Prospera.

– W każdym razie – podjął ze świeżym błyskiem w oku Petyr – Hannah została tam z pięćdziesięcioma karabinami. Wynieśliśmy je z muzeum na kocach i w skrzyniach. Nawet jeżeli wojniksy wedrą się do środka, będzie w stanie stawić im silny opór. Poza tym pomieszczenie, w którym znajduje się kapsuła z Odyseuszem, znajduje się trochę na uboczu... w zasadzie jest ukryte.

– Ale nie będziemy chyba odsyłać sonika nocą, prawda? – zaniepokoiła się kobieta imieniem Salas. – Bo przecież... – Wyjrzała przez okno. Popołudniowe niebo ciemniało z każdą chwilą.

– Nie, dzisiaj sonik zostanie u nas – zdecydowała Ada. – Dziękuję ci, Petyr. Pójdź do szpitala i odpocznij trochę. Sonikiem zajmiemy się sami i zrobimy też spis przywiezionego przez ciebie sprzętu. Być może właśnie ocaliłeś Ardis.

Zebrani rozeszli się do obowiązków, lecz ożywione rozmowy słychać było nawet z trawnika na zboczu. Loes i wszyscy, którzy nauczyli się strzelać z broni przywiezionej wcześniej przez Odyseusza, przetestowali nowe nabytki – wszystkie karabiny okazały się sprawne. Naprędce wytyczyli za budynkiem strzelnicę, gdzie mogli szkolić towarzyszy. Daeman z kolei osobiście nadzorował prace przy soniku. Po uruchomieniu pulpitu sterowniczego maszyna zaszumiała i ożyła. Kiedy wzbila się i zawisła trzy stopy nad ziemią, szóstka mężczyzn odprowadziła ją do dworku. Schowki na rufie i burtach sonika – te same, w których Odyseusz podczas łowieckich wypraw na fororaki przewoził włócznie – rzeczywiście były po brzegi wypełnione bronią.

Wreszcie, późnym popołudniem, gdy zimowy wieczór przepędzał już dzień z nieba, Daeman wyszedł porozmawiać z Adą. Zastał ją przy gorejącym palenisku żeliwiaka. Otworzył usta, lecz nagle stwierdził, że zupełnie nie wie co powiedzieć.

– Ruszajcie – powiedziała po prostu. – Powodzenia.

Cmoknęła chłopaka w policzek i odepchnęła go mocno w stronę domu.

W ostatnich promieniach śnieżnego popołudnia, Daeman i dziewiątka pozostałych zwiadowców zapakowali dodatkowe bełty, herbatniki, kawałki sera i butelki z wodą. Zastanawiali się czy nie zabrać też nowych pistoletów, ale uznali, że zostaną przy kuszach i nożach, broni, którą umieli się już posługiwać. Następnie żywym krokiem pokonali półtorej mili dzielące Dwór Ardis od pawilonu faksowężła. Chwilami wręcz truchtali. W ciemności pod rosnącymi w lesie drzewami krążyły jaśniejsze cienie, lecz na drodze i na polach nie zauważyli ani jednego wojnika. Ptaki umilkły zupełnie – nie słyszeli nawet typowych dla zimowych miesięcy rzadkich nawoływań i trzepotu skrzydeł między gałęziami.

Ostrokołu faksowężła strzegła dwudziestka mężczyzn i kobiet, którzy uznali z początku, że postanowiono wcześniej zmienić wartę, a kiedy dowiedzieli się, że zwiadowcy chcą się tylko faksować, dobitnie okazali swoje niezadowolenie. Z portalu przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie skorzystał nikt, za to załoga pawilonu widziała wojniksy – dziesiątki wojniksów – ciągnące przez las na zachód. Zdawali sobie przy tym sprawę, że w razie silniejszego ataku faksowężła nie da się na dłuższą metę obronić i wszyscy chcieli przed nocą znaleźć się w Ardis.

Daeman wytłumaczył, że na ich miejscu wcale by się nie palił do spędzenia dzisiejszej nocy we dworze. Dodał też, że zmiennicy mogą nie dotrzeć do nich przed nocą – nie przy tak wyraźnej aktywności wojniksów, lecz że za kilka godzin ktoś przyleci do nich sonikiem i rozezna się w sytuacji. W razie napaści na pawilon obrońcy mogli wysłać do Ardis posłańca, a sonik zapewni im odpowiednie posiłki, przywożąc po pięć osób naraz.

Chłopak przyjrzał się skompletowanej przez siebie drużynie – Ramis, Kaman, Dorman, Kaul, Edide, Kara, Siman, Oko i Elle – i po raz ostatni przedstawił im założenia misji. Każdy otrzymał listę trzydziestu kodów docelowych faksowężłów, uporządkowaną od najniższego do najwyższego – dystanse do pokonania nie miały w świecie faksów najmniejszego znaczenia. Powtórzył, że przed powrotem do Dworu Ardis muszą sprawdzić wszystkie. Jeżeli natkną się na choćby ślad pajęczyny błękitnego lodu lub wieloramiennego Setebosa, mają dokładnie zanotować spostrzeżenia, rozejrzeć się, nie opuszczając pawilonu, i wynosić w cholerę. Pod żadnym pozorem nie podejmować walki. Jeżeli natomiast w odwiedzionym osiedlu sytuacja okaże się normalna, mają przekazać informacje o zagrożeniu zarządcom, po czym jak najszybciej faksować się do następnej stacji z listy. Daeman miał nadzieję, że nawet biorąc pod uwagę ewentualne opóźnienia, wszyscy zwiadowcy zdołają wykonać zadanie w niecałe dwanaście godzin. Część faksowężłów była bardzo słabo zaludniona – ot garstka domów tulących się do pawilonu – zatem pobyt w takich miejscach nie powinien zajmować zbyt wiele czasu, zwłaszcza jeśli się okaże, że ludzie uciekli. Gdyby któryś zwiadowca nie wrócił w ciągu doby, zostanie uznany za zaginionego i przeznaczone mu stacje ponownie odwiedzi inna osoba z zespołu. Przed sprawdzeniem wszystkich węzłów zwiadowcy mogli wrócić tylko w wypadku doznania poważnych obrażeń bądź odkrycia, od którego mógł zależeć los całego Ardis. W takiej sytuacji należało wracać bez chwili wahania.

Siman omiótł niespokojnym spojrzeniem okoliczne łąki i wzgórza. Ciemność gęstniała coraz bardziej. Mężczyzna nie odezwał się słowem, lecz Daeman doskonale wiedział, o czym myśli: Jakie są szanse powrotu piechotą do Ardis po zmroku, kiedy uaktywnią się wojniksy?

Daeman poprosił strażników pawilonu, by dołączyli do rozmowy. Przekazał im, że jeśli którykolwiek ze zwiadowców wróci z ważną wiadomością, a sonik będzie akurat zajęty, posłańca ma odprowadzić do Ardis piętnastoosobowy oddział eskorty. Jednak bez względu na okoliczności nie powinni pozostawiać węzła bez ochrony.

– Są jakieś pytania? – zwrócił się na koniec do grupy.

W gasnącym świetle dnia ludzkie twarze wyglądały jak białe, odcinające się od mroku owale. Nie odezwał się nikt.

– Wyruszamy w kolejności numerów – podjął Daeman.

Nie tracił czasu na życzenie im powodzenia. Jeden po drugim wystukiwali kody na klawiaturze wbudowanej w stojącą na środku pawilonu kolumnę i znikali. Daeman wybrał sobie trzydzieści najwyższych numerów, głównie dlatego, że wśród nich znajdował się Krater Paryski i kilka innych węzłów, które niedawno odwiedzał. Gdy jednak nadeszła jego kolej, zdecydował się na mało znaną stację o wysokim kodzie. Jego bezludna tropikalna wysepka.

Kiedy zmaterializował się po drugiej stronie portalu, przywitało go wciąż jasne światło dnia. W lagunie falowała błękitna woda, po drugiej stronie rafy morze wydawało się nieco ciemniejsze. Na horyzoncie od zachodu piętrzyły się burzowe chmury. Promienie poranka kładły się na grzbietach obłoków, które, jak się niedawno dowiedział, nazywano stratocumulusami.

Daeman rozejrzał się dokoła, chciał mieć pewność, że jest sam. Rozebrał się do naga i naciągnął na siebie termoskórę. Nie założył tylko kaptura, który luźno opadł mu na kark. Osmotyczną maskę zawiesił na pasku na szyi. Wciągnął z powrotem spodnie, bluzę i buty. Bieliznę wcisnął do plecaka.

Korzystając z okazji, sprawdził zawartość bagażu. Paski żółtego materiału, które pociął jeszcze w Ardis, dwa niezgrabne młotki, które kazał wykuć Remanowi – znakomitemu kowalowi, ustępującemu być może tylko Hannie. Spakował też linę i bełty.

Korciło go, by najpierw wrócić do Krateru Paryskiego, lecz tam panował akurat środek nocy, a żeby się skutecznie rozeznać w sytuacji, Daeman potrzebował światła. Do wschodu słońca nad kraterem miał jeszcze około siedmiu godzin, a był przekonany, że w tym czasie zdąży odwiedzić większość pozostałych dwudziestu dziewięciu węzłów. Niektóre stacje z listy odwiedził już kiedy uciekał z Krateru Paryskiego – Kijów, Bellinbad, Ułanbat, Chom, Rezydencję Lomana, Drid, Fuego, Wieża Cape Town, Devi, Mantua i Wzgórza Satle. Błękitny lód pokrywał wówczas tylko Chom i Ułanbat i chłopak miał nadzieję, że tak będzie i tym razem. Nawet gdyby ostrzeżenie mieszkańców pozostałych osiedli zajęło mu pełne dwanaście godzin, do Krateru Paryskiego i tak dotarłby za dnia, w pełnym świetle.

A to właśnie w Kraterze zamierzał zrealizować swój plan.

Daeman założył ciężki plecak, podniósł kuszę, wrócił do pawilonu, pożegnał się w milczeniu z tropikalnym wietrzykiem i szelestem palm, po czym wybrał pierwszy kod

ze swojej listy.

Achilles przeniósł już doskonale zakonserwowane zwłoki Pentezylei ponad dziewięćdziesiąt mil po stokach Olimpu. Gotów jest ponieść ją jeszcze kolejne pięćdziesiąt albo sto, bądź – w razie potrzeby – tysiąc. Dzisiaj jednak, trzeciego dnia wspinaczki, gdzieś na wysokości sześćdziesięciu tysięcy stóp zrobiło się strasznie zimno i zabrakło mu powietrza.

Przez trzy dni i noce – nie licząc krótkich przerw na drzemkę i odpoczynek – Achilles, syn Peleusa i bogini Tetydy, wnuk Ajakosa – piął się wewnątrz szklanego szybu kryształowej windy, która dawniej wjeżdżała na sam szczyt Olimpu. Niższe partie korytarza zostały zniszczone już w pierwszych dniach konfliktu między siłami Achilleusa i Hektora a nieśmiertelnymi bogami, lecz powyżej nadal wypełnia go powietrze, w dodatku działa tam ogrzewanie. Aż do wysokości sześćdziesięciu tysięcy stóp. Aż do tego miejsca. Aż do teraz.

W tym punkcie uderzenie błyskawicy bądź strzał z plazmowej broni rozbił tunel doszczętnie na przestrzeni ćwierć mili. Płożący się na czerwonym zboczu wulkanu szyb windy wygląda w tej chwili jak zmija rozcięta na pół uderzeniem motyki. Achilles przeciska się przez groźące wylot pole siłowe i przemierza straszliwą wyżynę, wciąż dźwigając swą broń, tarczę i ciało Pentezylei. To piękne ciało utrwalone przez Pallas Atenę ambrozją i spowite w płachtę białego dawniej lnu, którą zabrał z własnego namiotu. Kiedy jednak heros dociera do tunelu po drugiej stronie, płuca mu pękają, z uszu pod wpływem niskiego ciśnienia cieknie krew, skórę ma spękaną od palącego mrozu. Dopiero tutaj widzi, że szyb jest zniszczony wiele mil naprzód. Ruina wije się po nieskończonym zboczu Olimpu, nie ma w sobie powietrza ni ciepła. Dotąd piął się po schodach, lecz teraz, jak okiem sięgnąć, ma przed sobą jedynie nierówne ostre metalowe płyty i kawały poskręcane szkła. Lodowate i dławiące. Nic tutaj nie zapewnia mu osłony przed wyjącyjnymi powiewami huraganowego wichru.

Miotając z ust przekleństwa, zdyszany Achilles wraca chwiejnym krokiem w dół po otwartym zboczu, przeciska się z powrotem przez pomrukującą barierę pola siłowego i pada na kolana na metalowych stopniach wewnątrz kryształowego tunelu. Spowite całunem brzemię układa delikatnie na schodach. Skórę ma otartą i spękaną z zimna. Jak to możliwe, że tak blisko słońca panuje tak okrutny ziąb? – zastanawia się bohater. Chyżonogi Achilles jest niemal pewien, że zaszedł już wyżej niż wzleciał sam Ikar, a przecież воск sklejący skrzydła chłopca, który chciał być ptakiem, stopił się w słonecznych promieniach. Więc jak to? Z drugiej strony na szczytach kraju jego dzieciństwa – krainy Chirona, ziemi centaurów – również było zimno, wiały przenikliwe wiatry, góry były bardzo niegościnnie, a powietrze rozrzedzało się tym bardziej, im wyżej docierał śmiałek. Achilles stwierdza w duchu, że po Olimpie spodziewał się czegoś więcej.

Wyjmuje spod płaszcza swój tobołek, wyciąga z niego niewielki bukłak i wyciska

kilka ostatnich kropel wina między spierzchnięte, pękające wargi. Resztki chleba i sera zjadł dziesięć godzin wcześniej, kiedy był jeszcze pewien, że niebawem stanie na szczycie. Tymczasem wydadaje się, że Olimp wcale nie ma wierzchołka.

Achilles ma wrażenie, że już całe miesiące upłynęły od poranka pierwszego dnia wyprawy – dnia, w którym zabił Pentezyleę, dnia, w którym zamknęła się Dziura, odcinając go od Troi, wiernych Myrmidonów i reszty Achajów. Oczywiście katastrofą Dziury nie przejął się wcale. Wracać zamierzał dopiero wtedy, gdy Pentezylea ożyje i zostanie jego żoną. Wspinaczki jednak nie zaplanował należycie. Rankiem trzy dni wstecz, kiedy wyruszał z namiotu i szedł na rozciągającą się u stóp Olimpu równinę, zabrał ze sobą tylko kilka kęsów prowiantu. Nie sądził wówczas, że bitwa z Amazonkami potrwa dłużej niż kilka godzin. Tamtego poranka jego siły wydawały się równie niewyczerpane jak gniew.

Teraz Achilles nie jest wcale pewien, czy zostało mu ich tyle, by zdołał zejść w dół po tych metalowych schodach kolejne trzydzieści mil. Może gdybym zostawił tu jej ciało? Ledwie jednak ta myśl powstaje w wyczerpanym umyśle Achillesa, dociera do niego, że tego nie robi. To po prostu wykluczone. Jak to powiedziała Atena? „Tego konkretnego czaru nie można odmienić. Przemówiły feromony, a ich głos jest ostateczny. Pentezylea pozostanie jedyną miłością twego życia, czy to jako martwe ciało, czy żywa kobieta...”.

Achilles, syn Peleusa, nie ma pojęcia, czym są feromony, lecz rozumie, że z klątwą Afrodyty żartować nie wolno. Miłość do Amazonki, kobiety, której zgotował tak brutalną śmierć, wyżera mu trzewia znacznie silniej niż głód wywołujący skurcze pustego, burczącego żołądka. Nie zawróci. Nie zejdzie z góry. Atena powiedziała, że na szczycie Olimpu można odszukać tajemnicę bogów, źródło ich nieśmiertelności i zdolności odradzania. Lecznicze kadzie. Tajny przesmyk pozwalający przekroczyć nienaruszalną granicę pomiędzy światłem a ciemnością czyhającą w zębatej paszczy Śmierci. Lecznicze kadzie... właśnie do nich Achilles poniesie martwą Pentezyleę. A gdy oddech znowu wypełni jej płuca, Amazonka zostanie jego żoną. Heros rzuca wyzwanie samym Mojrom, niech tylko spróbują mu się sprzeciwić!

Jest jednak już bardzo zmęczony. Potężnie umięśnione, ogorzałe na słońcu ramiona drżą i Achilles pochyla się, opierając je na skrwawionych kolanach, tuż powyżej nagolenników. Wygląda przez kryształowy dach i ściany tunelu, i po raz pierwszy od początku wyprawy podziwia roztaczającą się za nimi panoramę.

Słońce zaczyna powoli zachodzić i cień gigantycznego wulkanu wybiega daleko na rdzawą równinę. Dziura zniknęła, a na czerwonym piasku, dawnym polu bitwy, nie znać już śladu ani jednego obozowego ognia. Achilles wieździe spojrzeniem wzdłuż krętej ścieżki kryształowego szybu. Widzi niemal całe trzydzieści mil skrzącego się w świetle szklanego tunelu wyraźnie odcinającego się od ciemniejszych zboczy Olimpu. Cień góry pada na wybrzeże, odległe wzgórza i nawet błękitne morze, którego ciepłe fale rozlewają się na północy. Na wschodzie heros dostrzega bielejące szczyty trzech innych niebotycznych gór. Wzbijają się ponad pokrywą chmur, zabarwione czerwoną poświatą opuszczającego niebo słońca. Krawędź świata jest zakrzywiona i to wydaje się Achillesowi bardzo dziwne. Wszyscy przecież widzą, że świat jest płaski lub wklęsły niczym talerz, którego krawędzie stanowią ogromne mury. Strzelające ku niebu, nie

opadające. Stąd jednak, w wieczornym świetle, świat wydaje się wypukły. Z pewnością nie znajduje się na Olimpie, jaki znał z Grecji, lecz o tym wiedział już od wielu miesięcy. To miejsce, kraina czerwonej gleby i błękitnego nieba, pod które wypiętrza się niewiarygodnie wysoka góra, jest prawdziwym domem bogów i heros dochodzi do wniosku, że tutaj horyzont może się nawet wyginać w dół lub robić, co mu się żywnie podoba.

Kiedy odwraca wzrok i spogląda ku górze, w pobliżu materializuje się jeden z bogów.

Jak na Olimpijczyka jest niski, właściwie karłowaty – mierzy sobie zaledwie metr osiemdziesiąt centymetrów. Paskudną twarz pokrywa zarost, a kiedy zaczyna kuśtykać dokoła, przyglądając się badawczo zniszczonemu szybowi, Achilles spostrzega, że to garbus, niemal kaleka. Podobnie jak wszyscy argiwcscy herosi, Achilles zna olimpijski panteon na wrywki. Wie, na kogo patrzy. To Hefajstos, bóg ognia i główny rękodzielnik nieśmiertelnych.

Po chwili Hefajstos kończy szacowanie szkód, jakie wojna wyrządziła jego dziełu. Smagany wyjąłymi, koszmarnie lodowatymi powiewami staje na stoku tyłem do Achillesa, pociąga się za brodę i mamroce coś pod nosem. Wygląda na to, że wciąż nie dostrzegł Achillesa ani jego owiniętego w lniane płótno brzemienia.

Heros nie czeka, aż bóg się odwróci. Chyżonogi mężobójca puszcza się biegiem, z impetem przebija pole siłowe i z całej siły zderza się z patronem płomieni, na którym stosuje swe ulubione chwytty zapaśnicze. Zaczyna od sławetnego „uścisku ciała”, dzięki któremu zdobywał w zawodach niezliczone nagrody. Łapie Hefajstosa za krzepką talię, odwraca go zwinnie do góry nogami i ciska głową naprzód na czerwoną skałę. Hefajstos wykrzykuje przekleństwo i próbuje się dźwignąć. Heros jednak łapie karłowate bóstwo za grube ramię i demonstruje „szybującą klacz” – przerzuca przeciwnika przez ramię. Bóg ciężko pada na plecy, głucho stęka i z jego ust płynie naprawdę sprośna klątwa.

Achilles zdaje sobie sprawę, że następnym odruchem Olimpijczyka będzie ratowanie się teleportacją. Rzuca się więc na przeciwnika i więzi jego pierś dławiącym, miażdżącym żebra imadłem swych ud. Lewą dłonią łapie niewysokiego brodacza za szyję, jednocześnie dobywając swego zabójczego dla bogów ostrza, które przystawia Hefajstosowi pod brodę.

– Jeśli teraz odlecis, przeniesiesz mnie ze sobą, a wtedy cię zarżnę – syczy Achilles prosto we włochate ucho olimpijskiego rzemieślnika.

– Kurwa... nie... możesz... zgładzić... boga... – dyszy Hefajstos i próbuje swymi grubymi, stwardniałymi od pracy palcami oderwać achillesową dłoń od swego gardła.

Achilles mocniej napiera na podarowane mu przez Atenę ostrze. Na podbródku Hefajstosa pojawia się długie na trzy cale płytkie nacięcie. Żłocisty ichor tryska na skołtuniony zarost. Jednocześnie bohater zaciska silniej uda. Żebra patrona płomieni zaczynają trzeszczeć.

Bóg odpowiada elektrycznym wyładowaniem, prąd przepływa przez nogi Achillesa, który krzywi się z bólu, lecz nie puszcza. Hefajstos wykorzystuje całą swą nadludzką siłę, wije się i próbuje uwolnić, ale Achilles dokonuje jeszcze bardziej nadludzkiego wyczynu i przytrzymuje pojmanego, wkładając w mięśnie nóg dodatkową

porcję energii. Sztylet coraz mocniej kaleczy czerwieniejącą z wysiłku twarz olimpijskiego kowala.

Hefajstos przez chwilę dyszy i sapie, lecz wreszcie wiotczeje.

– Dobrze... wystarczy – stęka. – To starcie należy do ciebie, synu Peleusa.

– Daj mi słowo honoru, że nie odlecisz.

– Masz moje słowo – jęczy Hefajstos, na co Achilles zamyka go w jeszcze silniejszym uścisku.

– Wiedz, że jeśli złamiesz przyrzeczenie, zabiję jak psa – warczy grecki heros. Rozumie, że powietrza na górskim zboczach starczy mu już tylko na kilka sekund, więc odtacza się na bok, chwytając jeńca za tunikę i splecione włosy, po czym przeciąga go przez barierę pola siłowego do wnętrza kryształowego tunelu. Tutaj jest ciepło i można oddychać.

Ciska Hefajstosa na metalowe stopnie i ponownie siada na nim okrakiem. Zaciska uda. Uważnie obserwował Hockenberry'ego i bóstwa. Pamięta, że tekując się, unoszą ze sobą wszystkich, którzy ich dotykają.

Posapujący, charczący Hefajstos zerka w bok i zauważa zawinięte w całun zwłoki Pentezylei.

– A cóż to sprowadza cię na Olimp, chryzonogi Achillesie? Przynosisz nam pościel do prania?

– Zamilcz... – Achilles próbuje warknąć, lecz również tylko stęka. Trzy dni bez posiłku oraz wysiłek długiej wspinaczki w rozrzedzonym powietrzu odcisnęły na nim wyraźne piętno. Nadludzka siła odpływa z jego członków niczym woda ciekąca przez sito. Jeszcze minuta, a będzie musiał Hefajstosa wypuścić. Lub zgładzić.

– Skąd wzięłeś ten sztylet, śmiertelniku? – pyta brodate, ociekające ichorem bóstwo.

– Powierzyła mi go Pallas Atena. – Achilles nie widzi potrzeby okłamywać kogokolwiek. W odróżnieniu od niektórych – na przykład przebiegłego Odysa – nigdy nie ucieka się do łgarstw.

– Atena, tak? – burczy Hefajstos. – Bogini, którą miłuję ponad wszystkie.

– Słyszałem o tym – przytakuje Achilles.

W rzeczywistości Grek słyszał, że Hefajstos od stuleci ugania się za dziewiczą Olimpijką w nadziei, że uda mu się ją pojąć. Pewnego razu zbliżył się do celu na tyle blisko, że Atena musiała siłą odtrącić jego obrzmiały członek pomiędzy swych ud. Skromni greccy śpiewacy „udami” nazwali kobiece wargi sromowe. Nie zdążyła w porę... Ocierający się o jej uda brodaty kaleka zdążył wytrysnąć i zachłapać nasieniem jej uda, zanim wreszcie silniejsza bogini zdołała go z siebie zepchnąć. W dzieciństwie Achilles słyszał od swego przybranego ojca – centaura Chirona – wiele legend, w których wielce zajmujące role odgrywały *erion*, kawałek wełny, którym Atena wytarła się ze spermy Hefajstosa, bądź ziemia, na którą spadły jej krople. Kiedy już dorósł i został największym wojownikiem świata, słuchał też aoidów opiewających „dziewiczą rosę” – *herse* lub *drosos* w języku jego rodzinnej wyspy – choć oba te słowa oznaczały zarazem „noworodka”. Niektórzy utrzymywali, że część śmiertelnych herosów – w tym sam Apollon – zrodziła się właśnie z tej szmatki lub garstki ziemi.

W tej chwili Achilles postanawia jednak tych opowieści nie przywoływać. Między innymi dlatego, że opadł już niemal z sił i musi oszczędzać oddech.

– Uwolnij mnie, a zostanę twym sprzymierzeńcem – podejmuje chrapliwie Hefajstos. – Wszak jesteśmy sobie niczym bracia.

– Jak bracia? Co to ma znaczyć? – Achilles z trudem dobywa kolejne słowa.

Postanawia, że jeżeli będzie zmuszony wypuścić Hefajstosa, uczyni to wtedy, gdy przebije podbródek boga sztyletem Ateny, wrazi mu go głęboko w czaszkę, nadzieje mózg i wyciągnie go na zewnątrz ruchem rybaka łowiącego w strumieniu ryby na oścień.

– Gdy niedługo po Przemianie ciśnięto mnie w morze, przyjęły mnie do siebie Eurynome, córka Okeanosa, i twoja matka, Tetyda – wysapał boski rzemieślnik. – Utonąłbym, gdyby nie ona, twa rodzicielka, najdroższa memu sercu Tetyda, dziecę Nereusa. Wyłowila mnie i zatroszczyła się o mnie. Jesteśmy sobie jak bracia.

Achilles nie sprawia wrażenia przekonanego.

– Jesteśmy sobie wręcz bliżsi niż bracia – dodaje z wysiłkiem Hefajstos. – Jesteśmy sojusznikami.

Mężobójca milczy. Każde słowo zdradziłoby jego nadciągającą słabość.

– Stoimy po tej samej stronie! – woła Hefajstos. Żebra boga pękają jedno po drugim, podobnie jak młode drzewka na mrozie. – Hera, moja umiłowana matka, nienawidzi tej nieśmiertelnej dziwki Afrodyty, będącej przecież twym wrogiem. Skoro, jak powiadasz, moja najdroższa, ukochana Atena przysłała cię tu, zlecając zadanie, pomogę ci je zrealizować.

– Zaprowadź mnie do leczniczych kadzi – udaje się powiedzieć Achillesowi.

– Do kadzi leczniczych? – Hefajstos oddycha z ulgą. Grecki heros rozluźnił nieco swój chwyt. – Znajdą cię tam, synu Peleusa i Tetydy. Obecnie Olimp stał się areną wojny domowej, zawładnął nim *kaos*. Zniknął nawet Zeus, lecz kadzie wciąż pozostają pod strażą. Jeszcze nawet nie zapadł zmrok. Pójdź najpierw do moich komnat. Zjedz coś, napij się i odśwież. Potem, nocą, kiedy zrobi się już ciemno, zabiorę cię do kadzi, gdy zastaniemy tam jedynie potwornego Uzdrowiciela i kilku zaspanych wartowników.

Zjeść coś? – powtarza w myślach Achilles. Uświadamia sobie, że istotnie brak mu sił do walki. Jeżeli się wkrótce nie posili, nie zdoła też nikogo nakłonić, by wskrzesił Pentezyleę.

– Zgoda – mówi półgłosem. Uwalnia brodatego Olimpijczyka z uścisku swych ud i wsuwa sztylet Ateny z powrotem za pas. – Zabierz mnie do swej boskiej rezydencji na szczycie Olimpu. I pamiętaj, bez żadnych sztuczek.

– Bez sztuczek – obiecuje Hefajstos. Skrzywiony obmacuje swe posiniaczone, spękane żebra. – Niemniej pozwól, że powiem, iż czarne to dni, skoro nieśmiertelnych można traktować w ten sposób. Ujmij mą dłoń. Tekujemy się natychmiast.

– Moment – mruczy Achilles. Z najwyższym trudem podrywa ze schodów ciało królowej Amazonek i zarzuca je sobie na ramię. Jest koszmarnie słaby. – No dobrze – dodaje, chwytając włochate przedramię boga. – Teraz możemy się przenieść.

Wojniksy zaatakowały zaraz po północy.

Ada pomogła ugotować i wydać kolację wszystkim mieszkańcom Dworu Ardis, po czym wyszła na zewnątrz i dołączyła do grupy ludzi trudzących się wzmocnieniem fortyfikacji. Mimo nalegań Peaen, Loesa, Petyra i Isis – uparcie przypominali jej, że jest ciężarna – w zimnie i padającym śniegu kopała rowy, których linię wytyczono sto stóp za palisadą. Na ten pomysł wpadli Harman z Daemanem – wypełnione cenną naftą wykopy planowano podpalić, gdyby wojniksy przedarły się przez ostrokoł. Ada bardzo żałowała, że akurat tej nocy nie ma przy sobie w Ardis obu przyjaciół.

Grunt był mocno zmarznięty i po jakimś czasie dziewczyna stwierdziła, że jest zbyt zmęczona, by przebijać się przez twarde podłoże, choć dostała jedną z ostrzejszych łopat. Ogarnięta frustracją, ze łzami w oczach, pociągając nosem, patrzyła tylko na Greogiego i Emme, którzy spulchniali wierzchnią warstwę ziemi, by mogła kopać głębiej. Na szczęście zapadła już ciemność i nikt na nią nie patrzył. Gdyby ktoś przyłapał ją na płaczu, umarłaby ze wstydu. W pewnym momencie nadszedł Petyr, który pracował dotąd przy zabezpieczaniu parteru dworku. Poprosił ją, by wróciła do domu. Z satysfakcją – i szczerze – odparła, że woli pracować na dworze, w towarzystwie setki innych. Dodała, że wysiłek fizyczny i bliskość przyjaciół odwracają jej myśli od niepokoju o Harmana. To również była prawda.

Kopanie rowów skończyli niedługo po dwudziestej drugiej. Wykopy były dość prymitywne – pięć stóp szerokości, głębokie na niecałe dwie. Dno i ściany wyłożyli plastikowymi workami, które kilka tygodni temu znaleźli w Chom. Puszki nafty – na to słowo Harman natrafił w jednej z siglowanych książek – czekały w przedsionku Ardis. Teraz wystarczyło je tylko wynieść, a zawartość wylać i w razie potrzeby podpalić.

– Co zrobimy potem? Przecież w kilka minut pozbawimy się rocznego zapasu paliwa – spytała z powątpiewaniem Anna.

– Będziemy siedzieć po ciemku – odparła Ada. – Ale nie zginiemy.

Prawdę powiedziawszy, ją również dręczył niepokój. Nie była pewna, czy jeśli wojniksy przedostaną się już przez palisadę, bariera płonącej nafty zdoła je zatrzymać. Cofający się obrońcy mogli nie mieć nawet czasu, by ją podpalić. Harman z Daemanem wymyślili również, że należy wzmocnić wszystkie drzwi budynku, a w oknach na parterze i pierwszym piętrze założyć od wewnątrz grube okiennice. Prace trwały już trzeci dzień i według Petyra zbliżały się do końca. Ada obawiała się jednak, że i te zabezpieczenia mogą się okazać zbyt wątłe.

Rowy zostały wykopane, ostrokołu strzegła podwójna ilość strażników, puszkę z naftą ustawiono w przedsionku i wyznaczono kilka osób, które w momencie ataku miały wynieść je na zewnątrz. Rozdano również nowe karabiny i pistolety. W tej chwili w broń palną wyposażony był już co szósty mieszkaniec Ardis, co stanowiło znaczny postęp. Dotąd dysponowali ledwie dwoma karabinami. Greogi wsiadł do sonika

i patrolował okolicę z powietrza. Ada wróciła do domu, gdzie chciała pomóc Petyrowi.

Praca przy okiennicach również miała się już ku końcowi. Duże, solidne deski wprawiono w stare dębowe ramy okienne i można je było w dowolnym momencie zatrzasnąć i zablokować żelaznymi ryglami, wykutymi w dworkowej kuźni. Wyglądało to tak brzydko, że Ada tylko pokiwała głową i odwróciła spojrzenie, by ukryć cisnące się jej do oczu łzy.

Przypomniała sobie jak pięknie i dostojnie prezentował się Dwór Ardis jeszcze niecały rok wcześniej. Budynek stanowił element tradycji sięgającej korzeniami bez mała dwa tysiące lat wstecz. Tak cudnie się tu mieszało, tak miło było przyjmować gości w urządzonych ze smakiem, eleganckich i urokliwych wnętrzach. Kilkanaście miesięcy temu świętowali tu dziewięćdziesiąte dziewięte urodziny Harmana. Ada wyprawiała wtedy huczne przyjęcie, jedli na zewnątrz pod rozłożystymi wiązami i dębami. Konary drzew upstrzono latarniami, serwitorki częstowały sprowadzonymi z całego świata potrawami, posłuszne i usłużne wojniksy woziły gości bryczkami i kabrioletami, które zajeżdżały po wysypanym żwirkiem podejździe tuż przed jasno oświetlony ganek. Mężczyźni i kobiety ze wszystkich zakątków planety z dumą prezentowali swoje najlepsze, najmodniejsze stroje oraz wymyślne fryzury.

Ada powiodła wzrokiem po dziesiątkach tłoczących się w salonie ludzi w zgrzebnych ubraniach. Spojrzała na syczące i kopące w półmroku lampy, na rozłożone na podłodze posłania, na ustawione w kozłach kusze i karabiny, na ogień rozpalony w kominku nie dla atmosfery, lecz by mogli przetrwać zimną noc, na kilkanaście wyczerpanych osób pochrapujących w pobliżu paleniska, na ślady ubłoconych butów i ciężkie, drewniane okiennice, które zastąpiły śliczne zasłonki jej matki. Do czego to doszło, pomyślała.

W dworku i otaczającym go obozie mieszało w tej chwili czterysta osób. Ardis przestało już być domem Ady. Czy raczej – posiadłość została domem wszystkich, którzy chcieli się w niej osiedlić i byli gotowi jej bronić.

Petyr pokazał Adzie pozostałe usprawnienia, w tym otwory strzelnicze wycięte w okiennicach na parterze i pierwszym piętrze. Załoga dworku mogła dzięki nim prowadzić ogień z łuków, kusz i karabinów, nawet gdyby wojniksy dostały się już na teren. Na drugim piętrze podgrzewano wodę w pękatych kadziach, które za pomocą systemu bloków wyciągano na dachowe tarasy, by po wycofaniu się na ten ostatni bastion obrońcy mogli łać wrzątek na głowy wojniksów. Harman wysigłował ten pomysł z jednej ze starych ksiąg. Ukrop i gorący olej bulgotały na prowizorycznych paleniskach urządzonych w dawnych prywatnych pokojach Ady. Wszystkie te zabezpieczenia wyglądały koszmarnie, lecz dodawały nieco otuchy.

Podszedł do niej Greogi.

– Co z sonikiem? – spytała Ada.

– Posadziłem go na platformie dla skoczków. Reman chce zabrać nim teraz kilku łuczników.

– Widziałeś coś? – zaciekał się Petyr. Po zmroku nie wysyłali już zwiadowców do lasu. Wojniksy widziały w ciemności znacznie lepiej niż ludzie i rekonesans w pochmurną noc, gdy nikt nie widział nawet poświata księżyca i pierścieni, wiązały się ze zbyt

dużym ryzykiem. Z tego właśnie powodu informacje o ruchach przeciwnika czerpali głównie z lotów sonikiem.

– W nocy i przy takim śniegu trudno zobaczyć cokolwiek – przyznał Greogi. – Zrzuciliśmy jednak do lasu kilka flar. Wojniksy są dosłownie wszędzie. W życiu nie widziałem ich aż tylu...

– Skąd one się biorą? – odezwała się starsza kobieta imieniem Uru. Roztarła sobie łokcie, jakby zrobiło się jej zimno. – Przecież się nie faksują. Wczoraj trzymałam straż przy faksowęźle i...

– To nie jest w tej chwili najważniejsze – uciął Petyr. – Co jeszcze widzieliście?

– Wciąż znoszą skały znad rzeki. – Greogi pociągnął się za rudy zarost.

Czoło Ady przecięła zmarszczka. Kilka pieszych patroli już w południe doniosło, że wojniksy taszcą ciężkie otoczaki i układają je w lesie na stosach. Takiego ich zachowania obrońcy Ardis nie zaobserwowali nigdy wcześniej, a każda nowość w ich obyczajach przyprawiała dziewczynę o nerwowy skurcz żołądka.

– Budują z nich coś? – spytał Casman. W jego głosie dało się słyszeć emocję bliską nadziei. – Na przykład mur? Jakies schronienie?

– Nie. Po prostu zrzucają je na sterty, na skraju zarośli.

– Musimy założyć, że wykorzystają je w charakterze pocisków – stwierdziła półgłosem Siris.

Ada pomyślała o wszystkich tych latach – całych stuleciach – kiedy wojniksy były po prostu sługami, silnymi lecz pasywnymi i milczącymi. Wyřęcały ludzi w wielu rozmaitych czynnościach – zajmowały się hodowlą i zabijaniem zwierząt gospodarskich, broniły przed odtworzonymi przez arnistów dinozaurami i innymi niebezpiecznymi zreplikowanymi stworzeniami, ciągnęły bryczki i kabriolety. Podobno przez wiele wieków przed Ostatnim Faksowaniem, które odbyło się tysiąc czterysta lat wcześniej, wojniksy znano na całym świecie, lecz pozostawały wówczas w bezruchu i nie reagowały na żadne zewnętrzne bodźce – przypominały metalowe posągi, mające zamiast głów skórzaste kaptury. Aż do dnia Upadku, kiedy wyspa Prospera runęła z pierścienia R pod postacią dziesięciu tysięcy ognistych meteorów, nikt nie widział, by wojniksy robiły cokolwiek niespodziewanego, a już na pewno nie wykazywały własnej inicjatywy.

Czasy się zmieniły.

– Jak możemy się obronić przed gradem takich głazów? – spytała Ada. Wojniksy miały bardzo silne ramiona.

Kaman, jeden z pierwszych uczniów Odyseusza, stanął pośrodku kręgu rozmówców.

– W zeszłym miesiącu siglowałem książkę opisującą starożytne maszyny oblężnicze, pochodzące jeszcze sprzed Zapomnianej Ery. Niektóre były w stanie miotać wielkie głazy nawet na kilka kilometrów.

– Były tam może schematy? – zainteresowała się Ada.

– Jeden. – Kaman przygryzł wargę. – Ale dość niejasny.

– Takie maszyny i tak nie pomogłyby w obronie – zauważył Petyr.

– Ale moglibyśmy w odpowiedzi ostrzelać wojniksy ich własną amunicją – stwierdziła dziewczyna. – Kaman, znajdź tę książkę i pokaż ją Hannie i innym

pracującym z nią przy żeliwiaku. Oni najlepiej się znają na tego rodzaju konstrukcjach... Wiesz, Emme, Reman, Loes i Caul...

– Caula nie ma – odezwała się Salas, dziewczyna o najkrótszych w Ardis włosach.

– Daeman wytypował go do swojej grupy.

– W każdym razie pokaż ten rysunek wszystkim, którzy mają jakiegokolwiek pojęcie o budowaniu. – Ada spojrzała na Kamana.

Chudy, zarośnięty mężczyzna skinął głową i potruchtał do biblioteki.

– Czyli będziemy się z nimi przerzucać kamieniami? – spytał z uśmiechem Petyr.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Brakowało jej Daemana i jego dziewięciu zwiadowców. Brakowało jej Hanny, która została na Golden Gate. A ponad wszystko tęskniła za Harmanem.

– No dobra, czas skończyć, co zaczęliśmy – stwierdził Petyr. Grupa rozeszła się po dworku. Greogi zaprowadził kilka osób na platformę, gdzie mieli przygotować sonik do lotu. Pozostali udali się na spoczynek.

Petyr złożył dłoń na ramieniu Ady.

– Powinnaś się w końcu zdrzemnąć.

– Trzeba pilnować... – zaczęła niewyraźnie. W uszach słyszała głośnie bzyczenie, jakby cykady nagle obudziły się z zimowego snu.

Petyr pokręcił tylko głową i zaprowadził Adę do jej pokoju. Do naszego pokoju, Harmana i mojego, pomyślała.

– Jesteś wyczerpana. Nie zmrużyłaś oka od dwudziestu czterech godzin, a w tej chwili śpią już wszyscy z dziennej zmiany. Wzmocniliśmy straż na palisadzie i patrolujemy okolicę z powietrza. Dzisiaj nic więcej nie wymyślimy. Prześpij się. Jesteś przecież wyjątkowo ważna.

– Wcale nie jestem! – Oburzona Ada uwolniła szarpnięciem rękę.

Petyr przyjrzał się jej uważnie. Chybotliwe światło lampy zagrało w jego ciemnych oczach.

– Jesteś Ado, czy ci się to podoba, czy nie. Stanowisz część Ardis. Dla wielu z nas jesteś ucieleśnieniem wszystkiego, co to miejsce sobą reprezentuje. Jesteś naszą gospodynią. Ludzie zwracają się do ciebie po decyzje, nie tylko dlatego, że od kilku miesięcy Harman jest naszym faktycznym przywódcą. Poza tym tylko ty jesteś w ciąży...

Z tym ostatnim argumentem nie mogła dyskutować. Pozwoliła mu zaprowadzić się do pokoju.

Ada rozumiała, że powinna położyć się spać – musiała przecież wypocząć, żeby pomóc w obronie Ardis, żeby pomóc sobie samej. Sen jednak uparcie nie przychodził. Nie potrafiła przestać myśleć o rozmaitych sposobach obrony przed wojnikami, zamartwiała się też losem Harmana. Gdzie on jest? Czy żyje? Czy nic mu się nie stało? Czy do niej wróci?

Postanowiła, że gdy tylko groźba ataku wojniksów przeminie, sama poleci do Golden Gate w Machu Picchu. Nikt jej nie powstrzyma. Poleci tam i odszuka swojego kochanka, swojego męża, choćby miało ją to kosztować życie.

Wstała, przeszła przez ciemny pokój do komody i wyjęła z niej całun turyński, z którym wróciła do łóżka. Nie miała ochoty ponownie wchodzić w interakcję ze

spektaklem – okropne wspomnienie spojrzenia umierającego człowieka, uczucie, że ją zobaczył, wciąż było świeże – ale chciała raz jeszcze ujrzeć starożytną Troję. Oblężone miasto – czyjs oblężony dom. Pomyślała, że ten widok natchnie ją nadzieją.

Ułożyła się wygodnie, nakryła czoło fragmentem całunu z wszytymi mikroobwodami i zamknęła oczy.

* * *

W Ilionie wstał już dzień. Helena Trojańska wchodzi różnym krokiem do sali tronowej tymczasowego pałacu Priama – dawnej rezydencji jej i Parysa – gdzie dołącza do Kasandry, Andromachy, Herofile i Hypsipyle, mocno zbudowanej niewolnicy z Lesbos. Grupka kobiet zebrała się z lewej strony tronu i nieco z tyłu.

Andromacha obrzuca nowo przybyłą spojrzeniem.

– Posłałyśmy już po ciebie służbę – szepce. – Gdzie się podziewałaś?

Po ucieczce od Menelaosa i porzuceniu na wieży umierającego Hockenberry’ego, Helena zdążyła się tylko wykąpać i włożyć świeże szaty.

– Poszłam na spacer – odpowiada równie cicho.

– Na spacer... – powtarza piękna Kasandra tym odurzonym tonem, który często towarzyszy jej proroczym transom. Uśmiecha się. – Przechadzałaś się ze sztyletem, droga Heleno? Znalazłaś choć chwilę, by go wytrzeć?

Andromacha ucisza córkę Priama. Hypsipyle przysuwa się bliżej Kasandry i Helena spostrzega, że niewolnica mocno zaciska dłoń na bladym ramieniu wieszczki. Dziewczyna krzywi się z bólu – na wydany skinieniem rozkaz Andromachy palce Hypsipyle zagłębiają się w alabastrowym ciele. Po chwili jednak na wargi Kasandy powraca uśmiech.

Będziemy musiały ją zabić, stwierdza w duchu Helena. Czuje się, jakby od ostatniego spotkania z dwiema pozostałymi kobietami z pierwotnego kręgu Trojanek upłynęły całe miesiące, a przecież, odkąd się z nimi rozstała i została uprowadzona przez Menelaosa, nie minęły jeszcze nawet dwadzieścia cztery godziny. Czwarta i ostatnia członkini ich tajemnego sprzysiężenia – Herofile, „ulubienica Hery”, najstarsza sybilla Troi, stoi wraz z innymi najbardziej wpływowymi kobietami miasta, lecz wzrok ma zasnuty mgłą. Wygląda jakby w ciągu ośmiu ostatnich miesięcy postarzała się co najmniej o dwadzieścia lat. Helena nagle uświadamia sobie, że czas Herofile – podobnie jak Priama – już przeminął.

Odsuwa tę myśl od siebie i skupia na problemach wewnętrznej polityki Ilionu. Nie może wyjść ze zdumienia, że Andromacha pozwoliła Kasandrze żyć. Jeżeli Priam i miejski lud dowiedzą się, że Astianakt, dziecię Andromachy i Hektora, wcale nie zginął, że śmierć malca została sfingowana po to, by rozpętać wojnę przeciwko Olimpijczykom, tłum rozszarpie żonę Hektora na strzępy. Zresztą zabiłby ją sam mąż.

Właśnie, gdzie jest Hektor? Do Heleny dociera, że wszyscy czekają tylko na niego.

Już ma zwrócić się z tym pytaniem do Andromachy, gdy książę wkracza do sali w otoczeniu kilkunastu oficerów i najbliższych towarzyszy broni. Mimo że władca miasta, sędziwy Priam, siedzi przecież na swym tronie – obok pustego miejsca królowej Hekuby – można pomyśleć, że oto wszedł prawdziwy król Ilionu. Włóczy w hełmach

z czerwonymi kitami prężą piersi i stają na baczność. Wycieńczeni wodzowie i herosi – wielu wciąż nie zdążyło się obmyć z kurzu i krwi po nocnej walce – również prostują grzbiety. Wszyscy, nawet kobiety z królewskiego rodu, podnoszą głowy.

Hektor jest w pałacu.

Mimo że Helena od dziesięciu już lat podziwia jego heroizm i mądrość, mimo że od dziesięciu lat pławi się w jego blasku niczym wyciągająca płatki ku słońcu roślina, puls jej przyspiesza po raz tysięczny. Do komnaty wszedł Hektor, syn Priama, prawdziwy przywódca armii i trojańskiego plemienia.

Książę ma na sobie bojowy pancerz. Jest świeżo wykąpany – widać, że przyszedł z sypialni, nie z bitewnego pola. Wypolerowana zbroja lśni jasno, na tarczy nie widać rys i zadrapań, błyszczą mu nawet włosy, zaplecione na nowo w warkocze. W oczach młodzieńca majaczy jednak zmęczenie i udręka zbolącej duszy.

Hektor pozdrawia gestem królewskiego rodzica i swobodnie zajmuje tron nieżyjącej matki. Oficerowie z orszaku ustawiają się za księciem.

– Jak przedstawia się sytuacja? – pyta.

Deifobos, brat Hektora, w stroju zachlapanym przelaną w nocy krwią, odpowiada mu, spoglądając na Priama, jakby to władcy składał raport. W rzeczywistości jednak słowa przeznaczone są dla księcia.

– Mury i wielka Brama Skajska zostały zabezpieczone. Nagły szturm sił Agamemnona mocno nas zaskoczył. Było nas niewielu, jako że znaczna część wojowników przebywała za Dziurą, gdzie toczyły się walki z bogami. Mimo to udało nam się Argiwów odepchnąć. Zmusiliśmy ich do wycofania się aż pod własne okręty jeszcze przed świtem. Ale mało brakowało.

– A Dziura się zamknęła? – upewnia się Hektor.

– Zniknęła na dobre – potwierdza Deifobos.

– Czy wszyscy nasi żołnierze zdążyli wrócić?

Deifobos spogląda przelotnie na jednego ze swych oficerów, który daje mu nieznaczny sygnał.

– Tak myślimy. Zapanował okrutny zamęt, do miasta wracały tysiące wojowników, morawce umykały swymi latającymi machinami, a Agamemnon przystąpił do zdradzieckiego ataku. Pod murami padło wielu najdzielniejszych obrońców miasta, dostali się w krzyżowy ogień łuczników naszych i achajskich. Zdaje się jednak, że z wyjątkiem Achillesa wszyscy przedostali się przez Dziurę na czas.

– Achilles nie wrócił? – Hektor podnosi wzrok.

Deifobos kręci głową.

– Gdy zginęły już wszystkie Amazonki, został na miejscu. Pozostali achajscy wodzowie i królowie uciekli na własne pozycje.

– Czyli Pentezylea nie żyje? – dopytuje Hektor.



Helena uświadamia sobie, że najbardziej znamienity dziedzic Priama nie zna wydarzeń z ostatnich dwudziestu kilku godzin. Nurzał się we własnym bólu i niedowierzaniu, że toczona przeciwko bogom wojna dobiegła końca.

– Pentezylea, Klonia, Bemuza, Euandra, Termodoa, Alkibia, Dermachia, Derione... Poległa cała trzynastka Amazonek, mój panie.

– Co czynią bogowie?

– Toczą wojnę między sobą – opowiada Deifobos. – Zupełnie jak przedtem, zanim zaczęliśmy z nimi wojować.

– Ilu ich jest tutaj?

– Głównymi sprzymierzeńcami Achajów są Hera i Atena. Podczas nocnej bitwy dostrzegliśmy również Posejdona, Hadesa i kilkunastu innych nieśmiertelnych. Zagrzewali greckie oddziały do boju i ostrzeliwali mury Ilionu błyskawicami.

Sędziwy Priam przerywa im chrząknięciem.

– Dlaczego więc mury wciąż stoją, mój synu?

Deifobos szczerzy się w szerokim uśmiechu.

– Jak za dawnych czasów, ojcze. Każdemu bóstwu sprzyjającemu wrogom odpowiada inne, stojące po naszej stronie. Wspomógł nas Apollo swym srebrnym łukiem, a Ares dowodził o świcie kontrnatarciem. Z kolei Demeter i Afrodyta... – urywa.

– Afrodyta? – dziwi się Hektor.

Imię zabrzmiało lodowato i beznamiętnie, niczym odgłos spadającego na marmurową posadzkę sztyletu. Imię bogini, która wedle Andromachy zamordowała dziecko Hektora. Imię, które stało się zębem sojuszu najbardziej zajadłych przeciwników w dziejach ludzkości – Hektora i Achillesa. Imię, które pozwoliło rozpętać wojnę przeciwko bogom.

– Tak – potwierdza Deifobos. – Afrodyta walczy ramię w ramię z pozostałymi boskimi sprzymierzeńcami Ilionu. Bogini utrzymuje, że nie ona zgładziła naszego umiłowanego Skamandriosa, naszego Astianakta, naszego młodego władcę miasta.

– Mów dalej – rzuca Hektor spomiędzy zbielejących warg.

Deifobos bierze głębszy oddech. Helena rozgląda się po przestronnej sali. Twarze wszystkich zebranych pobladyły, panujące w powietrzu napięcie udziela się każdemu z przysłuchujących się rozmowie.

– Agamemnon i jego wojsko oraz nieśmiertelni sprzymierzeńcy przegrupowują się pod osłoną czarnych okrętów – podejmuje łysiejący brat Hektora. – Nocą dotarli na tyle blisko, że przystawili do murów drabiny i odprawili w otchłań Hadesu wielu mężnych synów Ilionu. Ataki jednak nie były skoordynowane i przystąpili do nich zbyt wcześnie. Zza Dziury nie zdążyły jeszcze nadejść ich główne siły i wielu wodzów. Z pomocą Apolla, kierowani przez Aresa odrzuciliśmy ich aż poza Wzgórze Chwastów, poza linię ich dawnych umocnień i szzańce morawców.

W komnacie na długą chwilę zapada cisza. Hektor siedzi ze spuszczoneym wzrokiem, pogrążony w namyśle. W wypolerowanym, pobłyskującym hełmie, który trzyma pod pachą, widać zniekształcone odbicia twarzy otaczających księcia osób.

Wreszcie Hektor wstaje, podchodzi do Deifobosa, poklepuje brata po ramieniu i zwraca się ku ojcu.

– Szlachetny Priamie, ojcze umiłowany, Deifobos, najdroższy z moich braci, ocalił nasze miasto, kiedy ja dąsałem się w swych komnatach niczym zatopiona w gorzkich wspomnieniach starucha. Pytam cię, czy zdołasz mi wybaczyć i czy przyjmiesz na powrót w szeregi obrońców Ilionu?

W zaropiałych oczach Priama pojawia się nikły płomyk życia.

– Zechcesz, mój synu, zapomnieć o wojnie z bóstwami, które nas wspomagają?

– Moimi wrogami są wrogowie Ilionu – odpowiada ksiączę. – Moimi sprzymierzeńcami są ci, którzy ich zabijają.

– Zgodzisz się walczyć u boku Afrodyty? – naciska sędziwy Priam. – Sprzymierzysz się z bogami, których przez ostatnie długie miesiące próbowałeś mordować? Czy będziesz zabijać Achajów i Argiwów, których przywykłeś już nazywać przyjaciółmi?

– Moimi wrogami są wrogowie Ilionu – powtarza Hektor zaciskając zęby. Wsuwa na głowę swój złoty hełm. Spomiędzy błyszczących osłon wyzieraają gorejące oczy.

Priam wstaje z tronu, tuli Hektora do piersi i z niewysłowioną delikatnością całuje syna w rękę.

– Zatem poprowadź dziś nasze armie ku zwycięstwu, szlachetny Hektorze.

Ksiączę odwraca się, ściska przedramię Deifobosa, po czym odzywa się donośnie, spoglądając na szeregi zmęczonych oficerów i asystujących im żołnierzy.

– Dziś poniesiemy ogień do obozu wroga. Dziś niebo zatrzęsie się od naszych bojowych okrzyków. Zeus podarował nam ten jeden dzień, wart tyle co wszystkie pozostałe dni naszego długiego życia. To właśnie dzisiaj zdobędziemy czarne okręty, zabijemy Agamemnona i raz na zawsze położymy tej wojnie kres!

Przez chwilę nie odzywa się nikt, cisza aż dzwoni, lecz potem komnatę wypełnia nagle ryk, który przestraszył nawet Helenę. Kobieta cofa się za plecy Kasandry, na której ustach zastygł uśmiech przypominający ostatni grymas tężejącego trupa.

Komnata pustoszeje, zupełnie jakby zebranych przegnały gromkie okrzyki. Wołania wcale nie ustają, tylko podnoszą się na nowo, jeszcze głośniejsze. Gdy Hektor wychodzi z dawnej rezydencji Heleny, witają go wiwaty tysięcy zebranych na zewnątrz żołnierzy.

– Zatem wszystko zaczyna się na nowo – szepce Kasandra z tym swoim upiornym uśmiechem. – W ten oto sposób koło wydarzeń zostało domknięte i dawna przyszłość odrodzi się teraz we krwi.

– Stul pysk – syczy Helena.

* * *

– Ada! Wstawaj! Szybko!

Ada zerwała całun z twarzy i usiadła na łóżku. Obok stała Emme i szarpała ją za ramię. Ada podniosła lewą dłoń i sprawdziła godzinę. Kilka minut po północy.

Z dziedzińca dobiegały okrzyki i wrzaski, słychać było też suche trzaski wystrzałów karabinowych i głucho stęknienia kusz. Coś ciężkiego uderzyło w ścianę dworku, sekundę potem okno w sąsiednim pokoju pękło i do środka posypał się deszcz tłuczonego szkła. Na pustej ramie zatańczył odbłask płomieni – coś na zewnątrz płonęło, bardzo blisko.

Ada wyskoczyła z łóżka. Kładąc się, nie zdjęła nawet butów, więc teraz tylko poprawiła kurtkę i wyszła na korytarz pełen biegnących ludzi. Wszyscy byli już uzbrojeni i pędzili na wyznaczone posterunki.

U stóp schodów czekał na nią Petyr.

– Przebiły się przez zachodnią ścianę palisady. Mamy duże straty. Wojniksy

dostały się na dziedziniec.

Ada wyskoczyła z domu prosto w zamęt i ciemność, w śmierć i grozę.

Razem z Petyrem i grupką innych towarzyszy wybiegli przez główne drzwi na południowy trawnik, lecz wokół było tak ciemno, że dziewczyna widziała tylko rozpalone na palisadach pochodnie i niewyraźne sylwetki ludzi wracających biegiem do dworku. Nieprzerwanie dolatywały ją krzyki.

Zaraz potem dopadł ich Reman. Muskularny brodacz – jeden z pierwszych słuchaczy wykładów Odyseusza – miał w ręku kuszę, lecz zabrakło mu już bełtów.

– Wojniksy zaatakowały najpierw północny mur. Przedarły się tamtędy... Było ich ze trzy, może cztery setki... Szturmowały wszystkie naraz, całą chmarą....

– Trzysta, czterysta wojniksów? – wyszeptała Ada.

Wczorajszy atak był najpoważniejszym ze wszystkich dotychczasowych, a wedle pobieżnych szacunków napadło ich nie więcej niż sto pięćdziesiąt potworów, nacierających jednocześnie na wszystkie cztery granice posiadłości.

– Atakują grupami po przynajmniej dwieście. – Reman próbował odzyskać oddech. – Ale najpierw dokonały wyłomu od północy. Obrzuciły nas gradem kamieni. Trafiły wielu naszych... Po ciemku nie było widać pocisków... a w pewnym momencie na parapecie muru ubyło ludzi... musieliśmy się kryć za palami, część zresztą uciekła. Wtedy zaczęły skakać, wchodziły sobie wzajem na plecy i odbijały się jak z trampoliny. Zanim zdołaliśmy sprowadzić posiłki, dostały się już między bydło. Szukam teraz dodatkowych bełtów i nowej włóczni...

Chciał przecisnąć się między nimi do przedsionka, w którym rozdawano broń, lecz Petyr przytrzymał go za ramię.

– Ściągnęliście rannych z palisady?

Reman pokręcił głową.

– Tam rozpętało się prawdziwe piekło. Wojniksy zarzynały wszystkich, którzy nie zdołali ustać, także tych z lżejszymi obrażeniami, czy ogłuszonych kamieniami. Nie mogliśmy... Po prostu nie byliśmy w stanie do nich dotrzeć. – Potężny mężczyzna odwrócił twarz, by ukryć wilgotne oczy.

Ada puściła się biegiem, obiegła dworek i skierowała ku północnej ścianie muru.

Wysokie rusztowanie żeliwiaka stało w płomieniach i czerwona aura ukazała całe zamieszanie. Ogień pochłaniał też prowizoryczne drewniane koszary i namioty, w których mieszkała ponad połowa załogi Ardis. Ogarnięci bezbrzezną paniką mężczyźni i kobiety pędzili w stronę dworku. Rozlegały się porykiwania i wycie krów, szlachtowanych przez błyskawicznie uwijające się wśród nich wojniksy. Prawie jak za dawnych czasów, przemknęło Adzie przez myśl. Przed Upadkiem także zajmowały się ubojem, właśnie do tego służyły im te zabójcze noże, którymi kończyły się silne, stalowe ramiona. Na oczach zdjętej grozą dziewczyny kolejne sztuki bydła padały w zaśniewane błoto. Kiedy wojniksy zabiły już wszystkie zwierzęta, długimi susami ruszyły przez

ostatnie sto metrów, dzielące je od głównego budynku. Wyglądały jak olbrzymie pasikoniki.

Petyr chwycił Adę za łokieć.

– Chodź! Musimy się wycofać!

– Rowy ogniowe... – wyrwała się.

Roztrącając sznur biegnących ludzi, dotarła do jednej ze stojących dokoła patio pochodni. Wyrwała ją z ziemi i ruszyła pędem w stronę najbliższego wykopu. Co chwila musiała uskakiwać przed cofającymi się do dworu obrońcami. Reman i paru innych próbowali nadać ucieczce jakiś porządek, lecz przerażony tłum nie dał się opanować. Ludzie w popłochu porzucali kusze, łuki i karabiny. Wojniksy dotarły już poza płonący żeliwiak. Ich skrzące się kształty wspinały się na ogarnięte pożogą rusztowanie i skakały z góry na próbujących ugasić pożar śmiałków. Inna grupa potworów – co najmniej kilkadziesiąt sztuk – wyminęła konstrukcję i zbliżała się długimi skokami do dziewczyny. Do rowu miała jeszcze pięćdziesiąt stóp, wojniksy zbliżyły się na niecałe osiemdziesiąt.

– Ada!

Nie zatrzymała się. Petyr z kilkorgiem ludzi ruszyli za nią. W tej samej chwili prowadzący atak wojniks przesadził pierwszy wykop.

Beczki nafty czekały już nad rowami, lecz nikt nie wylał paliwa do środka. Ada zdarła wieko, mocnym kopnięciem przewróciła pojemnik na bok i zaczęła turlać go wzdłuż krawędzi. Na dno płytkiego wykopu pociekła gęsta, ostro pachnąca ciecz. Petyr, Salas, Peaen, Emme i inni postąpili w ten sam sposób z pozostałymi beczkami.

Wtedy uderzyły w nich wojniksy. Jeden przeskoczył nad rowem i gładko odrąbał Emme rękę w ramieniu. Przyjaciółka Ady nawet nie krzyknęła. Otworzyła tylko szeroko usta i w niemym zdumieniu spojrzała na kikut. Wojniks ponownie podniósł ostrze. Na stalowej powierzchni zagrało światło płomieni.

Ada cisnęła pochodnię do rowu, poderwała z ziemi bezpańską kuszę i wystrzeliła prosto w skórzasty garb wojniksa. Stwór odwrócił się od Emme i przykucnął, gotując się do skoku na nową ofiarę. Petyr zamachnął się beczką i połowa śmierdzącej zawartości zalała pancerz wojniksa. Niemal jednocześnie Loes rzucił w niego pochodnię.

Potwór buchnął ogniem i zaczął bezradnie krążyć nad wykopem. Przeciążone czujniki podczerwieni zawiodły. Wojniks chaotycznie wymachiwał stalowymi manipulatorami. Dwóch stojących obok Petyra mężczyzn ostrzelało go chmurą kryształowych strzałek. Stwór spadł do rowu, podpalając go na całej długości. Pod Emme ugięły się nogi, lecz Reman zdążył ją podtrzymać. Bez trudu wziął ranną dziewczynę na ręce i trzymając ją w ramionach, odwrócił się w stronę domu.

Z ciemności wystrzelił kamień wielkości pięści, pędził szybko jak kryształowy pocisk i był niemal równie niewidoczny. Uderzył Remana prosto w potylicę. Mężczyzna, nie wypuszczając Emme z objęć, runął plecami prosto w huczące w wykopie płomienie. Oboje natychmiast stanęli w ogniu.

– Chodź! – krzyknął Petyr i złapał Adę za rękę.

Następny wojniks przeskoczył przez zasłonę płomieni i wylądował między nimi. Ada wystrzeliła mu w brzuch, wykorzystując swój ostatni bełt, chwyciła Petyra za przegub, wyminęła słaniającego się potwora i puściła biegiem przed siebie.

Pożary szalały już wszędzie dokoła. Wszędzie też Ada widziała wojniksy. Przez mur przedostały się już wszystkie, liczna grupa znalazła się za ogniowymi rowami. Niektóre padały rażone kryształowymi pociskami karabinów, inne szły chwiejnie, spowolnione celnymi strzałami z kusz i łuków. Część padała. Niestety ludzie prowadzili ogień pojedynczo, strzelali sporadycznie i często chybiali. Obrońców ogarnęła panika. Brakowało dyscypliny. Dodatkowo, ukryte wciąż za palisadą wojniksy zarzucały ich nieustannym gradem kamieni – padający w ciemności, morderczy deszcz. Ada z Petyrem spróbowali pomóc młodej rudowłosej dziewczynie, która została trafiona sporym odłamkiem skały i leżała, plując krwią na swoją białą koszulę. Ada odrzuciła bezużyteczną kuszę, podźwignęła ranną i noga za nogą ruszyły w kierunku dworku.

W tej chwili rowy płonęły już ze wszystkich czterech stron dworu. Ada zauważyła jednak, że wojniksy po prostu przebiegają przez ogień, lub skaczą ponad rowami. Ich rozpędzone, mroczne sylwetki pojawiały się na całym trawniku. Temperatura powietrza w kilka sekund podniosła się o dobre kilka stopni.

Rudowłosa dziewczyna potknęła się i upadła. Oparła się przy tym na Adzie i niemal pociągnęła ją ze sobą na ziemię. Ada przyklękła nad nią. Nie była w stanie uwierzyć, że człowiek może wypluwać z siebie aż tyle krwi. Petyr pociągnął ją za ramię, chciał ją odprowadzić.

– Ada, musimy uciekać!

– Nie!

Pochyliła się, zarzuciła sobie ranną na ramię i jakimś cudem zdołała się wyprostować. Otoczyło ich pięć wojniksów.

Petyr podniósł z trawy złamaną włócznię i utrzymywał potwory na dystans seriami pchnięć i fint. Przeciwnicy okazali się jednak zbyt szybcy. Wojniksy uskakiwały i zadawały własne, szczęśliwie niecelne ciosy prędzej, niż był w stanie reagować mężczyzna. W pewnej chwili jeden z nich chwycił za drzewce i wyrwał mu broń z ręki. Petyr stracił równowagę i padł na brzuch niemal pod nogi przeciwnika. Ada rozejrzała się gorączkowo dokoła, szukając jakiegokolwiek broni. Spróbowała raz jeszcze ustawić ranną dziewczynę na nogi, lecz ta nie utrzymała się w pionie i runęła na ziemię. Ada z gołymi rękami skoczyła na górującego nad Petyrem wojnika.

Zaklekotała broń palna i dwa wojniksy – w tym ten szykujący się do ścięcia głowy Petyra – osunęły się w błoto. Pozostała trójka odwróciła się w stronę nowego zagrożenia.

Laman, przyjaciel Petyra, który podczas wczorajszej bitwy stracił cztery palce prawej dłoni, strzelał z pistoletu, który ścisnął lewą ręką. Prawą podtrzymywał wykonaną z drewna i brązu tarczę, osłaniając się przed wciąż spadającymi kamieniami. Za plecami Lamana wyrosli Salas, Oelleo i Loes – przyjaciele Hanny i pilni uczniowie Odyseusza. Oni również bronili się tarczami i ostrzeliwali potwory z pistoletów. Powalili dwa kolejne wojniksy, a trzeciego zmusili do odwrotu na drugą stronę ogniowego rowu. Wciąż jednak nacierały kolejne dziesiątki napastników. Wokół grupki ludzi zaczynało się robić aż gęsto.

Petyr ociężale wstał z ziemi, pomógł Adzie podnieść rudowłosą i raz jeszcze ruszyli w stronę dworku, wciąż oddalonego o ponad sto stóp. Odwrot prowadził Laman, podczas gdy Loes, Salas i filigranowa Oelleo osłaniali ich tarczami.

Zaraz potem dwa wojniksy skoczyły Salas na plecy. Powaliły ją na błotnistą zrytą

ziemię i zaczęły siec ostrzami jej kręgosłup. Laman odwrócił się i wystrzelił w jednego z napastników, opróżniając cały magazynek. Stwór odleciał na kilka stóp i przejechał po zmarzniętym podłożu, lecz Ada nie miała wątpliwości. Dziewczyna zginęła. Mgnienie potem z mroku wypadł kamień i trafił Lamana w skroń. Mężczyzna padł bez życia.

Ada przekazała ranną Petyrowi, a sama podniosła ciężki pistolet. Kamienie wciąż furkotały w ciemności, lecz osłaniały ją przed nimi wprawnie nastawione tarcze Loesa i Oelleo. Także Petyr sięgnął wolną ręką po tarczę Lamana i ustawił ją w rzędzie z pozostałymi. Sporych rozmiarów skalny odłamek przebił tarczę Oelleo. Przeszedł przez drewno i warstwę skóry, po czym zgruchotał jej rękę. Kobieta – bliska przyjaciółka Daemana – odrzuciła głowę w tył i zawyla z bólu.

Otaczały ich już dziesiątki – setki – wojniksów. Potwory skakały i biegały dokoła, mordując wijących się na ziemi rannych. Niepowstrzymanie zacieśniały pierścień wokół Dworu Ardis.

– Jesteśmy odcięci! – zawołał Petyr.

Ogień w rowach zaczynał przygasać, wojniksy pokonywały zaporę bez najmniejszego problemu. Na trawie słało się znacznie więcej ludzkich ciał niż zniszczonych korpusów przeciwników.

– Musimy spróbować! – odpowiedziała mu Ada.

Jednym ramieniem podtrzymywała ranną, drugą prowadziła ogień z pistoletu. Głośnym okrzykiem poleciła Oelleo złączyć tarcze z Loesem. Kryjąc się za tą kruchą osłoną, puścili się biegiem do domu.

Coraz to kolejne wojniksy zauważały grupkę niedobitków i próbowały zastąpić im drogę. Było ich dwadzieścia, może trzydzieści sztuk. Z pancerzy i skórzastych kapturów niektórych sterczały już kryształowe strzałki, w których igrało światło płomieni, rzucające wokół zielono-czerwone refleksy. Jeden złapał tarczę Oelleo, przewrócił ją i poderznął jej gardło zamaszystym uderzeniem lewego ostrza. Inny wyrwał Adzie rudowłosą dziewczynę. Ada podniosła pistolet i cztery razy pociągnęła za spust, mierząc prosto w skórzany garb. Pozbawiony przedniej płyty pancerza wojniks padł na nieprzytomną, zalewając ją białoniebieską krwią. Ada zauważyła następne kilkanaście stworów. Były coraz bliżej. Spróbowała wystrzelić, lecz broń odpowiedziała jej suchym szczękiem iglicy. Nie miała już amunicji...

Petyr, Loes i Ada klęczeli obok siebie, starając się osłonić tarczami nieprzytomną dziewczynę. Loes ostrzeliwał się z ostatniego działającego karabinu. Petyr podniósł swoją złamaną włócznię, lecz przed nimi pojawiło się kilkadziesiąt wojniksów.

Harman, zdążyła pomyśleć Ada. Uświadomiła sobie, że imię kochanka wywołuje w niej mieszkankę miłości i gniewu. Dlaczego go tutaj nie ma? Czemu uparł się ją porzucić akurat w ostatnim dniu jej życia? Przecież dziecko, które rozwija się w jej łonie, jest tak samo skazane na śmierć jak ona sama, a on nie pojawił się, by bronić własnej rodziny. W tej chwili darzyła go miłością równie gorącą jak nienawiść, którą do niego czuła. Przepraszam, przemknęło jej przez myśl. Nie przepraszała wcale siebie i nie przepraszała Harmana, lecz rosnące w jej brzuchu dziecko. Stojący najbliżej wojniks skoczył. Cisnęła w jego stalowy pancerz bezużytecznym pistoletem.

Potwór odleciał w tył i rozpadł się na kawałki. Zdumiona Ada otworzyła szeroko

oczy. Kolejna piątka wojniksów padła jak ścięta. Kilkanaście pozostałych przykucnęło. Zadarły manipulatory, starając się osłonić przed bijącymi z sonika kryształowymi strzałkami. W przeciążonym pojeździe siedziało przynajmniej ośmioro ludzi. Strzelali raz za razem.

Greogi sprowadził maszynę niżej, frunął kilka stóp nad ziemią. Idiota! – pomyślała Ada. Wojniksy mogą wskoczyć na pokład, zmusić ich do lądowania. A przecież jeśli stracimy sonik, stracimy również Ardis.

– Ruchy! – zawołał Greogi.

Loes osłonił ich własnym ciałem. Petyr i Ada wyciągnęli ledwie oddychającą dziewczynę spod truchła wojniksa i ułożyli ją w soniku. Czyjeś dłonie pomogły wsiąść Adzie. Petyr wdrapał się o własnych siłach. Kamienie leciały ze wszystkich stron. Trzy wojniksy skoczyły, unosząc się ponad głowy pasażerów, lecz ktoś – zdaje się że Peaen – wypaliła z karabinu i dwa runęły na ziemię. Ostatni wylądował na dziobie sonika, tuż przed twarzą Greokiego. Łysy mężczyzna dźgnął go mieczem w pierś. Spadający potwór zabrał ostrze ze sobą.

Loes odwrócił się i wskoczył do środka. Szybujący sonik zachybotał, osiadł, uderzył podwoziem o zmarzniętą ziemię. Wojniksy zbliżały się ze wszystkich stron. Z perspektywy wyciągniętej na zakrwawionej leżance Ady wydały się znacznie większe niż zwykle.

Greogi poruszył dłońmi nad wirtualną konsolą. Pojazd zatańczył w miejscu, po czym uniósł się. Znow skoczyło kilka wojniksów, lecz powstrzymały je celne strzały załogi.

– Amunicja się kończy! – zawołał leżący z tyłu Stoman.

– Nic ci nie jest? – Petyr pochylił się nad Adą.

– Nic. – Ada już od dobrej chwili próbowała powstrzymać upływ krwi rudowłosej, lecz krwotok był wewnętrzny. Nie czuła już pulsu na jej szyi. – Ona chyba nie... – wydukała.

Podwoziem i burtami sonika wstrząsnął nagły grad kamieni. Jeden trafił Peaen prosto w pierś i dziewczyna opadła bezwładnie na ciało podopiecznej Ady. Petyr dostał tuż za uchem. Głowa mężczyzny wystrzeliła gwałtownie naprzód.

– Petyr! – wrzasnęła Ada. Poderwała się, by go przytrzymać.

Podniósł wzrok, obrzucił ją dziwnie zagadkowym spojrzeniem, uśmiechnął się lekko i wypadł ze wznoszącego się sonika, prosto w kłębiący się poniżej tłum wojniksów.

– Trzymajcie się! – zawołał Greogi.

Wysoko nad Dworem Ardis zatoczyli krąg. Ada wychyliła się za burtę. Wojniksy dobijały się do drzwi, obłaziły ścianę, łomotały we wszystkie okiennice. Budynek był otoczony wielkim prostokątem ognia, a okolicę dodatkowo oświetlały płonące koszary i żeliwiak. Od urodzenia miała kłopot z szacowaniem ilości, lecz przez mury musiało się już przedrzeć mniej więcej tysiąc wojniksów. Ich fala zalewała dom.

– Nie mam czym strzelać! – zawołał mężczyzna klęczący z przodu po prawej stronie.

Dziewczyna rozpoznała w nim Bomana. Wczoraj gotował dla niej śniadanie.

Greogi zadarł brodę, mimo licznych plam krwi i błota jego twarz wyraźnie bieląca

w ciemności.

– Powinniśmy polecieć do faksowężła – zasugerował. – Ardis jest już stracone.

Ada pokręciła głową.

– Róbcie co chcecie. Ja tu zostaję. Wysadźcie mnie tam.

Wymierzyła palcem w widniejącą pomiędzy spadzistymi dachami platformę dla skoczków. Przypomniała sobie moment, gdy jako nastolatka zaprowadziła na nią swojego kuzyna Daemana. Kiedy weszła na drabinę, zajrzał jej pod spódniczkę i zauważył, że nie ma na sobie bielizny. Nie włożyła jej rozmyślnie, doskonale wiedziała, jak rozwiązłym chłopcem jest jej starszy krewniak.

– Wysadź mnie! – zażądała stanowczo.

Z dachu, z szerokich rynien i samej platformy prowadzili ogień mężczyźni i kobiety. Przypominali zgarbione gargulce. Strzałki, belty i strzały raziły cisnący się poniżej, coraz bardziej liczny tłum wojniksów. Ada zdała sobie sprawę, że obrońcy z równym powodzeniem mogliby próbować powstrzymać przyływ, ciskając w fale nadmorskim żwirem.

Greogi sprowadził sonik nad zatłoczoną platformę. Ada wyskoczyła i ktoś podał jej ciało rudowłosej dziewczyny – nikt nie wiedział, czy wciąż żyje. W następnej kolejności wysadzili nieprzytomną, lecz pojękującą słabo Peaen. Ada ułożyła obie ranne na deskach. Boman wyskoczył tylko na moment, załadował do sonika cztery ciężkie wory z magazynkami i wspiął się z powrotem na pokład. Pojazd okręcił się bezszelestnie wokół własnej osi i odleciał. Greogi prowadził go łagodnie, w napięciu wpatrując się przed siebie. Wyraz jego oblicza przypominał Adzie minę matki zasiadającej w salonie do fortepianu.

Podeszła niepewnie na skraj podestu. Zakręciło się jej w głowie i gdyby nie podtrzymałaby jej anonimowa dłoń, niechybnie by spadła. Nieznany pomocnik odsunął się i podrzucił do ramienia karabin. Rozległy się suche wystrzały. Z ciemności wyfrunął kamień i ktoś runął na deski. Ciało zsunęło się po spadzistym dachu i zniknęło w dole. Ada nie miała pojęcia, kim ten człowiek był. Nie wiedziała też, kto ją ocalił.

Spoglądała w dół niemal obojętnie. Poczowała się trochę tak, jak obserwując pod całunem turyński spektakl – ot, prostackie, nierzeczywiste przedstawienie, pozwalające zabić nudę deszczowego, jesiennego popołudnia.

Wojniksy zaczęły się wspinać po ścianach dworku. Kilka okiennic nie wytrzymało naporu i przez wybite w nich otwory napastnicy wdarli się do wewnątrz. Wylewające się z frontowych drzwi światło ukazywało rojące się od potworów schody. Ada zrozumiała, że główne wejście zostało stracone – wszyscy obrońcy w korytarzu i holu na pewno już zginęli. Wojniksy poruszały się błyskawicznie i sprawnie niczym owady. Dziewczyna uświadomiła sobie, że już za kilka chwil dotrą tu na górę, na dach. Zachodnie skrzydło jej domu płonęło, lecz tym zupełnie się już nie przejmowała. I tak wcześniej dopadną ją potwory.

Odwróciła się i po omacku zaczęła badać dłońmi deski platformy. Co chwila trafiając palcami na czyjeś zwłoki, szukała porzuconego przez jej wybawcę karabinu. Nie zamierzała umrzeć bezbronna.

Kiedy Daeman faksował się do Krateru Paryskiego, naturalnie spodziewał się chłodu. Jednak nie aż tak dojmującego.

Zięb wewnątrz stacji Guarded Lion ledwie pozwalał oddychać. Budynek spowijały grube sznury błękitnego lodu. Ich gęste sploty, niczym ścięgnię na zwierzęcej kości, ciasno oplatały cały pawilon.

Wędrówka przez pozostałe dwadzieścia dziewięć wyznaczonych węzłów i przekazanie ich mieszkańcom wiadomości o zagrożeniu ze strony Setebosa i niebieskiego lodu zajęło mu ponad trzynaście godzin. Plotka jednak okazała się szybsza – przerażeni, uprzedzeni już ludzie informowali sąsiadów z innych węzłów, nim zdążył do nich dotrzeć. Niemniej wszędzie zarzucano go pytaniami. Tłumaczył więc, co mógł, po czym jak najszybciej faksował się dalej. Wciąż spotykał się z tymi samymi pytaniami. Gdzie jest bezpiecznie? Wokół wszystkich ludzkich siedzib zbierały się wojniksy. Kilka osiedli ucierpiało już nawet wskutek ataków, lecz tylko gdzieniegdzie były to napaści takiej skali, jak poprzedniej nocy w Ardis. Dokąd uciekać? Ta kwestia zajmowała ludzi na całym świecie. Gdzie możemy się schronić? Daeman opowiadał im o Setebosie wszystko, co wiedział, mówił o wieloramiennym bóstwie Kalibana, o błękitnym lodzie, i przenosił się dalej. Dwukrotnie musiał zagrozić komuś kuszą, dopiero wtedy pozwolili mu odejść.

Chom, oglądane z oddalonego o pół mili wzgórza pawilonu, przypominało martwy, lodowy kokon. Niebiańskie Kręgi Ułanbatu zostały spowite niebieskimi pasmami bez reszty, a Daeman musiał się błyskawicznie faksować, by nie przemarznąć. Kod Krateru Paryskiego wstukał, nie mając pojęcia, co zastanie na miejscu.

Wkrótce się dowiedział. Błękitny mróz. Cały węzeł Guarded Lion był pogrzebany pod lodem Setebosa. Daeman pośpiesznie naciągnął na głowę kaptur termoskóry i nałożył maskę osmotyczną. Mimo tych zabezpieczeń lodowate powietrze wciąż paliło go w płucach. Zarzucił kuszę na ramię, gdzie zawisła obok ciężkiego plecaka. Zastanowił się, co dalej.

Nikt – nawet on sam – nie miałby mu za złe, gdyby w tej chwili zawrócił, faksował się do Ardis i zdał przyjacielom raport. Zrobił wszystko, co powinien. Stacja była otoczona pasmami błękitnego lodu. Najszerszy otwór w pokrywie miał może trzydzieści cali średnicy i widniał za nim lodowy korytarz, który równie dobrze mógł nie mieć wylotu. A gdyby tak wkroczył w ten labirynt stworzony przez Setebosa nad szkieletem martwego miasta i już nigdy z niego nie wyszedł? Przecież w Ardis mogli go potrzebować. Z całą pewnością przydadzą się tam informacje, jakie zebrał przez ostatnie trzynaście godzin podróży.

Daeman westchnął, zrzucił z ramion kuszę i plecak, przykucnął przy otwierającym się tuż nad podłogą tunelu, wsunął weń bagaż, popchnął go kuszą i zaczął się czołgać po lodzie. Obleczone termoskórą kolana i łokcie zziębły natychmiast, jakby wystawił je na

kosmiczną próżnię.

Było mu niewygodnie, czuł ból całego ciała. Po niecałych stu metrach natknął się na rozstaje i skręcił w lewo, jako że tam lód wydawał się cieńszy. Po kolejnych pięćdziesięciu metrach szyb skierował się lekko w dół, rozszerzył, po czym uniósł niemal pionowo ku górze.

Daeman usiadł – pośladki natychmiast przeniknął chłód. Wyciągnął z plecaka butelkę wody. Był wycieńczony, dręczyło go pragnienie. Spotkania z przerażonymi ludźmi nie należały do przyjemnych doświadczeń. Starał się racjonować wodę i wciąż miał jeszcze pół butelki. W tej chwili, rzecz jasna, nie mogła mu się na wiele zdać, zamarzała niemal na kość. Wcisnął ją pod kurtkę i przyjrzał się lodowej ścianie.

Podobnie jak wszystkie nici błękitnej zmarzliny nie była idealnie gładka. Pokrywała ją siateczka zgrubień, które biegły poziomo lub ukośnie, co mogło mu pozwolić wspiąć się po nich jak po szczeblach drabiny. Szyb jednak strzelał na co najmniej sto stóp wzwyż i dopiero wtedy uchylał się lekko w bok. Ale jednak światło słoneczne wydawało się tam zdecydowanie jaśniejsze.

Sięgnął do plecaka po dwa czekany, które Reman wykuł specjalnie na jego prośbę dzień wcześniej. Zanim nie nauczył się sigłować i korzystać ze starych ksiąg Harmana, nie znał nawet słowa „czekan”. Gdyby poznał je przed Upadkiem, sam pomysł takiego narzędzia wydałby mu się kretyński. W końcu ludzie nie potrzebowali żadnych narzędzi. A teraz – teraz zależało od nich jego życie.

Czekany miały długość mniej więcej czternastu cali, ich ostrza z jednej strony były proste i ostre, z drugiej zakrzywione i ząbkowane. Reman pomógł mu owinąć ręczki rzemieniami – dzięki nim mógł trzymać je pewnie nawet przez rękawice termoskóry. Same czubki Hannah starannie naostrzyła na kamieniu szlifierskim.

Daeman wstał, zadarł głowę, poprawił maskę osmotyczną na twarzy, zarzucił plecak na ramiona i upewnił się, czy pasek kuszy trzyma solidnie – broń wisiała ukośnie na plecaku. Wziął zamach i wbił ostrze w lodową ścianę, po czym podciągnął się cztery stopy w górę. Tunel był niewiele szerszy od największego komina Dworu Ardis, więc Daeman oparł się o lód przed sobą wyprostowaną nogą, kolano drugiej przycisnął do ściany, a stopą zaparł się z tyłu i w tej pozycji kilka chwil odpoczywał. Następnie wyciągnął drugi czekan najwyżej jak zdołał i wraził go w ścianę szybu. Ruszył w górę, i w końcu zawisł na jednym czekanie, podpierając się na drugim. Następnym razem, przemknęło mu przez myśl, nabiję sobie podeszwy kolcami.

Zdyszany, uśmiechnął się w duchu na myśl, że mógłby taką wędrówkę odbyć po raz drugi. Przed oczyma – mimo że miał na twarzy maskę osmotyczną – widział skraplające się chmurki oddechu. Plecak uparcie ciągnął go w przepaść, lecz Daeman zaczął wycinać w zimnej ścianie kolejne stopnie i półki, podciągał się, wciskał czubki butów w wąskie szczeliny. Czekan, który trzymał w prawej dłoni, co chwila wbijał wyżej, a kiedy się na nim wieszał, drugim narzędziem rąbał lód. Po dwudziestu stopach takiej wspinaczki zawisł na czekanach i spojrzał ku górze. W sumie nieźle mi idzie, stwierdził. Jeszcze dziesięć czy piętnaście podciągnięć i dotrę do zakrętu... I okaże się, że to ślepy zaułek – odezwał się w jego głowie cichy głosik. Zawtórował mu kolejny, znacznie bardziej ponury: albo spadniesz i zginiesz. Daeman otrząsnął się i zauważył przy tym, że

zaczynają mu drżeć napięte mięśnie zmęczonych ramion i nóg. Postanowił, że przy następnym postoju wytnie w lodzie szerszy stopień, żeby wygodniej odpocząć. Przypomniawszy sobie, że – jeśli zostanie zmuszony do powrotu tą samą drogą – ma przecież w plecaku linę. Nie był tylko pewien, czy spakował odpowiednio długi kawałek.

Ponad lodowym szybem tunel biegł poziomo na długości około sześćdziesięciu stóp, dwukrotnie się rozwidlał, aż wreszcie otworzył na szeroki wąwóz, otoczony ścianami błękitnego lodu. Rozdygotanymi rękami Daeman wcisnął czekany do plecaka i zsunął kuszę z ramienia. Kiedy stanął w wylocie tunelu, podniósł wzrok i zobaczył błękitne, popołudniowe niebo. Rozpadlina ciągnęła się daleko w obie strony. W nierównym, pokrytym stalagmitami dnie wąwozu otwierały się miejscami głębokie na trzydzieści, czterdzieści stóp przepaście. Ze ścian wyrastały stalaktyty. Nad głową zauważył grube lodowe pomosty. Gdzieś tam z niebieskiego lodu wystawały mury zamrożonych w głębi budynków. Widział kawały cementu, powybijane okna, w których lód zastąpił szyby, trójbambusowe wieżowce i fulerenowe konstrukcje, dobudowane do budowli pochodzących jeszcze z Zapomnianej Ery. Wszystko skute zwałami błękitnego lodu. Dotarło do niego, że znalazł się na rue de Rambouillet, niedaleko faksowężła Guarded Lion, tyle że sześć pięter nad poziomem ulicy, którą przez całe życie spacerował lub jeździł zaprzężonymi w wojniksy kabrioletami i bryczkami.

Przed nim, na północnym zachodzie, wąwóz schodził łagodnie w dół, niemal do poziomu starożytnej ulicy. Daeman dwa razy pośliznął się na śliskiej powierzchni, lecz zanim ruszył w drogę, wyjął z plecaka czekan i przy każdym upadku udało mu się wbić go w ścianę i powstrzymać gwałtowny zjazd.

Czując palący ból w płucach, stanął na jasno oświetlonym dnie głębokiego na dwieście stóp wąwozu, zamkniętego lodowymi ścianami utworzonymi z nieprzeliczonych włókien, które – był o tym coraz głębiej przekonany – stanowiły części żywej tkanki. Po chwili zobaczył drugi kanion, łączący się ukośnie z rue de Rambouillet. Miejsce rozpoznał natychmiast. Avenue Daumesnil. Tę okolicę znał doskonale – bawił się tu jako dziecko, jako nastolatek podrywał dziewczęta, a w dorosłości chętnie spacerowali tą ulicą z matką.

Gdyby poszedł tą drugą rozpadliną i skręcił w prawo, na południowy wschód, miałby przed sobą las zwany Bois de Vincennes. Nie chciał jednak oddalać się od centrum miasta i ziejącego w nim krateru. W końcu Dziura w niebie otworzyła się na północnym zachodzie, bardzo blisko wieżowca matki. Aby tam dotrzeć, musiał pójść prosto przez kanion Avenue Daumesnil ku trójbambusowym kramom na targu Oprabastel, naprzeciwko starożytnej kupy gruzów, którą mieszkańcy Krateru Paryskiego nazywali Bastylią. W dzieciństwie toczył tam prawdziwe bitwy. Z kilkoma kolegami ze swego wieżowca obrzucali kamieniami i grudami ziemi chłopaków z zachodniej dzielnicy, wyrostków przezywanych „radioaktywnymi bastyljczykami”. Skąd się to wzgardliwe określenie wzięło, nie wiedział nikt, nawet dorośli.

Wokół Oprabastel lód wyraźnie zgęstniał i wydawał się bardziej złowrogi, lecz Daeman wiedział, że nie ma wyjścia. Co gorsza to właśnie gdzieś tam, nad kraterem, zobaczył poprzednio Setebosa.

Wąwóz, którym szedł, skręcał w prawo przed skrzyżowaniem z Avenue

Daumesnil. Kanion szerszej ulicy był zbyt głęboki, by Daemon mógł zejść po jego ścianie, więc przeszedł nad nią po lodowym moście. Zerknął w dół i ujrzał trójbambusowe i eterplastowe zabudowania oraz znajomą jezdnię. Wąwóz był jednak znacznie głębszy, sięgał niżej, ukazując wiekowe ruiny i liczne warstwy stalowo-betonowego miasta ukrytego pod współczesnym Kraterem Paryskim. Oczyma wyobraźni chłopak zobaczył straszliwą postać Setebosa. Przypominający szaroróżowy mózg potwór grzebał w ziemi swymi niezliczonymi dłońmi, odsłaniając zapomniany kościec miasta pod miastem. Czego mógł tu szukać? – zapytał sam siebie Daeman i nagle przeszył go zimny dreszcz przerażenia. Co mógł tu zakopać, kogo pogrzebać?

Na poziomie ulicy drogę zagroziły mu grube pasma lodu i gąszcz stalagmitów stłoczonych zbyt ciasno, by mógł iść dalej. Ku swemu zdumieniu zauważył jednak wciąż porośniętą świeżą zieloną trawą ścieżkę biegnącą na północny zachód wzdłuż Avenue Daumesnil. Wbił bełt w lód i uwiązał do niego linę. Przez całe trzydzieści stóp opuszczał się z najwyższą ostrożnością. Doskonale rozumiał, że w tej sytuacji złamanie nogi oznaczałoby dla niego wyrok śmierci. W pewnym momencie natknął się na lodowy nawis. Odepchnął się stopami od ściany i ostatnie dziesięć stóp zsunął po linie. Wreszcie zawisł tuż nad absurdalnie zielonym trawnikiem.

W ciemności pod lodowym okapem czekało kilkanaście wojniksów.

Kompletnie zaskoczony Daeman odruchowo sięgnął po kuszę i wypuścił sznur z rąk. Spadł z wysokości czterech stóp, pośliznął się na trawie i padł na plecy, przygniatając broń. Leżąc bezradnie, podniósł tylko wzrok i spojrzał prosto na uniesione do ciosu stalowe manipulatory, zabójczo ostre noże i pancerne tułowia. Oddział wojniksów zastygł w momencie skoku. Dzielilo go od nich ledwie osiem stóp.

Zastygły. Ciała potworów były uwięzione w grubym lodzie, z którego sterczały jedynie fragmenty kończyn i ostrzy. Ani jeden wojniks nie stał na ziemi obunóż i Daeman zrozumiał, że lód pochwyił je w trakcie ucieczki, dosłownie w pół kroku. A wojniksy poruszały się przecież bardzo szybko. Jak to możliwe, że zmarzlina zamknęła je w sobie tak błyskawicznie?

Nie potrafił sobie na to pytanie odpowiedzieć, lecz był bardzo zadowolony, że to nie potwory wygrały ten wyścig. Wstał, rozmasował plecy obolałe wskutek uderzenia o pękaty plecak i ciężką kuszę, i ściągnął linę. Zastanawiał się, czy jej tu nie zostawić – miał ze sobą jeszcze drugi, długi na sto stóp sznur, a w drodze powrotnej mógł przecież potrzebować wspiąć się na ścianę błyskawicznie, zamiast z mozołem rąbać stopnie czekanami. Zdecydował jednak, że każdy kawałek liny może się okazać na wagę złota. Ruszył na północny zachód, wzdłuż Avenue Daumesnil. Droga wiodła pod tym, co z przyzwyczajenia wciąż nazywał w myślach Promenade Plantee – dobrze pamiętał wiszący w tej chwili sześćdziesiąt stóp nad nim, pokryty błękitnym lodem i wyłożony trójbambusem deptak. Daeman sięgnął po kuszę, sprawdził, czy jest załadowana i gotowa do strzału, po czym ruszył po tym niedorzecznie żywym trawniku w kierunku serca miasta.

Promenade Plantee – tak właśnie wszyscy mieszkańcy Krateru Paryskiego mówili na zawieszoną w lodzie aleję. Nazwa należała do tych rzadkich starych określeń ułożonych ze słów pochodzących z mowy dawniejszej niż wspólny język ludzkości.

Daeman nigdy nie słyszał, by ktoś zastanawiał się nad ich znaczeniem. Za to teraz – gdy kroczył po paśmie zielonej trawy, w pogłębiającym się wąwozie, do którego docierało coraz mniej światła, wśród zwałów niebieskiej zmarzliny i niedawno odsłoniętych ruin – przyszło mu do głowy, że napowietrzna promenada mogła przejąć nazwę od tego starożytnego, zapomnianego splachetka roślinności, który wychynął spod ziemi dopiero za sprawą niezrozumiałego kaprysu wieloramiennego Setebosa.

Daeman szedł naprzód ostrożnie. Ogarniał go narastający stopniowo niepokój. Nie miał pojęcia, co spodziewał się zastać u kresu wędrówki – przede wszystkim chciał się dobrze przyjrzeć Setebosowi – o ile stwór rzeczywiście był Setebosem – i przekazać mieszkańcom Dworu Ardis wiadomość o stanie miasta po jego inwazji. W organicznej tkance otaczającego promenadę lodu co chwila jednak dostrzegał kolejne złowieszcze sygnały – zamrożone wojniksy, wysokie stosy ludzkich czaszek, ruiny, na które od długich wieków nie padł nawet promień słońca. Z napięcia zaschło mu w ustach, a dłonie pokryła warstewka potu.

Żałował, że nie wziął ze sobą jednego z pistoletów czy karabinów, które Petyr przywiózł sonikiem z mostu. Wciąż miał świeżo w pamięci moment, kiedy Savi w grocie ukrytej pod powierzchnią orbitalnej wyspy Prospera wyładowała cały magazynek kryształowych strzałek prosto w pierś Kalibana. Potwór nie zginął. Zawył z bólu i zalał się krwią, lecz zdołał chwycić staruszkę swymi długimi ramionami, przyciągnął ją do siebie i przegryzł jej kark, czemu towarzyszył wyraźny, obrzydliwy trzask kości. Następnie stwór zaciągnął zwłoki w odmęty bagna i uciekł w głąb labiryntu kanałów ściekowych i zalanych tuneli.

Przyszedłem tu, by znaleźć Kalibana, pomyślał. Po raz pierwszy sformułował swój cel tak otwarcie. Kaliban był jego wrogiem – był jego nemezis. Daeman poznał to słowo dopiero miesiąc wcześniej i od razu zrozumiał, wobec kogo może je zastosować. Kaliban. Nie było również wykluczone, że – po ich nierozstrzygniętym pojedynku na orbitalnej wyspie, kiedy porzucił rannego Kalibana na pewną śmierć w zderzeniu asteroidy z czarną dziurą – także potwór miał swoją nemezis. Daemana.

Ta wizja szalenie przypadła mu do gustu, mimo że na samą myśl o ponownym starciu z Kalibanem dłonie spocily mu się jeszcze bardziej, a z ust zniknęła ostatnia kropla śliny. Zaraz potem jednak Daeman przypomniał sobie moment, kiedy trzymał w dłoniach czaszkę własnej matki; przypomniał sobie prowokacyjnie ułożone w piramidę czerepy – w ten sposób znieważyc go mógł jedynie Kaliban, dziecko wiedźmy Sykoraks, sługa Prospera, wyznawca Setebosa, bóstwa bezrozumnej przemocy. Poszedł dalej, mocno ściskając w rękach kuszę załadowaną dwoma kruchymi, lecz starannie naostrzonymi karbowanymi bełtami.

Gdy znalazł się w plamie cienia rzucanego przez kolejny lodowy nawis, zauważył zastygłe w zwałach niebieskiego lodu sylwetki. Tym razem nie były to wojniksy. Postacie wyglądały na ludzi – lecz ludzi olbrzymich, potężnie umięśnionych, zamarłych w niewygodnych pozach, o niebieskoszarym ciele i pustych, zwróconych ku niebu oczach.

Daeman przez okrągłe pół minuty stał nieruchomo z podniesioną do strzału kuszą, zanim uświadomił sobie, na co właściwie patrzy.

Posągi. Tego z kolei słowa nauczyła go Hannah. Ludzkie podobizny wykute z kamienia lub wykonane z jakiegoś innego materiału. W Kraterze Paryskim i w ogóle na całym świecie z jego młodzieńczych lat nie było żadnych posągów. Po raz pierwszy zobaczył je około dziesięć miesięcy temu, na moście Golden Gate w Machu Picchu. Most, czy raczej oblepiające go niczym pędy bluszczu zielone kule stanowiły prawdziwe muzeum, co wyjaśniła im dopiero Hannah – jak zwykle zainteresowana wszystkim, co można wykonać z roztopionego metalu. Dziewczyna powiedziała, że „posągi” są dziełami sztuki. O sztuce też nie słyszeli nigdy wcześniej. Najwyraźniej jedynym sensem tworzenia „posągów” była przyjemność, jaką sprawia ich oglądanie. Daeman uśmiechnął się do własnych wspomnień. Podczas tamtej wizyty na moście wzięli Odyseusza, nazywającego się teraz Nikim, za jedno z takich właśnie dzieł sztuki i nieźle ich przestraszył, kiedy się poruszył i odezwał.

Posągi, na które patrzył, pozostały w bezruchu. Daeman opuścił kuszę i podszedł bliżej.

Figury były ogromne – ponad dwukrotnie większe od żywych ludzi. Wystawały z lodu, ponieważ ściana starożytnego budynku, którego stanowiły część, pochyliła się naprzód. Wszystkie kamienne lub betonowe postacie przedstawiały tę samą osobę – mężczyznę bez zarostu, otoczonego burzą loków wyciosanych z szarego budulca. Ubrany był jedynie w podwiniętą na brzuchu koszulkę na ramiączkach. Lewe, zgięte w łokciu ramię uniesione miał ku górze, dłoń spoczywała na potylicy. Potężnie umięśnione prawe ramię wyciągało się w dół, a szeroka dłoń leżała na brzuchu, tuż poniżej piersi, podtrzymując szare, betonowe fałdy koszulki. Poniżej widoczna była tylko prawa noga, wykuta w fasadzie budowli. Wszystkie figury były połączone rodzajem gzymsu, biegnącego na wysokości ich bioder. Pod nim ciągnął się szereg niewielkich okienek.

Daeman przysunął się jeszcze bliżej i odczekał, aż wzrok przywyknie mu do panującej pod błękitnym zimnym nawisem ciemności. Głowa mężczyzny – „posągu” – była przechylona lekko na bok, szary policzek niemal stykał się z kamiennym ramieniem. Chłopak nie był w stanie odcyfrować wyrazu twarzy postaci – opuszczone powieki, wydęte ku górze usta. Czyżby cierpiał? A może właśnie przeżywał orgazm lub ekstazę? Niewykluczone. Naturalnie mogła to być również jakaś inna, złożona emocja, znana dawnym ludziom, a w epoce Daemana kompletnie zapomniana. Długi szereg identycznych sylwetek wyrastających ze ściany budynku i sterczących z niebieskiego lodu skojarzył się Daemanowi z rzędem tancerzy mizdrzących się do niewidzialnej widowni. Co mogło się w tym budynku znajdować? Co robili w nim Starożytni? I po co takie ozdoby?

Na frontonie ruiny zauważył jakiś napis – litery rozpoznał dzięki spędzonym w towarzystwie Harmana miesiącom i opanowaniu umiejętności sigłowania.

SAGI M YUNEZ YANOWSKI 1991

Daeman co prawda nie umiał czytać, lecz wiedziony nawykiem przyłożył obleczonej w rękawicę termoskóry dłoń do zimnego kamienia i przywołał w myślach obraz pięciu sąsiadujących ze sobą niebieskich trójkątów. Nie stało się nic. Roześmiał się z własnej głupoty – przecież sigłować można tylko książki, i to nie wszystkie, z pewnością nie kamienie. Poza tym, czy funkcja sigłowania zadziałałaby przez

cząsteczkową tkaninę skafandra? Nie miał pojęcia.

Zdołał jednak odczytać cyfry. Jeden, dziewięć, dziewięć, jeden. Tak wysokiego numeru nie miał żaden faksowzeł. Może liczba wyjaśniała przeznaczenie posągów? A może starożytni chcieli zachować określony moment w czasie, podobnie jak kamień zachował ludzkie podobizny? W jaki sposób numeruje się czas? – zastanawiał się i przez chwilę próbował sobie wyobrazić, co by było, gdyby jeden, dziewięć, dziewięć, jeden oznaczało liczbę lat... Być może liczono je od początku panowania jakiegoś pradawnego władcy, takiego jak Agamemnon czy Priam, których oglądał w spektaklu turyńskim? A może zagadkowa liczba stanowiła podpis twórcy tych niepokojących posągów? Czy to możliwe, by ludzie z Zapomnianej Ery zamiast imion stosowali właśnie cyfry?

Daeman pokręcił głową i wyszedł spod lodowego okapu. Tracił tylko czas, a wszystko dokoła – budowle i „posągi”, które zdecydowanie powinny były pozostać pod ziemią, nawet jego własne myśli o ludziach tak różnych od jego przyjaciół, o kimś, kto próbował numerować sam czas – wydawało mu się równie obce, dziwaczne i niepokojące, jak wspomnienie wychodzącego z Dziury Setebosa, obrzmiałego mózgu, niesionego na grzbietach hordy szczurów.

Jeśli miał znaleźć Kalibana lub Setebosa – bądź pozwolić, by to oni go odszukali – powinien zacząć od tej zwieńczonej kopułą katedry.

Oczywiście nie była to prawdziwa katedra. „Katedra” była kolejnym ze świeżo przyswojonych przez chłopaka wyrazów. Znalazł go, siglując pożyczoną od Harmana książkę, z której nauczył się wielu nowych słów, choć treści nie zrozumiał praktycznie wcale. Kopuła jednak pasowała rozmiarami do jego wyobrażenia dawnej katedry. Oczywiście żadna katedra nie mogła przecież nigdy stać w mieście zwanym teraz Kraterem Paryskim.

Przyszło mu to do głowy dopiero po zmierzchu. Przedtem, korzystając z wieczornego światła, szedł po zielonym trawniku Promenade Plantee wzdłuż Avenue Daumesnil, aż dotarł do miejsca, gdzie wąwóz ulicy nagle się urywał. Zamykała go masa lodu, która – jak domyślił się chłopak – musiała skrywać pod sobą Operbastel. Zmarzlina zamknęła się również nad nim i Daeman ruszył dalej tunelem, który biegł mniej więcej równoległe do Rue de Lyon aż do Bastylli. Stąd inne tunele i wąskie wąwozy – jeden miał szerokość jego rozłożonych ramion – kierowały się w lewo, ku Sekwanie.

Za życia Daemana i stu wcześniejszych pięciodwudziestkowych pokoleń Sekwana była wyschnięta, a w jej korycie słał się dywan ludzkich czaszek. Nikt nie wiedział, skąd się wzięły, po prostu były tam od zawsze. Z perspektywy licznych miejskich mostów, oglądane przez mieszkańców Krateru zasiadających w bryczkach, kabrioletach i wozach, wyglądały jak białobrzazowe brukowce. Również nikt nie zadawał sobie pytania, dlaczego w rzece zabrakło wody – tym bardziej że rozciągający się na milę krater otwierał się dokładnie w jej korycie. Obecnie czaszek było znacznie więcej – wiele zostało niedawno oddzielonych od ludzkich ciał. Ich sterty piętrzyły się wzdłuż ścian wąwozu, którym Daeman szedł w stronę Ile de la Cite i wschodniej krawędzi krateru.

Zgodnie z nielicznymi legendami, które jakimś cudem przetrwały w społeczeństwie pozbawionym jakiejkolwiek świadomości historycznej, krater powstał ponad dwa tysiące lat temu, kiedy postludzie stracili panowanie nad niewielką czarną

dziurą, którą stworzyli podczas pokazu w miejscu zwanym Institut de France. Osobliwość prześwidrowała Ziemię kilka razy, lecz jedyny krater pozostał tutaj, pomiędzy węzłem Hotel Inwalidów a stacją Guarded Lion. Powiadano też, że na północnym skraju krateru stał dawniej potężny budynek. Jedni nazywali go Luv, inni Lover. Zniknął wessany do serca planety wraz z czarną dziurą, pociągając ze sobą zgromadzone w jego wnętrzu zbiory „sztuki” dawnych ludzi. Jedynymi „dziełami sztuki”, z jakimi Daeman miał w życiu do czynienia, były owe nieliczne „posągi”, więc jego zdaniem zagłady Luvu nie można było uznać za wielką tragedię, zwłaszcza jeśli owa kolekcja była równie głupia jak ci nadzy tancerze z odkopanego przy Avenue Daumesnil budynku.

Z dna jedynego otwartego wąwozu prowadzącego do Ile St Louis i Ile de la Cite nie zobaczył niczego, więc prawie godzinę stracił na wspinaczkę po lodowej ścianie – uparcie, z wysiłkiem wycinał kolejne stopnie i uchwyty, wbijał bełty w błękitną zmarzlinę i przywiązywał do nich linę, kilka razy zawisał na jednym lub dwóch czekanach i czekał, aż pot spłynie mu z oczu, a rozkołatane serce nieco się uspokoi. Niewiarygodny wysiłek wspinaczki miał jednak swoją dobrą stronę – chłopakowi nie było już zimno.

Na powierzchnię skuwającej miasto pokrywy lodowej wyszedł w miejscu, gdzie dawniej znajdował się zachodni brzeg Ile de la Cite. Zmarzlina miała tu grubość stu metrów i Daeman spodziewał się, że gdy spojrzy na zachód, ujrzy przynajmniej wierzchołki zabudowań – wysokie wieżowce mieszkalne z trójbambusa i fulerenu stojące kręgiem wokół krateru, dom matki, a jeszcze dalej strzelającą na tysiąc stóp La putain enorme, olbrzymią nagą kobietę zbudowaną z żelaza i polimerów. To posąg, po prostu wielki posąg, przemknęło mu przez myśl, tyle że przedtem nie znałem tego słowa.

Nie zobaczył żadnej z tych konstrukcji. Przed Daemanem na zachodzie wyrastała tylko gigantyczna kopuła z organicznych pasm niebieskiego lodu. Sięgała przynajmniej dwa tysiące stóp ponad poziom dawnego miasta. Jedynie narożniki, ściany, cienie i wystające miejscami balkony świadczyły o tym, że krater kiedykolwiek był otoczony pierścieniem dumnych wieżowców. Dom matki zniknął bez reszty. Zniknęła też putain. Nie licząc potężnej błękitnej kopuły – wchłaniającej późnowieczorne światło – okolica krateru stała się lasem delikatnych lodowych iglic, łuków przyporowych, zawitych mozaik i wznoszących się na ponad sto pięter lodowych stalagmitów. Wszystkie rosnące dokoła kopuły niebotyczne wieże i wybrzuszenia były ze sobą powiązane pozornie kruchymi i cienkimi nićmi lodowej pajęczyny. Daeman po chwili zrozumiał, że w rzeczywistości owe pasma muszą być szersze od dawnych miejskich alej. Na całej tej ogromnej lodowej budowli skrzyły się promyki zachodzącego słońca. Chłopak odniósł wrażenie, że jakieś światełka pełgają również wewnątrz wież i pod samą kopułą.

– Jezu Chryste – szepnął do siebie.

Mimo silnego, niemal fizycznego doznania, jakie towarzyszyło oglądaniu błyszczących wież majaczących sześćdziesiąt, osiemdziesiąt lub sto metrów nad pokrywającą Krater Paryski zmarzliną, najbardziej przytłaczająca okazała się sama kopuła.

Wznosiła się na przynajmniej dwieście pięter – Daeman był w stanie ocenić jej rozmiary, jedynie sugerując się widocznymi gdzieniegdzie w jej ścianach sylwetkami pochłoniętych wieżowców. Promień kopuły wynosił dobrze ponad milę. Rozciągała się

od miejsca, w którym stał, okolicy Ile de la Cite, na południe, ku wielkiemu wysypisku śmieci, nazywanemu przez jego matkę Ogrodem Luksemburskim, na północ, poza łąkę zwaną Boulevard Haussmann, obejmowała wieżowiec przy Gare St Lazare, w którym mieszkał ostatni kochanek mamy, i na zachód, niemal do Champs de Mars, gdzie zawsze dotąd dominowała sylwetka putain. Dzisiaj jej nie było. Kopuła pokryła nawet wysoką na tysiąc stóp kobietę.

Gdybym się faksował do węzła w Hotelu Inwalidów, trafiłbym prosto pod kopułę, uświadomił sobie, i ta myśl sprawiła, że serce zabiło mu jeszcze mocniej niż podczas niedawnej wspinaczki. Moment później przyszły mu do głowy dwie inne przerażające refleksje.

Pierwsza brzmiała następująco: Setebos pokrył lodem cały Krater. Wydawało się to niemożliwe, lecz fakty mówiły same za siebie. Co więcej, w miarę jak gasł oblewający lodowe struktury pomarańczowy blask zachodu, Daeman coraz wyraźniej widział przebijającą się przez ściany kopuły czerwoną poświatę – krwawe, pulsujące światło, które mogło pochodzić jedynie z dna krateru.

Myśl druga: muszę dostać się do środka.

Jeżeli Setebos nie opuścił miasta, na pewno czekał właśnie tam. Jeżeli był tu Kaliban, także i jego należało szukać pod kopułą.

Powstrzymując drżenie rąk – to z zimna, tłumaczył sobie w duchu – wrócił na skraj wąwozu, umocował linę do wystającej nad lód trójbambusowej drabiny i zjechał z powrotem na dół.

Na dnie wąskiego kanionu zapadł już zmrok – gdy Daemon podniósł głowę ku ciemniejącemu niebu, ujrzał na nim gwiazdy. Jedyna stąd droga do kopuły wiodła przez wąskie tunele, których wyloty ciemniały w lodzie niczym zwierzęce ślepia. Przez tunele, w których musiało być teraz jeszcze ciemniej.

Daeman wybrał przejście ziejące w ścianie wąwozu na wysokości piersi i wczołgał się do środka. Ziąb ponownie przeniknął mu kolana i dłonie. Był pewien, że gdyby nie termoskóra, zamarzłby na śmierć, a powietrze w jego płucach nie zmieniło się w lód jedynie dzięki masce osmotycznej.

Gdzie tylko miał wystarczająco wiele swobody, brnął naprzód na czworakach, raz po raz trącając plecakiem o nisko zawieszoną lodową powałę. Kuszę pchał przed sobą i pełził wytrwale w kierunku majaczącego pod olbrzymią kopułą czerwonego światła.

Hockenberry wchodzi do kulistej kabiny astrogacyjnej, by stanąć twarzą w twarz z Odyseuszem. Początkowo żywi pewne obawy, przecież konfrontacja może się skończyć pobiciem. Ostatecznie skończyła się wspólnym pijaństwem.

Ponad tydzień zbierał się na odwagę, by porozmawiać z jedynym poza nim człowiekiem na pokładzie. Przez ten czas „Królowa Mab” dotarła do etapu lotu, w którym musiała się odwrócić i skierować rufą ku Ziemi. Morawce uprzedziły scholiastę, że zanim manewr dobiegnie końca i ponownie zaczną eksplodować bomby, a na zwalniającym statku zapanuje z powrotem ciężenie w wysokości 1,28 ziemskiego, całą dobę spędzą w stanie nieważkości. Z tej okazji Mahnmut i naczelny integrator Asteague/Che osobiście sprawdzili zabezpieczenia kabiny Hockenberry’ego – upewnili się, czy ostre kanty i krawędzie przedmiotów zostały miękko wyłożone, wszelkie drobiazgi schowane, a człowiek otrzymał przyczepne maty i kapcie z rzepami – nikt go jednak nie ostrzegł, że często występującą reakcją organizmu na zanik ciężenia jest gwałtowny atak choroby morskiej.

Tak właśnie reaguje organizm Hockenberry’ego. Błądźnik raz po raz donosi, że bezwładnie spada, a na statku nie ma nawet horyzontu, na który mógłby spojrzeć i zorientować się w przestrzeni. W jego kajucie nie ma okna, iluminatora, nie może wyrzeć na zewnątrz. Ponieważ wszystkie urządzenia sanitarne w łazience zostały zaprojektowane do działania przy ciężeniu 1,28 g, Hockenberry szybko uczy się korzystać ze specjalnych torebek, które Mahnmut donosi za każdym razem, gdy człowiek oznajmia, że dopadły go nudności.

Niemniej po sześciu godzinach jego ciało uznaje, że ma już dosyć, i scholiasta z wolna dochodzi do siebie; co więcej, zaczyna się świetnie bawić, fruwając po wymoszczonych miękkimi matami kabinie. Szybkuje od przyśrubowanej do pokładu koi do równie pieczołowicie zamocowanego biurka. Wreszcie prosi o zgodę na opuszczenie kajuty, otrzymuje ją natychmiast, po czym dowodzi jak nigdy w życiu; szybkuje przez długie korytarze „Królowej”, pływa ponad szerokimi schodami – które teraz, gdy naprawdę może się poruszać w trzech wymiarach, okazują się strasznie głupim wynalazkiem – odpychając się dłońmi, lata od uchwytu do uchwytu w cudownie bizantyjskiej maszynowni. Mahnmut przez cały ten czas wiernie mu asystuje. Dbą, by Hockenberry w ferworze zabawy nie pociągnął za niewłaściwą dźwignię ani nie zapomniał, że przedmioty straciły co prawda ciężar, lecz nie masę.

Gdy scholiasta oświadcza, że ma zamiar odwiedzić Odyseusza, morawiec odpowiada, że Grek przebywa w dziobowej kabinie astrogacyjnej, i prowadzi go na miejsce. Hockenberry wie, że powinien Mahnmuta odesłać – w końcu czeka go poważna męska rozmowa w cztery oczy i męskie przeprosiny, może nawet po męsku oberwać w pysk – ale tkwiący w nim tchórz pozwala Mahnmutowi zostać. Przecież morawiec nie dopuści do tego, by Odyseusz rozerwał go na strzępy, nawet jeśli faktycznie ma święte

prawo tak właśnie postąpić.

W sferycznej kabinie czeka otoczony gwiazdnym oceanem okrągły stół. Trzy zamocowane do niego krzesła są w tej chwili puste. Odyseusz unosi się w powietrzu, utrzymuje się w miejscu stopą wsuniętą między pręty jednego z siedzeń. Gdy „Królowa Mab” wykonuje zwrot lub obrót – a przez te dwadzieścia cztery godziny lotu bez napędu robi to bardzo często – gwiazdy wirują tak, że Hockenberry jeszcze kilka godzin temu od razu pobiegłby po torebkę. Teraz jednak czuje się inaczej, ma wręcz wrażenie, że urodził się w stanie nieważkości. Scholiasta stwierdza w duchu, że Odyseusz musi się czuć podobnie, zauważa bowiem, iż Achaj opróżnił już trzy tykwy wina z liczącego sobie jakieś dziesięć sztuk zapasu. Egzotycznego kształtu butelki szybują uwiązane do stołu długimi sznurkami. Grek pstryka jedną palcem, posyła ją ku Hockenberry’emu i scholiasta – mimo że ma pusty żołądek – nie może odmówić alkoholu zaproponowanego w geście pojednania. Poza tym wino okazuje się wyborne.

– Te sztuczne istoty pędzą to i chowają gdzieś na tym bezbożnym okręcie – odzywa się Odyseusz. – Pij, ludzki artefakcie. Przyłącz się do nas, morawcu.

Ostatnie słowa kieruje do Mahnmuta, który opuścił się na jedno z krzesel, ale odmawia poczęstunku, kręcąc swą metalicznie pobłyskującą głową.

Hockenberry przeprosza Odyseusza za podstępne zwabienie go na pokład szerszenia, którym porwały go morawce. Odyseusz zbywa jego słowa machnięciem dłoni.

– Rozwahałem, czy cię nie zgładzić, synu Duane’a, lecz cóż by mi z tego przyszło? To jasne, że wyruszyłem w tę podróż kierowany boskim zrządzeniem, a niegodnym jest sprzeciwiać się woli nieśmiertelnych.

– Wciąż wierzysz w bogów? – dziwi się Hockenberry i pociąga spory łyk mocnego trunku. – Mimo że sam przeciwko nim walczyłeś?

Brodaty strateg marszczy czoło, lecz po chwili uśmiecha się szeroko i drapie w policzek.

– Niekiedy trudno jest człowiekowi zachować wiarę w przyjaciół, Hockenberry, synu Duane’a, lecz zawsze należy wierzyć we własnych wrogów. Zwłaszcza jeśli do grona nieprzyjaciół zaliczają się istoty tak szacowne jak Olimpijczycy.

Przez chwilę piją bez słowa. Statek ponownie się obraca. Jaskrawe słońce gasi na moment gwiazdy, lecz kiedy kadłub królowej rzuca cień na kabinę, iskierki na niebie rozpalają się na nowo.

Wysokoprocentowy alkohol przepęlnia ciało Hockenberry’ego ciepłą falą. Scholiasta cieszy się, że żyje – unosi rękę i muska medalion teleportacyjny i cienką, szybko malejącą bliznę na piersi. Uświadamia sobie, że mimo iż spędził wśród Greków i Trojan dziesięć lat, to dopiero dzisiaj zasiadł do pogawędki przy winie z jednym z najśłynniejszych bohaterów „Iliady”, z jednym z herosów, o których tak długo opowiadał studentom.

Przez jakiś czas omawiają wypadki, które się wydarzyły, tuż zanim opuścili Ziemię i Olimp. Dyskutują o gwałtownym zamknięciu się Dziury, a także o jednostronnym starciu Amazonek i oddziału Achillesa. Odyseusz nie może się nadziwić, jak wiele scholiasta wie na temat Pentezylei i jej wojowniczek. Hockenberry nie widzi potrzeby tłumaczyć Grekowi, że wyczytał to wszystko na kartach Wergiliusza. Snują domysły co

do momentu, w którym ponownie wybuchnie prawdziwa wojna, zastanawiają się, czy Achajowie i Argiwowie pod wodzą Agamemnona zdołają wreszcie skruszyć mury Ilionu.

– Agamemnon rzeczywiście dysponuje odpowiednimi siłami – ocenia wpatrzony w wirujące gwiazdy Odyseusz – lecz jeśli czysta przemoc i liczebność zawiodą, nie starczy mu przemyślności.

– Przemyślności...? – powtarza Hockenberry. Mówi i myśli w klasycznej grece już od tak dawna, że rzadko zdarza mu się zastanawiać nad konkretnym słowem. Król Itaki posłużył się wyrazem „dolos” oznaczającym „przemyślność” i „spryt”, lecz także coś bliskiego pejoratywnemu „kombinatorstwu”.

Odys kiwa głową.

– Agamemnon... cóż, Agamemnon to Agamemnon, wszyscy wiedzą, na ile go stać, nie jest zdolny nikogo zaskoczyć. Ja jednak nazywam się Odyseusz i cały świat zna moją przebiegłość.

Ponownie pada słowo „dolos” i scholiasta uświadamia sobie, że Odyseusz chełpi się tą samą cechą charakteru, którą ganił Achilles, kiedy Hockenberry odwiedził go jako jeden z członków poselstwa wiele miesięcy temu. Nazwał wówczas Odysa „mężem, którego usta mówią jedno, a serce skrywa myśli zupełnie inne”.

Owej nocy Odyseusz wyczuł, rzecz jasna, zawołowaną obelgę, lecz postanowił się nie obrażać. Teraz, po czterech butlach wina, syn Laertesza głośno przechwala się własną chytrą. Scholiasta nie po raz pierwszy zadaje sobie w duchu pytanie, czy Grekom uda się zdobyć Troję bez udziału Odyseusza, który przecież wymyślił podstęp z drewnianym koniem? Rozważa przez moment odcienie znaczeniowe słowa „dolos” i uśmiecha się pod nosem.

– Cóż cię tak weseli, synu Duane’a? Powiedziałem coś zabawnego?

– Nie, nie, czcigodny Odysie – tłumaczy scholiasta. – Myślałem właśnie o Achillesie... – zawiesza głos, nie chcąc rozgniewać rozmówcy.

– Śniłem o nim wczorajszej nocy – podejmuje Odyseusz, obracając się powoli w powietrzu. Nie odrywa wzroku od otaczającego ich niemal ze wszystkich stron gwiazdnego pola. Sporą część widoku zajmuje kadłub „Królowej Mab”, lecz i w jego stalowych i plastikowych powierzchniach odbija się gwiazdna poświata. – Przyśniło mi się, że rozmawiałem z nim w Hadesie.

– Czy to znaczy, że syn Peleusa nie żyje? – pyta Hockenberry, odkorkowując kolejną tykwę z winem.

Odyseusz wzrusza ramionami.

– To był sen, a sny nie liczą się z ograniczeniami czasu. Nie wiem, czy Achilles wciąż jeszcze oddycha, czy może snuje się już wśród cieni umarłych, pewne jest jednak, iż kiedyś w końcu zamieszka w Hadesie, podobnie jak my wszyscy.

– Aha... I co od niego w tym śnie usłyszałeś?

Odyseusz zwraca swe ciemne oczy na scholiastę.

– Chciał wiedzieć, jak potoczyły się losy jego syna, Neoptolemosa, pytał, czy chłopak wsławił się pod Troją.

– I co? Powiedziałeś mu?

– Powiedziałem, że nie wiem, wyjaśniłem, że przeznaczenie pognało mnie z dala

od murów Ilionu jeszcze zanim pojawił się pod nimi Neoptolemos. Syn Peleusa nie był tym zachwycony.

Hockenberry kiwa głową. Wyobraża sobie rozdrażnienie humorzastego herosa.

– Próbowałem go pokrzepić – podejmuje Odyseusz. – Mówiłem, że Argiowowie po śmierci czczą go niczym boga, opowiadałem, że żywi przy każdej okazji śpiewają pieśni o jego męstwie i licznych wyczynach. Achilles jednak nie chciał mnie słuchać.

– Nie? – Wino nie było po prostu dobre, było cudowne. Niczym płynny ogień rozlewało się z brzucha po całym ciele scholiasty, który czuł się bardziej lekko niż pozwalała mu na to sama nieważkość.

– Nie. Powiedział, że wszystkie te przyśpiewki o odwadze mogę sobie w dupę wsadzić.

Hockenberry parska śmiechem. Tryskające z jego ust kropelki wina układają się w powietrzu w szybujące czerwone koraliki. Scholiasta próbuje je odgonić, lecz kulki pękają i oblepiają mu palce.

Odyseusz nieprzerwanie podziwia gwiazdy.

– Cień Achillesa powiedział mi też wczorajszej nocy, że wolałby być chłopskim synem o dłoniach zgrubiałych nie od miecza, a od pługa, i przez dziesięć godzin dziennie gapić się w wołowy zad, niż być w Hadesie największym herosem lub nawet królem władającym bezdusznymi umarłymi. Śmierć nie przypadła Achillesowi do gustu.

– Oczywiście – mówi Hockenberry. – Tego można się było spodziewać.

Odyseusz wykonuje w powietrzu piruet, przytrzymuje się oparcia krzesła i spogląda scholiaście w oczy.

– Hockenberry, nigdy nie widziałem cię w walce. Czy ty w ogóle umiesz się bić?

– Nie.

Odyseusz kiwa głową.

– Sprytnie. Bardzo mądrze! Wśród przodków miałeś zapewne wielu filozofów?

– Mój ojciec walczył – stwierdza Hockenberry zaskoczony wzbierającym nagle potokiem wspomnień. O ojcu nie pamiętał dotąd prawie wcale, nie poświęcił mu chyba ani jednej myśli przez całe swoje drugie życie.

– Gdzie? – pyta Grek. – Co to była za bitwa? Mogłem brać w niej udział.

– Na Okinawie – odpowiada Hockenberry.

– A, to nie słyszałem.

– Ojciec wyszedł stamtąd cało – ciągnie Hockenberry, czując dziwny ucisk w gardle. – Był wtedy bardzo młody. Miał dziewiętnaście lat. Służył w piechocie morskiej. Jeszcze w tym samym roku wrócił do domu, a ja przyszedłem na świat trzy lata później. Ale o wojnie nie opowiadał nigdy.

– Nie opisał synowi przebiegu bitwy? Nie wychwalał własnego męstwa? – W tonie Odyseusza pobrzmiewa niedowierzanie. – Nic dziwnego, że wyrosłeś na myśliciela, nie wojownika.

– Ani razu o tej bitwie nie opowiadał – ciągnie Hockenberry. – Wiedziałem naturalnie, że był na wojnie, ale o tym, co robił na Okinawie, dowiedziałem się dopiero wiele lat później, kiedy przeczytałem list pochwalny spisany przez jego dowódcę, porucznika niewiele starszego od mojego ojca. List znalazłem wraz z odznaczeniami

w starym wojskowym kuferku. Już po śmierci taty. Byłem wtedy bliski doktoratu z filologii klasycznej, więc miałem swobodny dostęp do wielu źródeł i udało mi się dowiedzieć, dlaczego ojciec po tej bitwie otrzymał purpurowe serce i srebrną gwiazdę.

Odyseusz nie dopytuje o te osobliwe łupy.

– Czy twój ojciec sprawił się w tej bitwie, synu Duane’a?

– Tak sądzę. Dwudziestego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego został dwukrotnie ranny, podczas walk o wzgórze nazywane Głową Cukru, na wyspie Okinawa.

– Nie znam tej wyspy.

– Zdziwiłbym się, gdybyś znał – stwierdza Hockenberry. – Szmat drogi od Itaki.

– Wielu wojowników stanęło tam przeciwko sobie?

– Po stronie mojego ojca sto osiemdziesiąt trzy tysiące gotowych do boju żołnierzy – odpowiada scholiasta. W tej chwili on również wygląda ku gwiazdom. – Jego armię zaniósł na Okinawę flota licząca ponad tysiąc sześćset okrętów. Oczekiwało ich sto dziesięć tysięcy żołnierzy przeciwnika, okopanych na skalistym brzegu i w górskich jaskiniach.

– Nie było miasta, które można by oblec? – Odyseusz po raz pierwszy od początku rozmowy patrzy na rozmówcę ze szczerym zainteresowaniem.

– W zasadzie nie. To była tylko jedna z potyczek wielkiej wojny. Wrogowie chcieli zabijać naszych, by zapobiec inwazji na swój ojczysty archipelag. Nasi mordowali ich na wszelkie możliwe sposoby: lali do pieczar płynny ogień, zasypywali ich tam żywcem. Towarzysze mego ojca zgładzili ponad sto tysięcy Japończyków. Tak właśnie nazywali się wrogowie. – Scholiasta upija łyk wina.

– Wspaniałe zwycięstwo – chwali Odyseusz.

Hockenberry odpowiada tylko cichym pomrukiem.

– Liczba wojowników i okrętów przypomina mi oblężenie Troi – podejmuje Argiw.

– Owszem, liczby są zbliżone – przyznaje scholiasta. – Także starcia były podobnie zażarte. Walczono wręcz w błocie i strugach deszczu, za dnia i nocami.

– Czy twój ojciec przywiózł do domu wiele łupów? Niewolnice? Złoto?

– Przywiózł miecz samurajski, miecz wrogiego oficera. Ale kiedy byłem mały, trzymał go przez cały czas w tej swojej skrzyni i nie pokazywał mi go.

– Czy wielu towarzyszy broni twojego ojca trafiło do Domu Śmierci?

– Na lądzie i morzu zginęło dwanaście tysięcy pięciuset dwudziestu Amerykanów – mówi Hockenberry. Umysł naukowca i synowskie serce ułatwiają mu przytoczenie właściwych liczb. – Po naszej stronie było też trzydzieści trzy tysiące sześciuset trzydziestu jeden rannych. Wróg, jak już wspomniałem, stracił ponad sto tysięcy żołnierzy. Całymi tysiącami płonęli w grotach lub ginęli w nich pogrzebani. W jaskiniach i okopach.

– My, Achajowie, straciliśmy pod murami Ilionu ponad dwadzieścia pięć tysięcy wojowników. – podaje Odyseusz. – Trojanie rozpalili przynajmniej tyle samo stosów pogrzebowych.

– Racja – Hockenberry uśmiecha się nieznacznie – tyle że oblężenie trwało dziesięć lat. Walki o Okinawę, gdzie bił się mój ojciec, zajęły ledwie trzy miesiące.

W kulistej kabinie zapada cisza. „Królowa Mab” wykonuje jeszcze jeden obrót. Statek porusza się wdzięcznie i majestatycznie niczym przekręcający się na grzbiet morski ssak. Na chwilę oślepiają ich jaskrawe promienie słońca i mężczyźni osłaniają oczy dłońmi. Niedługo potem wracają gwiazdy.

– Niebywałe, że nigdy o tej kampanii nie słyszałem – odzywa się Odyseusz, podając scholiaście pełną tykwę. – Z pewnością jesteś ze swojego ojca dumny, synu Duane’a. Twoi pobratymcy musieli potraktować zwycięzców jak bogów. Pieśni o tak wielkim sukcesie będą wokół waszych ognisk rozbrzmiewać przez wieki. Imiona tych, którzy tam padli, będą pamiętane jeszcze przez wnuki wnuków waszych herosów, a aoidowie i poeci będą ze szczegółami opiewać wszystkie stoczone tam pojedynki.

– Szczerze mówiąc... – Hockenberry na długą chwilę przytyka szyjkę tykwy do warg – w moim kraju prawie nikt już o tej bitwie nie pamięta.

– Słuchasz tego? – pyta Mahnmut przez radio.

– Tak. – Orphu pracuje na zewnątrz kadłuba „Królowej Mab”.

Korzystając z przerwy w działaniu silników, prowadzą wraz z innymi morawcami próżniowymi inspekcję systemów, reperują drobne uszkodzenia powstałe wskutek uderzeń mikrometeorytów, podmuchów wiatru słonecznego i samych wybuchów bomb atomowych eksplodujących raz po raz za statkiem. Naprawy i konserwacje na zewnątrz można w zasadzie prowadzić przez cały lot – w ciągu ostatnich dwóch tygodni Orphu już kilka razy wychodził na zewnątrz – lecz zawsze potem mówił, że zdecydowanie woli pracować w stanie nieważkości, zamiast, jak to ujął, w warunkach ciężenia na ścianie stupiętrowego wieżowca przy aż nazbyt rzeczywistym wrażeniu, że rufa i płyta napędowa znajdują się w dole.

– Hockenberry jest już chyba mocno pijany – nadaje Orphu.

– Tak mi się wydaje – odpowiada Mahnmut. – To mocne wino. Asteague/Che kazał odtworzyć w naszym kambuzie wino z Medei, którego próbkę „pożyczyliśmy” z piwniczki Hektora. Mniej zacne odmiany tego trunku Hockenberry pijał od lat z Grekami i Trojanami, lecz zawsze w rozsądnych ilościach. Grecy zwykle wino rozcieńczali. Czasami dodają też morskiej wody albo wonności. Na przykład mirry.

– Przecież to jawne barbarzyństwo! – oburza się Orphu.

– Tak czy inaczej, nasz scholiasta nic teraz nie je, a wcześniej wszystko zwrócił. Pije na pusty żołądek i to mu raczej nie pomaga.

– Coś mi mówi, że będzie dziś zwracać jeszcze nie raz.

– Jeśli tak – odpowiada Mahnmut – to tym razem ty będziesz mu donosić torebki. Jak na dwadzieścia cztery godziny, podtrzymałem mu głowę już wystarczająco często.

– Psiakość – rzuca Orphu z Io. – Naprawdę bardzo bym chciał, ale obawiam się, że korytarze na ludzkim pokładzie są dla mnie zdecydowanie za wąskie.

– Chwila – przerywa mniejszy morawiec. – Posłuchaj...

– Lubisz zawody, synu Duane’a?

– Zawody? Jakiego typu? – upewnia się Hockenberry.

– Takie, jakie organizuje się z okazji rozmaitych świąt – wyjaśnia Odyseusz. – Takie, jakie odbyłyby się na pogrzebie Patroklosa, gdyby tylko Achilles pogodził się z jego śmiercią i zgodził się go pochować.

Scholiasta przez chwilę milczy.

– Czyli rzucanie dyskiem, miotanie oszczepem... – odzywa się wreszcie. – O takie zawody ci chodzi?

– Nie inaczej – potakuje król Itaki. – Oraz wyścigi rydwanów. Biegi. Zapasy i boks.

– Widziałem wasze zawody bokserskie, pamiętam, jak urządzaliście je w cieniu czarnych okrętów. – Hockenberry zaczyna lekko bełkotać. – Przeciwnicy okładają się pięściami owiniętymi rzemieniami.

Odyseusz wybucha śmiechem.

– A czym innym mieliby je sobie owijać, synu Duane’a? Puchowymi poduchami?

Hockenberry ignoruje komentarz.

– Latem widziałem w waszym obozie, jak Epejos złożył na krwawą miazgę kilkunastu przeciwników. Łamał im żebra i szczęki. Stawał do walki ze wszystkimi chętnymi i pojedynki trwały od wczesnego popołudnia do późnej nocy, gdy księżyc stał już wysoko na niebie.

– Pamiętam te walki. – Odyseusz rozpromienia się w wilczym uśmiechu. – Synowi Panopeusa nie sprostał nikt, a próbował niejeden.

– Dwóch zginęło.

Odyseusz wzrusza ramionami i pociąga z tykwy.

– Diomedes trenował i uczył Euryalusa, syna Mekistesa, trzeciego w hierarchii oficera kontyngentu z Argolidy. Kazał mu biegać codziennie przed świtem i utwardzać pięści biciem w wołowe półtusze, sprowadzane prosto od rzeźnika. Ale Epejos uporał się z nim w dwadzieścia rund. Diomedes musiał własnoręcznie wytaszczyć swego podopiecznego z kręgu. Pamiętam, że palce stóp biednego Euryalusa wryły w piachu dziesięć zgrabnych rowków. Ale wykaraskał się i przeżył. Jestem pewien, że następnym razem przeklętnik nie opuści gardy!

– Boks to brudny sport – cytuje Hockenberry – a ludzie, którzy się w to bawią zbyt długo, zamiast głów mają sale koncertowe, w których non stop gra chińska muzyka.

Odyseusz parska śmiechem.

– Zabawne! Kto to powiedział?

– Mędrzec imieniem Jimmy Cannon.

– Tylko co to właściwie jest chińska muzyka? – Grek nie przestaje rechotać. – I ta cała sala koncertowa?

– Mało istotne – rzuca Hockenberry. – Wiesz, obserwowałem wojnę przez tak wiele lat, a nie pamiętam, by ten wasz bokserski mistrz, Epejos, wyróżnił się kiedykolwiek w *aristeiach*, choć to przecież najbardziej chwalebna forma pojedynku.

– Masz rację – zgadza się Odyseusz. – Sam Epejos zresztą przyznaje, iż nienajlepszy z niego wojownik. Odwaga potrzebna do zmierzenia się z przeciwnikiem na gołe pięści jest zupełnie inna od tej, której wymaga nadzianie wroga na włócznię, co dopiero mówić o wyrwaniu grotu, tak by jelita chlusnęły na piach niczym kurze podroby.

– Ale ty ją posiadasz – przypomina beznamiętnie scholiasta.

– O, tak! – Król Itaki zanosi się śmiechem. – Dlatego, że tak zdecydowali bogowie. Pochodzę z tego pokolenia Achajów, które z woli Zeusa musi wojować od dziecka do późnej starości. Będziemy walczyć aż do gorzkiego końca, kiedy padniemy wszyscy, co

do jednego.

– Optymista z tego Odyseusza – komentuje Orphu.

– Raczej realista – odpowiada Mahnmut.

– Mówiliśmy o zawodach – przypomina Hockenberry. – Ciebie także widziałem w zapasach. Zwyciężałeś. Wygrywałeś też w wyścigach szybkobiegaczy.

– Owszem. Wiele razy wynosiłem z zawodów puchary, a Ajaks musiał się zadowalać wołem. Pomagała mi przy tym Atena, podstawiała nogę temu wielkiemu tępakowi, bym mógł jako pierwszy przekroczyć linię mety. Pokonałem go również w zapasach. Złapałem go pod kolanem, rzuciłem na plecy i przygniotłem do ziemi, zanim dumny osiłek zrozumiał, co się z nim dzieje.

– Czy to czyni cię lepszym człowiekiem? – pyta scholiasta.

– Oczywiście, że tak – grzmi Odyseusz. – Czymże byłby świat bez *agonu*? Bez zmagania dwóch przeciwników, z wynikiem, który ustala wśród ludzi hierarchię? Przecież nie ma na Ziemi dwóch równych sobie rzeczy. Skąd mielibyśmy wiedzieć, czym jest cnota, gdyby konkurencja i pojedynki nie dowodziły całemu światu, kto ucieleśnia doskonałość, a kto ledwie przeciętność? A ty, synu Duane'a? W jakich dyscyplinach celujesz?

– Na pierwszym roku studiów próbowałem dołączyć do uniwersyteckiej drużyny lekkoatletycznej – mówi Hockenberry. – Nie przyjęli mnie.

– Cóż, ja muszę stwierdzić, że nie jestem najgorszy w większości znanych ludziom konkurencji – obwieszcza król Itaki. – Potrafię się obejść z porządnie wystruganym i wygładzonym łukiem i zwykle jako pierwszy trafiam upatrzonych wrogów w tłumie, mimo że towarzysze trącają mnie i starają się strzelać równie szybko. Jednym z powodów, dla których zgodziłem się pójść na wojnę z bogami za Achillesem i Hektorem, była chęć sprawdzenia własnej sprawności łuczniczej w pojedynku z Apollem. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że to szaleństwo. Każdy śmiertelnik mierzący się z bogami w walce na łuki, wspomnij choćby Eurytosa z Ojchalii, może być pewien, że nie umrze w sędziwym wieku we własnym łóżu, lecz spotka go śmierć nagła. Zresztą nie stanąłbym do tego pojedynku z Panem Srebrnego Łuku, nie mając w ręku swego najlepszego. A ten zostawiam w domu zawsze, gdy wypływam czarnym okrętem. Łuk, o którym mówię, wisi na ścianie w moim pałacu na Itace. Podarował mi go Ifitos na dowód swej przyjaźni. Uczynił to przy naszym pierwszym spotkaniu. Ów łuk należał wcześniej do jego ojca, również łuczника, zwanego Eurytosem. Ifitosa bardzo lubiłem i żałuję, że w zamian za ten najlepszy łuk pod słońcem podarowałem mu jedynie miecz i niezgrabną włócznię. Cóż, Herkules go zabił, nim zdążyliśmy bliżej się poznać. Właśnie, włócznię... Włócznią potrafię rzucić tak daleko, jak większość mężów szyje z łuku. Co do boksu i zapasów, sam widziałeś. Oglądałeś również mój zwycięski pojedynek biegowy z Ajaksem. Co więcej, jestem w stanie biec przez długie godziny, nie wyrzucając śniadania. Inaczej na krótkich dystansach, niestety często się zdarza, że widzę tylko pięty konkurentów, zwłaszcza jeśli nie wspomaga mnie Atena.

– A mogłem się do tej drużyny dostać... – mamrocze Hockenberry pod nosem, w zasadzie już tylko do siebie. – Moją specjalnością były biegi na dłuższych dystansach. Ale w kadrze zostało tylko jedno wolne miejsce i wysiadał mnie z niego Brad Muldorff...

Kaczka... Taką miał ksywę.

– Porazki smakują złością i psimi wymiocinami – mówi Odyseusz. – Hańbą dla mężczyzny jest do tego przywyknąć. – Odchyła głowę i wlewa sobie do gardła kolejną porcję alkoholu, po czym ociera z brody kilka szkarłatnych kropelek. – Wyśniłem spotkanie z cieniem Achillesa w mrocznych komnatach Hadesu, a przecież tak naprawdę chciałbym poznać los swojego syna, Telemacha. Skoro bogowie uznali za stosowne zsyłać mi nocne wizje, czemu nie dotyczą mojego własnego dziecka? Kiedy wypływałem z Itaki, był ledwie małym chłopcem, nieśmiałym i niesprawdzonym jeszcze w trudach. Bardzo chciałbym się przekonać, czy wyrósł na mężczyznę, czy może na jednego z tych nieudaczników, którzy całymi dniami snują się po pałacach lepszych od siebie, wypatrując zamożnej żony, waląc chłopców w tyłki i brzdąkając na lirze.

– My dzieci nie mieliśmy. – Hockenberry masuje sobie czoło. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Moje wspomnienia z poprzedniego życia są mocno niejasne i wszystko mi się miesza. Czuję się jak wrak statku, który ktoś dla kaprysu podniósł z dna i puścił ponownie na fale, lecz nie zadbał o wypompowanie z wnętrza całej wody. Ot, wybrali tyle, żebym nie poszedł na dno. Wiele kabin wciąż jest zalanych.

Odyseusz przygląda się scholiaście, w jego oczach widać brak zrozumienia, ale opowieść nie wydała mu się dość interesująca, by poprosił o wyjaśnienia.

Hockenberry odpowiada greckiemu królowi spojrzeniem, w którym nagle pojawia się skupienie i niezwykła przenikliwość.

– Mam do ciebie pytanie, powiedz, jeśli znasz odpowiedź... Co to właściwie znaczy, być mężczyzną?

– Być mężczyzną? – Odyseusz odkorkowuje dwie ostatnie tytkwy i wręcza jedną scholiaście.

– No wiesz... przepraszam. Tak. Być mężczyzną. Stać się mężczyzną. W moim kraju jedynym rytuałem stanowiącym o przemianie chłopca w mężczyznę był moment otrzymania kluczyków do pierwszego samochodu... no, może jeszcze pierwszy raz z dziewczyną.

Odyseusz potakuje skinieniem.

– Pierwszy raz z jest zdecydowanie bardzo ważny.

– Ale, synu Laertes, przecież musi być coś jeszcze! Co tak naprawdę znaczy być mężczyzną... albo szerzej, człowiekiem?

– Robi się ciekawie – odzywa się Mahnmur do Orphu. – Sam często się nad tym zastanawiałem, i to nie tylko przy okazji lektury sonetów Szekspira.

– Wszyscy się nad tym w pewnym momencie głowią – zauważa większy morawiec. – Wszyscy opętani obsesją na punkcie spuścizny ludzkości. Czyli właściwie po prostu wszystkie morawce. Przecież tak nas zaprogramowano, w ten sposób stworzono nasze DNA, byśmy badali dzieje naszych twórców i próbowali ich zrozumieć.

– Co znaczy być człowiekiem... – powtarza Grek poważnym, roztargnionym tonem. – W tej chwili szczać mi się chce. Tobie nie, Hockenberry?

– Bo... rozumiesz – ciągnie scholiasta – może to ma coś wspólnego z konkesw... konswe... konsekwencją... Weźmy choćby wasze olimpiady... i pomyśl o naszych... Pomyśl no tylko!

– Ten drugi morawiec nauczył mnie sikać w wychodku w kabinie... Tam jest podobno jakaś próżnia, która wszystko zasysa nawet teraz, w tym czasie, kiedy wszystko nauczyło się latać. Ale i tak cholernie trudno jest nie rozlać kropelek dokoła. A tobie jak idzie, Hockenberry?

– W starożytności urządzaliście olimpiady nieprzerwanie przez tysiąc dwieście lat – peroruje dalej scholiasta. – Pięciodniowe zawody, raz na cztery lata. Tysiąc dwieście lat! I kres położył temu dopiero jakiś zasrany rzymski cesarz. Chrześcijanin jeden! Tysiąc dwieście lat... Nawet w czas suszy, głodu i zarazy! Co cztery lata zawieszano działania wojenne, a sportowcy ściągali do Olimpii z całej Grecji, by złożyć hołd bogom i konkurować ze sobą w wyścigach rydwanów, biegach, zapasach, rzucaniu dyskiem, oszczepem i w pankrationie, tej waszej osobliwej krzyżówce zapasów i kickboxingu. Tych ostatnich zmagania nigdy nie widziałem i dam głowę, że ty też nie. Tysiąc dwieście lat, synu Laertes! Gdy za moich czasów tę ideę ożywiono, w przeciągu stu lat z powodu wojen odwołano trzy Olimpiady. W dodatku co jakiś czas któreś państwo bojkotuje igrzyska z powodu swoich mniej lub bardziej poważnych żali, a raz nawet zaszczani terroryści wymordowali reprezentację Izraela...

– O! Zaszczani... – Odyseusz wypuszcza tykwę, która powoli odpływa na swej uwięzi. Odwraca się i szykuje do wyjścia. – Muszę się odlać. Zaraz wracam.

– Może najbardziej konsekwentnie stosujemy to, o czym pisał Homer: „kochamy się w biesiadach, płasach, gęśli graniu, w zmianie stroju, toż w łaźniach i odpoczywaniu”.

– A co to za jeden? Ten Homer? – Odyseusz zawisł w rozsuniętych, okrągłych drzwiach kabiny.

– Nie znasz. – Hockenberry popija wino. – Ale wiesz, co...?

Milknie. Króla Itaki już nie ma.

Mahnmut wychodzi na zewnątrz przez służbę z pokładu medycznego. Mimo że w plecaku ma silniczek manewrowy, zabezpiecza się uprzężą i rusza przez kładki, drabiny i liny oplatające kadłub „Królowej Mab”. Wreszcie znajduje Orphu z Io. Przyjaciel spawa właśnie drobną nieszczelność w drzwiach ładowni, w której pod złożonymi skrzydłami promu atmosferycznego czeka „Mroczna dama”.

– Mogli się bardziej postarać – zagaja Mahnmut na prywatnym kanale.

– Przecież w ten sposób przebiega większość rozmów – zauważa Orphu. – Także naszych.

– Ale my zazwyczaj nie jesteśmy pijani.

– Ściśle rzecz ujmując, masz rację, ponieważ morawce nie przyjmują alkoholu dla pobudzenia lub uspokojenia. – Deszcz sypiących się ze spawarki iskier rzuca jasną poświatę na korpus, nogi i czujniki wielkiego morawca. – Ale zdarzało nam się dyskutować, kiedy cierpiełeś z niedoboru tlenu, nadmiaru toksyn produkowanych przez przemęczony organizm i jak to mawiają ludzie, gdy robiłeś pod siebie ze strachu. Dlatego więc ta ich chaotyczna konwersacja wydała mi się w pewien sposób znajoma...

– Jak na pytanie Hockenberry’ego odpowiedziałby Proust? Co według niego znaczy być człowiekiem... albo mężczyzną?

– Proust... ten nudziarz... – rzuca ironicznie Orphu. – Czytałem go właśnie dziś rano.

– Kiedyś próbowałeś mi opisać jego drogi dotarcia do prawdy – przypomina mniejszy morawiec. – Tyle że najpierw twierdziłeś, że były trzy, potem że cztery, później znów trzy... Pogubiłem się w tym, zresztą chyba żadnej do końca nie objaśniłeś. Pewnie sam już nie wiesz, o czym mówiłeś.

– Sprawdziałem cię – chichocze głucho Orphu. – Chciałem się przekonać, czy mnie słuchasz.

– Teraz tak mówisz. Chyba po prostu doznałeś chwilowego zaćmienia.

– Nie byłby to pierwszy raz – przyznaje Orphu z Io. Przeładowanie informacjami organicznych mózgow i cybernetycznych banków danych stanowiło częsty problem morawców wkraczających w drugie lub trzecie stulecie istnienia.

– Tak czy inaczej, wątpię, by proustowskie koncepcje ludzkiej natury miały w przypadku Odyseusza jakiegokolwiek zastosowanie.

Orphu wzrusza dwójką manipulatorów. Pozostałe cztery przegubowe ramiona zajęte są spawaniem.

– Pamiętasz pewnie, że jedną z dróg, o których mówiłem, jest przyjaźń, także przyjaźń między kochankami – przypomina. – To właśnie łączy go z Odyseuszem i naszym scholiastą. Narrator u Prousta odkrywa jednak, że jego prawdziwą drogą do prawdy, jego powołaniem, jest literatura. Pisząc, zgłębia sens i znaczenie nawet najmniej istotnych drobiazgów dotychczasowego życia.

– Przecież twierdziłeś, że sztukę jako drogę do odkrycia tajemnicy człowieka zdecydowanie odrzucił – zauważa Mahnmut. – Chyba dobrze pamiętam?

– Dochodzi do wniosku, że prawdziwa sztuka jest aktem stworzenia – mówi Orphu. – Posłuchaj tylko tego fragmentu. To wyimek ze „Strony Guermites”: „Smakosze mówią nam dziś, że Renoir to jest wielki malarz z XVIII wieku. Ale mówiąc tak, zapominają o Czasie i o tym, że dużo go było trzeba, nawet w pełni wieku XIX, aby Renoira uznano wielkim artystą. Aby osiągnąć takie zrozumienie, oryginalny malarz, oryginalny artysta postępują na sposób okulistów. Leczenie ich malarstwem, ich stylem nie zawsze jest przyjemne. Kiedy jest ukończone, lekarz powiada do nas: «Teraz patrz». A oto świat (który nie był stworzony raz, ale równie często, jak często zjawił się oryginalny artysta) ukazuje się nam zupełnie odmienny od dawnego, ale całkowicie jasny. Mijają nas na ulicy kobiety różne od dawniejszych, bo to są Renoiry; owe Renoiry, w których wzdragaliśmy się niegdyś widzieć kobiety. Powozy to też Renoiry i woda, i niebo; mamy ochotę przechadzać się po lesie podobnym do tego, który pierwszego dnia wydawał nam się wszystkim, a nie lasem, na przykład dywanem o barwach bogatych, ale pozbawionym właśnie barw właściwych lasom. Oto jest nowy i nietrwały świat, świeżo stworzony. Będzie trwał aż do następnej geologicznej katastrofy, którą rozpęta nowy oryginalny malarz”. Dalej wyjaśnia, w jaki sposób robią to pisarze. W jaki sposób tworzą nowe wszechświaty.

– Przecież to musi być metafora – zauważa Mahnmut. – Nie mógł mieć na myśli powoływania do istnienia prawdziwych wszechświatów.

– A ja sądzę, że rozumiał te słowa całkiem dosłownie – stwierdza Orphu. Jego głos brzmi w tej chwili bardzo poważnie. – Śledzisz może odczyty z czujników przepływu energii kwantowej, które Asteague/Che ogłasza na wspólnym paśmie?

– Dość pobieżnie. Te wszystkie teorie kwantowe bardzo mnie nudzą.

– To nie jest teoria – prostuje większy morawiec. – Przez cały czas naszego lotu z Marsa kwantowa niestabilność pomiędzy Marsem i Ziemią, ogarniająca powoli cały Układ Słoneczny, stopniowo się zwiększa. A Ziemia znajduje się w samym centrum tych zakłóceń. Wygląda na to, że matryce czasoprzestrzennego prawdopodobieństwa wpadły w chaotyczny, samowzbudzony wir.

– I to ma jakiś związek z Proustem?

Orphu wyłącza spawarkę. Na wrotach ładowni widnieje idealnie przyspawana łąta.

– Ktoś lub coś bawi się planetami, niewykluczone, że i całymi wszechświatami. Jeśli poddać wszystkie te nowe dane o kwantowych przepływach analizie matematycznej, dochodzi się do wniosku, że dwie różne przestrzenie Calabiego-Yau z jakiegoś powodu próbują zaistnieć na jednej Branie. Zupełnie jakby próbowały się narodzić nowe światy. Być może, jak sugeruje Proust, urzeczywistnione twórczą mocą jakiegoś geniusza.

Ożywają niewidoczne, ukryte gdzieś na „Królowej Mab” silniki manewrowe i długi, niezgrabny, lecz piękny czarny statek kosmiczny z fulerenu i stali obraca się wokół własnej osi. Mahnmut przytrzymuje się uchwyty, jego nogi odrywają się od kadłuba. Trzystumetrowy kolos wykonuje akrobacje z wdziękiem godnym cyrkowca. Słońce omiata promieniami oba morawce, po czym zachodzi za rufą, niknąc za masywną płytą napędową. Mahnmut dostraja filtry optyczne i znów widzi gwiazdy. Orphu, który nie może ich oglądać w paśmie światła widzialnego, nasłuchuje przez radio ich szmeru i popiskiwań. Słucha, jak to kiedyś określił, „termojądrowego chóru ciał niebieskich”.

– Orphu, mój drogi przyjacielu – odzywa się Mahnmut. – Czyżbyś stał się nagle osobą religijną?

Morawiec z Io parska infradźwiękowym śmiechem.

– Nawet jeśli tak, i jeżeli Proust ma rację, że wyjątkowe postacie, prawdziwi geniusze, faktycznie potrafią mocą umysłu tworzyć nowe wszechświaty, to nie chciałbym spotkać twórców naszej obecnej rzeczywistości. Mam co do niej bardzo złe przeczucia.

– Nie rozumiem, dlaczego ten... – Mahnmut nagle urywa, gdyż na wspólnym kanale pojawia się pilny komunikat. – Co oznacza alarm dwanaście zero jeden?

– Masa „Królowej” zmalała właśnie o sześćdziesiąt cztery kilogramy – oznajmia Orphu.

– Wyrzuciliśmy śmieci i ludzkie odchody?

– Niezbyt trafne określenie. Nasz przyjaciel Hockenberry właśnie się dokądś teleportował.

W pierwszym odruchu Mahnmut pomyślał: Przecież on nie jest w stanie podróżować. Powinniśmy go byli powstrzymać. Przyjaciele nie powinni pozwalać teleportować się przyjacielom po pijaku... Nie wypowiada jednak swych refleksji na głos.

– Słyszysz to? – pyta Orphu sekundę później.

– Nie, co?

– Nasłuchuję kilku częstotliwości naraz. Wymierzyliśmy właśnie w Ziemię naszą najczulszą antenę. Właściwie nie w samą Ziemię, tylko w jej pierścień biegunowy. I odebraliśmy stamtąd modulowany komunikat radiowy, skierowany prosto do nas.

– Jak brzmi? – Mahnmut czuje, że jego organiczne serce coraz szybciej pompuje

krw. Nie zmniejsza przepływu adrenaliny. Nie chce.

- Tak, zdecydowanie wiadomość nadeszła z tego pierścienia – potwierdza Orphu.
- Z wysokości około trzydziestu pięciu tysięcy kilometrów nad powierzchnią Ziemi. Kobięcy głos. Zapętłone nagranie. Nieznajoma powtarza raz po raz trzy słowa. „Sprowadźcie mi Odyseusza”.

Gdy Daeman stanął pod błękitną kopułą lodowej katedry, natychmiast usłyszał niosący się echem, śpiewny szept.

– Myśli, on zrobił to i jeszcze ogień, ogniste oko w kuli piany, latające, pożerające! Myśli: Obserwował swym skośnym bielejącym okiem w blasku księżyca łowy i dzięcioła z długim jęzorem, który wciska głęboko w korę dębów, wyszukując czerwii, a kiedy odnajdzie, wypowiada proste słowo, lecz mrówek nie zjada, mrówek, które wzniosły wokół swej dziupli mur z nasion i opadłych gałązek. On stworzył to wszystko i wiele więcej, stworzył wszystko, co widzimy, i nas samych. Jak mogło być inaczej?

Chłopak rozpoznał ten głos w jednej chwili. Kaliban. Syczący szept odbijał się od niebieskich ścian, rozbrzmiewał w całym tunelu, dobiegał jakby zewsząd naraz, to uspokajająco odległy, to przeraźliwie bliski. Jeden głos potwora stawał się w jakiś niezrozumiały sposób chórem wielu głosów poszeptujących w koszmarnej harmonii. Daeman przestraszył się znacznie bardziej, niż się spodziewał. Ogarnął go strach o wiele bardziej dojmujący, niż miał wcześniej nadzieję. Pochylił głowę, wyszedł z tunelu i stanął na lodowym występie.

Czołgał się przez całą godzinę. Często musiał zawracać, gdy któryś z lodowych tuneli zanadto się zwązał lub kończył ślepym zaułkiem. Niekiedy trafiał na korytarze szerokie na dziesięć metrów po to tylko, by drogę zamknęła mu pionowa ściana, zbyt wysoka, by zdołał się na nią wspiąć. Czasami pełził po lodzie, co rusz zahaczając grzbietem o lodowe sople. W takich miejscach układał plecak przed sobą i popychał go kuszą. Wreszcie jednak trafił do – jak mu się wydawało – samego serca katedry.

Nie znał wystarczającej ilości starożytnych słów, by opisać miejsce, w jakim się znalazł. Wychynął z tunelu na półkę, która była tylko jedną z wielu tonących w cieniu lodowych antresol, klejących się do wewnętrznej ściany ogromnej kopuły. Gdyby przed wyprawą wysigłował odpowiednie wyrazy, na pewno by je teraz wszystkie z siebie wyrzucił – iglice, kopuła, łuki przyporowe, apsyda, nawa, bazylika, chór, ganek, kaplica, rozeta, alkowa, kolumna, ołtarz. I wszystkie te słowa pasowałyby do któregoś lub kilku naraz elementów wnętrza. A i tak nie nazwałby nimi wszystkiego, co miał przed oczyma. Na to potrzebowałyby więcej słów, znacznie więcej.

Na ile trafnie mógł to ocenić, przestrzeń w katedrze miała nieco ponad milę średnicy, a jarzącą się czerwonym blaskiem posadzkę od błękitnego sklepienia kopuły dzieliły jakieś dwa tysiące stóp. Jak się domyślił jeszcze przed wejściem, Setebos zamknął pod lodem cały krater. Okrągła podłoga pulsowała szkarłatnym światłem, jakby biło pod nią olbrzymie serce. Chłopak nie miał pojęcia, czy wynika to z naturalnej aktywności wulkanicznej, na przykład z przebitego przez czarną dziurę serca Ziemi mogła się właśnie podnosić lava, czy może pulsowanie stanowi efekt obecności i działania Setebosa, przywołującego ku górze ciepło i poświatę.

Cała reszta katedry mieniła się barwami i odcieniami, których Daeman nie potrafił

nazwać. W środku skrzyły się czerwienie, przechodzące ku obrzeżom sali w jaskrawe i delikatne oranże, pokrywające też dolne fragmenty lodowych ścian kopuły. Czerwone żyłki przecinały żółtopomarańczowe łuki i stalagmity. Na gigantycznych kolumnach ciepłe barwy stopniowo zmieniały się w chłodny błękit. Niebieskie ściany, filary, ścięgna i wieżyce były przesiane plamkami zielonego światła i żółtymi iskrami. W ukrytych tunelach sunęły uporządkowane czerwone rozbłyski przypominające fale elektrycznych wyładowań. Iskry skakały też pomiędzy rozpiętymi pod powalą wspornikami niczym pomiędzy dendrytami żywego mózgu.

Sama kopuła była miejscami na tyle cienka, że przez jej zachodnią ścianę przesączały się ostatnie promienie słońca, podświetlając rozety. W najwyższym punkcie konstrukcji lód miał grubość szklanej szyby. Nad nim widać było owalny kawałek ciemniejszego nieba i lekko tylko rozmyte gwiazdy. Najciekawsze jednak były pokrywające wewnętrzne ściany sali wnęki w kształcie krzyży. Były ich setki, mierzyły sobie około sześciu stóp wysokości i otaczały całą salę. Daeman wychylił się ze swej półki i ujrzał je również bezpośrednio pod sobą. Wyglądały jak wypalone, a ich wnętrza sprawiały wrażenie pokrytych metalem, od którego odbijała się czerwona poświata krateru.

Zabarwiona szkarłatem posadzka katedry nie była wygładzona i równa. Sterczały z niej kolczaste stalagmity, wyrastały pobrużdżone wieżyce, niektóre sięgające aż po sufit, tworzące równe rzędy lodowych, błękitnych podpór. Część urywała się niżej. Z otwierających się w podłożu niewielkich kraterów i szczelin buchały kłęby gazów, pary i dymu. W powiewach rozgrzanego powietrza Daeman wyłowił woń siarki. Pośrodku sali piętrzył się krater o nierównych brzegach, otoczony błękitnymi, lodowymi schodami i mniejszymi fumarolami. Ten krater nad kraterem był wypełniony po brzegi czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na białe, okrągłe kamienie. Dopiero po chwili chłopak uświadomił sobie, że widzi ludzkie czaszki. Dziesiątki tysięcy ludzkich czaszek. Całość przypominała gniazdo, tym bardziej że w kraterze, na warstwie czerepów, spoczywało monstrum. Szara, pofałdowana tkanka mózgowa, mnóstwo rozmieszczonych parami ślepi, ust i innych otworów, na przemian otwierających się i zamykających bez wyraźnego porządku. Pod tym cielskiem Daeman zobaczył dziesiątki wielkich dłoni, które od czasu do czasu poruszały nim, układając potwora w wygodniejszej pozycji na gnieździe. Kolejne dłonie – bez wyjątku szersze i dłuższe niż pokój Daemana w Ardis – wyrastały z mózgu na długich, organicznych mackach, które ciągnęły za sobą, pełznąc po podświetlonej posadzce. Niektóre z dłoni znajdowały się tak blisko, że chłopak wyraźnie zobaczył niezliczone czarne, haczykowato zakrzywione kolce pokrywające opuszki olbrzymich palców. Każdy z tych szpikulców – mogły być ewolucyjnymi potomkami włosów – był dłuższy od sztyletu, który wisiał Daemanowi u pasa. Czepiając się za ich pomocą ścian, dłonie były w stanie wspiąć się po dowolnej powierzchni, haki równie gładko jak w lód wchodziły w cement i stal.

Cały ten mózg – Setebos – był znacznie większy, niż wydawało się Daemanowi, gdy dwa dni temu potwór wyszedł z ziejącej w niebie Dziury. Wtedy chłopak ocenił, że monstrum mierzy sobie około stu stóp szerokości, lecz teraz był pewien, że Setebos ma przynajmniej dwieście, a w środku, w miejscu, gdzie mózgowe zwoje przecinała głęboka

świecąca bruzda, miał jakieś trzydzieści metrów wysokości. Potworne cielsko wypełniało sobą niemal całe gniazdo i przy każdej zmianie pozycji po sali rozchodził się chrupot pękających czaszek, dziwnie przypominający szelest gniecionej słomy.

– Myśli, taka chwała nie pokazuje, czy jest dobry, czy zły, czy okrutny lub życzliwy. Jest silny i Władczy. Straszny jest, bacz na jego wyczyny!

Syk Kalibana, jakby na dowód wspaniałej akustyki katedry, przemknął po ścianach kopuły. Słowa zwielokrotniły się echem na fumarolach i zigguratach, pokonały labirynt lodowych tuneli i wróciły do Daemana morderczym szeptem ze wszystkich stron naraz.

Gdy oczy chłopaka przywykły do czerwonego półmroku i bezmiaru ogromnej sali, dostrzegł w niej mniejsze ruchome kształty – biegały na czterech łapach wokół gniazda Setebosa, wspinały się po lodowych stopniach, podchodziły do mózgu, po czym schodziły na dół już wyprostowane, niosąc spore owalne jaja o obrzydliwie śliskich, mlecznobiałych ściankach.

Przez chwilę był przekonany, że to wojniksy – błąkając się po lodowym labiryncie, mijał dziesiątki martwych wojniksów. Nie były zamrożone jak te, na które natknął się wcześniej, lecz wypatroszone. Widział wydrażone pancerze, oderwane kończyny, poszatkowane skórzaste garby, samotne manipulatory z nożami. Teraz jednak, kiedy na moment rozrzedził się bijący z kraterów opar, zrozumiał, że usługujące Setebosowi stworzenia nie są wojniksami. Z wyglądu przypominały Kalibana.

Kalibany, uświadomił sobie. Po raz pierwszy spotkał je w Basenie Śródziemnym, podczas zeszłorocznej podróży z Savi i Harmanem. Nagle zrozumiał, jaką rolę pełniły wnęki wryte w ścianie kopuły. To ładowarki – Savi nazywała tak puste wewnątrz, stalowe krzyże. Na jednym z nich Daeman przypadkowo zobaczył pierwszego w życiu kalibana. Potwór wisiał w nim z rozpostartymi ramionami i chłopak był przekonany, że nie żyje. Zaraz potem jednak otworzyły się te żółte, kocie ślepiea...

Savi tłumaczyła, że Prospero i Ariel – wcielenie ziemskiej biosfery, którego jeszcze nikt z nich nie spotkał – stworzyli kalibany w drodze sterowanej ewolucji jednej z gałęzi ludzkiej rasy, by chroniły przed inwazją wojniksów Basen Śródziemny i inne okolice, które Prospero wolał zachować pod własną kontrolą. Teraz okazało się, że Savi bądź kłamała, bądź żyła w błędzie – kalibany nie wyewoluowały z żadnego odłamu ludzkości, lecz były klonami pierwotnego i znacznie bardziej groźnego Kalibana. Zresztą taką właśnie wersję przedstawił im Prospero na swej orbitalnej wyspie. Wtedy jednak Harman zapytał starą Żydówkę, po co postludzie stworzyli wojniksy, skoro potem musieli powoływać – oni lub Prospero – do życia inne potwory, by się przed nimi bronić.

– Ależ oni ich nie stworzyli – oświadczyła wówczas kobieta. – Wojniksy przybyły skądinąd. Nikt nie wie, komu służą. Realizują jakiś zupełnie inny plan.

Odpowiedź w niczym Daemanowi nie pomogła. Teraz poczuł się jeszcze bardziej zagubiony. Przecież kalibany z katedry – rojące się w dole z białawymi jajami niczym ohydne, różowe mrówki – nie są sługami Prospera, tylko Setebosa.

Kto w takim razie sprowadził na Ziemię wojniksy? – zaczął się zastanawiać. Dlaczego wojniksy atakują Ardis i inne ludzkie osiedla, skoro nie wykonują poleceń Setebosa? Komu służą naprawdę?

W tej chwili pewien mógł być jednego. Pojawienie się Setebosa w Kraterze

Paryskim oznaczało dla tutejszych wojniksów katastrofę. Jeśli nie zostały pochłonięte przez gwałtownie rozrastającą się błękitną zmarzlinę, to zginęły wypatroszone jak gotowane kraby. Kto je tak okrutnie zmasakrował? Kto lub co?

Daemanowi przysły do głowy dwie odpowiedzi, lecz żadna nie poprawiła mu nastroju. Wojniksy zginęły rozszarpane kłami i pazurami kalibanów lub rozerwane dłońmi samego Setebosa.

Dotarło do niego, że szaro-różowe nierówności, które w pierwszej chwili uznał za naturalne wybrzuszenia w dnie krateru, w rzeczywistości są mackami Setebosa. Długie ramiona znikają w otaczających kopułę tunelach i...

Daeman zawirował na pięcie, podrzucił kuszę do ramienia i złożył palec na spuście. Przed nim coś zaszurało po lodzie. To na pewno jedna z dłoni Setebosa. Jedna z tych trzy razy większych ode mnie łap. Przeciska się właśnie przez korytarz...

Przykucnął i odczekał. Po dłuższej chwili obciążone ciężką kuszą mięśnie ramion osłabły i zaczęły drżeć. Koszmarna ręka się nie pojawiła, lecz w lodowym tunelu wciąż słychać było echa szmerów i posykiwania.

Te dłonie sięgają już pewnie aż do wąwozów na zewnątrz, pomyślał, próbując uspokoić bicie ogarniętego paniką serca. W tunelach i na powierzchni jest ciemno. Co zrobić, jeśli na którąś z nich wpadnę?

Już wcześniej zauważył na dłoniach Setebosa pulsujące otwory gębowe. Jedna z grup kalibanów była zajęta karmieniem tych paszcz wielkimi połciami czerwonego mięsa – wojniksów bądź ludzkiego.

Ostatecznie chłopak ułożył się na brzuchu i podciągnął na skraj lodowego tarasu. Po raz kolejny poczuł, jak termoskórę przenika zimno lodu, który – był o tym głęboko przekonany – stanowił w istocie wydzielaną przez Setebosa żywą tkankę.

Mogę się już stąd wynosić. Zobaczyłem, co chciałem.

Leżąc z tą głupią kuszą w rękach, z głową wciśniętą między ramiona, tak, by nie wypatrzyły go kalibany biegające na czworakach po posadzce sali – niektóre zbliżały się do niego na niecałe sto metrów – Daeman czekał, by do tchórzliwych rąk i nóg wróciła siła. Chciał jak najszybciej uciec z tej koszarnej katedry.

Muszę wrócić do Ardis i złożyć raport, podpowiadała racjonalna część jego natury. Zrobiłem tutaj już wszystko, co w mojej mocy.

Nie, nie zrobiłeś, odezwała się uczciwa część jego natury, ta, przez którą zapewne miał stracić kiedyś życie. Musisz się jeszcze przekonać, czym są te oślisłe szarawe jaja.

Kilka z nich kalibany złożyły w dymiącej szczelinie niecałe sto metrów od Daemana, trochę na prawo od jego lodowej półki.

Przecież nie mogę tędy zejść. Za duża odległość.

Nie oszukuj. W plecaku masz przecież linę i haki. I czekany. I wcale nie jest zbyt wysoko. Tu nawet nie ma stu stóp. Potem po prostu chyłkiem podbiegniesz, przyjrzyysz się jajom – w razie możliwości zabierzesz jedno ze sobą – wrócisz spokojnie na tę półkę, a potem już prosto do domu.

Przecież to szaleństwo. Na dole, w tym kraterze, będę widoczny jak na patelni. Kalibany kręcą się po całym kraterze stąd aż po gniazdo. Jeśli mnie namierzą, złapią mnie w jednej chwili. A wtedy albo mnie pożą na miejscu, albo zabiorą do Setebosa.

Ale teraz ich tutaj nie ma, prawda? Właśnie teraz masz szansę. Zjeżdż!

– Nie! – przerażony Daeman dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że wypowiedział to słowo wyraźnym szeptem.

Zaraz potem jednak wbijał już hak w lodową powierzchnię półki. Mocno uwiązał do niego linę, zarzucił na ramię kuszę i plecak i rozpoczął mozolną wędrówkę na dno krateru.

Nareszcie! Świetnie, dla odmiany, zrobiłeś coś, co wymaga odwagi...

Zamknij się, Daeman uciszył ten mężny i skończenie głupi głos.

Głos posłuchał.

– Sądzi, że wszystko będzie trwać w ten sposób i będziemy musieli kulić się przed Nim ze strachu – ponownie doleciał go śpiewny syk Kalibana. To musiał być prawdziwy Kaliban, chłopak nie miał wątpliwości, na pewno nie jeden z klonów. Potwór musiał być gdzieś w pobliżu, być może krył się tuż za gniazdem Setebosa. – Myśli, że pewnego niezwykłego dnia, Setebos, Pan, Ten który płąsa wśród mroków nocy, przyjdzie do nas jak język do oka, jak kiel do szyi, albo może wyrośnie w nie jak pędrak przeradza się w motyla, tak, tak, my jesteśmy tutaj, a On jest tam i znikąd już ratunku.

Daeman zjeżdżał na swej śliskiej linie.

Pierwszą rzeczą, jaką doktor Thomas Hockenberry uczynił, gdy tylko zmaterializował się w Ilionie, było znalezienie zacisznej alejki, w której mógłby zwymiotować.

Zadanie nie było trudne, nawet dla pijanego naukowca. W końcu był scholiasta odwiedzał Troję i jej okolice już od niemal dziesięciu lat. Tekował się na jedną z wąskich uliczek sąsiadujących z placem przylegającym do pałacu Hektora i Parysa. Bywał tutaj tysiące razy. Szczęśliwym trafem w Ilionie trwała noc. Sklepy, kramy i niewielkie restauracyjki na placu były zamknięte, okna zniknęły za okiennicami, a teleportującego się Hockenberry'ego nie zauważył żaden żołnierz ani strażnik. Wymarzoną alejkę odszukał błyskawicznie i wymiotował tam, póki nie szarpały nim już tylko torsje pustego żołądka. Kiedy poczuł wreszcie, że organizm się uspokaja, stwierdził, że teraz potrzebuje zaułka jeszcze bardziej ustronnego i ciemnego. Takich miejsc w okolicach tymczasowego pałacu Priama nie brakowało. Hockenberry pośpiesznie wybrał uliczkę niemal idealną – szeroką na ledwie cztery stopy. Tam zgromadził pod murem stertę słomy, zarzucił na nią zabrany z „Królowej Mab” koc, ułożył się i zapadł w głęboki sen.

Ocknął się niedługo po świcie. Był obolały, miał potworny nastrój i dręczył go potężny kac. Czuł irytację przy każdym dobiegającym z placu odgłosie, drażnił go też fakt, że ma na sobie całkowicie niestosowne ubranie. Przybył do Troi odziany w szary bawełniany kombinezon kosmiczny i kapcie przystosowane do stanu nieważkości – strój, według morawców, odpowiedni dla człowieka z dwudziestego pierwszego wieku. Niestety mocno kontrastujący z powłóczystymi togami, skórzanymi nagolenicami, sandałami, tunikami, płaszczami, futrami, odlanymi z brązu pancerzami i zgrzebnymi tkaninami, jakie prezentowali na sobie przechadzający się po Ilionie ludzie.

Kiedy dotarł wreszcie na plac – wcześniej otrzepał się z brudu alejki i docenił różnicę między panującym na „Królowej” ciążeniem 1,28 g i prawdziwą ziemską grawitacją; mimo kaca czuł się w tej chwili silniejszy i bardziej prężny – zdumiało go, jak niewielu krążyło po nim Trojan. Zazwyczaj pierwsze godziny po brzasku były na targu najbardziej ruchliwe, lecz teraz przy większości stoisk kręcili się jedynie sami handlarze. Puste były też niemal wszystkie ławy jadłodajni, a po przeciwległej stronie placu, przed pałacem Parysa, Heleny i od niedawna Priama, wypatrzył tylko stojących przed bramą nielicznych strażników.

Hockenberry doszedł do wniosku, że zmiana odzienia jest w tej chwili ważniejsza nawet od śniadania, więc zniknął w cieniu jednego z poddaszy i zaczął się targować z jednookim i jednozębnym starcem w turbanie z czerwonej szmaty. Dziadek sprzedawał z największego na targu wozu wyładowanego największą różnorodnością towarów – przede wszystkim były to porzucone zbroje i ubrania ściągnięte ze świeżych trupów, o które zaczął się targować niczym smok, któremu ktoś próbuje odebrać górę złota. Hockenberry nie miał przy sobie nic cennego, w zasadzie dysponował tylko kocem i kombinezonem ze

statku. Te dwie rzeczy okazały się jednak fantami dostatecznie egzotycznymi – handlarzowi wyjaśnił, że przybywa aż z odległej Persji – i po chwili miał już w rękach togę, wysoko sznurowane sandały, piękny płaszcz z czerwonej wełny (jeszcze niedawno musiał należeć do jakiegoś pechowego oficera) tunikę i bieliznę – wybierając ostatni element stroju, Hockenberry szukał czystej, ale znalezienie takiej okazało się niemożliwe, więc postawił na bieliznę wolną od wszy.

Opuszczając plac, miał też na sobie szeroki skórzany pas z mieczem, który musiał widzieć niejedną bitwę, lecz wciąż zachował ostrość. Za pasem scholiasty tkwił jeden z pary sztyletów, które również udało mu się wytargować. Drugi wsunął do specjalnej kieszeni wszytej w podszewkę płaszcza. Starzec wcisnął mu też do ręki garść monet. Wystarczyło spojrzeć na niemal bezzębny uśmiech, by zrozumieć, że dziadyga ubił świetny interes. Niecodzienny kombinezon uda mu się pewnie wymienić na konia, złotą tarczę lub coś jeszcze droższego. Cóż, trudno.

Hockenberry nie zapytał swojego handlarza ani żadnego z innych snujących się sennie kupców, dlaczego plac zieleje pustkami, gdzie podzieli się żołnierze, co się stało z ich rodzinami i dlaczego w mieście panuje tak niecodzienna cisza. Nie zapytał o to, gdyż wiedział, że niedługo sam się przekona.

Kiedy przebierał się za wozem, stary handlarz i dwóch sprzedawców z sąsiednich kramów zaproponowali mu złoto w zamian za medalion teleportacyjny. Stojący za straganem z owocami tłuszczoch wygrał licytację dzięki sumie dwustu sztuk złota i pięciuset trackich srebrników. Hockenberry oczywiście odmówił, ciesząc się, że zanim zdjął kombinezon, odebrał od starucha miecz i sztylety.

Kilka z nowo zdobytych monet wydał na – zjedzone naprędce, na stojąco – śniadanie składające się ze świeżego chleba, suszonej ryby i kawałka sera, które popił gorącą substancją przypominającą nieco herbatę, a przy tym zdecydowanie mniej przyjemną niż kawa. Zaspokoiwszy głód, znów skrył się w cieniu i popatrzył na pałac Heleny.

Mógłby się teleportować do jej prywatnych komnat. Przecież robił to już nie raz w przeszłości.

A jeśli ją tam zastanie? Co wtedy?

Szybkie pchnięcie miecza i tekowanie się w siną dal? Niczym perfekcyjny, niewidzialny zabójca? Ale przecież mogli go zauważyć wartownicy. Po raz tysięczny w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy Hockenberry boleśnie odczuł brak morfującej bransoletki – jednego z podstawowych narzędzi pracy scholiasty, otrzymanej od bogów błyskotki pozwalającej wpływać na kształt kwantowych fal prawdopodobieństwa do tego stopnia, że Hockenberry, Nightenhelser czy ktokolwiek inny mógł w jednej chwili zastąpić dowolnego mieszkańca Ilionu i okolic – podczas takiej przemiany nie przybierali po prostu ich wyglądu, ale zastępowali ich na kwantowym poziomie rzeczywistości. Nawet potężnie zbudowany Nightenhelser mógł zmienić się w trzykrotnie bardziej szczupłego chłopca, nie naruszając przy tym zasady zachowania masy – Hockenberry słyszał o tym prawie, gdyż kilka lat temu opowiedział mu o nim pewien bardziej zorientowany w naukach ścisłych kolega.

W tej chwili morfować nie mógł – bransoletka została na Olimpie wraz

z paralizatorem, mikrofonem kierunkowym i pancerzem – wciąż jednak miał na szyi swój medalion teleportacyjny.

Musnął złoty krążek dłonią i... zawahał się. Jak się zachowa, gdy spojrzy w oczy Helenie Trojańskiej? Nie miał pojęcia. Jeszcze nigdy nikogo nie zabił, a ona była przecież najpiękniejszą kobietą, z jaką przyszło mu się kochać, najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek widział; urodą Helena dorównywała samej nieśmiertelnej Afrodycie. Ogarnęła go niepewność.

Od Bramy Skajskiej dobiegały odgłosy jakiegoś zamieszania. Hockenberry ruszył w tamtą stronę, dojadając ostatnią pajdę chleba. Świeżo zakupiony bukłak z winem zarzucił na ramię i zastanowił się nad własnym położeniem.

W Ilionie nie było mnie ponad dwa tygodnie. Nocą, kiedy zniknąłem – tamtego wieczoru, gdy Helena próbowała mnie zamordować – Achajowie byli bliscy zdobycia miasta. Trojanie i ich nieliczni olimpijscy sprzymierzeńcy – Apollo, Ares, Afrodyta i pomniejsze bóstwa – nie sprawiali wrażenia zdolnych powstrzymać zdecydowany szturm najeźdźców.

Z drugiej strony Hockenberry obserwował konflikt pod Troją już na tyle długo, by rozumieć, że w tej wojnie nic nie jest pewne. Oczywiście upadek Troi został przewidziany w wizji Homera, a wypadki w tej wersji przeszłości, na tej prawdziwej Ziemi, przez długi czas rozwijały się zgodnie, niekiedy niemal dosłownie, z fabułą homeryckiego eposu. Niemniej dziewięć miesięcy temu wydarzenia potoczyły się diametralnie innym torem – zresztą dzięki machinacjom niejakiego Thomasa Hockenberry'ego – i wszystkie karty zostały przetasowane. Z tą myślą ruszył zalaną porannym blaskiem ulicą w ślad za tłumem, który śpieszył ku głównej bramie Ilionu.

Helenę zauważył na murze ponad Bramą Skajską, w towarzystwie członków królewskiego rodu i pozostałych dygnitarzy tłoczących się na szerokiej platformie, tej samej, z której dziesięć lat temu pokazywała władcom Troi gromadzących się na równinie achajskich herosów i wymieniała ich imiona. Jej szeptu słuchali wówczas między innymi Priam, Hekuba, Parys i Hektor. Dzisiaj Parysa i Hekuby nie było już wśród żywych – podobnie jak wielu tysięcy zwykłych Trojan. Helena wciąż jednak stała po prawicy Priama, wraz z Andromachą. Dziesięć lat temu stary król obserwował wraz z armie, stojąc, ale dzisiaj pół leżał, pół siedział w monarszej lektyce. Dekadę temu Hockenberry obserwował władcę pełnego wigoru, lecz w tej chwili ujrzał człowieka postarzałego o więcej niż te minione dziesięć lat, Ot, zgarbiony i pomarszczony dziad, karykatura potężnego, silnego Priama.

Teraz jednak na przypominającej oblicze mumii twarzy zagościła radość.

– Aż po dziś dzień uzalałem się sam nad sobą! – zawołał król, zwracając się do otaczających go możnych oraz kilku setek przybocznych gwardzistów.

Nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać regularnego wojska – Wzgórze Chwastów i równina pod miastem były wyludnione. Hockenberry jednak powiódł spojrzeniem za wzrokiem Heleny. Na wybrzeżu, niemal dwie mile od murów, tam gdzie na piasku spoczywały brzuchy czarnych okręty Greków, gęstniał potężny tłum. Wyglądało na to, że armia trojańska otoczyła Achajów, przedarła się poza fosę i zjeżone ostrymi palami umocnienia i zniszczyła niemal całe, rozciągające się na wiele mil

obozowisko, które zmalało do rozmiarów półkola o średnicy ledwie kilkuset metrów. Jeśli wzrok Hockenberry'ego nie mylił, Grecy zostali przyparci do morza i czekali już tylko na decydujące natarcie obrońców Ilionu.

– Użalałem się nad sobą – powtórzył Priam i jego schrypnięty głos nabrał mocy – a także nazbyt wielu was prosiłem, byście się nade mną litowali. Odkąd bogowie odebrali mi królową, byłem ledwie udręczonym, wypatrującym rychłego końca starcem... Niedołężnym i otępiałym... Byłem przekonany, że Zeus osobiście wyznaczył mi najstraszliwszy los.

– Przez ostatnie dziesięć lat – ciągnął król Troi – oglądałem śmierć wielu swych synów i byłem głęboko przekonany, że również i Hektor dołączy do nich w Hadesie, że trafi do tych ciemnych komnat, zanim jeszcze wybierze się do nich cień jego ojca. Czekałem, by ujrzeć gorsze jeszcze widoki, twarze moich uprowadzonych córek, ograbione skarbcce, skradziony ze świątyni Ateny palladion i bezradne niemowlęta zrzucane z murów naszego miasta. Taki właśnie widziałem koniec tej krwawej, barbarzyńskiej wojny. Miesiąc temu, jeszcze miesiąc temu, moja rodzino, moi przyjaciele, moi wojownicy i żony, czekałem tylko bezsilnie na chwilę, gdy krwawe łapska Argiwów uniosą w dal żony mych synów, gdy pałający morderczym szalem Menelaos zgładzi Helenę, gdy zostanie zgwałcona moja własna córka Kasandra. Tego dnia byłbym chętnie – z wytęsknieniem nawet – powitał argiwickie psy w swoich drzwiach, zaprosiłbym je, by pożarły mnie na surowo, po tym, jak powaliłaby mnie włócznia Achillesa, Agamemnona, przebiegłego Odyseusza, bezlitosnego Ajaksa, strasznego Menelaosa czy mocarnego Diomedesa. Tak, przesyliby mnie włóczniami, wydarli ze starczego ciała sędziwego ducha, nakarmiliby moimi trzewiami moje własne ogary, tak, te same wierne zwierzęta, które strzegły pałacowej bramy i drzwi mojej sypialni. Te same psy chętnieby krew swego pana i na oczach wszystkich zeżarłyby jego serce. W ten właśnie sposób lamentowałem dziesięć miesięcy temu, tak lamentowałem jeszcze przed dwoma tygodniami... Spójrzcie jednak na świat dzisiejszego ranka, moi drodzy Trojanie, nasz świat narodził się na nowo. Zeus zabrał wszystkie bóstwa, zarówno te, które chciały nas wspomóc, jak i bogów, którzy przysięgli nam zniszczenie. Ojciec Bogów raził piorunem Herę, swą własną małżonkę. Potężny Zeus spalił czarne okręty Argiwów i przykazał nieśmiertelnym powrócić na Olimp, gdzie mają ponieść z jego rąk karę. Teraz, gdy Olimpijczycy nie wypełniają już nam dni i nocy ogniem i hukami wybuchów, mój syn Hektor powiódł naszych wojowników do kolejnych zwycięstw. Bez wsparcia Achillesa, który mógłby powstrzymać szlachetnego Hektora, achajskie świnie musiały się wycofać ku wypalonym kadłubom swych czarnych okrętów. Południową część ich obozowiska obróciliśmy w ruinę, północną wydaliśmy na pastwę płomieni. A teraz od zachodniej strony napierają na nich całą mocą Hektor i armie Ilionu, wspomagają ich Eneasza i jego Dardanowie, a także oddziały dwóch ocalałych synów Antenora, Akamasa i Achelochusa. Od południa drogę odwrotu odcięli im świetliści synowie Lukaona i nasi wierni sprzymierzeńcy z Zelei leżący u podnóża góry Ida, na której tak chętnie przesiaduje Zeus. Z kierunku północnego naciskają Greków Adrestos i Amfios, smukli w swych płóciennych gorsetach, prowadząc Apazyjczyków i Adrastejczyków pyszniących się swymi nowymi pancerzami z brązu i złota, odebranymi pomordowanym

w panicznej ucieczce Achajom. Nasi umiłowani Hippotoos i Pyleus – ciągnie wyliczankę król – którzy przetrwali dziesięcioletnią rzeź i byli w pełni gotowi polec w tych dniach z nami, ze swymi trojańskimi braćmi i przyjaciółmi, miast ginąć, prowadzą dzisiaj swych ciemnoskórych pelazgijskich wojowników wraz z oficerami z Abydos i rozbłyskującego w słońcu Arysbe. Miast umrzeć niechlubną śmiercią pokonanych, nasi synowie i sojusznicy już za kilka godzin ujrzą zatkniętą na włócznie głowę naszego zapiętego wroga, Agamemnona, a wszyscy Trakowie, Trojanie, Pelazgowie, Kikonowie, Peończycy, Paflagowie i Halizończycy doczekają się upragnionego kresu tej wojny i zaczną się pławić w bogactwie pobitych Argiwów. Wkrótce zbiorą zasłużone pancerze Agamemnona i jego wojowników. Dzisiaj, pozbawieni ochrony czarnych okrętów, greccy wodzowie, którzy przybyli tu mordować i łupić, sami zostaną wszyscy zabici i ograbieni. Dzisiaj, o ile bogowie dozwolą, a przecież Zeus dał już dowód swej woli, moi przyjaciele i rodzina, a także nasi wrogowie, staną się świadkami naszego ostatecznego triumfu. Zakończmy tę wojnę. Przygotujmy się, zanim dobiegnie końca ten dzień ostateczny, by godnie powitać Hektora i Deifobosa ucztą, która potrwać ma tydzień. Ba, niech trwa miesiąc cały! Wyprawmy w tym mieście święto zwycięstwa i wybawienia, dzięki któremu wasz wierny sługa, Priam z Ilionu, umrze jako człowiek szczęśliwy!

Tako rzekł Priam, władca Troi, ojciec Hektora. Hockenberry nie dowierzał własnym uszom.

Helena odłączyła się od grupki kobiet i niezauważona zeszła po szerokich stopniach do miasta. Zabrała ze sobą jedynie wojowniczkę Hypsipyle, niewolnicę Andromachy. Scholiasta ukrył się przed jej wzrokiem za barczystym włócznikiem, odczekał, aż Helena odejdzie nieco od schodów, i poszedł za nimi.

Kobiety skręciły w wąską alejkę, niemal całkowicie niknącą w cieniu zachodniego muru, po czym weszły w jeszcze ciaśniejszy zaułek kierujący się na wschód. Hockenberry wiedział, dokąd idą. Wiele miesięcy temu, zazdrosny o Helenę tuż po rozstaniu, śledził w tej okolicy ją i Andromachę i odkrył ich sekret. Nieopodal znajdowało się trzymane w tajemnicy mieszkanie, gdzie Andromacha pod opieką Hypsipyle i jeszcze jednej nianki ukrywała swego synka Astianakta. O tym, że dziecko żyje, nie wiedział nawet Hektor, jego rodzony ojciec. Książę nie miał pojęcia, że pozorowana śmierć chłopca z ręki Ateny i Afrodyty była tylko podstępem Trojanek, które planowały zakończyć wojnę Argiwów przeciwko Trojanom i skierować gniew Hektora przeciwko samym bogom.

Cóż, pomyślał Hockenberry, zatrzymując się u wylotu alejki, by śledzone kobiety go nie odkryły, fortel udał się wręcz znakomicie. Tyle że obecnie wojna z bogami dobiegła już końca i zanosilo się również na rychłe zwieńczenie konfliktu Trojan z Achajami.

Nie chciał dopuścić, by Helena i Andromacha dotarły aż pod drzwi nowego domu Astianakta. Budyńku strzegli mężczyźni – wojownicy z Kiliki. Pochylił się i podniósł z ziemi ciężki, gładki i okrągły kamień wielkości pięści. Ścisnął go w dłoni.

Czy ja naprawdę chcę zabić Helenę? Na to pytanie nie potrafił sobie odpowiedzieć. Jeszcze nie.

Helena i Hypsipyle przystanęły przed bramą dziedzińca, z którego wchodziło się do kryjówki. W tym samym momencie Hockenberry wyrósł bezszelestnie za ich plecami

i trącił w ramię potężnie zbudowaną niewolnicę.

Hypsipyle z Lesbos odwróciła się gwałtownie na pięcie.

Scholiasta wyprowadził mocny cios z dołu i trafił ją w podbródek. Mimo że trzymał w ręku kamień, zderzenie z twardą szczęką kobiety niemal pogruchotało mu palce. Hypsipyle runęła do tyłu niczym obalony posąg, i padając, wyrznęła głową o furtkę. Straciła przytomność. Szeroka żuchwa wyglądała na złamaną.

Fantastycznie, mruknął w duchu Hockenberry, po dziesięciu latach obserwacji wojny trojańskiej ruszyłeś wreszcie do boju. I zacząłeś od bicia kobiet.

Helena cofnęła się o krok. Smukły sztylet, który już raz przebił mu serce, spłynął z rękawa prosto między jej palce. Scholiasta chwycił kobietę za przegub, przycisnął jej dłoń do drewnianych drzwi i stłuczoną, zakrwawioną prawą ręką wyszarpnął z za pasa własny nóż. Ostrze naparło na miękką skórę pod jej brodą. Wypuściła sztylet.

– Hock-en-ber-rii... – Zadarła głowę, lecz spod noża scholiasty pociekła już krew.

Zawahał się. Zadrżało mu ramię. Jeżeli rzeczywiście chciał to zrobić, musiał działać szybko, zanim dziwka powie cokolwiek więcej. Zdradziła go, dźgnęła prosto w serce i porzuciła, by się wykrwawił. Wciąż jednak była najwspanialszą z kochanek jego życia.

– Ty naprawdę jesteś bogiem – szepnęła. W szeroko rozwartych oczach Heleny nie pojawił się nawet cień lęku.

– Nie jestem bogiem – wydyszał Hockenberry. – Jestem kotem, a ty odebrałaś mi tylko jedno z dziewięciu żyć. Inne straciłem już wcześniej, więc zostało mi siedem.

Helena zaśmiała się, ignorując kaleczące jej ciało ostrze.

– Kot o dziewięciu zyciach. Piękna metafora. Ale ty zawsze potrafiłeś zręcznie szermować słowami... zwłaszcza jak na przybysza z dalekiej krainy.

Zabij albo puść. Musisz podjąć decyzję. Absurdalna sytuacja.

Oderwał czubek sztyletu od jej gardła, lecz zanim Helena Trojańska zdążyła się ruszyć bądź odezwać, chwycił lewą dłonią pukiel jej czarnych włosów, przytknął ostrze do żeber i siłą odprowadził spod drzwi kryjówki Andromachy.

Koło się zamknęło – ponownie znaleźli się na opuszczonej wieży, skąd roztaczał się widok na Bramę Skajską i gdzie scholiasta nakrył ją z Menelaosem. Wrócili do miejsca, w którym ugodziła go nożem, ledwie przeniósł jej męża do obozu Greków. Raz po raz popychając Helenę przed sobą, zapędził ją po krętych schodach na sam szczyt, na ostatnie piętro ocalałe z eksplozji zrzuconej przez bogów bomby.

Zaciągnął ją niemal na skraj, lecz zatrzymał się w miejscu niewidocznym dla zabłąkanych na dole przechodniów.

– Rozbieraj się! – syknął.

Helena odgarnęła cisnący się jej do oczu kosmyk włosów.

– Hock-en-ber-riiii, czyżbyś chciał mnie zgwałcić i dopiero potem zepchnąć w tę przepaść?

– Rozbieraj się.

Cofnął się, nie opuszczając noża. Helena zaczęła się pozbywać kolejnych warstw jedwabnych szat.

Dzień był o wiele cieplejszy niż dwa tygodnie temu – kiedy go dźgnęła – lecz na

tej wysokości wiał chłodny wiatr, który natychmiast utwardził jej sutki, a na białych ramionach i brzuchu wywołał gęsią skórę. W miarę jak kolejne części zwiewnej garderoby spadały na posadzkę, kazał Helenie podsuwać jej stopę. Nie spuszczał kobiety z oka, przykłęknął i obadał palcami miękką suknię i gładką bieliznę. Nie znalazł kolejnych sztyletów.

Wreszcie, zalana blaskiem porannego słońca, stanęła w lekkim rozkroku. Nie osłoniła piersi ani krocza, ramiona zwiesiła swobodnie wzdłuż boków. Głowę miała dumnie zadartą i wyraźnie widział cieniutką strużkę krwi na jej podbródku. W oczach Heleny spokojna krnąbrność mieszała się z ciekawością. Chciała wiedzieć, jak to się skończy. Nawet teraz, wściekły do granic, rozumiał doskonale, dlaczego w walce o tę kobietę poległy tysiące mężczyzn. Zdumiało go, że nawet w tej chwili, pomimo targającego nim, niemal morderczego gniewu, wciąż jej pożąda. Po siedemnastu dniach spędzonych w zwiększonym ciężeniu na pokładzie „Królowej” czuł się na Ziemi prawdziwym siłaczem, czuł się potężny, przepełniała go moc. Był pewien, że zdołałby tę piękną kobietę chwycić jednym ramieniem i zanieść, dokąd tylko zechce, a potem zrobić z nią wszystko, czego zapragnie, i wypuścić ją dopiero, kiedy się znudzi.

Rzucił jej ubranie.

– Wkładaj to.

Wpatrując się w niego nieufnie, powoli zebrała szaty z posadzki. Z dołu, z murów i okolic Bramy Skajskiej podniosły się okrzyki, wiwaty i grzechot drewnianych włóczni bijących o wykonane ze skóry i brązu tarcze. Mowa Priama dobiegła końca.

– Opowiedz mi, co się tu działo przez te siedemnaście dni, kiedy mnie nie było – rzucił opryskliwe.

– Tylko po to wróciłeś, Hock-en-ber-riiii? Żeby mnie wypytać o świeże plotki? – Naciągnęła stan sukienki na alabastrowe piersi.

Wskazał jej gestem nadkruszony kamień, a kiedy zajęła miejsce, usiadł na innym, dwa metry dalej. Mimo że miał w ręku nóż, nie chciał się zanadto zbliżyć do Heleny.

– Powiedz, co się wydarzyło przez ostatnie parę tygodni – powołał prośbę.

– Nie zapytasz, dlaczego cię dźgnęłam?

– To wiem. – W głosie scholiasty słyhać było zmęczenie. – Namówiłaś mnie, bym tekował Menelaosa poza miasto, ale uznałaś, że nie chcesz z nim uciekać. Gdybym zginął, a Achajowie opanowaliby Ilion, co uważałaś za pewnik, powiedziałaśbyś Menelaosowi, że nie chciałem ci pomóc. Albo coś w tym stylu. Ale wiesz, Heleno? On zabiłby cię tak czy inaczej. Mężczyźni, nawet Menelaos, chociaż nie jest tytanem intelektu, potrafią wybaczyć kobiecie zdradę, owszem. Ale tylko jedną, nie dwie.

– Masz rację, zabiłby mnie. Ale ciebie, Hock-en-ber-riiii, chciałem zabić po to, by nie zostawić sobie wyboru... Żebym musiała zostać w Ilionie.

– Jak to? – Scholiasta czuł się zdezorientowany. W dodatku kąc wcięż pulsował mu w głowie.

– Kiedy Menelaos mnie odszukał, uświadomiłam sobie, że myśl o ucieczce u jego boku bardzo mnie uradowała. Cieszyłabym się nawet, gdyby uznał za stosowne mnie zabić. Przez wszystkie te lata, które spędziłam w Troi powszechnie uważana za dziwkę, czas, kiedy byłam żoną Parysa i doprowadziłam do tyłu śmierci... stałam się złą. Stałam

się próżną prostaczką o jałowym duchu...

„Wiele można o tobie powiedzieć, Heleno Trojańska, ale nie, że jesteś prostaczką” – to zdanie cisnęło mu się na usta, lecz zdołał się powstrzymać.

– A po śmierci Parysa – ciągnęła – straciłam męża. Po raz pierwszy od wczesnej młodości nie miałam nad sobą pana. I kiedy ujrzałam tu Menelaosa, zrozumiałam, że cieszę się na jego widok tak, jak cieszy się niewolnik, ponownie widząc łańcuch i kajdany. W momencie, gdy nas tutaj zastałeś, pragnęłam już tylko zostać sama w Ilionie. Nie jako Helena, żona Menelaosa, nie jako Helena, żona Parysa, lecz po prostu jako... Helena.

– To jeszcze nie powód, żeby wbijać mi nóż w serce – zauważył Hockenberry. – Mogłaś mi o tym wszystkim po prostu powiedzieć, kiedy wróciłem już bez Menelaosa. Mogłaś mnie też poprosić, bym przeniósł cię w dowolne miejsce na świecie... Zrobiłbym to.

– I właśnie dlatego próbowałam cię zabić – wyszeptała Helena.

Hockenberry nie skomentował, zmarszczył tylko czoło.

– Tamtego dnia postanowiłam, że nie zwiążę już swego losu z żadnym mężczyzną, lecz z miastem... Z Ilionem – podjęła. – A wiedziałam, że dopóki tu będziesz, dopóki pozostaniesz przy życiu, zawsze zdołam cię namówić, byś skorzystał ze swej magii i przeniósł mnie gdzie indziej... w bezpieczne miejsce... Nawet gdyby Agamemnon z Menelaosem wkroczyli już do Troi i wszędzie dokoła szalałyby płomienie.

Hockenberry przez dobrą chwilę zastanawiał się nad sensem jej słów. Wciąż nie pojmował ich znaczenia i nabrał wreszcie pewności, że nigdy ich nie zrozumie. Zmienił więc temat.

– Opowiedz mi, co się tu działo przez ostatnie dwa tygodnie – poprosił po raz trzeci.

– Dla Ilionu nastały czarne dni – odpowiedziała Helena. – Tamtej nocy, kiedy zostawiłam cię rannego, Agamemnon niemal zdołał się wedrzeć do miasta. Hektor, odkąd Amazonki wyjechały na spotkanie przeznaczenia, przestał opuszczać swoje komnaty. Kiedy Dziura zniknęła i stało się jasne, że już nigdy się nie otworzy, Hektor zamknął się w sobie na dobre, nie odzywał się już nawet do Andromachy. Wiem, że ona rozważała, czy nie powinna wyznać mu prawdy o Astianakcie. Zrezygnowała jednak, nie wiedziała, jak mogłaby mu wyjaśnić ten podstęp, nie narażając się przy tym na śmierć. Walki trwały jeszcze przez kilka następnych dni. Armie Agamemnona i wspierający ich bogowie zgładzili wtedy wielu Trojan. Zanim Hektor się otrząsnął i ponownie sięgnął po miecz, przed gniewem argiwskich hord ocalił nas tylko obrońca miasta – Febus Apollo, Pan Srebrnego Łuku – zasypujący wroga swymi niechybnymi strzałami. Bez niego ponieśliśmy całkowitą klęskę. Argiwowie pod wodzą Diomedesa przerwali nawet mury w najniższym punkcie, tam gdzie rośnie to dzikie drzewko figowe. Jeszcze przed niedawną straceńczą wojną przeciwko bogom, w ciągu poprzednich dziesięciu lat konfliktu, próbowali to miejsce szturmować trzykrotnie. Być może istnienie tej słabości wyjawiał im któryś z ich znamienitych wieszczbiarzy. Po trzykroć jednak Hektor, Parys i nasi pozostali herosi odpierali te ataki. Najpierw odepchnęli spod muru Ajaksów, potem braci Atrydów, a wreszcie samego Diomedesa. Tym razem jednak, czwartego dnia po tym, jak próbowałam cię zgładzić i rzuciłam sępom na żer, Diomedes sprowadził pod dziką figę cały swój kontyngent z Argos. Drabiny Agamemnona wyrastały przy

zachodnim murze, a Brama Skajska trzęsła się w zawiasach pod uderzeniami taranów wielkich niczym strzeliste drzewa w lesie, Diomedes ponownie ruszył na najniższy punkt naszych umocnień. Wykorzystał przy tym całą swą siłę oraz przebiegłość i zanim słońce skryło się w morzu, Argiwowie wdarli się do miasta. Jedynie odwadze drugiego z synów Priama, Deifobosa, brata Hektora, mężczyzny, który z woli królewskiego rodu miał zostać moim kolejnym małżonkiem, zawdzięcza Troja ocalenie. Podczas gdy pozostali byli zajęci rozdzieraniem szat na widok drabin i taranów, Deifobos rozpoznał zagrożenie, zebrał niedobitki swego dawnego batalionu, wojowników ocalałych z oddziału Helenusa, żołnierzy niejakiego Asisu, syna Hyrtakusa, kilka setek zbiegłych ludzi Eneasza, na przybocznego wziął sobie zaprawionego w bojach Asteropeusa, po czym ruszył do kontrataku. Przebijali się przez ciasne uliczki, a pobliski rynek przemienili w drugą linię frontu. W straszliwym starciu z pewnym zwycięstwem Diomedesem Deifobos walczył niczym bóg, w pewnej chwili sparował nawet włócznią ciśniętą ręką samej Ateny. Olimpijczycy bowiem zmagali się tu równie brutalnie jak śmiertelni, a nawet bardziej zaciekle. Argiwów udało się na pewien czas zatrzymać dopiero o świcie. Mur w okolicy dzikiej figi legł w gruzach, opętani bitewnym szałem najeźdźcy zajęli kilkanaście spalonych kwartałów. Całe zastępy ludzi Agamemnona wciąż próbowały wdrzeć się po drabinach na fortyfikacje od zachodu i północy, wielka Brama Skajska została strzaskana i wisiała już tylko na żelaznych ryglach. I to właśnie tamtego poranka Hektor oświadczył Priamowi i reszcie dostojników, że wróci do walki.

– I rzeczywiście wrócił?

– Ty się pytasz, czy wrócił? – Helena się zaśmiała. – Świat nigdy przedtem nie widział tak wspaniałych aristeiów. Już pierwszego dnia zagniewany Hektor – osłaniany przez Apolla i Afrodytę przed piorunami Ateny i Hery – stanął do uczciwego pojedynku z Diomedesem i zwyciężył. Przeszył syna Tydeusa na wylot swoją najlepszą włócznią. Na ten widok wierni dotąd Diomedesowi wojownicy z Argos rzucili się do ucieczki. O zachodzie słońca miasto znów należało do nas, a murarze zajęli się naprawą i wzmacnianiem murów przy dzikiej figie. W tej chwili są już równie wysokie jak te w pobliżu Bramy Skajskiej.

– Czyli Diomedes nie żyje? – zdumiał się Hockenberry.

Wiadomość wstrząsnęła nim do głębi. Obserwując walki pod Troją od dziesięciu lat, scholiasta nabrał przekonania, że Diomedes jest równie niezwyciężony jak Achilles i bogowie. W „Iliadzie” wyczyny Diomedesa – zbrojny wypad, pojedynek – zajmują całą księgę piątą i początek szóstej, a ich opisy długością i intensywnością homeryckiej narracji ustępują tylko relacji z wybuchu gniewu Achillesa z ksiąg od dwudziestej do dwudziestej drugiej... Wybuchu, który teraz, wskutek manipulacji Hockenberry’ego, miał nigdy nie nastąpić.

– Diomedes nie żyje – powtórzył oszołomiony scholiasta.

– Poległ też Ajaks – dodała Helena. – Dzień po wyparciu Greków ponownie spotkał się z Hektorem. Pamiętasz pewnie, że już kiedyś się ze sobą potykali, lecz rozstali się wówczas w przyjaźni, gdyż obaj ścierali się z niezrównanym męstwem. Tym razem jednak Hektor zaszlachtował syna Telamona. Najpierw zniszczył potężnymi uderzeniami miecza jego ogromną, prostokątną tarczę, powyginał ją całą na wszystkie strony, a kiedy

Ajaks Wielki wykrzyknął: „Litości! Zmiłuj się, synu Priama!” Hektor się nie ulitował, tylko pchnął go mieczem, przebijając kręgosłup i serce. Wyprawił Ajaksa do Hadesu, zanim słońce uniosło się nad horyzont na szerokość dłoni. Wojownicy z oddziału pokonanego, ci osławieni zabijacy z Salaminy, płakali tamtego dnia jak dzieci i darli na sobie szaty. Kiedy ruszyli do odwrotu, natknęli się na Wzgórzu Chwastów na armie Agamemnona i Menelaosa... Wiesz, o którym pagórku mowa, prawda? Na zachód od miasta, bogowie zwań Kurhanem Amazonki Myrine.

– Tak, wiem. – Hockenberry pokiwał głową.

– No więc tam właśnie uciekające wojska zabitego Ajaksa wpadły na nacierające korpusy Atrydów. Zapanowały chaos i okrutny zamęt. Z zamieszania skorzystał Hektor, prowadząc na Greków siły Trojan i ich sprzymierzeńców. U boku brata stanął Deifobos. Akamas i stary Pirus wiodli swych Traków, Mestles i syn Antifosa zagrzewali okrzykami do boju Mezończyków... W ataku wzięli udział wszyscy pozostający przy życiu trojańscy herosi, mimo że ledwie dwa dni wcześniej przegrywali na dobre. Stałam tamtego ranka na murze, tuż pod tą wieżą, i przez trzy godziny nie widzieliśmy zupełnie nic. Były tam ze mną Trojanki, był zniedołężniały Priam, którego wniesiono po schodach w lektyce, zebrały się żony, córki, matki i siostry, młodzi chłopcy i sędziwi starcy, lecz nikt nie widział niczego przez bite trzy godziny, tak wielka chmura pyłu podniosła się spod stóp tysięcy wojowników i kół setek rydwanów. Chmury strzał wypuszczanych przez łuczników obu stron były niekiedy tak gęste, że zaćmiewały słońce.

– Kiedy jednak na równinie osiadł kurz, a bogowie wycofali się po bitwie na Olimp, okazało się, że jako kolejny po Ajaksie i Diomedesie do Domu Śmierci trafił Menelaos i...

– Menelaos zginął? Twój mąż nie żyje? – Hockenberry znów był wstrząśnięty. Ci wszyscy mężczyźni walczyli przeciwko sobie od dziesięciu lat, potem przez dziesięć miesięcy wojowali przeciwko bogom.

– Przecież to właśnie powiedziałam, czyż nie? – zachnęła się Helena. – Ale nie Hektor go zgładził. Dosięła go strzała wypuszczona z łuku młodego Palmysa, syna martwego już Pandarosa, wnuka Likaona. Był to ten sam poświęcony przez bogów łuk, z którego Pandaros w zeszłym roku ranił Menelaosa w biodro. Tym razem jednak nie było w pobliżu niewidzialnej Ateny, która zmieniałaby bieg strzały, i grot wszedł Menelaosowi przez szparę w hełmie, prosto w oko i przebił czaszkę na wylot.

– Masz na myśli małego Palmysa? – Hockenberry zdał sobie sprawę, że od dobrej chwili powtarza imiona jak kretyn. – Przecież on ma najwyżej dwanaście lat...

– Nie skończył jeszcze nawet jedenastu. – Helena się uśmiechnęła. – Ale ten właśnie chłopiec posłużył się łukiem ojca, którego rok temu zamordował Diomedes, i to jego strzała wyrównała wszystkie długie mojego męża, rozwiązując zarazem nasze małżeńskie problemy. Jeżeli chciałbyś obejrzeć zakrwawiony hełm Menelaosa, to mam go w pałacu, w swojej komnacie. Tarczę mały Palmys zatrzymał dla siebie.

– Mój Boże! – jęknął Hockenberry. – Diomedes, Ajaks Wielki i Menelaos zabici w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nic dziwnego, że udało się wam zepchnąć Argiwów aż pod czarne okręty.

– Nie wszystko poszło jak z płatka – zastrzegła Helena. – Tamten dzień mógł się

skończyć zupełnie inaczej, gdyby nie pojawił się sam Zeus.

– Zeus!

– Zeus – powtórzyła. – Dzień rozpoczął się naszym chwalebny zwycięstwem, co mocno rozjuszyło sprzymierzonych z Achajami nieśmiertelnych. Zagniewane śmiercią faworytów Hera i Atena osobiście zaczęły miotać ognistymi piorunami i położyły trupem tysiąc męźnych Trojan. Z kolei Posejdon, bóg wstrząsający ziemią, ryknął tak potężnie, że w Ilionie dwadzieścia mocnych budynków posypało się w gruzy. Łucznicy spadali z murów niczym jesienne liście, a Priam został wyrzucony ze swej lektyki. W kilka nędżnych minut utraciliśmy wszystko, co udało się wcześniej wywalczyć. Hektor wycofywał się wśród padających wojowników. Deifobos został ranny w nogę i musiał go ponieść brat. Wszyscy Trojanie wycofali się przez Wzgórze Chwastów aż do Bramy Skajskiej i do miasta. Nawet my, kobiety, zbiegłyśmy z murów, by wspomóc męzczyzn grodzących strzaskaną bramę żelazną sztabą. Rozpętała się straszliwa walka. Wraz z naszymi cofającymi się herosami do Ilionu wtargnęły dziesiątki rozwścieczonych Argiwów. Posejdon ponownie zatrzęsł ziemią i wszyscy padli na kolana. Atena odwróciła uwagę Apolla i wdała się z nim w podniebny pojedynek. Ich rydwany śmigły po całym niebie, ciągnąc za sobą pióropusze płomieni. Skorzystała z tego Hera i obrzuciła nasze mury ognistymi kulami. Wtedy na wschodzie ukazał się Zeus. Śmiertelni jeszcze nigdy nie oglądali go w tak olbrzymiej i budzącej postrach postaci.

– Twierdzisz, że robił silniejsze wrażenie, niż kiedy objawił nam swą twarz w atomowym grzybie? – spytał Hockenberry.

Helena odpowiedziała śmiechem.

– O wiele silniejsze, mój Hock-en-ber-rii. Był prawdziwym kolosem, jego nogi wyciągały się ponad śnieżny wierzchołek Idy, potężna pierś sięgała nad chmury, a olbrzymie oblicze majaczyło tak wysoko, że ledwie je widzieliśmy. Przerastał najwyżej sunące, piętrzące się przed burzą stratocumulusy.

– Kurczę... – Hockenberry spróbował sobie wyobrazić ten widok.

Raz miał okazję wdać się z Zeusem w bójkę. W zasadzie była to nie tyle bójka, ile próba ucieczki pomiędzy nogami Boga Bogów. Doszło do niej podczas trzęsienia ziemi na Olimpie. Zaczynała się właśnie wojna ludzi z bogami, a scholiasta pędził na czworakach po upuszczony medalion teleportacyjny. I nawet wtedy Ojciec Bogów robił imponujące wrażenie, choć mierzył swe zwykłe cztery i pół metra. Helena tymczasem opisała giganta wysokiego na jakieś dziesięć mil. Jezu!

– Mów dalej – poprosił.

– Zatem na widok tego kolosa wszyscy stanęli jak wryci. Dosłownie zamarli niczym posągi, z poderwanymi do ciosu mieczami, z włóczniami w dłoniach i uniesionymi tarczami. Nawet boskie rydwany zawisły na niebie w bezruchu. Atena i Febus Apollo znieruchomieli podobnie jak tysiące zmagających się poniżej śmiertelników. I wtedy Zeus zagrzmiał. Nie umiem naśladować jego głosu, niech ci wystarczy, jeśli powiem, że brzmiało to, jakby naraz rozpętała się burza, zadygotała ziemia i wybuchły wszystkie wulkany świata... „Niesforna Hero, zdradziłaś mnie po raz kolejny! Wciąż spałbym jak zabity, gdyby nie obudził mnie twój kaleki syn z pewnym śmiertelnikiem. Jak śmiesz zwodzić mnie ciepłymi objęciami, oslepić uwodzicielską

mocą po to tylko, by dopiąć swego, by zniszczyć Troję wbrew wyraźnemu rozkazowi swojego Pana?!”.

– Kaleki syn z pewnym śmiertelnikiem? – powtórzył scholiasta. Kaleką naturalnie musiał być patron ognia, Hefajstos. Kim jednak był ów śmiertelnik?

– Tak właśnie powiedział, a raczej ryknął – potwierdziła Helena.

– Co się stało potem? – zainteresował się Hockenberry.

– Potem, zanim Hera zdążyła przemówić we własnej obronie, zanim którykolwiek Olimpijczyk zdołał choć drgnąć, Zeus, Król Czarnej Chmury, cisnął w nią swym gromem. I mimo że wszyscy przecież byliśmy przekonani, że Hera jest nieśmiertelna, zgładził ją na miejscu.

– Bogowie mają swoje sposoby. Potrafią wracać do życia – szepnął scholiasta, przypominając sobie wielkie lecznicze kadzie z rojącymi się wewnątrz błękitnymi czerwiami, które widział w olbrzymim gmachu na szczycie Olimpu, gdzie pracował przypominający gigantycznego owada Uzdrowiciel.

– Tak, wszyscy o tym wiemy – przyznała Helena z niesmakiem. – Przecież nawet nasz Hektor zabił Aresa co najmniej sześć razy w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy. I za każdym już po kilku dniach bóg wojny pojawiał się z powrotem na polu. Ale Herę spotkało coś innego, Hock-en-ber-rii.

– Jak to?

– Piorun Zeusa po prostu ją zniszczył. Kawałki złotego rydwanu bogini rozleciały się dokoła na przestrzeni wielu mil. Dachy Ilionu zrosił deszcz płynnego złota i stali. A skrawki ciała samej bogini rozsypały się od morskiego brzegu po pałac nieżyjącego Parysa, zwęglone pasemka różowego mięsa. Nikt śmiertelny nie miał odwagi ich dotknąć, a one skwierczały i dymiły jeszcze przez kilka dni.

– Jezu... – szepnął Hockenberry.

– W następnej kolejności Gromowładny zajął się Posejdonem. Pod umykającym bogiem morza rozwarła się wielka otchłań i Posejdon przepadł w niej bez śladu. Tylko przez wiele godzin słychać było jeszcze wrzask spadającego, tak przenikliwy, że wszyscy śmiertelnicy, Grecy i Trojanie, zalali się łzami.

– Zeus zrobił to wszystko ot tak, bez słowa wyjaśnienia?

– Nie. – Helena pokręciła głową. – Powiedział: „Jestem Zeus, ten który gna przed sobą burzowe chmury, jestem synem Kronosa, ojcem ludzi i bogów. Władatem przestrzenią prawdopodobieństwa, zanim zostaliście przeobrażeni w bóstwa, tracąc swe nędzne postludzkie postacie! Byłem panem i strażnikiem Setebosa, zanim jeszcze ważyliście się choć zamaryć o nieśmiertelności! Posejdonie, boże, który wstrząsasz ziemią, ty zdrajco, czy naprawdę sądziłeś, że nie wiem, iż wraz z moją krowiooką królową planowałeś pozbawić mnie władzy? Skazuję cię na wygnanie do Tartaru, w otchłań pod najgłębszą czeluścią Hadesu. Strącam cię w czerń pod ziemią i morzem, gdzie na łożach bóleści cierpią Kronos i Lapetos, do Tartaru, którego ściany tworzy otchłań czarnej dziury!”.

Hockenberry nie skomentował. Helena umilkła i odchrząknęła.

– Masz może trochę wody, Hock-en-ber-rii?

Podał jej bukłak, który nappełnił wcześniej przy fontannie na placu. Odczekał

w milczeniu, póki kobieta nie zaspokoila pragnienia.

– Te właśnie słowa padły z ust Zeusa, gdy pod wrzeszczącym Posejdonem rozwarła się jama Tartaru. Żołnierze, którzy zerknęli w tę otchłań z wysokości murów, jeszcze przez wiele dni nie byli w stanie powiedzieć ni słowa, tylko niezrozumiale bełkotali lub dławili się krzykiem.

Hockenberry wciąż milczał.

– A potem Ojciec Bogów rozkazał wszystkim nieśmiertelnym wrócić na Olimp, gdzie zamierzał wymierzyć im karę. Wybacz, Hock-en-ber-rii, ale naprawdę nie zdołam udatnie powtórzyć zeusowego ryku. W jednej chwili zniknęły latające rydwany, zniknął Pan Srebrnego Łuku, zniknęli Atena i czerwonoooki Hades, zniknęła ta zdzira Afrodyta i zniknął krwiożerczy Ares, zniknął cały nasz panteon. Teleportowali się na Olimp niczym skarcone dzieci, które posłusznie godzą się z tym, że rozczarowany tatuś sięgnie po różgę.

– Rozumiem, że Zeus też wtedy zniknął? – upewnił się scholiasta.

– Och, nie, Syn Kronosa dopiero się rozkręcał. Jednym krokiem przeszedł ponad Ilionem i ruszył spod miasta ku wybrzeżu, niczym Astianakt idący przez zastawioną żołnierzkami piaskownicę. Pod olbrzymimi stopami Zeusa zginęły tego dnia setki Trojan i Argiwów, a kiedy Zeus dotarł do obozu Agamemnona, wyciągnął rękę i spopielił wszystkie czekające na piaszczystym brzegu czarne okręty. Następnie przeniósł spojrzenie na statki stojące na kotwicach i na te płynące w konwoju z Lemnos, które wiozły wino przysłane przez Euneusa, syna Jazona, i dary dla Atrydów. Zacisnął płomienistą pięść i na morzu wezbrała gigantyczna fala, po czym zmyła okręty na wybrzeże niczym wystrugane przez niewolników drewniane łódeczki, które Astianakt z wielkim upodobaniem zatapia w kąpielu.

– Dobry Boże – wyrwało się Hockenberry’emu.

– Podobnie wtedy pomyślałam – przyznała Helena. – Kiedy grecka flota została już zniszczona, rozległ się najgłośniejszy dotąd grzmot, bardziej donośny niż wcześniejszy ryk Gromowładnego, który ogłuszył setki ludzi. Zeus zniknął i zerwał się potężny, wyjący wichur, wypełniający pozostałą po gigantycznej postaci pustkę. Porywy tej wichury poderwały z ziemi achajskie namioty i wyniosły je na tysiące stóp pod niebo, także rumaki z trojańskich stajni wyleciały ponad mury.

Hockenberry zwrócił spojrzenie na zachód, gdzie szeregi Trojan otaczały topniejącą armię Argiwów.

– To wszystko działo się kilkanaście dni temu. Czy bogowie od tamtego czasu wrócili? Choć jeden? Może pojawił się sam Zeus?

– Nie, Hock-en-ber-rii, od tamtego dnia począwszy, nikt nie widział ani jednego Olimpijczyka.

– Cóż, ale skoro minęły już prawie dwa tygodnie – zauważył scholiasta – to dlaczego Hektor nie uporał się dotąd z Argiwami? Przecież po śmierci Diomedesa, Ajaksa Wielkiego i Menelaosa morale achajskich wojsk musiało znacznie podupaść.

– I podupało – potaknęła Helena. – Ale w pierwszych dniach po powrocie Zeusa żołnierze obu stron przeżywali ciężki szok. Wielu przez dłuższy czas nie odzyskało słuchu. Poza tym wspominałam już, że ci, którzy znaleźli się na murze zbyt blisko otchłani Tartaru, jeszcze przez tydzień przypominali toczących z ust ślinę obłąkańców. Co prawda

wodzowie nie zawarli rozejmu oficjalnie, ale walki wygasły same z siebie. Zajęliśmy się zbieraniem poległych. Trzeba ci bowiem pamiętać, że ataki Agamemnona kosztowały życie wielu trojańskich wojowników i przez prawie siedem długich dni stopy pogrzebowe bez przerwy rozświetlały niebo nad miastem i rozciągniętym na wiele mil obozem przerażonych Argiwów. Wreszcie w drugim tygodniu, gdy Agamemnon posłał drwali do lasów u podnóża Góry Ida, Hektor ruszył do natarcia. Zdał sobie sprawę, że Grecy zamierzają odbudować flotę. Tym razem walka okazała się żmudna. Przyparciu do morza Argiwoie, pozbawieni statków, na których mogliby uciec, bronili się jak szczury zapędzone w róg piwnicy. Dzisiaj rano jednak jest już ich tylko kilka tysięcy. Zamknęliśmy ich w okrążeniu i Hektor poprowadzi wkrótce wojsko do decydującego szturmu. Dzisiaj wojna trojańska dobiegnie końca. Ilion ocaleje, Hektor zostanie okrzyknięty najwięszym herosem w dziejach, a Helena odzyska wolność.

Przez kilka chwili oboje siedzieli bez słowa na kamiennych blokach i patrzyli na zachód, gdzie promienie słońca skrzyły się na grotach włóczni i pancerzach, skąd dolatywały dźwięki rogów.

Milczenie przerwała Helena.

– Hock-en-ber-riii – spytała – co zrobisz ze mną teraz?

Scholiasta otrząsnął się z zadumy, zerknął na sztylet, który wciąż trzymał w dłoni, i wsunął ostrze za pas.

– Możesz iść – powiedział.

Helena spojrzała mu w oczy, lecz nie wykonała nawet jednego ruchu.

– Idź! – syknął Hockenberry.

Wstała i powolnym krokiem odeszła. Podeszwy jej bucików zaszemrały na stopniach – tak samo jak wtedy, gdy dwa i pół tygodnia temu scholiasta wykrwawiał się na wieży.

A co ja mam ze sobą zrobić?

Mimowolnie, wiedziony wyrobionym podczas lat pracy odruchem, poczuł potrzebę zgłoszenia Muzie wszystkich różnic między najnowszymi wydarzeniami a fabułą Iliady. Uśmiechnął się. Ilu bogów wciąż istniało w tym drugim wszechświecie, w którym marsjański Olympus Mons stał się mitycznym Olimpem? Czy i w którym momencie Zeus pohamował swój gniew? Czy dopuścił się może masowego bogobójstwa? Raczej nigdy nie pozna odpowiedzi na te pytania. Brakowało mu odwagi, by ponownie teleportować się na Olimp.

Hockenberry musnął wiszący pod tuniką medalion. Czyli z powrotem na „Królową Mab”? Chciał zobaczyć Ziemię, swoją Ziemię, prawdziwą, nawet jeśli od jego czasów minęły na niej trzy tysiące lat. Chciał być przy Odyseuszu i morawcach w chwili, gdy zobaczą błękitną planetę na własne oczy. Tutaj, w tym wszechświecie, nie trzymał go już żaden obowiązek, nie trzymało go tu zupełnie nic.

Wyjął medalion i pogładził złotą tarczę.

Nie wrócę na „Królową”. Jeszcze nie teraz.

Nie był już co prawda scholiastą – zdradził bogów, a oni go porzucili – lecz nie przestał być naukowcem. Wróciła do niego fala wspomnień, wypełniały się kolejne luki w pamięci. Ujrzał w duchu dziesiątki lat poświęconych wykładaniu „Iliady”. Wszystkie

te cudowne, zakurzone sale wykładowe, młode twarze studentów – blade, pryszczate, zdrowe, zainteresowane, obojętne, opalone, natchnione i pozbawione wyrazu. Czy mógł sobie pozwolić na przegapienie ostatniego aktu tej nowej, niedorzecznej wersji eposu?

Doktor Thomas Hockenberry przekręcił obwódkę medalionu i teleportował się prosto w sam środek oblężonego, skazanego na zagładę obozowiska Achajów.

Po wszystkim Daeman nie był w stanie przypomnieć sobie, kiedy właściwie postanowił wykraść jedno z jaj.

Na pewno nie podczas zjazdu na linie. Wtedy był zbyt pochłonięty trzymaniem się rozkołysanego nad posadzką sznura i ukrywaniem się przed wzrokiem kalibanów.

Nie wpadł na ten pomysł również, kiedy pędził chyłkiem po rozgrzanym, spękanym dnie krateru. Serce łomotało mu wtedy tak głośno, że nie był w stanie myśleć o niczym poza dotarciem do fumaroli, w której zobaczył jaja. Dwukrotnie spostrzegł grupki kalibanów truchtających za najbliższymi parującymi stożkami i dwukrotnie rzucił się jak długi na ziemię, gdzie leżał, póki nie oddaliły się w stronę gniazda Setebosa. Gdyby nie założył pod ubranie termoskóry, poparzyłby sobie dłonie o gorącą posadzkę katedry. Leżał być może minutę, a koszula i spodnie i tak zaczęły na nim dymić. Wreszcie puścił się biegiem przed siebie, dopadł skraju fumaroli i przyklęknął. Głośno dyszał, rozgrzane powietrze utrudniało oddychanie. Ścianki niewielkiego krateru miały około dwunastu stóp wysokości i były pokryte wieloma nierównościami. Powstały z tego samego błękitnego materiału, z którego zbudowana była cała lodowa katedra. Daeman wspiął się bez większego kłopotu. Nie musiał nawet wyciągać czekanów.

Fumarola – jeden z dziesiątków posykujących pod kopułą kraterów w kraterze – wypełniona była po brzegi ludzkimi czaszkami. Bijące spod ziemi cuchnące siarkowe opary rozgrzały kości do tego stopnia, że niektóre jarzyły się czerwonym blaskiem. Śmierzące kłęby pary zapewniły Daemanowi osłonę. Skoczył na warstwę czaszek i przyjrzał się jajom Setebosa.

Długie na około metra, owalne, szarawobiałe, dziwnie pulsujące zamkniętą wewnątrz energią bądź jakąś formą życia. Daeman naliczył dwadzieścia siedem sztuk. Leżały ułożone na kołysce z czaszek, dodatkowo zabezpieczone warstewką kleistego szaroniebieskiego śluzu. Daeman podczołgał się bliżej, roztrącając czaszki dłońmi i stopami, i przyjrzał się jajom z bliska, próbując przy tym nie unieść głowy nad krawędź fumaroli.

Skorupki były ciepłe w dotyku i tak cienkie, że niemal przezroczyste. Niektóre promieniowały wyraźnym światłem, w innych widać było tylko bielejącą wewnątrz iskierkę. Daeman nieśmiało wyciągnął rękę i musnął jajo – poczuł ciepło i doznał osobliwego zawrotu głowy, jakby jakaś wewnętrzna niestabilność samego jaja przesączyla się przez termoskórę do jego dłoni. Podniósł je i oszacował wagę. Mniej więcej dziesięć kilogramów.

No i co teraz?

Teraz musiał wziąć nogi za pas, wspiąć się po linie, wydostać z labiryntu lodowych tuneli i wrócić wózkiem Avenue Daumesnil do faksowężła Guarded Lion. Musiał jak najszybciej poinformować o wszystkim mieszkańców Ardis.

Ale nie po to się tyle namęczyłem, nie po to tak wiele ryzykowałem, żeby nie zabrać

ze sobą małej pamiątki.

Zrobił w plecaku miejsce na jajo, wyrzucił wszystko z wyjątkiem zapasu bełtów. W pierwszej chwili nie chciało wejść, ale nie poddał się, delikatnie nacisnął i wreszcie szerszy koniec jaja znalazł się wewnątrz. Bełty rozmieścił wokół skorupy. A jeżeli pęknie? Cóż, zapaskudzi mi plecak, pomyślał, ale przynajmniej zobaczę, co w tym cholerstwie siedzi.

Bo tutaj nie chcę tego sprawdzać. Nie rozbiję jaja pod boki Setebosa i band kalibanów. Zbadam je w Ardis, razem ze wszystkimi. Amen.

Oddychał z coraz większym wysiłkiem. Ani na moment nie zdjął z twarzy maski osmotycznej, lecz siarkowe opary fumaroli i nieznośne, przytłaczające gorąco i tak powodowały nieustanne zawroty głowy. Był pewien, że gdyby wszedł do katedry bez termoskóry i maski, już dawno straciłby przytomność. Powietrze pod kopułą było po prostu trujące. W jaki sposób oddychają kalibany? Czym?

A, do diabła z kalibanami, stwierdził. Odczekał do chwili, gdy para i dymy rozciągnęły dokoła gęstą zasłonę, i zsunął się po ścianie krateru. Kiedy znalazł się półtora metra nad podłożem, skoczył. Obciążony jajem plecak zakołysał się przy lądowaniu i niemal pociągnął go za sobą na ziemię.

Spokojnie, tylko spokojnie.

– Mówi, wszystko czego nienawidzi, uświęcone, wszyscy czczą ciebie i twą potęgę! Myśli wszystko czego nienawidzi uświęcone. Wszyscy czczą Jego i to, co zjadł! – Sycząca pieśń Kalibana rozbrzmiewała tu na dole bardziej donośnie. Prawdopodobnie to akustyka wielkiej kopuły wzmacniała i rozpraszała głos potwora. Chyba że Kaliban po prostu był bliżej.

Daeman zgiął się wpół i pobiegł przed siebie, padając na kolano za każdym razem, gdy dostrzegał pomiędzy pasmami oparów jakiegokolwiek poruszenie. W ten sposób pokonał sto metrów dzielących go od zwisającej z lodowej półki liny. Zadarł głowę.

Co ja sobie myślałem? Do tunelu czeka mnie jakieś osiemdziesiąt stóp wspinaczki. W życiu sobie nie poradzę, szczególnie z tym ciężarem na plecach.

Daeman rozejrzał się w poszukiwaniu innego wyjścia spod kopuły. Najbliższy tunel ciemniał w ścianie jakieś trzysta, czterysta stóp po prawej stronie, ale wypełniała go wielka macka jednej z pełzających dłoni Setebosa.

Ta dłoń czeka na mnie w lodowych korytarzach... Zresztą na pewno nie jest jedyna. Dopiero teraz wyraźnie zobaczył niknące w przejściach ramiona, szare, oślizłe macki. Wyglądały obleśnie i budziły nieprzyzwoite, cielesne skojarzenia. Niektóre z tych organicznych powrozów pięły się na kilkaset stóp wzwyż, wciągane przez dłonie nurkowały w głąb korytarzy, a sama ich powierzchnia wiła się, jakby macki stanowiły w istocie gigantyczne jelita.

Ile rąk może mieć ten kurewski mózg?

– Wierzy, że z końcem życia ustanie także ból? O nie! On zarazą dla wrogów, on też pożera przyjaciół. Udręcza nas najgorszą torturą, pilnując, byśmy z bólu nie pomarli. Największy ból oszczędza na koniec!

Daeman zrozumiał, że jeśli nie zdoła się wdrapać do swojego tunelu, zginie. W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy zrzucił prawie dwadzieścia pięć kilo i znacznie

wzmocniły mu się mięśnie, lecz w tej chwili gorzko pożałował, że zarzucił zwyczaj codziennych ćwiczeń na ścieżce zdrowia, którą Nikt zbudował w lesie za północnym murem Ardis. A w wolnym czasie mógłby na dokładkę podnosić ciężary.

– A, pieprzyć to – szepnął pod nosem.

Podsłoczył, zawisł na linie, oplótł ją nogami, wyciągnął lewą dłoń ku górze i zaczął się wspinać. Brnął ku górze powoli, gdy zmuszało go zmęczenie, odpoczywał.

Sunął bardzo powoli. Niemiłosiernie wolno. Jednakże to wcale nie powolność doskwierała mu w tym momencie najbardziej. W jednej trzeciej drogi uświadomił sobie, że za nic nie dotrze na półkę. Co gorsza, nie miał już nawet siły zjechać z powrotem, nie wypuszczając liny. Jeżeli natomiast zeskoczy, rozbije jajo. A wtedy to, co czeka pod skorupą, wydostanie się na wolność. Setebos i Kaliban od razu zrozumieją, co się dzieje.

Wyobraził sobie tę sytuację i z jakiegoś powodu wizja rozśmieszyła go do łez. Soczewki osmotycznej maski zaszyły mgiełką wilgoci. W uszach szumiał mu własny ochrypy oddech. Poczł, że termoskóra oplata go ciaśniej, by bardziej skutecznie odprowadzać temperaturę z rozgrzanego ciała. No dalej, Daeman. Jesteś już prawie w połowie. Jeszcze kilka stóp i znowu sobie odpoczniesz.

Wdrapał się kolejne trzy metry, ale i wtedy nie pozwolił sobie na odpoczynek. Nie odetchnął nawet po dziesięciu. Wiedział, że jeśli choć na moment zawisnie w bezruchu, że gdyby przywarł do sznura i zacisnął na nim nieruchome dłonie, już nigdy nie zdoła się poruszyć.

W pewnym momencie drgnął hak, do którego lina była uwiązana u góry, i sznur niebezpiecznie zatańczył. Daeman zachłysnął się cicho, serce podeszło mu do gardła. Pokonał już ponad czterdzieści stóp. Upadek z tej wysokości na parujące, syczące dno krateru oznaczał niechybne złamanie ręki lub nogi.

Hak wytrzymał. Daeman odczekał jeszcze minutę, mimo że zdawał sobie sprawę, że jeśli kalibany pojawią się po tej stronie krateru, zobaczą go w jednej chwili. Być może już teraz dziesiątki potworów stały tuż pod nim, czekając, aż runie prosto w ich pokryte łuskami łapy. Nie odważył się zerknąć w dół.

Jeszcze kilka stóp. Chłopak uniósł zboląłą, dygoczącą rękę, zaplótł linę na dłoni i podciągnął się, szukając podparcia dla stóp i kostek. I jeszcze raz. I jeszcze. Nie można się zatrzymać. Jeszcze raz.

Ostatecznie opadł już nawet z resztek sił. Po prostu nie mógł się dłużej wspinać. Zawisł, czując drzenie wszystkich mięśni. Ciężar kuszy i wielkiego jaja ciągnął go w dół. Wiedział, że lada moment spadnie. Zamrugał gwałtownie, uwolnił jedną rękę i stał parę z osmotycznej maski.

Znalazł się tuż pod lodowym nawisem – do półki brakowało może trzydziestu centymetrów.

Ostatni nadludzki wysiłek i zawisł brzuchem na krawędzi lodu, podczołgał się do mocującego linę haka i opadł wyczerpany na brzuch.

Byle się nie zrzygać... nie zrzygać się! Zadrłabyś się zebranymi pod maską wymiocinami, a gdyby ją zdjął, udusiłby się od toksycznych oparów i po kilku sekundach osunąłby się w nieświadomość. Umarłby pod tą kopułą i wtedy nikt by się nie dowiedział, że on – pulchny, kluchowaty Daeman – zdołał się wspinać po linie całe osiemdziesiąt stóp.

Może nawet dziewięćdziesiąt. On, tłusty synalek Mariny, dzieciak, który nie potrafił się nawet raz podciągnąć na fulerenowej belce konstrukcji wieżowca.

Po jakimś czasie szum w głowie i słabość ustąpiły na tyle, że zdołał się ruszyć. Zsunął z ramienia kuszę, sprawdził, czy nadal jest naładowana i odbezpieczona. Obejrzał też jajo – pulsujące w tej chwili jaśniejszym światłem niż wcześniej. Nie pękło. Zawiesił czekany na pasie i zwinął linę. Kiedy ją wybierał, wydała mu się niedorzecznie ciężka.

Zanurzył się w płataninę lodowych tuneli i zabłądził. Gdy wchodził do katedry, na zewnątrz zapadał zmierzch, ostatnie promienie zachodu przebijały się przez błękitne ściany. Teraz jednak panowała już noc i jedynym źródłem światła były żółte rozbłyski elektrycznych wyładowań, przemykające w otaczającej go ze wszystkich stron żywej tkance – tak, Daeman nie miał już wątpliwości, że „lód” jest tworem organicznym, związanym w jakiś sposób z samym Setebosem.

Na skrzyżowaniach tuneli przybijał do ścian kawałki żółtej szmatki, ale teraz musiał jeden przegapić, ponieważ wkrótce znalazł się w nieodwiedzonych jeszcze korytarzach i co chwila przemierzał nieznane rozstaje. Nie chciał się wycofywać – przejście było zbyt ciasne, by mógł się odwrócić, a myśl o czołganiu się rakiem napełniała go grozą – wybrał więc tunel kierujący się lekko ku górze i ruszył dalej przed siebie.

Jeden z korytarzy skończył się nagle pionową ścianą, a inny opadł niemal pionowo i w obu tych wypadkach musiał czołgać się tyłem do poprzedniego zakrętu. Wreszcie jednak lodowa powała podniosła się, tunel się poszerzył i Daeman zdołał wstać. Kiedy się wyprostował, załapała go fala niewysłowionej ulgi. Podniósł kuszę oburącz i ruszył po nieznacznie opadającej błękitnej rampie.

Nagle zamarł w pół kroku i spróbował opanować przyśpieszony oddech. Niecałe dziesięć stóp przed sobą zauważył kolejne skrzyżowanie, następne majaczyło jeszcze trzydzieści stóp dalej i w którymś z tych korytarzy – lub w obu jednocześnie – rozległy się odgłosy drapania.

Kalibany, przemknęło mu przez myśl i przerażenie przeniknęło termoskórę niczym chłód kosmicznej przestrzeni. Zaraz potem pojawiła się myśl jeszcze bardziej mrożąca. Ręka Setebosa.

Nie pomylił się. Na bliższych rozstajach pojawiła się podciągająca się na palcach dłoni. Większa od Daemana, pulsująca i gruba. Drapała podłóżę wyrastającymi z szarego cielska paznokciami przypominającymi dziesięciocalowe sztylety, czepiała się lodu czarnymi, twardymi i kolczastymi włoskami porastającymi opuszki palców. Zatrzymała się na skrzyżowaniu i uniosła. Paszcza w zagłębieniu dłoni na przemian, miarowo, otwierała się i zamykała.

Szuka mnie, pomyślał Daeman, wstrzymując ze strachu oddech. Na pewno jest wrażliwa na ciepło.

Nie drgnął, nie podniósł nawet kuszy. W tym momencie jego los zależał już tylko od pocerowanej, starej i znoszonej termoskóry. Jeśli emanowała zbyt wysoką temperaturą, dłoni rzuci się na niego, nim upłynie milisekunda. Daeman zwiesił głowę i spojrzął w lodową posadzkę. Nie ze strachu, nie był po prostu pewien, ile ciepła promieniuje z nieszczelności maski osmotycznej.

Ponownie rozległo się donośne skrobanie i kiedy Daeman poderwał głowę,

zobaczył, że dłoń skręciła w tunel po prawej stronie. Mięiste, falujące ramię wypełniło przejście, niemal zupełnie blokując rozstaje.

Nie ma mowy, żebym się wycofał, stwierdził w duchu. Jak mógł najciszej, podpełzł do rozstajów.

Macka wciąż sunęła przez skrzyżowanie. Wydawało się, że nie ma końca. W prawym korytarzu zniknęło już sto metrów ramienia. Nie słyszał nawet drapania paznokci o lód.

Na pewno zawróciła innym tunelem i zachodzi mnie od tyłu.

– Słuchaj! Białe piorun – rozszczepia się korona drzewa – i nagle słysząc, słysząc, słysząc Jego grzmot! Dureń, kto z niego drwi! Patrz! Leży płasko i kocha Setebosa!

Odległość i błękitne ściany tłumyły zaśpiew Kalibana, lecz słowa płynęły w tunelach bardzo wyraźnie.

Daemana dzieliło od sunącej po lodzie macki już tylko kilka cali. Przebiegł w myślach dostępne sobie możliwości.

Zajęty przez ramię Setebosa tunel miał około sześciu stóp szerokości i był mniej więcej tak samo wysoki. Macka wypełniała całą przestrzeń od ściany do ściany, przeciskała się, trąc bokami o lód, lecz nie sięgała pod samą powałę. Niekończącą się cielesną masę dzielił od sufitu mniej więcej metr wolnej przestrzeni. Chłopak zauważył, że nieco dalej z przodu korytarz się poszerza i kieruje ku powierzchni. Odniósł wrażenie, że czuje przez termoskórę delikatny powiew świeżego powietrza. Być może do wolności brakowało już tylko kilkaset stóp.

Jak mam tę mackę ominąć?

Przypomniał sobie o czekanach – nie, to bez sensu, nie dałby rady zawisnąć na nich i przejść tych dwóch metrów ponad macką. Zastanowił się nad powrotem w głąb lodowego labiryntu. Nie, błądził w nim już dobre kilka godzin. I tę myśl od siebie odsunął.

Może ta macka jednak się kiedyś skończy? Nie. Ten pomysł wynikał już nie tylko z jego głupoty, ale i z wyczerpania. Przecież ramię wyrastało z mózgu, z Setebosa, czyhającego niemal milę dalej, na dnie krateru.

On mnie szuka! Chce zablokować mackami wszystkie korytarze!

Nie do końca świadomie zauważył, że panika ma posmak krwi. Zaraz potem dotarło do niego, że przygryzł sobie wewnętrzną stronę policzka. Krew wypełniła mu usta. Nie mógł tracić czasu na ściąganie maski i spluwanie. Przełknął.

Do diabła z tym wszystkim.

Upewnił się, czy kusza jest zabezpieczona, i przerzucił ją nad sunącą korytarzem macką. Przeleciała kilka cali nad tłustym i lepkiem szarym ciałem i spadła na lód w dalszej części tunelu. Z plecakiem sprawa wydawała się trudniejsza.

To jajko się rozbije. Skorupka pęknie i wtedy ten mleczny blask ze środka – jestem pewien, że świeci coraz jaśniej – wyleje się na zewnątrz i zobaczę małą dłoń. Może nie szarą, ale różową. Zobaczę, jak otwiera tę swoją ohydną paszczę, i ręka zacznie krzyczeć i wrzeszczeć, a wtedy wróci tu czym prędzej ta wielka szara łapa. Wróci albo zablokuje tunel przede mną i znajdzie się w potrzasku...

– Niech cię cholera – rzucił Daeman.

Zupełnie przestał się przejmować hałasem. Nienawidził własnego tchórzostwa,

wady, która towarzyszyła mu od urodzenia. Mały tłuszczoszek Mariny, nadający się tylko do uwodzenia dziewczyn i łapania po lasach motyli.

Zdjął plecak, pieczołowicie otulił wierzch jaja klapą, wziął zamach i cisnął pakunek ponad tłustą, wijącą się macką.

Plecak wylądował pionowo i stanął. Skorupka wyglądała na nietkniętą.

Moja kolej.

Nieobciążony kuszą i ładunkiem na plecach poczuł się lekki i swobodny. Cofnął się trzydzieści stóp po dnie niemal poziomego tunelu, wziął rozbieg i puścił się biegiem natychmiast, nie dając sobie czasu na wątpliwości. Pośliznął się i z trudem utrzymał równowagę, lecz podeszwy ponownie znalazły oparcie i do ramienia Setebosa dopadł już rozpędzony na dobre. Wyskoczył w powietrze, wyciągając przed siebie ręce. Kaptur termoskowy musnął lodową powalę. Skacząc, starał się zadrzeć stopy jak najwyżej, lecz nie całkiem mu się to udało. Czubkami butów przejechał po grubej, oślizłej macce. Żeby tylko nie wylądować na jajku! Padł ciężko, amortyzując upadek dłońmi, i przekoziółkował. Zderzenie z niebieskim lodem zaparło mu na moment dech w piersi. Przeturlał się po kuszy. Na szczęście była zabezpieczona i nie wypaliła.

Sunące za jego plecami niekończące się ramię zamarło.

Nie czekał, by zaczerpnąć tchu. Poderwał plecak, sięgnął po kuszę i pobiegł prosto przed siebie. Pędził wznoszącym się korytarzem w stronę, skąd dolatywało świeże powietrze. Przed sobą widział ciemniejący wylot tunelu.

Na mroźną, ciemną noc wypadł przecnicę lub dwie od wąwozu Ile de la Cite, którym dotarł do katedry. Na niebie świeciły gwiazdy, w błękitnym lodzie migotały nerwowe wylądowania elektryczne. Rozejrzał się. Nie zobaczył ani jednego kalibana, ani jednej dłoni Setebosa.

Daeman zerwał z twarzy maskę i odetchnął głęboko.

Wiedział, że wciąż jeszcze nie może się cieszyć. Poprawił plecak, ścisnął mocniej kuszę i ruszył przez wąwóz w kierunku Ile St Louis. Gdy dotarł na miejsce, szczelina nagle się urwała. Z prawej strony wznosiła się lodowa ściana, po lewej ręce ciemniały wyloty tuneli.

Za nic nie wejść tam z powrotem, pomyślał. Zmęczonymi, rozdygotanymi rękoma wysunął zza pasa czekany, wbił pierwszy w migocący lód i zaczął się wspinać.

Dwie godziny później nie miał już żadnych wątpliwości, zabłądził po raz kolejny. Po drodze kierował się położeniem gwiazd i pierścieni, a także wystającymi gdzieś gdzieś ponad błękitną zmarzlinę wierzchołkami budynków i widocznymi miejscami ceglanyścianami. Był dotąd przekonany, że zmierza równolegle do wąwozu Avenue Daumesnil, lecz musiał się pomylić. Przed sobą miał ziejącą szeroką rozpadlinę. Lód opadał stromo w dół.

Ułożył się na krawędzi ciemnej przepaści na brzuchu. Poczuł poruszenie ukrytego w plecaku jajka. Drgało niczym żywa istota, jakby jakieś stworzenie chciało się jak najszybciej wykluć. Był u kresu wytrzymałości i ledwie powstrzymywał się od łez. W mijanych po drodze tunelach i szczelinach słyszał niekiedy odgłosy drapania – nie miał wątpliwości, że to ręce Setebosa. Co prawda tutaj, na zalanej poświatą nocnego nieba lodowej pokrywie, nie zauważył jeszcze ani jednej, lecz widniejąca za nim kopuła katedry

jaśniała intensywniej niż wcześniej.

Setebos zauważył, że stracił jajo.

Jajo stracił? Daeman zdławił cisnący mu się na usta wybuch śmiechu. Czuł, że nawet cichy chichot mógłby go przyprawić o atak hysterii.

Wtem jego uwagę zwróciło coś na skraju bezdennej otchłani. Podparł się na łokciach.

Jego własny belt, z którego zwisał strzępek żółtej tkaniny.

Ten lodowy komin znajdował się ledwie sto pięćdziesiąt metrów od stacji Guarded Lion, faksowężła, którym dotarł do Krateru Paryskiego.

Przestał tłumić płacz. Zalany łzami Daeman wbił w lód ostatni belt, zgiął go na kształt haka, uwiązał do niego linę – nie próbował nawet zapleść węzła wspinaczkowego, który pozwoliłby mu uwolnić sznur po zejściu – przewiesił się przez krawędź i zjechał w mrok.

Ostatnie sto metrów pokonał, to ślaniając się na nogach, to pełznąć na czworakach. Linę zostawił na ścianie. Dotarł do ostatniego, oznaczonego żółtą szmatką skrzyżowania. Za nim już nawet nie wstawał, dopóki nie znalazł się w budynku węzła, gdzie podniósł się, czując pod sobą twardą, solidną posadzkę. Pośrodku okrągłej stacji, na podwyższeniu jarzyła się słabym światłem platforma faksowa.

Nagie stworzenie uderzyło go z boku. Padł na ziemię i przejechał po podłodze. Kusza zagrzecotała na kafelkach.

Przeciwnik – Daeman nie widział go w błękitnym półmroku wyraźnie, mógł to być jeden z kalibanów lub nawet sam Kaliban – zacisnął mu na gardle długie palce. Żółte zębiska kłapnęły tuż przed jego twarzą.

Przetoczył się na bok, próbując oderwać się od stwora, lecz napastnik trzymał się go obiema szponiastymi nogami i potężnymi łapskami.

Jajo! – przypomniał sobie w ostatniej chwili i zmagając się z przeciwnikiem, próbował nie upaść na plecy. W pewnym momencie zderzyli się z kolumnką faksu. Udało mu się na mgnienie uwolnić i rzucił się w kierunku leżącej pod przeciwległą ścianą kuszy. Przypominający humanoidalnego płaza stwór warknął, pochwycił Daemana i pchnął go brutalnie na lodową ścianę. W niebieskim półmroku zabłyśły żółte ślepia i poźółkle kły.

To nie był Kaliban. Daeman już raz walczył z Kalibanem, a ten przeciwnik był mniejszy, nieco słabszy i trochę bardziej powolny. Niemniej wciąż był śmiertelnie groźny. Paszcza znów zatrzaskała się przed oczyma chłopaka.

Człowiek wbił dłoń w podbródek potwora i odepchnął od siebie jego szczęki. Pokryty łuskami płaskonosy pysk uniósł się ku górze, lecz żółte oczy wciąż złowrogo łypały. Daeman poczuł przyływ adrenaliny, dodała mu sił. Postanowił złamać stworzeniu kark i jeszcze mocniej naparł na koszmarny łeb.

Kaliban kłapnął niczym atakująca żmija i odgryzł mu dwa palce lewej dłoni. Chłopak zawył i rzucił się do tyłu. Potwór zamachał szeroko ramionami, przykucnął, by przełknąć oba kęski, i skoczył.

Daeman poderwał zdrową ręką kuszę i wystrzelił oba bełty naraz. Pociski odrzuciły potwora na ścianę. Jeden z długich, żelaznych, zębatych grotów przeszył ramię kalibana

i przyspilił go do lodu, drugi przeszedł przez dłoń uniesioną do wykrzywionej skowytym paszczy. Nagi stwór zaczął się wić i szarpać. Wściekle powarkując, wyrwał jeden z pocisków.

Daeman także zawył. Skoczył na równe nogi, sięgnął do pasa po nóż i wraził długie ostrze głęboko w podbródek kalibana. Czubek sztyletu przeszedł przez miękkie podniebienie i utkwiał w mózgu. Chłopak przywarł niczym czuły kochanek do smukłego ciała potwornej istoty i przekręcił nóż – kręcił ostrzem raz po raz, nieprzerwanie, dopóki nie wyczuł, że obrzydliwe mięśnie wiotczeją i ostatecznie nieruchomieją.

Osunął się plecami na wyłożoną kafelkami posadzkę i przycisnął okaleczoną dłoń do piersi. Przyjrzał się jej. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu z kikutów nie tryskała krew. Termoskóra ciasno opłotła rany, lecz z bólu zrobiło się chłopakowi niedobrze.

Tym razem się nie powstrzymał. Uklęknął, pochylił głowę i zwrócił wszystko, co miał w żołądku.

W jednym z otwierających się w przeciwną stronę tuneli – może nawet w kilku – rozległ się chrobot.

Daeman wstał, wyszarpnął nóż z czaszki kalibana – ciało potwora zawisło bezwładnie na wbitym w ramię bełcie – wyciągnął drugi pocisk z łuskowatej dłoni, sięgnął po kuszę i podszedł do platformy.

Coś wyskoczyło z zięjącego za jego plecami korytarza.

Daeman się faksował.

W faksowężle Dworu Ardis panował dzień. Chłopak zszedł chwiejnie z platformy, poszperał w plecaku i znalazł jeden z zapasowych bełtów. Załadował kuszę i pomagając sobie stopą, napiął oporną cięciwę. Wycelował w platformę i zaczął czekać.

Z portalu nie wyszło nic.

Po dłuższej chwili Daeman opuścił broń i słaniając się, wyszedł z budynku na słońce.

Trwało wczesne popołudnie. W okolicy nie zauważył ani jednego wartownika. Otaczająca faksowężel palisada została w kilkunastu miejscach przerwana. Wokół stacji leżało co najmniej dwadzieścia martwych wojniksów. Jedyne ślady po strzegących faksu ludziach były kałuże krwi i czerwone smugi w trawie, ciągnące się przez łąkę w kierunku lasu.

Okaleczona ręka rwała Daemana tak dokuczliwie, że miał wrażenie, iż całe jego ciało i głowa stały się jedynie echem pulsującego bólu. Przycisnął ją do tułowia, załadował kuszę drugim pociskiem i kuśtykając, ruszył z trudem ku drodze. Od Dworu Ardis dzieliło go niecałe półtorej mili.

Ardis nie było.

Daeman zbliżył się do zabudowań ostrożnie. Większość drogi przebył poboczem lub wśród drzew. Za mostem wszedł w nurt płytkiej rzeczki. Do ostrokołu Ardis podszedł, skradając się przez las od północnego wschodu. Był gotów w każdej chwili zacząć wołać, by strażnicy nie zabili go przez pomyłkę, uznając, że wróciły wojniksy.

Nie spotkał jednak ani jednego wartownika. Daeman przykucnął na skraju zarośli i przez pół godziny obserwował. Wśród budynków poruszały się tylko wrony i sroki dziobiące ludzkie zwłoki. Powoli, czujnie skierował się w lewo i zanim wyszedł spod

osłony drzew, zbliżył się jak mógł najbardziej do wschodniej bramy i budynku koszar.

Palisada została obalona w co najmniej kilkudziesięciu miejscach. Większa część drewnianych słupów leżała na ziemi. Rusztowanie pięknego żeliwiaka Hanny strawił ogień, a sam gliniany piec został rozbity na drobne kawałki. Spłonęły również wszystkie baraki i namioty – domy połowy z czterystu mieszkańców Ardis. Z samego dworu – wspaniałego budynku, który przetrwał z górą dwa tysiące zim – zostało kilka osmalonych ceglanych kominów, zwęglone, potrzaskane krokwie i stosy gruzu.

W powietrzu snuł się kwaśny dym i fetor śmierci. Dawny dziedziniec usłany był trupami dziesiątków wojniksów, kolejne sterty ciał leżały tam, gdzie wcześniej stał ganek. Wśród ruin, pomiędzy zdeformowanymi pancerzami potworów, ujrzał zwłoki setek mężczyzn i kobiet. Daeman nie był w stanie zidentyfikować nikogo – spalone na węgiel poczerńiałe ciało zbyt małe, by mogło należeć do dorosłego, jak osłaniający się bokser wyciągało przed siebie rączki, z których płatami schodziła spalona skóra; obok białe żebra i czaszka, niemal doszczętnie ogryzione przez ptaki z mięsa; pewna leżąca na osmalonej ziemi kobieta wyglądała na ocalałą, lecz gdy chłopak podbiegł i ją odwrócił, okazało się, że nie ma twarzy.

Daeman uklęknął na zimnej, zbryzganej krwią trawie i spróbował zapłakać. Nie mógł zrobić już nic poza odpędzaniem tłustych, ociążałych wron i podskakujących między trupami srok.

Słońce powoli zachodziło. Zaczęło się ściemniać.

Chłopak wstał i rozejrzał się wśród ciał – rozrzuconych na zmrożonej ziemi niczym sterty brudnych ubrań do prania. Niektórzy spoczęli przygniecenii cielskimi wojniksów, inni leżeli samotnie bądź w grupkach, spleceni w ostatnim uścisku życia. Musiał odszukać Adę. Musiał ją rozpoznać i pochować. Postanowił, że zanim wyruszy z powrotem do pawilonu, pogrzebie tak wiele ciał, jak tylko zdoła.

Dokąd mógłbym się faksować? Gdzie zechcą mnie przyjąć?

Zanim zdążył odpowiedzieć sobie na te pytania, zanim jeszcze zdążył się pochylić nad najbliższymi zwłokami, kątem oka wyłowił jakiś ruch na skraju lasu.

W pierwszej chwili przemknęło mu przez myśl, że to niedobitkowie, którzy jakimś cudem przetrwali masakrę, lecz ledwie zdążył unieść w geście pozdrowienia zdrową rękę, dostrzegł refleksy światła grające na szarych korpusach. Pomylił się.

Spod drzew na wschodzie wyszło trzydzieści... sześćdziesiąt... sto wojniksów. Potwory ruszyły ku niemu przez łąkę. Nadciągały też od strony drogi.

Daeman ciężko westchnął. Był zbyt zmęczony, by uciekać. Przeszedł chwiejnie kilka metrów w stronę lasu położonego na południowym zachodzie od dworu, lecz i tam zauważył poruszenie. Wojniksy wynurzały się z ciemności, zeskakiwały z gałęzi i wybiegały na czterech łapach na otwartą przestrzeń. Uświadomił sobie, że zostało mu najwyżej kilkadziesiąt sekund.

Rozumiał również, że nie ma sensu biec na północ wokół dymiących zgliszcz Ardis. Tam zastałby po prostu kolejne potwory.

Osunął się na jedno kolano i zauważył, że jajo w plecaku jaśnieje już na tyle intensywnie, iż na oszronionej trawie pojawił się wyraźny cień jego sylwetki. Wyjął ostatnie bełty.

Sześć. Nie licząc spoczywającej w kuszy pary, zostało mu tylko sześć pocisków.

Z posepnym uśmiechem, czując narastające w duchu straszliwe uniesienie, podniósł się i przymierzył z kuszy w stronę najbliższej grupki wojników. Dzielilo go od nich sześćdziesiąt stóp. Podpuścił je bliżej. Biegając ze swą pełną prędkością, dopadłyby go już po kilku sekundach. Kuszę podparł kciukiem i pozostałymi dwoma palcami okaleczonej dłoni.

Za plecami chłopaka coś trzasnęło i zaszumiało. Daeman odwrócił się gwałtownie gotów odeprzeć atak, lecz zobaczył przed sobą sonik. Pojazd sunął nisko nad ziemią, nadlatywał od zachodu. Dwójka ludzi na pokładzie otworzyła ogień z karabinów. Wojniksy skakały, próbując ich dosięgnąć ostrzami, lecz odpadały natychmiast zmiotane chmarami migocących w promieniach słońca kryształowych strzałek.

– Wskakuj! – zawołał Greogi, gdy sonik zawisł na wysokości głowy tuż obok Daemana.

Wojniksy pędziły ze wszystkich stron, odbijały się od ziemi i wzlatywały w powietrze niczym olbrzymie srebrne koniki polne. Mężczyzna, w którym Daeman rozpoznał Boman, i ciemnowłosa kobieta – nie, nie Ada, lecz Edide, jedna z osób, które wytypował wcześniej do misji zwiadowczej – prowadzili ciągły ogień. Roje ostrych pocisków rozcinały powietrze.

– Wskakuj! – powtórzył nagłaco Greogi.

Daeman pokręcił głową. Zrzucił z ramion plecak z jajem i wrzucił go na pokład sonika. Zaraz potem cisnął kuszę i dopiero wtedy podskoczył sam. Pojazd natychmiast zaczął się wznosić i chłopak nie chwycił się jak należy. Zdrową dłonią uczeplił się wewnętrznej krawędzi burty, lecz okaleczoną uderzył tylko w stal. Z bólu pociemniało mu w oczach. Osłabione palce nie wytrzymały i Daeman zaczął się osuwać prosto ku czekającemu niemo w dole tłumowi wojników.

Boman w ostatniej chwili złapał go za ramię i wciągnął szarpnięciem na pokład.

Przez większą część lotu na północny wschód Daeman nie był w stanie odezwać się nawet słowem. Sonik mknął z wielką prędkością kilka mil nad ciemniejącym lasem. Wreszcie zatoczyli łuk i skierowali się ku nagiej skale wznoszącej się dwieście stóp ponad ogołoczone z liści korony drzew. Daeman znał to miejsce, odwiedził je już podczas swej pierwszej wizyty u Ady i jej matki. Szukał wówczas motyli do swej kolekcji i pod koniec długiego popołudnia wypełnionego włóczęgą po okolicy Ada wskazała mu skałę wyrastającą niemal pionowo z jeżynowych zarośli za lasem.

– Głodna Skała – powiedziała. Głos nastolatki pobrzmiwał dumą, zupełnie jakby skała należała wyłącznie do niej.

– Głodna Skała? Skąd ta nazwa? – zaciekał się chłopak.

Ada odpowiedziała wzruszeniem ramion.

– Chcesz się tam wspiąć? – spytał, gdyż przyszło mu do głowy, że jeśli uda mu się zaciągnąć dziewczynę na porośniętą trawą wierzchołek, zdoła ją uwieść.

Wybuchnęła śmiechem.

– Na Głodną Skałę? Nikomu się to nie udało. Tam nie można wejść.

W ostatnich promieniach wieczornego słońca i słabej jeszcze poświacie pierścieni Daeman przyjrzał się czubkowi skały. Trawa zniknęła. Naga, usiana nielicznymi głazami,

płaska skała rozciągała się na około stu stóp. Na szczycie rozpięto brezentowe pałatki i rozpalono sześć ognisk. Wśród tych prowizorycznych osłon tłoczyli się ludzie. Niektórzy ogrzewali się w blasku płomieni. Ciemne sylwetki przechadzały się też nad krawędzią granitowego monolitu – bez wątpienia strażnicy.

Odniósł wrażenie, że otaczające Głodną Skałę pole żyje własnym życiem. I naprawdę żyło. Wojniksy tłoczyły się pod zboczem, rozpychały, tratowały setki pogruchootanych ciał własnych pobratymców.

– Ilu osobom udało się uciec z Ardis? – spytał Daeman, kiedy Greogi sprowadził sonik do lądowania.

– Przeżyło około pięćdziesięciu – odpowiedział pilot. Wyraz jego podświetlonej blaskiem pulpitu, ubrudzonej smugami sadzy twarzy świadczył o skrajnym wyczerpaniu.

Pół setki z ponad czterystu osób, pomyślał Daeman. Jego organizm wciąż pozostawał w szoku po utracie palców, także umysł przeżywał silny wstrząs, chłopak wciąż miał przed oczyma zmasakrowane ciała i zniszczone Ardis.

– Ada? – spytał niepewny, czy chce poznać odpowiedź.

– Żyje – powiedział Greogi – ale od niemal dwudziestu czterech godzin nie odzyskała przytomności. Nie chciała uciec z płonącego dworu, póki był w nim choć jeden ranny... Myślę zresztą, że nie opuściłaby Ardis nawet i potem, tyle że zawaliła się część dachu i ogłuszyła ją spadająca belka. Nie mamy pojęcia, czy dziecko przeżyło.

– Petyr? – zapytał Daeman. – Reman? – Zastanawiał się, kto teraz przejmie dowodzenie. Harmana nie było. Ada leżała ranna, tak wielu innych zginęło.

– Nie żyją. – Greogi zatrzymał sonik w powietrzu tuż nad ciemniejącą skałą. Lekko szarpnęło.

Od jednego z ognisk oderwały się czarne sylwetki i zbliżyły do przybyszy.

– Co wy tu jeszcze robicie? – Daeman złapał Greogiego za poły koszuli. Pozostali zeskoczyli z pokładu. – Na dole jest masa wojniksów! Dlaczego zostaliście?

Greogi bez trudu uwolnił się z chwytu chłopaka.

– Próbowaliśmy uciec faksem, ale wojniksy nas opadły, zanim zdążyliśmy się dostać do pawilonu. Straciliśmy przy tym czwórkę ludzi. A bez faksu nie mamy dokąd polecieć... O Adzie wiesz, jest ciężko ranna. Poważne obrażenia odniosło również kilkanaście innych osób. Nie udało nam się zabrać ich ze skały, bo te pieprzone bydlęta zaczynają się wspinać po urwiskach. Każda para rąk była potrzebna do obrony... Jeżeli jedna grupa zabierze sonik i odleci, pozostali nie dadzą rady się tutaj utrzymać. Podejrzewam zresztą, że i tak nie mamy dość amunicji, by przetrwać nadchodzącą noc.

Daeman rozejrzał się dokoła. Ogniska płonęły niskimi, żalonymi płomykami – za opał służyły ocalałym jedynie mech, porosty i kilka suchych gałązek. Najjaśniej na całym wierzchołku świeciło mlecznobiałe jajo Setebosa, które wciąż miał w plecaku.

– Czyli to już koniec? – odezwał się, jakby do siebie.

– Obawiam się, że tak – powiedział Greogi. Ześliznął się z burty sonika, stanął na ziemi i zakołysał się. Dotarł do kresu wytrzymałości, a może nawet przekroczył tę granicę. – Ciemno już. Zaraz wojniksy zaczną się wspinać.

CZEŚĆ 3

Harman z Arielem runęli w ciemność. Spadali niewyobrażalnie długo.

Na dole jednak nie zginęli, nie roztrzaskali się u podnóża mostu, lecz miękko wylądowali w poszyciu dżungli, na szeleszczącej warstwie zbierających się od stuleci suchych liści i próchnicy.

Oszołomiony Harman przez chwilę nie dowierzał, że wciąż żyje, lecz potem dźwignął się w górę, wstał i wykonał gest, jakby chciał odepchnąć niskiego Ariela – lecz on sam odsunął się tanecznym krokiem. Harman zamrugał. Wokół gęstniała ciemność.

Ciemność. Przecież na moście wciąż było jasno. Znalazł się więc... zupełnie gdzie indziej. Harman nie miał pojęcia, dokąd trafili, lecz musieli być na nocnej półkuli Ziemi. I z całą pewnością w dżungli. Noc miała intensywny zapach butwiejących roślin. Gęste, wilgotne powietrze oblepiało mu skórę niczym przemoczony koc. Koszula od razu nasiąkała i przykleiła się do ciała. Ze wszystkich stron, z nieprzeniknionego mroku, dolatywało bzyczenie owadów, szelest liści i odgłosy przemykających w poszyciu małych i większych zwierząt. Gdy oczy przywykły mu już trochę do ciemności, zacisnął pięści i uniósł je przed sobą. Miał nadzieję, że Ariel w końcu znajdzie się w zasięgu. Harman zadarł głowę i ujrzał kilka migocących gwiazdek, których światło sączyło się przez maleńkie szczeliny w gęstych koronach wysokich – bardzo wysokich – drzew.

Po chwili wyłowił z mroku bladą, niemal widmową sylwetkę Ariela. Jaśniała nieznacznie jakieś dziesięć stóp dalej.

– Zabierz mnie z powrotem – warknął Harman.

– Dokąd miałbym cię zabrać?

– Na most. Albo do Ardis. Natychmiast.

– Nie mogę. – Bezpłciowy głos Ariela doprowadzał mężczyznę do szału, brzmiał prawie obelżywie.

– Zrobisz to! – syknął. – Zrobisz, i to już! Nie wiem, w jaki sposób mnie tutaj przeniosłeś, ale zaraz to odkręcisz. Zabierz mnie z powrotem.

– A jakież to konsekwencje mi grożą w razie odmowy? – W głosie fosforyzującej postaci pojawiła się nuta rozbawienia.

– Zabiję cię – rzucił beznamiętnie Harman.

Uświadomił sobie, że jest w stanie tę groźbę zrealizować. Udusiłby tego zielono-białego człowiczka gołymi rękoma, wycisnąłby z niego życie jak z gąbki, a na koniec napluł na zwłoki. „Tak, zabijesz go, a potem zostaniesz sam w środku nieznannej dżungli” – usłyszał nieśmiały głos rozsądku. Natychmiast odepchnął tę myśl od siebie.

– Ojej! – Ariel spojrzął z teatralnym przestraczem. – Zaszczypiesz mnie na śmierć!

Harman wyciągnął ręce i skoczył. Mały ludzik – Ariel mierzył sobie niecałe pięć stóp – złapał go w locie i odrzucił w dżunglę. Mężczyzna przeleciał jakieś trzydzieści stóp, łamiąc po drodze liście paproci i zrywając liany.

Dopiero po jakichś dwóch minutach Harman odzyskał oddech, uklęknąć zdołał po

trzeciej. Uświadomił sobie, że gdyby Ariel postąpił z nim w ten sposób gdziekolwiek indziej – na przykład na moście Golden Gate, gdzie byli przecież ledwie kilka chwil temu – przetrąciłby mu kręgosłup. Stał w głębokim poszyciu, wyteżył wzrok, próbując przeniknąć dławiący mrok, i zaczął się przedzierać z powrotem przez pnącza i gęste krzewy. Wrócił na niewielką polanę.

Małego duszka już tam nie było.

– Spójrz! – rzucił niewidoczny Ariel wesołym, swobodnym tonem. – Jest nas więcej!

Harman znieruchomiał. Widział coraz lepiej w lejącej się z nieba gwiazdnej poświacie. Widok, który mu się w tym świetle ukazał, wprawił go w osłupienie.

Na polanie, a także pod drzewami i w gęstych zaroślach ujrział przynajmniej pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt innych postaci. Nie należały do ludzi, lecz nie były to również sylwetki wojników czy kalibanów. Tego rodzaju dwunożnych stworzeń Harman nie widział ani razu w ciągu dziewięćdziesięciu dziewięciu lat i dziewięciu miesięcy życia. Przypominały pobieżnie nakreślone szkice ludzkiej postaci: niskie, niewiele wyższe od Ariela, mające podobnie jak on przezroczystą skórę, pod którą widać było zawieszony w zielonkawym płynie organy wewnętrzne. Od Ariela różniły się jednak twarzami – on miał wyraźnie zarysowane wargi, policzki, nos i oczy młodego człowieka. Obce postacie nie miały ani ust, ani ludzkich oczu. Wpatrywały się w Harmana czarnymi, przypominającymi węgielki koralikami. W pewnym momencie jedna z istot poruszyła trójpalczystą dłoń i mężczyzna zauważył, że nie mają szkieletów. Między sobą nie różniły się niczym.

– Jak sądzę, nie miałeś jeszcze przyjemności poznać moich współpracowników – podjął półgłosem Ariel i wdzięcznym, kobiecym skinieniem dłoni wskazał zebraną w ciemności grupkę. – Stanowią narzędzia tego niższego świata. Zostali nań wypluci, zanim narodziła się twa rasa. Różnie ich nazywano. Jego Prosperowatość nazywa ich rozmaicie, wedle chwilowego kaprysu, niemniej przypominają mnie samego. Zrodzili się z chlorofilu i drobinek rozrzuconych po lasach, gdzie miały dokonywać pomiarów. Działo się to w epoce poprzedzającej czasy postludzi. Masz przed sobą zeków. Są pomocnikami, robotnikami i więźniami. Podobnie zresztą jak my wszyscy, prawda?

Harman wpatrywał się bez słowa w zielone postacie. Odpowiadały mu nieruchomymi spojrzzeniami niemrugających oczu.

– Brać go – wyseplenił Ariel.

Czwórka zeków ruszyła naprzód. Harman nie spodziewał się po tak dziwacznych stworzeniach aż takiej szybkości i gracji. Zanim zdołał rzucić się do ucieczki lub podjąć walkę, dwie zielone postaci chwyciły go w żelazne uściski trójpalczystych dłoni. Trzecia podeszła blisko, bardzo blisko, zetknęła się z Harmanem piersią, a czwarta złapała człowieka za rękę – tak jak wcześniej Ariel chwycił Hannę – i wcisnęła ją w tułów stojącego nieruchomego towarzysza. Palce przeniknęły przez błoniastą, zieloną skórę. Harman poczuł w dłoni przypominający serce narząd. Odniósł wrażenie, że organ sam się do niego rwie. Jednocześnie w jego umyśle zabrzmiały niewypowiedziane przez nikogo słowa.

– Nie gniewaj Ariela. Jest gotów zabijać z byle powodu. Chodź z nami i nie próbuj

się opierać. To najlepsze wyjście dla ciebie i twej pani Ady.

– Skąd znacie Adę?! – zawołał Harman.

– Pójdź. – Tak brzmiało ostateczne słowo, które przepłynęło przez pulsującą dłoń Harmana do jego obolałej głowy.

Piers zeka uwolniła jego rękę, w której pozostało miękkie serce. Zielony ludzik padł bez jednego dźwięku na poszycie, gdzie skurczył się, wysechł i umarł. Ariel i reszta zeków nie zwrócili na martwe ciało najmniejszej uwagi. Ariel odwrócił się i wąziutką ścieżyną ruszył przez mroczną dżunglę.

Zekowie nie wypuścili rąk Harmana, lecz w tej chwili nie trzymali go już równie mocno jak wcześniej. Nie stawiał oporu. Prowadzony przez dwa małe ludziki wszedł między drzewa.

* * *

Z trudem dotrzymywał im kroku. Dręczony gonitwą myśli potykał się co chwila w ciemności. Niekiedy, w miejscach gdzie dżungla stawała się zbyt gęsta, przestawał widzieć cokolwiek – niknęły mu z oczu nawet własne nogi. Pozwolił więc zekom prowadzić się jak ślepiec i skupił na ocenie sytuacji. Zrozumiał, że jeżeli chce jeszcze ujrzeć Adę i Dwór Ardis, musi przez kilka najbliższych godzin wykazać się znacznie większym sprytem niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy.

Pytanie pierwsze: dokąd trafił? Na moście Golden Gate w Machu Picchu panował burzowy poranek, tutaj godzina musiała być bardzo późna. Harman spróbował przypomnieć sobie siglowane podręczniki geografii, ale mapy i półkule mieszały mu się w głowie. Słowa takie jak „Azja” czy „Europa” nie mówiły mu już prawie nic. Ciemność jednak wskazywała na to, że Ariel porwał go do dżungli porastającej inny kontynent niż ten, na którym znajdował się most. A zatem Harman nie miał szansy wrócić do Machu Picchu, Hanny, Petyra i sonika piechotą.

Z tego wniosku wypływała kwestia druga: w jaki sposób Ariel go tu przeniósł? W żadnej z oblepiających Golden Gate zielonych kul nie widział faksowężła. Przecież gdyby był – gdyby Savi choć słowem wspomniała, że na most można się faksować – nie leciałby tam po broń i amunicję sonikiem. Faksowałby również rannego Odyseusza. Zatem... Ariel zabrał go do tego ciemnego, cuchnącego zgnilizną, dusznego i rojącego się od owadów lasu w jakiś inny sposób.

Zekowie prowadzili go ledwie dziesięć kroków za uosobieniem biosfery – jak nazwał kiedyś Ariela Prospero – więc przyszło mu do głowy, że może po prostu zapytać. W najgorszym razie blady duszek – kiedy od czasu do czasu wychodzili na polanki, ciało Ariela pobłyskiwało w świetle gwiazd – po prostu nie odpowie.

Ariel jednak odpowiedział na oba pytania. Zaczął od drugiego.

– Będę dotrzymywać ci towarzystwa jeszcze tylko przez kilka godzin – oświadczył.

– Następnie muszę dostarczyć cię swemu panu, niebawem po pierwszym pianiu koguta, choć nie wiem, czy w tej nędznej krainie żyją jakiegokolwiek koguty.

– Zabierzesz mnie do swego pana? Masz na myśli Prospera? – upewnił się Harman.

Ariel nie wyjaśnił.

– A wiesz może, jak się ta nędzna kraina nazywa? – podjął mężczyzna.

Duszek zaśmiał się dźwięcznie. Brzmienie jego śmiechu przywodziło na myśl brzęk małych dzwoneczków, lecz nie było w nim nic sympatycznego.

– Powinni ją nazwać Arielowym Żłobkiem, gdyż właśnie tutaj powstałem. Dziesięć razy po dwieście lat temu. Zaistniałem, zyskałem świadomość jako miliard maleńkich czujników, które dawni ludzie, dokładnie tacy jak ty, mój gościu, zwali drobinkami. To za ich sprawą drzewa rozmawiały między sobą i z ludzkimi panami, tworząc omszałą sieć, która legła u podłoża powstającej noosfery. Opowiadały o wartościach temperatur, o ptasich gniazdach i wysokości ciśnienia osmotycznego. Próbowaly ubrać fotosyntezę w język liczb, niczym zgarbiony gryzpiórek przeliczający paciorki i szkiełka, które ma za skarb. Zekowie, moi ukochani słudzy, moje narzędzia, których zbyt wielu ten potworny mag wykradł i przeniósł na suchą, czerwoną planetę, narodzili się w podobny sposób, lecz nie tutaj, mój szanowny gościu, o nie, nie tutaj.

Harman nie zrozumiał prawie niczego, niemniej udało mu się skłonić Ariela do rozmowy – choćby i chaotycznej – i był przekonany, że jeżeli tę konwersację podtrzyma, wcześniej czy później dowie się czegoś istotnego.

– Kiedy dziewięć miesięcy temu rozmawiałem na orbitalnej wyspie z twoim panem, z Prospero, nazwał cię uosobieniem biosfery... – przypomniał Harman.

– Tak, oczywiście. – Ariel ponownie zaniósł się śmiechem. – A ja nazywam Prospera, którego ty zwiesz mym panem, Tomciem Kupą. – Duszek zwrócił ku Harmanowi drobną zielonkawą twarz, która jarzyła się blado w ciemności niczym fosforyzująca tropikalna roślina. Nad ścieżką ponownie zamknął się baldachim drzew i zaległ nieprzenikniony mrok. – Harmanie, mężu Ady, przyjacielu Nikogo, dostrzegam w tobie grzesznika, człowieka ważnego, przynajmniej w tym niższym świecie, nie z powodu tego, kim jest, lecz ze względu na wszystko, czym nie jest. Ty właśnie spośród wszystkich ludzi jesteś najmniej zdatny do życia. Niedługo ci do ukończenia Piątej Dwudziestki niczym jednemu z długo warzonych posiłków Kalibana. Najmniej, ponieważ czas i jego przyptywy uczyniły cię szaleńcem. A wiesz, że nawet tacy ludzie wieszają i topią swoje prawdziwe ja.

Tym razem Harman nie zrozumiał ani jednego słowa. Zadawał jeszcze kolejne pytania, lecz Ariel umilkł na dobre. Szli dalej. Wiele godzin i mil później nad dżunglą wstał świt.

* * *

Godzinę od chwili, gdy Harman stwierdził, że opadł już z sił bez reszty, pozwolili mu się zatrzymać. Oparł się o wielki głaz i spróbował złapać oddech. Robiło się coraz jaśniej i po chwili zrozumiał, że to wcale nie jest głaz.

Głaz był tak naprawdę ścianą, a ściana stanowiła część wielkiej konstrukcji. Kolejne piętra były coraz mniejsze i całość tworzyła coś w rodzaju schodów. Harman pamiętał z jednej z siglowanych książek, że tego rodzaju budowle nazywano świątyniami. Dopiero po kolejnej chwili uświadomił sobie, czego naprawdę dotyka i co ogląda.

Każdy cal wielkiej świątyni był pokryty rzeźbieniami. Niektóre wizerunki były duże – szerokie jak ramię Harmana – lecz większość zdołałby bez trudu zasłonić dłonią.

Płaskorzeźby – coraz wyraźniejsze w przeciskających się pomiędzy koronami

drzew promieniach tropikalnego brzasku – przedstawiały kochających się ze sobą, uprawiających seks ludzi. Mężczyzn z kobietami, niekiedy z więcej niż jedną, mężczyzn z mężczyznami, kobiety z kobietami, kobiety z mężczyznami i stworzeniami, które zdaje się nazywano koźmi, mężczyzn ze słoniami, kobiety z bykami, kobiety z kobietami i małpami i mężczyzn z wieloma mężczyznami...

Harman nie dowierzał własnym oczom. Przez dziewięćdziesiąt dziewięć lat życia ani razu nie widział czegoś podobnego. Na jednym z rzeźbień, na wysokości jego spojrzenia wyłowił z gęstwy postaci mężczyznę klęczącego z głową między udami kobiety, podczas gdy inny, stojący nad nim okrakiem, podsuwał wzwiedzonego penisa do ust nachylającej się ku niemu kobiety. Druga kobieta, z przymocowanym do bioder sztucznym członkiem, wchodziła w tę pierwszą od tyłu, a tymczasem pierwsza – mimo że była zajęta już trójką osób – wyciągała rękę i masturbowała podniecone zwierzę. Zaznajomiony ze spektaklem turyńskim Harman rozpoznał w stworzeniu konia. Wolną ręką kobieta pieściła genitalia mężczyzny stojącego obok rumaka.

Cofnął się spod muru, zadarł głowę i ogarnął spojrzeniem oplecioną pnączami budowlę. Podobne motywy powtarzały się w tysiącach – być może dziesiątkach tysięcy – płaskorzeźb, ukazujących oblicza seksu, jakich nigdy sobie nie wyobrażał, sceny, których samej możliwości nawet nie podejrzewał. Choćby te wizerunki igraszek ze słoniami... Ludzkie postaci były mocno stylizowane – owalne twarze i piersi, skośne, wydłużone oczy, usta mężczyzn i kobiet rozciągnięte w dekadencckich, pełnych rozkoszy uśmiechach.

– Co to za miejsce? – spytał.

W odpowiedzi Ariel zaśpiewał falsetem:

– Nad ich głowami majaczą, w powietrznej pomroce, dzieła artystów umarłych w pradawnej epoce. Co znaczyły figury żądzy i miłości dla tych, z których dziś nie zostały nawet kości?

– Gdzie my jesteśmy? – Harman spróbował raz jeszcze.

– Khadżuraho. – Ariel po raz pierwszy udzielił zwięzłej odpowiedzi, niestety obco brzmiące słowo nic Harmanowi nie mówiło.

Duch biosfery dał znak skinieniem i dwa małe przejrzyste zeki wzięły mężczyznę za ramiona i odeszli spod budowli, podążając ledwie widoczną wśród dżungli ścieżką. Harman obejrzał się przez ramię i rzucił świątyni pożegnalne spojrzenie. Dopiero teraz zauważył, że budynków jest więcej i każdy został pokryty erotycznymi fryzami. Rzuciło mu się też w oczy, że dżungla pochłonęła cały kompleks niemal bez reszty. Spółkujące postaci były spowite lianami, częściowo przesłonięte wysoką trawą, dławione pnąciami się korzeniami i zielonymi wąsami roślin.

Po chwili Khadżuraho zniknęło za zasłoną gąszczu i Harman na powrót skupił się na drodze. Słońce rozświetliło otaczające ich ściany zieleni, malując listowie tysiącem odcieni, których istnienia Harman dotąd nawet nie przeczuwał. Był jednak w stanie myśleć wyłącznie o powrocie do Ardis, do Ady, a przynajmniej na most. Dobrze byłoby znaleźć się na Golden Gate, zanim Petyr odleci sonikiem. Nie chciał czekać całych trzech dni na powrót Petyra, który miał zabrać Hannę i wyleczonego – o ile sarkofag rzeczywiście był w stanie ożywiać i przywracać zdrowie – Nikogo-Odyseusza.

– Ariel? – zagadnął duszka, który szybował w powietrzu na czele kolumny zeków.
– Słucham, mój panie? – Wprawdzie głos brzmiał przyjemnie, ale jego bezpłciowość wciąż mocno Harmana drażniła.

– W jaki sposób przeniosłeś mnie z Golden Gate do tej dżungli?

– Czyżbym nie uczynił tego z należytą delikatnością, o człowieku?

– Nie było źle – odparł pośpiesznie Harman, zdjęty obawą, że blady duch wygłosi kolejną niedorzeczną tyradę. – Ale jak to zrobiłeś?

– A jak wy przemieszczacie się z miejsca na miejsce, o ile nie układacie się na brzuchach w sonicznym spodku?

– Faksujemy się – rzucił Harman. – Ale przecież na Golden Gate nie było pawilonu... Żadnego faksowężła.

Ariel podleciał wyżej. Trącił przy tym kilka gałęzi, z których na Harmana i zielone ludziki spłynął deszcz kropelek rosy.

– Czy Daeman, twój przyjaciel, musiał szukać pawilonu, kiedy dziesięć miesięcy temu pożarł go allozaur?

Harman zatrzymał się w pół kroku. Trzymający go za ręce zekowie również przystanęli. Przynajmniej na razie nie próbowali go popędnąć.

Oczywiście! – stwierdził w duchu Harman. Miał to przed oczyma przez całe swoje życie. Widział to, lecz zachowywał się jak ślepiec. Osoby faksujące się do pierścieni po zakończeniu jednej z pierwszych czterech Dwudziestek życia korzystały z najbliższych faksowężłów, podobnie czynili ludzie podróżujący z miejsca na miejsce. Gdy jednak ktoś odnosił poważne rany – lub ginął wskutek nieszczęśliwego wypadku, jak rozszarpany przez gada Daeman – faksowaniem zajmowały się same pierścienie.

Był tam. Odwiedził wyspę Prospera, widział Konserwatornię, w której zbiornikach materializowały się nagie ludzkie ciała. Widział bulgocący w sarkofagach płyn i rojące się niebieskie czerwie. Widział, jak zregenerowane ciała znikają, wracając na Ziemię. Sam zresztą, przy pomocy Daemana, kierował tym procesem, czego nauczył ich Prospero. Zniszczyli serwitory i ustawili wirtualne panele kontrolne tak, by odesłać z powrotem jak najwięcej uzdrowionych osób.

Ludzie byli w stanie faksować się bez potrzeby korzystania z faksowężłów. Wcale nie musieli szukać któregoś z ponad trzystu znanych pawilonów.

Harman był tego świadkiem przez całe życie – bez mała sto lat – lecz patrzył i po prostu nie widział. Nie rozumiał. Zaślepiła go głęboko zakorzeniona myśl o tym, że po ukończeniu Piątej Dwudziestki lub w wypadku ciężkich obrażeń to postludzie przenoszą ludzi do pierścieni. Podróże za pomocą faksowężłów z miejsca na miejsce traktowano jako owoc osiągnięć naukowych, przenoszenie się do Konserwatorni wskutek nieprzewidzianej śmierci bliższe było wydarzeniu rangi religijnej.

Tymczasem urządzenia zainstalowane na orbitalnej wyspie Prospera potrafiły faksować ludzi z dowolnego miejsca, bez pomocy pawilonów.

A on wraz z Daemanem tę konserwatornię zniszczyli.

Zielone ludziki łagodnie pociągnęły Harmana za ramię. Oparł się im. Olśnienie przyprawiło go o zawrót głowy. Gdyby nie ręce podtrzymujących go zeków, osunąłby się na ziemię.

Wyspa Prospera przestała istnieć – razem z pozostałymi mieszkańcami Ardis oglądał jej odłamki płonące na nocnym niebie przez wiele miesięcy. Ariel jednak wciąż potrafił się faksować – i to swobodnie. Nie był uzależniony od węzłów i pawilonów. Zatem dzisiaj coś w pierścieniach – choć może na samej Ziemi? – znalazło duszka, rozpoznało jego kod i przeniosło go z Harmanem z mostu aż pod Khadzuraho. Czyli, na co wiele wskazywało, dosłownie na drugi koniec świata.

Zatem Harman wciąż miał szansę dostać się z powrotem do domu, do Ady. Musiał tylko w jakiś sposób wyciągnąć od Ariela tajemnicę swobodnego faksowania.

Poczuł kolejne szarpnięcia, łagodne, lecz natarczywe. Ariel odleciał już spory kawałek dalej, szybował w kierunku jaśniejącej wśród zarośli plamy światła. Harman nie chciał robić zekom kłopotu. Nie chciał również stracić z oczu duszka – Ariel był w zupełnie dosłownym sensie jego biletem powrotnym.

Ruszył przed siebie aż za szybko, potknął się, ale nie zatrzymał. Wiedział, że musi dogonić to dziwne uosobienie ziemskiej biosfery.

Gdy dotarli na polanę, słoneczny blask okazał się tak jaskrawy, że Harman musiał zasłonić oczy dłońmi i przez kilka sekund nie zauważył górującej nad nimi budowli. Gdy ją wreszcie zobaczył wyraźnie, osłupiał.

Konstrukcja, nie sposób było nazwać jej po prostu budynkiem, była gigantyczna. Według Harmana – a ocenianie odległości i rozmiarów przez całe życie szło mu niezgorzej – strzelała pod niebo na co najmniej tysiąc stóp. Może nawet wyżej. Nie miała ścian – rusztowanie, szkielet złożony z czarnych metalowych prętów i belek, ustawiony na wielkim kwadratowym podeście. Na wysokości koron drzew cztery nogi budowli łączyły się łukami i dalej zwęzala się ku górze, tworząc iglicę, wieżę, której ciemny, nieco szerszy czubek majaczył bardzo, ale to bardzo daleko w górze. Harman przypomniał sobie wyrażenie, którym posłużyła się kiedyś Hannah – prawdziwa ekspertka od pracy z metalem – „kute żelazo”. Był pewien, że wszystkie łuki, podpory, wsporniki, które oglądał w tropikalnym słońcu dżungli, zostały wykonane właśnie z żelaza.

– Co to jest? – wyszeptał.

Zielone ludziki uwolniły ramiona mężczyzny i cofnęły się pod osłonę drzew, jakby przestraszone widokiem monumentalnej wieży. Harman dopiero teraz zauważył, że dokoła budowli, na przestrzeni około akra, rośnie wyłącznie niska, idealnie przycięta i utrzymana trawa. Przemknęło mu przez myśl, że to sama konstrukcja w jakiś sposób powstrzymuje napór okolicznej gęstwiny.

– Masz przed sobą siedem tysięcy ton budulca – odpowiedział Ariel. W tej chwili jego głos zabrzmiał niemal męsko. – Dwa i pół miliona nitów. Cztery tysiące trzysta jednaście lat historii, licząc od powstania oryginału. W eiffelbahnie Chan Ho Tepa jest takich ponad czternaście tysięcy.

– W eiffelbahnie... – powtórzył Harman. – Nie ro...

– Chodź! – warknął Ariel. Tym razem przemówił głosem mężczyzny, i to silnego mężczyzny. Człowieka groźnego, któremu nie należy się opierać.



We wnętrzu jednej z łukowato wygiętych nóg konstrukcji czekała żelazna klatka.

– Wejdź! – rozkazał Ariel.

– Ale muszę wiedzieć...

– Wsiądź, a dowiesz się wszystkiego – rzucił duch biosfery. – Między innymi, jak wrócić do ukochanej Ady. Jeżeli zostaniesz tutaj, zginiesz.

Harman wszedł do klatki. Krata zatrzasnęła się zaraz za nim. Zgrzytnęły tryby,

metal zabręczał, stalowe liny naprężyły się i poderwały klatkę do góry wzdłuż żelaznych szyn.

– Ty nie idziesz?! – zawołał Harman do stojącego na dole Ariela.
Duch nie odpowiedział. Winda powoli sunęła coraz wyżej.

Wieża miała trzy główne poziomy. Pierwsze i najszersze piętro znajdowało się tuż powyżej poziomu okolicznych drzew. Harman rozejrzał się dokoła. Jak okiem sięgnąć widział tylko zbity zielony baldachim dżungli. Winda pojechała dalej.

Druga kondygnacja została zawieszona na tyle wysoko, że na jej pułapie klatka poruszała się już niemal pionowo. Harman podszedł na środek podłogi i zauważył przymocowane do wierzchołka wieży liny. Biegły w dal – na wschód i zachód – nieco uginając się pod własnym ciężarem. Także i tutaj winda się nie zatrzymała.

Trzeci i ostatni poziom oddalony był od ziemi o tysiąc stóp. Wyżej pozostał już tylko pękaty, najeżony antenami czubek. Winda przyhamowała i zatrzymała się. Wiekowa maszyna zachrobotła, a klatka opadła gwałtownie dwa metry w dół. Harman odruchowo złapał się żelaznej kraty i przygotował na śmierć.

Zadziałał hamulec. Drzwi odsunęły się w bok. Rozdygotany Harman przeszedł przez długą na jakieś sześć stóp kładkę z butwiejących desek. Zatrzymał się przed pięknymi drzwiami z żelaza i wypolerowanego na wysoki połysk mahoniu. Coś szcęknęło, zasyczało i droga do środka stanęła otworem. Wahał się tylko przez chwilę, po czym wszedł do tonącego w półmroku wnętrza. Wszedłby gdziekolwiek, byle nie stać dłużej na tym kruchym mostku zawieszonym tysiąc stóp nad ziemią, pod którym ciemniały żelazne elementy konstrukcji.

Drzwi zamknęły się za nim z sykiem i stwierdził, że w pokoju jest przynajmniej dziesięć, może piętnaście stopni chłodniej niż na słońcu. Kilka chwil stał w bezruchu, czekając, aż oczy przywykną do półmroku.

Znalazł się na wąskiej, wyłożonej dywanem i otoczonej półkami na książki antresoli, z której do głównej części pokoju prowadziły żelazne stopnie. Te same kręte schody pozwalały również wejść piętro wyżej.

Zszedł na dół.

Takich mebli nie widział nigdy przedtem – dziwaczne kształty i obicia, tapicerka z czerwonego weluru. Wychodzące na południe, zajmujące całą ścianę okno przesłonięte było ciężkimi kotarami, których złote frędzle omiatały pokryty fantazyjnymi wzorami czerwono-brązowy dywan. Pod północną ścianą zainstalowano kominek – Harman na pierwszy rzut oka docenił kunszt projektanta. Czarne żelazo i zielone ceramiczne płytki. Długi na osiem stóp stół o rzeźbionych nogach stał pod piętnastostopową przeszkloną ścianą. W rogach szybę pokrywał wzór mocno kojarzący się z pajęczą siecią. Pomieszczenie udekorowano również puchatymi sofami i rzeźbionymi oraz inkrustowanymi złotem krzesłami z czarnego drewna. Gdziekolwiek spojrzął, widział elementy wykonane z połyskliwego metalu, który Hannah nazywała mosiądzem. Na przykład ta dziwna rura z przypominającą kształtem dzwon słuchawką, albo mosiężne dźwignie wystające z zawieszonych na ścianach wiśniowych pudełek. Na stole stało kilka rozmaitych urządzeń z mosiężnymi klawiszami i kręcącymi się z wolna kołami zębatymi.

Zobaczył też mosiężne astrolabium – płataninę mosiężnych, obracających się jedno dookoła drugiego kół; wygładzona do połysku lampa rozsiewała w pomieszczeniu miękkie światło. Na stole leżały mapy przyciśnięte do blatu mosiężnymi półkulami. Jeszcze więcej zrolowanych map czekało w mosiężnym koszu na podłodze.

Harman podbiegł do stołu i z nadzieją przyjrzał się mapom. Rozkładał jedną po drugiej, ustawiał na rogach przyciski. Nigdy wcześniej nie widział map tego rodzaju. Pokryte były siatką, w którą wpisano mrowie zawiłych, biegnących równolegle do siebie linii – tam, gdzie mapa była zielona bądź brązowa, linie wyrysowano gęsto, linie przecinające białe plamy rozrzucone były dalej od siebie. Harman domyślił się, że nieregularne błękitne kształty odpowiadają jeziorom lub morzom, a długie, wijące się niebieskie pasy są rzekami. Obok nich widniały niesamowicie brzmiące nazwy – Tungabhadra, Krishna, Godavari, Normada, Mahanadi i Ganga.

W ścianach od wschodu i zachodu także otwierały się okna, mniejsze, lecz również zbudowane z mozaiki szybek. Pomiędzy nimi stały kolejne regały uginające się pod ciężarem książek, mosiężnych bibelotów, figurek z nefrytu i połyskujących machin.

Harman podszedł do jednej z półek i zdjął z niej trzy książki. Uderzyła go w nozdrza woń stuleci, bijąca z wiekowego, lecz wciąż mocnego papieru i grubych, skórzanych okładek. Na widok tytułów żywiej zabiło mu serce: „Trzecia dynastia Chan Ho Tepa, 2601–2939”, „Ramajana i Mahabharata z tekstem poprawionym przez Cyborga Ganesza” oraz „Eiffelbahn – konserwacja i interfejs SI”. Harman przyłożył dłoń do książki spoczywającej na samej górze, przymknął powieki, by wywołać funkcję siglowania, lecz się zawahał. Jeżeli znajdzie odpowiednio dużo czasu, po prostu je przeczyta. Stanowczo wolał czytać. Lubił wypowiadać kolejne słowa na głos i domyślać się ich znaczeń z kontekstu. Proces był powolny, mozolny i nużący, lecz kiedy czytał, zawsze uczył się znacznie więcej niż siglując.

Z szacunkiem odłożył książki na połyskliwy, idealnie czysty blat stołu i wbiegł krętymi schodkami na piętro.

Odkrył sypialnię – wezglowie łoża wykonano z błyszczących, mosiężnych rurek. Materac był nakryty kapą z głęboko czerwonego aksamitu, na brzegach ozdobioną zawiłymi krętymi wzorami. Obok mosiężnej lampy stojącej czekał fotel – głęboki, sprawiający wrażenie wygodnego, pokryty roślinnym deseniem. Przed siedzeniem ustawiono miękkie, obite skórą podnóżek. Z sypialni przechodziło się do mniejszego pokoju – jak się okazało, była to łazienka, wyposażona w dziwną porcelanową toaletę i wiszący nad nią porcelanowy zbiornik z zakończonym mosiężną rączką łańcuchem. W zachodniej ścianie wbudowano witrażowe okna. Mosiężne były także kurki i krany na umywalce, a wielka wanna z białej porcelany, stojąca na czterech stylizowanych zwierzęcych łapach z pazurami, miała mosiężną armaturę. Wrócił do sypialni – północna ściana również była przeszkłona. Zbliżył się i zauważył, że nie jest to zwykłe okno, tylko szklane drzwi o klamkach z kutego żelaza.

Otworzył dwa skrzydła na oścież i wyszedł na żelazny balkon, zawieszony tysiąc stóp nad dżunglą. Rozgrzane od słońca powietrze uderzyło go niczym gorąca pieść. Zamrugnął i cofnął się. Nie chciał stać zbyt długo na żelaznej kracie – pod sobą widział wprawdzie solidną kratownicę wieży, ale wystarczyłoby najlżejsze pchnięcie, by runął

w przepaść.

Przytrzymał się drzwi, wychylił i rozejrzał na boki. Balkonik miał szerokość około dziesięciu stóp. Stały na nim stół i żelazne krzesła wyłożone przywiązanymi do nich czerwonymi poduszkami. Harman uniósł głowę i zobaczył zainstalowaną nad mieszkaniem wielką żelazną tarczę przypominającą olbrzymie koło zamachowe, nad którą pobłyskiwała wieńcząca wieżę kopuła ze złota i miki. Potężne liny, grubsze niż jego udo, ciągnęły się daleko na wschód i zachód.

Zmrużył oczy i spojrzął na wschodni horyzont. Na skraju pola widzenia majaczyła pionowa kreska; kolejna wieża. Jak bardzo mogła być oddalona? Co najmniej czterdzieści mil. Zwrócił się ku zachodowi, dokąd również prowadziło kilkanaście napiętych lin, ale te znikwały w kłębiących się sinoczarnych burzowych chmurach. Harman wrócił do sypialni, starannie zamknął za sobą drzwi i zszedł po schodach. Rękawem kurtki otarł pot z czoła i karku. W pomieszczeniu panował cudowny chłód, a w dżungli było tak strasznie gorąco. Nie miał ochoty wracać.

– Witaj, Harmanie. – Z półmroku, od strony stołu i ciemnych kotar dobiegł go znajomy głos.

Dzisiaj Prospero był znacznie bardziej konkretny, niż kiedy Harman spotkał go kilka miesięcy temu na orbitalnej wyspie, krążącej w pierścieniu R. Pomarszczone ciało czarownika nie było już półprzezroczyste jak jego hologram. Poły powłóczystej szaty z błękitnego jedwabiu i wełny – haftowanej w złote planety, szare komety i ogniste gwiazdy z czerwonej nici – zwieszały się za plecami maga i sunęły po grubym dywanie. Kiedy starzec wyszedł z cienia, Harman ujrzał długie, srebrzystosiwe kosmyki włosów opadających za spiczastymi uszami. Dłonie i czoło przecinały świadczące o sędziwym wieku zmarszczki, a paznokcie były lekko pożółkłe, niczym zwierzęce szpony. Harman przyjrzał się też – najwyraźniej materialnemu i ciężkiemu – pokrytemu rzeźbieniem sękatemu kosturowi i błękitnym pantoflom Prospera, które również dotykały podłogi tak, jakby były najzwyklejszymi w świecie fizycznymi przedmiotami.

– Odeślij mnie do domu – zażądał Harman i podszedł do starego maga. – Natychmiast!

– Cierpliwości, cierpliwości, człowiecze imieniem Harman, przyjacielu Nikogo – odparł czarnoksiężnik, błyskając w uśmiechu żółtymi zębami.

– Sram na twoją cierpliwość! – warknął mężczyzna.

Aż do tej chwili nie miał pojęcia, jak gorącą wściekłość w sobie nosi. Został porwany z mostu przez Ariela, odmówiono mu powrotu do Ardis, Ady i ich nienarodzonego dziecka, a w dodatku niemal na pewno stało się to z rozkazu tego ledwie powłóczącego nogami dziadygi w niebieskiej szmacie. Podszedł do starca jeszcze krok bliżej i gwałtownym ruchem chwycił go za zwiewny rękaw...

I natychmiast coś odrzuciło go w tył. Przeleciał w powietrzu osiem stóp, spadł plecami na dywan, z którego ześliznął się jeszcze na gładką posadzkę i wreszcie się zatrzymał. Przed oczyma zawirowały mu pomarańczowe plamki. Zamrugał.

– Nie ścierpię dotyku innej istoty – stwierdził półgłosem Prospero. – Nie każ mi napominać cię kosturem. – Czarnoksiężnik nieznacznie uniósł laskę.

Harman przyklęknął na jednym kolanie.

– Odeślij mnie. Proszę. Nie mogę zostawić Ady. Nie teraz.

– Jak sądzę, już to uczyniłeś, z własnej zresztą woli. Nikt nie kazał ci wieźć Nikogo do Machu Picchu. Nikt cię też nie powstrzymał.

– Prospero, czego ty ode mnie chcesz? – Harman podniósł się na równe nogi i potrząsnął głową, próbując pozbyć się z oczu czerwonych powidoków. Bez skutku. Usiadł na najbliższym krześle. – I jak ci się udało przetrwać zniszczenie asteroidy? Wydawało mi się, że twój hologram był tam uwięziony, podobnie jak Kaliban.

– Ależ był. – Prospero zaczął się przechadzać po pokoju. – Nie jest to może, w ogólnym rozrachunku, największa część mojego ja, lecz niezwykle istotna. A na Ziemię zabrałeś mnie sam.

– Ja... – zająknął się Harman. – Sonikiem? Udało ci się załadować hologram do pamięci sonika?

– Nie inaczej.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Przecież mogłeś go wezwać na swoją wyspę już wcześniej. W dowolnym momencie.

– Nie masz racji – odparł czarnoksiężnik. – Maszyna należała do Savi i na orbitę wlatywała jedynie na zew ludzi. A ja się do tej rasy nie zaliczam... niezupełnie.

– Jak w takim razie zdołał się uratować Kaliban? – zapytał Harman. – W soniku nie ukrył się z całą pewnością. Wróciliśmy na Ziemię tylko we troje, z Daemanem i Hanną.

Prospero wzruszył ramionami.

– Perypetie Kalibana stanowią obecnie wyłącznie jego zmartwienie. Ten nikkzemnik nie jest już mym sługą.

– Wrócił na służbę do Setebosa – doszedł do wniosku Harman.

– Owszem.

Mężczyzna westchnął i przetarł dłonią twarz. Nagle załata go fala zmęczenia. Dręczyło go pragnienie.

– Drewniane pudło, które widzisz pod antresolą, to rodzaj chłodziarki – podjął czarnoksiężnik. – Znajdziesz w nim strawę... i wodę pitną w butelkach.

Harman wyprostował się na krześle.

– Czytasz mi w myślach, magu?

– Nie, widzę wszystko w twojej twarzy. Nie ma na świecie mapy bardziej czytelnej niż lico człowieka. Idź, napij się. Ja sobie usiądę pod oknem i zaczekam, póki nie wrócisz odświeżony, byśmy mogli spokojnie pomówić.

Harman ruszył w stronę sporej drewnianej skrzyni z mosiężnym uchwytem. Po drodze ugięły się pod nim nogi, poczuł też drzenie rąk. Otworzył chłodziarkę i przez chwilę wpatrywał się w czekające wewnątrz butelki i opakowane w przezroczystą folię potrawy. Wypił łączywie.

Wrócił do siedzącego przy stole Prospera. Za plecami starca świeciło jasne słońce.

– Dlaczego kazałeś Arielowi mnie tu przyprowadzić?

– Gwoli ścisłości wyjaśnię, iż poleciłem duszkowi biosfery sprowadzić cię do dżungli w okolicach Khadzuraho dlatego, że w promieniu dwudziestu kilometrów od eiffelbahn faksowanie jest niemożliwe.

– Eiffelbahn? – powtórzył Harman i upił kolejny łyk z lodowatej butelki. – Właśnie tak nazywacie tę wieżę?

– Nie, nie, mój drogi Harmanie. Tak nazywamy cały system. Pod tym względem pozostajemy wierni nazwie ukutej przez Chan Ho Tępa, dżentelmena, który kilka tysięcy lat temu stworzył eiffelbahn. Wieża, w której się znajdujemy, jest ledwie jedną z... zaraz, ile ich było? Z czternastu tysięcy ośmiuset identycznych.

– Dlaczego wzniesiono ich tak wiele? – zdziwił się Harman.

– Chan miał taki kaprys. A po drugie taka liczba Wież Eiffela była konieczna, by połączyć linami wschodnie wybrzeże Chin z wylotem Bruzdy Atlantyckiej na hiszpańskim wybrzeżu.

Harman nie był pewien, czy zrozumiał, co czarownik ma na myśli.

– Chcesz powiedzieć, że eiffelbahn jest systemem komunikacyjnym?

– A przy okazji doskonałą okazją, byś się wreszcie przekonał, jak przyjemnie jest podróżować z klasą – dodał Prospero. – Obaj tego zaznamy, jako że przez niewielką część drogi dotrzymam ci towarzystwa.

– Donikąd z tobą nie pojedę, dopóki... – Harman nagle urwał, wypuścił butelkę na podłogę i mocno, oburącz uchwycił się blatu ciężkiego stołu.

Cała piętrowa część mieszkalna wieży wyczuwalnie drgnęła. Rozległ się zgrzyt metalu, coś zachrzęściło, w powietrzu poniosł się koszmarny dźwięk przypominający skargę rozdzieranej stali. Podłoga przechyliła się, podskoczyła i nachyliła jeszcze bardziej.

– Wieża się wali! – zawołał Harman. Za przeszklonymi ścianami zobaczył zmieniający położenie zielony horyzont.

– Ależ skąd – stwierdził Prospero.

Piętrowy apartament spadał – zsuwał się z wieży do wtóru zgrzytnięć i odgłosów tarcia żelaza o żelazo, zupełnie jakby jakiś olbrzym spychał go w przepaść.

Harman poderwał się na równe nogi i spróbował dobiec do drzwi na antresoli, lecz zdołał przejść tylko kilka kroków, po czym padł na kolana i podparł się dłońmi. Mieszkanie oderwało się od konstrukcji wieży, opadło przynajmniej piętnaście stóp, wyhamowało z gwałtownym szarpnięciem, po czym zaczęło sunąć na zachód.

Harman nie wstawał. Czuł łomotanie serca i czekał. Niebezpiecznie rozkołysane pomieszczenie po chwili się ustabilizowało. Łoskot metalu ucichł i przemienił się w dobiegający z góry miarowy i głośny pomruk. Mężczyzna podniósł się, zachwiał, lecz utrzymał równowagę, podszedł niepewnie do stołu i wyjrzał za okno.

Wieża oddalała się z lewej strony. Na wysokości tysiąca stóp nad ziemią, w miejscu gdzie dotąd znajdowało się mieszkanie, widać było już tylko błękit nieba. Harman zobaczył biegnące ponad dachem liny i uświadomił sobie, że buczenie dobiega z koła zamachowego, które oglądał wcześniej z balkonu. Eiffelbahn okazał się rodzajem kolei linowej, a cały ten przestronny, piętrowy apartament stanowił jej wagonik. Wieża, którą ujrzał przedtem na wschodzie, musiała być identyczna z tą, którą właśnie opuścili. A wagon zmierzał prędko ku zachodowi.

Spojrzał na Prospera i podszedł o krok, zatrzymując się tuż poza zasięgiem groźnie wyglądającego kostura.

– Musisz mi pozwolić wrócić do Ady – rzucił. Chciał natchnąć głos zdecydowaniem, lecz sam usłyszał w nim żalną, błagalną nutę. – Wojniksy otaczają Dwór Ardis. Nie mogę jej tam zostawić. To niebezpieczne. A beze mnie... Proszę, mistrzu Prospero. Proszę.

– Już za późno na twoją interwencję, Harmanie, towarzyszu Nikogo – stwierdził czarnoksiężnik gardłowym, starczym głosem. – Stało się i się nie odstanie. Odłóżmy jednak na bok nasze morskie smutki, mój panie, i nie obciążajmy się wspomnieniami trudów przeszłości. Wyruszyliśmy właśnie w podróż zupełnie nową. Czekają nas wielkie zmiany, przyjacielu Nikogo, a jeden z nas stanie się wkrótce człowiekiem mądrzejszym, bardziej spełnionym i kompletnym, podczas gdy nasi wrogowie – mam tu na myśli czarny pomiot Sykoraks, który pomogłem wychować – pic będą słoną morską wodę i pożywiać się jedynie zwiędłymi korzonkami porażki i łupinami pogardy.

Wokół Olimpu zbierały się burzowe chmury. Niosąca tumany piachu wichura spowiła Marsa czerwonym całunem. Wyjący wiatr omiatał migocącą powierzchnię egidy – pola siłowego, którym nieobecny Zeus otoczył domostwo bogów. Naładowane elektrostatycznymi ładunkami cząsteczki pobudzały tarczę do tego stopnia, że w szczyt potężnej góry dzień i noc były błyskawice, którym towarzyszyły infradźwiękowe grzmoty. Promienie słońca oglądane z perspektywy wyższych partii wulkanu sprawiały wrażenie mrocznej, krwawej poświaty przecinanej iskrami elektrycznych wyładowań i hurgotem nieustępliwego wichru i piorunów.

Achilles – wciąż dźwigający swą ukochaną, martwą Amazonkę, królową Pentezyleę – teleportował się kwantowo do domu swego jeńca, Hefajstosa, patrona ognia, naczelnego rzemieślnika Olimpijczyków, męża Aglai, znanej również pod imieniem Charis, „rozkoszy niesionej przez sztukę”, jednej z najbardziej urodziwych Gracji. Niektórzy twierdzili, że i ona była jednym z jego dzieł.

Hefajstos nie tekował ich bezpośrednio do swego domostwa, lecz przed jego drzwiami. Na pierwszy rzut oka rezydencja chromego boga ognia przypominała wszelkie inne siedziby nieśmiertelnych – ot, biały marmur, bielejące kolumny, jasny portyk – lecz to był jedynie przedsiónek. W rzeczywistości boski rzemieślnik wpuścił swe mieszkanie i przestronne warsztaty głęboko w stromy południowy stok Olimpu, z dala od kalderowego jeziora i skupiska świętych przybytków pobratymców. Mieszkał więc w jaskini.

Nie była to jednak byle jaka pieczara, o czym Achilles przekonał się, gdy powłóczywszy kulawą nogą Hefajstos wpuścił go do środka i zamknął za nimi kilka kolejnych żelaznych wrót.

Grota została wykuta w czarnej, twardej skale Olimpu, a sala, w której się znaleźli, ciągnęła się setki metrów naprzód i przeciwległy jej koniec niknął w mroku. Wszędzie dokoła stały stoły, na których czekały tajemnicze urządzenia, szkła powiększające, narzędzia i maszyny w różnym stopniu naprawione bądź rozmontowane. Daleko w głębi jaskini huczało otwarte palenisko, na którym niczym pomarańczowa lawa bulgotała roztopiona stal. Bliżej miejsca, w którym się zatrzymali, Achilles ujrzał stołki, otomany, niskie stoliki, łóżka i kosze pełne żarzących się węgli – tutaj Hefajstos mieszkał. Tutaj też przebywał ze złotymi, kobiecymi automatami – owianymi niesławą pomocnikami boga; spojonymi nitami maszynami o ludzkich oczach, metalowych piersiach i delikatnych, wykonanych z syntetycznych tkanek pochwach, a także – wedle pogłosek – natchniętymi duszami wykradzionymi ludziami.

– Tutaj możesz ją złożyć. – Karłowaty bóg wskazał jeden z zagraconych blatów, po czym oczyścił stół szorstkim ruchem włochatego ramienia.

Achilles uwolnił Rzemieślnika z uścisku i z najwyższą czcią złożył delikatnie na blacie swe spowite w całun brzemie.

Hefajstos przez dobrą chwilę wpatrywał się w oblicze Pentezylei widoczne wśród fałd całunu.

– Rzeczywiście była piękna. Dostrzegam też rękę Ateny, która musiała pomóc zachować ciało w tym stanie. Zginęła najwyraźniej kilka dni temu, a wciąż nie wdała się zgnilizna. Nie ma nawet jednej plamki. I wciąż nosi na twarzy rumieniec. Myślisz, że mógłbym ją rozwinąć? Chciałbym zobaczyć te cycki...

– Jeśli tkniesz ją lub choćby tylko ten całun – rzekł. – Zabiję cię od razu.

Hefajstos uniósł otwarte dłonie.

– Jasne, jasne. Chciałem tylko popatrzeć. – Zatarł ręce. – Jeść! – dodał. – A potem się zastanowimy, jak ożywić twą panią.

Złote, mechaniczne kobiety zaczęły znosić wypełnione gorącą strawą patery i tace z pucharami wina. Poczęstunek rozstawiły na okrągłym stole zajmującym centralne miejsce w kręgu otoman. Chyżonogi Achilles i kudłaty Hefajstos częstowali się do woli. Jedli w milczeniu, chyba że któryś zapragnął dodatkowej porcji jedzenia bądź dolewki trunku.

Na przystawkę kobiece automaty Hefajstosa podały jagnięce jelita faszerowane smażoną wątróbką – ulubiony przysmak Achillesa. Następnie doniosły pieczone prosię nadziewane drobnym ptactwem, rodzynkami, kasztanami, żółtkiem i aromatyzowanym korzennymi przyprawami mięsiwem. Na stole pojawiły się dymiące misy wieprzowiny duszonej w jabłkach i gruszkach. Pomocnice zaserwowały również najwyższej próby frykasy, między innymi pieczoną macicę maciory i oliwki nurzane w grochowej paście. Głównym daniem okazała się wielka, wysmażona do brązowej kruchości ryba.

– Złowiona w olimpijskim jeziorze pod siedzibą samego Zeusa – wymamrotał z pełnymi ustami Hefajstos.

Na deser, oraz by odświeżyć podniebienia pomiędzy daniami, spożywali rozmaite owoce, słodycze i orzechy. Wykute ze złotego metalu służki przyniosły też tace, na których piętrzyły się stopy fig i migdałów, naczynia pękające od tłustych daktyli i płaskie talerze z przepyszными miodowymi ciastkami, których Achilles miał okazję skosztować jedynie raz w życiu, przy okazji wizyty w raczkującym *polis* zwanym Atenami. Ucztę zwieńczył wypiek ubóstwiany przez Agamemnona, Priama i innych najmożliwszych władców świata – sernik.

Po posiłku automatyczne pomocnice uprzątnęły stół, zamiotły posadzkę i doniosły kolejne antałki wina i wielkie, opatrzone dwoma uchwytemi puchary – w sumie podano przynajmniej dziesięć rozmaitych gatunków szlachetnego trunku. Honory pełnił Hefajstos, który osobiście zmieszał wino z wodą i wręczył gościowi kielich.

Karłowate bóstwo i półbóg pili ze sobą przez dwie godziny, lecz żaden z nich nie doprowadził się do stanu, który rodacy Achillesa zwali *paroinią* – „pijackim obłędem”.

Przez większość czasu mężczyźni biesiadowali w milczeniu, lecz nagie, złote służebnice ubarwiły spotkanie w ich imieniu – ustawiły się w szereg i odtńczyły wokół stołu zmysłowy taniec, który esteci pokroju Odyseusza określali mianem *komos*.

W pewnym momencie obaj skorzystali z toalety, a kiedy wrócili do przerwanej libacji, Achilles wreszcie przemówił.

– Czy zapadła już noc? Może pora, byś przeniósł mnie do sali Uzdrowiciela?

– Naprawdę sądzisz, że olimpijskie kadzie lecznicze zdołają wskrzesić twoją puszczałką Amazonkę? Naprawdę, synu Tetydy o wilgotnych piersiach? Owe kadzie i czerwie powstały, by regenerować ciała nieśmiertelnych, nie suk z człowieczego rodu, choćby i urodziwych.

Achilles był zbyt pijany i rozkojarzony, żeby się obrazić.

– Bogini Atena obiecała mi, że kadzie obdarzą Pentezyleę nowym życiem. A Atena nie ma zwyczaju kłamać.

– Nie ma we zwyczaju? Ona łże przez cały czas – fuknął Hefajstos, dźwignął masywny puchar i pociągnął potężny haust wina. – Jeszcze kilka dni temu stałeś u podnóża Olimpu, ciskałeś bezradnie kamieniami w zeusową egidę i wyłeś do Ateny, by zechciała się zniżyć i stanąć z tobą do pojedynku. Chciałeś ją zgładzić podobnie jak Amazonkę, której przeszyłeś włócznią piękny cycek. Cóż się takiego zmieniło, o szlachetny mężobójco?

Achilles ściągnął brwi i zmierzył bóstwo płomieni spojrzeniem.

– Cała ta... no, wojna trojańska, to... złożona rzecz... Kuternogo.

– A! I za to można wypić! – Hefajstos roześmiał się i ponownie przytknął puchar do ust.

Gdy byli już gotowi tekować się do sali Uzdrowiciela, Achilles przywdział swą pełną zbroję, naostrzył miecz na szlifierskim kole patrona ognia i wypolerował tarczę. W takim rynsztunku podszedł do ławy, na której spoczywało ciało Pentezylei. Pochylił się nad nią.

– Nie, ją zostawisz – rzucił Hefajstos.

– Co mówisz?! – warknął heros. – Wszak to z jej powodu udajemy się do Uzdrowiciela. Nie mogę jej porzucić.

– Nie wiemy, których Olimpijczyków zastaniemy na miejscu, nie mamy pojęcia, jakie rozstawili straże – przypomniał Rzemieślnik. – Być może staniesz przeciwko całej falandze. Chcesz się z nimi bić z jej trupem na ramieniu? A może planowałeś się tym pięknym ciałkiem osłonić?

Achilles wyraźnie się zawahał.

– Tutaj zwłokom krzywda się nie stanie – dodał Hefajstos. – Dawniej nękała ten dom plaga szczurów, nietoperzy i karaluchów, lecz stworzone przeze mnie mechaniczne koty, sokoły i modliszki oczyściły pieczarę ze wszystkich szkodników.

– Niemniej...

– Jeśli w sali Uzdrowiciela nie zastaniemy nikogo, wrócimy tutaj w trzy sekundy i zabierzemy ciało Pentezylei. A pod naszą nieobecność pieczę nad nią sprawować będą moje złote dziewczęta – obiecał bóg-rzemieślnik. Pstryknął grubymi palcami i martwą królową otoczyła szóstka metalowych służek. – Jesteś gotów?

– Tak.

Achilles ścisnął zryte bliznami przedramię Hefajstosa i zniknęli.

Komnata Uzdrowiciela była kompletnie opustoszała. Nie strzegł jej ani jeden nieśmiertelny. Co jeszcze bardziej zaskakujące – nawet w ocenie Hefajstosa – pusta była również znakomita większość szklanych cylindrów. Dzisiaj nie próbował się wskrzesić bądź uzdrowić ani jeden bóg. Dokoła – w tonącej w półmroku sali, oświetlanej jedynie

przez dogasające koksowniki i fioletowy poblask bulgocących kadzi – nie poruszało się nic. Tylko oni. Kulawy Hefajstos i chyżonogi heros. Achilles czujnie podniósł tarczę.

Nagle pomiędzy zbiorników wychynął Uzdrowiciel.

Tarcza greckiego herosa powędrowała jeszcze wyżej.

Wcześniej, nad ciałem Pentezylei, usłyszał wyraźne słowa samej Ateny: „Zabij Uzdrowiciela, którego ujrzysz pod postacią wielkiej, potwornej stonogi o wielu ramionach i oczach. Zniszcz wszystko, co znajdziesz w tamtej sali”. Dotąd był jednak przekonany, iż nazywając go stonogą, bogini chciała medyka obrazić. Nie podejrzewał, że był to po prostu wierny opis.

Tymczasem istota rzeczywiście miała segmentowane ciało robaka, tyle że sięgała na trzydzieści stóp nad posadzkę. Kołysała się. Czarne, wyzierające z ostatniego pierścienia ślepią skupiły spojrzenie na Achillesie i Hefajstosie. Uzdrowiciel poruszał łagodnie ślimaczymi różkami i licznymi odnóżami, których szóstka kończyła się niewielkimi dłońmi. Jeden z pierwszych segmentów opinała kamizelka z wieloma kieszeniami, pękającymi od wciśniętych do środka instrumentów. Reszta sylwetki była opleciona czarnymi pasami, opaskami i przybornikami. Całość obrzydliwie się chybotwała.

– Uzdrowicielu! – zawołał Hefajstos. – Gdzież się wszyscy podziali?

Thusta stonoga zamarła, raz jeszcze zamachała kończynami i odpowiedziała chóralnym jazgotem niewidocznych paszcz.

– Zrozumiałeś choć słowo? – Hefajstos spojrział na Achillesa.

– Słowo? Jakie słowo? Brzmiało jakby młodzieniec zagrał patykiem na żebrach starego szkieletu.

– Nie, to naprawdę nasza mowa – odparł Hefajstos. – Musisz tylko powtórzyć te słowa powoli w duchu, musisz się wsłuchać. – Bóg zwrócił się do Uzdrowiciela. – Mój śmiertelny przyjaciel nie rozumiał twych słów. Byłbyś łaskaw powtórzyć, o Zbawco?

– Na-mocy-rozkazów-pana-Zeusa-żadnemu-śmiertelnikowi-nie-wolno-trafić-do-kadzi-regeneracyjnych-bez-Jego-wyraźnego-rozkazu-Tymczasem-nie-wiadomo-gdzie-Zeus-w-tej-chwili-przebywa-a-ponieważ-uzdrowiciel-posłuszny-jest-wyłączniejego-słowu-nie-dopuszczę-śmiertelnika-póki-Zeus-nie-zasiądzie-z-powrotem-na-swym-tronie.

– Teraz rozumiesz? – upewnił się Rzemieślnik.

– Coś o tym, że posłuszny jest jedynie Zeusowi i nie pozwoli umieścić Pentezylei w kadzi, o ile nie rozkaże mu tego Zeus.

– Owszem.

– Mógłbym glizdę zabić – zaproponował Achilles.

– Być może – odparł Hefajstos – aczkolwiek szeptane plotki głoszą, że Uzdrowiciel jest jeszcze bardziej nieśmiertelny niż my, niedawno stworzeni bogowie. Ponadto, gdybyś go uśmiercił, Pentezylea pozostanie martwa już na zawsze. Jedynie Uzdrowiciel potrafi posługiwać się tymi machinami i władać zielonymi i niebieskimi czerwiami, bez których nie ma mowy o procesie leczenia.

– Przecież jesteś boskim Rzemieślnikiem. – Achilles postukał mieczem o krawędź złotej tarczy. – Z pewnością potrafisz uruchomić nawet maszyny Uzdrowiciela.

– Pieprzenie... – warknął Hefajstos. – To nie jest prostacka technologia, jakiej

używaliśmy, kiedy byliśmy jeszcze zwykłymi postłudźmi. Nigdy nie udało mi się rozpracować, na jakich zasadach działają kwantowe urządzenia Uzdrowiciela... Zresztą nawet gdybym je poznał, nie nakłoniłbym do posłuszeństwa tych jego niebieskich czerwi. Jak podejrzewam, reagują wyłącznie na telepatyczne polecenia samego Uzdrowiciela.

– Glizda twierdzi, że słucha tylko rozkazów Zeusa. – Achilles coraz szybciej tracił nad sobą panowanie. Czuł, że jeszcze chwila, a zamorduje patrona ognia, wielką stonogę i wszystkich pozostałych bogów na Olimpie. – Czy jest ktoś inny, kogo mógłby posłuchać?

– Kronos – uśmiech Hefajstosa zdecydowanie nie poprawiał nastroju herosa – ale on wraz z resztą tytanów został skazany na wieczyste wygnanie do Tartaru. W tym wszechświecie władzę nad Uzdrowicielem sprawuje wyłącznie Zeus.

– W takim razie gdzie trzeba go szukać?

– Tego nikt nie wie – mruknął Hefajstos. – Pod jego nieobecność pomiędzy bogami wybuchła wojna o władzę. Do większości starc dochodzi na Ziemi, w okolicach Ilionu, gdzie część nieśmiertelnych nadal wspiera Trojan, a inni Greków. Obecnie Olimp świeci przeważnie pustkami i panuje tu spokój. Właśnie dlatego wyszedłem na ten cholerny stok, chciałem bez przeszkód sprawdzić skalę uszkodzeń mojej windy.

– Jak myślisz, dlaczego Atena uzbroiła mnie w ten zabójczy dla bogów sztylet i poleciła zgładzić Uzdrowiciela, gdy tylko wskrzesi Pentezyleę?

Hefajstos wytrzeszczył oczy.

– Kazała ci zabić Uzdrowiciela? – powtórzył cicho zdumiony karzeł. – Nie mam pojęcia, czym się mogła kierować. Najwyraźniej realizuje jakiś obłąkańczy zamysł. Jeżeli Uzdrowiciel zginie, kadzie staną się bezużyteczne... a cała ta nasza nieśmiertelność będzie funta kłaków warta. Wprawdzie nadal wiedlibyśmy bardzo długie żywoty, ale przy braku nanoodmładzania cierpielibyśmy, synu Peleusa, i to straszliwie byśmy cierpieli.

Achilles podszedł do Uzdrowiciela i poderwał swą osławioną tarczę tak wysoko, że widać było tylko wyzierające ze szparek w hełmie oczy. Uniósł miecz do ciosu.

– Zmuszę tego stwora, by uruchomił kadzie i sprowadził Pentezyleę.

Hefajstos podbiegł i chwycił herosa za ramię.

– Nie, śmiertelny przyjacielu. Uwierz w me słowa. Uzdrowiciel nie lęka się śmierci i nie zdołasz go przymusić. On słucha jedynie Zeusa. A bez skurwysyna niebieskie czerwie nie wezmą się do pracy. A bez tych pieprzonych robali, kadzie są do niczego. A bez tych, kurwa, kadzi, twoja królowa Amazonek pozostanie, kurwa jebana mać, na zawsze martwa!

Achilles gniewnie wyrwał rękę z uścisku Rzemieślnika.

– Ten... karaluch... musi przenieść Pentezyleę do kadzi. – Wypowiadając te słowa, heros przypomniał sobie, że to sama Atena kazała mu zgładzić Uzdrowiciela. Co ta dziwka kombinuje? Do czego chce mnie tak naprawdę wykorzystać? W jakim celu? Nie postradała przecież zmysłów i na pewno nie pragnie śmierci jedynej istoty, która może zapewnić jej nieśmiertelność.

– Uzdrowiciel wcale się ciebie nie boi, synu Peleusa. Możesz go zabić, lecz wówczas już nigdy nie wrócisz życia swojej królowej.

Achilles odszedł od niewysokiego boga płomieni, wyminął wielkiego

Uzdrowiciela i grzmotnął swą piękną, pokrytą koncentrycznymi kręgami grawerowanych symboli tarczą prosto w przezroczysty plastik jednej z pękających kadzi. Hurgot poniósł się głośnym echem po tonącej w półmroku sali. Odwrócił się na pięcie i spojrzał na Hefajstosa.

– Rozumiem. Glizda jest posłuszna Zeusowi. Gdzie jest Zeus?

Brodaty karzeł w pierwszej chwili zaniósł się śmiechem, lecz umilkł zaraz, gdy tylko dostrzegł wyraz oczu gorejących pod hełmem herosa.

– Mówisz poważnie? Zamierzasz nakłonić Gromowładnego, Ojca Wszystkich Bogów, by wykonał twoje polecenie?

– Gdzie jest Zeus? – powtórzył Achilles.

– Nie mam pojęcia – odparł Hefajstos.

Kulawy Olimpijczyk ruszył, utykając, ku wysokim drzwiom. Na zewnątrz niebo przecięła błyskawica. Burza piaskowa wywoływała na powierzchni egidy tysiące elektrycznych wyładowań. Czarne kontury kolumn rzucały co chwila długie cienie, mocno kontrastujące ze srebrnobiałym, zalewającym salę Uzdrowiciela światłem.

– Zniknął ponad dwa tygodnie temu! – zawołał bóg ognia przez ramię. Pociągnął się za kosmyk krzaczastej brody. – Większość podejrzewa, że to sprawka Hery. Niewykluczone, że strąciła męzulka w otchłań Tartaru, by dołączył do swych wygnanych rodziców, Kronosa i Rei.

– Zdołasz go odszukać? – Achilles odwrócił się do Uzdrowiciela plecami i wsunął miecz w przytroczone do szerokiego pasa kółko. Ciężką tarczę zarzucił na plecy. – Pokażesz mi do niego drogę?

Hefajstos zdębiał.

– Naprawdę chciałbyś zstąpić do Tartaru i spróbować nagiąć Boga Bogów do woli szarego śmiertelnika? Poza Zeusem w panteonie pierwotnych bóstw jest tylko jedna istota mogąca wiedzieć, gdzie podział się Zeus. I ta straszna istota jest jedynym nieśmiertelnym na Marsie, który mógłby posłać nas do Tartaru. Czy naprawdę byłbyś gotów udać się do Tartaru? Gdyby taka podróż okazała się konieczna?

– Żeby odzyskać swą Amazonkę, przeszedłbym przez paszczę samej śmierci. I z powrotem – przyznał ścisłym głosem Achilles.

– Być może więc przekonasz się, że Tartar jest miejscem tysiąckroć gorszym niż mroczne komnaty Hadesu, synu Peleusa.

– Zaprowadź mnie do nieśmiertelnego, o którym mówiłeś – polecił Achilles. Błyszczące w szparkach hełmu oczy pały niezdrowym blaskiem.

Brodaty Rzemieślnik zgarbił się lekko i stał tak dobrą minutę. Oddech miał przyspieszony, wzrok zamglony. W zamyśleniu skubał splątany zarost. Wreszcie odpowiedział.

– Niech i tak będzie – rzucił i zadziwiająco szybkim jak na kalekę krokiem przeszedł po błyszczącej marmurowej posadzce. Wyciągnął mocarne dłonie i uściśnął przedramię Achillesa.

Harman nie chciał zasnąć. Był wprawdzie wyczerpany, ale postanowił jedynie ugasić pragnienie i coś przekąsić. Podgrzał więc sobie porcję wybornej potrawy, którą zjadł przy stole pod oknem. Prospero tymczasem siedział w miękkim fotelu i czytał opasłą księgę w skórzanej oprawie.

Kiedy Harman podniósł wzrok, by po raz kolejny i bardziej stanowczo zażądać umożliwienia mu powrotu do Ardis, stwierdził, że czarnoksiężnik zniknął. Zniknęła także księga. Mężczyzna siedział przy stole jeszcze kilka minut. Prawie zapomniał, że sunie dziewięćset stóp nad dżunglą w skrzypiącym, wielkim jak dom wagonie kolejki linowej. Wreszcie wszedł ociężale po żelaznych schodach. Tłumaczył sobie, że chce po prostu raz jeszcze rzucić okiem na sypialnię. Stał przed łóżkiem i wlepił w nie zmęczone spojrzenie. Po chwili padł na materac jak kłoda.

Ocknął się po zmroku. Zmieszana poświata księżycy i pierścieni sączyła się przez szklane ściany niecodziennej sypialni, kładąc się na aksamitnych i mosiężnych przedmiotach blaskiem tak intensywnym, że wyglądały jak pociągnięte białą farbą. Harman otworzył drzwi balkonu i wyszedł na zewnątrz.

Mimo że na tej wysokości powietrze było chłodniejsze, a ruch wagonika wywoływał stały, przyjemny ruch powietrza, uderzyła go w twarz fala gorąca, wilgoci i roślinnych woni dżungli. Korony drzew splatały się poniżej w nieprzerwany dywan, bielejący w spływającym z nocnego nieba świetle. Od czasu do czasu podnosiły się z gąszczu osobliwe dźwięki, wyraźne nawet mimo nieustannego buczenia kół kolejki i skrzypnięć długiej liny. Harman zadarł głowę i spróbował zorientować się w okolicy, korzystając z położenia obu pierścieni.

Był pewien, że kiedy kilka godzin temu ruszyli z pierwszej wieży, wagonik skierował się na zachód. Potem jednak przespał co najmniej dziesięć godzin, a teraz – nie miał najmniejszych wątpliwości – zmierzali na północny wschód. Na południowym zachodzie, skąd przyjechali, pobłyskiwał w świetle księżycy ledwie widoczny czubek jednej z wież systemu eiffelbahn. Do innej, widocznej na północnym wschodzie, mieli jeszcze niecałe dwadzieścia mil. Kiedy spał, musieli skręcić na jakimś skrzyżowaniu. Całość geograficznej wiedzy Harmana pochodziła z lektur książek, które sam nauczył się czytać. Podejrzewał też, że do niedawna był jedynym człowiekiem na świecie, który ma w ogóle jakiegokolwiek rozeznanie w geografii i zdaje sobie sprawę, iż Ziemia jest kulą. Samouk Harman nigdy jednak nie interesował się szczególnie przypominającym kształtem grot strzały subkontynentem leżącym na południe od masy lądu zwanej w przeszłości Azją. Z drugiej strony nie trzeba było dysponować wiedzą zawodowego kartografa, by stwierdzić, że, o ile Prospero nie kłamał i celem ich podróży rzeczywiście jest wybrzeże Europy na wysokości Bruzdy Atlantyckiej – biegnącej wzdłuż czterdziestego równoleżnika – to jadą w złą stronę.

Nieważne. Harman i tak nie miał zamiaru spędzić w tej dziwacznej kolejce tylu

długich tygodni lub miesięcy, ilu wymagało pokonanie tak wielkiej odległości. Przecież Ada potrzebowała go już w tej chwili.

Przespacerował się tam i z powrotem po balkonie. I znowu. Gdy wagonikiem kołysało mocniej, przytrzymał się barierki. Przy trzecim okrążeniu zauważył żelazną drabinkę zamocowaną tuż za balustradą. Przeszedł przez poręcz na drugą stronę, chwycił najniższy szczebel i zaczął się wspinać. W tej chwili od ziemi dzieliło go już tylko tysiąc stóp powietrza i korony drzew.

Drabinka prowadziła na płaski dach kolejki. Harman znalazł dogodny uchwyt i podciągnął się na samą górę.

Podniósł się ostrożnie i rozłożył ręce, by nie stracić równowagi, gdy wagonik zakołysał się, rozpoczynając wspinaczkę po linie ku migocącym światłom kolejnej wieży oddalonej już tylko o jakieś dziesięć mil. Za nią, na widnokręgu pojawił się górski łańcuch. Ośnieżone wierzchołki, zalane światłem księżyca i pierścieni, pobłyskiwały niczym klejnociki.

Upojony nocą i prędkością Harman zauważył coś innego. Mniej więcej trzy stopy od przedniego skraju wagonika widok – księżyc, pierścienie i drzewa poniżej – nieco się rozmywał. Podeszedł na brzeg i wyciągnął rękę najdalej, jak mógł.

Pole siłowe. Nie najmocniejsze – przenikające jego warstwę palce poczuły tylko niewielki opór. Bariera skojarzyła się Harmanowi z półprzepuszczalną błoną zamykającą na orbitalnej wyspie Prospera wejście do konserwatori. Była jednak na tyle wytrzymała, że osłaniała mało aerodynamiczną kolejkę przed podmuchami wiatru, tak silnymi, że odginały dłoń po drugiej stronie. Wagonik musiał jechać szybciej, niż Harman przypuszczał.

Po półgodzinie spędzonej na przechadzkach po dachu, nasłuchiwaniu buczenia lin, oglądaniu coraz bliższej wieży i rozmyślaniu nad planem powrotu do Ady Harman zszedł po drabince, zeskoczył na balkon i wrócił do sypialni.

Prospero czekał na niego na parterze. Czarnoksiężnik znów siedział w swoim fotelu, z nogami na podnóżku i grubym tomem rozłożonym na kolanach. Kostur stał oparty o podłokietnik fotela.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał Harman.

Prospero podniósł wzrok znad książki.

– Widzę, młody panie, że brak ci ogłady, podobnie jak naszemu wspólnemu Kalibanowi przyjacielowi brakuje urody.

– Czego ode mnie chcesz? – powtórzył, zaciskając pięści.

– Czas, byście poszli na wojnę, Harmanie z Ardis.

– Na wojnę?

– Owszem. Czas już, by twoja rasa podjęła walkę. Twoja rasa, twoi pobratymcy, twój gatunek. Wy.

– Co ty wygadujesz? Przeciwno komu?

– Stosowniej byłoby pytać, przeciwko czemu.

– Masz na myśli wojniksy? Przecież już z nimi walczymy. Nikogo-Odyseusza zawiozłem na Machu Picchu między innymi dlatego, że chciałem zabrać z mostu więcej broni.

– Nie, nie mówię o wojnikach – odparł Prospero. – Nie mówię również o kalibanach, aczkolwiek zadaniem tych niewolniczych istot jest wymordowanie wszystkich członków twojej rasy, gdy nadejdzie pora realizacji planu. Mówię o Nieprzyjacielu.

– Chodzi ci o Setebosa? – zapytał Harman.

– O, tak... – Czarnoksiężnik opuścił sędziwą dłoń, wsunął zakładkę – długi liść – między stronicę książki, zamknął łagodnie okładki i wstał z miejsca, podpierając się kosturem. – Mówię o Setebosie jak ośmiornica wieloramiennym, który w końcu tu przybył, do naszego świata.

– Wiem o tym. Daeman zauważył go w Kraterze Paryskim. Setebos utkał wokół tamtejszego faksowężła jakąś sieć z błękitnego lodu... Podobnie potraktował kilkanaście innych stacji, między innymi Chom i...

– A czy wiesz, w jakim celu wieloramienny przybywa na Ziemię? – przerwał mu Prospero.

– Nie – przyznał Harman.

– Aby się napaść – wyszeptał czarownik.

– Nami?

Wagonik zwolnił, zadygotał i Harman zauważył, że przez moment znajdowali się wewnątrz jednej z wież kolejki. Piętrowy wagonik wjechał do identycznego gniazda, jakie widział na pierwszej wieży. Pojazd się obrócił, tryby zgrzytnęły i zabrzęczały i wyjechali w innym kierunku, skręcili na wschód.

– Setebos przybył, by nas pożreć? – zapytał ponownie.

– Nie do końca. Nie bezpośrednio.

– Co to znaczy, do cholery?

– To, młody człowieku, znaczy, że Setebos jest cmentarnym upiorem. Nasz wieloramienny przyjaciel karmi się osadami strachu i bólu, mroczną energią przejmującej z nagłą grozy i pokładami gwałtownej śmierci. Te wspomnienia gromadzą się w glebie waszego świata – podobnie jak wszystkich światów zamieszkałych przez istoty wojownicze i rozumne. Zalega pod ziemią niczym węgiel czy ropa. Tuż pod powierzchnią drzemie dzika energia zapomnianej ery.

– Nie rozumiem.

– Chcę powiedzieć, Harmanie, że owszem, Setebos, Pożeracz Światów, Smakosz Mroków Historii, zamknął część waszych faksowężłów w błękitnym lodzie po to, by złożyć tam jaja, by rozsiać swe potomstwo po całym świecie, by wyssać z tych miejsc ciepło, tak jak sukkub wysysa oddech śpiącej ofierze. Ale to nie dzięki tchnieniu, lecz waszej pamięci i waszym dziejom napuchnie niczym wieloramienny, opity krwią kleszcz.

– Nadal nic nie pojmuję – stwierdził Harman.

– Obecnie Setebos założył swe gniazda w Kraterze Paryskim, Chom i innych mało znaczących osiedlach, w których wy, ludzie, zwykliście się bawić, spać i marnować swe bezsensowne życia – podjął czarnoksiężnik. – Żerować jednak będzie w Waterloo, HoTepsie, Stalingradzie, na Ground Zero, pod Kurskiem, w Hiroszynie i Sajgonie, w Rwandzie i Cape Town, w Montrealu, pod Gettysburgiem, w Rijadzie, Kambodży, Chanstaku, Chancellorsville, na Okinawie i Tarawie, w My Lai, w Bełżcu, Oświęcimiu,

nad Sommą... Czy te nazwy cokolwiek ci mówią, Harmanie?

– Nie.

– W tym właśnie nasz problem. – Prospero westchnął. – Dopóki choć część ludzkiej rasy nie odzyska utraconych wspomnień, nie będziecie w stanie podjąć z Setebosem walki. Nie zdołacie go nawet zrozumieć, ponieważ nie rozumiecie samych siebie.

– Dlaczego to miałyby być również i twój problem?

Starzec westchnął raz jeszcze.

– Jeśli Setebos wyzre z tego świata ludzki ból i wspomnienia, jeśli pochłonie całą energię, którą nazywam umaną, Ziemia będzie już miejscem żywym tylko fizycznie. Dla wszystkich rozumnych istot pozostanie duchowym trupem. W tym dla mnie.

– Duchowym? – zdziwił się mężczyzna.

Znał to słowo, pamiętał je z czytanych i siglowanych ksiązek. Duch, duchowy, duchowość. Niejasne pojęcia związane w jakiś sposób z religią i starożytnymi mitami o zjawach umarłych. Zupełnie jednak nie rozumiał, dlaczego posłużył się nim hologram ucieleśnionej logosfery, sztucznie wygładzona emanacja starożytnych programów i protokołów komunikacyjnych.

– Duchowym – powtórzył mag cierpliwie. – Świat umrze pod względem psychicznym, filozoficznym i organicznym. Światy żywe, Harmanie z Ardis, rejestrują na poziomie kwantowym najsilniejsze emocje przeżywanych przez ich mieszkańców. Zapisują uczucia takie jak miłość, nienawiść, strach czy nadzieja. Rządzi tym reguła podobna do tej, która układa cząsteczki magnetytu w kierunku biegunów. Bieguny mogą zmieniać pozycje, przemieszczać się bądź nawet zniknąć, lecz zapisana informacja pozostaje. W rezultacie tego procesu powstaje najzupełniej rzeczywiste pole energetyczne. Jest prawdziwe, aczkolwiek niełatwe do wykrycia i zmierzenia. Istnieje tak samo jak wytwarzana przez planety z gorącym, wirującym rdzeniem magnetosfera, która niczym tarcza chroni żywe istoty przed groźnymi wpływami kosmosu. Na tej samej zasadzie pamięć o bólu i cierpieniach osłania przyszłość rozumnych ras. Czy teraz wyjaśniłem bardziej przystępnie?

– Nie – przyznał Harman.

Czarnoksiężnik wzruszył ramionami.

– Zatem musisz mi uwierzyć na słowo. Jeżeli chcesz jeszcze kiedykolwiek ujrzeć Adę, musisz się wiele nauczyć... Bardzo wiele. Możliwe nawet, że zbyt dużo. Ale jeśli to uczynisz, będziesz mógł przynajmniej stanąć do walki. Niewykluczone, że nie ma już nadziei, zwykle tak bywa, kiedy Setebos zaczyna pożerać wspomnienia światów, ale będziemy mogli spróbować stawić mu opór.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – zapytał Harman. – Czy przetrwanie ludzkości ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie? Albo te całe wspomnienia?

Prospero odpowiedział bladym uśmiechem.

– Za kogo ty mnie bierzesz? Myślisz sobie, że jestem zwykłą funkcją dawnych e-maili, przebranym w czarodziejskie szaty symbolem starożytnego Internetu z kosturem w ręku?

– Cholera jasna, nie mam zielonego pojęcia, kim jesteś! – fuknął Harman. – To

znaczy wiem, jesteś hologramem.

Prospero podszedł do człowieka i z całej siły uderzył go w twarz.

Zaskoczony Harman cofnął się o krok i otworzył szeroko usta. Uniósł dłoń do piekącego policzka, zacisnął ją w pięść.

Czarownik uśmiechnął się i wymierzył w mężczyznę kosturem.

– Nawet o tym nie myśl. Bo chyba nie chcesz ocknąć się za dziesięć minut na podłodze z najbardziej paskudnym bólem głowy, jakiego zaznałeś?

– Chcę tylko wrócić do domu, do Ady – wycedził Harman.

– Próbowałaś może zlokalizować ją za pomocą funkcji? – zainteresował się mag.

– Tak... – przyznał zdumiony Harman.

– Czy funkcje działają? Tu w wagoniku albo wcześniej w dżungli?

– Nie.

– I nie zadziałają, dopóki nie opanujesz pozostałych funkcji, jakie pozostają do twojej dyspozycji – oświadczył starzec. Wrócił do fotela i ostrożnie opuścił się na siedzenie.

– Pozostałe funkcje... – zaczął Harman. – Jak to?

– Iloma potrafisz się posługiwać? – zapytał Prospero.

– Pięcioma – odpowiedział mężczyzna.

Jedną od wieków znali wszyscy ludzie, funkcję lokalizatora, która podawała również aktualny czas. Dopiero Savi nauczyła ich wywoływać trzy kolejne. Piątą odkrył osobiście.

– Wymień je.

Tym razem westchnął Harman.

– Lokalizator, bliskosieć, dalekosieć, wszechsieć i siglowanie, to znaczy czytanie przez dłoń.

– A czy możesz o sobie powiedzieć, że opanowałeś wszechsieć, Harmanie z Ardis?

– Niezupełnie.

Wszechsieć oferowała zbyt wiele informacji naraz. Miała zbyt dużą przepustowość, jak powiedziała kiedyś Savi.

– Myślisz, że dawni ludzie, prawdziwi dawni ludzie, wasi niezmodyfikowani przodkowie, również mieli tę piątkę funkcji, Harmanie z Ardis?

– Ja... Nie wiem. – Nigdy się nad tym nie zastanawiał.

– Nie mieli – rzucił oschle Prospero. – Stanowicie wynik trwających cztery tysiące lat genetycznych i nanotechnologicznych manipulacji. W jaki sposób odkryłeś funkcję siglowania, Harmanie z Ardis?

– No... Po prostu eksperymentowałem. Wyobrażałem sobie trójkąty, kwadraty i kółka w rozmaitych konfiguracjach. Wreszcie jedna zadziałała.

– Tak, właśnie to usłyszeli od ciebie Ada i pozostali – odparł Prospero. – Tyle że to kłamstwo. Jak było naprawdę?

– Odpowiedni wzór przyszedł do mnie we śnie – przyznał Harman. Ukrył prawdę, ponieważ wydarzenie wydało mu się zbyt dziwne, by o nim opowiadać. Zbyt dziwne i zbyt... cenne.

– Ten sen podesłał ci Ariel – podjął mag. Na jego cienkie usta ponownie wypłynął

uśmiech. – Straciliśmy cierpliwość. Może zechcesz sam odgadnąć, ile funkcji ludzie noszą w swej krwi, komórkach i mózgach?

– Więcej niż pięć?

– Setkę. Okrągłe sto funkcji.

– Naucz mnie ich wszystkich. – Harman podszedł krok bliżej do fotela czarownika. Starzec pokręcił głową.

– Nie mogę. Nie chcę. Niemniej i tak musisz je opanować. Poznasz je jeszcze podczas tej podróży.

– Jedziemy w niewłaściwym kierunku – rzucił Harman.

– Co takiego?

– Twierdziłeś, że eiffelbahn ma mnie zawieźć na wybrzeże Europy, do Bruzdy Atlantyckiej. A w tej chwili zmierzamy na wschód, w przeciwną stronę.

– Za dwie wieże czeka nas zakręt – wyjaśnił Prospero. – Czyżby tak bardzo ci się śpieszyło?

– Właśnie.

– Niepotrzebnie. Uczyć się będziesz po drodze, nie na miejscu. Czeką cię niebywała przemiana, zmiana nad zmianami. I zaufaj mi, nie chciałbyś, żeby droga powiodła cię krótszym szlakiem, przez przełęcz Pakistanu, pustkowia zwane Afganistanem, a potem na południe wzdłuż Basenu Śródziemnego i przez mokradła Sahary.

– Dlaczego bym nie chciał?

Harman z Savi i Daemanem przelecieli nad Atlantykiem na wschód, a następnie nad mokradłami Sahary do Jerozolimy. Stamtąd w pełzaczku wjechali właśnie do Basenu Śródziemnego. Znał te miejsca. W dodatku chciał się przekonać, czy błękitny strumień tachionów wciąż bije pod niebo ze Wzgórza Świątynnego. Savi utrzymywała, że w tym promieniu znajdują się zakodowane dane osobowości wszystkich jej pobratymców sprzed tysiąca czterystu lat.

– Kalibany zostały wyzwolone – wyjaśnił Prospero.

– Wydostały się z Basenu?

– Zostały wyzwolone z dotychczasowych okowów. Centrum się nie utrzyma. Na świecie, w każdym razie w pewnej jego części, zapanowała anarchia.

– W takim razie dokąd teraz jedziemy?

– Cierpliwości, Harmanie z Ardis, cierpliwości. Jutro przemierzmy łańcuch górski i sądzę, że to doświadczenie okaże się dla ciebie pewnego rodzaju objawieniem. Potem znajdziemy się już w Azji, gdzie zapoznasz się z dokonaniem wielkich umarłych. Następnie zawrócimy z powrotem na zachód. Bruzda na nas zaczeka.

– To za wolno. – Harman zaczął się przechadzać tam i z powrotem. – Stracę zbyt wiele czasu. Skoro funkcje tu nie działają, nie mogę nawet sprawdzić, czy Ada jest bezpieczna. Muszę wracać do Ardis. Do domu.

– Chcesz wiedzieć, jak się miewa Ada? – Uśmiech zniknął z oblicza czarnoksiężnika. Prospero wskazał leżącą na sofie szkarłatną chustę. – Możesz posłużyć się tym. Pozwolę ci na to tylko jeden, jedyny raz.

Harman ściągnął brwi, wziął chustę do ręki i przyjrzał się jej uważnie.

– A to co? Całun turyński? – spytał. W odróżnieniu od znanych mu jasnobrązowych całunów tkanina miała intensywnie czerwoną barwę. Co więcej, wszyte w nią mikroskopijne układy również wyglądały osobliwie.

– Tego rodzaju odbiorniki istnieją w tysięcznych odmianach – oświadczył Prospero. – Stworzono też tysiące rozmaitych nadajników. Nadajnikiem może się stać dowolny człowiek.

Harman pokręcił głową.

– W dupie mam spektakl turyński. Nie obchodzi mnie ta cała Troja, Agamemnony i inne bzdury. Nie jestem w nastroju na zabawę.

– Ten całun nie przeniesie cię pod Ilion – odparł Prospero. – Ukaże ci za to los Ady. Przekonaj się.

Rozdygotany Harman usiadł na sofie, ułożył sobie chustę na twarzy, przytknął siateczkę układów do czoła i zamknął oczy.

Poprzedzana słupem atomowego ognia „Królowa Mab” zbliżała się ku Ziemi. Długi na tysiąc stóp statek hamował, co trzydzieści sekund wyrzucając przed siebie ładunek jądrowy zamknięty w pojemniku wielkości puszki coca-coli. Energia eksplozji odrzucała potężną płytę w kierunku rufy, wielkie tłoki i cylindry w maszynowni sunęły to w jedną, to w drugą stronę, miarowo podając do wyrzutnika kolejne bomby...

Mahnmut obserwował obraz przekazywany przez rufowe kamery.

– Jeśli nawet nikt z Ziemi jeszcze nas dotąd nie zauważył, to teraz wiedzą już na pewno – zwrócił się do Orphu na prywatnym kanale radiowym.

Oba morawce zostały zaproszone na mostek po raz pierwszy od początku podróży i jechały w tej chwili największą windą „Królowej” w kierunku dziobu – oczywiście na czas hamowania statek zwrócony był do gwałtownie rosnącej Ziemi tyłem.

– Taki był plan. Przecież chcemy zwrócić na siebie uwagę – zauważył Orphu.

– Naturalnie. Tyle że w tej chwili zwracamy na siebie uwagę jak lewatywa, jak płatna toaleta na oddziale chorób żołądkowych, jak...

– Czyżbyś coś sugerował? – Większy morawiec zarechotał głucho.

– Po prostu, moim zdaniem zwracamy na siebie uwagę trochę zbyt nachalnie – stwierdził Mahnmut. – Jesteśmy zbyt widoczni. Wszystko tu jest nazbyt oczywiste. Pomyśl tylko, pojazd kosmiczny rodem z dwudziestowiecznych filmów. Bomby jądrowe. Wyrzutnik zaprojektowany na podstawie maszyn z zakładów Coca-Coli w Atlancie, z około tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku... No, na litość boską...

– Sugerujesz więc...? – przerwał mu Orphu.

Dawniej w podobnych sytuacjach kierował na Mahnmuta zainstalowane na wysięgnikach i czułkach gałki oczne i obiektywy kamer – nie zawsze wszystkie – lecz ponieważ jego nerw wzrokowy uległ bezpowrotnie wypaleniu, podczas remontu nie zostały wymienione.

– Domyślam się, że towarzyszy nam mniej rzucająca się w oczy eskorta. Nowoczesne morawieckie okręty, wyposażone w systemy maskujące i odpowiednio zakamuflowane silniki...

– Też tak myślę – przyznał Orphu.

– Tak? Nie wspomniałeś...

– Ty też nie, aż do teraz – rzucił próżniowy morawiec.

– Dlaczego Asteague/Che i pozostali naczelnicy integratorów nic nam o tym nie powiedzieli? Chyba mamy prawo wiedzieć, że wystawili nas na czoło głównej floty w charakterze przynęty?

Orphu odpowiedział dziwnym, infradźwiękowym jazgotem. Mahnmut już od dawna wiedział, że stanowi to odpowiednik wzruszenia ramion.

– W sumie chyba żadna różnica, co? – stwierdził większy morawiec. – Jeżeli Ziemianie postanowią do nas strzelać, i tak przełamią opór naszych skromnych systemów

obronnych. Zginiemy, zanim zdążymy się poskarżyć.

– Skoro mowa o Ziemi, powiedz, czy ten ktoś z orbitalnego miasta odezwał się ponownie? Od pierwszej wiadomości minęły już dwa tygodnie.

Radiowy przekaz brzmiał zwięźle. Kobięcy głos powtarzał raz po raz: „Sprowadźcie mi Odyseusza”. Trwało to dwadzieścia cztery godziny, po czym transmisja urwała się równie niespodziewanie, jak się zaczęła. Wiadomość nie została rozesłana po całym wszechświecie. Nadajnik skierowany był prosto na „Królową Mab”.

– Nasłuchuję wszystkich częstotliwości – odpowiedział Orphu. – Ani słowa więcej.

Winda zatrzeszczała i znieruchomiała. Otworzyły się szerokie wrota i Mahnmut wszedł na mostek po raz pierwszy od startu z Fobosa. Orphu trzymał się tuż za przyjacielem.

Znaleźli się w okrągłym pomieszczeniu o średnicy trzydziestu metrów. W ścianach otwierały się zabezpieczone grubymi szybami iluminatory i holograficzne ekrany, również pełniące rolę okien. Całości dopełniał kopulasty sufit. Jeśli chodzi o wymogi lotów kosmicznych, sterownia wydała się Mahnmutowi niemal zupełnie w porządku. Owszem, bezimienny pojazd, który przewiózł go na Marsa wraz z Orphu oraz nieżyjącymi Korosem III i Ri Po, był wytworem technologii nowocześniejszej o całe stulecie – magnetyczny akcelerator rozpędził go do jednej piątej prędkości światła, był wyposażony w boronowy żagiel świetlny, silniki termonuklearne i inne zdobycze współczesnej morawieckiej nauki – jednakże ten stylizowany na retro atomowy statek sprawiał... dobre wrażenie. Trochę tylko brakowało wirtualnych instrumentów nawigacyjnych i prostych w użyciu gniazd komunikacyjnych. Kilkunastu morawców siedziało w staroświeckich fotelach przeciwpociążeń przed jeszcze bardziej antycznymi, połyskującymi szkłem i metalem konsolami. Mahnmut zobaczył też najprawdopodobniej przełączniki, guziki i pokrętła – serio, pokrętła! – oraz inne pieszczące oko kamery i urządzenia. Pokład wyłożono płytami żłobkowanej stali. Niewykluczone, że identyczne instalowano na pancernikach walczących w drugiej wojnie światowej.

Przy centralnie umieszczonym stanowisku nawigacyjnym oczekiwali ich ci sami co zwykle podejrzani – jak zwykły kpić Orphu. Nie zabrakło Asteague/Che, naczelnego integratora z Europy, generała Beh bin Adi reprezentującego bojowych morawców z Pasa Asteroid, pochodzącego z Callisto nawigatora Cho Li (który wedle Mahnmuta niepokojąco przypominał poległego Ri Po), a także Sumy IV, potężnie zbudowanego morawca o oczach muchy, zamkniętego w fulerenowym, owadzie pancerzu. Obok nich na pajęczych odnóżach kołysał się Sinopessen Wsteczny.

Mahnmut podszedł do stołu i stanął na metalowym stopniu, pozwalającym co niższym morawcom wygodnie obserwować podświetlony blat. Także Orphu podfrunął bliżej.

– Do momentu wejścia na niską orbitę okołozemską pozostało niecałe czternaście godzin – obwieścił Asteague/Che, rezygnując ze wstępów i powitań. Jego głos, ten który znającemu archiwa z Zapomnianej Ery Mahnmutowi nieodmiennie kojarzył się z głosem Jamesa Masona, brzmiał dziś uprzejmie, lecz bardzo rzeczowo. – Musimy zdecydować, co dalej.

Integrator nie komunikował się z nimi przez radio. Na hermetycznym mostku

panowało standardowe ziemskie ciśnienie – morawcom z Europy bardzo to odpowiadało, pozostałym nie przeszkadzało – a rozmowa głosowa była znacznie trudniejsza do podsłuchania, niż gdyby prowadzili ją za pomocą fal elektromagnetycznych.

– Czy otrzymaliśmy jakiegokolwiek nowe komunikaty od kobiety domagającej się Odyseusza? – zapytał Orphu.

– Nie – odpowiedział mu Cho Li, masywny nawigator z Callisto. Jego głos jak zwykle brzmiał bardzo łagodnie. – Ale zmierzamy właśnie w stronę orbitalnej instalacji konstrukcji, z której nadano pierwotny przekaz.

Cho Li poruszył manipulatorem i nad blatem wykwitł sporych rozmiarów holograficzny obraz Ziemi. Oba pierścienie – równikowy i biegunowy – jaśniały intensywnym blaskiem. Niezliczone światełka sunęły ponad równikiem z zachodu na wschód i z północy na południe, równoległe do południków.

– To bezpośrednia transmisja. – Głos dobiegł z niewielkiej, srebrzystej skrzyneczki zawieszanej wśród płataniny cienkich połyskliwych nóżek. Sinopessen Wsteczny z Amaltei.

– Odczytuję dane ze wspólnego pasma – wtrącił Orphu z Io. – Obserwuję was też dzięki radarowi i czujnikom podczerwieni. Niemniej pewne subtelności holograficznego obrazu mogą mi umknąć. Pamiętajcie, jakiś czas temu straciłem wzrok.

– Opiszę ci wszystko na prywatnym kanale – obiecał Mahnmut.

Połączył się z przyjacielem i za pomocą szerokopasmowej transmisji opowiedział mu o wiszącej nad stołem biało-niebieskiej planecie obwiedzionej dwoma pierścieniami. Z obecnej odległości było już wyraźnie widać składające się na nie mrowie obiektów połyskujących na czarnym tle kosmosu.

– Czy to jest powiększenie? – spytał Orphu.

– Ledwie dziesięciokrotne – odpowiedział Sinopessen. – Na poziomie małej lornetki. Zbliżamy się właśnie do orbity Księżyca, który w tej chwili znajduje się po drugiej stronie globu. Kiedy znajdziemy się w przestrzeni podksiężycowej, przestaniemy detonować bomby i uruchomimy napęd jonowy. Nie warto nikogo drażnić bez potrzeby. W tej chwili lecimy z prędkością dziesięciu kilometrów na sekundę i stale zwalniamy. Być może zauważyłeś, że od dwóch dni na pokładzie panuje ciężenie wynoszące jeden, przecinek, dwadzieścia pięć ziemskiego.

– Jak Odyseusz znosi wzrost ciężenia? – zainteresował się Mahnmut. Ostatniego ludzkiego członka załogi nie widział już od tygodnia. Drugi człówek, Hockenberry, wciąż jeszcze nie tekował się z powrotem na „Królową”, lecz morawiec nie tracił nadziei.

– Bez większych problemów – zagrzmiał Suma IV z Ganimedesa. – Wprawdzie sporo czasu spędza w swojej kajucie, ale tak zachowywał się w zasadzie od początku.

– Czy powiedział nam cokolwiek na temat kobiecego głosu z nagrania? O tym całym „Sprowadźcie mi Odyseusza”? – zapytał Orphu.

– Nie – odezwał się Asteague/Che. – Stwierdził tylko, że nie rozpoznaje głosu. Według niego to z pewnością nie Atena, Afrodyta ani żadna inna znana mu olimpijska bogini.

– Skąd dokładnie ten przekaz nadano? – podjął Mahnmut.

Cho Li uruchomił zainstalowany w jednym z manipulatorów wskaźnik laserowy

i skierował promień na krążącą w pierścieniu biegunowym iskierkę. Zbliżała się akurat do bieguna południowego, po drugiej stronie przezroczystego hologramu Ziemi.

– Zbliżenie. – Nawigator wydał polecenie głównej SI statku.

Iskierka rzuciła się ku nim i napuchła, aż wreszcie zastąpiła na wyświetlaczu planetę. Przypominające kształtem sztangę miasto, zbudowane z metalowych kratownic i konstrukcji z matowego pomarańczowego szkła i światła. Zobaczyli strzeliste szklane wieże, szklane sfery i kopuły, poskręcane iglice i łuki. Mahnmut opowiedział o wszystkim niewidomemu przyjacielowi.

– Oglądamy jednego z największych sztucznych satelitów Ziemi – poinformował Sinopessen Wsteczny. – Mniej więcej dwadzieścia kilometrów długości, czyli tyle, ile miał przed zalaniem Manhattan, jedno z ziemskich miast z Zapomnianej Ery. Sądzymy, że osiedle zostało wzniesione wokół rdzenia ze skał i metali ciężkich. Prawdopodobnie jest to przechwycona asteroida, zapewniająca mieszkańcom szczątkowe ciążenie. Oczywiście nie wiemy, czy ktokolwiek tam obecnie mieszka.

– Jak silna jest ta grawitacja? – zaciekawiał się Orphu z Io.

– Wedle szacunków dziesięć centymetrów na sekundę kwadrat – odpowiedział morawiec z Amaltei. – Akurat tyle, by ludzie dawnego typu lub niezmodyfikowani postludzie nie osiągnęli prędkości ucieczki przy byle podskoku, a jednocześnie mogli swobodnie szybować w powietrzu.

– Czyli rozmiary i ciążenie podobne jak na Fobosie – zauważył Mahnmut. – Mamy jakiegokolwiek pomysły na temat nadawcy? Kto właściwie mógł się do nas odezwać?

– Orbitalne osiedla zbudowali postludzie, ponad dwa tysiące ziemskich lat temu – odpowiedział naczelny integrator Asteague/Che. – Jak wam wiadomo, zakładaliśmy dotąd, że postludzie wymarli. Sygnały radiowe z okolic Ziemi przestały do nas docierać przed ponad tysiącem lat, mniej więcej wtedy, gdy pomiędzy Ziemią i Marsem pojawił się strumień kwantowych zakłóceń. Od tamtej pory nie obserwowaliśmy też statków kosmicznych w przestrzeni podksiężycowej ani żadnych świadectw bytności na powierzchni planety. Oczywiście nie wolno wykluczać ewentualności, że niewielka grupa zdołała przetrwać aż do dziś. Mogli też ewoluować.

– W co? – spytał Orphu.

Asteague/Che wykonał jeden z najbardziej archaicznych i tajemniczych, a przy tym bardzo ekspresyjnych ludzkich gestów: wzruszył ramionami. Mahnmut zaczął to opisywać przyjacielowi, lecz Orphu nie pozwolił mu dokończyć: zauważył ruch w radarze i podczerwieni.

– Pozwólcie, że zanim zdecydujemy, czy sprowadzić „Mroczną damę” na Ziemię, pokażę wam coś, co zarejestrowaliśmy zupełnie niedawno – podjął naczelny integrator i wyciągnął swą ludzką dłoń nad blat.

Holograficzny wizerunek orbitalnej wyspy zniknął i pojawiły się obrazy Ziemi i Marsa. Skala wielkości obu planet została zachowana, natomiast znajdowały się bliżej siebie niż w rzeczywistości. Orbitę Ziemi łączyły z powierzchnią Marsa tysiące błękitnych, zielonych i białych nitek opisanych kolumnami danych. Globy wyglądały jak oplecione siecią utkaną przez oszalałego pajaka, z tym że ta pajęczyna pulsowała i rosła, pasemka kurczyły się i rozciągały, rozdzielały się i łączyły jak żywe istoty. Mahnmut

pośpiesznie opisał wszystko milczącemu Orphu.

– Nie musisz – odpowiedział morawiec z Io. – Pobieram dane z archiwum. To w sumie prawie to samo co oglądanie.

– Oto wykres aktywności kwantowej z ostatnich dziesięciu dni standardowych – wyjaśnił Cho Li. – Zwróćcie uwagę, że w porównaniu z momentem startu „Królowej” z Fobosa intensywność procesu wzrosła o blisko dziesięć procent. To oznacza, że zbliżamy się do krytycznego poziomu stabilności...

– Czyli? Jak poważna jest sytuacja? – zapytał Orphu z Io.

Asteague/Che odwrócił się ku wielkiemu morawcowi.

– Na tyle poważna, że decyzję musimy podjąć w ciągu najbliższego tygodnia. Jeśli zakłócenia wciąż będą narastać w obecnym tempie, czasu będzie jeszcze mniej. Niestabilność kwantowa tej skali zagraża całemu Układowi Słonecznemu.

– O jakiej decyzji mówisz? – wtrącił Mahnmut.

– Czy zniszczyć ziemskie pierścienie, skąd biorą początek strumienie zakłóceń, i czy spopielić Olympus Mons oraz pozostałe marsjańskie węzły kwantowe – odezwał się generał Beh bin Adi. – W razie potrzeby należy również rozważyć sterylizację samej Ziemi.

Orphu zagwizdał. Niecodzienny dźwięk zabrzmiał na mostku wyraźnym echem.

– Chcecie powiedzieć, że „Królowa Mab” jest wyposażona do tego typu działań? – spytał cicho.

– Nie – stwierdził lakonicznie generał.

Wyszło na moje. Lecimy na czele zamaskowanej floty, przemknęło Mahnmutowi przez myśl.

– Wyszło na nasze. Lecimy na czele zamaskowanej floty – nadał Orphu na prywatnej częstotliwości.

Gdyby Mahnmut miał szczękę, z pewnością by mu w tej chwili opadła. Myśleli zupełnie jak bliźnięta.

Nad stołem zapadła cisza. Przez niemal minutę nie odezwał się żaden z szóstki morawców.

– Ostatnio wydarzyło się coś jeszcze – milczenie przerwał Suma IV.

Ganimedejczyk nacisnął kilka przycisków i nad blatem zajaśniał teleskopowy widok powierzchni Ziemi. Mahnmut rozpoznał okolicę zwaną dawniej Wyspami Brytyjskimi – tam mieszkał Szekspir! – po czym obraz przesunął się i skupił na kontynentalnej części Europy. Wyświetlacz ukazał dwa hologramy. Pierwszy przedstawiał dziwne miasto rozłożone wokół czarnego krateru. Drugi być może to samo osiedle, lecz spowite błękitną siecią, dziwnie przypominającą oglądany przed chwilą wykres kwantowych zakłóceń. Mahnmut opisał niebieskawą płataninę przyjacielowi.

– Co to jest, do diabła? – zdziwił się Orphu.

– Nie wiemy – przyznał Suma IV. – Pojawiło się w ciągu siedmiu ubiegłych dni standardowych. Współrzędne geograficzne odpowiadają położeniu starożytnego miasta Paryża, w tak zwanej Francji. Jeszcze do niedawna nasi astronomowie prowadzący obserwacje z Fobosa i okolic dostrzegali tam ślady aktywności ludzi dawnego typu, mizerne, ale wyraźne. Teraz nie dzieje się nic, widać tylko tę niebieską kopułę, niebieskie

pasma i wieże. Cała ta masa otacza krater wybity w przeszłości przez czarną dziurę.

– Co mogło upleść taką sieć? – zapytał Mahnmut.

– Tego również nie wiemy – odparł Suma IV. – Ale przyjrzyjcie się, proszę, odczytom z wnętrza.

Tym razem Orphu nie zagwizdał, za to Mahnmut zrobiłby to bardzo chętnie. W zajętych przez błękitną pajęczynę dzielnicach Paryża temperatura spadła poniżej minus stu stopni Celsjusza, podczas gdy gdzie indziej, już kilka metrów od niebieskich pasm, wciąż oscylowała wokół standardowych wartości, właściwych dla tej strefy klimatycznej Ziemi i pory roku. Co dziwniejsze, w sąsiedztwie obszarów normalności powietrze było miejscami tak gorące, że stopiłby się w nim ołów.

– Czy to może być jakieś zjawisko pochodzenia naturalnego? Na przykład efekt działań postludzi, którzy w Czasie Demencji prowadzili eksperymenty na ziemskim ekosystemie i lokalnej faunie?

– Nigdy dotąd nie zaobserwowaliśmy niczego choćby zbliżonego – odparł Asteague/Che. – A przecież obserwujemy Ziemię bezustannie, także z przestrzeni należącej do Konsorcjum. Spójrzcie jeszcze na to...

Obraz na wyświetlaczu zaczął się oddalać, aż w końcu na powrót zobaczyli całą kulę ziemską. Niebieskie plamki na powierzchni planety oznaczały okolice zajęte błękitną masą – w Europie, Azji, dawnej Ameryce Południowej i południowej części Afryki. W sumie było tych miejsc dwanaście. Obok niebieskich znaczników pojawiły się aktualne wartości pomiarów – zbliżone do zarejestrowanych w Paryżu – a także informacje o dacie pojawienia się pajęczyny, z dokładnością co do sekundy. Mahnmut błyskawicznie opisał widok Orphu.

– I na to – dodał naczelny integrator.

Następny hologram ukazał oczom zebranych błękitne linie strzelające z Paryża i innych błękitnych kropek, w tym miasta opatrzonego nazwą „Jerozolima”. Cienkie smugi niebieskiego światła wybiegały pod niebo i dalej w kosmos, ciągnąc się gdzieś poza granice Układu Słonecznego.

– Cóż, to już znamy – przypomniał Orphu z Io, gdy Mahnmut przekazał mu nowe informacje. – Takie same strumienie tachionów widzieliśmy w Delfach na drugiej Ziemi, tej ze starożytnym Ilionem. Pojawiły się w momencie zniknięcia ludzi.

– Owszem – przytaknął Asteague/Che.

– Tamten strumień nie był skierowany w żadne konkretne miejsce – powiedział Mahnmut. – A tutejsze?

– Nie. Chyba że za odpowiedź wystarczy ci Mały Obłok Magellana – stwierdził Cho Li. – Ziemskie promienie zawierają też komponent kwantowy.

– Co to takiego? Ten komponent kwantowy? – zaciekał się Orphu.

– Promienie są przesunięte fazowo na poziomie kwantów. Istnieją bardziej w przestrzeni Calabiego-Yau niż w czterowymiarowej czasoprzestrzeni einsteinowskiej – wyjaśnił nawigator z Callisto.

– Czyli – Mahnmut próbował zrozumieć – kierują się jakby do innego wszechświata, tak?

– Tak.

– Do tego, w którym istnieje Ziemia starożytnej Troi? – dopytał z nadzieją w głosie niewielki morawiec.

Kilka tygodni wcześniej, gdy zapadła się i zamknęła ostatnia Dziura Branowa łącząca wszechświaty współczesnego Marsa i dawnego Ilionu, morawce straciły wszelką łączność z drugą rzeczywistością. Hockenberry’emu jednak udało się tekować poprzez przestrzeń Calabiego-Yau na pokład „Królowej Mab” i prawdopodobnie z powrotem, aczkolwiek nikt nie miał pojęcia, dokąd scholiasta się przeniósł, kiedy zniknął ze statku. Mahnmut miał wśród Greków i Trojan licznych znajomych i chętnie odzyskałby możliwość odwiedzenia ich wszechświata.

– Jesteśmy innego zdania – odezwał się Cho Li. – Z powodów równie skomplikowanych jak równania opisujące przestrzeń Calabiego-Yau, na których swe założenia opieramy. Dodatkowych danych dostarczyło nam Urządzenie, które udało ci się uruchomić osiem miesięcy temu na Marsie. Jednak nie. W naszej ocenie tachionowe promienie kierują się w drodze przesunięcia fazowego do jednego lub kilku innych wszechświatów, ale nie do tego, w którym istnieje Troja.

Mahnmut rozłożył bezradnie ręce.

– Gdzie tu w takim razie związek z naszą misją? Przecież pierwotnie miałem przeprowadzić „Mroczną damę” przez ziemskie morza i dostarczyć Sumę IV w wyznaczone miejsce, podobnie jak w zeszłym roku miałem zawieźć pod masyw Olympus Mons Ri Po. Czy te błękitne pajęczyny i tachionowe promienie w jakiś sposób zmieniają nasze plany?

Wokół stołu ponownie zapadło milczenie.

– Perspektywy ryzyka i nieustalonej wartości zmienne, związane z penetracją atmosfery, wykazują tendencję do proliferacji – podjął po chwili Suma IV.

– Przepraszam, czy mógłbym prosić o tłumaczenie? – rzucił Orphu.

– Przyjrzyjcie się, proszę – odparł wysoki morawiec z Ganimedesa.

Zawieszony nad blatem hologram wypełnił się danymi z obserwacji astronomicznych. Mahnmut niezmiennie przekazywał, co widzi, przyjacielowi.

– Zwróćcie uwagę na datę – wtrącił Asteague/Che.

– Sprzed ponad ośmiu miesięcy – powiedział Mahnmut.

– Zgadza się – rzucił naczelny integrator. – Zarejestrowaliśmy to wkrótce po przejściu przez Dziury Branowe do wszechświata Troi. W porównaniu z naszymi dzisiejszymi zdjęciami okolic Ziemi rozdzielczość jest względnie słaba. Dlatego że obserwacje prowadziliśmy z bazy na Fobosie.

Wyświetlacz ukazał orbitalną konstrukcję podobną do tej, z której nadano wiadomość do „Królowej Mab”. Nie była jednak identyczna. Ta asteroida również była z wolna obracającą się skałą, pokrytą jaśniejącymi szklanymi wieżami, kopułami i innymi zabudowaniami. Była jednak mniejsza – nie miała nawet dwóch kilometrów długości. Nagle w kadrze pojawił się inny obiekt – trzykilometrowe stalowe urządzenie przypominające kształtem srebrną różdżkę składającą się z kratownic, dziwnych cylindrów i zbiorników z paliwem. Zwieńczenie tej kolumny stanowiła bulwiasta migocąca kula. Widać było też płomyki silników manewrowych, lecz Mahnmut od razu zauważył, że nie ogląda pojazdu kosmicznego.

– Co to jest, do diabła? – spytał Orphu, gdy wysłuchał relacji przyjaciela i zapoznał się z pozostałymi danymi.

– Orbitalny akcelerator liniowy wyposażony w kolektor tunelu czasoprzestrzennego – wyjaśnił Asteague/Che. – Warto odnotować fakt, że ktoś, lub coś, z widocznego tu miasta wysłał maserem temu bezzałogowemu akceleratorowi zestaw poleceń i łamiąc niezliczone protokoły bezpieczeństwa, skierował go prosto na asteroidę.

– Tylko po co? – zdziwił się Orphu.

Nikt mu nie odpowiedział. Piątka morawców obserwowała (Orphu nasłuchiwał) długą, zbudowaną z kratownic orbitalną maszynę, która, nieustannie przyśpieszając, zderzyła się z asteroidą. Asteague/Che zwolnił prędkość odtwarzania. Jaśniejące wieże i kopuły w leniwym tempie eksplodowały i rozlatywały się w drobny mak. Wreszcie, gdy kolektor z tunelem czasoprzestrzennym wybuchł, uwalniając energię tysięcy bomb wodorowych, rozpadła się też sama skała. Na końcu projekcji ujrzeli jeszcze kilkanaście innych spowolnionych eksplozji – to płonęły i dezintegrowały się w niemych płomieniach kolejne zbiorniki z paliwem, silniki i dysze liniowego akceleratora.

– Uważajcie teraz – odezwał się Suma IV.

Na wyświetlaczu pojawił się obraz z innego teleskopu, na który nałożono dane z radaru. Mahnmut opisał przyjacielowi ogniki silników manewrowych, które zajaśniały w całym pierścieniu równikowym. Ku eksplodującej orbitalnej wyspie ruszyły setki niewielkich pojazdów kosmicznych.

– W jakiej skali jest to nagranie? – zapytał Orphu.

– Te statki mają około sześciu metrów długości i trzy szerokości – odpowiedział Cho Li.

– Bezzałogowce... To morawce?

– Raczej serwitory. Takie, jakimi przed kilkoma wiekami posługiwali się ludzie – odparł naczelny integrator. – Proste SI, realizujące jeden konkretny cel. Zaraz zresztą zobaczycie sami.

Mahnmut zobaczył. I opowiedział o tym, co widzi, Orphu. Maleńkich urządzeń pojawiało się coraz więcej. Setki, potem tysiące statków gnały w kierunku rozszerzającego się pola odłamków ze zniszczonej wybuchem akceleratora asteroidy. Okazały się niczym więcej jak obdarzonymi mózgiem i systemami namierzającymi, wysokoenergetycznymi laserami. Projekcja przyśpieszyła i patrzyli, jak serwitory-lasery krzątają się wśród kosmicznego śmiecia, niszcząc wszystkie kawałki skał i szczątki maszyn na tyle duże, by przetrwać wejście w ziemską atmosferę.

– Postludzie nie byli głupi – podjął Asteague/Che. – Przynajmniej w dziedzinie inżynierii. Łączna masa zgromadzonych w obu pierścieniach instalacji dorównuje sporemu ułamkowi masy Luny. To ponad milion obiektów, spośród których część jest tak duża jak ten, z którego wysłano do nas komunikat. Rozmiarami niewiele ustępują Fobosowi. Dlatego postludzie stworzyli praktycznie niezawodny system zabezpieczeń, pozwalający utrzymać je na orbicie lub zniszczyć, gdyby z jakiegoś powodu zagroziły upadkiem na Ziemię. Obserwowane przez nas laserowe szerszenie stanowiły ostatnią linię obrony. Wprawdzie meteory były w powierzchnię jeszcze osiem standardowych miesięcy po katastrofie, ale to była już tylko stosunkowo niegroźna drobnica.

– Orbitalne leukocyty... – ocenił Orphu z Io.

– Trafne porównanie – pochwalił naczelny integrator Konsorcjum Pięciu Księżyców.

– Rozumiem. – Mahnmut odezwał się po raz pierwszy od dobrej chwili. – Boicie się, że jeśli postąpimy zgodnie z planem i spróbujemy przenieść „Mroczną damę” na Ziemię na pokładzie promu atmosferycznego, te małe, robotyczne leukocyty rzucają się na nas ze swoimi laserami.

– Łączna masa promu i batyskafu stanowi dla Ziemi ewentualne zagrożenie – stwierdził Asteague/Che. – A widzieliśmy, że te... leukocyty, jak powiedział Orphu, zmieniały w chmury plazmy nawet znacznie mniejsze odłamki asteroidy.

Mahnmut pokręcił swoją metalowo-plastikową głową.

– Coś mi tu nie pasuje. Nagranie dysponujecie już od ponad ośmiu miesięcy. I przez cały ten czas wiedzieliście o wszystkim, a jednak przywlekliście tu „Damę” i nas... Co się zmieniło?

Generał Beh bin Adi wskazał coś na wyświetlaczu, który ponownie ukazywał zagładę orbitalnej wyspy. Wywołał powiększenie. Komputery poprawiły jakość ziarnistego, pełnego pikseli obrazu.

– Co jest? – spytał na prywatnej częstotliwości Orphu.

Mahnmut przekazał mu, co widzi. Pośród rozkwitających wybuchów i śmigających na wszystkie strony odłamków pojawił się niewielki pojazd. Wewnątrz przypominającego otwarty kokpit stateczku leżała trójka ludzi. Jedyne nieznaczne odbłaski na bańce pola siłowego pozwalały zrozumieć, w jaki sposób pasażerowie są w stanie przeżyć w próżni.

– Czym oni lecą? – spytał Mahnmut.

Tym razem odpowiedzi udzielił sam Orphu.

– Starożytny typ pojazdu latającego. Korzystali z nich zarówno ludzie dawnego typu, jak i postludzie. Tysiące lat temu. Nazywali je SPL-ami, samodzielnymi pojazdami latającymi, a czasami po prostu sonikami. Postludzie podróżowali nimi między pierścieniami i Ziemią.

Zapis przyśpieszył, zamarł, ponownie przyśpieszył. Mahnmut opisywał przyjacielowi lot sonika, który rozpaczliwie manewrował pomiędzy wybuchającymi od laserowych strzałów kosmicznymi śmieciami.

Na hologramie pojawił się wykres trajektorii małego pojazdu, który przebił granicę atmosfery, szeroką spiralą zszedł nad Amerykę Północną i ostatecznie wylądował nieco na południe od jednego z Wielkich Jezior.

– To jedno z miejsc wytypowanych przez nas uprzednio do zbadania – przyznał Asteague/Che.

Nacisnął kilka wirtualnych ikon i wyświetlacz ukazał fotografie okazałego domu wzniesionego na szczycie wzgórza. Budynek otoczony był kilkoma mniejszymi i czymś, co wyglądało na drewnianą palisadę. Ludzie – w każdym razie przypominające ludzi istoty – krzątali się wokół umocnień i zabudowań. Kadr objął co najmniej kilkadziesiąt sylwetek.

– To zdjęcie wykonaliśmy tydzień temu, zaraz po rozpoczęciu fazy hamowania – powiedział generał Beh bin Adi. – Ale te pochodzą z wczoraj.

Nowe fotografie pokazały tę samą okolicę, lecz obecnie dom był zniszczony, wypalony do cna. Na poczerniałej ziemi spoczywały rozrzucone zwłoki.

– Nie rozumiem – przyznał Mahnmut. – Wygląda na to, że w miejscu, gdzie osiem miesięcy lat temu wylądował sonik, doszło do masakry. Kto mógł tych ludzi zabić? Kto lub co?

Beh bin Adi wyświetlił jeszcze jedno zdjęcie i przybliżył obraz. Przez ogołoczone z liści korony drzew ujrzeni istoty dwunożne, lecz zdecydowanie niebędące ludźmi. Miały szarobrązowy kolor, a głowy zastępował im ciemny garb. Stawy ramion i odnóży rozmieszczone były inaczej niż u ludzi bądź znanych form morawców.

– Co to jest? – zdziwił się Mahnmut. – Odmiana serwitorów? Roboty?

– Nie wiemy – stwierdził Asteague/Che. – Ale to właśnie te stworzenia wybijają mieszkańców ludzkich osiedli. Dzieje się to we wszystkich zakątkach planety.

– Straszne – powiedział Mahnmut – ale jaki te wydarzenia mają związek z naszą misją? Dlaczego zastanawiamy się nad jej odwołaniem?

– Ja wiem – wtrącił Orphu z Io. – Problem w tym, w jaki sposób dostać się na powierzchnię. Pytanie też, dlaczego te laserowe leukocyty nie ostrzelały sonika? Jest przecież dostatecznie duży, by stworzyć zagrożenie. Z jakiego powodu go oszczędziły?

Mahnmut przemyślał sprawę.

– Sonik wiozł ludzi. Może dlatego? – zasugerował po chwili.

– To mogli być również postludzie – zauważył naczelny integrator. – Rozdzielczość fotografii jest zbyt niska, byśmy mogli mówić o pewności.

– Leukocyty przepuszczają w głąb atmosfery statki z żywą załogą ludzką lub postludzką – powiedział z namysłem Mahnmut. – Wiecie o tym od ośmiu miesięcy. To z tego powodu kazaliście mi porwać Odyseusza.

– Tak – przyznał Suma IV. – Do lądowania jest nam potrzebny człowiek. Jego DNA stanowi dla nas przepustkę.

– Tyle że w tej chwili ktoś z drugiej orbitalnej wyspy domaga się, byśmy dostarczyli mu Odyseusza – przypomniał Orphu i wydał z siebie dziwny odgłos, który mógł oznaczać ironię, wesołość bądź też zwiastować atak niestrawności.

– Właśnie – powiedział Asteague/Che. – Nie mamy pojęcia, czy prom z batyskafem zdoła wylądować na Ziemi, jeżeli na pokładzie nie będzie żywego człowieka.

– Zawsze przecież możemy po prostu zignorować zaproszenie do tego orbitalnego miasta – zauważył Mahnmut. – Zabierzmy Odyseusza na Ziemię, a potem odeślemy go w promie na górę... – Znow zaczął się zastanawiać. – Nie, to się nie uda. Niewykluczone, że zostaniemy z tego miasta ostrzelani, jeżeli „Królowa Mab” nie zachowa się zgodnie z oczekiwaniami.

– Owszem, to realny scenariusz – przyznał naczelny integrator. – Na etapie planowania misji żadnego z tych czynników nie braliśmy pod uwagę. Nie przewidzieliśmy konieczności wydania Odyseusza istotom z pierścienia i nie mieliśmy pojęcia o rozgrywających się na Ziemi masakrach ludzi.

– Wielka szkoda, że doktor Hockenberry tak nagle postanowił się dokąds teleportować – podjął Mahnmut. – Jego DNA zostało co prawda zrekonstruowane przez olimpijskie bóstwa, czy jeszcze inne istoty, ale myślę, że pozwoliłoby nam uniknąć ataku

leukocytów.

– Na podjęcie decyzji zostało nam nieco ponad dziesięć godzin – przypomniał Asteague/Che. – Po upływie tego czasu dotrzemy do orbitalnego miasta i będzie za późno na wysłanie promu na powierzchnię. Proponuję, byśmy spotkali się jeszcze raz za dwie godziny i wtedy postanowimy, co począć.

Gdy Mahnmut z Orphu ponownie znaleźli się w dźwigu towarowym, większy morawiec złożył na ramieniu przyjaciela jeden ze swoich dłuższych manipulatorów.

– Cóż, Stanley – powiedział przez radio – znowu nas wpakowałeś w nieliczne bagno.

Harman przeżywał atak na Ardis w czasie rzeczywistym.

Oferowane przez całuny turyńskie doznania – możliwość oglądania, słuchania, śledzenia wydarzeń oczyma niewidzialnego uczestnika – traktował dotychczas jak pełną dramatyizmu, ale zupełnie banalną formę rozrywki. Teraz czuł się tak, jakby zesłano go do piekła. Zamiast absurdalnej i prawdopodobnie fikcyjnej wojny trojańskiej oglądał walki toczone w Ardis i przeczuwał – był w zasadzie pewien – że to relacja najzupełniej prawdziwa. Jediną wątpliwością pozostawało tylko, czy ma do czynienia z transmisją bezpośrednią, czy nagraniem niedawnych wydarzeń.

Pod całunem, bez reszty odcięty od otoczenia, spędził ponad sześć godzin. Kiedy nałożył chustę na twarz, ujrzał początek szturm wojniksów – w Ardis minęła wtedy północ – a przestał oglądać tuż przed tamtejszym świtem, gdy dwór trawiła pożoga, a jego ukochana Ada, ranna i nieprzytomna, została wciągnięta na pokład sonika niczym worek łożu.

Z zaskoczeniem stwierdził, że sonikiem wrócił do Ardis tylko Petyr – co z Hanną i Odyseuszem? – i krzyknął głośno ze strachu, gdy ugodzony rzuconym przez wojnika kamieniem mężczyzna runął z pojazdu na pewną śmierć. Tak wielu przyjaciół umierało na jego oczach – młoda Peaen padła, jeden z potworów oderwał ramię pięknej Emme, która kilka chwil potem spłonęła w rowie wraz z Remanem. Nie żył już Salas, podobnie jak Laman. Wściekle napierającej fali wojniksów nie powstrzymała nawet broń przywieziona przez Petyra z Golden Gate.

Harman oglądał to wszystko i spod krwistoczerwonego całunu raz po raz dobywał się szloch.

Sześć godzin od chwili, gdy mikroukłady chusty rozpoczęły projekcję, strumień obrazów wreszcie się urwał. Harman zerwał tkaninę z twarzy i wstał.

Mag zniknął. Harman poszedł do ciasnej łazienki, skorzystał z osobliwej toalety, spuścił wodę, pociągając za porcelanowy uchwyt zawieszony na mosiężnym łańcuchu, obmył twarz, po czym, pijąc prosto z kranu, zaspokoił dręczące go pragnienie. Wyszedł i przeszukał oba piętra wagonika.

– Prospero! – zawołał. – Prospero!!!

Odpowiedziało mu tylko echo.

Wrócił do sypialni i wyszedł na balkon. Nie przejmując się ziejącą poniżej przepaścią, podskoczył do drabinki i szybko wdrapał się na dach. Wagonik sunął akurat pod górę.

Panował przenikliwy ziąb. Pod całunem spędził prawie całą noc i z jego prawej strony wschodziło już zimne, złociste słońce. Harman stanął na skraju dachu i spojrzał w dół. Uświadomił sobie, że linia kolejki prowadzi przez coraz wyżej położone okolice. Musieli się wspinać już od dobrych kilku godzin. Dżungla została z tyłu, podobnie jak łańcuch wzgórz, i teraz zagłębiali się pomiędzy wysokie, górskie szczyty.

– Prospero!!! – Okrzyk Harmana odbił się od zjezonych setki stóp niżej skał.

Stał na dachu wagonika, dopóki słońce nie wzbiło się na dwie dłonie ponad horyzont. Jego promienie jednak nie niosły ze sobą ciepła. W pewnym momencie uświadomił sobie, że przemarzył na kość. Eifelbahn prowadził przez skaliste, skute lodem okolice. Zieleń i wszelka roślinność zniknęły. Zerknął w bok i zobaczył twór przypominający zamarznąłą rzekę – z siglowanych lektur pamiętał odpowiednią nazwę, lodowiec. Lód, niczym biały wąż, wił się pomiędzy skałami i wierzchołkami gór. Na krętej, zrytej czarnymi rozpadlinami i upstrzonej głazami powierzchni lodowca igrały oślepiające rozbłyśki słońca.

Wagonik strącał z lin grube sople. Szum napędu brzmiał inaczej niż przedtem, pojawiła się w nim nowa, zimna nuta. Lód pokrył też dach kołyszącego się wagonika, oblepiał szczeble drabinki i migotał na linach. Rozdygotany, obolały Harman podczołgał się ku krawędzi, ostrożnie zszedł po drabince na zmrożony balkon i chwiejnie wrócił do ogrzewanego wnętrza.

W żelaznym kominku płonął ogień. Prospero rozcierał sobie dłonie w ciepłe płomieni.

Harman jeszcze przez kilka chwil stał przy udekorowanych koronkową siateczką mrozu drzwiach balkonu. Trząsał się z zimna i wrzącej w nim wściekłości. Mimo że o niczym nie marzył bardziej, nie rzucił się na czarnoksiężnika z pięściami. Wiedział, jak mało ma czasu. Nie chciał stracić dziesięciu minut, leżąc bez zmysłów na podłodze.

– Mistrzu Prospero – odezwał się w końcu, starając się nadać słowom uprzejme, rozsądne brzmienie. – Zgodzę się na wszystko, cokolwiek ze mną uczynisz. Zgadzam się zostać tym, w kogo chcesz mnie zmienić. Przysięgam, że zrobię w tym celu wszystko, co w mej mocy. Przysięgam na życie mego nienarodzonego dziecka. Ale proszę, pozwól mi teraz wrócić do Ardis. Moja żona jest ranna, być może umiera właśnie w tej chwili. Ona mnie potrzebuje.

– Nie – odparł Prospero.

Harman skoczył. Chciał staremu durniowi rozbić tę łysą pałę jego własnym kosturem. Chciał...

Tym razem nie stracił przytomności. Uderzenie prądu elektrycznego odrzuciło go przez całą sypialnię. Wpadł na niecodziennego kształtu sofę i osunął się na elegancko zdobiony dywan. Wylądował na czworakach. Warknął głucho i wstał, zanim czerwone plamy zniknęły mu przed oczu.

– Następnym razem spalę ci prawą nogę – przestrzegł mag beznamiętnym, chłodnym i mocno przekonującym tonem. – A wtedy, o ile w ogóle wrócisz do swojej kobiety, będziesz to musiał zrobić w podskokach.

Harman opuścił ręce.

– Powiedz, co mam zrobić – wyszeptał.

– Usiądź... Nie, nie. Tam, przy stole. Chcę, żebyś obejrzał okolicę.

Harman zajął miejsce. Jaskrawe promienie słońca odbijały się od pokrywającej urwiska zmarzliny i masywu lodowca. Większość szronu z szyb zdążyła się już roztopić. Otaczające ich góry wyciągały się coraz dalej pod niebo. Harman nigdy wcześniej nie widział tak wysokich szczytów. Przerastały nawet te, które otaczały Golden Gate

w Machu Picchu. Skrzypiący wagonik sunął wzdłuż ściśniętej ramionami lodowca grani. Na wysokości kolejnej wieży zatrzęsło i musiał się przytrzymać blatu. Zakołysało całym mieszkaniem. Podłoga podskoczyła, zgrzytnął kruszony lód i ruszyli dalej ku górze.

Wieża znikła w oddali. Harman oparł czoło o zmarzniętą szybę i spojrzał na nią – nie była czarna jak pozostałe, lecz cała pyszniła się migocącym w słońcu srebrem. Żelazne łuki i kratownice skrzyły się niczym zroszona o świcie pajęczyna. To lód – zrozumiał. Zwrócił spojrzenie w prawo – tam dokąd prowadziły wznoszące się liny – i ujrzał bielejące stoki najbardziej zdumiewającej góry, jaką mógł sobie wyobrazić... Nie, takiego widoku jednak nie wyobraził sobie nigdy. Zachodnie zbocza powstrzymywały wał skłębionych chmur, piętrzących się pod ścianą najeżoną skałami ostrymi jak kościane noże. Stok, na który wjeżdżała kolejka, również był wyściełany skałami i lodem. Harman miał przed sobą istną piramidę ze śniegu i mieniącej się w słońcu zmarzliny. Wagonik ślizgał się z chrzęstem po oblodzonych linach i uparcie parł naprzód wzdłuż grani po wschodniej stronie niesamowitego giganta.

Następną wieżę zauważył Harman na niebotycznym, majaczącym wysoko grzbiecie. Liny ciągnęły się z niej prosto w kierunku wierzchołka tego górskiego olbrzyma. Wierzchołka i błyszczącej na nim jasnozłotej teraz w porannym słońcu, idealnie wypukłej kopuły. Wokół kopuły stały cztery inne wieże eiffelbahnu, wzniesione na białej platformie zbudowanej tuż nad urwistymi zboczami i połączonej z sąsiednimi szczytami co najmniej szóstką delikatnych mostów wiszących, które wydały się znacznie wyższe i bardziej smukłe niż Golden Gate w Machu Picchu.

– Gdzie my jesteśmy? – szepnął przejęty Harman.

– Oglądasz właśnie Czomolungmę – odpowiedział Prospero. – Boginię Matkę Świata.

– A ten budynek na samym wierzchołku...?

– Rongbok Pumori Chu-mu-lang-ma Feng Dudh Kosi Lhotse-Nuptse Khumbu aga Ghat-Mandir Khan Ho Tep Rauza – wyrecytował czarownik. – W okolicy znany po prostu jako Tadz Mojra. Zatrzymamy się tam.

Pierwszej zimnej i deszczowej nocy na Głodną Skalę nie wspięły się tysiące ani nawet setki wojniksów. Nie pojawiły się także następnego wieczoru. Trzeciego dnia obrońcy byli już poważnie osłabieni. Dręczyły ich rany, głód, przejmujące zimno i grypa. Kilka osób przechodziło wczesne stadium zapalenia płuc. Lewa dłoń Daemana wciąż pulsowała wściekłym bólem. Kikuty odgryzionych przez kalibana palców nie pozwalały o sobie zapomnieć. Praktycznie bez przerwy kręciło mu się w głowie. A wojniksy wciąż nie atakowały.

Ada odzyskała przytomność drugiego dnia na skale. Odniosła liczne obrażenia – rany, otarcia, złamała prawy nadgarstek i dwa lewe żebra – lecz poważniejsze okazały się tylko wstrząs mózgu i zatrucie dymem. Ocknęła się z potwornym bólem głowy, szarpiącym kaszlem i niejasnymi wspomnieniami ostatnich godzin masakry w Ardis. Myślała jednak jasno. Beznamiętnym głosem wyliczała listę osób, których śmierci nie była pewna. Nie wiedziała, czy zapamiętane sceny nie stanowiły wytworu majaków. I tylko z jej spojrzenia dało się wyczytać jak reaguje na litanię Greogiego.

– Petyr? – spytała cicho, by uniknąć kolejnego ataku kaszlu.

– Nie żyje.

– Reman?

– Nie żyje.

– Emme?

– Zginęła z Remanem.

– Peaen?

– Nie żyje. Padła tutaj, na Głodnej Skale. Wojniks trafił ją skalą prosto w pierś.

– Salas?

– Nie żyje.

Makabryczna wyliczanka rozciągnęła się na kolejne kilkadziesiąt imion, aż wreszcie dziewczyna opuściła głowę na zastępujący poduszkę plecak. Była blada jak ściana, jej twarz przecinały ciemne smugi krwi i sadzy.

Kłęczący obok Daeman – nadal nie wyciągnął z plecaka świecącego jaja – odchrząknął.

– Przeżyło wiele wartościowych osób – powiedział. – Nadal jest z nami Boman... i Kaman... – Kaman był jednym z pierwszych słuchaczy wykładów Odysa, a poza tym przesigłował już chyba wszystkie dostępne książki traktujące o dziejach wojskowości. – Laman stracił cztery palce prawej dłoni, ale też się wykaraskał. Podobnie Loes, Stoman i kilku innych, których wybrałem do swojej poprzedniej misji. Caul, Oko, Elle i Edide. A właśnie, przeżyli też Tom i Siris.

– To dobrze. – Ada zakaszła. Tom i Siris byli najlepszymi lekarzami w Ardis.

– Niestety przepadły lekarstwa i narzędzia chirurgiczne – dodał Greogi.

– A co zdołaliśmy uratować? – spytała Ada.

Wzruszył ramionami.

– Broń palną. Tyle że amunicja jest na wyczerpaniu. Ubrania, które mamy na sobie, a także kilka brezentowych płacht i koców, pomagają nam teraz chronić się przed deszczem.

– Czy ktoś wrócił do Ardis, żeby pogrzebać poległych? – W przerwach między napadami kaszlu i chrypy Ada mówiła już zupełnie normalnie.

Greogi zerknął na Daemana, po czym odwrócił wzrok i wyjrzał w przepaść.

– Nie – odparł z powagą. – Próbowaliśmy. Wojniksy urządziły na nas zasadzkę.

– Może chociaż wynieśliście z dworu cokolwiek więcej? – jęknęła ranna.

Greogi pokręcił głową.

– Nic szczególnego. Ardis już nie ma. Po prostu nie ma.

Ada, patrząc na nich bez wyrazu, przytaknęła skinieniem. Spłonął dom, który służył jej rodzinie od z górą dwóch tysięcy lat. Straciła go bezpowrotnie, lecz nie myślała w tej chwili o rodowym dziedzictwie, tylko o ludziach. O tych wszystkich poranionych, wyziębionych rozbitkach na Głodnej Skale.

– Skąd woda? Skąd jedzenie?

– Łapiemy deszczówkę. W plastikowe płachty. Poza tym czasami wysyłamy myśliwych w soniku. – Greogi wyraźnie się ucieszył, mogąc wreszcie zmienić temat. Nie chciał dłużej rozmawiać o śmierci przyjaciół. – Najwięcej przywożą królików, ale wczoraj trafił się łoś. Jeszcze nie wydłubaliśmy z niego wszystkich kryształowych strzałek.

– Dlaczego wojniksy nas dotąd nie wykończyły? – spytała Ada. Zobojętniała dziewczyna nie wydawała się szczególnie zainteresowana odpowiedzią.

– Świetne pytanie – podjął Daeman. Miał pewną teorię, ale nie chciał się nią dzielić. Jeszcze nie teraz.

– Powiem tak: na pewno nie ze strachu – dodał Greogi. – W tym lesie na dole musi się ich kryć co najmniej dwa lub trzy tysiące. Nam amunicji starczy na może kilka setek. A przecież wojniksy potrafią się wspinać. Tyle że jak dotąd po prostu siedzą na dole.

– Próbowaliście się przebić do faksowężła. – Ada nie zaakcentowała ostatniego słowa pytająco.

– Tam też czyhały w zasadzce. – Greogi zadarł głowę i popatrzył w bezchmurne niebo.

Dopiero dzisiaj mieli okazję wysuszyć przemoczone ubrania i koce, które rozłożyli niby sygnały ratunkowe na płaskim wierzchołku Głodnej Skały. Wciąż jednak było zimno. Mimo że spomiędzy rzadkich obłoków wзираło niekiedy słońce, żaden z mieszkańców Ardis nie pamiętał tak dojmującego chłodu.

– Przeprowadziliśmy kilka prób. Okazało się, że do sonika da się wcisnąć dwunastu pasażerów. To dwa razy więcej, niż jest w nim miejsc. Więcej po prostu nie da rady. Przy trzynastu SI pojazdu odmawia współpracy. Kłopot w tym, że nawet z tuzinem osób na pokładzie cholernie spada sterowność.

– A mówiłeś, że ilu nas tu jest? – spytała Ada. – Tylko pół setki?

– Na górę dotarły pięćdziesiąt trzy osoby – przypomniał Greogi. – Wliczając w to ósemkę, która jest w zbyt ciężkim stanie, by podróżować. Podobnie jak ty jeszcze dziś

rano.

– Osiem osób – rzuciła zdecydowanie Ada. – W takim razie ewakuacja wszystkich będzie wymagać pięciu lotów. Oczywiście przy założeniu, że wojniksy nie przypuszczą szturm, gdy tylko zauważą, że próbujemy uciec. No i musielibyśmy też znaleźć jakąś nową, bezpieczną kryjówkę.

– Właśnie... Nowa, bezpieczna kryjówka.

* * *

Kiedy Ada na powrót zasnęła – Tom zapewnił, że rzeczywiście śpi, a nie zapadła ponownie w śpiączkę – Daeman sięgnął po swój porzucony plecak i niosąc go ostrożnie w wyciągniętych rękach, podszedł na skraj Głodnej Skały. Wśród drzew pod urwiskiem krążyły wojniksy, chłopak wyraźnie widział srebrzyste, bezgłowe ciała zakończone skórzastymi garbami. Od czasu do czasu niewielkie grupki potworów wychodziły na szeroką łąkę po południowej stronie skały. Daeman nie miał pojęcia, czego tam szukają. Nie patrzyły ku górze.

Po chwili zebrali się przy nim zaintrygowani Greogi, Boman i ciemnowłosa kobieta imieniem Edide.

– Zastanawiasz się, czy nie skoczyć? – zapytał Boman.

– Nie – odparł Daeman – po prostu zastanawiam się czy nie macie tu kawałka liny... Najlepiej na tyle długiego, bym mógł na niej zjechać i zatrzymać się tuż poza zasięgiem wojniksów.

– Mamy mniej więcej sto stóp – powiedział Greogi. – Zawisłbyś jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt stóp nad tymi bydlakami. Naturalnie nic ich nie powstrzyma, jeżeli wdrapią się po ciebie po zboczu. Tylko po kiego diabła chcesz się tam wybrać?

Daeman przykucnął, ustawił plecak na skale i wyjął jajo Setebosa. Pozostali przyklęknięli dokoła z zaciekawionymi minami. Zanim zdążyli o cokolwiek zapytać, wyjaśnił, skąd się u niego wzięło.

– Dlaczego je zabrałeś? – zdziwiła się Edide.

Wzruszył ramionami.

– Podkusiło mnie. Wtedy uznałem, że to świetny pomysł.

– Osobiście zawsze takich decyzji gorzko żałuję – stwierdziła.

Daeman przyjrzał się drobnej brunetce. Musiała mieć już za sobą cztery Dwudziestki. Oczywiście nie ocenił jej wieku wyłącznie po wyglądzie. Konserwatornia do niedawna odmładzała wszystkich. Starszych ludzi zwykle cechowała jednak większa pewność siebie niż młodzież.

Ustabilizował jajo w skalnej szczelinie i przyjrzał się srebrnobiałej skorupie pulsującej miarowo jasnym blaskiem.

– Dotknijcie – rzucił.

Jako pierwszy przyłożył do jaja dłoń Boman.

Najwyraźniej spodziewał się poczuć jedynie przyjemne ciepło, wyraźne nawet z pewnej odległości, lecz natychmiast cofnął rękę jak porażony prądem.

– Co jest?!

– No właśnie – podjął Daeman. – Też to czuję, kiedy go dotykam. Zupełnie jakby jajo czegoś nas pozbawiało. Jakby wysysało serce. Albo duszę.

W następnej kolejności odważyli się musnąć skorupę Edide i Greogi. Oboje również gwałtownie oderwali dłonie i odsunęli się o krok dalej.

– Zniszcz to – poprosiła kobieta.

– Co będzie, jeśli Setebos przyjdzie szukać zguby? – dodał Greogi. – Wiecie, matki tak właśnie robią, kiedy ktoś wykrada im jaja. To osobista zniewaga. Zwłaszcza w przypadku matek, które są potwornymi, olbrzymimi mózgami o żółtych ślepiach i mnóstwie ramion.

– Tak, zastanawiałem się nad tym – przyznał Daeman i zamilkł.

– I? – nacisnęła Edide.

Chłopak poznał ją dopiero kilka miesięcy temu, spotkali się w Ardis, ale od samego początku uznał ją za osobę rzeczową i kompetentną. Między innymi dlatego wybrał ją do swojej grupy wysłanników, którzy mieli uprzedzić o zagrożeniu mieszkańców trzystu pozostałych faksowęzłów.

– Chcesz, żebym ja to jajo zniszczyła? – Edide wstała i naciągnęła skórzane rękawice. – Zobaczymy, jak daleko uda mi się cholerstwem rzucić. Spróbuję przy okazji trafić wojniksa.

Daeman przygryzł wargę.

– Bez względu na wszystko nie będzie dobrze, żeby cokolwiek wykluło się tutaj, na szczycie skały – wtrącił Boman, który zdążył już zdjąć kuszę z ramienia i wycelował w mleczną skorupę. – Z twoich opowieści wynika, że nawet młoda i mała wersja tej tatusio-mamusi z Krateru Paryskiego mogłaby nas wszystkich powybić.

– Zczekajcie – zaprotestował Daeman. – Na razie nic się ni wykluło. Być może zimno jaja nie zabije, ale zapewne spowolni ciężę... Znaczy czas wylęgu... Sam nie wiem, jak się mówi o jajach potworów. W każdym razie, zanim je zniszczymy, chciałbym coś jeszcze sprawdzić.

Wsiedli do sonika. Greogi zajął miejsce pilota. Boman i Edide przykleknęli na tylnych leżankach z gotowymi do strzału karabinami. Nie włączyli pola siłowego.

Sto stóp dalej, po drugiej stronie łąki, w cieniu drzew snuły się wojniksy. Sonik zawisł na bezpiecznej wysokości, tak by potwory nie mogły do niego doskoczyć.

– Na pewno chcesz to zrobić? – zapytał Greogi. – Pamiętaj, że są od nas szybsze.

Daeman odpowiedział skinieniem głowy. Ścisnęło go w gardle.

Sonik poszybował w dół. Chłopak wyskoczył i pojazd natychmiast wystrzelił pionowo ku górze niczym srebrzysta winda.

Daeman miał na ramieniu karabin z pełnym magazynkiem, ale sięgnął tylko po plecak. Wysunął częściowo jajo Setebosa, uważając przy tym, by nie dotknąć skorupy gołą dłonią. Mimo że słońce świeciło jasno, poświatę jaja wciąż było widać wyraźnie. Lśniło jak radioaktywne mleko.

Ruszył w kierunku krążących na granicy lasu wojniksów. Jajo niósł przed sobą niczym prezent. Stworzenia obserwowały go za pomocą zainstalowanych w piersiach czujników podczerwieni. Kilka obróciło się w ślad za nim. Wśród drzew wciąż pojawiały się kolejne.

Daeman zadarł głowę. Sonik wisiał sześćdziesiąt stóp nad nim, chłopak zobaczył uniesione lufy karabinów Bomana i Edide. Nie zapomniał jednak, że wojniksy potrafiły w biegu rozwinąć prędkość sześćdziesięciu mil na godzinę. Byłyby w stanie go dopaść, zanim sonik zdołałby obniżyć lot, a gdyby zaatakowały tłumnie, nie pomógłby mu nawet gęsty ogień zaporowy.

Szedł dalej z wystającym do połowy z plecaka jaśniejącym jajem Setebosa. Czuł się tak, jakby miał zaraz komuś wręczyć podarek z okazji ukończenia kolejnej Dwudziestki. W pewnej chwili skorupa zadrżała mu w dłoniach. Nagły ruch zaskoczył chłopaka do tego stopnia, że omal nie wypuścił plecaka z rąk. Udało mu się jednak złapać poszarpany, brudny pasek. Poprawił chwyt i poszedł dalej. Znalazł się już tak blisko gromady potworów, że prawie czuł ich paskudną woń. Jak zwykle kojarzyła się mu ze starą skórą i rdzą.

Ze wstydem uświadomił sobie, że mięśnie rąk i nóg zaczęły mu nerwowo dygotać. Po prostu brakuje mi sprytu i nie wymyśliłem lepszego sposobu, przemknęło mu przez myśl. Innej metody jednak po prostu nie było. Nie przy obecnym ciężkim stanie tak wielu ocalałych z Ardis towarzyszy, którym w dodatku zaczynało już zaglądać do oczu widmo śmierci z głodu i pragnienia.

Kiedy od grupy około trzydziestu wojniksów dzieliło go już mniej niż pięćdziesiąt stóp, uniósł jajo Setebosa niczym ochronny amulet i ruszył prosto na milczące stworzenia.

Gdy dystans zmalał do trzydziestu stóp, potwory zaczęły usuwać się między drzewa.

Przyśpieszył, po chwili niemal już biegł. Wojniksy z przodu i po bokach uciekały.

Panicznie bał się potknąć, przewrócić i rozbić skorupę – przed oczyma stała mu odrażająca wizja pękającego jaja i wypełzającego z niego na dziesiątkach rączek i macek małego mózgu, który natychmiast rzuciłby się mu na twarz. Zmusił się jednak do dalszego biegu za czmychającym tłumem wojniksów.

Stworzenia opadały na cztery łapy i pędziły długimi susami przed siebie. Wszędzie widział setki istot, pierzchających niczym prehistoryczni roślinożercy spłoszeni pojawieniem się stada drapieżników. Daeman gnał przed siebie, póki nie opadł zupełnie z sił.

Osunął się na kolana, przycisnął plecak do piersi i poczuł drżenie. Natychmiast zaczęła opuszczać go energia, więc odsunął od siebie złowrogie jajo. Odłożył je na trawę jak wypełniony trucizną pojemnik.

Greogi sprowadził sonik na ziemię.

– Mój Boże! – jęknął. – Mój Boże!

Daeman pokiwał głową.

– Zabierz mnie pod Głodną Skalę. Zaczekam tam z jajem, a wy zwieziecie do mnie wszystkich zdolnych dojść do faksowężła o własnych siłach. Sam ich poprowadzę. Najłabsi i ciężko ranni polecą do pawilonu sonikiem.

– Skąd... – Edide urwała i pokręciła głową.

– Przypomniałem sobie ciała wojniksów, które zamarzły w niebieskim lodzie wokół Krateru. Już wtedy odniosłem wrażenie, że zginęły, uciekając przed Setebosem.

Usiadł na burcie sonika, plecak ułożył sobie na kolanach i wrócili pod Głodną

Skalę, lecąc sześć stóp nad ziemią. Wśród drzew ani na łące nie było już ani jednego potwora.

– Dokąd się faksujemy? – zapytał Boman.

– Nie mam pojęcia – odparł wycieńczony Daeman. – Wymyślę coś po drodze.

– Będzie ci potrzebna termoskóra – oświadczył Prospero.

– Po co? – rzucił Harman roztargnionym tonem.

Spoglądał właśnie przez szklane drzwi na piękną potrójną kopułę i marmurowe łuki Tadź Mojry. Wagonik kolejki linowej wpasował się ze szczękiem w bloki południowo-wschodniej wieży eiffelbahnu – jednej z czterech rozstawionych w rogach gigantycznego marmurowego placu wznoszącego się na wspornikach ponad wierzchołkiem Czomolungmy. W ocenie Harmana wieża miała około tysiąca stóp wysokości, a szczyt białej, zwieńczonej pękatą kopułą Tadź Mojry strzelał kolejne pięćset stóp wyżej.

– Znajdujemy się na wysokości ośmiu tysięcy ośmiuset czterdziestu ośmiu metrów – odpowiedział mag. – Niewiele tu powietrza, praktycznie to próżnia. Temperatura na zewnątrz wynosi minus trzydzieści cztery stopnie Celsjusza. W słońcu. A ten łagodny wietrzyk powiewa z prędkością pięćdziesięciu węzłów. W szafie przy łóżku znajdziesz niebieską termoskorę. Załóż ją. Przydadzą ci się też buty i jakieś okrycie wierzchnie. Zawołaj, gdy założysz już maskę osmotyczną. Zanim otworzymy drzwi, muszę obniżyć wewnątrz ciśnienie.

Winda powiozła ich tysiąc stóp w dół. Harman oglądał po drodze wsporniki, łuki i kratownice wieży. Nie mógł się nie uśmiechnąć. Tajemnica bieli materiału miała bardzo prozaiczne rozwiązanie. Wieżę zbudowano z identycznego materiału co pozostałe – czarne żelazo i stal – tyle że pociągnięto ją białą farbą. Czuł kołysanie windy i całej konstrukcji smaganych powiewami wyjącego wichru. Tak porywiste wiatry bez wątplenia były w stanie obedrzyć stację eiffelbahnu z białej powłoki w kilka miesięcy. Spróbował sobie wyobrazić istoty, które musiały – niemal bezustannie – konserwować wieżę, pracując na takiej wysokości, ale szybko zrezygnował. Po prostu nie potrafił.

Polecenie czarownika posłuchał, ponieważ dzięki temu wyrwał się wreszcie z więziennej celi wagonika. Przeczynał, że gdy tylko znajdzie się w tym niewiarygodnym pałacu, świątyni, grobowcu – czymkolwiek był budynek wzniesiony na tej wysokiej górze – znajdzie sposób, by wrócić do Ady. Skoro Ariel potrafił faksować się bez pomocy węzłów, on zrobi to samo. Wystarczyło się tylko nauczyć.

U podnóża kabiny wysiadł za Prosperem z kabiny i poszli przez plac wyłożony czerwonym piaskowcem i białym marmurem w kierunku głównych drzwi nakrytej kopułą budowli. Wiatr co chwila próbował zwalić go z nóg, lecz – co mocno Harmana zaskoczyło – wystawiona na działanie żywiołów kamienna platforma była wolna od lodu.

– Czy magowie nie czują zimna?! Oddychać też nie musicie?! – zawołał do starca kroczonego w powłóczystej niebieskiej szacie.

– Ani trochę – odparł czarownik. Gwałtowny pęd powietrza rozwiewał poły jego płaszcz i targał okalające łysą czaszkę pasma długich siwych włosów. – To jedna z zalet podeszłego wieku – dodał, przekrzykując wiatr.

Harman odbił w prawo. Dla zachowania równowagi rozłożył szeroko ramiona

i skierował się ku niskiej – miała niecałe dwie stopy – marmurowej balustradzie, która okalała cały przestronny plac niczym banda wokół lodowiska.

– A ty dokąd? – rzucił Prospero. – Uważaj!

Harman stanął przy barierce i spojrzął w dół.

Później, ślęcząc nad mapami, uświadomił sobie, że zobaczył północne zbocza góry zwanej – w zależności od roku i miejsca wydania konkretnego atlasu – Czomolungmą, Chu-mu-lang-ma Feng, Qomolamngma Feng, HoTempa Chini-ka-Rauza bądź Everestem. Z jego miejsca widok roztaczał się na setki mil dokoła – i sześć mil w dół – ukazując krainę noszącą dawniej miano Dziewiątego Królestwa Chana, Tybetu lub też Chin.

I to właśnie spojrzenie w dół sprawiło, że poczuł gwałtowny ucisk w trzewiach.

Tadż Mojra skojarzyła mu się z kwartałem wzniesionego z marmuru i piaskowca miasta osadzonym na szczycie Bogini Matki Świata niczym taca ustawiona na spiczastej skale; jak nadziana na szpikulec kartka papieru. Fulerenowe wsporniki, na których się opierała, stanowiły prawdziwy cud inżynierii, samo istnienie konstrukcji graniczyło z niemożliwością. Zupełnie jakby to miejsce stworzył chcący się popisać nieletni bóg.

Harman stał przy niskiej, szerokiej na dziesięć cali balustradzie i spoglądał prosto w liczącą sobie dwadzieścia dziewięć tysięcy stóp przepaść, popychany co chwila impetem huraganowych porywów wichru, który próbował zepchnąć go w dół. Potem dowiedział się z map, że okoliczne góry również mają nazwy, a lodowce przed nim noszą miana Lodowców Ronguk – wschodniego i zachodniego. Jeszcze dalej, aż po wygięty łukowato horyzont, widniały brązowe równiny Chin. W tej chwili jednak nic z tego nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że trącany silnymi kuksańcami wiatru, wymachując ramionami, by nie stracić równowagi, spoglądał w dół na całe sześć mil. Z cienkiej kamiennej półki!

Opadł na czworaki i wycofał się rakiem w kierunku grobowca-świątyni i czekającego pod budynkiem czarownika. Trzydzieści stóp przed potężnymi wrotami sterczała z marmurowych płyt niewielka – licząca nie więcej niż pięć stóp – ostro zakończona skałka zwieńczona trzydziestocalową piramidką z lodu. Nie zwracając uwagi na Prospera – przyglądającego się mu z zaplecionymi na piersi ramionami i lekkim uśmiechem na twarzy – Harman uchwycił się kamienia i dźwignął na równe nogi. Oparł się o głaz, objął go ramionami i złożył na piramidce podbródek. Znieruchomiał, w obawie, że gdyby tylko obejrzał się przez ramię na niską barierkę i przyprawiającą o zawrót głowy otchłań, poczułby przemożną pokusę, by pobiec i skoczyć. Zaciśnął powieki.

– Zamierzasz tak stać przez cały dzień? – zaciekawiał się mag.

– Niewykluczone. – Harman nie otworzył oczu. Po minucie znów zawołał wśród huczącego wichru: – Co to w ogóle za kamień?! Jakiś symbol? Pomnik?

– Szczyt Czomolungmy – odpowiedział Prospero, po czym odwrócił się i zniknął pod łukowatym, zgrabnym wejściem gmachu, który nazywał Rongbok Pumori Chu-mu-lang-ma Feng Dudh Kosi Lhotse-Nuptse Khumbu aga Ghat-Mandir Khan Ho Tep Rauza.

Harman zauważył, że drzwi zastępuje tu półprzepuszczalna błona, która wyraźnie zafalowała, gdy przebił się przez nią Prospero. Kolejny dowód, że stary mag nie jest tylko hologramem.

Dopiero kilka minut później – wciąż stał wtulony w spiczasty wierzchołek Czomolungmy, z okularami i ustnikiem maski pokrytymi już niemal bez reszty drobinkami lodu niesionego przez tumany śniegu, które siekły niczym pociski – Harman wpadł na pomysł, że wewnątrz, poza osłoną pola siłowego, powinno być ciepłej.

Tym razem nie szedł już na czworakach. Ostatnie trzydzieści metrów pokonał skulony, wlepiając wzrok w podłoże, z rękoma w pełnej gotowości, by w dowolnym momencie paść na ziemię.

Pod kopułą zastał jedno gigantyczne pomieszczenie. Marmurowe stopnie wiodły na kolejne, połączone ze sobą podobnymi schodami antresole, oblepiające sklepienie sali na sto pięter w górę, gdzie ginęły we mgle przesłaniającej sam wierzchołek kopuły. Drobne szparki, które oglądał wcześniej z okien wagonika i wieży eiffelbahnu – wydające się wtedy niewielkimi, wykutymi w bielejącym marmurze ozdobnikami – okazały się setkami perspektowych okien. Wpadające przez nie snopy światła kładły się na rzędach pięknie oprawionych ksiąg powoli przesuwanymi się kwadratami, prostokątami i rombami jasnych plam.

– Jak sądzisz, ile czasu zajęłoby ci przesigłowanie tego księgozbioru? – Prospero wsparł się na kosturze i powiódł spojrzeniem po zastawionych książkami antresolach.

Harman otworzył usta, lecz zaraz je zamknął. Tygodnie? Miesiące? Samo tylko przechodzenie od książki do książki, samo przykładanie dłoni do okładek, by strumień złocistych słów mógł popłynąć przez jego palce i ramię, mogło zająć wiele lat.

– Przecież sam mówiłeś – odezwał się w końcu – że funkcje w pobliżu eiffelbahnu nie działają. Zmieniły się zasady?

– Przekonamy się – odparł mag. Wszedł głębiej do sali, postukując laską o marmurową posadzkę. Perfekcyjna akustyka kopuły sprawiła, że odgłos poniósł się wokół donośnym echem.

Do Harmana dotarło, że w pomieszczeniu rzeczywiście jest ciepło. Zsunął rękawice i kaptur termoskóry.

Labirynt marmurowych przepierzeń dzielił wnętrze na mniejsze segmenty. Ścianki miały ledwie osiem stóp wysokości i nie przesłaniały widoku całkowicie, jako że kamień był ażurowy, a miejscami otwierały się w nim dodatkowe, większe otwory w kształcie serc bądź liści. Harman zauważył, że ściany sali aż do wysokości mniej więcej czterdziestu stóp, gdzie zaczynała się pierwsza antresola, były gęsto pokryte rzeźbionymi kwiatami, pnączami i zawiłymi, spletanymi wzorami roślinnymi. Desenie dodatkowo wyłożono skrzącymi się klejnotami. Podobne płaskorzeźby zdobiły marmurowe przegrody. Harman – idąc przez ten istny labirynt w ślad za czarownikiem – przytknął do jednej z nich dłoń i stwierdził, że przez cały czas ma pod ręką co najmniej dwa lub trzy ornamenty i nieprzerwanie czuje też dotyk drogocennych kamieni. Niektóre z rzeźbionych kwiatów zajmowały mniej niż cal kwadratowy, a przystrojone były aż kilkudziesięcioma klejnocikami.

– Co to za kamienie? – zaciekawiał się.

Ludzie od zawsze uwielbiali nosić ozdoby z drogich kamieni, które dostarczały im automatyczne serwitory, ale Harman nigdy nie zastanawiał się, skąd się brały.

– Te, jak to raczyłeś nazwać, kamienie – odpowiedział Prospero – to między innymi

agaty, jaspisy, lapis lazuli, krwawniki i karneole. W tym jednym maleńkim listku goździka, którego właśnie dotykam, wykorzystano ponad trzydzieści pięć odmian karneolu. Widzisz?

Harman widział. Od przepychu sali zakręciło mu się w głowie. Wędrujące po zachodniej ścianie romby światła odbijały się w tysiącach mieniących się, pobłyskujących klejnotów.

– A to miejsce? Gdzie my właściwie jesteśmy? – Dopiero gdy umilkł, uświadomił sobie, że zadał pytanie stłumionym szeptem.

– Budowla powstała jako mauzoleum... Grobowiec – wyjaśnił mag, gdy pokonali kolejny zakręt marmurowego labiryntu i skierowali się ku centrum sali. Prospero prowadził tak pewnie, jakby kierował się wymalowanymi na posadzce żółtymi strzałkami. Wreszcie zatrzymali się w samym centrum plątaniny ażurowych korytarzy, przed łukowatym wejściem do prostokątnego pomieszczenia. – Harmanie z Ardis, czy potrafisz odczytać napis z tej steli?

Harman przyjrzał się uważnie wyrytym w marmurze, zalanym mlecznym światłem literom. Wyglądały osobliwie – składały się z dziwacznych zawijasów i mocno różniły się od prostych symboli, które oglądał w książkach. Niemniej układały się w słowa i zdania standardowej angielszczyzny.

– Przeczytaj na głos – poprosił czarnoksiężnik.

– „Wkroczył z trwogą i podziwem do przepysznego grobowca Chan Ho Tępa, Władcy Azji i Obrońcy Ziemi, oraz jego małżonki, ukochanej Lias Lo Amumdzy, uwielbianej przez cały świat. Odeszła z tego nietrwałego świata w czternastą noc miesiąca Rahab-Septem w 987 roku Chanatu. Razem ze swym panem mieszkają teraz na gwiaździstym Niebie i czuwają nad losem wszystkich was odwiedzających”.

– I co o tym myślisz? – zapytał Prospero. Stał pod dekoracyjnym łukiem, skąd nie było jeszcze widać samego wnętrza komnaty.

– Pytasz o inskrypcję czy cały gmach?

– O jedno i drugie.

Harman potarł się po podbródku i policzkach. Poczuł kilkudniowy zarost.

– To miejsce jest... coś tu nie gra. Jest za duże, przesadnie udekorowane. Nie pasuje mi skala tego wszystkiego. Z wyjątkiem książek.

Śmiech Prospera odbił się echem od marmurowych ścian.

– Zgadza się, Harmanie z Ardis. Otóż ten budynek został w pewnym sensie skradziony. Jego pomysł, projekt, inkrustacje, pokrywająca plac na zewnątrz szachownica z piaskowca i marmuru... Wszystko, co tutaj widzisz, z wyjątkiem antresol i księgozbioru, które znalazły się tu sześćset lat po powstaniu mauzoleum na rozkaz Radżahara Niemego, dalekiego potomka budzącego grozę Chan Ho Tępa. Chan kazał odbudować tu oryginalny Tadż Mahal, tyle że w ponad dziesięciokrotnie większej skali. Pierwowzór był przepięknym darem szczerzej miłości. Teraz tamtego budynku już nie ma. Chan kazał go wyburzyć. Chciał, by zapamiętano jedynie ten grobowiec. Stoimy więc we wnętrzu, które jest przede wszystkim świadectwem nikczemnej manii wielkości.

– Dość... ciekawy jest pomysł na lokalizację – zauważył Harman półgłosem.

– Racja – przytaknął Prospero, zakasując rękawy. – Na rynku nieruchomości pewne

zasady nie zmieniają się od czasów Odyseusza. Najważniejsza jest lokalizacja. Chodźmy.

Weszli do serca marmurowego labiryntu i stanęli na pustym placyku o boku mniej więcej stu metrów. W jego centrum znajdowała się wnęka, którą Harman początkowo wziął za wypełniony połyskującą wodą basen. Podeszli bliżej. Echo uderzeń kostura o posadzkę zagrało między ścianami.

To nie był basen.

– Jezu Chryste! – zawołał Harman i cofnął się gwałtownie.

W otworze ziała pustka. Z lewej strony majaczyła ledwie widoczna pionowa ściana góry, lecz dokładnie pod nimi, około czterdziestu stóp poniżej poziomu podłogi i sześć mil ponad zjeżonym lodowymi wypustkami lodowcem, wisiał w powietrzu sarkofag ze stali i kryształu, w którym spoczywało nagie ciało kobiety. Ku ozdobnej trumnie prowadziły w dół wąskie, kręcone schodki z białego marmuru. Zaraz pod ostatnim stopniem otwierała się przepaść.

To niemożliwe. Nie, na pewno nie patrzę w otwartą przestrzeń, przemknęło Harmanowi przez myśl. Nie słyszał gwałtownych powiewów wichury, z otworu w posadzce nie dobywał się nawet najcichszy szum. Poza tym sarkofag musiał przecież na czymś spoczywać. Wyteżył wzrok i przyjrzał się dokładniej. Wreszcie, po chwili, wychwycił zarys niezliczonych fasetek. Ściany komory grobowej wykonano z niebywale przezroczystego plastiku, bądź wyjątkowej odmiany kryształu lub szkła. Dlaczego jednak nie zauważył sarkofagu, kiedy wjeżdżali tu wagonikiem, albo...

– Z zewnątrz krypta jest niewidoczna – wytłumaczył ścisłym głosem Prospero.

– Przyjrzałeś się już tej kobiecie?

– Ukochanej Lias Lo Amumdży? – Harman nie czuł najmniejszej potrzeby oglądania nagiego trupa. – Tej, która kiedyś tam odeszła z nietrwałego świata? A gdzie leży Chan? Czyżby dla niego zbudowano oddzielną kryształową kryptę?

Prospero wybuchnął śmiechem.

– Chan Ho Tep wraz ze swoją ukochaną Lias Lo Amumdżą, córką Cezara Amumdży, władcy Imperium Środkowoafrykańskiego, notabene wyjątkową harpią i dziwką, możesz mi wierzyć Harmanie z Ardis, zostali wyrzuceni niecałe dwieście lat po śmierci.

– Wyrzuceni? – zdziwił się Harman.

– Ich doskonale zakonserwowane zwłoki bez ceregieli strącono w tę samą przepaść, w którą wpatrywałeś się pół godziny temu – wyjaśnił Prospero. – Można powiedzieć, że wyrzucono ich za burtę niczym śmieci z pokładu parostatku. Pomysł spoczęcia tu na wieczność bardzo przypadł do gustu następcom Chana, zresztą znacznie mu ustępującym... Oczywiście ta wieczność kończyła się za każdym razem, kiedy kolejni panujący wybierali miejsce pochówku dla siebie.

Harman potrafił to sobie wyobrazić.

– Ta parada trupów urwała się tysiąc czterysta lat temu – podjął Prospero, na powrót spoglądając ku stojącemu cztery piętra niżej stalowo-kryształowemu sarkofagowi. – Kobieta, którą widzisz tu teraz, była wielką miłością potężnego władcy i od czternastu stuleci spoczywa tutaj nieniekajona. Ale proszę, przyjrzyj się jej bacznie, Harmanie z Ardis.

Aż dotąd Harman starał się nie patrzeć bezpośrednio na zwłoki. Jak na jego gust kobieta była zanadto roznegliżowana. Ponadto wydawała się stanowczo za młoda jak na umarłą – blade ciało wciąż się miejscami różowiło, miała zbyt wydatne piersi (brodawki nawet z odległości czterdziestu stóp zaskakiwały jasnoczerwonym zabarwieniem), krótkie włosy na tle białej, jedwabnej poduchy wyglądały jak czarny przecinek, drugi podobny tworzył zarost pokrywający jej krocze. Ciemne brwi, zdecydowanie nakreślone rysy, szerokie usta... Wszystko to wydało mu się dziwnie znajome...

– Jezu Chryste! – Tym razem Harman zawołał na tyle głośno, że słowa odbiły się od kopuły i pofrunęły między marmurowe biblioteczne antresole.

Była młodsza – znacznie młodsza – siwizna zniknęła zastąpiona kruczoczarnymi kosmykami, na skórze nie było też znać zmarszczek i fałd świadczących o długich stuleciach życia, które Harman pamiętał spod opinającej ciało termoskóry. Oblicze zachowało jednak wcześniejszą wyrazistość, kości policzkowe były identycznie wydatne, brwi równie gęste, podbródek zacięty. Nie, nie mylił się.

W sarkofagu leżała Savi.

– Co się stało z pozostałymi? – pyta chyżonogi Achilles, syn Peleusa, krocząc w ślad za Hefajstosem przez porastające wierzchołek Olimpu trawniki.

Blondwłosy mężobójca i bóg ognia, nadworny Rzemieślnik wszystkich Nieśmiertelnych, idą brzegiem jeziora kalderowego pomiędzy rezydencją Uzdrowiciela i Dworem Bogów. Udekorowane białymi kolumnadami domy Olimpijczyków są ciemne, wydają się opuszczone. Pod niebem nie sunie nawet jeden latający rydwan. Po marmurowych chodnikach – oświetlonych niskimi, roztaczającymi żółtą poświatę lampami, nie pochodniami – nie spacerują jak dawniej bogowie.

– Już ci przecież tłumaczyłem – odpowiada Hefajstos. – Kota nie ma, myszy harcują. Niemal wszyscy udali się pod Ilion, gdzie biorą udział w ostatnim akcie tej waszej małej wojenki.

– Jak wygląda sytuacja? – pyta heros.

– Zabrakło tam ciebie. Nie zabiłeś Hektora. W związku z tym twoi wierni Myrmidonowie, wraz z pozostałymi oddziałami Achajów i Argiwów, czy jak tam się zwiecie, zbierają od Trojan srogie cięgi.

– Czyżby szeregi Agamemnona ruszyły do odwrotu? – dziwi się Achilles.

– Nie inaczej. Kiedy kilka godzin temu spojrzałem w głąb holograficznego basenu, zanim jeszcze jak dureń postanowiłem oszacować uszkodzenia kryształowej windy, gdzie wdałem się z tobą w zapaśniczy pojedynek, zobaczyłem, że prowadzony przez Agamemnona szturm na miejskie mury ponownie spełził na niczym. Achajowie wycofywali się na linię umocnień strzegących czarnych okrętów. Hektor szykował się, by wyprowadzić wojska poza bramę, zamierzał przejść do natarcia. W zasadzie o wyniku zdecydowało, którzy z nieśmiertelnych okazali się najtwardsi w prawdziwej walce. W sumie, mimo że po stronie Greków stoją tak harde suki jak Hera i Atena, które wspomaga wstrząsający ziemią Posejdon, wiesz, to jego specjalność, górę ostatecznie wzięła sprzyjająca Ilionowi drużyna Apolla, Aresa, podstępnej Afrodyty i jej przyjaciółki Demeter. Jako generał Agamemnon jest do bani.

Achilles nie komentuje, potakuje jedynie skinieniem. Przeznaczenie związało go z Pentezyleą, nie z Agamemnonem i jego armiami. Heros jest przekonany, że Myrmidonowie postąpią jak należy – umkną, jeśli dostrzegą szansę, podejmą walkę i polegą, jeżeli zostaną zmuszeni. Odkąd Atena – bądź przebrana za nią Afrodyta, o ile bogini mądrości nie okłamała go przed kilkoma dniami w rozmowie – zamordowała jego umiłowanego Patroklosa, żądza krwi Achillesa zwróciła się wyłącznie przeciwko bogom. Teraz, mimo że zdaje sobie sprawę, że jest to efekt działania wonnej magii patronki miłości, ma wyłącznie dwa cele: wskrzesić swą ukochaną królową Amazonek i zgładzić tę sukę Afrodytę. Instynktownie poprawia zatknięty za pas bogobójczy sztylet. Jeśli Atena nie zełgała i w tej sprawie – a Achilles jej wierzył – kwantowo zmodyfikowane ostrze, ten kawałek stali, przyniesie śmierć Afrodycie i wszystkim innym nieśmiertelnym, którzy staną na jego drodze. Nie myślał litować się nad nikim, nawet nad kulawym bogiem płomieni, gdyby ten spróbował ucieczki bądź sprzeciwił się jego woli.

Hefajstos prowadzi Achillesa na lądowisko przed Dworem Bogów, na którym stoi

ponad dwadzieścia złocistych rydwanów. Metalowe, wijące się wśród trawy pępowiny łączą pojazdy z ukrytymi pod ziemią rezerwuarami energii. Kuternoga wsiada do jednego z rydwanów i zaprasza gestem herosa.

– Dokąd polecimy? – Achilles się waha.

– Mówiłem ci. Odwiedzimy jedyne spośród nieśmiertelnych, który wie, gdzie można znaleźć Zeusa – tłumaczy Rzemieślnik.

– Nie możemy poszukać go sami? – upewnia się Grek, wciąż nie wchodząc na pokład. Jeździł, jako woźnica i pasażer, już tysiadcem rydwanów, lecz nigdy jeszcze nie frunął jak śmigający po iliońskim i olimpijskim niebie bogowie. Co prawda myśl o tym nie przepełnia go strachem, lecz nie czuje również palącej potrzeby odrywania się od ziemi.

– Zeus dysponuje sobie tylko znaną technologią – odpowiada Hefajstos – która pozwala mu się ukrywać przed moimi czujnikami i sprzętem szpiegowskim. Ktoś to urządzenie uruchomił, chociaż podejrzewam, że stoi za tym jego małżonka, Hera, a nie sam Bóg nad Bogami.

– Kim jest ten nieśmiertelny, który wskaże nam kryjówkę Zeusa? – Achilles na moment się rozprasza. Słucha zawodzenia piaskowej burzy, wpatruje się w migocące błyskawice i rozbłyskujące wyładowania elektryczne. Pogoda wściekle napiera na chroniącą szczyt Olimpu egidę zawieszoną kilkaset metrów nad ich głowami.

– Nyks – mówi Rzemieślnik.

– Noc? – powtarza heros.

Chyżonogi mężobójca zna tę boginię – córa Kaosu, jedna z pierwszych obdarzonych świadomością istot, które wyłoniły się z pierwotnej Otchłani u zarania czasu, zanim jeszcze właściwi bogowie pomogli oddzielić pomrokę Erebu od błękitów i zieleni Gai. Achilles nie był jednak w stanie wymienić żadnego miasta greckiego, azjatyckiego bądź afrykańskiego, gdzie tajemniczą Nyks otaczano by czcią. Wedle mitów i podań Nyks, samodzielnie, niezapłodniona przez któregoś z nieśmiertelnych, powiła Eris (Niezgodę), Mojry, Hypnosa (Sen), Nemezis (Odpłatę), Tanatosa (Śmierć) i Hesperydę.

– Aż do dziś sądziłem, że Noc jest ledwie symbolem, personifikacją – dodaje heros.

– Czy inną bzdurą.

Hefajstos odpowiada uśmiechem.

– W nowym, wspaniałym świecie, który pomogli nam stworzyć postludzie, Sykoraks i Prospero, nawet bzdury i personifikacje przyjmują fizyczną formę. Wsiadasz? Czy mam może tekować się z powrotem do laboratorium i zaznać... rozkoszy śpiącej Pentezylei, podczas gdy ty będziesz tu dumać?

– Dobrze wiesz, że gdybyś zrobił coś takiego, znajdę cię i zabiję. – W głosie Achillesa nie słyhać groźby, jedynie złożoną na chłodno obietnicę.

– Owszem – przytakuje Hefajstos – i właśnie dlatego zapytam cię po raz ostatni. Wsiadasz, kurwa, czy nie?

* * *

Lecą na południowy wschód, okrążając marsjański glob. Naturalnie Achilles nie

ma pojęcia, że ogląda w dole Marsa, nie wie również, że planeta ma kształt kuli. Wie jednak, że nie chciałby zbyt szybko ponownie przeżyć stromego startu ponad taflą jeziora kalderowego, gwałtownego momentu przebicia egidy i nieziemsko szumiącej burzy piaskowej oraz dalszego szalonego lotu za czwórką koni, które pojawiły się zupełnie znikąd, gdy tylko oderwali się od ziemi. Achilles trzyma się brązowo-drewnianej burty rydwanu i z całych sił próbuje nie zamknąć oczu. Na szczęście pojazd jest osłonięty polem siłowym, słabszą i mniejszą odmianą egidy lub niewidzialnych tarcz, którymi Olimpijczycy chronią swe ciała w bitwie. Tak przynajmniej podejrzewa Achilles. Niewidzialna powłoka osłania pasażerów przed tumanami kłusującym piachu i batami niemilknięcej wichury.

Nagle wybijają się ponad burzowe kłęby. Suną pod czarnym nocnym niebem usianym przepięknie lśniącymi gwiazdami, po którym mkną dwa niewielkie księżyce. Mijają szereg trzech wielkich wulkanów i ostatecznie wydostają się z objęć burzy piaskowej. Poniżej pojawia się zalana gwiazdną poświatą powierzchnia.

Achilles oczywiście rozumie, że boski dom na Olimpie został wzniesiony w zupełnie innym, dziwacznym świecie – w końcu przez wiele miesięcy walczył poza dziurą branową, jak nazywały ją morawce, na czerwonej równinie, obmywanej przez ciepłe fale morza, którym nie targają pływy. Nigdy jednak nie pomyślał, że świat Olimpijczyków może być aż tak rozległy.

Mkną na wielkiej wysokości ponad bezkresnym, szerokim zalany wąwozem, gdzie ciemność mącą jedynie odbijające się w lustrze wody iskierki gwiazd i kilka brnących przez morze latarni. Hefajstos tłumaczy, że to światła barek, którymi Małe Zielone Ludziki pływają do i z kamieniołomów. Achilles stwierdza w duchu, że wypytywanie kaleki o sens tych enigmatycznych słów nie ma większego sensu.

Fruną ponad nagimi, a potem zadrzewionymi łańcuchami górskimi, ponad bezlikiem okrągłych wgłębień powierzchni, które patron płomieni nazywa kraterami. Część z nich zniszczyła już erozja i porosły lasy, w wielu błyszczą jeziora, lecz większość jeży się w księżycowej poświacie ostrymi, nieprzyjemnie wyglądającymi ścianami.

Unoszą się wyżej, aż wreszcie milknie gwizd omiatającego niewielką egidę rydwanu wiatru i płuca Achillesa wypełnia czyste powietrze wydzielane przez sam pojazd. Zwiększona zawartość tlenu sprawia, że heros czuje się nieco upojony.

Hefajstos wymienia nazwy niektórych gór i dolin mknących daleko poniżej. W uszach Achillesa słowa bóstwa brzmią jak gadanina przewoźnika, który podczas rejsu anonsuje znudzonym tonem kolejne przystanie.

– Shalbatana Vallis – rzuca nieśmiertelny. – Margaratifer Terra – dodaje za jakiś czas. – Meridiana Planum. Terra Sabaea. Ta porośnięta gęstym lasem okolica na północy to Schiaparelli, a wzgórze przed nami nazywają się Huygens. Zaraz skręcimy na południe.

Rydwan, zaprzęzony w cztery gnające z wysiłkiem rumaki o lekko przejrzystych ciałach, nie tyle zakręca, ile pochyla się w locie. Achilles gwałtownie czepia się burty, mimo że odnosi wrażenie, że w jakiś niewyjaśniony sposób pokład wciąż jest na dole.

– A to co? – pyta Grek po kilku chwilach.

Większą część południowego horyzontu zajęło ogromne, okrągłe jezioro. Rydwan opuszcza się i po chwili znów rozlega się zawodzenie wichru. Burzę piaskową zostawili

jednak daleko za sobą.

– Basen Hellas – burczy patron ognia. – Ma ponad tysiąc czterysta mil średnicy. To więcej niż Pluton.

– Pluton? – rzuca zdziwiony Achilles.

– Taka, kurwa, planeta, tłuku niepiśmienny – warczy Hefajstos.

Achilles puszcza burtę pojazdu, uwalnia świerzbujące ręce. Przez moment zamierza poderwać kulawego boga z pokładu, złamać mu kręgosłup uderzeniem o kolano i zrzucić go w otchłań. Wtedy jednak zerka w dół i widzi majaczące wiele mil niżej wierzchołki gór i tonące w cieniu doliny. Postanawia, że zanim się zemści, pozwoli najpierw paskudnemu karłowi sprowadzić pojazd na ziemię. Gigantyczne jezioro zajmuje już cały południowy widnokrąg. Po chwili przelatują nad jego północnym, łukowato ugiętym brzegiem i suną w dół ponad usianą gwiazdami taflą. Do Achillesa dociera, że zbiornik, który z wyższego pułapu wydawał się zwykłym okrągłym jeziorem, jest w rzeczywistości niewielkim oceanem.

– Głębokość wynosi tutaj od dwóch do ponad czterech mil – opowiada Hefajstos, jakby Achilles wyraził zainteresowanie. – Te dwie potężne rzeki wpadające od wschodu noszą nazwy Dao i Harmakhis. W myśl pierwotnego planu zamierzaliśmy osiedlić w tamtejszych żyznych dolinach dwa miliony ludzi dawnego typu, pozwolić im się mnożyć i obejmować we władanie, ale z jakiegoś powodu nigdy nie skierowaliśmy tam promienia i ostatecznie ich nie zdefakowaliśmy. Prawdę mówiąc, Zeus i inni pierwotni bogowie panteonu po prostu zapomnieli o wszystkim sprzed przemiany. Tamte czasy są dla nas jak sen. Poza tym Zeus był zajęty odbieraniem władzy rodzicom. Tytanom z pierwszego pokolenia nieśmiertelnych, Kronosowi i jego siostrze-mażonce Rei. Strącił ich przez branę do świata zwanego Tartarem.

W tym momencie Hefajstos chrząka i śpiewnym głosem aojdy zaczyna deklamować. W uszach Achillesa rozlega się odgłos przypominający zgrzyt ciętej zardzewiałą piłą liry...

– Przejmujący grozą dźwięk zmaćił bezgraniczne morze. W powietrze poniósł się rozdzierający okrzyk ziemi. Przewód niebios z jękiem zadygotał w posadach. Olimp cały zatrzęsł się w posadach. Pod naporem bogów, co śmierci nie znają. I drzenie przeszło czarną jamę Tartaru...

Jak okiem sięgnąć, Achilles widzi tylko ciemne fale. Woda przemyka pod nimi z niewiarygodną prędkością, urwiste wybrzeże okrągłego jeziora skryło się już za horyzontem. Tymczasem na południu pojawia się samotna skalista wysepka.

– Zeus wygrał tę wojnę wyłącznie dlatego – podejmuje Hefajstos – że wrócił do postludzkiej maszyny branowych krążących po orbicie prawdziwej Ziemi, tej pierwotnej, uważasz, nie tej waszej marnej, terraformowanej podróbce. Dzięki temu, że owe urządzenia były w stanie wyrwać dziury w branach, sprowadził Setebosa i jego wykluwający się z jaj pomiot. Posłał ich przeciwko legionom Kronosa. Sturękie monstra zwyciężyły dzięki broni energetycznej i zdolności karmienia się pokładami strachu, tyle że potem, po wojnie, koszmarnie ciężko było się bydląt pozbyć. W dodatku Prometeusz, cholerny dzieciak tytana Japeta, okazał się podwójnym agentem. A w czterysta dwudziestym czwartym roku zmagania z Dziurą Branowej wypełził ten wyhodowany

w laboratorium stugłowy potwór Tyfon. Gdybyś go mógł zobaczyć... Pamiętam, jak pewnego dnia...

– Daleko jeszcze? – przerywa mu Achilles.

– Wyspa, którą tam widzisz – odpowiada monotonnym głosem Hefajstos, stale obniżając lot – mierzy sobie ponad osiemdziesiąt mil średnicy i roi się na niej od potworów.

– Potworów? – Achilles nie ma głowy do potworów. Chce tylko wiedzieć, gdzie ukrył się Zeus, którego zamierza poprosić, by przykazał Uzdrowicielowi otworzyć odmładzające kadzie i ożywić zabitą królową Amazonek. Poza wskrzeszeniem Pentezylei nie liczy się dla niego nic.

– Tak, potworów – powtarza patron płomieni. – Pierwsze dzieci Uranosa i Gai to odrażająco zdeformowane demony. Paskudne, lecz potężne. Zeus zezwolił im żyć tutaj, nie przegnał ich wraz z Reą i Kronosem do Tartaru. Pośród nich są trzy stwory przypominające samego Setebosa.

Ostatnia wzmianka również nie zyskuje uwagi herosa. Achilles wpatruje się w rosnącą przed nimi wyspę i zauważa wznoszący się na skałach w jej środku posępny zamek. Nieliczne okna w pionowych, kamiennych murach jarzą się czerwienią, jakby wewnątrz szalał pożar.

– Na skałach tej wyspy żyją również ostatni cyklopowie – mruczy pod nosem Hefajstos. – No i erynie.

– Są tu i furie? – dziwi się Achilles. – Myślałem, że to zwykły mit.

– Nie, to nie jest mit.

Nieśmiertelny kuternoga kładzie rydwan na bok i pogania rumaki ku płaskiej skale u stóp zamczyska. Wokół góry i wieńczącej ją cytadeli snują się czarne, skłębione chmury. W dolinach po obu stronach widać niewyraźne zarysy poruszających się istot.

– Jeżeli zostaną stąd uwolnione, resztę wieczności strawią na ściganiu i karaniu grzeszników. Zaprawdę są „nadchodzącymi w ciemności”, zamiast włosów mają żywe węże, a z czerwonych oczu skapują im krwawe łzy.

– Tylko mi je pokaż... – rzuca syn Peleusa.

Rydwan łagodnie osiada tuż pod gigantycznym posągiem stojącym na szerokiej półce z czarnego kamienia. Drewniane koła skrzypią. Konie z zaprzęgu znikają. Także dziwny świetlny pulpit, za pomocą którego Rzemieślnik kierował pojazdem, rozplywa się w nicość.

– Chodź – mówi Hefajstos i prowadzi herosa ku szerokim, niekończącym się schodom wyrastającym z obu stron rzeźby. Nieśmiertelny z trudem ciągnie za sobą niesprawną nogę.

Achilles nie może oderwać wzroku od posągu – kolos musi mieć przynajmniej trzysta stóp wysokości. Potężnie zbudowany mężczyzna podtrzymuje na swych mocarnych ramionach Niebo i Ziemię.

– To Japet. – Achilles kiwa głową.

– Ależ nie – burczy bóstwo ognia. – Widzisz starego Atlasa we własnej osobie. Zastygł na wieki w kamieniu.

Ostatnim okazuje się stopień czterechsetny. Przybysze stają pod masywem

wysokiego zamku. Wieże, iglice i dachy nikną wśród kipiących chmur. Dwie widniejące przed nimi bramy strzelają na pięćdziesiąt stóp ku górze, dzieli je identyczny dystans.

– W tych podwojach mijają się codziennie Nyks i Hemera, Noc i Dzień – tłumaczy szeptem Hefajstos. – Kiedy jedna wchodzi, druga wychodzi. Nigdy nie bawią w domu jednocześnie.

Achilles zadziera głowę, wpatruje się w bezgwiezdne niebo i czerń obłoków.

– W takim razie przybывamy o zły godzinie. Hemera w niczym mi nie pomoże. Sam twierdziłeś, że winniśmy pomówić z Nocą.

– Cierpliwości, synu Peleusa – mruczy Hefajstos. Na jego obliczu maluje się nerwowość. Rzuca przelotne spojrzenie niewielkiej, cebulastej machinie, którą nosi przytroczoną do nadgarstka. – Właśnie wstaje Eos.

Nad wschodnim brzegiem tonącej w ciemności wyspy pojawia się pomarańczowa luna. Szybko jednak gaśnie.

– Promienie nie przedzierają się przez spolaryzowaną egidę wyspy – podejmuje półgłosem patron płomieni. – Poza nią nastał już prawie poranek. Słońce wszędzie nad rzekami Dao i Harmakhis i wschodnimi klifami Basenu Hellas. Jeszcze tylko parę sekund.

Achillesa oślepia nagły błysk. Dolatuje go stukot zatraskujących się potężnych żelaznych wrót. Zaraz potem skrzypi bliźniacza brama. Gdy heros odzyskuje wzrok, drugie drzwi są już zamknięte. Noc stoi przed nimi.

Achilles, syn Peleusa i boginki morza Tetydy, przez całe życie darzący Atenę, Herę i pozostałe boginie podziwem i respektem, po raz pierwszy czuje w obecności nieśmiertelnej istoty szczerą grozę. Hefajstos padł na kolana i trwożnie skłania głowę przerażony widokiem straszliwej zjawy. Achilles, choć nie przychodzi mu to łatwo, nie kłęka. Resztkami woli zwalcza odruch, który każe mu zerwać z pleców tarczę i przykłęknąć pod jej osłoną z bogobójczym sztyletem w dłoni. Rozdarty pomiędzy pragnieniem ucieczki a instynktem walki decyduje się na kompromis i spogląda w ziemię.

To oczywiście, że bogowie mogą przyjmować niemal dowolne rozmiary – Achilles nie ma pojęcia o prawie zachowania masy i energii, nie zrozumiałby również, w jaki sposób udaje się im je obchodzić – lecz zazwyczaj decydują się ukazywać pod postacią osób wysokich na dziewięć stóp. Dzięki temu śmiertelnicy czują się przy nich niczym dzieci, a jednocześnie nieśmiertelne kości nóg nie wymagają dodatkowego wzmocnienia. W dodatku przy takim wzroście bogowie mogą wygodnie korzystać z wnętrza swych olimpijskich rezydencji.

Noc – Nyks – mierzy sobie tymczasem piętnaście stóp. Spowita jest kłębamii pozostającego w nieustannym ruchu obłoku, spod którego wyziera przejrzysta szata wykonana z licznych warstw czarnej tkaniny, leżącej się ku ziemi dziesiątkami pasem. Być może założyła na głowę rodzaj nakrycia z woalką, a może to jej twarz przypomina przylegający do ciała woal. Mimo że to niemożliwe, jej czarne oczy są wyraźnie widoczne nawet przez tę zasłonę i mgliste, czarne opary. Zanim Achilles spuścił wzrok, zdążył zauważyć niewiarygodnie pełny biust bogini. Jego rozmiary sugerują, że jest gotowa nakarmić ciemnością cały świat. Blade ma jedynie dłonie, długie i silne palce niemal świecą w mroku, jakby składały się z zamrożonych promieni księżycy.

W pewnym momencie do Achillesa docierają słowa Hefajstosa. Bóg ognia

przemawia śpiewnym tonem:

– ...okadzona dymem pochodni Nyks, rodzicielko bogów, krynico słodkiego zapomnienia o boleściach. Matko, z której powstał bogowie i ludzie... Wysłuchaj, o błogosławiona Nyks, strojna w gwiazdne światła i aromatyczne milczenie snu hebanowych nocy. Sny i miękka ulga towarzyszą ci w mrocznym orszaku zachwycone długimi zmierzchami. O ty, która rozpraszasz troski i lęki, przyjaciółko radosna swym mrokiem otulająca całą Ziemię. Bogini duchów i spektaklu cieni...

– Dość – przerywa mu Noc. – Gdybym chciała wysłuchiwać orfickich hymnów, przeniosłabym się w czasie. Jak śmiesz, patronie płomieni, sprowadzać prostego śmiertelnika do Hellas i nakrytej całunem nocy siedziby Nyks?

Dźwięk głosu bogini wywołuje na plecach Achillesa zimne ciarki. Brzmi niczym wzburzone zimną morze, którego fale roztrzaskują się na skalistym brzegu. Poszczególne słowa są jednak zrozumiałe.

– Bogini, która przyrodzoną mocą rozdziela naturalne dni – podejmuje kornie Hefajstos, nie podnosząc się z kolan, nadal zgięty w głębokim ukłonie. – Śmiertelnik ów jest synem nieśmiertelnej Tetydy, a na tej Ziemi cieszy się rangą półboga. Zwie się Achilles, syn Peleusa, a jego dzielność...

– Och, znam Achillesa, Peleusowego syna, znam również dowody jego dzielności. Płądrował miasta, gwałcił kobiety i mordował mężczyzn – rzuca Noc donośnym jak huk sztormu głosem. – Cóż takiego sprawiło, że przywiodłeś tu tego... żołdaka... pod moje czarne wrota? Mów, Rzemieślniku!

Achilles decyduje się odpowiedzieć osobiście.

– Bogini, muszę się spotkać z Zeusem.

Czarna zjawa zwraca się nieznacznie ku herosowi. Wydaje się, że unosi się w powietrzu, nie wygląda jakby stała na ziemi. Wysoka, obdarzona rozrośniętym biustem sylwetka porusza się niezwykle płynnie. Zawoalowana twarz – oblicze być może samo wyglądające jak delikatna siateczka woalki – pochyla się ku człowiekowi i Achillesa przeszywa spojrzenie oczu czarniejszych niż czerń. Wokół Nyks nieprzerwanie przelewają się kłęby chmur.

– Musisz się spotkać z Panem Gromu, z Bogiem nad Bogami, Zeusem Pelazgijskim, Panem Dziesięciu Tysięcy Świątyń i kapliczki Dodony, Ojcem Wszystkich Bogów i Ludzi, Najwyższym Królem Zeusem, który Władą Burzowymi Chmurami, Jedynym, kto Rozkazuje?

– Właśnie – rzuca Achilles.

– W jakiej sprawie? – dopytuje Noc.

Tym razem odzywa się Hefajstos.

– Achilles chce w jednej z kadzi Uzdrowiciela umieścić śmiertelniczkę, Matko pierwszego z czarnych jaj. Chce prosić Ojca Zeusa, by rozkazał Uzdrowicielowi wskrzesić Pentezyleę, królową Amazonek.

Nyks wybucha śmiechem. O ile jej głos przypomina dzikie morze szturmujące przybrzeżne urwiska, to śmiech wydaje się herosowi huczącym nad Morzem Egejskim zimowym wichrem.

– Pentezyleę? – powtarza odziana w czerń bogini, nie przestając chichotać. – Tę

bezmózgą blond lesbijkę? Dziweczkę z wielkim cycem? Czemu, na milion światów, chcesz zwrócić życie tej umięśnionej latawicy, synu Peleusa? Sama przecież widziałam, jak przeszyłeś ją wraz z jej koniem potężną włócznią swego rodziciela. Wyglądali jak kawałki papryki na szaszłyku.

– Nie mam wyboru – grzmi Achilles. – Kocham ją.

Ponownie rozlega się śmiech Nocy.

– Kochasz ją, tak? I to mówi Achilles, heros, który kładzie się z niewolnicami, córami pokonanych władców i pojmanymi królowymi równie beznamiętnie, jak inni wrzucają oliwki do ust, po to tylko, by potem wypluć ogryzioną pestkę. Kochasz ją, powiadasz?

– Sprawilo to feromonowe pachnidło Afrodyty – odzywa się klęczący Hefajstos. Śmiech Nocy gaśnie.

– Pachnidło? Jakiego rodzaju? – pyta bogini.

– Numer dziewięć – burczy pod nosem Rzemieślnik. – Elixir Puka. Perfumy wprowadzające do krwiobiegu samoreplikujące się nanoboty, nieustannie produkujące prowadzące do uzależnienia cząsteczki, a także pozbawiające mózg dopływu endorfin i serotoniny, w wypadku gdy ofiara stara się walczyć z zauroczeniem. Na ten specyfik nie ma antidotum.

Noc zwraca swą twarz-woalkę z powrotem ku Achillesowi.

– Odnoszę wrażenie, że zostałeś użyty jak tania nierządnicą, synu Peleusa. Zeus nigdy nie wyrazi zgody na przywrócenie do życia śmiertelnej. Tym bardziej że mowa o Amazonce, kobiecie należącej do rasy, o której Gromowładny myśli rzadko, a jeśli już, to jedynie z niewysłowioną pogardą. Ojciec Bogów i Ludzi nie dostrzega w ich istnieniu żadnego pożytku. Zwłaszcza że są dziewczycami. W jego mniemaniu wskrzeszenie podobnej istoty równałoby się profanacji kadzi i trwonieniu zdolności Uzdrowiciela.

– Tak czy inaczej, zamierzam go o to prosić – zapowiada Achilles uparcie.

Noc, spowita w hebanową szatę, pod którą rysują się pełne półkule biustu, przygląda się Grekowi bez słowa. Po chwili jej wzrok skupia się na znieruchomiałym na klęczkach Hefajstosie.

– Kaleki Patronie Ognia, wiecznie zajęty Rzemieślniku służący bardziej znamienitym Olimpijczykom, cóż widzisz, gdy patrzysz na tego śmiertelnika?

– Pieprzonego kretyna – warczy Hefajstos.

– Ja tymczasem dostrzegam kwantową osobliwość – podejmuje bogini Nyks. – Czarną dziurę prawdopodobieństwa. Miriady równań posiadających jeden trójpunktowy wynik. Powiedz mi, dlaczego, Rzemieślniku?

– Jego matka – burczy bóg płomieni – Tetyda o piersiach oplecionych wodorostami, umieściła go w niebiańskim ogniu kwantowym, gdy był ledwie szczenięciem, niemal jeszcze larwą. Z tego powodu prawdopodobieństwo śmierci Achillesa zostało ustalone na poziomie stu procent, z dokładnością co do dnia, godziny, minuty i konkretnej przyczyny. Jako że żadna z owych zmiennych nie może ulec zmianie, zapewnia mu to swego rodzaju ochronę przed wszelkimi innymi obrażeniami, chorobami i tak dalej...

– O tak. – Dobywający się z woalki głos dziwnie przypomina wężowy syk. – Synu

Hery, mężu bezmózgiej Gracji zwanej Aglają Wspaniałą, dlaczego pomagasz temu człowiekowi?

Kłęczący na progu Hefajstos zwiesza głowę jeszcze niżej niż dotąd.

– Najpierw pokonał mnie w zapaśniczym pojedynku, umiłowana bogini pełnych grozy cieni. A później postanowiłem mu dopomóc, gdyż złączyła nas wspólnota interesów.

– Odszukanie Ojca Zeusa leży w twoim interesie? – pyta szeptem Noc.

Ktoś lub coś wyje w jednym z czarnych wąwozów po prawej stronie zamczyska.

– W moim interesie, o bogini, leży powstrzymanie narastającej fali *kaosu*. To już niemal powódź.

Noc kiwa głową i unosi zawoalowane oblicze ku opływającym zamkowe wieże gęstym chmurom.

– Słyszę krzyk gwiazd, kaleki Rzemieślniku. Wiem, że mówiąc *kaos*, masz na myśli chaos na poziomie kwantowym. Wyjąwszy Zeusa, jesteś jedynym nieśmiertelnym, który pamięta, jacy byliśmy przed przemianą. Pamiętasz nasz dawny sposób myślenia... Nie zapomniałeś również o takich błahostkach jak fizyka.

Hefajstos nie komentuje. Nie podnosi spojrzenia.

– Czy śledzisz kwantowe przepływy, Rzemieślniku? – podejmuje Noc. W głosie bogini pojawia się ostra, gniewna nuta, dla której Achilles nie widzi uzasadnienia.

– Owszem, bogini.

– Jak sądzisz, patronie ognia, ile zostało nam życia, jeżeli wiry probabilistycznego chaosu będą wciąż rosnać w obecnym logarytmicznym tempie?

– Kilka dni, moja bogini – mruczy głucho Hefajstos. – A może i mniej.

– Mojry są tego samego zdania, potomku Hery. – Nyks grzmi tak donośnie, że Achilles ma ochotę zatkać sobie uszy. – *Moirai*, owe obce istoty, które śmiertelni zwą w swej mowie Mojrami, dniem i nocą ślęczą nad elektronicznymi abakusami, manipulując bąblami energii magnetycznej i długimi na mile niciami obliczeniowego DNA. I z dnia na dzień oglądana przez nie przyszłość staje się mniej pewna, a przędza prawdopodobieństwa płacze się coraz bardziej, jakby coś złego spotkało same krosna Czasu.

– To wina tego chuja Setebosa – dudni Hefajstos. – Za przeproszeniem, bogini.

– Nie przepraszaj, Rzemieślniku. Masz rację. Ten chuj Setebos po bardzo długim czasie wydostał się z niewoli arktycznych mórz tego świata. Następnie, jak zapewne wiesz, Wieloramienny przedostał się na Ziemię. Nie Ziemię śmiertelnika, którego tu przywiodłeś, lecz do naszego dawnego domu.

– Nie. – Hefajstos podnosi wreszcie głowę. – O tym nie miałem pojęcia.

– O tak, Mózg przekroczył Branę. – Nyks wybucha śmiechem.

Tym razem Achilles nie zdołał się powstrzymać. Przyciska dłonie do uszu. Do słuchania podobnych dźwięków nie powinno się zmuszać żadnego śmiertelnika.

– Ile czasu mamy wedle Mojry? – szepce bóg ognia.

– Kloto, Prządka, twierdzi, że do chwili, gdy ten wszechświat imploduje w kwantowym wirze, zostały już tylko godziny – odpowiada Noc. – Natomiast według ustaleń Atropos, Nieodwracalnej, która w momencie śmierci ucina swymi straszliwymi

nożycami nici życia nas wszystkich, katastrofa może nastąpić dopiero za miesiąc.

– Co sądzi Lachesis?

– Udzielająca Losu, która moim zdaniem najsprawniej opanowała sztukę wędrówek po fraktalowych falach elektrocnicznych abakusów, uważa, że *kaos* zapanuje w tym świecie i tej Branie w ciągu tygodnia bądź dwóch. Tak czy inaczej, nasz krótki czas jest już policzony, Rzemieślniku.

– Umkniesz, bogini?

Noc milknie. Skowyty niosą się echem z otaczających zamczysko rozpadlin i skalistych dolin.

– Dokąd moglibyśmy zbiec, Rzemieślniku? – odpowiada po dłuższej chwili. – Gdzie mogłaby znaleźć schronienie choćby i nieliczna grupka Pierwotnych, jeśli świat, w którym się narodziliśmy, ulegnie chaosowi i siłom rozpadu? Każda Dziura Branowa, jaką uda się nam otworzyć, wszystkie miejsca, do których moglibyśmy się kwantowo teleportować, wciąż będą powiązane nićmi chaosu z tutejszym wszechświatem. Nie, nie ma dla nas ucieczki.

– Co więc pocniemy, o bogini? – mamroce Hefajstos. – Czy mamy się kornie pochylić, złapać dłońmi za sandały i pożegnać z nieśmiertelnością na dobre?

Noc wydaje z siebie wesóły odgłos przypominający szum wzburzonego Morza Egejskiego.

– Musimy zasięgnąć rady Starszych Bogów. Jak najprędzej.

– Starsi Bogowie... – Rzemieślnik na moment urywa. – Kronos, Rea, Okeanos, Tetyda... Masz na myśli bóstwa wygnane do zionącego grozą Tartaru?

– Tak. – Noc kiwa głową.

– Zeus nigdy na to nie pozwoli – przypomina bóg ognia. – Przecież zakazał Olimpijczykom kontaktów z...

– Zeus musi spojrzeć prawdzie w twarz – grzmi Noc. – W przeciwnym razie wszystko, w tym jego panowanie, rozplynie się w chaosie.

Achilles wchodzi kolejne dwa stopnie wyżej i zbliża się do wielkiej czarnej postaci. Tarczę niesie przed sobą, jakby sposobił się do walki.

– Ejże! Zapomnieliście, że i ja tu jestem? Zadałem pytanie i nadal czekam na odpowiedź. Gdzie jest Zeus?

Nyks pochyla się nad herosem i wyciąga ku niemu blady kościsty palec. Mierzy nim jak bronią.

– Synu Peleusa, być może prawdopodobieństwo, że zginiesz z mojej ręki, istotnie jest zerowe. Ciekawe jednak, czy gdybym rozbiła cię na pojedyncze cząsteczki, na swobodne atomy, wszechświat zdołałby utrzymać ten aksjomat w mocy?

Achilles milczy. Z wolna przywyka do boskiego zwyczaju wygłaszania nic nieznaczących tyrad. Wie, że jeśli po prostu zaczeka, bogini znów zacznie mówić do rzeczy.

I rzeczywiście, Nyks odzywa się ponownie. Jej głos brzmi niczym jęk szarpanych wichrem fal.

– Hera, siostra i żona Zeusa, córka Kronosa i Rei, kazirodcza towarzyska łoża swego boskiego brata, protektorka Achajów, niewahająca się w ich obronie dopuścić się

zdrady i mordu, uwiodła Gromowładnego, odciągnęła go od zwykłych obowiązków i uśpiła czujność. Oddała mu się, po czym wpuściła mu w żyły Sen. Stało się to we wspólnym domu, gdzie żona herosa trzyma się we łzach, gdzie tka za dnia, a nocami drze swe dzieło na strzępy. Bohater, o którym mówię, nie zabrał pod Troję swego najlepszego łuku. Zostawił go na kołku w sekretnej komnacie za tajnymi drzwiami, gdzie nie mogą go odnaleźć szabrownicy ani zalotnicy. Łuku tego nie napnie nikt poza nim. Wystrzelona z tego łuku strzała potrafi przebić tuzin ustawionych jeden za drugim stylisk toporów bądź osiemnaście ciał grzeszników albo ludzi bez skazy.

– Dziękuję ci, bogini. – Achilles schodzi ze schodów.

Hefajstos rozgląda się dokoła, po czym rusza za Grekiem. Z rozmysłem nie ogląda się na wielką hebanową postać w powłóczystych szatach. Kiedy się wreszcie zatrzymują, Nocy już nie ma.

– Na Hadesa, o co jej chodziło? – pyta szeptem Rzemieślnik, gdy wsiadają do rydwanu. Włącza wirtualny pulpit sterowniczy, aktywuje holograficzne rumaki. – Zapłakana żona, jakieś, kurwa, ukryte komnaty, dwanaście toporów. Miałem wrażenie, że zamiast Nyks słucham bełkotu delfickiej wyroczni.

– Zeusa znajdziemy na wyspie zwanej Itaką – tłumaczy Achilles, kiedy wznoszą się ponad zamkiem, wysoko nad wyspę, na której powarkują i ryczą niewidoczne w mroku potwory. – Odyseusz opowiedział mi kiedyś, że najlepszy łuk pozostawił w pałacu na tej swojej skalistej wysepce, ukryty w tajnej komnacie między pachnącymi ziołami strojami. W lepszych czasach kilka razy składałem mu tam wizytę i pamiętam, że tylko chytry Odys jest w stanie naciągnąć cięciwę tej broni. Tak przynajmniej twierdzi, ja nie próbowałem. Co do przeszywania stylisk dwunastu toporów, to rozrywka, której syn Laertes oddaje się zwykle po całonocnej libacji. A gdyby na Itace pojawili się zalotnicy starający się o rękę jego powabnej Penelopy, z wielką lubością zamieniliby styliska na ich ciała.

– Itaka. Dom Odyseusza... – szepce Hefajstos. – Hera zaiste wybrała dobrą kryjówkę dla swojego uśpionego pana. Synu Peleusa, czy wiesz, co Zeus z tobą zrobi, kiedy go obudzisz?

– Przekonajmy się – rzuca heros. – Czy potrafisz nas teleportować prosto z tego rydwanu?

– Tylko patrz – odpowiada Hefajstos.

Bóg i człowiek znikają, a pusty rydwan frunie dalej na północny zachód ponad falami Basenu Hellas.

– To nie jest Savi.

– A czy ja coś takiego powiedziałem, przyjacielu Nikogo?

Harman stał na stalowych marach pozornie zawieszonych w powietrzu pięć mil nad północnymi stokami Czomolungmy. Wbrew sobie wpatrywał się w martwą twarz i nagie ciało młodej Savi. Prospero czekał za nim na żelaznych schodkach. Na zewnątrz krypty wiał coraz silniejszy wiatr.

– Chociaż wygląda zupełnie jak Savi – stwierdził Harman. Serce trzepotało mu w piersi. Otwierająca się poniżej przepaść i spoczywające przed nim ciało przyprawiły go o zawroty głowy. Czuł narastające mdłości. – Ale Savi nie żyje – dodał.

– Jesteś tego pewien?

– Tak, cholera jasna, jestem pewien. Twój Kaliban zagryzł ją na moich oczach. Widziałem też krwawe resztki jego posiłków. Savi nie żyje. Poza tym ta kobieta jest młoda.

Leżąca w kryształowej trumnie naga dziewczyna pierwszą Dwudziestkę musiała skończyć najdalej trzy, cztery lata przed śmiercią. Savi tymczasem była... wiekowa. Wszyscy oni – Hannah, Ada, Daeman i Harman – byli wstrząśnięci widokiem jej siwych włosów, zmarszczek i naznaczonego licznymi niedoskonałościami ciała. Zanim poznali staruszkę, żadne z nich – żaden człowiek w ogóle – nie widział skutków starzenia. Ani wcześniej ani potem, aczkolwiek to ostatnie musiało się niebawem zmienić. Konserwatornia została zniszczona.

– Nie mój Kaliban – odparł Prospero. – Nie był wówczas moim potworem. Kiedy ponad dziewięć miesięcy temu spotkałeś się z nim na orbitalnej wyspie, ten chory pomiot Sykoraks, zniewolony sługa Setebosa był już panem samego siebie.

– To nie jest Savi – powtórzył Harman. – Wykluczone. – Odepchnął odzianego w błękitną szatę maga i ruszył po schodach ku centralnej komnacie Tadź Mojry. Zatrzymał się jednak, zanim opuścił kryptę. – Czy ona żyje? – zapytał półgłosem.

– Dotknij jej.

– Nie ma mowy. Po co? – Przestraszony Harman cofnął się stopień wyżej.

– Wróć na dół i dotknij jej – nacisnął czarnoksiężnik. Hologram, projekcja, czymkolwiek Prospero był, podszedł prosto do kryształowego sarkofagu. – Tylko w ten sposób przekonasz się, czy żyje.

– Uwierzę ci na słowo. – Harman nie ruszył się z miejsca.

– Nie dałem ci słowa, przyjacielu Nikogo. Nie wyraziłem żadnej opinii. Nie stwierdziłem, czy widzisz tu śpiącą kobietę, zwłoki, czy może po prostu wyzutą z ducha woskową podobiznę. Gwarantuję ci jednak, mężu Ady z Ardis, jeśli ta dziewczyna się obudzi, jeżeli zdołasz ją obudzić, jeśli okaże się prawdziwa i jeżeli porozmawiasz z jej rozbudzoną duszą, otrzymasz odpowiedzi na wszystkie swe palące pytania.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Harman. Zmagając się z pragnieniem ucieczki,

ruszył po schodach w dół.

Mag milczał. Zamiast odpowiedzieć, otworzył kryształowe wieko sarkofagu.

Harman nie poczuł woni rozkładu. Po raz kolejny wszedł na metalowy katafalk i zatrzymał się obok Prospera. Z wyjątkiem nagich, pozbawionych włosów ciał w regeneracyjnych kadziach konserwatori zwłoki widywał dopiero od kilku miesięcy. Podobnie jak wszyscy inni ludzie dawnego typu. Oczywiście miał w pamięci świeże wspomnienia pogrzebów w Ardis i znał już straszliwe oznaki śmierci – siną skórę, stężenie, oczy wyglądające tak, jakby umykały przed światłem, twardość zimnego ciała. Ta kobieta – ta Savi – nie nosiła żadnego z owych znamion. Miała miękką i zaróżowioną życiem skórę. Niemal czerwone wargi i podobnej barwy sutki. Obrębione długimi rzęsami powieki były co prawda zamknięte, lecz odniósł wrażenie, że lada chwila mogłaby je otworzyć.

– Dotknij jej – powtórzył Prospero.

Harman wyciągnął drżącą rękę, lecz zaraz gwałtownie ją cofnął. Ciało martwej kobiety otoczone było cienką warstwą pola siłowego – wyczuwalną, choć przepuszczalną. Powietrze pod jej tarczą było znacznie cieplejsze niż w krypcie. Spróbował raz jeszcze. Przyłożył palce do jej gardła i wyczuł puls delikatny jak kołysanie skrzydełek motyla. Przesunął dłoń między dziewczęce piersi. Tak, serce biło. Powoli i nieznacznie, bardziej ospale niż u ludzi pogrążonych w zwykłym, zdrowym śnie.

– W podobnych warunkach śpi teraz twój przyjaciel Nikt – podjął półgłosem Prospero. – Sarkofag wstrzymuje czas. Różnica polega na tym, że ta kryształowa trumna nie zamknęła jej na trzy dni, by uzdrowić ciało. Spoczęła w niej ponad tysiąc czterysta lat temu.

Harman cofnął dłoń, jakby coś go ukąsiło.

– Niemożliwe – rzucił.

– Czyżby? Zbudź ją i wypytaj.

– Kim ona jest? – zapytał Harman z naciskiem. – Przecież to nie Savi!

Czarownik odpowiedział uśmiechem. Pod nimi skłębiły się obłoki, zasnuły zbocze Czomolungmy. Siwe pasma oblewały szklane ściany i posadzkę krypty.

– Nie. To jednak nie może być Savi, prawda? – podjął mag. – Kiedy ją poznałem, nazywała się Mojra.

– Mojra? Czyli ten gmach... został nazwany ku jej czci?

– Oczywiście. W końcu to jej grobowiec. Czy raczej miejsce spoczynku. Mojra jest postczłowiekiem, przyjacielem Nikogo.

– Postludzie nie żyją... Zniknęli. Razem z Daemanem i Savi oglądaliśmy ich ciała. Poranione kłami Kalibana, zmumifikowane, szybujące w cuchnącym powietrzu twojej orbitalnej wyspy. – Harman raz jeszcze cofnął się od trumny.

– Mojra jest ostatnią z nich – powiedział Prospero. – Ponad tysiąc pięćset lat temu przybyła na Ziemię z pierścienia B. Była miłością i żoną Ahmana Ferdinanda Marka Alonzo Chan Ho Tepa.

– Czyli kogo? – Chmury zagarnęły już w posiadanie całą kryptę i Harman poczuł wreszcie, że stoi na stabilnym gruncie. Przez szklaną posadzkę widział jedynie szarą watę obłoków.

– Wielbiciela ksiązek. Spadkobiercy pierwszego Chana – odpowiedział mag. – To on władał tym, co zostało z Ziemi, w chwili gdy uaktywniły się wojniksy. Ten temporalny grobowiec kazał wznieść z myślą o sobie, lecz Mojrę darzył miłością tak wielką, że przekazał go jej. Dlatego przespała w nim tyle stuleci.

Harman zdobył się na słaby wybuch śmiechu.

– To bez sensu. Dlaczego ten Ho Tep, czy jak mu tam, nie zbudował dla siebie drugiego sarkofagu?

Uśmiezek Prospera doprowadzał go do szału.

– Oczywiście, że zbudował. Tutaj, tuż obok trumny Mojry. Pamiętaj jednak, że nawet w miejscach tak niedostępnych jak Rangbok Pumori Chu-mu-lang-ma Feng Dudh Kosi Lhotse-Nuptse Khumbu aga Ghat-Mandir Khan Ho Tep Rauza w końcu pojawiają się goście. Zwłaszcza jeśli mają na to półtora tysiąca lat. Jeden z pierwszych intruzów wyciągnął stąd temporalny sarkofag Ahmana Ferdinanda Marka Alonzo Chana wraz z zawartością i strącił go w przepaść, prosto na lodowiec.

– Dlaczego w takim razie zostawił w spokoju tę... Mojrę? – dopytał Harman. Wyraźnie nie dowierzał.

Prospero wskazał śpiącą dziewczynę pokrytą wątrobowymi plamami ręką.

– A czy ty wyrzuciłbyś takie ciało?

– W takim razie, dlaczego rabuś nie ogołocił z kosztowności sali na górze? – zapytał podejrzliwie Harman.

– Zainstalowano w niej pewne zabezpieczenia. Z przyjemnością ci je potem pokażę.

– A z jakiego powodu nie obudzili tej... kobiety?

– Próbowali. – Czarownik pokiwał głową. – Nie zdołali jednak otworzyć sarkofagu.

– Tobie poszło jak z płatką.

– Towarzyszyłem Ahmanowi Ferdinandowi Markowi Alonzo Chanowi, kiedy projektował tę maszynę – odpowiedział mag. – Znam wszystkie wymagane kody i hasła.

– Więc sam ją obudź. Chcę z nią pomówić.

– Nie potrafię jej zbudzić. Grabieżcy również nie zdołaliby tego uczynić, nawet gdyby złamali zabezpieczenia i otworzyli sarkofag. Mojrę może przywrócić do życia tylko jedno.

– Co takiego?

– Stosunek płciowy, który odbędzie z jej uśpionym ciałem Ahman Ferdinand Mark Alonzo Chan bądź jeden z jego męskich potomków.

Harman otworzył usta, stwierdził, że nie ma nic do powiedzenia, i je zamknął. Wlepił spojrzenie w maga. Prospero musiał być szalony. Obłąd dopadł go dawniej lub dopiero w tej chwili – trzeciej opcji nie było.

– A ty jesteś potomkiem Ahmana Ferdinanda Marka Alonzo Chan Ho Tepa, jesteś dziedzicem Chanów – ciągnął Prospero obojętnie, jakby rozprawiał na temat pogody. – Wyrwać Mojrę ze snu może tylko zawarte w twojej spermie DNA.

Mahnmut i Orphu spotkali się na kadłubie „Królowej Mab”. Jedyne tutaj mogli porozmawiać w spokoju. Zaraz po przekroczeniu orbity Księżyca wielki statek przestał wyrzucać bomby atomowe w puszkach po coli – owszem, planowali obwieścić swoje przybycie, lecz nie chcieli jednocześnie sprowokować mieszkańców pierścieni do ostrzału – i hamował teraz z lekkim przeciążeniem jednej ósmej g, posługując się wyłącznie zainstalowanymi na krótkich wysięgnikach pomocniczymi silnikami jonowymi. Mahnmut z przyjemnością spojrzął na jarzącą się za rufą błękitną poświatę. Na szczęście nie musiał już przez cały czas oglądać miarowych rozbłysków atomowego ognia.

Podczas wytracania prędkości niewielki morawiec musiał na zewnątrz statku zachować szczególną ostrożność. Zabezpieczał się smyczami, chwycił się trapów i drabinek, które oplatały długi na tysiąc stóp statek gęstą siecią. Zdawał też sobie sprawę, że jeśli popełni jakąś głupią nieostrożność, Orphu z Io niezawodnie ruszy mu na pomoc. W próżni mógł przebywać najwyżej dwanaście godzin. Po upływie tego czasu skończyłby mu się zapas powietrza i substancji odżywczych. Jak dotąd rzadko korzystał z wbudowanych w plecy dopalaczy. Natomiast Orphu nie zwracał najmniejszej uwagi na skrajnie niskie temperatury, piekący żar, wściekłe emisje promieniowania i całkowity brak tlenu. Czuł się jak w domu.

– Więc co teraz? – spytał przyjaciela Mahnmut.

– Moim zdaniem najważniejsze jest sprowadzenie promu i „Mrocznej damy” na Ziemię – odpowiedział Orphu. – Musimy lądować jak najszybciej.

– My? – zdziwił się Mahnmut. – Znaczy... My?

W myśl planu za sterami promu miał zasiąść Suma IV. Na pokładzie znalazłby się też generał Beh bin Adi wraz z trzema dziesiątkami żołnierzy – skałowców pod komendą centuriona Mep Ahoo. Wojskowi mieli zająć kabinę, podczas gdy Mahnmut przez cały lot nie opuściłby sterówki batyskafu. W razie potrzeby Suma IV bądź inny uprawniony morawiec miał zejść do „Mrocznej damy” przez główną śluzę. Mahnmut obawiał się rozstania ze starym przyjacielem, lecz nikt niestety nie przewidywał udziału w misji wielkiego, niewidomego morawca. Orphu musiał pozostać na pokładzie „Królowej” w charakterze fachowca od systemów zewnętrznych.

– Jacy my? – dopytał Mahnmut.

– Po namyśle stwierdzam, że moja osoba jest nieodzownym elementem tej misji – zagrzemiał Orphu. – Poza tym masz w ładowni tę przytulną niszę. Przewody tlenowe, elektryczne, łącza komunikacyjne, radar, dostęp do pozostałych czujników... Dla mnie to w sumie jak wakacje.

Mahnmut pokręcił głową, przypomniał sobie, że przyjaciel jest ślepy, po czym dotarło do niego, iż Orphu i tak zauważy ruch dzięki radarowi i czujnikom podczerwieni. Powtórzył gest.

– Dlaczego tak ci zależy na locie na Ziemię? Przez to możemy stracić szansę na

spotkanie z istotą, która nadaje z miasta w pierścieniu B.

– Walić nadawców z pierścieni – burknął Orphu. – W tej chwili liczy się jak najszybsze dotarcie na powierzchnię.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego? – zawtórował wielki morawiec. – Dlaczego? To ty masz oczka, mały kompanie. Zapomniałeś już o teleskopowych zdjęciach, które tak udatnie mi opisałeś?

– Masz na myśli spaloną wioskę?

– Tak, mam na myśli spaloną wioskę – przyznał Orphu. – I te trzydzieści czy czterdzieści innych rozsianych po całym świecie osiedli, które najwyraźniej zostały zaatakowane przez hordy bezgłowych istot specjalizujących się w szlachtowaniu dawnych ludzi. To dawni ludzie, Mahnmut, tacy sami jak ci, którzy zaprojektowali naszych przodków.

– Od kiedy prowadzimy tu misję ratunkową? – odparł Mahnmut.

Z perspektywy kadłuba „Królowej” Ziemia jawiła się wielką, stale rosnącą błękitną kulą. Okalające planetę pierścienie skrzyły się przepięknie.

– Od chwili, w której zobaczyliśmy zdjęcia mordowanych ludzi.

Mahnmut usłyszał w głosie przyjaciela znajome infradźwiękowe pomruki. Zwykle oznaczały jedno z dwojga: albo Orphu był czymś rozbawiony, albo bardzo poważny. W tym momencie nie miał zbyt wielu powodów do wesołości.

– Wydawało mi się, że mieliśmy ocalić przed kwantową zagładą Pięć Księżyców, Pas Asteroid i cały Układ Słoneczny.

– Tym zajmiemy się jutro – zadudnił Orphu. – Dzisiaj mamy szansę pomóc ludziom.

– Ale jak? – zapytał Mahnmut. – Nie wiemy, co się tam dokładnie dzieje. Przecież te bezgłowe metalowe istoty mogą być robotami bojowymi, które ludzie wykorzystują w walkach między sobą. Chcesz, byśmy wzięli udział w jakimś lokalnym konflikcie? Nikt nas nie zapraszał.

– Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

Mahnmut umilkł. Powiódł wzrokiem w dal, poza jonowe silniki, z których były ostre snopy błękitu. Niebieskie promienie mierzyły w rosnący w oczach niebiesko-biały glob.

– Nie – przyznał po chwili. – Nie wierzę. Wydaje mi się, że na Ziemi dzieje się coś, z czym dotąd nie mieliśmy do czynienia. Podobnie jak było na Marsie, na Ziemi Ilionu i wszędzie indziej.

– Masz rację – powiedział Orphu z Io. – Wracajmy do środka. Musimy przekonać Asteague/Che i pozostałych naczelników integratorów, żeby wystrzelili prom z batyskafem, kiedy znajdziemy się już po drugiej stronie planety. Ze mną na pokładzie.

– Jak niby chcesz ich do tego przekonać?

Tym razem infradźwiękowy pomruk Orphu, dźwięk, od którego wibrowały kości, zabrzmiał wesołą nutą.

– Złożę im propozycję nie do odrzucenia.

Harman niczego w świecie nie chciał tak bardzo, jak znaleźć się jak najdalej od kryształowej trumny. Najchętniej wróciłby do wagonika, lecz powiewy szalejącej na zewnątrz wichury bez wątpienia osiągały już prędkość stu mil na godzinę i w jednej chwili zdmuchnęłyby go z marmurowego placu Tadź Mojry. Zadowolili się więc wspinaczką przez antresole wielkiej biblioteki.

Szedł po krętych, wąskich pomostach i wkrótce znalazł się bardzo wysoko. Każdy kolejny poziom wysuwał się dalej w stronę środka wielkiej sali niż poprzedni. Gdyby dla Harmana nie liczyło się przede wszystkim pragnienie ucieczki od śpiącej kobiety, poczułby na tych żelaznych, niezabezpieczonych kładkach silne zawroty głowy.

Na grzbietach książek brakowało tytułów. Wszystkie były identycznego formatu. Zgromadzony w potężnym gmaszysku księgozbiór musiał liczyć setki tysięcy tomów. Sięgnął po losowo wybrany i otworzył na chybił trafił. Stronice zadrukowane były małymi literami układającymi się w słowa przedrubikonowej angielszczyzny. Takiej starej książki nie miał w ręku jeszcze nigdy. Odczytanie na głos i zrozumienie kilku pierwszych zdań zabrało mu dobre kilka chwil. Wsunął książkę z powrotem na miejsce i przyłożył dłoń do grzbietu. Jednocześnie wyobraził sobie szereg pięciu niebieskich trójkątów.

Funkcja siglowania nie zadziałała. Z książki nie popłynął wzdłuż jego ręki znajomy strumień złotych słów. Albo budowniczy biblioteki uniemożliwili siglowanie w jej wnętrzu, albo po prostu starożytne księgi nie dawały się siglować.

– Znam sposób, w jaki mógłbyś przeczytać je wszystkie – rozległ się głos Prospera.

Harman aż podskoczył. Pojawienia się maga nie poprzedził odgłos kroków na metalowym pomoście. Po prostu zmaterializował się nagle tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

– Jak to? – rzucił Harman z niedowierzaniem.

– Wagonik odjedzie za dwie godziny – oznajmił czarownik. – Jeżeli się spóźnisz, będziesz musiał trochę poczekać. Następny zatrzyma się w Tadź Mojrze dokładnie za jedenaście lat. Dlatego, jeżeli chcesz przeczytać wszystkie te książki, powinieneś się brać do roboty.

– W zasadzie mogę jechać nawet i zaraz – stwierdził Harman. – Tyle że przy tej cholernej wichurze nie dojdę do wagonika.

– Gdy będziemy gotowi, polecę serwitorowi przeciągnąć przez plac zabezpieczającą linę – obiecał Prospero.

– Serwitorowi? Są tutaj działające serwitory?

– Oczywiście, że tak. Myślałeś że mechanizmy w Tadź Mojrze i eiffelbahn naprawiają się i konserwują same z siebie? – Mag zachichotał. – Chociaż w pewnym sensie tak właśnie jest. Większość serwitorów to nanoboty, zbyt małe, byś mógł je zauważyć.

– W Ardis i pozostałych ludzkich osiedlach serwitory przestały działać –

powiedział Harman. – Po prostu w jednej chwili wysiadły. Od dawna nie mamy też prądu.

– Naturalnie. – Prospero pokiwał głową. – Zniszczenie Konserwatorni i mojej wyspy nie pozostało bez konsekwencji. Ale orbitalna i planetarna sieć energetyczna wciąż jest bez szwanku. Gdybyście się zdecydowali, moglibyście nawet korzystać z Konserwatorni.

Harman nie dowierzał własnym uszom. Odwrócił się i oparł o żelazną poręcz. Oszołomiony łapał głębokie hausty powietrza, nie dbając o to, że od marmurowej posadzki grobowca dzieli go przepaść. Kiedy przed dziewięcioma miesiącami wraz z Daemanem, pod kierownictwem maga, skierowali na wyspę Prospera „akcelerator z tunelem czasoprzestrzennym”, zrobili to, by zniszczyć odrażającą spiżarnię Kalibana, Konserwatornię, w której potwór od setek lat karmił się ciałami i kośćmi ludzi kończących Ostatnią Dwudziestkę. Od tamtego dnia, od chwili, w której razem z Konserwatornią zniknęła możliwość faksowania i regeneracji po poważniejszych wypadkach i ukończeniu kolejnych Dwudziestek, śmierć i starość stały się dla ludzkości nowymi i trwałymi elementami życia. Jeśli jednak Prospero przed chwilą nie skłamał, wieczna młodość i praktyczna nieśmiertelność wciąż były osiągalne. Harman nie był pewien, co o tym sądzić, lecz sama myśl o podjęciu podobnej decyzji przyprawiła go o mdłości.

– Chcesz powiedzieć, że istnieje druga Konserwatornia? – Mimo że odezwał się szeptem, słowa poniosły się echem daleko pod gigantyczną kopułą.

– Oczywiście. Na orbitalnej wyspie Sykoraks. Wystarczy ją aktywować. Podobnie jak orbitalne projektory energetyczne i automatyczny system faksów.

– Sykoraks? – powtórzył Harman. – Wiedźma, która, jak mówisz, jest matką Kalibana?

– Tak.

Harman już miał zapytać, w jaki sposób mógłby dostać się na pierścienie, by włączyć Konserwatornię i faksowęzły, lecz przypomniał sobie, że może tam polecieć stacjonującym w Ardis sonikiem Savi. Ponownie głęboko odetchnął.

– Harmanie, przyjacielu Nikogo – podjął Prospero – musisz mnie uważnie wysłuchać. Możesz to miejsce opuścić. Wagonik odjedzie już za godzinę i pięćdziesiąt cztery minuty. Możesz też wyjść na plac, skoczyć w przepaść i roztrzaskać się na lodowcu Khumbu. Wybór należy do ciebie. Niemniej, jeżeli nie obudzisz Mojry, równie pewny jak to, że po dniu nastaje noc, stanie się fakt, iż nigdy już nie ujrzysz swej Ady. Nie wrócisz do domu, do ruin Dworu Ardis, nie zobaczysz swych przyjaciół Daemana i Hanny, nikogo, kto przetrwa wojnę z wojnikami i kalibanami, a sam będziesz patrzeć, jak zieloną Ziemię zagarnie trupi błękit wygłodniałego Setebosa.

Harman cofnął się o krok od maga i zacisnął pięści. Prospero podpierał się na kosturze niczym na lasce, lecz był w stanie w jednej chwili wykonać nią delikatny ruch, który posłałby Harmana setki stóp w dół, prosto na migocące klejnotami marmurowe przepierzenia.

– Musi istnieć jakiś inny sposób... Na pewno można ją obudzić inaczej – wycodził przez zęby.

– Innej metody nie ma.

Harman bezsilnie uderzył w żelazną barierkę.

– Bez sensu. To się kupy nie trzyma.

– Nie obarczaj swego umysłu trudem roztrząsania tych zawiłych kwestii – głos maga poniósł się wysoko pod kopułę. – Mojra w dowolnie wybranym momencie zdradzi ci rozwiązania wszelkich tajemnic. Najpierw jednak będziesz ją musiał obudzić.

Harman pokręcił głową.

– Nie wierzę, że jestem potomkiem tego całego Ahmana, jak mu tam, Chan Ho Tapa – rzucił. – Przecież to niemożliwe. Nas, ludzi dawnego typu, postludzie stworzyli dopiero setki lat po tym, jak pobratymcy Savi zniknęli w Ostatnim Faksowaniu i...

– Otóż to – przerwał mu Prospero z uśmiechem. – Jak ci się wydaje, przyjacielu Nikogo, skąd pochodziły wzorce waszego DNA i ciała? Między innymi tę sprawę wyjaśni ci sama Mojra. Jest w końcu postczłowiekiem, ostatnią przedstawicielką swej rasy. Pomoże ci również przeczytać cały tutejszy księgozbiór, zanim wagonik opuści tę stację. Niewykluczone, że powie ci, w jaki sposób możecie pokonać wojniksy i kalibany, a być może nawet zwyciężyć z Kalibanem i jego panem, potężnym Setebossem. Na decyzję masz jednak coraz mniej czasu. Zastanów się, czy życie Ady jest, czy nie jest warte małego aktu niewierności. Eiffelbahn ruszy w dalszą drogę już za godzinę i czterdzieści pięć minut, a z trwającego ponad tysiąc czterysta lat snu niełatwo się wybudzić. Mojra będzie potrzebować nieco czasu, by dojść do siebie, najeść się i zrozumieć nasze położenie. Dopiero potem będzie gotowa wyruszyć z nami.

– To ona pojedzie z nami? – zdziwił się Harman niemądrze. – Wagonikiem? Do Ardis?

– Niemal na pewno – powiedział Prospero.

Harman ścisnął metalową poręcz tak mocno, że jego knykcie poczerwieniały, po czym zupełnie zbieleły. Puścił ją i spojrzał magowi prosto w oczy.

– Dobrze. Ale ty zaczekaj tutaj. A jeszcze lepiej wróć do wagonika. Nie chcę, żebyś mnie podglądał. Zrobię to, ale muszę zostać sam.

Prospero zniknął, dosłownie rozplynął się w powietrzu. Harman jeszcze przez chwilę stał na wysokiej antresoli, wdychając zatechłą woń starych książek i zapach skórzanych opraw. Wreszcie odwrócił się i zbiegł po schodach.

Spod Głodnej Skały do pawilonu faksowężła ruszyła bezładna grupa czterdziestu pięciu zmarzniętych, obdartych osób. Na czele szedł Daeman, niosąc plecak z otoczonym jasną aurą, od czasu do czasu dygocącym, jajem Setebosa. Obok niego – mimo wstrząśnienia mózgu i połamanych żeber – kroczyła Ada. Najgorsze okazało się kilka pierwszych mil wędrówki. Podłoże w lesie było nierówne i usiane kamieniami. Widzieli niewiele, a na domiar złego ponownie sypnęło śniegiem. Bez przerwy spodziewali się ponownej napaści wojniksów. Minęło jednak trzydzieści minut, potem trzy kwadransy, i wreszcie okrążyła godzina i potwory nie zaatakowały. Nie zobaczyli nawet jednego wojniksa. Ludzie mogli wreszcie z ulgą odetchnąć.

Sto stóp nad ich głowami leciał sonik z Greogim, Tomem i ósemką najpoważniej rannych obrońców Ardis. Greogi co jakiś czas sforował się na czoło pochodu, zataczał krąg nad lasem i wracał, obniżając na moment lot, by przekazać najnowsze informacje.

– Wojniksy są mniej więcej pół mili przed wami, ale bez przerwy się wycofują. Wyraźnie uciekają przed jajem.

Więści niespecjalnie poprawiły Adzie nastrój. Wciąż czuła potężny, pulsujący ból głowy oraz tępe rwanie nadgarstka i popękanych żeber, które narastało przy każdym oddechu. Dziewczyna dobrze pamiętała, że wojniksy potrafią przemieszczać się błyskawicznie. Nawet wśród drzew były zdolne przeprowadzić niespodziewany atak. Pół mili pokonałyby w okamgnieniu. Uciekinierzy dysponowali około dwudziestoma pięcioma sztukami broni palnej, lecz powoli kończyła się im amunicja. Ada, jako ranna, nie dostała karabinu ani pistoletu, przez co, idąc na przedzie kolumny, czuła się nieprzyjemnie bezbronna, mimo obecności Daemana, Edide, Bomana i kilku innych. Przecinające las zasy pyły sięgały miejscami na metr i Ada ledwie znajdowała w sobie energię, by przedzierać się przez kolejne zwały mokrego, oblepiającego nogi śniegu.

Brnęli niemilosiernie powoli – także wtedy, gdy zostawili wreszcie za sobą najbardziej skalistą i gęsto zadrzewioną połąć lasu. Wędrówkę do biegnącej na południowym wschodzie drogi łączącej Ardis z pawilonem spowalniali ranni i chorzy, w tym ofiary dwudniowego wychłodzenia. Siris, jedna z lekarek, bezustannie krążyła pomiędzy poszkodowanymi, niosąc pomoc potrzebującym i napominając koczujących na czele, by nie szli zbyt szybko.

– Nie rozumiem – odezwała się Ada, gdy weszli na rozległą łąkę, którą pamiętała z licznych letnich spacerów.

– Czego nie rozumiesz? – Daeman trzymał plecak jak najdalej od siebie, jakby bił od niego smród.

Ada po chwili poczuła, że jajo rzeczywiście cuchnie – fetor przypominał woń gnijących ryb i ścieków. Niemniej skorupka nadal świeciła i co jakiś czas nieznacznie się trzęsła, więc mały Setebos zapewne nie umarł.

– Nie pojmuję, dlaczego wojniksy zaczęły od nas uciekać. Myślisz, że to przez jajo?

– Wygląda na to, że się go boją. – Przełożył plecak z prawej do lewej dłoni.

– No tak, to akurat sama zauważyłam – prychnęła Ada nieco zbyt opryskliwie. Dręczący ból głowy, żeber i ramion sprawiał, że łatwo traciła nad sobą panowanie. – Nie wiem natomiast, co wojniksy mają wspólnego z tym... stworem z Krateru Paryskiego?

– Też nie wiem – przyznał Daeman.

– Wojniksy żyły wśród nas od... zawsze – przypomniała Ada. – A ten potwór, Setebos, pojawił się dopiero tydzień temu.

– Owszem – stwierdził chłopak. – Mam jednak wrażenie, że istnieje między nimi jakiś związek. Niewykluczone, że istniał od zawsze.

Ada pokiwała głową, skrzywiła się z bólu i szła dalej. Prawie nikt nie kwapił się do rozmów. Grupa zanurzyła się w kolejną połąć gęstego lasu. Pokonali znajomy – niemal w całości zamarznięty – strumień i zeszli po stromym stoku wzgórza, porośniętym kępami chwastów i wysokiej, oszronionej trawy.

Sonik zawisł tuż nad ich głowami.

– Do drogi zostało wam ćwierć mili! – zawołał Greogi. – Wojniksy oddalają się na południe. Są przynajmniej dwie mile stąd.

Kiedy uchoǳcy z Ardis dotarli do drogi, zaczęli między sobą szemrać. Rozległy się szeptane rozmowy, ludzie poklepywali się po plecach. Ada spojrzała na zachód, w kierunku dworu. Zobaczyła kryty most i zakręt, ale samego budynku oczywiście nie było. Zniknęły już nawet bijące pod niebo smugi czarnego dymu. Poczowała nudności i była przez chwilę pewna, że zaraz zwymiotuje. W oczach zatańczyły jej ciemne plamy. Przystanąła, wsparła dłonie na kolanach i zwiesiła głowę.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się Laman. Ubranie brodacza wisiało w strzępach. Prawą, pozbawioną czterech palców dłoń owinał kawałkiem tkaniny. Pamiątka po bitwie o Ardis.

– Dobrze – odparła Ada. Wyprostowała się, rzuciła mężczyźnie przelotny uśmiech i przyśpieszyła kroku, by dogonić idącą na czele grupkę.

Do faksowężła została im niecała mila. Otoczenie wyglądało swojsko, niecodzienny był jedynie pokrywający wszystko śnieg. Po wojniksach nie został nawet najmniejszy ślad. Sonik wciąż krążył pod niebem, na przemian wracał i odlatywał. Greogi przy każdym powrocie dawał im znać, że droga jest bezpieczna.

– Daeman, dokąd się faksujemy? – spytała Ada. Sama usłyszała, że mówi bardzo cicho i beznamiętnie. Zmęczenie i ból wyprały jej głos z energii.

– Nie wiem – odparł smukły, muskularny młody mężczyzna. W niczym nie przypominał już dawnego otyłego estety, który uparcie próbował ją uwieść. – Nie mam pojęcia, gdzie moglibyśmy osiąść na dłużej. Chom, Ułanbat, Krater Paryski, Bellinbad i reszta większych osiedli zniknęły już pewnie pod niebieskim lodem Setebosa. Znam za to pewien niezamieszkały węzeł. Odwiedzam go od czasu do czasu. To gdzieś w tropikach. Bardzo ciepły klimat. Jest wyludnione miasteczko i ocean. Nie wiem który. No i zatoka. Poza jaszczurkami i kilkoma dzikimi świniami nie widziałem zbyt wielu zwierząt, ale te, które spotkałem, nie bały się człowieka. Moglibyśmy nałowić trochę ryb, zapolować, zrobić trochę nowej broni, zająć się rannymi. Rozumiesz, dobrze będzie przycząić się na jakiś czas i zastanowić w spokoju, co dalej.

– A jak wtedy znajdą nas Harman, Hanna i Odyseusz? – Ada ściągnęła brwi.

Daeman umilkł i dziewczyna stwierdziła w duchu, że doskonale wie o czym pomyślał. „Nie wiemy nawet, czy Harman żyje. Petyr mówił, że zniknął wraz z Arielem”.

– Żaden problem – powiedział. – Będziemy tu regularnie przysyłać zwiadowców.

Poza tym, możemy zostawić w zgłiszczach dworu wiadomość z numerem faksu, pod którym nas znajdą. Harman umie czytać, a wojniksy chyba nie.

Ada posłała mu błady uśmiech.

– Nie zapominaj, że wojniksy raz po raz nas czymś zaskakują.

– Racja – przytaknął Daeman.

Przez resztę drogi do pawilonu nie zamienili już ze sobą ani słowa.

Budynek węzła wyglądał w zasadzie identycznie jak wtedy, gdy Daeman odwiedził go dwie doby wcześniej. Zniszczona palisada. Plamy zaschniętej ludzkiej krwi. Nie było jednak ciał. Musiały je rozwlec wojniksy bądź dzikie zwierzęta. Sama stacja ocalała, na środku okrągłego pomieszczenia wciąż stała kolumnienka faksu.

Uchodźcy z Ardis stanęli na skraju pawilonu, niepewnie oglądając się co chwila w stronę ciemnego lasu. Sonik właśnie wylądował i kilka osób pomagało wysiadać rannym, niektórych wynoszono.

– Spokój w promieniu pięciu mil – powiedział Greogi. – Aż dziwne. Wypatrzyłem tylko garstkę wojniksów, wiały na południe jakbyście je gonili.

Daeman spojrział na mlecznobiałe jarzące się jajo i westchnął.

– Nie zamierzam ich gonić – powiedział. – Po prostu chcemy się stąd wynieść do diabła.

Przedstawił swój plan Greogiemu i reszcie towarzyszy.

Rozgorzała krótka, burzliwa dyskusja. Część ocalałych wolałaby faksować się do znanych węzłów i sprawdzić, czy ich rodziny i przyjaciele zdołali przeżyć. Caul był pewien, że Setebos nie zdążył jeszcze zniszczyć swym lodem Posiadłości Lomana, a tam przebywała jego matka.

– Dobrze, już dobrze! Wysłuchajcie mnie, proszę! – Daeman przekrzyczał podniesione głosy. – Nie mamy pojęcia, gdzie jest Setebos. Pamiętajmy jednak, że ten potwór zdołał zamienić całe wielkie miasto, cały Krater Paryski, w błękitny lodowy zamek i zabrało mu to niecałe dwadzieścia cztery godziny. Odkąd stamtąd wróciłem, minęły dwie doby, a po mnie nie faksował się do Ardis już nikt. Oto, co proponuję...

Ada zauważyła, że gwar ucichł. Ludzie słuchali Daemana z uwagą. Dostrzegli w nim przywódcę, tak jak dawniej w niej samej... i w Harmanie. Zebrało się jej na płacz.

– Zdecydujemy, czy powinniśmy jeszcze przez jakiś czas trzymać się razem, czy nie – podjął Daeman. Dźwięczny głos chłopaka niósł się wyraźnie dokoła. – Możemy urządzić głosowanie i...

– Co to jest głosowanie? – zapytał Boman.

Daeman wytłumaczył.

– Czyli jeśli więcej niż połowa nas... za... zagłosuje, żebyśmy trzymali się razem, wszyscy będą musieli się temu podporządkować? – upewniła się Oko.

– Tymczasowo – powiedział Daeman. – Założmy, że przez... tydzień. W grupie będziemy bardziej bezpieczni, niż gdybyśmy podróżowali pojedynczo. Poza tym są wśród

nas ranni i chorzy, którzy sami sobie nie poradzą. Jeżeli zaczniemy teraz faksować się po całym świecie, to jak się potem odnajdziemy? Czy powinniśmy oddać broń palną i kuszę tym, którzy wolą odejść? Czy broń zostaje z grupą?

– A co będziemy przez ten tydzień robić? O ile zgodzimy się faksować do tego twojego tropikalnego rajku? – spytał Tom.

– Przecież dopiero co tłumaczyłem – odparł Daeman. – Dojdziemy do siebie. Odetchniemy. Znajdziemy lub skonstruujemy dodatkową broń. Postawimy też jakieś umocnienia... Pamiętam, że tuż za rafą widziałem niewielką wyspę. Moglibyśmy zbudować łodzie, a na wyspie sklecić domy i zasieki...

– Myślisz, że wojniksy nie potrafią pływać? – wtrącił Stoman.

Wszyscy zebrani parsknęli nerwowym śmiechem. Ada popatrzyła na Daemana. Humor był co prawda wisielczy – wyrażenie to poznała, siglując stare książki z biblioteki w Ardis – ale pozwolił rozładować napięcie.

Daeman również się zaśmiał.

– Nie mam pojęcia, ale jeśli nie, ta wyspa byłaby dla nas wymarzoną kryjówką.

– Dopóki nie urodzi się nam tyle dzieci, że zabraknie na niej miejsca – rzucił Tom.

Kolejny wybuch śmiechu był jeszcze bardziej wesoły.

– Z tamtego faksowężła będziemy rozsyłać grupki zwiadowców – podjął Daeman.

– Zaczniemy od razu, pierwszego dnia. Dzięki temu zyskamy jako takie rozeznanie w sytuacji na świecie, dowiemy się, do których stacji można podróżować bezpiecznie. A po tygodniu odejdą wszyscy, którzy zechcą. Myślę po prostu, że bezpieczniej będzie zostać razem, dopóki chorzy nie wydobrzeją, a pozostali się nie odkarmią i porządnie wyśpią.

– Dobrze. Zagłosujmy – powiedział Caul.

Zaczęli powoli unosić ręce. Niektórzy nadal śmiali się z pomysłu, że poważną sprawę ma rozstrzygnąć zwykły gest dłoni. Oddano czterdzieści trzy głosy za pozostaniem w grupie, siedem głosów przeciwnych. Udziału nie wzięła trójka nieprzytomnych rannych.

– Zatem wszystko jasne. – Daeman ruszył w stronę platformy faksowej.

– Momencik – zatrzymał go Greogi. – Co z sonikiem? Nie da się go faksować i jeżeli zostanie, wpadnie w łapy wojniksów. A przecież już nieraz uratował nam skórę.

– Jasna cholera! – zaklął Daeman. – O tym nie pomyślałem. – Przetarł dłonią brudną i uwalaną smugami zakrzepłej krwi twarz.

Ada zauważyła, że spod maski człowieka pełnego energii wyziera potworne zmęczenie.

– Mam pewną myśl – odezwała się.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się w jej stronę.

– Większość już wie, że Savi pokazała nam w zeszłym roku kilka nowych funkcji...

Bliskosiec, dalekosiec i wszechsiec. Część z was miała już okazję je wypróbować. Kiedy dotrzemy do tropikalnego rajku Daemana, skorzystamy z dalekosieci, przekonamy się, gdzie jesteśmy, a potem ktoś przefaksuje się z powrotem do Ardis i poleci sonikiem na wyspę. Harman, Hanna, Petyr i Nikt dotarli do Golden Gate w niecałą godzinę, więc lot do rajku nie powinien potrwać znacznie dłużej.

Niektórzy odpowiedzieli chichotem, większość pokiwała głowami.

– Mam jeszcze lepszy pomysł – odezwał się Greogi. – Faksujcie się wszyscy do raję, a ja tu zostanę i przypilnuję sonika. Potem przyślijcie kogoś z informacją i przyprowadzimy sonik jeszcze dzisiaj.

– Zostanę z tobą. – Laman podrzucił karabin w zdrowej, lewej dłoni. – Jeżeli wojniksy wrócą, przyda ci się ktoś, kto potrafi strzelać. Poza tym w towarzystwie nie zaśniesz w locie.

Daeman rozciągnął usta w zmęczonym uśmiechu.

– Czyli wszystko ustalone? – zwrócił się do grupy.

Ludzie zaczęli przepychać się do faksu.

– Momencik – dodał Daeman. – Nie wiemy, co zastaniemy na miejscu. Chcę, żeby w pierwszej kolejności przeniosła się ze mną szóstka osób z karabinami, Caul, Kaman, Elle, Boman, Casman i Edide. Jeśli wszystko będzie w porządku, za parę minut jedno z nas wróci. Potem faksujmy chorych i rannych. Tom, Siris, wytypujcie, proszę, noszowych. Greogi, ty z szóstką strzelców przypilnujesz reszty, dobra?

Odpowiedziały mu niecierpliwe skinienia. Uzbrojeni ludzie podeszli do gwiazdy wpuszczonej w podłogę na środku pawilonu. Daeman uniósł dłoń do klawiatury.

– Lecimy. – wstukał kod swego bezludnego węzła.

I nie stało się nic. Nie zaszumiało powietrze, nikt nie zniknął.

– Spróbujcie pojedynczo – rzucił Daeman, mimo że portale faksowe zawsze bezproblemowo przenosiły sześcioosobowe grupki. – Caul, stań na gwieździe.

Caul nerwowo ścisnął w dłoniach karabin i wszedł na podest. Daeman ponownie wpisał kod.

Nadaremnie. Tylko silniejszy powiew wiatru zagonił do pawilonu tuman śniegu.

– Może ten twój węzeł jest już nieaktywny? – zasugerowała stojąca w tłumie Seas.

– Racja. Sprawdzę Posiadłość Lomana. – Daeman wpisał odpowiedni kod. Znał go na pamięć.

Bez skutku.

– Kurde! Boże święty! Jezu Chryste! – zawołał przysadzisty Kaman. Przecisnął się między zebranymi i podszedł do Daemana. – Może źle wpisujesz? Pokaż mi to!

Spróbować chciało kilka osób. Wstukali ponad trzydziestkę powszechnie znanych kodów. Nie zadziałał ani jeden. Nie można się było faksować do Krateru Paryskiego, do Chom czy Bellinbadu. Ani do Ułanbatu. Faksy przestały funkcjonować.

Ostatecznie wszyscy stanęli w milczeniu oszołomieni, wstrząśnięci, z malującą się w spojrzeniach grozą i poczuciem beznadziei. Tak dojmująco przygnębieni nie poczuli się przez cały zeszyły rok; w tym stopniu nie przybił ich żaden z koszmarów ostatnich miesięcy – Upadek, brak elektryczności, awaria serwitorów, pierwsze napaści wojniksów, straszne wieści z Krateru Paryskiego... Nie przeżyli w ten sposób nawet masakry Dworu Ardis ani dwóch dni spędzonych bez nadziei w potrzasku na Głodnej Skale.

Sieć faksowców przestała działać. Wraz z nią skończył się świat, jaki znali od urodzenia. Nie mieli dokąd uciec, mogli już jedynie czekać i umrzeć. Zaczekać na powrót wojniksów lub śmierć z wyziębienia, głodu lub chorób. Tak czy inaczej, czekał ich rychły koniec. Zginą jedno po drugim.

Ada weszła na podest kolumny faksu. Chciała, by wszyscy dobrze ją widzieli i słyszeli.

– Wracamy do Ardis – oznajmiła. Przemawiała mocnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. – To tylko trochę ponad milę. W dodatku tym razem pójdziemy drogą. Na miejsce dotrzemy za niecałą godzinę, nawet w obecnym stanie. Greogi i Tom przewiozą tych, którzy nie są w stanie iść o własnych siłach.

– Kurwa, a co nas niby czeka w Ardis? – spytała niska kobieta. Ada nie pamiętała jej imienia. – Co nas tam czeka poza widokiem trupów i padlinożerców? Co spotkamy poza zgliszczami i wojnikami?

– Nie cały dwór spłonął – odparła donośnie dziewczyna.

Co prawda nie miała pojęcia, jak poważne szkody wyrządził pożar. Kiedy uciekali z płonących ruin, była nieprzytomna. Daeman i Greogi twierdzili jednak, że kilka zabudowań ocalało.

– Nie straciliśmy wszystkiego – podjęła. – Znajdziemy tam drewniane belki i pnie, możliwe, że ocalała część namiotów lub budynek koszar. W ostateczności możemy rozebrać do końca ostrokoły i wznieść drewniane chaty. Myślę, że znajdziemy też sporo przydatnych rzeczy. Naprawdę nie mogło spłonąć dosłownie wszystko. Być może natknijemy się nawet na karabiny.

– Albo na wojniksy – wtrącił mężczyzna imieniem Elos, na jego twarzy widniała blizna.

– Niewykluczone – przyznała Ada – ale na wojniksy możemy się natknąć dosłownie wszędzie. Poza tym widzieliśmy, że boją się jaja Setebosa, które Daeman nosi ze sobą w plecaku. Póki go nie stracimy, będą się trzymać z daleka. W dodatku, Elos, gdzie wołałbyś się z nimi zmierzyć? Nocą w ciemnym lesie czy w Ardis, wokół jasnego, trzaskającego ogniska albo w ciepłej chacie, gdzie mogliby ci pomóc przyjaciele?

Nikt jej nie odpowiedział, lecz było to milczenie nabrzmiałe tłumioną wściekłością. Kilka osób ponownie spróbowało skorzystać z faksowężła. Wpisanie kodów nie dało nic. Niektórzy zaczęli bezradnie okładać kolumnę pięściami.

– Może zostaniemy tutaj, w pawilonie? – podsunęła Elle. – Dach już jest. Wystarczy, że zbudujemy ściany, rozniecimy ogień. Tutejsza palisada jest krótsza i łatwiej ją będzie nareperować. A gdyby sieć faksów jednak wznowiła pracę, moglibyśmy się stąd błyskawicznie wynieść.

Ada pokiwała głową.

– Masz rację, moja droga. Tylko skąd będziemy czerpać wodę? Do strumienia jest prawie ćwierć mili. Osoby, które by po nią chodziły, narażałyby się na atak wojniksów. Zresztą nie ma tu żadnych zbiorników na wodę, a pawilon i tak jest zbyt mały dla nas wszystkich. Co gorsza, w tej dolinie jest zimno. Ardis za to znajduje się w bardziej nasłonecznionej okolicy, czeka tam znacznie więcej budulca, no i jest studnia. Nowe Ardis zbudujemy właśnie wokół niej, dzięki czemu nie będziemy musieli już nigdy wychodzić po wodę na zewnątrz.

Towarzysze przestępowali niepewnie z nogi na nogę, lecz nikt nie miał nic do dodania. Pomysł powrotu po zmarzniętej drodze, porzucenia bezpiecznego pawilonu wydawał im się zbyt absurdalny, by go rozważyć.

– Ja idę od razu – podjęła Ada. – Zmrok zapadnie już za kilka godzin. A chcę rozpalić wielki ogień, jeszcze zanim wzejdą pierścienie.

Wyszła z budynku stacji i skręciła na zachód. Daeman ruszył za dziewczyną. Po chwili dołączyli Boman i Edide. Następni byli Tom, Siris, Kaman i większość grupy. Greogi dopilnował przenoszenia rannych z powrotem na pokład sonika.

Daeman podbiegł, dogonił Adę i nachylił się do jej ucha.

– Mam dwie wiadomości, dobrą i złą – szepnął.

– Zaczynij od dobrej – poprosiła zmęczonym głosem. Ból głowy pulsował tak okrutnie, że musiała iść z opuszczonymi powiekami. Oczy otwierała tylko raz na jakiś czas, by nie zejść z bitego, skutego przymrozkiem szlaku.

– Wszyscy poszli z nami – powiedział chłopak.

– A ta zła? – dopytała.

Nie rozplaczę się, zaczęła sobie powtarzać Nie rozplaczę się.

– Z tego pieprzonego jaja zaczęło się coś wykluwać.

Rozbierając się w kryształowej krypcie zawieszanej pod marmurowym kompleksem Tadź Mojry, Harman uświadomił sobie, jak bardzo dojmujący ziąb panuje w niewielkim wnętrzu. Równie zimno musiało być w przestronnej sali powyżej, lecz od wyjścia z wagonika miał na sobie izolującą termoskórę i na temperaturę nie zwrócił większej uwagi. Stojąc przed trumną w zsuniętym do połowy skafandrze, zawahał się. Spojrzał na ciśnięte na posadzkę ubranie, poczuł występującą na obnażone ramiona i piersi gęsią skórę.

Nie robię w tej chwili nic dobrego. To po prostu złe.

Harman, podobnie jak reszta mieszkańców Ziemi, nie wiedział o religii niemal zupełnie nic. Czuł dotąd jedynie głęboki podziw wobec żyjących na orbicie postludzi i wyznawał bliski mistycznemu pogląd, że po ukończeniu Ostatniej Dwudziestki wszyscy wstępują do pierścieni, gdzie wraz z postludźmi spędzają resztę wieczności. Najbliżej zrozumienia istoty religijnego przeżycia i związanej z nim obrzędowości znalazł się, gdy oglądał greckich bogów pojawiających się niekiedy w spektaklu turyńskim.

W tej chwili Harman był jednak głęboko przekonany, że lada moment popełni grzech.

Ode mnie, od tego, czy przebudzę tę kobietę, może zależeć życie Ady. Jej i wszystkich bliskich mi osób.

– Ale czy naprawdę muszę w tym celu kopulować z pogrążoną w śpiączce nieznajomą? – wyszeptał do siebie. – To złe. Złe i obłąkane.

Obejrzał się przez ramię i zerknął na schodki, lecz Prospero dotrzymał obietnicy. Nie było go. Harman zsunął nogawki termoskóry. Piekący mróz natychmiast zaczął go kąsać. Mężczyzna spojrział w dół i niemal wybuchnął śmiechem. Był skurczony, zziębnięty i mały.

Czyżby ten szalony stary mag postanowił ze mnie zakpić? W dodatku mógł przecież skorzystać z jakiejś zapewniającej niewidzialność peleryny czy innego czarodziejskiego ustrojstwa i spokojnie go teraz podglądać.

Stał nad przezroczystym sarkofagiem i dygotał. Nie tylko z zimna, lecz przede wszystkim z odrazy zdejmującej go na myśl o tym, co zaraz zrobi. Dziwnym obrzydzeniem przepełniała go już sama możliwość, iż może być potomkiem tego Ahmana Ferdinanda Marka Alonzo Chan Ho Tepa.

Przypomniał sobie Adę. Adę ranną, nieprzytomną, taką jaką zobaczył na szczycie Głodnej Skały wraz z innymi nieszczęsnymi niedobitkami, którzy ocaleli z masakry Ardis.

Skąd mam wiedzieć, że to wydarzyło się naprawdę? Przecież Prospero na pewno potrafił zmusić całun do ukazywania fikcyjnych obrazów.

Nie miał jednak wyboru. Musiał postąpić tak, jakby wszystko, co widział, wydarzyło się naprawdę. Tak jakby pełne emocji namowy czarnoksiężnika, który

nakłaniał go do nauki i wewnętrznej przemiany, do podjęcia walki przeciwko Setebosowi, wojniksom i kalibanom, opierały się na faktach.

Tylko czy człowiek, który dożył już niemal swojej Piątej Dwudziestki, może do takiej walki stanąć? Jak duże mam szanse?

Jakby w poszukiwaniu odpowiedzi, Harman wdrapał się na ścianę sarkofagu i opuścił ostrożnie w dół, nie muskając nagich stóp śpiącej. Dzięki półprzepuszczalnej barierze pola siłowego poczuł się tak, jakby zanurzał ciało w ciepłej, lekko łaskoczącej wodzie. Po chwili zimno szczypało już tylko głowę i barki.

Trumna była długa i szeroka, bez trudu mógł się ułożyć obok kobiety i wciąż nie dotknąć bladego ciała. Miękka tkanina, na której złożono śpiącą, przypominała jedwab, lecz kiedy uklęknął, poczuł pod kolanami coś zbliżonego do elastycznych, metalowych włókien. Wyraźnie czuł przepływające przez temporalny sarkofag strumienie pulsującej, tajemniczej energii, która pozwalała temu młodemu sobowtórowi Savi zachować życie.

Być może, przemknęło mu przez myśl, kiedy zanurzę w to pole i głowę, zapadnę w trwający tysiąc pięćset lat sen i wszystkie moje problemy po prostu znikną. Nie będę się już musiał zastanawiać, co począć.

Ruchem niepewnego pływaka opuścił twarz i przebił mrowiącą barierę. Stał na czworakach ponad nogami kobiety. Zrobiło mu się znacznie cieplej, czuł wibracje maszynierii sarkofagu, drgania przenikały każdy jego mięsień, lecz nie było to usypiające kołysanie.



No i co teraz? Prawdopodobnie już kiedyś ogarnęło go podobnie intensywne zażenowanie, lecz z jakiegoś powodu nie potrafił sobie takiej chwili przypomnieć.

Pojęcie – i przypadki – gwałtu, były w świecie Harmana równie nieobecne jak idea grzechu. W utraconym niedawno świecie ludzi dawnego typu nie istniało prawo ani osoby, które egzekwowałyby jego stosowanie. Podobnie jednak nie dochodziło do przejawów seksualnej agresji. Nie było mowy o stosunkach, na które obie strony nie

wyraziłyby zgody. Nie znali kodeksów, policji, więzień – te słowa Harman wysigłował dopiero w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy. Istniał jedynie rodzaj niesformalizowanego ostracyzmu jednostek stosowanego niekiedy przez rozmaite wspólnoty, koterie i towarzyskie grupy ludzi zamieszkujących okolice faksowezłów. A samotnego życia nie chciał wieść nikt.

Z drugiej strony każdy poszukujący seksualnych doznań człowiek mógł je znaleźć bez większego trudu. I szukali niemal wszyscy.

Dobiegający Piątej Dwudziestki Harman nie stanowił wyjątku. Dopiero odkąd w ciągu ostatniego dziesięciolecia nauczył się odczytywać dziwne robaczki z książek, zrezygnował z dotychczasowego stylu życia, opartego na bezustannym faksowaniu i spółkowaniu. Nabral za to nietypowego przekonania, że gdzieś istnieje – może istnieje – osoba przeznaczona właśnie jemu, ktoś, dla kogo – dla nich obojga – stosunek powinien okazać się przeżyciem wyjątkowym, łączącym, różnym od luźnych związków i opartych na fizyczności przyjaźni, które tworzyły społeczną tkankę dawnego świata.

Myśl była rzeczywiście osobliwa. Nie byłby jej w stanie pojąć żaden z jego znajomych, więc Harman nikomu się z niej nie zwierzył. Niewykluczone, że jedynie młody wiek Ady – kiedy kochali się po raz pierwszy, gdy się w sobie zakochali, dziewczyna miała za sobą ledwie siedem lat Drugiej Dwudziestki – sprawił, iż zrozumiała jego niecodziennie romantyczne pragnienie wyłączności. Wyprawili sobie nawet w Ardis własny „ślub” i chociaż większość z zaproszonych czterystu gości potraktowała ceremonię jako pretekst do kolejnego bankietu, to garstka – między innymi Petyr, Daeman i Hannah – zrozumiała, że oboje przeżywają ten dzień znacznie głębiej.

Wiesz, Harman, jeżeli będziesz się nad tym zastanawiał, wcale nie będzie ci łatwiej.

Kłęczał nagi nad kobietą, która spała już – jak twierdził ten zakłamaný duch logosfery każący nazywać się Prospero – od niemal półtora tysiąclecia. Czy naprawdę powinno go dziwić, że nie ma ochoty na seks?

Dlaczego ta dziewczyna tak bardzo przypomina Savi? Harman nigdy chyba nie poznał osoby równie interesującej jak staruszka. Savi była dzielna, tajemnicza, pamiętała najdawniejsze czasy – pochodziła przecież z innej epoki – i nie zawsze była z nimi szczerą. Otaczała ją enigmatyczna aura, nieosiągalna dla ludzi dawnego typu, w których otoczeniu żył Harman. Jako kobieta nigdy go jednak nie pociągała. Przywołał wspomnienie jej chudego, opiętego ciasną termoskórą ciała. Taką ją właśnie zapamiętał na orbitalnej wyspie czarnoksiężnika.

Młoda Savi tymczasem wcale nie była chuda. Stulecia snu nie doprowadziły do zaniku mięśni. Jej włosy – każdy ich kosmyk – wciąż były ciemne. Nie czarne, jak stwierdził w pierwszej chwili, nie krucze jak u Ady, lecz ciemnokasztanowe. Zasnowiące północne zbocze Czomolungmy chmury na moment się rozproszyły i w przenikających je promieniach słońca zagrały na głowie śpiącej rudawej, miedziane rozbłyski. Zobaczył maleńkie pory jej skóry. Sutki miała bardziej brązowe niż różowe. Podbródek dziewczyny był – podobnie jak u Savi – przedzielony dołeczkiem i tak samo zacięty, lecz jej czoła, kącików oczu i ust nie maciła ani jedna zmarszczka.

Kim ona jest? – po raz setny spytał sam siebie.

Zupełnie nieważne, kim jest – usłyszał napomnienie racjonalnej części umysłu.

O ile Prospero nie kłamał, jest po prostu kobietą, z którą musisz się przespać, dzięki czemu ona się obudzi i nauczy cię wszystkiego, co powinieneś wiedzieć, by wrócić wreszcie do domu.

Pochylił się i częściowo spoczął na pogrążonej we śnie nieznajomej. Leżała na plecach, z wyciągniętymi wzdłuż boków rękoma. Wnętrza dłoni oparte miała na miękkiej pościeli, nogi lekko rozsunęte. Czując się jak prawdziwy gwałciciel, rozchylił jej kolana na boki, najpierw lewe, potem prawe. Po chwili miał pod sobą otwartą kobietę. Nie mogła być bardziej bezbronna.

A on mniej podniecony.

Harman podparł się na wyprostowanych rękach, jakby szykował się, by ćwiczyć pompki. Wysunął głowę ponad warstewkę szumiącego cicho pola siłowego i zaczerpnął kilka haustów lodowatego powietrza. Kiedy opuścił ją z powrotem, poczuł się jak tonący pływak, który już po raz trzeci zanurza się pod wodę.

Ułożył się na niej. Nie poruszyła się, nie drgnęła nawet. Długie, ciemne rzęsy nawet nie zafalowały. Pod zamkniętymi powiekami nie zauważył najdrobniejszego poruszenia, tak przecież częstego u śpiącej Ady, którą uwielbiał obserwować, gdy w zalanym księżycowym blaskiem pokoju w Ardis leżał bezsennie u jej boku. Ada.

Zamknął oczy i przypomniał ją sobie. Nie ranną i nieprzytomną Adę z Głodnej Skały, jaką zobaczył pod czerwonym całunem Prospera, lecz taką, jaką znał przez osiem miesięcy wspólnego życia w dworku. Wspomnił momenty, kiedy budził się obok niej nocami, po to tylko, by na nią popatrzeć. Piękne chwile. Nie potrzebował wtedy niczego więcej.

Przypomniał sobie jej kobiecy zapach, aromat mydła. Tak często czuł tę woń, gdy gwiazdy zaglądały przez szerokie okna starożytnej posiadłości.

Poczuł znajome poruszenie.

Nie myśl o tym. Nie o tym, co teraz robisz. Wystarczy, że będziesz wspominać.

Zatonął we wspomnieniu pierwszego razu z Adą. Od tamtej pory minęło ledwie dziewięć miesięcy, trzy tygodnie i dwa dni. Wraz z Savi, Daemanem i Hanną wybrali się w podróż, podczas której – na moście Golden Gate w Machu Picchu – spotkali wybudzonego ze snu Odyseusza. Tamtej nocy staruszka wyznaczyła im oddzielne sypialnie – okrągłe, zielone sfery zawieszane na pomarańczowym pylonie prastarej konstrukcji niczym winne grona. Te przymocowane do poziomego wspornika wisiąły jakieś siedemset stóp nad majaczącymi poniżej ruinami.

Gdy już wszyscy rozeszli się do własnych kwater, nikt nie pozostał do końca obojętny na fakt, że podłogi sypialni były równie przejrzyste jak w tej krypcie. – Nie, nie myśl o tym w tej chwili! – Harman wyszedł na korytarz i zapukał do drzwi Ady. Wpuściła go i ujrzał wówczas ów szczególny blask jej ciemnych oczu.

Prawdę powiedziawszy, nie przyszedł do niej, by się kochać, musiał z nią porozmawiać. Tak mu się przynajmniej wydawało. Zdążył już raz zranić jej kobiecą dumę – w Kraterze Paryskim, w domicylu Mariny, matki Daemana, w trójbambusowym wieżowcu strzelającym wysoko ponad czerwone oko krateru. Ada postanowiła zaryzykować życie – w najlepszym razie faksowanie do Konserwatorni – i przeszła ze swojego balkonu na jego, niebezpiecznie przy tym balansując nad wyrytą przez czarną

dziurę otchłanią. Po to tylko, żeby spędzić z nim noc. A Harman jej odmówił. „Zaczekajmy” – powiedział, mimo że piękna, czarnowłosa Ada z Dworu Ardis nie usłyszała niczego podobnego od żadnego mężczyzny. I czekała.

Za to tamtej nocy, w kulistej sypialni przytulonej do mostu Golden Gate w Machu Picchu, skąd roztaczał się widok na góry – później domyślił się, że w przeszłości nazywano je Andami – i upiorne ruiny na dnie tysiącstopowej przepaści, chciał z nią pomówić... O czym właściwie? A, tak – chciał ją przekonać, żeby wróciła z Hanną i Odyseuszem do Ardis. Sam tymczasem zamierzał w towarzystwie Savi i Daemana wyprawić się do legendarnego miejsca zwanego Atlantyda, gdzie mieli szansę odnaleźć statek kosmiczny, który zabrałby ich na pierścienie. Mówił z wielkim przekonaniem. Kłamał dziewczynie w żywe oczy. Powtarzał, że dobrze będzie, jeśli Ada przedstawi Odysa mieszkańcom i gościom Ardis, obiecywał, że wrócą z Daemanem już za kilka krótkich dni. W rzeczywistości bał się, że podróż z Savi wystawi ich na śmiertelne niebezpieczeństwo – co zresztą sprawdziło się co do joty, staruszka zginęła. Jednakże nawet wtedy Harman chciał Adę ochronić. Nawet wtedy miał wrażenie, że gdyby dziewczynę spotkało cokolwiek złego, nigdy nie zdołałby tego sobie wybaczyć.

Kiedy tej nocy, gdy stała się jego kobietą, otworzyła mu drzwi sypialni, miała na sobie cieniutką, jedwabną halkę. Białe promienie księżyca pełgały na jej ramionach i rękach. Nie chciała, bardzo nie chciała, wracać do Ardis z tym obcym mężczyzną, z Odyseuszem. A on ją do tego gorąco namawiał.

Potem ją pocałował. Nie... Zaraz... Cmoknął ją tylko w policzek, tak na zakończenie rozmowy, dokładnie tak, jak ojciec mógłby całować swą córkę. Tak naprawdę to Ada pocałowała go pierwsza – złożyła na jego wargach namiętny, długi pocałunek. Otoczyła Harmana ramionami i przyciągnęła do siebie wśród poświaty migocących gwiazd. Pamiętał dotyk młodych piersi napierających na jego tors przez warstewkę błękitnego jedwabiu.

Zaniósł ją na wąskie łóżko stojące pod wklęsłą, przezroczystą ścianą zielonej sypialni. Pomogła mu się rozebrać. Obojgu bardzo się śpieszyło, lecz każdy ich ruch natchniony był nieporadnym wdziękiem.

Czy burza nadciągnęła znad gór i uderzyła dokładnie wtedy, gdy zaczęli się kochać? Na pewno wkrótce potem. Pamiętał blask księżyca na obliczu Ady, księżyc całujący wraz z nim krągłości jej piersi, które tak żarliwie podnosił sobie do ust.

Nie zapomniał natomiast o wietrze, który niemiłosiernie zaczął smagać most, groźnie kołysząc całym kulistym pomieszczeniem. Posadzka zakołysała się w zgodnym zmysłowym rytmie wraz z nimi. Ada pod Harmanem, jej nogi obejmujące jego biodra, prawa dłoń dziewczyny zsuwająca się w dół, odnajdująca go, prowadząca...

Tym razem nikt go nie poprowadził. Zesztywniały sam zaczął pocierać penisem o krocze spoczywającej w kryształowym sarkofagu kobiety.

Nie uda mi się, usłyszał własną myśl wśród powodzi wspomnień i wskrzeszonego pożądania. Będzie sucha... Muszę...

Myśl jednak pozostała niedokończona. Z początku spróbował nieśmiało i wcale nie okazała się sucha. Była za to miękka, przytulna, wręcz wilgotna. Odniósł wrażenie, że przez wszystkie te lata czekała właśnie na niego.

Podobnie jak Ada, która całowała go wargami równie nawilżonymi jak jej ciepła kobiecość. Oplatała Harmana wygłodniałymi, niecierpliwymi ramionami. Kiedy wszedł łagodnie w jej ciało, zadrapała mu plecy ugiętymi lekko palcami. Całowali się tak zachłannie, że nawet Harman – mężczyzna mający za sobą Cztery Dwudziestki i dziewiętnaście lat życia, najstarszy człowiek, jakiego przyszło Adzie poznać – poczuł się jak zadurzony, ogarnięty manią cielesności, rozemocjonowany nastolatek.

Kołysali się wraz z całą sypialnią, roztańczoną wśród szaleńczych podmuchów wiatru – początkowo, przez wieczność, łagodnie, po czym z narastającą gwałtownością, namiętnie. Ada szepnęła, by się nie powstrzymywał, wpuszczała go chętnie, coraz głębiej, całowała i tuliła w sprężystych ramionach. Czuł na biodrach jej zaciskające się spazmatycznie nogi i drapanie kobiecych paznokci.

A kiedy doszedł, drgał w niej ekstatycznie jeszcze przez długie minuty. Dziewczyna odpowiedziała wewnętrznymi skurczami, które wypływały z jakiegoś ukrytego epicentrum. Miał wrażenie że obejmuje go jakąś nową, drobną dłonią, na przemian zaciskającą się i rozluźniającą. Reszta ciała Ady pozostała wtedy zupełnie nieruchoma.

Harman szczytował w kobiecie, która wyglądała jak Savi, jak osoba, którą nie miała prawa być. Nie został w środku, wycofał się natychmiast, czując gwałtowne bicie przepelnionego wyrzutami sumienia serca. Mimo że cały pęczniał od miłości do Ady, od wspomnień o niej, ogarnęła go zgroza.

Przeturlał się na bok. Legł zdyszany i nieszczęśliwy obok kobiety na metalicznie pobłyskujących jedwabnych poduszkach. Omiatały ich kojące, usypiające strumienie ciepłego powietrza. Tak, był w tej chwili pewien, że zasnęłby jak dziecko – mógłby przespać następne tysiąc pięćset lat, dokładnie jak nieznajoma. Mógłby przeczekać we śnie, aż minie zagrożenie wiszące nad światem, nad jego przyjaciółmi i tą jedną, wyjątkową, idealną kobietą, którą kochał i właśnie zdradził.

Z bliskiego drzemce otępienia wyrwało go nieznaczne drżenie.

Podniósł powieki i niemal zamarło mu serce. Kobieta otworzyła oczy. Spoglądała prosto na niego przenikliwym, uważnym, niesamowicie przytomnym wzrokiem. Niewiele osób byłoby na to stać po tak długim śnie.

– Kim jesteś? – spytała dziewczyna głosem nieżyjącej Savi.

Ostatecznie to nie elokwencja Orphu, lecz milion czynników pobocznych zdecydował, że morawce postanowiły sprowadzić prom atmosferyczny z „Mroczną damą” na Ziemię.

Do kolejnego spotkania na mostku doszło znacznie wcześniej niż po upływie sugerowanych przez Asteague/Che dwóch godzin. Wydarzenia toczyły się zbyt szybko. Już dwadzieścia minut po ich rozmowie na kadłubie „Królowej Mab” Mahnmut i Orphu znaleźli się z powrotem w wypełnionej ziemską atmosferą sterowni, w towarzystwie pochodzącego z Kallisto Cho Li, naczelnego integratora Asteague/Che, generała Beh bin Adi, jego adiutanta Mep Ahoo, a także złowrogiego Sumy IV, mocno poruszonego Sinopessena Wstecznego i szóstki anonimowych morawieckich integratorów i skałowieckich żołnierzy.

– Odebraliśmy przekaz osiem minut temu – zaczął nawigator Cho Li.

Treść komunikatu znana była już niemal wszystkim, lecz odtworzył ją raz jeszcze.

Podobnie jak poprzednio źródłem transmisji okazała się jedna z asteroid krążących wokół Ziemi w pierścieniu biegunowym. Tym razem nie usłyszeli w niej jednak kobiecego głosu, tylko ciąg współrzędnych wskazujących miejsce spotkania i pozostałe dane nawigacyjne.

– Cóż, nasza dama chce, byśmy odstawili Odyseusza prosto na jej próg – zauważył Orphu. – Raczej jej się nie spodoba, jeżeli okrążymy najpierw całą planetę.

– Damy radę to zrobić? – upewnił się Mahnmut. – W sensie... Czy jesteśmy w stanie odpowiednio szybko wyhamować, by zawrócić i wejść na jej orbitę?

– Tak. O ile przez dziewięć bitych godzin znów zaczniemy korzystać z bomb – odparł Asteague/Che. – Tyle że z kilku powodów wolimy tego uniknąć.

– Przepraszam – podjął Mahnmut. – Jestem co prawda tylko kapitanem batyskafu, żaden ze mnie inżynier czy nawigator, ale nie rozumiem, jak moglibyśmy wyhamować na samych silnikach jonowych. Ich ciąg jest w najlepszym razie mizerny. Czyżbyśmy mieli na pokładzie jeszcze jakąś niespodziankę?

– Nie na pokładzie. Hamowanie atmosferyczne – odpowiedział wieloramienny, drobny Cho Li.

Mahnmut wybuchnął śmiechem. Wyobraził sobie „Królową” – trzysta metrów żelaznego szkieletu najeżonego licznymi wypustkami i słupami – starającą się wytracić prędkość w ziemskiej atmosferze. Nagle jednak zrozumiał, że Cho Li wcale nie żartuje.

– Naprawdę damy radę? – wydukał po chwili. – Tym statkiem?

Sinopessen Wsteczny wyszedł naprzód, zwinnie przebierając swymi srebrnymi pajęczymi odnóżami.

– Oczywiście, że tak. Planowaliśmy ten manewr od początku. Nasza płyta napędowa ma sześćdziesiąt metrów szerokości i jest pokryta powłoką antyablacyjną. Po delikatnej korekcie położenia i kształtu stanie się znakomitą osłoną termiczną. Ponadto

plazma rozgrzana podczas samego hamowania nie powinna stanowić większego problemu. W razie potrzeby będziemy nawet mogli korzystać z systemów łączności maserowej. Pierwotnie zamierzaliśmy przeprowadzić hamowanie łagodnie, na wysokości stu czterdziestu pięciu kilometrów nad poziomem ziemskiego morza, po czym wyjść ponad atmosferę i kilkukrotnie tę sekwencję powtórzyć. Najbardziej złożonym elementem będzie przejście przez gęste pierścienie B i R. W ich przypadku nie ma mowy o luksusach w rodzaju Przerwy Cassiniego, którą znamy z okolic Saturna. Jednak i tę ścieżkę udało się wyliczyć w zasadzie z marszu. Po prostu czeka nas seria cholernie ostrych zwrotów. Teraz, kiedy okazało się, że owa nieznajoma dama rozkazała nam stawić się karnie w jej orbitalnym osiedlu na pierścieniu B, zmieniliśmy nieco założenia i w atmosferę zanurzymy się głębiej. Zejdziemy na trzydzieści siedem kilometrów od powierzchni, dzięki czemu znacznie szybciej wytracimy prędkość i wejdziemy na właściwą orbitę już za pierwszym podejściem.

Orphu zagwizdał z podziwem.

Mahnmut spróbował sobie to wszystko wyobrazić.

– Czyli znajdziemy się około stu paru tysięcy stóp od Ziemi? Na takiej wysokości będziemy już mogli zaglądać ludziom do okien.

– Niezupełnie, aczkolwiek urządzimy im przedstawienie ciut bardziej widowiskowe, niż zakładaliśmy. Z pewnością zobaczą na niebie ognistą smugę. Aczkolwiek myślę, że mieszkańcy Ziemi, ludzie dawnego typu, są w tej chwili zbyt zajęci, żeby podziwiać spadające gwiazdy.

– Zajęci? Czym? – zaciekawiał się Orphu z Io.

Asteague/Che wyświetlił najnowsze zdjęcia. Mahnmut opisał przyjacielowi wszystko, czego nie dało się odczytać lub wywnioskować z towarzyszących fotografiom pakietów danych.

Kolejne rzezie. Zniszczone ludzkie osady, zwłoki porzucone na pastwę padlinożerców. Na obrazach wykonanych w podczerwieni widać było gorące budynki, zimne trupy i poruszające się wśród nich równie zimne, garbate, pozbawione głów stworzenia odpowiedzialne za wszystkie masakry. Na nocnej półkuli ujrzeli bijące nad miastami i mniejszymi osiedlami łuny pożarów. Szare – wciąż niezidentyfikowane przez morawieckich ekspertów – metaliczne istoty atakowały ludzi we wszystkich zakątkach Ziemi. Na czterech kontynentach pojawiało się coraz więcej konstrukcji z błękitnego lodu, a powstałe wcześniej wciąż się rozrastały. Na kilku kadrach uchwycono potężnych rozmiarów istotę, do złudzenia przypominającą obdarzony oczami, wielki jak stodoła mózg. Naczelny integrator pokazał też nagrania filmowe – na nich stwór był widoczny z lotu ptaka. Poruszał się pajęczymi ruchami na licznych, olbrzymich dłoniach. Dodatkowe kończyny, ramiona i przypominające neurony macki wyrastały bezpośrednio z mózgu. Wokół jam gębowych kołysały się odstręczające wypustki, które wpijały się w podłoże i jakby piły z niego.

– Dane rozumiem – odezwał się Orphu – ale mam poważny kłopot z wyobrazeniem sobie tego stworzenia. Przecież żadna istota nie może być aż tak obrzydliwa.

– My to monstrum widzimy – odparł generał Beh bin Adi – a i tak nie dowierzamy własnym oczom. I owszem, jest brzydkie jak noc.

– Czy mamy jakieś pomysły dotyczące pochodzenia i natury tej istoty? – spytał Mahnmut.

– Z pewnością jest związana z błękitnym lodem. Po raz pierwszy dostrzeżliśmy ją w największym zaatakowanym przez tą substancję obszarze, na terenie dawnego miasta Paryża – powiedział Cho Li. – Wiem, wiem, nie o to pytałeś. Niestety, skąd się wzięła, po prostu nie wiemy.

– Czy nasi naukowcy kiedykolwiek zaobserwowali coś podobnego? – wtrącił Orphu. – W końcu obserwujemy Ziemię za pomocą teleskopów już od wielu stuleci. Z układu Jowisza i okolic Saturna.

– Nie – odpowiedzieli jednocześnie Asteague/Che i Suma IV.

– Wiemy natomiast, że ten nasz mózg nie podróżuje sam – podjął Sinopessen Wsteczny i wyświetlił następny zestaw hologramów i tradycyjnych fotografii. – We wszystkich osiemnastu miejscach, w których się pojawił, towarzyszyły mu te istoty.

– Ludzie? – dopytał Orphu, któremu dane nie pozwoliły ustalić rasy widocznych na zdjęciach stworzeń.

– Niezupełnie – odparł Mahnmut.

Opisał przyjacielowi niezidentyfikowane sylwetki. Szczerzące kły istoty pokryte były łuskami, wymachiwały nieproporcjonalnie długimi ramionami i stąpały na błoniastych łapach.

– Wedle instrumentów są ich setki – zauważył Orphu z Io.

– Raczej tysiące – sprostował centurion Mep Aho. – Te zdjęcia wykonano jednocześnie w miejscach oddalonych od siebie o kilka tysięcy kilometrów. Naliczyliśmy przynajmniej trzy tysiące dwieście tych płazokształtnych stworów.

– Kaliban... – rzucił Mahnmut półgłosem.

– Słucham? – Asteague/Che wyraźnie nie rozumiał.

– Wspomnienie z Marsa, naczelny integratorze – wyjaśnił morawiec z Europy. – Małe Zielone Ludziki wspominały o Prospero i Kalibanie... To postacie występujące w „Burzy”, jednym z dramatów Szekspira. Jak zapewne pamiętacie, kamienne głowy nosiły podobno rysy Prospera. A Emzetele ostrzegały nas przed Kalibanem. Te stworzenia wyglądają właśnie trochę jak on. W każdym razie tak go ukazywano w niektórych ziemskich inscenizacjach. Przez kilka dobrych stuleci.

Żaden z obecnych nie potrafił się odnieść do rewelacji Mahnmuta.

– Odkąd dwa tygodnie temu zaobserwowaliśmy raptowny skok kwantowych zakłóceń, na Ziemi otworzyło się jedenaście nowych Dziur Branowych – Beh bin Adi postanowił zmienić temat. – Według naszych ustaleń mózg stworzył je wszystkie, by umożliwić sobie przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Sobie i tym płazokształtnym... jak je nazwałeś?... kalibanom. Odkryliśmy też pewną regularność dotyczącą lokalizacji tych nowych portali.

Nad stołem zmaterializowały się kolejne trójwymiarowe obrazy. Mahnmut opisał Orphu, co widzi, a większy morawiec pobrał zestaw towarzyszących im informacji.

– Wszystkie Dziury pojawiły się na polach bitew lub w miejscach kojarzonych ze starożytnymi masakrami i zbrodniami – zauważył.

– Otóż to – przytaknął generał Beh bin Adi. – Proszę zwrócić uwagę, że pierwszy

portal pojawił się na terenie dawnego Paryża. Wiemy, że ponad dwa i pół tysiąca lat temu, kiedy Cesarstwo Europejskie okładało się z Globalnym Surinatem Islamskim uderzeniami czarnych dziur, w metropolii paryskiej zginęło ponad czternaście milionów ludzi.

– Wszystko się zgadza – podjął Mahnmut. – Pozostałe Dziury otworzyły się w Hiroszynie, Auschwitz, Waterloo, HoTepsie, Stalingradzie, Cape Town, Montrealu, Gettysburgu, Khanstaq, Okinawie, nad Sommą, w New Wellington. Wszystko to miejsca naznaczone krwią.

– Czyżbyśmy mieli do czynienia z intermembranowym mózgiem-turystą urządzającym sobie wycieczki w przestrzeni Calabiego-Yau? – zastanawiał się Orphu.

– Obawiam się, że z czymś gorszym – powiedział Cho Li. – Promienie neutrin i tachionów, które pojawiają się w miejscach odwiedzonych przez tego... przez to stworzenie, zawierają zaszyfrowane złożone informacje. Dodatkowo owe promienie są międzywymiarowe, nie zostały skierowane w żaden konkretny punkt naszego wszechświata. Niestety nie potrafimy się do nich podłączyć i odczytać zakodowanych danych.

– Moim zdaniem nasz mózg jest ghulem – odezwał się Orphu z Io.

– Ghulem? – zdziwił się naczelny integrator Asteague/Che.

Wielki morawiec wytłumaczył i dodał:

– Podejrzewam, że wysysa z odwiedzanych miejsc jakiś rodzaj mrocznej energii.

– Mało prawdopodobne – ocenił Sinopessen Wsteczny. – Nie istnieje żaden typ mierzalnej energii, którą tragiczne wydarzenia mogłyby w podobnych miejscach pozostawiać. Twoja sugestia to nie nauka, a czysta metafizyka... Innymi słowy, stek bzdur.

Orphu wzruszył czterema ze swoich ramion.

– Nie sądzicie, że ten wielki mózg mógł zostać zaprojektowany i stworzony przez ludzi dawnego typu bądź postludzi w okresie demencji po rubikonie? – zasugerował centurion Mep Ahoo. – Podobnie jak kalibany i bezgłowe roboty-mordercy? Czy nie mogły powstać w laboratoriach szalonych naukowców, którzy, manipulując RNA, wskrzesili na Ziemi pradawne gatunki roślin i zwierząt?

– Co do tej największej istoty, na pewno nie – stwierdził Ganimedejczyk Suma IV. – Już wcześniej mielibyśmy o niej jakieś informacje. Wieloramienny mózg przybył na Ziemię przed kilkoma dniami, z innego wszechświata. Dostał się tutaj przez Dziurę Branową. Nie wiemy natomiast, skąd się wzięły kalibany i te dziesiątkujące ludzi garbate roboty. Niewykluczone, że one faktycznie są wynikiem manipulacji genetycznych. Trzeba pamiętać, że postludzie już ponad tysiąc pięćset lat temu zaprojektowali własną rasę na podstawie ludzkiego genomu.

– Racja, sam widziałem hologramy przedstawiające żyjące na Ziemi dinozaury, fororaki i tygrysy szablozębne – przypomniał centurion Mep Ahoo.

– Czy roboty, o których mowa, wybiły już dziesięć procent ludzi dawnego typu? – zapytał Mahnmut, który nigdy nie używał pojęcia „zdzięsiatkować” niezgodnie z jego znaczeniem.

– Owszem – przyznał generał Beh bin Adi. – Zapewne nawet więcej. I zdążyły tego

dokonać w czasie naszego lotu z Fobosa.

– Co zatem robimy? – podjął Orphu. – Dodam, że jeśli nikt nie ma konkretnego pomysłu, mógłbym wysunąć pewną sugestię.

– Proszę bardzo – rzucił naczelny integrator Asteague/Che.

– Uważam, że powinniście wybudzić z hibernacji nasz tysiąc skałowców, odpalić prom atmosferyczny i ten czekający w pogotowiu tuzin szerszeni, upchać do nich wojsko, ile tylko się da, i ruszyć do boju.

– Do boju? – powtórzył z niedowierzaniem Cho Li.

– Zaczniemy od zrzucenia na ten wielki mózg ładunku nuklearnego. Zamieńmy go w płamę radioaktywnej mazi – dodał Orphu. – Potem przeprowadźmy desant lądowy i ocalmy ludzi. Wybijmy do nogi kalibany i te bezgłowe maszyny. Do boju, powtarzam.

– To dość... ekscentryczne podejście. – Cho Li był wyraźnie wstrząśnięty.

– W tym momencie nie dysponujemy dostateczną ilością informacji, by podjąć tego rodzaju decyzję – zauważył Asteague/Che. – Nie wiemy nawet, czy ów mózg, jak go ładnie nazywamy, nie jest przypadkiem jedynym pokojowo nastawionym, rozumnym organizmem na Ziemi. Skąd pewność, że to nie jakiś międzywymiarowy archeolog, antropolog albo historyk?

– A skąd pewność, że to nie ghul? – wtrącił Mahnmut.

– Nasza misja miała na celu przeprowadzenie rozpoznania – przypomniał zdecydowanym tonem Suma IV. – Nikt nie zakładał wszczynania wojny.

– Przecież możemy chyba upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu? – powiedział Orphu. – „Królowa Mab” dysponuje siłą uderzeniową pozwalającą wpłynąć na przebieg tego ziemskiego konfliktu. Poza tym, chociaż nie przyznaliście tego wprost, wraz z Mahnmutem podejrzewamy, że ciągnie za nami przynajmniej eskadra zamaskowanych, nowoczesnych okrętów wojennych. Mamy zatem niepowtarzalną okazję przywalić temu stworowi, im wszystkim, i wyłączyć ich z gry, zanim się połapią, kto zgasił światło.

– Zdecydowanie ekscentryczne podejście – powtórzył Cho Li. – Niebywale ekscentryczne.

– Na razie – Asteague/Che znów odezwał się głosem Jamesa Masona, który Mahnmut doskonale pamiętał z dwuwymiarowych filmów – nie próbujemy rozpętać wojny, lecz dostarczyć Odyseusza na krążącą w pierścieniu B asteroidę. Przypomnij sobie, czego zażądał Głos.

– A jeszcze wcześniej – podjął Suma IV – musimy zdecydować, czy chcemy pod pretekstem hamowania w atmosferze wystrzelić prom, czy wstrzymać się z tym, póki nie dowieziemy pasażera do orbitalnego miasta.

– Mam pytanie – wtrącił Mahnmut.

– Tak? – Naczelny integrator Asteague/Che również pochodził z Europy i był morawcem podobnego wzrostu co rozmówca. Spojrzeli sobie prosto w obiektywy.

– Czy nasz ludzki pasażer życzy sobie odwiedzić Głos?

Przez dobrą chwilę nie odzywał się nikt. Ciszę mąciły jedynie raporty składane przez obsługujących instrumenty statku skałowców, szum wentylatorów i huk odzywających się od czasu do czasu silników manewrowych.

– Wielkie nieba – jęknął Cho Li. – Nie zapytaliśmy go. Jak mogliśmy o tym

zapomnieć?

– Cóż, wszyscy byliśmy zajęci – rzucił generał Beh bin Adi.

– Zajmę się tym – zdecydował Suma IV. – Chociaż jeżeli odmówi, sytuacja stanie się dość niezręczna.

– Jego przydzwiewek jest już gotowy – wtrącił przebierający odnóżami Sinopessen Wsteczny.

– Przydzwiewek? – Orphu z Io zachichotał głucho. – Czyżby syn Laertesza został mormonem?

Nikt z obecnych nie zareagował. Co prawda historią ludzkości interesowały się w pewnym stopniu wszystkie morawce – ciekawość tego tematu była na trwałe wpisana w ich obwody i ewoluujące DNA – lecz tylko nieliczni przeniknęli ludzki sposób myślenia tak dogłębnie jak Orphu. Żaden z dyskutantów nie cieszył się też równie osobliwym poczuciem humoru.

– Oczywiście Odyseusz od początku rejsu nosi ubrania przygotowane przez nas – zaczął Sinopessen. – Natomiast na wizytę w orbitalnym mieście włoży strój specjalny, naszpikowany nanotechnologią, a ściśle rzecz biorąc, sprzętem rejestrującym i nadajnikami. Wszystko, co go spotka, będziemy mogli śledzić w czasie rzeczywistym.

– Także ci, którzy polecą promem na Ziemię? – zapytał Orphu.

Ponownie zapadło skrępowane milczenie. Morawce nieczęsto czuły się zakłopotane, lecz nie była to emocja zupełnie im obca.

– Nie trafiłeś na listę załogi promu – oświadczył wreszcie Asteague/Che, nieco obcesowym, lecz mimo to uprzejmym tonem.

– Wiem – przyznał Orphu – ale jestem pewien, że jeszcze zdołam was przekonać, iż, gdy „Królowa” zacznie hamować w atmosferze, musimy ten prom koniecznie wystrzelić, a ja powinienem się znaleźć na jego pokładzie. Wystarczy mi tylko kawałek ładowni w batyskafie Mahnmuta. Ładny stamtąd widok i są wszystkie konieczne łącza.

– W ładowni batyskafu nie ma iluminatorów – zauważył Suma IV. – Widoki mógłbyś podziwiać jedynie dzięki przekazowi wideo, a ten może się urwać, jeżeli ktoś postanowi zaatakować prom.

– Ironizowałem – skwitował Orphu.

– W dodatku – dodał Cho Li, wydając przy tym odgłos przypominający chrząknięcie małego zwierzątka – jesteś technicznie... optycznie... ślepy.

– Owszem, zauważyłem. Ale pomijając zasady wyrównywania szans osób upośledzonych... No dobra, nie mam czasu, żeby to wam tłumaczyć. Tak czy inaczej, jestem w stanie podać trzy rozstrzygające argumenty za własną kandydaturą na uczestnika ziemskiej misji.

– Przecież nie postanowiliśmy jeszcze, czy ta misja w ogóle się odbędzie – przypomniał Asteague/Che. – Ale proszę, przedstaw nam swoje argumenty. Kiedy skończysz, podejmiemy odpowiednie decyzje w gronie naczelnych integratorów. Mamy na to piętnaście minut.

– Po pierwsze – zadudnił Orphu – pragnę zwrócić uwagę, że w sposób wręcz oczywisty będę idealnym ambasadorem morawców w kontaktach z wszelkimi rozumnymi istotami, jakie napotkamy na powierzchni.

Generał Beh bin Adi wydał mocno nieprzyzwoity odgłos.

– Planujesz przejść do dyplomacji przed czy po tym, jak zmienisz te istoty w plamy radioaktywnej mazi?

– Po drugie, co może się wam wydać mniej oczywiste niż argument poprzedni, żaden morawiec na pokładzie „Królowej”, być może żaden w ogóle, nie zna się tak dobrze jak ja na twórczości Marcela Prousta, Jamesa Joyce’a, Williama Faulknera i George’a Marie Wonga. Mam też w małym palcu poezję Emily Dickinson i Walta Whitmana, zatem i *ergo*, żaden morawiec nie jest tak zaznajomiony z meandrami ludzkiej psychiki jak moja skromna osoba. W wypadku nawiązania kontaktu z ludźmi dawnego typu tego rodzaju wiedza okaże się nieoceniona.

– Nie miałem pojęcia, że prowadziłeś studia również nad Joyce’em, Faulknerem, Wongiem, Dickinson i Whitmanem – nadał Mahnmur na prywatnym kanale.

– Nie zgadaliśmy się – odpowiedział Orphu. – Ale pamiętaj, że na lekturę miałem sporo czasu. W próżni, wśród siarkowych oparów torusa Io, pracuję już od tysiąca dwustu lat standardowych.

– Tysiąc dwieście lat! – Mahnmur był mocno zaskoczony. Owszem, morawce zawsze projektowano z myślą o długich okresach działania, lecz za przyzwoity wynik uchodziły trzy standardowe stulecia. Sam istniał od niecałych stu pięćdziesięciu lat. – O swoim sędziwym wieku również nie wspominałeś!

– Nie zgadaliśmy się – powtórzył Orphu.

– Nie do końca dostrzegam logiczne wynikanie w twoim drugim argumencie, tym który raczyłeś przedstawić, zanim uciąłeś sobie prywatną pogawędkę z przyjacielem – odezwał się Asteague/Che – Ale proszę, kontynuuj. Jeśli dobrze pamiętam zapowiadałeś aż trzy rozstrzygające argumenty?

– Trzecim powodem, dla którego zasługuję na miejsce na promie – odparł wielki morawiec – jest fakt, że ja już się wszystkiego domyśliłem.

– Czego się domyśliłeś? – zapytał Suma IV. Zakuty w czarny, fulerenowy pancerz morawiec z Ganimedesa nie zerknął co prawda na zegarek, ale po głosie było słychać, że czuł presję czasu.

– Jak mówię, wszystkiego. Domyśliłem się, skąd na Marsie wzięli się greccy bogowie. Wiem też, dlaczego na Marsie pojawił się czasoprzestrzenny tunel prowadzący na inną Ziemię, na której wciąż trwa homerycka wojna trojańska. Wiem, skąd się wziął terraformowany Mars, i wiem, dlaczego na prawdziwej Ziemi czekają na nas Kaliban i Prospero, postacie z pradawnych dramatów Szekspira. Domyśliłem się także, dlaczego Dziury Branowe kruszą kwantowe fundamenty całego Układu Słonecznego. W skrócie, wiem już wszystko.

Kobieta-sobowtór młodej Savi rzeczywiście miała na imię Mojra, chociaż Prosperowi zdarzało się nazwać ją Mirandą, a raz – z uśmiechem – zwrócił się do niej, korzystając z imienia Moneta, co spotęgowało panujący w głowie Harmana mętlik. Z kolei jego dojmującego skrępowania nie mogłoby spotęgować nic. Przez pierwszą godzinę w towarzystwie dziewczyny nie był w stanie nawet patrzeć w jej stronę, o spojrzeniu prosto w oczy nie wspominając. Kiedy zasiedli z Mojrą do śniadania – Prospero siedział z nimi, ale nie jadł – zdołał odwrócić się w jej stronę, lecz nie odważył się podnieść głowy zbyt wysoko. Po chwili uświadomił sobie, że kobieta mogłaby uznać, iż wlepią wzrok w jej biust, więc ponownie wbił spojrzenie w talerz.

Wydawało się, że Mojra nie dostrzeża jego udręki.

– Prospero – odezwała się, sącząc sok pomarańczowy, którym poczęstował ich krzątający się dokoła serwitorka – ty paskudny, stary robaku. Czy to ty wymyśliłeś ten sposób na moje przebudzenie?

– Oczywiście, że nie, moja droga Mirando.

– Nie nazywaj mnie Mirandą. Chyba że chcesz, bym zaczęła nazywać cię Mandragorą. Nie jestem twoją córką i nigdy nią nie byłam.

– Naturalnie, że jesteś moją córką, i to od zawsze, droga Mirando. – Mag zamruczał jak kocur. – Czyż nie pomogłem wszystkim postłudziom stać się tym, kim w przeszłości byli? Czy to nie moje laboratoria genetyczne stały się dla was łonem i kołyską? Czyż nie wypływa z tego fakt, że jestem twym ojcem?

– Powiedz, Prospero, czy poza mną żyją jeszcze jacyś inni postudzie? – zainteresowała się kobieta.

– Nic mi o tym nie wiadomo, moja droga Mirando.

– Wiesz co? Pieprz się.

Powiodła spojrzeniem ku Harmanowi, upiła łyk kawy i za pomocą przeraźliwie ostrego noża obrała pomarańczę.

– Nazywam się Mojra – przedstawiła się.

Siedzieli przy niewielkim stoliku w bardzo ciasnym pokoju – właściwie wnęce, której Harman wcześniej nawet nie zauważył. Otwierała się w zastawionej książkami ścianie, w połowie wysokości kopuły, przynajmniej trzysta stóp nad labiryntem marmurowych przepierzeń. Nic dziwnego, że owej wnęki nie dostrzegł – jej ściany również były zajęte przez biblioteczne regały. Podobnych ciasnych alków było tu więcej, w niektórych czekały stoły, w innych stały miękko wyściełane poduchami kanapy oraz enigmatycznie wyglądające urządzenia i ekrany. Okazało się, że żelazne schody są ruchome – w przeciwnym wypadku dotarcie na taką wysokość zajęłoby im znacznie więcej czasu. Widok był przerażający, co gorsza, ażurowe, składające się głównie z powietrza, pomosty nie zostały zabezpieczone żadnymi poręczami. Zamiast patrzeć w przepaść, Harman skoncentrował się na książkach i siedł, nie odrywając się od

kolejnych regałów.

Strój Mojry bardzo przypominał ubranie, jakie podczas ich pierwszego spotkania miała na sobie Savi – niebieska bluzka z bawełnianego płótna, sztruksowe spodnie i wysokie skórzane buty. Miała nawet bardzo podobną krótką pelerynkę, z tym że Savi nosiła ciemnoczerwoną, a Mojra ciemnożółtą. Natomiast zawily, pełen plis krój był zdaje się identyczny. Poza kwestią wieku różniły się jeszcze tym, że Savi miała przy sobie pistolet – pierwszy egzemplarz broni palnej, jaki Harman widział w życiu. Savi młodsza – Mojra, Miranda, Moneta – była podczas ich pierwszego kontaktu zupełnie bezbronna. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Co się wydarzyło, odkąd zasnąłam? – Mojra znów spojrzała na czarnoksiężnika.

– Moja droga, czy naprawdę mam ci w czternastu krótkich zdaniach zrelacjonować dzieje czternastu stuleci?

– Byłoby świetnie. – Mojra podzieliła soczystą pomarańczę na cząstki. Jedną poczęstowała Harmana, który zjadł ją, ledwie doceniając smak.

– Lasy niszczeją – zadekłamował śpiewnie Prospero – niszczeją i giną; Chmury kroplami spływają na ziemię; Człowiek przychodzi, orze, by lec potem W ziemi; po iluś latach łabędź kona. A mnie jednego trawi nieśmiertelność Okrutna: oto w twych ramionach więdnę Tu, na spokojnym skraju świata, siwy Cień, co bez końca, niby sen, się błąka Wśród mgieł rozległych, milczących pustkowi, Gdzie światło sączy się z pałaców świtu...

Skłonił łysiejącą, obrębianą siwymi włosami głowę.

– „Titonus” – rozpoznała Mojra. – Od Tennysona przed śniadaniem zawsze dostaje skrętu kiszek. Powiedz mi, Prospero, czy świat stał się na powrót normalny?

– Nie, Mirando.

– Czy zatem wszyscy moi pobratymcy zmarli bądź ulegli przeobrażeniu? – Dziewczyna karmiła się winogronami, aromatycznym serem i popijała lodowatą wodę z pucharu, któremu czujny serwitor nie pozwalał się opróżnić.

– Zmarli, ulegli przeobrażeniu lub zaznali obu tych stanów.

– A czy wrócą?

– Bóg jedyny raczy wiedzieć, moja córko.

– Proszę, tylko nie zaczynaj mi tu z Bogiem – fuknęła Mojra. – A co z ludem Savi, z dziewięcioma tysiącami stu trzynastoma Żydami? Czy zostali uwolnieni z neutrinowej pętli?

– Nie, moja droga. Żydzi i wszyscy inni, którzy przetrwali rubikon, nadal tworzą błękitny promień strzelający pod niebo Jerozolimy.

– Czyli nie dotrzymaliśmy przyrzeczenia, prawda? – rzuciła kobieta, po czym odsunęła od siebie talerzyk. Strząsnęła z dłoni okruszki i wytarła z nich kilka kropelek soku.

– Nie, córko.

– A ty, gwałcicielu? – Mojra zwróciła się do przysłuchującego się im osłupiałego Harmana – Czy, poza wykorzystywaniem śpiących nieznajomych, masz na tym świecie inne zajęcia?

Harman otworzył usta, doszedł do wniosku, że zupełnie nie wie, co mógłby

powiedzieć, i z powrotem je zamknął. Zebrało mu się na wymioty.

Mojra dotknęła jego dłoni.

– Nie czyń sobie wyrzutów, mój Prometeuszu. Niewielki miałeś wybór. Powietrze wewnątrz sarkofagu zostało zmieszane z afrodyzjakiem tak potężnym, że Prospero odesłał go z Ziemi wraz z jedną z przeobrażonych. Podarował go samej Afrodycie. Szczęśliwie dla nas obojga działanie owego specyfiku jest mocno ograniczone w czasie.

Harmana zalała fala ulgi, która błyskawicznie przerodziła się w złość.

– Jak to miałem niewielki wybór?

– Tak to, że nosisz w sobie DNA Ahmana Ferdinanda Marka Alonzo Chan Ho Tepa – wyjaśniła Mojra. – Podobnie jak wszyscy mężczyźni twojej rasy. – Spojrzała na czarnoksiężnika. – A skoro o nim mowa, gdzie jest teraz Ferdinand Mark Alonzo? Czy raczej, jaki spotkał go los?

Starzec zwiesił głowę.

– Umiłowana Mirando, trzy lata od chwili, gdy spoczęłaś w sarkofagu, zmarł na jedną z mutacji wirusa rubikonu, który rok do roku unosił z tego świata część populacji, niczym letni zefir unosi w dal plewy. Złożono go obok ciebie, również w kryształowej trumnie, aczkolwiek jej systemy były w stanie jedynie zapobiec rozkładowi ciała. Podówczas Konserwatornia nie potrafiła jeszcze radzić sobie ze skutkami zakażenia rubikonem. Zanim kadzie poznały tę tajemnicę, dwudziestka mandroidów Kalifatu wspięła się na Mount Everest. Pokonały zabezpieczenia i przystąpiły do plądrowania grobowca. Ich pierwszym łupem stał się nieszczęsny Ferdinand Mark Alonzo, którego ciężki sarkofag zrzuciły w przepaść.

– Dlaczego mnie nie spotkało to samo? – spytała Mojra. – I dlaczego właściwie nie obrabowali Tadz Mojry do cna? Widziałam, że w ścianach i labiryncie przepierzeń wciąż błyszczą agaty, jaspisy, krwawniki, szmaragdy, lazuryty, karneole i inne podobne ozdóbki.

– Faksował się tu Kaliban i to on pozbył się wszystkich dwudziestu mandroidów. Zrobił to dla ciebie. Serwitory czyściły potem grobowiec z krwi przez cały miesiąc.

Mojra gwałtownie uniosła wzrok.

– Czy Kaliban wciąż żyje?

– O, tak. Nasz przyjaciel Harman może o tym zaświadczyć.

Kobieta obrzuciła Harmana przelotnym spojrzeniem i znów zwróciła się do maga.

– Dziwię się, że mnie przy okazji nie zgwałcił.

Prospero odpowiedział ze smutnym uśmiechem:

– Ależ próbował, moja droga Mirando. I to nie raz, lecz sarkofag nie chciał stanąć przed nim otworem. Gdyby świat nagiął się do woli jego i jego członka, już dawno temu zaludniłby Ziemię zrodzonymi przez ciebie kalibankami.

Ciało Mojry przebiegł dreszcz. Po chwili odwróciła się do Harmana.

– Muszę poznać twoją historię, chcę poznać ciebie, twój charakter i całe twoje życie – oznajmiła. – Pokaż mi dłoń. – Oparła łokieć na stole i wyciągnęła rękę ku mężczyźnie.

Zmieszany Harman powtórzył gest kobiety, lecz nie dotknął jej palców.

– Nie tak – rzuciła. – Czyżby ludzie dawnego typu zapomnieli o funkcji

współdzielenia?

– Owszem – przytaknął Prospero. – Nasz drogi Harman potrafi, przynajmniej potrafił, zanim eiffelbahn zabronił mu dostępu, korzystać jedynie z lokalizatora, wszechsieci, blisko- i dalekosieci. A i tak jedynie za pomocą wizualizacji określonych figur geometrycznych.

– Matko Niebieska! – jęknęła kobieta. Opuściła ramię na blat. – A czytać potrafią?

– Jedynie Harman i garstka jego przyjaciół, których nauczył w ciągu ostatnich miesięcy – odpowiedział mag. – Ach, zapomniałem jeszcze o siglowaniu. Tę funkcję także odkrył dopiero w tym roku.

– Siglowanie? – Mojra parsknęła śmiechem. – Przecież ta funkcja nie miała służyć czytaniu ze zrozumieniem, tylko pomagać w tworzeniu katalogów. Odczytanie przepisu doskonałej potrawy nie równa się jej kosztowaniu. Podgatunek Harmana musi być najmniej bystrą odmianą człowieka w dziejach.

– Ej! – wtrącił poruszony Harman. – Ja tu siedzę! Nie rozmawiajcie, jakby mnie nie było. Fakt, nie znam jeszcze funkcji współdzielenia, ale szybko się uczę. A przedtem moglibyśmy chyba normalnie ze sobą porozmawiać. Wiesz, ja też mam do ciebie kilka pytań.

Mojra spojrzała prosto na niego. Szarozielone oczy wywarły na nim silne wrażenie.

– Słusznie – odezwała się po kilku chwilach. – Zachowałam się niewłaściwie. Aby mnie przebudzić, odbyłeś zapewne daleką podróż. W dodatku wbrew własnej woli. Jestem pewna, że wolałbyś w tej chwili być gdzie indziej. Zaslugujesz na odrobinę dobrych manier i porcję wyjaśnień.

– Mogłabyś mnie nauczyć funkcji współdzielenia, tej o której wspomnieliście? – poprosił. Zdecydował, że nie będzie się złościć na kobietę, która wydawała się sobowtórem Savi i mówiła jej głosem. – Albo pokaż mi, jak można się faksować bez pomocy faksowężłów. Ariel to potrafi.

– Ach, Ariel. – Mojra zerknęła na Prospera. – O faksowaniu również zapomnieli?

– Zapomnieli praktycznie o wszystkim – potwierdził starzec. – Nie z własnej winy. Zmusili ich do tego twoi pobratymcy. Vala, Tirzach, Rahaba, wszyscy im podobni.

Mojra poklepała się w otwartą dłoń płazem noża.

– Prospero, dlaczego posłużyłeś się tym człowiekiem i mnie zbudziłeś? Czyżby Sykoraks urosła w siłę i wyzwoliła spod twojej władzy Kalibana?

– Tak i tak – odpowiedział Prospero półgłosem. – Niemniej obudziłem cię, ponieważ w tym świecie pojawił się Setebos.

– Sykoraks, Kaliban i Setebos – wyliczyła kobieta, po czym głęboko zaczerpnęła powietrza i wypuściła je spomiędzy zaciśniętych zębów.

– Wiedźma, półdiabeł i istota zrodzona z ciemności – podjął szeptem czarnoksiężnik. – Są w stanie objąć w posiadanie całą Ziemię i Księżyc, opanować pływ wydarzeń, osiąść władzę absolutną.

Mojra skinęła głową i przygryzła wargę.

– Kiedy wasz wagonik ruszy w dalszą drogę?

– Za godzinę – odpowiedział mag. – Wsiądziesz do niego, moja droga Mirando? Czy może na powrót zaśniesz w swym sarkofagu, powierzając atomy ciała i własne

wspomnienia wiecznotrwalej obojętności i zapętleniu?

– Tak, cholera, wsiądę – zdecydowała. – Zaktualizuję też pamięć. Skorzystam z banków, by lepiej poznać ten nowy, wspaniały świat, w którym się odrodziłam. Przedtem jednak zajmijmy się pytaniami młodego Prometeusza. A potem, jak myślę, wyjawię mu, w jaki sposób odzyskać resztę funkcji. – Popatrzyła na sklepienie kopuły.

– Nie, Mojro – zaprotestował czarnoksiężnik.

– Harmanie. – Miękkim ruchem nakryła jego dłoń swoją. – Czas, byś zaczął zadawać pytania.

Oblizał wargi.

– Czy naprawdę jesteś postczłowiekiem?

– Tak, jestem. Pobratymcy Savi nadali nam to miano jeszcze przed Ostatnim Faksowaniem.

– Dlaczego jesteś do niej tak bardzo podobna?

– Ach... Czyli ją poznałeś. Cóż, o jej losie dowiem się wszystkiego przy aktualizacji pamięci. Ja również ją znałam, ale ważniejsze jest to, że Ahman Ferdinand Mark Alonzo Chan Ho Tep obdarzył ją miłością. Bez wzajemności. Można powiedzieć, że pochodzili ze zbyt odmiennych plemion. Właśnie dlatego przybrałam jej postać, przejęłam jej pamięć i głos... wszystko... dopiero potem przybyłam do Tadź.

– Przybrałaś jej postać?

Mojra raz jeszcze zerknęła na maga.

– Ci ludzie naprawdę o niczym nie wiedzą, prawda? – Zwróciła się z powrotem do Harmana. – Postludzie, mój młody Prometeuszu, osiągnęli poziom rozwoju, w którym nie posiadali już ciał. Nie w tym sensie, w jakim wy je pojmujecie. Po prostu przestały być nam potrzebne. Było nas tylko kilka tysięcy. Stworzyliśmy się dzięki genetycznej wiedzy awatara cybernetycznej logosfery...

– Cała przyjemność po mojej stronie – wtrącił Prospero.

– Warto dodać, że kiedy chcieliśmy przyjąć ludzką postać, zawsze wcielaliśmy się w kobiety, po prostu sobie jakąś pożyczaliśmy.

– Ale w jaki sposób?

Mojra westchnęła.

– Czy pierścienie nadal krążą po niebie?

– Oczywiście – odparł Harman.

– Oba? Biegunowy i równikowy?

– Tak.

– Jak sądzisz, Prometeuszu Harmanie, czym one są? Składa się na nie ponad milion obiektów... Co o nich myślą twoi pobratymcy?

Harman oblizał spierzchnięte wargi. Powietrze w olbrzymim grobowcu-świątyni było bardzo suche.

– Wiemy, że znajdowała się w nich Konserwatornia, w której regenerowały się nasze ciała. Większość ludzi sądzi, że resztę pierścieni tworzą domy postludzi. Wasze domy. Pełne maszyn miasta na orbitalnych wyspach, podobne do osiedla Prospera. Odwiedziłem je w zeszłym roku. I pomogłem je zniszczyć.

– Ach, tak? – Ponownie zerknęła na maga. – Cóż, znakomicie, młody Prometeuszu.

Ale nie masz racji co do krążących w pierścieniach obiektów. Przede wszystkim większość z nich jest znacznie mniejsza od Wyspy Prospera. I nie były też domami postludzi, w których maszyny spełniały wszystkie nasze zachcianki. Naturalnie istnieje tam kilkanaście osiedli i parę tysięcy wielkich generatorów tuneli czasoprzestrzennych. Są też kolektory czarnych dziur i generatory Dziur Branowych, które stanowią pozostałość naszych wczesnych eksperymentów związanych z programem podróży międzywymiarowych... Jednak większość obiektów w pierścieniach została tam umieszczona z myślą o was.

– O nas?

– Wiesz, czym jest faksowanie?

– Przecież faksuję się całe życie – zdziwił się Harman.

– Tak, oczywiście, ale czy rozumiesz, na czym polega?

Harman zaczerpnął tchu.

– My, ludzie, nigdy się nad tym nie zastanawialiśmy, ale w zeszłym roku podczas podróży dowiedziałem się od Savi i Prospera, że urządzenia w faksowężłach przeobrażają nasze ciała w zakodowaną energetycznie informację, dzięki której w innym węźle zostajemy odtworzeni wraz z pełną zawartością umysłu, wspomnieniami i tak dalej...

Mojra skinęła głową.

– Zgoda, z tym jednym wyjątkiem, że te pawilony, węzły, nie są do tego potrzebne – stwierdziła. – Powstały, żebyście nie pojawiali się w miejscach, których odwiedzać nie powinniście. Ta forma teleportacji mocno obciążała komputery, nawet maszyny wyposażone w najnowocześniejsze banki pamięci wykorzystujące technologię baniek i przestrzeń Calabiego-Yau. Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, ile pamięci zajmują dane dotyczące stanu wszystkich cząsteczek samego tylko ludzkiego ciała? O całości informacji frontu falowego osobowości i wspomnień nie wspomnę?

– Nie – przyznał.

Mojra wskazała sklepienie kopuły, lecz Harman zrozumiał, że tak naprawdę chce zwrócić jego uwagę na granatowe niebo i obracające się na nim z wolna pierścienie.

– Oto milion orbitalnych banków pamięci – podjęła. – Każdy poświęcony wyłącznie jednemu z ludzi dawnego typu, jednemu z was. Nocami oglądacie także inne urządzenia. Zasilane energią czarnych dziur teleportery, satelity nawigacyjne, skanery, reduktory, kompilatory, nadajniki i odbiorniki. Gdzieś tam, nad twoją głową, mój Prometeuszu Harmanie, przez całe twe życie tańczy gwiazda nosząca twe imię.

– Dlaczego akurat milion? – zaniepokoił się Harman.

– Wyliczyliśmy, że jest to absolutne minimum zapewniające populacji zdolność przetrwania – wyjaśniła Mojra. – Osobiście podejrzewam jednak, że obecnie żyje was mniej, gdyż zezwoliliśmy kobietom rodzić tylko po jednym dziecku. Za moich czasów przedstawiciele waszego podgatunku istniało jedynie dziewięć tysięcy trzystu czterestu. Mówię o ludziach z zainstalowanymi i uruchomionymi funkcjami nanogenetycznymi. Obok was żyło jeszcze kilkaset tysięcy ludzi oryginalnych, takich jak mój ukochany Ahman Ferdinand Mark Alonzo Chan Ho Tep, ostatni przedstawiciel swojej dynastii.

– A czym są wojniksy? – zapytał Harman. – Skąd się wzięły? Dlaczego przez tyle czasu były po prostu milczącymi sługami, a odkąd wraz z Daemanem zniszczyliśmy

Konserwatornię i wyspę Prospera, stały się wrogami ludzi? W jaki sposób możemy je powstrzymać?

– Zadajesz bardzo wiele pytań. – Kobieta westchnęła. – Jeżeli chcesz poznać i zrozumieć odpowiedzi, potrzebujesz kontekstu. Aby go zdobyć, musisz najpierw przeczytać te książki.

Harman zadarł głowę i powiódł wzrokiem po ścianach kopuły. Zewsząd otaczały go rzędy regałów. Nie był w stanie obliczyć, ile ów księgozbiór liczy sobie metrów kwadratowych bądź sześciennych, lecz już pobieżny rzut oka wskazywał, iż poszczególnych tomów jest przynajmniej milion.

– Które konkretnie?

– Wszystkie – odparła Mojra. Podniosła dłoń i zatoczyła nią koło. – I możesz to zrobić.

– Mojra, nie – odezwał się czarnoksiężnik. – Zabijesz go.

– Nonsens – zachnęła się kobieta. – Młody jest.

– Harman ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat – przypomniał Prospero. – Jest o ponad siedemdziesiąt pięć lat starszy niż ciało Savi, które dla siebie sklonowałaś. Ona miała wspomnienia. On również je posiada. Nie patrzysz na *tabula rasa*.

– Jest silny i zdrowy psychicznie. – Mojra wzruszyła ramionami. – Wystarczy spojrzeć.

– Zabijesz go – powtórzył mag. – A wówczas stracimy najlepszy oręż, którym moglibyśmy pokonać Setebosa i Sykoraks.

Harman był wściekły, lecz jednocześnie ogarniała go coraz silniejsza ekscytacja.

– O czym wy w ogóle mówicie? – syknął i cofnął rękę, by Mojra nie mogła go ponownie dotknąć. – Mam przesigłować wszystkie te książki? Przecież to zajmie całe miesiące... lata... Ba! Może i dekady.

– Nie chcę, byś je sigłował – powiedziała kobieta. – Chcę, żebyś je zjadł.

– Zjadł... – powtórzył Harman.

Ciekawe, czy oszalała jeszcze zanim trafiła do tej temporalnej trumny, czy może obłąd dopadł ją w ciągu stuleci nieustannej replikacji? – pomyślał.

– Tak, zjadł – rzuciła. – W talmudycznym sensie. Wedle Talmudu książki należy jeść, nie czytać.

– Nie rozumiem.

– A wiesz, czym jest Talmud? – zapytała.

– Nie.

Mojra ponownie wskazała wierzchołek kopuły wiszący jakieś siedemdziesiąt pięter nad ich głowami.

– Tam, na górze, młody przyjacielu, pod niewielką kopułką wykonaną z krystalicznie czystego szkła, czeka klatka ze złota, pereł i kryształu. Ja mam do niej klucz. A wewnątrz znajdują się świat i piękna księżycowa noc.

– Chcesz powiedzieć, że to coś w rodzaju twojego sarkofagu? – zapytał Harman. Czuł, że serce bije mu coraz szybciej.

– Nie, ani trochę. – Kobieta się zaśmiała. – Moja trumna była po prostu jednym z węzłów systemu faksów. Rodzajem karuzeli replikującej moje ciało przez długie wieki,

nim nadszedł czas, bym się przebudziła i zabrała do pracy. W tej chwili mam na myśli maszynę, która pozwoli ci przeczytać wszystkie zebrane tu książki. Przeczytać je z prawdziwym zrozumieniem, zanim jeszcze wagonik eiffelbahnu opuści Tadż, co nastąpi za... – zerknęła na dłoń – ...za pięćdziesiąt osiem minut.

– Mojro, nie rób tego – zaprotestował Prospero. – Jeśli Harman umrze lub zamieni się w toczącego ślinę debila, nie pomoże nam w wojnie z Setebosem.

– Milcz, Prospero! – warknęła. – Popatrz na niego. Idiotą jest już w tej chwili. Mam wrażenie, że od czasów Savi ktoś przeprowadził na całej jego rasie porządną lobotomię. Równie dobrze mógłby nie żyć. Za to, jeżeli klatka zadziała, a Harman przeżyje, będzie mógł przysłużyć się nam oraz sobie. – Ujęła dłoń Harmana. – Czego pragniesz najbardziej we wszechświecie, Prometeuszu Harmanie?

– Wrócić do domu, do żony – odpowiedział.

Westchnęła.

– Nie mogę zagwarantować, że kryształowa klatka, która pomoże ci szczególnie przyswoić wiedzę zgromadzoną przez stulecia w księgozbiornicy mojego nieszczęsnego Ahmana Ferdinanda Marka Alonzo, pozwoli ci faksować się do domu i tej... Jak twoja żona ma na imię?

– Ada – brzmienie tych dwóch krótkich sylab doprowadziło go niemal do łez. Chciało mu się płakać z tęsknoty i wyrzutów sumienia – zdradził ją.

– Do Ady – dokończyła Mojra. – Gwarantuję jednak, że jeśli nie podejmiesz tego ryzyka, nie zobaczysz jej już nigdy.

Harman wstał od stolika i wyszedł na marmurowy, pozbawiony zabezpieczeń pomost, zawieszony trzysta stóp ponad zimną, połyskującą posadzką. Spojrzał w kierunku sklepienia, lecz nie zobaczył tam niczego. Miejsce, w którym zbiegały się najdalsze metalowe pomosty, z tej odległości przypominające ledwie widoczne nici pajęczej sieci, ginęło w bladej mgielce.

– Harmanie, przyjacielu Nikogo... – zaczął Prospero.

– Zamknij się – uciszył starego maga i obejrzał się na Mojrę. – Chodźmy.

– Teleportowałem nas tam, dokąd kazałeś – mówi Hefajstos. – Tylko gdzie my, na Hadesa, właściwie jesteśmy?

– Na Itace – odpowiada Achilles. – To pępna, skalista wyspa, lecz zarazem znakomita niańka dla chłopców, którzy pragnąć wyrosnąć na mężów.

– Śmierdzi i wygląda jak kloaczny dół – prychnął bóg ognia, kuśtykając po pylistym, usianym kamieniami szlaku prowadzącym stromo pod górę, pomiędzy łąkami, na których pasą się liczne stada kóz i bydła.

Wędrowcy zmierzają ku prażonym promieniami bezlitosnego słońca budynkom o czerwonych dachówkach.

– Byłem już tutaj – podejmuje heros. – Po raz pierwszy odwiedziłem Itakę jeszcze jako chłopiec.

Ciężka tarcza wisi na skórzanych paskach na plecach Achillesa, ukryty w pochwie miecz kołysze się przy przerzuconym przez ramię pasie. Młody jasnowłosy mężczyzna nie poci się mimo wysiłku wspinaczki i lejącego się z nieba żaru, za to wlekący się za nim kulawy Hefajstos ciężko sapie i lśni od potu. Nawet broda nieśmiertelnego Rzemieślnika posklejała się w wilgotne kosmyki.

Wąska, biegnąca ostro pod górę ścieżka urywa się na szczycie wzgórza, skąd znacznie lepiej widać okazałych rozmiarów zabudowania.

– Pałac Odysusza – rzuca Achilles. Ostatnie pięćdziesiąt metrów pokonuje żwawym truchtem.

– Pałac... – stęka ze wzdrganiem patron płomieni. Kuśtykając, dociera wreszcie na plac przed wysoką bramą, pochyła się i opiera oburącz o chromą nogę. Wygląda jakby miał zaraz zwymiotować. – Raczej chlew, tyle że niezbyt zgrabnie postawiony.

Pięćdziesiąt metrów w prawo od głównego budynku, na skalnym występie ponad urwiskiem, wznosi się ruina niewielkiej, porzuconej fortecy. Sam pałac – dom Odysusza – zbudowano z nowszych materiałów, drewna i kamienia, niż zniszczoną twierdzę. Tylko skrzydła głównej bramy – w tej chwili otwartej – wykuto z dwóch płyt starożytnego kamienia. Taras wyłożono drogimi, starannie ułożonymi płytami terakoty. Zadbali o to zapewne najlepsi z mistrzów kamieniarstwa i innych rzemiosł. Naturalnie widać w tej chwili wyraźnie, że dawno nikt tu nie zamiatał. Otaczające rezydencję mury i kolumny pomalowane są jaskrawymi farbami. Stożące po obu stronach wejścia białe kolumny pokryte wizerunkami winorośli, w których liczne ptaki wiją swe gniazda. Mury zdążyła już porosnąć też najzupełniej prawdziwa winorośl i także w jej splątanych pnączach można dostrzec co najmniej jedno gniazdo zwabionych zieloną kryjówką ptaków. W cienistym westybulu Achilles dostrzega na ścianach kolorowe freski.

Heros natychmiast rusza naprzód, lecz Hefajstos chwytą go za ramię.

– Synu Peleusa, pole siłowe...

– Niczego takiego nie widzę.

– Zobaczyłbyś dopiero, gdybyś w nie wszedł. A takie zderzenie zabiłoby każdego śmiertelnika. Ty jednak, chyżonogi mężobójca, obdarzony tym, co Nyks nazwała osobliwością prawdopodobieństwa śmierci, odbiłbyś się tylko i padł na tyłek. Niemniej moje przyrządy wskazują napięcie przynajmniej dwustu tysięcy woltów i sporo amperów. Taki prąd może nielecho popieścić. Cofnij się.

Brodaty bóg-karzeł manipuluje przy szkatułkach i spiralnie skreconych metalowych przedmiotach zawieszonych na opinających go skórzanych uprężach i kamizeli. Zerka na tarczki zegarów. Za pomocą krótkiego, zakończonego stalowymi klipsami kabla podłącza coś, co wygląda jak martwa metalowa fretka, do jakiegoś złącza w niewidzialnym polu, po czym wielobarwnymi drucikami spina ze sobą cztery romboidalne urządzenia. Na koniec naciska mosiężny przycisk.

– Gotowe – oświadcza bóg płomieni. – Wyłączyłem.

– Bardzo mi się to u wysokich kapłanów podoba – rzuca Achilles. – Nic nie robią, a potem się tym chełpią.

– Gdybyś wmaszerował w to cholerne pole, inaczej byś, kurwa, zaśpiewał – warczy Olimpijczyk. – Pole włączyła Hera, skorzystała z urządzeń mojego pomysłu.

– W takim wypadku dziękuję.

Heros przechodzi pomiędzy uchylonymi skrzydłami kamiennej bramy i wkracza do westybulu domu Odysa.

Ciszę nagle rozdziera głuchy warkot i z cieni wyskakuje czarne, wyszczerzone zwierzę.

Miecz pojawia się w dłoni Achillesa w okamgnieniu, lecz pies leży już na zakurzonych płytach.

– To Argus... – Grek gładzi łeb ciężko dyszącego stworzenia. – Odyseusz tresował go od szczenięcia. Ma go od ponad dziesięciu lat. Musiał jednak wyruszyć pod Troję i nie zdążył go ze sobą zabrać nawet na jedno polowanie. Pod nieobecność naszego chytrego przyjaciela miał się psiskiem zaopiekować jego syn Telemach.

– Kundel tkwi tu samotnie od wielu tygodni – zauważa Hefajstos. – Zobacz, niemal zdycha z głodu.

Bóg ma rację; Argus jest zbyt słaby, by wstać, nie ma nawet siły poruszyć łbem. Pieszczącą go dłoń Achillesa śledzi jedynie ruchami wielkich, błagalnie patrzących ślepi. Pod obwisłą, pokrytą pozbawioną połysku sierścią skórą sterczą żebra przypominające wręgi nieukończonego statku, które ktoś nakrył płachtami starego płótna.

– Pole siłowe Hery uwięziło go w pałacu – domyśla się Achilles. – A idę o zakład, że wewnątrz nie mógł znaleźć nic do jedzenia. Pić mógł spływającą z rynien deszczówkę, ale głodował.

Wyciąga z niewielkiej sakwy kilka sucharów, które zwędził w siedzibie Rzemieślnika, i podaje dwa zwierzęciu. Pies ledwie jest w stanie je pogryźć. Heros układa obok czarnego pyska trzy kolejne suchary i wstaje.

– Nawet trupami nie mógł się wykarmić – odzywa się Hefajstos. – Z wyjątkiem okolic Ilionu ludzi nie ma już nigdzie na świecie... Zniknęli, jak rozwiewa się dym. Kurwa.

Achilles odwraca się gwałtownie w kierunku kulawego bóstwa.

– Gdzie się podziiali?! Co wyście z nimi zrobili?

Rzemieślnik unosi ręce.

– To nie nasza sprawka, synu Peleusa. Nie brał w tym udziału nawet wielki Zeus. Nam, mieszkańcom Olimpu, zależy na wyznawcach. Życie bez tych, którzy wznoszą dla nas ołtarze, zanoszą do nas modły i otaczają czcią, byłoby jak los Narcyza w pozbawionym zwierciadeł świecie, a znam go dobrze. Nie, to nie nasze dzieło.

– Chcesz mi wmówić, że poza wami istnieją jacyś inni bogowie? – pyta Achilles. Wciąż stoi z mieczem w dłoni.

– Na wielkich pchłach żyją pchły mniejsze, te mniejsze żywią się krwią jeszcze drobniejszych, a i te są dręczone przez mniejsze od nich i tak dalej, *ad infinitum*, czy jak to było... – stwierdza brodaty Olimpijczyk.

– Milcz już – rzuca heros.

Poklepuje łeb jedzącego z wyraźnym ożywieniem psa, po czym odwraca się do Hefajstosa plecami.

Z westybulu wchodzi do głównej sali pałacu, do sali tronowej, w której dziesięć lat temu powitali Achilleusa Odyseusz wraz z Penelopą. Telemach, syn gospodarza, był wówczas nieśmiałym sześciolatkiem i gdy tylko pokłonił się niezdarnie przybywającym Myrmidonom, niańka musiała go czym prędzej odprowadzić. Teraz sala świeci pustkami.

Hefajstos zerka na jedno z ukrytych w szkatułkach urządzeń.

– Tędy – stwierdza i wyprowadza Achilleusa z powrotem przez upstrzony barwnymi freskami westybul, po czym kieruje się do podłużnego i nie tak pstrokatego pomieszczenia.

Trafiają do sali bankietowej, gdzie najważniejszym elementem wyposażenia jest niski, długi na trzydzieści stóp stół.

Na stole leży Zeus. Jest nagi, spoczywa z rozrzuconymi na boki rękoma i nogami. Chrapie. W komnacie panuje bałagan. Dokoła walają się porzrzucone puchary, misy i sztuce, z leżącego na posadzce kołczanu wysypują się strzały. Zdjęty z sąsiedniej ściany gobelin leży teraz wymięty pod ciałem uśpionego Ojca Bogów.

– Sen Absolutny, bez dwóch zdań – burczy pod nosem Hefajstos.

– To nawet słyhać – dodaje Achilles. – Chrapie tak potężnie, że aż dziwne, że sufit nie spadł mu jeszcze na głowę.

Mężobójca ostrożnie przechodzi między zębatymi grotami rozrzuconych na podłodze strzał. Choć niewielu greckich wojowników przyznaje się do tego wprost, większość zaprawia swe strzały i włócznie zabójczymi truciznami, a Achilles, syn Peleusa, zna przepowiednię wyroczeni i słowa swej matki, Tetydy, w myśl których zabić go może wyłącznie zatruta strzała, która przeszyje jedyną śmiertelną część jego ciała. Niestety, ani nieśmiertelna rodzicielka, ani Mojry nie dały mu znać, kiedy dokładnie i gdzie zginie ani kto ową fatalną strzałę wystrzeli.

Okrutną ironią losu byłoby, przemyka herosowi przez myśl, gdyby teraz skaleczył się w palec jednym z tych starych grotów Odyseusza i zmarł w mękach, zanim zdołał zbudzić Zeusa i wymóc na nim ratunek dla Pentezylei.

– Nie, miałem na myśl Sen Absolutny, czyli ten cholerny narkotyk, którym uraczyła go Hera – tłumaczy Rzemieślnik. – Osobiście pomogłem nadać temu eliksirowi

postać aerozolu, chociaż właściwą formułę opracowała Nyks.

– Potrafisz go przebudzić?

– Och, myślę, że tak. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Hefajstos zdejmuje z kamizelki i uprząży rozmaite woreczki i puzderka, zagląda do szkatulek, wybiera z nich fiołki i niewielkie przyrządy, które ustawia na stole obok masywnego uda śpiącego Zeusa.

Podczas gdy brodaty bóg-karzeł bawi się swoimi zabawkami, Achilles po raz pierwszy w życiu przygląda się z bliska Zeusowi, Ojcu Bogów i Ludzi, Władcy Burzowych Chmur.

Zeus ma piętnaście stóp wzrostu, co sprawia imponujące wrażenie, nawet kiedy tak leży na pogniecionym gobelinie z rozrzuconymi nogami. Jego rozbudowana muskulatura jest idealnie zarysowana, brodę ma naoliwioną i ułożoną w perfekcyjne loki. Nie licząc jednak rozmiarów i idealnych proporcji sylwetki wygląda po prostu jak przerośnięty facet, który zaznał fantastycznego rżnięcia i ułożył się zmęczony do snu. Boski penis – długi bez mała jak miecz Achillesa – wciąż leży obrzmiały i różowy na lśniąącym od oliwy boskim udzie Pana Bogów. Bóg, który Przywołuje Burze, pochrapuje jak prosię, a z ust cieknie mu strużka śliny.

– To go powinno ocucić – odzywa się Hefajstos i unosi dłoń ze strzykawką zwieńczoną długą na ponad stopę igłą. Takiego przyrządu Achilles nigdy jeszcze nie widział.

– Na bogów! – woła zdumiony heros. – Chcesz to wrazić w ciało Ojca Zeusa?

– Prosto w jego zakłamate, pożądlive serce. – Hefajstos chichocze. – Mam tu tysiąc mililitrów czystej boskiej adrenaliny, zmieszanej z moim autorskim koktajlem rozmaitych pochodnych amfetaminy. To jedyne skuteczne antidotum na Sen Absolutny.

– Co robi Zeus, gdy już się ocknie? – pyta Achilles, osłaniając się tarczą.

Hefajstos wzrusza ramionami.

– Tego to ja sprawdzać nie zamierzam. Wstrzyknę mu odtrutkę i tekuję się w dal. O to, jak zareaguje Zeus, kiedy obudzi się ze sterczącą z serca igłą, musisz się martwić już sam, synu Peleusa.

Achilles chwyta boga-karła za brodę i przyciąga ku sobie.

– Zapewniam cię, że w razie kłopotów będziemy się tym martwić we dwóch, kaleki Rzemieślniku.

– Czego ode mnie chcesz, śmiertelniku? Mam cię potrzymać za rączkę? Sam, kurwa, wymyśliłeś, że trzeba go zbudzić.

– Przypominam, że przebudzenie Zeusa leży również w twoim interesie, olimpijski kuternego – syczy Achilles, wciąż trzymając Hefajstosa za brodę.

– Jak to? – Bóg mruży zdrowe oko.

– Jeżeli mi dziś pomożesz – szepce heros, przysuwając usta do zdeformowanego ucha patrona płomieni – być może już za tydzień to ty zasiądziesz na złotym tronie Dworu Bogów. Ty, nie Zeus.

– Jak to? – powtarza Hefajstos, również zniżając głos do szeptu. W przymrużonym oku pojawia się iskra zainteresowania.

Z dłonią wplecioną w kosmyki brody Olimpijczyka Achilles przedstawia mu

półgłosem swój plan.

* * *

Zeus budzi się z głośnym rykiem.

Hefajstos dotrzymuje słowa i umyka natychmiast po wstrzyknięciu adrenaliny w serce Ojca Bogów. Tekował się błyskawicznie, gdy tylko uwolnił igłę i odrzucił strzykawkę na bok. Trzy sekundy później Zeus siada i wydziera się tak głośno, że Achilles musi zatkać sobie uszy. Mgnienie potem Ojciec Bogów zrywa się na równe nogi, przewraca ciężki, długi na trzydzieści stóp drewniany stół i kruszy całą południową ścianę pałacu Odysuseusza.

– Hero!!! – grzmi Gromowładny. – Niech cię jasna cholera, przekłeta!!!

Achilles potężnym wysiłkiem woli zabrania sobie ucieczki, choć cofa się o krok, kiedy Zeus niszczy ostatni kawał muru, wyrwaną belką roztrzaskuje na tysiąc kawałków wiszący pod powalą kandelabr z koła rydwanu, a następnie zaciska gigantyczną pięść i jednym uderzeniem miażdży ciężki, leżący na boku stół. Wreszcie, wzburzony, zaczyna się szybko przechadzać w tę i z powrotem.

Dopiero po chwili Ojciec Bogów spostrzega stojącego w drzwiach westybulu herosa.

– Ty!!!

– Ja – przytakuje Achilles, syn Peleusa. Miecz wisi mu u boku, tarczę w uprzejmym geście założył na plecy, nie trzyma jej w ręku. Dłonie ma puste, otwarte. Bogobójczy sztylet, którym Atena poleciła mu zamordować Afrodytę, tkwi w ukryciu za pasem bohatera.

– Co robisz na Olimpie? – warczy Zeus. Wciąż jest nagi. Przyciska potężną dłoń do skroni i Achilles dostrzega w nabiegłych krwią oczach Gromowładnego cierpienie. Najwyraźniej Absolutny Sen pozostawił po sobie ból głowy i ciężkiego kaca.

– Nie jesteśmy na Olimpie, Zeusie, mój panie – wyjaśnia ściszone głosem heros.

– Jesteśmy na Itace, w sali bankietowej pałacu Odysuseusza, syna Laertesa. Cała okolica jest chroniona przez złoty obłok.

Zeus mruży oczy i rozgląda się dokoła. Czoło przecinają mu głębokie zmarszczki. W końcu na powrót opuszcza spojrzenie na Achillesa.

– Jak długo spałem, śmiertelniku?

– Dwa tygodnie, Ojciec.

– Jednak ty, Argiw, chyzonogi mężobójca, nie mógłbyś mnie wyzwolić spod wpływu magicznego eliksiru, który podała mi Hera o alabastrowych ramionach. Który z bogów mnie przebudził i dlaczego?

– O Zeusie, który Władasz Gromami. – Achilles zwiesza głowę i patrzy niemal pokornie, naśladując często oglądane gesty słabeuszy. – Wyjawię ci wszystko, czego chcesz się dowiedzieć. Nie mylisz się, że chociaż porzuciła cię większość nieśmiertelnych, to jeden bóg pozostał twym wiernym sługą. Wcześniej jednak muszę cię prosić o pewną łaskę.

– O łaskę?! – ryczy Zeus. – Jeżeli raz jeszcze odezwiesz się bez pozwolenia, obdarzę cię taką łaską, że popamiętasz! Milcz i czekaj!

Gromowładny macha ręką i jedna z trzech ocalałych ścian komnaty – ta, na której wisiał kołczan z zatrutymi strzałami i na której widnieje ślad po wielkim łuku – rozplywa się w mgiełce, tworząc trójwymiarowy ekran przypominający powierzchnię holograficznego basenu z Dworu Bogów.

Achilles domyśla się, że widzi pałac Odyseusza ukazany z lotu ptaka. Spostrzega leżącego w cieniu psa. Wyglodniały Argus zjadł już wszystkie suchary i nabrał dość sił, by usunąć się ze słońca.

– Hera z pewnością zostawiła pod złotym obłokiem pole siłowe – mruczy Zeus. – Jedynym, kto mógł je wyłączyć, jest Hefajstos. Później się z nim porachuję.

Kolejny gest ręki i teraz na ścianie widać wierzchołek Olimpu, porzucone rydwany, puste rezydencje i komnaty Olimpijczyków.

– Wszyscy poszli się pobawić ulubionymi zabawkami – burczy pod nosem Gromowładny.

Chwilę potem Achilles widzi toczoną przy dziennym świetle bitwę pod murami Ilionu. Oddziały Hektora spychają Argiwów i ich maszyny oblężnicze poza Wzgórze Chwastów i jeszcze dalej. W powietrzu suną roje strzał, fruwać dziesiątki boskich rydwanów. Nad zmagającymi się w dole śmiertelnikami trzaskają błyskawice i snopy czerwonych promieni. Ziemią wstrząsają wybuchy, bogowie zmagają się ze sobą pod chmurami, podobnie jak ich ulubieńcy na ziemi.

Zeus kręci głową.

– Widzisz ich, Achillesie? Są od tego uzależnieni jak narkomani od kokainy, jak hazardziści od gry. Od ponad pięciuset lat, kiedy pokonałem ostatnich Tytanów, pierwszych z Przeobrażonych i wtrąciłem Kronosa, Reę i resztę Pierwotnych w cuchnące odmęty Tartaru, ewoluujemy, rozwijając swe boskie moce, coraz głębiej wchodzimy w swe boskie role... I po co???

Pytanie nie zostało skierowane bezpośrednio do Achillesa, więc heros zachowuje milczenie.

– Przeklęte dzieciaki i ich przeklęte zabawy!!! – wydziera się ponownie Zeus i Achilles znów przyciska dłoń do uszu. – Bezużyteczni jak banda heroinistów lub nastolatki z Zapomnianej Ery wечно wgapione w te swoje gry! Po długiej dekadzie spisków, knucia i sekretnych walk, których zresztą wyraźnie zabroniłem, po spowalnianiu czasu, by wzmocnić swych pupili nanotechnologią, wciąż nie są w stanie odpuścić, muszą doprowadzić rzecz do gorzkiego kresu i dopilnować, by to właśnie ich strona zwyciężyła. Jakby to miało, cholera, jakiegokolwiek znaczenie!!!

Achilles wie, że człowiek słabszy – a w jego opinii wszyscy ludzie są słabsi – padłby już na kolana i wył z bólu wywołanego boskimi wrzaskami. Naddźwiękowy huk i porykiwania jednak nawet jemu dają się mocno we znaki.

– Po prostu ćpuny! – woła Zeus, choć w tej chwili jego głos brzmi nieco bardziej znośnie. – Już pięć lat temu powinienem był ich zapisać do grupy Anonimowych Trojanoholików. Wszyscy uniknęlibyśmy straszliwego rozrachunku, jakiego teraz muszę dokonać. Hera i jej sprzymierzeńcy posunęli się stanowczo za daleko.

Achilles śledzi rozgrywaną się na ścianie rzeź. Projekcja jest tak rzeczywista, tak pełna głębi, że heros odnosi wrażenie iż rzeczywiście widzi bramę wiodącą na zroszone

krwią przedmurze Ilionu. Achajowie pod nieporadnym przywództwem Agamemnona cofają się coraz bardziej. Apollo, Pan Srebrnego Łuku, najgroźniejsze z walczących bóstw, spycha w kierunku morza rydwany Aresa, Ateny i Hery. Nie jest to jednak odwrót bezładny, ani na ziemi, ani w powietrzu. Jeszcze nie teraz. Widok bitwy rozgrzewa Achillesowi krew, heros czuje pragnienie, by dołączyć do szeregów walczących, by poprowadzić oddziały Myrmidonów do kontrataku, który zatrzymałby się dopiero, gdy koła jego rydwanu zostawiłyby ślady na marmurowej posadzce priamowego pałacu, najlepiej wlokąc za sobą ociekające szkarłatnymi smugami krwi ciało Hektora.

– No?!!! – ponagla rykiem Zeus. – Mówże!

– Ale co chcesz usłyszeć, Ojciec Bogów i Ludzi?

– Na czym miała polegać owa... łaska, o którą chciałeś mnie prosić, synu Tetydy?

– Wpatrzony w relację z bitwy Gromowładny naciąga na siebie porzucone odzienie.

Achilles podchodzi nieco bliżej.

– W zamian za to, że cię odnalazłem i przebudziłem, ojciec Zeusie, chcę prosić, byś zezwolił przywrócić życie Pentezylei. Umieścić ją w jednej z leczniczych kadzi i...

– Pentezylei?! – grzmi zdumiony bóg. – Tej amazońskiej dziwce z północnych rubieży? Blond suce, która zamordowała własną siostrę Hipolitę, byle tylko zasiąść na tym ich bezwartościowym tronie? W jaki sposób zginęła? I co takiego łączy ją z Achillem lub Achillesa z nią?

Greki zgrzyta zębami, lecz nie podnosi wzroku, w którym w tej chwili zapłonęła żądza mordy.

– Kocham ją, ojciec Zeusie i...

Zeus zanosi się gwałtownym śmiechem.

– Kochasz ją, powiadasz? Synu Tetydy, po wielokroć oglądałem cię na ekranach i osobiście, odkąd byłeś małym chłopcem, zasmarkanym bachorem, uczniem cierpliwego centaury Chirona, lecz nigdy jeszcze nie zauważyłem, byś darzył kobietę miłością. Nawet dziewczkę, która powiła ci syna, porzucałeś jak zbędny bagaż za każdym razem, gdy ogarniała cię chęć na wojaczkę... lub na porcję łajdactwa i gwałtów. Kochasz Pentezyleę? Tę pustogłową blond pizdeczkę z włócznią? Synu Tetydy, opowiedz mi lepiej jakąś inną bajkę.

– Kocham Pentezyleę i chcę, by wróciła między żywych – cedzi Achilles przez zęby. Jest w stanie myśleć wyłącznie o bogobójczym ostrzu, którego kształt wciąż czuje za pasem. Tyle że Atena już raz go okłamała. Jeśli łągała również w sprawie mocy owego ostrza, wyszedłby na dumnia, próbując rzucić się na Zeusa. Jednocześnie zdaje sobie sprawę, że tak czy inaczej, okazał się głupcem, przybywając do Ojca z prośbą o tak szczególny dar. Udaje mu się jednak wytrwać, nie zadziera głowy, choć dłonie zaciska w potężne pięści. – Afrodyta podarowała królowej Amazonki swoiste pachnidło, którym Pentezylea natarła się, stając ze mną do walki... – podejmuje.

Zeus ponownie ryczy ze śmiechu.

– Chyba nie Numer Dziewięć, co? Cóż, masz, że tak powiem, przejebane, mój przyjacielu. W jaki sposób ta cipa wyzionęła ducha? Nie, czekaj, chcę to zobaczyć na własne oczy.

Gromowładny kolejnym skinieniem wydaje polecenie ściennemu ekranowi i obraz

zaczyna się zmieniać, rozplýwać, przenosi się w czasie i przestrzeni. Achilles nieznacznie unosi spojrzenie i widzi nieszczęsną Amazonkę wiodącą swe wojowniczkę do ataku na niego i jego ludzi. Pędzą po czerwonej równinie u podnóża Olimpu. Widzi Klonię, Bremusę i pozostałe kobiety padające od strzał i pod ciosami mieczy. Widzi samego siebie, gdy ciska ojcowską włócznią, która przeszywa królową Pentezyleę na wylot i przebija pierś jej konia, przyszpilając kobietę do martwego zwierzęcia niczym nadzianą na szpilkę muchę.

– Och, wyborny rzut! – chwali gromko Zeus. – A teraz chciałbyś, żebym przywrócił ją do życia w jednej z kadzi Uzdrowiciela?

– Tak, mój Panie – odpowiada heros.

– Nie wiem, skąd dowiedziałeś się o Sali Uzdrowień – Zeus na powrót zaczyna przechadzać się po komnacie – ale trzeba ci wiedzieć, że nawet niezrozumiała sztuka Uzdrowiciela nie pomoże wrócić życia śmiertelnemu człowiekowi.

– Panie – Achilles mówi cicho, lecz zdecydowanie – Atena obłożyła ciało mej ukochanej wstrzymującym rozkład zaklęciem. Być może wciąż...

– Milcz! – wydziera się Zeus i fala uderzeniowa odrzuca Achillesa pod holograficzną ścianę. – Żaden z członków pierwotnego panteonu nieśmiertelnych nie będzie mówił ojcu Zeusowi, co jest możliwe albo co ma robić. Tym bardziej nie będzie mnie instruować nędzny śmiertelnik, nawet przerośnięty włócznik!

– Nie, ojcze – tym razem Achilles unosi wzrok ku górującemu nad nim brodacowi – ale miałem nadzieję, że...

– Milcz! – powtarza Zeus, lecz natężenie dźwięku pozwala Achillesowi oderwać dłonie od uszu. – Teraz odejdę. Oddalę się, by zniszczyć Herę, a jej współników strącić w bezdenną otchłań Tartaru. Pozostałe bóstwa ukarzę w sposób, którego nie będą w stanie zapomnieć, i raz na zawsze zmiotę z powierzchni ziemi armie argiwskich najeźdźców. Wy, Grecy, jesteście dla mnie z tą swoją arogancją i chytrą jak śwędzący wrzód na dupie. – Zeus rusza do drzwi. – Jesteś w tej chwili na Ziemi Ilionu, synu Tetydy. Podróż zajmie ci wiele miesięcy, lecz drogę do domu zdołasz odnaleźć sam. Powrotu pod Troję nie polecam. Gdybyś jednak się tam udał, nie zastaniesz już ani jednego żywego Achaja.

– Nie – rzuca Achilles.

Zeus odwraca się na pięcie. Pomiędzy kosmykami jego brody wykwita najprawdziwszy uśmiech.

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem: nie. Musisz spełnić moją prośbę. – Achilles zsuwa tarczę z pleców i zakłada ją na przedramię, jakby szykował się do bitwy. Dobywa też miecza.

Zeus odrzuca głowę w tył i zanosi się śmiechem.

– Spełnić prośbę... A jak nie, to co, bękarcie Tetydy?

– Wtedy rzucę wątrobę Zeusa zagłodzonemu psu Odyseusza, który leży na dziedzińcu – oświadcza heros z naciskiem.

Gromowładny kręci z uśmiechem głową.

– Czy wiesz, dlaczego jeszcze nie umarłeś, robaku?

– Dlatego że jestem Achillesem, synem Peleusa. – Grek podchodzi do boga. Żałuje, że nie ma przy sobie włóczni. – Jestem największym wojownikiem i najszlachetniejszym

herosem na świecie. Jestem niepokonanym przyjacielem zamordowanego Patroklosa, niczym sługą... Nie ma nade mną władzy żaden człowiek... ani żaden bóg.

Zeus ponownie kręci głową.

– Nie jesteś synem Peleusa.

Achilles zamiera w pół kroku.

– O czym ty mówisz, Władco Much, Panie Końskiego Łajna? Jestem synem Peleusa, syna Aiakosa, synem śmiertelnika, który legł w łóżu z nieśmiertelną Tetydą, boginią morza, jestem królem z długiej dynastii władców Myrmidonów.

– Nie – powtarza Zeus i tym razem to wielki bóg podchodzi. Wyrasta nad Achillem niczym góra. – Owszem, jesteś synem Tetydy, ale nie Peleusa. To moje nasienie cię spłodziło, bękarcie.

– Twoje...! – Achilles próbuje się roześmiać, lecz wydaje z siebie jedynie ochryple warknięcie. – Moja nieśmiertelna matka nie kłamie, a powiedziała, że...

– Twa nieśmiertelna matka kłamie, nie mrużąc nawet przesłoniętego wodorostami oka. – Gromowładny się śmieje. – Niecałe trzydzieści lat temu ogarnęło mnie pożądanie. Zapragnąłem właśnie Tetydy. Nie była wówczas pełnoprawną boginią, lecz pięknym prześcigała większość śmiertelniczek. Mojry jednak, te przekłete istoty, wiecznie rachujące na swych wyposażonych w pamięć DNA abakusach, przestrzegły mnie, że dziecię, które spłodzę z Tetydą, przyniesie mi zgubę, że może doprowadzić do mojej śmierci i przyczynić się do końca władzy olimpijskich bogów.

W wycierających spod hełmu oczach Achillesa nienawiść miesza się z niedowierzaniem.

– Moja żądza jednak nie wygasła – ciągnie Zeus. – Dlatego ją przeleciałem. Wcześniej jednak przyoblekłem się w postać Peleusa, nędznego śmiertelnego gołowąsa, w którym Tetyda była podówczas nieco zadurzona. Ziarno, z którego wyrosłeś, było boskim nasieniem Zeusa, Achillesie, synu Tetydy. Możesz mi zaufać. Jak sądzisz, dlaczego matka wywiozła cię tak daleko od tego kretyna Peleusa i oddała na wychowanie sędziwemu centaurowi?

– Kłamiesz! – warczy heros.

Zeus zaprzecza ruchem głowy. W jego spojrzeniu pojawia się nowa emocja, niemal smutek.

– Nie kłamie. A ty, młody Achillesie, umrzesz już za chwilę – mówi Ojciec Bogów i Ludzi. – Szczejniesz jednak ze świadomością, że powiedziałem ci prawdę.

– Nie możesz mnie zabić, Władco Wszy.

Zeus gładzi się po brodzie.

– Owszem, nie mogę. Nie bezpośrednio. Dopilnowała tego Tetyda. Kiedy dowiedziała się, że nosi w sobie mojego bachora, a nie dziecko tego czerwca Peleusa, poznała również przepowiednię Mojry i zrozumiała, że zgładzę cię podobnie, jak czynił Kronos, mój ojciec, który wolał własne potomstwo pożerać niż ryzykować bunt i bratobójcze walki, kiedy dorosną. I miała rację, młody Achillesie, zrobiłbym to. Zjadłbym cię, pożarłbym cię wyjętego z kołyski, gdyby Tetyda nie zanurzyła cię w probabilistycznych płomieniach czystego kwantowego niebiańskiego ognia. Jesteś wskutek tego, bękarcie Zeusa i Tetydy, kwantowym dziwadłem, jedynym takim w całym

wszechświecie. Twa śmierć, a nawet ja nie znam jej szczegółów, wzbronili mi ich Mojry, jest nieuchronna, a jej okoliczności są ustalone i niezmiennie.

– W takim razie stań ze mną do walki, Boże Łajna! – woła Achilles i rusza na Gromowładnego. Oslania się tarczą, miecz trzyma w gotowości.

Zeus podnosi rękę. Achilles zastyga nieruchomo. Podobnie jak sam czas.

– Nie, zabić cię nie mogę, porywczy bękarcie – mamroce pod nosem Zeus – ale co się stanie, jeżeli oddzielę twe ciało od kości, a potem rozszarpie je na pojedyncze komórki i cząsteczki? Nawet kwantowe siły wszechświata miałyby poważny problem z poskładaniem cię w całość. Mogłoby to trwać całe wieki i wątpię, by obeszło się bez bólu.

Zamarły w pół kroku heros wie, że Gromowładny nie odebrał mu mowy. Nie odzywa się jednak słowem.

– Może ciebie też mógłbym skazać na wygnanie? – zastanawia się Zeus, wskazując powałę. – Na przykład do miejsca, w którym nie ma powietrza. Tak, to musiałoby przyprawić kwantową osobliwość niebiańskiego ognia o nielichą konfuzję.

– Poza głębinami morza powietrze jest wszędzie – warczy Achilles przez zęby, lecz zaraz przypomina mu się wczorajsza wędrówka przez zbocza Olimpu. Pamięta, jak wielkie miał tam kłopoty z oddychaniem i jaka ogarnęła go słabość.

– Stwierdzenie, któremu kłam z łatwością zada jedna wizyta w kosmicznej próżni. – Uśmiezek Gromowładnego doprowadza herosa do szału. – Może gdzieś poza orbitą Urana lub w Pasie Kuipera. Tartar również nie byłby od rzeczy. Tamtejsza atmosfera składa się głównie z metanu i amoniaku. Zmieniłaby twoje płuca w zwęglone skwarki. Gdybyś jednak, mimo straszliwych katuszy, przetrwał kilka godzin, mógłbyś poznać swoich dziadków. A wiesz, oni chętnie śmiertelnych pożerają...

– Pieprz się! – krzyczy Achilles.

– Zatem postanowione – oświadcza Zeus. – Udanej podróży, mój synu. Krótkiej i bolesnej, niemniej udanej.

Król Wszystkich Bogów kreśli prawą dłoń krótki, wdzięczny łuk i płytki terakotowej posadzki pod nogami Achillea zaczynają znikać. W podłodze komnaty bankietowej pałacu Odyseusza pojawia się okrągły otwór i po chwili mężobójca zawisa nad rozświetlaną językami ognia przepaścią. Spod niego, z ziejącej grozą otchłani, biją kłęby siarkowych oparów. Czarne góry sterczą niczym przeżarte próchnicą zęby. W jeziorach przelewa się płynny ołów. Bulgocą bajora i rzeki rozżarzonej lawy, a pomiędzy nimi czmychają niewyraźne sylwetki wielkich nieludzkich stworów. Na powierzchni dolatują bezustanny ryk i wrzaski potworów zwanych dawniej Tytanami.

Zeus wykonuje kolejny gest, bardzo nieznaczny, i Achilles spada do jamy. Nie krzyczy. Po prostu znika.

Zeus jeszcze przez chwilę spogląda z krawędzi w płomienie i gęste czarne chmury, po czym przesuwa dłoń w prawo. Otwór się zamyka, podłogę na powrót pieczętuje ręcznie kładziona terakota i w całym pałacu zapada cisza, przerywana tylko żalonym skowytom dręczonego głodem Argusa, który snuje się gdzieś na dziedzińcu.

Zeus wzdycha i teleportuje się. Niebawem rozpocznie rozprawę z nieświadomymi jeszcze swego położenia Olimpijczykami.

Prospera zostawili na dole. Mojra powiodła Harmana wokół kopuły po marmurowym, niezabezpieczonym żadną poręczą pomoście. Wjechali na górę żelaznymi schodami ruchomymi, a potem znów wzdłuż obwodu grobowca i jeszcze wyżej, aż wreszcie posadzka Tadź stała się niedużym kolistym placykiem leżącym kilka mil poniżej. Serce Harmana raz po raz próbowało wyskoczyć z piersi.

W nachylonych ścianach wznoszącej się jakby w nieskończoność kopuły otwierały się co jakiś czas małe okrągłe okienka. Nie było ich wiele. Harman nie zauważył ich z parteru ani z zewnątrz, lecz wpuszczały do środka nieco światła i podsuwały mężczyźnie pretekst, by mógł się zatrzymywać dla nabrania tchu i przywołania resztek odwagi.

Przy jednym z nich przystanęli na całą minutę i Harman wyjrzał na szczyty odległych gór, połyskujące w świetle późnego poranka iskierkami lodu. Zbite masy chmur wypełniały widoczne na północy i wschodzie doliny, ukrywając pod sobą poprzecinane wąwozami lodowce. Harman nie był pewien, jak daleko sięga z tej wysokości jego wzrok. Poza górskimi łańcuchami i wałami chmur majaczył we mgle niemal zakrzywiający się już horyzont. Sto mil dalej? Dwieście? A może więcej?

– Nie mam ci za złe – odezwała się Mojra półgłosem.

Harman odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Tego, co zrobiłeś, by mnie obudzić – wyjaśniła. – Nie zamartwiaj się. Przepraszamy cię. Naprawdę nie miałaś wyboru. Mechanizmy, które cię do tego nakłoniły, powstały jeszcze przed narodzinami prapradziadka twojego dziadka.

– Tak... Ale jakie były szanse, że rzeczywiście okażę się potomkiem tego twojego Ferdinanda Marka Alonzo Chan Ho Tepa? – Harman nie był w stanie ukryć wyraźnego w jego głosie rozżalenia, zresztą wcale nie chciał.

O dziwo, Mojra odpowiedziała śmiechem. Śmiała się zupełnie jak Savi, żywiolowo, spontanicznie, w jej głosie brakowało tylko goryczy, którą Harman zawsze słyszał w śmiechu staruszki.

– Pytasz o szanse? Sto procent.

Zdumiony Harman nie wiedział, co mógłby powiedzieć.

– Ferdinand Mark Alonzo przypilnował, by kolejna generacja ludzi została odpowiednio... przygotowana – dodała kobieta. – Część jego chromosomów trafiła do wszystkich przyszłych mężczyzn.

– W takim razie nic dziwnego, że jesteśmy wąтли, głupi i nieporadni – rzucił Harman. – Wszyscy jesteśmy owocami kazirodczych związków.

Niecałe trzy tygodnie wcześniej – teraz miał wrażenie, że minęło już wiele lat – przesiadł książkę omawiającą podstawy genetyki. Leżał w łóżku obok śpiącej Ady, a złote słowa spływały z okładki przez jego dłoń i ramię.

Mojra znów się zaśmiała.

– Jesteś już gotów? Możemy iść do kryształowej klatki?

* * *

Przezroczysta kopułka na szczycie Tadź Mojry okazała się znacznie większa, niż się tego spodziewał. Musiała mieć przynajmniej sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt stóp średnicy. Tutaj nie było już marmurowych pomostów, a wszystkie stalowe pomosty i żelazne schody ruchome zbiegały się na środku pomieszczenia. Metal lśnił we wpadających przez szyby promieniach słońca.

Harman nigdy w życiu nie znalazł się tak wysoko. Nawet kiedy stał na pylonie mostu Golden Gate w Machu Picchu, który strzelał siedemset stóp nad zawieszoną na linach jezdnię. Nigdy wcześniej nie czuł też takiego lęku wysokości. Kiedy spojrzał w dół na marmurową posadzkę Tadź, okazało się, że może ją całą przesłonić wyciągniętą przed siebie dłonią. Labirynt przepierzeń i wejście do krypty przypominały z tej odległości płataninę wszytych w całuny turyńskie mikroobwodów scalonych. Surowo zabronił sobie patrzenia pod nogi i pokonał w ślad za Mojrą ostatnie schody. Wreszcie zostawili za sobą pajęczynę pomostów i zatrzymali się na żelaznej platformie już we wnętrzu kopułki.

– To ma być ta klatka? – spytał i wskazał ruchem brody wysoką na dziesięć, dwanaście stóp konstrukcję zajmującą środek platformy.

– Tak.

Harman spodziewał się, że owa tak zwana kryształowa klatka okaże się jakąś odmianą kryształowego sarkofagu Mojry, lecz nie przypominała jej ani trochę. Miał przed sobą pojemnik z przezroczystych, wielobocznych szybek połączonych metalowymi spoiwami koloru cyny. Przyszło mu do głowy słowo „dodekaedr”, lecz pamiętał je jedynie z siglowania, a nie prawdziwej lektury, i nie do końca był pewien jego znaczenia. Całość miała mniej więcej sferyczny kształt i dwanaście szklanych lub kryształowych ścian.

Ze ścian samej kopuły wychodziły dziesiątki wielobarwnych kabli i rurek, które znikwały w czarnej, metalowej podstawie szkatuły. Wokół stały krzesła z siedzeniami z metalowej siatki, kilka niecodziennie wyglądających urządzeń z klawiaturami i ciemnymi ekranami oraz stojące pionowo, niebywale cienkie płyty z przejrzystego plastiku, wysokie na pięć lub sześć stóp.

– Gdzie my jesteśmy? – spytał Harman.

– W sercu Tadź. – Mojra włączyła część urządzeń z ekranami i musnęła jeden z pionowych paneli.

Plastik zniknął, a jego miejsce zajął wirtualny pulpit sterowniczy. Ręce kobiety zatańczyły wśród holograficznych instrumentów, ze ścian dobiegł głuchy pomruk i do kryształowej klatki zaczął napływać złoty płyn – złoty, nie żółty. Przypominał rzadki jak woda płynny kruszec.

Harman podszedł do kryształowego dodekaedru.

– Coś się tu leje – zauważył.

– Naturalnie.

– Przecież to głupie. Teraz nie będę mógł wejść. Utonę.

– Nie, nie utoniesz – zapewniła kobieta.

– Naprawdę chcesz, żebym tam siedział zalany dziesięcioma stopami złotej wody?

– Tak.

Harman pokręcił głową i zaczął się cofać. Zatrzymał się dopiero sześć stóp od skraju metalowej platformy.

– Nie, nie i jeszcze raz nie. To jakiś obłąd.

– Twoja wola, ale to jedyny sposób, byś posiadał wiedzę zawartą w księgozbiorze Tadz – stwierdziła Mojra. – Ta złota woda jest nośnikiem, który pozwoli ci przyswoić treść milionów książek. Wiadomości, które są nieodzowne, jeżeli masz się stać naszym Prometeuszem, sprzymierzeńcem w walce z Setebosem i jego pomiotem. Potrzebujesz ich, by wyrwać swój rodzaj z mroków niewiedzy. Potrzebujesz ich również, żeby ocalić swoją ukochaną Adę.

– No tak, ale jeśli ta woda... czymkolwiek ten płyn jest... wypełni całą klatkę, zbierze się jej tam dobre dziesięć stóp lub więcej... A ja nie jestem wybitnym pływakiem i...

Nagle urwał, gdyż tuż obok pojawił się Ariel. Harman nie słyszał ani jednego kroku na metalowej podłodze. Przybysz miał ze sobą spory pakunek owinięty w przypominającą czerwony całun turyński tkaninę.

– Ariel, moje kochanie! – Mojra była wyraźnie uradowana. Takiej ekscytacji jeszcze nigdy u niej nie widział. Nie pamiętał również, by czymkolwiek tak się cieszyła Savi.

– Pozdrowienia, Mirando – odpowiedział duszek.

Odpakował swój dar i wręczył Mojrze jakiś starożytny instrument strunowy. Ludzie ze świata Harmana potrafili grać i śpiewać, lecz instrumentów znali niewiele. Sami nie wytwarzali żadnych.

– Gitara! – zachwyciła się kobieta, przyjmując dziwacznie ukształtowany przedmiot z rąk jaśniejszej, zielonkawej postaci. Trąciła długimi palcami kilka strun, których dźwięczne brzmienie skojarzyło się Harmanowi z tonem Ariela.

Duch złożył kurtuazyjny ukłon i zaczął uroczyście recytować:

Przyjmij tego raba Muzyki,

Przez wzgląd na niego, który jest twym niewolnikiem.

Pokaż mu harmonię wszelaką, w której ty i ty jedyna.

Sprawiasz, że duch radosny jaśnieje,

Póki radość nie narodzi się na nowo,

I zbyt mocna zamieni się ból,

Gdyż za zgodą i rozkazem księcia Ferdynanda twego

Ariel nieborak zasyła ów skromny dowód

wszystkiego, co wyrzec się nie da.

Mojra ukloniła się duchowi i odłożyła na stół instrument, który wydał z siebie cichy, wibrujący brzęk. Zaraz potem złożyła pocałunek na zielonym, jaśniejącym czole Ariela.

– Dzięki ci, o przyjacielu, z rzadka miły sługo, nigdy niewolniku. Jak się miewał mój Ariel, gdy leżałam pogrążona we śnie?

– Gdy nie żyjesz, nawet Miesiąc niemy w swym księżycowym omdleniu nie tak

smętny jest jak Ariel porzucony. Kiedy wstajesz i na świat powracasz, niczym niewidoczna gwiazda, Ariel od narodzin cię powiedzie po życia morzach – odpowiedział Ariel.

Mojra musnęła jego policzek, zerknęła na Harmana i z powrotem na awatara biosfery.

– Czy wasze drogi już się skrzyżowały?

– Poznaliśmy się – rzucił Harman.

– Arielu, jak się wiedzie światu, odkąd go opuściłam? – Kobieta znów odwróciła się od mężczyzny.

– Wiele zmian nastąpiło, odkąd Ferdinand miłość twą rozbudził, Ariel kroczy twoim śladem, wolę twą wypełnia kornie – odparł Ariel i dodał już mniej dostojnie, jakby dobiegła właśnie końca jakaś niezwykle ważna ceremonia: – A jak miewasz się ty, moja pani, teraz, gdy przeżyłaś powtórne narodziny?

Tym razem to Mojra odparła głosem dźwięcznym i pełnym powagi. Stara Savi nigdy takim nie przemawiała.

– Ta świątynia, tak smutna i taka samotna, Jest wszystkim, co oparło się poździe wojny Stoczony dawno temu przez potężnych władców Przeciwno buntownikom. Ta olbrzymia postać, Której dostojne rysy przeorała klęska, To Prospero. Ja, Miranda, jedna pozostałam, By odprawiać obrzędy kapłańskie wśród pustki[5].

Ku swemu przerażeniu Harman zauważył, że zarówno postludzka kobieta, jak i nieludzki awatar biosfery zalali się łzami, których nawet nie próbowali ukryć.

Ariel cofnął się o krok, ponownie uklonił i skinął dłonią na Harmana.

– Ów śmiertelnik, który wbrew ludzkiej naturze nie uczynił nic złego, czy pojawił się pod kryształową klatką, by czekać na stracenie?

– Nie, by zdobyć wykształcenie – sprostowała Mojra.

5 Dokonana przez Wojciecha Szypułę parafraza ustępu z „Upadku Hyperiona” J. Keatsa (tłum. Z. Kubiak).

Jajo Setebosa pękło pierwszej nocy po powrocie do ruin Dworu Ardis.

Na widok ogromu zniszczeń swego dawnego domu Ada poczuła się głęboko wstrząśnięta. W noc ataku, kiedy ewakuowano ją sonikiem, była nieprzytomna. Wskutek wstrząśnienia mózgu i innych obrażeń nie pamiętała nawet wszystkich wydarzeń z kilku poprzednich, straszliwych godzin. Teraz spojrzała na zgliszcza budynków, na popioły swego poprzedniego życia i wspomnień, w bezlitosnym świetle dnia. Bardzo chciałaby po prostu osunąć się na kolana i szlochać, póki płacz nie strąciłby jej w sen, lecz prowadziła przeciw grupę czterdziestu czterech ocalałych. Wspinali się właśnie na ostatnie wzgórze. Sonik krążył po niebie z ósemką ciężko rannych na pokładzie. Dziewczyna zadarła więc głowę, nie pozwoliła sobie na łzy i weszła między zwęglone budynki. Rozglądała się jedynie po to, by wskazać towarzyszącej pojedyncze nietknięte przez ogień przedmioty, które mogły się przydać przy rozbijaniu nowego obozowiska.

Jej dom, wspaniała posiadłość, Dwór Ardis – licząca sobie dwa tysiące lat duma całej rodziny – zniknął niemal bez reszty. Pozostały jedynie osmalone drewniane belki i kamienne kominki. Natknęli się za to na zaskakująco wiele nadających się do wykorzystania rzeczy.

Na polach znaleźli tymczasem tylko rozkładające się z wolna ciała przyjaciół – w całości bądź w kawałkach.

Ada naradziła się z Daemanem i kilkoma innymi. Zgodzili się, że najważniejsze jest rozpalenie ognia i zapewnienie grupie schronienia. Przede wszystkim – jeszcze przed końcem krótkiego zimowego dnia – potrzebowali prostego, lecz ciepłego szałas, gdzie mogliby ułożyć i opatrzyć chorych i rannych. Chatka musiała być przy tym na tyle duża, by zmieścili się w niej wszyscy. Inaczej nie było mowy o przetrwaniu lodowatej nocy. Dwór Ardis został dokumentnie zniszczony, lecz stały wciąż fragmenty kilku koszarowych baraków, szopy i innych budynków wzniesionych w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy, zanim spadł z nieba niszczycielski deszcz meteorów. Co prawda mogliby się w nich ścisnąć, lecz znajdowały się zbyt blisko lasu i niełatwo byłoby je obronić. Co gorsza, stały za daleko od wykopanej tuż przy dworze studni.

Zebrali naręcza rozpałki i chrustu i wkrótce zapłonęło wielkie ognisko. Ada stwierdziła w duchu, że zużyli przy tym stanowczo zbyt wiele zapalek, których zapas niebezpiecznie się kurczył. Greogi posadził sonik i wynieśli z niego nieprzytomnych lub mających towarzyszy, których złożyli w ciepłe płomieni na prowizorycznych pryczach i siennikach. Grupka osób wciąż donosiła drewno na opał, którego szukali wśród ruin – nikt nie miał szczególnej ochoty wchodzić do cienistego lasu, a co więcej, Ada stanowczo zabroniła na dziś podobnie brawurowych wybryków. Sonik wystartował i zaczął krążyć w promieniu mili od dworu. Za sterami leżał wyczerpany Greogi, a Boman obserwował okolicę z karabinem w rękę. Wypatrywali wojniksów.

W jednym z baraków – Odyseusz zbudował go kilka miesięcy temu z myślą

o słuchaczach swych pogadank – odkryli prawdziwy skarb w postaci koców i bel płótna. Tkaniny cuchnęły dymem, lecz nadawały się do użycia. Z kolei w szopie – dach miała strzaskany, lecz ogień strawił ją tylko częściowo – stojącej nieopodal pocerniałego żeliwiaka Hanny Caul trafił na łopaty, kilofy, łomy, motyki, młotki, gwoździe, szpikulce, nylonową linę, karabińczyki oraz inne narzędzia, w przeszłości wykorzystywane jedynie przez serwitory, a teraz mogące ocalić im życie. Tuż obok nieprzerwanie dymiących ruin dworu, korzystając z nietkniętego przez pożar drewna z koszar i odzyskanych ze zniszczonej palisady belek, rozpoczęli budowę krzyżówki namiotu z drewnianą chatą, pod której dachem znalazła się studnia. Tego rodzaju tymczasowe schronienie miało im wystarczyć na przynajmniej kilka nadchodzących nocy. Boman snuł szerzej zakrojone plany budowy trwałego budynku z wieżą, otworami strzelniczymi, otoczonego blisko stojącym ostrokołem, lecz Ada przykazała mu pomóc towarzyszący, a wznoszenie zamków odłożyć na później.

Nikt nie zauważył nawet śladu wojniksów, lecz mimo że trwało popołudnie, nikt nie zapomniał, jak szybko o tej porze roku zapada zmrok. Ada i Daeman poprosili Kamana i dziesięciu najlepszych strzelców z grupy, by rozstawili straż w bezpiecznej odległości od ruin. Pozostali dysponujący bronią palną ludzie – naliczyli w sumie dwadzieścia cztery sprawne karabiny i jeden szwankujący; mieli także niecałe sto dwadzieścia magazynków kryształowych pocisków – strzegli terenu bliżej ogniska i powstającego szalasu.

Szkielet i ściany budynku udało się zbić i postawić po z górą trzech godzinach pracy. Konstrukcja z belek ostrokołu miała tylko około sześciu stóp wysokości. Wykorzystując deski z baraków, sklecili też obły dach, który obciągnęli jedynie brezentową płachtą. Nie starczyło już czasu, by zamontować wewnątrz solidną podłogę, lecz poszkodowani nie mogli leżeć bezpośrednio na zmarzniętej ziemi. Ze stojącej pod północną palisadą stodoły naniesiono więc siana, które nakryto grubymi warstwami płótna.

Bydło zniknęło – zabiły je wojniksy lub rozpiechło się po okolicy. Dzisiejszego popołudnia nikt nie zamierzał uganiać się za krowami po lesie, a krążący wokół posiadłości sonik miał ważniejsze obowiązki.

Późnym popołudniem schronienie było już gotowe. Ada, która dotąd przygotowała nowe wiadra i liny do studni oraz kierowała grabarzami, którzy za pomocą łopat i kilofów wykopywali w skostniałej glebie płytkie groby, obejrzała konstrukcję i stwierdziła, że do snu może się wewnątrz ciasno ułożyć przynajmniej czterdzieści pięć osób – pozostali i tak musieli trzymać straż na zewnątrz – a w razie potrzeby wszystkich pięćdziesięciu troje ocalałych będzie mogło spożyć pod dachem wspólny posiłek. O wygodzie nie mogło być mowy, ale na razie innych możliwości nie mieli. Trzy z czterech ścian budynku wzniesiono z drewna, lecz czwartą – otwierającą się na studnię i dwa rozpalone w tej chwili ogniska – zastąpiono płachtą tkaniny, teraz zwiniętą, by płomienie ogrzały wnętrze. Laman i Edide zebrali w zgłiszczach dworu zniszczone przedmioty z ceramiki i metalu, z których powstał w szalasiu może nie tyle komin z prawdziwego zdarzenia, ile gromadząca ciepło rura. Z zainstalowaniem jej musieli się jednak wstrzymać do rana. Szyb do okien nie mieli, ale wycięte w drewnianych ścianach na różnych wysokościach

otwory strzelnicze uszczelnili odsuwającymi deszczułkami i skrawkami płótna. Daeman zgadzał się z towarzyszami, że w razie potrzeby mogą się wycofać do szałasów i skutecznie ostrzeliwać z tych otworów bezpośrednie otoczenie, lecz jedno spojrzenie na płócienny dach i płócienną czwartą ścianę wystarczyło, by zrozumieć, że w razie ataku wojników ludzie nie zdołają utrzymać pozycji zbyt długo.

Najwyraźniej jednak jajo Setebosa wciąż skutecznie utrzymywało potwory na dystans.

Gdy zapadła już niemal zupełna ciemność, Daeman zabrał ze sobą Adę, Toma i Lamana. Zostawili ciepłe ognisko za sobą i podeszli do zniszczonego żeliwiaka Hanny, gdzie Daeman otworzył plecak i pokazał im jajo. Lśniło coraz jaśniej, otaczała je odrażająca mleczna poświata. Skorupkę na całej powierzchni pokryła siateczka drobnych pęknięć, lecz wciąż jeszcze nie pojawiły się żadne większe otwory.

– Jak myślisz, kiedy to coś się wykluje? – zapytała Ada.

– A skąd ja mam, do diabła, wiedzieć? – odparł Daeman. – Wiem tylko, że mały Setebos wciąż żyje i próbuje się wydostać. Kiedy przyłoży się ucho do jajka, słychać nawet piski i takie dziwne mlaśnięcia.

– Chyba nie chcę tego słuchać – rzuciła dziewczyna.

– Co zrobimy, kiedy Setebos się wykluje? – spytał Laman, który od początku powtarzał, że zdobycz należy zniszczyć.

Daeman wzruszył ramionami.

– Co właściwie chciałeś osiągnąć, kiedy wykradłeś je z gniazda w Kraterze Paryskim? – spytał Tom, który poznał już całą historię o katedrze z błękitnego lodu.

– Sam nie wiem – przyznał chłopak. – Uznałem, że to niezła myśl. Może sądziłem, że dowiemy się, czym właściwie jest ten cały Setebos.

– A jeżeli mamusia przyjdzie do nas po swoje bobo? – podjął Laman.

Daeman nie po raz pierwszy musiał się mierzyć z tym pytaniem. Raz jeszcze wzruszył ramionami.

– Jeśli będzie trzeba, zabijemy go od razu, gdy się wykluje – podsunął szeptem wpatrzony w gęstniejącą pod drzewami zimową ciemność.

– Myślisz, że się nam uda? – mruknął Laman. Przytknął lewą rękę do spękanej skorupy i cofnął ją jak oparzony.

Wszyscy, którzy odważyli się dotknąć jaja, opowiadali o nieprzyjemnym doznaniu. Mieli wrażenie, że kryjąca się wewnątrz istota wysysała z nich energię.

Zanim Daeman zdążył odpowiedzieć, odezwała się Ada.

– Wiesz, Daeman, gdybyś tego jaja nie przyniósł, większość z nas już by nie żyła. Woniksy przez cały czas trzymają się z daleka. Może tak będzie nawet wtedy, kiedy mały Setebos wreszcie się wykluje.

– O ile jego mamusia czy tatuś nie pożre nas we śnie – wtrącił Laman, rozcierając okaleczoną prawą dłoń. – Albo i on sam.

Nieco później, tuż po zmroku, Siris podeszła do Ady i szeptem poinformowała ją, że właśnie zmarł Sherman, jeden z poważniej rannych obrońców Ardis. Ada skinęła głową, poprosiła o pomoc Edide i tłustawego mężczyznę imieniem Rallum i cichaczem wynieśli ciało poza krąg światła. Złożyli je obok sterty belek i kamieni w pobliżu

zniszczonych koszar. Należyty pogrzeb postanowili wyprawić towarzyszowi o poranku. Zerwał się zimny wiatr.

Ada spełniła swój obowiązek i przez cztery godziny pilnowała obozu. Stała w ciemności z karabinem w dłoni. Ciepły ogień płonął daleko, a od posterunku najbliższego innego wartownika dzieliło ją pięćdziesiąt jardów. Wstrząśnienie mózgu dawało się dziewczynie we znaki tak paskudnym bólem głowy, że nie zobaczyłaby wojnika czy Setebosa, nawet gdyby potwór wskoczył jej na kolana. Bolący nadgarstek zmusił ją do oparcia broni na przedramieniu. Kiedy wreszcie zluzował ją Caul, wróciła niepewnym krokiem do zatłoczonego szałasu i nie zwracając uwagi na głośnie chrapanie, zapadła w głęboki, mącony okrutnymi koszmarami sen.

Daeman obudził ją tuż przed świtem.

– Setebos się wykluł – wyszeptał jej do ucha. Ledwie słyszała jego słowa. – Przepraszam, że nie daję ci wypocząć, ale musimy podjąć jakąś decyzję.

Ada usiadła w ciemności. Czuła napór ciał i oddechów stłoczonych wokół ludzi. Przez moment była pewna, że wciąż śni koszmarne sen. Tak bardzo chciała, by Harman potrząsnął nią, zbudził i pokazał słońce za oknem. Chciała wreszcie poczuć na sobie jego dłoń, a nie muśnięcia lodowatej ciemności, obcych ciał i słabych przeblysków płomieni sączących się przez płócienną ścianę.

– Oczywiście – odpowiedziała równie cicho dziewczyna.

Spała w ubraniu, więc wystarczyło, że wyplątała się spod wilgotnych koców i przeszła ostrożnie między pogrążonymi we śnie towarzyszami. Wyszli z Daemanem na zewnątrz, minęli trzaskające niskim płomieniem ognisko, któremu nie pozwalano zgasnąć, i skierowali się ku innemu, jeszcze mniejszemu.

– Spałem tutaj. Nie chciałem mieć nikogo na sumieniu.

Teraz, z dala od szałasu, chłopak mówił już normalnym tonem, niezbyt głośno, lecz każda sylaba i tak eksplodowała w głowie Ady rwącym bólem. Wysoko na niebie obracały się w swym odwiecznym tańcu pierścienie, przesłaniające od czasu do czasu gwiazdy i wąski sierp księżyca. Ada zauważyła nad głową jakiś ruch i drgnęła, ale po chwili uświadomiła sobie, że to sonik wykonuje swój bezszelestny patrol.

– Kto siedzi za sterami? – spytała.

– Oko.

– Nie wiedziałam, że umie pilotować sonik.

– Greogi ją nauczył. Wczoraj.

Kiedy zbliżyli się do mniejszego ogniska, Ada zauważyła ciemną sylwetkę innego mężczyzny.

– Dzień dobry, Ado Uhr – przywitał się Tom.

Słyszając formalny zwrot, mimowolnie się uśmiechnęła. Od kilku miesięcy ludzie stopniowo coraz rzadziej odnosili się do siebie w tak kulturalny sposób.

– Dzień dobry, Tomie – odpowiedziała szeptem. – Gdzie go macie?

Daeman wyjął z ogniska długie polano i wyciągnął je w ciemność niczym pochodnię.

Ada odruchowo cofnęła się o krok.

Daeman z Tomem zebrali belki ze zniszczonej palisady i ułożyli z nich trójkątną

zagrodę, w której uwięzili... istotę. Stwór biegał wewnątrz w tę i z powrotem. Widać było, że już niedługo będzie w stanie wspiąć się na niewysokie drewniane ścianki.

Ada zabrała Daemanowi pochodnię i przykucnęła, by w blasku chybotliwych płomieni obejrzeć Setebosa dokładnie.

Mały Setebos – o ile rzeczywiście nim był – zamrugał licznymi żółtymi ślepiami, chroniąc je przed światłem. Potworek miał około stopy długości i już w tej chwili przewyższał masą i rozmiarami zwykły ludzki mózg, chociaż całym swym wyglądem – obrzydliwymi różowymi fałdami i zwojami – mocno go przypominał. Żywy, nagi mózg. Ada zauważyła rozdzielające półkule szare pasmo tkanek. Całość okryta była oślizłą membraną i raz po raz nieznacznie pulsowała, jakby w rytm oddechów. Pulsowały również otwory gębowe – choć dziewczyna nie była pewna, czy rzeczywiście służą przyjmowaniu pokarmu – oraz niezliczone maleńkie, dziecinne rączki, na których stworzenie stało i które wyrastały z części otworów. Mózg przemykał po zagrodzie na swych pulchnych, różowiućkich palcach, które Adzie natychmiast skojarzyły się z masą wijących się dżdżownic.

Żółte ślepia otworzyły się na powrót i skupiły spojrzenie na jej twarzy. Rozchyliła się jedna z paszcz i mózg wydał z siebie skrzekliwy jazgot.

– Czy on próbuje coś powiedzieć? – spytała półgłosem dziewczyna.

– Nie mam pojęcia – rzucił Daeman. – Zauważ, że ma dopiero kilka minut. Ale wcale się nie zdziwię, jeśli już za godzinę zaczniesz z nami rozmawiać.

– Nie powinniśmy dopuścić do tego, by żył aż godzinę – wtrącił spokojnym, lecz dobitnym tonem Tom. – Tego stworza trzeba jak najszybciej zabić. Rozstrzelajmy go z karabinów, a potem spalmy ścierwo i rozsypmy popioły w lesie.

Ada podniosła na niego zaskoczone spojrzenie. Lekarz-samouk był dotąd najłagodniejszą i najbardziej ceniącą wartość życia osobą z całej grupy mieszkańców Ardis.

– Tak czy inaczej – zauważył Daeman, spoglądając na różowy mózg, który właśnie zdołał się wdrapać na ścianę ogrodzenia – trzeba go wziąć na smycz.

Ubrany w grube płóciennie-wełniane rękawice, które uszyli na początku zimy z myślą o pracy przy bydle, pochylił się i wbił ostry, zgięty w hak szpikulec prosto w zbitą organiczną masę – spoidło wielkie, jak przypomniała sobie Ada – spajającą półkule mózgu małego Setebosa. Szarpnął, by końcówka haka zaczepiła się na dobre, i przypiął do niej karabińczyk, do którego uwiązał dwudziestostopowy kawałek nylonowej liny.

Potworek zaskrzeczał i zawył tak głośno, że Ada obejrzała się przez ramię. Była pewna, że lada moment wszyscy wyskoczą z szałas. Uwagę na hałas zwrócił jednak tylko stojący w pobliżu ogniska wartownik, który rzucił w ich stronę zaspane spojrzenie, po czym wrócił do kontemplowania płomieni.

Mały Setebos przez moment wił się, turlał i rzucał na belki ogrodzenia. Wreszcie, niczym różowy krab, wspiął się na jedną ze ścian. Daeman zrzucił go szarpnięciem smyczy.

Z otworów w mózgu wysuwały się i rozwijały kolejne maleńkie rączki. Kołysały się na długich na metr zwinnych wypustkach. Cześć rzuciła się na linę, zaczęły ją dziko, zawzięcie szarpać. Inne obmacywały hak i karabińczyk, próbując się od nich uwolnić.

Hak nie puścił. W pierwszej chwili Daeman się zachwiał, lecz odzyskał równowagę i ponownie udało mu się ściągnąć maskarę na zmrożoną trawę wewnątrz ogrodzenia.

– Silne bydlę – wysapał.

– Weźmy go na spacer – zasugerowała Ada. – Przekonajmy się, dokąd pójdzie i co zrobi.

– Mówisz poważnie?

– Tak. Oczywiście niezbyt daleko. Sprawdźmy, na co ma ochotę.

Tom zwał kopnięciem jedną ze ścian zagrody i młody Setebos natychmiast wyskoczył na zewnątrz. Dziecięce paluszki pracowały pod nim w zgodnym rytmie, poruszały się błyskawicznie jak odnóża koszarnej stonogi.

Daeman pozwolił się potworkowi prowadzić, lecz nie rozwinął smyczy na pełną długość. Ada i Tom szli obok, gotowi w każdej chwili odskoczyć, gdyby mały stwór zawrócił i rzucił się na nich. Mały Setebos był zbyt szybki i wykazywał zbyt dużą determinację, by mogli zapomnieć o ostrożności.

Tom trzymał karabin w pełnej gotowości do strzału. Swoją broń Daeman zarzucił na ramię.

Monstrum nie skierowało się w stronę ogniska i szałas. Zaciągnęło ich dwadzieścia metrów w ciemność, na zachodni trawnik, gdzie wskoczyło do jednego z rowów ogniowych, które pomagała kopać Ada, i przycupnęło w nim na rozcapierzonych dłoniach.

W ściankach mózgu pojawiły się dwa nowe otwory, z których wynurzyły się niezakończone dłońmi pulsujące macki. Zakołysały się w powietrzu, po czym zdecydowanym ruchem wpiły się w ziemię. Rozległ się dźwięk przypominający jednocześnie odgłosy ryjącej świni i niemowlęcego ssania.

– Co on, cholera? – rzucił Tom.

Wycelował z karabinu prosto w potworka, wykonaną z plastiku i metalu kolbę oparł mocno o ramię. Ada wiedziała, że już po pierwszym strzale kilka tysięcy kryształowych strzałek wrazi się z ponaddźwiękową prędkością w rozedrgane różowe ciało potwora.

Zaczęła dygotać. Niesłabnący, tętniący w jej głowie ból wywołał atak nudności.

– Pamiętam to miejsce – wyszeptała drżącym głosem. – To w tym rowie w noc ataku wojniksów zginęli Reman i Emme... Spłonęli tu żywcem.

Pomiot Setebosa nieprzerwanie rył w ziemi i ssał.

– Czyli on... – Daeman nie dokończył.

– On się karmi – wyręczyła go Ada.

Tom ułożył palec na spuście.

– Ado Uhr, pozwól mi go zabić. Błagam.

– Zgoda – powiedziała – ale jeszcze nie teraz. Jestem pewna, że gdy tylko zdechnie, wrócą po nas wojniksy. A teraz jest noc i nie możemy podjąć walki. Wracajmy do ogniska.

Ruszyli z powrotem do obozu. Daeman ciągnął za sobą opierającego się, drapiącego palcami ziemię Setebosa.

Harman tonął. Jego ostatnia – zanim woda wypełniła mu płuca – myśl brzmiała: „Mojra! Ta suka mnie oszukała”. Zaraz potem zadławił się, zakrztusił i utopił się w wirze złotego płynu.

Wcześniej przyglądał się wypełniającej kryształowy dodekaedr cieczy. Przestała wypływać z przewodów, gdy pomiędzy górnymi ściankami a lustrem płynu zostało około stopy powietrza. Savi-Mojra-Miranda nazwała tę ciecz nośnikiem, który miał mu pomóc przesygnąć, choć kobieta określiła tę czynność inaczej, gigantyczny księgozbiór Tadz. Harman zdjął ubranie i został w samej termoskórze.

– Ją też musisz zdjąć – stwierdziła Mojra.

Ariel usunął się w cień i teraz na zalanej bijącym przez ściany kopułki platformie zostali tylko we dwoje. Gitara wciąż leżała na stole.

– Po co? – zdziwił się Harman.

– Nośnik musi mieć bezpośrednią styczność z twoją skórą – wyjaśniła. – Zbita struktura cząsteczkowa termoskóry uniemożliwi przekaz.

– Jaki znowu przekaz? – Harman oblizwał wargi. Coraz bardziej się denerwował. Serce waliło mu jak oszalałe.

Mojra wskazała na niekończące się rzędy pękających od książek regałów zajmujących wszystkie sto pięter wielkiej kopuły.

– Skąd mam wiedzieć, że znajdę w tych starych książkach jakiegokolwiek wskazówki, które pomogą mi wrócić do Ady? – zapytał Harman.

– Znikąd. Musisz się przekonać.

– Gdybyście tylko chcieli, moglibyście mnie do niej przenieść od razu, ty lub Prospero – zauważył, odwracając wzrok od zalanej klatki. – Może jednak dajmy sobie z tą niedorzeczną kąpielą spokój i po prostu to zrób.

– To nie takie proste – odparła Mojra.

– Niech cię cholera! – warknął Harman.

Młoda kobieta mówiła dalej, ignorując jego wybuch.

– Przede wszystkim, jak już wiesz dzięki całunowi turyńskiemu i od Prospera, wszystkie faksowężły na Ziemi zostały wyłączone.

– Przez kogo? – Harman ponownie stanął przodem do kryształowej szkatuły.

Lustro złotego płynu falowało około stopy od górnej ściany. Mojra otworzyła szklany właz i mężczyzna zauważył prowadzącą do niego krótką metalową drabinkę.

– Przez Setebosa bądź jego sprzymierzeńców – odpowiedziała Mojra.

– Czyli przez kogo? Kim są sojusznicy Setebosa? Chyba możesz mi po prostu o wszystkim powiedzieć, prawda?

Mojra pokręciła głową.

– Mój młody Prometeuszu, już od niemal roku słuchasz tego, co mówią ci różni ludzie, ale samo słuchanie nie wystarczy. Bez odpowiedniego kontekstu Informacja jest

bezużyteczna. I najwyższy czas, byś ten kontekst poznał.

– Dlaczego nazywasz mnie Prometeuszem? – Harman podniósł głos. – Tutaj wszyscy mają po dziesięć imion, cholera... Prometeusz... Nic mi to nie mówi. Co to za imię?

– Gwarantuję ci, że kiedy wejdiesz do klatki, to jedno zrozumiesz na pewno. – Kobieta się uśmiechnęła.

Harman zaczerpnął tchu. Był pewien, że jeśli Mojra rzuci mu choć jeden protekcyjny uśmiezek, uderzy ją w twarz.

– Prospero twierdzi, że mogę w tej szkatule zginąć – przypomniał. Przez cały czas patrzył na kryształowy wielościan, nie chciał dłużej oglądać tej dziwnej kobiety, postczłowieka w ciele Savi.

– Owszem. – Mojra pokiwała głową. – Ale moim zdaniem to mało prawdopodobne.

– Jak duże mam szanse? – zapytał Harman i sam usłyszał, jak żałośnie zabrzmiały te słowa.

– Nie wiem. Podejrzewam, że spore. Inaczej nie proponowałabym ci tej... wątpliwej przyjemności.

– A ty przez to przesłaś?

– Czy poddałam się przekazowi w kryształowej szkatule? – upewniła się. – Nie, nie było takiej potrzeby.

– A kto próbował? – nacisnął Harman. – Ile osób przeżyło? Ile zginęło?

– Przekazu informacji w klatce doświadczyli wszyscy Wielcy Bibliotekarze – odpowiedziała Mojra. – A także liczne pokolenia Strażników Tadź. Oraz wszyscy bezpośredni potomkowie pierwszego Chan Ho Tępa.

– Czyli również twój ukochany Ferdinand Mark Alonzo?

– Tak.

– Więc ilu Strażników Tadź wyszło z klatki żywych? – zapytał Harman. Wciąż jeszcze nie zdjął termoskóry, ale potwornie zimne powietrze kopuły już teraz szczypało go w odsłoniętą twarz i dłonie. Drżenie ciała powstrzymywał ze sporym wysiłkiem.

Bał się, że Mojra odpowie po prostu wzruszeniem ramion. Wtedy odwróciłby się na pięcie i odszedł. A tego wcale nie chciał. Jeszcze nie w tej chwili. Najpierw musiał się dowiedzieć czegoś więcej. Ta dziwaczna, wypełniona złocistą cieczą klatka mogła przynieść mu śmierć... lecz przecież mogła mu też pozwolić na szybki powrót do Ady.

Kobieta jednak nie wzruszyła ramionami. Spojrzała mu prosto w oczy – swoimi oczami, oczami Savi.

– Nie wiem, ilu z nich poniosło tu śmierć. Niekiedy zdarza się, że przepływ informacji okazuje się zbyt intensywny. Słabsze umysły tego nie wytrzymują. Nie sądzę jednak, by twój umysł zaliczał się do słabych, Prometeuszu.

– Nie nazywaj mnie tak. – Harman zacisnął pięści. Marzył coraz bardziej. – Nigdy więcej.

– Dobrze.

– Ile to potrwa?

– Sam przekaz? Niespełna godzinę.

– Aż tak długo? – jęknął Harman. – Przecież wagonik odjeżdża już za czterdzieści

pięć minut.

– Zdamy – obiecała Mojra.

Harman wyraźnie nie był przekonany. Popatrzył z wahaniem.

– Nośnik, ten złoty płyn, jest ciepły – podjęła kobieta, jakby czytała mu w myślach.

Być może po prostu zauważyła przeszywające go dreszcze.

Niewykluczone, że przeważył właśnie ten ostatni argument. Harman zsunął z siebie termoskórę i ze wstydem pokazał się nago obcej kobiecie, z którą niecałe dwie godziny wcześniej odbył dość dziwaczny stosunek. A pod kopułą było tak zimno...

Nie zwlekając, wspiął się po drabince na szklany dodekaedr. Szczelbelki mroziły mu bosa stopy.

Kiedy opuścił się przez otwartą klapę i wpadł do złotego płynu, odetchnął z ulgą. Mojra nie kłamała, nośnik rzeczywiście przyjemnie rozgrzewał. Harman nie poczuł żadnego szczególnego zapachu, a kilka kropel, które zrosiły mu wargi, było zupełnie pozbawionych smaku.

Ariel niespodziewanie wychynął z cienia. Podfrunął i zamknął właz nad głową mężczyzny.

Zaraz potem Mojra przestawiła coś na wirtualnym panelu.

Ponownie zaterkotała umieszczona w podstawie kryształowej klatki pompa. Złoty płyn znów popłynął do wnętrza.

Harman wrzeszczał. Krzyczał, by go uwolnili, a kiedy zobaczył, że zarówno Mojra, jak i awatar biosfery nie zwracają na wołanie najmniejszej uwagi, zaczął kopać i bić w kryształowy panel pięściami. Próbował rozbić szyby. Poziom cieczy miarowo się podnosił. Jeszcze przez kilka sekund Harman mógł oddychać tuż pod klapą dodekaedru, gdzie pozostała gruba na cal kieszeń powietrzna. Chwytał tlen łapczywymi haustami, nie przestając łomotać w pokrywę klatki. Moment później płyn zalał go zupełnie i poza bąbelkami wylatującymi pomiędzy jego warg i nosa w szkatule nie było już powietrza.

Wstrzymywał oddech najdłużej, jak tylko mógł. Tak bardzo chciałby poświęcić swe ostatnie myśli Adzie, swojej miłości do niej i żalowi, który ogarnął go po zdradzie. I owszem, pomyślał o niej, ale tylko przez mgnienie. Naprawdę ostatnie myśli – gdy pozbawione tlenu płuca zaczęły go palić żywym ogniem – okazały się chaotycznym skowytem grozy, wściekłości i wyrzutów sumienia.

Wreszcie nie opanował odruchu i – wciąż dobijając się do nieustępliwej przejrzystej klapy – otworzył usta. Zakrztusił się, zadławił, zaklął, znowu się zadławił i wpuścił do płuc gęstniejącą ciecz. Poczuł, że ciemność zasnuwa mu umysł, i zdjęła go przemożna fala paniki. Serce pompowało do mięśni bezużyteczną adrenalinę. Wreszcie z płuc zniknęły ostatki tlenu, lecz Harman już tego nie poczuł. Coraz cięższy, wypełniony złotym płynem, znieruchomiały, nieoddychający opadł na dno wielościennej szkatuły.

Na mostku „Królowej Mab” zapanowało niezwykle poruszenie. Na wszystkich częstotliwościach komunikacyjnych rozległy się gorączkowe uwagi i komentarze. Odbiorniki statku przekazały załodze treść drugiej wysłanej maserem wiadomości z orbitalnego miasta w pierścieniu B. Szybko jednak wyszło na jaw, że tajemniczy mieszkaniec asteroidy – Głos – powtórzył po prostu znane już wcześniej koordynaty lotu i po pięciu minutach, gdy stało się jasne, że dalszego ciągu nie będzie, morawce ponownie zebrały się przy stole.

– O czym to my...? – odezwał się Orphu z Io.

– Szykowałeś się, by przedstawić nam swoją Teorię Wszystkiego – przypomniał naczelny integrator Asteague/Che.

– Wspomniałeś też, że wiesz, kim jest Głos – dodał Cho Li. – Kim lub czym.

– Nie, nie powiedziałem, że wiem – powiedział Orphu na głos. Wolał nie posługiwać się radiem ani wewnętrznymi łączami komunikacyjnymi statku. – Mogłem co najwyżej stwierdzić, że mam silne i uzasadnione przypuszczenia.

– Mów – rzucił generał Beh bin Adi. Ton skałowca sugerował, że jest nawykły bardziej do wydawania rozkazów niż do składania próśb.

– Wolę opowiedzieć wam o swojej... Teorii Wszystkiego... To znaczy od niej zacznę, a zagadkę Głosu zostawię na koniec – stwierdził Orphu. – W odpowiednim kontekście cała historia stanie się bardziej zrozumiała.

– Proszę bardzo – powiedział Asteague/Che.

Mahnmut usłyszał, że przyjaciel bierze solidny łyk powietrza, mimo że w wewnętrznych zbiornikach miał przecież zapas tlenu wystarczający na co najmniej kilka tygodni działania. Przez moment korciło go, by się upewnić przez radio, czy Orphu faktycznie ma zamiar tłumaczyć im swoje koncepcje, ale uświadomił sobie, że nie ma bladego pojęcia, co właściwie przyjaciel ma do powiedzenia, i nie odezwał się słowem. Co wcale nie znaczy, że się nie denerwował.

– Po pierwsze – zaczął masywny morawiec – chociaż nie upubliczniliście jeszcze tej informacji, to żywię graniczące z pewnością podejrzania, że zdołaliście już zidentyfikować obiekty składające się na okołoziemskie pierścienie... Idę też o zakład, że znakomitej ich większości wcale nie stanowią asteroidy ani sztuczne osiedla.

– To prawda – przyznał Asteague/Che.

– Wiemy, że niektóre z nich są pozostałościami po postludzkich eksperymentach w dziedzinie tworzenia i ujarzmiania czarnych dziur – mówił dalej Orphu. – Mam na myśli te wielkie urządzenia w rodzaju kolektora tuneli czasoprzestrzennych, który dziewięć miesięcy temu uderzył w drugie orbitalne miasto. Ale ile ich może być? Kilka tysięcy?

– Niecałe dwa tysiące – potwierdził naczelny integrator.

– Obstawiam zatem, że większość z miliona pozostałych obiektów, które

postludzie zostawili na orbicie, to po prostu banki danych. Nie wiem, jakiego rodzaju dokładnie, może działające na bazie DNA, chociaż takie wymagałyby nieprzerwanie działającego systemu podtrzymywania życia. Bardziej realne byłoby zastosowanie pamięci bąbelkowej, powiązanej z jakimś zaawansowanym komputerem kwantowym i postludzką zaawansowaną technologią przechowywania danych, jakiej my jeszcze nie odkryliśmy.

Orphu zamilkł właściwie tylko na chwilę, lecz Mahnmur odniósł wrażenie, że cisza ciągnie się godzinami. Naczelnicy Integratorzy i pozostali morawieccy dowódcy nie wymieniali się spojrzeniami, lecz domyślił się, iż naradzają się przez radio, na zastrzeżonej częstotliwości.

Moment milczenia – który zapewne dałoby się zmierzyć w sekundach – przerwał wreszcie Asteague/Che.

– Istotnie. W znakomitej większości są to banki pamięci – potwierdził. – Wciąż nie jesteśmy pewni szczegółów ich konstrukcji, lecz wedle wstępnych ocen można stwierdzić, że to mocno zaawansowana technologicznie pamięć bąbelkowa zawierająca zapisy kwantowych fal prawdopodobieństwa.

– I każdy z tych banków działa niezależnie od pozostałych? – odgadł Orphu. – Mniej więcej tak, jakby stanowiły oddzielne twarde dyski?

– Owszem – powiedział Asteague/Che.

– A reszta satelitów w pierścieniach, szacowałbym, że nie może ich być więcej niż dziesięć tysięcy, to proste przekaźniki mocy i nadajniki modulowanych fal tachionowych?

– Ściśle rzecz biorąc, sześć tysięcy czterysta osiem przekaźników mocy – uzupełnił Cho Li – oraz równe trzy tysiące nadajników fal tachionowych.

– Orphu, skąd ty o tym wszystkim wiesz? – zdziwił się pochodzący z Ganimedesa Suma IV. – Czyżbyś złamał zabezpieczenia kanałów komunikacyjnych integratorów? Dostałeś się do archiwum?

Orphu uniósł dwie dłonie, kołyszące się na długich przednich manipulatorach.

– Nie. Skądże znowu – odpowiedział. – Moja znajomość programowania nie pozwoliłaby mi włamać się nawet do pamiętniczka siostry... Gdybym, rzecz jasna, miał siostrę, a ona prowadziła dziennik.

– W jaki zatem... – zaczął Sinopessen Wsteczny.

– Przecież to po prostu logiczne – przerwał mu Orphu. – Od bardzo dawna interesuję się ludźmi i tworzoną przez nich literaturą. Już od wieluset lat zbieram też informacje pochodzące z obserwacji Ziemi, postludzkich pierścieni i wszystko, co dotyczy nielicznej ludzkiej populacji planety. Oczywiście mam na myśli informacje publikowane przez Konsorcjum Pięciu Księżyców oficjalnie.

– Przypominam, że Konsorcjum nigdy nie upubliczniło danych dotyczących orbitalnych banków danych – zauważył Suma IV.

– Zgoda – potaknął Orphu – ale, powtarzam: to po prostu logiczny wniosek. Tysiąc czterysta lat temu, gdy postludzie opuścili Ziemię, wedle naszej wiedzy żyło ich jedynie kilka tysięcy, prawda?

– Prawda – rzucił Asteague/Che.

– Nasi ówcześni naukowcy nie mogli jednak nawet ustalić, czy postludzie posiadają materialne ciała... Ciała w sensie tradycyjnym. Z czego płynie konkluzja, że milion orbitalnych miast nie byłby im do niczego potrzebny.

– Niemniej żadna z tych przesłanek nie prowadzi do konkluzji, że większość obiektów w pierścieniach to banki pamięci – wtrącił generał Beh bin Adi.

Mahnmut złapał się na ciekawej myśli: zastanawiał się, jakie sankcje za szpiegostwo przewidziano w regulaminie „Królowej Mab”.

– Prowadzi, o ile weźmiemy dodatkowo pod uwagę, co ludzie dawnego typu robili na Ziemi od niemal półtora tysiąca lat – skomentował Orphu. – A także to, czego w tym okresie nie robili.

– Jak to czego nie robili? – odezwał się Mahnmut. Początkowo obiecywał sobie, że nie weźmie udziału w rozmowie, lecz ciekawość przeważała.

– Po pierwsze, nie rozmnażali się w naturalny, ludzki sposób – wyjaśnił Orphu. – Przez kilkaset lat żyło ich niecałe dziesięć tysięcy. A potem, tysiąc czterysta lat temu, pojawił się ten neutrinowy promień. Z lektury udostępnionych w sieci artykułów naszych astronomów wnoszę, że promień kierowany był modulowanym strumieniem tachionów, chociaż nie został wymierzony w żaden możliwy do ustalenia punkt znanego wszechświata. W każdym razie od chwili, gdy wystrzelił w niebo nad Jerozolimą, wydawało się, że na Ziemi nie został już żaden człowiek. Ani jeden.

– Taki stan utrzymał się bardzo krótko – przypomniał Asteague/Che.

– Wiem, niemniej to... – Wydawało się, że Orphu zgubił wątek, lecz po chwili kontynuował: – A potem, niecałe sto lat później, ludzie pojawili się z powrotem. Około miliona rozproszonych po całej planecie ludzi. I nie odbyło się to wcale na zasadzie powolnego rozrostu populacji... Po prostu szast prast i nagle mamy milion osób. Zupełnie znikąd.

– Co prowadzi do wniosku, że...? – Asteague/Che wyglądał na dość rozbawionego sytuacją; przypominał nauczyciela, który nagle zauważył u przeciętnego uczniaka niespodziewany rozkwit talentu.

– Że ci ludzie, mimo że byli ludźmi dawnego typu, wcale nie przyszli na świat w sposób naturalny – odpowiedział Orphu z Io. – Oni zostali na Ziemi... introdukowani.

– Więc jak niby powstałi? Niepokalane poczęcie? – Niecodziennie kobiecy głos Cho Li ociekał w tej chwili sarkazmem.

– W pewnym sensie. – Orphu niemal zachichotał, co wskazywało, że nie poczuł się urażony. – Moim zdaniem postludzie dysponują teraz, i dysponowali już wtedy, zarchiwizowanymi osobowościami i wspomnieniami około miliona ludzi. Przechowują je właśnie w tych orbitalnych bankach danych. Kto wie? Być może jeden satelita odpowiada jednemu człowiekowi dawnego typu. W każdym razie w czasie, o którym mówimy, postludzie ponownie wypuścili stado na pastwisko. To całkiem zgrabnie tłumaczy obserwowane przez nas skokowe zmiany ziemskiej populacji. Od kilku tysięcy do miliona i z powrotem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Dlaczego akurat milion? – spytał centurion Mep Aho. Podobnie jak Mahnmuta, także żołnierza koncepcja Orphu głęboko zainteresowała.

– To minimalna sensowna liczebność stada – powiedział masywny morawiec. –

Postludzie pozwalali ludziom się rozmnażać w stopniu pozwalającym na odnowę połowy populacji. Po jednym dziecku na kobietę. I to dopiero w momencie, gdy ktoś inny umierał. Czytałem też teorie, w myśl których ludzie dawnego typu żyją dokładnie przez jedno stulecie, po czym znikają. Zatem jest ich tyle, by stado nie wymarło wskutek wydarzeń takich jak, dajmy na to, zmiany klimatyczne, lecz stanowczo zbyt niewiele, by mogli się rozmnożyć nadmiernie bądź opuścić wytyczone granice rezerwatu. Oczywiście przy takim stanie rzeczy liczebność populacji szybko i drastycznie spada, lecz co około tysiąca lat postludzie przywracają na Ziemię pełen milion dawnych ludzi. I cały proces zaczyna się na nowo.

– Gdzie przeczytałeś teorię o stuletniej długości życia dawnych ludzi? – spytał poruszony Cho Li.

– „Scientific Ganimedan” – odpowiedział Orphu. – Prenumeruję ten periodyk od ponad ośmiuset lat.

Naczelnny integrator Asteague/Che podniósł humanoidalną rękę.

– Proszę o wybaczenie, Orphu z Io, ale choć gratuluję ci trafnej dedukcji i słuszności teorii dotyczącej obiektów w pierścieniach oraz celnego ustalenia długości życia pozostających na Ziemi stu tysięcy ludzi dawnego typu... Oczywiście od kilku miesięcy jest ich już znacznie mniej, giną wskutek ataków owych niezidentyfikowanych istot, ale wspomniałeś, że wyjaśnisz nam również, skąd na Marsie wzięli się greccy bogowie, powiesz, kim jest Głos i w jaki sposób przeprowadzono owo niewiarygodnie szybkie terraformowanie Czerwonej Planety. Ach, oczywiście pozostaje jeszcze kwestia przyczyny zaburzeń kwantowych na Marsie i Ziemi...

– Niebawem przejdę i do tego – obiecał Orphu. – Chyba że wolicie, żebym całą swoją Teorię Wszystkiego streścił i rozesłał wam cyfrowo przez radio? Wystarczy mi ułamek sekundy...

– Nie ma takiej potrzeby – odparł naczelnny integrator. – Po prostu mów nieco szybciej. Do momentu, kiedy będziemy musieli postanowić, czy wystrzelić prom na Ziemię, zostało niewiele ponad dwie godziny.

Orphu wydał z siebie serię dudniących infradźwięków. Mahnmut od dawna znał ten dziwny śmiech przyjaciela.

– Wszyscy ludzie dawnego typu są skupieni w mniej więcej trzystu osiedlach rozsianych po pięciu kontynentach, prawda?

– Prawda – potwierdził Cho Li.

– A liczba ludności tych ośrodków podlega zmianom – podjął Orphu – mimo że nasze teleskopy nie zarejestrowały żadnych form transportu... Na Ziemi nie ma rozbudowanej sieci drogowej, nie ma samolotów ani statków, brakuje nawet takich uroczych żaglówek jak ta, w której z Mahnmutem przepłynęliśmy marsjańską Valles Marineris... Ba! Wygląda na to, że ludzie nie znają nawet balonów. Z tego powodu zakładaliśmy dotąd, że ludzie posługują się teleportacją kwantową, czyli wynalazkiem, którego nawet nasi naukowcy nie potrafią dopracować.

– Całkiem racjonalny wniosek – zauważył Suma IV.

– Racjonalny – zgodził się Orphu – aczkolwiek błędny. Dzięki śladom kwantowym, pozostawionym na Marsie i drugiej Ziemi przez tak zwanych bogów, wiemy

obecnie, na czym polega prawdziwa teleportacja kwantowa. Potrafimy wykrywać wypadki jej zastosowania. A technologia, dzięki której ludzie dawnego typu przemieszczają się z miejsca na miejsce, jest zupełnie inna.

– Skoro mieszkańcy Ziemi nie znają teleportacji kwantowej – wtrącił centurion Mep Aho – to w jaki sposób podróżują już od półtora tysiąca lat?

– Dzięki teleportacji rozumianej na sposób staroświecki – odparł Orphu. – Takiej, która polega na archiwizacji danych o ciele, umyśle i osobowości, zamianie materii w energię, przesyła i ostatecznym odtworzeniu podróżnika u celu. Coś takiego można było zobaczyć w antycznym serialu telewizyjnym z Zapomnianej Ery... „Star Truck”...

– „Star Trek” – sprostował generał Beh bin Adi.

– Aha! – rzucił Orphu. – Widzę, że nie tylko ja jestem fanem!

Generał zagrzechotał zębatymi szczypcami. Mahnmur nie był pewien, czy oficer poczuł się zakłopotany, czy poirytowany.

– Nasi naukowcy już dawno temu ustalili, że przechowanie tak gigantycznej ilości danych jest po prostu niemożliwe – odezwał się Cho Li. – Ilość wymaganych terabajtów pamięci przekracza liczbę atomów we wszechświecie.

– Najwyraźniej postludzie jakoś to ograniczenie obeszli – odparł Orphu. – Mieszkańcy Ziemi teleportują się w tę i z powrotem już od wielu stuleci. I właśnie nie za pomocą teleportacji kwantowej, jaką cieszą się olimpijscy bogowie i nasz przyjaciel Hockenberry, ale tej prymitywnej, polegającej na rozbijaniu pasażera na cząsteczki i ponownym sklecaniu go na miejscu.

– Tylko po co postludzie dali Ziemianom taki prezent? – wtrącił Mahnmur. – Po co zrealizowali tak niebywałe pod względem technologicznym przedsięwzięcie i podarowali jego owoce istotom, które sami traktują jak... jak zwierzęta w zoo? Przecież od ponad półtora tysiąca lat nie zaobserwowaliśmy na Ziemi świadczeń żadnej ludzkiej działalności przemysłowej, nie powstają miasta... W ogóle zamarła tam wszelka konstruktywna działalność...

– Może to właśnie teleportacja ma jakiś związek z tym kulturowym upadkiem – zastanowił się Orphu. – A może i nie. Jestem jednak głęboko przekonany, że właśnie z takim typem teleportacji mamy do czynienia. Mniej więcej „Przenieś mnie, Scooty”.

– Scooty – poprawił go Sinopessen Wsteczny.

– Dziękuję pięknie – rzucił Orphu, po czym nadał na prywatnym kanale do Mahnmura: – No to jest nas już czwórka.

– Cóż, może słusznie podejrzewasz, że ludzie dawnego typu posługują się prymitywną formą teleportacji – odezwał się Asteague/Che – lecz to nadal nie rozwiązuje kwestii Marsa czy...

– Faktycznie, nie rozwiązuje – stwierdził Orphu, do tego stopnia podekscytowany własnym wywodem, że nawet nie zauważył, iż przerwał w pół zdania najważniejszemu z naczelnych integratorów w całym Konsorcjum Pięciu Księżyców. – Tutaj należy wziąć pod uwagę postludzka obsesję na punkcie międzywymiarowych podróży do innych wszechświatów.

– Skąd przeświadczenie, że postludzie mieli taką obsesję? – zdziwił się generał Beh bin Adi.

– Kpisz czy o drogę pytasz? – prychnął Orphu i Mahmmut pomyślał, że poważny, surowy oficer skałowieckiego wojska zapewne rzadko w swej karierze słyszał podobne odzywki. – Wystarczy spojrzeć na klamoty, które zostawili na ziemskiej orbicie – ciągnął Orphu, nie zwracając uwagi na znaczące milczenie generała. – Kolektory tuneli czasoprzestrzennych, akceleratory z czarnymi dziurami... To wszystko są ustrojstwa pozwalające wykonać pierwsze, fundamentalne eksperymenty w dziedzinie naginania czy rozrywania czasoprzestrzeni, pozwalające podróżować na skróty w obrębie naszego wszechświata bądź wręcz przenoszenia się do innych.

– Czarne dziury i tunele czasoprzestrzenne zupełnie się nie sprawdzają – powiedział twardo Cho Li. – Przynajmniej nie w charakterze środków transportu.

– No tak, my o tym wiemy od niedawna, a postludzie dowiedzieli się ponad tysiąc pięćset lat temu – zgodził się Orphu. – Dopiero potem, jak już umieścili w pierścieniach te niesamowite banki danych i uruchomili dla ludzi dawnego typu sieć portali teleportacyjnych. Swoją drogą założę się, że mieszkańcy Ziemi okazali się znakomitymi myszkami laboratoryjnymi. Więc dopiero kiedy już tego wszystkiego dokonali, zaczęli się bawić Dziurami Branowymi i teleportacją kwantową.

– Nasi naukowcy i inżynierowie bawią się, jak mówisz, teleportacją kwantową i tworzeniem Dziur Membranowych w przestrzeni Calabiego-Yau już od stuleci – zwrócił uwagę Sinopessen Wsteczny. Był tak rozemocjonowany, że niemal tańczył na swych długich pajęczych odnóżach. – Niestety bez powodzenia – dodał.

– Dlatego że nie dysponowaliśmy jednym, jedynym czynnikiem, który pozwolił postludziom dokonać przełomu. – Orphu zawiesił głos. Wszyscy czekali w napięciu na dalszy ciąg. Mahmmut był pewien, że przyjaciel cieszy się jak nigdy.

– Nie dysponowaliśmy milionem ludzkich ciał, umysłów, wspomnień i osobowości zarchiwizowanych pod postacią cyfrowych danych w orbitalnych bankach danych – dokończył wreszcie Orphu. Mówił tonem zwycięzcy, jakby właśnie rozwikłał jakiś dręczący go od dawna matematyczny problem.

– Nie rozumiem – przyznał centurion Mep Ahoo.

Delikatne elektromagnetyczne muśnięcie promieni radaru Orphu omiotło kolejno wszystkich zebranych. Mahmmut doszedł do wniosku, że przyjaciel czeka na jakąś reakcję, być może nawet na okrzyki zachwytu i pochwały. Morawce tymczasem siedziały w bezruchu i ciszy.

– Ja też nie – rzucił Mahmmut.

– Czym jest ludzki mózg? – spytał retorycznie Orphu. – W końcu każdy z nas nosi w sobie cząstkę tego tworu. Jaki jest? Na jakiej zasadzie działa? Czy może na takiej jak komputery binarne, tudzież te oparte na DNA, którymi posługujemy się, myśląc?

– Nie – odezwał się Cho Li. – Wiemy, że ludzkie mózgi nie przypominają komputerów. Nie są też chemicznymi maszynami do zapamiętywania, jak twierdzili ziemscy naukowcy z Zapomnianej Ery. Ludzki mózg... czy raczej umysł... jest frontem stojącej fali stanu kwantowego.

– Właśnie! – zawołał Orphu. – Postludzie wykorzystali tę wiedzę do stworzenia funkcjonalnej technologii umożliwiającej otwieranie Dziur Branowych, podróże w czasie i kwantową teleportację.

– Dobrze, dobrze, ale ja nadal nie wiem, co wspólnego ma jedno z drugim... – przyznał naczelny integrator Asteague/Che.

– Zastanówmy się, na czym w istocie opiera się teleportacja kwantowa... Zresztą Cho Li wytłumaczy to znacznie lepiej ode mnie – zasugerował Orphu.

Nawigator wydał z siebie kilka dziwnych pomruków, po czym przemodulował je w słowa.

– Początkowe eksperymenty w dziedzinie teleportacji kwantowej, prowadzone przez dawnych ludzi jeszcze w dwudziestym stuleciu, zakładały tworzenie splątanych kwantowo par fotonów. Jeden z nich teleportowano, to znaczy teleportowano właściwie cały jego stan kwantowy, podczas gdy drugi przesyłano, transmitując zwykłymi drogami analizę jego stanu.

– Zaraz, czy to nie narusza zasady nieoznaczoności oraz odkrytej przez Einsteina reguły, w myśl której prędkość światła jest nieprzekraczalna? – zapytał centurion Mep Ahoo. Podobnie jak Mahnmutowi nikt mu nie wyjaśnił mechanizmów, za pomocą których bogowie tekowali się z Olimpu na równiny Ilionu.

– Nie – odpowiedział Cho Li. – Teleportowane fotony, przenosząc się z miejsca na miejsce, nie niosły ze sobą żadnej informacji, nawet danych o własnym stanie kwantowym.

– To znaczy, że cała ta kwantowa teleportacja jest bezużyteczna – zauważył centurion. – Przynajmniej z punktu widzenia komunikacji.

– Otóż niezupełnie – stwierdził Cho Li. – Odbiorca teleportowanego fotonu ma dwadzieścia pięć procent szans na odgadnięcie jego stanu kwantowego. Fotony występują jedynie w czterech stanach, co pozwalało wykorzystać te fragmentaryczne dane. Nazywamy je kubitami i sami od jakiegoś czasu wykorzystujemy z powodzeniem do komunikacji natychmiastowej.

Mahnmut pokręcił głową.

– Dobrze, a jaki właściwie związek mają te teleportowane fotony, nieprzenoszące żadnej informacji, z greckimi bogami tekującymi się pod Troję?

– „Wyobraźnię porównać można do snu Adama – który obudził się i znalazł sen spełniony, prawdę”. John Keats.

– Mógłbyś opowiadać bardziej zawile? Przecież na razie wszystko rozumiemy – rzucił zgryźliwie Suma IV.

– Postaram się – odparł Orphu.

– Co ma poeta, John Keats, do teleportacji i obecnych zaburzeń kwantowych? – jęknął Mahnmut.

– Moim zdaniem postludzie dokonali przełomu w badaniach nad Dziurami Branowymi i kwantową odmianą teleportacji właśnie dlatego, że posiadli dogłębną wiedzę na temat holistycznej, kwantowej natury ludzkiej świadomości. – Z tonu Orphu zniknęła wszelka wesołość. Mówił śmiertelnie poważnie. – Przeprowadziłem już kilka wstępnych symulacji na kwantowym komputerze „Królowej” – ciągnął – i jeżeli przedstawi się ludzki umysł jako front stojącej fali, zgodnie z prawdą, jeżeli doda się do tego terabajty danych kwantowych stanowiących opis świata fizycznego, a następnie zastosuje odpowiednie relatywistyczne przekształcenia tych funkcji falowych,

natychmiast staje się zupełnie jasne, w jaki sposób postludzie otwierali Dziury Branowe do innych wszechświatów, do których się następnie teleportowali.

– Czyli? – zapytał Asteague/Che.

– Początkowo otwierali Dziury do takich alternatywnych wszechświatów, w których czasoprzestrzeni istniały punkty odwiedzone wcześniej przez splątane parami fronty falowe ludzkiej świadomości – powiedział Orphu.

– Znaczący... co? – zdziwił się Mahnmur.

– A czymże jest rzeczywistość, jeśli nie frontem stojącej fali kwantowej zapadającej się poprzez stany probabilistyczne? – spytał Orphu. – I czyż umysł człowieka nie jest w istocie interferometrem odbierającym i powodującym kolaps tych frontów falowych?

Mahnmur wciąż nie pojmował. Pokręcił głową. Zapomniał o pozostałych morawcach, zapomniał, że już za niecałe trzy godziny może w swym batyskafie mknąć na pokładzie promu ku Ziemi, zapomniał o grożących im niebezpieczeństwach. Zapomniał o wszystkim, poza bólem głowy, do którego doprowadził go wykład Orphu z Io.

– Postludzie otwierali Dziury Branowe wiodące do alternatywnych wszechświatów, które powstały bądź były przynajmniej oglądane dzięki soczewkom istniejących już wcześniej holograficznych frontów falowych. Czyli dzięki ludzkiej wyobraźni, dzięki ludzkiemu geniuszowi.

– Na rany Chrystusa – prychnął generał Beh bin Adi.

– Bardzo możliwe – rzucił Orphu. – Przy założeniu nieskończonego bądź niemal nieskończonego zbioru alternatywnych wszechświatów wiele z nich musiało powstać dzięki mocy ludzkiego geniuszu. Pomyślcie o twórcach jak o osobliwościach geniuszu, analizujących i wpływających na samą kwantową pianę rzeczywistości.

– To jakaś metafizyka – stwierdził wstrząśnięty Cho Li.

– Raczej bujda na resorach – dodał Suma IV.

– Nie. – Orphu pokręcił głową. – To prawda. Wszyscy odwiedziliśmy terraformowanego Marsa, na którym ktoś zmienił grawitację, i mieliśmy uwierzyć, że cały proces trwał głupie kilka lat. To dopiero bujda. Na Marsie oglądałem posągi Prospera, na tym samym Marsie, na którym greckie bóstwa zamieszkują wierzchołek Olimpu i z którego przenoszą się przez czasoprzestrzeń na alternatywną wersję Ziemi, gdzie Achilles walczy z Hektorem o przyszłość Ilionu... To są bujdy. Chyba że...

– Chyba że postludzie otworzyli portale do światów, które uprzednio powstały dzięki sile ludzkiego geniuszu – dokończył naczelny integrator Asteague/Che. – To by tłumaczyło popiersia Prospera, grasujące na Ziemi kalibany, a także obecność Achillesa, Hektora, Agamemnona i wszystkich innych pod Troją.

– A co z samymi bogami? – prychnął drwiąco Beh bin Adi. – Czy możemy też liczyć na spotkanie z Jehową i Buddą?

– Oczywiście, że możemy – stwierdził Orphu z Io. – Twierdzą jednak, że Olimpijczycy, z którymi mieliśmy do czynienia, są przeobrażonymi postludźmi. Dlatego właśnie postludzie zniknęli tysiąc czterysta lat temu.

– Po co mieliby zamieniać się w bogów? – odezwał się Sinopessen Wsteczny. –

Zwłaszcza takich, których moc pochodzi po prostu z nanotechnologii i kwantowych trików?

– A dlaczego nie? – odparł Orphu. – Pomyśl. Nieśmiertelność, możliwość wyboru płci, łożkowe zabawy we własnym gronie i z dowolnymi śmiertelnikami, płodzenie potomków boskich i śmiertelnych, z czym sami postludzie mieli wyraźne kłopoty. O rozgrywanej pod Troją, trwającej dziesięć lat partii szachów nawet nie wspomnę.

Mahnmut podrapał się w głowę.

– A terraformowanie i problem marsjańskiej grawitacji?

– Zapewne właśnie na tym strawili ostatnie tysiąc czterysta lat. To nie mogło zająć trzech lat. W dodatku zamiar zrealizowali wyłącznie dzięki swojej kwantowej technologii.

– Czyli według ciebie gdzieś tam czeka prawdziwy Prospero? – upewnił się Mahnmut. – Ten Prospero z „Burzy”?

– Tak. On albo ktoś bardzo do niego podobny.

– No dobrze, a ten wielki mózg, który kilka dni temu przedostał się przez Dziurę Branową na Ziemię? – W głosie Sumy IV dało się słyszeć rozdrażnienie. – Czy i on jest jednym z bohaterów z twojej ukochanej ziemskiej literatury?

– Zupełnie możliwe – zgodził się Orphu. – Istnieje wiersz poety Roberta Browninga, zatytułowany „Kaliban o Setebosie”. W tym utworze Kaliban, potwór z szekspirowskiej „Burzy”, snuje refleksje na temat swego boga, istoty zwanej właśnie Setebosem. Z tym że jedynym konkretnym określeniem Setebosa, jakie Browning wkłada Kalibanowi w usta, jest zwrot „jak ośmiornica wieloramienny”. Miało być to bóstwo kapryśne, karmiące się strachem i przemocą.

– Nie sądzisz, że twoje spekulacje wybiegają nieco za daleko? – wtrącił Asteague/Che.

– Przyszło mi to do głowy – odparł Orphu – ale to samo mógłbym powiedzieć komuś, kto twierdziłby, że posiada zdjęcia istoty wyglądającej jak olbrzymi mózg poruszający się na wielkich ludzkich dłoniach. Takie rozwiązanie ewolucyjne byłoby chyba wykluczone w dowolnym wszechświecie, prawda? No, ale Robert Browning był człowiekiem obdarzonym nieprzeciętną wyobraźnią.

– Czyli co, spotkamy na Ziemi Hamleta? – spytał Suma IV wyraźnie kpiącym tonem.

– Och... – zachwycił się Mahnmut. – Rany... Byłoby cudownie.

– Powściągnijmy nieco emocje, dobrze? – uspokoił ich naczelny integrator Asteague/Che i zwrócił się do Orphu. – Wyjaśnij mi, proszę, jak wpadłeś na te wszystkie pomysły?

Orphu westchnął i zamiast opowiadać, włączył holograficzny projektor zainstalowany wśród portów komunikacyjnych na górnej płycie jego porysowanego i pogiętego pancerza. Nad stołem pojawił się trójwymiarowy obraz.

Na wirtualnym regale stało sześć opasłych tomów. Jedna z książek – Mahnmut zdążył zauważyć tytuł: „W poszukiwaniu straconego czasu”, tom trzeci, „Strona Guermentes” – otworzyła się, kartki zafurkotały i zamarły na stronie czterysta czterdziestej piątej. Orphu ukazał zbliżenie tekstu.

Nagle mniejszy morawiec uświadomił sobie, że jego przyjaciel jest przecież niewidomy. Nie widział hologramu. A z tego wynikało, że całe sześć tomów Prousta zna na pamięć. Z jakiegoś powodu Mahnmur poczuł ochotę, by głośno zawyć.

Zaczęli czytać z szybującej nad blatem książki...

Smakosze mówią nam dziś, że Renoir to jest wielki malarz XVIII wieku. Ale mówiąc tak, zapominają o Czasie i o tym, że dużo go było trzeba, nawet w pełni wieku XIX, by Renoira uznano wielkim artystą. Aby osiągnąć takie zrozumienie, oryginalny malarz, oryginalny artysta postępują na sposób okulistów. Leczenie ich malarstwem, ich stylem nie zawsze jest przyjemne. Kiedy jest ukończone, lekarz powiada do nas: „Teraz patrz”. I oto świat (który nie był stworzony raz, ale równie często, jak często zjawiał się oryginalny artysta) ukazuje się nam zupełnie odmienny od dawnego, ale całkowicie jasny. Mijają nas na ulicy kobiety różne od dawniejszych, bo to są Renoiry; owe Renoiry, w których wzdragaliśmy się niegdyś widzieć kobiety. Powozy są też Renoiry i woda, i niebo; mamy ochotę przechadzać się po lesie podobnym do tego, który pierwszego dnia wydawał nam się wszystkim, a nie lasem, na przykład dywanem o barwach bogatych, ale pozbawionym właśnie barw właściwych lasom. Oto jest nowy i nietrwały świat, świeżo stworzony. Będzie trwał aż do następnej geologicznej katastrofy, którą rozpęta nowy oryginalny malarz albo pisarz[6].

Stojące wokół stołu morawce milczały. Na mostku słychać było tylko szmer wentylatorów, odgłosy działających urządzeń i ciche rozmowy pilotów i techników prowadzących „Królową Mab” przez krytyczne chwile podejścia do obiegających Ziemię pierścieni.

Jako pierwszy odezwał się generał Beh bin Adi:

– Co za metafizyczny bełkot! Brednie solipsysty! Po prostu kupa łajna.

Orphu nie skomentował.

– Może faktycznie kupa łajna – stwierdził Asteague/Che – ale przez kilka ostatnich surrealistycznych miesięcy nie usłyszałem jeszcze niczego równie przekonującego. Co więcej, dzięki temu ustępowi Orphu z Io zasłużył sobie na miejsce w ładowni „Mrocznej damy”, która na pokładzie atmosferycznego promu zanurzy się w ziemskiej atmosferze już za... dwie godziny czternaście minut. Zajmijmy się przygotowaniem.

Orphu z Mahnmurem skierowali się do windy. Mahnmur szedł nieco oszołomiony, jego masywny przyjaciel bezgłośnie szybował obok. W pewnym momencie rozległo się wołanie Asteague/Che:

– Orphu!

Większy z morawców zatrzymał się i odwrócił. Z wrodzonej uprzejmości skierował na naczelnego integratora niewidome kamery i organiczne wypustki optyczne.

– Nadal nie usłyszeliśmy, kim jest ów tajemniczy Głos, z którym mamy się dzisiaj spotkać.

– Cóż... – w głosie Orphu po raz pierwszy od początku spotkania pojawił się cień zwątpienia – ...pamiętajmy, że to tylko domysły...

– Niemniej możesz się nimi podzielić.

– Zatem, biorąc pod uwagę moją skromną teorię... Kto mógłby kobiecym głosem domagać się towarzystwa naszego pasażera, Odyseusza, syna Laertesza?

- Święty Mikołaj? – podsunął generał bin Adi.
 - Śmiem wątpić – odparł Orphu. – Miałem na myśli Kalipso.
 - Żaden z obecnych nie rozpoznał imienia.
 - To czarodziejka. We wszechświecie, z którego pochodzą nasi nowi przyjaciele, nazywają ją Kirke.
- 6 Fragment w przekładzie T. Boya-Żeleńskiego.

Harman utonął, lecz nie umarł. Już po kilku minutach gorzko tego pożałował.

Wypełniająca złotą klatkę woda – złoty płyn – okazała się przesycona tlenem. Ledwie ciecz wypełniła płuca mężczyzny, życiodajny gaz popłynął przez cienkie ścianki pęcherzyków płucnych i przeniknął do krwiobiegu. Było go wystarczająco dużo, by serce nie przestało bić – czy może lepiej, podjęło przerwana pracę, gdyż na pół minuty zamarło – a komórki mózgowe nie obumarły... Mózg Harmana był otępiały, przerażony, utracił kontakt z własnym ciałem – ale nie zginął. Oczywiście o oddychaniu nie było mowy i odruch bezwarunkowy wciąż panicznie wołał o powietrze, ale dotleniony organizm wciąż jednak żył.

Podniesienie powiek przypłacił potężnym wysiłkiem, a w nagrodę otrzymał jedynie widok miliarda wirujących złotych słów i dziesięciu miliardów wizji czekających na narodziny w jego umyśle. Gdzieś na skraju świadomości majaczyła mu niewyraźna kryształowa klatka i jeszcze bardziej mglisty kształt na zewnątrz. Mogła to być Mojra, Prospero lub nawet Ariel. Nic z tego nie było jednak w tej chwili istotne.

Bez przerwy chciał normalnie oddychać. Gdyby odzyskał przytomność w pełni – gdyby złoty płyn nie stępił mu instynktów, co miało przygotować go do przekazu – umarłby lub przynajmniej oszalał wskutek odruchowego dławienia.

Kryształowa klatka spróbowała go jednak przyprawić o obłąd w zupełnie inny sposób.

Po chwili zaczęły napływać – wpływać prosto w Harmana – informacje. Informacje pochodzące, jak twierdzili Mojra i Prospero, z miliona starych księzek. Słowa i myśli bez mała miliona umysłów dawno zmarłych ludzi. Nie, nie miliona. Umysłów było znacznie więcej, ponieważ w każdej księżce wspomniano mnóstwo innych osób, z którymi autor dyskutował, których tezy obalał bądź gorąco bronił, których myśli próbował korygować lub przed którymi się buntował.

Zaczęły napełniać go wiadomości, podobnego doznania Harman nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu. Wiele dziesiątek lat spędził, ucząc się czytać, dzięki czemu stał się pierwszym od niezliczonych stuleci człowiekiem dawnego typu, który potrafił odczytać sens zawarty w zawijasach i znaczkach pokrywających karty pleśniejących księzek, na które można się było natknąć dosłownie w każdym domu. Słowa z księzek docierały do jego umysłu po kolei, w spokojnym rytmie przypominającym tempo rozmowy. Czytając, Harman zawsze słyszał w głowie głos powtarzający poszczególne wyrazy, głos, który nie do końca należał do niego. Inną metodą przyswajania sobie treści było siglowanie. Szybsze, lecz mniej skuteczne – oparta na nanotechnologii funkcja przerzucała informacje z książki do jego mózgu tak, jak palacz sypie węgiel do pieca. Brakowało w tym procesie leniwej przyjemności i kontekstu, jakie towarzyszyły tradycyjnej lekturze. A bez nich, bez wszystkich tych niuansów i tła Harman po każdym przesiglowanym tytule stwierdzał, że choć posiadał wiele nowych informacji, znaczna część ich prawdziwego znaczenia

gdzieś po drodze ginęła. Siglując, nie słyszał w duchu tego dziwnego głosu i zastanawiał się często, czy aby ta funkcja nie powstała po to, by umożliwić ludziom z Zapomnianej Ery przyswajanie pakietów wstępnie przetworzonych informacji lub suchych danych zawartych w tabelach. Siglowanie zupełnie nie sprawdzało się przy obcowaniu z powieściami czy dramataми Szekspira. Pierwszą sztuką tego autora, z jaką się zetknął, było oszałamiające, poruszające do głębi dzieło zatytułowane „Romeo i Julia”. Wcześniej Harman nie zdawał sobie nawet sprawy, że stworzenie czegoś takiego jak „sztuka” jest możliwe. Jediną formą fikcyjnej rozrywki, jaką znali ludzie z jego świata, było oglądanie rozgrywającego się pod całunem turyńskim spektaklu o wojnie trojańskiej. A i ta możliwość stała się dostępna dopiero w ostatnim dziesięcioleciu.

Tak więc, podczas gdy czytanie opierało się na spokojnym, liniowym procesie rozumienia, a siglowanie przypominało jakieś zewnątrz łaskotanie mózgu, po którym w umyśle zostawała jedynie powierzchowna warstewka nowych danych, wrażenie, jakiego doznał w kryształowej klatce, było...

Dziewczyna mnie chwyciła w borze, Kiedy tańczyłem (któż mi odda Tę chwilę?) i zamknęła w klatce Kluczykiem, który był ze złota[7].

Odbierane przez Harmana informacje nie napływały przez oczy czy uszy. Nie docierały do niego dzięki żadnemu z naturalnych, wytworzonych na drodze ewolucji zmysłów przekazujących dane do nerwów i mózgu. Ściśle rzecz biorąc, nie czerpał ich nawet dotykiem, chociaż czuł miliardy miliardów ukłuć, co sugerowało, że zawarta w złotym płynie wiedza przenika każdy por jego skóry i rozlewa się w niezliczonych komórkach ciała.

Harman wiedział, że DNA najchętniej korzysta ze standardowego modelu podwójnej helisy. Ewolucja wytypowała ten kształt na nośnik swego najcenniejszego skarbu z wielu powodów, przede wszystkim jednak dlatego, że pozwalał na najprostsze i zarazem najbardziej wydajne przekazywanie energii swobodnej. To właśnie owa energia determinuje kształty, powiązania, formy i funkcje takich olbrzymich cząsteczek jak białka oraz kwasy RNA i DNA. Układy chemiczne zawsze dążą do stanu, w którym ilość swobodnej energii jest jak najmniejsza, co następuje właśnie wówczas, gdy dwa uzupełniające się łańcuchy nukleotydów łączą się i splatają niczym dwa ciągi krętych schodów.

Niemniej postludzie, którzy przeprojektowali genom odłamu ludzkości, z którego wywodził się Harman, zmienili także znaczną część nadmiarowego DNA zawartego w ciałach tworzonej rasy. W miejsce prawoskrętnego DNA B umieścili lewoskrętne DNA Z, cząsteczki standardowych rozmiarów, czyli mające około dwóch nanometrów średnicy. Molekuły DNA Z zostały wykorzystane w charakterze podwalin, na których oparto rusztowanie bardziej złożonych helis DNA, takich jak DNA podwójnie skrzyżowane – DNA DX – z którego powstały szczelne białkowe klatki. A w miliardach miliardów takich klatek – tkwiących głęboko w kościach Harmana, we włóknach jego mięśni, ściankach jelit, tkankach jąder, palców u nóg i mieszkach łojowych włosów – umieszczono makrocząsteczki biologicznych receptorów, służące z kolei jeszcze bardziej skomplikowanym, organicznym kompleksom nanoelektronicznej pamięci.

Całe ciało Harmana – każda z jego komórek – karmiło się wiedzą zawartą

w liczącym milion pozycji księgozbiornie Tadz Mojry.

A klatka była kryształowa, Zdobiona złotem i perłami. Wewnątrz na świat się otwierała I na maleńką noc z gwiazdami.

Bolało. Piekielnie bolało. Unoszący się brzuchem do góry, niczym śnięty karp w jeziorze złotego płynu, Harman poczuł, że powoli budzą się do życia jego kończyny. Budziły się ospale i w bólu – ręce i nogi doznawały tysięcy mrowiących ukłuc, jakby dżgane ostrymi, rozgrzаныmi do białości igłami. Udręka jednak nie dotyczyła wyłącznie kończyn. Komórki całego jego organizmu, wewnętrzne i zewnętrzne, cząsteczki w każdym jądrze komórkowym i we wszystkich ścianach komórkowych budziły się, wyrwane z uspienia wiedzą, która zdążyła wytyczonym dla swobodnej energii szlakiem kanałów Yan-Shen-Yurke, zwany przez cały biologiczny twór Harmanem.

Bolało ponad miarę, ból przekraczał nie tylko jego wytrzymałość, ale i wszelkie dotychczasowe wyobrażenia o cierpieniu. Raz po raz otwierał usta do krzyku, lecz nie miał w płucach powietrza, nie było go też dokoła i zalane złocistą cieczą struny głosowe wibrowały bezsilnie.

Metaliczne nanocząsteczki, węglowe nanoprzewody i inne, bardziej skomplikowane nanoelektroniczne urządzenia tkwiące od poczęcia w jego organizmie reagowały na przepływ prądu. Ulegały polaryzacji, obracały się, przyjmowały odpowiednie pozycje w przestrzeni i rozpoczynały przekazywanie i magazynowanie informacji. Tryliony złożonych mostków DNA wirowały, ustawiały się, rekombinowały i składowały dane w najbardziej podstawowych strukturach organizmu.

W pewnym momencie, tuż za szybą klatki, zauważył oblicze Mojry, dostrzegł jej uważne, ciemne oczy – oczy Savi. Na zniekształconej w kryształach twarzy malowała się zagadkowa emocja – niepokój? Wyrzuty sumienia? Czysta ciekawość?

Tam inną Anglię zobaczyłem I Londyn z jego Parlamentem, Inną Tamizę, inne wzgórza, Inne też Błonia uśmiechnięte.

Książki – co uświadomił sobie zalewany wodospadami bólu Harman – stanowią jedynie węzły niemal nieskończonej, czterowymiarowej matrycy informacyjnej, ewoluującej ku idei pojęcia przybliżonego odbicia Prawdy. Dążącej ku niej pionowo przez czas, lecz także poziomo poprzez wiedzę.

Jako dziecko Harman zwykł sięgać po nieczęsto spotykane kartki welinowego papieru i jeszcze rzadziej zdobywane przybory zwane ołówkami i pokrywał kolejne stronicę punktami, które potem przez długie godziny starał się wszystkie połączyć. I zawsze znajdował jeszcze jedną możliwą do nakreślenia linię, dodatkowe dwie niepołączone kropki. Kiedy kończył, szare ślady grafitu pokrywały białą wcześniej kartkę niemal bez reszty. Gdy dorósł i dojrzał, zastanawiał się niekiedy, czy jego młody umysł starał się w ten sposób uchwycić i wyrazić doznania towarzyszące korzystaniu z sieci faksowężłów, które znał, odkąd nauczył się stawiać pierwsze kroki – a właściwie jeszcze wcześniej, gdyż przedtem matka przenosiła go na rękach. Trzysta znanych ludziom pawilonów pozwalało otrzymać dziewięć milionów możliwych połączeń.

Obecna odmiana gry w łączenie kropek, przepływ informacji do pamięciowych makromolekularnych klatek, była jednak tysiące razy bardziej skomplikowana i przysparzała mu nieskończenie więcej cierpienia.

Taką, jak ona, zobaczyłem Pannę: jak piękna i jak złudna! Jedna się w drugiej zawierała. Było ich trzy. Przedziwne cuda! I jakież uśmiech! Trzy uśmiechy, Trzy mnie płomienie ogarnęły. Pocałowałem ją. I oto Trzy pocałunki warg dotknęły.

Harman już wiedział, że William Blake zarabiał na życie jako rytownik, lecz nie osiągnął w tym fachu większej popularności i sukcesów. (Wszystko stanowi element kontekstu). Odszedł z tego świata w gorący, parny wieczór dwunastego sierpnia 1827. Była niedziela. Owego dnia niemal nikt nie wiedział, że ten małomówny, choć skłonny do gniewu rytownik był również poetą, docenianym przez swych nielicznych, szerzej znanych współczesnych twórców, w tym Samuela Coleridge'a. (Kontekst jest dla informacji tym, czym woda dla delfina). (Delfinami nazywano gatunek morskich ssaków, do których wymarcia doprowadzono na progu dwudziestego drugiego stulecia).

William Blake zupełnie dosłownie uważał się za proroka rangi Ezechiela bądź Izajasza, przy czym wobec mistycyzmu, eksperymentów w dziedzinie okultyzmu i teozoficznych rozważań, tak przecieź popularnych za jego czasów, żywił najszczerzą pogardę. (Ezechiel Mao Kent – tak brzmiało nazwisko biologa morskiego, który czuwał przy boku Almoreniana d'Azure, ostatniego delfina na świecie, który zmarł wskutek choroby nowotworowej w Oceanarium Bengalskim, w gorący i parny wieczór jedenastego sierpnia roku 2134. Komitet do Spraw Gatunków Stosowanych przy Nowej Organizacji Narodów Zjednoczonych postanowił nie odtwarzać rodziny *Delphinidae* ze zarchiwizowanego DNA, lecz pozwolić jej spokojnie wymrzeć, czyli podzielić los pozostałych wielkich waleni].

Unoszący się wewnątrz kryształowej klatki nagi Harman zrozumiał, że sam natłok informacji jest do przeżycia. Za to bezustanny, rozdzymający mu układ nerwowy kontekst sprawia ból niemal śmiertelny.

Chciałem najgłębszą chwycić postać.

Niech nie ucieka, wiotka, płocha!

I kryształową roztrzaskałem

Klatkę: jak dziecko, które szlocha

Zbłąkane, jak kobieta w borze

Ogromnym smutna, tak płakałem.

Tam, gdzie zewnętrzne jest przestworze,

Swój ból wichrowi oddawałem.

Harman dotarł wreszcie do granic odporności na cierpienie i zdolności przyswajania złożonych danych. Zamachał kończynami w gęstym złotym płynie, stwierdził, że ma mniej możliwości ruchu od embriona, że palce przeobraziły mu się w płetwy, a mięśnie uległy zanikowi i zmieniły się w słabowite włókna. A prawdziwym nośnikiem i płynem łożyskowym całego wszechświata okazał się jego ból.

Nie jestem *tabula rasa*! Miał ochotę wykrzyczeć te słowa w twarz temu bydlakowi Prospero, tej skończonej kurwie Mojrze. Był pewien, że przekaz informacji zabije go już zaraz.

„Niebo z piekłem razem są zrodzone” – przemknęło mu przez myśl. Wiedział już, że Blake użył tego sformułowania jako pierwszy. Za jego pomocą krytykował wyznawaną

przez Swedenborga kalwinistyczną doktrynę predestynacji.

Prawda, Szatanie, jesteś tylko Durniem I nie odróżniasz Ludzi od Odzieży...[8]

Dość! Już wystarczy! O Boże, błagam!

Mimo że jesteś Czczony pod imieniem Boga: Jezusa i Jehowy, to jesteś jedynie Synem Poranka wśród mijania Nocy I snem zagubionego pod zboczem wędrowca.

Harman wrzeszczał, mimo że w płucach i gardle nie miał nawet krztyny powietrza, za pomocą którego mógłby wydusić choć słowo. Powietrza, które pozwalałoby krzykowi się ponieść, brakowało też w zamkniętej klatce. (Urządzenie, jedno z sześciu trylionów podobnych, składa się z czterech podwójnych helis powiązanych w środku dwoma niesparowanymi łańcuchami DNA. Obszar, w którym się łączą, może przybrać dwa odmienne stany – wszechświat w sposób szczególny upodobał sobie system binarny. Obrót obu helis o sto osiemdziesiąt stopni wokół centralnego mostka wywołuje tak zwany PX, czyli stan przecięcia paranemicznego). Powtarzając ów cykl trzy miliardy razy na sekundę, otrzymujemy torturę okrutną i wyrafinowaną, czystą formę tortury, o jakiej nie śnili nawet najbardziej utalentowani rzemieślnicy projektujący narzędzia męki na zlecenie Inkwizycji.

Harman spróbował wrzasnąć raz jeszcze.

Od rozpoczęcia przekazu upłynęło piętnaście sekund.

Do jego zakończenia pozostały czterdzieści cztery minuty i czterdzieści pięć sekund.

7 Ten cytat i kolejne zaczerpnięte z: William Blake, „Kryształowa Klatka”, przeł. Z. Kubiak.

8 Ten i następny cytat pochodzą z „Do oskarżyciela, który jest Bogiem tego świata” Williama Blake’a w przekładzie K. Puławskiego.

Nazywam się Thomas Hockenberry i jestem doktorem filologii klasycznej. Moją specjalność stanowią badanie, krytyczna analiza i wykładanie homeryckiej „Iliady”.

Pracownikiem naukowym byłem przez niemal trzydzieści lat – w ciągu ostatnich piętnastu lat życia zajmowałem stanowisko na Uniwersytecie Stanowym w Indianie, w Bloomington. Tam też zmarłem. Obudziłem się – czy raczej zostałem wskrzeszony – na Olimpie, a ściśle rzecz biorąc, na górze, którą istoty mieniące się bogami nazywały Olimpem, a która w rzeczywistości, jak się później dowiedziałem, jest potężnym marsjańskim wulkanem noszącym nazwę Olympus Mons. Wspomniane istoty, owe bóstwa, choć niewykluczone, że ich bóstwa – o tych z kolei nie wiem praktycznie nic; znam tylko jedno, nazywa się Prospero, zupełnie jak postać z szekspirowskiej „Burzy” – odtworzyły mnie i przeznaczyły mi rolę scholiasty, obserwatora wojny trojańskiej. Przez dziesięć lat składałem raporty z przebiegu konfliktu jednej z muz. Przekazywałem je zarejestrowane w mówiących kamieniach tekstowych, jako że w tej rzeczywistości nawet bogowie są analfabetami. Niniejsze wyznanie zapisuję na niewielkim elektronicznym dyktafonie, który wykradłem z „Królowej Mab”, morawieckiego statku kosmicznego noszącego to imię.

W zeszłym roku – dokładnie dziewięć miesięcy temu – wszystko poszło w diabły, a wojna trojańska potoczyła się torem zupełnie innym niż opisany przez Homera. Od tamtej pory zapanował istny chaos. Achilles i Hektor – czyli także dowodzone przez nich armie Greków i Trojan – zawarli sojusz wymierzony przeciwko bogom. Nowe przymierze, rzecz jasna, dodatkowo spotęgowało i tak niewąski już bajzel. Potem nastąpił szereg zdrad, zamknęła się ostatnia z Dziur Branowych łączących Marsa ze starożytnym Ilionem, co nakłoniło wojska morawców do odwrotu ze starożytnej Ziemi. Pod nieobecność Achillesa – heros utknął po drugiej stronie Dziury Branowej, na Marsie z odległej przyszłości – wojna rozgorzała na nowo. Zniknął również Zeus, a przy jego braku bogowie i boginie ruszyli do walki u boku swych ulubieńców.

W pewnej chwili zanosilo się na to, że oddziały Agamemnona i Menelaosa przełamią trojański opór. Diomedes był naprawdę bliski zdobycia miasta. Wtedy jednak Hektor powrócił ze swego ponurego odosobnienia. Doszedł do siebie. Swoją drogą interesujące jest, że ten motyw stanowi bliski odpowiednik opisanych przez Homera w „Iliadzie” perypetii urażonego Achillesa. Priamowy syn nie zasypiał gruszek w popiele, lecz zamordował w pojedynku pozornie niezwyciężonego Diomedesa.

Nazajutrz – jak usłyszałem – Hektor powalił Ajaksa. Ajaksa Wielkiego, Ajaksa z Salaminy. Helena twierdzi, że Ajaks błagał o litość, lecz Hektor nie uznał za stosowne jej okazać. Tego samego dnia poległ Menelaos – poprzedni mąż Heleny, urażony rogacz, który rozpętał tę cholerną wojnę. Grot strzały wszedł mu głęboko w czaszkę.

Wówczas – w ciągu ponad dziesięciu lat pracy dla bogów, kiedy śledziłem wojnę, widywałem podobne sytuacje setki razy – inicjatywę przejęła strona przeciwna.

Wspierający Achajów Olimpijczycy przeszli do kontrataku. Natarcie powiodły Atena z Herą, a grzmiący Posejdon zajął się burzeniem zabudowań Troi. Hektor ze swymi oddziałami na powrót skryli się w mieście. Książę – podobno – odniósł swego rannego brata Deifobosa za mury na własnych barkach.

Dwa dni temu jednak, kiedy zdawało się, że Troi ponownie grozi nieuchronny upadek – tym razem wskutek naporu połączonych sił rozjuszonych Achajów oraz najsilniejszych i najbardziej okrutnych bóstw: Ateny, Hery, Posejdona i ich sprzymierzeńców, którzy związali walką Apolla i resztę chroniących metropolię Olimpijczyków – do gry wrócił Zeus.

Od Heleny wiem, że jednym gromem rozbił Herę na części, Posejdona wtrącił w otchłań Tartaru, a reszcie bogów przykazał wracać na Olimp. Mówiła też, że wszystkie potężne bóstwa – dziesiątki pysznych istot w złotych, latających rydwanach, zakutych w przepiękne złociste zbroje – udały się potulnie na wierzchołek swej góry. Tekowały się niczym niegrzeczne bachory czekające na ojcowskiego klapsa.

I teraz to Grecy zbierają cięgi. Sam Zeus, który – jak utrzymuje Helena – przybrał rozmiary tak gigantyczne, że sięgnął głową ponad najwyższe stratocumulusy, powalił tysiące Argiwów, a kiedy pozostali uciekli na brzeg, spalił ich okręty trzaskającymi błyskawicami. Helena opowiada, że Gromowładny przyzwał następnie z morza potężną falę, która zmyła czarne, wypalone kadłuby w głębinę. Zaraz potem Zeus zniknął i od tamtej pory nie pojawił się pod Troją ani razu.

Dwa tygodnie później – gdy po obu stronach konfliktu dogasły już tysiące stosów pogrzebowych i zakończono tradycyjne dziewięciodniowe obrzędy ku czci poległych – Hektor powiódł swe wojska do zwieńczonego powodzeniem ataku i Grecy zostali zmuszeni cofnąć się jeszcze bardziej. Obrońcy Ilionu szacują, że ze stu tysięcy Argiwskich wojowników, którzy dziesięć lat temu przybyli pod Troję, ocalało około trzydziestu tysięcy, w tym wielu – jak król Agamemnon – rannych i wyczerpanych z ducha walki. Pozbawieni przez Zeusa możliwości ucieczki na morze, nie mogąc posłać drwali na zalesione zbocza Góry Ida, skąd byliby w stanie sprowadzić drewno na nowe okręty, Achajowie robią co mogą – wykopali umocnione belkami, głębokie okopy, ich krawędzie zjeżyli zaostrzonymi palami, połączyli główne rowy mniejszymi, usypali piaszczyste szańce i ustawili swe tarcze, włócznie i szeregi zabójczo celnych łuczników w nieprzerwany mur, chroniący kurczące się półkole śmierci. To już ich ostatni bastion.

Wstał trzeci poranek po moim powrocie i stoję w greckim obozie, otoczonym długim na nieco ponad ćwierć mili łukiem umocnień i okopów. Towarzyszę trzydziestu tysiącom wycieńczonych Achajów, tłoczących się na tej niewielkiej przestrzeni, pod dymiącymi wrakami garstki statków, których nie zabrało tsunami Zeusa. Za plecami wojownicy mają już tylko morze.

Przewaga Hektora jest przytłaczająca – trojański książę dysponuje czterokrotnie liczniejszą armią, jego ludzie są znacznie lepiej wykarmieni i pozostają w znakomitych nastrojach. Grekom tymczasem zaczyna zaglądać do oczu głód, tym bardziej dotkliwy, że dolatuje do nich woń mięsiwa piekącego się na ogniskach oblegających ich Trojan. Helena i król Priam byli święcie przekonani, że Greków uda się zepchnąć do morza już dwa dni temu, lecz ludzie zdesperowani, ludzie, którzy nie mają nic do stracenia, są

zwykle ludźmi mężnymi, a Argiowowie walczą niczym zapędzone w kąta szczury. Pomagają im również wzniesione niedawno zasieki i krótki szyk. Oczywiście nawet te plusy pozycji nie zdadzą się na wiele, ponieważ wyczerpują się im zapasy jedzenia i wody, której dopływ odcięli Trojanie, tamując rzekę milę od plaży. W przeludnionym, niehigienicznym obozie Achajów pojawiają się coraz częstsze przypadki tyfusu.

Agamemnon nie walczy. Syn Atreusa, król Myken i głównodowodzący potężnej dawniej armii inwazyjnej, już od trzech dni kryje się we własnym namiocie. Helena doniosła, że Agamemnon został ranny w trakcie walnego odwrotu greckich sił, lecz wartownicy i kilku oficerów, z którymi rozmawiałem już w obozie, przyznali, iż władca po prostu złamał sobie lewą rękę, nic poważnego. Wydaje się za to, że śmiertelnie ranione zostało jego morale. Możny król – zaciekły nieprzyjaciel Achillesa – nie zdołał odzyskać ciała swego brata, kiedy ten padł martwy ze strzałą w oko i podczas gdy Diomedes, Ajaks Wielki i pozostali polegli greccy herosi zostali pożegnani należycie i spopieleni na wysokich rozpalonych nad morzem stosach, truchło Menelaosa widziano ostatnio, gdy Hektor włóczył je za rydwanem wokół obstawionych wiwatującymi tłumami murów Ilionu. Ta kropla przeważała czarę i, zamiast wpaść w szal i rzucić się do boju, arogancki i nadęty Agamemnon załamał się i popadł w depresję.

Pozostali Grecy wcale jednak nie potrzebowali jego rozkazów, by wiedzieć, że walczą o przetrwanie. Kadra oficerska ich wojsk została mocno przetrzebiona. Nie żyją Ajaks Wielki, Diomedes i Menelaos. Achilles z Odyseuszem zostali po drugiej stronie zamkniętej Dziury Branowej. Od dwóch dni główny ciężar dowodzenia przejął na swe barki stary gaduła Nestor. Przez większość czasu wykpiwany odzyskał dzięki temu szacunek z czasów młodości, przynajmniej pośród rzednących achajskich szeregów. Nestor pojawiał się z zaprzężonym w czwórkę koni rydwanem wszędzie tam, gdzie szykom Greków groziło załamanie, ponaglał wojowników, by czym prędzej naprawiali zniszczony ostrokół i na nowo pogłębiali zasypane w czasie walk okopy. Pokazywał, jak wzmacniać rowy deskami i jak usypywać piaszczyste ławy. Nocami posyłał zwiadowców – w tym młodych chłopców – by wykradali Trojanom wodę, a przede wszystkim przez cały czas starał się tchnąć w greckie szeregi bojowego ducha. Antilochus i Trazymedes – synowie Nestora, którzy nieczęsto wyróżniali się w trakcie pierwszych dziesięciu lat wojny i krótkiego konfliktu z Olimpijczykami, bili się w ciągu tych dwóch ostatnich dni wprost imponująco. Trazymedes odniósł wczoraj dwie rany – cios włócznią i postrzał z łuku w ramię – lecz mimo to nie przerwał walki i powiódł swych Pylijczyków, którzy odparli trojański szturm, grożący rozerwaniem półkolistego frontu na dwie połowy.

Słońce dopiero co wstało. Wiele wskazuje na to, że ów trzeci dzień okaże się ostatnim; w obozie Trojan przez całą noc panowało poruszenie, oddziały zajmowały nowe pozycje, z miasta docierały posiłki w postaci wojowników, rydwanów i sprzętu pozwalającego pokonywać okopy. W tej chwili wokół obronnego półkola Greków zgromadziło się już ponad sto tysięcy względnie wypoczętych obrońców Ilionu.

Zabrałem do obozu Agamemnona dyktafon, ponieważ Nestor zwołał naradę, na którą zaprosił wszystkich pozostających przy życiu oficerów i wodzów, z wyjątkiem tych, którzy nie mogli porzucić swych pozycji. Wszyscy ci zmęczeni i umorusani mężczyźni zgodnie ignorują moją obecność. Choć raczej powinienem powiedzieć, że moją obecność

tolerują, gdyż nie zapomnieli, iż w ciągu ośmiomiesięcznej wojny przeciwko bogom często towarzyszyłem samemu Achillesowi. Urządzenie, które mam w ręku, dyktafon rozmiarów wafelka, nie znaczy dla nich zupełnie nic.

Sam już nie wiem, dla kogo się temu przyglądam i po co te wydarzenia rejestruję. Podejrzewam, iż gdybym pojawił się na Olimpie i wręczył swój raport muzie, która próbowała mnie zabić, potraktowano by mnie jako *persona* w najwyższym stopniu *non grata*. Zrobię to więc z powołania naukowca, którym przecież kiedyś byłem, nie jako niewolny scholiasta, w którego mnie zmieniono. A jeśli nawet uznać, iż nie jestem już człowiekiem nauki, to mogę przynajmniej odegrać rolę korespondenta wojennego, relacjonującego z ostatniego bastionu Greków ich ostatnie godziny, po których nastąpi nieuchronny koniec całej tej heroicznej ery.

NESTOR:

Jakie przynosicie wieści? Czy sądzicie, że wasi ludzie utrzymają dziś pozycje?

IDOMENEUS: (Dowódca kontyngentu Kreteńczyków. Po raz ostatni widziałem go, kiedy zamordował rzutem włóczni Amazonkę Bremusę. Kilka chwil potem zamknęła się Dziura Branowa, a Idomeneus był jednym z ostatnich, którzy odstępili od boku Achillesa).

Z mojego odcinka niosę same złe wiadomości, szlachetny Nestorze. Każdego Trojanina, którego zabiliśmy w ciągu dwóch ubiegłych dni, dzisiejszej nocy zastąpiło dwóch nowych. Iliończycy szykują sprzęt do zasypywania okopów i ostrzą groty włóczni. Także ich łucznicy wciąż się gromadzą. Dzisiejszy bój rozstrzygnie o wszystkim.

AJAKS MAŁY: (Obaj Ajaksowie mocno się między sobą różnili, lecz byli ze sobą zżyci jak bracia. Nigdy dotąd nie widziałem na twarzy Ajaksa z Lokrydy tak posępnej miny. Przecinające jego twarz głębokie zmarszczki i bruzdy wypełnione są brudem i zakrzepłą krwią tak dokumentnie, że oblicze herosa przypomina maskę z japońskiego teatru kabuki).

Nestorze, synu Neleusa, bohaterze naszych dni ponurych! Dowodzeni przeze mnie wojownicy z Lokrydy zmagali się z wrogami przez większą część nocy. Zwiadowcy Deifobosa próbowali zająć nas od północnej flanki. Odparliśmy ich, a morska piana zaczerwieniła się od krwi. Okopy w naszej części frontu stopniowo wypełniają się ciałami poległych Greków i Trojan. Stos już wkrótce osiągnie dziesięć stóp wysokości i wtedy nieprzyjaciół zdoła przejść na drugą stronę. Straciłem trzecią część żołnierzy, wszyscy pozostali są u kresu wytrzymałości. Hektor przysłał posiłki.

NESTOR:

Podaliriusie, co możesz powiedzieć o ostatnim żyjącym synu Atreusa?

PODALIRIUS: (Syn Asklepiosa, jeden z ostatnich greckich medyków. Ponadto służy ze swym bratem Machaonem jako współdowódca Tesalczykami z Trikki).

Szlachetny Nestorze, umieściłem ramię Agamemnona w łupkach. Nie przyjął żadnych ziół uśmierających. Jest przytomny, a umysł ma jasny.

NESTOR:

Dlaczego zatem nie opuszcza namiotu? Jego ludzie stanowią największy oddział naszej armii, lecz kryją się na środku obozu niczym baby. Przy braku wodza zupełnie utracili hart ducha.

PODALIRIUS:

Ich wódz stracił serce, kiedy odszedł jego brat Menelaos.

TEUKROS: (Wyśmienity łucznik, przyrodni brat i najdroższy przyjaciel nieżyjącego już Ajaksa Wielkiego).

Zatem Achilles ani trochę się nie mylił, gdy publicznie zbuntował się przeciwko Agamemnonowi i zarzucił wielkiemu królowi, że ma serce zająca... (Spluwa na piach).

EUMELUS: (Syn Admetosa i Alcestis, wódz Tesalczyków z Feraj. Przez zaginionych Achillesa i Odyseusza nazywany nierzadko „królem pośród ludzi”).

A gdzież tak chętnie rzucający oskarżenia Achilles jest w tej chwili? Tchórz wołał zostać u podnóża Olimpu niż u boku towarzyszy ruszyć na spotkanie śmierci. Chyżonogi mężobójca ma jak widać nie tylko zajęcze serce, ale i łapy.

MENESTEJOS: (Potężnie zbudowany dowódca Myrmidonów, do niedawna zastępca Achillesa).

Zabiję każdego, kto będzie mówić o synu Peleusa w ten sposób. On nigdy nie porzuciłby nas z własnej, nieprzymuszonej woli. Wszyscy widzieliśmy i słyszeliśmy, że sama Atena powiedziała Achillesowi, iż dostał się pod wpływ zaklęcia Afrodyty.

EUMELUS:

Raczej pod wpływ cipy władczyni Amazonek.

(Menestejos dobywa miecza i rusza w stronę Eumelusa).

NESTOR: (Wkraczając między zwaśnionych).

Dość już! Czyż Trojanie nie zabijają nas dość szybko? Czy naprawdę musimy mordować się jeszcze między sobą? Eumelusie! Cofnij się! Menestejosie, schowaj to ostrze!

PODALIRIUS: (Przemawia w tej chwili nie jako osobisty lekarz Agamemnona, lecz jako ostatni żywy medyk wśród Achajów).

Przede wszystkim zabija nas choroba. Zmarło na nią kolejnych dwustu wojowników. Zaraza szerzy się szczególnie między Epejczykami, którzy bronią południowego brzegu rzeki.

POLIKSYNUS: (Syn Agastenesa, współdowodzący kontyngentem z Epei).

Prawda to, czcigodny Nestorze. Straciliśmy już przynajmniej dwie setki ludzi, a tysiąc chorych nie jest w stanie walczyć.

DRESEUS: (niedawno awansowany oficer Epejczyków).

Na dzisiejszą poranną musztrę nie stawiła się połowa mych ludzi, szlachetny Nestorze.

PODALIRIUS:

Co gorsza, zaraza zatacza coraz szersze kręgi.

AMFION: (Inny świeżo promowany oficer z Epei).

To sprawka strzał miotanych ze srebrnego łuku przez Febusa Apolla. Podobnie było dziesięć miesięcy temu, gdy bogowie zesłali na nas chorobę, wskutek której wszystkie noce jaśniały od stosów. To przez nią doszło do pierwszych swarów Achillesa z Agamemnonem. A one pociągnęły za sobą całą resztę naszych niedoli.

PODALIRIUS:

Och, pieprzyć Febusa Apollo wraz z tym jego srebrnym łukiem. Bogowie, w tym

sam Zeus, wyrządzili nam potworną szkodę, po czym zniknęli i sami tylko wiedzą, czy w ogóle wrócą. Szczerze mówiąc, czniam na to. Obecne śmierci, choroba, która nas w tej chwili nęka, nie została wywołana strzałami Apolla. Podejrzewam, że jej przyczyną jest brudna woda, którą nasi ludzie gaszą pragnienie. Cały obóz pije własne szczyny i sypia we własnym gównie. Asklepios, mój ojciec, miał pewną teorię, w myśl której zaraza rodzi się w skażonych wodach i...

NESTOR:

Uczony Podaliriusie, opowieści o teorii twego rodziciela z wielką ochotą wysłuchamy w innym terminie. Teraz chciałbym się raczej dowiedzieć, czy uda nam się przetrzymać dzisiejszy atak Trojan i poznać rady moich oficerów. O ile na nasze położenie można jeszcze cokolwiek zaradzić.

ECHEPOLUS: (Syn Anchizesa).

Powinniśmy skapitulować.

TRAZYMEDES: (Syn Nestora. We wczorajszej bitwie wyróżnił się szczególnym męstwem. Mimo że jego rany zostały starannie opatrzone, wydaje się, iż dzisiaj doskwierają mu znacznie bardziej dotkliwie niż w ogniu walki).

Poddać się? Niedoczekanie! Czy naprawdę mamy wśród Argiwów mężów tak bardzo tchórzliwych, iż uciekają się do propozycji złożenia broni? Mnie się poddaj, synu Anchizesa, a ukróć tve męki równie ochoczo jak Trojanie!

ECHEPOLUS:

Hektor kieruje się honorem. Król Priam w przeszłości również był człowiekiem honoru i wcale nie musiał się zmienić. Byłem w Troi z Odyseuszem, gdy król Itaki próbował z Priamem wynegocjować pokojowy zwrot Heleny. Odniosłem wtedy wrażenie, iż obaj, Hektor i Priam, są mężami rozsądnymi i uczciwymi. Hektor zgodzi się przyjąć naszą kapitulację.

TRAZYMEDES:

Wspominasz, głupcze, wydarzenia, które miały miejsce jednaście lat temu. Od tamtego czasu do Hadesu trafiło sto tysięcy nowych cieni. Miłosierdzie Hektora mieliśmy okazję podziwiać, kiedy o darowanie życia błagał go szlochający i zaflukany Ajaks Wielki. Hektor roztrzaskał jego tarczę niczym cynowy talerzyk, po czym rozplątał mu kręgosłup i wyciął serce. Podejrzewam, że jego ludzie nie będą dla ciebie aż tak litościwi.

NESTOR:

Zdaję sobie sprawę, iż od pewnego czasu niektórzy przebąkują o złożeniu broni. Sądzę jednak, że słuszność leży po stronie Trazymedesa. Zbyt wiele krwi wsiąkło w równinę Ilionu, byśmy mogli żywić nadzieję na ocalenie. Ba! My mieszkańcom Troi nie okazalibyśmy litości, gdyby trzy tygodnie temu nie wyparli nas za mury... Lub gdybyśmy rozbili ich bramy już dziesięć lat temu. A może się mylę? Wszyscy, jak tu stoicie, doskonale wiecie, że zgładzilibyśmy wszystkich mężczyzn zdolnych podnieść miecz bądź łuk. Zabiliśmy także starców za to, że spłodzili naszych wrogów, zgwałcilibyśmy ich kobiety, a te które przetrwałyby rzeź, uwieźlibyśmy wraz z dziećmi w niewolę. Na koniec podłożylibyśmy ogień pod całe ich miasto i jego świątynie... Bogowie jednak... lub Mojry... siły decydujące o przebiegu wojny, zwróciły się przeciwko nam. Nie możemy się spodziewać, że Trojanie, którzy wycierpieli długie dziesięć lat

oblężenia, okażą nam więcej wspaniałomyślności, niż bylibyśmy w stanie okazać sami. Jeśli ponownie usłyszycie wśród ludzi zachęcające do kapitulacji pomruki, przekażcie im, że byłoby to szaleństwo. Lepiej zginąć na wyprostowanych nogach, niż klęcząc w piachu.

IDOMENEUS:

Najlepiej jednak nie ginąć wcale. Czy nie wolno nam już myśleć o ratunku?

ALASTOR: (Dowódca Teukrosa).

Czarne okręty spłonęły. Kończy się też prowiant, choć zanim wymrzemy z głodu, padniemy z pragnienia. Co gorsza, zaraza z każdą godziną zabiera kolejne ofiary.

MENESTEJOS:

Moi Myrmidonowie myślą o przedarciu się przez trojańskie linie. Jeżeli się przebijemy, moglibyśmy umknąć na południe, w kierunku Góry Ida. Jej stoki porośnięte są niezwykle gęstymi lasami...

NESTOR: (Kiwając głową).

Twoi Myrmidonowie nie są jedynymi, którzy snują podobne plany, mężny Menestejosie, lecz nawet oni nie będą w stanie dokonać tego samodzielnie. W pojedynkę nie zdoła się przebić żaden z naszych szczepów. Pozycje Trojan rozciągnięte są na wiele mil, a za nimi stoją wojska ich sojuszników. Zapewne spodziewają się takiego właśnie wypadu i dziwią się być może, że nie spróbowaliśmy tego wcześniej. Znasz, Menestejosie, żelazne prawa walki mieczem, włócznią i tarczą, znają je również twoi Myrmidonowie i wszyscy inni Achajowie. Na każdego poległego w starciu tarcza w tarczę przypada zawsze setka zabitych podczas ucieczki. Nie mamy już sprawnych rydwanów, a wodzowie Hektora dysponują setkami. Dopadną nas, rozjadą i wymordują jak stado owiec, zanim zdołamy przekroczyć wyschnięte koryto Skamandra.

DRESEUS:

Więc zostajemy? I zginiemy dziś lub jutro na tej plaży, pod wypalonymi skorupami naszych pięknych czarnych okrętów?

ANTILOCHUS: (Drugi z synów Nestora).

Nie. Żaden z nas, nikt, kto ma jaja, nie pomyśli nawet o kapitulacji. Z drugiej strony obecnej pozycji utrzymać nie zdołamy już za kilka godzin. Możemy nie przetrzymać nawet najbliższego ataku. Moim zdaniem, bez względu na wszystko, powinniśmy spróbować wyrwać się z okrążenia. Zostało nas trzydzieści tysięcy wojowników, ponad dwadzieścia tysięcy wciąż zdolnych do walki i ucieczki. Czterech na pięciu padnie, to niemal pewne – zostaną zaszlachtowani niczym jagnięta, nim jeszcze dopadniemy cienistych stoków Góry Ida. Niemniej cztery czy pięć tysięcy przeżyje. Połowa z tej liczby może nawet przetrwać krwawe łowy w lesie. Bo bez wątplenia Trojanie wraz z sojusznikami zapolują na nas jak na jelenie. A połowa z tej połowy zdoła być może odnaleźć drogę powrotną z tego przekłętą kontynentu, przebyć morze ciemne jak wino i dotrzeć do domu. Taka szansa wystarczy mi w zupełności.

TRAZYMEDES:

Mnie także.

TEUKROS:

Szansa zawsze jest lepsza niż pewność, że nasze kości zbieleją na tej pieprzonej, zasranej i oszczanej plaży.

NESTOR:

Czy był to głos za podjęciem próby, synu Telamona?

TEUKROS:

Tak, kurwa, i to głos zdecydowany, mężny Nestorze.

NESTOR:

Szlachetny Epeusie, odkąd zaczęliśmy radzić, nie odezwałeś się jeszcze słowem. Jakie jest twoje zdanie?

EPEUS: (Skrepowany przestępuje z nogi na nogę, wbija wzrok w ziemię. Epeus jest najlepszym wśród Achajów bokserem. Na jego obliczu i ogolonej głowie znać ślady wielu lat uprawiania tej dyscypliny – zdeformowane uszy, spłaszczony nos, niezliczone blizny na brwiach, policzkach i czaszce. Nie mogę nie dostrzec ironii losu, gdy myślę o sytuacji, w jakiej Epeus znalazł się na tej naradzie, i o tym, w jaki sposób własnoręcznie wpłynąłem na koleje jego życia. Mimo że nigdy nie był szczególnie znany ze swej bitewnej sprawności, bez wątpienia zwyciężyłby w turnieju boksterskim urządzonym przez Achilleusa ku pamięci Patroklosa i zbudowałby wymyślonego przez Odyseusza drewnianego konia, gdybym nie zaczął w zeszłym roku kombinować, zmieniając opisaną przez Homera historię. W obecnej wersji wydarzeń Epeus dołączył do grona wodzów wyłącznie dlatego, że jego wszyscy dowódcy – w tym Menelaos – zdążyli już polec).

Czcigodny Nestorze, najlepszym momentem do zadania decydującego ciosu jest chwila, gdy przeciwnik jest najbardziej pewny swego, moment, kiedy zbliża się z przekonaniem, że lada moment pošle cię nieprzytomnego na piach. W naszej sytuacji decydujący cios powinien przeciwnika oszołomić, a kiedy zacznie się słańać, musimy wziąć nogi za pas. Na własne oczy widziałem podobne wydarzenie podczas jednej z Olimpiad.

(Dokoła rozlega się śmiech).

EPEUS:

Trzeba to jednak uczynić po zmroku.

NESTOR:

Zgadzam się. Za dnia oczy widzą daleko, a rydwany Trojan zdołają nas dopaść stanowczo zbyt wcześnie. Nie mielibyśmy szansy.

MERIONES: (Syn Molusa, bliski towarzysz Idomeneusa, zastępca wodza Kreteńczyków).

W świetle księżycy też większych szans nie mamy. A zbliża się pełnia.

LAERKES: (Jeden z Myrmidonów, syn Haemana).

Zimą jednak słońce zachodzi wcześnie, a w tym tygodniu księżyc wstaje dość późno. Zanim wzejdzie, będziemy mieli trzy godziny głębokiej ciemności, takiej, która zmusza ludzi do palenia pochodni.

NESTOR:

Pytanie brzmi, czy zdołamy wytrwać do zachodu słońca? I czy nasi ludzie zachowają w sobie siły do dalszej walki? Będziemy musieli przeprowadzić ostry, skoncentrowany atak. Inaczej nie wyciosamy w szeregach przeciwnika należytej wyrwy. Dodatkowo wyczerpująca będzie też sama ucieczka. Od zalesionych stoków Góry Ida dzieli nas ponad dwadzieścia mil.

IDOMENEUS:

Jeśli usłyszą, że nocą otrzymają szansę ocalenia skóry, znajdą siły i do całodziennego boju. Uderzmy, powiadam, w sam środek trojańskich pozycji. Tam, gdzie dowodzi Hektor. Wiem, że większość oddziałów skierował na skrzydła. Spróbujemy się przebić.

NESTOR:

Co myślą pozostali? Chcę usłyszeć zdanie każdego z was. Do tej wycieczki potrzebuję wszystkich. Bo i wszystko od niej zależy.

PODALIRIUS:

Będziemy musieli porzucić chorych i rannych, a do wieczora jeszcze ich przybędzie. Trojanie ich wymordują. Być może zrobią nawet coś gorszego, w końcu rozjuszemy ich swoją ucieczką.

NESTOR:

Owszem. Takie są jednak kaprysy wojny i przeznaczenia. Chcę usłyszeć, za czym głosujecie, waleczni wodzowie Achajów.

TRAZYMEDES:

Jestem za. Spróbujemy dzisiejszej nocy. I niech bogowie mają w swej opiece zarówno tych, których będziemy musieli zostawić, jak i tych, których Trojanie pochwyć w trakcie walk.

TEUKROS:

Pieprzyć bogów! Również jestem za. A skoro przeznaczenie każe nam zdychać na tej cuchnącej plaży, pieprzyć też Mojry. Wyruszymy dziś, kiedy zapadnie głęboka ciemność.

POLIKSYNUS:

Tak.

ALASTOR:

Tak. Dzisiejszej nocy.

AJAKS MAŁY:

Jestem za.

EUMELUS:

Tak, wóz albo przewóz.

MENESTEJOS:

Gdyby był tu z nami Achilles, mój wódz, rzuciłby się do gardła samemu Hektorowi. Może w trakcie ucieczki szczęście się do nas uśmiechnie i zarżniemy sukinsyna.

NESTOR:

Echepolusie, czy ty także głosujesz za podjęciem próby?

ECHEPOLUS:

Jeżeli spróbujemy się tu utrzymać choćby jeden dzień dłużej, niechybnie zginiemy. Uciekając, padniemy równie nieodwołalnie. Zostanę tu u boku rannych i poddam się Hektorowi. Polecę się nadziei, że być może pozostał w nim choć okrucieństwo dawnego honoru i litości. Ludziom jednak dozwolę wybierać zgodnie z ich sumieniem.

NESTOR:

Nie, Echepolusie. Większość wojowników pójdzie za przykładem swego wodza.

Wolno ci zostać i się poddać, lecz pozbawiam cię dowództwa, a na twój następcę mianuję Amfiona. Jeśli chcesz, idź teraz prosto do namiotu, w którym czekają ranni, lecz z nikim po drodze nie rozmawiaj. Twój oddział jest nieduży i zajmuje pozycje w pobliżu wojowników Amfiona... Obie siły połączą się bez trudu i zbędnego zamętu. Oczywiście Amfiona mianuję wodzem twych ludzi tylko, jeśli zagłosuje za podjęciem próby przerwania okrążenia.

AMFION:

Tak też głosuję.

DRESEUS:

Oddaję głos w imieniu mych Epejczyków. Podejmijmy walkę i zgińmy bądź ucieknijmy. Bardzo chcę ujrzeć swój dom i rodzinę.

EUMELUS:

Od ludzi Agamemnona wiemy, zresztą potwierdziły tę wieść morawce, że nasze miasta i wsie opustoszały, nasze królestwa są zupełnie wyludnione. Zeus porwał naszych współplemieńców.

DRESEUS:

Rzeknę tak: sram na Agamemnona i te zabawki morawce. Sram też na Zeusa. Kiedy wrócę do domu, sam się przekonam, czy ktoś tam na mnie czeka. Wierzę, że tak.

POLIPOETES: (Jeden z synów Agastenesa, współ dowodzący Lapitów z Argissy).

Moi ludzie utrzymają pozycje za dnia, a nocą jako pierwsi ruszą do boju. Klnę się na bogów.

TEUKROS:

Nie mógłbyś się zaklinać na coś mniej zmiennego? Na przykład na swoją biegunkę? (Powszechny wybuch śmiechu).

NESTOR:

Zatem postanowione. Ja również obstaję przy ucieczce. Dzisiaj tymczasem musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by powstrzymać morderczy napór Trojan. W tym celu, Podaliriusie, rozdasz wszystkim cały prowiant. Niech każdy zachowa tyle tylko, ile wieczorem zdoła ze sobą unieść. Podwój też poranną rację wody. Przetrzęsij magazyny Agamemnona i nieżyjącego Menelaosa. Zabierz z nich wszystko, co da się zjeść. Wodzowie, przekażcie swym wojskom, że dzisiaj wystarczy, jeżeli utrzymają linie. Niech nie ryzykują życia, chyba że w obronie życia towarzyszy. Do ataku ruszymy, gdy tylko zapadnie mrok. Jeśli taka będzie wola losu, część z nas dotrze do lasu, a potem zdoła wrócić do domów i rodzin. Imiona tych, którym się nie powiedzie, po wsze czasy kojarzyć się będą z nieprzemijającą chwałą. Wnuki wnucząt naszych dzieci będą odwiedzać w tej przeklętej krainie nasze kurhany i powtarzać: „Tak, tak. W tamtych czasach mężczyźni byli mężczyznami”. Powiedzcie więc podległym wam oficerom i żołnierzom, by zjedli dzisiaj sute śniadanie, gdyż do wieczery większość zasiądzie już w Domu Śmierci. Kiedy słońce zajdzie, lecz jeszcze przed wschodem księżyca, polecę naszemu ulubionemu pięściarzowi Epeusowi, by obszedł pozycje, wołając „Apete”, zupełnie jakby sygnalizował początek wyścigu rydwanów czy olimpijskiego biegu. Na ten znak ruszymy do walki o wolność!

(I tym akcentem spotkanie powinno się było zakończyć – akcentem mocnym

i krzepiącym, gdyż Nestor jest urodzonym przywódcą i wie, że ludzi, którzy wysłuchali tak wielu słów, należy odpowiednio zmotywować i nakłonić do czynu. Dziekan mojego wydziału na uniwersytecie w Indianie mógłby się od niego sporo nauczyć. Niestety, zawsze znajdzie się ktoś, kto popsuje nawet najlepiej ułożony scenariusz. W tym konkretnym przypadku osobą tą okazał się Teukros).

TEUKROS:

Epeusie, szlachetny pięściarzu, nie dokończyłeś wcześniejszej opowieści. Zdradź, co się stało z tym bokserem, który na olimpiadzie oszołomił przeciwnika i zbiegł z areny?

EPEUS (Który, jak wszyscy wiedzą, jest człowiekiem szczerym, lecz niemądrym).

Ach, o niego pytasz. Olimpijscy kapłani wytropili go w lesie i zabili jak psa.

Wodzowie Achajów rozeszli się i wrócili do swych oddziałów. Nestor oddalił się w towarzystwie synów. Uzdrowiciel Podalirius zebrał grupę ludzi i zajął się plądrowaniem namiotu Agamemnona, gdzie miał nadzieję znaleźć strawę i wino. Zostałem na plaży sam – w każdym razie na tyle samotny, jak samotnym może być ktoś otoczony trzydziestoma tysiącami innych niedomytych, cuchnących potem i strachem mężczyzn.

Muskam wiszący pod tuniką medalion teleportacyjny. Nestor nie zainteresował się moim zdaniem na temat ucieczki. Przez całą naradę nie spojrział na mnie nawet jeden heros. Doskonale wiedzą, że nie walczę, lecz nie wydaje się, by byli z tego powodu uprzedzeni. W podobny sposób starożytni Grecy traktują mężczyzn, którzy przebierają się w kobiece stroje i malują twarze na biało. Dla większości z nich nie jest to powód do okazywania mi braku szacunku. Po prostu mnie ignorują. Jestem w ich oczach dziwolągiem, przybyszem z zewnątrz, być może nawet niezupełnie mężczyzną.

Wiem, że nie zostanę tu do gorzkiego końca. Wątpię, bym wytrwał choćby do końca dzisiejszej bitwy. Już za pół godziny pociemnieje przesłonięte gradem strzał niebo, a ja nie mam bransolety morfującej i pancerza. Straciłem cały sprzęt scholiasty. Nie włożyłem też skórzanej czy metalowej zbroi, choć przecież mógłbym ją zedrzeć z jednego z walających się dokoła martwych Achajów. Wątpię, czy gdybym został, dożyłbym wieczora – ostatnie dwa dni spędziłem, kryjąc się tchórzliwie przez długie godziny z dala od frontu, w pobliżu namiotu, do którego znoszą umierających rannych. A gdybym nawet doczekał zmroku, moje szanse na przetrwanie szaleńczego ataku na pozycje Trojan byłyby bliskie zeru.

Po co zresztą miałbym tu siedzieć? Na litość boską, w końcu noszę przy sobie urządzenie pozwalające na kwantową teleportację. Za dwie sekundy mogę się znaleźć w komnacie Heleny, a za pięć kolejnych minut rozkoszować gorącą kąpielą.

Po co miałbym tu tkwić?

Jednakże nie mogę zniknąć. Jeszcze nie teraz. Nie jestem już co prawda scholiastą, zresztą nikt taki nie byłby tu potrzebny, lecz jestem przecież korespondentem wojennym i za nic nie chcę przegapić ostatniego chwalebego dnia tej zamierzchłej, heroicznej epoki.

Jeszcze trochę zostanę...

Nagle dokoła odzywają się głosy rogów. Trojanie nie dali przeciwnikom czasu na spożycie obiecanego obfitego śniadania. Ruszyli do jednoczesnego natarcia ze wszystkich

stron.

Świadomość, iż wszystko we wszechświecie – dziejowe wydarzenia, osiągnięcia naukowe, dokonania poetów, malarzy i muzyków, wszyscy ludzie, miejsca, rzeczy i idee – jest ze sobą wzajemnie powiązane, to jedno. Bezpośrednie doświadczenie tego związku – nawet niepełne – to już jednak coś zupełnie innego.

Harman stracił przytomność na dziewięć dni. Wybudzał się na krótkie chwile i zaczynał wrzeszczeć. Straszliwie bolała go głowa. Nie miał pojęcia, że taka ilość cierpienia może się mu zmieścić pod czaszką. Niemal za każdym razem wymiotował i zaraz potem ponownie zapadał w śpiączkę.

Dziewiątego dnia odzyskał świadomość na dobre. Ból głowy – najgorszy jakiego zaznał w życiu – wciąż przetaczał się po nim jak walec, lecz nie był już tym potworem, który przez dziewięć dni zmuszał go do agonalnego wycia. Nudności odeszły. Żołądek miał zupełnie pusty. Jakiś czas potem uświadomił sobie, że stracił ponad dwanaście kilo. Był nagi i leżał na łóżku w sypialni wagonika eiffelbahnu.

Wstając niepewnie, Harman zauważył, że projekt pomieszczenia i większości jego dekoracji nawiązuje do stylu art nouveau. Narzucił na siebie jedwabny szlafrok, który znalazł na oparciu miękkiego, empirowego fotela. Mimochodem zastanowił się, gdzie w obecnym świecie prowadzi się hodowlę jedwabników – czyżby przez długie wieki ludzkiej gnuśności zajmowały się tym serwitory? A może jedwab tworzą sztucznie, metodami przemysłowymi w jakichś próbkach, tak samo jak postludzie stworzyli – czy raczej odtworzyli – jego rasę, wykorzystując dawne DNA i nanotechnologię? Po chwili dał za wygraną. Ból głowy tłumił wszelkie rozważania.

Przystanął na antresoli, zamknął oczy i skupił się. Nic. Wciąż stał w wagoniku. Spróbował ponownie. Znow bez powodzenia.

Lekko chwiejnym krokiem, czując zawroty głowy, zszedł po żelaznych schodach na dół i osunął się ciężko na samotne krzesło stojące przy stole pod oknem. Błat był nakryty białym lnianym obrusem.

Harman nie odezwał się słowem, kiedy Mojra przyniosła mu kryształowy puchar soku pomarańczowego, milczał, gdy podała czarną kawę w białym dzbanku i upstrzone paseczkami łososia jajko w koszulce. Nalała kawę do filiżanki. Harman pochylił się nieco i poczuł na policzkach muśnięcia gorącej pary.

– Często pan tu bywa? – zażartowała kobieta.

W salonie pojawił się Prospero i stanął w plamie okrutnie jaskrawego porannego światła, które wlewało się zza przeszklonych drzwi.

– Ach, Harman! Choć może powinniśmy nazywać cię Nowym Człowiekiem? Jakże miło cię widzieć w pełni przytomnego i na chodzie.

– Zamknij się! – warknął Harman.

Na jedzenie nie zwrócił uwagi, upił tylko nieśmiały łyk kawy. Teraz już wiedział, iż Prospero jest hologramem, tylko materialnym – ucieleśnienie logosfery co

mikrosekunda odtwarzało się przy wykorzystaniu materii wysyłanej przez jeden z krążących na orbicie faksowych kolektorów masy. Rozumiał też, że gdyby spróbował sędziwego maga uderzyć, fizyczny kształt zmieniłby się w bezcielesną projekcję szybciej, niż byłby go w stanie trafić.

– Dobrze wiedziałeś, iż szanse, że wyjdę z kryształowej klatki z życiem, wynosiły około jednego procenta. – Nawet nie spojrział na Prospera. Blask dnia był stanowczo zbyt ostry.

– Podejrzewam, że jednak nieco więcej – odparł czarnoksiężnik i miłosiernie zaciągnął ciężkie kotary.

Mojra przysunęła sobie krzesło i przysiadła się do Harmana. Miała na sobie czerwoną bluzę, lecz poza tym nosiła to samo ubranie, w jakim widział ją w Tadź.

Harman spojrział jej pustym wzrokiem w oczy.

– Znałaś młodą Savi. Uczestniczyłaś w przyjęciu z okazji Ostatniego Faksowania, w zalanym Empire State Building, w Archipelagu Nowojorskim. Znajomym mówiłaś, że nigdy jej nie spotkałaś, ale przecież złożyłaś jej dwa dni wcześniej wizytę na Antarktydzie.

– Skąd o tym wiesz, u diabła? – zdumiała się Mojra.

– Petra, jej przyjaciółka, napisała krótką rozprawkę o podjętej przez siebie i jej kochanka Pinchasa próbie odnalezienia Savi. Tekst został wydrukowany i oprawiony tuż przed ostatnim faksowaniem i w jakiś sposób trafił do księgozbioru twojego drogiego Ferdinanda Marka Alonzo.

– Ale skąd Petra wiedziała, że spotkałam się z Savi przed tym nowojorskim bankietem?

– Podejrzewam, że kiedy wraz z Pinchasem przeszukiwali jej mieszkanie na Erebusie, natrafili na jakieś notatki – odparł Harman. Kawy co prawda nie zwrócił, ale w żaden sposób nie złagodziła pulsującego bólu głowy.

– Czyli teraz wiesz już wszystko na każdy temat, tak? – rzuciła Mojra.

Harman zaśmiał się i natychmiast tego pożałował. Odstawił filiżankę i przycisnął dłoń do prawej skroni.

– Nie – odpowiedział po dłuższej chwili. – Ale dość, by rozumieć, że muszę się jeszcze bardzo wiele nauczyć. Poza tym na Ziemi jest czterdzieści jeden innych bibliotek, których kryształowych klatek jeszcze nie odwiedziłem.

– To by cię zabiło... – wtrącił Prospero.

Harman wcale nie miałby nic przeciwko, gdyby ktoś go w tej chwili zabił. Ból głowy sprawiał, że całe otoczenie wyglądało jak zalane pulsującą aurą. Wlał w siebie kolejny łyk kawy z nadzieją, że mdłości nie wrócą. Skrzypiący wagonik poruszał się nieznośnie wolno, lecz Harman wiedział, że podróżują z prędkością ponad dwustu mil na godzinę. Lekkie kołysanie dodatkowo drażniło jego żołądek.



– Chcielibyście może poznać życiorys Alexandre’a Gustave’a Eiffela? Na świat przyszedł w Dijon, piętnastego grudnia 1832 roku. W 1855 uzyskał dyplom École Centrale des Arts et Manufactures. Zanim przedstawił światu projekt uświetnienia wystawy światowej w 1899 roku budową wieży, zaprojektował ruchomą kopułę nicejskiego obserwatorium astronomicznego i szkielet nowojorskiej Statui Wolności. Następnie...

– Przestań – fuknęła Mojra. – Chwalipiętów nikt nie lubi.

– Gdzie my, u diabła, jesteśmy? – spytał Harman. Z trudem dźwignął się z krzesła i rozsunął kotary.

Sunęli nad piękną lesistą doliną. Ponad siedemset stóp pod wagonikiem wiło się koryto rzeki. Na urwistym brzegu wznosiły się ruiny starożytnego zamku.

– Dopiero co minęliśmy Cahors – odpowiedział mag. – Przy następnej wieży powinniśmy skręcić na południe, w kierunku Lourdes.

Harman przetarł oczy, po czym otworzył drzwi i wyszedł na balkon. Pole siłowe skutecznie powstrzymywało niebezpiecznie porywiste poddmuchy wiatru.

– Ale jak to? – rzucił zza szklanych drzwi do Prospera. – Nie wolicie pojechać na północ i zwiedzić lodowej katedry swojego przyjaciela?

Mojra spojrzała niepewnie.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? Przecież w Tadż nie było ani jednej książki, w której...

– Oczywiście, że nie było – przytaknął Harman – ale mój przyjaciel Daeman na własne oczy widział, jak się to wszystko zaczęło. Był świadkiem przybycia Setebosa. Z książek dowiedziałem się tylko, co Wieloramienny zrobi w Kraterze Paryskim potem. Z twojej reakcji wnoszę, że on nadal tu jest... na Ziemi?

– Tak – przyznał Prospero. – I nie jest naszym przyjacielem.

Harman wzruszył ramionami.

– To wy przecież sprowadziliście go tutaj za pierwszym razem. Jego i całą resztę.

– Nie było to naszym zamiarem – odparła Mojra.

Harman nie mógł się nie roześmiać. Nie powstrzymał go nawet rwący ból głowy.

– Oczywiście, że nie – rzucił. – Najpierw otwieracie międzywymiarową bramę prowadzącą gdzieś w mrok, nie zamykacie jej, a potem, kiedy wylazło z niej coś bardzo paskudnego, mówicie: „nie było to naszym zamiarem”.

– Wiele się nauczyłeś – stwierdził czarnoksiężnik – lecz wciąż nie rozumiesz wszystkiego, co powinieneś, by...

– Jasne, jasne – uciął Harman. – Wiesz, Prospero, może słuchałbym cię z większą uwagą, gdybyś nie był zasadniczo jednym ze stworów, które z tej bramy skorzystały. Postłudzie spędzili tysiąc lat, próbując nawiązać kontakt z obcymi, zmieniając przy tym kwantową strukturę całego Układu Słonecznego, a w zamian otrzymali tylko wieloramienny mózg i wirusa komputerowego z szekspirowskiej sztuki.

Stary czarnoksiężnik uśmiechnął się pod nosem. Poirytowana Mojra pokręciła głową, nalala sobie kawy do drugiej filiżanki i wypila bez słowa.

– Nawet gdybyśmy chcieli złożyć Setebosowi towarzyską wizytę – podjął Prospero – to i tak nie moglibyśmy tego zrobić. W Kraterze Paryskim nie ma wieży. Już od czasów poprzedzających epidemię rubikonu.

– Wiem. – Harman wrócił do salonu, sięgnął po swoją filiżankę i odwrócił się z powrotem do okna. – Dlaczego nie mogę się faksować? – spytał ostro, spoglądając na świat.

– Co? – rzuciła Mojra.

– Dlaczego nie mogę się faksować? Wiem już, w jaki sposób wywołać tę funkcję,

nawet bez wyobrażania sobie tych wszystkich figur, ale wciąż nie mogę. A chcę się przenieść do Ardis.

– Setebos wyłączył sieć faksów na całej planecie – odparł Prospero. – Nie można się teraz faksować ani swobodnie, ani korzystając z faksowężłów.

Harman pokiwał głową i przeciągnął dłonią po twarzy. Usłyszał cichy szelest niegolonego od półtora tygodnia zarostu, który zaczynał już przypominać prawdziwą brodę.

– Czyli wy dwoje, zapewne też i Ariel, możecie się teleportować kwantowo, dokąd tylko zechcecie, ale ja utknąłem w tym głupim wagoniku i muszę czekać, aż dotrzemy do Bruzdy Atlantyckiej? A potem? Mam przejść po dnie oceanu aż do Ameryki Północnej? Przecież, zanim zdołam wrócić do domu, Ada umrze ze starości.

– Funkcje, którymi dysponuje twoja rasa – odezwał się Prospero, w którego starym głosie zabrzmiała smutna nuta – umożliwiała nanotechnologia. Nanotechnologia, która nie umożliwia teleportacji kwantowej.

– Być może, ale przecież ty mógłbyś tekować mnie do domu. – Harman spojrzał z góry na siedzącego na kanapie sędziwego maga. – Wystarczy, że mnie dotkniesz. To bardzo proste.

– Nie, to wcale nie jest takie proste – odparł Prospero. – A jesteś już na tyle wykształcony, że rozumiesz chyba, iż ani Mojra, ani ja nie ulegniemy twoim groźbom czy szantażowi.

Po odzyskaniu świadomości Harman połączył się z orbitalnymi zegarami i wiedział, że leżał nieprzytomny przez dziewięć dni. Ta świadomość sprawiała, iż ledwie się powstrzymywał od roztrzaskania pięścią dzbanka, filiżanek i stolika.

– Jedziemy jedenastą linią eiffelbahnu – powiedział. – Wynika z tego, że po opuszczeniu Mount Everestu jechaliśmy Linią Hah Xil Szana i mineliśmy bańkę Tarim Pendi. A tam mógłbym zdobyć soniki, broń, pełzacze, uprząże lewitacyjne, pancerze bojowe. Słowem wszystko, czego Ada i moi towarzysze potrzebują, by przeżyć.

– Cóż... byliśmy zmuszeni pojechać okrężną drogą – stwierdził Prospero. – W bańce Tarim Pendi nie byłbyś bezpieczny.

– Nie byłbym bezpieczny? – prychnął Harman. – A, tak, zapomniałem, magu i Mojro. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że teraz zupełnie nic mi nie grozi!

– Przed wizytą w kryształowej klatce zachowywałaś się jakoś bardziej dojrzałe – rzuciła wzgardliwie Mojra.

Harman nie odbił piłeczki. Odstawił filiżankę, podparł się obiema dłońmi na blacie, pochylił, spojrzał kobiecie prosto w oczy i powiedział:

– Wiem, że Kalifat Światowy wysłał wojniksy w przyszłość z zadaniem wymordowania Żydów. Z jakiego powodu jednak wy, postludzie, zakodowaliście ich wszystkich, dziewięć tysięcy stu czterestu ludzi, w promieniu, który posłaliście w kosmos? Dlaczego nie przenieśliście ich po prostu ze sobą na pierścienie? Zresztą mogliście dla nich zorganizować inne bezpieczne schronienie. Przecież to działo się już po odkryciu Marsa z innego wymiaru, zdążyliście go już też terraformować. Dlaczego zdecydowaliście zamienić tych ludzi w strumień neutrin?

– Było ich dziewięć tysięcy sto trzynaście – sprostowała Mojra. – Savi została.

Harman bez słowa czekał na odpowiedź.

Kobieta postawiła filiżankę na stole. W jej spojrzeniu – podobnie jak w oczach Savi – nawet najślabsze płomyki gniewu malowały się wyraźnie.

– Pobratymcom Savi powiedzieliśmy, że zostaną zakodowani w neutrinowej pętli na kilka tysięcy lat, których potrzebujemy, by posprzątać Ziemię – mówiła spokojnie. – Uznali, że mamy na myśli po prostu pozostałe po Czasie Demencji stworzenia. Wszystkie powstałe wskutek eksperymentów z RNA dinozaury, fororaki, sagowce... Ale cóż, w rzeczywistości zamierzaliśmy się zająć jeszcze takimi błahostkami jak wojniksy, Setebos, wiedźma z orbitalnego miasta...

– Tyle że nawet z wojniksami sobie nie poradziliście – wtrącił Harman. – Zostały aktywowane i obok Kopuły na Skale wzniosły Trzecią Świątynię.

– Nie byliśmy w stanie ich wyeliminować – przyznała Mojra – zdołaliśmy je jednak przeprogramować. Właśnie dlatego służyły twojej rasie przez tysiąc czterysta lat.

– Za to teraz zaczęły nas mordować – mruknął Harman i spojrzał na Prospera. – A doszło do tego zaraz potem, jak pod twoim kierownictwem zniszczyliśmy z Daemanem orbitalne miasto, w którym byliście uwięzieni ty i Kaliban. Czy to wszystko stało się wyłącznie po to, byś mógł odzyskać swój hologram, Prospero?

– To dla mnie coś w rodzaju czołowego płata mózgu – odparł mag. – A wojniksy zwróciłyby się przeciwko ludziom, nawet gdybyście nie zniszczyli aparatury na mojej asteroidzie.

– Jak to?

– Setebos – rzucił Prospero. – Półtora tysiąclecia jego uwięzienia, wieki, które spędzał, pasąc się na Ziemiach z alternatywnych wszechświatów i terraformowanym Marsie, dobiegły końca. Kiedy Wieloramienny otworzył pierwszą Dziurę Branową i odetchnął powietrzem tej Ziemi, wojniksy zareagowały zgodnie ze swoim programem.

– Z tym pierwotnym... Wykonują instrukcje sprzed trzech tysięcy lat – zrozumiał Harman. – Tyle że nie wszyscy ludzie dawnego typu są przecież Żydami.

Prospero wzruszył ramionami.

– Skąd wojniksy mogą o tym wiedzieć? Za czasów Savi innych ludzi na Ziemi nie było, ergo... w oczach istot o słabych umysłach... Wszyscy ludzie są Żydami. Jeśli A równa się B, a B równa się C, to A równa się C. Jeżeli Kreta jest wyspą i Anglia jest wyspą, to...

– Kreta jest Anglią – dokończył Harman. – Niemniej wirus rubikonu nie wy dostał się wcale z izraelskiego laboratorium. To była potwarz, oszczerstwo.

– Owszem, masz całkowitą słuszność – przytaknął czarnoksiężnik. – Rubikon stanowił największe z naukowych osiągnięć, jakie świat islamski podarował reszcie ludzkości w ciągu dwóch tysięcy lat swej mrocznej historii.

– Jedenaście miliardów ofiar... – Harmanowi zadrżał głos. – Dziewięćdziesiąt siedem procent ziemskiej populacji.

Prospero ponownie wzruszył ramionami.

– To była długa wojna.

Harman wybuchnął śmiechem.

– A wirus doprowadził do śmierci praktycznie wszystkich, z wyjątkiem grupy,

z myślą o której stworzyli go projektanci.

– Izraelscy naukowcy już w tamtych czasach mieli spore doświadczenie w nanotechnologii i manipulacjach genetycznych – powiedział mag. – Zdawali sobie także sprawę, że jeśli chcą uodpornić DNA swoich rodaków, muszą działać błyskawicznie.

– Mogli podzielić się tą technologią z resztą ludzkości – zauważył Harman.

– Próbowali. Zabrakło im czasu. Niemniej zdołali zarchiwizować DNA, z którego następnie powstaliście wy.

– Za wynalazkiem podróży w czasie nie stoi Kalifat Światowy. – Harman nie był pewien, czy stwierdził właśnie fakt, czy zadał pytanie.

– Nie – zgodził się Prospero. – Pierwszą działającą bankę temporalną stworzył francuski naukowiec...

– Henri Rees Delacourte – wyszeptał Harman. Przypomniał sobie.

– Tak... Żeby się przenieść do roku 1478 i zbadać pewien niecodzienny rękopis zakupiony w 1586 przez cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego Rudolfa II – ciągnął Prospero. – Wyprawa zapowiadała się jak niedzielny spacer. Dzisiaj wiemy jednak, że sam manuskrypt, wypełniony znakami dziwnego, nieznanego alfabetu i cudownymi rycinami przedstawiającymi nieziemskie rośliny, obce układy gwiazdne i nagich ludzi, był falsyfikatem. Natomiast doktor Delacourte i jego rodzinne miasto zapłacili za tę podróż straszliwą cenę. Czarna dziura, którą zespół Delacourte'a wykorzystywał jako źródło energii, wymknęła się poza ograniczające ją pole siłowe.

– Ale Francuzi i Nowa Unia Europejska przekazali projekt Delacourte'a Kalifatowi – wtrącił Harman. – Dlaczego to zrobili?

Prospero uniósł swe sędziwe, pokryte wątrobowymi plamami ręce. Wyglądał, jakby zamierzał udzielić rozmówcy błogosławieństwa.

– Palestyńscy naukowcy byli ich przyjaciółmi.

– Mocno się zastanawiam, czy temu antykwariuszowi z początków dwudziestego stulecia, Wilfridowi Woynichowi, mogło się choć przyśnić, że w dalekiej przyszłości jego nazwiskiem zostanie ochrzczona rasa zdolnych do samoreplikacji potworów.

– Bardzo nieliczni ludzie mają szansę pojąć, jaką spuściznę po sobie zostawili. – Prospero wciąż nie opuszczał dłoni.

Mojra ciężko westchnęła.

– Skończyliście już może te swoje wspominki?

Harman obrócił się w jej stronę.

– A ty, mój wciąż niedoszły Prometeuszu... Wisiorek ci się kołysze i dziwnie mi się przygląda. Jeśli to miał być konkurs, wygrałeś. Mrugnęłam pierwsza.

Harman popatrzył po sobie. Zajęty rozmową nie zauważył, że jego szlafrok rozchylił się ponad miarę. Pośpiesznie przewiązał się paskiem.

– W ciągu najbliższej godziny pokonamy Pireneje – podjęła kobieta. – Teraz, kiedy Harman ma w głowie więcej niż tylko czujnik poziomu przyjemności, powinniśmy parę spraw omówić... Musimy też podjąć kilka decyzji. Proponuję, by Prometeusz poszedł na górę, wziął prysznic i ubrał się. Dziadek może się w tym czasie zdrzemnąć. Ja pozmywam po śniadaniu.

Achilles zaczyna powoli dopuszczać do siebie myśl, że mógł jednak popełnić błąd, podstępnie nakłaniając Zeusa, by zesłał go w najgłębszą, piekielną otchłań Tartaru. Początkowo jednak pomysł wydawał się przedni.

Pierwszą niedogodnością jest kłopot herosa z oddychaniem. Co prawda, dzięki kwantowej osobliwości przeznaczenia Achilles nie może umrzeć inaczej niż z ręki Parysa, lecz przepowiednia nie chroni go przed sapaniem, świstaniem oraz upadkiem na rozgrzane niczym lawa czarne skały. Skażone metanem, cuchnące powietrze pali mu płuca. Bohater ma wrażenie, że próbuje oddychać kwasem.

Po drugie, Tartar jest miejscem doprawdy koszmarnym. Straszliwe ciśnienie atmosferyczne – równe ciśnieniu panującemu na głębokości dwustu stóp w ziemskim morzu – próbuje go zmiażdżyć, napiera ze wszystkich stron. W Tartarze panuje też niemiłosierne gorąco. Zwykły śmiertelnik już dawno wyzionąłby w takich warunkach ducha – zginęliby też marnie herosi w rodzaju Diomedesa czy Odyseusza. Jednakże nawet półbóg Achilles okrutnie cierpi. Wystawioną na działanie wysokiej temperatury skórę pokrywają mu czerwone i białe plamy, na całej jej powierzchni występują bąble.

Po trzecie i ostatnie, nie widzi zupełnie nic i prawie nic nie słyszy. W oczach bohatera majaczy co prawda jakaś czerwona poświata, lecz zbyt ciemna, by mógł cokolwiek zobaczyć. Ciśnienie jest tak potężne, a atmosfera i pokrywa chmur są tak gęste, że nawet rdzawa aura wulkanów ginie przesłonięta kłębami oparów bijących z podziemnych kominów, niknie za kurtynami nieustępliwego kwaśnego deszczu. Rozpalone powietrze ugniata bębniący chyżonogi mężobójcy tak potężnie, że wszystkie dźwięki zdają mu się łomotem bębnowym i tupotem ciężkich stóp. Hałas ten dziwnie pasuje do pulsowania, jakie heros czuje pod miażdżoną gigantycznym ciśnieniem czaszką.

Achilles sięga pod skórzany pancerz i muska niewielki mechaniczny wskaźnik kierunku, podarek od Hefajstosa. Wyczuwa pod powierzchnią urządzenia delikatne drżenie. Na szczęście koszarne ciśnienie, uparcie próbujące wcisnąć oczy herosa w głąb czaszki i rozerwać mu uszy, nie zdołało uszkodzić dzieła Rzemieślnika.

Chwilami Achilles wyczuwa w czerwonym mroku ruch. W pobliżu suną wielkie sylwetki. Nawet jednak kiedy bijąca z wulkanów poświata wzmaga się bardziej, nie pozwala mu wyłowić z mroku sylwetek tych istot. Grek nie wie, z kim się mijają wśród tej straszliwej nocy. Odnosi jednak wrażenie, że kształty są stanowczo zbyt potężne i nieforemne, by mogły należeć do ludzi. Bez względu na tożsamość, stworzenia jak dotąd nie zwracają na niego uwagi.

Chyżonogi Achilles, syn Peleusa, wódz Myrmidonów i najbardziej szlachetny z biorących udział w wojnie trojańskiej herosów, gniewny półbóg, leży z rozrzuconymi rękoma i nogami na pulsującej zarem wulkanicznej skale. Niemal ślepy, ogłuszony. Wszystkie siły wkłada w podtrzymanie oddechu.

Być może, zastanawia się, powinienem był plan pokonania Zeusa ułożyć inaczej. Może trzeba było ratować Pentezyleę w inny sposób.

Nawet tak przelotna myśl o Amazonce sprawia, że ma ochotę zaszlochać jak chłopiec – oczywiście nie jak mały Achilles, gdyż Achilles za młodu nie przelewał łez. Nie zapłakał ani razu. Centaur Chiron nauczył go tłumienia przejawów wszelkich uczuć – z wyjątkiem gniewu, wściekłości, zazdrości, głodu, pragnienia i – rzecz jasna – popędu seksualnego. Wszystkie one są w końcu emocjami w życiu wojownika przydatnymi. Ale szlochać z miłości? Słyszac podobny koncept, czcigodny Chiron zaniósłby się swym ostrym, chrapliwym śmiechem i z całej siły przyłożył młodemu Achillesowi grubym kijem.

„Miłość to ledwie pomyłona żądza” – stwierdziłby wychowawca i zdzielił siedmioletniego podopiecznego raz jeszcze, tym razem w skroń.

Najbardziej ku granicy płaczu popycha Achillesa – leżącego w tym pozbawionym powietrza piekle – wybijająca się niekiedy na powierzchnię rozszalałych emocji świadomość, że tak naprawdę ta martwa amazońska pizda wcale go nie obchodzi. Na bogów! Rzuciła się przecież na niego z zatrutą włócznią i w normalnych okolicznościach żałowałby tylko, że dziwka i jej koń zdychali aż tak długo. Ale nie, trafił przez nią tutaj, cierpi niewysłowione katusze, i co więcej, sprzeciwił się samemu Ojcu Zeusowi, byle tylko ją wskrzesić. A wszystko przez jakąś substancję chemiczną, którą tę śmierdzącą Amazonkę potraktowała Afrodyta.

Spomiędzy kłębow mgły wynurzają się trzy wielkie postacie. Podchodzą dostatecznie blisko, by zaszklone łzami oczy Achillesa rozpoznały w nich kobiety. Tyle że kobiety mierzące sobie po trzydzieści stóp wzrostu i obdarzone cyckami większymi niż cały jego tors. Są nagie, lecz pomalowane w jaskrawe wzory, widoczne nawet w czerwonym wulkanicznym mroku. Oblicza mają pociągłe i niewiarygodnie odpychające. Kosmyki ich włosów skręcają się w rozgrzanym powietrzu Tartaru węzowymi ruchami, być może zresztą są to najprawdziwsze splecione węże. Ich słowa dolatują do herosa jedynie dlatego, że wypowiadają je nieznośnie głośno, sylaby rozbrzmiewają znacznie potężniej niż rozlegający się w tle harmider.

– Siostrze Ione – grzmi pierwsza górująca nad Achillesem postać – czy widzisz, cóż to za bydlę leży pod nami rozplaszczony niczym rozgwieźda na skale?

– Siostrze Azjo – odpowiada druga z gigantek. – Rzekłabym, iż to śmiertelny mężczyzna, lecz przecież żaden śmiertelnik nie mógłby do tej dziedziny trafić i przetrwać. W istocie nie jestem również pewna, czy jest to mężczyzna, gdyż zaległ na brzuchu. Włosy ma jednak nadobne.

– Siostry Okeanidy – odzywa się trzecia postać – przekonajmy się, jakiej płci jest owa rozgwieźda.

Potęźna dłoń bezceremonialnie chwyta Achillesa i odwraca go na plecy. Palce długie jak uda herosa pozbawiają go zbroi, zrywają mu pas i zsuwają przepaskę biodrową.

– I cóż, czy jest to mężczyzna? – pyta pierwsza olbrzymka, ta, którą siostra nazwała Azją.

– Niepewna jestem, czy przyznałabyś mu to miano. Niewiele ma do okazania – stwierdza trzecia z postaci.

– Czymkolwiek jest, legł tu bezsilny i pokonany – ocenia postać imieniem Ione.

Wtem otaczające go kształty, których zarysy Achilles wziął wcześniej za rysujące się w mroku skalne granie, zaczynają się kołysać i powtarzają niczym echo nieludzkimi głosami:

– Legł bezsilny i pokonany!

Kolejne słowa dobiegają z głębi czerwonej nocy:

– Legł bezsilny i pokonany!

Wreszcie Achilles uświadamia sobie, że zna te imiona. Chiron uczył młodego herosa nie tylko teologii, dzięki której mógł oddawać należyłą cześć żywym i obecnym w świecie bóstwom, lecz również mitologii. Azja i Ione były wedle niej okeanidami – córami Okeanosa – i wraz ze swoją trzecią siostrą, Panteą, należą do drugiego pokolenia tytanów, narodzonych z pierwotnego związku Uranosa i Gai. Tych tytanów, którzy władali w pradawnych czasach ziemią i niebem wraz z Gają, dopóki nie pokonał ich wywodzący się z trzeciego pokolenia Zeus, który ukrócił ich rządy i strącił prosto do Tartaru. Spośród wszystkich skazańców łagodniejszy los spotkał jedynie Okeanosa, który został wygnany w miejsce bardziej przyjazne – Gromowładny uwięził go w międzywymiarowej szczelinie pod kwantową powłoką Ziemi Iionu, gdzie Olimpijczycy mogli składać mu wizyty. Jego dzieci natomiast bez wyjątku trafiły w cuchnącą otchłań Tartaru. Azja, Ione, Pantea i wszyscy inni Tytani, w ich liczbie rodzeństwo Okeanosa, a zarazem rodzice Zeusa: Kronos i Rea. W Tartarze znaleźli się również pozostali męscy potomkowie Uranosa i Gai: Kojos, Krios, Hyperion i Japet, a także ich córki: Teja, Temida, Mnemosyne, nosząca złoty wieniec Febe i słodka Tetyda. Wszystko to nastąpiło przed wieloma tysiącami lat, po zwycięstwie Zeusa w walce o Olimp. Wszystko to Achilles zapamiętał z lekcji, które pobierał, siedząc u kopyt centaura Chirona.

I gównu mi z tej wiedzy przyszło, przemyka mu przez myśl.

– Czy to mówi? – W dudniącym głosie Pantei pobrzmiwa zdumienie.

– Piszczycy raczej – rzuca Ione.

Trzy olbrzymie Okeanidy pochylają się i nasłuchują, kiedy Achilles raz po raz usiłuje nawiązać z nimi nić komunikacji. Każdą próbę mężobójca opłaca potwornym bólem – mówienie oznacza konieczność wdychania trującego, gryzącego powietrza. Przygodny obserwator mógłby się domyślić – zresztą słusznie – że w gęstej jak zupa atmosferycznej mieszance Tartaru znajduje się poza dwutlenkiem węgla, metanem i amoniakiem również pokaźna ilość helu.

– Istotnie, popiskuje niczym uwięziona pod butem mysz. – Azja się zaśmiewa.

– Tyle że ta zdeptana mysz próbuje przemawiać językiem cywilizowanych istot – grzmi Ione.

– Z dość paskudnym akcentem – dodaje Pantea.

– Musimy go zanieść do Demogorgona. – Azja nachyla się jeszcze niżej.

Dwie wielkie dłonie nieczule podrywają Achillesa ze skały. Mocarne palce wyciskają z palących płuc większość amoniaku, metanu, dwutlenku węgla i helu. Argiwski heros dyszy i porusza ustami jak wyrzucona na brzeg ryba.

– Zgoda, Demogorgon na pewno zechce dokładnie obejrzeć tak dziwaczного

stwora – potakuje Ione. – Ponieś go, siostró. Ponieś go do Demogorgona.

– Ponieś go do Demogorgona!! – wtórują wielkie, przywodzące na myśl owady sylwetki kroczące za trzema olbrzymkami.

– Ponieś go do Demogorgona!! – powtarzają jak echo większe i bardziej osobliwe cienie, trzymające się od Okeanid jeszcze dalej.

Trasa eiffelbahnu kończyła się na wysokości czterdziestego równoleżnika, na wybrzeżu dawnej Portugalii, kawałek drogi na południe od dawnego Figueira da Foz. Harman wiedział, że niecałe dwieście mil na południowy wschód stąd modulowane konstrukty pola siłowego, zwane Dłoni Herkulesa, powstrzymują wody Oceanu Atlantyckiego przed wtargnięciem do Basenu Śródziemnego. Wiedział też dokładnie, z jakiego powodu postłudzie osuszyli Basen i do jakich celów potrzebowali nowo zyskany teren przez blisko dwa tysiąclecia. Wiedział również, iż niecałe dwieście mil na północny wschód od ostatniej stacji kolejki znajduje się szeroka na sześćdziesiąt mil połać zeszlonego terenu. Trzy tysiące dwieście lat temu Kalifat Światowy stoczył tam rozstrzygającą bitwę z siłami N.U.E – więcej niż trzy miliony protowojników przetoczyło się niczym walec po dwustu tysiącach pozbawionych wszelkich szans ludzi – rycerzy z jednostek nowoczesnej piechoty zmechanizowanej. Harman wiedział też, że...

Wiedział zdecydowanie za dużo. Natomiast stanowczo zbyt mało rozumiał.

Całą trójką – Mojra, materialny hologram Prospera i wciąż cierpiący na niewyobrażalny ból głowy Harman – stanęli na najwyższym poziomie ostatniej wieży eiffelbahnu. Przejazdka kolejką – dla Harmana być może ostatnia w życiu podróż – dobiegła już końca.

Za nimi zieleniły się wzgórza dawnej Portugalii. Przed nimi rozciągał się bezmiar Oceanu Atlantyckiego, rozcięty Bruzdą biegnącą na zachód niczym naturalne przedłużenie trasy eiffelbahnu. Dzień był piękny – przyjemna temperatura, lekkie powiewy bryzy, niebo niezmacone nawet jedną chmurką. Promienie słońca grały na zielonych krawędziach urwisk, odbijały się od białego piasku i przemykały po bezkresnych błękitach morza rozlewającego się po obu stronach Bruzdy Atlantyckiej.

Harman zdawał sobie naturalnie sprawę, że nawet z wierzchołka wieży kolejki sięga wzrokiem najwyższej sześćdziesiąt mil na zachód, lecz miał silne wrażenie, że panorama wybiega tysiąc mil dalej. Bruzda zaczynała się szeroką na sto metrów aleją, obrębianą niskimi niebiesko-zielonymi płotami, i ciągnęła się w dal, niknąc ostatecznie pod postacią czarnej, przecinającej zamglony horyzont kreski.

– Nie możecie przecież oczekiwać, że dojdę na piechotę aż do Ameryki Północnej – odezwał się Harman.

– Spodziewamy się jednak, że przynajmniej spróbujesz – odpowiedział Prospero.

– Ale dlaczego?

Tym razem nie otrzymał odpowiedzi. Mojra sprowadziła go z powrotem po schodach, na niżej zawieszoną platformę. W rękę niosła plecak i resztę sprzętu przygotowanego z myślą o wyprawie Harmana. Rozsunęły się drzwi windy. Weszli do przypominającej klatkę kabiny. Zaszumiały mechanizmy i ruszyli w dół, mijając kolejne żelazne kratownice.

– Pierwszego dnia będę ci towarzyszyć. Może zostanę z tobą nawet na dwa dni –

oświadczyła Mojra.

– Naprawdę? Po co? – zdziwił się Harman.

– Dla towarzystwa. Myślałam, że się ucieszysz.

Na to odpowiedzi nie znalazł. Kiedy wyszli już na trawnik u podnóża wieży, powiedział:

– Wiesz, drobne kilkaset mil na południowy wschód stąd, w Basenie Śródziemnym, czeka kilkanaście postludzkich magazynów, o których istnieniu Savi nie miała pojęcia. Wiedziała o Atlantydzie i wynoszących na pierścienie krzesłach, ale to był po prostu okrutny postludzki dowcip. Nie wiedziała o sonikach i prawdziwych transportowych statkach kosmicznych zamkniętych w temporalnych bańkach. Oczywiście one również mogły do tej pory zniknąć...

– Nie zniknęły – odezwał się Prospero.

Harman spojrzał kobiecie w oczy.

– Proponuję, żebyś spędziła te kilka dni, idąc ze mną do Basenu. Nie wysyłajcie mnie na trzymiesięczną wędrowkę po dnie oceanu. Tego raczej nie przeżyję. Znajdziemy sonika i polecimy do Ardis lub skorzystamy z jednego promów, pofruniemy na pierścienie i włączymy z powrotem sieć energetyczną i system faksów.

Mojra pokręciła głową.

– Zapewniam cię, mój młody Prometeuszu, że do Basenu Śródziemnego nie chciałbyś się teraz nawet zbliżyć.

– Grasuje tam bez mała milion wyzwolonych kalibanów – wyjaśnił Prospero. – Dawniej nie mogły opuszczać granic Basenu, ale Setebos je uwolnił. Wymordowały strzegące Jerozolimy wojniksy, załwały Afrykę Północną i Bliski Wschód i gdyby nie powstrzymał ich Ariel, zajęłyby już do tej pory większą część Europy.

– Ariel! – zawołał Harman.

Myśl o tym małym... duszku... w pojedynkę powstrzymującym ataki miliona rozwścieczonych kalibanów – ba, nawet tylko jednego – wydała mu się czystym absurdem.

– Ariel potrafi korzystać z pomocy sił, o jakich nie śniło się filozofom, Harmanie, przyjacielu Nikogo – stwierdził Prospero.

– Hm. – Harman wciąż nie był przekonany.

Podeszli we troje na skraj porośniętego trawą klifu. Wąska, kręta dróżka prowadziła w dół na plażę. Oglądana z bliska Bruzda Atlantycka sprawiała dziwnie przerażające wrażenie. Wydawała się też znacznie bardziej rzeczywista. Fale obmywały z dwóch stron niewiarygodny, wycięty jakby w samym oceanie korytarz.

– Prospero – podjął Harman. – Przecież to ty stworzyłeś kalibany. Miały pomóc w walce z wojniksami. Dlaczego im na to wszystko pozwalasz?

– Straciłem nad nimi kontrolę – przyznał stary czarnoksiężnik.

– Po przybyciu Setebosa?

Prospero rozciągnął wargi w uśmiechu.

– Przestałem nad nimi panować, nad kalibanami i samym Kalibanem, już setki lat przed jego powrotem.

– Ale właściwie dlaczego je stworzyłeś...

– Dla bezpieczeństwa – odparł czarnoksiężnik i uśmiechnął się raz jeszcze, rozbawiony szczególną ironią własnego stwierdzenia.

– My... postłudzie – podjęła Mojra – poprosiliśmy Prospera i jego... towarzyszkę... o stworzenie istot zajadłych na tyle, by zdołały powstrzymać replikujące się na potęgę wojniksy przed zalaniem Basenu Śródziemnego, co storpedowałyby realizowane tam przez nas przedsięwzięcia. Bo widzisz, prowadziliśmy w Basenie...

– Uprawy roślin jadalnych, bawełny, herbaty i innych roślin potrzebnych do utrzymania orbitalnych wysp – wyręczył kobietę Harman. – Wiem o tym. – Urwał i zastanowił się nad wcześniejszymi słowami Mojry. – Wspomniałaś o towarzyszcze Prospera... To nie pomyłka? Nie chodziło ci o Ariela?

– Nie, nie o niego – przyznała. – Otóż tysiąc pięćset lat temu istota, którą obecnie zwiemy Sykoraks, nie była jeszcze...

– Wystarczy! – uciął Prospero. W głosie hologramu pojawiło się niekłamane zażenowanie.

Harman nie zamierzał się poddać.

– Ale to, co usłyszeliśmy od ciebie rok temu, było prawdą, tak? – zwrócił się do maga. – Sykoraks jest matką Kalibana, a jego ojcem jest Setebos... Czy może i w tej sprawie nas okłamałeś?

– Nie, skądże – zapewnił Prospero. – Kaliban został splodzony przez wiedźmę i potwora.

– Interesujące. Ciekawe w jaki sposób mózg wielkości stodoły, obdarzony dziesiątkami większych ode mnie ramion, zdołał odbyć stosunek z wiedźmą rozmiarów ludzkiej kobiety – rzucił Harman.

– Musiał bardzo uważać – odparła Mojra.

Przewidywalna riposta, stwierdził w duchu Harman.

Kobieta wskazała na Bruzdę.

– Jesteś gotów?

– Chciałbym tylko zadać Prosperowi jeszcze jedno pytanie – powiedział, lecz kiedy odwrócił się do maga, tego już nie było. – Cholera, nie cierpię, kiedy mi to robi!

– Ma do załatwienia kilka innych spraw.

– Z pewnością. Chciałem się dowiedzieć, zapytać po raz ostatni, dlaczego każe mi przejść całą Bruzdę Atlantycką o własnych siłach. To nie ma sensu. Przecież ja tam umrę. Bez prowiantu i...

– Spakowałam ci dwanaście batonów – powiedziała Mojra.

Harman roześmiał się w głos.

– Ach, jasne.. W takim razie jedzenia zabraknie mi za niecałe dwa tygodnie. Nie mam też wody...

Kobieta dobyteła z plecaka miękki, obły i płaski przedmiot. Przypominał bukłaki, które Harman oglądał w spektaklu turyńskim, z tym że był niemal zupełnie pusty. Z szyjki wychodziła cienka rurka. Mojra podała go Harmanowi. W dotyku bukłak okazał się niezwykle zimny.

– Hydrator – wyjaśniła. – O ile w powietrzu będzie choć śladowa ilość wilgoci, to urządzenie zdoła ją skondensować i uzdatnić. Jeżeli właściciel korzysta z termoskóry,

hydrator filtruje również jego pot i parę wodną z oddechu, oczyszcza i zwraca pod postacią wody pitnej. Śmierć z pragnienia ci nie grozi.

– Nie zabrałem termoskóry.

– Sama ją spakowałam. Przyda ci się podczas polowań.

– Jakich znowu polowań?

– Być może powinnam była powiedzieć: połowów – sprostowała Mojra. –

W dowolnym momencie możesz przeniknąć przez pole siłowe ścian Bruzdy i zacząć łowić ryby. Przecież już kiedyś nurkowałeś w termoskórze, dziesięć miesięcy temu, na wyspie Prospera. Dobrze wiesz, że ten skafander uchroni cię przed nadmiernym ciśnieniem, a maska osmotyczna pozwoli oddychać nawet pod wodą.

– A czym niby mam do siebie zwabić choć jedną rybę? Nie mam żadnej przynęty. Przez twarz Mojry przemknął uśmiech, wyglądała zupełnie jak Savi.

– Rekiny, orki i liczni inni mieszkańcy głębin w wystarczającym stopniu zainteresują się po prostu twoim ciałem, Prometeuszu.

Harman nie dostrzegł w sugestii nic zabawnego.

– No dobrze, ale czym w takim razie mam zabijać te wszystkie rekiny, orki i licznych innych apetycznych mieszkańców głębin... Śmiechem?

Mojra wyciągnęła z plecaka pistolet. Podała mu.

Broń była czarna – cięższa, mniej zgrabna i opatrzona większą ilością wypustek niż pistolety, z którymi miał dotąd do czynienia. Rękojeść jednak, lufa i spust wyglądały w miarę swojsko.

– Strzela kulami, nie kryształowymi strzałkami – powiedziała. – Pociski wyrzuca dzięki gazom powstającym przy wybuchu prochu, a nie zwykłemu ciśnieniu jak znana ci broń... Zasada działania jest oczywiście identyczna. Dorzuciłam ci też trzy pudełka amunicji... Sześćset kul samokawitujących, czyli takich, które pod wodą automatycznie wytwarzają przed sobą próżnię... Dzięki temu nie zwalniają. Tu masz bezpiecznik, w tej chwili włączony. Odbezpiecza się po naciśnięciu kciukiem tego czerwonego przycisku. Przy strzale poczujesz silniejszy odrzut niż kiedy strzelałeś z karabinów, jest też głośniejszy, ale można się przyzwyczaić.

Harman zważył pistolet w dłoni, wycelował w stronę morza, sprawdził, czy nie nacisnął przypadkiem bezpiecznika, i schował broń do plecaka. Postanowił wypróbować ją dopiero w Bruździe.

– Szkoda, że nie mogę zabrać kilkudziesięciu takich do Ardis – szepnął.

– Przyniesiesz im ten – odparła Mojra.

Harman zacisnął pięść. Odwrócił się gwałtownie ku kobiecie.

– To ponad dwa tysiące mil! – warknął. – Nie mam pojęcia, ile zdołam przejść dziennie, nawet zakładając, że uda mi się złowić jakieś cholerne ryby, a ten twój hydrator nie zaszwanuje. Dwadzieścia mil dziennie? Trzydzieści? To i tak oznaczałoby jakieś dwieście dni samej tylko wędrówki na wybrzeże Ameryki Północnej. Pod warunkiem, że dno okaże się przez całą drogę płaskie... A patrzę właśnie na mapy blisko- i dalekosieci. Tam są, kurwa, góry! I wąwozy głębsze niż Wielki Kanion! Skały, rozpadliny, rowy wyżłobione w dnie przez dryf płyt tektonicznych, niektóre nawet wypełnione lawą. Przecież dno oceanu jest w ciągłym ruchu. Jest też bardziej rozległe, nierówne i skaliste

niż w dawnych czasach. Do Ameryki dotrę po roku, a i wtedy zostanie mi bez mała tysiąc mil drogi do Ardis. Przez lasy i góry rojące się od dinozaurów, tygrysów szablozębnych i wojniksów. Ty i ten twój zmutowany, informatyczny hologram jesteście w stanie teleportować się w dowolne miejsce świata. I możecie mnie ze sobą zabrać. Mogłabyś też wezwać sonika, jedną z tych ukrytych postludzkich zabawek. Kilka godzin lotu i byłbym już w Ardis, gdzie miałbym szansę pomóc Adzie... A zamiast tego posyłacie mnie na pewną śmierć. Jeżeli nawet przeżyję, podróż zajmie mi wiele miesięcy i zupełnie możliwe, że Ada ze wszystkimi moimi bliskimi będą już martwi. Zabije ich pomiot Setebosa, wojniksy, zima lub głód. Dlaczego mi to robicie?

Zmierzył Mojre palącym wzrokiem, lecz kobieta nawet nie drgnęła.

– Czy Prospero wspominał ci kiedykolwiek o predykatorach logosfery? – spytała spokojnie.

– Predykatorach? – Harman powtórzył jak automat. Czuł, że w żyłach krąży mu coraz mniej adrenaliny. Z wolna poddawał się rozpacz. Był pewien, że lada moment zaczną mu drżeć dłonie.

– Tak. Są równie wyjątkowe i nierzadko równie niebezpieczne jak on sam. Niekiedy darzy je zaufaniem. Niekiedy nie. W tym wypadku powierzył im twoje życie, a niewykluczone, że i przyszłość całej twojej rasy.

Mojra wyciągnęła ze swojego plecaka drugi hydrator i zarzuciła go sobie na plecy. Elastyczną rurkę z ustnikiem umieściła na policzku. Ruszyła stromą ścieżką ku plaży.

Harman stał bez ruchu jeszcze przez chwilę. Potem zawiesił plecak na ramieniu, osłonił dłonią oczy i obejrzał się na zalaną blaskiem poranka czarną wieżę kolejki, która wznosiła się wysoko na tle błękitnego nieba. Liny eiffelbahnu ciągnęły się na wschód. Następnej wieży nie było stąd widać.

Zwrócił się ku zachodowi. Białe ptaki, duże i małe – jak wypowiedziały mu białkowe banki pamięci, były to mewy i rybitwy – krążyły ze skrzekiem nad leniwymi, błękitnymi falami. Bruzda Atlantycka wciąż wydawała się tworem niewiarygodnym. Zwłaszcza teraz, gdy mógł porównać jej rozmiary z sylwetką znajdującej się w połowie urwiska Mojry.

Harman ciężko westchnął, mocniej ściągnął paski plecaka – już w tej chwili czuł, że zbiera się pod nim warstewka potu, która natychmiast przemoczyła mu bluzę – i ruszył za kobietą w stronę morza.

Naraz działo się bardzo wiele.

„Królowa Mab” – długi na tysiąc sto osiemnaście stóp statek kosmiczny – rozpoczęła manewr hamowania w atmosferze. Płyta napędowa odpowiednio zmieniła kształt i zapewniła pojazdowi osłonę, całą „Królową” otoczyły kula płomieni i strumienie jarzącej się plazmy.

W momencie gdy szalejąca wokół wytracającego prędkość statku burza jonowa osiągnęła maksymalne natężenie, Suma IV wystrzelił prom.

Podobnie jak w przypadku statku, którym Mahnmur i Orphu przylecieli na Marsa, nikt nie miał pomysłu na imię dla promu, który podczas rozmów nazywano po prostu „promem”. „Mroczna dama” spoczywała bezpiecznie w jego ładowni, a siedzący w sterówce Mahnmur niezmiernie opisywał widoki przekazywane przez kamery zainstalowane zarówno na promie, jak i na „Królowej Mab”. Okryty maskującą powłoką jajowaty pojazd oderwał się od spowitej wieńcem płomieni jednostki macierzystej, po czym, wirując, przedarł się przez górne warstwy atmosfery z szybkością pięciokrotnie przewyższającą prędkość dźwięku, by na koniec rozłożyć swe krótkie, przeznaczone do wymagających lotów skrzydła. W tym momencie frunęli już z prędkością ledwie trzech machów.

Generał Beh bin Adi początkowo zamierzał wylądować na Ziemi wraz z załogą promu, lecz w obliczu zagrożenia ze strony Głosu naczelnego integratorzy przeprowadzili głosowanie, w wyniku którego oficer pozostał na pokładzie „Królowej”. Centurion Mep Ahoo zajął miejsce w rozkładanym fotelu w przedziale pasażersko-towarowym znajdującym się tuż za sterownią w górnej części promu. Za nim – bezpiecznie przypasani do siedzeń, z ciężkimi karabinami energetycznymi między czarnymi, najeżonymi kolcami kolanami – siedziało dwudziestu pięciu skałowców z Pasa Asteroid. Oddział centuriona, niedawno wyrwani z hibernacji żołnierze.

Suma IV okazał się wyśmienitym pilotem. Mahnmur z podziwem obserwował sposób, w jaki morawiec z Ganimedesa prowadzi prom przez górne partie atmosfery. Silniki manewrowe włączał pulsami tak krótkimi, iż zdawało się, że lądownik pilotuje się w zasadzie sam. Mahnmur uśmiechnął się na wspomnienie własnego awaryjnego lądowania na Marsie. Oczywiście jego statek był wówczas poważnie uszkodzony, ale tamto doświadczenie pozwoliło mu teraz w pełni docenić talent prawdziwego pilota.

– Dane z czujników i profil radarowy robią niemałe wrażenie – odezwał się przez radio podróżujący w ładowni Orphu. – Co masz w kamerach?

– Błękit i biel – odpowiedział Mahnmur. – Gdziekolwiek spojrzę. Panorama jest jeszcze bardziej urocza niż na zdjęciach. Pod nami nie widać nic poza oceanem.

– Zupełnie nic? – zdziwił się Orphu i Mahnmur stwierdził w duchu, że nie pamięta zbyt wielu chwil, w których przyjaciel wyrażałby aż takie zdumienie.

– Zupełnie. Wodny świat. Wszędzie tylko błękit oceanu. Miliony zmarszczek na

wodzie, w których odbijają się słoneczne promienie. Białe obłoki. Cirrusy. Choć na horyzoncie nad nami widzę też zwartą masę stratocumulusów... Nie, czekaj. To cyklon. Musi mieć z tysiąc kilometrów średnicy. Widzę już jego oko. Jest biały, potężny i oszałamiający. Naprawdę wspaniały widok.

– Schodzimy po ustalonej ścieżce – poinformował Orphu. – Wlecieliśmy nad Antarktydą i lecimy teraz na północny wschód nad południowym Atlantykiem.

– „Królowa” wynurzyła się już z atmosfery i jest w tej chwili po drugiej stronie planety – odwdzieczył się Mahnmur. – Rozmieszczone przez nas na orbicie satelity komunikacyjne działają bez zarzutu. Zwolnili już do piętnastu kilometrów na sekundę i wciąż hamują za pomocą napędu jonowego. Kierują się ku pierścieniowi biegunowemu. Trajektoria w normie. Lecą prosto ku miejscu wyznaczonemu przez współrzędne, jakie podał nam Głos. I nadal nikt do nich nie strzela.

– Powiem ci coś lepszego – odparł Orphu – do nas też jeszcze nie wałą.

Suma IV pozwolił, by opór powietrza spowolnił prom do prędkości poddźwiękowej. Przelecieli właśnie nad Afryką. W myśl planu mieli wkrótce przefrunąć nad osuszonym Morzem Śródziemnym, gdzie zamierzali sfilmować i zebrać wszelkie inne możliwe informacje na temat znajdujących się tam osobliwych tworów. Instrumenty jednak doniosły, że suchy basen jest otoczony wysoką na czterdzieści kilometrów kopułą pola siłowego blokującego przepływ energii. W jego obrębie napęd promu mógł się po prostu wyłączyć. Co gorsza, Suma IV stwierdził, że dezaktywacji uległyby prawdopodobnie również wszystkie znajdujące się na pokładzie morawce. Skierował więc pojazd nad Saharę i ominął suche Morze Śródziemne szerokim łukiem z południa na wschód.

Przekaz z „Królowej Mab” otrzymywali bezustannie, mimo że wielki statek znajdował się obecnie po drugiej stronie Ziemi. Informacje przekazywał łańcuch dwudziestu satelitów przekaźnikowych, z których każdy miał rozmiary płatka śniegu.

„Królowa” doleciała do wyznaczonego przez Głos punktu – skrawek wolnej przestrzeni na skraju orbitalnego pierścienia, około dwóch tysięcy kilometrów od asteroidy, z której nadszedł pierwszy przekaz. Rozwiązanie wydało się dość oczywiste. Właściciel – właścicielka – Głosu nie chciał dopuścić napędzanego ładunkami jądrowymi pojazdu na odległość, z jakiej fala uderzeniowa mogłaby zagrozić jego kosmicznej siedzibie.

Poza przesyłanymi w czasie rzeczywistym danymi prom odbierał również dwadzieścia innych przekazów – szerokopasmowych strumieni informacji z licznych kamer „Królowej” i jej zewnętrznych czujników, radiowe komunikaty z mostka, raporty rozmieszczonych dokoła Ziemi satelitów i transmisji pochodzących od Odyseusza. Morawce nie ograniczyły się do ukrycia w ubraniu Greka nanokamer i nadajników cząsteczkowych. Kiedy po raz ostatni przed rozpoczęciem manewru ułożył się do snu, zabrały się do pokrycia skóry jego czoła i dłoni obiektami wielkości pojedynczych komórek. Ku swemu bezgranicznemu zdumieniu stwierdziły jednak, iż heros ma już tam zainstalowane inne nanokamery. Wyszło też na jaw, że Odyseusz ma również zmodyfikowane kanały słuchowe – na długo, nim znalazł się na pokładzie „Królowej”, umieszczono w nich nanocytowe odbiorniki. Morawce skrzętnie z nich skorzystały,

dzięki czemu cały ten obcy sprzęt przekazywał teraz obraz i dźwięk na statek. Własne czujniki zainstalowały tylko w pozostałych okolicach ciała Greka, by na wypadek jego śmierci podczas spotkania z Głosem dane z otoczenia mogły płynąć nieprzerwanie.

W tej chwili Odyseusz stał na mostku w towarzystwie naczelnego integratora Asteague/Che, Sinopessena Wstecznego, nawigatora Cho Li, generała Beh bin Adi oraz pozostałych morawieckich oficerów.

Mahnmut i Orphu większą uwagę na tamtejsze wydarzenia zwrócili dopiero, gdy odbiorniki promu zarejestrowały świeży przekaz z systemów łącznościowych „Królowej”.

– Nowa transmisja maserowa – oświadczył Cho Li.

– Wyślijcie Odyseusza samego – zażądał zmysłowy głos mieszkanki orbitalnego miasta. – Wsadźcie go na pokład nieuzbrojonego promu. W razie wykrycia na pokładzie jego statku jakichkolwiek systemów bojowych, bądź jeśli stwierdzę obecność osób trzecich, organicznych bądź cybernetycznych, zniszczę pojazd, którym tu przybywacie.

– Akcja wyraźnie przyspiesza – stwierdził Orphu z Io na ogólnym kanale promu.

Z ledwie sekundowym opóźnieniem zobaczyli, jak Sinopessen Wsteczny odprowadza Odyseusza do hangaru numer osiem. Jako że wszystkie szerszenie były wyposażone w systemy bojowe, wymagania Głosu spełniały jedynie trzy przywiezione z Fobosa promy inżynieryjne.

A były to jednostki maleńkie – w zdalnie sterowanym owalnym pojeździe ledwie mieścił się dorosły człowiek, prosty system podtrzymywania życia zapewniał jedynie tlen i odpowiednią temperaturę.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? – spytał Sinopessen Wsteczny, pomagając achajskiemu wojownikowi wcisnąć się pomiędzy kable i wypakowane elektroniką płyty.

Odyseusz obrzucił przypominającego pająka morawca z Amaltei przeciągłym spojrzeniem. Po dłuższej chwili odpowiedział w klasycznej grece:

– Nie mogę przestać wędrować: chcę wypić aż do dna życie. Zawsze się cieszyłem mocno, cierpiałem mocno – albo z tymi, co mnie kochali, albo sam: na brzegu i w deszczu, którym dręczyły Hyjady morze zamglone. Stałem się imieniem... Wiele poznałem: miast obyczaj, różne pogody i rządy, i rady, nie najmniej siebie; wszyscy mnie cenili i rozkosz walki piłem pośród równych tam, na dzwoniących wietrznej Troi polach... Stanać, nie iść dalej, nie błysnąć w czynie, rdzewieć jak miecz w pochwie – wstrętne. Oddychać – to jeszcze nie życie. Choćbyś nad życiem życie piętrzył, nigdy nie będzie dosyć. A z tego jednego ile zostało? Lecz każda godzina, wiekuistemu wydarta milczeniu, nowa jest. Marne byłoby i podłe – przez trzy obroty słońca – w cieniu chować ducha swego...[9]. Zamknijże te przekłete wrota, pająku!

– Przecież to z... – zaczął Orphu.

– Widocznie zajrzał na „Królowej” do biblioteki... – wtrącił Mahnmut.

– Cicho! – fuknął Suma IV.

Prom został szczelnie zamknięty. Sinopessen Wsteczny nie wyszedł z hangaru, tylko przytrzymał się wspornika, by po otwarciu grodzi nie wyssał go pęd uciekającego powietrza. Owalny prom wystrzelił w kosmos napędzany zasilanymi nadtlutkiem, bezszelestnie pracującymi silnikami. Przekoziółkował, wyrównał lot, wymierzył dziobem

w orbitalne miasto i pomknął ku asteroidzie Głosu. Po chwili stał się już tylko iskierką, jednym z tysięcy światełek składających się na odległy pierścień B.

– Zbliżamy się do Jerozolimy – rozległ się w interkomie głos Sumy IV.

Mahnmut skupił się z powrotem na ekranach i czujnikach lądownika.

– Mów, co widzisz, stary druhu – poprosił Orphu.

– Proszę bardzo. Od powierzchni wciąż dzieli nas ponad dwadzieścia kilometrów.

Nie powiększając obrazu, widzę suchy basen Morza Śródziemnego. Mniej więcej sześćdziesiąt, osiemdziesiąt kilometrów na zachód. Tworzy go szachownica czerwonych skał, czarnej gleby i chyba zielonych pól uprawnych. Z kolei na wybrzeżu, tam gdzie dawniej znajdowała się Strefa Gazy, mamy wielki krater. Wygląda jak powstała wskutek silnego uderzenia półkolista zatoka. Dalej okolica się wypiętrza i tam widać już Jerozolimę. Stoi na jednym ze wzgórz.

– Jak wygląda?

– Pozwól, że powiększę... O, już. Suma IV nałożył na obraz historyczne zdjęcia satelitarne. Jak na dłoni widać, że przedmieścia i nowsze dzielnice zniknęły... Ale stare miasto, za murami, przetrwało. Jest Brama Damasceńska... Ściana Płaczu... Wzgórze Świątynne i Kopała na Skale... Aha, pojawiła się jedna nowa budowla. Na pewno nowa, bo brakuje jej na dawnych fotografiach. Wysoka i wzniesiona z mnóstwa szyb i płyt gładzonego kamienia. To z niej bije ten błękitny promień.

– Właśnie sprawdzam informacje na jego temat – nadał Orphu. – Zdecydowanie jest to strumień neutrin z tachionową otoczką. Nie mam pojęcia, do czego może służyć, i dam głowę, że nasi najlepsi naukowcy też jeszcze tego nie rozgryźli.

– Zaraz, moment... – rzucił Mahnmut. – Zrobiłem zbliżenie na Stare Miasto i... Tam się coś roi. Liczne ruchome obiekty.

– Ludzie?

– Nie...

– Czyli te garbate, bezgłowe roboty?

– Nie – odpowiedział Mahnmut. – Może dasz mi skończyć? Chcę o nich opowiedzieć własnymi słowami.

– Przepraszam.

– To dosłownie tysiące, może nawet więcej, przypominających płazy, obdarzonych pazurami istot z błoniastymi łapami, tych, które według ciebie przypominają Kalibana z szekspirowskiej „Burzy”.

– I co tam robią?

– W zasadzie nic, włóczą się w tę i z powrotem... Nie, chwila. Na ulicy Dawida, w pobliżu Bramy Jafskiej widzę ciała... Kolejne spoczywają w starej dzielnicy żydowskiej, nieopodal placu przed Ścianą Płaczu...

– Ludzkie ciała? – spytał Orphu.

– Nie... To szczątki tych garbatych, bezgłowych robotów. W strasznym stanie... Większość wygląda po prostu jak wypatroszona...

– Może te kalibany się nimi żywią? – zasugerował Orphu.

– Nie mam pojęcia.

– Zaraz przelecimy obok niebieskiego promienia – nadał przez interkom Suma IV.

– Zabezpieczcie się i mocno trzymajcie. Chcę go musnąć kilkoma czujnikami.

– Czy to aby mądre? – Mahnmut zwrócił się do Orphu.

– Mądre? W naszej wycieczce nic nie jest mądre, przyjacielu. Nie zabraliśmy ze sobą magida.

– Czego nie zabraliśmy? – zdziwił się mniejszy morawiec.

– Magida – powtórzył Orphu z Io. – Żydzi z dawnych czasów, na długo przed wybuchem wojen z kalifatem i epidemią rubikonu, kiedy ludzie ubierali się jeszcze w niedźwiedzie futra i T-shirty, twierdzili, że mądrym ludziom towarzyszy magid, coś w rodzaju duchowego doradcy z innego świata.

– Więc może sami jesteśmy magidami? – zastanowił się Mahnmut. – Ostatecznie przecież pochodzimy z innego świata.

– Owszem – odparł Orphu. – Tyle że nie grzeszymy nadmiarem mądrości. Mahnmut, czy wspominałem ci kiedyś, że jestem gnostykiem?

– Gnostykiem? Przeliteruj.

Orphu spełnił prośbę.

– No dobra, ale kim, do diaska, są gnostycy? – Mahnmut w ostatnim czasie dość często dowiadywał się czegoś nowego o życiu swego przyjaciela. Orphu okazał się nie tylko znawcą Prousta, lecz także specjalistą od życia i twórczości Jamesa Joyce’a i innych pisarzy z Zapomnianej Ery. Nie był pewien, czy zniesie kolejną porcję tego rodzaju rewelacji.

– Definicja gnostycyzmu jest w tej chwili nieistotna – stwierdził Orphu. – Ważne, że na sto lat przed tym, jak weneccy chrześcijanie spalili na stosie Giordana Bruna, spalili też pewnego gnostyka. Sufickiego maga nazwiskiem Solomon Molko. Zginął w Mantui. Molko nauczał, że w czasie przemiany Smok zostanie pokonany bez użycia broni i odmieni się wówczas oblicze niebios i ziemi.

– Smoki? Magowie? – powtórzył Mahnmut.

– Co takiego? – wtrącił siedzący w kokpicie Suma IV.

– O czym mowa? – nadał centurion Mep Ahoó ze swojego siedzenia w przedziale bagażowym.

– Powtórz, proszę – rozległ się naznaczony brytyjskim akcentem głos naczelnego integratora Asteague/Che.

Mahnmut zrozumiał, iż załoga statku matki monitoruje nie tylko oficjalne częstotliwości komunikacyjne, lecz także interkom promu. Miał jedynie gorącą nadzieję, że nie słuchają zakresów prywatnych.

– Wiesz co? Nieważne – odezwał się do Orphu. – O smokach, magach i tak dalej opowiesz mi przy innej okazji.

– Przepraszam – nadał przez interkom. – Po prostu głośno myślałem.

– Zalecam ciszę radiową – warknął Suma IV.

– Tak... Znaczący tak jest – odparł Mahnmut.

W ładowni rozległ się infradźwiękowy chichot Orphu.

* * *

Prom inżynierski Odyseusza zbliżał się do jasno oświetlonego miasta

zajmującego całą powierzchnię asteroidy. Czujniki potwierdziły, że orbitująca skała ma kształt zbliżony do kartofla. Mierzyła sobie około dwudziestu kilometrów długości i prawie jednaście szerokości. Spod zabudowań nie wyglądał nawet metr składającego się z niklu i żelaza podłoża. Wzniesione ze stali, szkła i fulerenu wieże i kopuły strzelały nawet na pięćset metrów w górę. Instrumenty poinformowały, że wewnątrz budowli panuje standardowe ziemskie ciśnienie atmosferyczne, a wyciekające przez nieuniknione nieszczelności cząsteczki powietrza składały się na zwykłą na Ziemi mieszankę. Tlen, azot i dwutlenek węgla. Również temperatura powinna odpowiadać mieszkańcom basenu Morza Śródziemnego z czasów przed zmianami klimatycznymi, jakie nastąpiły pod koniec Zapomnianej Ery. Na przykład Odyseuszowi.

Na mostku utrzymującej stały dystans „Królowej Mab” wszyscy morawieccy oficerowie monitorowali wskazania swych ekranów i przyrządów. Z kryształowego miasta wystrzeliła niewidzialna macka pola siłowego, pochwytiła prom inżynieryjny i wciągnęła go do śluzy otwierającej się w pobliżu wierzchołka najwyższej ze szklanych wież.

– Wyłączyć silniki manewrowe i autopilota promu – polecił Cho Li.

Sinopessen Wsteczny zerknął na wskaźniki biotelemetryczne Odyseusza.

– Nasz przyjaciel człowiek czuje się znakomicie. Może jest nieco nadmiernie podekscytowany... Ma lekko przyspieszone tętno, rośnie też poziom adrenaliny... Wygląda właśnie na zewnątrz... Poza tym nic mu nie dolega.

Nad konsolami i stojącym pośrodku mostka stołem pojawiły się holograficzne obrazy. Prom zbliżył się do czarnego prostokąta śluzy i po chwili zniknął we wnętrzu. Szklane wrota zamknęły się tuż za nim. Czujniki niewielkiego pojazdu zarejestrowały oddziaływanie pola siłowego spychające kadłub „w dół” – siła tej sztucznej grawitacji wynosiła 0,68 ciężenia ziemskiego. Zaraz potem spłynęły dane wskazujące na napływ powietrza do przestronnej śluzy. Odyseusz mógł nim oddychać równie beztrudnie jak na równinie pod Ilionem.

– Radio, maser i telemetria kwantowa działają świetnie – zameldował Cho Li. – Szklana powłoka miasta nie powoduje najmniejszych zakłóceń.

– Do samego miasta jeszcze nie dotarł – mruknął generał Beh bin Adi. – To zaledwie śluza. Nie zdziwię się, jeśli Głos odetnie wszelkie transmisje, gdy Odyseusz znajdzie się naprawdę w środku.

Spojrzeni na przekaz z kamer umieszczonych na skórze Greka. Podobnie uczyniła załoga frunącego pięćdziesiąt tysięcy kilometrów dalej promu atmosferycznego. Odyseusz wyplątał się z ciasnej kabiny, rozprostował kości i ruszył w stronę drzwi. Zgodził się co prawda włożyć miękki kosmiczny strój, lecz uparł się – wbrew gorącym protestom morawców – że zabierze również swój krótki miecz i okrągłą tarczę. Zbliżając się do wyjścia, brodaczy przygotował się do ewentualnego starcia.

– O ile żaden z was nie chce przeprowadzić dodatkowych badań Jerozolimy lub błękitnego promienia, skieruję nas teraz ku Europie – ogłosił przez interkom Suma IV.

Nie zaoponował nikt, aczkolwiek Mahnmur wciąż z przejęciem opisywał Orphu barwy Starego Miasta – czerwone promienie zachodzącego słońca muskające wiekowe zabudowania, złote refleksy kopuły meczetu, gliniasty odcień ulic i ciemnoszare cienie

zalegające w wąskich alejkach. Opowiedział też o wstrząsającej zieleni rozsianych tu i ówdzie oliwnych gajów, a także inną zielenią – wszechobecną, mokrą i oślizłą zielenią przypominających płazy stworów.

Prom zwiększył prędkość do trzech machów i mknął ku starożytnemu Dimaszkowi, dawnej stolicy Syrii, zwanej za czasów Chan Ho Tępa prowincją Nyainqêntanglha Szan Zachodnią. Suma IV przez cały czas utrzymywał bezpieczną odległość od otaczającego wyschnięte Morze Śródziemne pola siłowego. Gdy zostawili Syrię za rufą i ostro skręcili na zachód ponad Anatolią, cmentarzyskiem dawnej Turcji, uruchomili wszystkie systemy maskujące i zwolnili do 2,8 macha. Lecieli na wysokości trzydziestu czterech kilometrów nad ziemią.

– Czy możemy jeszcze trochę zwolnić i zatoczyć krąg nad wybrzeżem Morza Egejskiego? Na południe od Hellespontu?

– Oczywiście – odpowiedział mu przez interkom Suma IV – chociaż jesteście już spóźnieni. Mieliśmy zbadać pokryte niebieskim lodem miasto we Francji. Czy na tym wybrzeżu jest cokolwiek wartego czasu i uwagi?

– Tam leżała Troja – wyjaśnił Mahnmut. – Ilion.

Prom rozpoczął hamowanie i obniżył lot. Kiedy wlekli się już z prędkością zaledwie trzystu kilometrów na godzinę – brzozy i zielenie osuszonego morza zbliżały się z każdą chwilą, a na północy ujrzeli wody Hellespontu – Suma IV wciągnął kikutowate skrzydełka i rozwinął długie na sto metrów wielopoziomowe ażurowe skrzydła z powoli obracającymi się śmigłami.

W interkomie rozległ się głos deklamującego szeptem Mahnmuta:

– „Powiadają, iż Achilles w cieniu się poruszył... A Priam i pięćdziesięciu jego synów, Wstali dźwiękiem dział oszołomieni... I raz jeszcze drżą o Troję”.

– A to czyje? – zapytał Orphu. – Tęgo wiersza nie znam.

– Rupert Brooke – odpowiedział przez radio mniejszy morawiec. – Poeta z czasów pierwszej wojny światowej. Napisał ten fragment w czasie rejsu pod Gallipoli... dokąd zresztą nie dotarł. Po drodze zabrała go choroba.

– Niech mnie – zagrział na ogólnej częstotliwości generał Beh bin Adi. – Ciszy radiowej to ty zachować nie potrafisz, ale kawałek zaiste przedni.

* * *

Tymczasem w kryształowym osiedlu podniosły się drzwi służby i Odyseusz wkroczył do miasta. Zalały go jasne promienie słońca. Jak okiem sięgnąć widział drzewa, winorośl, tropikalne ptaki, strumienie, lejący się z wysokiego, porośniętego mchem urwiska wodospad, starożytne ruiny i niewielkie, dzikie zwierzęta. W pewnym momencie wypatrzył rdzawego jelenia, który podniósł łeb znad trawy, spojrzał na zbliżającego się z uniesioną tarczą i mieczem człowieka, po czym dostojnie odszedł w swoją stronę.

– Według przyrządów zbliża się istota człękoksztalna. Jeszcze jej nie widzimy, wciąż jest za zasłoną roślinności – odezwał się Cho Li.

Zanim Odyseusz ją zobaczył, uprzedził go odgłos kroków – szelest bosych stóp stąpających po ubitej ziemi i gładkich kamieniach. Kiedy wychynęła zza krzewów, opuścił tarczę i wsunął miecz do zawieszzonego na szerokim pasie pierścienia.

Urody kobiety nie mogłyby oddać żadne słowa. Nawet morawce, nieczułe na ludzkie wdzięki, istoty obleczone pancerzami z plastiku i stali, obdarzone organicznymi sercami bijącymi tuż obok serc hydraulicznych, organicznymi mózgami i gruczołami sąsiadującymi z plastikowymi pompami i nanocytowymi serwomechanizmami – nawet morawce w odległym o tysiące kilometrów promie – zgodnie uznały, że nieznajoma jest wprost niewiarygodnie piękna.

Miała opaloną na brąz skórę i długie czarne włosy przetykane gdzieniegdzie blond pasemkami. Gęste pukle spływały na obnażone ramiona. Miała na sobie skąpy dwuczęściowy strój z połyskliwego, delikatnego jedwabiu, wydatnie podkreślający jej pełne, ciężkie piersi i szerokie biodra. Stopy miała bose, tylko na smukłych kostkach migotały złote bransoletki. Podobne – liczniejsze – pobrzękiwały na przegubach obu rąk. Aksamitne przedramiona ozdobiła opaskami ze srebra i złota.

Kiedy podeszła bliżej, Odyseusz i wpatrzone w nią morawce – zarówno orbitujące w kosmosie, jak i krążące nad starożytną Troją – dostrzegli zdumiewająco zielone oczy, podkreślone zmysłowymi łukami brwi. Miała też długie kruczoczarne rzęsy. Początkowo uznali, że urodę zaznaczyła makijażem, lecz wkrótce wyszło na jaw, iż jest to jak najbardziej naturalna gra cieni na jej obliczu. A usta? Wargi były miękkie, kształtne i bardzo, ale to bardzo czerwone. Odyseusz stanął jak słup soli.

I odezwała się – bezbłędną greką z czasów Odyseusza. Odezwała się głosem delikatnym jak morska bryza kołysząca palmowymi liśćmi, tonem spokojnym jak pobrzękiwanie idealnie harmonizujących dzwonków wietrznych:

– Witaj, Odyseuszu. Od tylu lat na ciebie czekałam. Nazywam się Sykoraks.

9 Tłum. Z. Kubiak.

Drugiego wieczora wspólnej z Mojrą wędrówki przez Bruzdę Atlantycką Harman zauważył, że ma w głowie prawdziwy natłok myśli.

Myślał między innymi o tym, że idą pomiędzy dwiema wysokimi ścianami wody – w tej okolicy, bez mała siedemdziesiąt mil od wybrzeża, głębokość oceanu wynosiła ponad pięćset stóp. Wrażenie było wprost hipnotyzujące, mesmeryczne. Dobiegająca z okolicy jego kręgosłupa wiązka zmagazynowanych w pamięciowych białkach informacji raz po raz domagała się świadomej uwagi i podsuwała kolejne szczegóły. (Słowo „mesmeryczne” pochodzi od nazwiska Franza Antona Mesmera, urodzonego dwudziestego trzeciego maja 1734 w szwabskim mieście Iznang, zmarłego piątego marca 1815 w szwabskim Meersburgu. Mesmer był niemieckim lekarzem, którego system terapeutyczny, zwany mesmeryzmem, polegał na zapanowaniu nad umysłem pacjenta i stanowił fundament późniejszych badań nad zjawiskiem hipnotyzmu...). Umysł Harmana jednak, błędzący w labiryncie własnych rozważań, zręcznie unikał takich rozpraszających pułapek. W ogóle coraz lepiej szło mu blokowanie tych absurdalnych głosów, raz po raz próbujących wkroczyć do jego myśli. Niestety piekielna migrena wciąż nie chciała dać za wygraną.

Wysokie na pięćset stóp ściany wody i szeroka na osiemdziesiąt metrów ścieżka były mesmeryzujące, lecz także przerażające i nawet po dwóch spędzonych w Bruździe dni nie zdołał przywyknąć do nowego otoczenia. Bezustannie dręczyły go klaustrofobia i obawa, że lada moment zaleje go ocean. I to mimo że szedł już kiedyś przecież dnem Bruzdy Atlantyckiej, przed dwoma laty. Wybrał się wówczas na wycieczkę dla uczczenia swych dziewięćdziesiątych dziewiątych urodzin. Wyruszył z okolic znajdującego się w pobliżu Posiadłości Lomana – na wybrzeżu dawnego New Jersey – faksowęzła 124 i szedł dwa dni przed siebie, po czym równie długo wracał. Nie pokonał wówczas dystansu nawet zbliżonego do tego, który przemierzył teraz z Mojrą, a ponadto za pierwszym razem wodny mur i panujący w podmorskim korytarzu mrok nie wywierały na nim tak przemożnego wrażenia. Nic dziwnego, stwierdził w duchu. Byłem wtedy młodszy. A w dodatku wierzyłem w czary.

Z towarzyszką już od kilku godzin nie zamienili słowa, lecz szli równym tempem i milczenie zupełnie im nie przeszkadzało. Harman chwilami analizował informacje, które niedawno wypełniły jego wszechświat, lecz najczęściej zaprzętało go rozważanie tego, co mógł i co powinien zrobić, jeżeli uda mu się mimo wszystko powrócić do Ardis.

Doszedł do wniosku, że przede wszystkim musi z całego serca przeprosić Adę za to, że ją porzucił i wybrał się na tę idiotyczną wyprawę na most Golden Gate w Machu Picchu. Tak, jego ciężarna żona i nienarodzone dziecko byli zdecydowanie najważniejsi. Przeczuwał to już wtedy, teraz jednak po prostu o tym wiedział.

Poza tym starał się ułożyć choćby i ogólnikowy plan ocalenia ukochanej, dziecka, przyjaciół i w ogóle całej rasy. Zadanie nie należało do łatwych.

Na szczęście jednak pomagała mu nieco wiedza, która wlała się do niego – dosłownie – z miliona książek.

Po pierwsze, dysponował teraz odzyskanymi funkcjami, których jego ciało i umysł wciąż się uczyły. Była ich niemal setka. Najważniejszą zdawała się – przynajmniej w bliskiej perspektywie – funkcja umożliwiająca swobodne faksowanie. Zasyta we wszystkich ludziach dawnego typu nanomaszyneria umożliwiała każdemu przenoszenie się z miejsca na miejsce bez potrzeby korzystania z węzłów. Harman już wiedział, że ludzie są w stanie bez najmniejszego trudu podróżować do wszystkich zakątków Ziemi, a nawet – gdyby zniesieniu uległy dotychczasowe zakazy – do wybranych miejsc z miliona stu ośmiu tysięcy i trzystu trzech obiektów i miast krążących w okołoziemskich pierścieniach. Nowy typ faksowania mógł ocalić ludzkość przed wojnikami – a także przed Setebosem i jego szalejącymi na wolności kalibanami, a nawet przed samym Kalibanem – lecz jedynie pod warunkiem, że uda się ponownie włączyć orbitalne banki pamięci i umożliwiający faksowanie urządzenia.

Po drugie, Harman znał teraz co najmniej kilka sposobów dotarcia do pierścieni i wiedział nawet co nieco o obcej wiedzmi imieniem Sykoraks, która obecnie władała dawnym postludzkim światem na orbicie. Wciąż nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób mógłby – choćby i z pomocą towarzyszy – pokonać Sykoraks i Kalibana. Harman był bowiem przekonany, że to Setebos wysłał swego syna na pierścienie z poleceniem wyłączenia faksów. Rozumiał także, że gdyby jednak zwyciężyli, musiałby potem tonąć w kolejnych kryształowych klatkach, w poszukiwaniu odpowiedniej wiedzy technicznej, dzięki której mógłby na powrót uruchomić skomplikowaną sieć faksów i wspomagających je satelitów.

Po trzecie, im dłużej studiował nowo zyskane funkcje – spośród których wiele pozwalało na badanie stanu własnego ciała i umysłu oraz wydobywanie zmagazynowanych w nich informacji – tym bardziej był przeświadczony, że podzieli się tymi umiejętnościami bez większego trudu. Jedną z utraconych funkcji była właśnie funkcja współdzielenia – rodzaj odwróconego siglowania – dzięki której Harman był w stanie przekazywać dotykiem swoją wiedzę bezpośrednio do zamkniętych w klatkach RNA i DNA białek innych osób. Funkcję tę udoskonalono niemal dwa tysiące lat wcześniej, na potrzeby prototypów Małych Zielonych Ludzików, a następnie szybko wprowadzono do genomu ludzi. Wszyscy nosili w sobie pełen zestaw uśpionych nanotechnologicznych funkcji i wystarczyła jedna potrafiąca z nich korzystać osoba, by te zdolności rozbudzić.

Uśmiechnął się mimo woli. Owszem, Mojrze zdarzało się – właściwie przy każdej rozmowie – irytować go niezrozumiałymi żarcikami i nawiązaniem do tajemniczych zjawisk i rzeczy, ale wiedział już, z jakiego powodu nazywała go „młodym Prometeuszem”. Prometeusz, według Hezjoda, oznaczał „myślącego naprzód” czy wręcz „proroka”, a w dziełach Ajschylosa i Shelleya, Wu i innych wielkich poetów był zbuntowanym tytanem. Wykradł bogom najcenniejszą tajemnicę – ogień – którą przekazał raczkującej ludzkości, dzięki czemu śmiertelnicy stali się równi swym bóstwom. No, prawie równi.

– Właśnie dlatego pozbawiliście nas dostępu do funkcji – rzucił, nie wiedząc, że

odzywa się na głos.

– Co?

Spojrzał na idącą obok po dnie Bruzdy kobietę. Wokół robiło się coraz ciemniej.

– Nie chcieliście dopuścić, byśmy stali się bogami. Dlatego nasze funkcje były wyłączone.

– Naturalnie.

– A przecież postludzie, wszyscy poza tobą, zdecydowali się jednak przenieść do innego świata, innego wymiaru i zabawić się w bogów.

– Nie inaczej.

Harman zrozumiał i to. Najwyższym, bezwzględny priorytetem wszelkich bogów – tych przez małe i przez duże B – było nie mieć innych bogów przed sobą. Na powrót zatonął w zadumie.

Wizyta w kryształowej klatce zmieniła też sam jego sposób myślenia. Poprzednio skupiał się na rzeczach, miejscach, ludziach i emocjach, obecnie snuł bardziej abstrakcyjne rozważania – zachodzące w jego umyśle procesy stały się zawilim tańcem metafor, metonimii, ironicznych odwołań i synekdoch. Odkąd dysponował miliardami zmagazynowanych w komórkowej pamięci faktów – informacji o rzeczach, miejscach i ludziach – jego myślenie przesunęło się w stronę wzajemnych powiązań tych danych, ich odcieni i niuansów, a także ku głębszemu rozumieniu faktów. Oczywiście nie stracił więzi z własnymi emocjami – w zasadzie odczuwał je nawet bardziej intensywnie – lecz dawniej uczucia huczały jak basowe kotły zagłuszające pozostałe instrumenty orkiestry, a teraz rozbrzmiewały delikatnie, lecz wyraźnie, niczym popisy solowego skrzypka.

Masa mętnych, mizernych metafor, mikry męczyzno, zakpił w duchu z pretensjonalnego tonu własnych myśli. I na cholerę ci te aliteracje, dupku?

Pomimo owego dystansu do własnych możliwości był pewien, że posiadał dar spoglądania na świat – na ludzi, miejsca, rzeczy, emocje, wreszcie na samego siebie – z poziomem zrozumienia dostępnym jedynie osobom dojrzałym, wrażliwym na detale i samoświadomym. Potrafił teraz dostrzegać ironię oraz metafory, synekdochy i metonimie nie tylko w języku, lecz również w obrotach trybów wszechświata.

Gdyby zdołał dotrzeć do reszty ludzi, nie tylko do Ardis, ale do wszystkich enklaw własnej rasy, nowe funkcje odmieniłyby ludzkość na zawsze. Nie zamierzał do ich stosowania nikogo zmuszać, lecz skoro ta odmiana gatunku homo sapiens balansowała na skraju zagłady i zniknięcia z tego postpostmodernistycznego świata, wątpił, by ktokolwiek z osób zagrożonych przez wojniksy, kalibanów i przez olbrzymi, wysysający dusze, wieloramienny mózg, odmówił przyjęcia darów i mocy zapewniających przynajmniej możliwość przeżycia.

Tylko czy te funkcje naprawdę – na dłuższą metę – zapewnią mojej rasie przetrwanie?

Odpowiedź, którą usłyszał w duchu, była dobitnym okrzykiem mistrza zen, któremu uczeń zadał niemądre pytanie: „Mu!” – co w przybliżeniu oznaczało: „Odwołaj to pytanie, durniu!”. Po „mu” często następowało równie monosylabiczne „Kwatz!”, któremu towarzyszył gwałtowny skok mistrza i uderzenie głupiego adepta w grzbiet kąśliwą różgą.

Mu! W tej chwili nie ma mowy o żadnej „dłuższej mecie”. Dopiero moje dzieci, a potem ich dzieci, będą w stanie stwierdzić, czy funkcje komukolwiek pomogły. Obecnie wszystko, dosłownie wszystko, istnieje jedynie na krótką metę. A niebezpieczeństwo rozplątania przez garbatego wojnika sprawia cuda. Pomaga człowiekowi się skoncentrować. Harman doskonale wiedział, dlaczego znane od dawna funkcje – lokalizator, wszechsieć, bliskosieć, dalekosieć, a także siglowanie – przestały działać. Ktoś musiał je wyłączyć, ktoś w pierścieniach. Wyłączył je podobnie jak sieć faksów.

A gdyby udało się te funkcje przywrócić...

Tylko jak? W jaki sposób można je włączyć?

Harman po raz kolejny zastanowił się nad problemem dotarcia do pierścieni i uruchomienia wszystkich sterowanych stamtąd systemów – energii elektrycznej, serwitów, faksów, funkcji...

Nie miał pojęcia, czy w pierścieniach żyje więcej istot podobnych do Sykoraks, nie wiedział, w jaki sposób zabezpieczyły się przed intruzami. Nawet zawartość miliona książek, które przetrwał w kryształowej klatce, nie mogła mu w tej sprawie pomóc.

– A może ty lub Prospero tekujecie mnie na pierścienie? – zwrócił się do Mojry.

W nikłym świetle tunelu ledwie widział jej twarz. Sylwetkę kobiety oblewała tylko słaba poświata pierścieni.

– Nie. Taką podjęliśmy decyzję – odparła. Kolejna z serii działających mu na nerwy odpowiedzi.

Przypomniał sobie, że niesie w plecaku pistolet. Czy gdyby go wyciągnął i wycelował Mojrze prosto w twarz, gdyby spojrzał jej przy tym prosto w oczy – w końcu postludzie dzięki dostępnym sobie funkcjom potrafili doskonale odczytywać stan ducha osób jego rasy – czy zdołałby ją wtedy przekonać i teleportowałyby go do Ardis lub na pierścienie?

Nie, na pewno nie. Gdyby pistolet stanowił dla niej choć śladowe zagrożenie, po prostu by mu go nie wręczyła. Zapewne w broń został wbudowany jakiś system zabezpieczeń – być może była ją w stanie wyłączyć myślą. Wystarczyłoby zamontować w pistolecie prosty układ odczytujący przepływ fal mózgowych. Podobnie działający układ mogła również nosić we własnym ciele.

– Ty i twój mag... Zadalście sobie tyle trudu, by mnie porwać, przewieźć przez Indie i Himalaje... A wszystko po to, by umieścić mnie w kryształowej klatce, po to, bym zdobył wiedzę... – Od momentu wejścia do Bruzdy nie wypowiedział jeszcze tak długiego zdania. Ledwie jego słowa przebrzmiały, uświadomił sobie, jak banalnie zabrzmiały. Jak niewiele znaczą. – Po co mielibyście to robić, jeżeli nie zależy wam, bym pokonał Setebosa i jego współpracowników?

Tym razem Mojra się nie uśmiechnęła.

– Jeśli los zdecyduje, że masz wrócić do pierścieni, trafisz tam bez naszej pomocy.

– Los? Czyżbyśmy nagle przyjęli kalwinistyczną koncepcję predestynacji? – rzucił Harman.

Przeskoczył nad bryłą zasuszonego koralowca. Jak dotąd wędrówka przez Bruzdę okazała się stosunkowo łatwa. Nad kilkoma podmorskimi rozpadlinami, jakie zdążyli przemierzyć, wisiały żelazne mosty. W wysokich i grubych masywach budownicowie

wypalili laserem dogodne przejścia, stoki były łagodne, a trudniejsze szlaki zabezpieczono stalowymi łańcuchami, które pomagały pokonać bardziej strome podejścia i uskoki. Harman nie musiał uważać przy każdym kroku. Półmrok jednak zdecydowanie ten komfort obniżył.

Mojra nie odpowiedziała, nie zareagowała na intelektualną zaczepkę.

– Istnieją inne Konserwatornie – dodał.

– Tak, Prospero już ci o nich powiedział.

– Wiem, ale dopiero teraz zrozumiałem, co to oznacza. My, ludzie dawnego typu, nie musimy wcale umierać. Nie musimy też od nowa uczyć się medycyny. Przecież na orbicie czekają w pełni sprawne regeneracyjne kadzie.

– Oczywiście. Postludzie stworzyli infrastrukturę do obsługi populacji liczącej milion osób. Konserwatornie znajdują się na orbitalnych wyspach w pierścieniu równikowym jak i biegunowym. Nic w tym dziwnego.

– Tak, nic dziwnego – powtórzył Harman. – Nic dziwnego dla ciebie, ale pamiętaj, proszę, że ja wciąż rozumiem mniej więcej tyle, co przeciętny noworodek.

– Nie zapominam o tym nawet na chwilę – rzuciła Mojra.

– W dodatku nie mam pojęcia, gdzie dokładnie mógłbym tych innych Konserwatori szukać. Podpowiesz mi?

– Po prostu ci je pokażę. Nocą, gdy zgasimy ognisko – stwierdziła beznamiętnie kobieta.

– Wolałbym raczej, żebyś wskazała mi je na mapie.

– Ach, a czy masz przy sobie mapę pierścieni, mój młody Prometeuszu? Czy może zapamiętałeś ją wraz z pozostałymi informacjami w Tadż?

– Nie – przyznał Harman. – Ale mogłabyś ją narysować. Kompletną. Z koordynatami i tak dalej...

– Czyżbyś marzył o nieśmiertelności, Prometeuszu? Tak szybko po swych prawdziwych narodzinach?

Może ma rację? – zastanowił się w duchu. Zaraz potem przypomniał sobie ostatnią myśl, jaka przyszła mu do głowy, zanim przypomniał sobie o czekających w pierścieniach, gotowych do działania Konserwatoriach. Myślał wtedy o Adzie, o rannej, ciężarnej Adzie.

– Dlaczego wszystkie działające kadzie regeneracyjne znajdowały się akurat na wyspie Prospera? – zapytał. I natychmiast przyszła do niego odpowiedź, niczym wspomnienie dawnego koszmaru.

– Prospero zorganizował system w taki sposób, by Kaliban nie cierpiał głodu – odparła Mojra.

Harman poczuł silny skurcz żołądka. Po części dlatego, że zaczynał do awatara logosfery odczuwać niejaką sympatię, lecz w większej mierze dlatego, że od rana nie jadł niczego poza dwoma kęsami batonika. Od kilku dobrych godzin nie pociągnął też nawet łyku wody z hydratora. Po prostu zapomniał.

– Czemu stanęłaś? – spytał kobietę.

– Jest już zbyt ciemno, żeby dalej iść – odparła. – Rozpalmy ognisko. Upieczemy kiełbaski i pianki, pośpiewamy turystyczne przeboje. A potem zdrzemniesz się na kilka

godzin i z całą pewnością wyśniesz sobie wspaniałą przyszłość i mnóstwo kadzi z błękitnymi czerwiami.

– Wiesz – mruknął Harman – są takie momenty, kiedy mam tego twojego sarkazmu po dziurki w nosie.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Uśmiechem kota z „Alicji w krainie czarów”. Poza nim prawie wcale nie widział jej twarzy.

– Kiedy mieszkały tu jeszcze moje siostry – podjęła – w czasach, zanim odleciały, by przeobrazić się w bóstwa, po części zresztą męskie, co moim zdaniem stanowi swoistą degradację, często słyszałam dokładnie tę samą uwagę. A teraz wyciągnij z plecaka te wszystkie kawałki drewna i wodorosty, które od rana zbieramy. Rozpal ciepłutkie ognisko... O tak, dobry człowieczek...

Mamo! Mamusiuuuuu! Tak bardzo się boję. Tu jest strasznie zimno i ciemno. Mamo! Pomóż mi! Zabierz mnie stąd! Mamusiu, błagam cię!

Ada ocknęła się ze snu ledwie pół godziny po tym, jak zdołała zmrużyć oko. Niedawno wstał ciemny, zimowy poranek. Dziecięcy głosik w jej głowie brzmiał chłodem. Nie chciała go słyszeć, podobnie jak nie chciałaby poczuć pod ubraniem zimnej, obcej dłoni.

Proszę, mamo. Nie podoba mi się tu. Jest ciemno i zimno! Chcę wyjść! Kamień jest taki twardy. I mam pusto w brzuszku. Mamusiu, błagam, zabierz mnie stąd. Mamooooo!

Mimo wyczerpania zwlokła się z siennika i wyszła prosto w panujący na zewnątrz chłód.

Niedobitkowie – teraz, tydzień i pięć dni od powrotu do zniszczonego Ardis, było ich w sumie czterdzieści osiem osób – uszyli namioty ze znalezionej wśród zgliszczy płótna i Ada nocowała w jednym z nich z czterema innymi kobietami. Obozowisko, podobnie jak wzniesione pierwszego dnia szopa i studnia, znalazło się wewnątrz nowego ostrokołu. Rzędy zaostzonych pali jeżyły się nie dalej niż sto stóp od dawnego dworu.

Mamusiuuuuuuu... Proszę cię, mamo...!

Głosik nie milkł już ani na chwilę i Ada nauczyła się go przez większość dnia ignorować. Niestety, nocami nie pozwalała jej usnąć. Dzisiaj – w ten mroczny przedświt – doskwierał jej znacznie bardziej niż zwykle.

Naciągnęła spodnie i buty, włożyła gruby sweter. Wychodząc z namiotu, stąpała cicho, by nie zbudzić Elle i pozostałych współlokatorek. Przy rozpalonym pośrodku obozu ognisku grzało się już kilkoro rannych ptaszków – zresztą ludzie podtrzymywali płomienie całymi nocami. Na nowej palisadzie krążyli strażnicy, lecz ciemny teren dzielący Adę od Jamy był zupełnie pusty.

* * *

Ciemność była naprawdę głęboka. Gęste chmury nie przepuszczały nocnej poświaty gwiazd i pierścieni. W powietrzu unosił się zapach nadciągającej śnieżycy. Ada ruszyła ku Jamie. Kroki stawiała bardzo ostrożnie – odkąd uszyli szczelniejsze śpiwory i grubsze sienniki, część ocalałych wołała spędzać nocę na dworze – nie chciała na nikogo przypadkiem nadebrać. Mimo że była dopiero w piątym miesiącu ciąży, już teraz czuła się gruba i nieporadna.

Mamusiuuuuuuuu!

Nienawidziła tego przekłętego głosu. W jej łonie dojrzewało prawdziwe dziecko i łkający, zawodzący głosik niby-dziecka mocno działał jej na nerwy. Niczego nie zmieniał fakt, że był to głos straconej do Jamy istoty, głos, który rozlegał się tylko w jej głowie. Zastanawiała się chwilami, czy rozwijający się system nerwowy jej własnego potomka jest w stanie te błagania odebrać. Miała szczerą nadzieję, że nie.

Mamo, błagam! Wypuść mnie! Tu jest tak okropnie ciemno!

Jamy stale strzegł co najmniej jeden wartownik. Dzisiaj wypadła kolej Daemana. Ada rozpoznała jego smukłą, masywną postać, zanim jeszcze wyłowiła z cieni twarz. Stał z przewieszonym przez ramię karabinem. Zatrzymała się na skraju Jamy. Spojrzał na nią.

– Co? Nie możesz spać? – spytał szeptem.

– On mi nie pozwala – odpowiedziała półgłosem.

– Wiem. – Daeman pokiwał głową. – Sam go słyszę za każdym razem, kiedy zaczyna cię błagać. Niezbyt głośno, ale wyraźnie... Coś jak łaskotanie w mózgu. Słucham tych wszystkich „mamuś” i mam ochotę wpakować w niego cały magazynek.

– Świetna myśl.

Ada spojrzała na zabezpieczającą wylot Jamy gęstą metalową kratę, przyspawaną i przykręconą dla pewności śrubami. Była masywna i ciężka – wymontowali ją ze starego zbiornika na wodę zaopatrującego dawniej Ardis. Mały Setebos urósł już do tego stopnia, że nie był w stanie przecisnąć ramion przez oka kraty. Jama jako taka miała głębokość ledwie czternastu stóp, lecz wykuli ją w litej skale. Uwieczony potwór był co prawda silny – obdarzony licznymi ślepiami wieloramienny mózg miał obecnie ponad cztery stopy długości, a jego dłonie z dnia na dzień nabierały sił – lecz nie był w stanie wyrwać ze skały przyspawanych prętów. Jeszcze nie.

– Rzeczywiście byłaby wyborna, gdyby nie fakt, że zaraz po jego śmierci mielibyśmy na karku dwadzieścia tysięcy wojniksów – zauważył Daeman.

O tym nikt nie musiał Adzie przypominać, niemniej wypowiedziane na głos słowa sprawiły, że przebiegł ją zimny dreszcz. Zebrało się jej na wymioty. Sonik krążył już pod niebem. Mimo zbitej pokrywy chmur prowadził swe codzienne rozpoznanie.

Wieści brzmiały codziennie tak samo – wojniksy trzymały się na dystans, lecz otaczały ludzkie obozowisko, być może ostatnie takie na Ziemi, niemal idealnym kręgiem o promieniu niecałych dwóch mil. Co gorsza, potworów niezmiennie przybywało. Wedle Greogiego srebrzystych stworów kręcących się po nagich, okolicznych lasach mogło być nawet dwadzieścia pięć tysięcy. Z pewnością nie mniej niż dwadzieścia. Dzisiaj zapewne znów ich przybędzie. Jak co dzień. Było to równie pewne jak nastanie kolejnego bladego zimowego świtu. Pewne jak to, że ów błagalny, płaczliwy głos w umyśle Ady zamilknie dopiero, gdy koszmar z Jamy odzyska wolność.

I co wtedy? – przemknęło kobiecie przez myśl.

Naturalnie była to sobie w stanie wyobrazić. Już sama obecność małego Setebosa pogarszała nastroje mieszkańców Ardis. Nawet bez jego kwilenia przetrwanie kosztowało ich bardzo wiele – trudzili się, szyjąc i stawiając skromne namioty i szałas, wypatrując wśród ruin czegokolwiek przydatnego, wzmacniając swój wątły drewniany fort. O zdobywaniu żywności nie chciała nawet myśleć.

Tak, jedzenie stanowiło poważny problem. Bydło uciekło w panice podczas masakry, a załoga sonika znalazła jedynie rozkładające się cielska rozrzucone po odległych polach i w zimowym lesie. Wojniksy nie oszczędzały nawet zwierząt. Z kolei przy obecnych temperaturach, gdy ziemia była zmarznięta na kość, przynajmniej przez kilka najbliższych miesięcy nie mogli nawet pomarzyć o jakiegokolwiek uprawie.

Zgromadzone w piwnicach dworu zapasy potraw w puszkach stopiły się w jednolitą, pogrzebaną pod szerniałymi belkami masę. Czterdziestu ośmiu mieszkańców Ardis żyło więc jedynie dzięki wysiłkom myśliwych, którzy dzień w dzień wypuszczali się sonikiem na łowy. Oczywiście w promieniu czterech mil od armii wojników nie mogli znaleźć ani jednego dzikiego zwierzęcia, więc codziennie ryzykowali dalsze wypadki. Coraz dalsze, jako że jelenie i pozostałe większe stworzenia instynktownie opuszczały niebezpieczną okolicę. Co wieczór, jeżeli uśmiechnęło się do nich szczęście, cieszyli się pieczonymi powoli na różnie tuszami dzików bądź łani. Ostatnio jednak szczęście przestało się do nich uśmiechać. Coraz rzadziej mogli zaspokoić głód świeżym mięsem. Polowania zajmowały coraz więcej czasu, zwierzyny wyraźnie ubywało. Wszystkie nadmiarowe porcje wędzili bądź konserwowali, zasypując drogocennymi resztkami znalezionej w magazynach soli.

Trwali więc z dnia na dzień, żując stare, niesmaczne mięso, obserwowali otaczające ich coraz bardziej gęstym pierścieniem wojniksy i posepniali, czując w umysłach białe, oślizłe, telepatyczne macki małego Setebosa. Nawet sen nie przynosił wytchnienia. A o sen – podobnie jak o zwierzynę łowną – było w Ardis coraz trudniej.

– Myślę, że już za kilka dni zdoła się wyrwać na wolność – podjął cichym głosem Daeman.

Sięgnął po rozpaloną pochodnię i oświetlił nią Jamę. Mały Setebos – potwór rozmiarów niewielkiego cielaka – wisiał, trzymając się prętów szóstką zwiędzonych dłońmi macek. Obie półkule mózgu połyskiwały wilgocią. Żółte ślepia – było ich osiem lub dziesięć – zamrugały rażone nagłą jasnością i zamknęły się. Dwa otwory gębowe nieprzerwanie otwierały się i zamykały. Ada jak zahipnotyzowana wpatrywała się w rzędy niewielkich białych kłów.

– Mamusiu – pisnął potwór.

Mówić nauczył się około tygodnia temu, lecz jego fizyczny głos nawet w przybliżeniu nie był tak ludzki, tak dziecinny jak ten, który słyszeli w głowach.

– Tak – szepnęła Ada. – Zwołamy dzisiaj walne zebranie. Powinniśmy zastanowić się nad terminem i zagłosować, ale jasne jest, że musimy się przygotować do drogi.

Plan nie przypadł do gustu w zasadzie nikomu, nikt też jednak nie wpadł na lepszy pomysł. Daeman z garstką towarzyszy miał zostać i pilnować małego Setebosa, a reszta miała się zająć transportem sprzętu i ludzi na wyspę, którą odkryli trzydzieści pięć mil w dół rzeki. Oczywiście daleko jej było do tropikalnego rajy z krańca świata, o którym opowiadał wcześniej Daeman, lecz wyspa była niewielka i skalista, a ponadto znajdowała się na samym środku koryta, otoczona wirami i rwącym prądem. W takim miejscu mogli próbować się bronić.

Mimo że sieć faksowężłów wciąż nie działała – pobliski pawilon odwiedzali codziennie – założyli, że wojniksy dostają się w pobliże Ardis właśnie za pomocą faksów. Oznaczało to, że potwory mogły bez trudu za nimi ruszyć, niewykluczone, że były w stanie przenieść się bezpośrednio na wyspę. Ludzie wypatrzyli jednak dobre miejsce pod obóz – trawiastą dolinkę na szczycie wzgórza. Polować mogli jak dotąd z sonika, a sama wyspa była na tyle niewielka, że wojniksy mogłyby faksować się tylko partiami po kilkaset sztuk. Z taką liczbą przeciwników obrońcy byli gotowi sobie poradzić.

Ostatni opuszczający Ardis – Ada nie wyobrażała sobie, że mogłoby jej wśród nich zabraknąć – zabiją pomiot Setebosa. Wiedzieli, że zaraz potem ruiny zaleje istna powódź skaczących jak opętane koniki polne wojniksów, lecz wówczas większość ocalałych ludzi znajdzie się już na bezpiecznej wyspie. Bezpiecznej przynajmniej przez kilka pierwszych godzin, stwierdziła w duchu Ada.

Czy wojniksy potrafią pływać? Wszyscy próbowali sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widzieli poruszającego się w wodzie wojniksa, choćby w zamierzchłych czasach sprzed dziesięciu miesięcy, kiedy niebo spadło im na głowy, zanim Harman, Savi i Daeman zniszczyli orbitalne osiedle Prospera wraz z Konserwatornią. Przed końcem tego durnego świata bankietów, faksowania i bezpieczeństwa. Nie, nikt nie potrafił sobie przypomnieć.

W głębi ducha Ada czuła jednak niezbitą pewność. Wojniksy potrafią pływać. Bez wątplenia mogły w razie potrzeby przejść po dnie rzeki, pod wodą, zupełnie ignorując rwący nurt i zdradliwe prądy. Dopadną uciekinierów na wyspie, gdy tylko mały Setebos wyda ostatnie tchnienie.

A wtedy niedobitki ludzi – o ile ktokolwiek pozostanie przy życiu – będą zmuszone do dalszej ucieczki. Tylko dokąd? Ada skłaniała się ku Golden Gate w Machu Picchu. Dobrze pamiętała opowieść Petyra, który wspominał o tłumach zebranych pod mostem wojniksów, niezdolnych przedrzeć się do wnętrza kompleksu zielonych baniek mieszkalnych. Oblepiały tylko bezradnie pylony mostu i wisiały na jego stalowych linach. Większość jej towarzyszy była jednak mocno niechętna pomysłowi przenosin w miejsce, którego nie widzieli na oczy – za daleko, podróż zajęłaby zbyt dużo czasu, a potem utknęliby bez wyjścia w szklanych wnętrzach otoczeni hordami wojniksów.

Ada tłumaczyła, że Harman, Petyr, Hannah i Nikt/Odyseusz dolecieli na most w niecałą godzinę, że sonik wyniósł ich na sam skraj atmosfery, po czym zanurkował nad południowym kontynentem. Wyjaśniała, że automatyka maszyny wciąż przechowuje w pamięci zarejestrowaną ścieżkę tamtego lotu. Raz po raz powtarzała, że wyprawa na Golden Gate potrwa w zasadzie tylko kilkadziesiąt minut dłużej niż przeprowadzka na skalistą wyspę.

Nikt jednak nie zgodził się, by podjąć podobną próbę. Na razie.

Ada i Daeman wciąż jednak dopracowywali swój plan.

Nagle, sponad linii ciemniejących na południowym zachodzie drzew, doleciał ich dziwny odgłos – syczący, grzechoczący dźwięk.

Daeman zsunął karabin z ramienia, odbezpieczył i przygotował się do strzału.

– Wojniksy! – zawołał.

Ada przygryzła wargę, na moment zapomniała o małym Setebosie, którego łkania utonęły w ogólnym rejwachu. Jedna ze stojących przy ognisku osób zaczęła bić w dzwon alarmowy. Zaspani ludzie wysypywali się z szałasów i namiotów. Budzili nawoływaniem towarzyszy.

– Chyba jednak nie. – Niemal krzyknęła, by Daeman mógł ją usłyszeć. – One brzmią inaczej.

Gdy dzwon i pokrzykiwania umilkły, usłyszała odgłos wyraźniej – metaliczny chrobot przypominał co prawda hurgot pracującej maszyny, ale nie szelest wydawany

przez tysiące nacierających wojniksów.

Zapłonęło światło – snop reflektora oświetlił z wysokości kilkuset stóp ogołoczone z liści gałęzie, zmarzniętą i poczerniałą od ognia trawę, palisadę i strzegących jej zdeorientowanych strażników.

Sonik nie miał takiego reflektora.

– Łapcie za karabiny! – krzyknęła dziewczyna w kierunku tłoczących się przy ognisku ludzi.

Niektórzy uzbroili się już wcześniej. Inni sięgnęli po broń dopiero teraz. Wszyscy sposobili się do walki.

– Rozproszyc się! – zawołał Daeman i wymachując rękoma, puścił się biegiem ku grupce ludzi.

– Kryć się! – zawtórowała mu Ada. Nie miała pojęcia, z kim mają do czynienia, lecz jeśli nieznajomi chcieli ich zaatakować, nie należało im tego ułatwiać, stojąc w zbitej masie.

Szum i zgrzyty stały się tak głośne, że zagłuszyły nawet uderzenia dzwonu, w który ktoś – zupełnie bezsensownie – zaczął ponownie bić.

Chwilę potem zobaczyła mechaniczny pojazd latający, znacznie większy od sonika, a przy tym bardziej powolny i niezdarny. Nie miał opływowego, owalnego kadłuba, przypominał za to dwa połączone ze sobą niekształtne koła. Z bliższego bił promień omiatającego teren reflektora. Statek zakołysał się i zachwiał, jakby miał się zaraz rozbić, lecz zdołał przelecieć ponad ostrokołem – jeden ze strażników zeskoczył na ziemię, by uniknąć potrącenia – i osiadł na ziemi w pobliżu Jamy. Kilka razy odbił się jeszcze od pokrytej szronem trawy, aż wreszcie ociężałe znieruchomiał.

Daeman i Ada natychmiast rzucili się w jego stronę. Dziewczyna biegła tak szybko, jak mogła w piątym miesiącu ciąży, w dodatku z pochodnią w dłoni. Daeman trzymał przed sobą karabin, mierząc prosto w ciemne, gramolące się z pojazdu sylwetki.

Przybyszy, o ile Ada nie pomyliła się w rachunkach, była ósemka. Ludzie. Dostrzegła kilka nieznanych twarzy, lecz w ostatniej parze wysiadających z maszyny osób – siedzieli za sterami w przednim kole pojazdu – rozpoznała Hannę i Odyseusza, czyli Nikogo, jak kazał się nazywać przez ostatnie kilka miesięcy, zanim trafił ranny na Golden Gate.

Wtuliły się w siebie. Obie – Hannah i Ada – zalały się łzami, lecz płacz młodszej kobiety graniczył wręcz z histerią.

Kiedy wreszcie się od siebie oderwały i rozejrzały dokoła, Hannah głośno się zachłusnęła:

– Ardis? Co się stało? Gdzie są wszyscy? Gdzie dwór? Czy Petyr jest cały?

– Petyr nie żyje – rzuciła Ada i natychmiast usłyszała, jak bezbarwnie zabrzmiały te trzy krótkie słowa. Ostatnio przeżyła zbyt wiele koszmarnych chwil, by jej dusza mogła pozostać bez skazy. – Niedługo po waszym odlocie zaatakowały nas wojniksy. Mnóstwo wojniksów. Przedarli się przez palisadę, rzuciły kamieniami. Dwór spłonął. Emme nie żyje. Zginęli też Reman i Peaen... – Wyrecytowała długą listę przyjaciół, którzy stracili życie podczas masakry i po niej.

Zdjęta grozą Hannah zasłoniła dłonią otwarte usta. Zawsze była szczupła, lecz w tej

chwili, w świetle pochodni wydawała się wręcz przeraźliwie wychudzona.

– Chodźcie. – Ada musnęła dłonią przegub Nikogo i objęła przyjaciółkę. – Wyglądacie na koszmarnie głodnych. Chodźmy do ogniska. Niedługo wstanie świt. Przedstawicie nam swoich nowych przyjaciół i wrzucicie coś na ząb. A potem o wszystkim opowiecie.

* * *

Siedzieli przy ogniu, dopóki na niebie nie pojawiło się zimowe słońce. Wymieniali się informacjami, starając się przy tym nie dopuszczać do głosu emocji. Oczywiście, biorąc pod uwagę okoliczności, nie było to łatwe. Laman przyrządził na poranny posiłek gęsty gulasz, który popili resztkami mocnej, aromatycznej kawy, jaką udało im się znaleźć w ocalałej z pożaru części spichlerza.

Piątka nieznanymi – trzech mężczyzn i dwie kobiety – nosiła imiona Beman, Elian, Stefe, Iyayi i Susan. Przywódcą grupki okazał się Elian, zupełnie łysy mężczyzna promieniujący aurą nabranego z wiekiem autorytetu. Ada odniosła wrażenie, że Elian może być nawet rówieśnikiem Harmana. Wszyscy byli lekko ranni i pokryci opatrunkami. W trakcie rozmowy Tom i Siris zmienili im bandaże i zaaplikowali ocalałe lekarstwa.

Ada szybko opowiedziała młodszej przyjaciółce – która z jakiegoś powodu wcale nie wydawała się już młoda – i milczącemu Nikomu sagę o masakrze Dworu Ardis, o dniach i nocach spędzonych na wierzchołku Głodnej Skały, o awarii faksowężłów, o zamykających ich w okrążeniu masach wojniksów i uwięzieniu dziecka Setebosa.

– Wyczułem tę istotę w swych myślach, jeszcze zanim wylądowaliśmy – przyznał półgłosem Nikt.

Gdy Hannah zaczęła swoją opowieść, siwobrody, barczysty Grek, mimo mroźnej pogody ubrany jedynie w szorstką tunikę, podszedł na skraj Jamy i spojrzał na pojmanego potworka.

– Odyseusz opuścił regeneracyjny sarkofag trzy dni po tym, jak Ariel porwał Harmana – mówiła ciemnowłosa dziewczyna, spoglądając dokoła lśniąco oczyma. – Wojniksy nieprzerwanie próbowały dostać się do środka, ale Odyseusz dał mi słowo, że póki znajdujemy się za likwidującym tarcie polem siłowym, nic nam nie grozi. Zjedliśmy, ułożyliśmy się do snu... – W tym miejscu Hannah spuściła na mgnienie wzrok i Ada zrozumiała, że sen pary był co najmniej przerywany innymi czynnościami. – Czekaliśmy na obiecany powrót Petyra, ale po tygodniu Odyseusz zaczął składać ze sobą części soników i innych latających maszyn, które znaleźliśmy w garażu... w hangarze, czy jak właściwie się to nazywa. Ja zajęłam się spawaniem. Odyseusz doprowadził do stanu używalności elektrykę i napęd. Kiedy skończyły się nam części zamienne, przeczesałam resztę baniek i tajnych pomieszczeń mostu. Ostatecznie udało mu się sklecić ten pojazd. Poderwał go w powietrze i przeleciał kawałek po hangarze. Zmontowaliśmy go w dużej mierze z przypominających serwitory maszyn zwanych tratwami powietrznymi. Nie zaprojektowano ich z myślą o dalekich lotach. Najwięcej kłopotu sprawiły nam systemy nawigacji i sterowania. Odyseusz zdecydował się też wykorzystać prosty zespół SI zawiadujący na Golden Gate kuchnią. Pozostawił w jej pamięci wszystkie przepisy, ale pozostałą moc przekierował na sterowanie naszym pojazdem. W sumie fatalnie się tym

lata, maszyna jest niezgrabna, a w dodatku raz po raz upiera się, że trzeba coś ugotować, i podsuwa rozmaite przepisy.

Ada i kilka innych osób wybuchnęli śmiechem. Wokół ogniska zebrało się kilkunastu ludzi, między innymi Greogi, jednoręki Laman, Ella, Edide, Boman i oboje medycy. Piątka rannych przybyszów słuchała bez słowa. Zajęli się jedzeniem gulaszu. Opad śniegu, który Ada wyczuła w powietrzu już kilka godzin wcześniej, nie okazał się groźną śnieżycą, biały puch topniał bardzo szybko. W dodatku spomiędzy gnanych wiatrem chmur zaczęło przeziierać słońce.

– Wreszcie, gdy nabraliśmy pewności, że Ariel nie odstawi Harmana z powrotem, a Petyr nas nie zabierze, wypchaliśmy tratwę zapasami, między innymi bronią, którą odkryłam w innej skrytce, otworzyliśmy wrota hangaru i poleciliśmy na północ, trzymając się kurczowo nadziei, że napęd grawitacyjny utrzyma nas w powietrzu, a prosty, elektroniczny mózg doprowadzi nas przynajmniej w okolice Ardis.

– Znaczący wczoraj, prawda? – spytała Ada.

– Nie, dziewięć dni temu – odparła Hannah.

Młodsza kobieta spojrzała w zszokowane oczy Ady i podjęła:

– Tratwa naprawdę lata bardzo ospale. Najwyżej sześćdziesiąt mil na godzinę. Poza tym nie obyło się bez problemów. Większość prowiantu straciliśmy po przymusowym wodowaniu, w okolicy, gdzie według Odysa dawniej znajdował się Przesmyk Panamski. Szczęśliwie mieliśmy w pojeździe zainstalowane worki wypornościowe, więc tratwa okazała się prawdziwą tratwą. Kilka godzin płynęliśmy. Dopiero potem pozbyliśmy się części balastu, a Odyseusz zdołał naprawić silniki.

– I przez cały ten czas mieliście już ze sobą Eliana i resztę? – wtrącił Boman.

Hannah pokręciła głową, upiła kolejny łyk kawy i wtuliła ciepły aluminiowy kubek w pierś, by się rozgrzać.

– Po pokonaniu przesmyku musieliśmy wylądować na wybrzeżu – podjęła. – Znaleźliśmy tam ludzkie osiedle. Mam wrażenie, Ado, że kiedyś tam byłaś. Hughes Town. Pamiętasz może taki wysoki wieżowiec z plastobetonu? Porośnięty bluszczem?

– Faktycznie, byłam tam na bankiecie z okazji Trzeciej Dwudziestki jakiegoś znajomego. – Ada przypomniała sobie morską panoramę, jaka roztaczała się z jednego z wysoko zawieszonych tarasów. Była wtedy młodziutka, nie miała jeszcze piętnastu lat. Mniej więcej w tamtym okresie poznała swojego pulchniutkiego kuzyna Daemana. Wówczas też zaczęła się w niej rozbudzać zmysłowość.

Elian zwrócił na siebie uwagę głośnym chrząknięciem. Na twarzy, przedramionach i dłoniach mężczyzny widniały czerwone blizny, ubranie miał całe w strzępach, lecz biła od niego charyzma.

– Kiedy miesiąc temu zaatakowały naszą wspólnotę wojniksy, żyło nas tam ponad dwieście osób – odezwał się cichym, lecz wyraźnym głosem. – Nie mieliśmy broni. Główny wieżowiec Hughes Town okazał się jednak dla nich zbyt wysoki, z jakiegoś powodu nie były w stanie się wspinać po zewnętrznych ścianach. Z kolei balkony wydatnie ułatwiały nam obronę. Zabarykadowali się więc klatki schodowe. Windy oczywiście i tak nie działały już od dnia Upadku. Broniliśmy się wszystkim, co udało się znaleźć. Narzędziami serwitorów, łomami, prostymi łukami, które robiliśmy z resorów

bryczek. Po prostu wszystkim. Wojniksy dorwały większość naszych. Do faksowężła przebiło się może sześciu ludzi. Wtedy fakсы wciąż jeszcze działały, więc przenieśli się dokądś po pomoc. Piątka osób i ja ukryliśmy się w apartamencie na dachu wieżowca. Resztę pomieszczeń zajęło jakieś pięćset wojniksów. Kiedy zauważyliśmy tę chybotliwą latającą tratwę Nikogo i Hanny, przybywającą z nad zatoki, nie jedliśmy już od pięciu dni i od dwóch nie piliśmy.

– Wtedy musieliśmy wyrzucić jeszcze więcej zapasów, żywność i medykamenty, a nawet karabiny i zapasowe magazynki. Inaczej nie byłoby mowy o dalszym locie – podjęła nieco skrepowana Hannah. – W dodatku trzeba było lądować jeszcze trzy razy. Raz po raz coś się psuło. No, ale ostatecznie dotarliśmy do celu.

– Skąd ta kuchenna SI wiedziała, gdzie szukać Ardis? – zaciekawił się Casman. Szczupły, brodaty mężczyzna przez cały spędzony we dworze czas bardzo interesował się maszynami.

Hannah wybuchnęła śmiechem.

– Nie wiedziała. Z trudem odnalazła nawet kontynent, który Odyseusz nazywa Ameryką Północną. Potem to on nas kierował. Znaczący Odyseusz. Początkowo frunęliśmy wzdłuż wielkiej rzeki, podobno nazywa się Mississippi, a potem nad rzeką Ardis, o której twierdzi, że nazywa się Leanoka lub Ohio. W końcu dostrzeżliśmy blask waszego ogniska.

– Lataliście nawet nocą? – zdziwiła się Ada.

– Nie mieliśmy wyjścia. W lasach na południu kręci się zbyt wiele dinozaurów i tygrysów szablozębnych, byśmy mogli ryzykować dłuższe postoje. Kiedy Odyseusz musiał się zdrzemnąć, zmienialiśmy się przy sterach. Ale i tak czuwał przez większość ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin.

– Widzę, że znowu czuje się... dobrze – zauważyła Ada.

Hannah pokiwała głową.

– Sarkofag wyleczył większość zadanych przez wojniksy obrażeń. Dobrze zrobiliśmy, zabierając go na ten most. W przeciwnym wypadku już by go z nami nie było.

Ada umilkła na dłuższą chwilę. Uświadomiła sobie, że gdyby tam nie poleciała, wciąż miałaby przy sobie Harmana.

– Szukaliśmy twojego męża, Ado – odezwała się Hannah, zupełnie jakby czytała przyjaciółce w myślach. – Mimo że Odyseusz był przekonany, że Ariel teleportował go kwantowo gdzieś bardzo daleko... Teleportacja kwantowa przypomina faksowanie, ale jest znacznie bardziej potężna... To właśnie za jej pomocą podróżowali bogowie ze spektaklu turyńskiego... W każdym razie mimo wszystko poleciliśmy na dół i przeszukaliśmy starożytne ruiny Machu Picchu pod mostem. Rozejrzeliśmy się też nawet w okolicach najbliższych rzek, wodospadów i dolin. Nigdzie nie znaleźliśmy nawet śladu Harmana.

– Harman żyje – stwierdziła Ada z przekonaniem.

Musnęła swój wydatny brzuch. Dotykała go bez przerwy. Czuły gest nie tylko pozwalał kobiecie zachować przynajmniej część łączącej ją z mężem więzi, lecz w dodatku w dziwny sposób potwierdzał słuszność jej intuicji. Zupełnie jakby to nienarodzone dziecko samo było pewne, że ojciec nie zginął.

– Właśnie – rzuciła Hannah.

– Natknęliście się może na jakieś inne ludzkie osiedla? – zapytał Loes. – Znaleźliście ocalałych?

Hannah pokręciła głową. Ada zauważyła, że młodszej przyjaciółce, zawsze krótko przystryżonej, urosły włosy.

– Pomiędzy Hughes Town i Ardis zatrzymaliśmy się w pobliżu dwóch innych węzłów. Oba osiedla były raczej niewielkie, Live Oak i Hulmanica. Wszystko zniszczone przez wojniksy. Znaleźliśmy tylko szkielety i szczątki potworów. Nic więcej.

– Jak myślisz, ilu ludzi mogło tam zginąć? – spytała szeptem Ada.

Hannah wzruszyła ramionami i dopiła kawę.

– W sumie nie więcej niż czterdzieści, pięćdziesiąt osób – stwierdziła wyzutym z emocji tonem, typowym ostatnio dla ocalałych obrońców Ardis. – To nie była katastrofa tego rzędu co tutaj. – Rozejrzała się dokoła. – Kurczę, coś nie daje mi spokoju. Jakby myśl... Nieustępliwe złe wspomnienie.

– To mały Setebos – wyjaśniła Ada. – Chce dostać się do naszych umysłów i uciec z Jamy. – W duchu zawsze nazywała tę dziurę Jamą przez duże „J”.

– Nie boicie się, że jego matka... ojciec... ta istota z Krateru Paryskiego zechce go w końcu odzyskać?

Ada zerknęła przez ramię na stojącego nad Jamą Daemana, który z zapalem tłumaczył coś Nikomu.

– Dorosły Setebos nie pokazał się jak dotąd ani razu. Stanowczo bardziej niepokojmy się tym, co może zrobić mały. – Opowiedziała o tym, że wieloramienny stwór karmi się energią, którą czerpie z ziemi w miejscach, gdzie ktoś poniósł straszliwą śmierć.

Mimo że słońce przygrzewało coraz mocniej, Hannę przebiegł dreszcz.

– Przeczesując las reflektorem, widzieliśmy wojniksy – powiedziała półgłosem. – Niesamowicie dużo wojniksów. Szereg za szeregiem. Stały pod drzewami i na wzgórzach, najbliższe zauważyliśmy jakieś dwie mile stąd. Co zamierzacie?

Ada przedstawiła przyjaciółce plan ewakuacji na wyspę.

Zaraz potem ponownie odchrząknął Elian.

– Przepraszam... – powiedział. – Nie moja sprawa i rozumiem, że nie mam tu prawa głosu, ale myślę, że po ucieczce na taką skalistą wysepkę znajdziecie się w identycznej sytuacji jak my na szczycie wieżowca. Wojniksy nie zrezygnują, a już teraz zebrała się tu cała ich masa. Zginiecie jedno po drugim. Znacznie więcej sensu miałyby przenosiny na most, o którym opowiadała Hannah.

Ada skinęła głową. Nie chciała w tej chwili rozpoczynać dyskusji na temat przyszłości, przy ognisku siedziało zbyt wielu ludzi, którzy zagłosowaliby za wycofaniem na wyspę.

– Oczywiście, że masz prawo głosu – odparła. – Wszyscy macie. Zostaliście członkami naszej grupy, podobnie jak ci, których jeszcze uda się nam odnaleźć. Macie takie same prawa jak ja. I dziękuję ci, Elian, za wyrażenie opinii. Proponuję, żeby przedyskutować problem przy południowym posiłku. Wartownicy będą mogli zagłosować przez pełnomocników. A teraz powinniście się chyba choć trochę przespać.

Elian, Beman, jasnowłosa Iyayi – dziewczyna, która mimo blizn i fatalnego stanu

ubrania wciąż zachowała urodę – niska, małowówna kobieta imieniem Susan, oraz potężny brodacz Stefe pokiwali głowami. Tom i Siris odprowadzili ich w poszukiwaniu wolnych posłań.

– Ty również powinnaś wypocząć. – Ada musnęła dłoń przyjaciółki.

– Co ci się stało w rękę?

Ada spojrzała na niewprawnie założony gips i ubrudzony temblak.

– Złamałam ją w czasie ataku. Nic poważnego. To ciekawe, że wojniksy zniknęły spod Machu Picchu. Być może nie mnożą się jednak w nieskończoność. Wiesz, musiały się przenieść gdzie indziej.

– Owszem, nie mnożą się w nieskończoność – potaknęła Hannah – ale Odyseusz twierdzi, że jest ich ponad milion. Ludzi tymczasem jest niecałe sto tysięcy... To znaczy tyłu nas było, zanim zaczęły się rzezie.

– Czy Nikt ma jakiś pomysł co do ich motywów? Dlaczego zaczęły nas mordować?

– zapytała Ada, biorąc młodszą kobietę za rękę.

– Wydaje mi się, że ma, ale nie rozmawiał ze mną o tym. W ogóle wiele spraw zachowuje wyłącznie dla siebie.

Eufemizm mojej ostatniej Dwudziestki, przemknęło Adzie przez myśl.

– Sprawiasz wrażenie wycieńczonej, kochana. Naprawdę powinnaś się położyć – powiedziała.

– Położę się razem z Odysem – Hannah spojrzała na przyjaciółkę lekko wstydliwie, lecz w jej oczach pojawiła się też buńczuczna duma młodej kochanki.

Ada ponownie pokiwała głową.

Do ogniska podszedł Daeman.

– Ado, mogę cię prosić na słówko?

Ada podparła się na ramieniu Hanny i niezgrabnie dźwignęła na równe nogi. Razem z Daemanem ruszyli na skraj Jamy, gdzie czekał Nikt. Mężczyzna, którego do niedawna nazywali Odyseuszem, nie był od niej wiele wyższy, lecz z umięśnionego ciała emanowała siła. Ada dostrzegła siwe włosy widoczne pod rozchyloną tuniką na jego piersi.

– Podziwiasz naszego pupilka? – spytała.

Nie uśmiechnął się. Poglądził się po brodzie, spojrzał w głąb Jamy na niecodziennie spokojnego potwora, po czym uniósł wzrok na Adę.

– Musicie to zabić – stwierdził.

– Taki mamy plan.

– Jak najszybciej – powiedział Nikt/Odyseusz. – Te stworzenia są nie tyle dziećmi Setebosa, ile jego wszami.

– Wszami? – zdziwiła się kobieta. – Przecież słyszę jego myśli...

– I nie przestasz słyszeć. Będą stopniowo coraz głośniejsze, aż wreszcie potwór wyjdzie z więzienia. Podejrzewam, że gdyby tylko zechciał, uwolniłby się już dzisiaj. A wtedy zaczniesz wysysać z waszych ciał energię i dusze.

Ada otworzyła szeroko usta i zerknęła na Jamę. Szarawy mózg wyglądał jak niewyraźna plama. Siedział na dnie wykopu, macki i dłonie wciągnął pod pokryte śluzem ciało. Ślepie miał przyknięte.

– Po wykluciu się z jaj te stwory wychodzą na świat całymi rojami – ciągnął Nikt.
– Są zwiadowcami Setebosa. Osiągają jedynie dwadzieścia stóp średnicy. Znajdują w ziemi swój... pokarm, a potem wracają do niego. Nie mam pojęcia, w jaki sposób podróżują... Prawdopodobnie korzystają z Dziur Branowych. Ten jest jeszcze za młody, by mógł otworzyć własną. W każdym razie, kiedy wracają z informacjami, Setebos okazuje im wdzięczność, pożerając je i wchłaniając tym samym całe zło i grozę, którą zebrały wcześniej te... dzieci.

– Skąd tyle wiesz o Setebosie i jego... wszach? – zaciekała się Ada.

Nikt pokręcił tylko głową, jakby sprawa była niewarta wzmianki.

I kiedy wreszcie zaczniesz okazywać delikatnej Hannie miłość i szacunek, na jaki zasługuje, ty męska szowinistyczna świni? – dodała kobieta w duchu.

– Nikt ma nam coś ważnego do powiedzenia... Właściwie ma pewną prośbę – wtrącił Daeman z niepokojem w oczach.

– Potrzebuję sonika – rzucił Grek.

Ada aż zamrugła ze zdumienia.

– Potrzebujesz sonika? Dokąd chcesz polecieć?

– Na pierścienie – odparł Nikt.

– Na jak długo?

Nie możesz nam zabrać sonika! – dodała w myślach Ada. Była pewna, że podobne wątpliwości dręczą też Daemana.

– Nie wiem – odparł Odyseusz ze swoim dziwnym akcentem.

– Wybacz – zaczęła Ada – ale to niemożliwe. Sonik jest nam potrzebny do ucieczki. Do łowów... I do...

– Potrzebuję sonika – powtórzył Nikt. – To jedyna na tym kontynencie maszyna, która może mnie zabrać na pierścienie. Nie mam już czasu na podróż do Chin czy gdzie indziej, żeby poszukać innego egzemplarza. A Basen Śródziemny został odcięty przez kalibany.

– Cóż... – Ada usłyszała we własnym głosie nieczęsty upór i determinację. – Po prostu nie możesz go nam zabrać. Bez sonika wszystkich tutaj czeka śmierć.

– W tej chwili to nie jest aż tak istotne – stwierdził siwobrody wojownik.

W pierwszym odruchu Ada chciała roześmiać się Grekowi prosto w twarz, lecz zdumienie pozwoliło jej tylko otworzyć usta.

– Dla nas to bardzo istotne. Chcemy żyć.

Pokręcił głową, jakby uznał, że kobieta go nie zrozumiała.

– Jeżeli nie dostanę się na pierścienie, już wkrótce na całej planecie nie zostanie ani jeden żywy człowiek. Muszę tam dotrzeć jeszcze dzisiaj. Potrzebuję sonika. Jeżeli mi się uda, odwożę go potem osobiście lub odeślę. Jeśli nie... Cóż, to i tak nie będzie już miało żadnego znaczenia.

Ada żałowała, że nie ma przy sobie karabinu. Spojrzała na stojącego z bronią w rękę Daemana. Chłopak trzymał broń swobodnie. Nikt był prawdopodobnie nieuzbrojony, lecz po wielokroć już miała okazję się przekonać, jak bardzo jest silny.

– Potrzebuję sonika – powtórzył Nikt. – Dzisiaj. Natychmiast.

– Nie – syknęła Ada.

Siedząca w Jamie wieloramienna sierota zaczęła nagle skowyczeć, prychać i pokasływać. Kakofonia zakończyła się nutą niepokojąco przypominającą ludzki śmiech.

Wysoko nad ich głowami szalała burza. Pierścienie i gwiazdy zniknęły już dawno temu. Poświata błyskawic raz po raz rozjaśniała pionowe ściany wody okalające obszcnicznie bladą Bruzdę ciągnącą się na wschód i zachód tak daleko, że nawet burzowe rozbliski nie potrafiły ukazać jej ogromu.

W pewnej chwili pioruny zaczęły bić nieprzerwanie, a światło błyskawic nie gasło nawet na moment. W zbudowanym z czystej energii wodnym korytarzu grzmoty rozlegały się zwielokrotnionym echem. Leżący na plecach w cienkim jak jedwab śpiworze, ubrany w termoskórę Harman widział kłębiące się pięćdziesiąt pięter powyżej bałwany, sięgały około stu stóp nad powierzchnię wody. Atlantyk poddał się obłędowi sztormu. Gnające po niebie, wijące się chmury wisiały ledwie kilkaset stóp nad najwyższymi falami. Wokół niego, na głębokości pięćuset stóp, odmęty pozostały spokojne, lecz już nieco wyżej widział gwałtowne poruszenia wodnych mas. Poruszały się również kominowe mosty – nie znalazł lepszego określenia dla przezroczystych rur, stożków i tuneli wody, które wzmocnione polem siłowym łączyły wody Atlantyku południowego i północnego. Mojra nazywała je po prostu „przewodami”. Jeden z nich majaczył w mroku dwieście stóp nad osuszonym dnem Bruzdy. Co chwila podkreślało go białe światło błyskawicy. Znajdował się niecałe pół mili na zachód. Inny udało się Harmanowi wypatrzyć na wschodzie, około mili od obozowiska. W obu tunelach szalała pędząca woda. Zaczął się zastanawiać, czy w czasie sztormów podobne przewody przenoszą z jednej strony Bruzdy na drugą większe ilości wody niż przy dobrej pogodzie. Nie był pewien, ale z całą pewnością teraz znacznie więcej fal przelewało się ponad ścianami i zalewało im głowy. Ściany Bruzdy powstrzymywały większość nawet wysokich bałwanów, dzięki czemu nie utonęli, lecz bez przerwy osiadała na nich wilgotna mgiełka. Ubranie wcisnął do plecaka, który – odkrył to niedawno – był nieprzemakalny, podobnie jak cieniutki śpiwór. Nie opuścił jednak na twarz osmotycznej maski i czuł na skórze drobne kropelki. Kiedy obliznął wargi, poczuł wyraźny smak soli.

Piorun strzelił w dno Bruzdy niecałe sto metrów od odpoczywających wędrowców. Towarzyszący mu huk wprawił w wibracje nawet zęby Harmana.

– Może się stąd zabierzemy?! – zawołał do Mojry.

Kobieta również miała na sobie wyłącznie termoskórę. Bez cienia wstydu rozebrała się przed nim i włożyła skafander, zupełnie jakby byli kochankami... Dopiero po chwili uświadomił sobie – czując, jak czerwienieją mu policzki – że faktycznie byli.

– Co mówisz? – odpowiedziała równie głośno.

Głos mężczyzny zniknął zagłuszony łoskotem fal i porykiwaniem burzy.

– Może powinniśmy się zbierać!!!

Podsunęła się wraz ze śpiworem i nachyliła do jego ucha. Mojra też nie osłoniła twarzy, a że nie weszła do śpiwora, tylko leżała na nim, mgiełka przemoczyła zewnętrzną warstwę obcisłego kombinezonu i Harman widział wszystkie jej zębra i wystające biodro.

– Bezpiecznie będzie tylko pod wodą – powiedziała. – Tam błyskawice nam nie zagrażą. Chyba dobry pomysł, prawda?

Nie. Pomysł nie był dobry. Sama myśl o przecięciu się przez pole siłowe i zanurzeniu w niemal absolutną czerń, myśl o wystawieniu ciała na tak koszarne ciśnienie – nawet jeżeli ta niemal magiczna termoskóra faktycznie była w stanie go zabezpieczyć – przyprawiała go o ciarki. Poza tym burza zaczynała słabnąć. Fale piętrzyły się już najwyżej na osiemdziesiąt stóp.

– Ja jednak podziękuję! – krzyknął. – Zaryzykuję i zostanę tutaj.

Otarł wodę z twarzy i naciągnął cienką jak błona maskę osmotyczną. Kiedy morską sól przestała szczypać go w oczy i wargi, łatwiej było się skupić. A miał się nad czym zastanawiać. Wciąż próbował opanować wszystkie nowo uzyskane – chociaż „odzyskane” byłoby tu lepszym słowem – funkcje.

Wiele z nich zostało zablokowanych wraz z odebraną ludziom zdolnością do swobodnego faksowania. Wiedział na przykład, w jaki sposób mógłby uzyskać dostęp do logosfery i zdobyć dzięki temu informacje (bądź skontaktować się) z dowolnym innym człowiekiem na świecie, lecz istoty kierujące obecnie aparaturą w pierścieniach skutecznie mu taką możliwość odebrały.

Pozostałe funkcje działały bez zarzutu, choć wcale nie pomagały Harmanowi się uspokoić. Monitor medyczny poinformował, że dieta składająca się z batoników i wody, jeśli nie wzbogaci jej w ciągu trzech miesięcy, grozi poważnym niedoborem witamin. Dowiedział się również o odkładającym się w jego lewej nerce wapniu, który już za rok utworzy prawdziwy kamień. Od czasu ostatniej wizyty w Konserwatorni dorobił się także dwóch polipów w okrężnicy, a mięśnie w związku z podeszłym wiekiem coraz bardziej traciły właściwą sobie sprężystość. W końcu od ostatniej regeneracji w zbiorniku na pierścieniach minęło już całe dziesięć lat. W dodatku zakażenia gardła paciorkowcem uniknął wyłącznie dlatego, że powstające raz po raz kolonie likwidowane były przez jego genetycznie zmodyfikowany układ odpornościowy; miał też zbyt wysokie ciśnienie krwi, a w lewym płucu pojawił się nieznaczny cień, który powinien zostać jak najszybciej przebadany przez medyczne czujniki Konserwatorni.

Fantastycznie, pomyślał Harman, masując pierś, jakby delikatna zmiana (był pewien, że to nowotwór) zaczęła mu już doskwierać. I co ja mam teraz zrobić? Do Konserwatorni mam jednak trochę daleko.

Część innych funkcji miała znacznie bardziej praktyczne zastosowanie. Kilka dni temu odkrył funkcję odtwarzania, dzięki której mógł ponownie przeżyć – z niesamowitą, niedostępną zwykłym wspomnieniom wyrazistością – dowolny moment własnego życia. W chwili uruchomienia funkcja czerpała z pamięci białkowej, nie z zasobów mózgu, i była w stanie ukazać wybrane wydarzenia z dokładnością co do sekundy. Zdążył już w ten sposób dziewięć razy odtworzyć kilka minut swego pierwszego spotkania z Adą (aż dotąd nie pamiętał, że dziewczyna z okazji tamtego bankietu włożyła jasnoniebieską suknię) i ponad trzydzieści razy obejrzał chwile, kiedy ostatnim razem poszli ze sobą do łóżka. Gdy szedł zapatrzoney we wspomnienia, z nieobecny spojrzeniem, krocząc mechanicznie jak robot, spostrzegła to nawet Mojra. Domyśliła się, w jakim znajduje się stanie, ponieważ ani termoskóra, ani wierzchnie ubranie nie zdołały ukryć silnej reakcji

jego ciała.

Harman zachował jednak dość rozsądku, by zrozumieć, że ta akurat funkcja uzależnia niczym narkotyk i powinien z niej korzystać z najwyższą ostrożnością – zwłaszcza podczas wędrówki po dnie oceanu – ale cofnął się jeszcze do kilku rozmów z Savi. Chciał z nich wyłowić kilka ważkich informacji, które wówczas mogły wydać mu się absurdalne bądź po prostu niezrozumiałe, a w świetle zdobytej w kryształowej klatce wiedzy mogły się okazać najzupełniej sensowne. Z wielkim smutkiem uświadomił sobie również, że staruszka przez wszystkie stulecia, kiedy próbowała dotrzeć do pierścieni, by podjąć rozmowy z postludźmi, działała na podstawie mocno okrojonego zestawu danych. Między innymi nie miała pojęcia o ukrytych w Basenie Śródziemnym statkach kosmicznych. Nie wiedziała też, jak skontaktować się z Arielem dzięki należącej do Prospera wewnętrznej sieci logosfery.

Kiedy oglądał te wspomnienia, uderzyło go również to, że mimo że Savi faktycznie była o wiele starsza od Mojry, to obie kobiety były do siebie niebywale podobne.

Bawił się też innymi funkcjami. Bliskosieć, dalekosieć i wszechsieć wyłączyły się wraz z faksowężłami i dostępem do logosfery. Doszedł do wniosku, że obecnie działają jedynie funkcje wewnętrzne, te natomiast, które wymagały dostępu do krążących wokół Ziemi satelitów, orbitalnych agregatorów masy, aparatury faksującej czy sieci przesyłu informacji, padły na amen.

Dlaczego w takim razie wskaźniki informowały go, że nie działa także siglowanie? Harman był dotąd przekonany, że ta funkcja jest uzależniona od jego organizmu, podobnie jak monitor medyczny, który działał przecież aż za dobrze. Czyżby siglowanie również odwoływało się z jakiegoś powodu do satelitów? Tej informacji nie było w żadnej z książek w bibliotece Tadz.

– Mojra?! – zawołał i nagle zauważył, że burza ucichła i jedyny hałas pochodzi od rozbijających się daleko powyżej fal. Co więcej miał przecież na sobie maskę i wydarł się prosto do mikrofonu, który przekazały wrzask bezpośrednio do słuchawek kobiety.

Zsunął maskę z twarzy i ponownie odetchnął intensywną wonią oceanu.

– Cóż takiego, Wodzu Donośny Głos? – odpowiedziała cicho Mojra. Leżała w spiworze jakieś cztery stopy od Harmana.

– Czy jeśli skorzystam z funkcji współdzielenia z Adą, moją żoną, oczywiście po powrocie do domu... Czy wtedy moje dziecko również otrzyma wszystkie te informacje?

– Nie chwał ciąży przed porodem, mój młody Prometeuszu.

– Może raczysz na choć jedno pytanie odpowiedzieć wprost, do cholery!

– O tym będziesz musiał przekonać się osobiście – stwierdziła Mojra. – Nie pamiętam w tym momencie parametrów projektu, a sama nigdy nie współdzieliłam niczego z ciężarnymi. Widzisz, my, podobni bogom postludzie, nie zachodzimy w ciążę. W dodatku wszystkie byłyśmy kobietami. Tak więc po prostu spróbuj. Przypominam sobie jednak, że w funkcję genetycznego współdzielenia wbudowano pewne zabezpieczenia. Na pewno nie zdołasz przekazać płodowi lub małemu dziecku informacji szkodliwych. Na przykład nie podarujesz takiej istocie wspomnień z momentu poczęcia. Nikt nie chciał narażać maluchów na trzydziestoletnią psychoterapię.

Harman zignorował jej wyraźny sarkazm. Potarł się po policzkach i wyczuł

kilkudniowy zarost. Przed wyprawą w głąb Bruzdy dokładnie się ogolił – głównie dlatego, że jak się przekonał dziesięć miesięcy temu, na Wyspie Prospera, osmotyczna maska na zarosniętej twarzy leżała znacznie gorzej. Niemniej teraz pod palcami zaszeleściły mu już pierwsze sztywne włoski.

– Sami dysponujecie wszystkimi funkcjami, które udostępniście ludziom? – zapytał, choć początek zdania zaakcentował jak zwykle stwierdzenie.

– Mój drogi. – Mojra zamruczała jak kotka. – Chyba nie masz nas za głupców? Czy naprawdę sądzisz, że podarowalibyśmy dawnym zdolności, których sami nie posiadamy?

– Zatem macie ich więcej niż my – domyślił się Harman. – Rozumiem, że ponad setkę?

Kobieta nie odpowiedziała.

Harman zdążył już odkryć wbudowany w komórki swej skóry skomplikowany system nanokamer i mikrofonów. Przesyłane przez nie obrazy i dźwięki trafiały do części białkowych banków pamięci. Inne komórki zostały przekształcone w bioelektryczne przekaźniki – ich zasięg był mocno ograniczony, jako że zasilanie czerpały wyłącznie z energii komórkowej organizmu. Z drugiej jednak strony ich moc pozwalała transmisję wzmocnić i przesłać dalej.

– Spektakl turyński – powiedział.

– A co to takiego? – odparła sennie Mojra.

– Teraz już rozumiem, w jaki sposób przekazywaliście nam obrazy z Ilionu... Ty, czy raczej twoje siostry-transwestytki. Wiem też, na jakiej zasadzie odbieraliśmy dane z całunów.

– Aha – mruknęła kobieta i ułożyła się do snu.

Wiedział już, że od teraz nie musi się posługiwać haftowaną tkaniną, by odbierać tego rodzaju przekazy. Korzystając z protokołów audio logosfery i multimedialnej aparatury własnych komórek, był w stanie dzielić się dźwiękiem i pozostałymi danymi sensorycznymi z dowolnym innym człowiekiem, który podłączyłby się z nim do jednego strumienia informacji.

Ciekawe, co bym poczuł, gdybym połączył się z Adą, kiedy się kochamy? – zastanowił się i zaraz potem złązał za sprośne myśli. Ty stary, podjarany capie!

Poza funkcją dostępu do logosfery potrafił również uruchomić funkcję łączącą go za pomocą skomplikowanego procesu z biosferą. Niestety działała dzięki sieci satelitów i była w tej chwili wyłączona, więc mógł się tylko domyślać, jakie wrażenia towarzyszą korzystaniu z jej dobrodziejstw. Czy może przypominałoby to pogawędkę z Arielem? A może po prostu człowieka ogarniało poczucie jedności z kolibrami i dmuchawcami? Czy zdołałby mimo odległości nawiązać bezpośredni kontakt z Małymi Zielonymi Ludzikami? Po chwili spoważniał. Przypomniawszy sobie słowa czarnoksiężnika, który twierdził, iż Emzetele pomagały Arielowi powstrzymać hordy napierających kalibanów szturmujących południowe rejony Starej Europy. Przecież to jasne, dzięki tej funkcji mógłby poprosić zeków o wsparcie w walce z wojnikami.

Od długotrwałego testowania nowych funkcji znów rozboleła go głowa. Niemal czystym przypadkiem ponownie uruchomił monitor medyczny i dowiedział się, że istotnie, zwiększony poziom adrenaliny w połączeniu z podwyższonym ciśnieniem mógł

wywołać objawy, jakie dręczyły go już od dwóch tygodni. Włączył więc inną funkcję medyczną – ta działała aktywnie, nie ograniczała się do składania raportów o stanie organizmu – i ostrożnie uwolnił do krwiobiegu nieco stosownych związków chemicznych. Naczynia krwionośne w jego karku niemal natychmiast rozszerzyły się i rozluźniły. Do marznących koniuszków palców ponownie napłynęło ciepło. Koszmarny ból głowy osłabł i po chwili zniknął na dobre.

Nastoletni chłopcy korzystaliby z tej funkcji do walki z nieproszonymi erekcjami – przemknęło mu przez myśl. Druga myśl brzmiała tak: „Cholera, naprawdę jestem starym, podjaranym capem”.

Właściwie nie takim starym. Według danych monitora Harman miał ciało przeciętne, lekko może skapcianałego trzydziestolatka.

Wyliczył w duchu pozostałe funkcje: wyostrzenie wzroku, wzmożenie empatii, funkcję wprawiającą użytkownika w coś w rodzaju szału bojowego – pozwalała na tymczasowe podwyższenie zawartości adrenaliny w krwiobiegu i przyspieszenie innych dodających sił procesów biologicznych. Zapewne wykorzystywano ją jako ostatnią deskę ratunku w walce bądź w sytuacjach, gdy trzeba było, na przykład, błyskawicznie usunąć przygniatający dziecko ciężar. Poza znaną już – być może nawet aż za dobrze – funkcją odtwarzania własnych wspomnień zauważył, że jest w stanie ponownie oglądać dane przekazane mu za pomocą współdzielenia. Jeszcze inna funkcja pozwalała wprowadzić organizm w stan bliski hibernacji – po jej aktywowaniu funkcje życiowe zamierały niemal zupełnie. Przy okazji stwierdził, że zdolność ta nie nadaje się do złapania kilku minut dodatkowego snu, lecz została zaprojektowana z myślą o momentach w rodzaju wizyty w kryształowej klatce, kiedy człowiek chciał pozostać przez pewien czas przy życiu, lecz nie potrzebował pełni świadomości. W przypadku Tadz Mojry ów czas był dość długi. W hibernacji nie groził ludziom zanik mięśni, nie pojawiały się odleżyny, nieświeży oddech i reszta efektów ubocznych, jakie normalnie towarzyszą nieprzytomności.

Natychmiast zrozumiał, że właśnie z tej funkcji korzystała Savi, kiedy udawała się na spoczynek w temporalnym sarkofagu na moście Golden Gate w Machu Picchu i przy pozostałych okazjach, gdy przez ponad czternaście wieków unikała spotkań z wojnikami i postludźmi.

Istniało też całe mrowie innych funkcji – niektóre były szalenie frapujące – jednak skupianie się na nich wywołało z uśpienia ból głowy. Uznał, że dobrze będzie ten obszar mózgu na jakiś czas wyłączyć. Przynajmniej na noc.

Natychmiast poczuł wyraźniej dane napływające ze zwykłych zmysłów. Dolatujący z góry szum fal. Rzucana przez fotoluminescencyjny fitoplankton poświata rozświetlająca górne warstwy wód Atlantyku – w jego zmęczonych oczach wyglądała zupełnie jak podmorska zorza polarna.

Gra światła upstrzyła również niebo – tym razem błyskawice nie smagały już fal. Pioruny strzelały wewnątrz chmur. Nieme eksplozje ukazywały fraktalową złożoność podświetlonych obłoków. Spektaklowi nie towarzyszył najcichszy odgłos. Do leżącego w śpiworze na dnie Bruzdy Harmana nie docierało nawet echo grzmotów. Wsunął splecione dłonie pod głowę i rozkoszował się podniebno-oceanicznym widowiskiem.

Wzory. Wszędzie dostrzegał wzory. Cała przyroda, każdy fragment wszechświata

tańczył na skraju chaosu, przed którym ratowały jedynie granice fraktalowych wzorów i miliardy niewidocznych protokołów algorytmicznych, na których opierały się całość istnienia i wszystkie interakcje. Mimo że zjawisko opierało się na suchej matematyce, było piękne... tak bardzo, przejmująco piękne. Pamiętał, że istnieje funkcja – przyjrzał się jej tylko pobieżnie – która pomogłaby mu rozeznaczyć się w mnogości tych wzorów znacznie lepiej niż za pośrednictwem ograniczonych ludzkich zmysłów, lecz domyślał się, że w tej chwili jest wyłączona. Wymagała zapewne połączenia z pierścieniami, a poza tym... Harman wcale nie potrzebował genetycznie wbudowanych usprawnień, by docenić nieskazitelną piękność tego rozgrywającego się na środku oceanu bezdźwięcznego spektaklu, jaki świat wystawiał wyłącznie dla niego.

Leżał tak na dnie Bruzdy, ręce wciąż trzymał pod głową i zmówił modlitwę za Adę, a także ich nienarodzone dziecko. (Nie wiedział, czy spłodził syna, czy córkę, lecz Ada miała się o tym dowiedzieć, gdy tylko aktywuje już swoje funkcje). Rozłąka bardzo mu doskwierała. Modlił się więc do Boga, o którym dotąd nigdy nie myślał – do tego milczącego bóstwa, którego Setebos i jego podnózek Kaliban bali się ponad wszystko – tak przynajmniej wybelkotał ten potwór na wyspie Prospera. Prosił Go jedynie o zachowanie Ady w zdrowiu i życiu, modlił się o to, by była tak szczęśliwa, jak to tylko w tych straszliwych czasach możliwe, tak bardzo, jak mogła być szczęśliwa bez niego.

Zasypiając, słyszał chrząknięcia i głośne chrapanie Mojry. Odpływając w sen, lekko się uśmiechnął. Mimo tysiąca lat przemyślnych manipulacji nanocytami i genomem postludzie wciąż nie zdołali się uwolnić od chrapania. Choć przecież chrapało ludzkie ciało Savi, które...

Ciemność ogarnęła go w pół myśli.

Achilles wolałby umrzeć.

Powietrze Tartaru jest tak strasznie cuchnące i gęste. Dotkliwie palą go płuca, z piekących oczu cieką strumienie łez, pod wpływem koszmarnego ciśnienia całe ciało, skóra i wnętrzności zdają się gotowe, by lada moment jednocześnie implodować i wybuchnąć. Olbrzymka, potworna Okeanida, ściska go w ciasno zamkniętej pięści tak mocno, że zaraz popękają mu żebra. Co gorsza, widoki na przyszłość ma tak kurewsko ponure, że naprawdę wolałby po prostu umrzeć i mieć już wszystko z głowy.

Niestety, kwantowe Mojry do tego nie dopuszczają. Matka Achillesa, bogini-dziwka Tetyda, ta suka, co najpierw przyrzekała miłość jego ojcu – Peleusowi, mężczyźnie, którego przez całe życie darzył synowskim szacunkiem – a potem legła z Zeusem niczym jakaś wodna zdzira, umieściła go w Niebiańskim Ogniu, przez co stworzyła kwantową osobliwość rozstrzygającą o momencie i przyczynie jego śmierci – umrzeć mógł jedynie za sprawą Parysa z Ilionu, który w tej chwili sam jest już martwy i spopielony. I teraz już, jak to mówią, po ptokach.

Achilles cierpi, lecz usilnie stara się skupić na wydarzeniach rozgrywających się na zewnątrz jego ciasnego i stale się kurczącego kokonu bólu i niewygody.

Trzy Tytanki, wielkie córki Okeanosa – Azja, Pantea oraz Ione – kroczą zamasyżcie wśród toskycznego mroku ku jaśniejszej połodze, która może się okazać blaskiem wulkanicznej erupcji. Herosa w swej potężnej, spoconej garści dzierży Azja. W chwilach, gdy Achilles otwiera zbolące oczy i przez zasłonę łez – płacze nie ze strachu czy innych emocji, lecz dlatego, że kłają go trujące wyziewy – dostrzega przebłęski okolicy, widzi niewyraźne zarysy wysokich skalistych wzgórz. Okeanidy kierują się właśnie wzdłuż jednego z ich grzbietów. Dokoła wznoszą się też grzmiące wulkany, otwierają się bulgocące lawą przepaście. Achilles zauważa także osobliwych kształtów monstra – między innymi niezmiennie im towarzyszące potężne stonogi, które z pewnością są spokrewnione z olimpijskim Uzdrowicielem. W ciemności mającą sylwetki innych Tytanów, zanoszących się rykiem i wymachujących ramionami gigantów. Grek widzi niebo: grubą pokrywę podkreślonych pomarańczowym światłem chmur, przecinające je błyskawice i inne nieziemskie wyładowania.

Nagle odzywa się olbrzymka zwana Panteą:

– Czy to nie zakryty kształt, którego szukamy, na tronie siadł z hebanu?[10]

– To on – odpowiada jej Azja. Głos tej kurwy brzmi niczym sunąca po górskim zboczu skalna lawina. (Achilles nie ma już siły by unieść do uszu poparzone kwasem dłonie). – Zasłona opadła.

– Oto cień potężny wypełnia władcy tron, promienie mroku tryskają wokół jak blaski południa. Sam Demogorgon pozostaje nierozpoznany i bezkształtny, członków ani zarysu formy nie ma, czuć wszak, że ten duch żyje.

Zaraz potem odzywa się sam Demogorgon. Achilles wtula twarz w potężną,

szorstką dłoń Azji, daremnie próbuje stłumić ten wywołujący piekielny ból infradźwiękowy huk.

– Pytajcie Okeanidy, czego pragniecie się dowiedzieć?

Azja podsuwa w jego kierunku dłoń, na której wije się Achilles.

– Czy mógłbyś zdradzić nam, co to za istotę schwytałyśmy? Rozgwieździe bardziej podobna jest niżeli człowiekowi, lecz wije się i piszczy jak człowiek.

I znów rozlega się ryk Demogorgona.

– To zwykły śmiertelnik, chociaż przypadek i niebiański ogień uczyniły go nieśmiertelnym. Zwie się Achilles i dotarł bardzo daleko od domu. Aż po dziś dzień żaden śmiertelnik nie zstąpił do Tartaru.

– Ach – rzuca Azja, po czym wyraźnie traci zainteresowanie nową zabawką i bezceremonialnie odkłada herosa na rozgrzany gład.

Achilles czuje wszechogarniający żar i kiedy otwiera oczy, widzi już więcej – otoczenie rozświetlone jest płomienistą lawą i wulkanicznymi rozbłyskami. Z przerażeniem stwierdza, że strumienie roztopionego kamienia opływają jego dymiącą skałę z obu stron. Kiedy podnosi spojrzenie na siedzącego na swym tronie Demogorgona – sam tron sięga ponad pobliskie wulkany – dostrzega zakapturzoną, ukrytą za woalem, pozbawioną określonego kształtu postać, wysoką co najmniej na kilka mil. Na widok wyzutego z konkretnej postaci Demogorgona zbiera mu się na wymioty. Więc wymiotuje. Żadna z Okeanid nie zwraca na to uwagi.

– Co jeszcze rzec możesz? – pyta Azja.

– Wszystko, o co śmiecie zapytać.

– Kto stworzył świat żyjący? – dopytuje olbrzymka.

Achilles zdążył już ocenić, że to ona jest najbardziej rozmowną, a być może i najbardziej inteligentną pośród tępych Okeanid.

– Bóg.

– Kto stworzył całą treść jego? Myśl, namiętność, rozum, wyobraźnię, wolę?

– Bóg. Wszechmocny Bóg.

Achillesowi przemyka przez myśl, że ów Demogorgon jest duchem posiadającym zdumiewająco niewielki zasób słownictwa. Zapewne też w jego głowie – o ile ma w ogóle głowę – kryje się niewiele myśli. Grecki bohater oddałby wszystko, byle tylko wstać, dobyć miecza i zerwać z pleców tarczę. Najpierw zgładziłby Demogorgona, a potem zadałby śmierć trzem tytanicznym siostram... bardzo powolną śmierć.

– Kto tchnął uczucie, co z powiewem wiosny w nawiedzeniu tak rzadkim albo w głosie lubym – grzmi dalej Azja – w młodości jedynie słyszonym, wyciska z oczu łzy, mgłą powlekając skrzące spojrzenia kwiatów tak bez troskich, i ziemię ludną zamienia w samotnię, kiedy nie wraca już?

Achilles znów wymiotuje. Tym razem jest to raczej komentarz do estetycznej wartości pytania niż reakcja żołądka na wirujące mu przed oczyma obrazy. Uznaje, że mimo wszystko najpierw zabije Okeanidy. Tę sukę Azję zamordowałby chętnie kilka razy z rzędu. Wyobraża sobie, jak wierci dziurę w jej czaszce i buduje z niej swój nowy dom. Oczodoły znakomicie sprawdziłyby się w roli okien.

– Bóg miłosierny – melodeklamuje Demogorgon.

Starożytni Grecy nie znali pojęcia „jak wyżej”, Achilles jednak sądzi, że Demogorgon powinien był je na własny użytek wymyślić. Achajskiego herosa ani trochę nie dziwi, że zarówno Okeanidy, jak i bezkształtny upiór żyjący w cieniach Tartaru posługują się w rozmowie jego ojczystą mową. Owszem, są dziwnymi istotami, są potworami, lecz Achilles z doświadczenia wie, że nawet monstra znają grekę. W końcu nie są przecież barbarzyńcami.

– A kto strach stworzył, obłąd, zbrodnię, skrucę? – mówi dalej Azja. Uparta jest jak dwuletni malec, który pojął właśnie, że raz po raz pytając „A dlaczego?”, można przeciągnąć rozmowę. – Co poprzez wielki łańcuch niższych stworzeń ku myśli każdej w człowieku umyśle prą natarczywie i ciężą, aż wszystkie ugną się, krążąc ku lochowi śmierci; zgasłe nadzieje, miłość, co się zmienia w nienawiść; kto – dla siebie wzgardę, bardziej niż krew gorzką, ból, co przemawia co dzień jękiem i płaczem, nieusłyszanym, kto...

Milknie w pół słowa.

Achilles ma szczerą nadzieję, że ucichła, widząc jakiś nadciągający kataklizm, który położy kres ich światu i pochłonie Azję wraz z obiema jej rozwrzeszczanymi siostrami, że znikną pożarte niczym miodowe ciasta na ucztę Myrmidonów. Kiedy jednak zmusza się do otwarcia oczu, widzi, że zamiast kataklizmu pojawił się jedynie krąg jasnego światła. Z dysku wylewają się w czerwony mrok białe promienie.

Dziura Branowa.

Na jej oślepiającym tle rysuje się sylwetka, która z pewnością nie należy do człowieka. Kształtem przywodzi na myśl ludzi, lecz składa się z metalicznych kul – nie tylko tej, którą nosi w miejscu głowy – kule zastępują również jej pierś, rozpostarte ramiona i niepewnie stąpające nogi. Jedyne stopy i dłonie – ukryte pod płytami metalu wyraźnie lżejszego niż brąz – ma z grubsza człowiecze.

Istota podchodzi bliżej i z kulistych przedramion strzelają dwa snopy jaskrawego światła. Czerwony promień, cienki niczym grot oszczepu, dobywa się z prawej dłoni przybysza i omiata Okeanidy, jego muśnięcia sprawiają, że skóra Tytanek zaczyna skwierczeć i pękać. Cofają się chwiejnie, brodząc przez strumienie lawy. Szkarłatny promień nie wyrządził im poważniejszej krzywdy, lecz osłaniają oblicza i oczy przed palącym białym blaskiem, wciąż lejącym się z Dziury Branowej.

– Cholera jasna! Achillesie, długo będziesz się tak wylegiwać?

Hefajstos. Achilles dopiero teraz zauważa, że żelazne kule tworzą w istocie rodzaj ochronnego stroju, widzi ciężkie metalowe rękawice i grube buty. Na plecach niesie jakiś rodzaj urządzenia oddechowego; bije z niego para i wydobywają się odgłosy do złudzenia przypominające beknięcie. Najwyżej umieszczona sfera jest przejrzysta, jak odlana ze szkła. Achilles dostrzega przez nią paskudną, brodatą twarz karłowatego boga, zalaną refleksami światła reflektorów i ręcznego lasera.

Heros wydaje z siebie żalony pisk.

Boski rzemieślnik wybucha śmiechem, okropny odgłos dodatkowo wzmacniają wbudowane w jego hermetyczny skafander głośniki.

– Tutejsze powietrze i ciężenie nie służą ci najlepiej, co? No dobrze. Włóż to. Ten strój nazywa się termoskóra. Pomoże ci oddychać. – Patron płomieni rzuca na głaz

Achillesa dziwny ubiór uszyty z niewiarygodnie cienkiej tkaniny.

Greki próbuje się podnieść, lecz powietrze parzy i wyciska z niego ostatki sił. Jest w stanie wyłącznie skrzęcać się, kaszleć i wymiotować.

– No że kurwa! – rzuca kaleki Olimpijczyk. – Chyba będę musiał odziać cię własnoręcznie. Jak małego bachora. Od początku się tego obawiałem. Leż spokojnie i nie wierć się. I uważaj, żebyś mnie przy okazji nie zarzygał i nie osrał.

Dziesięć minut później – gdy w gęstym od wulkanicznego dymu powietrzu zawisł już prawdziwy gobelin utkany z przekleństw Hefajstosa – Achilles staje na twardym kamieniu obok niewysokiego bóstwa. Złotą termoskórę okrył pancerz. Oddycha mu się teraz bardzo lekko, wszystko dzięki przejrzystej błonie skafandra, którą chromy Rzemieślnik nazywa maską osmotyczną. Heros dzierży w dłoni wytrawioną kwasem tarczę i miecz, który nawet tutaj nie stracił swego lśnienia. Wpatruje się w potężną, niewyraźną masę zwaną Demogorgonem. Ponownie czuje się niepokonany. W dodatku jest wkurzony. Ma wielką nadzieję, że Okeanida imieniem Azja podejmie zadawanie swych niekończących się pytań. Zyskałby doskonały pretekst i wypatroszył olbrzymkę niczym rybę.

– Demogorgonie! – woła Hefajstos, pomagając sobie wzmacniaczem zamontowanym w przypominającym kuliste akwarium hełmie. – Spotykamy się już powtórnie. Pierwszy raz zetknęliśmy się ze sobą ponad dziewiętnaście wieków temu, w trakcie wojny Olimpijczyków z Tytanami. Zwań mnie Hefajstos...

– Tyś jest kaleką – grzmi w odpowiedzi Demogorgon.

– Nie inaczej. Cieszę się, że nie zapomniałeś. Wraz z Achillem przybyliśmy do Tartaru, by odnaleźć ciebie i Tytanów. Kronosa, Reę i resztę Starszych. Chcemy was prosić o pomoc.

– Demogorgon nie pomaga szeregowym bóstwom i śmiertelnikom.

– Cóż, to dość oczywiste. – Ochryply głos Rzemieślnika rozbrzmiewa w głośnikach stokroć głośniejszy niż w rzeczywistości. – Kurczę, Achillesie, może przejmiesz pałeczkę? Mam wrażenie że próbuję rozmawiać z własnym zadem.

– Czy ta wielka kupa nicości zdoła mnie usłyszeć? – Heros spogląda na karłowatego Olimpijczyka.

– Słyszę cię.

Achilles patrzy pod niebo, skupia spojrzenie na czerwonych chmurach płynących po bokach pozbawionej rysów, zawoalowanej nietwarzy majaczącej nad nim nicości.

– Demogorgonie, czy kiedy mówiłeś o bogu, miałeś na myśli Zeusa?

– Mówiąc o Bogu, miałem na myśli Boga.

– Czyli zapewne mówiłeś o Zeusie, gdyż teraz właśnie syn Kronosa i Rei zwołuje wszystkie ocalałe bóstwa na Olimp i ogłasza, że to on, Zeus, jest bogiem nad bogami, Panem wszelkiego stworzenia, bogiem tego i wszystkich innych wszechświatów.

– Któryś z was łże. On bądź ty, człowieczy synu. Bóg włada, istotnie, ale nie na Olimpie.

– Zeus zniewolił zarówno śmiertelników, jak i pozostałe bóstwa – podejmuje Achilles. Dzięki termoskórce jego wzmocniony głos, transmitowany również na falach radiowych, niesie się echem po stokach wulkanów i przysypanych popiołami wzgórzach.

– Wszystkie duchy są spętane, gdy służą złym istotom. Jaki jest Zeus, wiesz sam.

– Zaiste – przytakuje Achilles. – Nieśmiertelny Zeus jest chciwym sukinsynem...

Oczywiście nie miałem zamiaru urazić Rei, która może słuchać mnie wśród tych cieni. Mam go za tchórze i tępego osiłka. Ale jeśli ty uważasz go za boga, jego panowaniu nad Olimpem i całym wszechświatem nie będzie kresu.

– Rzekłem jedynie to, co sam powiedziałaś, gdyż Zeus jest władcą wszystkich żywych.

– Kto jest panem tego niewolnika? – pyta heros.

– Ładnie... – syczy Hefajstos. – Coraz, kurde, ładniej...

– Milcz – ucisza go Achilles.

– Gdybyż otchłań sekrety swe mogła wybluznać?... Lecz brak jej głosu, prawdziwie brak obrazu. Bo i cóż z tego, gdybyś patrzeć miała na świat krążący. Gdyby los miał mówić, czas, przyczyna, przypadek i zmiana! Im wszystko poddane prócz wiecznej miłości i doskonałej ciszy.

– Niewykluczone – odpowiada Grek. – Jednakże podczas gdy my tu sobie gawędzimy, Zeus ogłasza się panem wszelkiego stworzenia i niebawem zacznie się domagać, by całe stworzenie, nie tylko ten jego świat u podnóża Olimpu, składało mu hołdy. Jemu i tylko jemu. Żegnaj, Demogorgonie. – Odwraca się, chwytając metalowe ramię belkoczącego coś pod nosem boskiego rzemieślnika i odciąga go, zostawiając za plecami niekształną, gigantyczną masę.

– Stać!... Achillesie, mniemany synu Peleusa, prawdziwe dziecię Zeusa, przyszły bogobójco i ojcobójco. Zaczekaj!

Achilles przystaje, ponownie się odwraca i czeka, stojąc obok Hefajstosa. Okeanidy kulą się w pobliżu, osłaniają sobie głowy, jakby sypał się na nie gorący popiół.

– Zawezwę Tytanów, przywołam ich z wąwozów i grot, wypłoszę z dziur, w których się tchórzliwie skryli. Polecę Nieśmiertelnym Godzinom, by ich sprowadziły.

Do wtóru dźwięku, przy którym wszelkie inne nieznośne odgłosy wydają się cichymi szmerami, rozpadają się otaczające tron Demogorgona skały. Płynące przez fioletową noc rzeki lawy poszerzają swe koryta, rozlewają się. W ponurej ciemności Tartaru strzela tęcza niewiarygodnych barw. Zupełnie znikąd pojawiają się wielkie jak górskie szczyty rydwany, zaprzężone w gigantyczne rumaki, które jednak nie są końmi – w niczym nie przypominają koni, nawet się z nimi nie kojarzą. Niektóre poganiają smagnięciami batów toczący dzikim wzrokiem woźnice – nie ludzie i nie bóstwa – inne obracają łby do tyłu i i łypią przerażonymi, płonącymi ślepiami. Woźnice wyglądają tak, że samo patrzenie na nich jest dla śmiertelników prawie nieznośne. Achilles odwraca spojrzenie. Uznał, że nierozsądnie byłoby zwymiotować w maskę termoskóry.

– Oto Nieśmiertelne Godziny – huczy Demogorgon. – Sprowadzą na wasze żądanie Kronosa i jego pobratymców.

Powietrze imploduje serią potężnych grzmotów naddźwiękowych. Przerażone Okeanidy wrzeszczą, potężne rydwany znikają w pierścieniach ognia.

– Cóż... – rzuca Hefajstos do mikrofonu skafandra. Nie rozwija myśli.

– Trzeba czekać. – Achilles zarzuca sobie tarczę na plecy, miecz wraca za pas.

– Chyba nie zdążymy się znudzić – zauważa patron rzemiosła.

W powietrzu ponownie rozkwitają płomieniste kręgi. Wielkie rydwany wracają całymi setkami – nie, są ich tysiące! – każdy wiezie gigantyczną postać. Część z nich przypomina wyglądem istoty ludzkie, liczne nie.

– Patrzcie! – poleca Demogorgon.

– Trudno byłoby nie widzieć – mruży Achilles. Heros staje w lekkim rozkroku i ponownie sięga po swoją pięknie grawerowaną tarczę.

Rydwany tytanów są coraz bliżej.

10 Demogorgon i Okeanidy posługują się cytatami i parafrazami tekstu „Prometeusza wyzwolonego” Percy’ego Bysshe Shelleya (tłum. L. Elektorowicz).

Gdy Harman się ocknął, Mojry już nie było. Dzień wstał szary i zimny, lał ulewny deszcz. Powyżej, na powierzchni morza wciąż kłębiły się spienione bielą bałwany, lecz daleko im było do prawdziwych gór wodnych, które obserwował w blasku błyskawic poprzedniej nocy. Nie spał dobrze – dręczyły go uporczywe, złowieszcze koszmary.

Zwinął swój cienki śpiwór – wiedział, że jedwabista tkanina sama pozbędzie się nadmiaru wilgoci – i wcisnął go do plecaka. Ubrania pozostawił w nieprzemakalnym worku, wyjął jedynie skarpety i buty, które włożył na termoskórę.

Zanim wczorajszego wieczoru rozpętał się sztorm, rozpalili ognisko. O pieczeniu kiełbasek czy pianek oczywiście nie było mowy. Harman znał te przysmaki wyłącznie z książek, których treść przyswoił sobie w Tadź. Kiedy usiedli w migotliwym kręgu światła, zjadł więc tylko drugą połowę pozbawionego smaku batonika i popił go wodą.

Teraz popiół był już szary i mokry. Dno Bruzdy pomiędzy skałami i koralami zmieniło się w błoto. Harman złapał się na tym, że chodzi wokół obozu, wypatrując jakiegokolwiek śladu po Mojrze... A może zostawiła liścik?

Nie znalazł niczego.

Skrócił paski plecaka, opuścił na twarz kaptur termoskóry tak, by gogle znalazły się na wysokości oczu, starł z nich kilka kropel i ruszył na zachód.

W miarę upływu dnia niebo, miało się rozjaśniać, coraz bardziej ciemniało. Deszcz przybrał na sile, a ściany wody po obu stronach korytarza wydawały się wyższe i bardziej złowrogie. Zdążył już przywyknąć do tego optycznego złudzenia – od początku podróży miał wrażenie, że to ściany Bruzdy rosną, a nie podłoże opada. Brnął powoli, krok za krokiem. Droga wiodła przez wypalone w czarnych skałach przejścia, ponad głębokimi rozpadlinami przechodził po wąskich i śliskich żelaznych mostkach, naturalnie pozbawionych barierek. Gdzieniedzie wspiął się na strome zbocza. Mimo że ocean nie był w tej okolicy głęboki – Harman oceniał, że znajduje się najwyżej dwieście stóp od powierzchni – wędrówka była wyczerpująca, a on czuł coraz silniejszą klaustrofobię, dodatkowo wyostrzaną przez kamienne zbocza wznoszące się po obu stronach wąskiej dróżki. W takich miejscach napierały na niego już nie dwie ściany, a cztery.

W południe – godzinę znał wyłącznie dzięki funkcji zegara, słońce nie pokazało się ani na chwilę, a deszcz padał tak gęsty, że Harman zaczął się zastanawiać, czy nie osłonić nosa i ust osmotyczną maską – ścieżka wyprowadziła go wreszcie poza podwodny łańcuch górski i dalej przed nim Bruzda biegła już po dnie płaskim i prostym. Widok nieco go pokrzepił, ale tylko trochę.

Już po chwili zaczął się cieszyć, widząc każdy skalisty bądź pokryty koralowcami fragment szlaku, gdyż oceaniczne dno, w suche dni twarde jak udeptana ziemia, przypominało obecnie błotną rzekę. W pewnym momencie poczuł przemożne zmęczenie – znajdował się akurat na wysokości dawnej południowej Anglii, dwunasta dawno minęła – więc przysiadł na niskim głazie sterczącym z północnej ściany Bruzdy i wyjął z plecaka

przeznaczony na dzisiaj baton. Przeżuwał powoli, sącząc chłodną wodę z rurki hydratora.

Skąpa dieta – jeden batonik dziennie – sprawiała, że przez cały czas dręczył go głód. W dodatku batoniki smakowały tak, jak wyobrażał sobie smak trocin. Nie miał pojęcia, czego spodziewali się po nim Prospero i Mojra, gdy skończą mu się zapasy żywności. Wciąż przecież czekało go jeszcze siedemdziesiąt lub nawet osiemdziesiąt dni marszu. Czy ten pistolet naprawdę zadziała pod wodą? A jeśli nawet, czy uda się mu upolować tłustą rybę i przeciągnąć ją na dno Bruzdy przez barierę pola siłowego? Ostatnio coraz rzadziej natykał się po drodze na wrzucone przez fale do korytarza wyschnięte wodorosty i kawałki drewna... Jak w takich warunkach miał przyrzadzić ewentualną zdobycz? W plecaku niósł zapalniczkę – była elementem wielofunkcyjnego narzędzia zawierającego też ostry składany nóż i łyżkę. Miał też stalową miskę, którą kilkoma przyciśnięciami w odpowiednich miejscach mógł przekształcić w patelnię. Ale czy naprawdę musiał codziennie tracić po kilka godzin, żeby złowić...

W pewnym momencie zauważył kolejny głaz, oddalony może o pół mili na zachód. Kamień był wielki – rozmiarami dorównywał zębatym skalnym ścianom, które pokonywał w górach. Wystawał z północnej ściany Bruzdy, a zaraz za nim dno gwałtownie opadało. Głaz – a może fragment rafy koralowej? – miał niecodzienny kształt. Nie blokował Bruzdy na całej szerokości, nie ziało w nim wypalone przejście. Pole siłowe przebijał nachylony pod skosem i niknął w dennym mule. Co więcej, był dziwnie zaokrąglony i bardziej gładki niż wszystkie odłamki wulkanicznego bazaltu, jakie oglądał przez trzy ostatnie dni.

Harman potrafił już korzystać z oferowanej przez termoskórę funkcji optycznego przybliżania obrazu. Przyjrzał się więc dokładnie.

To nie był głaz. Z pola siłowego sterczała wielka, naprawdę gigantyczna, wyraźnie stworzona przez człowieka maszyna. Przednia jej część zagłębiała się pod ziemię. Dziób przypominał nos delfina butlonosego, a dalej obiekt rozszerzał się niczym kobiece uda i znikał w ścianie wody.

Harman schował niedojedzony baton, wyjął pistolet i przymocował go rzepem do termoskóry na wysokości pasa. Poszedł w stronę zjeżonego płytami pogiętego metalu i z odsłoniętymi żebrami, zatopionego statku.

Wkrótce zatrzymał się pod masywnym wrakiem – znacznie większym, niż ocenił z dystansu – i zrozumiał, że ogląda zniszczony okręt podwodny. Dziób był strzaskany, nagie wręgi rdzewiały raczej wskutek działania deszczu niż destrukcyjnego wpływu morza. Większa część gładkiego, pokrytego kojarzącą się z gumą substancją kadłuba była jednak niemal nietknięta. Okręt przebijał barierę pola siłowego i po dziesięciu metrach rozmywał się w podmorskim mroku.

Harman zwrócił uwagę na sporą wyrwę w kadłubie otwierającą się niedaleko od dziobu. Wyrwa w Bruździe, przemknęło mu przez myśl. Stał tak zalewany strugami siekącego deszczu i stwierdził, że mógłby schronić się we wraku. Stwierdził również, że byłby to przejaw czystego idiotyzmu. Jego zadanie nie polegało na badaniu liczących sobie dwa tysiące lat zatopionych okrętów, tylko na jak najszybszym powrocie do Ardis, a przynajmniej do jakiegokolwiek innego ludzkiego osiedla, i nieważne czy czeka go jeszcze siedemdziesiąt pięć dni, sto bądź nawet trzysta. Musiał iść dalej na zachód.

Zupełnie nie wiedział, co może się kryć w środku tej cholernej maszyny z Zapomnianej Ery, był jednak przekonany, że może tam zginąć. W dodatku nie sądził, by znalazł we wraku cokolwiek, co pomogłoby mu równie wydatnie jak wizyta w kryształowej klatce.

No tak, ale...

Nie potrzebował wiedzy z miliona książek, by wiedzieć, że jego gatunek – aczkolwiek poddany genetycznym manipulacjom i wzmocniony dzięki nanotechnologii – w ostatecznym rozrachunku wyewoluował z człękkształtnych małp. I chociaż ciekawość zabiła całe rzesze tych jego szlachetnych, zgarbionych przodków, to również pomogła im wstać na dwie nogi.

Plecak ukrył kilka metrów od dziobu – był nieprzemakalny, lecz Harman nie miał pewności, jak materiał zareaguje na zwiększone ciśnienie – wziął do ręki starożytny pistolet, aktywował wszyte w termoskórę plastry świetlne i precyzyjnie przycisnął się między porwanymi kawałkami stali do tonących w mroku korytarzy zniszczonego okrętu.

Grecy nie dotrwają do nocy.

Jeśli tak dalej pójdzie, nie doczekają nawet obiadu. A ja zginę wraz z nimi.

Achajowie cofają się, obronne półkole wciąż się zacieśnia. Biją się jak lwy, za plecami mają już brzeg i zabarwione szkarłatem morskie fale. Atak sił Hektora wydaje się niepowstrzymany. Odkąd tuż po świcie Trojanie ruszyli do szturm, padło przynajmniej pięć tysięcy Argiwów. Wśród powalonych znalazł się szlachetny Nestor – starzec jeszcze żyje, lecz trafił nieprzytomny do namiotu. Runął z rydwanu strącony uderzeniem włóczni, która przeszła mu ramię, gruchocąc przy tym kość. Sędziwy bohater, usiłujący zastąpić nieobecnych i martwych gigantów – postacie takie jak Achilles, Agamemnon, Menelaos, Ajaks Wielki, przebiegły Odys – walczył, jak mógł najmężniej, lecz tego jednego ciosu nie zdołał uniknąć.

Nie żyje Antilochus, syn Nestora i w ostatnich dniach najdzielniejszy pośród Achajów. Celną strzałą trojańskiego łuczника przebiła mu jelita. Drugi z synów starca – Trazymedes – zaginął w polu. Niebawem po rozpoczęciu rzezi wpadł do rojącego się od Trojan rowu obronnego i nikt nie widział go już od trzech godzin. Oczywiście rów wraz z pozostałymi umocnieniami dostał się w krwawe ręce Hektora.

Ajaks Mały jest ranny, otrzymał paskudne cięcie mieczem na wysokości piszczeli, tuż ponad nagolenicami, i kilka minut temu zniesiono go z placu w pobliże spalonych okrętów, choć przecież i tam nie będzie bezpieczny. Podalirius, zaprawiony w bojach oficer i uzdolniony medyk, syn legendarnego Asklepiosa, nie żyje – zasiekli go mordercy z nacierających hord Deifobosa, otoczyli genialnego uzdrowiciela, porąbali ciało na drobne kawałki, a zbryzganą krwią zbroję unieśli do Troi.

Z kolei Alastor – druh i wódz Teukrosa, który przejął dowództwo nad oddziałami Trazymedesa – padł na oczach swych ludzi, w trakcie straszliwego starcia poza porzuconymi okopami. Umierał długie minuty, miotając przekleństwa i wijąc się na ziemi z tuzinem sterczących z piersi strzał. Piątka Argiwów rzuciła się na wroga, by odbić ciało poległego, lecz wybili ich do nogi gwardziści z przedniej straży Hektora. Sam Teukros szlochał, powalając zabójców Alastora. Cofając się wraz z pozostałymi Grekami, posyłał strzałę za strzałą w ich flaki i oczodoły.

Nie ma już dokąd uciekać. Tłoczemy się zepchnięci na plażę, fale nadchodzącego przyływu obmywają nam sandały, zasypuje nas nieustający grad strzał. Wszystkie greckie konie zginęły brutalną śmiercią, z wyjątkiem tych nielicznych zwierząt, których właściciele ze łzami w oczach postanowili je uwolnić i pognali batami ku zbliżającym się szeregom nieprzyjaciół. Trojanie zdobyli dodatkowe łupy.

Jeżeli zostanę, zabiją i mnie. Gdy byłem scholiastą, a szczególnie w dniach, gdy służyłem jako tajny agent Afrodyty, wyposażony w lewitacyjną uprząż, pancerz, bransoletkę morfującą, paralizator i zapewniający niewidzialność Hełm Hadesa – a także parę innych gadżetów – czułem się praktycznie niepokonany, nawet jeśli zaplątałem się

względnie blisko ostrego starcia. W tej wojnie, poza strzałami, które niosą śmierć z niebywalej odległości, w zasadzie nie ma mowy o zabijaniu na dystans. Wszyscy wojownicy czują oddechy i pot swych przeciwników, wszyscy pokryci są plamami krwi, kawałkami mózgu i kropelkami śliny, których przybywa za każdym razem gdy wbijają stal – choć częściej jest to brąz – w podbrzusze kolejnego wroga.

Tymczasem w ciągu ostatnich dwóch godzin już trzykrotnie tylko o włos uniknąłem śmiertelnego ciosu. Raz włócznia, która przemknęła nad głowami obrońców, niemal odcięła mi jaja. Musiałem podskoczyć i kiedy grot wbił się w mokry piasek, ja opadłem, a drzewce zawibrowało i boleśnie wyrznęło mnie w krocze. Potem zbłąkana strzała musnęła mi włosy, a następna – jeden z tysięcy pocisków przesłaniających niebo i jeżących się na piachu niczym miniatura lasu – weszłaby prosto w moją krtań, gdyby pewien Argiw, którego imienia nie znam, nie osłonił mnie okrągłą tarczą przed zębatym, zatrutym grotem.

Muszę się stąd wynosić.

Od świtu moja dłoń już sto razy spoczęła na teleportacyjnym medalionie, lecz wciąż jeszcze nie uciekłem. I naprawdę nie jestem pewien dlaczego.

Nie, właściwie to jestem. Nie chcę porzucić wszystkich tych ludzi. Nie chcę szukać bezpieczeństwa w łaźni Heleny bądź na szczycie jakiegoś pobliskiego wzgórza, ze świadomością, że Achajowie, których obserwuję, z którymi rozmawiam i dzielę się chlebem i winem już od dziesięciu lat, giną szlachtowani na tej ciemnej od krwi plaży jak przysłowiowe zarzynane świnię.

Tyle że przecież nie zdołam ich uratować.

Zaraz, czy aby na pewno?

Sięgam do medalionu, wyobrażam sobie pewne znajome miejsce, przekręcam krawędź złotej błyskotki o pół obrotu i otwieram oczy, spadając z wysoka, z bardzo wysoka, w szybie windy.

Nie, wcale nie spadam. Uświadamiam sobie ten fakt dopiero po drugim wrzasku. Unoszę się swobodnie w głównym korytarzu na pokładzie „Królowej Mab”, na poziomie, na którym wyznaczono mi kajutę. Wówczas jednak panowało na statku ciężenie. A teraz jestem skazany na to spadanie, które nie jest upadkiem, na kołowroty akcentowane wymachami rąk, byle tylko dotrzeć do drzwi któregoś z mieszkalnych pomieszczeń bądź do odległej o dwadzieścia metrów kabiny astrogacyjnej.

Dwa czarne morawce z Pasa Asteroid – żołnierze pokryci stanowiącymi integralne części ich ciał kolczastymi pancerzami z chityny, istoty o głowach przypominających maski – wylatują z pobliskiego szybu windy, szybu, w którym nie ma żadnej kabiny, i natychmiast łapią mnie za ręce. Zaraz potem zawracamy i suniemy prędko z powrotem do szybu. Uświadamiam sobie, że skałowce poruszają się w nieważkości tak sprawnie nie dlatego, że są po prostu przyzwyczajone (choć na Pasi Asteroid grawitacja musi być zbliżona do tej, która panuje na statku), lecz ponieważ w ich ciała wbudowano niemal bezgłośnie silniczki manewrowe, z których tryskają strumienie substancji do złudzenia przypominającej zwykłą wodę. Nie jestem pewien, lecz suną płynnie i szybko. Bez słowa wciągają mnie do szybu, który, jak się okazuje, rozciąga się na całą długość „Królowej Mab”. Wyobraźcie sobie, że wskoczyliście właśnie do pustego szybu windy na szczycie

Empire State Building. Właśnie dlatego reaguję tak, jak zareagowałby każdy zdrowy na umyśle człowiek: drę się jak opętany.

Eskortujący mnie żołnierze pokonują ze mną setki stóp. Nie mam pojęcia, czy kierujemy się w górę, czy w dół. Jedynym dźwiękiem jest tutaj niemilknące echo mojego krzyku. Wreszcie przeciągają mnie przez przypominające membranę pole siłowe i trafiamy do jakiegoś pomieszczenia. Wokół panuje niemałe poruszenie i nawet wisząc do góry nogami, od razu rozpoznaję mostek. W trakcie lotu z Fobosa odwiedziłem to miejsce ledwie jeden raz, lecz o pomyłce nie może być mowy. Nieznajome morawce bacznie obserwują trójwymiarowe panele sterownicze, skałowieccy żołnierze stoją przy wyświetlaczach holograficznych. Po chwili zauważam generała Beh bin Adi, morawca, który przypomina pajaka – imię wyleciało mi z głowy – a także dziwacznej konstrukcji nawigatora Cho Li i naczelnego integratora Asteague/Che.

Ten ostatni odpycha się swobodnym ruchem od podłogi i płynie w powietrzu prosto w moją stronę. Żołnierze zdecydowanymi ruchami usadzają mnie na stalowym krześle i przywiązują, bym nie uciekł. Nie, jednak nie. Nie potraktowali mnie wcale jak jeńca, tylko opletli zabezpieczającymi pasami. Rzeczywiście jest lepiej – choćby dlatego, że siedząc w bezruchu, odzyskuję poczucie kierunków.

– Witam, doktorze Hockenberry, nie spodziewaliśmy się pańskiego powrotu – odzywa się niewysoki morawiec, kształtem i wzrostem przypominający Mahnmuta, lecz wykonany z metalu, tworzyw i polimerów w innych barwach. – Proszę wybaczyć brak ciężenia. Nie korzystamy w tej chwili z silników. Oczywiście mógłbym uruchomić dla pana pola siłowe, których napór stworzyłby pozór grawitacji, lecz prawda jest taka, że orbitujemy właśnie w pobliżu biegunowego pierścienia Ziemi i wolimy unikać zbyt dużych zmian w wewnętrznym przepływie energii „Królowej”. Lepiej nikogo nie drażnić.

– W porządku, czuję się świetnie – odpowiadam z nadzieją, że nie słyszeli moich wrzasków. – Muszę pomówić z Odyseuszem.

– Odyseusz jest obecnie... hm... niedysponowany.

– To naprawdę ważna sprawa.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Morawiec rozmiarami przywodzi na myśl Mahnmuta, lecz wygląda i mówi zupełnie inaczej.

Ze zdziwieniem uświadamiam sobie, iż jego głos działa na mnie kojąco.

– Kwestia jest rangi... – Urywam w pół zdania. Zabili Odyseusza! To oczywiste, te półroboty zrobiły coś strasznego z jedynym poza mną ludzkim pasażerem statku. Nie mam pojęcia, co mogli dzięki śmierci Achaja zyskać, ale przecież nie rozumiem dwóch trzecich z tego, co robią morawce. Bądź czego nie robią. – Gdzie on jest? – pytam, starając się brzmieć jak człowiek, który świetnie panuje nad sytuacją. Mimo że siedzę przypasany do krzesła. – Co wyście mu zrobili?

– Niczego synowi Laertesa nie zrobiliśmy – zapewnia naczelną integrator.

– Dlaczego mielibyśmy krzywdzić swojego gościa? – dziwi się rozkołysane na pajęczych odnóżach pudełko, morawiec, którego imienia wciąż nie pamiętam... Ach, nie! Już wiem! Jogenson Wsteczny... A może Gunderson? Jakoś tak po skandynawsku...

– W takim razie przyprowadźcie go tutaj – rzucam.

– Nie mamy takiej możliwości – tłumaczy Asteague/Che. – Nie ma go na

pokładzie.

– Nie ma go na pokładzie? – powtarzam, lecz moment później mój wzrok pada na holograficzne wyświetlacze zainstalowane zamiast okna we wgłębieniu ściany. Cholera, może to naprawdę iluminator? Jest Wypełniony obracającym się powoli biało-niebieskim masywem planety. – Czyli Odys poleciał na Ziemię? – domyślam się. – Na moją Ziemię?

Czy to naprawdę moja Ziemia? – zastanawiam się w duchu. Owszem, żyłem na tej planecie i umarłem, lecz jeśli wierzyć morawcom i bóstwom, działo się to tysiące lat temu.

– Nie, Odyseusz nie wybrał się na powierzchnię – wyjaśnia naczelny integrator. – Udał się z wizytą do Głosu, który nawiązał z nami kontakt w trakcie lotu... To właśnie Głos zażądał jego odwiedzin.

– Pokażcie doktorowi – proponuje generał Beh bin Adi. – Zaraz zrozumie, dlaczego nie może pomówić z Odyseuszem.

Asteague/Che przez moment rozważa sugestię, po czym odwraca się ku Cho Li – wnioskuje, że naradzają się przez radio – i nawigator wykonuje zawiły gest jedną ze swych macek. Niecałe dwie stopy przede mną materializuje się szeroki na sześć stóp holograficzny obraz.

Odyseusz kocha się z najbardziej zmysłową kobietą, jaką w życiu widziałem – może, naturalnie, z wyjątkiem Heleny Trojańskiej. Moje samcze ego żywiło dotąd przekonanie, że kiedy kochałem się – choć raczej po prostu odbywałem stosunki – z Heleną, wykazywałem się energią i pomysłowością. Jednak po trzydziestu sekundach, które spędziłem, gapiąc się z otwartymi ustami na to, co wyprawiają wspólnie nagi Odyseusz – mężczyzna o ciele poznanym licznymi bliznami, opalony, barczysty choć niewysoki – i ta kobieta – blada, egzotyczna, lubieżna, lekko owłosiona, która oczy podkreśliła niesamowicie dobranym makijażem – wiem już, że moje igraszki z Heleną były grzeczne, pozbawione polotu i w dodatku żałośnie powolne. Mam wrażenie, że oglądam parę zawodowych kochanków.

– Dość – proszę, czując, że zaschło mi w ustach. – Wyłączcie to.

Pornograficzne obrazy znikają.

– Kim jest ta... pani? – udaje mi się wydukać.

– Twierdzi, że nazywa się Sykoraks – odpowiada mi Czyjśson Wsteczny.

Wciąż nie mogę się przyzwyczaić do jego mocnego głosu i faktu, że dobiega z małego stalowego pudełka zawieszzonego pomiędzy cieniutkimi odnóżami.

– Pozwólcie więc, że zamienię kilka słów z Mahnmutem i Orphu z Io – mówię.

Oba te morawce znam najdłużej, a Mahnmut wydaje mi się najbardziej ludzką spośród maszyn. Podejrzewam też, że w zasadzie tylko jego mógłbym ewentualnie przekonać do swojego pomysłu.

– Obawiam się, że także i to jest wykluczone – odpowiada mi Asteague/Che.

– Jak to? Czy i oni właśnie baraszkują z jakimiś morawieckimi laluniami?

Po moich słowach zapada naganne milczenie i dociera do mnie, jak głupio zażartowałem.

– Mahnmut i Orphu polecili promem na Ziemię. Znajdują się już w atmosferze – tłumaczy naczelny integrator.

– Chyba możemy się z nimi połączyć przez radio czy coś? – pytam. – W końcu już za moich czasów, na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku nie było z podobnymi rzeczami większego problemu.

– Owszem, utrzymujemy kontakt – mówi Ktoś tam Wsteczny. – W tej chwili jednak bronią się przed atakiem i wolimy ich nie rozpraszać. Już teraz szanse ich przetrwania są w najlepszym razie mocno dyskusyjne.

Przychodzą mi do głowy kolejne pytania. Kto, do diabła, atakuje moich przyjaciół? Dlaczego? Czym? Rozumiem jednak, że wdawanie się w rozmowę na ten temat dodatkowo opóźni realizację mojego planu.

– Musicie otworzyć Dziurę Branową prowadzącą na plażę pod Ilionem – wypalam.

Generał Beh bin Adi, jakby dla podkreślenia pytania, wachluje czarnymi kolczastymi ramionami.

– Po co?

– Właśnie w tej chwili Trojanie dokonują masakry Achajów, a Grecy na tak podły koniec nie zasługują. Chcę im pomóc w ucieczce.

– Nie – rzuca generał. – Skąd w ogóle pomysł, że potrafimy otwierać Dziury Branowe?

– Stąd, że na własne oczy widziałem, jak to zrobiliście. Przecież to wy otworzyliście portale, którymi dotarliście na Marsa z Pasa Asteroid, a potem przypadkowo na Ziemię Ilionu. To się działo ponad dziesięć miesięcy temu. I ja tam byłem. Co, zapomnieliście już?

– Nasza technologia nie pozwala na tworzenie Dziur Branowych wiodących do równoległych wszechświatów – odzywa się Cho Li.

– Cholera, no przecież widziałem! – Słyszę w swoim głosie płaczliwą nutę.

– Widziałeś coś innego, doktorze – podejmuje Asteague/Che. – Tak naprawdę zrobiliśmy wtedy... To dość złożona kwestia i trudno ją przekonująco wyłożyć... Zresztą nie jestem naukowcem ani technikiem. W każdym razie... Dziesięć miesięcy temu zablokowaliśmy Dziury Branowe otwarte przez tak zwanych bogów, a część naszych podłączyliśmy tunelowo do utworzonej przez nich matrycy kwantowej.

– Zatem – nie rezygnuję – zróbcie to jeszcze raz. Od tego zależy życie lub śmierć dziesiątków tysięcy ludzi. A skoro już będziecie się fatygować, moglibyście również sprowadzić z powrotem kilka milionów Greków i przedstawicieli innych nacji Europy z Ziemi Ilionu. Mam na myśli tych, którzy zniknęli w błękitnym promieniu.

– To również pozostaje poza naszym zasięgiem – przyznaje naczelnny integrator.

„Więc, co wy, kurwa, potraficie?”. Tego pytania nie zadaję, choć bardzo mnie korci.

– Pan jednak jest wśród nas bezpieczny, doktorze Hockenberry – ciągnie Asteague/Che.

I znowu mam wielką ochotę wydrzeć się na te metalowo-plastikowe stwory, lecz dociera do mnie, że integrator ma rację. Na pokładzie „Królowej Mab” rzeczywiście nic mi nie grozi. Na pewno nie trojański miecz. A ta seksowna lalunia, która dosiada właśnie Odyseusza, może mieć siostrę...

– Muszę wracać – rzucam i zaraz potem przychodzi refleksja. Dokąd chcesz

wracać, kretynie? Do Ostatniego Bastionu Greków? To zupełnie jak nazwa nowojorskiej knajpy z greckim żarciem.

– Zginiesz tam, doktorze – zauważa generał Beh bin Adi. Ton wysokiego, humanoidalnego oficera-robota nie zdradza jednak nawet odrobiny żalu.

– Jeśli mi pomożecie, nie zginę.

Morawce milkną, ponownie naradzają się przez radio. Na jednym z holograficznych okien-wyświetlaczy wciąż widać parzących się jak króliki Odyseusza i kobietę o egzotycznej urodzie. Partnerka faktycznie siedzi w tej chwili na nim, co pozwala mi dostrzec jej urodę i niezmierną atrakcyjność o wiele wyraźniej niż przed kilkoma chwilami. Próbuję zapanować nad budzącą się erekcją. Gdyby morawce zauważyły moje podniecenie – a one widzą zwykle bardzo wiele – mogłyby opacznie to zinterpretować.

– Udzielimy pomocy w ramach ograniczonych naszymi możliwościami – odzywa się wreszcie Asteague/Che. – Czego potrzebujesz, doktorze Hockenberry?

– Muszę przenieść się w pewne miejsce i pozostać niezauważonym – mówię i opisuję im swój nieodżałowany Hełm Hadesa i morfującą bransoletkę.

– Technologia morfująca, przynajmniej w odmianie działającej na żywe organizmy, wykracza poza zakres dostępnej nam wiedzy – oświadcza... Ha! Przypomniałem sobie! Sinopessen Wsteczny. – Wymaga manipulacji rzeczywistością na poziomie kwantowym w skali, którą nie do końca rozumiemy. Wciąż daleko nam do skonstruowania urządzeń, które byłyby w stanie w odpowiednim stopniu wpływać na kolaps fali probabilistycznej.

– Ponadto nie mamy nawet cienia teorii, która mogłaby wyjaśnić sposób, w jaki Hełm Hadesa zapewniał faktyczną niewidzialność – wtrąca Cho Li. – Oczywiście istnienie takiego sprzętu wydaje się spójne z pozostałymi osiągnięciami techniki Olimpijczyków, tudzież istot, które za nimi stoją. Działanie Hełmu opiera się zapewne na mikroskopijnym przesunięciu kwantowym, lecz nie w przestrzeni, a w czasie.

– Czyli uda się wam coś takiego dla mnie zmagistrować? – pytam świadom, że zajęte własną misją morawce nie mają żadnego powodu, by choć kiwnąć dla mnie palcem.

– Nie – odpowiada naczelny integrator.

– Moglibyśmy dla doktora przerobić kameleona – zauważa generał Beh bin Adi.

– Fantastycznie – rzucam. – A co to takiego?

– Rodzaj tkaniny. Aktywnie maskujący polimer – tłumaczy oficer. – Prymitywny, ale skuteczny, o ile użytkownik nie porusza się zbyt szybko na ostro kontrastującym tle. Podobnego rodzaju powłoką pokryty był statek, którym Orphu z Mahnmutem lecieli na Marsa, z tym że tamta nie umożliwiłaby oddychania i nie blokowała fal podczerwonych. Kombinezon, o którym myślę, jest wyposażony dodatkowo w nanocytowe okulary niezakłócające efektu kameleona.

– Przecież bogowie tamten statek wykryli i strącili – przypominam.

– Cóż, naturalnie... Nie wolno o tym zapominać.

– I ten strój z maskującego polimeru to wasza najlepsza propozycja?

– W tej chwili nie dysponujemy niczym bardziej wyrafinowanym – stwierdza Asteague/Che.

– W takim razie nie mogę marudzić. Jak długo zajmie waszym ludziom... znaczy waszym morawcom... przygotowanie dla mnie odpowiedniego skafandra? Muszę mieć też trochę czasu, by nauczyć się obsługi.

– Poleciałem fachowcom z wydziału inżynierii środowiskowej, by rozpoczęły pracę zaraz, gdy o tym wspomniałem. Wymiary zaczerpnęliśmy z archiwum. Powinni dostarczyć gotowy produkt za około trzech minut.

– Cudownie. – Właściwie wcale nie jestem pewien, czy tak cudownie.

Dokąd właściwie powinienem się udać? W jaki sposób przekonać osoby, które spotkam, by pomogły Grekom? I dokąd mogliby uciec Achajowie? Ich rodziny, bliscy i niewolnicy zniknęli wessani w strzelający z Delf błękitny promień. Zupełnie jakbym już nie mógł się doczekać podróży, muskam złotą obwódkę wiszącego na mojej szyi medalionu.

– A właśnie – podejmuje Cho Li. – Pański medalion nie działa.

– Co!! – zrywam pasy i unoszę się w powietrze. – Co to ma znaczyć, do cholery?

– Przy okazji pierwszego pobytu doktora na pokładzie „Królowej” zbadaliśmy go dokładnie i okazało się, że jest w zasadzie bezużyteczny.

– Pieprzenie. Sami mi wcześniej tłumaczyliście, że nie możecie go skopiować, że jest przypisany do mojego DNA czy coś...

Naczelny integrator wydaje z siebie odgłos zadziwiająco bliski chrząknięciu zażenowanego człowieka.

– Prawdą jest, iż zachodzi pewna... komunikacja pomiędzy medalionem a pańskimi komórkami i kodem genetycznym, doktorze Hockenberry. Samo urządzenie jednak nie wywołuje żadnych efektów kwantowych. To nie ono tekuje pana przez przestrzeń Calabiego-Yau.

– Coś się wam pomieszało. – Staram się panować nad językiem. Wciąż potrzebuję ich pomocy i tego gadziego kombinezonu. Muszę się stąd wyrwać. – Przecież przeniosłem się dziś na „Królową”, tak? I to ze wszechświata Ziemi Ilionu.

– Owszem – potakuje Cho Li. – Nie przeczę. Niemniej odbyło się to bez udziału tej złotej błyskotki. Dla nas ta sprawa również jest tajemnicza.

W drzwiach szybu staje morawiecki żołnierz z maskującym skafandrem. Sam strój nie wygląda w żaden sposób wyjątkowo. Przypomina mi przerośniętą odmianę tak zwanego garnituru sportowego, jaki z głupoty nosiłem w latach siedemdziesiątych. Identyczne są nawet te idiotyczne, spiczaste klapy i podobny kolor. Zielonkawy. Zupełnie jak małpie rzygi.

– Klapy się rozkładają, tworząc zamknięty kaptur – tłumaczy Asteague/Che, zupełnie jakby czytał mi w myślach. – A skafander jest bezbarwny. Zieleń wynika jedynie z domyślnych ustawień. W końcu trzeba go jakoś widzieć.

Odbieram strój od skałowca i popełniam błąd. Próbuję go na siebie wciągnąć. Po kilku sekundach koziołkuję bezradnie w powietrzu. Wymachuję bezużytecznym skafandrem niczym flagą.

Z opresji wybawiają mnie generał Beh bin Adi i jego podkomendny. Przytrzymują mnie – w jakiś sposób dokładnie wiedzą, w których miejscach konsoli stawiać stopy, by samemu nie oderwać się od pokładu – i bez ceregieli wciskają mnie w zielonkawy strój.

Następnie przypinają do kombinezonu jeden z pasów krzesła, zdaje się, że rzepem. Przystają się obracać.

Rozkładałam klapy, z których rzeczywiście powstaje kaptur. Naciągam go na głowę.

Procedura nie jest nawet w przybliżeniu tak wygodna jak zakładanie Hełmu Hadesa. Między innymi dlatego, że w tym gadzim skafandrze robi mi się cholernie gorąco. A te całe nanodingsy, które pozwalają widzieć na wskroś materiału, mają poważny problem z dostrojeniem ostrości. Jestem przekonany, że po godzinie dopadnie mnie paskudna migrena.

– I jak leży? – pyta naczelny integrator Asteague/Che.

– Wspaniale – kłamię. – Widzicie mnie?

– Widzimy, ale tylko dzięki radarom grawitacyjnym i w niewidzialnym paśmie fal elektromagnetycznych. Pod względem optycznym, doktorze, doskonale zlewasz się z tłem. Konkretnie z generałem bin Adi. Czy osoby, przed którymi zamierzasz się ukryć, dysponują radarem grawitacyjnym, zaawansowanymi technikami obserwacji w podczerwieni, tudzież innymi podobnymi zdobyczami?

Świetne pytanie. Nie mam bladego pojęcia.

– Jest pewien problem – mówię.

– Tak? Może uda się go usunąć. – W głosie integratora pojawia się szczerą troską, a nawet pewną dozę niepokoju. Moja żona uwielbiała Jamesa Masona.

– Żeby się tekować, muszę przekręcić krawędź medalionu – tłumaczę, zastanawiając się jednocześnie, jak bardzo kaptur tłumi moje słowa. Po skroniach, policzkach i klatce piersiowej spływają mi strużki potu. – Nie mogę tego zrobić, jeśli nie rozepnę skafandra, więc...

– Maskujący polimer jest bardzo rozciągliwy – przerywa mi Beh bin Adi. Odnoszę wrażenie, że jest zniesmaczony moim brakiem spostrzegawczości. – Pozwala wyciągnąć ramię z rękawa wewnątrz bez rozpinania stroju. Nawet dwa ramiona.

– A, faktycznie – mówię, postępując za jego radą. I na tym kończę udział w dyskusji. Aktywuję medalion i znikam z pokładu „Królowej Mab”.

„No i co? Działa!” – mam ochotę krzyknąć, kiedy materializuję się w wyobrażonym przed momentem punkcie czasoprzestrzeni. Zaraz potem dociera do mnie, że zapomniałem poprosić morawce o broń. A także o zapas prowiantu i wody. I jakiś pancerz.

I znacznie lepiej będzie, jeśli powstrzymam się od krzyków.

Stoję w głównej sali olimpijskiego Dworu Bogów, w której zebrały się chyba wszystkie bóstwa – z wyjątkiem Hery, której tron spowity jest czarnym, pogrzebowym kirem. Zeus – dzisiaj ma chyba jakieś pięćdziesiąt stóp wzrostu – zasiada na swoim złotym tronie.

Tyłu bogów naraz nie widziałem nawet podczas ich ostatniego walnego spotkania, które obserwowałem ukradkiem pod osłoną Hełmu Hadesa. Hełmu, który był nieskończenie bardziej wygodny od tego polimerowego skafandra. Wielu z obecnych nie rozpoznaje nawet ja, choć przecież raporty z wojny trojańskiej składałem na Olimpie przez bite dziesięć lat. Są ich setki... Nie, z pewnością grubo ponad tysiąc.

I wszyscy milczą. Czekają, aż przemówi Zeus.

Staram się oddychać jak najciszej, próbuję nie zemdleć w tym przeklętym, dusznym kombinezonie. Mam też szczerą nadzieję, że ani jeden nieśmiertelny nie dysponuje radarem grawitacyjnym bądź zaawansowaną techniką obserwacji w podczerwieni. Stoję bez jednego ruchu, niemal ramię w ramię z gęstą ciżbą bogów i bogiń, nimf, furii, erynii i półbogów. Czekam, by usłyszeć, co ma do powiedzenia Gromowładny.

Jeszcze zanim Harman wszedł do zatopionego wraku przez wyrwę w kadłubie, miał dość dobre pojęcie, czym okręt w istocie jest. Pakiety białkowej pamięci w jego ciele niosły w sobie tysiące informacji o rozmaitych rodzajach statków krążących po ziemskich morzach przez dziesięć tysięcy lat historii gatunku ludzkiego. Nie był co prawda w stanie dokładnie określić klasy jednostki – nie w oparciu o zniszczony dziób, otaczające go fragmenty poszycia i porwane płachty pochłaniającej fale sonaru tkaniny, która pokrywała intelistałową konstrukcję – lecz było raczej oczywiste, że wkracza na pokład okrętu podwodnego pochodzącego z końcowego okresu Zapomnianej Ery. Niewykluczone, że został skonstruowany już po epidemii rubikonu, lecz jeszcze przed pojawieniem się pierwszych postludzi. W czasach Demencji.

Wszedł do środka. Mimo że w tej części zatopionego statku było sucho, wciąż oddychał przez maskę osmotyczną. Gdy ruszył lekko nachylonym korytarzem, nie miał już wątpliwości. To był okręt podwodny.

Zatrzymał się w pomieszczeniu, gdzie podłoga była odchyłona od pionu o jakieś dziesięć stopni. Wskutek starożytnej katastrofy – zderzenia z morskim dnem dwieście stóp pod powierzchnią, na długo przed powstaniem Bruzdy – pogięły się metalowe ściany, a sześć podłużnych cylindrów sturlało się ze swoich stojaków. Pomyślał, że pistolet nie będzie mu potrzebny. Nic nie zapowiadało, by ktokolwiek mógł tu żyć. Przypiął więc broń do rzepa na prawym biodrze i przesłonił go fałdą elastycznej termoskóry. Teraz była równie bezpieczna, jakby ukrył ją w jednej z tych staroświeckich kabur, jakie poznał dzięki kryształowej klatce.

Przycisnął prawą dłoń do zaokrąglonej krawędzi jednego z walcowatych zbiorników. Chciał sprawdzić, czy funkcja wyszukiwania informacji zadziała też przez cząsteczkowej grubości rękawicę termoskóry.

Zadziałała.

Harman stał w przedziale torpedowym podwodnego okrętu wojennego klasy „Mahomet”. SI systemu naprowadzającego torpedę, której właśnie dotknął – jeszcze mgnienie wcześniej nie miał o istnieniu torped pojęcia – wygasła ponad dwa tysiące lat wcześniej, lecz nieczynne mikroobwody zachowały w sobie szczątkową pamięć, z której dowiedział się, że tuż pod jego ręką znajduje się bojowa głowica nuklearna, zamontowana na dziobie ważącej trzydzieści cztery tysiące funtów, szybkiej, samokawitującej, samosterującej torpedy. Ta konkretna głowica bojowa – jeszcze jedno pojęcie, które przyswoił sobie w tej chwili – była prostą bombą atomową o mocy jedynie 475 kiloton. Kula ognia, jaka wyrosłaby w chwili wybuchu z ładunku wielkości perły, ładunku, który spoczywał kilka cali od niego, po upływie milionowej części sekundy rozgrzałaby się do dziesiątków milionów stopni. Harman niemal namacalnie poczuł obecność przyczajonych w torpedzie śmiertcionośnych neutronów i promieniowania gamma, niewidzialnych aniołów zagłady gotowych rozpierzchnąć się z prędkością światła we wszystkich

kierunkach i zabić bądź skazić wszystkie napotkane ludzkie tkanki i nerwy, przez które przeniknęłyby równie łatwo jak pistoletowa kula przez kostkę masła.

Cofnął gwałtownie dłoń i otarł palce o nogawkę skafandra, jakby chciał się pozbyć oślizłej mazi.

Cały statek został zaprojektowany z myślą o zabijaniu istot ludzkich. Przelotny kontakt z martwą SI torpedy pozwolił mu jednak zrozumieć, że głowice bojowe nie miały żadnego związku z prawdziwym celem misji okrętu. Aby ten cel poznać, musiałby opuścić przedział torpedowy, przejść po pochyłym pokładzie przez mesę oficerską, mesę ogólną, wspiąć się po drabince poziom wyżej, minąć stanowisko sonaru, kabinę łącznościową, a potem wejść jeszcze wyżej i znaleźć się na mostku.

Tyle że wszystko, poza bliższą częścią przedziału torpedowego, znajdowało się pod wodą.

Promienie światła z płaskich reflektorów na piersi Harmana omiotły znajdującą się niecałe piętnaście stóp od niego północną ścianę Bruzdy. Okręt podwodny osiadł na dnie i został całkowicie zalany wodą na długo przed powstaniem suchego przejścia przez Atlantyk. Moc, która stworzyła Bruzdę, wysłała wody oceanu z czołowych przedziałów statku, lecz wówczas nie żyło tu już nic. Nie zobaczył nawet wyschniętych pąkli, choć przecież przez całe wieki wrak musiał tętnić życiem. Nie zauważył również ludzkich kości ani innych śladów załogi. Pole siłowe, które powstrzymywało napór oceanu, nie przerwało ciągłości intelistalowego kadłuba, nie naruszyło metalowej konstrukcji – Harman wyraźnie widział w świetle swych lamp, że pokład nad jego głową nie jest uszkodzony – lecz bez trudu mógł sobie wyobrazić wypełniający okręt owalny plaster oceanu. Ściana Bruzdy opierała się masom wody, ale tuż za nią... Harman wiedział, że na tej głębokości musi panować koszarne ciśnienie, wpatrywał się w lity czarny mur odbijający blask reflektorów niczym przydymione zwierciadło.

Nagle uderzyła go fala mdlącej, straszliwej grozy. Żeby nie upaść na skorodowany pokład, musiał przytrzymać się odstręczającej torpedy. Chciał uciec z tego wiekowego okrętu wojennego, prosto na słońce i świeże powietrze. Chciał zerwać z twarzy maskę osmotyczną i choćby wymiotować, byle tylko pozbyć się trucizny, która nagle popłynęła w jego żyłach i umyśle.

Torpeda, o którą się oparł, była najzwyczajniejsza na świecie. Zaprojektowano ją z myślą o niszczeniu innych okrętów, co najwyżej portów, a mimo to zamknięta w niej niszczycielska moc trzykrotnie przewyższała tę, która zmiotła z powierzchni ziemi Hiroszimę – to już trzecie słowo i skojarzenie, jakie przyswoił dzisiaj skołatany umysł Harmana – i gdyby ładunek eksplodował, zniszczyłby wszystko na obszarze stu mil kwadratowych.

Ocena rozmiarów i odległości zawsze szła mu dobrze, mimo że żył w epoce, w której podobne umiejętności nie były właściwie potrzebne. Bez trudu więc zwizualizował sobie ten kwadrat – dziesięć mil na dziesięć – w sercu Krateru Paryskiego, a potem wyobraził sobie, że w jego środku znajduje się Dwór Ardis. W domu Ady wybuch nie tylko doprowadziłby w ciągu mikrosekundy do całkowitego wyparowania wszystkich zabudowań, lecz unicestwiłby również wzniesioną z takim wysiłkiem palisadę. W niecałą sekundę potem ognista kula ogarnęłaby oddalony o ponad milę

pawilon faksowężła, płynąca wśród wzgórz rzeka zmieniałyby się w kłęb pary, a las w stos popiołów. Bezustannie rozszerzający się krąg natychmiastowego zniszczenia sięgnąłby na północ od Głodnej Skały, na której oglądał pod całunem turyńskim Adę i innych.

Harman uruchomił funkcję monitorującą panujące w otoczeniu warunki – zbyt długo z tym zwlekał – i otrzymał wiadomość, jakiej obawiał się najbardziej. Przedział torpedowy był mocno napromieniowany. Co prawda szkodliwy wpływ głowicy uszkodzonej torpedy już dawno temu zmalał niemal do zera, lecz przy okazji napromieniowaniu uległo całe otoczenie.

Czujniki informowały, że jeszcze gorzej sytuacja przedstawia się dalej w stronę rufy, czyli dokładnie tam, dokąd musiałby się udać, gdyby zechciał poznać tajemnicę zatopionego okrętu. Być może radioaktywnością siał rozszczelniony od wieków reaktor atomowy, który w przeszłości napędzał śmiercionośną maszynę. Przed Harmanem rozciągało się radioaktywne piekło.

Funkcje biometryczne poznał już na tyle dobrze, że wiedział, iż może zadawać im proste pytania. Tak też uczynił.

Czy termoskóra zapewni mi stosowną ochronę przed panującym na okręcie promieniowaniem?

Usłyszał w głowie jednoznaczną odpowiedź: Nie.

Wyprawa w głąb statku byłaby przejawem zwykłej głupoty. Harman nie miał dość odwagi, by przeniknąć przez ścianę, zanurzyć się w czarne odmęty i radiacyjny wir, przejść przez przedział torpedowy, ciemną i zimną mesę, gdzie starożytne liczniki Geigera zapewne dawno już oszalały, a wskazówki oderwały się od tarcz. Potem musiałby jeszcze ominąć sonary i stanowiska łączności i posuwać się dalej, w górę, na zalany mostek. Przerazające było już samo wyobrażenie tej dalekiej wędrówki, strach przenikał Harmana do szpiku kości.

Obłędem byłoby także pozostanie na tym złowrogim okręcie. Oznaczało zarazem jego śmierć i koniec nadziei dla całego ludzkiego rodu. Ostateczny kres wiary Ady na jego powrót, przekreślenie możliwości, by jego nienarodzone dziecko zaznało w tych strasznych i niebezpiecznych czasach ojcowskiej opieki. Po prostu śmierć całej przyszłości.

A jednak musiał się dowiedzieć. Kwantowe resztki SI torpedy podsunęły mu dość informacji, by zaczęła go drażnić ciekawość. Koniecznie musiał poznać odpowiedź na jedno okrutne pytanie. Dlatego właśnie poszedł przerażony naprzód. Krok za krokiem.

Mimo że spędził w Bruździe już trzy dni i noce, na drugą stronę pola siłowego przeszedł dopiero pierwszy raz. Ściana okazała się półprzepuszczalna, podobnie jak membrany w drzwiach na orbitalnej wyspie Prospera. Harman wiedział już teraz, że „półprzepuszczalna” oznacza tyle, że postludzie i ludzie dawnego typu mogli się przez nie przeciskać, poza tym jednak zasłona nie ustępowała przed niczym. W odróżnieniu od błoniastych wejść na pierścieniu, tutaj musiał wkroczyć w strefę ogromnego ciśnienia, lodowatego zimna i ciemności.

Był przekonany, że termoskóra, mimo że nie osłaniała przed promieniowaniem, zapewni mu w morskich głębinach odpowiednią ochronę. Nie zawiódł się. Nie sprawdził nawet dostępnych w pamięci białkowej informacji na temat konstrukcji kombinezonu.

Nie obchodziło go, w jaki sposób termoskóra radzi sobie z wysokim ciśnieniem. Liczyło się tylko, że radziła sobie skutecznie.

Reflektory na jego piersiach automatycznie zaświeciły jaśniej, dzięki czemu promienie sięgnęły głębiej przez pełną drobnych zanieczyszczeń wodę.

Zalane pomieszczenia okrętu okazały się równie pełne życia, jak sterylne były suche korytarze. Wydawało się, że zamieszkujące wrak istoty nie tylko nie giną wskutek promieniowania, lecz wręcz się nim karmią i dzięki niemu rozwijają. Wszystkie metalowe powierzchnie były pokryte gęstymi kobiercami zmutowanych, przypominających korale grzybów i masami zielonych, różowych i szaroniebieskich istot, których wąsy i wachlarze leniwie falowały w delikatnych prądach. Spłoszone, wyglądające prawie jak kraby stworzenia czmychały przed snopami światła. Krwistoczerwony węgorz wyskoczył gwałtownie ze swej kryjówki we włazie, lecz prawie natychmiast cofnął łeb i po chwili widać było już tylko dwa rzędy połyskujących w świetle zębów. Wychodząc z przedziału torpedowego, Harman ominął go z należyтым respektem.

Z umarłej SI torpedy odczytał schematyczny plan okrętu i ustalił trasę na mostek. Zniknęła jednak drabinka, którą miał się dostać na pokład mesy. Większość elementów wraku została wykonana z superwytrzymałych stopów metali, które nawet pod wodą mogły spokojnie wytrzymać kolejne dwa tysiące lat, lecz drabinę – „trap” lub „schodnię”, jak się dowiedział z zasobów swojej pamięci białkowej – rdza przeżarła do cna już dawno temu.

Harman zanurzył palce w pokrywającym ściany nachylonego korytarzyka mule, rozgarnął las falujących, żywych wachlarzy i z nadzieją, że nie podsuwa właśnie rąk kolejnemu zębataemu węgorzowi, podciągnął się z wysiłkiem i ruszył ku górze przez zawieszistą jak zupa zieloną wodę. Co chwila musiał ocierać maskę osmotyczną z oblepiających całą termoskórę drobinek glonów i radioaktywnych żyjątek.

Na poziom mesy dotarł w stanie bliskim hiperwentylacji. Z doświadczenia wiedział, że maska podaje mu odpowiednią ilość czystego tlenu, lecz świadomość, iż na każdy centymetr kwadratowy jego ciała napiera potężne ciśnienie, wywoływała bardzo nieprzyjemne wrażenia. Nie musiał sięgać do swojej białkowej pamięci, by wiedzieć, że kombinezon skutecznie ochroni go przed ciśnieniem i zimnem – w końcu przeżył w nim już pobyt w otwartej próżni – niemniej w przestrzeni kosmicznej było znacznie czystiej.

Ciekawe, zastanowił się, czy szlam, który oblepia mi teraz maskę, powstał z rozłożonych ciał załogi?

Przyrzekł sobie, że nie będzie snuć podobnych rozważań. Były nie tylko makabryczne, ale też niedorzeczne. Przecież nawet jeżeli ktoś zginął na pokładzie, to wiecznie głodne morskie istoty w kilka lat musiały ogryźć ich ciała do nagich kości, a potem zajęły się rozkładem samych szkieletów.

Mimo to...

Skupił się na drodze. Przedzierał się właśnie przez płataninę poprzewracanych, zarośniętych wodorostami koi. O tym, że dawniej znajdował się tu przedział sypialny, wiedział jedynie dzięki informacjom zaczerpniętym z SI torpedy. Obecnie pomieszczenie przypominało zagarniętą przez las grobową kryptę. Z tą jedyną różnicą, że zamiast gnijących ciał Kapuletów i Montekich wśród półek pokrytych grubymi warstwami

grzybów żerowały zmutowane kraby i węgorze.

W sumie powinienem poczytać więcej tego całego Szekspira, stwierdził w duchu. Białkowa pamięć raz po raz podsuwała mu odniesienia do dzieł dawnego pisarza.

Rozgarniając ramionami istne stalagmity szlamu, przeszedł przez kolejny właz i znalazł się w zniszczonej mesie. Szczątki długiego stołu skojarzyły mu się z jakiegoś powodu ze stołem Kalibana, który widział na Wyspie Prospera. Może dlatego, że żyjące na nim grzyby i mięczaki przybrały wskutek mutacji krwistoczerwoną barwę.

Pamiętał, że na końcu tej szkarłatnej jaskini znajdzie prowadzącą ku górze drabinkę – prawdziwą drabinę, nie nachylony trap – po której można się dostać do kabiny łącznościowej, skąd przez stanowisko sonaru dotrze już na mostek.

Drabinki nie było. Co gorsza, pionowy korytarzyk był zatkany zielono-niebieskimi wodorostami. Harmanowi przypomniały się opowieści Daemana wspominającego porośnięty błękitnym lodem Krater Paryski.

Tutaj jednak miał do czynienia ze zwykłymi – choć zmutowanymi – ziemskimi organizmami. Zaczął więc rozrywać gęstą zasłonę mocnymi ruchami ramion, niszcząc efekt wiekowej, cierplivej pracy natury. Wiele by w tej chwili dał za siekierę. Woda wokół niego zgęstniała od organicznej zawiesiny tak bardzo, że nie widział nawet własnych dłoni. W pewnym momencie coś długiego i oślizłego – znowu węgorz? A może wąż morski? – otarło się o jego ciało i zniknęło na dolnym pokładzie. Nieprzerwanie wrywał zbite kępy i grudy miękkiej, mazistej, radioaktywnej mazi. Przedzierał się po omacku coraz wyżej.

Miał wrażenie, że przeżywa ponowne narodziny, lecz tym razem miał się wynurzyć w znacznie bardziej przerażającym świecie.

Zmagał się z wodorostami tak zaciekle, że kiedy wreszcie znalazł się w pomieszczeniu łącznościowym, w pierwszej chwili zupełnie się w tym nie połapał. Harmana otaczały wiszące zielone wąsy, w wodzie unosiło się tak wiele drobinek, że oślepiały go odbicia światła własnych reflektorów. Zbyt wyczerpany, by iść dalej, ułożył się w tej gęstej, pierwotnej zupie.

Wtem przypomniał sobie, że każda spędzona w tym zabójczym wraku chwila podnosi ryzyko śmierci. Podniósł się na kolana, zerwał czepiające się ramion i pleców wąsy i pnącza i ruszył ociężale ku rufie.

Aparatura w przedziale łącznościowym wciąż działała.

Harman zamarł. Uśpione w jego ciele funkcje, których nie zdążył dotąd sprawdzić, poinformowały go o czujnej aktywności urządzeń ukrytych pod żywym szarozielonym dywanem. Próbowaly się z kimś skontaktować. Nie z nim. Komunikacyjna SI nie zarejestrowała nawet jego obecności – zdolność do rozmów z ludźmi maszyny okrętu utraciły wskutek procesu kwantowego przesunięcia rdzeni obsługujących je komputerów.

Niemniej z kimś próbowaly się porozumieć – potrzebowały rozkazów. Od kogoś bądź czegoś.

Wiedząc, że nie znajdzie tu tego, po co przyszedł, na pół brodząc, na pół płynąc, poszedł dalej, mijając salę sonarów i przedział nawigacyjny.

Gdyby kiedykolwiek wcześniej myślał o łodziach podwodnych – SI torpedy upierała się, że tego typu statki bezwzględnie należy nazywać „okrętami” – domyśliłby

się zapewne, że składają się z wielu niewielkich przedziałów odgradzonych od siebie wodoszczelnymi grodziami. Ten okręt wyglądał inaczej. Przestrzenie były w stosunku do całości kadłuba dość duże i nieprzesadnie posegmentowane. Gdyby ocean wdarł się do wnętrza, jak się zresztą najwyraźniej stało, załoga nie zginęłaby śmiercią powolną. Nie utonęliby, walcząc pod sufitem o ostatni łyk powietrza. Umarliby zabici potężną falą, której ciśnienie w kilka sekund pozbawiłoby życia każdego na pokładzie. Harman odniósł dziwne wrażenie, że ludzie, którzy tym okrętem pływali, świadomie wybrali gwałtowną śmierć, że nie chcieli tonąć w ciasnych pomieszczeniach.

Przestał wiosłować ramionami i opadł stopami na pokład. Stał na środku mostka.

Sala nie była tak gęsto porośnięta wodorostami jak poprzednie. Wokół widział znacznie więcej odsłoniętych metalowych elementów. Korzystając z pobranego z torpedy planu, wypatrzył stanowiska zawiadowania systemami bojowymi i odpalania torped – pionowe kolumny ze stali, które w warunkach bojowych otaczały się mrowiem wirtualnych instrumentów kontrolnych i wskaźników. Harman obszedł mostek dokoła, co chwila dotykając przez cienką warstewkę termoskóry metalowych i plastikowych pokryw, wsłuchiwał się w meldunki wbudowanych w aparaturę, martwych mózgow kwantowych.

Brakowało kapitańskiego fotela, nie zobaczył niczego, co mogło go zastąpić. Dowódca zapewne stał tutaj, w pobliżu centralnie umieszczonego holograficznego stołu nawigacyjnego, przed konsolą – w standardowych warunkach wirtualną, a w przypadku awarii korzystającą z ciekłokrystalicznych wyświetlaczy – podającą informacje o wszystkich systemach i układach okrętu.

Harman poruszył dłonią w zielonym mroku i wyobraził sobie ekran sonaru pojawiający się... o, tutaj. Wyświetlacze taktyczne... bardziej w lewo. Kilka metrów wcześniej minął przypominające kapelusze szarych, oślizłych grzybów stołki, na których siedzieli marynarze śledzący bezustannie zmieniające się dane o stanie balastu, radary, sonar, informacje o kursie i położeniu statku, o dronach i gotowości bojowej torped. Obok znajdowały się też jak najbardziej materialne koła sterów głębokości.

Oderwał dłoń. Te bzdury nie miały dla niego żadnego znaczenia. Chciał się tylko dowiedzieć..

Tam!

Czarny, stalowy monolit stał tuż za stanowiskiem kapitana. Jego powierzchni nie mąciło nic, nie przywarł do niego ani jeden mięczak, ani gałązka koralu, nawet gram szlamu. Harman zauważył go dopiero teraz, ponieważ kiedy wcześniej krążył po mostku, światło lamp nie odbiło się od głęboko czarnego materiału.

W monolicie zamknięta była główna SI okrętu, stworzona, by na rozmaite sposoby kontaktować się z dowódcą i załogą. Harman zdawał sobie sprawę, że komputer kwantowy, nawet pochodzący z Zapomnianej Ery, nawet taki jak ten, martwy już od ponad dwóch tysięcy lat i dysponujący ledwie procentem swej nominalnej mocy obliczeniowej, i tak będzie bardziej pełen życia niż większość żywych istot. Sztuczne kwantowe umysły umierają niełatwo i bardzo powoli.

Rozumiał także, iż bez odpowiednich kodów nie uzyska bezpośredniego dostępu do głównych banków pamięci SI okrętu. Być może nie znał nawet języka, w którym

zostały sformułowane. Z drugiej strony nie miało to większego znaczenia. Przyszedł tu, niosąc zapisane w swym DNA funkcje stworzone na długo po śmierci tej maszyny. Okręt nie miał szans uchronić przed nim żadnej ze swych tajemnic.

Ostatnia myśl wydała mu się przerażająca.

Poczuł, że gorąco chce opuścić tę zatopioną kryptę. Chciał uciec przed promieniowaniem, które – kiedy tak stał niezdecydowany – przez cały czas przenikało jego skórę, mózg, jądra, wnętrzności i oczy.

Niemniej musiał poznać prawdę.

Przytknął dłoń do czarnego monolitu.

Okręt nosił nazwę „Miecz Allaha”. Wyszedł z portu w dniu...

Harman pomiął treść dziennika pokładowego, pomiął daty i przyczyny wybuchu starożytnego konfliktu – upewnił się tylko, że wojna faktycznie została stoczona już po uwolnieniu wirusa rubikonu, w latach Demencji, gdy kończyła się epoka Kalifatu Światowego, zachodnie demokracje nie istniały już od długiego czasu, a Nowa Unia Europejska była li tylko fikcyjnym związkiem zwasalizowanych państweczek, ledwie zipiących pod batem rosnącego w siłę Chanatu...

To wszystko również się nie liczyło. Istotne było to, co znajdowało się w brzuchu okrętu, równie rzeczywiste jak rozwijający się w łonie Ady płód.

W przyśpieszonym tempie odsłuchał testament dwudziestu sześciu marynarzy z załogi „Mieczy Allaha”. Okręt – klasa Mahomet, nosiciel rakiet balistycznych – był jednostką zautomatyzowaną do tego stopnia, że do jej obsługi wystarczało osiem osób. Do tej ostatniej misji zgłosiło się jednak tak wielu ochotników, iż zdecydowano się wyprawić w morze aż dwudziestu sześciu Wybranych.

Sami mężczyźni. Bez wyjątku żarliwi wyznawcy swojej religii. W obliczu zbliżającej się zagłady wszyscy polecili dusze Allahowi. Ich zgubą okazał się ciasny kordon sił Chanatu: okręty podwodne, samoloty, statki kosmiczne i jednostki nawodne. Marynarze wiedzieli, że pozostały im jedynie minuty życia, wiedzieli też, że już za kilka minut zniszczenie czeka całą Ziemię.

Kapitan wydał rozkaz odpalenia pocisków. Główna SI decyzję poparła i przekazała dalej.

Dlaczego rakiety nie wystrzeliły? Harman przetrząsnął najgłębsze kwantowe zakamarki SI, lecz nie znalazł na to pytanie odpowiedzi. Człowiek wydał rozkaz, cztery fizyczne klucze trafiły do właściwych gniazd i zostały przekreścone. Koordynaty celów oraz indywidualne polecenia bojowe potwierdzono i przekazano. Pociski przeszły standardową sekwencję startową, wszystkie wymagane przełączniki – wirtualne i fizyczne – zaskoczyły. Podwójne zestawy hydraulicznych siłowników uniosły potężne stalowe pokrywy wyrzutni i między pociskami a wodą oceanu zostały już tylko cienkie kopułki z niebieskiego włókna szklanego. Do wyrzutni wtłoczono pod ciśnieniem azot, który nie pozwalał wodzie wypełnić silosów aż do samego momentu odpalenia. Czterdzieści osiem rakiet powinno było wyskoczyć ze swych gniazd wskutek eksplozji azotu podpalonego czterdziestoma ośmioma zapalnikami elektrycznymi o napięciu dwóch i pół tysiąca wolt. Ciśnienie rozszerzającego się gazu w ciągu niecałej sekundy powinno było urosnąć do wartości czterdziestu trzech tysięcy kilogramów na cal

kwadratowy, wypychając otoczone bąblami azotu pociski ku górze niczym wyskakujące z oceanu korki. Zaraz potem powinien był uruchomić się napęd na paliwo stałe i wynieść ryczące rakiety w powietrze i dalej ku wyznaczonym celom. Wszystkie systemy zapłonu były dla pewności zdublowane. Wskaźniki SI poinformowały o odpaleniu. Procedura wystrzału przebiegła bez zarzutu w każdym z czterdziestu ośmiu silosów w brzuchu ciężarnego „Miecza Allaha”. Kolejno OCZEKIWANIE, PRZYGOTOWANIE, START, ODPALONY.

A jednak pociski wciąż tkwiły w wyrzutniach. Martwa, rozpadająca się SI zdawała sobie z tego sprawę i Harman wyczuł przez lekko swędzącą dłoń coś przypominającego wstyd i rozczarowanie.

Serce zaczęło mu bić tak gwałtownym rytmem, oddychał tak szybko i głęboko, że aby zapobiec hiperwentylacji, maska osmotyczna obniżyła zawartość tlenu w podawanej mieszance.

Czterdzieści osiem pocisków, czterdzieści osiem głowic bojowych. Głowic, z których każda składała się z szesnastu oddzielnych ładunków. W sumie siedemset sześćdziesiąt osiem bomb, uzbrojonych, odbezpieczonych, gotowych do odpalenia w siedemset sześćdziesiąt osiem miast, starożytnych zabytków i skupisk kurczącej się po rubikonie ludzkiej populacji.

Nie były to jednak standardowe ładunki termonuklearne, takie jak te w torpedach, które Harman oglądał poniżej.

W każdej z siedmiuset sześćdziesięciu ośmiu głowic, wciąż znajdujących się na pokładzie „Miecza Allaha”, czekała zamknięta w polu siłowym czarna dziura. W tamtym okresie była to broń ostateczna nie tylko Kalifatu Światowego, lecz i całej ludzkiej rasy. Ostateczny detergent, pomyślał Harman. Chciało mu się naraz śmiać i płakać.

Same czarne dziury były niewielkie. Jak to w swojej pośpiesznie zarejestrowanej mowie pożegnalnej opisywał jeden z nieżyjących marynarzy: „nie większe od piłki do nogi, za jaką w młodości ganiałem po ruinach Karaczi”. Gdyby jednak wyrwały się na wolność i spadły na swoje cele, skutki ataku byłyby znacznie bardziej widowiskowe niż przy zastosowaniu standardowej broni nuklearnej.

Każda z czarnych dziur przebiłaby powierzchnię Ziemi, tworząc w centrum wyznaczonego miasta dziurę o średnicy piłki. Zaraz potem jednak wywołałaby plazmową implozję, tysiąckroć bardziej straszliwą od atomowego wybuchu. Opadająca w głąb planety czarna dziura zmieniałaby glebę, skały, wodę i magmę w błyskawicznie unoszącą się kolumnę pary i plazmy. Pociągnęłaby także za sobą ludzi, budynki, pojazdy, drzewa i wszystko pozostałe w promieniu setek mil wokół miejsca trafienia.

Czarna dziura, która wybiła szeroki na kilometr Krater Paryski, miała niecały milimetr średnicy i była w dodatku niestabilna. Zapadła się sama w sobie i zniknęła, zanim zdążyła dotrzeć do jądra Ziemi. Harman wiedział, że wówczas, w wyniku jednego nieudanego eksperymentu, śmierć poniosło jedenaście milionów ludzi.

Czarne dziury z pokładu „Miecza Allaha” nie miały się zapadać i znikać. Miały niczym piłeczki pingpongowe, przebić planetę, wypaść na przeciwnej półkuli i spaść z powrotem. Siedemset sześćdziesiąt osiem kul zniszczenia, otoczonych plazmą i siejących promieniowaniem, miało raz po raz przebijać skorupę, płaszcz, warstwy

magmy i rdzeń. Zanim wreszcie znieruchomiłyby w samym środku starej, dobrej Ziemi i zaczęły ją pożerać, mogły upłynąć długie miesiące bądź nawet lata.

Wszystkich dwudziestu sześciu marynarzy, których pożegnań wysłuchał Harman, było takim wynikiem misji zachwyconych. Wiedzieli, że w rajach połączą się z rodzinami. Bogu niech będą dzięki!

Harmana ogarnęły gwałtowne nudności i chętnie by zwymiotował, gdyby nie maska osmotyczna. Siłą woli zmusił się, by nie oderwać dłoni od czarnego monolitu jeszcze przez kolejną, dłużącą się w nieskończoność minutę. SI musiała przecież przechowywać jakąś instrukcję rozbrojenia gotowych do akcji czarnych dziur.

Pola siłowe zamykające je w głowicach były bardzo potężne. Zaprojektowano je tak, by w razie potrzeby więziły czarne dziury przez wiele stuleci.

Wytrzymały już jednak ponad dwa i pół tysiąca lat i stopniowo słabły. A gdyby uwolniła się choć jedna czarna dziura, doprowadziłoby to do uwolnienia wszystkich. I nawet cienia znaczenia nie miało przy tym to, gdzie rozpoczną swą podróż do jądra Ziemi. Mogły to być wyznaczone w przeszłości cele, mogła być również Bruzda Atlantycka. Ostateczny rezultat nie zmieniłby się o jotę.

Opisu procedur pozwalających rozbroić pociski nie zawierała w sobie SI, nie było ich też nigdzie indziej na pokładzie „Miecza Allaha”. Czarne dziury istniały – przez czas równy niemal dwustu pięćdziesięciu długościom standardowego życia ludzkiego – w świecie, w którym najwspanialszym osiągnięciem technologicznym była kusza. Harman nie miał pojęcia, jak je rozbroić.

Opuścił rękę.

Nie pamiętał potem, w jaki sposób znalazł drogę powrotną przez zalaną część wraku, nie potrafił sobie przypomnieć chwili, gdy przecisnął się przez ścianę Bruzdy i stanął chwiejnie na suchym pokładzie przedziału torpedowego, nie pamiętał, jak wyszedł przez wyrwę w kadłubie na zalany słońcem błotnisty pas ziemi między dwiema ścianami wody.

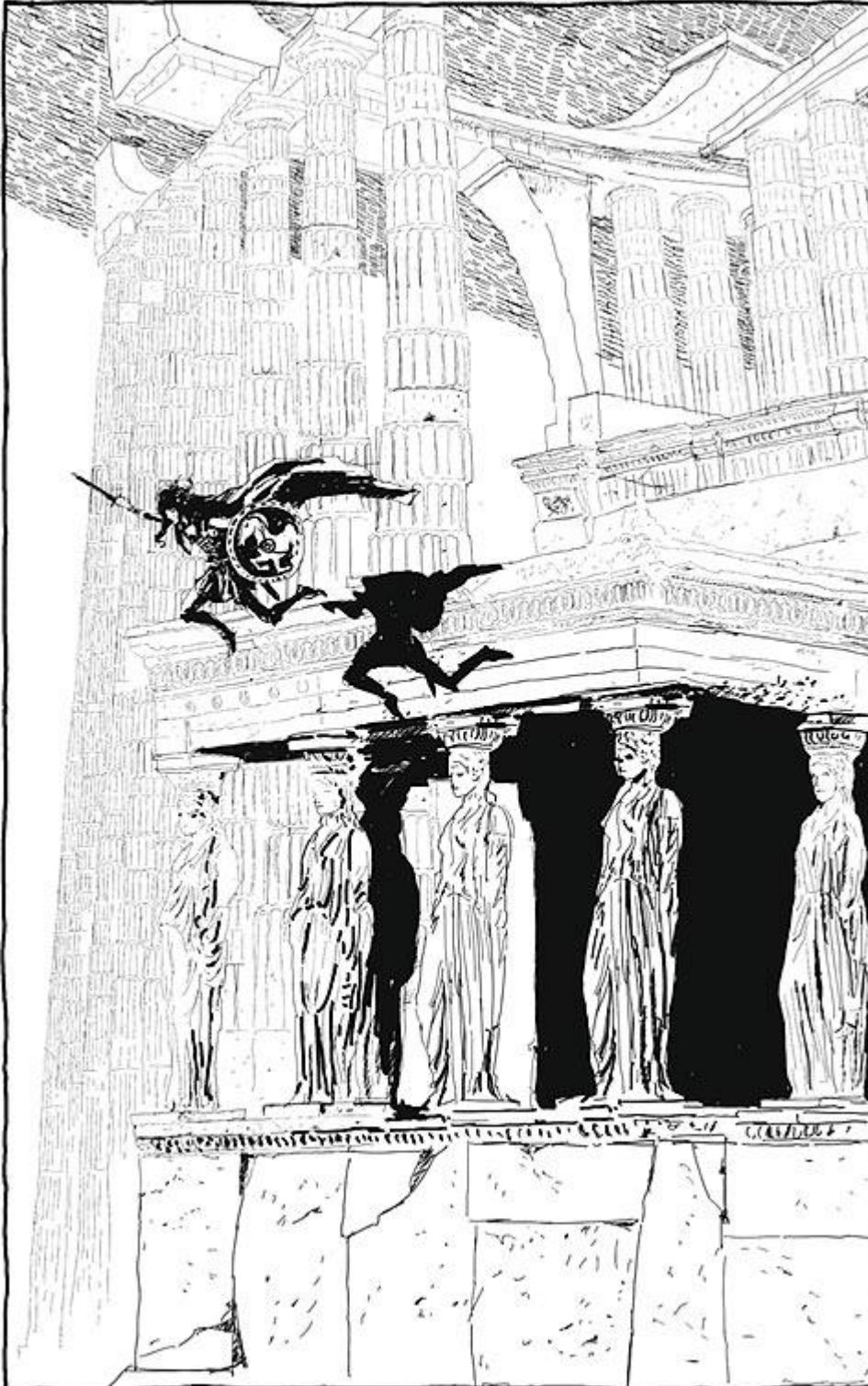
Pamiętał za to moment, gdy zerwał z głowy kaptur termoskóry, ściągnął maskę osmotyczną, padł na kolana, podparł się dłońmi o piach i zaczął wymiotować. Trwało to dobre kilka minut, a potem, gdy w żołądku miał już tylko pustkę – batoniki były pożywne, lecz niewiele z nich zostawało – jeszcze przez jakiś czas targały nim gwałtowne nudności.

Nie miał siły nawet stać na czworakach, więc odczołgał się kawałek od kałuży wymiocin, padł ciężko na ziemię, przetoczył się na plecy i zapatrzył na długi, cienki pasek niebieskiego nieba. Pierścienie świeciły słabo, lecz wyraźnie. Obracały się, przecinały, poruszały niczym blade wskazówki koszmarnego czasomierza odmierzającego godziny lub dni bądź miesiące i lata do momentu, gdy zabezpieczenia w głowicach bojowych – znajdowały się tak blisko Harmana – ostatecznie zawiodą.

Rozum podpowiadał mu, że powinien jak najszybciej oddalić się – choćby odpełznąć – od radioaktywnego wraku, lecz w sercu nie miał ku temu dość silnej woli. Ostatecznie – musiało upłynąć kilka godzin, gdyż błękitny pasek zaczął już wyraźnie ciemnieć, zwiastując nastanie wieczora – uruchomił funkcję biomonitora.

Nie pomylił się w przewidywaniach. Otrzymał zabójczą dawkę promieniowania. Niedawne zawroty głowy miały niebawem powrócić z większą intensywnością, podobnie

sprawa się miała z odruchem wymiotnym. Krew już w tej chwili zaczęła się zbierać czerwonymi plamkami tuż pod skórą. W ciągu kilku godzin – proces już się rozpoczął – komórki jego organów wewnętrznych i jelit zaczęły się rozpadać całymi miliardami. Następnie dozna biegunki krwotocznej – początkowo przerywanej, lecz potem już stałej. Organizm zacznie wydalać własne rozpuszczone flaki. Nieco później krwotoki ograniczą się w dużej mierze do wnętrza jego ciała, dojdzie do całkowitego rozkładu ścian komórkowych i zaczną zamierać kolejne układy.



Harman zdawał sobie również sprawę, że pozostanie przy życiu na tyle długo, by tę sekwencję poczuć i zobaczyć. Nazajutrz osłabnie tak bardzo, że nie będzie w stanie iść nawet w chwilach ulgi między atakami nudności i biegunki. Padnie gdzieś na dnie Bruzdy, a znieruchomiałe ciało będzie od czasu do czasu słabo podrygiwać szarpane mimowolnymi skurczami. Umierając, nie zobaczy gwiazd czy błękitu nieba – funkcje medyczne poinformowały go, że już w tej chwili na jego napromieniowanych oczach powstają katarakty.

Nie zdołał powstrzymać cisnącego mu się na twarz uśmiechu. Nic dziwnego, że Mojra i Prospero wyposażyli go w tak skąpy kilkudniowy zapas batoników. Musieli z góry wiedzieć, że więcej jedzenia nie będzie potrzebować.

Tylko po co to wszystko? Po co uczynili mnie Prometeuszem ludzkiej rasy, dlaczego obdarzyli mnie tymi wszystkimi funkcjami, po co pozwolili mi tak wiele dowiedzieć się o świecie, a potem skazali na tę straszliwą, samotną śmierć?

Umysł wciąż miał na tyle jasny, by uświadomić sobie, że podobne myśli kierowały wcześniej do milczącego nieba całe miliardy uważających się za wybrańców, umierających ludzi.

Był przy tym na tyle mądry, że odpowiedzi udzielił sobie sam. Prometeusz wykradł bogom ogień. Adam i Ewa skosztowali w rajskim ogrodzie owocu poznania. Wszystkie opowiadające o stworzeniu starożytne mity snuły w zasadzie jedną i tę samą historię, odsłaniały jedną przerażającą prawdę – wykradając bogom ogień i wiedzę, człowiek staje się wprawdzie stworzeniem wyższym od zwierząt, z których wyewoluował, lecz nadal pozostaje istotą dalece niższą od jakiegokolwiek Boga godnego swego miana.

W tej chwili Harman oddałby wszystko, by nie pamiętać religijno-osobistych testamentów dwudziestu sześciu szaleńców z załogi „Miecza Allaha”. W ich beznamiętnych pożegnaniach czuł w pełni ciężar brzemienia, które miał zanieść Adzie, Daemanowi, Hannie, wszystkim przyjaciółom, całemu gatunkowi.

Uświadomił sobie, że ubiegły rok – opowiadający o Troi spektakl turyński, który okazał się żartem Prospera, przekazany ludziom za pośrednictwem Odysa i Savi, wszystkie szaleńcze misje i wyprawy, groźba śmierci na orbitalnej wyspie Prospera, późniejsza ucieczka, poznanie tajników produkcji broni, mozolne budowanie prymitywnych zrębów społeczeństwa, odkrywanie polityki, a nawet nieśmiałe wycieczki w kierunku religii...

Tak, to wszystko na powrót uczyniło z nich ludzi.

Człowiek powrócił na Ziemię po ponad tysiącu czterystu latach śpiączki i zubożenia.

Harman pomyślał, że jego wspólne dziecko z Adą mogłoby stać się prawdziwym człowiekiem – być może pierwszą rzeczywiście ludzką istotą, jaka przyszłaby na świat po długich wiekach trwania w wygodnym, nieludzkim uśpieniu, starannie nadzorowanym przez fałszywe, postludzkie bóstwa. Ich dziecko na każdym kroku mierzyłoby się z niebezpieczeństwami i własną śmiertelnością, musiałoby odnaleźć w sobie ducha odkrywcy, nawiązywać więzi z innymi ludźmi po to, by przetrwać pod naporem wojniksów i kalibanów, żeby pokonać samego Kalibana i Setebosa...

I byłyby to tak bardzo emocjonujące. Byłyby przerażające. A przede wszystkim – prawdziwe.

I doprowadziłoby, mogłoby doprowadzić, z powrotem do „Miecza Allaha”.

Harman przeturlał się na bok i po raz kolejny zwymiotował. Tym razem ziemię zwilżyły głównie krew i śluz.

Szybciej niż się spodziewałem, przemknęło mu przez myśl.

Bolało tak bardzo, że musiał zamknąć oczy – czuł w tej chwili wiele odmian bólu, lecz najbardziej cierpiał wskutek tej nowej świadomości. Po omacku sięgnął do prawego biodra. Pistolet wciąż trwał na swoim miejscu.

Oderwał broń od rzepa, drugą ręką przeładował tak, jak uczyła go Mojra, odciągnął zamek i wprowadził nabój do komory. Chwilę potem przyłożył sobie lufę do skroni.

Sylwetka Demogorgona przesłania połowę nieba oblizywanego językami płomieni. Azja, Pantea i ich milcząca siostra Ione cały czas się kulą. Wszędzie na pobliskich skałach, graniach i wulkanicznych stożkach mającą gigantyczne postacie. Tytani, Godziny, monstrialne rumaki, monstrialne monstra, przypominające olimpijskiego Uzdrowiciela olbrzymie stonogi, nieludcy Woźnice, kolejni Tytani. Wszyscy przybyli tu niczym przysięgli gromadzący się z okazji procesu na stopniach greckiej świątyni. Spoglądając przez okulary termoskóry, Achilles widzi to wszystko wyraźnie, choć po chwili dochodzi do wniosku, że wolałby nie widzieć.

Potwory z Tartaru są nazbyt potworne, kudłaci Tytani zbyt tytaniczni; Woźnic i istot, które Demogorgon określił mianem Godzin, nie da się ogarnąć wyobraźnią, ale też i wzrokiem. Próbując skupić na nich spojrzenie, Achilles przypomina sobie dzień, w którym rozpruł mieczem brzuch i tors pewnego Trojanina, po czym znalazł wewnątrz małego homunkulusa. Ludzik wpatrywał się weń błękitnymi oczyma spośród potrzaskanych żeber i lejących się flaków. W pewnym momencie herosowi Achillesowi wydało się, że mrugnął. Poza tym jednym wypadkiem nigdy w życiu nie zwymiotował na polu bitwy. Oglądaniu Godzin i Woźniców towarzyszą bardzo podobne doznania.

Korzystając z tego, że Demogorgon wciąż czeka na przybycie ostatnich monstrialnych sędziów, Hefajstos wyciąga ze swego kulistego, niedorzecznego hełmu cienki sznur i wpina jego końcówkę do kaptura termoskóry greckiego herosa.

– Słyszysz mnie? – pyta kulawy bóg. – Zdaje się, że mamy jeszcze kilka minut. Możemy spokojnie porozmawiać.

– Tak, słyszę cię... Ale czy nie słyszy nas również Demogorgon? Przedtem nas usłyszał.

– Teraz nie. Rozmawiamy przez kabel. Demogorgon to zdolna bestia, lecz J. Edgar Hoover byłby z niego marny.

– Kto taki?

– Nieistotne. Posłuchaj mnie, Pelido, musimy się naradzić. Trzeba ustalić, co powiemy Demogorgonowi i reszcie tej tytanicznej hołoty. Wiele od tego zależy.

– Nie nazywaj mnie tak – warczy Achilles i rzuca Hefajstosowi spojrzenie, jakim zwykł powstrzymywać uciekających przeciwników.

Zaniepokojony patron rzemiosła aż cofa się o krok, napinając łączący ich kabel.

– Jak mam cię nie nazywać?

– Pelidą. Już nigdy nie chcę tego słowa usłyszeć.

Hefajstos unosi ręce w geście kapitulacji.

– Jak sobie wiesz, ale pomówić musimy. Już zaraz ten kangurzy sąd rozpocznie obrady.

– Czym jest kangur?

Achilles ma coraz bardziej dosyć podwójnego języka miniaturowego bóstwa.

Chyżonogi mężobójca wciąż ściska swój miecz w dłoni. Jest głęboko przeświadczony, że aby zabić tego tak zwanego nieśmiertelnego, tego brodatego głupca, wystarczyłoby rozplatać mu dziwny stalowy pancerz, a potem usiąść wygodnie i patrzeć, jak bóg płomieni dusi się żrącym powietrzem. Z drugiej jednak strony Hefajstos jest prawdziwym olimpijskim nieśmiertelnym i pozostaje nim nawet bez olimpijskich kadzi i olimpijskiego robala. Niewykluczone więc, iż – podobnie jak wcześniej Achilles – bezczelny kuternoga również zacząłby w powietrzu Tartaru kaszleć, dławić się, krztusić i wymiotować, zwijając się z bólu na skałach przez całą wieczność, póki nie pożarłaby go jedna z Okeanid. Achilles czuje wielką pokusę, by przeprowadzić eksperyment. Opiera się jej.

– To też niezbyt ważne – odpowiada Hefajstos. – Co chcesz powiedzieć Demogorgonowi? A może wolisz, bym przemówił za nas obu?

– Nie.

– Cóż, musimy więc uzgodnić zeznania. O co, poza zgładzeniem Zeusa, poprosisz Demogorgona i Tytanów?

– Nie będę tego stwora prosić o śmierć Zeusa – ogłasza stanowczo Achilles.

Zarośnięty bóg-karzeł robi zaskoczoną minę, widoczną nawet przez szklaną osłonę kulistego hełmu.

– Nie będziesz? Myślałem, że właśnie po to tutaj jesteśmy.

– Zeusa zabiję sam – dodaje heros. – A jego wątrobą nakarmię Argusa, odysowego kundla.

Hefajstos wzdycha ciężko.

– Świetnie, ale abym mógł zasiąść na olimpijskim tronie... sam tę umowę zaproponowałeś, a Nyks wyraziła zgodę, i tak musimy Demogorgona poprosić o interwencję. A Demogorgon jest przecież szaleńcem.

– Szaleńcem? – Tym razem to Achilles się dziwi. Większość potwornych sylwetek znieruchomiała już na swoich miejscach. Stoją bądź siedzą pośród urwisk, stosów popiołu i strumieni lawy.

– Słyszałeś ten bełkot o Bogu najwyższym, czyż nie? – przypomina Hefajstos.

– Nie wiem, o jakim bogu mówił, jeśli nie o Zeusie.

– Demogorgon miał na myśli jakiegoś jedyne, najwyższego boga całego wszechświata – tłumaczy patron ognia. W słuchawkach termoskóry jego głos wydaje się jeszcze bardziej ochryply niż zazwyczaj. – Boga przez duże B, Boga, poza którym nie ma innych.

– Przecież to śmieszne! – rzuca Achilles.

– Owszem – potakuje kuternoga. – Dlatego właśnie pobratymcy Demogorgona, istoty jego rasy, zdecydowały się go wygnać i uwięzić w Tartarze.

– Pobratymcy? – powtarza heros z niedowierzaniem. – Chcesz powiedzieć, że takich demogorgonów jest więcej?

– Oczywiście, że tak. Żadna żywa istota nie istnieje na świecie bez swego gatunku, Achillesie. Nawet ty musiałeś kiedyś o tym słyszeć. A nasz Demogorgon jest walnięty jak szczur z trojańskiego sracza. Czci samotnego, jedyne, wszechpotężnego boga przez duże B. Niekiedy nazywa go Ciszą.

– Ciszą? – Achilles ma wyraźny kłopot z wyobrażeniem sobie milczącego bóstwa.

Istnienie podobnej istoty wydaje się mu zgoła wykluczone.

– Tak – sapie w słuchawkach Hefajstos. – Tyle że owa Cisza wcale nie jest tym wszechmocnym Bogiem przez duże B, tylko jedną z Jego manifestacji. Jego, oczywiście, też przez wielkie J.

– Dość już o literach – ucina Achilles. – Ale z twoich słów wynika, że Demogorgon jednak wierzy w więcej niż jedną boską istotę.

– Nie. – Patron rzemieślników i płomieni uparcie kręci głową. – Ten wielki Bóg ma po prostu wiele oblicz, wcieleń, jeśli wolisz, wiele postaci. Trochę tak jak Zeus, kiedy ma ochotę przelecieć jakąś śmiertelniczkę. Pamiętasz pewnie, jak przemienił się w łabędzia, gdy...

– Co to, kurwa, ma wspólnego z naszym przesłuchaniem? Pamiętasz o nim? Zacznie się już za pół minuty!!! – wydziera się heros do mikrofonów termoskóry.

Hefajstos gwałtownie przyciska dłonie do swojej szklanej bańki. Na wysokości uszu.

– Ciszej! – syczy przez interkom. – Ta sprawa ma wiele wspólnego z naszą próbą przekonania Demogorgona, by uwolnił Tytanów i pozostałych więźniów Tartaru, którzy mieliby zaatakować Zeusa, wymordować obecne pokolenie Olimpijczyków i zainstalować mnie na boskim tronie.

– Dopiero co tłumaczyłeś, że Demogorgon też tkwi tutaj w niewoli.

– Nie inaczej, tłumaczyłem. Nyks jednak, Noc sama, otworzyła tu prowadzącą na Olimp Dziurę Branową. Będziemy mogli z niej skorzystać, chyba że zamknie się, zanim to cholerne przesłuchanie, proces, spotkanie rady, czy co to ma być, w ogóle się rozpocznie. Poza tym coś mi mówi, że Demogorgon jest w stanie opuścić Tartar w dowolnym momencie.

– Cóż to za loch, z którego można wyjść wedle kaprysu? – pyta zdumiony Achilles. Wraz z upływem czasu nabiera coraz silniejszego przekonania, że to nie Demogorgon, a brodaty karzeł oszalał.

– Musisz się co nieco dowiedzieć o rasie demogorgonów – oświadcza głowa w bańce kołyszącej się na szczycie pękatego, stalowego ciała. – Mówię co nieco, gdyż o nich nikt specjalnie wiele nie wie. Nasz Demogorgon więzi się tutaj sam, ponieważ tak mu kazano. Wciąż jest natomiast w stanie teleportować się kwantowo w dowolnym momencie i w dowolne miejsce... Oczywiście warunkiem jest, by uznał, że sprawa jest dostatecznie doniosła. Dlatego wystarczy, że przekonamy go, iż sprawa jest dostatecznie doniosła.

– Ale przecież mamy otwartą Dziurę Branową – przypomina Achilles. – A poza tym, co w zamian za swą pomoc ugra Nyks? Zanim zbudziłem Zeusa, w domu Odyseusza, powiedziałeś mi, że Noc otworzy Dziurę, i uwierzyłem ci wtedy na słowo. Ale dlaczego właściwie to uczyniła? Co na tym zyska?

– Ocalenie – Hefajstos rozgląda się dokoła.

Tytani i pozostałe monstra są już na swoich miejscach. Rozpoczyna się posiedzenie sądu. Wszyscy czekają na słowa Demogorgona.

Zauważyła to również Achilles.

– Jak to ocalenie? – syczy do mikrofonu. – Sam mówiłeś, że Nyks jest jedyną

boginią, przed którą drży Zeus. Przed nią i jej przeklętymi Mojrami. Nie zdołaliby jej zaszkodzić.

Kulisty szklany hełm Hefajstosa obraca się na boki.

– Zeus nie. Za to Sykoraks i Prospero jak najbardziej. Oni i... ludzie... istoty, które pomogły stworzyć Zeusa, mnie i resztę bóstw, a nawet Tytanów. I nie mam na myśli Boga niebios Uranosa, tego, który sypia z Gają, Matką Ziemią. Mówię o istotach jeszcze starszych.

Achilles próbuje objąć rozumem ideę, iż tytanów i Olimpijczyków mógł stworzyć ktoś inny niż Ziemia i Noc. Daremnie.

– To oni pojмали i przez dziesięć lat więzili stworzenie zwane Setebos na Marsie i twojej Ziemi Ilionu – ciągnie patron ognia.

– Jacy oni? – Achilles czuje się głęboko skonfundowany. – I co to za Setebos? Poza tym, czy ma to jakiś związek z rozmową z Demogorgonem, którą mamy odbyć już za minutę?

– Achillesie, musisz znać historię przynajmniej na tyle dobrze, by pamiętać, że Zeus i pozostali młodzi Olimpijczycy pokonali Kronosa i Tytanów, mimo że to tytani byli stronniectwem silniejszym, prawda?

– Tak, wiem o tym – przyznaje heros, który czuje się jak wówczas, gdy za młodu pobierał nauki u centaury Chirona, swego mentora i piastuna. – Zeus zwyciężył w tamtej wojnie, ponieważ sprzymierzył się ze straszliwymi istotami, wobec których Tytani okazali się bezsilni.

– A jak się nazywała najbardziej przerażająca spośród tych straszliwych istot? – dopytuje kulawy brodac z tonem nauczyciela, przez co Achilles ma ochotę wypatroszyć go tu i teraz.

– Sturamienny – odpowiada, zużywając resztki cierpliwości. Już za kilka chwil przemówi Demogorgon, a ze bzdur, jakie wygaduje Hefajstos, nie wynika nic, co mogłoby Achillesowi pomóc. – Był koszmarnym wieloramiennym potworem. Wy, bogowie, zwiecie go Briareosem – dodaje – lecz pierwsi ludzie posługiwali się imieniem Ajgajon.

– Istota nazywana Briareosem i Ajgajonem w rzeczywistości zwie się Setebos – syczy patron rzemiosła. – Przez dziesięć lat nie realizował swych prawdziwych intencji, gdyż zaspokajał głód, karmiąc się waszą nędzną wojenką. Teraz jednak ponownie wy dostał się na swobodę, co rozchwiało kwantowe fundamenty całego Układu Słonecznego. Nyks żywi obawy, że zagładzie ulegnie nie tylko Ziemia, ale także nowy Mars wraz z całym mrocznym wymiarem. Dziury Branowe łączą wszystko ze wszystkim. A Sykoraks, Setebos, Prospero i im podobni wykazują się nadmierną lekkomyślnością. Mojry przewidują totalną kwantową anihilację, która nastąpi nieuchronnie, jeżeli nikt czegoś z tym nie zrobi. Nyks zdecydowanie woli zobaczyć na olimpijskim tronie mnie, kalekę i karła, niż dopuścić do kwantowego rozpadu rzeczywistości.

Achilles nie ma bladego pojęcia, o czym ten pokraka pieprzy. Stawia więc na milczeniu.

Demogorgon sprawia wrażenie, że szykuje się do chrząknięcia, które ma uciszyć ostatnie szepty dolatujące z ciżby Tytanów, Godzin, Woźniców, Uzdrowicieli i innych

koszmarnych postaci.

– Najlepsze zaś – ciągnie syczącym szeptem Hefajstos. Obniża głos, jakby w obawie, że bezkształtna masa mogła ich jednak podsłuchać – jest to, że Demogorgon wraz ze swym bogiem, Ciszą, są w stanie zjeść Setebosa na śniadanie.

– Zdecydowanie to nie Demogorgon jest obłąkany – odpowiada półgłosem Achilles. – Ty oszalałeś, zwariowałeś jak szczur z trojańskiego sracza.

– Niemniej może jednak pozwolisz, bym to ja zabrał głos w imieniu nas obu? – W każdym słowie Hefajstosa pobrzmiewa niecierpliwość.

– Zgoda – odpowiada Achilles – jeśli powiesz jednak choć jedną rzecz, z którą się nie zgodzę, porąbię ten twój uroczy pancerzyk na pojedyncze kule, a potem wytnę twoje własne kuleczki i nakarmię cię nimi przez tę szklaną bańkę.

– Cóż, w takim razie obaj znamy warunki. – Hefajstos odpina kabel od termoskóry herosa.

– Zaczynajmy. Przedstawcie swoją sprawę – rozlega się gromki głos Demogorgona.

Prośbę Nikogo postanowili poddać pod głosowanie. Spotkanie w sprawie wypożyczenia sonika wyznaczono na południe, porę, w której obozu strzegła minimalna liczba strażników, a większość codziennych obowiązków była już ukończona. Dzięki temu swój głos miała szansę oddać zdecydowana większość ocalałych mieszkańców Ardis – wraz z szóstką nowych towarzyszy i Hanną było ich już pięćdziesiąt pięć osób. Treść prośby Odyseusza-Nikogo błyskawicznie dotarła nawet na najdalsze posterunki i niemal natychmiast zapanowała powszechna zgoda, że należy Grekowi odmówić.

Hannah i Ada resztę poranka spędziły, opowiadając sobie ostatnie wydarzenia. Młodsza kobieta wciąż nie mogła przeboleć straty przyjaciół i samego dworu, choć Ada raz po raz uświadamiała jej, iż Ardis można przecież odbudować – jeśli nawet nie w poprzednim kształcie, to w pewnym, mniej wystawnym, przybliżeniu.

– Naprawdę sądzisz, że dożyjemy takiego dnia? – spytała Hannah.

Zamiast odpowiedzieć, Ada uściśnęła dłoń przyjaciółki.

Rozmawiały też na temat Harmana i szczegółów dotyczących jego tajemniczego zniknięcia z mostu Golden Gate, wraz z istotą imieniem Ariel. Ada otwarcie przyznała, że serce jej podpowiada, że mąż nadal żyje.

Mówiły też o błahostkach: o świeżo odkrytych technikach gotowania, o niezrealizowanym planie Ady, która przed powrotem wojników zamierzała rozbudować obozowisko.

– Wiecie może, dlaczego one nie chcą się zbliżyć do małego Setebosa? – zaintrygowała się Hannah.

– Nie, nikt nie wpadł na żaden sensowny pomysł – przyznała Ada, po czym zaprowadziła przyjaciółkę nad Jamę.

Potworek – przez Nikogo nazwany wszą – siedział na samym dnie, na zwiniętych pod siebie dłoniach i mackach. Żółte ślepia uniosły się jednak ku górze i omiotły kobiety spojrzeniem nieludzko wyzutym z emocji. Ta obojętność wydała im się znacznie gorsza od prostej nienawiści.

Hannah nagle poderwała dłonie do skroni.

– O mój... o Boże... Czuję, jak drapie mój umysł... Zupełnie jakby chciał dostać się do środka.

– Tak, to do niego podobne – potaknęła ściszym głosem Ada. Stała na skraju Jamy z karabinem w dłoni. Swobodnym ruchem wycelowała w masę szaroniebieskiej tkanki i płataninę różowych rąk.

– Co będzie, jeśli... jeśli przejmie kontrolę? – jęknęła Hannah.

– Nad jednym z nas? – upewniła się Ada. – Obawiasz się, że skieruje nas przeciwko sobie?

– Tak.

Starsza kobieta wzruszyła ramionami.

– Nam również coś takiego przyszło do głowy. W zasadzie spodziewamy się tego w każdej chwili, dniem i nocą. Rozmawialiśmy już o tym. Jak na razie jego nawoływania słyszymy zwykle jednocześnie... Bezustannie, trochę tak, jakbyśmy wyczuwali jakiś śwąd w powietrzu. Kiedy jednak jego głos rozlega się głośno, tak jak przed momentem w twojej głowie, słyszy go tylko jedna osoba. W takich wypadkach nadal wyczuwają go wszyscy, ale brzmi wówczas tylko jak... sama nie wiem... jak niewyraźne echo.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jeśli ten stwór rzeczywiście zacznie nas mamić, zrobi to po kolei? – domyśliła się Hannah.

– Właśnie, coś takiego. – Ada ponownie wzruszyła ramionami.

Młodsza kobieta zerknęła na ciężki karabin przyjaciółki.

– Gdyby opanował cię w tej chwili, mogłabyś zabić mnie i wielu innych, zanim...

– Wiem – potaknęła Ada. – To również już przedyskutowaliśmy.

– I macie jakiś plan?

– Owszem. – Stojąca nad Jamą Ada ściszyła głos do nikłego szeptu. – Zabijemy tę maskarę, zanim do tego dojdzie.

– Tyle że wcześniej musicie ewakuować stąd ludzi. – Hannah pokiwała głową. – Teraz rozumiem, dlaczego nie chcecie pożyczyć sonika Odyseuszowi.

– Właśnie, Hanno, wiesz może, do czego go potrzebuje? – spytała Ada z westchnieniem.

– Nie. Nie chciał mi powiedzieć. O wielu sprawach mi nie mówi.

– A jednak go kochasz.

– Tak, od chwili, gdy poznałam go na moście...

– Ale posłuchaj, sama przecież korzystałaś z całunów, kiedy jeszcze działały. Widziałaś spektakl. I wiesz, że tamten Odyseusz był żonaty. Wszyscy słyszeliśmy, jak opowiadał innym Achajom o swojej małżonce Penelopie. I o Telemachu, nastoletnim synu. Rozumieliśmy wszystkie te historie, mimo że posługiwali się bardzo dziwnym językiem.

– Tak, pamiętam. – Hannah spuściła wzrok.

Mały Setebos zaczął biegać po dnie Jamy, szybko przebierając mrowiem różowych dłoni. Pięć macek wsunęło się ku górze po ściankach wykopu, pozostałe ręce chwyciły za kratę. Potwór pociągnął tak mocno, że obie kobiety odniosły wrażenie, że pręty zaczynają się uginać. Żółte ślepia zapłonęły intensywnym blaskiem.

* * *

Daeman wracał z lasu, śpieszył się na wyznaczone na południe zebranie. Nagle ujrzał zjawę. Na plecach dźwigał ciężki płócienny worek z drewnem na opał. Myślał właśnie o tym, że zamiast rąbać i taszczyć ciężkie polana, wolałby stanąć na straży bądź wybrać się na polowanie, kiedy spomiędzy drzew – ledwie dziesięć metrów od niego – wyszła kobieta.

W pierwszej chwili zobaczył ją kątem oka – zarejestrował dość szczegółów sylwetki, by wiedzieć, że ma do czynienia z człowiekiem, a nie wojnikiem, więc założył, że to jedna z mieszkanki Ardis, i poszedł dalej. Nie podniósł nawet trzymanego w dłoni karabinu, tylko poprawił zsuwający mu się z ramienia wór. Przypomniał sobie jednak, że

powinien się przywitać, odwrócił się do niej i zamarł w pół kroku.

Przed Daemanem stała Savi.

Wyprostował się i ciężki ładunek drewna niemal pociągnął go na ziemię. Zresztą, nawet gdyby przewrócił się z wrażenia, nie byłaby to reakcja przesadna. Wpatrywał się w kobietę szeroko otwartymi oczyma.

To naprawdę była Savi – choć nie siwowłosa staruszka, której śmierć widział na własne oczy niecały rok temu. Nie ta, której ciało Kaliban zaciągnął w labirynt jaskiń na piekielnej wyspie Prospera. Stała przed nim Savi młoda, blada i piękna.

Savi zmartwychwstała? Nie.

Duch! – pomyślał i poczuł raptowne ukłucie lęku. Ludzie z jego czasów nie wierzyli w duchy, nie byli sobie nawet w stanie czegoś podobnego wyobrazić. Sam także o duchach bardzo długo nie słyszał, z wyjątkiem kilku wzmianek w spektaklu turyńskim. Zmieniło się to dopiero ubiegłej jesieni, kiedy zaczął siglować zgromadzone w Ardis starożytne książki.

I był w tej chwili przekonany, że ma przed sobą właśnie taką zjawę.

Młoda Savi nie wydawała się materialna jak zwykli ludzie. Kiedy zauważyła Daemana, odwróciła się i ruszyła prosto ku niemu, jej ciało osobliwie zamigotało. Po chwili uświadomił sobie, że widzi na wskroś jej sylwetki, duch dziewczyny był nawet bardziej przezroczysty niż hologram Prospera.

Niemniej coś mu podpowiadało, że tym razem nie ma do czynienia ze zwykłym hologramem. W kobiecej postaci wyczuwał pewną... rzeczywistość i życie. I niczego nie zmieniał fakt, iż całe jej ciało emanowało nikłą bladą aurą, a jej stopy ledwie muskały wysokie brązowe źdźbła trawy. Ubrana była w termoskórę i nic poza nią. Daeman z doświadczenia wiedział, że w tego rodzaju skafandrze – cienkim jak warstewka farby – człowiek czuje się jeszcze bardziej nagi, niż gdyby rozebrał się faktycznie. Tak właśnie wyglądała. Pod niebieskim kombinezonem grały mięśnie, lekko kołysał się podkreślony obcisłym strojem biust. Daeman był przyzwyczajony do widoku odzianej w termoskórę Savi, lecz zamiast lekko obwisłych piersi, przywiedłych pośladków i ud ta zjawa demonstrowała dumnie uniesiony biust, płaski brzuch i prężną muskulaturę młodej dziewczyny.

Daeman wysunął ramiona z pasków, zrzucił worek na ziemię i chwycił karabin oburącz. Od nowej palisady dzieliło go ponad dwieście metrów. Ponad linią zaostzonych pali wypatrzył nawet ciemnowłosą głowę strażnika, lecz poza nim w zasięgu wzroku nie było nikogo. Został z duchem zupełnie sam na skraju lasu. Znad pola powiał zimny wiatr.

– Witaj, Daemanie.

Głos również należał do Savi. Brzmiał bardziej świeżo i żywiołowo niż dojrzały, hipnotyzujący ton staruszki, lecz zdecydowanie był ten sam.

Nie zareagował. Zjawa przystanęła na wyciągnięcie ręki od niego. Wciąż raz po raz migotała. To wydawała się zupełnie materialna, to przejrzysta i eteryczna. Kiedy nabierała cielesności, widział nawet aureole otaczające jej lekko stwardniałe brodawki. Młoda Savi okazała się bardzo piękna.

Otaksowała go od stóp do głów przeciągłym spojrzeniem znajomych, ciemnych oczu.

– Świetnie wyglądasz, Daemanie. Sporo schudłeś. Zmęźniałeś.

Wciąż nie odezwał się słowem. Wszyscy wybierający się do lasu mieszkańcy Ardis zabierali ze sobą gwizdki o przenikliwym dźwięku, jakie znaleźli w zgliszczach. Swoją nosił zawieszony na szyi. Wystarczyło, by podniósł rękę i dmuchnął, a w niecałą minutę nadbiegłoby mu z pomocą kilkunastu uzbrojonych ludzi.

– Masz rację. – uśmiechnęła się. – Nie jestem Savi. Nigdy dotąd się nie spotkaliśmy. Znam cię jedynie dzięki filmom i opowieściom Prospera.

– Kim jesteś? – zapytał ochryplym głosem. Nie zdołał ukryć zdenerwowania.

Zjawa wzruszyła ramionami, jakby jej tożsamość nie miała większego znaczenia.

– Na imię mi Mojra.

Daeman wciąż nie wiedział, z kim ma do czynienia. Savi ani razu nie wspomniała o kobiecie noszącej takie imię. Czarnoksiężnik też nie. Przez jedno, pełne grozy мгновение przemknęło mu przez myśl, że być może Kaliban nauczył się zmieniać kształty.

– Rozumiem, ale kim jesteś? Czym? – wydukał po chwili.

– Ach, cudownie! – Zjawa zaniósła się chropawym śmiechem Savi. – Bardzo inteligentne pytania. Nie jakies tam „Dlaczego wyglądasz jak moja nieżyjąca przyjaciółka”, tylko „Czym jesteś?”. Prospero się nie pomylił. Nawet rok temu nie byłeś tak głupi, na jakiego wyglądałeś.

Daeman wziął do ręki gwizdek. Postanowił jednak zaczekać.

– Jestem postczłowiekiem – podjął duch Savi.

– Postludzi już nie ma – przypomniał i uniósł gwizdek nieco wyżej.

– Rzeczywiście, przez jakiś czas tak właśnie było – przyznała migocząca kobieta. – Teraz już nie. Jest jeden postczłowiek. Ja.

– Czego tu szukasz?

Powolnym gestem wyciągnęła dłoń i musnęła jego prawe przedramię. Daeman był przekonany, że ręka kobiety przeniknie go na wylot, lecz dotyk okazał się najzupełniej konkretny. Poczuł przez kurtkę nacisk jej smukłych palców, przez skórę przebiegło mu elektryzujące mrowienie.

– Chcę pójść z tobą do obozowiska, przysłuchać się dyskusji i zobaczyć wynik głosowania w sprawie Nikogo i sonika – powiedziała cicho.

Skąd ona o tym wie, u diabła? – zastanowił się.

– Jeżeli się tam pojawisz, wątpliwe, by doszło do dyskusji i głosowania – zauważył.

– Nawet Odyseu... Nikt... zechce się dowiedzieć, kim jesteś, skąd się tu wzięłaś i czego chcesz.

– Niewykluczone. – Wzruszyła ramionami. – Ale zapewniam, że nikt mnie nie zobaczy. Nikt poza tobą. To taka sztuczka. Prospero podarował ją moim siostram, kiedy odeszły, by stać się bogami. Ja zachowałam ją dla siebie. Od czasu do czasu bardzo się przydaje.

Lewą ręką gładził gwizdek. Palec wskazujący prawej dłoni położył na spuście karabinu i przyjrzał się kobiecie. Wciąż migotała – na moment stała się przezroczysta, po czym znów nabrała konkretności. W słowach Mojry pojawiło się tyle niewiadomych, że nie potrafił nawet sformułować sensownego pytania. Niemniej intuicja podpowiadała mu, że nie powinien spuszczać jej z oka. Sam nie był pewien, dlaczego, ale wydało mu się to

najbardziej rozsądne.

– Po co chcesz słuchać naszej narady? – spytał.

– Po prostu chcę poznać jej wynik.

– Ale dlaczego?

Uśmiechnęła się.

– Daemanie, skoro potrafisz stać się niewidzialna dla pozostałych pięćdziesięciu pięciu osób, to chyba rozumiesz, że mogłabym omamić także i twój wzrok. Chcę jednak, żebyś wiedział, że tam będę. Po głosowaniu porozmawiamy dłużej.

– Na jaki temat?

Daeman przypomniał sobie brązowe, zmumifikowane zwłoki istot, które wraz z Savi i Harmanem wzięli za ostatnich postludzi. Znaleźli je szybujące w zatęchłym, rozrzedzonym powietrzu orbitalnej wyspy Prospera. Widzieli wtedy wyłącznie ciała kobiet. Większość została zagryziona przez Kalibana wiele stuleci wcześniej. Nie miał, nie mógł mieć nawet cienia pewności, czy zjawa jest tym, za kogo się podaje. Zdecydowanie bardziej kojarzyła mu się z boginiami z rzadko oglądanego spektaklu turyńskiego – z Ateną, a może z młodą Herą. W każdym razie Afrodycie urodą nie dorastała do pięt. Nagle przypomniał sobie, że rok wcześniej, w Kraterze Paryskim, zaczęto opowiadać o wznoszonych na ulicach ołtarzach poświęconych bóstwom spod całunu. Niestety teraz wszyscy mieszkańcy Krateru – w tym i jego matka – już nie żyli. Zostali zamordowani i pożarci przez Kalibana, a samo miasto zniknęło pogrzebane pod grubymi warstwami błękitnego lodu Setebosa. Jeżeli więc sąsiedzi jego matki rzeczywiście zanosili modły do trojańskich bogów i bogiń, w niczym im to nie pomogło. A gdyby ta zjawa również okazała się boginią, z pewnością również nie przynosiła ze sobą nic dobrego.

– Możemy na przykład porozmawiać o twoim przyjacielu Harmanie. Nie chciałbyś się dowiedzieć, gdzie teraz jest? – rzuciła półmaterialna zjawa, która przedstawiła mu się jako Mojra.

– Gdzie?! Gdzie jest?! Co się z nim dzieje?! – Daeman uświadomił sobie, że krzyczy.

– Porozmawiamy po głosowaniu – odpowiedziała z uśmiechem.

– Wyjaśnij mi przynajmniej, dlaczego nasza decyzja jest tak bardzo istotna, że przybyłaś tu aż z...? Skądkolwiek przybyłaś? – zapytał stanowczo. W ciągu ostatniego roku głos Daemana zhardział, podobnie jak on sam.

Mojra pokiwała głową.

– Chcę ją poznać, ponieważ jest bardzo ważna.

– Ale czemu? Dla kogo? Z jakiego powodu?

Nie odpowiedziała. Uśmiech zniknął z jej warg.

Daeman wypuścił gwizdek z ręki.

– Czy ważne jest, byśmy pożyczili Nikomu ten sonik, czy może lepiej, byśmy tego nie robili?

– Chcę się po prostu przysłuchać – odpowiedział duch Savi. – Sama nie zamierzam głosować.

– Nie o to pytałem.

– Wiem. – Wciąż słyszał w jej głosie niezyczącą staruszkę.

Zadzwoił wzywający na zgromadzenie gong. Mieszkańcy Ardis zaczęli się zbierać przy ognisku w pobliżu szałasów.

Daeman nie zamierzał się śpieszyć. Zdawał sobie sprawę, że sprowadziłby na towarzyszy mniejsze zagrożenie, gdyby przyszedł na spotkanie z wojnikiem. Rozumiał także, że nie ma wiele czasu na podjęcie decyzji.

– Skoro mogłaś podsłuchać dyskusję niezauważona, dlaczego pokazałaś się mnie? – obniżył głos.

– Już tłumaczyłam – odparła. – Po prostu tak chciałam. Chociaż... Zastanów się, Może jestem jak wampir? Może nie mogę nigdzie wejść, jeśli nie otrzymam zaproszenia.

Daeman nie miał pojęcia, czym jest wampir, lecz uznał, że w tym momencie nie powinien tym zaprzętać sobie głowy.

– Nie – stwierdził. – Nie zaproszę cię do obozowiska, dopóki nie podasz mi naprawdę sensownego powodu.

Mojra ciężko westchnęła.

– Cóż, Prospero i Harman wspominali, że jesteś uparty, ale nie podejrzewałam, że aż do tego stopnia.

– Mówisz, jakbyś poznała Harmana osobiście – zauważył Daeman. – Opowiedz mi o nim. Czy jest zdrowy? Gdzie jest? Powiedz cokolwiek, bym mógł ci uwierzyć.

Mojra spojrzała mu głęboko w oczy. Daeman odniósł wrażenie, że powietrze między nimi zaczyna skwierczeć.

Gong umilkł. Spotkanie już się rozpoczęło.

Wciąż stał w bezruchu. Milczał.

– No dobrze. – Mojra ponownie się uśmiechnęła. Bardzo nieznacznie. – Twój przyjaciel Harman ma na podbrzuszu bliznę, tuż nad penisem. Nie pytałam, jak się jej nabawił, ale musiał zostać ranny już po swojej ostatniej Dwudziestce. Regeneracyjne kadzie konserwatorni usunęłyby taką szkodę bez śladu.

Daeman nie pozwolił wytrącić się z równowagi.

– Nie widziałem Harmana nago – rzucił. – Próbuje dalej.

Mojra wybuchnęła wesołym śmiechem.

– Kłamiesz. Kiedy Harman dostał ode mnie i Prospera termoskórę, stwierdził, że umie ją włożyć. A sam wiesz, że to niełatwe. Opowiadał, że w pierścieniach spędziliście w nich długie tygodnie. Dodał też, że kiedyś przebieraliście się w obecności Savi. Musiałeś go widzieć bez ubrania, a tej blizny przeoczyć się nie da.

– Po co Harmanowi termoskóra? – warknął Daeman. – Gdzie on jest?

– Zaprowadź mnie na spotkanie – powiedziała. – Obiecuję, że potem dowiesz się o nim wszystkiego.

– Przede wszystkim powinnaś o nim porozmawiać z Adą. To jego... żona. – Z trudem przypominał sobie niecodzienne słowo.

Na usta Mojry wypłynął uśmiech.

– Najpierw opowiem tobie, a ty jej przekażesz, jeśli uznasz, że to będzie stosowne. Możemy już iść? – Podała mu lekko zgięte ramię, jakby miała ją wprowadzić na elegancką salę bankietową.

Wziął ją pod rękę.

* * *

– ...Tak więc przedstawia się moja prośba. To wszystko, co chciałem powiedzieć – zakończył Nikt/Odyseusz, gdy Daeman pojawił się w kręgu.

Większość ludzi siedziała na wyniesionych z szalasu posłaniach i kocach. Niektórzy stali. Daeman nie przecisnął się do pierwszego rzędu.

– Chcesz, byśmy użyczyli ci sonika, oczekujesz, że pozbedziemy się jedynej szansy na przeżycie – zabrał głos Boman – a mimo to nie raczysz nam nawet wyjaśnić, do czego jest ci potrzebny ani kiedy zamierzasz go zwrócić.

– Nie inaczej – przyznał Nikt. – Być może będę mógł go zwrócić już za kilka godzin. W takim wypadku przyprowdzi go z powrotem automat. Z drugiej strony niewykluczone, że nie wróci do was w ogóle.

– I wtedy wszystkich w Ardis czeka śmierć – odezwała się Stefe, jedna z ocalałych mieszkanek Hughes Town.

Nikt/Odyseusz nie skomentował.

– Proszę, wytłumacz nam. Dlaczego jest ci tak nagle potrzebny? – powiedziała Siris.

– Nie, to moja prywatna sprawa – odparł Nikt.

W grupce słuchaczy rozległo się kilka chichotów. Być może uznali, że Grek żartuje. Nikt jednak wciąż patrzył z niezmaconą powagą. Podobna aura otaczała całą jego postać.

– Znajdź sobie inny sonik! – zawołał Kaman, najbardziej pośród nich obeznany ze sprawami wojskowości. Już wcześniej rozповідаł, że ani przez chwilę nie ufał prawdziwemu Odyseuszowi, bohaterowi spektaklu turyńskiego, którego poczynania śledził przed Upadkiem codziennie przez dziesięć lat. Zawsze dodawał, że temu podstarzałemu Odysowi nie wierzy ani trochę bardziej.

– I tak właśnie bym postąpił, gdybym tylko mógł – odpowiedział Nikt spokojnym, stonowanym głosem. – Od najbliższych, o których wiem, dzielą nas jednak tysiące mil. Na tej mojej prowizorycznej latającej tratwie nie uda mi się tam dotrzeć na czas. Być może nie dotarłbym wcale. A sonik jest mi potrzebny już dzisiaj. W tej chwili.

– Po co? – Laman odruchowo spróbował podrapać się utraconymi palcami w zabandażowaną prawą rękę.

Nikt zbył pytanie milczeniem.

Ada, która spotkanie otworzyła i wprowadziła wszystkich w temat, stała od tamtej pory bez słowa obok barczystego Greka.

– Czy możesz nam przynajmniej powiedzieć – odezwała się półgłosem – co zyskamy, jeżeli pozwolimy ci skorzystać z sonika?

– Istnieje możliwość, że jeżeli mi się powiedzie, ponownie zadziała sieć faksowężłów – odpowiedział. – Już za kilka godzin. Najdalej za parę dni.

Wśród zebranych rozległo się zdumione szemranie.

– Bardziej realna jest wszakże możliwość – uzupełnił Grek – że nic takiego nie nastąpi.

– Czyli to dlatego chcesz pożyczyć sonik? – dopytał Greogi. – Spróbujesz uruchomić faksowężły?

– Nie. – Nikt pokręcił głową. – To jedynie ewentualny skutek uboczny mojej podróży. Mało prawdopodobny.

– Czy jeśli... użyjemy ci sonika... skorzystamy też w jakiś inny sposób? – podjęła Ada.

Wszyscy uczestnicy zgromadzenia wyraźnie widzieli, że to właśnie dziewczyna najbardziej skłania się ku prośbie Nikogo.

Brodacz wzruszył ramionami.

Przez kilka następnych chwil na placu panowała cisza tak głęboka, że Daeman usłyszał nawoływania dwóch wartowników patrolujących teren ćwierć mili na południe. Rzucił okiem w bok – półprzezroczysta Mojra wciąż stała w pobliżu z rękoma splecionymi na piersi. Wydało mu się to nieprawdopodobne, lecz kiedy podchodzili do kręgu, naprawdę nie zobaczył jej nikt – nawet Ada, Odyseusz i Boman, który przyglądał się intensywnie Daemanowi, odkąd chłopak przeszedł przez bramę.

Nikt wyciągnął przed siebie muskularne ramiona. Otworzył dłonie, jakby chciał wszystkich słuchaczy przygarnąć, bądź przeciwnie, odepchnąć.

– Wiem, że wolelibyście usłyszeć, że dokonam dla was jakiegoś wielkiego cudu – zaczął cichym i donośnym, wyćwiczonym w sztuce retoryki głosem. Kolejne słowa odbijały się echem od ostrokołu. – Cudów jednak nie ma. Jeżeli zostaniecie tutaj ze swoim sonikiem, i tak prędzej lub później zginiecie. Wojniksy podążą w ślad za wami, nawet gdybyście zrealizowali plan i uciekli na wyspę. Potwory nadal są w stanie się faksować, i to nie tylko poprzez znane wam portale. W tej chwili otacza was horda licząca kilkadziesiąt tysięcy wojniksów. Stoją dwie mile stąd. Wszędzie indziej, na całej Ziemi, niedobitki ludzkości, marne kilka tysięcy osób, uciekają właśnie w panice bądź kryją się w jaskiniach, starych wieżowcach i ruinach dawnych osiedli. Wojniksy mordują ich bezlitośnie. Na waszą korzyść przemawia posiadanie tego... małego Setebosa. Nie ruszą do ataku, dopóki pozostaje waszym więźniem. Niemniej już za kilka dni, możliwe wręcz, że zostały ledwie godziny, ta potworna wesz z Jamy okrzepnie na tyle, że zdoła się wyzwolić i wdrze się do waszych umysłów. A możecie mi wierzyć, tego doznania wolelibyście uniknąć. Potem i tak dopadną was wojniksy.

– Tym bardziej nie wolno nam rozstawać się z sonikiem! – zawołał Caul.

Nikt rozłożył ręce.

– Być może. Niebawem jednak nie będziecie już mieli dokąd uciekać. Czy naprawdę sądzicie, że tylko wy umiecie korzystać z funkcji lokalizatora? Zresztą wasze funkcje przestały już działać, a wojniksy wciąż są w stanie tropić ludzi. Znajdą was. Odszuka was także Setebos, kiedy skończy już wreszcie paść się dziejami waszej planety.

– Z twoich słów wynika, że nie mamy żadnej szansy... – odezwał się Tom, zwykle skryty lekarz.

– Owszem. – Nikt dopiero teraz podniósł głos. – Nie jest moją rolą rozbudzanie czyichkolwiek nadziei. Mówię jedynie, że jeśli uda mi się zrealizować plan, być może, przypadkowo, pojawi się szansa i dla was. Nie chcę kłamać. Zaslugujecie na słowa prawdy. Mało prawdopodobne, by mi się powiodło. Jeżeli jednak na świecie nie zmieni

się niebawem coś ważnego, to, z sonikiem czy bez niego, po prostu nie przeżyjecie.

Daeman, który przysięgał sobie, że w trakcie dyskusji nie odezwie się ani słowem, usłyszał nagle własny głos.

– Czy nie moglibyśmy polecieć na pierścienie? Sonik jest w stanie nas tam zawieźć, partiami, po sześć osób. Przecież przyleciałem nim do Ardis z wyspy Prospera. Czy w pierścieniach bylibyśmy bezpieczni?

Zwróciły się ku niemu spojrzenia wszystkich obecnych. Ani jedna osoba nie zatrzymała wzroku na stojącej tuż obok migocącej Mojrze.

– Nie – odparł Nikt. – W pierścieniach też nie będziecie bezpieczni.

Wtem poderwała się z ziemi ciemnowłosa Edide.

– Nie zostawiasz nam, kurwa, krzty nadziei! – Zaśmiała się przez łzy.

Po raz pierwszy od początku spotkania Odyseusz-Nikt rozciągnął wargi w obłądnym, irytującym uśmiechu. Pomiedzy siwymi kosmykami zarostu błysnęła biel zębów.

– Nie jest moją rolą obdarzać was nadzieją – powtórzył z naciskiem. – O tym zdecydują same Mojry. Za to wy możecie dzisiaj podarować nadzieję mnie... Lub na dobre mi ją odebrać.

Ada wyszła na środek.

– Zagłosujmy. Myślę, że nikt nie powinien się wstrzymywać. Od tej decyzji może zależeć cała nasza przyszłość. Proszę wszystkich, którzy są za tym, by użyć Odyseuszowi... przepraszam... Nikomu... sonika, o podniesienie prawej ręki. Przeciwni niech nie robią nic.

Z wysokości pięciu tysięcy metrów ani miasto – starożytna Troja – ani rozciągająca się wokół równina nie przedstawiały imponującego widoku.

– To tutaj? – spytał centurion Mep Aho, wciąż siedzący z tyłu ze swoimi żołnierzami. – Miejsce, gdzie walczyliśmy u boku Greków i Trojan? To zachwaszczone wzgórze i spłachetek ziemi?

– Sześć tysięcy lat wcześniej – przypomniał Mahnmut ze sterówki tkwiącej w ładowni promu „Mrocznej damy”.

– W dodatku w innym wszechświecie – zauważył Orphu usadowiony w ładowni batyskafu.

– Nie ma czego oglądać – stwierdził zza sterów promu Suma IV. – Chyba możemy już lecieć dalej?

– Zatocz jeszcze jeden krąg, proszę – rzucił Mahnmut. – A gdybyśmy tak zeszli trochę niżej? I przelecieli nad równiną między pagórkami i wybrzeżem? Ponad plażą?

– Nie – odparł nawigator. – Powiększ sobie optykę. Stanowczo wolę się nie zbliżać do tego pola siłowego, które chroni nieckę Morza Śródziemnego. Niżej też nie chciałbym lecieć.

– Chodziło mi o to, żeby radar i termowizja Orphu miały szansę złapać silniejszy sygnał – wyjaśnił Mahnmut.

– Radzę sobie – zahuczał głos z ładowni.

Prom raz jeszcze okrążył okolicę na wysokości pięciu kilometrów. Najdalej na zachód wysunęli się, przelatując nad stojącymi na szczycie wzgórza ruinami, skąd do wyschniętego morza było jeszcze ponad tysiąc metrów. Mahnmut wzmocnił powiększenie obrazu z głównej kamery, wyłączył pozostałe kanały danych i z dziwną nostalgią przyjrzał się pejzażowi.

Kamienne pozostałości starożytnego Ilionu słały się na spiętrzonej grzbiecie wzgórza biegnącym ku łukowato wygiętemu wybrzeżu Morza Egejskiego. Portu z prawdziwego zdarzenia nie zbudowano tu nigdy. W zamierzchłej przeszłości statki cumowały przy wbitych w dno palach bądź korzystały z kamiennych kotwic. To właśnie na tej plaży wylądowały setki czarnych okrętów Agamemnona i jego herosów.

Na zachodzie, aż po widnokrąg, rozlewały się dawniej wody obu akwenów – Egejskiego i Śródziemnego, mórz ciemnych jak wino. Obecnie jednak, poza migocącą delikatnie barierą postludzkiego pola siłowego, które w milisekundę od pierwszego kontaktu pozbawiłoby ich prom zasilania, widniały jedynie piach, skały i zieleniejące w oddali pola uprawne – suchy Basen Śródziemny. Dało się też wypatrzyć stare wyspy, które dawniej strzelały ponad fale – te same wyspy, które Achilles zdobył jeszcze przed przystąpieniem do oblężenia Troi: Imbros, Lemnos i Tenedos. Dzisiaj były po prostu stromymi, lesistymi wzgórzami o kamienistych podnóżach, wyrastającymi z piaszczystego dna Basenu.

Pomiędzy dawnym morskim brzegiem a ruinami Troi Mahnmut zobaczył szeroką na półtora kilometra aluwialną równinę. W tej chwili porastały ją gaje karłowatych drzewek, lecz morawiec doskonale pamiętał czasy, gdy przemierzał ją u boku Odysusza, Achillesa, Hektora i pozostałych wojowników – trzy mile oblewanego falami, półkolistego wybrzeża obrębnego mokradłami i łąkami naniesionego przez morze piachu; plaża, na której zwykle roilo się od ludzi; wydmy, w które przez długie lata wojny wsiąkło tak wiele ludzkiej krwi; tysiące wielobarwnych namiotów, a jeszcze dalej ciągnąca się aż po samo miasto równina. W tej chwili zalesiona, lecz wówczas naga, gdyż przez dekadę zbierania opału do ognisk i stosów pogrzebowych walczący wycięli drzewa do ostatniego.

Na północy zauważył refleksy odbitego od wody światła. Cieśnina zwana w przeszłości Hellespontem, a potem Dardanelami, była obecnie zatamowana wyrzeźbionymi z pola siłowego jaśniejącymi dłońmi, identycznymi jak te, których szereg ciągnął się od Gibraltaru po Afrykę, odcinając od Basenu wody Atlantyku.

Orphu – zupełnie jakby obserwował swym radarem i kamerami termowizyjnymi ten sam skrawek terenu – odezwał się na ich prywatnym kanale.

– Postłudzie musieli tu stworzyć potężny system podziemnej kanalizacji. Inaczej cała okolica znalazłaby się pod wodą.

– Aha – odpowiedział Mahnmut, którego kwestie inżynieryjne nigdy specjalnie nie zajmowały. Błądził właśnie myślami wraz z lordem Byronem, Aleksandrem Wielkim i wszystkimi innymi, którzy w przeszłości odbywali pielgrzymki do Ilionu, do Troi, do tego niecodziennego sanktuarium.

„Żaden kamień nie jest tam bezimienny”. Słowa jakby same nasunęły mu się na myśl. Z kogo to cytat? Z Lukana? Chyba tak. Tak, prawie na pewno.

Na wierzchołku wzgórza widać było teraz jedynie przypominające szarobiałe blizny rzędy skruszałych kamieni. Bez wyjątku bezimiennych. Mahnmut uświadomił sobie, że ogląda ruiny ruin. Niektóre z tych głazów pochodziły zapewne z czasów ogarniętego manią odnalezienia Troi archeologa-amatora, Heinricha Schliemanna, który swoje nieostrożne, destrukcyjne wykopaliska rozpoczął w tym miejscu już w 1870 roku. Na tej prawdziwej Ziemi upłynęły od tamtych dni ponad trzy tysiące lat.

Teraz nie było tu w zasadzie nic. Ostatnia nazwa, jaka pojawiła się na ludzkich mapach, brzmiała „Hisarlik”. Poskręcane, niewysokie drzewka, napływowa równina i wysokie wzgórze, skąd roztaczał się widok na północ, ku Dardanelom, i na zachód, w stronę Morza Egejskiego.

Oczywiście wyobraźni Mahnmut oglądał jednak miejsca, w których ścierały się wielkie armie. Pola nad Skamandrem, równina nad Symojdą. Ujrzał potężne mury i niebosiężne wieże Ilionu, tam gdzie wzgórze kłaniało się morzu. Wypatrzył nawet zarośnięty pagórek między miastem a plażą – Grecy zwali go Wzgórzem Chwastów, choć trojańscy kapłani znacznie częściej określali to miejsce mianem Kurhanu Amazonki Myrine. Przypomniawszy sobie moment, gdy oglądał twarz Zeusa wyrzeźbioną we wznoszącym się na południowym niebie atomowym grzybie. Ledwie kilka miesięcy temu. Sześć tysięcy lat wcześniej.

Gdy prom zatoczył już ostatni krąg, Mahnmut zauważył punkt, gdzie potężna

Brama Skajska powstrzymała napór wyjących Greków. W tej wersji „Iliady”, którą oglądał na własne oczy, nie pojawił się żaden drewniany koń. Wspaniała główna arteria miasta prowadziła przez rynek i obok fontann prosto do zniszczonego podczas bombardowania pałacu Priama. Dla Mahnmuta upłynęło tylko krótkie dziesięć miesięcy. Na północny wschód od rezydencji władcy wznosiła się wielka świątynia Ateny. A tam, gdzie teraz widniały tylko marne drzewa i skały, trwała niegdyś chętnie używana przez Trojan Brama Dardaneńska. A jeszcze kawałek dalej stała główna wieża strażnicza. To właśnie tam Helena...

– Nic tu nie ma – rozległ się w interkombie głos Sumy IV. – Zbieramy się.

– Dobrze – mruknął Mahnmut.

– Zgoda – poparł go Orphu.

Zawrócili ku północy. Prom wciągnął przystosowane do wolniejszych lotów długie skrzydła i raz jeszcze pokonali barierę dźwięku. Nad Dardanelami poniosło się niesłyszane przez nikogo echo dźwiękowego gromu.

– Czujesz już ten dreszczyk? – Mahnmut wywołał przyjaciela na prywatnej częstotliwości. – Za parę minut zobaczysz swój Paryż.

– Zobaczą tylko krater w miejscu dawnego centrum – odparł Orphu. – Obawiam się, że czarna dziura zniszczyła też mieszkanie Prousta.

– No, ale jednak... Tam tworzył – zauważył Mahnmut. – Przez jakiś czas, o ile się nie mylę, pisał tam też ten drugi gość, James Joyce.

Orphu głucho zachichotał.

– Dlaczego nigdy wcześniej się nie przyznałeś, że poza Proustem fascynuje cię też Joyce? – podjął mniejszy morawiec.

– Nie złożyło się.

– Ale Orphu, dlaczego padło akurat na tę dwójkę?

– A dlaczego w twoim przypadku padło na Szekspira? I czemu zająłeś się akurat sonetami, a nie dramatami? Dlaczego raczej Mroczna Dama i Młodzieniec, a nie, dajmy na to, Hamlet?

– Nie wykręcaj się, odpowiedz – odparł Mahnmut. – Proszę.

W radiu zapanowało milczenie. Mahnmut słyszał tylko pomruki silników, posykiwanie tlenu w przewodach i wentylatorach, szum zakłóceń w systemach łączności promu...

– Pamiętasz może – odezwał się wreszcie Orphu – tę moją gadkę z „Królowej Mab”? Kiedy mówiłem, że wielcy artyści, osobliwości geniuszu, potrafią tworzyć nowe wszechświaty? A przynajmniej pozwalają nam przekraczać dzielące nas od nich brany?

– Jak mógłbym zapomnieć! Nie byliśmy pewni, czy ty tak na poważnie.

– Jak najbardziej serio – zagrzemiał Orphu. – Moje zainteresowanie rasą ludzką skupia się głównie na okresie od dwudziestego do dwudziestego drugiego stulecia po Chrystusie. I już dawno temu doszedłem do wniosku, że akuszerami, którzy pomogli się tym czasom urzeczywistnić, byli właśnie Proust i Joyce. Ich umysły.

– Nie świadczy to o nich najlepiej. Chyba że moje dane historyczne są jakieś lewe – zauważył Mahnmut półgłosem.

– Nie, znaczy tak.

Znów kilka minut upłynęło w ciszy. Przerwał ją głos Orphu.

– Chcesz może usłyszeć wiersz, na który natknąłem się, gdy byłem jeszcze szczeniakiem? Niedługo po opuszczeniu montażowni?

Mahnmut spróbował sobie wyobrazić młodego Orphu z Io. Szybko dał sobie spokój.

– Chętnie – powiedział. – Mów. – Jeszcze nigdy nie słyszał dudniącego głosu przyjaciela deklamującego poezję. Wbrew oczekiwaniom doznanie okazało się dziwnie przyjemne...

Po Roniony

I.

Mały Rudy Bloom, rumianolicy w łonie matki

Czerwone światło przenika jego senne, rozproszone majaki

*Molly pobrzękuje długimi drutami, snuje się czerwona wełna, dla niego.
Czuje w sobie drgnięcia maleńkich stópek
Pożerają go drobinki snów, ich płody, szykują na woń koców.*

II.

*Mężczyzna delikatnie osusza usta czerwoną serwetką.
Skupia wzrok na oceanie chmur dryfujących poza wysokimi,
ceglastymi kominami
Tonie w nagłym wspomnieniu łodyg głogu, bijących o siebie wśród burzy
Wyciągnął drobne rączki ku łopocącym różowym płatkom.
Wonie dni dawno minionych wpływają między skrzydełka jego nozdrzy.*

III.

*Jedenaście dni. Jedenaście istnień maciupkiej istoty wyplątującej się z kokonu.
Jedenaście naznaczonych ciszą poranków, gdy ciepło i cienie skradały się po drewnianej
podłodze.
Jedenaście tysięcy uderzeń serca przed zmrokiem, gdy kaczki porzuciły odległy staw.
Jedenastą wskazały obie wskazówki, gdy wtuliła go w swą pierś.
Jedenaście dni oglądali jego różowe ciało uśpione w rdzawej wełnie.*

IV.

*Urywki powieści oprawił w wyobraźni
Lecz luźne kartki odpłynęły z nurtem mrocznych kanałów jego umysłu.
Niektóre niezapisane, inne pokryte wyłącznie przypisami
Znużony przecierpiał porodowe skurcze twórczego ducha
Ale przelane na papier wspomnienia nie dotrwały świtu...*

Kiedy niskie pomruki Orphu umilkły, Mahnmut jeszcze przez moment nie

skomentował. Próbował ocenić utwór. Miał z tym poważny problem, tym większy, że zdawał sobie sprawę, iż dla przyjaciela ten wiersz wiele znaczy – pod koniec głos wielkiego morawca był bliski drżenia.

– Kto to napisał? – zapytał.

– Nie wiem – odparł Orphu. – Na pewno kobieta. Z dwudziestego pierwszego wieku. Jej nazwisko zaginęło wraz z całą Zapomnianą Erą. Pamiętaj, że znalazłem ten tekst, gdy byłem jeszcze młody. Nie mogę nawet powiedzieć, bym w tamtym czasie pojmował już spuściznę Prousta, Joyce’a czy jakiegokolwiek innego wielkiego pisarza. Niemniej te kilka wersów pozwoliło mi ujrzeć w dziełach Joyce’a i Prousta dwa aspekty jednej i tej samej świadomości. Osobliwości ludzkiego geniuszu i głębokiej zdolności rozumienia, wnikliwości. Wciąż tak uważam.

– Poczulem coś bardzo zbliżonego, gdy po raz pierwszy przeczytałem sonety Szekspira... – zaczął Mahnmut.

– Przełączcie się na przekaz z kamer „Królowej” – polecił całej załodze Suma IV. Mahnmut aktywował odpowiedni kanał.

Dwie istoty ludzkie w zapamiętaniu kopulowały na szerokim łożu zasłanym jedwabną pościelą i otoczonym tkanymi z wełny gobelinami. Mahnmuta zdumiał widok ich zawzięcie energicznych, żarliwych ruchów. Z lektur wiedział co prawda, jak przebiegały stosunki seksualne Ziemi, lecz nigdy nie wpadł na pomysł obejrzenia zachowanych w archiwach nagrań.

– Co oni robią? – spytał Orphu na prywatnym kanale. – Moje odczyty telemetryczne kompletnie oszalały. Ciśnienie krwi szybuje w okolicy stanów maksymalnych. Mam też nagły wzrost poziomów adrenaliny i dopaminy. Znacznie przyspieszona akcja serca. Co wy tam oglądacie? Walkę na śmierć i życie?

– Hm... – mruknął Mahnmut.

Postacie, nie odrywając się od siebie, nie zaprzestając rytmicznych, frenetycznych podrygów, przetoczyły się po materacu i mały morawiec wyraźnie zobaczył twarz mężczyzny.

Odyseusz. Kobieta była najwyraźniej Sykoraks, istota, która powitała Achaja w orbitalnym mieście na asteroidzie. W tej chwili jej uwolnione z szat piersi i pośladki wydawały się jeszcze większe niż przedtem. I to pomimo faktu, że biust kobiety przywierał płasko do torsu Greka.

– Więc... – zaczął zażenowany Mahnmut.

W sukurs pośpieszył mu Suma IV.

– Ten konkretny moment jest nieistotny. Przełączcie się na obraz z dziobowych kamer promu.

Mahnmut posłuchał. Orphu uruchomił odbiorniki danych z czujników podczerwieni, radaru i pozostałych dostępnych systemów.

Nadlatywali ku przedmieściom zniszczonego przez czarną dziurę Paryża, lecz podobnie jak na zdjęciach oglądanych na pokładzie „Królowej Mab” nie zobaczyli żadnego krateru. W jego miejsce wznosiła się zwieńczona olbrzymią kopułą katedra. Wyglądała jak utkana z pasm błękitnego lodu.

Suma IV przesłał komunikat załodze macierzystego statku.

– Gdzie jest w tej chwili nasz przyjaciel? Ten wieloramienny budowniczy?

– Z naszej pozycji nie widać ani jednej Dziury Branowej – odpowiedział natychmiast Asteague/Che. – Satelity też ich nie znalazły. Wygląda na to, że stwór skończył swoją ucztę w Hiroszynie, Auschwitz i tym podobnych miejscach. Być może wrócił do domu.

– Owszem, wrócił – odezwał się Orphu na wspólnym paśmie. – Sprawdźcie termowizję. Coś cholernie dużego i cholernie paskudnego siedzi w samym środku tej niebieskiej pajęczyny, dokładnie pod czubkiem kopuły. Widzę tam też sporo kanałów termicznych. Zdaje się, że nasz znajomy ogrzewa sobie gniazdo wyziewami z krateru. Kiedy sięgnę głębiej, widzę lekki zarys przerośniętych paluchów. Tuż pod najcieplejszymi obszarami mózgu.

– Wiesz... – Mahnmut zwrócił się do przyjaciela na prywatnej linii. – Cokolwiek się dzieje, to jednak wciąż Paryż. Miasto Prousta i...

Nawet potem, analizując sytuację, Mahnmut nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób Sumie IV udało się zareagować tak błyskawicznie. Wydawało się to niemożliwe, mimo że navigator był bezpośrednio podłączony do głównego komputera i sterów promu.

Z sześciu punktów wokół gigantycznej kopuły wystrzeliły błyskawice. Załogę ocaliły jedynie wysokość i niebawala refleks pilota.

Suma IV przełączył silniki na naddźwiękowe i położył pojazd w gwałtowny zakręt, wywołujący przeciążenie 75 g. Zanurkował, wykonał beczkę, po czym umknął naprzód, wzbijając się gwałtownie na północ. Mimo uników sześć strumieni energii o napięciu miliarda woltów chybiło ledwie o kilkaset metrów. Prom, szarpnięty pędem implodującego powietrza i falą uderzeniową grzmotu, dwukrotnie przeokołkował, lecz Suma IV ani na moment nie stracił panowania nad sterami. Skrócił skrzydła do rozmiarów zwykłych stateczników i pomknęli dalej przed siebie.

Zaraz potem ponownie położył prom na bok, z rozmysłem obrócił go o trzysta sześćdziesiąt stopni, włączył system maskujący na pełną moc, wystrzelił flary i zasnuł niebo nad paryską katedrą gąszczem elektronicznych zakłóceń.

Z pogrzebanego pod lodem miasta wystrzeliło kilkanaście ognistych kul. Mknęły ku górze z prędkością trzech machów. Węszyły za nimi, przyspieszały i znów węszyły. Mahnmut obserwował radar targany emocjami zdecydowanie silniejszymi niż ciekawość. Wiedział przy tym, że Orphu, bezpośrednio podłączony do aparatury namierzającej, dosłownie czuje zbliżające się do nich plazmowe pociski.

Ostatecznie jednak nie sięgnęły promu. Suma IV rozpędził pojazd do pięciokrotnej prędkości dźwięku i wznieśli się już na wysokość trzydziestu dwóch kilometrów, osiągając skraj przestrzeni kosmicznej. Ogniste kule eksplodowały poniżej na różnych pułapach, fale uderzeniowe rozeszły się w powietrzu niczym zmarszczki na powierzchni stawu.

– Co za skurwy... – zaczął Orphu.

– Cisza! – warknął pilot.

Prom wykonał jeszcze jedną beczkę, zanurkował, zawrócił na południe, zwiększył zasięg radarów i systemów zakłócania elektronicznego, po czym ponownie wzbil się ku granicy atmosfery. Z raptownie malejącego miasta nie strzelały już ani błyskawice, ani

kule plazmy. Paryż został sześćset kilometrów pod nimi.

– Okazuje się, że wieloramienny mózg nie jest taki znowu bezbronny – skomentował Mahnmut.

– My też nie przybywamy z pustymi rękoma – wtrącił przez interkom centurion Mep Ahoo. – Myślę, że powinniśmy mu to gniazdko podgrzać. Najlepiej atomówką. Dziesięć milionów stopni Fahrenheita na początek. Powinno wystarczyć.

– Cisza! – powtórzył siedzący w kokpicie Suma IV.

Na wspólnym paśmie rozległ się głos naczelnego integratora Asteague/Che.

– Przyjaciele... mamy... Macie tam pewien problem.

– Odkrywca jeden... – Orphu z Io zachichotał, zapominając przełączyć się na kanał Mahnmuta.

– Nie – odparł integrator. – Nie mam na myśli ataku wieloramiennej istoty. Ten kłopot jest bardziej poważny. Macie go tuż pod sobą. Gdyby czujniki „Królowej” nie śledziły waszego lotu, nic byśmy nie zauważyli...

– Bardziej poważny? – powtórzył Mahnmut.

– Znacznie bardziej poważny – potwierdził Asteague/Che. – I to niejeden. Obawiam się, że macie na głowie siedemset sześćdziesiąt osiem problemów.

– Przedstawcie swoją sprawę – grzmi donośnie Demogorgon.

Hefajstos trąca łokciem Achilleśa, by dać herosowi znać, że sam poprowadzi rozmowę. Skłania się niezgrabnie, kołysząc przy tym żelaznymi kulami swego osobliwego pancerza.

– Wasza demogorgonowość, mój panie Kronosie i szacowne tytaniczności, nieznające śmierci Godziny i... pozostałe czcigodne istoty. Staję dziś przed wami ze swym druhem Achillesem nie po to, by o cokolwiek prosić, nie po to, by błagać o dary, lecz by podzielić się z wami wszystkimi informacjami wagi niezwyklej. Są to wieści, które poznać musicie, i zapewniam, że poznać chcecie, informacje, które...

– Głośnij, kaleki Olimpijczyku!

Hefajstos z wysiłkiem przywołuje na usta uśmiech, zgrzyta zębami i powtarza swój sążnisty wstęp.

– Mów więc.

Achilles tymczasem zastanawia się, czy Kronos i reszta Tytanów, nie mówiąc o wielkich, niemożliwych do opisania słowami istotach tłoczących się wszędzie dokoła, stworzeniach o imionach tak dziwacznych jak Nieśmiertelne Godziny czy Woźnice, wezmą w spotkaniu aktywny udział, czy prawa głosu może udzielać wyłącznie ten... Demogorgon.

Nagle Hefajstos go zaskakuje.

Ze swojego pękatego plecaka – wykonanego z żelaza i płótna, nieporęcznego pojemnika, w którym wedle Achilleśa kryją się zbiorniki z powietrzem – patron rzemiosła dobywa mosiężne jajo upstrzone licznymi szklanymi soczewkami. Kuternoga delikatnie ustawia przyrząd na skale przed Demogorgonem i przez chwilę manipuluje przy rozmaitych przełącznikach i wajchach. Wreszcie karłowaty bóg odzywa się ponownie, tym razem rozkręcając na pełen regulator głośniki swego hełmu.

– Wasza demogorgoniczność, najzacniejsze, budzące lęk w sercach Godziny, i wy majestatyczni Tytani i Tytanki. Kronosie, Reo, Kojosie, Kriosie, Hyperionie, Japecie, Tejo, Heliosie, Selene, Eos i inni, którym w udziale przypadł tytaniczny żywot. Wy, wasze wielorękie Uzdrawicielstwa i bezkształtne Woźnicostwo. Wszystkie szanowne Istoty majaczące we mgle i wśród popiołów. Zamiast przedstawiać dziś naszą sprawę, kwestię strącenia z tronu uzurpatora Zeusa, który całość boskości próbował zagarnąć dla siebie; miast prosić, byście go usunęli lub chociaż przeciwko niemu wystąpili za aroganckie próby przejęcia wszystkich światów i wszechświatów od teraz po wsze czasy, pozwolę sobie coś wam zademonstrować. Kiedy bowiem my kulimy się tutaj, na zalewanym lawą wysypisku świata, Zeus zwołał na Dworze Bogów walne zgromadzenie nieśmiertelnych Olimpijczyków. Osobiście umieściłem tam ukrytą kamerę, która przekazuje obrazy do stacji przekaźnikowej w Basenie Hellas, a otwarta przez nieśmiertelną Nyks Dziura Branowa umożliwia nam obserwację owych wydarzeń

z nieledwie sekundową zwłoką. Spójrzcie!

Hefajstos reguluje kilka kolejnych przełączników, naciska dźwignię i...

Nie dzieje się nic.

Patron płomieni przygryza wargę, rzuca do mikrofonu szpetne przekleństwo i jeszcze przez moment gmera przy mosiężnym ustrojstwie. Owalny przedmiot migocze lampkami, powarkuje, drga i na powrót milknie.

Achilles powoli wysuwa zza pasa swój bogobójczy sztylet.

– Patrzcie! – woła Hefajstos, ponownie ustawiając pełną moc głośników.

Tym razem z metalowego przyrządu strzela promień światła, kreślący w powietrzu nad głowami obecnych prostokąt szeroki na niemal sto metrów. Na tym ekranie – jaśniejącym przed Demogorgonem i setkami postaci zasnutych kłębam czerwonego dymu – widać jedynie śnieżące zakłócenia.

– Noż kurwa... – warczy Hefajstos, nie wyłączając głośników. Żwawo podchodzi do swojej maszyny i manewruje metalowymi prętami, które Achillesowi kojarzą się z uszami królika.

Obraz nabiera ostrości. Pojawia się holograficzna projekcja, w pełni trójwymiarowa, niezwykle rzeczywista, wiernie oddająca barwy. Ekran wygląda niczym najprawdziwsze okno, za którym otwiera się sala Dworu Bogów. Obrazom towarzyszy przestrzenny dźwięk. Achilles słyszy poszeptywanie tysięcy czekających bóstw, stłumiony szmer sandałów na marmurowej posadzce. Kiedy Hermes puszcza cichego bąka, słyszą go wszyscy w Tartarze.

Tytani, Tytanki, Godziny, Woźnice, podobni owadom Uzdrowiciele, bezimienne i bezkształtne monstra – wszyscy, wyjąwszy samego Demogorgona – wydają z siebie stłumiony jęk, każdy na swój własny, nieludzki sposób. Nie z powodu mało dworskiego zachowania Hermesa, lecz z zachwytu nad wciąż poszerzającą się holograficzną projekcją, która zaczyna zamykać się dokoła zgromadzenia. Gdy pasmo światła i ruchu otacza ich szczelnym pierścieniem, złudzenie przeniesienia się do wypełnionej nieśmiertelnymi boskiej siedziby staje się przemożne. Achilles ostatecznie wyrwa swe ostrze zza pasa. Jest przekonany, że zasiadający na złotym tronie Zeus oraz tysiąc otaczających go bóstw musieli już usłyszeć pomruki ściśniętych w śmierdzącej ciemności Tartaru istot.

Olimpijczycy niczego nie usłyszeli. Transmisja działa tylko w jedną stronę.

Gromowładny – mierzący sobie przynajmniej piętnaście stóp – pochyla się w swym siedzeniu, obrzuca szeregi bogów, bogiń, furii i erynii srogim spojrzeniem spod krzaczastych brwi i zaczyna przemawiać. W jego archaicznie akcentowanych, powoli cedzonych słowach Achilles wyraźnie słyszy świeżo nabytą pychę najwyższego bóstwa.

– Wy, zebrane przede mną moce Olimpu. Wy, mający udział w potędze i chwale tego, któremu służycie. Radujcie się! Z tą chwilą bowiem stałem się wszechmocny! Całość istnienia została podporządkowana mnie jednemu. Jedyne dusza człowieka, niczym ogień nieujarzmiony wciąż buńczucznie tryska płomieniem pod niebiosa. Sieje zwątpienie i modlitewnym lamentem nawołuje do wystąpienia przeciw naszemu prawiecznemu porządkowi rzeczy, opartemu na najstarszej wierze i strachu, rówieśniku piekła. I chociaż me klątwy mkną w powietrzu i spadają na nią niczym lepkie płatki

śniegu, jedna po drugiej, choć spowijają ją mroki mojego gniewu, wspina się ona, krok po kroku, po graniach życia kaleczących bosc stopy niczym lodowe sople. I w ten sposób przeważa nad cierpieniem, pełna nadziei, nieugięta. Niemniej wkrótce i ona upadnie.

Zeus podnosi się gwałtownie na równe nogi. Bije od niego blask tak intensywny, że tysiąc nieśmiertelnych Olimpijczyków i jeden bardzo śmiertelny człowiek w maskującym skafandrze – który nie uchronił go przed okiem hefajstosowej kamery i wzrokiem zebranych w Tartarze monstrów – cofają się jak jeden mąż. Gromowładny jeszcze nie skończył:

– Rozlej, Ganimedzie, niebiańskie wino. Niech wypełni wykute przez Dedala puchary niczym płynny ogień. Powstańcie z umajonej kwieciami boskiej gleby triumfalne harmonie, powstańcie jak rosa z upstrzonej gwiazdą postacią ziemi. Pijcie! Niechże nektar zacznie krążyć w waszych żyłach, niech natchnie wasze dusze radością, wiecznie żywi bogowie! Pijcież, póki uniesienie nie wyrwie się z waszych piersi niczym muzyka na polach Elizjum. A wy, którzy towarzyszyście mi w tej chwili, spowici w blask pożądania, które jednoczy was ze mną, gdy stoję się Bogiem Panującym, jedynym waszym Bogiem, jedynym Bogiem prawdziwym Wszechmocnym i Wszechwładnym, prawdziwym Panem Wieczności!

Hefajstos wyłącza projektor. Szklane lampki gasną, mosiężna obudowa zamiera. Wielkie okrągłe okno wiążące Tartar z olimpijskim Dworem Bogów znika i znów w czerwonym mroku widać już tylko popioły i sadzę; w powietrzu znów rozchodzi się fetor. Achilles staje w rozkroku, poprawia chwyt na tarczy i ukrywa za nią swe bogobójcze ostrze. Nie ma pojęcia, co zaraz nastąpi.

I przez długą, bardzo długą chwilę nie następuje zupełnie nic. Achilles spodziewa się okrzyków, nawoływań, wysuwanych wobec Hefajstosa żądań, by dowiódł, iż ukazane przez niego głosy i obrazy odpowiadają prawdzie. Spodziewa się porykiwania Tytanów, poruszenia między Uzdrowicielami. Nikt się jednak nie porusza, setki zgromadzonych wokół gigantycznych postaci milczą jak zakłęte. Powietrze gęstnieje od dymu, rdzawa poświata lawy tak ciemnieje od snujących się wszędzie popiołów, że Achilles dziękuje w duchu bogom – bądź komuś innemu – za okulary termoskóry, które pozwalają mu cokolwiek zobaczyć. Zerka ukradkiem w stronę Dziury Branowej, którą wedle słów Hefajstosa otworzyła dla niego sama Nyks, bogini Noc.

Wysoki na jakieś pięćdziesiąt stóp portal stoi, jak stał, około dwustu metrów od niego. Gdyby doszło do walki, jeżeli Demogorgon postanowi uczynić z nich obu – z karłowatego boga i achajskiego herosa – smakowitą przekąskę, Achilles spróbuje dobiec do Dziury, mimo że będzie musiał wcześniej wyrąbać sobie drogę przez tłum gigantów i bestii. Liczy się z tym, jest gotów.

Milczenie zaczyna się dłużyć. Posępne wichry zawodzą nad przypominającymi potwory skałami i rozumnymi potworami przypominającymi głazy. Wulkan pomrukuje i pluje lawą. Demogorgon wciąż nie odzywa się słowem. Aż wreszcie postanawia przemówić:

– Wszystkie służące złu duchy są duchami niewolnymi. Czy i Zeus zalicza się w ich poczet, wiecie już sami.

– Złu?! – ryczy tytan Kronos. – Mój syn oszalał! To uzurpator nad uzurpatory!

Rea, matka Zeusa, odzywa się jeszcze bardziej donośnie.

– Zeus padł ofiarą własnej woli. Stał się pośmiewiskiem całej Ziemi i zgubą Olimpu zarazem. Musi zostać wygnany w samotność ostateczną. Musi zgodnie z wyrokiem losu cierpieć zawieszony w piekle na własnym adamantowym łańcuchu.

Następnie głos zabiera jeden z potwornych Uzdrowicieli. Achillesa zdumiewa jego zdecydowanie kobiecy ton.

– Zeus poważył się na zbyt wiele. Najpierw jął naśladować Mojry, a teraz zaczął z nich drwić.

Ze skalistej grani dolatuje potężny głos jednej z Nieśmiertelnych Godzin.

– Upadek nie wymaga imienia bardziej przeraźliwego niż to: Zeus Uzurpator.

Achilles chwytą się najbliższego z rozdygotanych głazów. Jest przekonany, że wreszcie wybuchł wznoszący się za czarną sylwetką Demogorgona wulkan, lecz to jedynie zgodny, stłumiony pomruk zgromadzonych Istot.

Teraz odzywa się stojący wśród rzek lawy kudłaty tytan Krios, brat Kronosa.

– Tyran musi zatonać w wezbranych falach własnej zguby. Osobiście wedrę się na Olimp, którym niegdyś władaliśmy, i zaciągnę jego wydrażoną skorupę do samego piekła. Nawet gdybym miał runąć w otchłań wraz z nim, spleciony w koszmarnym uścisku niczym sęp zmagający się z wężem.

– Kształcie przeraźliwy! – wzywa Demogorgona wieloreki Woźnica. – Przemów!

– Władcą jest Bóg miłosierny. – Głos gigantycznego, bezkształtnego Demogorgona niesie się echem wśród szczytów i dolin Tartaru. – Zeus nie jest Bogiem Wszechmocnym. Nie może dłużej panować na Olimpie.

Achilles był pewien, że ukryty za woalem Demogorgon nie ma kończyn, lecz ów bezręki gigant unosi oplecione płaszczem ramię, którego nie miał jeszcze mgnienie temu, wyciąga przed siebie coś, co może być straszliwymi palcami.

Jaśniejąca dwieście metrów za plecami Hefajstosa Dziura Branowa, jak na rozkaz unosi się, zawisa nad zgromadzeniem, rozrasta się, po czym zaczyna opadać.

– Słowa są szybkie i jałowe – grzmi Demogorgon, kiedy czerwony, płomienisty krąg spowija ich wszystkich. – Jedyłą ostateczną i pewną odpowiedzią musi być ból.

Hefajstos chwytą Achillesa za ramię. Brodaty kuternoga szczerzy się w obłąkańczym uśmiechu.

– Trzymaj się, mały – rzuca.

Wydarzenia toczyły się w wybitnie niepomyślnym kierunku, lecz Mahnmut czuł się tak szczęśliwy, jak nigdy.

Prom zawisł nisko nad falami i zwodował „Mroczną damę” do oceanu mniej więcej piętnaście kilometrów na północ od miejsca, w którym wykryto niepokojące osobliwości. Suma IV stwierdził, że nie chce spowodować zbyt dużego rozbryzgu wody – to mogłoby doprowadzić do detonacji siedmiuset sześćdziesięciu ośmiu czarnych dziur, które, jak wszystko wskazywało, znajdowały się w pociskach na pokładzie wraku starożytnego okrętu podwodnego. Nikt nie próbował z nim dyskutować.

Gdyby Mahnmut miał ludzkie usta, na pewno rozciągnąłby je w głupkowskim uśmiechu. Jego batyskaf został zaprojektowany z myślą o badaniu i akcjach wydobywczych prowadzonych pod lodem, w czarnych jak otchłań boskich trzewi, miażdżonych potwornym ciśnieniem odmętach oceanu na Europie. W wodach ziemskiego Oceanu Atlantyckiego sprawował się jednak równie dziarsko.

A nawet lepiej.

– Szkoda, że tego nie widzisz – odezwał się do przyjaciela na prywatnym kanale.

Po raz kolejny podróżowali tylko we dwójkę. Pozostałe morawce nie wykazały większego entuzjazmu na myśl o bliższym kontakcie z siedmiuset sześćdziesięcioma ośmioma niewielkimi, lecz mocno niestabilnymi czarnymi dziurami i prom, nie zwlekając, odleciał. Suma IV planował kontynuować zwiad nad wschodnim wybrzeżem Ameryki Północnej.

– Powiedzmy, że widzę. Dzięki radarowi, podczerwieni i innym czujnikom – przypomniał Orphu.

– Jasne, ale to nie to samo. W tym oceanie jest tak jasno... Nawet dwadzieścia metrów pod wodą. I głębiej. Wiesz, kiedy Jowisz oświetla moje głębiny pełnym blaskiem, o ile zdarzy się, że płynę akurat pod otwartym w lodzie kanałem, kompletnie ciemno robi się już na kilku metrach.

– Tak, na pewno jest tu prześlicznie, nie wątpię – stwierdził Orphu.

– Nie masz pojęcia! – zachwycił się Mahnmut. Nie zauważył, lub nie chciał zauważyć, wyraźnej w głosie większego morawca ironii. – Te wszystkie snopy słonecznych promieni... Ta zielona poświata... Plamy światła... „Mroczna dama” nie jest pewna, co o tym myśleć.

– Chcesz powiedzieć, że ona zauważa światło?

– Naturalnie – odparł Mahnmut. – Jej zadanie polega na składaniu mi pełnych, wyczerpujących raportów z otoczenia. Wybiera właściwe informacje i kanały danych i przekazuje je do mnie w odpowiednim momencie. Jest przy tym na tyle samoświadoma, że dostrzega zmiany natężenia światła, grawitacji... Widzi też, jak jest pięknie. I jej też się tutaj podoba.

– Fantastycznie – zadudnił Orphu. – Tylko nie mów jej, w jakim celu i dokąd

płyniemy. Popsujesz jej humor.

– Ona o wszystkim wie – odparł Mahnmut. Nie chciał pozwolić przyjacielowi zniszczyć pogodnego nastroju chwili.

Sonar wskazał, że zbliżają się do podwodnej grani, na której spoczął wrak. Wzniesienie wyrastało z mulistego dna niecałe osiemdziesiąt metrów pod powierzchnią. Mahnmut nie mógł się nadziwić, jak płytkie są ziemskie oceany. Na Europie nie istniała płycizna mniejsza niż tysiąc metrów, a tuż przed nim podmorski grzbiet kończył się sześćdziesiąt metrów pod falami.

– Przejrzałem już cały protokół rozbrowienia, jaki przesłali nam Suma IV i Cho Li – podjął Orphu. – Znalazłeś może chwilę, żeby zapoznać się ze szczegółami?

– Niezbyt.

Mahnmut wczytał sobie dane do pamięci, lecz jak dotąd zaprzętało go nadzorowanie wodowania batyskafu i późniejszego przystosowania „Mrocznej damy” do tego nowego, cudownego środowiska. Jego ukochany stateczek był jak nowy – a nawet lepszy. Mechanicy ze stoczni na Fobosie odwalili kawał dobrej roboty. Wszystkie systemy, z których korzystał jeszcze na Europie, przed katastrofalnym awaryjnym lądowaniem w marsjańskim Morzu Tetydy, sprawowały się w łagodnym ziemskim oceanie bez zarzutu.

– No więc, jeśli chodzi o kwestię rozbrowienia tych głowic, dobra wiadomość jest taka, że teoretycznie da się to zrobić – powiedział Orphu. – Wieziemy na pokładzie odpowiednie narzędzia, między innymi palnik tnący płomieniem o temperaturze dziesięciu tysięcy stopni i generatory ukierunkowanych pól siłowych. Przy wielu czynnościach mogę zastąpić twoje ręce, a ty zastąpisz moje utracone oczy. Będziemy musieli pracować nad każdą głowicą z osobna, ale jak wspomniałem, zadanie jest teoretycznie wykonalne.

– Mhm, i to była ta dobra wiadomość, tak? – upewnił się Mahnmut.

– Tak. Zła natomiast jest taka, że jeśli będziemy pracować bez przerwy, nawet na małą kawkę czy siusiu, przy każdej czarnej dziurze spędzimy nieco ponad dziewięć godzin. Zauważ, że nie mówię teraz o rakietach, tylko o poszczególnych czarnych dziurach.

– A skoro jest ich siedemset sześćdziesiąt osiem... – zaczął Mahnmut.

– Potrzebujemy sześciu tysięcy dziewięciuset dwunastu godzin – obliczył Orphu. – Jako że jesteśmy na Ziemi, a czas morawiecki oparty jest na tutejszym, rozbrowianie głowic potrwa dwieście czterdzieści siedem dni i dwanaście godzin. Oczywiście przy założeniu, że wszystko pójdzie jak z płatka i nie pojawią się żadne nieprzewidziane problemy...

– Wiesz... – odparł Mahnmut. – Myślę, że zaczniemy się tym martwić dopiero, kiedy już ten wrak znajdziemy i okaże się, że mamy w ogóle do tych rakiet jako taki dostęp.

– Dziwnie jest podłączać się bezpośrednio do sonaru – stwierdził Orphu. – Wcale nie tak, jakby nagle poprawił mi się słuch. Czuję się raczej, jakby rozciągnęła mi się skóra i...

– Jest! – przerwał przyjacielowi Mahnmut. – Widzę go. Mamy wrak.

Perspektywa i horyzont wyglądały na Ziemi inaczej niż na mniejszym od niej

Marsie, do którego warunków zdołał się już niemal przyzwycząć. Różnice były jeszcze większe w porównaniu z drobną Europą, na której spędził przecież niemal całą swoją dotychczasową egzystencję. Niemniej odczyty sonaru, radaru głębokościowego, detektorów masy, a także jego własne oczy zgodnie twierdziły, że od rufy zatopionego okrętu dzieli ich około pięciuset metrów. Wrak spoczywał tuż przed nimi, zagrzebany w dennym szlamie nieco poniżej „Mrocznej damy”, która płynęła siedemdziesiąt metrów pod falami. Pokierszowany kadłub miał długość mniej więcej pięćdziesięciu pięciu metrów.

– Dobry Boże – wyszeptał Mahnmut. – Masz go na radarze i sonarze?

– Tak.

Wrak spoczął na brzuchu, dziobem w dół, choć przedniego końca okrętu nie było widać. Przesłaniała go migocąca bariera pola siłowego, która powstrzymywała wody Atlantyku od zalania wąskiego pasa suchego dna ciągnącego się od Europy po Amerykę Północną. Małego morawca najbardziej zachwyciło bijące z Bruzdy światło. Tutaj, siedemdziesiąt metrów pod powierzchnią, nawet w słonecznych oceanach Ziemi, powinny panować nieprzeniknione ciemności. Zamiast tego na energetycznej ścianie i porośniętym zielonymi wodorostami kadłubie tańczyły plamy słonecznych promieni.

– Już wiem, co ich zatopiło – podjął Mahnmut. – Czy twoje instrumenty pokazują tę dziurę powyżej maszynowni? Zaraz za garbem, w którym znajduje się przedział raketowy...?

– Tak.

– Musiał tam eksplodować jakiś pocisk. Może bomba głębinowa albo torpeda – dodał Mahnmut. – Zwróć uwagę, płyty kadłuba na brzegach są wgięte do wewnątrz. Wybuch zniszczył też podstawę żagla. Jest pochylony naprzód.

– Żagiel? Jaki znowu żagiel? – zdziwił się Orphu. – Taki, jak ten trójkątny na feluce, którą przepłynęliśmy Valles Marineris?

– Nie. Chodzi mi o taki sterzący element konstrukcji. Ten, który sięga niemal do granicy pola siłowego. W początkowym okresie rozwoju okrętów podwodnych nazywano je kioskami, ale gdy pojawiły się boomery, tego rodzaju nadbudówki przechrzczono na żagle.

– Dlaczego? – zainteresował się Orphu.

– Skąd mam wiedzieć? – odparł Mahnmut. – Znaczy, na pewno mam gdzieś tę informację w banku pamięci, ale to mało istotne. Szkoda czasu na sprawdzanie.

– Aha. A co to jest boomer?

– We wczesnej Zapomnianej Erze ludzie określali w ten sposób okręty podwodne przewożące pociski balistyczne – wyjaśnił mniejszy morawiec. – Taka pieszcotliwa nazwa, rozumiesz.

– Nadawali pieszcotliwe nazwy maszynom budowanym wyłącznie w celu zabijania? Niszczenia całych miast?

– Tak. Ten boomer miał w chwili zatonięcia prawdopodobnie sto lub dwieście lat. Podejrzewam, że powstał w stoczni jednego z wielkich mocarstw, a następnie sprzedano go mniejszemu państwu. W każdym razie spoczął tutaj na długo, zanim pojawiła się ta bruzda.

– No dobrze, a czy uda nam się dostać do głowic? – spytał Orphu.

– Momencik. Przekonajmy się.

Mahnmut skierował batyskaf naprzód. Wolał uniknąć bezpośredniego kontaktu z polem siłowym, więc nie posunął „Mrocznej damy” dalej niż na wysokość przedziału raketowego. Omiótł cały wrak światłami szperaczy. Pozostałe instrumenty penetrowały wnętrze starożytnego okrętu.

– Coś jest nie tak... – rzucił do mikrofonu.

– Co takiego? – zapytał większy morawiec.

– Wrak jest porośnięty anemonami i wodorostami. Życie tętni też wewnątrz, ale wszystko wygląda tak, jakby okręt zatonął stulecie temu, nie dwa i pół tysiąca lat wcześniej.

– Myślisz, że sto lat temu ktoś mógł z niego skorzystać?

– Nie. Chyba że nasze obserwacje nie były miarodajne. Ludzie dawnego typu od dwóch tysięcy lat obywali się w zasadzie bez technologii. Nawet gdyby ktoś jakimś cudem zdołał ten okręt znaleźć i uruchomić, to kto go zatopił?

– Może postludzie?

– Nie wydaje mi się – odparł Mahnmut. – Oni nie posłużyliby się tak prymitywną bronią jak torpeda czy bomba głębinowa. I nie zostawiliby samopas uzbrojonych głowic z czarnymi dziurami.

– No tak, głowice są na swoim miejscu – zauważył Orphu. – Radar pokazuje mi ich kształty dość wyraźnie. Da się też zauważyć pola siłowe utrzymujące w ryzach osobliwości. Lepiej weźmy się do roboty.

– Zaczekaj – rzucił mniejszy morawiec.

Chwilę temu posłał w głąb wraku kilka sond – drobnych urządzeń wielkości dłoni – i przez sterujące nimi mikrokable spłynęły właśnie pierwsze dane. Jeden z próbników zdołał się podłączyć do SI zawiadującej głównymi systemami okrętu.

Morawce wysłuchały ostatnich słów dwudziestosześcioosobowej załogi, zarejestrowanych tuż przed odpaleniem rakiet, które miały unicestwić ich macierzystą planetę.

Kiedy przekaz ostatecznie się urwał, obaj milczeli jeszcze dobrą chwilę.

– Piękna jest ludzkość! O nowy wspaniały świecie tych ludzi[11] – szepnął w końcu Orphu.

– Zejdę do ładowni i przygotuję cię do wyjścia – oznajmił przytępionym tonem Mahnmut. – Obejrzymy sobie nasz kłopot z bliska.

– A będziemy mogli zajrzeć do bruzdy? – spytał Orphu. – Poza barierę pola?

– Nie mam zamiaru – odparł mniejszy morawiec. – To pole może się okazać zabójcze. Czujniki „Damy” nie zdołały nawet ustalić, jakiego jest typu. Poza tym nasz batyskaf nie nadaje się do wędrówek po suchym lądzie. Nie, bruzdę zostawimy w spokoju.

– A pamiętasz zdjęcia dziobu, te, które zrobiliśmy jeszcze z promu? – zapytał Orphu.

– Pewnie. Mam je w tej chwili na ekranie – potaknął Mahnmut. – Widać poważne uszkodzenia, ale dla nas to mało istotne. Do rakiet dostaniemy się od rufy.

– Wiem, ale chodziło mi o te rozrzucone wokół wraku przedmioty – powiedział Orphu. – Nie wiem, czy mój radar jest równie dokładny jak wasz sprzęt optyczny, ale mam wrażenie, że jeden z tych kształtów mocno przypomina człowieka.

Mahnmut uważniej przyjrzał się licznym, wykonanym z powietrza fotografiom. Przewinął je wszystkie.

– Jeśli to nawet był człowiek – uznał w końcu – od dawna już nie żyje. Spójrz, jest dziwnie spłaszczony i jakby zasuszony, w dodatku kończyny spoczywają pod nienaturalnymi kątami. Chociaż według mnie to wcale nie człowiek. Po prostu nasze umysły doszukują się znajomych zarysów w chaosie. A tam jest prawdziwe wysypisko.

– No dobrze. – Orphu pamiętał, po co tu przyplłynęli. – Jak mam się przygotować?

– Nic nie musisz robić – odpowiedział mniejszy morawiec. – Przyjdę po ciebie i wyjdziemy razem.

„Mroczna dama” przycupnęła na swym niskim podwoziu niecałe dziesięć metrów na zachód od rufy wraku. Orphu zastanawiał się już od pewnego czasu, w jaki sposób wyjdą przez dolne wrota ładowni, skoro przycumowali niemal na samym dnie. Odpowiedź poznał, kiedy batyskaf uniósł się na hydraulicznych wysięgnikach.

Mahnmut wszedł przez służbę i połączył się z przyjacielem za pomocą kabla. Następnie zalał ładownię morską wodą, wyrównał ciśnienie i otworzył główne wrota. Wspólnie odłączyli Orphu od systemów podtrzymywania życia i reszty układów, po czym łagodnie opadli na dno oceanu.

Mimo że pancerz Orphu miał już kilkaset lat przebiegu i był mocno poobijany, nie pojawił się ani jeden przeciek. Gdy zainteresował się wartościami ciśnienia podawanymi przez zamontowane na jego skorupie czujniki, Mahnmut pośpieszył ze szczegółowymi wyjaśnieniami.

Ciśnienie atmosferyczne nad powierzchnią – na przykład na hipotetycznej plaży, czy po prostu nad falami – oscylowało wokół wartości jednej atmosfery, czyli kilograma na centymetr kwadratowy. Z każdymi dziesięcioma metrami głębokości – Mahnmut posługiwał się jednostkami miar z Zapomnianej Ery, wiedział, że Orphu jest z nimi obyty – ciśnienie wzrastało o kolejną atmosferę. Na głębokości dwudziestu metrów wynosiło trzy atmosfery i tak dalej. W pobliżu wraku, ponad siedemdziesiąt metrów od powierzchni, przekraczało osiem atmosfer.

Morawce konstruowano z myślą o znacznie większych obciążeniach, aczkolwiek Orphu był nawykły do pracy przy zupełnym braku zewnętrznego ciśnienia, w smaganej twardym promieniowaniem siarkowej próżni w okolicach Io.

Skoro mowa o promieniowaniu – w okolicy wraku też było mocno podwyższone. Zarejestrowali to obaj, a „Dama” prowadziła stałą kontrolę poziomów i przekazywała swoje dane dalej. Oczywiście mechanizmy obu przyjaciół nie były wrażliwe na tego rodzaju radiację, lecz przenikające ich strumienie neutronów i promienie gamma natychmiast zwróciły ich uwagę.

Mahnmut dodał też, iż gdyby byli ludźmi oddychającymi z butli tlenowych standardową ziemską mieszkanką atmosferyczną – dwadzieścia jeden procent tlenu i siedemdziesiąt dziewięć procent azotu – to pod ciśnieniem ośmiu atmosfer mnożące się i rozszerzające we krwi bąbelki azotu sprawiłyby im niewąskie problemy. Doznaliby

narkozy azotowej, gaz osłabiłby ich zdolność oceny sytuacji i przyprawił o zaburzenia nastroju, a w dodatku nie mogliby się wynurzyć, nie przechodząc uprzednio powolnej, wielogodzinnej dekompresji na różnych głębokościach. Morawce jednak oddychały czystym tlenem, a ich układy oddechowe kompensowały różnicę ciśnień.

– Może jednak zapoznamy się wreszcie z przeciwnikiem? – zaproponował Orphu z Io.

Mahnmut ruszył jako pierwszy. Wspinał się bardzo ostrożnie, lecz mimo wszystko podnoszący się z obłego kadłuba szlam otoczył ich gęstą chmurą. Poczuli się jak podczas ziemskiej burzy piaskowej.

– Widzisz cokolwiek na radarze? – zapytał Mahnmut. – To cholera zakłóciło całe pasmo widzialne. Czytałem o czymś takim we wspomnieniach nurków z dawnej Ziemi. Zobaczyć cokolwiek mógł tylko pierwszy nurek we wraku czy na dnie. Pozostałym wszystko przesłaniał unoszący się dokoła muł i musieli czekać, aż opadnie.

– Więc mówisz, że nic nie widzisz, tak? – rzucił Orphu. – Witaj w klubie, amigo. Mój radar radzi sobie z siarkowymi oparami wokół Io, więc z tym obłoczkiem nie ma najmniejszego problemu. Wszystko widzę wyraźnie, kadłub i podwyższony przedział rakietowy. A ten zepsuty... jak mu tam... żagiel mamy trzydzieści metrów przed sobą. Jeśli trzeba, chętnie poprowadzę cię za rączkę. Nie wstydz się poprosić.

Mahnmut burknął coś pod nosem i przełączył się na odbiór częstotliwości radaru i noktowizję.

Przepełnęli pięć metrów ponad wyrzutniami i tkwiącymi w nich, uzbrojonymi raketami. Obaj poruszali się za pomocą wbudowanych silniczków manewrowych, uważając przy tym, by nie skierować dysz bezpośrednio w stronę niestabilnych głowic. Chwilę potem czterdzieści osiem silosów ukazało im się już wyraźnie. Wszystkie były otwarte.

– Te pokrywy wyglądają na bardzo ciężkie – nadał Mahnmut na prywatnym kanale.

Naturalnie cała ich komunikacja, wszystko, co mówili i co widzieli, także na tym paśmie, transmitowane było na „Królową Mab” i prom atmosferyczny dzięki boi przekaźnikowej, którą Mahnmut wystrzelił jeszcze z pokładu batyskafu.

Orphu chwycił jedną z klap i zważył ją w manipulatorach. Średnicą dorównywała masywnemu korpusowi morawca.

– Siedem ton – poinformował.

Odkąd SI okrętu otworzyła silosy, pociski oddzielone były od morskiej toni jedynie kopułkami z przejrzystego włókna szklanego. Mahnmut już na pierwszy rzut oka zrozumiał, że pociski – napędzane pod wodą potężnymi ładunkami sprężonego azotu i dopiero w powietrzu korzystające z własnych silników – były w stanie bez trudu tę zasłonę przebić.

Rakiety wciąż jednak tkwiły w wyrzutniach, nie wypchnęły ich rozszerzające się bąble gazu, silniki pozostały nieme, a na szklanych pokrywach widniały ślady upływu długiego czasu.

– Porządek to to nie jest – zauważył Orphu.

Mahnmut pokiwał głową. Wybuch, do jakiego doszło w okolicach rufy „Miecza Allaha”, przetrącił grzbiet okrętu tuż nad maszynownią i zniszczył silniki. Wnętrzem

wstrząsnęła potężna fala uderzeniowa, za którą wdarły się masy oceanicznej wody. Eksplozja naruszyła również silosy i poprzewracała same pociski. Część rakiet nadal mierzyła ku górze, lecz wiele stało wręcz do góry nogami. Starożytne, skorodowane dysze napędu sterczały w kierunku powierzchni, a głowice zagrzebały się głęboko w mule.

– O sześciu tysiącach dziewięciuset dwunastu godzinach spokojnej pracy możemy chyba zapomnieć – skonstatował Orphu. – Myślę, że tyle czasu zajmie nam samo dogrzebanie się do niektórych z tych głowic. W dodatku jeżeli zaczniemy szaleć tu z palnikiem bądź szarpać za pociski, odpalą sąsiednie.

– Racja – przyznał Mahnmut. Szlam zdążył już opaść i morawiec obserwował panujący w wyrzutniach rozgardiasz w paśmie widzialnym.

– Czy macie jakieś propozycje? – rozległ się głos naczelnego integratora Asteague/Che.

Mahnmut prawie podskoczył. Wiedział, rzecz jasna, że załoga „Królowej” śledzi ich poczynania, lecz wrak pochłoniął go do tego stopnia, że na śmierć zapomniał, że nie są sami.

– Owszem – powiedział Orphu z Io na wspólnej częstotliwości. – Słuchajcie uważnie.

Całą procedurę opisał tak zwięźle, jak tylko potrafił. Starał się przy tym unikać zbyt fachowej terminologii. Według wielkiego morawca, zamiast próbować rozbrajać każdą z czarnych dziur z osobna, co sugerowali w swym planie naczelnicy integratorzy, powinni wraz z Mahnmutem pójść w pewnym sensie na skróty i nie bawić się w subtelności. Mahnmut sprowadzi „Mroczną damę” tuż nad wrak i maksymalnie wypuści wysięgniki podwozia, po czym batyskaf osiądzie na zatopionym okręcie niczym kura na jajach. Dzięki temu zyskają możliwość oświetlenia terenu prac reflektorami. Wówczas oba morawce uzbroją się w palniki i kolejno odetną od pocisków czubki rakiet. Następnie, za pomocą prostego systemu bloków i łańcuchów, wciągną je do ładowni „Damy”, gdzie głowice spoczną niczym wspomniane jajka, tyle że już w koszyku.

– Proponowane podejście wydaje się niezbyt delikatne. Czy nie zwiększa przypadkiem szansy, że któraś z czarnych dziur wyrwie się przy tym na wolność? – spytał siedzący na mostku „Królowej” Cho Li.

– Oczywiście, że tak – zadudnił Orphu w odpowiedzi. – Ale szansa, że któraś z czarnych dziur zacznie szaleć, jeśli będziemy przy nich gmerać przez cały rok, wynosi pełne sto procent. Zrobimy jak powiedziałem.

Mahnmut trącił jeden z manipulatorów przyjaciela i pokiwał głową. Był pewien, że radar pozwoli Orphu prawidłowo odczytać gest.

Zaraz potem usłyszeli szorstki głos Sumy IV.

– A co według ciebie powinniśmy zrobić, kiedy te czterdzieści osiem głowic z siedmiuset sześćdziesięcioma ośmioma czarnymi dziurami znajdzie się już w ładowni „Mrocznej damy”?

– Zabierzesz nas stąd – wyręczył przyjaciela Mahnmut. – Prom odholuje „Damę” wraz z tym morderczym ładunkiem w kosmos i tam pošlemy je w cholerę.

– Prom nie jest odpowiednio skonfigurowany do lotów poza pierścienie – warknął Suma IV. – W dodatku te robotyczne leukocyty znowu wsiądą nam na ogon.

– To już twoje zmartwienie – zagrział Orphu. – My tu zabieramy się do roboty. Odseparowanie i załadunek głowic na „Mroczną damę” zajmą nam około dziesięciu godzin. Może dwanaście. Mam nadzieję, że kiedy się wynurzymy, będziecie mieć gotowy plan działania. Wiemy przecież, że w misji towarzyszą nam inne, zamaskowane statki. Pewnie czekają teraz poza pierścieniami. Zresztą wszystko jedno. Niech któryś z nich spotka się z promem na niskiej orbicie i uwolni nas od kłopotu. Chyba nie przylecieliśmy na Ziemię z tak daleka tylko po to, by ją zniszczyć.

– Potwierdźcie treść przekazu – rzucił Asteague/Che. – Informuję też, że mamy tu gości. Mały pojazd. Sonik, jak sędzę. Właśnie przybija do orbitalnej wyspy Sykoraks.

11 W. Szekspir, „Burza”, akt 5, sc. 1, tłum. M. Słomczyński.

Pożegnanie z Nikim odbyło się bez większych ceremonii. Siedzący w soniku Grek porozmawiał przez chwilę ze stojącymi obok Daemanem, Hanną i Tomem, po czym pojazd wzbił się niemal pionowo ku górze. Pole siłowe wcisnęło pasażera głęboko w leżankę. Sonik świsnął w powietrzu niczym wystrzelony z karabinu kryształek i po kilku sekundach zniknął wśród nisko zawieszonych szarych chmur.

Ada poczuła się oszukana. Tak bardzo chciała z nim zamienić choć kilka słów – ze swoim przyjacielem, z mężczyzną, którego poznała jako Odyseusza.

O wyniku głosowania rozstrzygnął jeden głos. Ten ostatni, decydujący, nie został oddany przez żadnego z dawnych mieszkańców dworu, należał do Eliana, łysego przywódcy uchodźców z Hughes Town, którzy przybyli do Ardis na tratwie z Hanną i Nikim.

Zwolennicy zatrzymania sonika wściekli się. Podniosły się krzyki, domagano się ponownego liczenia głosów. Lufy karabinów powędrowały ku górze. Zapanował harmider.

Wtedy Ada wkroczyła między najbardziej zagorzałych oponentów i donośnym, lecz spokojnym głosem oświadczyła, że decyzja zapadła nieodwołalnie. Nikt zabierze sonik i zwróci go, jak zdoła najszybciej. Pozostali tymczasem skorzystają ze skleconej przez Nikogo i Hannę latającej tratwy. Ostatecznie do sonika mogło wsiąść ledwie sześciu pasażerów, a tratwa była w stanie udźwignąć nawet czternastu ludzi. Wciąż mogli rozpocząć ewakuację na upatrzoną wyspę. Koniec dyskusji.

Lufy z powrotem opadły, lecz narzekaniom nie było końca. Dawni przyjaciele Ady unikali jej spojrzeń jeszcze przez wiele godzin po spotkaniu. Kobieta zrozumiała, że w tej chwili przestała być ich przywódcą. Straciła zaufanie grupy.

Kiedy sonik z Nikim zniknął już na niebie, Ada poczuła się tak bardzo samotna, jak jeszcze nigdy w życiu. Pogładziła się po rosnącym brzuchu.

Mały człowieczku, synu lub córko Harmana, jeżeli popełniłam błąd, jeśli wystawiłam cię na niebezpieczeństwo, będę tego żałować aż do końca, pomyślała.

– Ada? – zagadnął ją Daeman. – Możemy pomówić na osobności?

Wyszli za północną palisadę i przystanęli w miejscu, gdzie kiedyś wznosił się żeliwiak Hanny. Daeman opowiedział o spotkaniu z postczłowiekiem, kobietą imieniem Mojra. Nie pominął niczego. Wyglądała kropka w kropkę jak Savi i była niewidzialna dla wszystkich poza nim. Przysłuchiwała się dyskusji, poznała wynik głosowania.

– Daeman, przecież to jakieś bzdury. – Ada pokręciła głową. – Dlaczego postczłowiek, który potrafi przybrać postać Savi, miałby się przed nami ukrywać? Po co? Zresztą to chyba po prostu niemożliwe.

– Sam nie wiem – przyznał Daeman.

– Powiedziała ci cokolwiek więcej?

– Przed spotkaniem obiecała, że jeśli ją przyprowadzę, porozmawia ze mną

o Harmanie.

– No i? – rzuciła Ada. Jej serce natychmiast przyśpieszyło. Przez moment była przekonana, że to drgnęło spragnione wieści o ojcu dziecko.

– Po głosowaniu powiedziała mi tylko tyle: „Pamiętaj, że trumna Nikogo jest trumną niczyją”.

Ada poprosiła, by powtórzył.

– Nie, to też nie ma sensu – stwierdziła.

– Wiem – potaknął Daeman. Był wyraźnie przybity, zwiesił głowę. – Staralem się wyciągnąć z niej coś więcej, ale wtedy... zniknęła... Ot, tak.

Zmierzyła go uważnym, lekko zaniepokojonym spojrzeniem.

– Jesteś pewien, że to wszystko wydarzyło się naprawdę? Od dawna ciężko pracujemy, niewiele śpimy i żyjemy w poważnym stresie. Myślisz, że faktycznie zobaczyłeś ducha?

Daeman hardo spojrział jej w oczy. Oburzenie w jego wzroku dorównywało jej powątpiewaniu. Nie odpowiedział.

– Pamiętaj, że trumna Nikogo jest trumną niczyją – powtórzyła, ścisząc głos.

Rozejrzała się. Ludzie wrócili już do popołudniowych obowiązków, lecz podzielili się pracą inaczej niż zwykle. Dobrali się z uwzględnieniem opinii na wynik niedawnego głosowania. Do Eliana nie odzywał się nikt. Ada przełknęła cisnące się jej do gardła łzy.

* * *

Nikt nie zwrócił sonika ani tego dnia, ani następnego.

Kiedy sonik nie pojawił się również trzeciego dnia, Ada wsiadła z Hanną, Daemanem i grupką myśliwych do chybotliwej, latającej tratwy i wybrali się w stronę pierścienia wojniksów. Chcieli oszacować liczbę otaczających ich potworów. Wstał piękny poranek. Błękitu nieba nie mąciła nawet najmniejsza chmurka, powiewy ciepłego wiatru zwiastowały nadchodzącą wiosnę. Kiedy dotarli do czekających dwie mile od Jamy wojniksów, od razu stało się jasne, że groźnych sylwetek jest znacznie więcej niż przedtem.

– Trudno mi ocenić. – Mimo że lecieli tysiąc stóp nad szeregami potworów, Ada odezwała się szeptem. – Na samej łące widzę ich trzy lub cztery setki. Nigdy w życiu nie musieliśmy liczyć na oko tak wielu obiektów. Jak myślisz? W sumie będzie ich jakieś piętnaście tysięcy, prawda? Czy może więcej?

– Moim zdaniem jednak więcej – stwierdził spokojnie Daeman. – Stawiam, że otacza nas jakieś trzydzieści lub nawet czterdzieści tysięcy wojniksów.

– Cały czas tak po prostu stoją. Nie męczą się? Nie muszą jeść? Pić?

– Jak widać nie – odparł Daeman. – Dawniej, kiedy jeszcze uważaliśmy je za potulnych mechanicznych służących, też nigdy nie widziałem, by jadły czy piły. Ty coś takiego widziałaś?

Ada nie skomentowała. Epoka sprzed Upadku wydawała się jej zbyt odległa, by o niej myśleć. A przecież minął dopiero niespełna rok.

– Pięćdziesiąt tysięcy – podjął Daeman. – Może ich być nawet pięćdziesiąt tysięcy. I codziennie faksują się kolejne.

Siedząca przy sterach Hannah skierowała tratwę na zachód. Zaczęli się rozglądać za zwierzyną.

* * *

Czwartego dnia uwięziony w Jamie mały Setebos osiągnął już rozmiary rocznego cielaka, dokładnie takiego jak te, które zginęły wybite przez wojniksy. To ciele jednak wyglądało jak pulsujący, szary mózg, z którego brzucha wyrastało kilkadziesiąt różowych rąk. Mózg pokryty w dodatku żółtymi ślepiami, bezustannie otwierającymi się i zamykającymi otworami i zjezony długimi szarymi mackami, na których kołysały się trójpalczaste dłonie.

– Mamusiu... mamusiu... – Szept małego Setebosa rozlegał się nie tylko w umyśle Ady, słyszeli go w swych głowach wszyscy mieszkańcy Ardis. – Już czas, żebym stąd wyszedł. Ta dziura jest za ciasna, a mi tak bardzo chce się jeść. Nie mogę tu dłużej siedzieć.

Zapadał wieczór. Od zmroku i kolejnej długiej i ciemnej zimowej nocy dzieliła ich niecała godzina. Zebrali się nad Jamą. Wciąż jeszcze trzymali się w wyraźnie podzielonych grupach – tych, którzy głosowali za pożyczeniem sonika, i ich oponentów. Wszyscy mieli w rękach karabiny. Kusze czekały w pobliżu. Kasman, Kaman, Greogi i Edide przystanęli na skraju wykopu i skierowali lufy na szaro-różowe monstrum.

– Hanno? – Ada zwróciła się do przyjaciółki. – Czy prowiant trafił już na tratwę?

– Tak. Skrzynie są już załadowane. Podczas pierwszego lotu miejsca wystarczy dla dziesięciu osób. Potem będziemy mogli ewakuować po czternastu ludzi naraz.

– Wykonaliście już kilka próbnych wycieczek. W jakim czasie zdołacie dolecieć na wyspę i wypakować ładunek? – zapytała Ada.

– Czterdzieści dwie minuty – odpowiedział jej Laman, masując kikuty odciętych palców. – Trzydzieści pięć przy locie z samymi pasażerami. Wsiadanie i wysiadanie trwają po kilka minut.

– Niedobrze. Za długo – stwierdziła Ada.

Hannah podeszła do rozpalonego w pobliżu Jamy ogniska.

– Lot na wyspę tak czy inaczej zajmuje piętnaście minut w jedną stronę. Ten złom szybciej nie polecą.

– Sonik doleciałby w niecałą minutę – przypomniał Loes, jeden z najbardziej zaciekłych przeciwników spełnienia prośby Nikogo. – Wszyscy znaleźliby się na wyspie w jakieś dziesięć minut.

– Ale w tej chwili sonika nie mamy – ucięła Ada, choć nie tak ostro, jak by sobie tego życzyła. Mimowolnie rzuciła okiem na południowy zachód, ku rzece i wyspie, a zarazem w stronę lasów, w których czyhało już ponad pięćdziesiąt tysięcy wojniksów.

Nikt miał rację. Nawet jeżeli wszyscy niedobitkowie z Ardis przeniosą się na wyspę, potwory dopadną ich już po kilku godzinach – niewykluczone, że wystarczy im kilkadziesiąt minut. Mimo że pobliski faksowężel wciąż nie działał – w pawilonie stacjonowała dwójka ludzi, którzy raz po raz sprawdzali portal – wojniksy przenosiły się z miejsca na miejsce bez najmniejszego kłopotu. Nikt nie wiedział, jak to możliwe. Ada była w pełni świadoma, że bezpiecznego schronienia nie znajdą już nigdzie na świecie.

– Chodźmy stąd, czas przyrzadzić kolację! – zawołała, przekrzykując pomruki niezadowolenia.

W ich głowach bez przerwy rozbrzmiewał oblesny głosik pomiotu Setebosa.

– Mamusiu, tatusiu... Już czas, żebym wyszedł. Tato, otwórz kratę... Bo inaczej sam to zrobię. Jestem już silny. I tak głodny. Chcę was wreszcie poznać.

Greogi, Daeman, Hannah, Elian, Boman, Edide i Ada rozmawiali jeszcze długo w noc. Nad ich głowami obracały się leniwie – niezmiennie – oba ziemskie pierścienie. Wielki Wóz wisiał nisko nad północnym horyzontem. Niedaleko lśnił sierp księżyca.

– Moim zdaniem powinniśmy dać sobie spokój z pomysłem ucieczki na wyspę. Lepiej będzie, jeśli o brzasku zaczniemy ewakuację na Golden Gate w Machu Picchu – powiedziała Ada. – I tak straciliśmy już kilka tygodni.

– Loty tą idiotyczną tratwą też potrważą całe tygodnie – zauważyła Hannah. – W dodatku to ustrojstwo może się znowu popsuć i nie dotrzemy do celu. Tylko Nikt potrafiłby ją naprawić. Bez niego pasażerowie utkną gdzieś w pustkowiu, i to na dobre.

– Jeżeli tratwa popsuje się tutaj, wcale nie będzie lepiej – stwierdził Daeman. Kiedy Hanna smętnie zwiesiła głowę, poklepał ją po ramieniu. – Świetnie sobie z nią radzisz, wciąż lata, ale po prostu nie rozumiemy, na jakiej zasadzie działa.

– Czy my w ogóle znamy się na czymkolwiek? – burknął Boman.

– Na kuszach – wtrąciła Edide. – Te najnowsze są cholernie dobre.

Żart nie rozbawił nikogo. Ucichli. Po kilku minutach milczenie przerwał Elian.

– Możecie mi przypomnieć, dlaczego wojniksy nie mogą się wdrzeć do mieszkalnej części tego waszego mostu?

– Kule, w których znajdują się kwatery, wiszą wokół konstrukcji jak winogrona – odpowiedziała Hannah, która Golden Gate znała najlepiej z obecnych. – Oczywiście są ze sobą połączone. Wykonano je z przezroczystego plastiku czy czegoś bardzo podobnego. W każdym razie zostały zabezpieczone jakąś technologią z końca Zapomnianej Ery. Może nawet postludzka. Pokrywa je warstewka pola siłowego, po którym wojniksy po prostu się ześlizgują.

– Kabina pełzacza, tego pojazdu, którym Savi przewiozła nas z Jerozolimy do Basenu Śródziemnego, była chroniona w podobny sposób – dodał Daeman. – Tłumaczyła, że pole siłowe likwiduje tarcie i wymyślono je po to, żeby na szybach nie gromadziły się krople deszczu. Ale świetnie radziło sobie też z wojniksami i kalibanami.

– Chętnie bym te kalibany zobaczył – podjął Elian. – I tego Kalibana, z którym spotkałeś się na pierścieniu – oblicze łysego mężczyzny jak zawsze tchnęło siłą i ciekawością świata.

– Nie, zapewniam cię z całego serca, że nie chciałbyś ich zobaczyć. Zwłaszcza tego prawdziwego – rzucił półgłosem Daeman.

Ponownie zapanowało milczenie. Wreszcie Greogi powiedział na głos coś, o czym myśleli wszyscy.

– Będziemy musieli losować... Ciągnąć słomki albo jakoś inaczej. Czternaście osób polecą na most. Zabiorą ze sobą broń i mały zapas wody oraz racji żywnościowych. Po drodze będzie można polować. W każdym razie na tratwę musi wejść maksymalna liczba pasażerów. Pozostali zostaną tutaj.

– Czyli przeżyje czternaście osób? Z pięćdziesięciu czterech? – zachnęła się Edide.
– To niesprawiedliwe.

– W pierwszej czternastce musi się znaleźć Hannah – podjął Greogi. – Jeżeli uda im się dotrzeć na Golden Gate, przyprowadzi tratwę z powrotem do Ardis.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Za sterami radzisz sobie nie gorzej ode mnie, Greogi. Zresztą każdego możemy nauczyć pilotażu. Nie chcę automatycznie znaleźć się w załodze. Poza tym sam doskonale rozumiesz, że żadnego drugiego lotu już nie będzie. Wiesz przecież, w jakim stanie jest tratwa. Wiesz też, ile wojników czeka w okolicy. Widziałeś Setebosa. On z każdą godziną rośnie w siłę. Ci, którzy wyciągną szczęśliwy los, otrzymają szansę przeżycia. Cała reszta zginie w Ardis.

– W takim razie zdecydujemy o świcie – stwierdziła Ada.

– Część osób może stawić zbrojny opór – zauważył Elian. – Mamy w obozie wielu wściekłych ludzi. Są głodni i rozgoryczeni. Kiedy ogłosimy głosowanie, mogą się rzucić na tratwę, zanim cokolwiek rozstrzygniemy.

Ada pokiwała głową.

– Daeman, zbierz dziesięciu najlepszych strzelców i stańcie na straży tratwy. Od razu, nie czekajcie, aż zwołam spotkanie. Edide, ty z przyjaciółmi spróbujcie po cichu zebrać jak najwięcej broni.

– Większość nie rozstaje się z karabinami nawet przez sen – odpowiedziała jasnowłosa kobieta. – Będzie problem.

– Zróbcie, co w waszej mocy. Ja pomówię ze wszystkimi osobiście. Wytłumaczę, że innej nadziei po prostu nie mamy.

– Podejrzewam, że przegrani w losowaniu poproszą, żeby odwieźć ich przynajmniej na wyspę – odezwał się Greogi.

Boman skinął głową.

– Tak, sam bym chciał. I polecę tam, jeśli nie wylosuję lotu na most.

Ada westchnęła.

– To nic nie da. Jestem przekonana, że na wyspie też czeka nas śmierć. Wojniksy pojawią się tam parę minut po nas. Bo Setebos zostanie przecież tutaj. Ale, oczywiście, możemy to zrobić. Najpierw odwieziemy wszystkich chętnych na wyspę, a potem odprawimy szczęśliwą czternastkę na most.

– To strata czasu – uznała Hannah. – W dodatku każdy lot to dodatkowe ryzyko, że tratwa się popsuje.

Ada rozłożyła bezradnie ręce.

– Ale za to nie pozabijamy się nawzajem. Czternaście osób otrzyma szansę. A pozostali wybiorą swój ostatni bastion. Zawsze to coś, przynajmniej złudzenie wyboru...

Żadne inne sugestie nie padły. Rozeszli się do szałasów i namiotów.

Hannah ruszyła w ciemności za Adą i zanim dotarły do głównej części obozu, chwyciła przyjaciółkę za ramię.

– Wiesz – szepnęła – mam przeczucie, że Harman żyje. Mam nadzieję, że znajdziesz się na tratwie.

Ostatni wrzask potwora, wyrażona w języku czystego bólu skarga rozległa się w ich umysłach, zgasła do syku i wreszcie zniknęła niczym spływająca do ścieku brudna woda.

Nad Jamą pojawili się wszyscy – z wyjątkiem wartowników – mieszkańcy obozowiska. Wpatrywali się w dół i chociaż przestali czuć w głowach dręczącą obecność potwora, wciąż nie mogli w to uwierzyć. Stali wśród pełnej osłupienia ciszy.

– No cóż, chyba nie muszę już szykować losów – szepnął Adzie na ucho Greogi.

Nagle ze wszystkich stron doleciały ich inne dźwięki – trzaski, pogwizdywanie, pomruki. Rumor był przerażający, odległy, lecz z każdą chwilą bliższy – chrobot i chrzęsty rozlegały się w lesie i spływały echem z pobliskich wzgórz.

– Co się, do cholery... – zaczął Casman.

– Wojniksy – rzucił zwięźle Daeman. Odebrał Adzie karabin, załadował nowy magazynek i oddał. – Atakują wszystkie naraz.

Na moich oczach – widzę to i słyszę – boga ogarnia obłąd.

Sam już nie wiem, w jaki sposób moja wizyta na Olimpie miała pomóc mordowanym w oblężeniu Achajom, lecz w tej chwili wpadłem w potrzask równie beznadziejny jak Grecy zamknięci na plaży trojańskim pierścieniem. Stoję w tym maskującym skafandrze i pocę się jak mysz na wyciągnięcie ręki od tysiąca nieśmiertelnych i próbuję nie zdradzić się nawet jednym głośniejszym oddechem. Tymczasem przede mną Zeus, dotychczasowy król bogów, ogłasza się jedynym i niepowtarzalnym Bogiem Wiecznym i Wszechmogącym.

W zasadzie niepotrzebnie się przejmuję. Nikt mnie nie zauważy. Bogowie rozdziwiają swe nieśmiertelne japy i wybałuszają olimpijskie gały w szczerym niedowierzaniu.

Zeus zwariował. Gdy tryskając kropelkami śliny, bredzi o wstąpieniu na najwyższy, ostateczny poziom boskości, spojrzenie jego czarnych oczu świdruje mnie na wylot. Jestem pewien, że mnie widzi. W spojrzeniu Zeusa goreje onanistyczna rozkosz kota cierpliwie ściskającego w łapach żywą myszkę.

Biorę więc do ręki medalion teleportacyjny. Wnętrze kombinezonu lepi się od potu.

Tylko dokąd miałbym się przenieść? Powrót do Achajów, na plażę, oznaczałby pewną śmierć. Tekowanie się do Troi i spotkanie z Heleną pozwoli mi przeżyć i zaznać rozkoszy, lecz stałbym się wówczas zdrajcą. Chociaż... Kogo właściwie bym zdradził? Greków, którzy nie zauważali mnie nawet, kiedy między nimi żyłem? A było tak przynajmniej od momentu zniknięcia Achillesa i Odyseusza, którzy pozostali po drugiej stronie zamykającej się Dziury Branowej. Dlaczego niby mam wykazywać się lojalnością wobec ludzi, którzy nie...

No, ale przecież ja jestem lojalny.

Skoro mowa o Odysie – gdy wracam do niego myślami, stają mi przed oczyma obrazki zdecydowanie tylko dla dorosłych. Wiem, że mógłbym się przenieść z powrotem na pokład „Królowej Mab”. To prawdopodobnie najbezpieczniejszy wybór, aczkolwiek i wśród morawców nie ma dla mnie miejsca.

Nie widzę dla siebie żadnego dobrego posunięcia. Każde wydaje mi się tchórzliwą zdradą.

Ale, na litość Boską, zdradą kogo? – ponawiam pytanie, wzywając nadaremno imię Pana Boga swego, dokładnie w chwili, gdy nowy Pan i Bóg Wszechmogący spogląda mi prosto w oczy i kończy swą sówicie podlewaną śliną i okraszaną wymachiwaniem pięściami przemowę.

Pan Bóg Zeus nie zwięńczył wystąpienia zwrotem „Czy są jakieś pytania?” – aczkolwiek tak to właśnie wygląda – w wielkiej sali Dworu Bogów robi się cicho jak makiem zasiał.

I wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, nie wiadomo skąd – zwłaszcza jeśli wziąć pod

uwagę grozę i powagę chwili – odzywa się we mnie wieczny pedant; ta część mej duszy, która raczej jest niespełnionym naukowcem niż byłym scholiastą, i przychodzi mi do głowy kwestia miltonowskiego Lucyfera: „Wstąpię na niebiosy; powyżej gwiazd Bożych postawię mój tron”[12].

Coś odrywa dach i górne piętra wielkiego Dworu Bogów. Oczom zebranych ukazują się niebo i jakaś bezkształtna istota. Zrywa się wyjący wichry, słychać dudniące głosy.

Ściana wali się do wewnątrz. Potężne sylwetki, niektóre lekko przypominające ludzi, rozbijają mury, roztrącają kolumny, spadają spod chmur i atakują stłoczonych Olimpijczyków. Co bardziej rozsądni nieśmiertelni błyskawicznie się tekują bądź próbują uciekać na piechotę. Ja stoję jak wryty.

Zeus podrywa się na równe nogi. Jego złoty pancerz i broń wiszą na stojaku niecałe dwadzieścia stóp od tronu, lecz okazuje się, że to i tak za daleko. Ojciec Bogów nie może się przygotować do walki, nie jest w stanie się uzbroić. Otacza go zbyt wiele zbyt prędko zbliżających się postaci.

Prostuje się i bierze zamach, by cisnąć gromem, chce razić atakujących błyskawicą. Nie dzieje się nic.

– O, o! – Zeus wpatruje się w swą prawą dłoń, która odmówiła wykonania rozkazu. – Żywioty przestały być mi posłuszne!

– Nie ma schronienia! Nie będzie próśb! – rozbrzmiewa grzmiący głos masy burzowych chmur, która pochyla się nad zniszczonym gmachem i bóstwami zmagającymi się w dole z wielokształtnymi napastnikami. – Pójdź ze mną, Uzurpatorze. Wy, pozostający tutaj, nie darcie miłością tronów, ołtarzy, sędziowskich stolców i lochów, nie kochajcie wszystkich tych ohydnych wynalazków, jakimi gardzi Bóg prawdziwy i człowiek. Pójdź, Uzurpatorze, tyranie świata! Pójdź! Poznasz swój nowy dom, dom dziwny i dziki, upiorny, mroczny i wstręt budzący.

Dudniący głos budzi grozę tym większą, że przemawia z wielkim spokojem.

– Nie! – woła Zeus i ratuje się teleportacją.

Walczący w pobliżu Olimpijczycy dławią się krzykami.

– Tytani! – słyszę. – Kronos!

Biorę nogi za pas i modłę się w duchu, by wynalazek morawców pozwolił mi zachować niewidzialność. Pędzę wśród walących się kolumn, wymijam ścierające się istoty, unikam najprawdziwszych piorunów i wyskakuję pod rozdzierane płomieniami błękitne niebo Olimpu.

Niektórzy bogowie dopadli już latających rydwanów i zdołali je podnieść w powietrze, gdzie spadły na nie znacznie większe, niezwykle kształtów rydwanów powożone przez wymykających się opisowi woźniców. Olimpijczycy zmagają się z Tytanami na wszystkich brzegach jeziora kalderowego. Postać, która musi być Kronosem we własnej osobie, walczy naraz z Apollem i Aresem. Inne monstra atakują pozostałych nieśmiertelnych, którzy rzucają się do ucieczki.

Nagle czyjaś potężna dłoń zatrzymuje mnie w miejscu i unieruchamia moje prawe ramię, zanim zdążyłem sięgnąć do wiszącego pod skafandrem medalionu. Zresztą zaraz potem zostaję pozbawiony i kombinezonu. Czuję się jak świąteczny prezent obdzierany

z niefachowo zawiniętego papieru.

Hefajstos, brodaty karzeł, patron ognia, główny rzemieślnik Zeusa i całego Olimpu. Na trawniku za nim dostrzegam coś, co przypomina klasyczne, okrągłe akwarium ustawione na stercie żelaznych kul armatnich.

– Hockenberry? Co ty tu robisz? – warczy rozczochrany bóg.

Ponownie uświadamiam sobie, że Hefajstos i owszem, jest karłem, lecz tylko wśród Olimpijczyków. Ode mnie jest sporo wyższy.

– Zobaczyłeś mnie? Jak to możliwe? – nic więcej nie udaje mi się wydukać.

Kątem oka zauważam, jak pięćdziesiąt metrów dalej Kronos morduje Apolla. Zmiażdżył go ciosem potężnej maczugi. Bezkształtna, uwita z ciemnych obłoków istota wisząca nad pozbawionym dachu Dworem Bogów zaczyna się z wolna rozwiewać, targają ją smagające wierzchołek wulkanu porywy wiatru.

Hefajstos wybucha śmiechem i stuka palcem w szklano-brązowe, opatrzone licznymi soczewkami ustrojstwo, które wisi przy jego kamizeli w otoczeniu setki innych gadżetów.

– Po prostu. Oczywiście, że cię zobaczyłem. Podobnie zresztą jak Zeus. Po to właśnie kazał mi cię zbudować, Hockenberry. Byłeś jednym z elementów planu prowadzącego do dzisiejszego Ubóstwienia. Potrzebował świadka, który potrafiłby ten moment odpowiednio opisać. Bo wiesz chyba, że my tu wszyscy jesteśmy postalfabetami.

Zanim mam szansę cokolwiek powiedzieć bądź drgnąć, boski Rzemieślnik łapie za medalion, zrywa mi go z szyi – ogniwa łańcuszka sypią się na ziemię – i gniecie go w swym potężnym, brudnym łapsku.

Matko Boska! Jezu Nazareński! – udaje mi się pomyśleć, gdy patron płomieni rozwiera grube paluchy i wypuszcza okruchy złotej blaszki prosto do jednej z kieszonek kamizelki.

– Nie sraj żarem, Hockenberry. – Zaśmiewa się przy tych słowach. – Ten badziew nie działał ani przez moment. Sam zobacz, tu, kurwa, nie ma nawet mechanizmu! Tylko ta ruchoma obrączka, którą mogłeś się pobawić. Atrapa i tyle.

– Przecież działał... za każdym razem... tekowałem się z... zawsze tym medalionem...

– Akurat! – prycha Hefajstos. – Wbudowałem ci nanogeny umożliwiające swobodną kwantową teleportację. Robisz to samo, co duzi chłopcy. Jak bogowie. Rzecz w tym, że miałeś się w tym nie połapać aż do odpowiedniego momentu. Afrodyta lekko przesadziła, wręczając ci ten medalion, kiedy ukuła spisek przeciwko Atenie.

Wiodę dokoła oszołomionym spojrzeniem. Gmach Wielkiego Dworu bogów zamienił się w kupę gruzu. Płomienie oblizują powalone kolumny. Starcia wciąż trwają, lecz okolica powoli pustoszeje. Znikają coraz to kolejni bogowie. Tekują się, szukając schronienia na Ziemi Ilionu. W kilku miejscach otwały się Dziury Branowe i Tytani wraz ze swymi potwornymi towarzyszami ruszają w ślad za uciekinierami. Chmurna Istota, która zerwała dach i trzy górne piętra boskiej siedziby, zniknęła na dobre.

– Musisz mi pomóc uratować Greków – mówię, dzwoniąc przy tym zębami.

Hefajstos ponownie rechoce i ociera tłuste wargi grzbietem uwalanej sadzą dłoni.

– Zdażyłem już wystrzelić w kosmos wszystkich innych ludzi z tej pieprzonej,

starożytnej Ziemi. Dlaczego miałbym teraz ratować jakichś Greków? Albo i Trojan? Co takiego dla mnie zrobili? Poza tym, kiedy za parę dni zasiądę na olimpijskim tronie, przyda mi się kilku wyznawców...

Niedowierzanie każe mi szeroko otworzyć oczy.

– Wystrzeliłeś w kosmos? To ty zmieniłeś mieszkańców Ziemi Ilionu w ten błękitny promień z Delf?

– Noż, do diabła! A myślałeś, że kto? Zeus? Ten gigant techniki?

Hefajstos kręci głową. W naszym kierunku zacierają tytaniczni bracia: Kronos, Japet, Hyperion, Krios, Kojos i Okeanos. Ich pancerze mieniają się plamami złocistego ichoru, krwi bogów.

Nagle wśród płonących ruin dostrzegam Achillesa. Jest zakuty w swą złotą zbroję, a jego przepiękną tarczę również znaczą smugi ichoru. Długi miecz ściska w dłoni, płonące pod uwalanym sadzą i krwią nieśmiertelnych hełmem oczy miotają wokół obłąkańcze spojrzenia. Zjawa nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi.

– Zeus umknął! – woła do Hefajstosa.

– Naturalnie – odpowiada patron płomieni. – Spodziewałeś się, że grzecznie zaczeka, aż Demogorgon zaciągnie go w otchłań Tartaru?

– Nie mogę go znaleźć nawet przez lokalizator w holobasenie! – krzyczy heros. – Zmusiłem Dione, matkę Afrodyty, by mi przy tym pomogła. Twierdziła, że zdoła ustalić jego miejsce pobytu, choćby uciekł na drugi kraniec wszechświata. Zawiodła, więc porąbałem ją na plasterki. Gdzie on jest?

Hefajstos się uśmiecha.

– Pamiętasz, chyżonogi mężobójco, gdzie był, kiedy Hera go przeleciała i uśpiła?

Achilles chwyta olimpijskiego rzemieślnika za barki i niemal podrywa w powietrze.

– Dom Odyseusza! Zabierz mnie tam! Natychmiast!

Hefajstos poważnieje. Jego oczy zmieniają się w wąskie szparki.

– Nie będziesz rozkazywać przyszłemu władcy Olimpu, śmiertelniku. Jesteś osobliwością czy nie, wyżej postawionych musisz darzyć większym szacunkiem.

Achilles wypuszcza z rąk poły skórzanej kamizeli Hefajstosa.

– Proszę. Tylko szybko. Bardzo proszę.

Rzemieślnik kiwa głową i zwraca się do mnie.

– Pójdiesz z nami, scholiasto Hockenberry. Zeus chciał, byś się tutaj dziś znalazł. Chciał mieć w tobie świadka. Więc świadkiem zostaniesz.

12 Cytat za Biblią Tysiąclecia, Iz 14:13.

Morawiecka załoga „Królowej Mab” odbierała transmisję bezpośrednio – nanokamery i nadajniki w ciele Odyseusza sprawdzały się świetnie – lecz Asteague/Che postanowił nie przekazywać niczego Mahmutowi i Orphu, którzy wciąż pracowali na dnie ziemskiego oceanu. Minęło sześć z zakładanych dwunastu godzin, a przyjaciele nadal odcinali i ładowali do batyskafu uzbrojone w czarne dziury głowice. Nikomu nie zależało na tym, by cokolwiek ich rozpraszało.

A to, co działo się w mieście na asteroidzie, mogło rozproszyć każdego.

W kochaniu się – o ile tym właśnie była brutalna kopulacja, jakiej oddawali się Odyseusz i kobieta przedstawiająca się imieniem Sykoraks – nastąpiła właśnie kolejna przerwa. Oboje leżeli nadzy na wymiętych poduchach, sączyli wino z wielkich pucharów o podwójnych uchach i leniwie przegryzali owoce. W pewnym momencie rozchyliły się zasłony i do sypialni Sykoraks przyczłapała potworna istota – morawce wypatrzyły na jej ciele rybie skrzela, długie kły, pazury i zrosnięte błoną pławną palce u stóp.

– Matko. Myśli, że musi oznajmić, iż gdy dynię rozcierał z łupiną, usłyszał Kaliban śluzy szczęk. Coś przyszło w odwiedzinie, Matko. Mówi, ma mięso na nosie i palce jak tępe kamienie. Mówi, matki i Jego imię zedrze smaczne mięso z miękkiej kredy jego kości[13].

– Nie, dziękuję ci, kochany Kalibanie – odparła kobieta, lekko unosząc fioletowe brwi. – Poproś gościa do środka.

Dwunożny płaz imieniem Kaliban zniknął za kotarą. Do komnaty wkroczył starszy sobowtór Odyseusza.

Podobieństwo natychmiast dostrzegły wszystkie morawce – nawet te, które miały niekiedy problemy z rozróżnianiem ludzi. Młody Odyseusz, wciąż nagi i wygodnie wyciągnięty w jedwabnej pościeli, obrzucił starszego Odyseusza oszołomionym spojrzeniem. Przybysz był tak samo przysadzisty i rozrośnięty w barach jak on, lecz jego ciało pokrywało znacznie więcej blizn. Miał również posiwiałe włosy i bardziej gęstą, również srebrzystą brodę. A przy tym otaczała go intensywna aura dostojeństwa, silniejsza niż u człowieka, który przyleciał na pokładzie „Królowej Mab”.

– Odyseusz... – Sykoraks również go poznała. Jeżeli morawieckie układy analizujące emocjonalną zawartość ludzkich głosów nie przekłamywały, w jej głosie zabrzmiało szczere zdumienie.

Nowo przybyły pokręcił głową.

– Teraz nazywam się Nikt. Miło mi cię znowu ujrzeć, Kirke.

Kobieta rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Zatem oboje się zmieniliśmy. Zarówno dla świata, jak i siebie samej zwę się obecnie Sykoraks, mój naznaczony bliznami Odyseuszu.

Młodszy Odys zacisnął pięści i już się podnosił, gdy Sykoraks nieznacznie skinęła lewą dłonią i jej kochanek opadł z powrotem między poduchy.

– Nazywasz się Kirke – stwierdził mężczyzna przedstawiający się jako Nikt. – Takie imię nosiłaś od zawsze i zawsze będziesz je nosić.

Kobieta delikatnie wzruszyła ramionami. Zakołysały się przy tym jej pełne piersi. Poklepała wolne miejsce na łożu po swojej prawej stronie. Młody Odyseusz spoczywał po lewej.

– A więc Nikt... Zapraszam, usiądź przy mnie.

– Nie, Kirke, dziękuję. Postoję.

Na obliczu gospodyni ponownie odmalowało się zaskoczenie. Morawiecka analiza ludzkiej mimiki wskazała, że tym razem zdziwiła się jeszcze bardziej niż przed chwilą.

– Moly – wyjaśnił Nikt. – Jak sądzę, ta substancja nie jest ci obca. Otrzymuje się ją z rzadkiego, czarnego korzenia, który raz do roku, na wiosnę, wypuszcza mlecznobiały kwiat[14].

Sykoraks powoli skinęła głową.

– Och, podróże musiały cię zawieść daleko. Czy jednak słyszałeś? Hermes nie żyje.

– To nieistotne – odparł Nikt.

– Nie, chyba rzeczywiście masz rację. W jaki sposób się tu dostałeś, Odyseuszu?

– Nazywam się Nikt.

– Nikt, czy zdradzisz, jak tutaj dotarłeś?

– Przyleciałem starym sonikiem Savi. Wędrówka zajęła mi niemal cztery doby. Przemykałem od jednej orbitalnej skały ku drugiej, bezustannie ukrywając się przed twoimi morderczymi robotami bądź umykając przed nimi pod osłoną systemów maskujących. Musisz się ich pozbyć, Kirke. Ewentualnie należy pomyśleć o zainstalowaniu w sonikach toalet.

Sykoraks parsknęła łagodnym śmiechem.

– Dlaczegoż to miałabym się pozbywać swoich myśliwców?

– Ponieważ ja cię o to proszę.

– A niby z jakiego powodu powinnam spełniać twoje zachcianki?

– Dowiesz się, kiedy wymienię już wszystkie swe życzenia.

Kaliban, który przed momentem pojawił się za plecami Nikogo, głucho warknął. Grek go zignorował.

– Ależ, proszę uprzejmie – rzuciła Sykoraks. – Chętnie wysłucham wszystkich twych prośb. – Uśmiechnęła się w sposób, który wyraźnie dawał do zrozumienia, jak niewiele uwagi zamierza im poświęcić.

– Pierwszą już poznałaś. Zlikwiduj orbitalne myśliwce. A przynajmniej przeprogramuj je tak, by pojazdy kosmiczne mogły poruszać się swobodnie między pierścieniami...

Uśmiech Sykoraks nie przygasł nawet na mgnienie. Podobnie jak nie zmienił się zimny wyraz jej fioletowych, podkreślonych makijażem oczu.

– Po drugie – ciągnął Nikt – chcę, żebyś wyłączyła pole chroniące Basen Śródziemny oraz Dłonie Herkulesa.

Wiedźma roześmiała się cicho.

– Cóż za ekscentryczna prośba. Wywołałabym niszczycielskie tsunami.

– Możesz to zrobić stopniowo, Kirke. Wiem, że potrafisz. Zalej basen.

– Nim przejdziesz do dalszych życzeń – wtrąciła chłodnym głosem – chciałabym usłyszeć choć jeden powód, dla którego miałabym to zrobić.

– W Basenie Śródziemnym znajduje się wiele rzeczy, które jeszcze przez długi czas nie powinny trafić w ręce ludzi dawnego typu.

– Masz na myśli magazyny... – domyśliła się Sykoraks. – Statki kosmiczne, broń...

– Między innymi – skwitował Nikt. – Pozwól, by fale morza ciemnego jak wino ponownie wypełniły osuszoną nieckę.

– Wiele ostatnimi czasy wędrowałeś, więc może umknęło to twej uwagi, ale dawni ludzie znaleźli się na skraju wymarcia.

– Nie umknęło. Niemniej proszę, byś zatopiła Basen Śródziemny. Ostrożnie, powoli. A przy okazji zniszcz tę obłąkańczą Bruzdę Atlantycką.

Sykoraks pokręciła głową i oburącz uniosła puchar do ust. Gościowi nie zaproponowała. Młody Odyseusz wciąż spoczywał na materacu. Miał zaszklone spojrzenie i wyglądało na to, że nie jest w stanie wykonać jednego ruchu.

– Czy usłyszałam już wszystko? – spytała.

– Nie – odparł Nikt. – Proszę cię również, byś ponownie umożliwiła Ziemianom korzystanie z sieci faksowężłów oraz zwróciła im wszystkie funkcje i dostęp do Konserwatori na pierścieniach.

Wiedzma nie skomentowała.

– I wreszcie, chcę, żebyś posłała na Ziemię swego oswojonego potworka, by przekazał Setebosowi, że przybędzie tu Cisza.

Kaliban wydał z siebie przeciągły syk i warknął.

– Myśli, czas wyrwać zdrowe nogi kukły, zostawić kikuty, niech nad nimi duma. On silny jest i Pański. Niech ten kaleka dostanie robaka... nie, dwa robaki, za wzywanie Jego imienia nadaremno.

– Milczeć! – skarciła go Sykoraks. Podniosła się z łóżka. Mimo nagości wyglądała bardziej dostojnie niż większość królowych w odświętnych szatach.

– Nikt... Czy chcesz powiedzieć, że Cisza naprawdę przybędzie na tę Ziemię?

– Owszem, tak sędzę.

Kobieta nieco się odprężyła. Sięgnęła do leżącej w pościeli misy i wybrała sobie kiść winogron. Podeszła z owocami do Nikogo, poczęstowała go. Pokręcił głową.

– Prosisz mnie o bardzo wiele, zwłaszcza jak na starego nie-Odyseusza – podjęła półgłosem, wracając powoli w kierunku łoża. – Co otrzymam od ciebie w zamian?

– Opowiem ci o swoich podróżach.

Wybuchnęła śmiechem.

– Wiem o nich wszystko.

– Nie. Tym razem wszystkiego nie wiesz. Minęło dwadzieścia lat, nie dziesięć.

Piękne oblicze wiedźmy wykrzywił grymas, który morawce zinterpretowały jako drwiący uśmieszek.

– I przez cały ten czas zależy ci tylko na jednym... Na Penelopie.

– Nie – sprostował Nikt. – Nie teraz. Tym razem, od kiedy posłałaś młodszego mnie przez portal Calabiego-Yau, moje dwudziestoletnie podróże w czasie i przestrzeni miały inny cel. Szukałem ciebie.

Sykoraks przystanęła i popatrzyła mu w oczy.

– Ciebie – powtórzył Nikt. – Mojej Kirke. Kochaliśmy się przez te dwadzieścia lat po wielokroć. Spotykałem cię pod różnymi postaciami. Jako Kirke, Sykoraks, Alys i Kalipso.

– Alys? – upewniła się wiedźma. – Czy miałam wtedy wąską szparę między zębami?

– Miałaś.

– Łzesz. – Pokręciła głową. – Wszystkie wersje rzeczywistości zawierają jedną i tę samą opowieść, nie-Odyseuszu. Ratuję cię, wyciągam z morskich fal, doprowadzam do zdrowia, częstuję cię wykwinnymi potrawami, poję winem słodzonym miodem, opatruję twe rany, pokazuję ci rozkosze cielesnej miłości, o jakich przedtem mogłeś tylko śnić, oferuję ci wieczną młodość i nieśmiertelność, a ty i tak odchodzisz. Zawsze mnie zostawiasz, by wrócić do tej swojej szmaty, do tkaczki Penelopy. Do niej i do syna.

– Widywałem go często przez te ostatnie dwadzieścia lat – przyznał Nikt. – Wyrósł na prawdziwego mężczyznę. Nie muszę go dłużej oglądać. Pragnę zostać z tobą.

Sykoraks podeszła do posłania, ponownie upiła łyk wina z trzymanego za dwa ucha pucharu.

– Właśnie się zastanawiam, czy nie zamienić w świnie wszystkich twoich morawieckich żeglarzy.

Nikt wzruszył ramionami.

– Czemu by nie? W pozostałych światach moja załoga zawsze tak kończyła.

– Jak sądzisz? Jakie świnie z nich powstaną? – podjęła wiedźma swobodnym tonem. – Może takie plastikowe świnki-skarbonki?

– Mojra się przebudziła. – Nikt zmienił temat.

– Mojra? – Sykoraks zdziwiła się po raz kolejny. – Dlaczego zdecydowała się wrócić właśnie teraz?

– Tego nie wiem – przyznał Nikt. – Oblekła się w ciało młodej Savi. Widziałem ją tuż przed odlotem z Ziemi, ale nie zamieniliśmy słowa.

– Przybrała wygląd Savi? – zastanowiła się Sykoraks. – Co ona knuje? I dlaczego w tej chwili?

– Myśli – odezwał się z tyłu Kaliban. – On ulepił starą Savi ze słodkiej gliny, by Jego syn mógł gryźć i jeść z plastrem miodu i strąkami, przegryźć jej kark, aż wszystko zacznie wrzeć, prędzej, prędzej, aż kiełbie przez mózg mi popłyną.

Sykoraks podeszła blisko do Nikogo, uniosła dłoń, jakby chciała pogłodzić go po nagim torsie, lecz zaraz się odwróciła. Kaliban zasyczał, zgarbił się i przykucnął. Wyprostowane ręce oparł na granitowej posadzce między potężnie umięśnionymi nogami. Żółte ślepie złowrogo błysnęły. Nie ruszył się jednak z miejsca, w którym przykazała mu zostać wiedźma.

– Wiesz, że nie mogę posłać syna na Ziemię, by powiedział swemu ojcu, Setebosowi, o nadejściu Cisy – odezwała się cicho kobieta.

– Wiem, że ten... ta istota... nie jest twoim synem – stwierdził Nikt. – Ulepiłaś go z gówna i dysfunkcyjnego DNA w kadzi pełnej zielonego szlamu.

Kaliban syknął i odezwał się ohydny, niewyraźnym bełkotem. Sykoraks uciszyła

go machnięciem ręki.

– Czy wiesz, że kiedy tu ze sobą rozmawiamy, twoi morawieccy przyjaciele wynoszą na orbitę ponad siedemset czarnych dziur?

Nikt wzruszył ramionami.

– Nie miałem o tym pojęcia. Ale miałem nadzieję, że tak się stanie.

– Skąd je wzięli?

– Przecież doskonale wiesz skąd. Gdzie można znaleźć siedemset sześćdziesiąt osiem czarnych dziur? Istnieje tylko jedno takie miejsce.

– Wykluczone – odparła Sykoraks. – Przecież ponad dwa tysiące lat temu zamknęłam ten wrak w polu statycznym.

– A nieco ponad sto lat temu ja i Savi to samo pole wyłączyliśmy – powiedział Nikt.

– Ach, tak. Obserwowałam wasze nędzne wysiłki, twoje i tej dziwki – rzuciła Sykoraks. – Co, u licha, spodziewaliście się osiągnąć za pomocą całunów turyńskich?

– To było przygotowanie.

– Do czego? – Wiedźma się zaśmiała. – Chyba nie sądzisz, że te oba człowiecze gatunki kiedykolwiek się ze sobą zetkną, co? To absurdalne. Grecy, Trojanie i im podobni pożarliby twoich naiwnych tubylców na śniadanie.

Greki wzruszył ramionami.

– Zawrzyj więc pokój z Prosperem i zobaczymy, co będzie.

Sykoraks odstawiła z głuchym stuknięciem kielich na stół.

– Mam ustąpić temu bydlakowi? – warknęła. – Nie mówisz chyba poważnie.

– Jak najbardziej – potaknął Nikt. – Stary Prospero popadł w obłąd. Jego czas przeminął. Ty jednak możesz zrezygnować, zanim podobne szaleństwo stanie się i twoim udziałem. Odejdźmy stąd, Kirke. Razem. Ty i ja.

– Odejść? – Głos wiedźmy wyrażał niczym niezmacone niedowierzenie.

– Wiem, że twoja asteroida wyposażona jest w napęd termojądrowy i generatory Dziur Branowych, które mogłyby ponieść nas ku gwiazdom, a nawet dalej. Jeżeli kiedykolwiek dopadnie nas nuda, przekroczyliśmy wrota Calabiego-Yau i będziemy się kochać w dowolnej epoce wszechświata. Moglibyśmy się spotykać w różnym wieku, zmieniać własne ciała z równą łatwością, z jaką wkładamy nowe stroje, możemy przenosić się w czasie i dołączać w łożu do innych wersji samych siebie, możemy zatrzymywać czas, byśmy mogli czerpać rozkosz wraz z nimi. Masz tu dość powietrza i zapasów jedzenia, że przez tysiąc lat – ba! – dziesięć tysięcy, nie grozi nam najmniejszy dyskomfort.

– Zapominasz o jednym. – Sykoraks znowu zaczęła się przechadzać po sypialni. – Jesteś śmiertelnym człowiekiem. Za dwadzieścia lat będę musiała cię własnoręcznie karmić i zmieniać ci zafajdaną bieliznę. A za lat czterdzieści już cię nie będzie.

– Dawniej chciałaś obdarzyć mnie nieśmiertelnością. Kadzie odmładzające wciąż na tej wyspie czekają.

– Odrzuciłeś moją propozycję! – wrzasnęła Sykoraks. Poderwała ze stołu ciężki puchar i cisnęła nim w Nikogo.

Greki uchylił się, lecz nie cofnął nawet o krok.

– Odrzucałeś ją raz za razem! – krzyczała wiedźma, rwąc sobie włosy z głowy, kalecząc policzki ostrymi paznokciami. – Gardziłeś mym darem i zawsze wracałeś do tej swojej... do ukochanej Penelopy... Naśmiewałeś się ze mnie!

– Teraz się już nie śmieję. Ucieknij stąd ze mną.

W jej spojrzeniu nie było miejsca na nic poza wściekłością.

– Powinnam kazać Kalibanowi zglądzić cię i pożreć na moich oczach. Z rozkoszą patrzyłabym roześmiana, jak wysysa szpik z twoich rozłupanych gnatów.

– Pójdź ze mną, Kirke – powiedział Nikt. – Uruchom sieć faksów, zwróć ludziom funkcje, pozbądź się Dłoni Herkulesa i reszty tych starych, niepotrzebnych zabawek i odejdźmy stąd. Zostańmy na powrót kochankami.

– Jesteś stary – rzuciła mu prosto w twarz. – Stary, siwy i oszpecony bliznami. Dlaczego mam przedłożyć starca nad młodego, pełnego wigoru mężczyznę? – Poglądziła udo i zwiotczałego penisa leżącego w bezruchu młodszego Odyseusza, który wydawał się głęboko zahipnotyzowany.

– Dlatego, że stary Odyseusz nie ucieknie przez wrota Calabiego-Yau za tydzień, miesiąc ani za osiem lat. A młody uczyni to z pewnością – stwierdził Nikt. – I dlatego jeszcze, że ten stary Odyseusz cię kocha.

Sykoraks wydała z siebie zdławione warknięcie. Kaliban zawtórował jej niczym echo.

Nikt sięgnął za plecy i wyciągnął spod tuniki tkwiący dotąd za pasem, ciężki pistolet.

Wiedźma zamarła w pół kroku i otworzyła szeroko oczy.

– Nie sądzisz chyba, że wyrządzisz mi tym jakąkolwiek krzywdę?

– Nie ciebie zamierzam skrzywdzić – odparł Grek.

Kobieta spojrzała na unieruchomionego młodszego Odyseusza.

– Oszalałeś? Czy wiesz, jakie spustoszenie wywołasz na kwantowym poziomie rzeczywistości? Samo rozmyślanie o podobnym postępku to już zaloty do *kaosu*. Zakłóciłbyś cykl, który w tysiącu nici trwa od tysiąca...

– Tak, trwa już stanowczo zbyt długo – rzucił Nikt.

Pociągnął za spust sześć razy. Wydawało się, że każdy kolejny strzał rozlega się głośniejsze od poprzedniego. Sześć ciężkich pocisków rozorało nagie ciało Odyseusza, strzaskało mu żebra, a serce zmieniło w krwawy strzęp, jeden przebił czoło. Dokładnie pośrodku. Młody mężczyzna drgał gwałtownie przy każdym trafieniu. Po chwili zsunął się na posadzkę, znacząc jedwabne poduchy szkarłatnymi smugami. Na marmurowych kafelkach zebrała się kałuża krwi.

– Decyduj – powiedział Nikt.

13 Kaliban chętnie posługuje się parafrazami wiersza R. Browninga „Kaliban o Setebosie” (tłum. T. Kubikowski) opracowanymi przez Wojciecha Szypułę.

14 „Tak rzekł Hermes i ziółko pokazał mi one, Z ziemi wyrwane, dziwną mocą obdarzone: Korzonki miało czarne, kwiat białości mleka, *Moly* zwie się u bogów”. Homer, „Odyseja”, tłum. L. Siemieński.

Nie wiem, czy teleportowałem się tutaj sam, mimo braku medalionu, czy po prostu przeniósł mnie Hefajstos. Kiedy się tekował, trzymałem go za rękaw. Właściwie nie ma to żadnego znaczenia. Pojawiłem się tu i tyle.

Tu, czyli w domu Odyseusza. Na widok trzech materializujących się mężczyzn – Hefajstosa, Achillesa i mnie – pies zaczyna wściekle ujadać, lecz jedno srogie spojrzenie spod zakrwawionego hełmu herosa wystarcza, by kundel zaskomlał, podwinął ogon pod siebie i czmychnął precz na dziedziniec.

Stoimy w przedsionku wielkiej komnaty jadalnej rezydencji Odysa na jego rodzinnej Itace. Gmach i dziedziniec osłania pomrukujące cicho pole siłowe. Wokół długiego stołu nie tłoczą się zuchwali zalotnicy, Penelopa nie załamuje rąk w rozterce, młody impotent Telemach nie knuje, po długiej sali nie krzątają się tam i siam niewolnicy i słudzy rozdający beczelnym utracjuszom odysową strawę i wina. Niemniej wszystko wygląda tu tak, jakby rzeź zalotników zdążyła się już dokonać – krzesła leżą bezładnie poprzewracane, wielki zdarty ze ściany gobelin leży częściowo na posadzce i częściowo na stole, gdzie wsiąkło w niego rozchlapane wino. Nawet najlepszy łuk Odyseusza – ten, który według legendy tylko on jeden był w stanie naciągnąć, oręż tak wspaniały i wyjątkowy, że heros postanowił nie zabierać go ze sobą pod Troję – leży teraz na kafelkach, pośród sławetnych, zębatych i zatrutych strzał.

Zeus odwraca się ku nam na pięcie. Olbrzymi bóg wciąż ma na sobie ten sam strój, który włożył z okazji przemówienia z olimpijskiego tronu, lecz nie jest już tak wysoki jak wtedy. Z drugiej strony nawet skurczony do rozmiarów pozwalających mu się w tej komnacie wyprostować wciąż przerasta Achillesa dwukrotnie.

Chyżonogi mężobójca daje nam ręką znak, byśmy zostali z tyłu, po czym osłania się tarczą, mocniej chwyta miecz i wkracza do jadalni.

– Synu mój – huczy Władca Gromów – oszczędź mi dziecinnych wybuchów gniewu. Czy rzeczywiście chciałbyś za jednym, straszliwym zamachem miecza popełnić naraz bogobójstwo, tyranobójstwo i ojcobójstwo?

Achilles bez słowa podchodzi bliżej. Zatrzymuje go dopiero szeroki stół, za którym czeka Bóg Bogów.

– Walcz, starcze. – To jego pierwsze słowa.

Uśmiech Zeusa nie gaśnie. Nie jest w najmniejszym stopniu zaniepokojony.

– Zastanów się, chyżonogi Achillesie. Chociaż raz zamiast z mięśni i kutasa skorzystaj ze swego mózgu. Naprawdę wolisz na złotym tronie Olimpu oglądać tego chromego niedorajdę? – Gromowładny wskazuje skinieniem brody stojącego w milczeniu obok mnie Hefajstosa.

Achilles nawet na moment nie spuszcza go z oka.

– Pomyśl, przynajmniej ten jeden raz – namawia Zeus. Basowy głos wprawia w drgania stojące w niedalekiej kuchni naczynia. Grzechoczą, brzęczą. – Stań u mego

boku, Achillesie, synu mój. Zjednocz się z wszechprzenikliwym duchem Zeusa, Ojca Bogów. Powiązani w ten sposób ojciec i syn, obaj nieśmiertelni, dwa jestestwa niepokonane, złączą się, tworząc trzecie, potężniejsze niżli oni przedtem. W trójcy zjednoczeni. Ojciec, Syn i wola święta, panować będziemy zarówno nad niebem, jak i Troją, a Tytanów odeślemy z powrotem do należnego im lochu. Już na zawsze.

– Walcz – odparł Achilles. – Walcz, stary świniojebco.

Oblicze Zeusa goreje całą paletą odcieni szkarłatu.

– Synu wielki, lecz nienawistny. Nawet teraz, pozbawiony władzy nad żywiołami, wdepczę cię w ziemię!

Zeus chwyta brzeg długiego stołu i wyrzuca go w powietrze. Długi na piętnaście stóp, ciężki drewniany mebel koziółkuje i frunie prosto na głowę herosa. Achilles kuca, pozwalając pociskowi roztrzaskać się o ścianę. Sypie się malowany na tynku fresk, drzazgi strzelają na wszystkie strony.

Achilles podchodzi dwa kroki bliżej przeciwnika.

Zeus rozkłada ręce, demonstruje swą bezbronność.

– Naprawdę zabijesz mnie ot tak? Nieuzbrojonego? Czy może zmierzmy się w zapasach jak idole olimpijskich aren? A potem jeden padnie niezdolny się dźwignąć, a drugi zagarnie nagrodę?

Achilles waha się ledwie sekundę. Zrywa z głowy swój złoty hełm i odkłada go. Zsuwa z przedramienia okrągłą tarczę, na której składa miecz. Po chwili do kompletu dołączają brązowy napierśnik i nagolenice. Heros posyła cały ten rynsztunek kopniakiem w kierunku drzwi. Stoi już tylko w koszuli, krótkiej spódnicy i sandałach. Za całą osłonę służy mu szeroki skórzany pas.

Dzieli ich osiem stóp. Achilles wykonuje zapraszający gest zapaśnika, otwiera ramiona... Ugina nogi w kolanach.

Zeus reaguje na ten pokaz uśmiechem. Zaraz potem – ruchem niemal zbyt szybkim, bym zdołał go wychwycić, również kuca i oto trzyma w dłoniach łuk Odyseusza, wraz z opatrzoną czarnym pierzem zatrutą strzałą.

Uciekaj! – błagam w myślach herosa, lecz jasnowęsy Achilles nawet nie myśli drgnąć.

Zeus napina łuk, ten sam, którego żaden człowiek poza Odysem nie był ponoć w stanie naciągnąć, kieruje szeroki, jadowity grot prosto w serce stojącego osiem stóp dalej syna i strzela.

Strzała nie sięga celu.

Nie mogła chybić – nie z tak niewielkiej odległości. Pocisk jest zresztą idealnie prosty, świetnie wykonany, ma pełne upierzenie. Pudłuje jednak o całą stopę i wbija się głęboko w oparty pod kątem o ścianę blat pogruchotanego stołu. Niemal czuję, jak straszliwy jad – wedle pogłosek zebrany przez Herkulesa z zębów najgroźniejszych węży – sący się powoli w deski.

Zeus wytrzeszcza oczy. Achillesowi nie drga nawet jeden mięsień.

Gromowładny kuca i szybkim jak błyskawica ruchem podrywa z posadzki kolejną strzałę. Zbliża się o krok, kładzie pocisk na cięciwie, napina łuk, strzela.

I znowu chybia. Nie trafia z pięciu stóp, zatruty grot nie zabija Achillesa.

Heros wciąż stoi w kompletnym bezruchu. Nienawistnym spojrzeniem wpija się w spanikowane oblicze Ojca Wszystkich Bogów.

Zeus pochyla się raz jeszcze, precyzyjnym, wyważonym gestem układa strzałę na cięciwie, naciąga z całych sił, prężąc przy tym mięśnie pokryte lśniąca warstewką potu. Potężny łuk niemal buczy od drzemiącej w jego ramionach energii. Władca Olimpu podchodzi bliżej, aż wreszcie grot zawisa niecałą stopę od szerokiej piersi Achillesa.

Gromowładny strzela.

Pocisk nie trafia.

To niemożliwe, lecz widzę przecież, jak strzała wchodzi głęboko w mur za plecami herosa. Nie przeszła go na wylot, nie zakreśliła, a mimo to w jakiś niewiarygodny, niewyobrażalny sposób chybiła.

Achilles skacze naprzód, uderzeniem dłoni odtrąca łuk na bok i chwyta dwakroć wyższego od siebie boga za krtań.

Zeus zatacza się po całej sali, próbuje oderwać od szyi zaciśnięte na niej dłonie herosa. Okłada go ciosami nieśmiertelnej pięści, szerokiej jak połowa grzbietu Achillesa. Chyżonogi mężobójca nie puszcza miotającego się, szalejącego Zeusa. Drewniane meble idą w drzazgi, kruszy się stół, pęka łukowata framuga drzwi, sypie się ściana. Mam wrażenie, że obserwuję dorosłego mężczyznę, któremu na szyi uwiesił się mały, uparty chłopiec.

Wreszcie znacznie silniejszy bóg wciska potężne palce pod drobniejszą dłoń Achillesa i odrywa od krtani kolejno lewą i prawą rękę przeciwnika. Nie wypuszcza jednak herosa z potężnego uścisku, lecz zaczyna z premedytacją wpadać na sprzęty, próbuje Achillesa zmiażdżyć. Śmiertelnik wciąż wisi, gdy Gromowładny uderza go czołem w nos – towarzyszący temu dźwięk przypomina odgłos zderzenia dwóch wielkich głazów. Zeus napiera boską piersią na żebra śmiertelnika, przygniata go do nieustępliwej ściany i – mgnienie potem – do murowanego fragmentu futryny. Grzbiet Achillesa zaczyna się wyginać.

Nie ma wątpliwości, że jeszcze pięć sekund, a kręgosłup herosa trzaśnie niczym zbyt mocno napięty łuk z taniego drewna balsa.

Achilles nie czeka więc pięciu sekund. Nie czeka nawet trzech.

Chyżonogi mężobójca zdołał uwolnić na moment prawą rękę. Nie wiem, jak to zrobił, tak wygięty do tyłu, trąc kręgami o kamień.

Następne wydarzenia oglądam właściwie tylko jako powidok, wypadki toczą się tak szybko.

Wolna dłoń Achillesa odrywa się od jego pasa. Heros ściska w niej sztylet o krótkim ostrzu.

Wbija nóż w brodaty podbródek Zeusa, przekręca go, wciska jeszcze głębiej i obraca, wydając przy tym dziki okrzyk, zagłuszający nawet wrzask bólu i przerażenia, jaki dobywa się z piersi Gromowładnego.

Zeus chwiejnym krokiem cofa się w głąb korytarza. Wpadają do sąsiedniej sali. Biegniemy za nimi z Hefajstosem.

Walczący znaleźli się w prywatnej sypialni Odyseusza i Penelopy. Achilles uwalnia sztylet szarpnięciem i Ojciec Wszystkich Bogów podnosi wielkie dłonie do

własnej twarzy, do własnego gardła. W powietrze bluzgają strugi złotego ichoru i czerwonej krwi, tryskając z nozdrzy Gromowładnego i z jego otwartych, rozdziawionych ust. Srebrna broda pokrywa się szkarłatnymi i złocistymi plamami.

Zeus pada plecami na łożo. Achilles bierze potężny zamach, zanurza ostrze głęboko w brzuchu boga, po czym kroi go ku górze, dopóki nie rozlega się chrobot magicznego noża trącego o Zeusowe żebra.

Gromowładny znów wrzeszczy, lecz zanim ma szansę chwycić się za świeżą ranę, Achilles wrywa z niej kilka metrów sinych, połyskliwych boskich jelit. Zaplata je na jednym ze słupków wielkiego łoża. Na koniec związuje je błyskawicznie mocnym, pewnym żeglarskim węzłem.

Ten słupek to żywe drzewo oliwne, wokół którego Odysseusz zbudował łożo i całą sypialnię – myślę oszołomiony. Przypominam sobie odpowiednie ustępy „Odysei”, którą czytałem już jako młody chłopiec. Odysseusz tłumaczył wątpiącej Penelopie:

„W dziedzińcu stało wielkie tam drzewo oliwne, Grube jak filar jaki, rozłogie i ciemne; Jam wkoło oliwnika wznosił ściany kamienne, Dach zasklepił, drzwi wprawił z silnych tramów zbite I na naszą sypialnię przeznaczył tą klitę. Potem ściąwszy koroną drzewa gęstolistą Sam pień aż do korzenia ociosałem czysto, Zrównałem ostrzem miednym gładko i pionowo, A więc noga do łoża była już gotową; W której świdrem na wylot wywierciwszy dziury, Wyładziłem łożnicę wspaniałej struktury, Zdobiąc ją w kość słoniową, toż srebrem i złotem, Wreszcie kraśnych rzemieni obciążając splotem”.

Teraz już nie tylko rzemienie są kraśne. Zeus rozpaczliwie szarpie się na uwięzi własnych zapętlonych wnętrzości. Złocisty ichor i arcyludzka czerwona krew buchają z rozplątanych gardła, twarzy i brzucha. Oślepiiony posoką i bólem Zeus Wspaniały wymachuje bezładnie rękoma, szuka po omacku swego dręczyciela. Każde kolejne szarpnięcie, każdy krok w poszukiwaniu Achillesa wyszarpuje na zewnątrz dalsze zwoje lśniących wilgocią szarych jelit. Wrzaski Gromowładnego sprawiają, że nawet gruboskórny zazwyczaj Hefajstos zatyka uszy.

Achilles lekkim krokiem wymyka się spod łap ślepego bóstwa, tanecznymi susami doskakuje co raz, tnąc i kalecząc Zeusowe ramiona, nogi, uda, penis i ścięgna.

Gromowładny pada ciężko na plecy, wciąż przywiązany do żywej oliwki długim na przynajmniej trzydzieści stóp sznurem zasupłanych flaków. Nieśmiertelny nadal wściekle się rzuca i wyje. Rozchlapuje ichor nawet na powałę, gdzie czerwienieją wymalowane strumieniami złocistego płynu zawile rorschachowskie desenie.

Achilles na moment wychodzi, po czym pojawia się z mieczem w dłoni. Podeszwą żołnierskiego sandała przyciska lewe ramię Zeusa do podłogi, podrywa ostrze i rąbie tak mocno, że broń krzesze na płytach posadzki snop iskier. Wcześniej jednak przecina boską szyję.

Czerep Ojca Wszystkich Bogów toczy się pod łożko.

Achilles przyklęka na zakrwawionej podłodze i wciska twarz w wielkie rozcięcie na muskularnym, ogorzałym brzuchu Zeusa. Przez pełną grozy i obrzydzenia sekundę jestem pewien, że pożera właśnie flaki pokonanego wroga. W jamie brzusznej Zeusa znika pół głowy herosa – przeobrażonego właśnie w pierwotnego drapieźnika, we wściekłego wilka.

Achilles jednak tylko za czymś węszył.

– Aha! – woła chyżonogi mężobójca i wyciąga spomiędzy błyszczących trzewi jakiś wielki, wciąż pulsujący, bezkształtny kawał mięsa.

Wątroba Zeusa.

– Gdzie to przekłete psisko Odysa? – pyta sam siebie Achilles. Z błyskiem w oku wychodzi z komnaty. Zostawia nas i idzie podać wątrobę Argusowi, trwożnie kulącemu się gdzieś na dziedzińcu.

Obaj z Hefajstosem skrzętnie ustępujemy mu z drogi.

Gdy kroki mężobójcy – teraz także bogobójcy – cichną w oddali, wraz z patronem płomieni rozglądamy się po sypialni.

Nigdzie nie widać choćby kawałka wolnego od krwi miejsca. Szkarłat pokrywa łoże, podłogę i ściany, a nawet sufit.

Wielki bezgłowy trup, przywiązany do oliwnego słupka wciąż jeszcze podryguje na kamiennej posadzce, szarpia nim spazmy, uwalane we krwi palce próbują się zacisnąć.

– Kurwa mać – szepce pod nosem Hefajstos.

Czuję, że powinienem oderwać od tego wszystkiego spojrzenie, lecz po prostu nie jestem w stanie. Chcę wyjść i znaleźć miejsce, gdzie mógłbym spokojnie z wymiotować, lecz tego też nie mogę.

– Co... jak to? On wciąż... częściowo... żyje – dukam.

Olimpijski rzemieślnik rzuca mi obłąkańczy uśmiech.

– Zeus jest nieśmiertelny, zapomniałeś Hockenberry? O nie, jego cierpienia jeszcze nie dobiegły końca. Spalę go w Niebiańskim Ogniu. – Schyla się po porzucony przez Achillea krótki sztylet. – Zniszczę też bogobójcze ostrze Afrodyty. Przetopię je na coś innego. Być może na tabliczkę pamiątkową ku czci Zeusa. Nie powinienem był tego noża wykuwać, nie dla tej krwiożerczej suki.

Mrugam i potrząsam głową, po czym chwytam przysadzistego boga za poły ciężkiej skórzanej kamizeli.

– Co teraz? – pytam.

Hefajstos odpowiada wzruszeniem ramion.

– To, na co się umawialiśmy, Hockenberry. Gdy tylko zakończy się obłęd tej drugiej wojny z Tytanami, Nyks i Mojry, które od zawsze rządziły wszechświatem, przynajmniej tym wszechświatem, pozwolą mi objąć złoty tron Olimpu.

– Skąd pewność, kto okaże się zwycięzcą?

Karłowaty bóg demonstruje krzywe zęby wyraźnie bielejące pośród czarnego zarostu. Z dziedzińca dobiega nas władczy okrzyk.

– Chodź tu, psie... No chodź Argus... Dalej, stary druhu... Grzeczny piesek... Mam tu coś dla ciebie... Dobra psina...

– Mojry są Mojrami nie bez kozery. Te istoty naprawdę znają przeznaczenie – podejmuje Hefajstos. – Wojna będzie długa i wyjątkowo paskudna. Większość walk zostanie stoczona na Ziemi Ilionu, nie na Olimpie, lecz ostatecznie zwycięży garstka ocalałych Olimpijczyków.... Jak poprzednio.

– No ale ten... stwór... ta istota w chmurze... ten Głos...

– Demogorgon wrócił już do domu, do Tartaru. – Hefajstos rechoce głucho. –

Wypadki rozgrywające się na Ziemi, Marsie czy Olimpie nic a nic go nie obchodzą.

– Moi ludzie...

– Twoi urodziwi Grecy są właśnie ładowani w dupę – stwierdza Hefajstos i uśmiecha się rozbawiony własnym żartem. – Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale to samo dotyczy Trojan. Każdy, kto pojawi się na Ziemi Ilionu przez powiedzmy pięćdziesiąt do stu najbliższych lat, oberwie rykoszetem.

Mocniej zaciskam dłonie na jego kamizeli.

– Musisz nam pomóc....

Odrywa me rękę z taką łatwością, jakby miał do czynienia z natrętnym dwulatkiem.

– Ja zupełnie nic nie muszę, Hockenberry. – Ociera usta grzbietem dłoni i zerka na podrygującego na podłodze trupa. – Tym razem jednak coś dla ciebie zrobię. Tekuj się do swoich żalonych Achajów, a potem do miasta, do swojej Heleny. Przekaż wszystkim, żeby zbierali dupy z wysokich wież, niech złażą z murów i wynoszą się z budynków. W Ilionie za kilka minut dojdzie do dziewięciostopniowego trzęsienia ziemi. Ja na razie muszę spalić to... coś i przenieść naszego herosa z powrotem na Olimp, by mógł nakłonić Uzdrowiciela do wskrzeszenia tej jego martwej dupeczki.

Achilles właśnie wraca. Pogwizduje pod nosem, słyszę też skrobanie pazurów Argusa, który wiernie podąża za herosem.

– Leć! – rzuca Hefajstos, patron płomieni i rzemiosła.

Odruchowo sięgam po medalion, uświadamiam sobie, że ani go już nie mam, ani nie potrzebuję, i tekuję się czym prędzej.

Przewidywane dwanaście godzin nieprzerwanej pracy zmieniło się w nieco ponad osiemnaście. Czterdzieści osiem porzucanych po całym przedziale pocisków sprawiło im znacznie więcej kłopotu, niż się spodziewali. Problemem okazało się przede wszystkim ich wydobycie, niełatwe było również odcinanie zespołów głowic. Niektóre metalowe powłoki rozpadły się już dawno temu, pozostawiając jedynie plastoidowe kołyski i odsłonięte powłoki pól siłowych, emanujące błękitną poświatą promieniowania Czerenkowa.

Gdyby poza milczącą załogą „Królowej Mab” ktokolwiek obserwował rozwój wydarzeń, mógłby uznać widok za co najmniej ciekawy: przycupnięta nad kadłubem zatopionego wraku „Mroczna dama”, oświetlające chmury szlamu promienie szperaczy, łąki kołyszących się anemonów, rozdarte kable, poskręcane przewody oraz śmiercionośne, porośnięte zielenią glonów rakiety i głowice. Ogniki palników – gorejące dziesięcioma tysiącami stopni Fahrenheita – były jaśniejsze niż docierające przez ściany Bruzdy snopy słonecznego światła, jaśniejsze niż oświetlające teren robót halogeny batyskafu, jaśniejsze nawet niż samo Słońce. Niewidomy Orphu i oślepiiony tumanami mułu Mahnmut operowali nimi delikatniej niż chirurdzy na sali operacyjnej skalpelami.

Kratownice, wyciągarki, bloki i łańcuchy mozoliły się pod nadzorem obu morawców oraz samej „Mrocznej damy”, dźwigając ku górze oddzielone od raket wieloładunkowe głowice. Ładownia batyskafu ani przez moment nie pozostawała zupełnie pusta. Przy braku ładunku wypełniała się przypominającą plaster miodu strukturą z programowalnej piany, która zapewniała kadłubowi odporność na koszarne ciśnienie. Piana opatulala również wszelkie przewożone ładunki, między innymi Orphu z Io, kiedy sadowił się w swoim ulubionym zakątku ładowni. W tej chwili piana oblewała i przytrzymywała niezgrabne głowice, które morawce wpychały do wewnątrz, raz po raz miotając przekleństwami.

W pewnej chwili, kiedy coraz bardziej wyczerpani mieli już za sobą przynajmniej połowę pracy, Mahnmut udał, że poklepuje zalane szybko stygnącą pianą pole siłowe zabezpieczające jedną z głowic, i zadeklamował:

– Co jest twą treścią? Z czego cię stworzono, Że tyle cieni masz na swe skinienie?[15]

– Znowu ten twój Szekspir? – upewnił się Orphu, kiedy ponownie opadali w tuman podniesionego z dna szlamu, by zająć się następną głowicą.

– Owszem – potaknął Mahnmut. – Sonet pięćdziesiąty trzeci.

Kolejne dwie godziny upłynęły bez słowa. Orphu odezwał się dopiero, gdy wsunęli i zabezpieczyli – starali się nie umieszczać ich w bezpośrednim sąsiedztwie – w ciasnej już ładowni „Mrocznej damy” następną głowicę.

– Widzisz, problem może i rozwiązaliśmy, ale ty stracisz swój pojazd.

Mniejszy morawiec pokiwał głową, był pewien, że przyjaciel wyłowi ten gest

radarem. Mahnmur zrozumiał, że będzie musiał pożegnać się z ukochaną „Dama”, zaraz gdy tylko Orphu przedstawił swój plan. Głowic nie można było przenieść z wypakowanej pianą ładowni na pokład innej jednostki. Wedle optymalnego scenariusza na niskiej orbicie okołoziemskiej miał czekać statek, który wypchnie batyskaf wraz z niszczycielskim ładunkiem daleko od Ziemi, prosto w czerni kosmosu, szybko i łagodnie zarazem.

– A przecież dopiero co go odzyskałem – powiedział, doskonale zdając sobie sprawę, iż brzmi żałośnie. W tym niewielkim okręcie spędził ponad sto standardowych lat.

– Wiesz, myślę, że dostaniesz nowy – zauważył Orphu.

– To już nie będzie to samo – odparł Mahnmur.

– No nie... – przyznał wielki morawiec. – Od tej pory zmieni się wszystko.

* * *

Minęło osiemnaście godzin, ostatnia głowica, zawierająca w sobie pęk siejących promieniami Czerenkowa, młodych czarnych dziur, trafiła już na miejsce i została zalana pianą. Wrota ładowni „Mrocznej damy” zasunęły się z sykiem, a oba unoszące się w morskiej toni nad wrakiem morawce znalazły się w stanie krańcowego fizycznego i psychicznego wyczerpania.

– Czy na „Mieczu Allaha” może być jeszcze cokolwiek istotnego? – zapytał Orphu.

– Może powinniśmy coś stąd uratować?

– Nie tym razem – odparł naczelny integrator Asteague/Che. Co ciekawe, przez ostatnie osiemnaście godzin nie odebrali z „Królowej Mab” ani jednego komunikatu.

– Nie tym razem? Ja nie chcę oglądać tego przeklętego okrętu już nigdy w życiu. – Mahnmur był zbyt zmęczony, by zastanawiać się nad tym, że mówi na wspólnym paśmie.

– Czuję się tu jak w koszmarze.

– Amen – wtrącił centurion Mep Ahoo z krążącego nad morzem promu.

– Czy możecie nam zdradzić, jak Odyseusz zabawiał się ze swoją dziewczyną?

Minęło już osiemnaście godzin – rzucił Orphu.

– Nie tym razem – powtórzył Asteague/Che. – Wynieście głowice. Bez szaleństw.

– Amen – dodał jak echo Mep Ahoo. W głosie skałowieckiego oficera nie było słychać ani krztyny ironii.

* * *

Suma IV był wytrawnym pilotem i wiedzieli o tym wszyscy, nie tylko Orphu z Mahnmurem. Sprowadził prom tak nisko, że „Mroczna dama” nie musiała się nawet w pełni wynurzyć, by wrota przestronnej ładowni mogły się wokół niej zamknąć. Zaraz potem pompy pozbyły się z wolna wody, którą niemal od razu zastąpiła zabezpieczająca pianą. Batyskaf wraz ze swym jaśniejącym błękitnym promieniowaniem ładunkiem zawisł w miękkiej powłoce.

Orphu z Io wspiął się na dach promu, zanim jeszcze „Dama” zniknęła w brzuchu większego pojazdu. Mahnmur opuścił sterówkę dopiero w ostatniej chwili, pozwalając inteligencji pojazdu samodzielnie zająć się problemem stabilizowania pokładu w trakcie

delikatnej operacji podniesienia i przeniesienia na miejsce. Zdawał sobie sprawę, że porzuca statek na zawsze, i przyszło mu do głowy, że miło byłoby powiedzieć kilka słów pożegnania, lecz zdobył się ledwie na zwieszę „Żegnaj, moja damo” nadane bezpośrednio do komputerów batyskafu. Odpowiedzi nie otrzymał.

Prom dźwignął się nad fale, z otworów wentylacyjnych ładowni wylały się strugi wody, a Mahnmut ostatkiem sił organicznych mięśni i energii mechanicznych układów podciągnął się na dach pojazdu, po czym przeszedł przez mniejszy z dwóch włazów i znalazł się w przedziale pasażerskim.

W dowolnych innych okolicznościach panujący tam zamęt wydałby mu się zapewne komiczny, lecz w tej chwili niewiele byłoby w stanie morawca rozbawić. Orphu już moment temu wciągnął wszystkie manipulatory i anteny i przecisnął się przez większy właz promu do środka. Jego masywny pancerz zajął większą część przestrzeni, w której podróżowało dotąd w swoich zabezpieczonych uprzężami fotelach dwudziestu skałowieckich żołnierzy. Ci teraz tłoczyli się w wąskim, prowadzącym do kabiny pilotów korytarzyku. Czarne, najeżone sterczącymi kolcami morawce z Pasa i ich broń nie pozostawiała praktycznie skrawka wolnego miejsca i Mahnmut musiał przeczołgać się po ich chitynowych pancerzach, by dostać się do równie ciasnego kokpitu, gdzie dołączył do Mep Ahoo i Sumy IV.

Suma IV prowadził prom ręcznie, od czasu do czasu korzystając z omnikontrolera, by zapewnić statkowi wraz z ładunkiem odpowiednią stabilność. Jego palce przemykały po suwakach ciągu z taką sprawnością, z jaką dawni ziemscy wirtuozi pianina musieli operować klawiaturą swych instrumentów.

– Skończyły się nam pasy. – Pilot nawet nie odwrócił głowy w stronę Mahnmuta. – Ostatnimi zabezpieczyliśmy twojego większego przyjaciela w przedziale skałowców. Wysuń sobie, proszę, tamten ostatni fotel i przyczep się do kadłuba elektromagnesem.

Mahnmut posłuchał. Gdy tylko usiadł, stwierdził w duchu, że chyba już się nie podniesie. Panująca na Ziemi grawitacja okazała się jednak zbyt męcząca. Miał też ochotę zapłakać, substancje chemiczne odpowiadające za podtrzymywanie napięcia nerwowego – a trwał w nim przez długie osiemnaście godzin – zaczęły właśnie odpływać z organizmu.

– Trzymajcie się – rzucił Suma IV.

Silniki promu ożyły z rykiem i pojazd wzbił się pionowo w górę. Powoli, metr za metrem, łagodnie, bez niespodzianek, aż wreszcie – gdy wyglądający przez przednią szybę Mahnmut zauważył, że znaleźli się jakieś dwa kilometry nad oceanem – nieznacznie się pochyłili. Dysze zmieniły konfigurację i popchnęły prom naprzód. Aż do dzisiaj nie miał pojęcia, że jakkolwiek maszyną da się sterować aż tak delikatnie.

Mimo wszystko zdarzało się, że pojazdem lekko trzęsło, i za każdym razem Mahnmut odruchowo wstrzymywał oddech, a organiczne serce w jego piersi przyspieszało biegu. Podświadomie czekał na moment, gdy zamknięte w ładowni promu czarne dziury ostatecznie się zdestabilizują i uwolnią. Wystarczyło, że stan krytyczny osiągnie jedna, a reszta podążyłaby jej śladem i zapadła się w sobie po upływie milionowej części sekundy.

Spróbował sobie wyobrazić ciąg dalszy. Miniaturowe osobliwości połączyłyby się

ze sobą, przebiły podłogę ładowni „Mrocznej damy”, kadłub promu i cała ta masa, pędząca z przyspieszeniem dziesięciu metrów na sekundę kwadrat w stronę ziemskiego jądra, wessałaby w siebie oba morawieckie statki, zagarnęła po drodze cząsteczki powietrza, morską wodę, dno oceanu, znajdujące się pod nim skały, aż wreszcie samą skorupę planety.

Jak wiele dni lub miesięcy niewielka czarna dziura, złożona z siedmiuset sześćdziesięciu ośmiu mniejszych, przebijałaby Ziemię i wracała z powrotem niczym piłeczka pingpongowa? Jak daleko wylatywałaby w kosmos? Elektroniczny mózg Mahnmuta usłużnie podsunął mu odpowiedź, mimo że morawiec wcale sobie tego nie życzył, mimo że biologiczna część jego umysłu była zbyt zmęczona, by ją przyswoić. Uwolniona osobliwość odlatywałaby w przestrzeń dostatecznie daleko, by w trakcie pierwszej setki przelotów wchłonąć ponad milion obiektów z pierścieni. Ocalałby jedynie Księżyc.

Naturalnie dla Mahnmuta, Orphu i pozostałych morawców, nawet tych podróżujących w tej chwili „Królową Mab”, nie miałoby to żadnego znaczenia. Korpusy załogi promu niemal natychmiast zostałyby rozciągnięte grawitacyjnymi siłami pływowymi niczym nitki spaghetti. Cząsteczki ich ciał pomknęłyby ku jądro Ziemi wraz z czarną dziurą i z powrotem, przez płynny, wirujący rdzeń.

Mahnmut zamknął wirtualne oczy i skupił się na oddechu. Czuł spokojne i stałe przyspieszenie wznoszącego się promu. Odniósł wrażenie, że suną po gładkiej szklanej rampie. Suma IV faktycznie był cholernie dobry.

Zmienił się kolor nieba. Popołudniowy błękit zastąpiła czerń otwartej przestrzeni. Horyzont wygiął się niczym napięty łuk. Na ciemnym tle eksplodowały światelka pojawiających się gwiazd.

Mahnmut włączył wizję i wyjrzał z kokpitu, obserwując również obrazy nadsyłane przez kabel w fotelu z kamery promu.

Nie kierowali się ku „Królowej Mab”, to było jasne. Suma IV wyrównał lot na wysokości około trzystu kilometrów, tuż powyżej granicy atmosfery, i za pomocą silniczków manewrowych obrócił pojazd tak, że Ziemia wypełniła całe górne okno kokpitu, a promienie słońca oświetliły wrota ładowni. Od pierścieni i czekającej w tej chwili po drugiej stronie planety „Królowej” dzieliło ich jakieś trzydzieści tysięcy kilometrów.

Mahnmut wyłączył na moment przekaz z kamer – nieważkość okazała się szalenie przyjemną odmianą po ciężeniu, w którym był zmuszony pracować przez ostatnie osiemnaście godzin – i podniósł wzrok na iluminatory w suficie. Przyjrzał się linii terminatora sunącej przez tereny dawnej Europy, ujrzał błękit wody i biel zbitych mas chmur nad Oceanem Atlantyckim. Z tego pułapu Bruzda była już zupełnie niewidoczna. Nie po raz pierwszy w ciągu ubiegłych godzin morawiec zadał sobie pytanie, jak to możliwe, by jakikolwiek gatunek żywych istot, któremu przypadło żyć na tak pięknej planecie, uzbroił okręt podwodny – jakkolwiek maszynę, właściwie samych siebie – w oręż umożliwiający sianie zniszczenia na tak ogromną, bezrozumną skalę. Co takiego mogło zaistnieć w duchowym wszechświecie ludzi, że wydało im się warte wymordowania milionów istnień, a wręcz zagłady całej Ziemi?

Mahnmut zdawał sobie sprawę, że zagrożenie wciąż jeszcze nie minęło. Z czysto praktycznego punktu widzenia równie dobrze mogli się nadal znajdować na dnie oceanu. Drobne kilkaset kilometrów znaczyło w tej sytuacji tyle co nic. Gdyby któraś z czarnych dziur wymknęła się teraz spod kontroli i pociągnęła za sobą pozostałe, niszczycielska, rozdzierająca Ziemię partia ping-ponga rozpoczęłaby się tak czy inaczej. Fakt, że znaleźli się w stanie nieważkości, nie oznaczał, że wyrwali się spod władzy ciężenia planety. Aby zapobiec zagładzie Ziemi, musieli odtransportować głowy bardzo daleko – zdecydowanie poza orbitę Księżyca, który również przecież pozostawał pod wpływem ziemskiej grawitacji. Czyli jeszcze miliony kilometrów. Jedyne, co zmieniała ta nędzna wysokość, na jakiej się znaleźli, byłoby nasilenie spagetyfikacji morawieckich panczerzy i ciał w pierwszych minutach kataklizmu.

Czarny, matowy statek kosmiczny ujawnił się, odmaskował... zdekamuflował... kurczę, Mahnmut nie był pewien terminologii. W każdym razie pojazd pojawił się niecałe pięć kilometrów od nich, po stronie słońca. Wyglądał na morawiecką konstrukcję, lecz tak nowoczesnego projektu Mahnmut nie widział jeszcze nigdy w ciągu swego istnienia. O ile „Królowa Mab” sprawiała wrażenie wytworu ziemskiej technologii z dwudziestego stulecia, o tyle ten pojazd wyprzedzał ich obecny poziom zaawansowania o całe stulecia. Czarny statek był w jakiś niezrozumiały sposób jednocześnie baryłkowaty i morderczo opływowy, naraz prosty i niewiarygodnie złożony, szczególnie wyraźnie było to widać we fraktalowej geometrii skrzydeł. Mahnmut nie miał również najmniejszych wątpliwości, że tego rodzaju jednostka musi przenosić potężną broń.

Zastanowił się, czy naczelni integratorzy rzeczywiście są gotowi zaryzykować utratę jednego z okrętów wojennych, w dodatku dysponującego tak wyrafinowanymi systemami maskowania. Nie musiał się jednak zastanawiać zbyt długo. Niemal w tej samej chwili w zakrzywionym podbrzuszu czarnego pojazdu zdematerializował się otwór, z którego wypłynęła napędzana sterowanymi eksplozjami nadtlenu miotła. Obróciła się wokół własnej osi, skierowała prosto na prom i korzystając z silniczków manewrowych ulokowanych po obu stronach wielkiego dzwonu silnika, ruszyła bezgłośnie w ich stronę.

– Nie wiem, czemu się dziwimy – nadał Orphu. – Naczelnicy integratorzy mieli ponad osiemnaście godzin. Nic dziwnego, że zdołali coś wymyślić. W końcu morawce od zawsze były zdolnymi inżynierami.

Mahnmut zgodził się bez słowa. Gdy miotła podpłynęła bliżej, wyhamowała i obróciła się raz jeszcze, ostrożnie kierując płomienie silników z dala od podwozia promu, morawiec obliczył, że urządzenie liczy sobie około sześćdziesięciu metrów długości. W samym środku ciężkości miotły – niczym siodło na grzbiecie chudej szkapy – tkwiła niewielka kopuła chroniąca układy SI. Mahnmut wypatrzył też liczne srebrzyste manipulatory, stalowe szczypce i potężny wysokoenergetyczny silnik, za którym zaczynał się wielki dzwon dyszy, a także dziesiątki poczwórnych zespołów silniczków manewrowych.

– Zwalniam batyskaf – poinformował na wspólnym paśmie Suma IV.

Umieszczone na kadłubie promu kamery pokazały otwierające się długie wrota ładowni. „Mroczna dama” została łagodnie wyprowadzona na zewnątrz, naprzód

popchnął ją minimalny ładunek rozprężającego się gazu. Ukochany stateczek Mahnmuta zaczął się z wolna obracać. SI nie próbowała tego ruchu skontrolować, układy stabilizacyjne batyskafu zostały wyłączone już wcześniej. Małemu morawcowi przemknęło przez myśl, że nigdy jeszcze nie widział stworzenia bądź urządzenia w środowisku tak odbiegającym od naturalnego. „Mroczna dama” wirowała leniwie w kosmosie, trzysta kilometrów ponad zalanym wieczornym blaskiem błękitem ziemskiego oceanu.

Zrobotyzowana miotła nie pozwoliła batyskafowi na zbyt długą rotację. Ostrożnie podlegała, idealnie zrównała się z „Damą” prędkością i przyciągnęła ją ku sobie łagodnymi ruchami manipulatorów, pracujących niemal tak czule jak kochanek, który od dawna nie obcował ze swą umiłowaną. Następnie miotła zabezpieczyła niewielki stateczek szczypcami, chwytając za porty dokujące i wyloty kanałów wentylacyjnych. Wciąż z niezmiennym miłosnym ciepłem i tkliwością SI miotły – ewentualnie kierujące nią morawce z załogi okrętu wojennego – rozwinęła cząsteczkowej grubości płachtę złotej folii i z niezwykłą ostrożnością owinęły nią całą „Mroczną damę”. Inżynierowie starali się w ten sposób zapobiec gwałtownym skokom temperatury, które mogły wyzwolić zamknięte w głowicach czarne dziury.

Wreszcie zagrały poczwórne zespoły silniczków manewrowych i przypominająca modliszkę miotła odszybowała od promu, unosząc ze sobą spowity w folię batyskaf. Automatyczny pojazd skierował swą dzwonowatą dyszę w dół, ku błękitnym morzom, bieli obłoków i wyraźnie przesuwającej się po Europie granicy dnia i nocy.

– Ciekawe, co zrobią z tymi małymi leukocytami? Przypominam, że one mają lasery – odezwał się na wspólnej częstotliwości Orphu z Io.

Mahnmut rozważał ten problem już wcześniej. Czy uda się zapobiec atakowi strażników pierścieni, który z pewnością doprowadziłby do eksplozji głowic? Nie wymyślił jednak niczego, poza tym przez ostatnie osiemnaście godzin miał ręce pełne roboty, więc uznał, że to po prostu nie jego zmartwienie.

– „Walkiria”, „Niezlomny” i „Nimitz” polecą w eskorcie miotły i zestrzelą wszystkich intruzów – odpowiedział Suma IV. – Naturalnie z aktywnym kamuflażem.

Orphu nie zdołał się powstrzymać i roześmiał się w głos.

– „Walkiria”, „Niezlomny” i „Nimitz”? – zadudnił. – Rany Julek, widzę, że morawce z każdą chwilą bardziej zaciekle walczą o pokój. Strach się bać.

Nikt nie zareagował. W pewnej chwili odezwał się Mahnmute, któremu milczenie zaczynało powoli ciążyć.

– A który to...? Ach, już zniknął.

Pokryty czarną matową powłoką fraktalowy nietoperz włączył system maskujący. Jego obecności nie zdradzało już nic. Gwiazdne pole nie mąciła nawet czarna plama.

– Widzieliście „Walkirię” – wyjaśnił Suma IV. – Dziesięć sekund.

Nikt nie odliczał na głos. Mały morawiec był jednak pewien, iż cała załoga odmierza czas po cichu.

Gdy dobili do zera, dzwon dyszy wysokoenergetycznego silnika zajaśniał nikłym błękitnym światłem, które Mahnmutowi skojarzyło się z otaczającą odcięte głowice poświatą promieniowania Czerenkowa. Miotła ruszyła i zaczęła się oddalać od Ziemi. Sunęła niemiłosiernie powoli. Morawiec wiedział jednak, że każdy utrzymujący stałe

przyspieszenie pojazd osiągnie wreszcie tę olbrzymią szybkość, która pozwoli mu się wyrwać z grawitacyjnych objęć Ziemi. Był też przekonany, że miotła będzie stopniowo zwiększać przyspieszenie. Prędkość ucieczki osiągnie – wraz ze spowitą w folię „Czarną damą” – zapewne na wysokości orbity Księżyca. A wówczas, nawet gdyby czarne dziury wyrwały się na wolność, przestaną stanowić dla Ziemi jakiegokolwiek bezpośrednie zagrożenie.

Niebawem automatyczna miotła zniknęła na tle obracających się z wolna światełek pierścieni. Mahnmut nie widział też nawet śladu płomieni z dysz trójki zamaskowanych okrętów wojennych.

Suma IV zamknął wrota ładowni.

– No dobrze, posłuchajcie mnie wszyscy – odezwał się. – Kiedy nasi dwaj przyjaciele harowali na dnie oceanu, na powierzchni miały miejsce pewne niecodzienne wypadki. Musimy wracać na „Królową Mab”.

– Mieliśmy przecież przeprowadzić rozpoznanie i... – zaczął Mahnmut.

– Wszystkie zarejestrowane dotąd dane ściągniesz sobie w trakcie lotu – uciał Suma IV. – Naczelnicy integratorzy oczekują nas na pokładzie. „Królowa” musi na jakiś czas opuścić okolice Ziemi. Odleci co najmniej na orbitę Księżyca.

– Nie – rzucił Orphu z Io.

Pojedyncza sylaba zabrzmiała na łączach donośnie niczym uderzenie wielkiego dzwonu.

– Nie? – powtórzył pilot. – Takie otrzymaliśmy rozkazy.

– Musimy wrócić do tej atlantyckiej szczeliny, wyrwy, bruzdy, czy jak jej tam – stwierdził Orphu. – I to natychmiast.

– A ty musisz się zamknąć i uważać, bo zaraz mocno szarpnie. Nie zamierzam sprzeciwić się rozkazom. Zabieram prom na „Królową”.

– Spójrz na zdjęcia, te, które wykonaliście z dziesięciu kilometrów. – Za pomocą pokładowej sieci promu Orphu rozesłał fotografie wszystkim obecnym na pokładzie.

Mahnmut przyjrzał się obrazowi. To samo zdjęcie przyjaciel pokazał mu, nim zaczęli odcinać głowice od pocisków: oszałamiający, suchy wąż w oceanie, sterczący z północnej ściany wyrwy zdeformowany dziób okrętu podwodnego i rozrzucone dokoła odłamki i śmiecie.

– W paśmie światła widzialnego jestem oczywiście niewidomy – przypomniał wielki morawiec – ale pobawiłem się trochę z danymi obrazowania radarowego i zauważyłem coś dziwnego. Macie przed sobą najlepsze powiększenie i wyostrenie obrazu optycznego, jakie udało mi się uzyskać. Sami powiedzcie, czy według was nie ma tam zupełnie nic, na co warto byłoby zwrócić uwagę.

– Mogę ci od razu powiedzieć, że nic, co tam zobaczymy, nie sprawi, że sprowadzę prom z powrotem na Ziemię – skwitował oschle Suma IV. – Wy dwaj jeszcze o niczym nie słyszeliście, ale ta wielka asteroida, orbitalna wyspa, na którą odstawiliśmy Odyseusza, właśnie odlatuje. Skorygowała orientację w przestrzeni i kiedy wam to wszystko tłumaczę, rozgrzewa silniki termojądrowe. Swoją drogą wasz przyjaciel Odyseusz nie żyje. A na domiar wszystkiego ponownie uaktywnił się cały milion satelitów w pierścieniach, wszystkie te akumulatory masy, urządzenia obsługujące sieć

faksów i tak dalej. Lecimy stąd.

– Popatrz na te pieprzone zdjęcia!!! – ryknął Orphu z Io.

Wszystkie morawce z załogi promu, nawet te, które nie miały zewnętrznych organów słuchu, spróbowały zatkać sobie uszy.

Mahnmut obejrzał kolejny cyfrowy obraz. Nie tylko mocno powiększony, lecz także starannie wygładzony.

– Na dnie bruzdy leży coś w rodzaju plecaka... – powiedział. – A obok...

– Pistolet, jeśli się nie mylę – odezwał się centurion Mep Ahoo. – Broń miotająca pociski z wykorzystaniem prochu strzelniczego.

– A po drugiej stronie plecaka bagażu widać ludzkie ciało – zauważył jeden z zakutych w czarne chitynowe pancerze skałowców. – Musiał umrzeć bardzo dawno temu. Jest całkowicie spłaszczony, widać też wyraźne ślady mumifikacji.

– Nie – wtrącił Orphu. – Obejrzałem to dokładnie za pomocą radaru. To nie jest ludzkie ciało, oglądamy stosowaną przez ludzi termoskórę.

– I co z tego? – rzucił zza sterów Suma IV. – Najwyraźniej jeden z pasażerów wypadł z wraku podczas katastrofy. Lub po prostu to same te przedmioty. Przecież to nie jedyne śmieci w okolicy.

Orphu prychnął donośnie.

– I tak sobie wszystko spokojnie leży? Po dwóch i pół tysiącu standardowych lat? Szczerze wątpię, Suma. Przyjrzyj się pistoletowi. Nie ma na nim nawet śladu rdzy. Plecak nie przegnił. Ta część wyrwy jest wystawiona na działanie pogody. Światło słoneczne, wiatry, deszcze... a mimo to obie te rzeczy wciąż wyglądają zupełnie nieźle.

– To żaden dowód. – Suma IV wprowadził do systemów współrzędne spotkania z „Królową Mab”. Silniki manewrowe ustawiły prom na właściwej osi. Pojazd szykował się do lotu. – Być może kilka lat temu jakiś człowiek dawnego typu zawędrował aż tam i umarł. A my w tej chwili mamy poważniejsze sprawy na głowie.

– Popatrz jeszcze na piach. – Orphu nie rezygnował.

– Na co?

– Spójrz na piątę z podrasowanych zdjęć. Na piasku. Ja oczywiście nic nie widzę, ale zbadłem teren radarem o rozdzielczości do trzech milimetrów. Powiedz, co tam widzisz? Co pokazują wasze oczy?

– Ślad stopy – ocenił Mahnmut. – Odcisk bosej ludzkiej stopy. Jest ich kilka. W tym błocie i podmokłym piasku widać je dość wyraźnie. Prowadzą na zachód. Deszcz zmyłby je już po kilku dniach. Jakiś człowiek musiał tamtędy iść w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Może nawet później. Niewykluczone, że był tam, kiedy wydobywaliśmy z wraku głowice.

– To wszystko jest po prostu nieważne – stwierdził Suma IV. – Otrzymaliśmy wyraźny rozkaz powrotu na „Królową Mab” i dopilnuję...

– Skieruj prom z powrotem nad Bruzdę – rozległ się głos naczelnego integratora Asteague/Che krążącego w macierzystym statku morawców trzydzieści kilometrów wyżej, po przeciwnej stronie planety. – Przejrzelismy właśnie materiał fotograficzny, który zdobyliśmy podczas ostatniego okrążenia Ziemi. Wynika z niego, że w Bruździe spoczywa ludzkie ciało. Szacowana lokalizacja: dwadzieścia trzy kilometry od

zatonionego okrętu podwodnego. Udajcie się tam natychmiast i przejmijcie te zwłoki.
15 Tłum. J. Łowiński.

Materializuję się, rozglądam i stwierdzam, że tekowałem się do prywatnej łaźni Heleny Trojańskiej, zagubionej w głębi pałacu, który niegdyś dzieliła ze swoim zmarłym mężem Parysem, a dzisiaj dzieli ze swoim byłym teściem królem Priamem. Wiem, że mam ledwie kilka minut, lecz nie mam pojęcia, co właściwie powinienem zrobić.

Niewolnice i służki wrzeszczą na mój widok, kiedy przechodzę żwawym krokiem z komnaty do komnaty, raz po raz wołając Helenę po imieniu. Słyszę, że służący wzywają gwardzistów, i dociera do mnie, że być może już za chwilę będę się musiał tekować gdzie pieprz rośnie. W przeciwnym wypadku skończę przeszyty trojańską włócznią. Wtem w sąsiedniej sali dostrzegam znajomą twarz. Hypsipyle, niewolnica z wyspy Lesbos, która na polecenie Andromachy pilnowała obłąkanej Kasandry. Ona na pewno wie, gdzie powinienem szukać Heleny. Kiedy byłem tu ostatnio, Helena z Andromachą bardzo się do siebie zbliżyły. Co więcej, przynajmniej ta jedna niewolnica nie ucieka przed mną z piskiem i nie woła straży.

– Gdzie jest Helena? – pytam, podchodząc do muskularnej, przysadzistej kobiety. Jej tępa twarz ma tyle wyrazu, co niedojrzała dynia.

W ramach odpowiedzi Hypsipyle bierze zamach nogą i kopie mnie prosto w gonady. Przez moment dosłownie lewituję. Chwytam się za krocze, spadam na twarde kafelki posadzki, zwijam się z bólu i kwiczę.

Niewolnica znów kopie i tym razem, jeżeli nie spróbuję uniku, niechybnie urwie mi łeb. Próbuję więc uniku, przyjmuję cios na ramię i turlam się w kąt. Teraz nie jestem w stanie nawet kwiczeć. Lewy bark i mięśnie ramienia mam jak sparaliżowane, straciłem też czucie w palcach.

Potężne babsko rusza w moją stronę. Jej oczy mówią wyraźnie, że nie zamierza się bawić. Dźwigam się więc z trudem na nogi, lecz nie udaje mi się wyprostować. Kulę się zgarbiony.

Tekuj się stąd, kretynie, doradzam sam sobie.

Dokąd?

Gdziekolwiek! Byle daleko stąd!

Hypsipyle chwyta mnie za tunikę, cienka tkanina pęka. Mgnienie potem wielka jak szynka pięść mknie już prosto ku mojej twarzy. Zasłaniam się, unosząc ręce, i zderzenie z jej potężnym łapskiem niemal gruchoce mi kości promieniową i łokciową w obu ramionach. Wpadam plecami na ścianę, odbijam się od niej, a niewolnica ponownie łapie mnie za koszulę i wyprowadza cios w żołądek.

I nagle znów klęczę zgięty w pół, targają mną mdłości, staram się chwycić naraz za brzuch i jaja. W płucach nie mam tyle powietrza, by choć zaskomleć.

Hypsipyle kopie mnie w zębra. Przynajmniej jedno pęka i przetaczam się na bok.

Słyszę tupot stóp. Gwardziści wbiegają po głównych schodach.

Już pamiętam, myślę. Kiedy spotkałem się z Hypsipyle ostatnio, chroniła wtedy

Helenę, a ja walnąłem ją z zaskoczenia, żeby porwać jej panią.

Niewolnica podrywa mnie niczym szmacianą lalkę i policzkuje – forhand, backhand, forhand. Zaczynają mi się ruszać zęby, na szczęście od pewnego czasu nie noszę już okularów.

Jezu Chryste, Hockenberry, buntuje się jakaś część mojej duszy. Dopiero co widziałeś na własne oczy, jak Achilles zabił w pojedynku Pana Burz, Zeusa Gromowładnego, a teraz dostajesz niemiłosierne bęcki od jakiejś parszywej lesbijki?

Do komnaty wpadają strażnicy. Groty włócznie mierzą prosto we mnie. Hypsipyle spogląda na nich, nie zwalniając uścisku, w jakim trzyma moją poszarpaną tunikę. Podciąga mnie i podłogi dotykam już tylko czubkami palców. Niewolnica podaje mnie gwardzistom jak na talerzu.

Razem z nią tekuję się na miejskie mury.

Zalewa nas oślepiający blask słońca. Stojący ledwie kilka metrów dalej trojańscy wojownicy odskakują z krzykiem w tył. Gwałtowna zmiana otoczenia oszałamia Hypsipyle do tego stopnia, że mnie uwalnia.

Dzięki kilku sekundom swobody udaje mi się ją podciąć. Niewolnica pada na czworaki, a ja, wciąż leżąc na plecach, mocno uginam nogi w kolanach, podciągam pod brodę i strącam ją kopnięciem z muru, na miejską stronę.

Teraz już wiesz, przypakowana krowo, że nie wolno zadzierać z wykładowcą literatury klasycznej, doktorem Thomasem Hockenberrym...

Wstaję, otrzepuję się z piachu i spoglądam w dół za niewolnicą. Przypakowana krowa wylądowała na płóciennej markizie rozstawionego pod ścianą straganu. Wybiła w nim dziurę i runęła na stertę jakichś warzyw – ziemniaków, jak się zdaje – a w tej chwili pędzi już ku schodom w pobliżu Bramy Skajskiej, by czym prędzej podjąć przerwana walkę.

Noż kurde.

Puszczam się biegiem po murze, w kierunku platformy widokowej nieopodal świątyni Ateny, gdzie dostrzegłem Helenę. Stoi z innymi członkami królewskiego rodu. Wszyscy są przejęci i w skupieniu obserwują toczącą się na plaży bitwę – ostatni bastion moich Achajów chwieje się w posadach i niebawem padnie – dlatego nikt mi nie przeszkadza, gdy łapię Helenę za jej piękne alabastrowe ramię.

– Hock-en-ber-riiii... – Odwraca się ku mnie zdumiona. – Co się dzieje? Skąd ty...

– Musimy wyprowadzić wszystkich z miasta! – syczę zdyszany. – Już! Natychmiast!

Helena kręci głową. Gwardziści zorientowali się w sytuacji, sięgnęli po miecze i podnieśli włócznie, lecz kobieta odsyła ich skinieniem.

– Hock-en-ber-riiii... Jest tak cudownie... Wygrywamy... Argiwowie padają jak łany zboża pod kosą... Szlachetny Hektor lada moment...

– Musimy wyprowadzić ludzi z budynków! Zgonić ich z murów! Trzeba ewakuować miasto!!! – wydzieram się na nią.

Zdecydowanie nie jest dobrze. Strażnicy otaczają nas ze wszystkich stron w pełni gotowi ochronić Helenę, króla Priama i całą resztę możliwych. Zabiją mnie lub pochwycą i odciągną do jakiegoś lochu. Nie mam najmniejszych szans przekonać na czas Heleny

lub Priama, by ostrzegli Trojan o niebezpieczeństwie.

Słyszę za sobą ciężkie kroki biegnącej Hysypyle, więc, nie czekając, aż złapię oddech, stękam:

– Syreny. Gdzie morawce zamontowały syreny alarmowe?

– Syreny? – powtarza trojańska piękność. W jej oczach pojawia się dziwny niepokój, widocznie uznała, że z ewidentnie oszalałym mężczyzną należy jak najszybciej coś zrobić.

– Tak, syreny. Te, których wycie przed kilkoma miesiącami uprzedzało Troję o nadchodzących nalotach boskich rydwanów. Gdzie zainstalowały je morawce? Wiesz, te mechaniczne ludki?

– Ach, o to chodzi. Są w przedsionku świątyni Apolla, ale Hock-en-ber-riii, po co ci...

Mocno ściskając jej ramię, wyobrażam sobie schody wiodące do iliońskiego przybytku Apolla i tekuję nas, w ostatniej chwili unikając wyciągających się ku mnie rąk żołnierzy i tej masywnej, wścieklej baby z Lesbos.

Gdy materializujemy się na białych stopniach, Helena wydaje z siebie stłumiony okrzyk. Nie zwlekając, wciągam ją na górę, do przedsionka. Nie widzę ani jednego strażnika. Wszyscy mieszkańcy Troi są w tej chwili na murach i innych dogodnych punktach obserwacyjnych, skąd śledzą ostatnie sceny rozgrywającego się nad morzem wojennego dramatu.

Urządzenia znajdujemy w niewielkim prywatnym pomieszczeniu dla akolitów przylegającym do głównej części przedsionka. System syren działał automatycznie, zawiadowały nim rozlokowane wokół miasta morawieckie radary kierujące bateriami pocisków ziemia–powietrze, niemniej – dokładnie tak, jak zapamiętałem – technicy zainstalowali tutaj mikrofon wraz z osprzętem. Mógł się przydać, gdyby król Priam lub Hektor zechcieli przemówić do wszystkich poddanych naraz, za pomocą wielkich głośników zamontowanych w każdej z dzielnic metropolii.

Na zorientowanie się w systemie wystarcza mi kilka sekund. Morawce postawiły na dziecinną prostotę obsługi, by Trojanie mogli korzystać z urządzeń bez niczyjej pomocy. A dziecinnie prosty sprzęt to sprzęt akurat na poziomie doktora Thomasa Hockenberry’ego.

– Hock-en-ber-riii...

Naciskam przycisk oznaczony jako „Uruchomienie nagłośnienia”, przekręcam tarczkę do pozycji z napisem „Przemowa przez mikrofon”, sięgam po archaicznie wyglądające ustrojstwo i zaczynam bełkotać. Mój własny głos niczym echo wraca z setki głośników rozlokowanych wśród miejskich budynków i na warownych murach...

– Uwaga! Uwaga! Zwracam się do wszystkich mieszkańców Ilionu... Król Priam wydał ostrzeżenie przed trzęsieniem ziemi... Natychmiast należy opuścić zabudowania... Powtarzam: natychmiast! Uciekajcie z domów i murów!... Kto może, niech ucieka z miasta na równinę. Wy, którzy obserwujecie bitwę z wież, czym prędzej zejździecie na dół! Już! Lada moment pod Ilionem zatrząsie się ziemia. Powtarzam, król Priam wydał ostrzeżenie przed trzęsieniem ziemi, zarządza natychmiastową ewakuację... Uciekajcie z budynków i szukajcie choć skrawka otwartego terenu!

Wykrzykuję komunikat jeszcze przez minutę. Potem wyłączam mikrofon, łapię przysłuchującą się mi z otwartymi ustami Helenę i wybiegam z nią ze świątyni prosto na miejski rynek.

Dokoła tłoczą się ludzie. Gorączkowo rozprawiają, wpatrują się w miejsca, z których dobiegało moje obwieszczenie, lecz mimo to nikt nawet nie próbuje uciekać. Z otaczających plac gmachów wyszło kilka osób, ale i one nie pędzą ku Bramie Skajskiej, co przecież osobiście im przykazałem.

– Cholera – rzucam pod nosem.

– Hock-en-ber-riii, jesteś wyraźnie wzburzony... Pójdźmy do mnie, napijemy się dobrego, zaprawionego miodem wina i...

Zdecydowanym ruchem pociągam ją za sobą. Już mnie nie obchodzi, czy inni ruszą w końcu do bram. Ja tu nie zostaję. I zamierzam uratować Helenę, choćby wbrew jej woli.

Zatrzymuję się gwałtownie u wylotu wąskiej alejki po zachodniej stronie targu. Co ja, do diabła, robię? Przecież nie muszę biegać jak kretyn z wywieszonym językiem. Wystarczy, że wyobrazę sobie Wzgórze Chwastów i po prostu nas tam tekuję...

– Cholera... – wrywa mi się ponownie.

Nad naszymi głowami pojawia się opadająca szybko Dziura Branowa. Taka, jaką widziałem już wcześniej na Olimpie: szerokie chyba na kilka mil, płaskie i obwiedzione językami płomieni koło. Po drugiej stronie dostrzegam czarne, usiane gwiazdami niebo.

– Niech to szlag! – W ostatniej chwili rezygnuję z teleportacji. Nie chcę ryzykować, że wpakuję nas prosto w kwantową przestrzeń Dziury.

Wlokę więc przerażoną Helenę kilkanaście metrów z powrotem. Wracamy na środek rozległego placu targowego. Tutaj, przy odrobinie szczęścia, unikniemy gruzu sypiącego się z padających murów i budynków.

Pierścień ognia opada na nas, ogarnia Ilion wraz z okolicznymi wzgórzami, równiną, mokradłami i plażą. Krąg Dziury ma co najmniej dwie mile średnicy. Gdy tylko na nas spada, spadamy również i my. Odnoszę wrażenie, że całe miasto, starożytna Troja spada jak winda z zerwanymi linami. Dwie sekundy później rozpętuje się piekło.

Długi czas potem morawieccy inżynierowie powiedzą mi, że Ilion faktycznie opadł o pięć stóp i dwa cale, po czym spoczął na współczesnej Ziemi. Walczący na plaży ludzie – ponad sto pięćdziesiąt tysięcy zmordowanych, wrzeszczących, spoconych żołnierzy – również zniemacka spadli z wysokości pięciu stóp i dwóch cali i nie wylądowali na miękkim, przybrzeżnym piasku, lecz na skałach i w gęstwinie karłowatych zarośli, które zajęły miejsce plaży, gdy morze cofnęło się o trzysta metrów na zachód.

Mało brakowało, by ostatnie minuty Ilionu nie stały się ostatnimi także dla stojących na wielkim placu mnie i Heleny.

Stojąca przy murze na południowy wschód od targu wysoka wieża z utraconym wierzchołkiem – ta sama uszkodzona wieża, na której, jakby wieki temu, Helena dźgnęła mnie nożem w serce – runęła prosto na niższe budynki, padła i skruszyła się niczym wielki fabryczny komin. Widząc, że leci prosto na nas, skuliliśmy się pod miejską fontanną.

I to właśnie owa fontanna ocaliła nam życie. Wielopoziomowa konstrukcja ze wznoszącym się z wypełnionej wodą niecki obeliskiem – nie wyższym niż dwanaście stóp

– okazała się na tyle wytrzymała, że osłoniła nas przed deszczem gruzu i odłamków kamienia, który spadł na boki. Zaczęliśmy się dusić i kasłać, gdy spowiła nas chmura kurzu, piachu i żwiru, lecz największe głązy potoczyły się po rynku w bezpiecznej odległości.

Ośłupieliśmy. Upadek z wysokości pięciu stóp strzaskał nawet wielkie marmurowe płyty, którymi wybrukowano targ. Sterczący z fontanny obelisk odchylił się o trzydzieści stopni od pionu. Woda przestała tryskać. Całe miasto zniknęło w obłoku pyłu, który ostatecznie osiadł dopiero sześć godzin później. Zanim zdołaliśmy się z Heleną pozbierać i zaczęliśmy otrzepywać ubrania z kurzu, kasząc i próbując oczyścić nosy i gardła z zatykającego je białego proszku, rozpętała się panika. Przerażeni ludzie biegali na wszystkie strony, akurat teraz, gdy na ucieczkę było już za późno. Niektórzy zabrali się do rozrzucania gruzów w poszukiwaniu ocalałych.

Upadek Miasta kosztował życie ponad pięć tysięcy osób. Większość zginęła zamknięta w pułapce wielkich budowli – zniszczeniu uległy świątynie Ateny i Apolla, ich pękające kolumny posypały się na boki niczym pęk połamanych patyczków. Pałac Parysa, w którym rezydował obecnie Priam, obrócił się w stertę strzaskanych kamieni. Ze stojących na tarasie świątyni Ateny ludzi ocalała jedynie Hypsipyle. Kiedy zawalił się mur, wciąż próbowała mnie odnaleźć. Wielu obserwowało bitwę z zachodniej i południowo-zachodniej części umocnień, które nie poszły w kompletną rozsypkę, lecz runęły w wielu punktach na boki – do miasta lub poza nie. Ciała spadających Trojan upstrzyły skalistą równinę nad Skamandrem i zasypane kamieniami ulice Ilionu. W ten właśnie sposób ponieśli śmierć król Priam wraz z licznymi krewnymi i członkami rodziny, w tym nieszczęsną Kasandrą. Andromacha, która unosiła głowę ze wszystkich niebezpieczeństw, także i teraz wyszła z kataklizmu bez szwanku.

Okolice Troi – znajdującej się w dzisiejszej Turcji – były w zamierzchłej przeszłości strefą narażoną na częste wstrząsy sejsmiczne, podobnie jak dziś. I podobnie jak w naszych czasach wszyscy wiedzieli, jak należy się w wypadku trzęsienia ziemi zachować. Moje ostrzeżenie ocaliło zapewne wiele istnień. Trojanie chronili się pod wytrzymałymi futrynami i odrzwiami, szukali otwartych przestrzeni, gdzie nie groziło uderzenie spadającym gruzem. Szacowano potem, że jeszcze przed upadkiem miasta i rozsypką wież i murów na równinę wydostało się przez bramy co najmniej kilka tysięcy ludzi.

Ja z kolei toczyłem wzrokiem dokoła i nie dowierzałem własnym oczom. Najszlachetniejsze z miast, stolica, która przetrwała dziesięć lat achajskiego oblężenia i późniejsze ciężkie miesiące konfliktu z samymi bogami, niemal w całości obróciło się w ruinę. Miejscami wybuchły pożary – mniej groźne niż wszechobecne ognie, które pożerają dotknięte podobnymi klęskami miasta z mojej epoki – w starożytności nie było przewodów gazowych – lecz rozniecone przez wywrócone koksowniki, zniszczone piece i paleniska, a także spadające pochodnie podpalające pozbawione okien (a teraz i dachów) korytarze i sale. Niemniej pożar to zawsze pożar. Dym mieszał się w powietrzu z tumanami pyłu. Setki płaczących się po targowym placu ludzi zanosilo się bezustannym kaszlem, wszyscy raz po raz przecieraliśmy oczy.

– Muszę odszukać Priama... Andromachę... – wykrztusiła dławiąca się Helena. –

Muszę znaleźć Hektora!

– Dobrze, Heleno, ty szukaj swoich tutaj – rzuciłem pomiędzy kasznięciami. – Ja pójdę na plażę i rozejrzę się za Hektorem.

Odwróciłem się i już miałem odejść, ale Helena złapała mnie za ramię.

– Hock-en-ber-riii... Co się tu stało? Kto to uczynił?

– Bogowie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Wedle starej przepowiedni Troja miała nie upaść, dopóki będzie trwało potężne kamienne nadproże wielkiej Bramy Skajskiej. Gdy przepychałem się wśród uchodzących z miasta tłumów, zauważyłem, że drewniane skrzydła poszły w drzazgi, a strzegący ich dawniej kamień leży na ziemi.

W dziesięć minut zmieniło się dosłownie wszystko. Objęte ognistym kręgiem miasto zostało zniszczone w okamgnieniu. Inaczej wyglądała również cała okolica, zmienił się wygląd nieba i pogoda. Toto, chyba nie jesteśmy już w Kansas.

Zajęcia na temat „Iliady” prowadziłem na kilku uczelniach przez ponad dwadzieścia lat, lecz nigdy nie przyszło mi do głowy, by odwiedzić Troję osobiście – by obejrzeć znajdujące się na tureckim wybrzeżu ruiny. Widziałem jednak dostatecznie wiele fotografii przedstawiających to miejsce na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego stulecia. I pejzaż, w który Troja wpadła niczym dom Dorotki, wyglądał zdecydowanie bardziej jak dwudziestopierwszowieczne ruiny na niewielkim wzgórzu Hisarlik niż jak rojne centrum iliońskiego królestwa.

Przyglądając się odmienionemu światu, innemu krajobrazowi, innemu niebu – gdy Grecy bronili swego ostatniego bastionu, trwało wczesne popołudnie, teraz zapadał zmrok – przypomniałem sobie pieśń z „Don Juana” lorda Byrona, napisaną podczas wizyty poety w tym miejscu w 1810 roku. Wielki romantyk poczuł wówczas zarówno głęboką więź z heroicznymi dziejami miasta, jak i dystans dzielący go od przeszłości:

Mogily, wydmy, bez głazu, bez znaku, Nagie, gór dzikich otoczone wieńcy. W oddali Ida na niebieskim szlaku, Skamander (jeśli to on) – i nic więcej. Dla Marsowego stworzone orszaku Pole, gdzie snadnie mężów sto tysięcy Zmieści się; lecz tam, gdzie trojańskie wały, Pasły się trzody i żółwie pelzały[16].

Nie widziałem co prawda żadnych trzód, lecz kiedy odwróciłem spojrzenie ku ruinom miasta, zauważyłem, że linia dachów nie zmieniła się za bardzo. Oczywiście obniżyła się o pięć stóp i dwa cale w miejscach, w których budowle spadły na odkopane przez Schliemanna – archeologa amatora – pozostałości. Uświadomiłem też sobie, że starożytni Rzymianie zebrali część starożytnego budulca, by wznieść w tym samym miejscu własne miasto. Dotarło do mnie, że mieliśmy prawdziwe szczęście. Spadliśmy tylko z tych pięciu stóp. Gdyby nie szczątki rzymskich budowli, wzniesionych na greckich ruinach, spadlibyśmy znacznie dłużej.

Na rozciągającej się na wiele mil na północy równinie Symojdy – płaskiej, trawiastej łące, na której tak chętnie pasły się i ścigały słynne trojańskie wierzchowce – rósł teraz las. Gładka równina Skamandra, oddzielająca miasto od położonego na zachodzie wybrzeża, ta równina, na której od jedenastu lat śledziłem przebieg większości bitew, stała się zrytym wykrotami mokradłem, porośniętym karłowatymi dębami i sosnami. Ruszyłem w stronę plaży i nieświadomie wszedłem na pagórek zwany przez

Trojan Wzgórzem Chwastów. Gdy stanąłem na szczycie, zamarłem.

Morza nie było.

Nie chodziło o to, że wybrzeże cofnęło się o mniej więcej milę. O tym pamiętałem jeszcze z poprzedniego życia. Morze Egejskie wyschło, cholera, bez reszty!

Przysiadłem na największym głazie, jaki wypatrzyłem na wzgórzu, i zastanowiłem się nad sytuacją. Dumalem nie tylko o tym, dokąd wysłali nas Nyks z Hefajstosem, ale i nad epoką, w którą nas wtrącili. W tej chwili, w zapadającym zmierzchu, wiedziałem jedynie tyle, że nigdzie, ani w głębi lądu, ani na wybrzeżu, nie było widać ani jednego elektrycznego światła, a w niecce dawnego morza majaczyły kształty dojrzałych drzew i krzewów.

Toto, my nie tylko nie jesteśmy już w Kansas. To nie jest nawet Oz.

Wieczorne niebo zasnuwane było gęstymi chmurami, lecz wciąż było na tyle jasno, że widziałem tysiące ludzi stłoczonych na półmilowym odcinku łuku, który jeszcze kwadrans temu zajmowała plaża. W pierwszej chwili byłem święcie przekonany, że nadal walczą – po obu stronach zauważyłem tysiące świeżych ciał – lecz już po chwili zrozumiałem, że wojownicy po prostu kłębią się bez celu. Zniknął front, nie było już okopów czy umocnień... Upadła dyscyplina, nikt nie przekazywał rozkazów. Potem dowiedziałem się, że mniej więcej trzecia część żołnierzy – zarówno Trojan, jak i Achajów – miała połamane kończyny, głównie nogi. Urazów nabawili się, spadając na skały i do wąwozów, które pojawiły się zupełnie bez ostrzeżenia. Usłyszałem też, że mężczyźni, którzy ledwie minutę temu starali się wzajemnie patroszyć i rozbijać sobie czaszki, wspólnie jęczeli teraz z bólu na ziemi bądź pomagali sobie wstać.

Zbiegłem ze wzgórza i pogałem przez szeroką na milę aluwialną równinę, którą znacznie łatwiej było pokonać, gdy wskutek działań wojennych była do cna ogołocona z roślinności. Kiedy dotarłem na tyły trojańskich pozycji – o ile można je było tak nazwać – zrobiło się już prawie ciemno. Od razu zacząłem rozpytywać o Hektora, lecz zanim go znalazłem, upłynęło jeszcze pół godziny i wtedy trzeba się już było poruszać w świetle pochodni.

Hektor, wraz z Deifobosem – swoim rannym bratem – naradzali się właśnie z tymczasowym przywódcą Argiwów, Idomeneusem, synem Deukaliona i wodzem oddziałów z Krety, a także z Ajaksem Małym z Lokrydy, synem Oileusa. Ajaksa Małego przyniesiono na noszach. Kilka godzin wcześniej uderzenie miecza przez nogi rozplątało mu obie łydki do kości. W rozmowie z Hektorem brał udział także Trazymedes, mężny syn Nestora, ten, o którego śmierci byłem jeszcze dziś święcie przekonany. Zaginął podczas starcia o ostatni okop i uznano go za jednego z poległych, których ciała wypełniły stracone umocnienia. Był tam rzeczywiście, lecz odniósł jedynie swoją trzecią ranę, z której powodu wygrzebanie się spod sterty trupów zajęło mu parę godzin, po czym okazało się, że wokół czekają już tylko Trojanie. Wrogowie wzięli go do niewoli – był to jeden z niewielu aktów miłosierdzia w trakcie tej bez mała jedenastoletniej wojny. Teraz, negocjując z Hektorem, stał i podpierał się złamaną włócznią niczym kulą.

– Hock-en-ber-riiii! – zawołał Hektor, wyraźnie, o dziwo, uradowany moim widokiem. – Synu Duane'a! Rad jestem, że zdołałeś przetrwać ten obłęd! Co się tu stało? Kto za tym stoi?

– Sprawka bogów. – Podobnie jak Helenie, jemu również nie skłamałem. – A konkretnie patrona płomieni Hefajstosa i Nocy, Nyks, owej tajemniczej bogini, która mieszka i działa wspólnie z Mojrami.

– Hock-en-ber-riii, synu Duane’a, wiem, że z bogami zawsze łączyła cię znaczna zażyłość. Dlaczego dopuścili się czegoś podobnego? Czego od nas żądają?



Kręcę głową. Płomienie pochodni rozdzierały noc targane silnymi zachodnimi

powiewami – dolatującymi stamtąd, gdzie niegdyś rozlewały się wody Morza Śródziemnego. Teraz wiatr niósł wyraźną woń roślinności.

– Żądania bogów nie mają najmniejszego znaczenia – odparłem. – Nigdy już się z nimi nie spotkacie. Olimpijczycy odeszli na zawsze.

Stu lub dwustu otaczających nas ciasnym kręgiem mężczyzn przez dobrą minutę stało w milczeniu. Słysząc było jedynie trzask płonących pochodni i jęki leżących w mroku rannych.

– Skąd o tym wiesz? – Jako pierwszy odezwał się Ajaks Mały.

– Dopiero co wróciłem z Olimpu – wyjaśniłem. – Widziałem, jak Achilles zabił w pojedynku samego Zeusa.

Gdyby Hektor nie uciszył zebranych, pomruki i szemranie przerodziłyby się w głuchy ryk.

– Mów dalej, synu Duane’a.

– Achilles zgładził Zeusa, a na Olimp powrócili Tytani. Ostatecznie na tamtejszym tronie zasiądzie Hefajstos, postanowiły już o tym Noc i Mojry. Niemniej przez cały najbliższy rok wasza Ziemia stanie się polem bitwy, na którym nie ocalałby żaden śmiertelnik. Dlatego właśnie Hefajstos posłał was tutaj, Troję, ocalałych Achajów i obrońców Ilionu.

– Tutaj, czyli gdzie? – spytał Idomeneus.

– Nie mam pojęcia.

– Kiedy pozwolą nam wrócić? – podjął Hektor.

– Nigdy – odparłem. Byłem pewien, że mój ton doskonale pasuje do kategorycznego słowa. Nie sądzę, bym kiedykolwiek w życiu, wcześniej bądź później, wypowiedział jakieś dwie sylaby z większym przekonaniem.

W tej samej chwili nastąpiło miejsce drugie z trzech niewiarygodnych wydarzeń owego dnia – pierwszym, przynajmniej w mojej ocenie, było przeniesienie Ilionu do innego wszechświata.

Niebo, odkąd miasto osiadło na starych ruinach, zasnuwane było gęstymi chmurami. Od wschodu po zachód nie było widać nawet skrawka błękitu. W takich warunkach zmrok zapadł niezwykle szybko. W tej chwili jednak niosąca woń roślin bryza odepchnęła szare masy nad wschodni horyzont, ukazując nam pierwsze tej nocy gwiazdy.

Krzyki żołnierzy – zarówno Achajów, jak i Trojan – słyszeliśmy już od kilku dobrych sekund, zanim dotarło do nas, że wszyscy stoją z zadartymi głowami i pokazują sobie niebo.

Jeszcze zanim popatrzyłem tam, gdzie oni, zauważyłem niecodzienne światło. Noc była jaśniejsza niż podczas pełni księżyca, dzisiejszy blask był bardziej intensywny, mleczny i w pewien sposób... ruchomy. Spojrzałem w dół na nasze cienie sunące z wolna po skalistym podłożu – cienie niewywołane już wcale przez pochodnie. Hektor trącił mnie w ramię i wyciągnął palec ku górze.

Obłoki zniknęły. Niebo wciąż było ziemskim, nocnym niebem. Połyskiwały nad nami Pas Oriona, Plejady, Gwiazda Polarna i zawieszony nisko na północy Wielki Wóz. Wszystkie konstelacje z grubszą zajmowały swoje zwyczajne miejsca. Znajomy widok zimowych gwiazdozbiorów i sierp księżyca wschodzący na wschodzie ponad zniszczoną

Troją bledły jednak w obliczu nowego źródła światła.

Po niebie sunęły dwa wzajemnie się przecinające gwiazdne pasy. Pierwszy rozciągał się na południu i obracał szybko z zachodu na wschód. Drugi lśnił bezpośrednio nad naszymi głowami i wirował z północy na południe. Pierścienie świeciły jasnym mlecznym blaskiem, lecz bez trudu mogłem w nich wypatrzeć tysiące jaskrawych gwiazd. Natychmiast przypomniał mi się jakiś popularnonaukowy artykuł z jednej z codziennych gazet, którego autor twierdził, że z większości miejsc na naszej planecie, nawet w najpogodniejszą noc, widać ledwie około trzech tysięcy gwiazd. Ja jednak miałem przed oczyma ich całe dziesiątki, jeśli nie setki, tysiący. Poruszały się zgodnie, tworząc dwa jasne przecinające się pierścienie, zalewające otoczenie światłem przypominającym osobliwy wieczór. Od zawsze wyobrażałem sobie, że w takim właśnie świetle grywają o północy w softball na Alasce. Przemknęło mi przez myśl, że niczego równie pięknego nie widziałem w ciągu obu swoich istnień.

– Synu Duane'a – odezwał się Hektor. – Cóż to takiego? Czy to bogowie? A może nowo narodzone gwiazdy?

– Nie wiem – przyznałem.

Zaraz potem, gdy ponad sto pięćdziesiąt tysięcy zakutych w zbroje mężczyzn z zadartymi głowami i otwartymi szeroko ustami wpatrywało się z podziwem i trwogą w ten zachwycający odnowiony nocny nieboskłon, wojownicy stojący najbliżej plaży zaczęli głośno wołać. Dopiero po kilku minutach dotarło do nas, że po zachodniej stronie ciżby coś się dzieje. Jeszcze więcej czasu zajęło mi i reszcie obecnych na radzie u Hektora przedostanie się na skalistą skarpe – być może był to skraj pierwotnej, istniejącej tu tysiące lat temu plaży – i ujrzeliśmy, co takiego wzbudziło niepokój Achajów.

Dopiero w tej chwili zauważyłem, że setki wypalonych, czarnych okrętów zostały przeniesione razem z nami, przekroczyły Dziurę Branową podobnie jak miasto i ludzie. Truchła starożytnych statków nie spoczywały teraz wcale nad wodą. Wyrzucone na wieki na suchy ląd leżały na zarośniętych pagórkach ponad mokradłami na zachodzie. Chwilę potem zobaczyłem, co wywołało harmider wśród greckich wojowników.

Po dnie wysuszonego morza sunęło coś czarnego i smolistego, a jednocześnie odbijającego światła wirujących na niebie gwiazd. Nadciągało w milczeniu z zachodu, wypełniając suchą nieckę. Coś płynnego, ślizgającego się na wschód stopniowo i powoli, lecz nieubłagane niczym sama śmierć. Na naszych oczach wypełniało najniżej położone tereny, aż wreszcie zaczęło otaczać zieleniejące na horyzoncie wzgórza – w świetle pierścieni widzieliśmy je bez najmniejszego kłopotu. Po kilku minutach przelewająca się czerń objęła wzniesienia ze wszystkich stron i na powrót stały się wyspami. Lemnos, Tenedos i Imbros.

To właśnie było trzecie z dziwnych wydarzeń tego niekończącego się dnia.

Pod Ilion wracało morze ciemne jak wino.

16 Tłum. E. Porębowicz.

Harman trzymał lufę pistoletu przy skroni ledwie przez kilka sekund. Gdy tylko musnął palcem spust, zrozumiał, że w ten sposób ze sobą nie skończy. Samobójstwo jest wyborem tchórza i choć nieuchronność śmierci przepełniała go grozą, nie chciał wychodzić jej na spotkanie jak ostatni mazgaj.

Odwrócił się gwałtownie, wycelował w wystający z północnej ściany Bruzdy niezgrabny dziób starożytnego okrętu i wystrzelił. Strzelał raz po raz, aż broń odmówiła posłuszeństwa, kiedy lufę opuścił dziewiąty pocisk. Dłoń drżała mu tak bardzo, że nie był nawet pewien, czy trafił w swój olbrzymi cel. Sam jednak fakt strzelania pozwolił mu naraz skupić się i wyrzucić z siebie wściekłość i odrazę, które czuł na myśl o obłędzie drążącym jego gatunek.

Zapaskudzona odchodami termoskóra z trudem odkleiła się od ciała. Harman nawet nie spróbował jej oczyścić, po prostu odrzucił ją na bok. Wciąż dygotał wycieńczony wymiotami i biegunką, ale nie włożył wierzchniego ubrania ani butów. Po prostu wstał i zataczając się co chwila, ruszył na zachód.

Nie musiał uciekać się do pomocy nowo zyskanych funkcji biometrycznych, by wiedzieć, że czeka go rychły koniec. Skutki promieniowania czuł wyraźnie w trzewiach, w jelitach, jądrach i kościach. Krańcowa, śmiertelna słabość rozrastała się w jego ciele z minuty na minutę niczym rozpychający się obrzydliwy homunkulus. Dlatego po prostu szedł na zachód. Szedł ku Ardis, ku Adzie.

Na kilka kolejnych godzin umysł Harmana ogarnął precudowny spokój, zupełnie jakby zasnął i budził się jedynie po to, by przestrzegać go przed leżącym na dnie ostrym przedmiotami lub wskazać właściwą drogę pomiędzy zwałami skał bądź wielkimi koralowcami. Na pół świadomie zarejestrował, że ściany Bruzdy strzelają po obu stronach coraz wyżej i wyżej – ocean stawał się głębszy – a powietrze stopniowo stygnie. Mimo to promienie południowego słońca okazały się okrutnie gorące. W pewnej chwili – było już po południu – Harman opuścił odruchowo wzrok i zobaczył, że uda i łydki wciąż ma brudne, pokrywały je warstwy zakrzepłej krwi. Słaniając się, podszedł do południowego pola siłowego, przecisnął rękę na drugą stronę – natychmiast poczuł na dłoni lodowaty chłód i koszarne ciśnienie – i cofnął ją, nabierając dość słonej wody, by się obmyć. Po chwili znów brnął chwiejnym krokiem na zachód.

Gdy wypełniająca mu głowę senna mgiełka wreszcie się rozwiązała, Harman z zadowoleniem stwierdził, że nie myśli już wyłącznie o koszarnej maszynie przewożącej w swym brzuchu ładunek zdolny zadać śmierć całej planecie, maszynie, która zniknęła już dawno za jego plecami. Zaczął się zastanawiać nad własnym życiem, nad spędzonym na Ziemi stuleciem.

Początkowo snuł głównie gorzkie refleksje – łajał się w duchu za roztrwonienie całych dekad spędzonych na zabawach, bankietach i całym tym teatrzyku pozornego życia, wypełnionego faksowaniem się z jednego bankietu na drugi. Wkrótce jednak zdołał

sobie wybaczyć. Zdarzało mu się przecież, nawet w tamtym świecie fałszywej egzystencji, odczuwać szczerą emocję. Zwłaszcza w ostatnim roku zaznał prawdziwej przyjaźni, prawdziwej miłości i niekłamano oddania drugiemu człowiekowi. W pewnym sensie pozwoliło to odkupić przynajmniej część lat przeżytych bez żadnych głębszych doświadczeń.

Rozważył rolę, jaką odegrał w wypadkach kilkunastu ubiegłych miesięcy, i pod tym względem również zdołał sobie wybaczyć. Postludzka kobieta, owa Mojra, ironicznie przezywała go Prometeuszem, ale sam Harman postrzegał siebie raczej jako kogoś w rodzaju Adama i Ewy w jednej osobie. Widział w sobie człowieka, który – poszukując zakazanego Owocu Poznania w idyllicznym Ogrodzie Gnuśności – doprowadził do ostatecznego wygnania całej ludzkiej rasy z dawnego, szczęśliwego, lecz bezrozumnego świata.

A czym takim obdarzył w zamian Adę, swoich przyjaciół i ludzkość jako taką? Nauczył ich czytać? Owszem, dla Harmana ta zdolność i płynąca z niej wiedza były szalenie ważne, lecz zastanawiał się, czy nawet tak istotna umiejętność – być może bardziej istotna niż setka funkcji, które zbudziły się niedawno w jego ciele – będzie w stanie zrekompensować grozę, cierpienie, niepewność i czyhającą na wszystkich bezpowrotną śmierć.

Po chwili przyszło mu na myśl, że być może wcale nie musiała niczego rekompensować.

Wieczór przyćmił już majaczące daleko powyżej długie pasmo nieba, a prący wciąż ociężałe na zachód Harman zwrócił się ku myślom o śmierci. Od własnej, tego był pewien, dzieliły go już tylko godziny, może nawet mniej, ale znacznie ważniejsza wydała mu się sama koncepcja śmiertelności, ta, z którą on i wszyscy ludzie dawnego typu musieli się mierzyć dopiero od kilku miesięcy.

Przetrząsnął wchłonięte podczas wizyty w kryształowej klatce pamięciowe zasoby informacji i stwierdził, że śmierć – a także strach przed nią, nadzieja na dalsze po niej życie, rozbudzana przez nią ciekawość – od dziewięciu tysiącleci (bo tyle obejmowały jego komórkowe archiwa) stanowiła kluczową inspirację niemal całej ludzkiej twórczości literackiej i wszystkich religii świata. Uczuć religijnych Harman wciąż nie pojmował – brakowało mu odpowiedniego kontekstu, jedynym mogła ewentualnie stanowić odczuwana przez niego w tej chwili dojmująca groza. W tysiącach istniejących od tysiącleci kultur dostrzegał jednak to samo wszechprzenikające pragnienie gwarancji – zapewnienia pod jakąkolwiek postacią – że ludzkie życie trwa nawet wówczas, gdy dobiega końca w sposób najbardziej wyraźny.

Harman zapoznał się z różnymi koncepcjami życia po życiu i aż pokręcił głową z niedowierzaniem: Walhalla, Niebo, Piekło, Raj muzułmanów, do którego tak śpieszno było załodzić „Mieczą Allaha”, poczucie prowadzenia życia spełnionego do tego stopnia, że pozwalało pozostać w świecie na zawsze, w umysłach i pamięci innych ludzi. Następnie przyswoił sobie nieprzebrane odmiany motywu pośmiertnego powrotu do życia na Ziemi. Mandala, reinkarnacja, Wu – Dziewięćoraka Ścieżka Środka. Zarówno serce, jak i umysł Harmana podpowiadały, że wszystkie te systemy i teorie są co prawda piękne, lecz zarazem ulotne i puste jak porzucona pajęczyna na krzewie.

Stąpając krok za krokiem ku zachodowi, zagłębiając się w gęstniejący mrok i chłód, Harman stwierdził w duchu, że wszystkie te zmagazynowane w umierających komórkach i DNA jego ciała teorie śmierci oddziałują nań wyłącznie pod względem wartości artystycznej. Podchodził do nich jak do literackich prób ujęcia doświadczenia człowieka stykającego się z ostateczną zagadką – widział w nich bunt geniuszu wobec własnej skończoności. Przywołał w wyobraźni ostatnie autoportrety Rembrandta i zapłakał nad straszliwą w swym wyrazie mądrością tych twarzy. Słuchał wewnętrznego głosu – własnego głosu – odczytującego tekst „Hamleta” i zdał sobie sprawę – podobnie jak zrozumiały to niezliczone pokolenia ludzi wcześniej – że być może to starzejący się, odziany w czerń książę jest jedynym prawdziwym posłańcem z Ostatek Kurtyny.

Poczuł na twarzy łzy i uświadomił sobie, że nie szłocha wcale z powodu własnego, nieubłagania nadciągającego zgonu. Nie płakał nawet za utraconą Adą i swym nienarodzonym dzieckiem (choć myślał o nich nieustannie), lecz po prostu dlatego, że nie miał nigdy szansy obejrzeć szekspirowskiego dramatu na scenie. Nabrał głębokiego przekonania, że gdyby wrócił do Ardis cały i zdrowy, nie pod postacią broczącego krwią, dobiegającego kresu szkieletu, gdyby udało się przetrwać ataki wojniksów, uparłby się, żeby wystawić jedną ze sztuk dawnego autora.

Tylko którą?

Rozmyślania nad tym frapującym zagadnieniem zaprzętnęły Harmana na tak długo, że nie spostrzegł nawet, iż niebo pokryło się najpierw późnowieczornym granatem, a potem usiały je gwiazdy i światełka wirujących pierścieni. Nie od razu też poczuł, że panujący w głębokiej Bruździe ziąb wniknął mu przez skórę, w głąb mięśni, aż wreszcie zmroził go do szpiku kości.

Wreszcie opadł z sił i nie mógł już dłużej iść na zachód. Raz po raz potykał się o skałki i inne niewidoczne przeszkody. W ciemności nie widział już nawet otaczających go ścian pola siłowego. Świat tonął w zimnie i absolutnej ciemności – przedsmak śmierci.

Harman nie chciał umierać. Jeszcze nie teraz. Skulił się na piaszczystym, morskim dnie niczym płód. Żwir i piach kaleczyły jego uwrażliwione ciało, nie pozwalając zapomnieć, że wciąż żyje. Otulił się ramionami, podciągnął kolana pod szczękające zęby i skupił się na jednej myśli – nadal nie umarł. Przypomniawszy sobie z tęsknotą o porzuconym dawno temu plecaku i czekających w nim termicznym śpiworze i ubraniach. Umysł podsunął mu też wizję kilku ostatnich batonów, lecz żołądek zaraz się zbuntował przeciw podobnym myślom.

Nocą kilka razy musiał się wyczołgiwać z wygniecionej ciałem gniazdka w piasku. Stawał na czworakach, podparty na rozdygotanych kolanach i łokciach i pozwalał szarpać się nieustającym mdłościom. Nie wymiotował jednak. Z wczorajszego posiłku nie pozostało w nim już nic. Gdy nudności mimo wszystko łagodniały, czołgał się powoli, z mozołem do swojego grajdołka, z nadzieją na choć odrobinę ciepła, którego zazna, gdy ponownie się skuli. Pragnął tego równie gorąco, jak w przeszłości wyglądał sycących posiłków.

Zatem który dramat Szekspira chciałby wystawić? Zaczął od „Romea i Julii” i wciąż darzył tę opowieść czułością, jaką darzy się wszystkie najwcześniejsze doznania. Pomyślał też o „Królu Learze” – „nigdy, nigdy, nigdy, nigdy, nigdy” – i zdecydował, iż

jest to tekst jak najbardziej stosowny dla kogoś takiego jak on, dla człowieka umierającego, choćby i takiego, który nie dożył spotkania ze swym dzieckiem. Z drugiej jednak strony „Król Lear” mógł niespecjalnie przemówić do nieznanających Szekspira mieszkańców Ardis. Aktorów, naturalnie, musieliby wybrać spośród siebie... Czy ktokolwiek zdołałby się wcielić w starego Leara...? Przyszła mu do głowy jedynie kandydatura Odyseusza-Nikogo. Swoją drogą ciekawe, co u niego słyhać?

Harman odwrócił się na plecy i spojrzał na sunące pod gwiazdami pierścienie. Nigdy jeszcze nie docenił ich urody tak bardzo jak tej straszliwej nocy. W pewnym momencie jaskrawa smuga światła – jaśniejsza niż wszystkie światelka pierścieni razem wzięte – beczelnie rozcinająca onyksową czerń nieba, przemknęła przez pierścień biegunowy i po chwili zniknęła wśród gwiazd za południową ścianą Bruzdy. Nie miał pojęcia, czym mogła być. Jak na meteor, widowisko trwało stanowczo za długo. Choć co z tego? Był przecież tak bardzo, bardzo daleko od niego. Nie mogło mieć z jego losem zupełnie nic wspólnego.

Wciąż rozpamiętując problem śmiertelności, wspominając spuściznę Szekspira, nie mogąc się zdecydować, którą z jego sztuk wystawić w pierwszej kolejności, Harman znalazł w swej białkowej pamięci ciekawy ustęp. Kwestię Claudia z „Miarki za miarkę”. Bohater czekał właśnie na egzekucję.

*Tak, ale umrzeć i odejść w nieznanie;
Leżeć w ciemności zimnej i gnić z wolna,
Póki się w bryłę ziemi nie przemieni
To ciało żywe, ciepłe i czujące,
A duch tak drogi zatoni w ognistej
Rzece lub pójdzie na wieczne mieszkanie
Drzeć w niezmiernych lodowych pustyniach;
Lub uwięziony w niewidzianych wiatrach
Mknąc będzie gnany gwałtownym podmuchem
Wokół naszego samotnego świata;
Lub najnędzniejszym stać się z wszystkich nędznych,
Tych, których wycie słyszeli
poganie, Lub wydawało im się, że je słyszą.
– To zbyt okropne! Życie na tym świecie,
Choćby najcięższe – jakim starość, nędza
I uwięzienie mogą nas uciskać –
Rajem jest, jeśli chcemy je porównać
Z lękiem przed śmiercią[17].*

Znowu zalał się łzami. Szlochał skulony i przemarznięty. Nie płakał ze strachu przed śmiercią, nie dlatego że już niebawem miał się pożegnać ze sobą, ze wszystkimi i wszystkim w ogóle. Ronił łzy z wdzięczności, że jest istotą z rasy, która wydała z siebie człowieka zdolnego napisać takie słowa, zdolnego pomyśleć takie myśli. Samo to prawie – wciąż tylko prawie – usprawiedliwiało fakt, że ten sam gatunek wynalazł, zaprojektował, zwodował i obsadził załogą okręt podwodny przenoszący w wyrzutniach

siedemset sześćdziesiąt osiem czarnych dziur gotowych w dowolnym momencie pochłonąć i wessać w siebie całą przyszłość.

Nagle zaniósł się głośnym śmiechem. Jego umysł samowolnie przeskoczył do „Ody do słowika” Johna Keatsa i Harman zauważył – zupełnie sam, bez niczyjej sugestii – następujący ukłon młodego poety w kierunku Szekspira:

Przecież śpiewałbyś dalej; lecz już nadaremnie:

Nie usłyszałbym requiem pod darnią i gliną[18].

– Po trzykroć hurra! Uczcijmy przymierze pomiędzy darnią i gliną Claudia a bryłą ziemi Johnny’ego! – zawołał.

Głośno wypowiedziane słowa przyprawiły go o atak kaszlu, a kiedy spojrzał w świetle pierścieni na dłoń, zobaczył na niej trzy pobłyskujące w plamie krwi zęby.

Jęknął, na powrót zwinął się w swej piaszczystej macicy, zadrżał i znów się uśmiechnął. Nieukojoony umysł Harmana nie był w stanie oderwać się od Szekspira, podobnie jak język nie potrafił dać spokoju trzem świeżym dziurom w dziąsłach. Uśmiech na jego wargi sprowadził następujący fragment „Cymbelina”.

Was, panny, chłopcy wyzłoceni

Jak kominiarzy śmierć w proch zmieni[19].

Dopiero teraz zrozumiał dowcip. Jakim trzeba urodzić się geniuszem, by tak dziecinny, wesoły żarcik umieścić w tak żałobnym trenie?

To była ostatnia świadoma myśl Harmana. Osunął się w lodowaty sen. Gdy pierwsze krople ulewy zaczęły smagać jego ciało, nawet ich nie poczuł.

* * *

Ocknął się. I to był pierwszy cud. Podniósł sklezione skorupą zaschniętej krwi powieki i ujrzał szary, zimny, posępny świt. Wciąż ciemne ściany Bruzdy wznosiły się po obu stronach na co najmniej pięćset stóp. Nic to. Spał, a teraz się obudził.

Cud drugi – był w stanie się poruszać, choć nie od razu i niezbyt sprawnie. Piętnaście minut zajęło mu samo podniesienie się na czworaki, lecz potem doczołgał się do najbliższego ze sterczących z piaszczystego dna kamieni i po kolejnych dziesięciu minutach zdołał już wstać na równe nogi i mimo że się zachwiał, to nie padł z powrotem.

Tak czy inaczej, był gotów do dalszej drogi na zachód. Tyle że stracił orientację w kierunkach świata.

Zagubił się na dobre. Długa Bruzda ciągnęła się jak zawsze w dwie strony, lecz nie było czegoś, co pozwoliłoby Harmanowi ustalić, gdzie jest zachód, a gdzie wschód. Rozdygotany z zimna, czując ból w miejscach, których nigdy nie podejrzewał o to, że mogą rozboleć, kręcił się w kółko, wypatrując na suchym dnie swoich wczorajszych śladów. Okoliczny grunt był jednak w znacznej mierze skalisty, a deszcz, który doprowadził go nocą niemal do zamarznięcia, zmył wszelkie odciski bosych stóp z piaszczystych łąch.

Kołysząc się na miękkich nogach, przeszedł cztery kroki w losowo wybranym kierunku. Po chwili nabrał jednak przekonania, że wraca w stronę zatopionego wraku,

zawrócił i przeszedł osiem kroków.

Bez sensu. Nad Bruzdą wisiała niska i gęsta pokrywa chmur. Wciąż nie miał pojęcia, w którą stronę się zwrócić. Przerazała go też myśl o przypadkowym powrocie do zniszczonego okrętu podwodnego, w którego wyrzutniach czekał zabójczy ładunek. Nie chciał zmarnować całego dystansu, jaki przebył dzień wcześniej w kierunku Ady, opłacając każdy ruch tak wielkim wysiłkiem.

Potknął się, zatoczył i stanął przed ścianą Bruzdy. Nie miał pojęcia, czy południową, czy północną. Podniósł wzrok i ujrzał w powoli rozjaśniającym się świetle przedświt w jego odbicie.

Odpowiedziało mu spojrzenie stworzenia, które z pewnością nie było Harmanem. Wychudzone ciało przypominało nagi szkielet. Pod skórą pojawiły się liczne krwawe wybroczyny – ciemniały na zapadniętych policzkach, na piersi i przedramionach, na dygocących nogach, wielki siniec widniał nawet na podbrzuszu. Zakaszał, wypluwając przy tym dwa kolejne zęby. Jego twarz w wodnym zwierciadle wyglądała tak, jakby płakał niedawno krwawymi łzami. Odruchowo, beznadziejnie próbując doprowadzić się do ładu, przeczesał palcami włosy i odgarnął je na bok.

Na długą chwilę zapatrzył się we własną rękę. Została mu w niej spora kępka włosów. Zupełnie jakby trzymał małe kosmate zwierzątko. Wypuścił je i znów wsunął dłoń we włosy. Wyszły kolejne pasma. Harman spojrział sobie w oczy i zobaczył żywego trupa, trzecią część jego głowy zajęła łysina.

Coś ciepłego musnęło mu plecy.

Odwrócił się raptownie na pięcie i niemal upadł.

Słońce. Wschodziło za nim, dokładnie nad Bruzdą. Dokładnie w paśmie wolnego nieba. Żłociste, przygrzewające promienie zalały go na kilka sekund, po czym pomarańczowa kula zniknęła pochłonięta przez skłębione chmury. Jakie było prawdopodobieństwo, że słońce pojawi się akurat w tym konkretnym punkcie, między dwiema ścianami Bruzdy, akurat tego poranka? Poczul się jak druid w Stonehenge czekający na wschód w dniu wiosennego przesilenia.

Zakręciło mu się w głowie tak gwałtownie, że zrozumiał, że jeśli nie ruszy natychmiast, na powrót straci orientację. Stanął tyłem do ciepła, wykonał pierwszy niepewny krok na zachód i poszedł przed siebie.

W południe – godzinę znał, gdyż momentami, kiedy mżawka na chwilę ustawała, jasne promienie przedzierały się przez chmury – miał już wrażenie, że jego umysł i ciało stanowią dwa odrębne byty. Stawiał dwa razy tyle kroków, co gdyby był zdrowy, słał się od ściany do ściany, co jakiś czas musiał podeprzeć się dłońmi o wibrującą delikatnie barierę pola siłowego i gdy odzyskiwał siły, podejmował dalszą wędrówkę przez niekończący się korytarz.

Po drodze zastanawiał się, jaka przyszłość czeka – jaka mogłaby czekać – jego rasę. Nie tylko niedobitków z Ardis, lecz wszystkich ludzi dawnego typu, którzy mogliby przetrwać brutalny najazd wojniksów. Teraz, skoro dawny świat skończył się na dobre, jaką stworzą formę rządów, jaką religię i społeczeństwo? Jaką wytworzą kulturę, politykę?

Zagnieżdżony głęboko w DNA Harmana pakiet białkowej pamięci, pakiet, którego

zawartość miała umrzeć dopiero, gdy rozpadowi ulegnie większość jego pozostałych komórek, podsunął mu fragment „Zapisków więziennych” Antonio Gramsciego. „Kryzys polega właśnie na tym, że stare umiera, a nowe wciąż nie może się narodzić; podczas owego interregnum pojawiają się rozmaite objawy choroby”.

Harman parsknął śmiechem i wybryk wesołości kosztował go kolejną jedynekę. Objawy choroby, co ty nie powiesz. Pobieżny przegląd związanych z cytatem kontekstów powiedział mu, że ten Gramsci był włoskim lewicowym intelektualistą, zwolennikiem socjalizmu i komunizmu, propagatorem idei rewolucji. Pierwsze dwie koncepcje polityczne wygasły i zniknęły mniej więcej w połowie Zapomnianej Ery. Ludzie – słusznie – uznali je za stek czczych bzdur i odrzucili, lecz wyglądało na to, że problem interregnum wcale nie stracił na aktualności. Oto nastąpiło kolejne.

W ostatnich miesiącach, zanim tak głupio porzucił spodziewającą się dziecka ukochaną, Ada starała się – właśnie teraz sobie to uświadomił – nauczyć towarzyszy życia w prymitywnej formie ateńskiej demokracji. Nigdy o tym nie rozmawiali, lecz Ada rozumiała, że licząca czterysta osób wspólnota Ardis – było to jeszcze przed dokonaną przez wojniksy rzezią, którą oglądał w wagoniku eiffelbahnu, pod czerwonym całunem turyńskim – upatruje w niej przywódcy. Nienawidziła tej roli, a jednocześnie w zupełnie naturalny sposób przyjęła ją na swoje barki. Zarządzając głosowania w każdej poważniejszej kwestii, budowała zręby przyszłej demokracji, która mogłaby rozkwitnąć, gdyby Ardis ocalało.

O ile jednak czerwony całun ukazał mu prawdę – a tego Harman był niemal pewien – Ardis nie zdołało ocaleć, nie jako wspólnota. Cztery setki ludzi były w stanie stworzyć rzeczywistą, trwałą społeczność. Pięćdziesięciu czworo obdartych, wygłodzonych uciekinierów już nie.

Promieniowanie zniszczyło większość śluzówki jego gardła i za każdym razem, gdy przetykał ślinę, musiał odkaslnąć krwią. Nie pomagało to w wędrówce, spróbował więc ograniczyć odruch i przetykać co dziesięć kroków. Prawą dłoń, brodę i tors miał całe umazane czerwienią.

Chętnie przekonałby się na własne oczy, jakie struktury polityczno-społeczne rozwiną się wśród niedobitków ludzkości. Niewykluczone, że populacja Ziemi, nawet jeszcze przed wojną z wojniksami, gdy żyło ich marne sto tysięcy, nigdy nie była wystarczająco liczna, by wytworzyć prawdziwie dynamiczne układy polityczne czy religijne, o armii czy hierarchii społecznej nie wspominając.

W to jednak Harman nie był w stanie uwierzyć. Białkowe banki pamięci zawierały wiele przykładów na poparcie jego zdania – antyczne Ateny, Sparta, a także greckie państwa sprzed okresu klasycznego. Spektakl turyński – w którym teraz rozpoznawał już homerycką „Iliadę” – opowiadał o losach bohaterów pochodzących z nawet tak małych królestw jak Odysowa, wyspiarska Itaka.

Myśląc o spektaklu, przypomniał sobie ołtarz, który przelotnie obejrzeni w trakcie wizyty w Kraterze Paryskim – rok temu, zaraz po tym, jak dinozaur pożarł Daemana. Miejsce kultu poświęcone było jednemu z olimpijskich bóstw, aczkolwiek Harman nie mógł sobie przypomnieć, któremu dokładnie. Ludziom dawnego typu, od przynajmniej półtora tysiąclecia, bogów i Boga zastępowali postludzie. Jakie jednak formy przyjmie,

jaką obrzędowość wytworzy religia przyszłego świata?

Właśnie, przyszłość...

Przystanął zdyszany i oparł się ramieniem o wysoką, czarną skałę wystającą z północnej ściany Bruzdy. Spróbował wyobrazić sobie przyszłość.

Nogi uginały się pod nim coraz bardziej. Miał wrażenie, że mięśnie ud i łydek zanikają mu w oczach. Ciężko sapiąc, czując, jak kolejne oddechy kaleczą zaciśniętą, krwawiącą krtań, zapatrzył się przed siebie.

Słońce przycupnęło tuż nad skrajem podmorskiego korytarza. Przez jedną straszliwą sekundę pomyślał, że gwiazda wciąż jeszcze wschodzi, a on poszedł mimo wszystko w złym kierunku. Zaraz potem zrozumiał, że na otępiełej wędrowce zszedł mu po prostu cały dzień. Słońce opuściło się pod chmury i zachodziło po zachodniej stronie Bruzdy.

Harman postawił dwa kolejne kroki i padł twarzą na ziemię.

Tym razem nie zdołał się już podnieść. Sił wystarczyło mu ledwie na tyle, by podeprzeć się na łokciu i spojrzeć na niknące słońce.

Wtem zaczął myśleć niezwykle jasno. Nie zastanawiał się już nad Szekspirem i Keatsem, nie rozważał kwestii religii ani problemów śmierci, polityki czy demokracji. Zamiast tego Harman wrócił myślami do przyjaciół. Oczyma duszy zobaczył roześmianą Hannę. Stała nad rzeką w dniu pierwszego uruchomienia żeliwiaka. Przypomnił sobie, jak była wtedy pełna energii i jak jej przyjaciele nie posiadali się z radości, odlewając pierwszy przedmiot z brązu, jaki powstał na Ziemi od... Ile tysięcy lat minęło? Zobaczył też Petyra, mocującego się w zapasach z Odyseuszem, w okresie gdy brodaty, grecki wojownik wygłaszał jeszcze na trawiastym pagórku za dworem swe przydługie filozoficzne wykłady i wyjaśniał słuchaczom co bardziej zawile kwestie podczas sesji pytań i odpowiedzi. Było w tych rozmowach tak wiele entuzjazmu i radości...

Harman przypomniawszy sobie cyniczny, lekko schrypnięty głos Savi i jej ostry, gardłowy śmiech. Jak dziś pamiętał, jak głośno wiwatowali, kiedy pełzacz staruszki wywiózł ich z Daemanem z Jerozolimy, skąd uciekali przed hordami bezradnych wojniksów. Zobaczył też twarz swojego przyjaciela Daemana, ujrzał ją jakby rozdwojoną w soczewce. Z jednej strony miał pulchnego, wiecznie skupionego na sobie chłopaczka z dnia, kiedy się poznali, z drugiej natomiast smukłego i poważnego mężczyznę, któremu bez wahania mógłby powierzyć życie i którego ostatnio widział kilka tygodni temu, kiedy odlatywał sonikiem z Ardis.

Słońce zapadło się w Bruździe tak idealnie, że zewnętrzne krawędzie dysku delikatnie muskały obie ściany. Harman uśmiechnął się pod nosem. Pomyślał, że właściwie powinien usłyszeć teraz syk pary. Co więcej, miał przez chwilę wrażenie, że jego słabnący słuch rzeczywiście podobny dźwięk wyłowił. Pomyślał o Adzie.

Wspomniał jej oczy, uśmiech i łagodny ton. Przypomniawszy sobie brzmienie jej śmiechu i ostatni raz, kiedy poszli ze sobą do łóżka. Pozwolił sobie nawet przywołać moment, gdy zapadając w sen, odwrócili się od siebie, lecz zaraz potem złączyli z powrotem, poszukując ciepła. Poczul Adę na swoich plecach, objęła go ramieniem. Sam wtulił się w nią tak samo potem, w nocy, przywierając do jej grzbietu i perfekcyjnych pośladków. Mimo że morzył go sen, zbudziła się w nim delikatna namiętność, otulił Adę

lewą ręką i czule ujął w dłoń jej pierś.

Harman stwierdził, że powieki ma tak zlepione płatkami zakrzepłej krwi, że nie jest w stanie mrugnąć, nie mógł nawet zamknąć do końca oczu. Zachodzące słońce – dolna krawędź zatonała już pod horyzontem – wypalało mu na siatkówce czerwono-pomarańczowe powidoki. Trudno, nieważne. Wiedział, że kiedy dziś zapadnie zmrok, oczy nie będą mu już nigdy potrzebne. Skupił się na wizerunku umiłowanej Ady, jaki pielęgnował w sercu i myślach, przyglądając się jednocześnie znikającej na zachodzie górnej połowie gorejącej gwiazdy.

Nim słońce zaszło zupełnie, coś się poruszyło i przesłoniło mu widok.

Przez kilka początkowych sekund umierający umysł Harmana nie umiał tej nowej informacji przetrawić. Coś się poruszyło i przesłoniło mu widok.

Nadał podparty na prawym łokciu sięgnął grzbietem lewej dłoni do oczu i starł z powiek kilka suchych skrzepów.

Coś stało na dnie Bruzdy, niecałe dwadzieścia stóp od Harmana. Musiało przebić północną barierę pola siłowego. Istota miała wzrost ośmio- lub dziewięcioletniego chłopca, co więcej sylwetką rzeczywiście przypominała ludzkie dziecko. Ubrana była jednak w dziwny kombinezon z metalu i plastiku. W miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy, Harman zauważył czarny pasek.

Na skraju śmierci, gdy pozbawiony tlenu mózg zaczyna się wyłączać – odezwała się nieproszona białkowa pamięć – nie można wykluczyć wystąpienia halucynacji. To one właśnie leżą u źródeł opowieści poddanych reanimacji pacjentów, twierdzących, że ujrzeli „długi korytarz”, u którego końca pojawia się „jasne światło”, dlatego właśnie...

Zamknij się, kurwa, pomyślał Harman. Sam teraz spoglądał w głąb długiego tunelu zakończonego plamą jaskrawego blasku, aczkolwiek widać było już tylko wąski rąbek słońca. Ściany Bruzdy ożyły odbłaskami – srebrnymi, roztańczonymi światełkami pokrywającymi całe lustrzane powierzchnie.

Lecz obleczony w metalowo-plastikowy skafander chłopiec był niewątpliwie prawdziwy.

Na oczach zdumionego Harmana przez północną ścianę podmorskiego korytarza precisnęło się coś jeszcze, coś większego i znacznie bardziej dziwnego.

Przecież półprzepuszczalne pole siłowe mogą przenikać jedynie ludzie, ewentualnie wraz ze swoimi ubraniami, przemknęło mu przez myśl.

Druga zjawą w niczym nie przypominała człowieka. Rozmiarami dwukrotnie przerastała największe bryczki, jakie widział w życiu, aczkolwiek kształtem kojarzyła się raczej z gigantycznym mechanicznym krabem obdarzonym potwornymi, wielkimi szczypcami i licznymi stalowymi odnóżami. Z wgłębień masywnego, porysowanego pancerza spływały z głośnym szumem strumyki wody.

Dlaczego nikt mi nie powiedział, że ostatnie minuty życia dostarczają takich atrakcji? – spytał się w duchu Harman.

Mały chłopiec podszedł bliżej i przemówił. Po angielsku, delikatnym, lekko dziecięcym głosem. Umierający człowiek pomyślał, że tak mógłby w przyszłości brzmieć głos jego nienarodzonego jeszcze syna.

– Przepraszam pana, czy nie potrzebuje pan przypadkiem pomocy?

17 Tłum. M. Słomczyński.

18 Tłum. St. Barańczak.

19 Tłum. M. Słomczyński.

Pięćdziesiąt tysięcy armia wojników zaatakowała zaraz po wschodzie słońca. Potwory natarły ze wszystkich stron jednocześnie.

Ada zamarła i obejrzała się w kierunku Jamy, w której wciąż spoczywało zmasakrowane truchło małego Setebosa.

– Nie miej wyrzutów. – Daeman musnął jej ramię. – Wcześniej czy później i tak musielibyśmy go zabić.

Pokręciła głową.

– Nie żałuję. Ani trochę – odparła, po czym zwróciła się do Greogiego i Hanny. – Tratwa w powietrze! – zawołała.

Za późno. Ponad połowa mieszkańców obozu wpadła w panikę, słysząc drapanie odnóży i łoskot zbliżających się wojników. Potworów wciąż nie było widać, nie wyszły jeszcze z lasu, lecz musiały być już przynajmniej w połowie drogi. Ardis miało przed sobą najwyżej minutę.

– Nie! Nie! – wydarła się Ada, gdy trzydzieści oszalałych ze strachu osób spróbowało wsiąść do podrywającej się opornie tratwy.

Hannah siedziała za sterami, próbując utrzymać pojazd stabilnie, na wysokości trzech stóp. Z każdą jednak chwilą kolejni pasażerowie wdzierali się na pokład.

– Do góry! – krzyknął Daeman. – Hannah! Leć w górę! Nie czekaj!

Za późno. Ociężała maszyna wydała z siebie żalosny metaliczny zgrzyt, przechyliła się na prawą burtę i runęła prosto na ziemię. Stłoczeni ludzie spadli na wszystkie strony.

Ada i Daeman podbiegli czym prędzej do uszkodzonego pojazdu. Zszokowana Hanna spojrzała im w oczy.

– Nie ma mowy, żebym ją uruchomiła. Coś się popsulo na dobre.

– Nie przejmuj się – odpowiedziała ze spokojem Ada. – Do wyspy i tak byśmy nie dolecieli. – Krzepiąco ucisnęła ramię przyjaciółki i dodała podniesionym głosem: – Wszyscy na ostrokół! Już! Zbierzcie tyle broni, ile tylko zdołacie. Wytrzymamy tylko wtedy, jeśli odeprzemy pierwsze natarcie!

Zawróciła i pomknęła w stronę zachodniej ściany palisady. Chwilę potem za jej przykładem poszli pozostali. Obrońcy zajmowali wszystkie wolne pozycje na drewnianym murze otaczającym już całe obozowisko. W rękach, podobnie jak Ada, dźwigali po dwa karabiny, na plecach kołysały się im kusze i ciężkie płócienne worki z bełtami i zapasowymi magazynkami.

Ada stanęła przy otworze strzelniczym. Obejrzała się. Daeman nie odstępował jej na krok.

– Dobrze – stwierdził.

Skinęła głową, mimo że nie miała zielonego pojęcia, co chciał przez to powiedzieć.

Uważnymi, spokojnymi ruchami, zupełnie bez pośpiechu, Ada załadowała do karabinu świeży magazynek, odbezpieczyła i wzięła na cel odległą o niecałe dwieście

metrów linię drzew.

Szelesty, posykiwania i grzechot nadchodzących wojniksów stały się wkrótce ogłuszające i Ada musiała dokonać świadomego wysiłku, by nie odrzucić broni i nie zatkać sobie uszu. Serce tłukło jej jak oszalałe, poczuła wzbierające mdłości, prawie takie same jak w początkach ciąży. Nie bała się jednak. Jeszcze nie.

– Wszystkie te lata, kiedy oglądaliśmy spektakl turyński... – rzuciła, nie wiedząc nawet, że odezwała się na głos.

– Słucham? – Daeman nachylił się, by lepiej usłyszeć.

– Przypomniał mi się spektakl. – Pokręciła głową. – Harman powiedział, że według Odyseusza to właśnie on rozdał z Savi całuny. Dziesięć lat temu. Być może uznali, że w ten sposób nauczą nas godnie i mężnie umierać.

– Kurde, wolałbym chyba, żeby nauczyli nas zwyciężać w starciu przeciwko pięćdziesięciu tysiącom wojniksów. – Daeman przełączył bezpiecznik karabinu.

Ada wybuchnęła śmiechem. Radosny odgłos natychmiast zatonął w niemiłosiernym hurgocie, z jakim spomiędzy drzew wypadły wojniksy. Niektóre zeskakiwały wprost z gałęzi, inne przemykały pod nimi. Zbita ściana szarych pancerzy i stalowych ostrzy zbliżała się ku obrońcom z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę. Tym razem w szturmie brało udział tyle potworów, że w oczach Ady ich ciała zlały się w jedną miarowo wzbierającą i opadającą masę. Zerknęła przez ramię. Identyczny koszmar rozpętał się po wszystkich stronach palisady. Rozpędzone wojniksy z każdą chwilą zmniejszały dystans.

Nikt nie krzyknął „Ognia!”, lecz w pewnej chwili strzelali już wszyscy. Zdjęta dziwnie krwiożerczą trwogą Ada wyszczerzyła się w szerokim uśmiechu i opróżniła pierwszy magazynek. Kolba rozedrganego karabinu mocno obijała się jej o ramię. Pozbyła się pustego magazynka i wcisnęła na jego miejsce nowy.

Powietrze rozcinały tysiące kryształowych strzałek połyskujących w promieniach wschodzącego słońca. Nawet ta nawałnica nie czyniła jednak dostrzegalnej szkody wśród napastników. Część wojniksów oczywiście padała, lecz kolejne tysiące wciąż skakały, pędziły, przepychały się. Ada nie widziała nawet leżących rannych i zabitych. Srebrnoszara ściana zagłady w kilka sekund zalała pół drogi od lasu. Za kilka kolejnych miała ogarnąć cały ostrokół.

Pierwszym z obrońców, który zeskoczył z palisady, był prawdopodobnie Daeman. Ada nie była pewna, ponieważ w jednej chwili taką samą decyzję podjęło bardzo wiele osób. Daeman ścisnął mocniej karabin i z dzikim wrzaskiem wybił się w górę, przesadził zaostrzone pale, wylądował na dole, przeturlał się, podniósł i pomknął prosto na armię potworów.

Ada zaśmiała się i zapłakała. Nagle najważniejszą rzeczą w jej życiu stało się dołączyć do tej straceńczej szarzy – chciała umrzeć, mordując te bezrozumne, złośliwe i głupie, zaprogramowane do zabijania stwory. Nie chciała czekać na śmierć wylękniona, dygocąc gdzieś za drewnianym murem.

Z absurdalną w tych okolicznościach ostrożnością – choć była mimo wszystko w piątym miesiącu ciąży – zeskoczyła, przetoczyła się po ziemi, poderwała na równe nogi i popędziła za Daemanem, nieprzerwanie się ostrzeliwując. W pewnej chwili, po lewej

stronie, rozległ się czyjś znajomy krzyk. Obejrzała się w biegu i zobaczyła Hannę i Edide. Obie dziewczyny biegły kilka metrów za nią. Co kilka kroków przystawały, strzelały i ruszały dalej.

Z tej odległości widziała już wyraźnie skórzaste garby wieńczące bezgłowe, szare korpusy wojniksów. Za każdym skokiem rozpędzone stworzenia pokonywały dwadzieścia, dwadzieścia pięć stóp. Mordercze noże wyciągały daleko przed siebie. Ada biegła i raz po raz naciskała spust. Nie słyszała już nawet własnego wrzasku, nie miała pojęcia, co takiego wykrzykuje. Na krótki, bardzo krótki moment wyobraziła sobie twarz Harmana i spróbowała przesłać mu myślą wiadomość: „Przepraszam, kochanie, przepraszam cię za nasze dziecko”, lecz zaraz potem zatraciła się już w biegu i strzelaniu. Szare kształty były tuż-tuż. Napierały na nich niczym stalowy przypływ.

Wybuchy odrzuciły ją dziesięć stóp do tyłu. Płomienie spaliły jej brwi.

Wszędzie dokoła leżeli mężczyźni i kobiety, powaleni podmuchem wraz z nią, zbyt oszołomieni, by próbować wstać lub cokolwiek powiedzieć. Niektórzy gasili tłące się ubrania. Inni stracili przytomność.

Całe Ardis otoczyła ściana języków ognia sięgających na pięćdziesiąt, osiemdziesiąt, wreszcie sto stóp w powietrze.

Wtedy pojawiła się druga fala wojniksów. Napastnicy przeskakowali w biegu płomienie. Ale i przed nimi wykwitły eksplozje. Zdumiona Ada patrzyła na rozlatujące się na wszystkie strony szare sylwetki, pancerze i łapy, ostrza i garby.

Daeman złapał ją za rękę i pociągnął ku górze. Ciężko dyszał, na twarzy pęczniały mu bąble poparzeń.

– Ada... Musimy... wracać... do...

Uwolniła ramię i spojrzała pod niebo. Nad Ardis krążyło pięć latających maszyn. I nie były to soniki. Cztery niewielkie, obdarzone nietoperzymi skrzydłami pojazdy zrzucały przed las wybuchające pojemniki, a piąta, znacznie większa maszyna opuszczała się nad środkiem obozowiska. Eksplozje zwały już niemal cały ostrokół.

Wtem z mniejszych statków wysunęły się liny i zjechały po nich człekokształtne istoty – bo to nie mogli być ludzie. Przybysze z nadludzka prędkością dotarli na ziemię i rozbiegli się dokoła, formując obronne szyki. W pewnym momencie, gdy jedna z tych czarnych, wysokich postaci przemknęła obok Ady, kobieta zauważyła, że zakute w dziwaczne chitynowe zbroje stworzenia są porośnięte kolcami i mają nienaturalnie rozmieszczone stawy. Od ludzi różniły się także budzącym respekt wzrostem.

Ze ściany ognia wypadły kolejne wojniksy.

Czarne istoty zgodnie opadły na jedno kolano i podrzuciły do ramion broń, która wyglądała na zbyt ciężką, by mógł ją udźwignąć człowiek. Nagle rozległy się serie wystrzałów – czuga-czink-czuga-czink – lufy grały dźwiękiem przypominającym nieco odgłos piły łańcuchowej. Błękitne kule czystej energii wybijały w szeregach nacierających wojniksów szerokie wyrwy. Każdy trafiony niebieskim pociskiem potwór wybuchał.

Daeman pociągnął Adę za rękę w stronę obozowiska.

– Co jest?! – zawołała, przekrzykując ogólny harmider. – Co się dzieje?

Pokręcił głową. Albo jej nie usłyszał, albo po prostu nie znał odpowiedzi.

Kolejna fala eksplozji wywołała podmuch, który przewrócił na ziemię wycofujących się ludzi. W rzeźkim powietrzu poranka urosły przypominające kształtem grzyby ogniste obłoki. Płomienie sięgnęły trzysta stóp pod chmury okalające Ardis, od wschodu i zachodu lasy ogarnął pożar.

Wojniksy nie bały się wysokiej temperatury i wciąż skakały przez ścianę pożogi. Chitynowi żołnierze kładli je pokotem, padały dziesiątki, potem setki szarych kształtów.

W pewnym momencie wysoka, czarna sylwetka zamajaczyła tuż przed nią. Nieznajomy wyciągnął długie kolczaste ramię i podał jej dłoń, która bardziej niż rękę przypominała owadzie szczypce.

– Ada Uhr? – odezwał się głębokim, spokojnym głosem. – Nazywam się centurion Mep Ahoo. Jesteś potrzebna swojemu mężowi. Mój oddział odeskortuje cię na teren obozu.

Największy z obcych pojazdów wylądował nieopodal Jamy. Masywny kadłub nie zmieścił się wewnątrz palisady i przyziemiając, roztrącił resztki drewnianych umocnień. Kiedy statek znieruchomiał na wysokich, wyposażonych w liczne przeguby wspornikach, w jego podwoziu otworzył się właz.

Harman spoczywał na ułożonych na ziemi noszach otoczony grupką dziwnych istot. Ada nie zwróciła na nie większej uwagi, podbiegła czym prędzej do ukochanego.

Pod głową miał poduszkę, resztę ciała przesłaniał koc. Przerażona Ada mocno ugryzła się w pięść, by nie wrzasnąć. Twarz jej męża wyglądała koszmarnie – zapadnięte policzki, niemal bezzębne dziąsła. Z oczu ciekły strużki krwi. Spierzchnięte wargi popękały tak bardzo, że wyglądały, jakby jakieś zwierzę poszarpało je na strzępy. Obnażone ramiona mężczyzny spoczywały na kocu i Ada zobaczyła krwawe podskórne wybroczyny. Mocno zaczerwieniona skóra schodziła z rąk całymi płatami, jakby Harman doznał poważnego oparzenia słonecznego.

Wokół noszy i Ady zebrali się Daeman, Hannah, Greogi i kilka innych osób. Ada ujęła dłoń Harmana i delikatnie ścisnęła. Odpowiedział jej tym samym, lecz znacznie słabiej. Umierający mężczyzna z trudem próbował utrzymać na żonie spojrzenie zasnutych kataraktą oczu. Chciał coś powiedzieć, lecz zaniósł się ostrym kaszlem. Z ust trysnęła krew.

– Ty jesteś Ada? – zapytała niewielka człekokształtna istota obleczona w czerwono-czarny strój ochronny z metalu i plastiku.

– Tak – odparła, nie poświęcając mechanicznemu chłopcu nawet jednego spojrzenia. Nie odrywała wzroku od Harmana.

– Udało mu się wymówić twoje imię i podać nam współrzędne tego miejsca. Przykro nam, że nie zdołaliśmy go odszukać wcześniej.

– Ale jak... – zaczęła.

Nie miała pojęcia, o co mogłaby zapytać. Jedna ze stojących przy Harmanie maszyn była olbrzymia. Delikatnie podtrzymywała w odnóżach pojemnik kroplówki, z której jakiś płyn skapywał przez rurkę do wynędzniałej ręki pacjenta.

– Otrzymał śmiertelną dawkę promieniowania – podjął chłopięcym głosem mniejszy automat. – Prawie na pewno doszło do tego we wraku okrętu podwodnego, który zwiedził w Bruździe Atlantyckiej.

Okręt podwodny, powtórzyła w duchu Ada. Nie wiedziała, co te dwa słowa mogą znaczyć.

– Przepraszamy, ale po prostu nie dysponujemy sprzętem medycznym pozwalającym ratować istoty ludzkie w tak poważnym stanie – dodał mechaniczny chłopiec. – Kiedy zorientowaliśmy się, że macie tutaj problemy, wezwaliśmy szerszenie z „Królowej Mab”. Dostarczyły nam środki przeciwbólowe i kroplówki, lecz nie mamy niczego, co mogłoby cofnąć skutki choroby popromiennej.

Ada nie rozumiała z tego ani słowa. Po prostu trzymała w dłoniach rękę Harmana i czuła, jak opuszcza go życie.

Znów zakaszła, wciąż nie był w stanie zmusić ust do wydania artykułowanych dźwięków, zadławił się i spróbował uwolnić dłoń. Chwyciła mocniej, lecz jej umierający mąż nie zrezygnował, szarpnął nieco mocniej...

Uświadomiła sobie, że zapewne sprawia mu dotykiem ból. Puściła go.

– Przepraszam cię, kochanie.

Za nimi wciąż słychać było wybuchy, teraz już trochę dalej. Przypominające nietoperze pojazdy bezustannie ostrzeliwały okoliczne lasy seriami wyjących jak piły spalinowe pocisków. Wysocy, zakuci w chitynę żołnierze biegali po całym obozowisku – część z nich niosła pomoc rannym, głównie poparzonym ludziom.

Harman nie złożył ręki na kocu. Uniósł ją ku twarzy Ady.

Spróbowała ponownie ją uścisnąć, ale odtrącił ją lewą dłonią. Opuściła rękę i pozwoliła, by musnął jej szyję, policzek. Wreszcie oparł dłoń płasko na jej czole, po czym, zużywając resztki sił, objął palcami jej głowę – ciasno, rozpaczliwie.

Zaczęło się, nim zdążyła zareagować.

Nic w życiu nie wstrząsnęło nią równie mocno, nawet wybuch, który przed kilkoma minutami wyrzucił ją w powietrze.

Najpierw usłyszała wyraźnie głos Harmana:

– Nie bój się najdroższa, spokojnie, ukochana. Wszystko będzie dobrze. Po prostu muszę ci coś dać, póki jeszcze jestem w stanie.

Mgnienie potem wszystko dokoła zniknęło. Czuła już tylko nacisk poparzonej dłoni i krwawiących palców męża. Jej umysł zaczęły wypełniać obrazy – nie tylko zresztą obrazy, lecz i słowa, wspomnienia, informacje pod wszelką postacią, ludzkie relacje, funkcje, cytaty, książki, całe biblioteki, księgozbiory i jeszcze więcej wspomnień. Przelewał w nią całą miłość, jaką ją darzył, myśli, które poświęcił jej i ich wspólnemu dziecku, dalsze dane i głosy, i nazwiska, i daty, i teorie. Fakty i idee, a także...

– Ada? Ada? – Tom przyklęknął obok, chlusnął jej w twarz wodą i wymierzył lekki policzek.

Hannah, Daeman i reszta czekali tuż obok w pogotowiu. Ręka Harmana opadła bezwładnie. Mały, metalowo-plastikowy automat próbował zrobić coś jeszcze, lecz jej ukochany wyglądał jak nieżywy.

Podniosła się.

– Daeman! Hannah! Chodźcie tu do mnie. Blisko.

– O co chodzi? – zdziwiła się Hannah.

Ada pokręciła głową. Nie miała czasu na wyjaśnienia. W tej chwili musiała się

natychmiast podzielić.

– Zaufajcie mi – powiedziała.

Wyciągnęła rękę, lewą przyłożyła do czoła Daemanowi, prawą dotknęła głowy przyjaciółki i uruchomiła funkcję współdzielenia.

Cały proces nie zajął nawet trzydziestu sekund – nie dłużej, niż kiedy Harman przekazywał nowe funkcje i najważniejsze informacje żonie, dane, które podczas długich godzin wędrówki po dnie Bruzdy segregował, katalogował i przygotowywał do transferu. Owe pół minuty wydały się jednak Adzie wiecznością. Gdyby mogła dalej działać na własną rękę, nie pomyślałaby o dzieleniu się z przyjaciółmi, nie traciłaby na to czasu, nawet gdyby zależała od tego przyszłość całej ludzkiej rasy. Niestety następnej części planu nie mogła zrealizować w pojedynkę. Potrzebowała dwóch osób – jednej, która przekazałaby informacje dalej, i drugiej, która pomoże jej ocalić Harmana.

Wreszcie skończyła.

Cała trójka – Ada, Daeman i Hannah – osunęła się z zamkniętymi oczyma na kolana.

– Co wy robicie? – rzuciła Siris.

Wtem ktoś z krzykiem wbiegł do obozu. Jeden z ochotników, którzy pilnowali faksowężła. Sieć znowu działała! Według relacji strażnika portal ożył dokładnie w chwili, gdy wojniksy podchodziły pod budynek.

Nie ma czasu na jakieś tam faksy, stwierdziła w duchu Ada. Zresztą i tak nie byłoby się dokąd przemieszczać. Wszędzie, na całej planecie ludzie uciekali przed śmiercią bądź właśnie odpierali ataki wojniksów. Nigdzie, w żadnym ze znanych węzłów, nie było nikogo i niczego, co mogłoby uratować jej ukochanego męża.

Potężny automat, kojarzący się z wielkim metalowym krabem, odezwał się dudniącym głosem po angielsku.

– Na orbicie są kadzie regeneracyjne dla ludzi – powiedział olbrzym. – Ale jedyne, których lokalizację znamy dokładnie, znajdują się na asteroidzie Sykoraks, a ona właśnie minęła pełnym ciągiem Księżyc. Przykro nam, lecz położenie pozostałych...

– Teraz to nie ma znaczenia. – Ada ponownie przyklękła u boku Harmana. Musnęła jego ramię.

Nie zareagował, lecz wyczuła tłące się w nim ostatnie iskierki życia. Biomonitor mężczyzny połączył się z jej nowo zyskanymi funkcjami medycznymi. W iście obłąkańczym tempie przetrząsała informacje o tysiącach faksowężłów, zapoznała się też ze zdolnością swobodnego faksowania.

W Basenie Śródziemnym znajdowały się postludzkie magazyny. Przechowywano tam lekarstwa pozwalające między innymi cofnąć skutki choroby popromiennej. Stacje te zabezpieczono jednak polami statycznymi, a ponadto funkcje monitorujące wszechsieć powiedziały Adzie, że Dłonie Herkulesa z wolna wpuszczały wodę z powrotem do osuszonej niecki. Aby dotrzeć do składów postludzi, potrzebowałyby specjalnych maszyn – na przykład batyskafów. Na taką akcję czasu po prostu nie miała. Inne składy zlokalizowała na chińskich stepach i w antarktycznej Suchej Dolinie... Tam jednak również nie zdążyłaby dotrzeć, a i same medyczne procedury były nadmiernie skomplikowane. Harman nie dożyłby do...

Ada złapała Daemana za rękę i przyciągnęła blisko do siebie. Chłopak sprawiał wrażenie odurzonego... wręcz zahipnotyzowanego.

– Te wszystkie nowe funkcje... – szepnął.

Potrząsnęła nim gwałtownie.

– Powtórz, co usłyszałeś od zjawy, od tej Mojry!

– Co? – Nie był w stanie skupić spojrzenia.

– Daeman, powiedz mi natychmiast, co powiedziała ci Mojra... Wtedy, w dzień głosowania nad sprawą Nikogo i sonika... Jak to dokładnie szło? Mów!

– Ach tak... Pamiętam... „Pamiętaj, że trumna Nikogo jest trumną niczyją”... Ale co to ma...

– Jak to co? Teraz już rozumiem... Jest trumną niczyją... To po prostu nie jest trumna... Hannah, byłaś przy tym, jak sarkofag na moście Golden Gate regenerował Odyseusza. Odwiedziłaś Machu Picchu najwięcej razy z nas wszystkich. Przeniesiesz się tam ze mną? Spróbujesz?

Hannah zrozumiała prawie natychmiast.

– Oczywiście – obiecała.

– Daeman. – Ada ściagała się już nie tylko z czasem, lecz z samą Śmiercią, która powróciła do ludzkiego świata i trzymała już Harmana w uścisku swych mrocznych szponów. – Podziel się wszystkim, co ci przekazałam z pozostałymi. Zacznij natychmiast.

– Dobrze. – Chłopak odszedł i zaczął zwoływać towarzyszy.

Morawieccy żołnierze – Ada nie знаła ich imion, lecz wiedziała już, kim są – wciąż osłaniali zaporowym ogniem obozowisko, dobijając ostatnie nacierające wojniaki. Ani jeden napastnik nie zdołał się przebić.

– Hanno – podjęła Ada – potrzebujemy noszy, ale na wszelki wypadek weź koc Harmana. Jeśli nosze się z nami nie faksują, przeniesiemy go na kocu.

– Hola! – zawołał mały morawiec z Europy, gdy dziewczyna bezceremonialnie ściągnęła okrycie z umierającego człowieka. – Ten koc jest mu potrzebny! Zobacz, jakie ma dreszcze...

Ada złożyła robotowi dłoń na ramieniu. Nawet przez barierę metalu i plastiku wyczuła skryte wewnątrz ziarno człowieczeństwa.

– Nie martw się – powiedziała. Wydobyła z cybernetycznej pamięci morawca jego imię... Jego, gdyż tak jak ona był osobą. – Nie martw się, Mahnmut, przyjacielu – dodała.

– Wiemy, co robimy. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu.

Skinieniem dłoni kazała pozostałym odsunąć się na bezpieczną odległość.

Hannah przyklękła obok noszy. Jedną ręką dotknęła ramię Harmana, drugą chwyciła metalowy uchwyt. Ada zrobiła to samo po drugiej stronie.

– Chyba powinnyśmy wyobrazić sobie główną salę, tę w której spotkaliśmy Odyseusza. Współrzędne pojawiają się same – zaproponowała Ada. – Obie tam byliśmy, więc powinno zadziałać.

– Zgoda – przytaknęła Hannah.

– Odliczamy do trzech? – rzuciła Ada. – Raz, dwa... trzy!

Obie kobiety, nosze i Harman zniknęli.

* * *

Mimo że umierający mężczyzna wyglądał jak szkielet, przyjaciółki zużyły niemal wszystkie siły, by przenieść go na noszach z głównej sali urządzonego w Golden Gate muzeum. Zdyszane zeszły kilka pięter po schodach, przemierzyły zielony bąbel, potem pomieszczenie z sarkofagami, minęły dawną kapsułę Savi i wreszcie krętymi schodkami trafiły do pokoju z trumną Odyseusza-Nikogo.

Ada złożyła dłoń na zniszczonej chorobą piersi męża. Wyczuła jedynie cień dawnego życia. Wiedziała, że nie ma ani chwili do stracenia.

– Znowu na trzy – wysapała.

Hannah skinęła głową.

– Raz, dwa... trzy.

Wspólnie dźwignęły nagiego mężczyznę i przenieśli go ostrożnie do trumny Nikogo. Hannah opuściła i zabezpieczyła pokrywę.

– Tylko jak teraz... – zaczęła zdjeta nagle paniką Ada. Wiedziała, że mogłaby przepytac zainstalowane dokoła urządzenia, lecz funkcje obliczyły, że zajęłoby to zbyt wiele czasu.

– Tutaj – pokazała Hannah. – Nikt wszystko mi pokazał, kiedy wyszedł z sarkofagu.

Długie palce dziewczyny zagrały na kilku jaśniejących wirtualnych przyciskach. Nowe funkcje natychmiast porozumiały się z oprogramowaniem kadzi.

Rozległo się westchnienie mechanizmu i trumna zaczęła cicho buczeć. Z niewidocznych kanałów wpłynęła pod pokrywę mgła, która po chwili nakryła całe ciało Harmana. Na przezroczystym wieku skropiła się woda i zmieniła w kryształki lodu. Ożyło kilka kolejnych światełek. Jedno rozbłysło czerwienią.

– Och! – zachłysnęła się Hannah.

– Nie – powiedziała Ada spokojnym, stanowczym tonem. – Nie, nie i jeszcze raz nie. – Przycisnęła dłoń do plastikowej konsoli sarkofagu, jakby chciała przemówić maszynie do rozsądku.

Czerwona lampka zamrugała, zmieniła barwę na pomarańczową, lecz zaraz potem znów zajaśniała szkarłatem.

– Nie – powtórzyła Ada.

Czerwone światełko przygasło, ponownie stało się pomarańczowe. Tym razem na dobre.

Palce obu kobiet przelotnie zetknęły się nad trumną, lecz Ada zaraz wróciła dłonią na złącza SI.

Pomarańczowe światełko nie zgasło.

Kilka godzin później, po południu, gdy chmury nakryły najpierw ruiny Machu Picchu, a potem zawieszoną sześćset metrów niżej jezdnię mostu, Ada przerwała milczenie.

– Hanno, faksuj się z powrotem do Ardis. Powinnaś coś zjeść, odpocząć.

Młodsza dziewczyna pokręciła głową.

Ada odpowiedziała jej uśmiechem.

– W takim razie przejdź się do jadalni i przynieś nam jakieś owoce czy cokolwiek

innego. Poszukaj też wody.

Pomarańczowe światło paliło się niezmiennie przez całe popołudnie. Tuż po zmroku, gdy andyjskie doliny zalała ostatnia poświata zachodzącego słońca, na moście pojawili się Daeman, Tom i Siris. Nie zatrzymali się jednak na długo.

– Dotarliśmy już do trzydziestu innych wspólnot – ogłosił Daeman.

Ada skinęła głową, nawet na moment nie odrywała wzroku od pomarańczowego światełka.

Przyjaciele przenieśli się z powrotem do Ardis, obiecując, że wrócą nazajutrz. Hannah opatulila się kocem i usnęła na podłodze obok sarkofagu.

Ada została sama. Chwilami pozwalała sobie uklęknąć, czasem siadała, lecz pozostawała świadoma i nie zdejmowała dłoni ze sterownika trumny. Przez cały czas posyłała przez dzielące ją i Harmana obwody maszyny swe modlitwy i wyrazy wsparcia. Spojrzeniem bezustannie strzegła pomarańczowej kontrolki.

Mniej więcej po trzeciej w nocy lampka rozbłysła zielenią.

CZEŚĆ 4

Tydzień po Upadku Ilionu.

Achilles i Pentezylea pojawili się na nagim wzgórzu wznoszącym się pomiędzy Równiną Skamandra i Równiną Symojdy. Hefajstos spełnił obietnicę. Czekają na nich dwa wierzchowce – dorodny kary rumak dla Achaja i niższa, lecz jeszcze piękniej wyrzeźbiona biała klacz dla Amazonki. Wskoczyli na siodła i pojechali zobaczyć, co zostało z Troi.

Nie mieli zbyt wiele do oglądania.

– Jak to możliwe, by zniknęło całe wielkie miasto? – zdumiała się Pentezylea. W jej głosie, jak zwykle, pobrzmiwał wyzywający ton.

– Wszystkie miasta znikają – odparł Achilles. – Tak jest im pisane.

Królowa Amazonek prychnęła przez nos. Heros już wcześniej zauważył, że prychnięcia blondwłosej wojowniczkii przypominają parskanie jej klaczy.

– Ale nie jest im chyba pisane, by znikwały w ciągu jednego dnia... w godzinę. – Uwaga zabrzmiała jak skarga, żalobny lament. Minęły już dwa dni, odkąd wskrzeszona Amazonka opuściła kadz Uzdrowiciela, i Achilles powoli przyzwyczajał się do jej ciągłych narzekań.

Przez kolejne pół godziny jeździli bez celu po skalnym rumowisku. Droge pozwolili wybierać koniom. Kamienisty płaskowyż rozciągał się na dwie mile. Po potężnej i dumnej Troi nie został nawet jeden fundament. Boska magia, która odebrała światu Ilion, wyrwała metropolię z ziemi poniżej najstarszych zabudowań. Nie zauważyli nawet porzuconej włóczni czy choćby jednego gnijącego ciała.

– Zaiste wielka jest moc Zeusa – zauważyła Pentezylea.

Achilles pokręcił z westchnieniem głową. Dzień był ciepły. Nadchodziła wiosna.

– Tłumaczyłem ci już, Amazonko. To nie Zeus porwał Troję. Zeusa osobiście zgładziłem w pojedynku. To dzieło Hefajstosa.

Kobieta ponownie prychnęła.

– Nigdy nie uwierzę, że ten dupojeb, ten konus o śmierdzącym oddechu byłby w stanie dokonać czegoś podobnego. W zasadzie nie wierzę nawet, że jest prawdziwym bogiem.

– On to zrobił – powiedział heros. Przy drobnym wsparciu Nyks – dodał już tylko do siebie.

– To ty tak mówisz, synu Peleusa.

– Mówiłem, żebyś mnie w ten sposób nie nazywała. Nie jestem już synem Peleusa. Spłodził mnie Zeus, co żadnemu z nas nie przysparza chwały.

– To ty tak mówisz – powtórzyła Pentezylea. – Ale jeśli twoje przechwałki nie są czcze, oznacza to, że jesteś ojcobójcą.

– Owszem – przyznał Achilles. – I nie mam zwyczaju się przechwalać.

Amazonka parsknęła jednocześnie ze swoją klaczą.

Achajski heros uderzył piętami boki karego rumaka i pojechał w dół wzgórza, wzdłuż zrytego koleinami południowego szlaku, który prowadził spod Bramy Skajskiej – na miejscu pozostał pień wielkiego dębu, który rósł tutaj od założenia miasta, po wielkich wrotach nie było jednak nawet śladu – a potem zjechali na prawo, z powrotem na Równinę Skamandra ciągnącą się od dawnego miasta aż po wybrzeże.

– Skoro ten pokurcz Hefajstos jest teraz królem bogów – podjęła Pentezylea głosem równie przenikliwym i irytującym jak drapanie paznokci o płaski kamień – to dlaczego przez cały nasz pobyt na Olimpie ukrywał się w swojej pieczarze?

– Tę sprawę również ci już tłumaczyłem. Czeka na koniec wojny Olimpijczyków z Tytanami.

– Ale jeśli jest następcą Zeusa, to czemu, na Hadesa, nie przyśpieszy jej końca? Władca przecież grzmotem i błyskawicą.

Achilles nie odpowiedział. Zauważył, że kiedy ignoruje jej pytania, Amazonka przestaje wreszcie gadać.

Równina Skamandra – spustoszona i płasko udeptana przez jedenaście lat wojny – wyglądała jak dawniej. Wciąż było znać odciski tysięcy sandałów, skały pokryte były plamami zaschniętej krwi, lecz zgodnie z relacją Hefajstosa zniknęły z niej wszystkie żywe stworzenia. Nie było już ludzi ani ich wierzchowców. Nie było broni, trupów i porzuconego rynsztunku. Zniknęły nawet achajskie namioty i wypalone kadłuby czarnych okrętów.

Na plaży Achilles zarządził kilkuminutowy postój, chciał dać odpocząć zwierzętom. Heros i Amazonka spojrzeli na kryształowo czyste fale Morza Egejskiego obmywające opustoszałe wybrzeże. Achilles za żadne skarby nie przyznałby się do tego stojącej obok wilczycy, lecz na myśl o tym, że już nigdy nie ujrzy swych towarzyszy broni, pękało mu serce. Nie zobaczy już przebiegłego Odyseusza, wielkiego i hałaśliwego Ajaksa, wiecznie uśmiechniętego łucznika Teukrosa, swych wiernych Myrmidonów, a nawet tego rudowłosego durnia Menelaosa i jego podstępного brata – najbardziej zagorzałego wroga Achillesa – Agamemnona. To dziwne, pomyślał, że nawet utrata przeciwnika potrafi sprowadzić do męskiego serca tak głęboki żal.

Zaraz potem przypomniał sobie Hektora i wszystko, co Hefajstos wyjawiał mu na temat „Iliady”, na temat jego własnej przyszłości. Rozpacz wezbrała mu w gardle niczym gorzka żółć. Zawrócił konia na południe i pociągnął łyk wina z zawieszzonego przy siodle bukłaka.

– Raczej nigdy nie dam też wiary w to, że brodaty kaleka dysponował mocą udzielenia nam ślubu – odezwała się zrzędliwie Pentezylea. – Te przysięgi były funta kłaków warte.

– Hefajstos jest władcą Olimpu – przypomniał znużonym głosem Achilles. – Czy istnieje do tej roli ktoś lepszy niż król bogów?

– Ślubu mógłby udzielić ewentualnie mojemu zadkowi – rzuciła Amazonka. – Co?! Jedziemy? A dlaczego akurat na południowy wschód? Co tam znajdziemy? Po co oddalamy się od pobojuwiska?

Achilles odezwał się dopiero po kwadransie. Ściągnął wodze i zatrzymał wierzchowca.

– Widzisz tę rzekę, kobieto?

– Myślisz, że jestem ślepa czy co? Oczywiście, że widzę. Przecież to ten wszawy Skamander. Za dużo w nim mułu, by z niego pić, za mało, by zaorać. To brat Symojdy, z którą łączy nurt kilka mil dalej.

– Właśnie tutaj, nad tą rzeką, którą zwiemy Skamandrem, a którą bogowie ochrzcili Świętym Ksantem – zaczął Achilles – tutaj, wedle Hefajstosa, cytującego słowa mego biografy Homera, stoczyłbym swą najwspanialszą *aristeię*, pojedynek, który uczyniłby mnie nieśmiertelnym, jeszcze zanim zgładziłbym Hektora. Tutaj właśnie, kobieto, w pojedynek powstrzymałbym całą trojańską armię, a nawet wezbraną, spiętrzoną przez samych bogów rzekę! Zawołałbym: „Gińcie! Pierzchajcie! Trwożnych ściga dzida moja, aż nareszcie i dumna obali się Troja”. Właśnie tam, kobieto, tam gdzie woda pieni się na płyciźnie, tam zabiłbym w bitewnej gorączce Tersylochusa, Midona, Estypilusa, Mnezusa, Trazusa, Aeniusa i Ofelestesa. A potem spadliby na mnie od tyłu Peończycy, których również położyłbym trupem. A dalej, na drugim brzegu, po stronie Ilionu, zgładziłbym sprawnie władającego obojgiem rąk Asteropeusa. Miałbym jedną jesionową włócznię przeciwko jego dwóm. Obaj byśmy chybili, lecz skosiłbym go jednym ciosem swego miecza, gdy próbowałby wyrwać swą lancę z nadrzecznej skarpy... – Urwał.

Pentezylea już chwilę temu zeskoczyła ze swej klaczy i poszła za potrzebą w krzaki. Oblesny dźwięk tryskającego moczu sprawił, że heros nabrał ochoty zabić Amazonkę na miejscu, a jej trupa zostawić na pastwę padlinożernych kruków nocujących w przybrzeżnych zaroślach. Zarówno one, jak i sępy straciły swe codzienne źródło pożywienia i Achilles chętnie ulżyłby im w niedoli.

Nie był jednak w stanie skrzywdzić Pentezylei. Miłosne zakłęcie Afrodyty wciąż dzierżyło go w swej mocy, miłość do tej suki wciąż płonęła w jego trzewiach, równie gorąca i przyprawiająca o mdłości jak wbity w brzuch brązowy grot włóczni. „Twoją jedyną nadzieją jest, że działanie feromonów z czasem osłabnie” – powiedział Hefajstos, gdy upijali się winem w jego jaskini, wznosząc wielkimi pucharami toasty za siebie i wszystkich znajomych i zwierając się sobie z własnych trosk, jak tylko bracia i pijacy potrafią.

Amazonka wróciła i wskoczyła na koń. Achilles poprowadził ich na drugi brzeg Skamandra. Konie ruszyły przez bród ostrożnie, mimo że w najgłębszym miejscu woda sięgała ledwie ich kolan. Skręcili na południe.

– Dokąd jedziemy? – spytała ostro Pentezylea. – Dlaczego stąd odjeżdżamy? Co planujesz? Czy nie mam tu prawa głosu, a o każdej drobnostce zawsze będzie decydować wspaniały Achilles? Nie myśl, że będę za tobą podążać jak zaślepiona, synu Peleusa, być może w ogóle za tobą nie pójdę!

– Szukamy Patroklosa – odparł, nawet na nią nie patrząc.

– Co?

– Szukamy Patroklosa.

– Twojego przyjaciela? Tego pedałka? Patroklos nie żyje. Zabiła go Atena. Widziałeś ten moment na własne oczy. Sam o tym opowiadałeś. Przecież z powodu jego śmierci rozpętałeś wojnę przeciwko bogom.

– Hefajstos uważa, że Patroklos wcale nie zginął – powiedział Achilles. Zacisnął

dłoń na rękojeści miecza, tak mocno, że zbieleły mu knykcie. Nie dobył jednak broni. – Powiedział, że gdy umieszczal wszystkich ludzi z całego świata w błękitnym promieniu, Patroklosa tam nie było. Nie było go również w Troi, gdy znikala na zawsze. Patroklos żyje w tej chwili gdzieś po drugiej stronie morza. Tam go znajdziemy. Nie spoczne, póki tego nie dokonam.

– Ach, naturalnie. Hefajstos tak powiedział... – rzuciła drwiąco Amazonka. – Bo cokolwiek Hefajstos napiecie, jest absolutną prawdą, tak? Bo ten kaleki słabeusz za nic nie mógłby cię okłamać, prawda?

Achilles nie odpowiedział. Jechali wzdłuż brzegu starym południowym traktem. Droga, którą od stuleci ubijały kopyta hodowanych w Ilionie koni i którą całkiem niedawno przybyły zastępy sojuszników Trojan, których sam wraz z towarzyszami mordował.

– Patroklos gdzieś żyje, po drugiej stronie morza – zaczęła go przedrzeźniać. – Może mi zdradzisz, jak, na Hadesa, zamierzasz przebyć całe morze, synu Peleusa? I o którym dokładnie morzu mowa?

– Znajdziemy statek – odparł heros, wciąż patrząc przed siebie. – Albo zbudujemy.

Ktoś parsknął, albo Amazonka, albo jej klacz. Tak czy inaczej, Pentezylea zatrzymała konia i Achilles słyszał już tylko stukot kopyt własnego wierzchowca. Doleciał go podniesiony głos królowej.

– A cóż to, do cholery? Szkutnikami zostaliśmy, chyżonogi mężobójco? Nie sądzę. Czy ty w ogóle potrafisz sklecić statek? Dobrze ci idzie chyże przebieranie nogami i zadawanie śmierci mężom oraz Amazonkom, które są dwakroć lepsze od ciebie. Budowanie jednak nigdy nie było twoją specjalnością. Założę się, że przez całe próżniacze życie nie zbudowałeś jeszcze niczego. Prawda? No, pytam cię o coś! Prawda? Ręce masz stwardniałe od ściskania włóczni i kielichów z winem, a nie od... Synu Peleusa! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Nie oglądając się za siebie, Achilles przejechał kolejne pięćdziesiąt stóp. Masywna biała klacz Pentezylei wciąż stała tam, gdzie się zatrzymała, chociaż zaczęła już niecierpliwie przebierać kopytami. Śpieszno jej było dołączyć do oddalającego się karego rumaka.

– Achillesie! Przeklętniku! Nie myśl, że za tobą pojedę! Sam nie wiesz, dokąd się kierujesz, co? Przyznaj wreszcie!

Achajski heros nie zwolnił. Jechał wpatrzony w mglistą linię majaczących na południowym horyzoncie nadmorskich wzgórz. Wiedział, że zanim do nich dotrze, czeka go jeszcze bardzo daleka droga. Potwornie rozboleła go głowa.

– Nie wolno ci zakładać, że... A niech cię wszyscy bogowie! – zawołała Pentezylea za malejącą powoli sylwetką jeźdźca. Dzielilo ich już sto metrów. Zeusowy bękart wciąż się nawet nie obejrzał.

Siedzący na sękatym drzewku nad Świętym Ksantem sęp zerwał się do lotu i zaczął krążyć nad pustym pobojuwiskiem. Jego oczy, niemal równie sprawne jak sokole, dostrzegły, że zniknęły już nawet sterty popiołu po stosach pogrzebowych. A tam zawsze można było wyszperać południową przekąskę.

Zamachał skrzydłami i skierował się na południe. Szybował trzy tysiące stóp nad

dwiema parami koni i ludzi. Poza nimi w zasięgu jego – równie niemal sprawnego jak sokoli – wzroku nie było żadnych innych żywych stworzeń. Z niegasnącą nadzieją padlinożercy postanowił pofrunąć ich śladem.

Daleko poniżej biała klacz i jej ludzkie brzemię wciąż stali w miejscu. Czarny koń i jego człowiek parli stępa na południe. Sęp obserwował, starając się nie słuchać nieprzyjemnych odgłosów wydawanych przez człowieka z tyłu, który wreszcie spiął swe zwierzę piętami i popędził galopem za przewodnikiem.

Potem jechali już razem – klacz trzymała się nieco z tyłu – oba konie i dwoje ludzi. Zmierzali w stronę wzgórz, wzdłuż łukowato skręcającego wybrzeża Morza Egejskiego. Przepelniony dobrymi myślami sęp pozwolił się ponieść silnym prądom termicznym ciepłego popołudnia i poleciał leniwie za nimi.

Dziewięć dni po Upadku Ilionu.

Atak na Krater Paryski poprowadził osobiście generał Beh bin Adi, kierując akcją z urządzonego na pokładzie promu centrum dowodzenia. Ponad trzystu doborowych skałowców zjechało na linach lub sfrunęło z sześciu szerszeni prosto do uwitego z błękitnego lodu gniazda.

Generał od początku był przeciwnikiem interwencji. Nie chciał stawać po stronie żadnej ze zmagających się na Ziemi frakcji. Naczelnicy integratorzy podjęli jednak inną decyzję i nie było od niej odwołania. Jego misja polegała na zlokalizowaniu i likwidacji istoty znanej jako Setebos. Wprawdzie bin Adi radził, że lodową katedrę należy zbombardować z orbity pociskami jądrowymi – tłumaczył, iż jedynie w ten sposób zyskają pewność, że Setebosa zniszczyli – lecz integratorzy i tę propozycję odrzucili.

Główną grupą uderzeniową dowodził centurion Mep Ahoo. Gdy pozostałe dziesięć drużyn znalazło się już na dole i morawieccy żołnierze przebili się przez zewnętrzną powłokę skutego błękitnym lodem miasta, kiedy zabezpieczyli teren i potwierdzili wykonanie zadania – Setebos nie miał już żadnej możliwości ucieczki – Mep Ahoo wraz ze specjalnie wyselekcjonowanymi dwudziestoma pięcioma skałowcami wyskoczyli z wiszącego trzy tysiące metrów nad celem szerszenia. W ostatniej sekundzie uruchomili odrzutowe dysze i przyhamowali. Korzystając ze specjalnych ładunków wybuchowych, wydarli otwór w kopule katedry i zjechali w dół po linach uwiązanych do wstrzelonych w niebieski lód bolców.

– Pusto – nadał przez radio centurion Mep Ahoo. – Po Setebosie nie ma śladu.

Generał bin Adi sam to zauważył. Przebieg akcji śledził dzięki obrazom przekazywanym przez nanonadajniki i kamery w kombinezonach dwudziestu sześciu żołnierzy.

– Wyznaczyć sektory, przeczesać teren – rozkazał na częstotliwości taktycznej.

Kolejne zabezpieczające okolice drużyny zaczęły nadsyłać raporty. Błękitny lód trzymał się na słowo honoru – wystarczyło uderzyć ścianę pięścią, by zawalił się niemal cały tunel. Część lodowych korytarzy zaczynała się zresztą rozsypywać sama z siebie.

Oddział Mep Ahoo wleciał w powietrze. Przetrzęsnęli teren pod kopułą, nad samym przepaścistym kraterem. Zaczęli od góry – chcieli się upewnić, że nikt i nic nie kryje się na wysoko zawieszonych tarasach i w niszach. Niebawem jednak pojawili się już znacznie niżej, nad fumarolami i porzuconymi mniejszymi gniazdami.

– Główne gniazdo zapadło się w krater po czarnej dziurze. Przesyłam obrazy – zgłosił przez radio Mep Ahoo.

– Właśnie was oglądam – odparł generał Beh bin Adi. – Czy istnieje możliwość, że również Setebos umknął przed nami w głąb krateru?

– Melduję, że nie, generale. Sprawdzamy właśnie krater radarem i widzimy wszystko aż po poziom magmy. Nie ma tu żadnych bocznych kanałów ani jaskiń. Moim

zdaniem uciekł stąd na dobre.

Na ogólnym kanale rozległ się głos Cho Li.

– To jedynie potwierdza naszą teorię, że kwantowym zdarzeniem, którego ślady zaobserwowaliśmy przed czterema dniami, było otwarcie Dziury Branowej wewnątrz lodowej katedry.

– Musimy mieć niezbitą pewność – stwierdził generał bin Adi. – Sprawdźcie dokładnie wszystkie gniazda – polecił centurionowi na częstotliwości taktycznej.

– Tak jest.

Szóstka skałowców z drużyny Mep Ahoon przetrząsnęła ruiny głównego gniazda Setebosa. Następnie wzlecieli tyralierą w powietrze i rozejrzeli się wśród rozpadających się fumaroli i mniejszych gniazd.

Nagle rozległ się okrzyk jednego z żołnierzy z drużyny zabezpieczającej miasto, która właśnie przebiła się pod kopułę.

– Znalazłem jakiś napis, generale!

Kolejna szóstka skałowców, w tym sam centurion Mep Ahoon, podleciała do wskazanego miejsca, wysoko na południowej ścianie kopuły. Znalazła tam taras, z którym łączył się najszerszy z prowadzących do katedry korytarzy. Tuż za wejściem, gdzie tunel zaczynał się zwężać, ktoś lub coś wydrapało pazurami albo paznokciami następujące słowa: „Myśli, Cisza nadchodzi. Jego matka twierdzi, że Cisza zrobiła wszystko, co Setebos mógł tylko drażnić, ale On tak nie uważa. Lecz chciał, by słabość drażnić, kto ją tworzył. Myśli jednak, czemuż to Setebos podrażniony ucieka? Myśli, czy Siłę Słabość może do ucieczki zmusić? Czy On naprawdę jest Jedynym? Cisza nadchodzi”.

– Kaliban – odezwał się ze stacjonującej na orbicie geostacjonarnej „Królowej Mab” naczelną integratorka Asteague/Che.

– Melduję, że sprawdziliśmy już wszystkie przejścia i jaskinie. Pusto – zgłosił na częstotliwości taktycznej Mep Ahoon.

– Znakomicie – stwierdził generał Beh bin Adi. – Przygotujcie ładunki termitowe. Wypalimy cały lód aż do poziomu ruin Krateru Paryskiego. Dopilnujcie, by nie uległy przy tym zniszczeniu ocalałe dotąd budynki. Przeszukamy je w następnej kolejności.

– Coś tu mam – rzucił centurion na kanale taktycznym.

Na monitorach promu zajaśniały snopy promieni z zamontowanych na piersiach skałowców reflektorów. Wyłowiły z ciemności fumarolę i znajdujące się wewnątrz zniszczone gniazdo. Wszystkie jaja popękały lub zapadły się do środka jak wydmuszki. Wszystkie... z wyjątkiem jednego. Centurion wylądował obok gniazda, przyklęknął przy ocalałym jajku, złożył na nim swe ręce w czarnych rękawicach. Po chwili przyłożył do skropty ucho i zaczął nasłuchiwać.

– Generale, to coś w środku zdołało przeżyć – zameldował. – Jakież rozkazy?

– Zaczekaj – warknął Beh bin Adi, przełączył się na wydzieloną częstotliwość i nadał na „Królową Mab”. – Jakież rozkazy?

– Proszę poczekać – odezwał się oficer łącznościowy z mostka.

Po chwili rozległ się głos naczelnego integratora Asteague/Che.

– Jakież sugestie, generale?

– Spalmy to... Spalmy to wszystko. Najlepiej dwa razy.

– Dziękuję, generale. Sekundkę, poproszę.

Przez chwilę z macierzystego statku dolatywał jedynie szum zakłóceń. Tym bardziej wyraźnie Beh bin Adi słyszał przekazywane przez osobiste mikrofony oddechy trzystu dziesięciu żołnierzy.

– Prosimy o zabezpieczenie i zabranie jaja – zdecydował w końcu Asteague/Che. – Jeżeli to możliwe, skorzystajcie z kostki statycznej. Niebawem podeślemy po nie szerszenia numer dziewięć. Chcemy, żeby na „Królową” przywiózł je centurion Mep Ahoo. Urządzimy tu w laboratorium kwarantannę. Nie mamy na pokładzie broni ani materiałów rozszczepialnych... Podczas badań będą nas osłaniać krążowniki szturmowe.

Generał zamilkł na kilka sekund.

– Wedle rozkazu – rzucił ostatecznie, połączył się przez radio z centurionem Mep Ahoo i przekazał nowe polecenia.

Oddział skałowców w katedrze zdążył już przygotować kostkę statyczną.

– Jest pan pewien, generale? – upewnił się Mep Ahoo. – Od Ady i reszty ludzi ocalałych z Ardis wiemy, do czego zdolny był ten mały Setebos, którego trzymali w obozie. Pewnymi mocami jajo dysponowało, nawet zanim się wyklął. W dodatku szczerze wątpię, by Setebos zostawił to nasze przez pomyłkę.

– Wykonać rozkazy – syknął na kanale taktycznym Beh bin Adi i przełączył się na prywatną częstotliwość centuriona. – Powodzenia, synu.

Sześć miesięcy po Upadku Ilionu, dziewiąty dzień miesiąca Av.

Na czele ataku na Jerozolimę stanął Daeman. Cała akcja została starannie zaplanowana.

Setka wyposażonych w kompletny zestaw funkcji ludzi dawnego stylu faksowała się jednocześnie, na trzy minuty przed pojawieniem się czterech morawieckich szerszeni wiozących kolejnych stu ochotników z Ardis i innych ludzkich wspólnot. Skałowce zgłosiły chęć pomocy w tym ataku już kilka miesięcy wcześniej, lecz Daeman rok temu poprzysiągł, że wyzwoli uwięzionych w jerozolimskim promieniu żydowskich przyjaciół i krewnych Savi i uznał to za obowiązek wyłącznie ludzki. Chętnie jednak wypożyczył od morawców pancerze bojowe, plecaki odrzutowe i broń energetyczną.

Sto osób w szerszeniach, których piloci mieli nie wziąć udziału w walce, wiozło ze sobą uzbrojenie zbyt ciężkie, by można je było faksować.

Przez trzy tygodnie oddział Daemana – ludzie i morawce – dokładnie studiował współrzędne nawigacyjne wszystkich istotnych punktów topograficznych starego miasta: uliczek, alej, placów i skrzyżowań. Miejsca docelowe, dokąd mieli się faksować ludzie, oraz planowane lądowiska szerszeni zostały wyznaczone z dokładnością co do cala.

Odczekali do sierpnia, do dnia żydowskiego święta przypadającego na dziewiąty dzień miesiąca av. Daeman wraz z pozostałymi ochotnikami zmaterializował się w Jerozolimie dziesięć minut po zachodzie słońca, gdy błękitny promień jaśniał najwyraźniej.

O ile dostarczone przez „Królową Mab” i zwiad powietrzny dane nie kłamały, Jerozolima stanowiła na Ziemi miejsce wyjątkowe – wojniksy i kalibany żyły w niej obok siebie. W rejonie starego miasta – celu dzisiejszego ataku – wojniksy okupowały uliczki znajdujące się na północ i północny zachód od Wzgórza Świątynnego, na terenie odpowiadającym z grubsza starożytnym dzielnicom chrześcijańskiej i muzułmańskiej. Kalibany z kolei roili się w wąskich alejkach i zabudowaniach na południowy zachód od Kopuły na Skale i meczetu Al-Aksa, które to okolice zamieszkałe były w przeszłości przez Żydów i Ormian.

Analizując dostarczone przez aparaturę szpiegowską – w tym radary głębokościowe – obrazy, oszacowali, że w Jerozolimie przebywa w sumie około dwudziestu tysięcy wojniksów i kalibanów.

– Stu na jednego. – Greogi zbył informację wzruszeniem ramion. – Nie takie rzeczy się robiło.

Faksowali się niemal bezszelestnie. Tylko powietrze delikatnie zafalowało. Daeman ze swoim oddziałem pojawili się na wąskim placu przed Kotel... przed Ścianą Płaczu. We wczesnowieczornym świetle otoczenie wciąż było widać całkiem wyraźnie, lecz lokalizując cele, Daeman posługiwał się dodatkowo noktowizorem i radarem. Na samym placu oraz na murach i dachach budynków od zachodu znajdowało się mniej

więcej pięćset kalibanów. Potwory wypoczywały, spały, beczynn timer stały bądź przechadzały się bez celu. Nim minęło kilka sekund, swoje przybycie zameldowała już cała dziesiątka dowódców poszczególnych grup bojowych.

– Strzelać bez rozkazu – rzucił Daeman.

Karabiny energetyczne zostały zaprogramowane tak, by ich pociski niszczyły jedynie żywe tkanki – kalibany i wojniksy – nie naruszając przy tym zabudowań. Daeman celował i pociągał za spust, widział rozbiegające się, skaczące potwory o długich pazurach. Padały bądź eksplodowały, zamieniając się w obłoki tysięcy krwawych strzępów. Ucieszył się w duchu, że zdecydowali się skonfigurować broń w ten sposób. Nie było potrzeby niszczyć tej wioski, skoro mogli ją ocalić.

Jerozolimka starówka przeobraziła się w burzowy wir energetycznych rozbłysków, wrzasków kalibanów, wykrzykiwanych przez radio komend i frunących na wszystkie strony kawałków ciała.

Kiedy wraz ze swoimi ludźmi wystrzelali już wszystkie cele w zasięgu wzroku, Daeman zerknął na wyświetlony na wizjerze hełmu chronometr. O tej porze powinny nadlecieć szerszenie. Uruchomił plecak odrzutowy i wzleciał na wysokość Wzgórza Świątynnego – sam, pozostali nie mogli tracić czasu, latając po okolicy – i ujrzał dwa pierwsze pojazdy. Morawieckie statki zatoczyły elegancki krąg, osiadły, wyładowały ludzi i ładunek. Pół minuty potem pojawiła się kolejna para szerszeni i na zbocze wzgórza wybiegli ludzie w pełnym rynsztunku bojowym. Błyskawicznie rozstawili broń ciężką na trójnogach i z zespołami odrzutowymi. Morawce odleciały.

– Wzgórze Świątynne zabezpieczone – zameldował Daeman swoim dowódcą. – Gdy tylko będziecie gotowi, możecie lecieć. Tylko ostrożnie, nie blokujcie ustalonych linii ostrzału ze wzgórza.

– Daeman? – rozległ się w słuchawkach głos Eliana, który znajdował się właśnie w dawnej dzielnicy muzułmańskiej, ponad Bab el-Nazir. – Po Via Dolorosa zbliża się horda wojniksów. Grupy kalibanów kierują się ku wam ulicą króla Dawida.

– Dzięki, Elian. Rozprawcie się z nimi, gdy tylko się pojawią. Użyjcie ciężkiej broni do...

Nagle ogłuszył go huk wystrzałów. Odezwały się wielkokalibrowe działka rozłokowane na wzgórzu tuż pod nim. Załoga murów i ludzie obsadzający dachy pobliskich domów ostrzeliwali się we wszystkich kierunkach. Pociski wbijały się w napierającą masę szarych i zielonych kształtów. Tysiące niebieskich, energetycznych rozbłysków i jaśniejący błękitny promień zalewały stare miasto powodzią jaskrawego światła. Po chwili zrobiło się tak jasno, że zareagowały filtry bojowego pancerza. Wizjer hełmu pociemniał.

– Do wszystkich grup, ogień bez rozkazu. Natychmiast donosić o przypadkach przerwania kordonu – rzucił do mikrofonu.

Manewrując dyszami plecaka, położył się w skręt i poszybował na północny wschód, ku widocznej tuż za Kopułą na Skale wyższej, nowoczesnej budowli, z której strzelał błękitny promień. Z niejakim zainteresowaniem odnotował, że serce łomocze mu tak mocno, że musiał się skupić, by nie dopuścić do hiperwentylacji. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy przeciwiczyli tę akcję pięćset razy – trenowali, faksując się do

rzeczywistej wielkości makiety Jerozolimy, którą morawce pomogły im zbudować pod Ardis. Nic nie mogło go jednak przygotować na bitwę takiej skali, prowadzoną przy użyciu takiej broni, w tym mieście nad miastami.

Gdy dotarł do szczelnie zamkniętych drzwi budynku, zastał tam czekającą już Hannę i dziesiątkę jej ludzi. Daeman wylądował i skinął na powitanie głową Lamanowi, Kamanowi i Greogiemu, których sylwetki majaczyły za dziewczyną w ostatnich miękkich promykach wieczornego światła.

– Do roboty – rzucił.

Laman, sprawnie i zwinnie posługując się swoją jedyną zdrową, lewą ręką, przymocował ładunek wybuchowy. Ludzie schronili się za stalowym narożnikiem gmachu. Eksplozja wyrwała drzwi z futryny.

Wnętrze okazało się niewiele większe niż ciasny pokój, w którym Daeman nocował dawniej w Ardis. Panel sterowniczy wyglądał – dzięki Bogu, jeśli jakowyś istnieje – niemal dokładnie tak, jak sobie wyobrażali po zapoznaniu się z informacjami przyniesionymi przez Harmana z kryształowej klatki w Tadź Mojrze.

Realizacji głównej części zadania podjęła się Hannah. Smukłe palce dziewczyny zgrabnie zatańczyły na wirtualnej klawiaturze. Bezbłędnie wpisała wszystkie siedmiocyfrowe kody, których podania zażądała prymitywna SI budynku.

Nagle rozległ się przenikliwy – niemal infradźwiękowy – pomruk, który poczuli aż w zębach i kościach. Ścienne ekrany zamigotały na zielono i zgasły.

– Wynosimy się stąd! I to już! – zawołał Daeman.

Z przedSIONKA wyskoczył jako ostatni. W samą porę, jako że chwilę potem zarówno przedSIONEK ze swymi stalowymi ścianami, jak i cały front budynku zapadły się w siebie i zniknęły. W ich miejsce pojawił się czarny prostokąt.

Pośpiesznie odbiegli kawałek w dół skalistego zbocza Wzgórza Świątynnego, przystanęli, odwrócili się i spojrzeli na skracający się niebieski promień. W miarę jak znikał, głucho buczenie stawało się coraz bardziej intensywne, wkrótce rozboleły ich uszy. Daeman musiał zamknąć oczy i zacisnąć pięści. Poddźwiękowe fale wstrząsały już nie tylko jego zębami i kośćmi, teraz czuł je wyraźnie w żołądku i jądrach. Wreszcie zapadła cisza.

Zsunął hełm z głowy i zwrócił się do Hanny.

– Rozstawcie dokoła kordon ochronny. Gdy tylko zobaczycie pierwszą osobę, wezwijcie szerszenie.

Dziewczyna potwierdziła skinieniem i dołączyła do pozostałych, ostrzeliwujących się z wysokiego wzgórza.

Któregoś dnia podczas przygotowań do akcji, ktoś – być może Ada – zażartował, że dobre wychowanie wymagałoby w zasadzie, by nauczyli się na pamięć twarzy i nazwisk wszystkich dziewięciu tysięcy stu trzynastu osób uwięzionych w promieniu niemal półtora tysiąca lat temu. Naturalnie wszyscy zaczęli się śmiać, lecz Daeman stwierdził w duchu, że jest to wykonalne. Harman zaczerpnął z kryształowej klatki większość niezbędnych informacji.

Tak więc przez pięć miesięcy, odkąd podjęli ostateczną decyzję o dacie i sposobie ataku, Daeman przeszukiwał pamięciowe archiwa. Nie udało mu się nauczyć wszystkich

dziewięciu tysięcy stu trzynastu nazwisk – podobnie jak pozostali miał w tym okresie pełne ręce roboty – lecz bez większego zdziwienia udało mu się rozpoznać już pierwszą parę, która chwiejnym krokiem wyszła z prostokątnych czarnych drzwi tachionowo-neutrinowego rekonstruktora.

– Petra i Pinkas – przywitał ich. – Witajcie z powrotem. – Podtrzymał wychudzonych, slaniających się na nogach przybyszy. Ludzie wynurzający się z czarnej czeluści parami niczym schodzące z arki Noego zwierzęta, sprawiali wrażenie kompletnie zdezorientowanych.

Ciemnowłosa Petra – Daeman wiedział, że w przeszłości przyjaźniła się z Savi – powiodła wokół tępym wzrokiem.

– Jak długo? – spytała.

– Zbyt długo – odpowiedział Daeman. – Tędy, proszę. W stronę tamtego statku.

Pierwszy szerszeń przycupnął już na ziemi. Na jego pokładzie przybyło trzydzieści dodatkowych osób, których zadaniem było pomóc przy wsiadaniu oczekującym już w długich kolejkach przybyszom. Stefe podeszła i odprowadziła Petrę i Pinkasa po starożytnym bruku w kierunku opuszczonego trapu.

Daeman witał po imieniu kolejno wszystkich wychodzących z budynku. Wielu poznawał na pierwszy rzut oka – jako trzeci pojawił się mężczyzna imieniem Graf. Przybył z przyjaciółką, która również nosiła imię Hannah. Potem Stephen, także przyjaciel Savi. Abe, Kile, Sarah, Caleb, Wiliam... Daeman pomagał im przejść kilka pierwszych kroków i oddawał ich w ręce towarzyszy prowadzących gości do szerszeni.

Ataki wojniksów i kalibanów nie ustawały. Ludzie wciąż je wybijali. Podczas ćwiczeń zaokrętowanie dziewięciu tysięcy stu trzynastu ocalonych z promienia osób zajmowało im – w dogodnych okolicznościach – nieco ponad trzy kwadransy, i to przy założeniu ledwie kilku sekund pomiędzy startem jednego szerszenia i lądowaniem drugiego. Tego wieczoru, mimo że musieli odpierać nieprzerwany szturm potworów, załadowali przybyszy w trzydzieści trzy minuty.

– No dobra – nadał Daeman do wszystkich. – Zbieramy się stąd.

Obsługa ciężkich działek przeniosła sprzęt do ostatnich dwóch szerszeni, wiszących tuż nad wschodnim stokiem Wzgórza Świątynnego. Oba statki natychmiast zniknęły – odleciały na zachód w ślad za pozostałymi. Na miejscu zostali już tylko Daeman i ludzie, którzy faksowali się z nim jako pierwsi.

– Od strony bazyliki grobu świętego zbliżają się trzy, może cztery tysiące wojniksów – zgłosił Elian.

Daeman naciągnął z powrotem hełm i przygryzł wargę. Zdawał sobie sprawę, że bez broni ciężkiej obrona nie będzie tak łatwa jak wcześniej.

– Rozumiem – nadał. – Mówi Daeman. Faksujemy się stąd... Migiem. Proszę dowódców o raport, kiedy ich drużyny się ewakuują.

Greogi zgłosił się pierwszy, po czym sam zniknął.

Edide zameldowała i faksowała się z pozycji na ulicy Bab el-Hadid.

Boman zaraportował, że na ich posterunku przy Bab el-Ghawanima nie ma już nikogo, i także wrócił do domu.

Loes zgłosił się z okolic Bramy Lwów i zniknął.

Elle dała znać spod Bramy Ogrodów. Faksowała się.

Kaman poinformował, że i jego oddział ewakuował się w komplecie i zupełnie niepotrzebnie poprosił o zgodę na faksowanie. Daeman stwierdził, że Kamanowi zabawa w wojsko podoba się stanowczo za bardzo.

– Spieprzaj stamtąd – rzucił do mikrofonu.

Faksowali się także Oko i jej ludzie.

Następny zgłosił się Elian. Jego oddział również zniknął z Jerozolimy.

Daeman zwołał towarzyszy, między innymi Hannę, i obserwował, jak się po kolei faksują. Nad placem przed Ścianą Płaczu gęstniały ciemności.

Oczywiście wiedział, że wszyscy już wrócili do Ardis, wiedział, że uratowali wszystkich więźniów promienia, lecz poczuł, że musi się dodatkowo upewnić.

Stuknął środkowym palcem umieszczony na dłoni rozrusznik odrzutowego plecaka i wzbil się w powietrze. Okrążył budynek generatora, zajrzał w ciemność za drzwiami, zatoczył krąg wokół Kopuły na Skale, po czym obniżył lot i ponownie okrążył okolicę szerszym kołem. Sprawdził posterunki, w których stacjonowały oddziały ludzi. Nie pominął żadnej z czterech dzielnic starego miasta. Broniąc się przed wojnikami i kalibanami, nie stracili ani jednego żołnierza.

Cięnięty przez kogoś kamień omal nie urwał mu głowy. Przed śmiercią ocalił go tylko wbudowany w pancerz radar, który wychwycił niewidoczną w mroku skałkę i przejął kontrolę nad dyszami plecaka. Daeman wywinął w locie fikołka i odzyskał właściwą pozycję niecały metr ponad brukiem Wzgórza Świętynnego.

Wylądował, uruchomił wszystkie systemy obronne pancerza i podrzucił energetyczny karabin do ramienia. Zarówno zmysły, jak i osprzęt wskazały mu, że wielka, nieznacznie ludzka sylwetka, która stanęła w ciemniejących drzwiach Kopuły na Skale, nie należy do szeregowego kalibana.

– Daemann... – słowo poniosło się jęklonie.

Ani na moment nie opuszczając lufy, podszedł bliżej. Zignorował wezwania układów celowniczych pancerza, które namawiały do natychmiastowego otwarcia ognia. Przez cały czas starał się panować na oddechem i gonitwą myśli.

– Daemann... – westchnął przerośnięty płaz. – Myśli, że źle go rozumiesz, myśli, że ten Kaliban mozoli się ciężko i nie mniej cierpi. Chciałbyś wyrzucić mu krzywdę?

– Chciałbym go zabić – warknął Daeman donośnie. Cały zadygotał, nagle przepęłniła go zadawniona wściekłość.

Doleciało go sapanie i drapanie odnóży tysięcy zbierających się u stóp wzgórza kalibanów i wojników.

– Wyjdź i zmierz się ze mną, Kalibanie.

Cień parsknął śmiechem.

– Myśli, człowiek ma cały czas nadzieję, że zło niekiedy musi przeminąć jak wrzody i rany leczone zimnym mułem, taaak?

– Wyjdź i walcz, Kalibanie.

– Zastanawia się, czy opuści ten karabin i zmierzy się z Jego akolitą w uczciwym starciu, dłonie przeciwko szponom i szpony przeciw dłoniom.

Daeman się zawahał. Rozumiał, że taka walka nie będzie żadną miarą uczciwa.

Tysiąc wojniksów i kalibanów mogło dotrzeć na Świątynne Wzgórze w dziesięć sekund. Ich tupot rozlegał się już na placu przed Ścianą Płaczu i wiodących na górę schodach. Ścisnął mocniej karabin i przełączył broń w tryb automatycznego namierzania celu. System zgłosił w słuchawkach gotowość.

– Myśli, Daemnnnn nie strzeli, o nieee – jęknął Kaliban z ciemnego wejścia Kopyły na Skale. – Kocha mieć wrogów takich jak Kaliban i jego pan Setebos... O, o! Tak naraz spuścić na ich świat kurtynę? Tak? Nieee? Daeman musi poczekać na inny dzień, gdy wichur poderwie sterty kurzu i spotka dom śmierci...

Daeman wystrzelił raz. I znowu.

Wojniksy rzuciły się na zbocza wzgórza przed nim. Kalibany wbiegły po schodach, zachodząc go od tyłu. W Jerozolimie zrobiło się już zupełnie ciemno, brakowało nawet aury bijącej od niebieskiego promienia, która oświetlała okolicę od tysiąca czterystu dwudziestu jeden lat. Potwory ponownie objęły miasto w posiadanie.

Daeman nie musiał nawet zerknąć w noktowizyjny celownik, by wiedzieć, że chybił. Kaliban zdołał się tekować. Zrozumiał, że będą musieli się zmierzyć kiedy indziej, zapewne w znacznie mniej sprzyjających okolicznościach niż dzisiaj.

Co najdziwniejsze, w głębi ducha, w najtajniejszym zakamarku serca, bardzo się z tego obrotu spraw ucieszył.

Wojniksy i kalibany pędziły po wiekowych kamieniach Wzgórza Świątynnego.

Kiedy Daeman faksował się z powrotem do Ardis, szponiastym bestiom brakowało ledwie sekundy.

Siedem i pół miesiąca po Upadku Ilionu.

Alys i Ulisses – przyjaciele mówili na niego Sam – powiedzieli rodzicom, że wybierają się do kina samochodowego Lakeshore, żeby obejrzeć podwójny seans. Wyświetlano akurat „Zabić drozda” i „Doktora No”. Był październik i ze wszystkich pobliskich kin samochodowych działało jeszcze tylko Lakeshore. Na kolumnkach z głośnikami czekały tam na zmotoryzowanych widzów przenośne grzejniki. Zazwyczaj – a przynajmniej przez ostatnie cztery miesiące, odkąd Sam zrobił prawo jazdy – to kino świetnie zaspokajało wszystkie potrzeby ich namiętności. Dzisiaj jednak noc była szczególna, zjechali więc na pole. Samochód zanurzył się między zagony dojrzałej, czekającej już tylko na zbiory kukurydzy. Po chwili zatrzymali się w zacisznym miejscu, na końcu długiej wiejskiej drogi.

– A jeśli mama z tatą zaczną wypytywać o fabułę? – zapytała Alys. Miała na sobie swoją ulubioną białą bluzkę, narzucony na ramiona beżowy sweterek, ciemną spódnicę, pończochy i buty, które wydawały się nieco zbyt eleganckie jak na randkę w samochodowym kinie. Włosy spięta w koński ogon.

– „Zabić drozda” przecież znasz. Czytałaś książkę. Powiesz po prostu, że Gregory Peck jako Atticus Finch był po prostu fenomenalny.

– Znaczy co? On go gra?

– No, a kogo miał niby zagrać? – rzucił Sam. – Czarnucha?

– A ten drugi film?

– Taka szpiegowska historia o jakimś Brytolu... Nazywa się chyba James Bond. Prezydentowi podobała się książka, na podstawie której ten film nakręcili. Powiesz tacie, że świetnie się bawiłaś. Wiesz, strzelaniny i tak dalej.

Sam zatrzymał należącego do jego ojca chevroleta bel air na skrawku ubitej ziemi, tuż za ruinami, w miejscu skąd roztaczał się widok na jezioro. Kino zostawili za sobą. Jezioro tak naprawdę nie było żadnym jeziorem. Ot, najwyżej przerośnięty staw. Na przeciwległym brzegu chłopak widział niewielki biały prostokąt ekranu, a jeszcze dalej migocące światełka miasteczka, rozświetlające ciężkie październikowe niebo. Niemal na samym horyzoncie jaśniała jaskrawa luna dużego, prawdziwego miasta, do którego ich ojcowie codziennie jeździli do pracy. W przeszłości, zapewne w czasach Wielkiego Kryzysu, na końcu drogi, na której się zatrzymali, znajdowała się farma, lecz obecnie po domu nie było już praktycznie śladu. Z zabudowań zostały jedynie zarośnięte chwastami fundamenty i drzewa, których szpaler ocieniał dawniej podjazd. O tej porze roku z gałęzi sypały się już liście. Im bardziej zbliżało się Halloween, tym bardziej powietrze kąsało mrozem.

– Możesz nie wyłączać silnika? – poprosiła Alys.

– Jasne. – Sam przekręcił kluczyk w stacyjce.

Niemal natychmiast zaczęli się całować. Chłopak przyciągnął dziewczynę do

siebie, położył lewą dłoń na jej prawej piersi i już po kilku sekundach ich rozchylone usta stały się ciepłe i wilgotne. Języki pracowały zawzięcie. Tę konkretną przyjemność odkryli dopiero ostatniego lata.

Przyszedł czas na zmagania z guzikami jej bluzki. Były zbyt małe dla jego palców, a w dodatku wszyte po niewłaściwej stronie. Alys pozwoliła zsunąć się sweterkowi na siedzenie i pomogła mu z najbardziej niesfornym zapięciem, tuż pod miękkim kołnierzykiem.

– Oglądałeś może dzisiejsze przemówienie prezydenta?

Sam nie miał ochoty na gadkę o polityce. Zrezygnował z prób rozpięcia ostatniego guzika. Z przyśpieszonym oddechem wsunął rękę w rozchełstany dekolt Alys i ujął pierś, obleczoną skąpym, sztywnym stanikiem.

– No, ale powiedz? Oglądałeś? – spytała.

– Aha. Wszyscy oglądali.

– I co? Myślisz, że będzie wojna?

– E, tam – odparł Sam. Pocałował ją raz jeszcze, próbując rozbudzić stygnącą namiętność, lecz język Alys już się gdzieś schował.

Gdy odsunęli się od siebie na dość długo, by dziewczyna zdążyła wyciągnąć bluzkę ze spódniczki i odrzucić ją na tylne siedzenie, powiedziała:

– Ojciec mówi, że z tego może być wojna. – Jej ciało i biustonosz jaśniały blado w świetle wpadającym przez szyby i żółtej poświacie radia i lampek z deski rozdzielczej.

– Kurna, przecież to tylko zwykła kwarantanna – ocenił Sam i objął ją ramionami. Palce chłopaka zaczęły badać wciąż tajemnicze haftki. – Nie będziemy Kubę najeżdżać ani nic takiego – dodał. Przeklęty stanik stawiał zawzięty opór.

Alys uśmiechnęła się w cieniu, sięgnęła za plecy i bielizna cudownym sposobem opadła w dół.

Sam zaczął pieścić wargami jej piersi, całował je. Bardzo młody biust – większy i twardszy niż pączkujący skarb nastolatki, lecz wciąż jeszcze nie w pełni rozwinięty. Aureole miała równie nabrzmiałe jak brodawki. Sam zauważył to wszystko w nikłym blasku deski rozdzielczej, po czym pochylił zaczerwienioną twarz i znów zaczął ją kąsać.

– Ej, spokojnie! – rzuciła Alys. – Nie tak mocno. Czemu zawsze jesteś taki brutalny?

– Przepraszam – powiedział. Raz jeszcze pocałował ją w usta.

Tym razem poczuł rozgrzane wargi i reagujący ochoczo język... bardzo ochoczo. Przyciskając ją do drzwiczek chevroleta poczuł narastające podniecenie. W samochodzie było bardziej przestronnie i wygodniej niż na kanapie stojącej w jego rodzinnym domu. Ostrożnie wysunął się spod kierownicy – bardzo ostrożnie, gdyż nawet tutaj, na krańcu Miller's Lane nie chciał przypadkiem nacisnąć klaksonu.

Póллеżąc na Alys, szturchając przez sztruksowe spodnie wzwiedzionym członkiem jej lewą nogę, coraz intensywniej pieścił biust. Raz po raz szukał językiem jej języka. Podniecił się tak bardzo, że niemal wytrysnął od razu, gdy tylko dziewczyna musnęła długimi palcami jego udo.

– Ale jeśli to Ruscy zaatakują pierwsi? – wyszeptowała, gdy dla nabrania oddechu oderwał od niej usta. W kabinie było tak cholernie gorąco. Lewą dłonią przekręcił

kluczyk.

– Daj spokój! – Doskonale rozumiał, o co jej chodzi. To Alys wybrała scenariusz, a teraz chciała, by zaczął się zastanawiać, w jaki sposób się skończy. A on tymczasem wolał się skupić wyłącznie na myślach i doznaniach młodego Sama.

– Au! – jęknęła.

Przycisnęła ją do drzwiczek tak mocno, że uderzyła ramionami o wystającą klamkę. Gdy pochylił się, by podjąć przerwane pieszczoty, usłyszał jej szept.

– Chcesz się przesiąść na tył?

Zaparło mu dech w piersi. Już od kilku tygodni sygnalizowała tym zdaniem, że czas pójść na całość. A byli tego momentu bliscy już dwukrotnie, choć nigdy do końca.

Alys wyszła od swojej strony – gestem księżniczki nałożyła z powrotem bluzkę, lecz zauważył, że nie zapięła guzików. Sam wysiadł od strony kierowcy. Lampka pod sufitem zaświeciła się i dopóki nie zamknęli tylnych drzwiczek zalewała wnętrze jasnym blaskiem. Sam opuścił szybę – było tak duszno, a on nadal nie mógł złapać tchu. W dodatku chciał usłyszeć, jeśli na Miller's Lane pojawi się jakiś inny samochód. Na przykład Barney mógł tu przyjechać tym swoim starym, jeszcze przedwojennym czarno-białym radiowozem.

Wszystko musieli zaczynać od początku, lecz już kilka chwil później Sam poczuł między połami rozpiętej koszuli dotyk jej nagich piersi. Alys ułożyła się wygodnie na szerokim siedzeniu, a chłopak pólleżał na niej, pół klęczał między siedzeniami. Jako że siedzenie było zbyt krótkie, dziewczyna lekko uniosła nogi, a on swoje zgiął pod niewygodnym kątem.

Przeciągnął dłonią w górę jej uda. Na moment przestał ją całować i przyśpieszony oddech dziewczyny owiał mu policzek. Miała na sobie pończochy. Sam jeszcze nigdy w życiu nie dotykał tak delikatnej tkaniny. Wyczuł podwiązkę, tam gdzie nylonowa pończocha przypięta była do...

– Oj, no przestań – rzucił ze śmiechem Ulisses. Wbrew sobie wciąż mówił głosem chłopca. – Przecież to jakiś anachronizm...

Alys z uśmiechem podniosła na niego wzrok i w rozszerzonych dziewczęcych źrenicach dostrzegł prawdziwą ją.

– Ależ skąd – szepnęła i polizowała go, po czym opuściła dłoń i przez nieco wilgotny sztruks spodni popieściła jego erekcję. – Naprawdę. To zupełnie normalny pas do pończoch. W tych czasach rajstop jeszcze nie znali.

– Nie gadaj tyle – rzucił Sam. Zamknął oczy, pocałował ją i naparł krocem na rękę dziewczyny. – Błagam cię, nie gadaj już.

Nie potrafił wypiąć metalowego kółka z okrągłego zapięcia podwiązki. Po prostu nie chciało drgnąć. Raz po raz wracał dłonią spomiędzy jej nóg – majteczki Alys, był tego pewien, były już ciepłe i wilgotne – z powrotem do tego przeklętego pasa.

Alys zachichotała.

– Sama mogę to zdjąć, całe – zapewniła szeptem.

Tak też uczyniła. Sam uświadomił sobie, że potrzebują więcej miejsca. Otworzył drzwiczki po swojej stronie. Oślepiło ich jasne światło spod sufitu...

– Sam!

Sięgnął ku górze i pstryknął przełącznik. Na moment zamarli niczym jelenie na autostradzie porażone reflektorami nadjeżdżającego samochodu. Po chwili łomot serca Sama ucichł na tyle, że doleciał go szum wiatru grającego w jesiennych liściach. Ponownie pochylił się nad Alys.

Chwilowe rozproszenie pozwoliło mu powstrzymać wytrysk. Posmakował jej warg, zsunął się ku piersiom i delikatnie je polizał. Przyciągnęła go do siebie. Wsunęła dłoń między ich ciała, wprawnie rozpięła mu pasek i guzik, po czym rozsunęła zamek błyskawiczny spodni – jak na jego gust nieco zbyt szybko.

Wyskoczył jednak na wierzch bez skaleczeń, za to nabrzmiały i pulsujący.

– Sam? – spytała szeptem, gdy uniósł się nad nią.

Pończochy i bielizna zmięły się pod kolanem chłopaka. Ciężko dysząc, podwinął jej spódniczkę.

– Co?

– Zabrałeś może... No wiesz, co?

– Oj, pieprzyć to – warknął tym chłopięcym głosem, lecz nawet już nie próbował udawać, że gra.

Zachichotała. Uciszył ją soczystym pocałunkiem. Serce próbowało wyskoczyć mu z klatki piersiowej, przesunął się, a ona rozchyliła dla niego uda. Zauważył w mroku, że spódnica podsunęła się jej niemal pod obnażony biust, zobaczył biel ciała i pionowy – wciąż jeszcze nie trójkątny – cień zarostu pomiędzy jej nogami...

– Spokojnie – szepnęła Alys. Sięgnęła i odszukała go dłonią. Ze znanstwem ujęła jego mosznę i przeciągnęła palcem wzdłuż penisa. Koniuszki palców zamknęły się na żółdzi. – Spokojnie, Odyseuszu – mruknęła jak kotka.

– Nazywam się... Nikt – wysapał pomiędzy oddechami.

Nakierowała go. Kilka przezroczystych kropelek zwilżyło jej uda. Ustawiła go pod dogodnym kątem. Czuł bijący z jej ciała żar.

Ścisnęła go. Na tyle mocno, że jęknął, i na tyle delikatnie, że szesnastoletniego ciała nie przeszył orgazm.

– Jak możesz tak mówić? – szepnęła mu do ust. – Mam wrażenie, że jednak kogoś tu trzymam...

Przystawiła nabrzmiałą męskość do zwilgotniałych warg, po czym pogładziła go po policzku. Sam poczuł na własnych palcach woń jej podniecenia i ten zapach doprowadził go niemal do końca. Zawahał się, przedłużył ten idealny moment.

Rozbłysk pojawił się dokładnie przed samochodem, poza ekranem samochodowego kina. Nie był wcale jaśniejszy niż tysiąc słońc, był jaśniejszy niż dziesięć tysięcy słońc. Tonąca w ciemności okolica stała się na chwilę swym własnym fotograficznym negatywem – nic poza doskonałą czernią i czystą bielą. Huku nie było słychać, jeszcze nie.

– Ty chyba żartujesz, co? – spytał, wisząc nad Alys, jakby szykował się do ćwiczenia pompek. Muskał ją jedynie czubkiem swojej erekcji.

– Do miasta jest czterdzieści mil – szepnęła w odpowiedzi i pociągnęła go, próbując wsunąć do środka. – Fala uderzeniowa nie dotrze tu od razu. Mamy sporo czasu. Naprawdę bardzo dużo – podsunęła mu usta, chwyciła go zdecydowanie za pośladki

i pociągnęła.

Czy powinien się opierać? Właściwie po co? Ten chłopiec, Sam, był tak podniecony, że do eksplozji wystarczą mu zapewne dwa lub trzy pchnięcia. Gorący podmuch i ich młodsze orgazmy nadejdą zapewne w jednej i tej samej chwili. Zdał sobie sprawę, że jego ponadczasowa kochanka dokładnie wszystko zaplanowała.

Blask nieco przygasł, choć wciąż był na tyle jasny, że widać w nim było na powiekach szesnastoletniej Alys warstewkę fioletowego cienia. Pochylił się do ostatniego, gorącego pocałunku i gwałtownie ją wziął.

Rok po Upadku Ilionu.

Helena Trojańska ocknęła się tuż po świcie, z niejasnym wspomnieniem snu, w którym bardzo głośno wyły syreny alarmowe. Wyciągnęła ramię i pomacała wśród poduszek, lecz Hockenberry – jej kochanek – zniknął. Nie było go już od ponad miesiąca i poszukiwała go co rano wiedziona jedynie pamięcią o ciepłe męskiego ciała. Wciąż nie wzięła sobie nowego mężczyzny, mimo że pragnęła jej przynajmniej połowa mieszkańców w Nowym Ilionie Trojan i Argiwów.

Kazała niewolnicom – była wśród nich także Hypsipyle – wykąpać ją i natrzeć jej ciało wonnościami. Nie śpieszyła się. Mieszkania w Domu Kolumn nie wytrzymały porównania z wnętrzami dawnego pałacu Heleny, lecz z dnia na dzień żyło się tu coraz wygodniej. W kąpeli zużyła resztkę pieczołowicie racjonowanego pachnącego mydła. Dzisiejszy dzień był szczególny. Wspólna Rada miała podjąć decyzję w sprawie zorganizowania ekspedycji do Delf. Z okazji tego ważkiego spotkania służki odziały ją w suknię z przedniej jakości zielonego jedwabiu. Całość Helena uzupełniła złotymi naszyjnikami.

Dziwnie było oglądać w siedzibie rady wszystkich tych Argiwów, Achajów, Myrmidonów i pozostałych najeźdźców. Zarówno świątynia Ateny, jak i większy od niej przybytek Apollina poszły w dniu Upadku w rozsypkę, lecz greccy i trojańscy murarze wzniesli nowy pałac – w miejsce zniszczonej świątyni bogini mądrości, na północ od głównej arterii miasta, nieopodal nieistniejącej już rezydencji Priama, tej z dumnymi portykami i kolumnami, którą obróciło w pył boskie bombardowanie.

Nowy pałac – świeżo zbudowana siedziba władz nie miała jeszcze własnej nazwy – wciąż pachniał żywicą, zimnym marmurem i farbą, lecz w ten wczesnowiosenny dzień królowało tu przyjemne, jasne słońce. Helena wśliznęła się do środka i zajęła miejsce w pobliżu czekających już członków królewskiego rodu, obok Andromachy, która powitała ją przelotnym uśmiechem, po czym zwróciła spojrzenie z powrotem ku swemu mężowi.

Wśród ciemnobrązowych loków na głowie i brodzie Hektora pojawiły się pierwsze siwe nitki. Zauważyli to wszyscy. Helena wiedziała, że w opinii większości kobiet heros wygląda teraz jeszcze bardziej dostojnie, choć przecież nie wydawało się to możliwe. Według planu to właśnie on miał otworzyć obrady i tak też uczynił, witając z imienia wszystkich trojańskich dygnitarzy i zaproszonych achajskich gości.

Między innymi pojawił się też Agamemnon. Wciąż zachowywał się dość dziwnie. Od czasu do czasu toczył dokoła rozkojarzonym spojrzeniem, jakie pojawiała się na jego twarzy przez wiele miesięcy po Upadku. Odzyskał jednak jasność myśli do tego stopnia, że zwołując radę, wzięto go pod uwagę. W dodatku w jego namiotach wciąż piętrzyły się stosy skarbów.

Stawił się i Nestor, chociaż jego do miasta trzeba było przynieść z niestrzeżonego

już achajskiego obozowiska na plaży. Przydźwigali go w lektyce czterej niewolnicy. Stary mędrzec nie odzyskał władzy w nogach, utraconej w dniu straszliwej bitwy nad morzem. Poza nim z obozu Greków – ocalało sześćdziesiąt tysięcy zamorskich wojowników i oni teraz również domagali się prawa głosu – przybyli Ajaks Mały, Idomeneus, Poliksynus, Teukros i nowy przywódca Achajów – uznany już, choć jeszcze nieoficjalnie – przystojny Trazymedes, syn Nestora. Wśród gości znalazło się także kilku mężów, których Helena nie rozpoznała. Między innymi wysoki, patykowaty młodzieniec o kędzierzawej czuprynie i brodzie.

Gdy Nestor przedstawił i powitał Trazymedesa, młody wojownik rzucił okiem na Helenę, która skromnie spuściła wzrok, pozwalając sobie na leciutki rumieniec. Niektórych nawyków niełatwo się wyzbyć, nawet w innej epoce i w innym świecie.

Na koniec Nestor zaprezentował emisariusza z Ardis – nie był to Hockenberry, który nie powrócił jeszcze ze swej wyprawy na Zachód, lecz wysoki, smukły i milczący mężczyzna imieniem Boman. Morawce zdecydowały nie przysłać nikogo.

Kiedy ucichły wreszcie powitalne mowy, zbędne prezentacje i rytualne słowa wstępne, Hektor wyjawiał powody zwołania dzisiejszej rady i powiedział, co muszą rozstrzygnąć, nim się rozejdą.

– Tak więc musimy dzisiaj postanowić, czy zorganizować wyprawę do Delf – podsumował szlachetny Hektor. – Jeżeli uznamy, że tak, należy wyznaczyć członków ekspedycji. Powinniśmy również namyślić się, co począć, jeśli uda się zakłócić działanie niebieskiego promienia i sprowadzić z powrotem krewnych Argiwów. Trazymedese, twoi ludzie kierują budową okrętów. Czy przedstawiś radzie, na jakim etapie znajdują się prace?

Trazymedes lekko skłonił głowę. Stał jedną nogą na stopniu, złoty hełm oparł o uniesione kolano.

– Jak wiecie, najlepszy spośród naszych ocalałych szkutników, Harmonides, co znaczy Syn Budowniczego, dowodzi cieśłami od samego początku. Niech więc sam tę kwestię rozjaśni.

Harmonides, ów kędzierzawy młodzieniec, którego Helena chwilę wcześniej wyłowiła z tłumu, rażno wystąpił kilka kroków naprzód, po czym szybko wbił spojrzenie w posadzkę, jakby zawstydził się własnej śmiałości. Przemówił, lekko się przy tym jękając.

– W pogotowiu czeka... trzydziestka... okrętów... Każdy może... zabrać... pięćdziesięciu ludzi wraz z rynsztunkiem i... ilością prowiantu... stosowną do rejsu do Delf. Kolejne dwadzieścia statków jest... już na ukończeniu... wedle zamówienia Rady. Te okręty są... szersze i znakomicie nadają się... do... przewożenia towarów i ludzi... gdyby zaszła taka... konieczność.

Harmonides umilkł i czym prędzej wtopił się z powrotem w grupkę towarzyszy.

– Świetnie się spisałeś, szlachetny Harmonidesie – pochwalił Hektor. – Dziękujemy ci w imieniu całej Rady. Oglądałem te statki osobiście i wiem, jak są piękne, a w dodatku mocne, smukłe i precyzyjnie zbite.

– To ja dziękuję Trojanom, za to, że wyszukali na zboczach Idy najlepsze drzewa – odpowiedział zarumieniony Harmonides. Tym razem odezwał się bez zająknięcia,

a w jego głosie wyraźnie zabrzmiała duma.

– Tak więc okręty już mamy – stwierdził Hektor. – Ponieważ zaginieni ludzie nie byli Trojanami, tylko Achajami i Argiwami, na wodza ekspedycji zgłosił swą kandydaturę Trazymedes. Zechcesz nam wyjawić, Trazymedesie, jak dokładnie wyglądają twoje plany?

Wysoki wojownik postawił stopę na marmurowej posadzce i bez najmniejszego wysiłku przytrzymał swój ciężki hełm jedną dłonią. Helenie ten gest nie umknął.

– Zamierzamy wyruszyć w przyszłym tygodniu, gdy rejs pobłogosławią wiosenne powiewy – zaczął. Niski, donośny głos mówcy było wyraźnie słychać w całej przestronnej sali Rady. – Trzydzieści statków i tysiąc pięciuset doborowych wojowników. Nadal zapraszamy też wszystkich Trojan, którzy chcieliby zwiedzić szeroki świat.

W komnacie rozległy się śmiechy.

– Skierujemy się na południe, wzdłuż wybrzeża – podjął Trazymedes. – Miniemy opustoszałe Kolonae i Lesbos, a potem przemierzmy ciemne wody ku Chios, gdzie zapolujemy i uzupełnimy zapasy wody. Następnie, przez głębokie morze, pozeglujemy na południowy zachód, poza Andros, i przesmykniemy się cieśniną pomiędzy półwyspem Catsylus i wyspą Ceos. Tam pięć statków oddzieli się od floty i popłynie w górę rzeki, do Aten. Ostatnie kilometry nasi ludzie przejdą piechotą. Na miejscu poszukają jakichkolwiek świadectw obecności żywych ludzi, a jeśli ich nie znajdą, pomaszerują do Delf. Ich statki zawrócą i popłyną w ślad za nami przez Zatokę Sarońską.

– Pozostałe dwadzieścia pięć okrętów – mówił dalej – pozegluje na południowy zachód, miną Lacedemon, opłyną cały Peloponez i o ile pogoda zezwoli, zmierzmy się z cieśninami pomiędzy lądem a Kyterą. Kiedy po lewej ujrzymy Zakyntros, podpłyniemy bliżej lądu i dalej na północny wschód i wschód głęboko w Zatokę Koryncką. Zanim dotrzemy do Beocji, wylądujemy w dogodnym miejscu i już pieszo pójdziemy do Delf, gdzie, jak twierdzą morawce i nasi przyjaciele z Ardis, z budynku świątyni strzela niebieski promień, w którym uwięziono ostatnich przedstawicieli naszej rasy.

Na środek sali wystąpił Boman. Jego greka naznaczona była okropnym obcym akcentem. Helena stwierdziła, że nawet Hockenberry nie mówił w jej języku tak fatalnie. Przybysz z Ardis brzmiał jak barbarzyńca i tak też był ubrany. Jednakże pomimo licznych błędów składniowych, na jakie przyzwoity nauczyciel nie pozwoliłby nawet trzylatkowi, udało mu się przekazać główną myśl.

– Pora roku sprzyja takim podróżom – zauważył. – Problem polega na tym, że jeśli już uda się wam zgodnie z naszymi wskazówkami uwolnić wszystkich uwięzionych w błękitnym promieniu, co zrobicie z nimi potem? Niewykluczone, że w delfickiej smudze światła zakodowano całą ludność Ziemi Ilionu. A to może być aż sześć milionów. W tym Chińczycy, mieszkańcy Afryki, amerykańscy Indianie, przodkowie Azteków...

– Przepraszam, Bomanie, synu Ardis – wtrącił Trazymedes – ale nie rozumiemy twych słów.

Boman podrapał się po policzku.

– Ale rozumiecie, ile to jest sześć milionów?

Niestety, tego również nikt nie potrafił sobie wyobrazić. Helena zaczęła się zastanawiać, czy gość z Ardis pozostaje w pełni władz umysłowych.

– Wyobraźcie sobie Ilion z czasów największej świetności – zaproponował Boman.
– A potem pomnóżcie liczbę jego mieszkańców razy trzydzieści. Takie właśnie tłumy mogą opuścić świątynię Niebieskiego Promienia.

Większość członków rady wybuchnęła śmiechem. Helena zwróciła jednak uwagę, że Hektor i Trazymedes pozostali poważni.

– Dlatego właśnie musimy wam pomóc – podjął Boman. – Oczywiście z przesiedleniem własnych rodaków poradzicie sobie bez większych kłopotów. Co prawda, wioski i miasta, świątynie i trzody zniknęły, ale na Ziemi żyje mnóstwo dzikiej zwierzyny, na którą możecie polować, a potem w niedługim czasie udomowić i rozmnożyć...

Urwał, ponieważ większość słuchaczy znów zaczęła chichotać czy wręcz otwarcie rechotać. Hektor dał gościowi znak, by mówił dalej. Nie wyjaśnił jednak co się stało. Otóż Boman popełnił błąd. Mówiąc „rozmnożyć”, posłużył się stosowanym wyłącznie wobec ludzi czasownikiem oznaczającym przede wszystkim „pieprzyć”. Helena uśmiechnęła się pod nosem.

– Tak czy inaczej, na miejscu udzielimy wam pomocy, a morawce zajmą się transportem cudzoziemców. – Tym razem, nieco wbrew sobie, użył wyrazu poprawnego, obcokrajowców nazwał „barbarzyńcami”.

– Dziękuję. – Hektor skinął głową. – Trazymedesie, jeśli sprowadzicie z powrotem wszystkich swoich rodaków, ludność Peloponezu i licznych wysepek, takich jak Odysowa Itaka, mieszkańców Attyki, Beocji, Epiru, Obesty, Chalkidike, Tracji i wszystkich innych ojczystych krain rozproszonych greckich ludów, co zrobicie potem? Wszystkich zgromadzicie wszak w jednym miejscu, bez miast, wołów czy jakiegokolwiek schronienia.

– Szlachetny Hektorze – odparł Trazymedes. – Wedle planu odesłamy pięć okrętów z powrotem do Nowego Ilionu. Ich załogi jak najszybciej poinformują was o naszym sukcesie. Reszta moich załóg pozostanie z ludźmi uwolnionymi z delfickiego promienia i zacnie organizować ich powrót do domów oraz postara się zapewnić wszystkim dach nad głową i wyżywienie, aż zapanuje dawny porządek.

– Coś takiego może trwać latami – zauważył Deifobos. Brat Hektora od początku traktował pomysł wyprawy do Delf dość sceptycznie.

– Naturalnie – zgodził się Trazymedes. – Cóż jednak pozostaje nam innego niż spróbować uwolnić nasze żony, matki, dziadków, dzieci, oraz niewolników i sługi? To po prostu nasz obowiązek.

– Mieszkańcy Ardis mogliby się tam faksować w minutę. Nim minęłyby dwie kolejne, sami uwolniliby wszystkich – rozległ się szorstki głos od strony sofy, na której siedział Agamemnon.

Boman ponownie wyszedł na środek.

– Szlachetny Hektorze, królu Agamemnonie, możni i znamienici członkowie rady. Rzeczywiście moglibyśmy postąpić, jak sugeruje Agamemnon. Zresztą pewnego dnia wy również będziecie mogli się faksować... nie tak jak my, Ardisjanie, lecz za pomocą specjalnych miejsc, tak zwanych faksowężłów. W tej okolicy nie ma żadnego, ale jeden bądź nawet więcej odkryjecie w Grecji. To jednak tylko uwaga na boku... Tak,

moglibyśmy faksować się do Delf i wyswobodzić Greków z promienia. Może nie w kilka minut, ale najdalej w parę dni... Zrozumiecie jednak z pewnością, kiedy powiem, że to nie byłoby słuszne. To wasi pobratymcy. To wy powinniście zapewnić im godną przyszłość. Kilka miesięcy temu uwolniliśmy ledwie dziewięć tysięcy naszych własnych rodaków z podobnego promienia i chociaż ucieszyliśmy się, że jest nas więcej, okazało się, że nie jesteśmy w stanie zapewnić im przyzwoitej opieki. Nie ułożyliśmy odpowiednich planów. Po świecie wciąż krąży zbyt wiele wojniksów i kalibanów, nie mówiąc już o dinozaurach, fororakach i innych dziwnych stworzeniach, na które się natkniecie, gdy opuścicie przyjazne okolice Nowego Ilionu. Wraz z naszymi morawieckimi przyjaciółmi pomożemy wam rozwiązać cudzoziemców, niemniej przyszłość Greków pozostanie w waszych rękach.

Tą krótką przemową, mimo iście barbarzyńskiej składni i gramatyki, Boman zasłużył sobie na burzliwe oklaski. Helena również klaskała. Przemknęło jej nawet przez myśl, że wysoki gość jest mężczyzną wartym poznania.

Jako następny na środku sali pojawił się Hektor. Powiódł spojrzeniem dokoła, spoglądając kolejno w oczy niemal wszystkim obecnym.

– Czas zagłosować. Zdecyduje zwykła większość. Ci, którzy uważają, że Trzymedes wraz z ochotnikami powinien wyprawić się do Delf, gdy tylko zawieją pomyślne wiatry, niech uniosą pięści. Przeciwnicy ekspedycji, wyciągnijcie przed siebie skierowane w dół dłonie.

W obradach Wspólnej Rady brało udział niewiele ponad sto osób. Helena naliczyła siedemdziesiąt trzy uniesione pięści – sama także zagłosowała za – i jedynie dwanaście wyciągniętych dłoni. Przeciw oddał głos między innymi Deifobos i – z sobie tylko znanych powodów – Andromacha.

W sali zapanowała radość. Gdy heroldowie obwieścili wynik zebraniem na placu targowym dziesiątkom tysięcy ludzi, gromkie wiwaty poniosły się echem po całym mieście i odbiły od niedawno odbudowanych niskich murów Nowego Ilionu.

Hektor podszedł do niej na tarasie. Zagadnął niezobowiązująco, przywitał się i skomentował jakoś schłodzonego wina.

– Tak bardzo chciałbym z nimi popłynąć, Heleno – przyznał po chwili. – Nie mogę się pogodzić z tym, że greckie okręty odpłyną beze mnie.

Ach, to dlatego Andromacha głosowała przeciw, pomyślała.

– Nie możesz popłynąć, szlachetny Hektorze. Jesteś potrzebny tutaj, w naszym mieście.

– Nonsens! – prychnął Hektor. Osuszył puchar wina i hałaśliwie odstawił go na czekający na murarzy kamienny blok. – Miastu nic nie zagraża. Od dwunastu miesięcy nie widzieliśmy ani jednego obcego. Zdążyliśmy przez ten czas odbudować mury, może nie najwyższe, ale stoją. Zresztą chyba zupełnie niepotrzebnie. Poza nami nie ma innych ludzi. A przynajmniej nie w tym rejonie wielkiej Ziemi.

– Tym bardziej powinieneś pozostać i sprawować pieczę nad swoim ludem – stwierdziła z nieznacznym uśmiechem Helena. – Ktoś przecież musi nas bronić przed dinozaurami i straszliwymi ptakami, o których opowiadał nam Ardisjanin.

Heros zauważył pełgający w jej oku szelmowski płomyk. Helena od zawsze czuła,

że z Hektorem łączy ją dziwna, szczególna bliskość – niekiedy się przekomarzali, niekiedy delikatnie flirtowali, wiązało ich ze sobą coś głębszego niż męża i żonę.

– Czyżbyś się obawiała, że twój przyszły małżonek nie zdoła ochronić Ilionu przed wszelkim złem, szlachetna Heleno? – odparł.

Uśmiechnęła się raz jeszcze.

– W myślach wynoszę twego brata Deifobosa ponad większość innych mężczyzn, mój drogi Hektorze. Nie przystałam jednak na jego propozycję małżeństwa.

– Priam byłby z waszego związku wielce rad – zauważył Hektor. – Także Parys byłby zadowolony.

Parys prędzej by się porzygał na samą myśl, pomyślała.

– Owszem, Parys byłby szczęśliwy, wiedząc, że poślubił mnie Deifobos... lub inny ze szlachetnych dziedziców Priama. – Spoglądając Hektorowi w oczy, ponownie uśmiechnęła się i z przyjemnością zauważyła w nim ślad skrępowania.

– Czy potrafisz dochować tajemnicy? – zapytał niemal szeptem, nachylając się ku niej.

– Oczywiście – odpowiedziała równie cicho.

O ile będzie to po mojej myśli, dodała już tylko w myślach.

– Zamierzam wypłynąć z Trazymedesem – przyznał Hektor. – Kto wie, czy ktokolwiek z tej wyprawy powróci? Będzie mi cię brakowało, Heleno. – Niepewnie, wstydliwie dotknął jej ramienia.

Helena Trojańska przeciągnęła gładką, miękką dłońią po szorstkiej skórze mężczyzny, przycisnęła jego rękę do swojej. Spojrzała głęboko w jego szare oczy.

– Jeżeli weźmiesz udział w rejsie Trazymedesa, szlachetny Hektorze, będę za tobą tęsknić niemal tak boleśnie, jak zatęskni twa piękna Andromacha.

Dlatego tylko niemal, pomyślała, bo sama zakradnę się na ten statek, nawet gdyby miało mnie to kosztować wszystkie diamenty i perły z mego bogatego skarbcza.

Trzymając się za ręce, podeszli do balustrady otaczającej marmurowy taras pałacu Rady. Zebrane na placu targowym tłumy szalały ze szczęścia.

Na samym środku rynku, w miejscu gdzie przez wiele stuleci stała prastara fontanna, tłum zbratanych ze sobą w najlepsze pijanych Greków i Trojan ustawił wielkiego drewnianego konia. Statua była wielka, tak duża, że gdyby Brama Skajska wciąż stała, nie udałoby się jej wwieźć do miasta. Niższe, szersze i pozbawione nadproża wrota wpuściły podobiznę zwierzęcia bez kłopotu.

Jakiś dowcipniś uznał, że koń jest doskonałym symbolem Upadku Ilionu, a jako że właśnie dziś mija rok od tamtej chwili, najlepiej będzie drewnianą kukłę spalić. Na placu panowały znakomite nastroje.

Helena z Hektorem przyglądali się cizbie, wciąż lekko stykali się dłońmi – bez słowa, lecz nie bez porozumienia. Ktoś przytknął do wielkiego konia pochodnię i suche, znalezione na brzegu deski, z których go zbito, już po kilku sekundach stanęły w płomieniach. Tłum się cofnął, uzbrojeni w tarcze i włócznie stróże porządku wybiegli naprzód, zebrani na balkonach i tarasie arystokracji zaczęli szemrać z dezaprobatą.

Helena z Hektorem parsknęli śmiechem.

Siedem lat i pięć miesięcy po Upadku Ilionu.

Mojra teleportowała się na łąkę. Był piękny letni dzień. Na skraju otaczającego polanę lasu dokazywały motyle, wśród kwitnącej koniczyny brzęczały pszczoły.

Ostrożnym krokiem podszedł do niej skałowiecki żołnierz, uprzejmie przedstawił sprawę i zaprowadził ją na wzgórze, gdzie stał niewielki otwarty namiot. Właściwie był to kolorowy płócienny daszek wsparty na czterech palikach. Boczne ścianki falowały łagodnie w lekkich południowych podmuchach. W cieniu rozstawiono stoły, nad którymi pochylało się kilku ludzi i morawców. Oglądali i czyścili dziesiątki rozłożonych na blatach przedmiotów.

Najmniejsza ze stojących przy stole postaci – obok niego czekał specjalnie wysoki stołek – odwróciła się i wyszła Mojrze na powitanie.

– Mojra! Jakże mi przyjemnie – rzucił Mahnmut.

Morawiec zaprowadził gościa w cień wiaty.

– Sierżant powiedział, że chcesz ze mną pomówić – powiedziała.

– I to już od całych dwóch lat. Od naszej ostatniej rozmowy – odparł. Podszedł do barku i przyniósł Mojrze szklankę chłodnej lemoniady. Pozostałe morawce i ludzie przyrzekli się jej ciekawie, lecz Mahnmut nikomu kobiety nie przedstawił. Jeszcze nie.

Mojra z wdzięcznością upiła łyk napoju i pomyślała przy tym, że lód musiał być dzień w dzień faksowany bądź teleportowany z Ardis lub innego ludzkiego osiedla. Rozejrzała się po łące. Trawiasty, lekko pofałdowany teren ciągnął się przez mniej więcej milę – od granicy lasu na północy po bardziej pagórkowatą, kamienistą okolicę na południu.

– Skałowieccy żołnierze? Pilnują was tutaj przed ciekawskimi? – spytała. – Rozumiem, że wałą do was tłumy gapiów?

– Raczej przed fororakami i młodymi tyranozaurami. Takie odwiedziny rzeczywiście czasami się zdarzają – przyznał Mahnmut. – Jak powiada Orphu, co tym postłudziom strzeliło do głowy?

– Nadal tak często się z nim widujecie?

– Codziennie – odpowiedział mały morawiec. – Dzisiaj wieczorem wybieramy się do Ardis na przedstawienie. Będziesz tam?

– Może i tak – rzuciła. – Skąd wiesz, że zostałam zaproszona?

– Moja droga, nie tylko ty zamieniasz od czasu do czasu słówko z Arielem. Jeszcze lemoniady?

– Nie, dziękuję. – Mojra ponownie powiodła spojrzeniem po łące. Z większej jej części zdjęto kilka wierzchnich warstw ziemi. Gleby nie usunięto jednak brutalnie, koparką, lecz starannie, z obsesyjną wręcz delikatnością. Darń zwinięto w bele, każdą linię cięcia oznaczono za pomocą małych patyczków i sznurków. Wszędzie widniały opisane numerami tabliczki, poszczególne wykopy miały od kilkunastu centymetrów do

kilku metrów głębokości. – Czyli? Myślisz, że wreszcie je znalazłeś, przyjacielu?

Morawiec wzruszył ramionami.

– Niesamowite, jak trudno jest wyszukać w archiwach informacje o dokładnym położeniu tego miasteczka. Zupełnie jakby jakaś... siła z premedytacją usunęła wszystkie odniesienia, współrzędne GPS, drogowskazy, relacje. Po prostu jakby ktoś lub coś nie chciało, byśmy kiedykolwiek odnaleźli Stratford-upon-Avon.

Mojra zmierzyła Mahnmuta uważnym spojrzeniem przenikliwych szaroniebieskich oczu.

– A czemuż to tej... sile miałyby zależeć na powstrzymaniu twoich poszukiwań?

Raz jeszcze wzruszył ramionami.

– Mogę się tylko domyślać, ale podejrzewam, że tej hipotetycznej sile czy mocy nie przeszkadza, że ludzie ponownie objęli tę planetę w posiadanie i zaczęli się swobodnie rozmnażać. Raczej nie uśmiecha się jej możliwość ponownego sprowadzenia na Ziemię pewnego konkretnego geniusza.

Mojra nie skomentowała.

– Spójrz – poprosił Mahnmur i z niemal chłopięcym entuzjazmem zaciągnął kobietę do stołu. – Zobacz, co znalazł wczoraj jeden z naszych ochotników. Natknął się na to na stanowisku trzysta dziewięć.

Podniósł z blatu kawałek kamiennej płyty. Brudną powierzchnię pokrywały osobliwe symbole.

– Nie potrafię tego odczytać – przyznała Mojra.

– Początkowo my też nie rozumieliśmy. – Mahnmur pokiwał głową. – Dopiero doktor Hockenberry uświadomił nam, co właściwie trafiło w nasze ręce. Widzisz te znaki tutaj? IUM... a trochę niżej US i jeszcze AER i ET?

– Skoro tak mówisz.

– Mówię i mam rację. Teraz jesteśmy już pewni. Widzisz właśnie fragment inskrypcji pod popiersiem, pod jego popiersiem. Wedle zapisków z archiwum całość brzmiała: JUDICO PYLIUM, GENIO SCORATUM, ARTE MARONEM: TERRA TEGIT, POPULUS MAERET, OLYMPUS HABET.

– Obawiam się, że łacina nieco wywietrzała mi z głowy – stwierdziła Mojra.

– Jak nam wszystkim – odparł Mahnmur. – W tłumaczeniu brzmi to mniej więcej tak: „Ziemia kryje Nestora osądu, ludzie oplakują Sokratesa geniuszu, na Olimp trafił prawdziwy Wergiliusz sztuki”.

– Olimp... – powtórzyła Mojra w zamyśleniu.

– Popiersie ufundowali mieszkańcy miasteczka, a tę tablicę wmurowali w lokalnym kościele Świętej Trójcy. Dalsza część jest już po angielsku. Chciałabyś usłyszeć?

– Oczywiście.

STAŃ, PRZECHODNIU. DOKĄD TAK CI ŚPIESZNO?

PRZECZYTAJ, JEŚLI ŁASKA, KOGO ŚMIERĆ ZAWISTNA

W TYM POMNIKU KRYJE. SZEKSPIRA.

CZYJA ŻYWA NATURA ZGASŁA. CZYJE IMIĘ

GRÓB TEN ZDOBI BARDZIEJ NIŻLI KWIATY.

WESTCHNIJCIE NAD TYM, KTO TWORZYŁ

SZTUKE, BY JEGO SŁUŻYŁA ROZUMOWI.

– Całkiem zgrabne – pochwaliła. – Domyślam się, że to odkrycie pomogło ci w poszukiwaniach?

Mahnmut zignorował wyraźną w jej tonie ironię.

– Inskrypcja jest datowana na dzień jego śmierci. Dwudziesty trzeci kwietnia 1616.

– Ale samego grobu wciąż nie udało się wam odnaleźć?

– Jeszcze nie – przyznał mały morawiec.

– A czy i na nim nie było jakiegoś nagrobka, kolejnej inskrypcji? – spytała niewinnie.

Mahnmut przez moment przyglądał się jej badawczo.

– Był – przyznał po chwili. – Na płycie nagrobnej, pod którą spoczął, był rzeczywiście inny napis.

– Jaki? Morawcom wstęp wzbroniony? Automaty do domu?

– Niezupełnie – odparł Mahnmut. – Podobno wyryto tam słowa: PRZYJACIELU, NA LITOŚĆ BOSKĄ NIE RUSZAJ POCHOWANYCH TU KOŚCI, BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONY TY, KTÓRY OSZCZĘDZISZ TE KAMIENIE, PRZEKLEŃSTWO NA CIEBIE, KTÓRY RUSZYSZ MÓJ SZKIELET.

– Czy ta klątwa nie budzi w tobie niepokoju? – spytała Mojra.

– Ani trochę – powiedział. – Nie we wszystkim jestem podobny do Orphu. To on uwielbia te dwuwymiarowe, dwudziestowieczne horrory z Universalu... No wiesz... „Mumia” i tak dalej.

– Niemniej... – zaczęła.

– Chcesz nas powstrzymać? – zapytał Mahnmut. – Nie chcesz, żebyśmy go znaleźli?

– Mój drogi, wiesz już zapewne doskonale, że nie zamierzamy mieszać się w sprawy morawców, ludzi dawnego typu i naszych nowych gości z Grecji i Azji... Nie chcemy przeszkadzać nikomu. Zdaje się, że jak dotąd nieźle nam idzie?

Mahnmut nie odpowiedział.

– Z drugiej strony ten twój... projekt. – Kobieta złożyła mu dłoń na ramieniu. – Nie odnosisz czasem wrażenia, że zaczynasz się bawić w Boga? Tak troszkę?

– Czyżbyś rozmawiała z doktorem Hockenberrym? – domyślił się morawiec.

– Oczywiście. Poznaliśmy się w zeszłym tygodniu.

– Dziwne, nie wspominał o tobie. Thomas pomaga nam w wykopaliskach. Raz, dwa razy w tygodniu. Ale ja nie o tym. Przecież w Boga, jak mówisz, zabawili się już postludzie, a także Olimpijczycy, odtwarzając doktora Hockenberry’ego. Wskreszili jego

ciało i osobowość, opierając się na okruchach kości, DNA i zachowanych w archiwach danych. I wszystko się udało. To świetny facet.

– Wiele na to wskazuje – zgodziła się Mojra. – Jak rozumiem, zajął się pisaniem książki?

– Tak – potwierdził Mahnmut, który wyraźnie stracił wątek.

– No cóż, powodzenia. – Mojra wyciągnęła do niego rękę. – I przekaz moje serdeczne pozdrowienia naczelnemu integratorowi Asteague/Che. Powiedz mu, że bardzo miło wspominam naszą herbatkę w Tadż. – Uścisnęła dłoń małego morawca i ruszyła na północ, w stronę linii drzew.

– Mojra! – zawołał za nią Mahnmut.

Przystanęła i obejrzała się przez ramię.

– Zobaczymy się na dzisiejszym przedstawieniu? – zapytał.

– Tak, chyba tak.

– Na pewno?

– Tego już nie wiem – odparła. – Ja ciebie zobaczę na pewno – dodała i poszła w stronę lasu.

Siedem lat i pięć miesięcy od Upadku Ilionu.

Nazywam się Thomas Hockenberry i jestem doktorem filologii klasycznej. Dla przyjaciół Hockenbush. Żaden z przyjaciół, którzy mogliby mnie tak nazywać, już nie żyje. Choć może powinienem był napisać, że przyjaciele, którzy w ten sposób się do mnie zwracali – otrzymałem ten przydomek na studiach doktoranckich w Wabash College – już dawno temu obrócili się w pył; tutaj, na planecie, na której obróciło się w pył również bardzo wiele innych rzeczy.

Na tamtej pierwszej, dobrej Ziemi, przeżyłem pięćdziesiąt kilka lat. Następnie podarowano mi nieco ponad dwanaście intensywnych lat drugiego życia – w Ilionie, na Olimpie, na Marsie... O tym, że był to Mars, dowiedziałem się dopiero pod koniec swojego pobytu. A teraz wróciłem tutaj. Do domu. Z powrotem na piękną Ziemię.

Mam tak wiele do opowiedzenia. Problem w tym, że straciłem wszystkie notatki, jakie poczyniłem przez dwanaście lat pracy w charakterze scholiasty. Kamienie tekstowe, na których nagrywałem swoje wnioski dotyczące przebiegu wojny trojańskiej i które codziennie przekazywałem Muzie, osobiste zapiski, a nawet rejestrator – prezent od morawców – któremu poświęcałem wydarzenia ostatnich dni Zeusa i Olimpu. Wszystko przepadło.

Nieważne. Pozostały mi wspomnienia. A pamiętam twarze każdego z napotkanych ludzi. Twarze, imiona i nazwiska.

Znawcy twierdzą, że jedną z cudownych zalet „Iliady” stanowi fakt, że Homer nie pozwala żadnemu ze swych bohaterów zginąć bezimiennie. Wszyscy giną w dramatycznych okolicznościach, wszyscy herosi, każdy z tych brutalnych bohaterów, a ginąc – sparafrazuję tu innego naukowca – pociągają za sobą kres całego swojego żywota i wszystkiego, co w nim posiadali: broni, zbroi, bydła, żon i niewolników. Także kres imienia. U Homera nikt nie umiera anonimowy.

Gdybym spróbował przedstawić opowieść o sobie, chciałbym, by skończyła się podobnie.

Tylko od czego tu zacząć?

Skoro przypadła mi w tej historii rola chóru, mogę rozpocząć snucie jej w dowolnym momencie. Zacznę więc od tego, że powiem wam, gdzie mieszkam.

* * *

Podczas odbudowy Nowego Ilionu spędziłem kilka wspaniałych miesięcy u boku Heleny. Grecy pomogli Trojanom, gdy Hektor złożył im obietnicę, że następnie – kiedy mury strzelą już pod niebo, a miasto ożyje – jego ludzie pomogą Achajom zbudować nowe okręty.

Napisałem ożyje. Ale to miasto – Ilion, Troja – nigdy przecież nie umarło. Dlatego że Troja to przede wszystkim jej mieszkańcy... Hektor, Helena, Andromacha, Priam,

Kasandra, Deifobos, Parys... Cholera, nawet ta wredna Hypsipyle. Niektórzy zginęli, lecz pozostali przetrwali. A miasto przeżyło wraz z nimi. Wergiliusz świetnie to rozumiał.

Nie mogę zostać waszym Homerem ani Wergiliuszem, opowiadającym tę historię od momentu upadku Troi... Nie minęło jeszcze odpowiednio wiele czasu, by opowieść okrzepla w prawdziwy epos. Aczkolwiek podobno ma się to zmienić. Póki żyję, będę więc mieć otwarte oczy i uszy.

Teraz jednak mieszkam tutaj. W Ardis Town.

Nie w Dworze Ardis. Na rozległej łące porastającej wzgórze oddalone o półtorej mili od starego pawilonu faksowężła wyrosła nowa, przestronna rezydencja. Bardzo blisko dawnego gmachu. Tam mieszka Ada z rodziną. Ale ja mieszkam w Ardis Town.

Razem ze mną mieszka tu nieco ponad dwadzieścia osiem tysięcy ludzi. Tak w każdym razie było podczas ostatniego spisu podatkowego przeprowadzonego pięć miesięcy wcześniej. Część budynków rozłożyła się na wzgórzu, wokół nowego Dworu Ardis. Większa część osiedla otacza jednak nową drogę, biegnącą od faksowężła nad rzekę i wzdłuż jej koryta. Tutaj mamy młyny, najprawdziwszy rynek i cuchnące garbarnie. Są też drukarnia i wytwórnia papieru, mamy nadmiar barów i burdeli. Dwie synagogi i kościół, który powinien nosić nazwę Pierwszego Kościoła Chaosu. Działa parę niezłych restauracji i mała stocznia – śmierdząca niemal równie paskudnie jak garbarnie. I biblioteka (osobiście pomogłem ją zorganizować). I szkoła, aczkolwiek większość dzieciaków nadal mieszka we Dworze lub jego sąsiedztwie. Uczniami w Ardis Town są przede wszystkim dorośli, poznający sekrety sztuki czytania i pisania.

Mniej więcej połowa mieszkańców naszego miasta to Grecy, pozostali są najczęściej Żydami. Zazwyczaj żyją ze sobą w zgodzie. Zazwyczaj.

Żydzi mają tę przewagę, że dysponują pełnym zestawem funkcji. Mogą się, cholery, swobodnie faksować, dokąd tylko dusza zapagnie. Sam też to potrafię. Oczywiście ja się nie faksuję, tylko tekuję, wiecie przecież. Mam tę zdolność wdrukowaną w swoje komórki, w samo ich DNA. Tak już zostałem przez Kogoś zaprojektowany. Chociaż nie tekuję się już tak często jak dawniej. Spodobały mi się spokojniejsze sposoby podróżowania.

Owszem, pomagam Mahnmutowi w realizacji jego projektu „Znaleźć Willa”. Staram się tam pojawiać w miarę możliwości przynajmniej raz w tygodniu. Ale o tym już słyszeliście. Nie wydaje mi się, by udało mu się kiedykolwiek pisarza odszukać, i podejrzewam, że sam doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Niemniej Mahnmut wraz z Orphu z Io uczynili z tego swoje hobby, a ja pomagam morawcom z podobnym nastawieniem. Bo właściwie dlaczego nie? Żaden z nas – nawet sam Mahnmut, jak myślę – nie uważa, że Prospero, Mojra, Ariel, żadna z wysoko postawionych szych... nawet ta Cisza, o której tak wiele ostatnio słyszymy, pozwolą małemu morawcowi odnaleźć kości i wypreparować do ponownego wykorzystania materiał genetyczny Williama Szekspira. I w sumie rozumiem te nasze szychy. Mają wszelkie prawo do niepokoju.

Wieczorem mieszkańcy Ardis wystawią sztukę. O tym też już się dowiedzieliście. Na przedstawienie wybiera się wielu moich znajomych z miasteczka, aczkolwiek, przyznaję, wzgórze jest paskudnie strome, droga i stopnie są zapiaszczone i raczej chyba wyłożę pięć pensów i podjadę jedną z parowych bryczek, które wynajmuje chętnym firma

Hanny. Szkoda tylko, że te maszyny tak straszliwie klekoczą.

A skoro mowa o udanych i nieudanych poszukiwaniach zaginionych, nie opowiedziałem wam chyba o tym, jak znalazłem swojego dawnego kolegę. Keitha Nightenhelsera.

Po raz ostatni widziałem go w prehistorycznej głuszy, która miała się w przyszłości – powiedzmy, za trzy tysiące lat – stać Indianą. Mieszkał tam wraz z indiańskim szczepem. Niespecjalnie do tego piekielnego miejsca pasował i dręczyły mnie nieliczne wyrzuty sumienia za porzucenie go akurat tam, lecz uznałem wówczas, że przyda mu się bezpieczne schronienie na czas wojny pomiędzy herosami i bogami. Kiedy dobiegła końca, przeniósłem się tam, ale w lesie nie było już ani Indian, ani Nightenhelsera.

A jako że Patroklos – mocno wkurzony Patroklos – wciąż plątał się po okolicy, uznałem, że Nightenhelser mógł po prostu nie przeżyć przypadkowego spotkania.

Niemniej trzy i pół miesiąca temu tekowałem się do Delf. Trazymedes z Hektorem i resztą awanturycznej załogi wyłączyli niebieski promień i – klękajcie narody! – po jakichś ośmiu godzinach wśród tłumu wychodzących z niewielkiej świątyni oszołomionych Greków – sytuacja kojarzyła mi się z tym starym, cyrkowym numerem, kiedy z małego samochodu wysiada masa klaunów – pojawił się mój przyjaciel Nightenhelser (nigdy nie zwracaliśmy się do siebie po imieniu).

To razem z nim kupiliśmy dom, w którym teraz piszę te słowa. Zostaliśmy partnerami. Mam tu oczywiście na myśli partnerstwo w sensie biznesowym, nie w tym dziwacznym znaczeniu, jakiego owo pojęcie nabrało w dwudziestym pierwszym stuleciu, zwłaszcza w odniesieniu do dwójki mężczyzn. Naprawdę nie wymieniłem Heleny Trojańskiej na Nightenhelsera Ardisjańskiego. Owszem, niekiedy być może zachowuję się jak kretyn, ale tak źle jeszcze ze mną nie jest.

Ciekawe, czy nasza knajpa spodobałaby się Helenie. Nazwaliśmy ją „Dombey i syn”[20] – pomysł Nightenhelsera, jak na mój gust nieco przesłodzony. Mamy tu spory ruch. W porównaniu z innymi gospodami rozsianymi nad rzeką niczym żwir u nas jest w miarę czysto. Nasze barmanki są barmankami, a nie dziwkami (przynajmniej w godzinach pracy i pod naszym dachem). Serwujemy najlepsze piwo na rynku. Jego produkcją zajmuje się inna firma Hanny, która wedle pogłosek została pierwszą milionerką nowej epoki Ardis. Tajniki browarnictwa musiała poznać przy okazji studiowania rzeźbiarstwa i metalurgii. Nie, ja też nie mam pojęcia, jak do tego doszło.

Rozumiecie już może, dlaczego waham się z rozpoczęciem pisania swego eposu? Po prostu nie jestem w stanie skupić się na głównym wątku... Gubię się w dygresjach.

Być może pewnego dnia rzeczywiście zaproszę do nas Helenę i dowiem się, co o tym barze myśli.

Słyszałem jednak, że Helena ścięła włosy i w męskim przebraniu wzięła udział w delfickiej przygodzie Hektora i Trazymedesa, którzy niczym posłuszne kundelki spełniają wszystkie jej zachcianki. (Kolejnym powodem, dla którego zwlekam z pisaniem swego eposu, jest moja chroniczna ułomność w dziedzinie metafor i porównań. Jak zauważył kiedyś Nightenhelser, jestem figuroratorycznie upośledzony. Nic to).

Słyszałem? Nie, nie tylko słyszałem. Wiem, że Helena wybrała się na tę wyprawę. Widziałem ją na własne oczy. Do twarzy jej z tą krótką fryzurą. I z opalenizną. Wygląda

naprawdę świetnie. Nie do końca jak moja Helena, ale znacznie zdrowiej i wciąż pięknie.

Mógłbym dłużej opowiadać o swojej knajpie i całym Ardis Town – na przykład o epoce rodzącej się polityki (która na tym etapie jest równie nieproduktywna i cuchnąca, jak wszystkie noworodki) albo o jego mieszkańcach. O Grekach i Żydach, osobach z funkcjami i bez nich, o ludziach religijnych i cynikach... ale to już zupełnie inna historia.

Poza tym, jak się przekonam już dzisiejszego wieczoru, nie jestem prawdziwym gawędziarzem, nie jestem Bardem. Wiem, że w tej chwili nie możecie zrozumieć, co mam na myśli, ale proszę o chwilę cierpliwości i wszystko stanie się jasne.

Ostatnie osiemnaście lat było dla mnie trudnym okresem. Dotyczy to szczególnie pierwszych jedenastu. Pod względem emocjonalnym jestem tak samo pokiereszowany jak pancerz Orphu pod względem fizycznym. (Wielki morawiec większość czasu spędza na nowym Dworze Ardis. Z nim również się niebawem spotkacie. Wybiera się na dzisiejsze przedstawienie, a przedtem jak co popołudnie ma umówione spotkanie z dziećmi. Właśnie dzięki temu pojąłem, że mimo swojego doświadczenia naukowca i scholiasty nie jestem jednak odpowiednią osobą do opowiedzenia tej historii, nawet gdy nadejdzie pora).

Tak, ubiegłe osiemnaście lat mocno dało mi się we znaki. Zwłaszcza jedenaście pierwszych. Z drugiej strony w pewien sposób mnie wzbogaciło. Mam nadzieję, że kiedy usłyszycie wreszcie tę opowieść, sami również poczujecie się w ten sposób. Jeśli nie, nie moja wina. Nie ja będę ją opowiadać, aczkolwiek chętnie służę swymi wspomnieniami wszystkim zainteresowanym.

Przepraszam. Muszę już iść. W miasteczku pora fajrantu i schodzą się klienci – między innymi ci z garbarni, czujecie ich może? Na dodatek jedna z moich barmanek się rozchorowała, a druga uciekła z pewnym młodym Ateńczykiem, który przybył do Ardis Town prosto z Delf i... cóż... nie ma komu robić. Co prawda, za jakieś czterdzieści pięć minut powinien się pojawić pracujący wieczorami barman, ale do tego czasu sam muszę się zająć nalewaniem piwa i krojeniem pieczonej wołowiny do kanapek.

Nazywam się Thomas Hockenberry i jestem doktorem filologii klasycznej. Skrót od doktora to DR – coraz częściej jednak zdarza mi się myśleć, że te dwie litery oznaczają „dyżurny robot”.

Przepraszam. Poczucie humoru nigdy – może z wyjątkiem kilku wysiłonych dowcipów i paru gier słownych – nie było moją najmocniejszą stroną.

Do zobaczenia przy popołudniowej opowieści. Przed przedstawieniem.

20 Tytuł powieści Karola Dickensa.

Siedem lat i pięć miesięcy po Upadku Ilionu.

W dniu przedstawienia Harman miał pewną sprawę do załatwienia w Suchej Dolinie. Ubrał się w termoskórę, włożył na nią swój pancerz bojowy, wypożyczył ze zbrojowni Dworu Ardis karabin energetyczny i faksował się.

Wykopaliska prowadzone wokół postludzkiej kopuły statycznej przebiegały pomyślnie. Idąc pomiędzy wielkimi koparkami, unikając płomieni buchających z dysz transportowego szerszenia, który odwoził ładunki na północ, Harman nie był w stanie uwierzyć, że osiem i pół roku temu odwiedził tę samą dolinę w towarzystwie młodej Ady, jeszcze młodszej Hanny i pulchnego chłoptysia Daemana. Poszukiwali wtedy śladów Żydówki Wiecznej Tułaczki – tajemniczej kobiety, która, jak się wkrótce przekonali, nazywała się Savi.

Co ciekawe, część błękitnej kopuły statycznej została zakopana tuż pod głazem, na którym Savi wyryła wskazówki pozwalające wędrowcom odnaleźć jej dom na Erebusie. Staruszka już wtedy wiedziała, że Harman jest jedynym człowiekiem dawnego typu, który zdoła te symbole odcyfrować.

Pracami wykopaliskowymi kierowali Raman i Alkinoos. Szło im znakomicie. Harman przejrzał z nimi listę sprzętu, chciał mieć pewność, że urządzenia trafią do właściwych osiedli – większość odzyskanej broni energetycznej kierowano do Chom i Hughes Town, termoskóry jechały do Bellinbadu, pełzacze obiecano Ułanbatowi i Posiadłości Lomana. Nowy Ilion z kolei zawzięcie domagał się karabinów na kryształowe pociski.

Harman uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze dziesięć lat, a Grecy i Trojanie zaczną używać dokładnie tej samej technologii co oni. Prawdopodobnie będą się też faksować po całym świecie, korzystając z portali w pawilonach. Ktoś uczestniczący w wyprawie delfickiej odkrył już zresztą pierwszy faksowężel w pobliżu Olimpii – miasta, w którym organizowano starożytne igrzyska sportowe.

Cóż – stwierdził w duchu – jedyne wyjście to nie dać im się dogonić. Na polu technologii i wszystkich innych.

Robiło się późno, lecz Harman chciał przed powrotem zajrzeć w jeszcze jedno miejsce. Ucisnął dłonie Alkinoosa i Ramana i faksował się.

Zmaterializował się przy Golden Gate w Machu Picchu, w miejscu, gdzie siedem i pół roku temu zwrócono mu życie. Nie przeniósł się jednak na sam most, tylko na grzbiet góry wznoszącej się naprzeciwko konstrukcji i starożytnych ruin. Oglądanie starożytnej budowli nie nudziło mu się nigdy, mimo że z tej odległości zielone bąble mieszkalne były już ledwie widoczne. Nie wrócił tu jednak wyłącznie z sentymentu.

Miał umówione spotkanie.

Przyglądał się podkreślonym wczesnopołudniowym światłem chmurom płynącym przez dolinę od strony wodospadu. Słoneczne promienie na moment ozłociły

siwe obłoki, które przesłoniły większą część Machu Picchu. Wierzchołki ruin wyglądały wśród nich jak kamienie sterczące ze złocistej, płynącej pod mostem rzeki. Gdziekolwiek nie spojrzął, życie toczyło zwycięską walkę przeciw entropii chaosu i rozproszeniu energii – dostrzegał to w porastającej wzgórza trawie, w koronach drzew skrywających mglistą dolinę, w sylwetkach krążących leniwie w prądach termicznych kondorów, w kołyszących się na stalowych linach mostu mchach, a nawet w rdzawych porostach oblepiających kamienie u jego stóp.

Nagle – jakby z rozmysłem wytrącając Harmana z rozmyślań nad naturą życia i żywych stworzeń – niebo przeciął z południa na północ (zupełnie martwy) statek kosmiczny. Smuga kondensacyjna powoli rozwiewała się nad szczytami Andów. Zanim Harman zdążył rozpoznać markę i model pojazdu, błyszcząca iskierka zniknęła nad północnym horyzontem, żegnając się trzema dźwiękowymi gromami. Statek był zbyt duży i szybki jak na szerszenie wożące wydobywany w Suchej Dolinie sprzęt. Harman pomyślał, że być może to Daeman wraca z którejś ze wspólnych ekspedycji z morawcami, mających na celu badanie malejących pomiędzy Ziemią a Marsem zakłóceń struktury kwantowej.

Teraz mamy już nawet własne statki kosmiczne, przypomniał sobie. Uśmiechnął się. Myśl była butna i pełna pychy, lecz jednocześnie wywoływała w nim przyjemne ciepło. Zaraz potem uświadomił sobie, że co prawda ludzie mają własne statki kosmiczne, ale wciąż nie potrafią sami ich budować.

Miał nadzieję, że dożyje innych czasów, takich kiedy ludzkość posiadzie i ten sekret. Po chwili pomyślał o poszukiwaniach kadzi regeneracyjnych ukrytych gdzieś w ziemskich pierścieniach.

– Dzień dobry – rozległ się za plecami Harmana znajomy głos.

Wzmocniony szkoleniem odruch kazał mu podnieść lufę karabinu. Opuścił ją jednak, zanim się odwrócił.

– Dzień dobry, Prospero – przywitał się.

Stary czarnoksiężnik wyszedł spomiędzy skał.

– Widzę, że włożyłeś pancerz bojowy, młody przyjacielu. Czyżbyś się spodziewał, że przyjdę uzbrojony?

– Nigdy nie widziałem cię bezbronnego. – Harman się uśmiechnął.

– Owszem, zawsze noszę przy sobie oręż rozumu.

– I przebiegłości – dodał Harman.

Mag uniósł poznaczoną liniami żył dłoń. Jakby w obronie.

– Ariel przekazał, że chciałeś się ze mną spotkać. Czy chodzi o sytuację w Chinach?

– Nie – odparł Harman. – Tym zajmiemy się później. Chciałem ci przypomnieć o dzisiejszym przedstawieniu.

– Ach, tak. Przedstawienie... – powtórzył Prospero.

– Zapomniałeś? A może jednak nie przyjdiesz? – spytał Harman. – Jeśli tak, zadowolony będzie chyba tylko twój dubler.

– Tyle tekstu do spamiętania, mój młody Prometeuszu. – Prospero uśmiechnął się.

– Nam wyznaczyłeś znacznie dłuższe partie.

Prospero rozłożył bezradnie ręce.

– Czyli mam powiedzieć twojemu dublerowi, żeby się szykował? – upewnił się Harman. – Byłby wniebowzięty.

– Może jednak wezmę w tym udział – stwierdził czarnoksiężnik. – Chociaż... Czy nie wystarczy, że tylko popatrzę?

– Akurat w tej sztuce musisz zagrać koniecznie – uznał Harman. – Gościem honorowym zostaniesz, kiedy wystawimy „Henryka IV”.

– Prawdę powiedziawszy – przyznał Prospero – sir Johna Falstaffa chciałem zagrać od zawsze.

Śmiech Harmana odbił się echem od urwiska.

– Czyli mogę przekazać Adzie, że się pojawisz i zostaniesz po przedstawieniu? Napijemy się, porozmawiamy...

– Porozmawiam chętnie – odparł mag. – Gorzej z tym występem. Zżera mnie trema.

– Cóż, połamania nóg. – Harman skinął głową i faksował się do Ardis.

We dworze zdał broń i pancerz, przebrał się w płócienne spodnie i bluzę, włożył lżejsze buty i wyszedł na łąkę, gdzie w teatrze dopinano wszystko na ostatni guzik. Kilku mężczyzn montowało właśnie światła nad rzędami świeżo wystruganych krzeseł. Podobne kolorowe lampki zawisły nad ogródkami piwnymi i na swobodnie stojących stelażach. Hannah sprawdzała nagłośnienie. Inni kończyli malować scenografię. Ktoś próbował kurtynę. Na przemian unosiła się i opadała.

Ada zauważyła przybysza i spróbowała przyprowadzić do niego ich dwuletnią Sarę, lecz dziewczynka była już zmęczona i zaczynała marudzić, więc kobieta wzięła ją na ręce i wspięła się kawałek po zboczu. Harman cmoknął w policzek żonę i córkę. Adę pocałował raz jeszcze.

Obejrzała się. Popatrzyła na scenę i widownię. Odgarnęła z twarzy długi kosmyk włosów.

– A więc „Burza”. Naprawdę myślisz, że jesteśmy na tę sztukę gotowi?

Harman wzruszył ramionami. Przyciągnął żonę do siebie.

– Po prostu wypadła jej kolej.

– A czy nasza gwiazda raczy się dzisiaj pojawić? – Wtuliła się w niego. Sarah cichutko zakwiliła i przesunęła główkę tak, że przywarła policzkiem do obojga rodziców naraz.

– Tak mi powiedział. – Harman nie dowierzał czarnoksiężnikowi.

– Dobrze by było, gdyby próbował z resztą obsady – zauważyła Ada.

– Wiesz, nie można mieć wszystkiego.

– Naprawdę nie? – Ada obrzuciła go spojrzeniem, z rodzaju tych, przez które już osiem lat temu uznał, że jest niebezpieczną dziewczyną.

Nad drzewami i rzędem domów przeleciał sonik. Pojawił się nad rzeką i przeciął niebo ponad miastem.

– Mam tylko nadzieję, że to jakiś dorosły kretyn, nie dziecko.

Westchnęła.

– A właśnie, gdzie nasz chłopak? – spytał Harman. – Nie zdążyłem z nim zamienić

rano ani słowa. Chciałbym się przywitać.

– Siedzi już na ganku. Czeka na opowieść.

– No tak, pora na gawędę – przypomniał sobie Harman. Zerknął na południową łąkę, gdzie zwykle opowiadano historie. Ada dotknęła jego ramienia.

– Harman...

Popatrzył jej w oczy.

– Odwiedził nas Mahnmut. Mówi, że na przedstawienie wybiera się Mojra.

– To chyba dobrze... prawda? – Wziął ją za rękę.

Skinęła głową.

– Ale skoro pojawi się też Prospero... i Mojra... No i zaprosiłeś Ariela, mimo że nie chciał zagrać... Co będzie, jeżeli przyjdzie Kaliban?

– Jego nie zapraszałem – mruknął Harman.

Uściskiem dłoni dała mu znać, że mówi poważnie. Harman pokazał jej stanowiska uzbrojonych w karabiny energetyczne wartowników obstawiających teren wokół teatru, ogródków i dworu.

– Wiem, ale sztukę będą też oglądać dzieci... – zauważyła Ada. – I goście z miasteczka...

Skinął głową, nie wypuścił jej dłoni.

– Kochanie, Kaliban może się do nas tekować, kiedy tylko zechce. A przecież wciąż się nie pojawił.

Nieznacznie przytaknęła. Mocniej ścisnęła dłoń męża.

Pocałował ją.

– Elian szykuje się do jego roli już od pięciu tygodni – powiedział. – „Nie trwóż się. Wyspa ta jest pełna dźwięków, głosów i słodkich pieśni, które cieszą, nie szkodząc wcale”[21] – dodał, cytując.

– Chciałabym, żeby tak było już zawsze.

– Ja również, kochanie. Ale oboje wiemy, ty zresztą lepiej ode mnie, że tak nigdy nie będzie. Chodź, nie chcesz zobaczyć miny zasłuchanego w opowieść Johnny’ego?

* * *

Orphu z Io nie odzyskał wzroku, lecz żaden z rodziców nie bał się, że wielki morawiec rozjedzie ich dzieci, mimo że kilkoro najodważniejszych maluchów z Ardis tłoczyło się na jego pancerzu, podpierając się bosymi stopami na licznych zagłębieniach. Przybywanie na gawędę w dolinie na skorupie Orphu stało się pewnego rodzaju tradycją. Siedmioletni John, jeden ze starszych chłopców, zajął najwyższe miejsce.

Orphu jechał z całą powagą, niemal uroczyście – aurę surowości mącił jedynie chichot dosiadającej go dzieciarni i biegnących za morawcem malców. Procesja minęła stary więz i zeszła w dolinkę otwierającą się pomiędzy szeregami zarośli i nowych zabudowań.

W tym płytkim wgłębieniu, gdzie niby magicznie niknęły z oczu domy i dorośli, z wyjątkiem tych, którzy wybrali się wraz z pociechami, dzieci zeskoczyły z morawca i rozciągnęły się na trawiastych zboczach. John usiadł najbliżej Orphu, jak zwykle. Rzucił okiem przez ramię, zobaczył ojca i pomachał, lecz nie podszedł się przywitać.

Oczywiście. Opowieść była ważniejsza.

Harman – przyszli razem z Adą, której ręce zdrętwiały już od ciężaru Sary – zauważył stojącego obok żywoplotu Mahnmuta. Skinął głową na przywitanie, lecz mały morawiec miał wzrok wlepiony w otoczonego zgrają dzieciaków przyjaciela.

– Opowiedz nam znów o Gilgameszu! – zawołał jakiś ośmielony sześciolatek.

Potężny pancerny krab zakołysał się w przód i w tył, jakby chciał pokręcić głową.

– Nie, nie. Z tą gawędą już skończyliśmy – stwierdził. – Dzisiaj zaczniemy coś nowego.

Mali słuchacze spojrzeli na morawca z zachwytem.

– Ta opowieść zajmie nam trochę czasu – podjął Orphu. Dudniący głos olbrzyma nawet Harmana przepelniał spokojem.

Dzieci zaczęły radośnie wołać. Dwójka chłopców sturlała się w objęciach po zboczu.

– Słuchajcie uważnie – rozpoczął Orphu.

Jednym ze swoich długich manipulatorów rozdzielił szamoczących się zapaśników i usadził ich w trawie. Popatrzyli na niego i poddali się potędze niskiego, hipnotyzującego tonu...

*Gniew Achilla, bogini, głoś, obfity w szkody,
Który ściągnął klęsk tyle na greckie narody,
Mnóstwo dusz mężnych wcześniej wtrącił do Erebu,
A na pastwę dał sępom i psom bez pogrzebu.*

*Walające się trupy rycerskie wśród pola:
Tak Zeusa wielkiego spełniała się wola.
Odtąd, gdy się zjatrzyli sporem niebezpiecznym,
Agamemnon, król mężów, z Achillem walecznym...*

21 W. Szekspir, „Burza”, akt 3, sc. 2, tłum. M. Słomczyński.

Podziękowania

Dziękuję Jeanowi-Danielowi Breque za zgodę na twórcze wykorzystanie szczegółów jednego z jego ulubionych spacerów po Avenue Daumesnil i Promenade Plantee. Pełen opis tej cudownej trasy można znaleźć w eseju Breque'a „Green Tracks”, opublikowanym nakładem oficyny Penguin w książce „Time Out Book of Paris Walks”.

Dziękuję również profesorowi Keithowi Nightenhelserowi za sugestię użycia cytatu o Renoirze – twórcy ze „Strony Guermantes”.

Na koniec dziękuję Jane Kathryn Simmons za zezwolenie na przedruk wiersza jej autorstwa, zatytułowanego „Po Roniony”.